

# David Weber

## Potężna Forteca

*A Mighty Fortress*

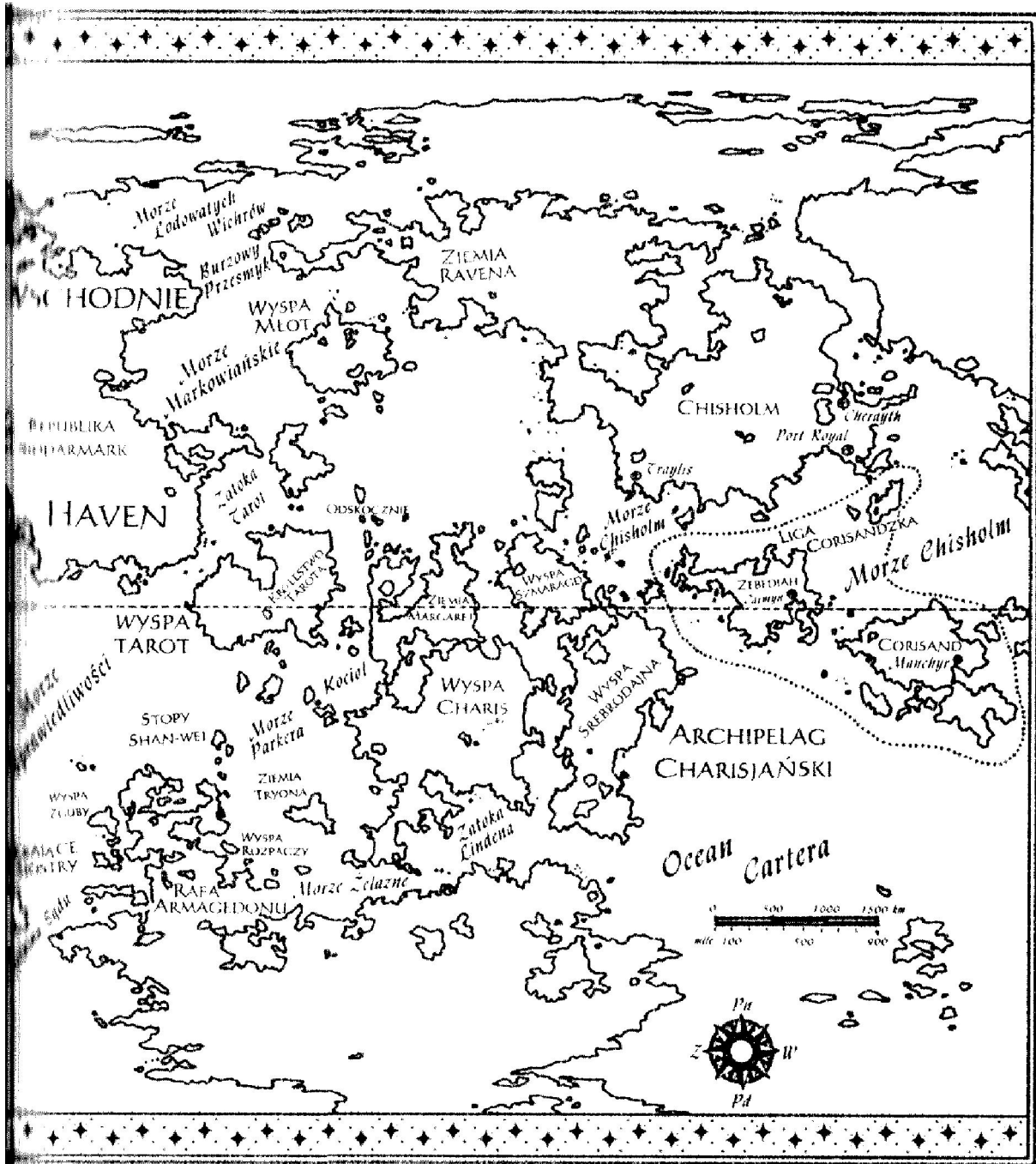
Przełożył

Robert J. Szmidt



*Dla Bobbie Rice.  
Czekaj tam na nas, Babciu. Tęsknimy za Tobą,  
ale wszyscy - Sharon i dzieciaki, i ja -  
kiedyś do Ciebie dołączymy.*







**WRZESIEŃ**

**ROKU PAŃSKIEGO 893**

.I.

## PLAC JASZCZURZY

MANCHYR

CORISAND

- Nie wiem jak wy, ale ja mam serdecznie dosyć tego smoczego gówna! - wykrzyknął Paitryk Hainree z prowizorycznego podium dla mówcy, za jakie mu posłużyła cysterna miejskiej straży pożarnej.

- Dranie! - rozległ się głos kogoś z tłumku zebranego przed tawerną.

Był wczesny środowy ranek i ta tawerna, jak wszystkie spelunki w Manchyrze i na całym Schronieniu, została zamknięta do czasu, aż skończy się poranna msza. Słońce ledwie weszło, wąskie uliczki nadal przypominały wąwozy cienia, lecz chmury w górze już zapowiadały popołudniowy deszcz; zresztą nawet teraz panowała wysoka wilgotność.

I - jak zauważył Hainree - raczej nerwowa atmosfera. Tłum nie porażał wielkością, właściwie przyszło mniej ludzi, niż liczył, a w dodatku połowa znalazła się tutaj wyłącznie z ciekawości i po tych nie było widać zaangażowania. Jednakże ci, którzy byli już zaangażowani...

- Pieprzeni mordercy! - rzucił ktoś inny.

Hainree pokiwał zamaszycie głową, starając się, aby każdy z rozzłoszczonych gapiów rozpoznał ten gest. Z zawodu był wytwórcą srebrnej biżuterii, nie aktorem ani mówcą, a już na pewno nie księdzem! Ale w ciągu ostatniego pięciodnia zyskał okazję do skorzystania z doświadczenia i rad całkiem sporej liczby duchownych. Dowiedział się, jak emisja głosu i „spontaniczna” mowa ciała wspomagają i wzmacniają przekaz - zwłaszcza gdy ów przekaz ma swoje źródło w szczerej, palącej wściekłości.

- Tak! - zawołał w stronę ostatniego z krzyczących ludzi. - Cholerna racja, że to mordercy, chyba że ktoś chce wierzyć temu kłamliwemu draniowi Caylebowi! - Machnął ręką w wymownym geście pogardy. - Ależ oczywiście, że nie on to zrobił! Skądże, dlaczego miałby zlecać zabójstwo księcia Hektora!...

Odpowiedział mu nowy gniewny chórek, tym razem dający wyraz czystemu gniewowi, a nie czemuś równie sztucznemu jak słowa. Hainree uśmiechnął się dziko.

- Przeklęci rzeźnicy! - ryczał ktoś. - Mordercy księży! Heretycy!!! Nie zapomnimy

Feraydu!

- Tak! - Hainree pokiwał głową nie mniej żywiłowo niż przedtem. - Mogą sobie mówić, co chcą... ten nasz nowy „arcybiskup” i jego biskupi... ale ja nie byłbym taki pewien w sprawie drogiego Caylebowi „Kościoła Charisu”! Może niektórzy duchowni nadużywali swojej władzy. Nikt nie chce w to wierzyć... bo ja nie chcę, a wy? Ale przypomnijcie sobie, co arcybiskup Wylym stwierdził w swoim raporcie na temat masakry w Feraydzie! Nie ma wątpliwości, że Cayleb łągał w sprawie potworności pierwotnego ataku, i jest prawdą jak cholera, że on i jego przydupasy kłamali, mówiąc, jaka to ich odpowiedź była „wyważona”! Ale tak czy inaczej Kościół Matka przyznaje, że powieszeni księża... powieszeni bluźnierczo, bez kościelnego procesu, przez własnych braci „arcybiskupa” Maikela, zważcie na moje słowa... nie byli bez winy. Kościół Matka to przyznaje, a wielki wikariusz wymierza pokutę wielkiemu inkwizytorowi za to, że do tego doszło! Czy macie wrażenie, że Kościołowi Matce nie można ufać? Że nie radzi sobie z wewnętrznymi nadużyciami i korupcją? Że jedynym wyjściem jest rzucenie wyzwania Kościołowi Boga Oczekiwanego? Pozbycie się hierarchów wyświęconych przez samego Langhorne’a?

Rozległ się kolejny gniewny pomruk, lecz jak zauważył Hainree, temu jakby brakowało mocy. Nieco go to rozczarowało, choć nie zdziwiło zbytnio. Mieszkańcy Corisandu w większości nigdy nie czuli się osobiście zagrożeni przez zakusy Kościoła Boga Oczekiwanego i Rycerzy Ziem Świątynnych. A już na pewno nie tak jak Charisjanie, gdy odkryli, że tenże Kościół potępił całe ich królestwo i skazał na wypalenie ogniem i wycięcie mieczem. A jeśli nawet nie cały Kościół, to przynajmniej ci, którzy nim rządzą.

Mimo to byłoby nieścisłością - i głupotą - twierdzić, że wśród Corisandczyków wcale nie ma takich, co żywią zastrzeżenia wobec obecnych możnych Kościoła. Manchyr, było nie było, znajdował się daleko od Ziem Świątynnych i Syjonu, a Corisandczycy jako ogół niewątpliwie przejawiali większą niezależność w sprawach religii, aniżeli Inkwizycja czy wikariat byłyby rade widzieć. Skoro już o tym mowa, wielu mieszkańców Corisandu straciło synów, braci albo ojców podczas bitwy w cieśninie Darcos, a jak było powszechnie wiadomo, bitwa ta stanowiła tragiczny skutek wojny, w której Corisand i jego sprzymierzeńcy mieli działać jako zbrojne ramię Kościoła. Tych najbardziej ortodoksyjnych motywowała religijna gorączka, pasja rozgrzana do białości i oślepiająca, przewyższająca wszystko inne. Jednakże większość Corisandczyków nie miała aż tak gorących głów. Ich opozycja w stosunku do Kościoła Charisu wynikała głównie z tego, że był to Kościół najeźdźców, ściśle w ich odczuciu połączony z dynastią Ahrmahków, która zawładnęła ich księstwem, niewiele zaś miała wspólnego z ortodoksją jako taką. Prawdę powiedziawszy, Corisand zamieszkiwali



także zwolennicy reform i ci z kolei mogli lgnąć do rozłamowego Kościoła.

*Nie koncentruj się zbytnio na kwestii herezji, Paitryku, nakazał sobie w duchu Hainree. Pozwól, aby ci, których ta sprawa rozpala, rozgorzeli samoistnie. Ojciec Aidryn nie myli się w tej sprawie: ci są gorący i bez twojej pomocy. Zachowaj więc swoją iskrę na inne drwa.*

- Nie wątpię, że Bóg, jego apostoł Langhorne i archanioł Schueler zajmą się tym w swoim czasie - rzekł na głos. - Albowiem to sprawa Boga i Kościoła Matki, i im ją zostawiam! Lecz co się stanie poza Kościołem... co się stanie w Corisandzie albo tutaj, na ulicach Manchyru... to już ludzka sprawa. Nasza sprawa! Bo człowiek musi wiedzieć, za czym stoi, a kiedy już to wie, musi stać za tym murem, a nie machać rękami jak wiatrak i narzekać, że powinno być inaczej...

Ostatnie słowo wymysknęło mu się na wpół falsetem, na wpół pogardliwym prychnięciem i Hainree poczuł wzbierający w nim znów gniew.

- Hektor! - wrzasnął szczapowaty człowieczek z paskudnie kiedyś rozoranym, a teraz zabliznionym policzkiem.

Hainree wprawdzie go nie dostrzegł, ale od razu rozpoznał głos. I nic dziwnego. W końcu Rahn Aimayl był jednym ze starszych czeladników w jego warsztacie, zanim inwazja Charisu na Corisand doprowadziła go do ruiny, podobnie jak wielu innych rzemieślników obłożonej stolicy; co więcej, Hainree na własne oczy widział, jak rozbita forma i strumień roztopionego srebra ranią twarz Aimayla.

- Hektor! - powtarzał Aimayl raz po raz. - Hektor!

- Hektor, Hektor! - podchwycili inni, a ktoś, kto by akurat patrzył na mówcę, mógłby pomyśleć, że ma przed sobą uśmiechającego się jaszczurodrapa.

- No! - podjął Hainree. - Cokolwiek mówić, nas jest znacznie więcej niż ich! I nie wiem, co wy myślicie, ale moim zdaniem wcale nie wszyscy nasi wielcy panowie i członkowie parlamentu chcą się podlizywać Caylebowi jak ta cała rada regencyjna! Może trzeba by pokazać, że i my nie zamierzamy tego robić!

\* \* \*

- Hektor! Hektor!

Sierzant Edvard Waistyn skrzywił się, gdy tłum napał, a krzyki stały się głośniejsze i groźniejsze. Nie miał kłopotu z rozróżnieniem słów, mimo że całkiem niedaleko rozzwoniły się majestatycznie dzwony katedry. Oczywiście niewykluczone, że z taką łatwością zrozumiał, co skanduje tłum, dlatego że w minionych kilku pięciodniach nasłuchiwał się niemało podobnych okrzyków.

*Niestety nie zanosi się na to, abym w nadchodzących kilku pięciodniach miał wysłuchiwać czegoś innego, pomyślał ponuro.*

Sierżant, jeden ze snajperów-zwiadowców pierwszego batalionu trzeciej brygady piechoty morskiej Charisu, leżał jak długi na dachu, badawczym wzrokiem wodząc po wąskiej uliczce poniżej. Tłum płynący w dole nawet pomimo cienia rzucanego przez budynki po obu stronach w jego oczach zdawał się wahać. Gniew ludzi był nieudawany i sierżant nie wątpił, że wyruszyli przepelnieni szczerą wściekłością, teraz jednak w polu ich widzenia pojawiała się kopała katedry z dzwoniczami po bokach. Pomysł okazywania... niezadowolenia przestał być sprawą odległej przyszłości. Dotyczył jak najbardziej terażniejszości, tutaj i w chwili obecnej, i mógł przynieść niemiłe konsekwencje przynajmniej dla niektórych.

*Aczkolwiek, pomyślał sierżant, nie sądzę, żeby to się miało rozejść po kościach. Wyczuwam trwale łamanie w stawach, a nawet artretyzm.*

Czujnym wzrokiem omiatał powoli cizbę składającą się z mężczyzn oraz chłopców wymachujących pięściami i rzucających przekleństwa w stronę uzbrojonych w strzelby, odzianych w tradycyjne stroje piechoty morskiej Charisu - to jest białe spodnie i granatowe tuniki - żołnierzy, którzy otoczyli kordonem budynek katedry w Manchyrze. Strażnicy ci tworzyli żywą granicę pomiędzy krzykaczami a innym tłumem - cichszym, szybszym, poruszającym się po stopniach za nimi.

Jak dotąd żadna z tych sporadycznych „spontanicznych demonstracji” nie zakłóciła spokoju świątyni ani przyległych terenów. Właściwie to Waistyn był zdziwiony, że jeszcze do tego nie doszło, zważywszy, że „heretycki” Kościół Charisu dawał ludziom do ręki gotową broń przeciwko charisjańskiemu okupantowi. Może więc w Corisandzie było więcej niezadowolonych z istniejącego stanu rzeczy, gdy idzie o sprawy religijne, aniżeli sierżant byłby skłonny przyznać przed najazdem? A może raczej nawet najbardziej zawzięty buntownik dwa razy się zastanowił, zanim naruszył świętość Kościoła Matki?

*Tak czy owak, ten tłumek wydaje się bardziej żądny przygód niż jego poprzednicy, z przekąsem stwierdził w duchu sierżant.*

- Zdrajcy! - Ten okrzyk jakoś zdołał się przebić przez monotony zaśpiew, który tak naprawdę był skandowanym bez końca imieniem zamordowanego corisandzkiego księcia. - Mordercy! Zabójcy!

- Wynoście się! Wynoście się, ale to już, i zabierzcie ze sobą tego swojego „cesarza” mordercę!

- Hektor! Hektor!

Krzyki stały się jeszcze głośniejsze, o ile w ogóle było to możliwe, i tłum począł napierać znowu, jakby z większą pewnością siebie, zupełnie jak gdyby wyrzaskiwane przekleństwa przepędziły precz wahanie ostatnich minut.

*Szkoda, że nie ma tu generała Gahrvaia z jego ludźmi, zauważył w myślach Waistyn. Jeśli sprawy przybiorą tak zły obrót, na jaki chyba się zapowiada...*

Grupa zbrojnych w biało-pomarańczowych barwach straży arcybiskupiej maszerowała miarowym krokiem ku katedrze, a głosy protestujących znowu przybrały na sile, gdy ci dostrzegli białą sutannę oraz przewiązany biało-pomarańczową kokardą czepiec na głowie człowieka idącego na czele kolumny.

- Heretyk! Zdrajca! - krzyknął ktoś. - Langhorne pozna swoich... i Shan-wei także!

*Cudownie, skwitował w duchu Waistyn, krzywiąc się z niesmakiem. Nie mógł po prostu wejść od tyłu, prawda? No, nie bądźże głupcem, Eduardzie... Oczywiście, że nie mógł! Nie dziś!...*

Sierżant potrząsnął głową. Zapowiadała się pyszna zabawa...

\* \* \*

Na poziomie ulicy porucznik Brahd Tahlas, młody oficer dowodzący drugiego plutonu kompanii alfa, miał podobne myśli jak stary sierżant weteran na stanowisku powyżej niego. Szczerze mówiąc, były one o wiele jaśniej sformułowane z uwagi na bezpośrednią bliskość stale nacierającego tłumu.

Oraz ciężącą na nim bezpośrednią odpowiedzialność.

- Nie mogę powiedzieć, aby to mi się specjalnie podobało, sir - mruknął plutonowy Zhak Maigee.

Plutonowy był dwakroć starszy od Tahlasa, a w Królewskiej Piechocie Morskiej służył od piętnastego roku życia. Od tamtej pory zwiedził mnóstwo egzotycznych miejsc i zobaczył wiele rzeczy - czy też, jak czasem sam to ujmował: „Poznał wielu interesujących ludzi... a potem ich zabił!”. Jedno można było o nim powiedzieć z całą pewnością - wiedział, co robi. To zazwyczaj czyniło zeń mile widzianego towarzysza, lecz w tym akurat momencie przybrał wyraz skupionego, skoncentrowanego w całości na bieżącym problemie doświadczonego podoficera. Był świadkiem sytuacji, która mogła się potoczyć w rozmaitych kierunkach, ale na pewno w żadnym dobrym. Dlatego odezwał się ściszym głosem, tak by usłyszał go tylko Tahlas, który w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Ja też nie jestem zachwycony - przyznał również szeptem, nie mogąc się nadziwić własnemu opanowaniu. - Jeśli macie jakiegokolwiek sugestie, jak w cudowny sposób zachęcić tych idiotów do zniknięcia, jestem na nie otwarty.

Pomimo powagi położenia Maigee parsknął. Lubił swego młodego przełożonego, któremu nie można było odmówić tego, że ma mocne nerwy. Zapewne z ich powodu został wyznaczony na obecne stanowisko przez majora Portyra.

- Cóż, sir, w tej akurat chwili nic mi nie przychodzi do głowy. Zastanowię się jeszcze i jeśli na coś wpadnę, natychmiast pana zawiadomię.

- Świetnie. Tymczasem miej oko na tych tam obok latarni. - Tahlas machnął lekko ręką, wskazując grupkę mężczyzn, o których mu chodziło. - Przyglądam im się od dłuższej chwili. Większość tych idiotów to zwykle mąciwody i hołota, jakiej można by się spodziewać, ale nie ci tam.

Maigee przyjrzał się wskazanej przez Tahlasa grupce Corisandczyków i w duchu przyznał przełożonemu rację. Ci konkretni mężczyźni ani nie stali na czele tłumu, ani nie czaili się gdzieś z tyłu. Wydawali się jednak podejrzanie... zvarci. Jakby byli grupą samą w sobie, a nie częścią tłumu. Przyglądali się otaczającym ich ludziom z natężeniem odbiegającym od tego, które można było dojrzeć w oczach pozostałych. Niektórzy z protestujących odwzajemniali te spojrzenia. Zupełnie jakby... czekali na coś. Bądź też czegoś się spodziewali.

\* \* \*

Straż kościelna zbliżyła się jeszcze bardziej i Waistyn nie mógł nie zauważyć, że tłum zrobił się agresywniejszy. Głośniejszy stać się już nie mógł, więc zamiast tego jął rzucać przekleństwami i obelgami o wyraźnym, niedwuznacznym religijnym zabarwieniu, które dołączyły do ciągłego zaśpiewu będącego powtarzaniem bez ustanku imieniem księcia Hektora.

- No dobra, chłopaki - rzekł sierżant spokojnie do reszty snajperów-zwiadowców, którzy zajmowali z nim pozycje na dachu. - Sprawdźcie spłonki, ale niech mi żaden nawet okiem nie mrugnie bez rozkazu.

Odpowiedział mu cichy chór potwierdzeń, na co Waistyn chrząknął z aprobatą, ani na moment nie odrywając spojrzenia od ulicy w dole. Wbrew własnemu napomnieniu nie martwił się, że któregoś z jego chłopców zaświerzbi palec spragniony zetknięcia ze spustem. Ci ludzie byli zaprawionymi w boju żołnierzami piechoty morskiej i wszyscy wysłuchali słów majora Portyra, który wyraził się jasno - można by nawet rzec: boleśnie jasno. Ostatnie, czego było im trzeba, to otwarcie ognia do „nieuzbrojonego tłumu” cywilów na ulicach stolicy Corisandu. No, może przedostatnie... Waistyn był prawie pewien, że jeszcze gorzej zostałby odebrany nieszczęśliwy wypadek arcybiskupa Klairmanta. Właśnie po to tkwił na dachu ze swoim oddziałem - aby zapobiec takiej ewentualności.

*Problem w tym, że jeśli nie zaczniemy strzelać w tym samym momencie, gdy ktoś znajdzie się w odległości strzału od hierarchy, możemy być ździebko spóźnieni, zwłaszcza gdy idzie o tę część z zapobieganiem, pomyślał kwaśno sierżant.*

\* \* \*

- Błuzniercy! - krzyknął Charlz Dobyns, grożąc pięścią nadchodzącej straży arcybiskupiej. Głos mu się łamał, do czego niestety miał tendencję w stresujących sytuacjach, ale oczy wciąż lśniły podnieceniem.

Gwoli szczerości, Charlz tak naprawdę nie opowiadał się jakoś szczególnie silnie po żadnej ze stron w idiotycznym jego zdaniem konflikcie z „Kościołem Charisu”. I bynajmniej nie sam wpadł na pomysł, co będzie krzyczał - podpowiedział mu to kolega jego starszego brata, Rahn Aimayl. Lecz nie on jeden wykrzykiwał właśnie to słowo. Co najmniej sześć osób w tłumie, w większości rówieśnicy Charlza, również wrzeszczeli: „Błuzniercy!”, tak jak im kazano, gdy tylko w polu widzenia pojawiał się arcybiskup Klairmant.

Sądząc z reakcji otaczających ich ludzi, Rahn nie mylił się, zapewniając, że oskarżenie o bluźnierstwo okaże się niezwykle skuteczne.

Charlz osobiście nie był do końca pewien, co dokładnie znaczy „bluźnierstwo” - jeśli nie liczyć razów zbieranych od matki, tłukącej go, ilekroć niepotrzebnie odwoływał się do imienia Langhorne’a. Nie rozumiał zupełnie, czym doktryna Charisjan może się różnić od tej obowiązującej w reszcie Kościoła. Żaden był z niego ksiądz i nie zamierzał udawać, że jest inaczej. Mimo to nawet jemu przychodziła z trudem wiara w orgie na ołtarzach i ofiary z dzieci. Rozsądek podpowiadał mu, że gdyby coś takiego działo się tutaj, w katedrze, wszyscy by o tym wiedzieli, a jak na razie nie spotkał nikogo, kto byłby naocznym świadkiem podobnych wydarzeń. Ani nawet nie słyszał o tym od kogoś, komu ufałby w sprawie tak prostej jak pogoda za oknem.

Co do reszty, jego zdaniem cały ten nowy „Kościół” może i miał trochę racji. Jeśli bowiem choć ćwierć z tego, co niektórzy gadali o tak zwanej Grupie Czworka, było prawdą, łatwo dało się zrozumieć, że ten czy ów mógł się wściec na jej członków. Ale to także nie miało znaczenia. Byli przecież wikariuszami, a z tego co widział Charlz, słowo wikariuszy stanowiło prawo. On więc na pewno nie zamierzał przeciw nim występować. Jeśli chciał to zrobić kto inny, wolna droga; Charlz wiedział, że całkiem sporo Corisandczyków zgadza się z Charisjanami. Po prawdzie, nawet w tej chwili znacznie więcej ludzi znajdowało się wewnątrz katedry niż przed nią.

Skoro już o tym mowa, rodzona matka Charlza była gospodynią na plebanii u Świętej Kathryn, a on doskonale wiedział, gdzie rodzicielka jest teraz. W ostatnich pięciodniach

nasłuchał się, że nawet ojciec Tymahn coraz bardziej się skłania ku temu nowemu Kościołowi Charisu.

Jednakże i to właściwie się nie liczyło w wypadku Charlza. Na ogół podzielał matczyny respekt dla ojca Tymahna, ale tym razem uważał, że matce umyka sedno sprawy. Albowiem wcale nie chodziło o doktrynę ani o to, kto tu w Manchyrze nosi arcybiskupi czepiec... czy też nie chodziłoby o to, kto nosi ten czepiec, gdyby człowiek ów nie przysiągł wierności zarówno Kościołowi, jak i Imperium Charisu, aby go dostać!

Nie w tym rzecz, że Charlz był fanatycznym patriotą. W Corisandzie w ogóle nie było tak znów wielu patriotów, przynajmniej w rozumieniu obywateli nieistniejącej od tysiąclecia Federacji Terrańskiej. Lojalność na Schronieniu - może z wyjątkiem dwu krain, Charisu i Siddarmarku - ograniczała się do hołdów składanych najbliższemu baronowi, hrabiemu czy księciu. No, może jeszcze władcy takiemu czy innemu. Nigdy jednak nie dotyczyła narodu czy czegoś takiego jak państwo. Młody Charlz na przykład uważał się po prostu za Manchyczyka, mieszkańca miasta Manchyr, a dopiero potem za poddanego księcia Manchyru. A gdy Hektor zasiadał na tronie, również za członka społeczności Corisandu.

Poza tym Charlz nigdy nie zastanawiał się głębiej nad zależnościami, w jakie jest uwikłany, a już na pewno nie robił tego przed inwazją Charisu. Co więcej, nie orientował się za dokładnie, co spowodowało wrogość między Corisandem i Charisem. Na jego usprawiedliwienie można powiedzieć, że miał zaledwie szesnaście lat wedle rachuby Schronienia (to jest czternaście i pół, licząc wedle rachuby stosowanej na od dawna wyludnionej Ziemi), i nie orientował się w wielu sprawach. Nie miał jednak wątpliwości co do tego, że Corisand został zaatakowany, że miasto, w którym żył, znalazło się w stanie oblężenia, że armia Corisandu poszła w rozsypkę, i wreszcie że księżę Hektor - jedyny wyrazisty (przynajmniej dla niego) symbol corisandzkiej tożsamości i jedności - zginął zamordowany.

Tyle wystarczyłoby do zdenerwowania każdego, prawda?

A jednak gdyby cokolwiek zależało od niego, byłby skłonny machnąć ręką, spuścić głowę i trzymać kciuki, żeby wszystko się ułożyło. Tymczasem nic od niego nie zależało. A w Manchyrze nie brakowało mieszkańców, którzy wcale nie zamierzali machać ręką ani spuszczać głowy - i to właśnie ci stawali się coraz głośniejsi i coraz bardziej natarczywi. Nawet Charlz zdawał sobie sprawę, że wkrótce ludzie zaczną stawać po którejś ze stron, a kiedy do tego przyjdzie, on nie będzie miał kłopotu z wyborem. Jakakolwiek była przyczyna waśni między Corisandem i Charisem, Charlz nie chciał, aby jacyś szmatławi obcokrajowcy wtykali patyki w gniazdo szerszeni w jego mieście rodzinnym.

(Bo to, że byli szmatławi, nie ulega kwestii, prawda? Przecież wszyscy obcokrajowcy są szmatławi!)

- Błuzniercy! - zakrzyknął więc ponownie Charlz.

- Błuzniercy! - usłyszał okrzyk kogoś innego.

Nie rozpoznał głosu. Zupełnie obcy ludzie podchwytywali zawołanie wojenne Charlza i jego przyjaciół. Chłopak wyszczerzył wszystkie zęby w uśmiechu, sięgnął pod tunikę i dotknął krótkiej ciężkiej pałki, którą trzymał zatkniętą za pasem.

\* \* \*

- Dostyc tego!

Ku zdziwieniu Paitryka głos młodego charisjańskiego oficera sprzed katedry przebił się ponad okrzyki wzburzonego tłumu. Hainree pomyślał, że z pewnością pomogła mu w tym skórzana tuba do mówienia, aczkolwiek nie zaszkodziło także to, że oficer był szkolony do wydawania rozkazów na polu bitwy, gdzie raczej rzadko bywa cicho.

Jeszcze większe jego zdziwienie wzbudził fakt, że pierwsze szeregi tłumu - *nie, nie tłumu*, poprawił się w myślach Hainree, *nie bójmy się używać mocnych słów* - zatem pierwsze szeregi nie tłumu, tylko motłochu jakby się zawahały. Oczy Paitryka najpierw się rozszerzyły, a potem zaraz ponownie zwężyły, gdy zrozumiał powód tego wahania. Owszem, Charisjanin podniósł głos, aby dać się usłyszeć, lecz nie dobył z siebie ryku słusznego gniewu. Nie... Już prędzej okazał rozdrażnienie. Jego mowa ciała też nie świadczyła o bojowym nastawieniu. Oficer trzymał jedną dłoń wspartą na biodrze i w sumie wyglądał tak, jakby zabijał czas, stojąc na stopniach katedry.

Hainree uznał, że młody oficer przypomina raczej poirytowanego belfra aniżeli żołnierza oko w oko z wrogim tłumem.

- Jest środa rano! - ciągnął Charisjanin. - Powinniście się wstydzić! Skoro sami nie jesteście w kościele, przynajmniej pozwólcie innym dojść na mszę w spokoju!

- A co ty tam wiesz o mszach, heretyku! - odkrzyknął ktoś, niewykluczone, że Aimayl.

- Wiem dość, żeby nie rzucać kamieniami przez okna katedry - wciąż podniesionym tonem odparł Charisjanin, po czym wzdrygnął się ostentacyjnie. - Nawet nie chcę myśleć, co by mi zrobiła matka, gdyby dowiedziała się o czymś takim.

Parę osób zaskoczyło Paitryka - i zapewne samych siebie też - wybuchając śmiechem. Inni tylko sarknęli, ale znaleźli się również tacy, co wznowili nieprzyjazne okrzyki na widok arcybiskupa Klairmanta wchodzącego do katedry za plecami żołnierzy piechoty morskiej.

- Rozejdźcie się! - kontynuował Charisjanin głosem nieomal miłym, zabarwionym

raczej rezygnacją aniżeli złością. - Skoro już musicie dać czemuś wyraz, zróbcie to gdzie indziej i w inny dzień, nie boży. Nie chcę widzieć żadnych ofiar przy środzie. Właściwie mam rozkaz zapobiec rozlewowi krwi za wszelką cenę. Ale mam też rozkaz zapewnienia ochrony katedrze i znajdującym się w niej ludziom. Jeśli więc będę musiał wybierać, nie powstrzymam się przed zranieniem kogoś z was.

Głos Charisjanina wyraźnie stwardniał; oficer starał się kierować rozsądkiem, lecz poznać było, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Hainree obrzucił wzrokiem twarze czterech czy pięciu osób, które stały najbliżej niego. Jeden z mężczyzn uniósł brew i ledwie zauważalnie skinął głową w stronę, z której przyszli, a Paitryk odpowiedział lekkim potaknięciem. Osobiście nie bał się wdać w bójkę z żołnierzami piechoty morskiej, jednakże ojciec Aidryn jemu zlecił kierowanie ruchem antycharisjańskiego oporu. Ów ruch oporu być może będzie potrzebował męczenników w przyszłości, lecz jeszcze bardziej przydadzą mu się przywódcy. Tak, ci ostatni będą zdecydowanie bardziej potrzebni.

I Mężczyzna z uniesioną brwią skinął ponownie, po czym odwrócił się i jął sobie torować drogę na czoło nagle znieruchomiałego tłumu. Hainree przez moment odprowadzał go wzrokiem, a następnie sam z kilkoma innymi zaczął się wycofywać w przeciwną stronę.

\* \* \*

*Niech mnie diabli, jeśli temu, chłopakowi się nie uda*, pomyślał z podziwem plutonowy Maigee.

Plutonowy jeszcze przed chwilą nie postawiłby złamanej marki harchońskiej na to, że porucznik Tahlas zdoła namówić motloch do rozejścia się i powrotu do domów, tymczasem jego słowa o dniu bożym najwyraźniej zrobiły swoje. Maigee spodziewał się raczej ostrej retorty, zważywszy na ponawiane okrzyki „Błudnierycy!” i „Heretycy!”, wszelako porucznik chyba lepiej odczytał nastroje tłumu.

- Wracajcie do domów - mówił porucznik Tahlas coraz łagodniejszym tonem, w miarę jak ciżba się przerzedzała i mógł przestać krzyżeć. - Rozejdźcie się, zanim komukolwiek stanie się krzywda. Nie życzę nikomu z was źle. Skoro już o tym mowa, wierzcie czy nie, cesarz Cayleb także nie życzy źle nikomu z was. Ani arcybiskup Klairmant. Ani, do Shanwei, jeśli zechcecie wybaczyć mój język, nie chce tego Bóg. Dlaczego nie mielibyście uszczęśliwić wszystkich wymienionych osób, spokojnie się rozchodząc?

\* \* \*

Charlz Dobyns skrzywił się, czując, że nastrój otaczającego go tłumu ulega zmianie. Z jakiegoś powodu nie tego się spodziewał. Ów charisjański oficer - Charlz nie znał się na



insygniach wojskowych, nie potrafił więc określić jego stopnia - powinien szaleć z wściekłości i wrzeszczeć na nich. Grozić im, jasno dając wyraz swojej pogardzie dla Corisandczyków. A już na pewno nie przemawiać w ten sposób ani przekonywać ich namiętnie. Coś takiego - nawet jeśli nie do końca szczere - było nazbyt diaboliczne, aby dało się w to uwierzyć.

Mimo to Charlz nie pozostał całkiem obojętny na argumenty Charisjanina. Było wiele racji w tym, co powiedział o dniu bożym. Natomiast wzmianka o matce... cóż, przypomniawszy Charlzowi o jego własnej matce i o tym, co mu zrobi, jak się dowie, gdzie był w czasie, kiedy powinien uczestniczyć we mszy.

Nie mógł wiedzieć, co myślą inni ludzie, ale czuł wyraźnie, że z tłumu jakby uchodzi para i że ciżba traci impet, który przywiódł ją aż pod katedrę. Niektórzy - nie wyłączając kolegów Charlza - nadal pokrzykiwali, lecz ich głosy nie były już tak zapalczywe jak przedtem. Zdawały się cieńsze, a krzyki odosobnione, jakby krzyczących nagle opuściła pewność siebie. Charlz zdjął rękę z pałki pod tuniką i ze zdumieniem stwierdził, że czuje raczej ulgę niż żal z powodu takiego obrotu spraw.

Zaczął się odwracać, ale zaraz zamarł z szeroko otwartymi oczami, gdy zobaczył, co wyjmując spod tuniki mężczyzna idący dotąd za nim.

Charlz nigdy jeszcze nie widział żadnego egzemplarza skałkówki, którą niedawno wprowadzono do wyposażenia corisandzkiej armii, niemniej bez trudu się domyślił, na co patrzy. Broń była krótka i masywna - oberżnięto jej kolbę i upiłowano lufę, by całość miała tylko kilka stóp długości. Nadal jednak wyglądała na większą i mniej poręczną od pistoletów używanych przez gwardię cesarską, a już z pewnością nie było jej łatwo ukryć, jednakże zamek skałkowy, który umieszczono w miejscu pierwotnego lontu, nie wymagał mozolnego krzesania ognia i podpalania. Charlz pojął to w okamgnieniu, ze spokojem rozważając stronę techniczną zagadnienia.

Przyglądał się jak skamieniały unoszeniu broni. Lufa dźgnęła w ramię innego młodzieńca, niespełna rok starszego od Charlza i stojącego tuż obok. Chłopak drgnął zaskoczony, odwrócił głowę i spojrzał prosto w otwór lufy zasłaniający mu pole widzenia... w tej samej chwili, gdy człowiek trzymający broń pociągnął za spust.

\* \* \*

Nagły huk wystrzału zaskoczył wszystkich, nawet doświadczonych podoficerów, takich jak Waistyn i Maigee. Raczej nie powinno tak się stać, jednakże zauważalny sukces porucznika Tahlasa przy opanowaniu tłumu uspił także ich czujność, przynajmniej w pewnej mierze.

Mężczyzna trzymający muszkiet wybrał sobie na cel porucznika piechoty morskiej Charisu. Na szczęście dla Brahda Tahlasa broni niedoszłego zabójcy nie dało się nazwać instrumentem precyzyjnym. Był to muszkiet starego typu z niezwykle krótką lufą, załadowany prochem tradycyjnym, a nie ziarnistym. Prawie ćwierć wolno się palącego, anemicznego ładunku została zużyta, zanim pozostała część wytrysnęła z lufy w ogromnej oślepiającej chmurze, natomiast trajektorię pocisku można było określić wyłącznie jako nieskoordynowaną.

Pechowy młodzian, który patrzył w otwór lufy w chwili wystrzału, zaryczał z bólu, gdy eksplozja poważnie oparzyła mu twarz. Zachwiał się i zatoczył do tyłu, zasłaniając uszkodzone oczy, podczas gdy parę osób stojących przed nim także zakrzyknęło z bólu, kiedy płonące płatki prochu wypalały na ich karkach tak zwany tatuaż górnika. Jeden wyjątkowy pechowiec poczuł, jak włosy zapalają mu się na głowie, padł na kolana i jął obiema rękami gasić ogień, nie przestając drzeć się wniebogłosy.

Charlz Dobyns, który stał na tyle daleko od strzelającego, że uszedł z tej przygody zaledwie osmalony, odwrócił się szybko, by spojrzeć na niedoszłą ofiarę.

\* \* \*

- Szlag!

Porucznik Tahlas nie miał pewności, czy plutonowy Maigee w ogóle był świadom tego, że się odezwał. Rzucone przezeń pojedyncze słowo zostało wypowiedziane tonem niemal konwersacyjnym. Z tymże w tej sytuacji nie robiło to większej różnicy.

Był natomiast prawie pewien, że strzelec celował w niego, ale chybił. Kula muszkietu trafiła prosto w pierś jednego z szeregowych, tego, który stał jakieś cztery stopy na prawo. Gdy żołnierz padł na ziemię, łapiąc się za zakrwawiony nagle przód tuniki, porucznik uświadomił sobie coś jeszcze. Rozkazy majora Portyra nie pozostawiały wątpliwości w kwestii, co Tahlas ma uczynić w razie, gdyby padł strzał albo ktoś próbował użyć ostrego narzędzia przeciwko członkowi jego oddziału.

- Bagnet na broń! - usłyszał własny rozkaz i zobaczył las ostrzy, gdy podwładni go posłuchali.

Zobaczył również, że wiele osób w tłumie cofnęło się nagle na widok długich, lśniących bagnetów jak gdyby wyskakujących z końców strzelb jego żołnierzy. Jednakże tylko niektórym udało się cofnąć, reszta natknęła się na mur z ciał ludzi stojących za nimi. Albowiem nie wszyscy zareagowali obawą, byli też tacy, co szczerząc się okrutnie, dobywali pałek, które dotąd mieli schowane pod tunikami. Pierwsze szeregi tłumy zwarły się, tworząc jednolitą ścianę. Wszystko wskazywało na to, że są gotowe do walki.

*Na razie*, pomyślał ponuro porucznik Brahd Tahlas. *Na razie...*

Przeniósł spojrzenie na zakrwawionego szeregowca i zacisnął szczęki, a w jego oczach pojawiła się hardość niespotykana u osób tak młodych wiekiem. Naoglądał się dość umierających w przełęczy Talbor. Odwrócił wzrok i patrząc prosto na plutonowego, rzucił głosem, który zabrzmiał niczym kute żelazo:

- Plutonowy Maigee, oczyścić tę ulicę!

## .II.

### MAIKELBERG

### KSIĘSTWO EASTSHARE

### CHISHOLM

- Zatem - rzekł sir Kynt Clareyk, generał armii Imperium Charisu, niegdysiejszy brygadier piechoty morskiej, niedawno pasowany na rycerza i obdarzony tytułem szlacheckim barona Zielonej Doliny, nalewając wina do kielicha gościa - co o tym sądzisz, *seijinie*?

- O czym, panie? - zapytał łagodnym głosem wysoki, szafirowooki kapitan gwardii cesarskiej odziany w czerń i złoto dynastii Ahrmahków.

Sięgnął po kielich i z uznaniem pociągnął łyk. Clareyk zawsze gustował w dobrych trunkach i to się nie zmieniło wraz z jego awansem. W ogóle były komandos niewiele się zmienił, z tego co widział Merlin Athrawes. Generał był tym samym kompetentnym oficerem jak zawsze, gotowym zakasać rękawy i wziąć się do dzieła. Namiot, w którym właśnie siedzieli, podczas gdy na zewnątrz padał lodowaty jesienny deszcz, siekąc teoretycznie nieprzemakalną płócienną powłokę, był tego dowodem. Pojutrze wypadała pierwsza rocznica ślubu Cayleba i Sharleyan, a co za tym idzie ich wspólnego panowania i utworzenia Imperium Charisu, co zmusiło Merlina do porównania w myślach zimna i wilgoci królujących poza namiotem barona Zielonej Doliny z jaskrawym słońcem, tropikalnym upałem i kolorowymi kwiatami tamtego weselnego dnia.

Różnica bardzo rzucała się w oczy, a baron Zielonej Doliny, choć dzierżył najniższy arystokratyczny tytuł, i to najkrócej ze wszystkich szlachetnie urodzonych w cesarstwie (mówiąc ściśle, trwało to niecałe cztery pięćdziesiąt dni), całkiem jawnie był faworyzowany przez parę cesarską. Tak jawnie, że został ściągnięty z powrotem do Chisholmu z dopiero co podbitego (mniej lub bardziej) Corisandu. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, można by

sądzić, że ktoś taki postara się o solidną kwaterę w pobliskim mieście zwącym się Maikelberg, zamiast wylądować pod przeciekającym płótnem w początkach zimy.

*I to północnej zimy, dodał w duchu Merlin, zerkając na powiększającą się plamę w rogu namiotu, gdzie sufit z teoretycznie nieprzemakalnego płótna nie zdołał się oprzeć ulewie. Tak czy siak, to człowiek z południa, któremu zima na północy na pewno nie przypadnie do gustu. Deszcze są wystarczająco złe, ale to jeszcze nie koniec. Wkrótce, nadejdą śniegi, auć!*

*Seijin* doskonale rozumiał, że to właśnie jest prawdziwym powodem, dla którego baron Zielonej Doliny zamieszkał w namiocie zamiast w luksusowym miejskim domu czy nieco mniej komfortowym pokoju w którejś z bardziej szanowanych oberż Maikelbergu. Całkiem sporo innych byłych charisjańskich komandosów miało spędzić zimę w Chisholmie w warunkach daleko odbiegających od ideału, więc baron Zielonej Doliny ani myślał wyprowadzać się ze swego namiotu, zanim jego ostatni podwładny znajdzie się w suchym i ciepłym miejscu w jednym z naprędce wznoszonych baraków.

- O czym? - powtórzył generał, odchylając się na oparcie polowego krzeselka ustawionego obok żelaznego piecyka, który robił co mógł (i na razie odnosił sukces w tej mierze), aby utrzymać w namiocie przyjemną temperaturę. - Ach tak, no cóż, popatrzmy... O co też ja mogłem pytać... Hm... Hm...

Zmarszczył czoło, ostentacyjnie okazując zamyślenie, drapał się po brodzie ze zmrużonymi oczami, dopóki Merlin nie zachichotał cicho. Na Schronieniu nie było wielu ludzi, którzy czuli się w obecności przerażającego *seijina* na tyle swobodnie, aby pozwolić sobie na żarty, tym bardziej więc Merlin cenił tych, co nie tracili przy nim poczucia humoru.

- Dobrze, już dobrze! - przyznał się do porażki z uśmiechem, zaraz jednak spoważniał. - Prawdę powiedziawszy, jestem pod sporym wrażeniem. Wraz z księciem Eastshare'em przeprowadzasz proces integracji sprawniej i szybciej, niż ich cesarskie moście przewidywały. Odniosłem też wrażenie, że generalnie odpowiadają wam zależności rodzące się w ramach dowództwa?

Na tak zadane pytanie baron Zielonej Doliny prychnął.

- Spodziewałem się po tobie nieco bardziej wizjonerskiego komentarza, Merlinie - rzekł. - I jeśli mam być szczery, zdziwiło mnie, że jego wysokość uznał, że trzeba przysłać cię osobiście, abys przekonał się o wszystkim na własne oczy, że tak powiem.

Merlin zdołał się powstrzymać przed grymasem, mimo iż ostatni komentarz zakrawał na zniewagę. Z drugiej strony był całkiem racjonalny, szczególnie że baron Zielonej Doliny należał do stosunkowo niewielkiej grupy osób wiedzących, iż *seijin* jest czymś znacznie

więcej aniżeli osobistym ochroniarzem cesarza Cayleba Ahrmahka.

Na przestrzeni minionych kilku lat praktycznie wszyscy mieszkańcy ziem, które teraz zwały się Imperium Charisu, zrozumieli, że dawne bajki i opowieści o legendarnych świętych mężach i wojownikach, *seijinach*, są prawdziwe, aczkolwiek nie oddają w pełni rzeczywistości. Obecnie nikt nie miał wątpliwości, że Merlin jest najskuteczniejszym gwardzistą, jaki kiedykolwiek strzegł charisjańskiego władcy. Z uwagi na liczbę zamachów, które udaremnił, i to nie tylko na samego cesarza, nikogo nie dziwiło, że *seijin* nie opuszcza boku Cayleba, chroniąc go zarówno w komnacie rady, jak i na polu bitwy.

Z tym że baron Zielonej Doliny wiedział jeszcze coś, co tylko nieliczni Charisjanie podejrzewali, mianowicie, że Cayleb i Sharleyan korzystają z usług Merlina także z innego powodu.

*Seijin* miewał wizje. Widział i słyszał rzeczy, które działy się w odległych miejscach, miał pojęcie o wydarzeniach rozgrywających się tysiące mil od miejsca jego pobytu, a o wszystkim tym wiedział równocześnie z naocznymi świadkami. Ta jego umiejętność porównywana do zakradania się do pomieszczeń, w których toczyły się narady wojenne i dyskusje polityczne wrogów Charisu, była nieocenioną pomocą dla atakowanego ze wszech stron cesarstwa, natomiast rola osobistego gwardzisty Cayleba stanowiła świetną przykrywkę. Merlin bowiem naprawdę był skutecznym i zabójczym ochroniarzem, za którego wszyscy go brali, i jako taki ze zrozumiałych względów mógł niemal bez przerwy towarzyszyć parze cesarskiej. Albowiem nawet *seijin* nie byłby w stanie powstrzymać potencjalnego zabójcy, nie znajdując się pod ręką. Dzięki temu nawet najbardziej podejrzliwi otrzymali wyjaśnienie, dlaczego kapitan Athrawes, mężczyzna o niespotykanych szafirowych oczach, jest cieniem cesarza, i nie kojarzyli tego ze wspomnianymi wizjami. Dla ogółu Merlin był ochroniarzem, nie doradcą ani wyrocznią. Tylko wioskowy głupek mógłby sądzić inaczej.

Baron Zielonej Doliny nie był wioskowym głupkiem. Ale zaczął podejrzewać, że Merlin jest także kimś w rodzaju mentora czy doradcy. Najbardziej radykalne wynalazki, które - jak dotąd - pomagały Charisowi utrzymać się na powierzchni pomimo zalewającej go fali wrogów, w rzeczywistości powstały na podstawie „sugestii”, jakie *seijin* podsunął Charisjanom, a ci opracowali je dalej. Baron podejrzewał to wszystko z tego powodu, że sam był jednym z owych pomysłowych Charisjan. Nie kto inny jak baron Zielonej Doliny, jeszcze jako major piechoty morskiej Charisu, odegrał kluczową rolę w rozwinięciu rewolucyjnej techniki stosowanej przez piechotę opierającej się na artylerii i broni skałkowej, które „przypadkiem” stały się faktem w Charisie wkrótce po pojawieniu się niejakiego Merlina. Clareyk ściśle współpracował z *seijinem*, aby osiągnąć ten cel, a od tamtej pory ich

współpraca jeszcze się zacieśniła, zwłaszcza podczas ostatniej kampanii w Corisandzie. W istocie zwycięstwo, które przyniosło baronowi Zielonej Doliny tytuł arystokratyczny (i rycerstwo) oraz przypieczętowało klęskę księcia Hektora, było możliwe wyłącznie dlatego, że Merlin zdradził się przed nim ze swoimi wizjami.

Zatem tak, baron Zielonej Doliny wiedział o Merlinie Athrawesie znacznie więcej niż przeciętny poddany pary cesarskiej. Nie wiedział jednak - i Merlin miał szczerą nadzieję, że nawet się nie domyślał - czym naprawdę jest słynny *seijin*.

*Bardzo bym chciał, aby dopuszczono go do Kręgu, pomyślał nagle Merlin, a co więcej, wiem, że zarówno Cayleb, jak i Sharleyan zgadzają się ze mną w tej kwestii. Właściwie chyba nie mamy innego wyjścia. Utrzymywanie go z dala od wtajemniczonych zwyczajnie nie ma sensu, a poza tym nie przewiduję, aby akurat on miał nam zafundować jakiś kryzys spowodowany obiekcjami natury religijnej.*

Przez tę ostatnią myśl nieomal się skrzywił, jako że przypomniała mu ona faktyczny powód jego wizyty u generała.

- Jego wysokość Cayleb i jej łaskawość Sharleyan przysłali mnie tutaj z kilku powodów - podjął na głos. - Jednym z nich, z wielu względów najważniejszym, jest oczywiście ocena waszych postępów, twoich i księcia Eastshare'a. Poproszono mnie, abym sprawdził to osobiście. Będąc na miejscu i mogąc zadawać pytania, jestem również w stanie podsunąć kilka rozwiązań zaproponowanych przez jego wysokość. Coś takiego byłoby niemożliwe podczas wizji.

- Tak też przypuszczałem - zgodził się baron Zielonej Doliny.

Merlin odnotował w duchu, że generał w żaden sposób nie poczuł się dotknięty pomysłem oceny jego postępów.

- Drugim powodem, właściwie nie mniej ważnym - kontynuował *seijin* - jest kontakt z księciem Eastshareem i możliwość... interakcji z nim.

Tym razem baron Zielonej Doliny tylko skinął głową. Merlina zbytnio to nie zdziwiło - Clareyk zawsze był bystry i taktowny. Rozumiał więc, że Merlin nie może powiedzieć mu wprost: „Ich cesarskie moście chcą, abym sprawdził, czy Eastshare zdradził”.

Dobra wiadomość była taka, że zdaniem *seijina* książę Eastshare raczej na pewno nie był zdrajcą. Ale była też zła wiadomość: Merlin przy całej swojej przewadze mógł być tego tylko „prawie pewien”. A jako że książę był praktycznie wujem cesarzowej Sharleyan, szwagrem niedawno zmarłego księcia Doliny Halbbrooka i jego głównodowodzącym, drugim co do ważności w armii Chisholmu od niemal piętnastu lat, należało mieć co do niego pewność absolutną.

Szczególnie w świetle zdrady księcia Doliny Halbrooka.

- Czy wolno mi zapytać, do jakich wniosków doszedłeś? - zapytał uprzejmie baron Zielonej Doliny. - W skrócie, rzecz jasna. Nie chciałbym, abyś musiał się wdawać w szczegóły na temat jakiegoś szczególnie zasłużonego byłego komandosa, zakładając, że taki by się znalazł, oczywiście, i zawstydzić mnie przesadnymi pochwałami - dodał, co Merlin skwitował parsknięciem.

- Cóż - zaczął *seijin* tonem niemal medytacyjnym - zawsze słyszałem, że niejaka... nazwijmy to... śmiałość stanowi integralną część osobowości każdego żołnierza piechoty morskiej. Nie sądzę, abyś znał przyczynę będącą źródłem podobnej plotki?

- Ja? - Baron Zielonej Doliny zrobił wielkie oczy, zgrywając niewiniątko. - Ja nie jestem żołnierzem piechoty morskiej, Merlinie. Jestem oficerem armii cesarskiej. Nawet mam to gdzieś tutaj na piśmie... Skąd przywoity, uczciwy, skromny oficer armii cesarskiej miałby się znać na żołnierzach piechoty morskiej i na tym, kim się sami sobie wydają?

- Racja - przyznał Merlin. - Sam nie wiem, co mnie naszło, aby zadać ci tamto pytanie.

- Tak też sobie pomyślałem - stwierdził baron Zielonej Doliny nieco ostrzejszym tonem, po czym wziął do ręki butelkę i ponownie dolał Merlinowi do kielicha.

- Cóż, tak czy owak, odpowiadając na twoje pytanie, moje wnioski są raczej pozytywne. - Merlin znowu spowaźniał. - Jeśli mam być szczery, nie zdawałem sobie sprawy, jak dobra jest armia Chisholmu. A powinienem był, zważywszy, jaką rolę odegrała pod rządami króla Sailysa. Nie wspominając o utrzymaniu królowej Sharleyan na tronie... i przy życiu... po śmierci Sailysa. Chodzi mi o to, że dwie trzecie stanu osobowego to weterani kampanii toczonych pod dowództwem Sailysa i że... co oczywiste... Eastshare oraz książę Doliny Halbrooka, skoro już o tym mowa, odwalili kawał porządnej roboty przy szkoleniu i wyposażaniu oddziałów.

Baron Zielonej Doliny wolno kiwał głową z zamyślnym spojrzeniem, a Merlin tymczasem wzruszył ramionami.

- Rzecz jasna ich sprzęt nie był nawet w połowie tak dobry jak to, co my zabraliśmy do Corisandu. ale skoro o tym mowa, nikt tutaj nie dysponuje porównywalną technologią. A ich formacje, podobnie zresztą jak taktyka, są już mocno przestarzałe, co z pewnością sam miałeś okazję zauważyć. Ale to także dość powszechne na Schronieniu. Zważywszy na uzbrojenie, jakim dysponowały wszystkie armie jeszcze kilka lat temu, chłopcy księcia Eastshare'a mieliby spore szanse na obronę swoich terytoriów przed każdą z kontynentalnych potęg, a kto wie, czy nie wygraliby w bezpośrednim starciu. Może z wyjątkiem Siddarmarku.

Teraz to baron Zielonej Doliny prychnął pogardliwie. Armia Hiddarmarku cieszyła się sławą - całkiem zasłużenie zresztą - najskuteczniejszej potęgi militarnej na Schronieniu. Jeśli chodzi o siły lądowe, rzecz jasna. Republika nie dysponowała bowiem flotą, oddając panowanie na morzach - i to na długo przed tym, nim Merlin pojawił się w Tellesbergu - marynarce Wojennej Charisu. Wszędzie jednak tam, gdzie tylko falangi pikinierów mogły rozwinąć szyk, wróg musiał uznać ich wyższość. To tłumaczyło łatwość, z jaką Siddarmark dokonywał kolejnych podbojów, prąc w ciągu ostatnich z górą stu pięćdziesięciu lat na południe, w kierunku imperium Desnairu. Marsz ten powstrzymał dopiero podpisany w roku 869 traktat silkiański, w którym Rycerze Ziem Świątynnych ustalili nienaruszalność aktualnych granic księstwa Wielkiego Silkiahu.

Silkiah pozostał nominalnie niezależny, aczkolwiek jego władca musiał odprowadzać znaczącą roczną kontrybucję. Równie wielkie kwoty jak do Desnairu płynęły rokrocznie do kies Rycerzy Ziem Świątynnych, ale to akurat była powinność każdej domeny Schronienia. Te ostatnie wpływały rzecz jasna nie na konto Rycerzy, tylko Kościoła Boga Oczekiwanego. Podwójny charakter władzy dawał klerowi nieuczciwą przewagę nad pozostałymi domenami, niemniej było też kilka minusów tej sytuacji. Zwłaszcza teraz. Rycerze Ziem Świątynnych od bardzo dawna byli poirytowani obecnością tak silnej armii tuż u ich granic i dlatego na przestrzeni ostatniego stulecia wielokrotnie wykorzystywali swoje pozycje jako wikariuszy Kościoła, by pilnować, aby kolejny lord protektor nie miał zbyt wygórowanych ambicji. Traktat silkiański był jednym z wielu jaskrawych przykładów takiej ingerencji. Tego rodzaju naciski nie pomagały w utrzymywaniu dobrych stosunków Kościoła Matki z Siddarmarkiem, ale też nie spowodowały otwartego poróżnienia obu potęg mimo obaw wielu wikariuszy.

Dzisiaj jednak... gdy supremacja Kościoła została w końcu zakwestionowana, obawy żywione przez kolejnych kanclerzy Rady odżyły, i to z podwójną mocą. Nie istniał wprawdzie żaden dowód na to, że Republika jest skłonna otworzyć się na wpływy Kościoła Charisu, ale to nie powstrzymało Grupy Czwojga - czyli kwartetu najpotężniejszych wikariuszy, którzy samodzielnie zarządzili strukturami Kościoła Matki, przed snuciem podobnych domysłów i zamartwianiem się skutkami takiej fuzji.

*Wiele bym dał, żeby do tego doszło, pomyślał Merlin, nie kryjąc zawiści, ale bez względu na rozmiar urazy, jaką Stohnar żywi do Kościoła Matki, a w każdym razie do Grupy Czwojga, daleko mu jeszcze do uściśnięcia prawicy cesarza Charisu. Nie chodzi tu jednak o to, że odrzuca on oskarżenia o zepsucie rzucane przez Koronę, ani o wiarę w „świętość” motywacji kierujących Grupą Czwojga. Stohnar jest piekielnie pragmatycznym władcą i zdaje sobie sprawę ze znaczenia równowagi sił. Szczerze powiedziawszy, wie o niej więcej niż*



*ktokolwiek inny na Schronieniu. Poza tym uważa, że żaden rozłam pomiędzy Siddarmarkiem i Kościołem Matką nie zyska poparcia społecznego. Muszę przyznać, że pod tym względem niewiele się myli.*

- Najbardziej zaskakuje mnie u Chisholmian to - kontynuował *seijin* - z jaką łatwością i szybkością zaadaptowali się do naszej nowej taktyki.

Spojrzał na barona Zielonej Doliny, unosząc znacząco brew, jakby zachęcał go do skomentowania swojej uwagi.

- To prawda - przyznał jego rozmówca, kiwając głową. - Mam wrażenie, że ich dowódcy chwytają nowe rozwiązania szybciej od naszych. I na pewno nie chodzi tu tylko o to, że pragną zadowolić ich wysokości. Ci ludzie nie kopią naszych rozwiązań, oni starają się dojść do tego, dlaczego wprowadziliśmy konkretne zmiany, i sami szukają dalszych sposobów na zwiększenie ich efektywności.

- Tez odniosłem podobne wrażenie - stwierdził Merlin.

- Szczerze mówiąc, nie zauważyłem nawet śladu tego, czego najbardziej się obawiałem - dodał baron Zielonej Doliny, na co *seijin* zareagował zdziwieniem. - Charis nie posiadał nigdy tak zwanej „armii lądowej”. Stworzyliśmy tak potężną flotę, że nikt nie chciał z nami zadzierać, zwłaszcza że dysponowaliśmy znakomitą piechotą morską, jeśli jednak chodzi o siły lądowe, nigdy się nie liczyliśmy w tym wyścigu. Natomiast tutaj, w Chisholmie, armia istniała od dawien dawna. To ona odebrała władzę najpotężniejszym rodowi i to ona stała się gwarantem stabilizacji, dzięki której oboje, ojciec cesarzowej, a potem ona sama, mogli budować pozycję swojej domeny. Wprawdzie król Sailys rozpoczął budowę floty tak szybko, jak to tylko było możliwe, jako że Chisholm potrzebował solidnej ochrony przed corisandzkimi korsarzami, ale nie osiągnąłby tego celu, gdyby nie wcześniejsze działania jego armii. Tak więc kiedy my, Charisjanie, tak hojnie darzymy naszą marynarkę dumą i podziwem, nie wspominając o smoczej części budżetu, tutaj sprawy miały się zupełnie inaczej. Dlatego obawiałem się, że Chisholmianie mogą odrzucić nasze rady i sugestie dotyczące nowej taktyki. Cóż bowiem banda marynarzy może wiedzieć o prawdziwych uwarunkowaniach walki na lądzie? Sam zadałbym to pytanie, gdybym znalazł się na ich miejscu. Wiem, że wielu naszych kapitanów miałoby ogromne opory przed przyjmowaniem rad od swoich chisholmskich kolegów. Nie mówiąc już o tym, że to nasze oddziały wzięły udział w inwazji na Corisand, podczas gdy armia Chisholmu pozostawała beczynnie na swoim terytorium. To mogłoby być powodem powstania urazy. Tak, wiem, dowództwo armii Chisholmu przyznało, że rozumie naszą argumentację logistyczną. Jest dla niego jasne, że możemy przetrwać na tak wielką odległość tylko określoną liczbą ludzi i zaopatrzenia dla

nich, więc nie zabierzemy ze sobą nikogo, kto nie zna nowej taktyki i nie został odpowiednio przeszkolony w obsłudze nowoczesnych rodzajów broni. Obawiałem się jednak, że mimo wszystkich tych zapewnień będą żywili do nas urazę za to, że zostali potraktowani jak wieśniacy, których zostawia się w zapadłych dziurach, kiedy wielcy panowie idą wojować. Szczerze mówiąc, spodziewałem się takiej właśnie reakcji, i to nie tylko dlatego, że wszyscy jesteśmy tak drażliwi na punkcie naszego honoru. Wiesz równie dobrze jak ja, że prestiż oraz przesadne założenia to dwie z najważniejszych części składowych konstruowania budżetu armii i floty. To w pełni zawodowa armia, prowadzona przez prawdziwych profesjonalistów, Merlinie. Ci ludzie musieli się bać, że pozostawienie ich w domu, podczas gdy ktoś inny przejmuje na siebie cały ciężar walk, może... wpłynąć niekorzystnie na dalszy przebieg ich karier, że tak powiem. Zauważyłem, że niektórzy z tamtejszych biurokratów uważają, że mamy większą władzę i dominującą rolę w imperium, dlatego wydawało mi się całkiem prawdopodobne, że w armii będą przeważały podobne nastroje.

- Wiem - przyznał Merlin. - Też to zauważyłem. To znaczy zachowania chisholmskich biurokratów. Aczkolwiek w obecności cesarza i jego małżonki jakoś mniej chętnie okazywali tę niechęć.

- Naprawdę? Ciekawe dlaczego? - spytał baron Zielonej Doliny, uśmiechając się niewinnie. - Jak już wspomniałem, bardzo martwiła mnie możliwość wystąpienia resentymentów w szeregach tamtejszej armii, po tym jak uniemożliwiono jej wzięcie udziału w kampanii corisandzkiej. Zauważyłem ślady urazy, ale naprawdę niewielkie, dzięki niech będą Langhorne'owi.

- Twierdzisz zatem, że nie wkurzyli się, gdy dodaliśmy im tyle piechoty morskiej? - zapytał Merlin, wpatrując się uważnie w twarz barona Zielonej Doliny.

Człowiek ten mimo stosunkowo młodego wieku - nie przekroczył jeszcze czterdziestki - otrzymał stanowisko dowodzenia oraz związany z tym tytuł szlachecki nie tylko dlatego, że jest dobry w swojej robocie. Trafność jego ocen była równie ważnym kryterium. Teraz baron Zielonej Doliny potrząsnął głową z przekąsem, jakby Merlin zadał mu właśnie pytanie, na które obaj znali wcześniej odpowiedź.

- Nie, nie wkurzyli się - oświadczył. - Po części ze względu na swój profesjonalizm. Wolą doskonalić umiejętności, niż bronić dotychczasowej reputacji. W tym względzie przypominają mi bardzo naszych dowódców floty, jak choćby hrabiego Wyspy Zamek czy barona Skalistego Klifu. Oni są zawodowcami, a dopiero w drugiej albo i trzeciej kolejności primadonnami. To jednak tylko część problemu, jak już wspomniałem. - Baron Zielonej Doliny zmrużył oczy, minę miał także bardziej zaciętą. - O wiele ważniejsze wydaje mi się to,

że spory odsetek dowódców pochodzi z gminu. To chyba jeden z głównych powodów rozsierdzenia tamtejszej arystokracji, jako że cesarz i jego małżonka nie zmienili tej tradycji i nie oddali kontroli nad armią wyższemu stanowi. Dziwienie się temu zakrawa na głupotę choćby dlatego, że głównym priorytetem króla Sailysa i barona Zielonego Wzgórza, oraz księcia Doliny Halbrooma, aby oddać mu sprawiedliwość, było odbudowanie wpływów władcy kosztem szlachty. Po latach zażartych walk nikt przy zdrowych zmysłach nie powierzyłby wojska generałowi wywodzącemu się z tak nielojalnego stanu. Do tego dochodzi jeszcze fakt, że dzięki możliwości awansu każdego żołnierza armia cieszy się ogromnym poparciem wśród pospólstwa. Tutaj, w Chisholmie, armia lądowa pełni tę samą rolę, przynajmniej z punktu widzenia szarego obywatela, jak u nas marynarka wojenna, a do tego jest na tyle młoda i profesjonalna, by zachować pełną elastyczność. - Baron pokręcił głową. - Szczerze powiedziawszy, nie spodziewałem się, że może być aż tak elastyczna.

Merlin przytaknął jego słowom. Podchodził znacznie bardziej optymistycznie niż większość Charisjan, których znał, do chęci opanowania nowej taktyki przez sojuszniczą armię, lecz nawet jego mile zdziwił entuzjazm Chisholmian.

*A baron Zielonej Doliny, pomyślał seijin, lepiej niż ktokolwiek inny rozumie, jaką wagę ma armia, dla tutejszych poddanych imperium.*

Większość Chisholmian popierała ideę połączenia obu królestw (dzisiaj w tych okolicach Charis zwano powszechnie „starym”, aby nie było niedomówień) w nowe cesarstwo, ale niestety nie wszyscy. Część - a zwłaszcza ci, którzy patrzyli na tę kwestię przez pryzmat własnych wpływów - wątpili w szczerść obietnic o równości obu podmiotów. Stary Charis zamieszkiwało o połowę więcej ludzi niż Chisholm, a jego gospodarka była ponadczterokrotnie silniejsza od tutejszej. Manufaktury i kupcy Korony zdominowali lokalne rynki, zanim doszło do zjednoczenia obu domen. Flota kupiecka Charisu królowała na morzach i oceanach, podczas gdy okręty Chisholmu przestały praktycznie istnieć po ich wchłonięciu w struktury potężnej imperialnej marynarki wojennej.

W takiej sytuacji trudno się dziwić, iż część Chisholmian żywiła obawy, że już wkrótce ich domena stanie się przystawką - albo co najmniej drugorzędnym partnerem - w stosunkach wewnątrzpaństwowych.

Cayleb i Sharleyan robili co mogli, by zapobiec takiej sytuacji. Nie sposób przecenić tego, że cesarzowa była traktowana na równi ze swoim mężem i że to ona doglądała powstawania nowego imperialnego parlamentu pod nieobecność młodego cesarza. Ani ustanowienia dwu stolic nowego cesarstwa, których rolę po pół roku na przemian miały pełnić Cherayth i Tellesberg. Dzięki temu zabiegowi ludność Chisholmu mogła mieć

pewność, że charisjański punkt widzenia nie zdominuje prac wspólnego rządu, ponieważ przedstawiciele opcji przeciwnej będą mieli identyczny dostęp do cesarskich uszu.

Uformowanie armii imperialnej miało stanowić kolejne z takich zapewnień. Za czasów króla Sailysa i jego córki władza opierała się na dwóch mocnych fundamentach, a były nimi lojalność armii oraz uwielbienie ludu. Jak słusznie zauważył baron Zielonej Doimy, to właśnie dzięki wojsku, które składało się początkowo z przedstawicieli samego gminu, król Sailys mógł złamać monopol władzy chisholmskich arystokratów. Ta sama armia i jej ślepe posłuszeństwo - nie wspominając o bezgranicznym uwielbieniu - była gwarantem przeżycia nieletniej córki zabitego króla, gdy ta obejmowała po nim tron. Wojskowi nie cofnęli swego poparcia nawet wtedy, gdy ogłaszała decyzję o wyjściu za mąż za Cayleba i stworzeniu imperium.

Sharleyan i jej małżonek byli w pełni tego świadomi, dlatego syn Haarahlda upierał się przy tym, by chisholmscy kupcy mieli zagwarantowany tak samo szeroki dostęp do rynków zarówno wewnętrznych, jak i zagranicznych, a potem wspólnie z żoną zadekretował, że imperialną armią będą dowodzić oficerowie pochodzący z sił zbrojnych Chisholmu. Pośród komandosów piechoty morskiej było wielu takich, którzy protestowali przeciw tym rozwiązaniom (aczkolwiek zdecydowana większość niezadowolonych czyniła to po cichu). Poczucie dumy z przynależności do tak znakomitej formacji połączone z faktem błyskawicznego rozgromienia sił Corisandu zostało mocno urażone tym, że po zakończeniu kampanii piechota morska powróci do pełnienia dawnych funkcji pokładowych we flocie, cedując swoje uprawnienia do walki na lądzie zwykłej armii, do której przejdzie także większość weteranów niedawnych walk.

Tym, którzy byli na tyle zaciętrzewieni, by wypowiadać podobne sądy na głos, szybko przydzielono... inne funkcje i obowiązki.

- Wydaje mi się - odparł *seijin* - że niebagatelne znaczenie miał w tej sytuacji fakt, iż Cayleb i Sharleyan wyrazili się niesłychanie jasno, głosząc, że Charis musi mieć niekwestionowane prawo decydowania w kwestii floty, a Chisholm armii lądowej. Z tego powodu jesteś w tej chwili oficerem armii, a nie floty. Decyzja o wcieleniu tylu żołnierzy piechoty morskiej do armii lądowej przy zachowaniu zwierzchnictwa chisholmskich oficerów nie była łatwa, ale wszystko wydaje się wskazywać na to, że Cayleb i Sharleyan mieli mimo wszystko rację.

- Bez dwóch zdań! - Baron Zielonej Doliny przytaknął znacznie bardziej energicznie niż Merlin przed chwilą. - Oficerowie, z którymi mam zaszczyt współpracować, uważają, iż to najlepszy dowód na to, że ich wysokośći poważnie traktują swoje słowa na temat

organizacji sił zbrojnych imperium. Zwłaszcza po... no cóż... - Baron zawiesił głos, jakby to, co miał teraz powiedzieć, było niemal krępujące. *Seijin*, widząc to, uśmiechnął się pod nosem.

- Chciałeś powiedzieć: zwłaszcza po tym, jak głównodowodzącego tych sił przyłapano na pomocy lojalistom Świątyni w zamordowaniu albo przynajmniej porwaniu Sharleyan?

- Tak, owszem - przyznał baron, po czym pokręcił lekko głową. - I nie ma się co dziwić. Na ich miejscu też doszedłbym do wniosku, że Korona może mieć spore wątpliwości co do lojalności armii. Zwłaszcza że księżę Doliny Halbrooka był niezwykle popularny, i to nie tylko w kadrze oficerskiej, ale też wśród szeregowych żołnierzy. To on stworzył tę armię, Merlinie. Ukształtował ją, dowodził nią w najważniejszych bitwach i prowadził podwładnych do zwycięstwa w każdej kampanii. Nic więc dziwnego, że ludzie ci zastanawiają się teraz, jak Korona zareaguje na wieść, iż nie może na nich polegać. Wielu żołnierzy przyjęło działania księcia z ogromnym wstydem. Oni sami nie zrobili niczego złego, ale to przecież ich dowódca, więc uważają, że część winy za tę zradę spada także na nich, plamiąc ich honor.

- Wiem, o czym mówisz - mruknął Merlin, robiąc kwaśną minę.

*Ale problem polega na tym, że przynajmniej część oficerów podziela wątpliwości księcia. Jak choćby hrabia Swayle.*

Barkah Rahskail, hrabia rzeczzonego Swayle, był stosunkowo młodym człowiekiem, miał dopiero trzydzieści siedem lat. Dorównywał wzrostem Merlinowi, co było wyczynem wśród mieszkańców Schronienia. Był w dodatku niezwykle przystojny, z kędziorami ciemnych włosów, brązowymi oczyma i lekko śniadą karnacją. W dawnych czasach, gdy Merlin Athrawes był jeszcze Nimue Alban, z pewnością bliżej by się nim zainteresował.

Poza tym hrabia należał do najzagorzalszych lojalistów Świątyni. Ukrywał te przekonania zrećniej niż kilku jego kolegów, nie wyłączając księcia Doliny Halbrooka, ale Merlin nie miał żadnych wątpliwości co do jego przekonań. Nie wiedział tylko, gdzie znajduje się granica lojalności tego człowieka. Czy odraza, jaką żywi do apostatów i heretyków z Kościoła Charisu, oraz hańba, jaką został okryty uwielbiany przez niego dowódca, wystarczą, by sam zaczął spiskować? Czy raczej zwycięży długoletnie przywiązanie do rodu Taytów - rzecz niezwykła w kręgach chisholmskiej arystokracji - oraz przysięga składana po wstąpieniu do królewskiej armii?

Merlin obawiał się, że nie odgadnie tego, dopóki hrabia nie wykona ostatecznego ruchu. Na razie jednak siedział cicho, a Sharleyan i Cayleb nie mieli zwyczaju karania człowieka za to, co mógłby uczynić.

Co zresztą pasowało Merlinowi Athrawesowi.

*Mam oko na wszystkich, którzy wedle mojej wiedzy dzielili choć w części poglądy*

*starego księcia, przypomniał sobie. A Sharleyan i Cayleb, choć nie zamierzają uderzyć na nikogo, dopóki ten ktoś nie powieli błędu księcia Doliny Halbbrooka, nie zawahają się zadać ciosu, jeśli zajdzie taka potrzeba. Dobrze chociaż to, że lojaliści Świątyni wydają się dzisiaj w zdecydowanej mniejszości.*

- A księżę Eastshare? - zapytał *seijin*. - Co on, twoim zdaniem, sądzi o tym wszystkim?

- Chcesz, Merlinie, abym wypowiadał się na temat mojego przełożonego? - zapytał baron Zielonej Doliny z nieoczekiwaną twardością w głosie, marszcząc przy tym groźnie czoło. - Rozumiem powody twojego zaniepokojenia, ale powiem szczerze, wątpię, abym był najodpowiedniejszą osobą do wygłaszania sądów dotyczących lojalności jego łaskawości wobec Korony.

*Seijin* uniósł brew, okazując zaskoczenie. Otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz zaraz zamknął je bez wypowiedzenia choćby słowa.

Postawa barona powiedziała mu wiele na temat lojalności księcia. Zwłaszcza że nigdy wcześniej nie obawiał się konsekwencji, jakie mogłyby go czekać ze strony tak potężnego szlachcica, gdyby jakimś cudem dotarły do niego krytyczne treści wypowiedziane przez podwładnego.

*Widzę, że nasz przyjaciel żywi ogromny szacunek dla księcia, pomyślał Merlin. A nie szanowałby go w takim stopniu, gdyby miał jakiegokolwiek wątpliwości co do jego oddania, bez względu na elastyczność księcia w sprawach zawodowych. Zatem w tym przypadku odmowa odpowiedzi wydaje się odpowiedzią.*

- Rozumiem, mój panie - odparł *seijin* bardziej formalnym tonem niż zazwyczaj podczas rozmów z baronem Zielonej Doliny. Jego interlokutor przyglądał mu się przez chwilę, a potem skinął ledwie zauważalnie głową i natychmiast się rozchmurzył. - Więc powiadasz, że generalnie jesteś usatysfakcjonowany? - kontynuował Merlin już bardziej konwersacyjnym tonem, na co baron Zielonej Doliny ponownie skinął igłową. Tym razem bardziej zdecydowanie.

- Generalnie, że tak powiem, jestem usatysfakcjonowany. Chciałbym jednak, podobnie jak księżę Eastshare, abyśmy mieli w kadrze więcej ludzi z piechoty morskiej, obaj jednak rozumiemy, dlaczego ich wysokości pozostawiły generałowi Chermynowi tak duży garnizon w Corisandzie. Życzyłbym sobie także, aby w Chisholmie jak najprędzej powstały nowe rusznikarnie i odlewnie dział, aczkolwiek zdaję sobie sprawę, że nie ma tutaj wystarczającej liczby doświadczonych rzemieślników. Dobrze i to, że otrzymaliśmy już kilka pierwszych transportów broni ze Starego Charisu, więc nie wszyscy chłopcy muszą ćwiczyć z

kijami od mioteł. Na plus mogę również zaliczyć, prócz tego wszystkiego, o czym wspomniałem wcześniej, że stary książę wie o wiele więcej o wojowaniu na lądzie niż ja, a racz pamiętać, że jestem człowiekiem, który opracował nową taktykę piechoty. - W tym miejscu prychnął głośno. - Słuchają mnie z uwagą tylko dlatego, że w odróżnieniu od nich miałem okazję wojować przy użyciu nowych rodzajów broni. Prawda wygląda jednak tak, że już zdążyli wytknąć mi wiele niedociągnięć w pomysłach, i to nie tylko tych dotyczących rozwiązań taktycznych. Dysponują ogromną wiedzą logistyczną, dzięki czemu mogą dodatkowo udoskonalić wprowadzane zmiany. W niektórych przypadkach nawet bardzo udoskonalić.

*Dobrze to o tobie świadczy, mój panie, że nie tylko potrafisz dostrzec prawdę, gdy masz z nią do czynienia, ale jesteś w stanie przyznać się do błędów, i to przed innymi, a nie tylko w duchu, pomyślał Merlin.*

- Sądziś zatem, że mogę wracać do Cherayth i powiadomić ich wysokości, iż wielki projekt integracyjny przebiega zgodnie z planem? - zapytał *seijin*.

- Tak - odparł natychmiast baron Zielonej Doliny, spoglądając w szafirowe oczy kapitana gwardii, dając mu jasno do zrozumienia, na jak wielu poziomach odpowiada. - Tak. Myślę, że możesz im powiedzieć, iż wszystko idzie jak trzeba.

### .III.

#### PAŁAC KRÓLEWSKI

#### TALKYRA

#### DELFERAHK

- Czego oni chcą naprawdę, Phylipie?

Irys Daykyn przemawiała spokojnym tonem, spoglądając ponad pustą zastawą po obiedzie na swego prawnego opiekuna. Jej odziedziczone po matce piwne oczy były ciemniejsze, niż sugerowałoby przyćmione światło lamp.

- Głównie tego, o czym mówią, wasza wysokość. - Phylip Ahzgood, hrabia Corisu, wzruszył ramionami. - Aczkolwiek nie wątpię, że chodzi im o coś więcej, aniżeli wyartykułowali do tej pory. Ale czym jest owo „więcej”, mogę tylko zgadywać, podobnie jak wasza wysokość. Nasze przypuszczenia w tej mierze są równie trafne - dodał szczerze. Irys Daykyn może i miała zaledwie siedemnaście lat (czyli była niespełna szesnastolatką wedle

rachuby czasu na kolebce ludzkości, Ziemi), lecz znacznie odbiegała od swych rówieśników. A nawet od innych siedemnastoletnich księżniczek. - Nie wydaje mi się jednak, aby wystosowali... zaproszenie dla mnie z powodu szczególnej troski o los Daivyna - powiedział uszczypliwie hrabia Corisu. Gdyby nie byli sami, nie pozwoliliby sobie na to w odniesieniu do Grupy Czworoga, wszakże Irys tak samo jak on nie miała złudzeń co do tego kwartetu. - Zarazem - kontynuował mężczyzna, który przez wiele lat z rzędu był szefem wywiadu księcia Hektora - sądzę, że mogłoby być znacznie gorzej. Przynajmniej nie upierają się przy tym, abym zabrał was ze sobą.

- Po co mieliby sobie zawracać głowę mną, nawet abstrahując od ich pobudek?

Rysy twarzy Irys stwardniały, a hrabia Corisu niemal wbrew sobie pokiwał głową. Jego ostatnia kwestia miała choć trochę rozluźnić atmosferę, lecz porażka w tym względzie niespecjalnie go zdziwiła. Podobnie jak Irys zdawał sobie bowiem sprawę, że w oczach Grupy Czworoga księżniczka nie przedstawia większej wartości. Jej młodszy brat Daivyn był prawowitym następcą tronu książęcego w Corisandzie - uznawanym także przez Cayleba i Sharleyan - nawet jeśli obecnie przebywał na wygnaniu. Ale Irys? Irys się nie liczyła. Grupa Czworoga nie przypisywała jej żadnego znaczenia, nie widziała w niej choćby pionka na szachownicy polityki, i z pewnością nie zamierzała się przejmować, co myśli jakaś tam księżniczka na wygnaniu, zdana całkowicie (przynajmniej zdaniem niektórych) na łaskę i niełaskę skąpych krewnych.

Między innymi dlatego Phylip Ahzgood wyrażał się uszczypliwie o członkach Grupy Czworoga, którzy w jego mniemaniu okazali się głupcami - bez względu na to, za jak mądrych sami się uważali.

Hrabia Corisu był jednak świadom, że to może się zmienić w każdej chwili, gdy członkowie Grupy Czworoga pójdą po rozum do głowy i pojmą swój błąd. *Co będzie dla nich dość bolesne*, dodał w myślach z mściwą satysfakcją.

Natomiast odpowiadając na pytanie księżniczki, rzekł:

- Obawiam się, że wasza wysokość ma rację, oczywiście patrząc z ich perspektywy. Co jednak bynajmniej nie podważa mojej opinii. Gdyby Daivyn figurował w ich planach, nalegaliby, abym go zabrał ze sobą.

Pomimo szczerzego uczucia, którym darzyła swego „opiekuna”, i pomimo własnych trosk Irys nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Oczywiście w słowach Phylipa nie było nic zabawnego - taka podróż na odległość niemal dziewięciu tysięcy mil to nie igraszka nawet w środku lata. Tymczasem zbliżała się zima i przedsięwzięcie musiało być nieprzyjemne choćby z tego powodu, pomijając już wszystko inne. A przecież to, co czekało hrabiego Corisu u



celu, nie było wcale pewne i mogło okazać się bardzo niebezpieczne.

- Zatem twoim zdaniem nie chodzi tylko o trudy podróży? - zapytała, w zawołany sposób dając do zrozumienia, że martwi się o niego.

- Nie. - Hrabia potrząsnął głową i zacisnął wargi w wąską kreskę. - Duchairn może by się tym przejmował, zważywszy na wiek chłopca. Nawet Trynair mógłby się zastanowić dwa razy, pamiętając o potencjalnym znaczeniu Daivyna. Wątpię jednak, aby Magwairowi starczyło wyobraźni, by przewidzieć skutki wleczenia dziewięciolatka przez głębokie śniegi. Co do Clyntahna zaś...

Hrabia Corisu urwał, a Irys automatycznie skinęła głową. Zahmsyn Trynair był najokrutniejszym i najbardziej wyrachowanym kanclerzem, jakiego Kościół Boga Oczekiwanego wydał na przestrzeni dziewięciu długich stuleci od Stworzenia. Traktował więc Daivyna Daykina raczej jako potencjalnego pionka w swojej grze aniżeli małego chłopca, który niedawno utracił ojca wskutek brutalnego morderstwa. Ze wszystkich raportów wynikało też jasno, że Aliayn Magwair, dowódca wojsk Kościoła Matki, ma tyle pomysłu co stary kalosz. Spodziewanie się po nim troski o Daivyna byłoby nie tylko naiwne, ale i daremne.

No i ten Zhaspyr Clyntahn. Irys, podobnie jak hrabia Corisu, była przekonana, że wielki inkwizytor popatrzyłby pustym wzrokiem na każdego, kto miałby dość śmiałości, aby choć zasugerować, że należy się przejmować dobrostanem Daivyna.

- Gdyby w swoich kalkulacjach zakładali jakąś zmianę dotyczącą Daivyna, najprędzej chcieliby go widzieć w Syjonie, dzięki czemu mieliby go pod ręką - podjął rozważania hrabia Corisu. - Skoro już o tym mowa, Clyntahn mógłby zechcieć wykorzystać okazję do... wywarcia na chłopcu wrażenia, że znalazł się w centrum zainteresowania wikariuszy. - Phylip Ahzgood pokręcił głową. - Nie. Nadal skłaniam się ku teorii, że wiadomość Trynaira nie zawiera żadnych podtekstów. Wikariusze chcą mieć pewność, że rozumiem ich plany względem małego księcia. I oczywiście zamierzają mnie wypytać o moją ocenę sytuacji w Corisandzie.

Przez mgnienie oka Irys miała taką minę, jakby zamierzała splunąć, za co hrabia Corisu nie mógł jej winić.

- Jestem pewien, że mają lepsze źródła niż ja... niż my - poprawił się szybko. - Albo przynajmniej że raporty docierają do Syjonu szybciej niż do nas. Niemniej cała ich wiedza na temat Corisandu pochodzi z drugiej ręki, w najlepszym razie, cóż więc z tego, że wymiana informacji jest szybsza. Nie dziwi mnie więc, że chcą skorzystać z wiedzy doradców twego ojca.

- Masz na myśli bardzo konkretnego z jego doradców... - Wargi Irys zadrżały w przelotnym uśmiechu. - Teraz, po śmierci mojego ojca, bez wątpienia będą chcieli się dowiedzieć, jakie nastroje panują w Corisandzie po zamachu Cayleba.

Tym razem hrabia Corisu tylko skinął głową. Irys Daykyn dorastała na jego oczach. Po prawdzie, czego nie omieszkał jej powiedzieć przy paru okazjach, nieraz był świadkiem, jak zmieniano jej pieluchę. Wiedział więc doskonale, jak blisko była ze swoim ojcem i jak odebrała jego nagłą śmierć. Chociaż starał się przedstawić jej inne możliwości, zdawał sobie sprawę, kogo Irys obwinia o śmierć Hektora.

Podejrzenia Phylpya były nieco odmienne. Jednakże przedstawienie ich Irys niosło pewne zagrożenia, zwłaszcza dla jej osoby.

- Tak, to na pewno jeden z tematów, jakie zechcą poruszyć - przyznał. - W każdym razie można mieć nadzieję, że zamierzają pozostawić ciebie i Daivyna tutaj, w Talkyrze, pod opieką króla Zhamesa, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Podróż do Syjonu zabierze mi co najmniej dwa miesiące, a trudno powiedzieć, jak długo zechcą mnie tam zatrzymać. Jako że nie podejrzewam, aby ich zamiarem było rozłączenie mnie i Daivyna czy odesłanie go gdzieś indziej beze mnie w roli opiekuna, mogę przypuszczać, iż zakładają jego pięcio- albo nawet sześciomiesięczny pobyt tutaj. Niewykluczone, że dłuższy...

- Nie będę udawać, że mnie to jakoś specjalnie martwi - westchnęła Irys i potrząsnęła głową. - Nikomu z nas nie podoba się tutaj, ale Daivynowi potrzebna jest, odrobina stabilizacji. Musi побыć trochę w jednym miejscu, Phylpyie, aby zasklepiły się jego wszystkie rany.

- Wiem. - Hrabia Corisu sięgnął ponad białem i delikatnie poklepał księżniczkę po wierzchu lewej dłoni. - Wiem. Zrobię co w mojej mocy, aby zrozumieli i to.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpiwości. - Irys uśmiechnęła się, próbując ukryć dręczącą ją obawę.

Dobrze znała Phylpya Ahzgooda. Pomimo łatek przyklejonych mu przez niektórych wiedziała, że zawsze był lojalny wobec jej ojca, a ona sama ufała mu bezgranicznie. Przesadnie, jak czasami myślała. Nie dlatego jednak, by dopuszczała możliwość, że kiedykolwiek zawiedzie pokładane w nim zaufanie, lecz z powodu tego, co zawsze powtarzał jej ojciec: nikt, kto zasiada na tronie bądź wspiera tego, kto na nim zasiada, nie może sobie pozwolić na to, by zaufać komukolwiek bez granic.

Wszelako nie bez przyczyny jej własny ojciec wyznaczył na opiekuna młodego księcia i księżniczki właśnie hrabiego Corisu. Po części wynikało to z tego, że przynajmniej w wypadku Phylpya Ahzgooda on sam nie posłuchał rady zakazującej nadmiernie ufać

drugiej osobie.

*I z tego samego powodu, Phylipie, ciągnęła w myślach Irys, postarają się nas rozdzielić, jeśli tylko to zrozumieją. Na razie być może wciąż wierzą w te historie rozpowszechniane przez ojca i ciebie pospołu o twych rzekomych ambicjach i niskich pobudkach. Ale kiedy pojmą, wobec kogo jesteś lojalny i że nie zamierzasz raz-dwa poświęcić Daivyna w imię własnej korzyści ani nawet układać się z nimi, staniesz się ciężarem, nie cennym nabytkiem. A gdy to już nastąpi, Trynair i Clyntahn nie będą się wahać ani chwili przed ogłoszeniem nas - a przynajmniej Daivyna - podopiecznymi Rady Wikariuszy.*

Spojrzała ponad stołem na swego opiekuna i przez moment badawczo się przyglądając wyrazowi jego twarzy rozjaśnionej światłem lampy, poczuła się tak młoda, za jaką ją miał cały świat. I pożałowała, że wyrosła już z lat, kiedy mogła bezkarnie wspiąć mu się na kolana, przyłożyć głowę do jego ramienia i pozwolić się ukołysać do wtóru obietnic, że nie ma się czego bać i wszystko będzie dobrze.

Nic nigdy nie miało już być „dobrze”, o czym Irys doskonale wiedziała.

*Nie pozwól, aby mi cię odebrali, Phylipie, dodała w myślach. Cokolwiek się wydarzy, nie pozwól im na to.*

## **.IV.**

**MANCHYR**

**CORISAND**

*CORISANDCZYCY!*

*MIESZKAŃCY MANCHYRU!*

*Krew waszego zamordowanego władcy płacze z murów tego miasta! Buciory niewolników i lokajów potwora, który przelał tę krew, maszerują po ulicach waszego miasta! Głosy odszczepieńczych księży odzywają się w waszych świątyniach! Obrońcy prawdziwej wiary są zmuszani do milczenia i życia w ukryciu!*

*Jak długo jeszcze będziecie znosić te obelgi? Te afronty czynione waszemu bogu i wam samym? Jak długo jeszcze...*

Paitryk Hainree zmarszczył brwi, skupiając wzrok na wierszowniku i układanej w nim

linii tekstu. Jako jubiler był całkiem dobrym grawerem, ale coraz częściej dochodził do wniosku (co go jednak zupełnie nie zaskakiwało), że pomiędzy jego dawnym zawodem a zecerstwem ziele ogromna przepaść. Na przykład wciąż miał problemy z czytaniem lustrzanych odbić liter. Nie mylił się wprawdzie przy wybieraniu kolejnych, pojedynczych czcionek z przegródek na warsztacie (aczkolwiek musiał się im dokładnie przyglądać za każdym razem, gdy wyciągał dłoń) i z czasem pojął, jak je układać na wierszowniku, by tworzyły pożądane słowa, ale jego mózg wciąż odmawiał czytania całych zdań w takiej formie. Paitryk zauważył też, że umysł płała mu figle, zmuszając przy każdym braku koncentracji do układania literek od lewej do prawej, a nie odwrotnie.

Nie były to jednak przeszkody, których nie potrafiłby pokonać, ponieważ oprócz ogromnych różnic dostrzegał także kilka podobieństw do fachu jubilerskiego. Od dziecka uwielbia dłubaninę, pracę z metalami, doskonalenie koordynacji oka i ręki. Druk polegał na czymś zupełnie innym, ale także był dziedziną sztuki. Ku swojemu ogromnemu zdziwieniu Hainree zauważył, że ta część jego osobowości, która za nic nie zgodziłaby się na pełnienie roli ulicznego agitatora, bez oporów pozwalała mu na funkcjonowanie w podziemnej drukarni.

Sięgnął po kolejną literkę, tym razem jednak nie był już tak skupiony, jego umysł zdryfował na inny problem. Ulotki, które drukował w dobrze ukrytej piwnicy, zostaną rozpowszechnione przez sieć oddanych posłańców. Następnej nocy zaś zostaną rozrzucone po całym mieście, dając zajęcie oddziałom straży - które niechybnie zajmą się ich niszczeniem - aż do białego rana. Nie wszyscy ze strażników będą zadowoleni z otrzymanych rozkazów - tego akurat Hainree był pewien - ale wykonają je. Rada regencyjna i ten zdradziecki drań Gahrvai zadbają o to, by nie było śladów nieposłuszeństwa!

Paitryk zauważył, że na tę myśl zacisnął mocno zęby, i natychmiast spróbował się uspokoić. Udało mu się, aczkolwiek dopiero po chwili, w każdym razie znów mógł zaczerpnąć głęboko tchu. Jedna myśl o sir Korynie wystarczała, by podnieść mu ciśnienie. Porażka, która go spotkała z rąk Cayleba Ahrmahka i jego armii, musiała świadczyć o ogromnej niekompetencji. Co prawda, w rzadkim przyływie dobrego humoru Hainree był w stanie przyznać, że Koryn mógł mieć po prostu ogromnego pecha albo że Shan-wei osobiście zadbała o swoich. Za nic jednak nie wybaczy sir Korynowi, że ten zgodził się objąć dowództwo nad siłami, których zadaniem było ustanowienie władzy Ahrmahków nad Corisandem. Ta kwestia rodziła pytanie: Czy naprawdę chodziło o pecha albo niekompetencję czy może raczej o coś bardziej złowieszczonego. Kto zaręczy, że nie było cichego porozumienia pomiędzy nim a najeźdźcami?

Czy zdradził Corisand i ród Daykynów już po tej porażce... czy na długo przed nią?

Zazwyczaj Paitryk wierzył w to, że obecne zachowanie sir Gahrvaia jest wyrazem jego oportunistycznego po kłęsce, którą poniósł, a nie dowodem wcześniejszej zdrady. Zdawał sobie bowiem sprawę i nie potrzebował do tego podszeptów ojca Aidryna - że oskarżenie sir Koryna albo jego ojca o spiskowanie wspólnie z Caylebem byłoby... przedwczesne. Za jakiś czas jego nastawienie mogło ulec zmianie, zwłaszcza gdy rozgorzeją na dobre debaty na temat tego, kto wynajął zamachowców, którzy pozbawili życia księcia i jego starszego syna. Hainree nie miał żadnych wątpliwości, że za skrytobójstwem stoją ci, którzy najwięcej na nim skorzystali. A jeśli poskładać wszystko do kupy, to właśnie tak zwana rada regencyjna rządząca księstwem z woli Cayleba była największym beneficjentem tego czynu. Ludzie ci mogli nazywać siebie doradcami księcia Daivyna, lecz przecież i tak wszyscy wiedzieli, przed kim odpowiadają... nie mówiąc już o tym, że nie tylko ocalili głowy po przegranej, ale też wyszli z niej dysponując o wiele większą władzą.

*Nawet uległość całego parlamentu nie może się z tym równać*, pomyślał Hainree, zerkając na wierszownik. Jego zdaniem Izba Lordów nie miała szans na przeciwstawienie się woli Ahrmahków, których reprezentowała na tych ziemiach wspomniana rada, z wicekrólem, generałem Chermynem, na czele i wspierającymi go sześćdziesięcioma tysiącami charisjańskich żołnierzy okupujących terytorium Corisandu. Chermyn miał dwadzieścia tysięcy ludzi w samym Manchyrze. Wszyscy zdawali sobie sprawę z ich obecności w mieście, mimo że dowództwo starało się nie pokazywać tej siły na ulicach. Członkowie parlamentu także o tym wiedzieli. Nic więc dziwnego, że przegłosowywali każdą ustawę zaproponowaną przez sługusów Cayleba.

Z drugiej jednak strony istniał spory rozróżnienie między tym, za czym głosowali ci ludzie, a tym, co naprawdę robili. Z raportów wynikało niedwuznacznie, że parlament może być lada chwila rozwiązany, a wszyscy posłowie odesłani do domów pod czujnym okiem okupantów. Ciekawe, co stanie się później. Paitryk wiedział, że szkielet, na którym oprze się ruch oporu, został już utworzony właśnie tutaj, w Manchyrze, a ludzie z organizacji, z którymi miał kontakt, twierdzili zgodnie, że to samo dzieje się na prowincji. Pozostawało tylko wyposażyć ów kościec w silne mięśnie i inne tkanki - na to wszakże patrioci mieli jeszcze czas. Ale to jeszcze nie wszystko. Z tego, co wyczytał między wierszami, wynikało niezbicie, że spiskowcy zdążyli nawiązać kontakty z wieloma członkami parlamentu. Zasiano już zatem dyskretnie ziarno, które we właściwym czasie wyda odpowiedni plon.

Na razie jednak Paitryk Hainree musi kultywować i doglądać swego własnego spiskowego poletka tutaj, w stolicy.

\* \* \*

Hainree był tak skupiony na swojej pracy, że nie dostrzegł miniaturowego urządzenia unoszącego się dyskretnie tuż pod sufitem w kącie jego piwnicy. Ryzyko zauważenia tego szpiega byłoby minimalne, nawet gdyby drukarza nie pochłaniało obsługiwanie prymitywnej prasy. Urządzenie było bowiem tak mikroskopijne - choć wcale nie najmniejsze w arsenale Merlina - że gdyby ktokolwiek wyjaśnił Paitrykowi, do czego służy i co potrafi, ten z pewnością uznałby każde słowo za bredzenie chorego umysłu.

Myliłby się jednak, i to srogo, ponieważ jeszcze tego samego wieczoru w odległym Cherayth pewien cesarski gwardzista o groźnie nastroszonym wąsie i schludnie przystrzyżonej brodzie, leżąc wygodnie na plecach z zamkniętymi oczyma i gładząc ostrożnie długą bliznę na policzku, obserwował z uwagą przekaz, który docierał do niego dzięki tej właśnie miniaturowej platformie szpiegowskiej.

*Chyba powinienem złożyć wizytę mistrzowi Hainreemu, pomyślał Merlin Athrawes, nie otwierając nawet oczu. On i jego przyjaciele zaczynają się za bardzo organizować jak na mój gust. Z drugiej jednak strony dzięki jego działalności jesteśmy w stanie stworzyć bardzo dokładny spis osób zamieszanych w spisek. Szkoda tylko, że nie możemy powiadomić o nim naszych ludzi stacjonujących w Corisandzie. Nawet ja nie mogę wszystkiego, choćbym bardzo chciał.*

Zrobił kwaśną minę na tę myśl, wiedząc niestety, że to czysta prawda. Nie podobało mu się, jak wiele czasu muszą poświęcać temu projektowi - on, Sowa, Cayleb i Sharleyan - lecz był pewien, że rozesłanie tylu SAPK-ów po stolicy Corisandu jest bardziej niż konieczne. Gdy tylko identyfikowano kolejnego spiskowca, przypisywano mu jedno z miniaturowych urządzeń szpiegujących, którego zadaniem była permanentna całodobowa obserwacja celu. Jak się okazało, struktury siatki nie były wcale tak bardzo skomplikowane. Aidryn Waimyn - to była osoba, z którą Merlin naprawdę chciał zamienić słówko - robił co mógł, by stworzyć sieć niepowiązanych ze sobą komórek, przynajmniej na szczycie całej organizacji. Miał jednak to nieszczęście, że musiał korzystać z tych zasobów, jakie mu pozostały, a część... kandydatów była aż nadto oczywista. Mieli oni więcej zapалу niż wyszkolenia. Z tego co Merlin zdążył zauważyć, tylko kilku agentów pracujących dla hrabiego Corisu zostało wciągniętych do spisku Waimyna.

*Oczywiście możemy tylko zgadywać, kiedy to się zmieni...* - uznał po chwili zastanowienia.

Były momenty, gdy Merlin czuł ogromną potrzebę wskoczenia do skimmera i odbycia lotu do Manchyru, gdzie mógłby osobiście zlikwidować Waimyna. To nie byłoby zbyt trudne

zadanie. Szczerze mówiąc, okazałoby się raczej dziecinnie proste, a zważywszy na okoliczności, wykonałby je z prawdziwą rozkoszą. Niestety, musiał zastosować metody charakterystyczne dla króla Kanuta, jeśli chciał uniknąć stałego pobytu na terytorium Corisandu i nieustannego uganiania się za kolejnymi przywódcami spiskowców. Nie zależało mu bowiem na pozbawieniu spiskowców zorganizowanego przywództwa. Pozostawienie ojca Waimyna na swoim miejscu opłacało mu się znacznie bardziej mimo jego irytującej przedsiębiorczości i kompetencji. Jedna siatka była bowiem łatwiejsza do kontrolowania niż wiele drobnych organizacji. Niewykluczone, że w przyszłości to się zmieni, niemniej dzisiaj wolał znać miejsce pobytu wszystkich przywódców spisku: gdzie ich znajdzie, jeśli przyjdzie na to pora, oraz co tymczasem planują i jakie informacje przesyłają swoim podwładnym. Rozbicie siatki na tym etapie z pewnością pozbawiłoby ją efektywności, ale za cenę powstania niekontrolowanego przez nikogo masowego ruchu oporu, którego nie dałoby się monitorować tak jak teraz. Nie mówiąc już o likwidacji, gdy przyjdzie pora na bardziej zdecydowane działania.

*Szkoda tylko, pomyślał, skupiając się na powrót na przekazie z SAPK-a, że narobią tyle szkód, zanim nadejdzie ten moment.*

\* \* \*

- Wiem, że są jak wrzód na dupie - zagrział Hauwyl Chermyn, stając z założonymi za plecy rękoma przed oknem swojego gabinetu i spoglądając na kurtynę deszczu. - Szczerze mówiąc, mam ogromną ochotę na rozstrzelanie każdego, kogo wykryjemy!

Brygadier Zhoel Zhanstyn, dowódca trzeciej brygady cesarskiej piechoty morskiej Charisu, spojrzał w kierunku przełożonego, uśmiechając się pod nosem. Było w tym grymasie sporo uczucia, aczkolwiek dało się też zauważyć ślady rozbawienia oraz - co może było mało widoczne - irytacji. Ta ostatnia związana była raczej z aktualną sytuacją niż osobą wicekróla.

*Jeśli staruszek potrzebuje słuchacza, przed którym wyleje wszystkie swoje żale, jestem chyba najodpowiedniejszym kandydatem, uznał Zhanstyn. Przed nikim innym z pewnością by się tak nie odkrył.*

Każdy oficer na jego miejscu miałby ten sam problem. Połączenie ról dowódcy sił okupacyjnych z funkcją wicekróla reprezentującego majestat cesarza Cayleba i jego małżonki musiało sprawić problemy najwybitniejszym umysłem. A jeśli zważyć na odrazę, z jaką Chermyn podchodził zawsze do polityki, i połączyć to z długim okresem unikania wszelkich kontaktów z dworem, trudno byłoby znaleźć kogoś mniej pasującego do tego zadania.

Na szczęście dla imperium Hauwyl Chermyn nawet przez moment nie myślał o odrzuceniu tej propozycji. Był bowiem, bez względu na własne zastrzeżenia, najlepszym

kandydatem na to stanowisko. Wicekról, a zarazem generał, mógł nie cierpieć polityki i być nieokrzesany (łagodnie rzecz ujmując) w kwestiach dworskich, niemniej nikt nie odważyłby się stwierdzić, że nie rozumie on, na czym polegają jego obowiązki. Nawet wielki głupiec wyczuwał natychmiast jego żelazny upór i takąż stanowczość.

Nie ulegało więc wątpliwości, że zasiadające w tutejszym parlamencie szlachta i gmin także mają tego świadomość. Do tej pory nie znalazł się nikt tak głupi, by zadzierać z wicekrólem. Przynajmniej jawnie. Zhanstyn był jednak pewien, że w wielu domach, za wszelkimi zasłoniętymi oknami, dyskutowano zawzięcie, jakim sposobem można zneutralizować działania Chermyna zmierzające do ustanowienia praw, o których mówił sam cesarz Cayleb tuż przed powrotem do Chisholmu. W tym akurat momencie najmożliwszym panowie tych ziem niewiele mogli jednak zrobić. Wicekról trzymał ich bowiem na krótkim postronku.

Jego zadanie było o tyle proste, że arystokraci, podobnie jak garść najbogatszych członków Izby Gmin, mieli zbyt wiele do stracenia. Z tego powodu musieli zachowywać daleko idącą ostrożność i stronili od jawnego okazywania nieposłuszeństwa, zwłaszcza po tym, jak Chermyn - w prostych żołnierskich słowach - wyjaśnił im, co ma zamiar uczynić z każdym szlachetnie urodzonym, który złamie przysięgę złożoną Koronie. Brak zdolności dyplomatycznych przysłużył mu się dobrze w tym przypadku. Nikt z obecnych na pamiętnej audiencji nie mógł bowiem powiedzieć, że nie zrozumiał choćby jednego słowa, jakie padło z ust wicekróla. Arystokraci nie mogli więc liczyć na skuteczność tłumaczeń, że wszelkie przysięgi składane osobom ekskomunikowanym są z założenia nieważne, gdyby stary generał stanął pod murami zamku zdrajcy, sprowadzając najpotężniejsze działa oblężnicze.

- Wrzód na dupie czy nie - kontynuował tymczasem Chermyn, odwracając się od okna, by spojrzeć na brygadiera - tak musi być. Przynajmniej teraz. - Skrzywił się. - Możesz mi wierzyć, że nie marzę o niczym innym, tylko o schwytaniu przywódców tej cholernej siatki! Jestem więcej niż pewien, że większość tych drani była wodzona za nosy. - Prychnął z pogardą, chociaż zabrzmiało to raczej jak warknięcie. - Czytałem ulotki, podobnie jak ty. Ktoś miesza w naszym kociołku, co do tego nie ma wątpliwości. Jego wysokość miał rację, mówiąc, co zamierzają osiągnąć. I właśnie dlatego nie zamierzam dać im tej satysfakcji.

- Dobrze, sir - poparł go Zhanstyn.

Prawdę powiedziawszy, nigdy nie miał zastrzeżeń wobec metod stosowanych przez wicekróla. Z drugiej strony był pewien, że Chermyn dzieli się z nim tymi uwagami z rozmysłem, chcąc odreagować, zanim nadmiar stresu zrobi swoje.

- Nie możemy pozwolić, aby zrobiono z tych drani męczenników - warczał dalej



wicekról, ponownie odwracając wzrok w kierunku ociekającej wodą tafli szkła. - Moim zdaniem spora część tutejszego społeczeństwa nie będzie się wychylała, jeśli tylko prowokatorzy przestaną ludziom mieszać w głowach. Nie twierdzę bynajmniej, że uda nam się zamknąć pokrywę kotła na stałe. To nie będzie konieczne. Wystarczy, że przytrzymamy ją w takiej pozycji do chwili, gdy rada regencyjna zyska grunt pod nogami. Albo zostanie choć po części zalegitymizowana. Ale te wydarzenia przy katedrze... - znowu się obrócił, spoglądając znienacka w oczy Zhanstyna - ...mogły się paskudnie skończyć. Nie dość, że straciliśmy człowieka, to jeszcze ten twój chłopak, jak mu tam, porucznik Tahlas...? - Zaczekał na potwierdzenie brygadiera, po czym dodał: - Gdyby ten dzieciak zrobił to, na czym zależało spiskowcom, zamiast tylko obić protestujących, dałby naszym wrogom argumenty, na które tak czekają.

- Przedstawiłem porucznika Tahlasa do odznaczenia, sir - wtrącił Zhanstyn, nie kryjąc zadowolenia z faktu, że generał raczył zapamiętać nazwisko młodego oficera. - Zgadzam się w pełni z każdym pańskim słowem. Niemniej musimy mieć świadomość, na czym polega ta gra: oni naciskają coraz mocniej, czekając, aż my stracimy cierpliwość i odpowiemy przemocą. Z drugiej strony powinniśmy też pamiętać o tym, że okazywanie powściągliwości może być potraktowane przez przeciwnika jako przejaw naszej słabości.

- To prawda - przyznał Chermyn z ponurą miną. - Dlatego tak mi zależy na jak najszybszym sformowaniu jednostek sir Gahrvaia. Wolę, aby pierwsze skrzypce w tych starciach grali Corisandzycy, nam pozostawiając tylko drugorzędną rolę. - Wyszczerył zęby w szybkim uśmiechu. - Sądzisz, że domyślili się, jak bardzo nie chcemy ich zabijać?

- W normalnej sytuacji musieliby to zauważyć, sir. Ale tutaj i teraz?... - Brygadier wzruszył ramionami, rozśmieszając starego generała. Chermyn zaraz jednak wyprostował się i wrócił sprężystym krokiem do biurka. Zasiadł w fotelu i wziął do ręki pierwszy z dokumentów leżących na sporym stosie.

- Cóż, tak jak pan przed chwilą zauważył, brygadierze, żyjemy w bardzo niedoskonałym świecie - rzekł. - A skoro tak, czas zająć się naprawianiem niektórych niedoskonałości. Zacznijmy od żądań brygadiera Mylsa. - Postukał palcem wskazującym w leżącą na wierzchu teczkę. - Wydaje mi się, że ma rację, twierdząc, iż za bardzo rozciągnęliśmy jego siły.

- Zgadzam się, sir. - Zhanstyn skrzywił się, wypowiadając te słowa. - Nie uważam wprawdzie, aby miał powody do paniki, ale zgadzam się, że to może być dla niego problem. Niestety wiem też, gdzie zamierza pan znaleźć ludzi, którymi wzmocnimy jego jednostki.

- Jest pan ostry jak brzytwa, jak zawsze - stwierdził Chermyn, uśmiechając się po raz

kolejny, ale tym razem bardziej przyjaźnie. - Proszę zatem śmiało dodać, w których miejscach mogę uszczuplić pańskie siły.

- Dobrze, sir. Wydaje mi się, że jeśli wybierzemy kompanię alfa z drugiego batalionu trzeciej brygady oraz kompanię charlie z pierwszego batalionu czwartej brygady, zyskamy znakomitą mieszankę doświadczenia i entuzjazmu. A jeśli dodamy do tego wszystkiego...

**PAŹDZIERNIK**

**ROKU PAŃSKIEGO 893**

SKIMMER ZWIADOWCZY MERLINA ATHRAWESA

NISKA ORBITA SCHRONIENIA

NAD KOWADŁEM

Cesarzowa Charisu, Sharleyan, była przygotowana na cuda - a w każdym razie tak myślała. Rzeczywistość wszakże przerosła jej najśmielsze oczekiwania, przez co wszelkie przygotowania okazały się daremne.

Siedziała w przedziale pasażerskim skimmera zwiadowczego, z nosem może dwa cale od wewnętrznej przejrzystej powłoki zbrojoplastu, który otaczał całość niczym idealnie przezroczysta bańka, i spoglądała na nocne niebo. Księżyc wisiał wysoko i świecił mocno, przypominając nowiutką, błyszczącą srebrną monetę rzuconą na aksamitną czerń, najgłębszą, jaką Sharleyan kiedykolwiek sobie wyobrażała, i upstrzoną gwiazdami, które o dziwo były jeszcze jaśniejsze niż księżyc. Co więcej, zdawały się świecić równo, bez jednego mrugnięcia. Cesarzowa nigdy przedtem, nawet w najzimniejsze noce, nie widziała gwiazd tak wyraźnych, tak błyszczących, zadrżała więc bezwiednie na wspomnienie słów Merlina.

*Jesteśmy tak wysoko, że nie ma tu powietrza. A przynajmniej jego znaczącej ilości, -* Sharleyan pokręciła głową z niedowierzaniem. Wcześniej nie miała pojęcia, że gwiazdy mrugają dlatego, że patrzy się na nie przez wiele mil powietrza, które rozprasza ich blask. Zawsze sądziła raczej, że potoczne powiedzenie „czysty jak powietrze” należy brać dosłownie, a teraz proszę, przekonała się, że powietrze wcale nie jest tak krystaliczne, jak sądziła.

*A do tego, pomyślała zachwycona, znajdują się daleko ponad nim, na progu tego czegoś, co Merlin nazywa próżnią.*

Doskonale wiedziała, że żaden mieszkaniec Schronienia nigdy nie był na takiej wysokości. Nawet Cayleb, podróżujący tą drogą między Corisandem i Charisem. Spojrzała w dół, daleko w dół, tam gdzie planeta wisiała niczym ogromna kula. Gdzie szczyty chmur, znajdujących się daleko w dole pod skimmerem, zdawały się srebrzysto-czarne, przepływając ponad Kowadłem, ową niespokojną kroplą wody między Chisholmem i wyspą Młot. Z takiej odległości i po ciemku nie była w stanie dojrzeć powierzchni morza, zwłaszcza że korzystała z niewzmacnianych oczu zwykłego śmiertelnika. Ale oczywiście wiedziała, że morze tam

jest, a poza tym wystarczyło odwrócić głowę i przenieść spojrzenie na wyświetlacz, aby zobaczyć rozległy wzburzony przestwór słonej wody, i to w najdrobniejszym szczególe. Merlin pokazał jej, jak obsługiwać to urządzenie, i teraz sterowane komputerowo czujniki radośnie zamieniały w jaskrawe, barwne obrazy wszystko, na co cesarzowa zechciała zwrócić wzrok. Mogła nawet robić zbliżenia - „zoomy”, jak je nazywał Merlin - wtedy nawet najodleglejsze fragmenty globu zdawały się na wyciągnięcie ręki.

A jednak, o czym przestrzegał ją Cayleb, owe cuda, owo spojrzenie z perspektywy Boga, bładły w porównaniu z tym, co widziały jej własne oczy, gdy wyglądała przez zbrojplast.

*To pewnie dlatego, że pokazywane mi obrazy mają wiele wspólnego z magią, uznała w duchu. Merlin może je sobie nazywać, jak zechce, ale to jest magia, jestem o tym przekonana, cokolwiek próbowałby mi podpowiedzieć mój umysł. Tamte obrazy przypominają bajkę dla dzieci, coś, co nie jest do końca... prawdziwe, lecz to - księżyc, gwiazdy, chmury - to wszystko, co widzę na własne oczy, musi być prawdziwe! A przyglądam się temu zawieszona tysiące mil w powietrzu... którego tu ponoć wcale nie ma! Ale ja jestem tu naprawdę i unoszę się pomiędzy tym wszystkim, też naprawdę, i widzę tyle różnych rzeczy dokoła...*

Sharleyan wzięła głęboki wdech i uśmiechnęła się pod nosem na wspomnienie minionego wieczoru.

\* \* \*

Sharleyan skończyła wymiotować (taką żywiła nadzieję) i otarła twarz gorącym wilgotnym ręcznikiem. W ustach czuła posmak najohydniejszy ze wszystkiego, co kiedykolwiek skosztowała. Na samą tę myśl jej żołądek znowu wyrócił się na nice, ale okiełznała go stanowczo. Mięśnie przetyku przez jeden groźny moment także chciały się zbuntować, ale w końcu uspokoiły się, przynajmniej chwilowo.

- Już lepiej? - zapytał ktoś, a ona uniosła głowę znad misy, uśmiechając się słabo.

Pomimo ognia trzaskającego za plecami jej męża oraz zatopionych w posadzce sypialni rurek rozprowadzających ciepłą wodę, w powietrzu panował chłód - mówiąc delikatnie - toteż ręcznik, który Cayleb właśnie wyjął z kociołka grzejącego się nad paleniskiem, parował mu w dłoni. W tych okolicznościach nie dziwiło, że cesarz opatulił się kocem, choć nie pasowało to do jego majestatu. Gdyby Sharleyan czuła się dobrze, dałaby na głos wyraz temu, że jej ukochany prezentuje się nie tylko nie dość dostojnie, lecz wręcz głupio.

W tej sytuacji jednak wyłącznie pomyślała, że wygląda jak wygląda, ale przynajmniej zerwał się z łóżka po ręcznik, jak tylko usłyszał, że ona zaczyna wymiotować. To już coś...

nawet zważywszy, że wszystko jest jego winą.

- Lepiej... chyba - odparła, dodając drugie słówko, kiedy poczuła, że jej żołądek znowu protestuje.

- To dobrze.

Odebrał jej ręcznik, którym przed chwilą otarła twarz - i który zdążył już ostygnąć - i zastąpił go nowym, tym, który dopiero co wykręcił. Zużyty kawałek materiału trafił z powrotem do kociołka, a misa powędrowała do przyległego pomieszczenia służącego im za łazienkę. Sharleyan usłyszała chłopot splukiwanej toalety. Po chwili w komnacie pojawił się Cayleb, odstawił opróżnioną, czystą już misę na jej nocny stolik i dopiero wtedy wgramolił się na powrót do łóżka, gdzie objął ją ramieniem.

- Och! - krzyknęła Sharleyan Alahnah Zhenyfyr Ahlyssa Tayt Ahrmahk, księżna Cherayth, księżna protektorka Chisholmu, królowa Chisholmu i z łaski bożej ostatnio także cesarzowa Charisu, poczuwszy na łydce jego zimną stopę.

- No cóż - rzekł do żony Cayleb Zhan Haarahld Bryahn Ahrmahk, księżę Ahrmahku, księżę Tellesbergu, księżę protektor Korony, król Charisu i z łaski bożej ostatnio również cesarz Charisu - zmarłem, oddając ci przysługę. Mogłabyś przynajmniej pomóc mi się rozgrzać.

- A jeśli szok spowodowany dotknięciem dwu brył lodu wywoła u mnie ponowne nudności? - zapytała ponurym tonem.

- Biorąc pod uwagę, z jaką częstotliwością miewasz nudności sama z siebie, nie ma większego znaczenia, czy obłożę cię całą lodem czy nie - odrzekł filozoficznie. - A poza tym, jesteś odwrócona do mnie plecami.

Na pewne rzeczy szanująca się cesarzowa nie mogła pozwolić, toteż Cayleb już po chwili kwiczał, gdy Sharleyan obróciła się gwałtownie i zwinnymi, żądnymi zemsty palcami odnalazła jego pachy. Zrządzeniem niesprawiedliwego wszechświata Cayleb miał większe łaskotki niż Sharleyan, co ta skwapliwie wykorzystywała przy każdej okazji.

- Dobrze, już dobrze! - wysapał w końcu. - Poddaję się! Sam się rozgrzeję, ty niewdzięczna, nierozsądna złośnico!

- Ach? Złośnico, powiadasz? - oburzyła się i przypuściła jeszcze silniejszy atak. Cayleb rozchichotał się, ale zaraz przetoczył na brzuch i przygwoździł Sharleyan do materaca, chwytając ją za nadgarstki. Zaczęła się pod nim wic, lecz zamarła, gdy mąż pochylił się i ucałował ją w czoło.

- Najulubieńsza złośnico na świecie - wyrzekł miękko, na co ona pokręciła głową z uśmiechem.

- Naprawdę powinieneś popracować, nad techniką, wasza wysokość - oświadczyła. -  
Chociaż może... zważywszy, z czyich ust padły przeprosiny i do czego jest zdolny w  
porywach mały, prymitywny męski mózdzek... jednak dam się udobruchać.

- Przeprosiny? - Uniósł jedną brew. - Nie przypominam sobie, abym przep...

Wbiła weń biodro, co spowodowało, że umilkł w pół słowa z zamyśloną miną.

- Chciałem powiedzieć - poprawił się z godnością - że jestem zaszczycony, wielce  
zaszczycony twoją wyrozumiałością.

- Dzięki czemu dożyjesz poranka - skwitowała słodkim głosem.

- Taką też miałem nadzieję - odrzekł zgodnie, składając na jej czole jeszcze jeden  
pocałunek, zanim wreszcie umościł się obok niej.

Wiedząc aż nadto dobrze, jak smakują jej usta, nie mogła go winić za to, że takie sobie  
obrał miejsce do pocałunków, zwłaszcza że jego ramię już zakradło się pod nią i dokoła niej,  
przyciągając ją bliżej, tak by mogła złożyć mu głowę na piersi. Sharleyan przytuliła się do  
męża, w duchu dziękując za ciepło pościeli i wdychając głęboko męzowski zapach, Cayleb  
zaś uniósł nieco ramię, wzmacniając uchwyt, a przy okazji także gładząc jej włosy.

- A tak poważnie - odezwał się po chwili - jak długo twoim zdaniem to potrwa?

- Za długo - powiedziała mruklawie, po czym wzruszyła ramionami. - Skąd mam  
wiedzieć. Moja matka nie miała porannych nudności, moja babka także, o ile mi wiadomo...  
Co za niesprawiedliwość, nawiasem mówiąc. Natomiast Sairah twierdzi, że jej matka  
wymiotowała przez dziesięć miesięcy z rzędu, jak nie dłużej. Może był to nawet okrągły rok?  
Albo dwa lata? - Cesarzowa ponownie wzruszyła ramionami. - Na pewno coś koło tego.

Skrzywiła się rozczulająco, na co Cayleb zachichotał ze współczuciem. Sairah  
Hahlmyn była jej pokojówką od najwcześniejszego dzieciństwa i najwyraźniej obecnie  
czerpała więcej radości ze stanu Sharleyan aniżeli ona sama. Nadskakiwała swojej pani na  
każdym kroku, lecz wbrew temu, co mówił ojciec Derahk, pałacowy medyk, Sairah zawsze  
miała na podorędziu którąś ze swoich przodkiń, cierpiącą na daną przypadłość, tylko znacznie  
poważniej niż współczesny chory. Można przypuszczać, że w swoim mniemaniu podnosiła  
podopieczną na duchu, zapewniając, że sprawy nie wyglądają tak źle, jak by mogły wyglądać.

Tak jej się przynajmniej wydawało.

- Cóż, może Merlin będzie potrafił podać jakąś przybliżoną wartość - stwierdził  
Cayleb.

- Może. - Sharleyan zdawała sobie sprawę, że jej głos jest nieco napięty, z drugiej  
jednak strony uważała, iż ma święte prawo czuć lekki niepokój, zważywszy na czekającą ją  
podróż.

- Denerwujesz się? - zapytał ją Cayleb, jakby umiał czytać w myślach... Nie trzeba było jednak ponadnaturalnych zdolności, aby zrozumieć, o czym myślała w tamtej chwili Sharleyan.

- Troszkę - przyznała, wtulając się w niego jeszcze bardziej. - W końcu nigdy wcześniej tego nie robiłam.

- Cóż, ja sam zrobiłem to tylko dwa razy... albo nawet raz, w kategorii podróży w obie strony - odparł jej mąż. - Ale Merlin robi to bez przerwy. Oczywiście - cesarz nadąsał się na moment - mnie nigdy nie zabrał poza atmosferę, no ale też nie musiał wybierać się aż tak daleko jak tym razem. Skoro jednak jest pewien, że jego systemy kamuflujące sprawdzą się podczas takiej podróży, ja nie zamierzam się z nim sprzeczać.

- To niezwykle wspaniałomyślne z twojej strony, szczególnie że nie ty będziesz mu towarzyszył! - wytknęła sucho Sharleyan.

- To prawda, nie będę. I bardzo tego żałuję. - Przez moment obejmował ją mocniej. - Lecz skoro jest w stanie zabrać ze sobą tylko jednego pasażera, myślę, że z wielu powodów ty nadasz się na towarzyszkę tej jego pierwszej podróży o wiele lepiej ode mnie... I tak, wiem, że ojciec Derahk twierdzi, iż wszystko jest w porządku, a poranne nudności to najnormalniejsza rzecz pod słońcem, niemniej chyba poczułbym się lepiej, gdybym usłyszał to samo od Sowy.

- Ja także - zgodziła się z nim, po czym zaśmiała nerwowo. - Mimo wszystko to dosyć dziwne, oczekiwać opinii jakiejś maszyny.

- Tylko „dziwne”? - zapytał cicho Cayleb.

- No dobrze - przyznała z ociąganiem, nagle poważniejąc. - I trochę niepokojące. Nic na to nie poradzę. O tutaj - postukała się palcem w skroń - wiem, że wszystko, czego uczył nas Kościół, jest kłamstwem. Nie tylko to wiem, ale też szczerze w to wierzę. Lecz zostałam wychowana na córę Kościoła Matki, Caylebie. I w głębi ducha nadal jestem tamtą małą dziewczynką klepiącą formułki z katechizmu, która nie może się nie bać na myśl o wkroczeniu do jaskini Shan-wei. Wiem, że to niemądre, ale... - Urwała, a Cayleb objął ją ramieniem jeszcze mocniej.

- Nie ma w tym niczego niemądrego - zapewnił żonę. - Nie minęło nawet pięć miesięcy, odkąd dowiedziałas się o Merlinie i całej reszcie. W gruncie rzeczy to jest właśnie jeden z powodów, dla których będziesz lepszą towarzyszką podróży. Ja miałem więcej czasu na przystosowanie się... więcej niż ktokolwiek z nas na Schronieniu... lecz to nie znaczy, że nie przeżywam nadal rozterek. Dlatego tak dobrze cię rozumiem. Tu nie chodzi tylko o wątpliwości, ale raczej o to, że trzeba zerwać ze wszystkim, czego nas uczono, w co kazano



nam wierzyć... Wiesz, uprzytomniłem sobie, że czasem pomaga mi zadanie sobie pytania, czy gdyby ktoś taki jak archanioł Langhorne naprawdę istniał, pozwoliłby Grupie Czworoga przejąć władzę nad Kościołem.

- Coś w tym jest - z powagą przyznała mu rację Sharleyan.

I rzeczywiście zgadzała się z mężem praktycznie we wszystkim. Nie wątpiła też w prawdomówność Merlina Athrawesa. Jednakże sporadyczne ataki zaprogramowanego niepokoju podpowiadały jej, jak zareaguje reszta społeczeństwa Schronienia, gdy nadejdzie czas ujawnienia całej prawdy o Kościele Boga Oczekiwanego. Obawiała się, że sytuacja zrobi się paskudna, co najmniej, a na samym dnie duszy czuła mdlącą pewność, że sprawy mogą przybrać najgorszy obrót z możliwych.

Niestety nie można było liczyć na nic innego. Nie w wypadku, gdy każdy mieszkaniec planety tak jak Sharleyan od dzieciństwa był uczony wierzyć w pewne sprawy. I wierzył w to, w co ona wierzyła. W utrwaloną w Piśmie wersję bożego planu dla Schronienia i w podany w Świadectwach opis Stworzenia. Jak mogłaby nie wierzyć? Przecież Adamowie i Ewy, którzy byli autorami Świadectw, opowiedzieli szczerą prawdę, przynajmniej ze swojego punktu widzenia. Oczywiście nie mieli oni pojęcia, że ich pamięć została zmodyfikowana podczas długiej hibernacji (Sharleyan nadal nie była do końca pewna, co to takiego ta hibernacja ani jak można do tego stopnia namieszać komuś we wspomnieniach), w której spędzili podróż ze skazanej na zagładę planety zwanej się Ziemia do nowego domu. Nie mieli też pojęcia, że „archaniołowie”, którzy ukazywali im się w ludzkiej formie jako rzekomi wysłannicy Boga, tak naprawdę byli członkami dowództwa ekipy kolonizacyjnej.

Nie wiedzieli, że archanioł Langhorne i archanioł Bédard z rozmysłem i zimną krwią zamordowali doktor Shan-wei i każdego, kto sprzeciwił się planowi Langhorne'a przewidującemu zamknięcie Schronienia w okowach cywilizacji preindustrialnej po wsze czasy.

Nic więc dziwnego, że ich niezwykle szczegółowe relacje o tym, co widzieli i czego doświadczyli, co myśleli i czuli po przebudzeniu tutaj, na Schronieniu, były tak niesłychanie spójne i przekonujące. Co gorsza, relacji tych były miliony... a żadna z nich nie podważała oficjalnej wersji Kościoła Matki.

*No, może jedna podważała*, Sharleyan przypomniawszy sobie dziennik świętego Zherneau. Nie stanowił on części oficjalnych Świadectw i cesarzowa nie miała wątpliwości, co uczyniłaby Inkwizycja, gdyby dowiedziała się o jego istnieniu. Wszelako święty Zherneau - Jeremiah Knowles - także był Adamem, a jego wersja zdarzeń nie zgadzała się z tym, co głosiło Pismo, Świadectwa i sam Kościół Matka. Było tak dlatego, że Jeremiah Knowles żył

w enklawie Aleksandria stworzonej przez Pei Shan-wei. Znał prawdę o Schronieniu i o ludobójczych Gbaba, którzy zniszczyli coś, co nazywano Federacją Terrańską, i zapędzili resztki ludzkości do tej kryjówki. Wiedział, jak miały się potoczyć losy Schronienia - i że twórcy misji nigdy nie zamierzali pogрузić wiedzy o Gbaba w zapomnieniu. Że wierzyli oni w to, iż prędzej czy później ludzie i Gbaba spotkają się ponownie. Że kluczowe dla przeżycia niedobitków pośród gwiazd cofnięcie się w rozwoju jest chwilowe, a dawna technologia musi się znów wyłonić we właściwym momencie.

I za tę prawdę - a raczej za odmowę wyparcia się prawdy - Pei Shan-wei oraz wszyscy mieszkańcy Aleksandrii zostali wyrznięci przez *Rakurai* Langhorne'a, kataklizmatyczne w skutkach bombardowanie bronią kinetyczną, które zamieniło enklawę w oficjalnie przeklętą i wyklętą Rafę Armagedonu.

Lecz Knowles, jego żona, szwagier i szwagierka przeżyli kataklizm ukryci w maleńkiej osadzie kolonistów pod nazwą Tellesberg, który w przyszłości miał się stać stolicą królestwa Charisu. Spisali własne świadectwo, swoją wersję wydarzeń, których byli świadkami, i dobrze ukryli zapiski, mając nadzieję, że kiedy ktoś je znajdzie wieki później, przejrzy na oczy, dojrzawszy niewygodną prawdę.

Tak też się stało. Od tamtej pory bractwo Świętego Zherneau strzegło tej wiedzy przez ponad czterysta lat, przekazując ją dalej i hołubiąc w sekrecie, pracując stopniowo nad skruszeniem politycznej i duchowej tyranii „Kościoła” stworzonego przez Langhorne'a i Bédard. Członków bractwa nigdy nie było wielu i wszyscy zawsze musieli zachowywać szaloną ostrożność, lecz jak dotąd nigdy się nie poddali.

To, że dali wiarę dziennikowi Knowlesa, nadal z wielu powodów zadziwiało cesarzową Sharleyan. Ilekroć o tym myślała, powalała ją z nóg intelektualna i duchowa moc, która pozwoliła im zaakceptować ów samotny głos niezgody. Chciała wierzyć, że na ich miejscu zachowałyby się tak samo, lecz w głębi ducha poważnie w to wątpiła. Miałyby zawierzyć pojedynczemu głosowi protestu, cóż z tego, że tak gorliwemu, zamiast masowemu świadectwu ośmiu milionów innych Adamów i Ew? Przyjąć na wiarę słowa kogoś, kto umarł prawie siedemset lat przed jej narodzinami, zamiast wciąż żywego Kościoła Boga Oczekiwanego? I odrzucić wiarę w wolę bożą, o której uczono ją, odkąd była małą dziewczynką?...

Nie. Mimo że czuła głębokie rozczarowanie spowodowane niedostatkami Kościoła, mimo że widziała degenerację i korupcję wśród osób kierujących Kościołem, mimo że była przekonana co do konieczności naprawy tegoż Kościoła, nie podważała fundamentalnej, zasadniczej prawdy o dwojgu archaniołów. I gwoli szczerości nie zrobiłaby tego nigdy w

życiu, gdyby nie spotkała kogoś, kto był martwy nawet dłużej niż Jeremiah Knowles.

Merlina. Kapitana Athrawesa. *Seijina* Merlina. Najniebezpieczniejszego wojownika na świecie, wizjonera, przybocznego Cayleba, mentora, przyjaciela i przewodnika. A poza tym także CZAO: Cybernetyczny Zintegrowany Avatar Osobowości, który nosił wspomnienia, nadzieje i marzenia młodej kobiety zwanej się Nimue Alban.

Merlina. Jedyłą istotę na Schronieniu znającą prawdę o Federacji Terrańskiej i jej smutnym końcu. Naocznego świadka tamtych wydarzeń. Ducha Nimue Alban, która zmarła przed ponad dziewięćset laty, świadomie poświęcając życie, aby ta planeta któregoś dnia mogła stać się nie tylko schronieniem ludzkości, lecz także jej nową kolebką.

*Nie, powtórzyła w myślach cesarzowa Sharleyan, bez Merlina nigdy bym w to wszystko nie uwierzyła. Być może bardzo bym chciała, ale nie potrafiłabym. Nawet przy całej mojej miłości do Cayleba nie dałabym mu się przekonać. Ale jest Merlin. A przy nim nie sposób nie uwierzyć.*

\* \* \*

- Szkoda, że cię tu nie ma, Caylebie - powiedziała teraz tęsknie i usłyszała cichy śmiech w uchu.

- Ja też tego żałuję - odrzekł jej mąż, przebywający nadal w Cherayth, czyli w odległości ponad sześciu tysięcy mil od niej. - I nie tylko dlatego, że obaj z Edwyrdem znajdziemy się w nie lada opałach, jeśli ktoś zauważy twoje zniknięcie.

Przejrzysta słuchawka zatknęta w prawe ucho odtwarzała głos nadawany przez zabezpieczony nadajnik, który nosiła na złotym łańcuszku wokół szyi.

- Na szczęście - rozległ się inny, głębszy głos - należysz do najzdolniejszych... łgarzy, jakich znam, Caylebie.

- Każdy dyplomata uczy się łąać od prawdziwych mistrzów, Merlinie - odparł cesarz.

- Ciekawe, dlaczego mam wrażenie, że ty uczyłeś się łąać, tłumacząc się ze zbitych szyb, skradzionych jabłek i tym podobnych dziecięcych przewin, jakich niewątpliwie się dopuściłeś... - skomentował Merlin Athrawes z przedniego kokpitu skimmera.

- Może dlatego, że znasz go od małego? - podsunęła niewinnie Sharleyan.

- Może - zgodził się Merlin z udawaną powagą, a cesarzowa zachichotała.

W duchu zaś przyznała, że choć ów komunikator być może należy do sfery magii, przynajmniej jest to magia, do jakiej ona, Sharleyan, jest zdolna przywyknąć na dłuższą metę. Wątpiła jednak, aby kiedykolwiek miała zacząć traktować podobne przedmioty z naturalnością, jaką przejawiał jej zdaniem *seijin*.

Czasami była bliska opinii, że tak się jednak stanie; kiedy indziej znów dałaby sobie

głowę uciąć, że już zawsze będzie żywić nieufność do magii. Tego typu rzeczy były po prostu nazbyt cudowne, nazbyt niemożliwe, i już. Bywały wszakże chwile, gdy ta nieznamość zabawek Merlina stawała się jej zaletą.

Komunikator, który miała na szyi, mógł posłużyć za przykład. Był znacznie mniejszy od pierwszego, który otrzymała od Merlina, co wywołało u niej kolejne lekkie drżenie warg w uśmiechu. Z początku bowiem nie sądziła, że komunikatory mogą być choćby odrobinę mniejsze od tego, który Merlin jej pokazał, ale kiedy zaczęła się stykać z przeróżnymi, nieraz niesłychanie drobnymi obiektami technologii stosowanej przez kapitana Athrawesa i udostępnianej jej na równi z Caylebem, jąła rozważać taką możliwość.

Od razu jednak zrozumiała, że ukrywanie przed oczami osób postronnych podobnych przedmiotów musi być ich priorytetem. Mimo iż niewielkie, pierwotnie zaprezentowane im komunikatory, które mieściły się w dłoni, nadal były wyraźnie - i przez to niebezpiecznie - obce na Schronieniu. W niczym nie przypominały rodzimych (i dozwolonych) wytworów technologii, co każdy widział już na pierwszy rzut oka. Oczywiście było mało prawdopodobne, aby ktokolwiek z poddanych je faktycznie zobaczył, lecz „mało prawdopodobne” nie znaczy wcale „niemożliwe”. A przecież sam Merlin zauważył, że gdyby Grupa Czworka zdobyła dowody, że jej wrogowie istotnie korzystają z zabronionej wiedzy Shan-wei, konsekwencje tego mogłyby się okazać katastrofalne w skutkach.

Szczególnie gdyby owe dowody nie pozostawiały cienia wątpliwości.

Dlatego właśnie cesarzowa zapytała Merlina, czy przypadkiem w Jaskini Nimue nie ma mniejszych, łatwiejszych do ukrycia komunikatorów. Nie było, ale pytanie Sharleyan dało do myślenia *seijinowi*, który doszedł do wniosku, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby osobiście wyprodukował żądany przedmiot. Większość istniejących miała bowiem takie, a nie inne rozmiary nie z powodu ograniczeń technologicznych, lecz po to, by człowiek miał co trzymać w ręku i przy czym gmerać. Jednakże można było zminiaturyzować urządzenie bez szkody dla jego funkcjonalności. Również w odległej przeszłości, jeszcze przed zniszczeniem Federacji Terrańskiej, rozdawano żołnierzom miniaturowe komunikatory w formie wszczepianych chirurgicznie implantów. Naturalnie Merlin nie posiadał ani jednego egzemplarza czegoś takiego, zresztą chirurgiczne wszczepienie czegokolwiek mieszkańcowi Schronienia spowodowałoby tylko wielkie zdziwienie u każdego medyka, mogące poskutkować permanentnym przemieszczeniem brwi poza linię włosów, a co za tym idzie, raczej nie było dobrym pomysłem z punktu widzenia konspiratorów. Gdyby jednak Sowie udało się przemodelować taki komunikator, aby reagował wyłącznie na komendy głosowe, nawet całkiem zwyczajne urządzenie mogłoby mieć rozmiary nie większe od paliczka kciuka

drobnej dłoni Sharleyan.

Jak pomyślał, tak zrobił, wykorzystując do tego celu moduł produkcyjny z jaskini, gdzie Pei Shan-wei i komandor Pei ukryli CZAO (oraz wszelkie inne narzędzia pozostawione do użytku Merlina). W ten sam sposób zamknął komunikator Sharleyan w złotym wisiorku w kształcie berła, który nosiła na szyi. Cayleb miał identyczne miniaturowe berło - oba przedmioty były idealnymi (do ostatniego żłobienia i nawet próby złotnika) kopiami błyskotki, którą Sharleyan zamówiła z okazji powrotu męża z Corisandu, i trzeba by je było roztrzaskać w drobny mak, aby dostać się do tkwiącej w ich sercu zakazanej technologii.

Merlin, skoro już wrócił do Jaskini Nimue, sporządził także inne cudo w postaci soczewek kontaktowych, które cesarzowa miała założone w obecnej chwili. Na samym początku sama myśl o wetknięciu sobie czegoś do oka - nawet gdyby to coś było przezroczyste i lekkie jak soczewka kontaktowa - była dla Sharleyan nie do przyjęcia. Cayleb okazał się w tej mierze bardziej otwarty, a żona - widząc jego zachwyt - także zdobyła się na odwagę i poszła w jego ślady.

I nie pożałowała tego. Soczewki bowiem nie tylko zaradziły pogłębiającej się z każdym rokiem dalekowzroczności cesarzowej, ale również pozwoliły nowemu, maciupkiemu komunikatorowi przekazywać obrazy bezpośrednio na siatkówkę oka.

Dzięki temu mogła oglądać odległe widoki bezpośrednio, a nie za pośrednictwem zdradzieckiego hologramu, który tworzył poprzedni, większy komunikator. W rzeczywistości para cesarska mogła teraz oglądać obrazy przekazywane przez SAPK-i, to jest Samonaprowadzające Autonomiczne Platformy Komunikacyjno-zwiadowcze, których ideę Sharleyan nadal nie za dobrze pojmowała. Dzięki temu cesarz i cesarzowa mogli pomagać Merlinowi i sztucznej inteligencji zwanej Sową mierzyć się ze spływającym ciągle i bez ustanku materiałem wywiadowczym przekazywanym przez owe urządzenia.

Merlin w podobny sposób wyposażył resztę osób, które znalazły się w wewnętrznym kręgu - przez Cayleba nazywanym po prostu Kręgiem - a więc tych, którzy znali całą prawdę i bez zastrzeżeń mogli używać komunikatorów. Niestety ludzi tych nie było wielu, ale na szczęście ich liczba stale rosła. To oczywiście w pewnym sensie tylko potęgowało frustrację. Możliwość utrzymywania stałej, natychmiastowej łączności z osobami oddalonymi o tysiące mil - nie wspominając już o komunikowaniu się z Sową czy oglądaniu „wizji” Merlina na własne oczy - stanowiła niebagatelną przewagę. Z drugiej strony, należało z niej korzystać ze szczególną ostrożnością. Nie wolno było dopuścić do tego, aby ktoś niepowołany zaczął się zastanawiać, jakim cudem sporej liczbie osób udało się tak idealnie skoordynować swoje działania pomimo znacznego dystansu, który je dzielił. W dodatku dopiero możliwość

komunikowania się z niektórymi ze sprzymierzeńców w pełni pokazała, jak bardzo przydałaby się taka łączność ze wszystkimi z nich. To dopiero było frustrujące!

A jednak...

*Przestań, Sharley!* - napomniała się ostro w duchu cesarzowa. *Celowo pozwalasz myślom błdzić i dobrze o tym wiesz!*

Aczkolwiek nawet sama przed sobą przyznawała, że coś takiego jest usprawiedliwione w zaistniałych okolicznościach.

Spojrzała przed siebie i dostrzegła wiszącą przed nimi kulę Schronienia. Od tej strony planeta zaczynała jaśnieć, a Sharleyan zdała sobie nagle sprawę, nie posiadając się z zachwytem, że doganiają dzień, który już dość dawno pożegnał się z Chisholmem.

- Daleko jeszcze do twojej jaskini, Merlinie? - zapytała. Odpowiedział jej cichy chichot szczerze rozbawionego *sejjina*. Widać nie nadała swemu głosowi tonu takiego opanowania, na jakim jej zależało.

- Około dwudziestu minut drogi, wasza łaskawość - odparł. - Czyli jakieś siedem i pół tysiąca mil.

## .II.

### JASKINIA NIMUE GÓRY ŚWIATŁA ZIEMIE ŚWIĄTYNNE

Sharleyan wiedziała, że gapi się z rozdziawioną buzią jak dziecko przypatrujące się po raz pierwszy sztuczkom iluzjonisty na scenie, lecz nic nie mogła na to poradzić. Skoro już o tym mowa, niespecjalnie się tym przejmowała. Przyglądała się z zapartym tchem, kiedy Merlin zniżał lot skimmera, by wejść na powrót w atmosferę i jasne światło dnia.

*Atmosfera, też coś!* - prychnęła w duchu na siebie. *Nadal jesteś wystarczająco wysoko, by zemdleć w jednej chwili, nie mówiąc o tym, że zamarzlabyś równie szybko, gdybyś nie siedziała zamknięta w tej kuli z Merlinem, ty głuptasko!*

Górskie szczyty sięgające ku nim były pokryte grubą warstwą wiecznego śniegu. Na tej szerokości geograficznej panował już środek zimy, lecz Góry Światła nie znały innej pory roku. Zachwycona widokami robiła zbliżenia na coraz to inne obrazy, chłonąc jednakowo ponure ośnieżone wierzchołki i lodowce wolno spływające po ich bokach, jak i przejrzyste

kryształy wyrzeźbione przez wiatry i lśniące w ostrym słońcu.

Nigdy wcześniej nie była na kontynencie zwanym Wschodnim Haven. W gruncie rzeczy nigdy wcześniej nie była na żadnym kontynencie. Zawsze marzyła o pielgrzymce do Syjonu i Świątyni, jak nakazywało wszystkim wiernym Pismo, lecz uniemożliwiał jej to natłok obowiązków. Albowiem na pierwszą w historii królową Chisholmu spadło zbyt wiele naraz, a kryzys dosłownie gonił kryzys.

*A ostatnie, czego mi trzeba teraz, to pielgrzymka do Świątyni, pomyślała z goryczą. Jakoś nie sądzę, aby miało mnie spotkać miłe powitanie ze strony Inkwizycji. Choć z drugiej strony Zhaspyr Clyntahn powinien się powoli szykować na odwiedziny istnych rzesz wiernych, wcale nie pytających Inkwizycji o pozwolenie.*

- Merlinie, jesteś pewien, że nikt nas nie zobaczy? - zapytała, spoglądając na pomocniczy wyświetlacz, na którym widniała twarz *seijina*.

- Jestem pewien, wasza łaskawość - odparł Merlin, uśmiechając się dla dodania cesarzowej otuchy. - Tutaj nie ma żywej duszy, nawet latem, a poza tym SAPK-i mają ten teren pod stałą obserwacją. Możesz mi więc wierzyć, że tam w dole nikt na nas nie czeka. A nawet gdyby tak było, skimmer ma włączony pełen kamuflaż. Dla każdego jesteśmy teraz praktycznie niewidzialni.

- Nie chciałam marudzić... - rzekła cesarzowa na wpół przeproszającym tonem.

- Wasza łaskawość... Sharleyan... radzisz sobie o niebo lepiej, niż ja bym sobie poradził, gdyby nasze role się odwróciły - zapewnił ją kapitan Athrawes.

- Raczej w to wątpię - rzekła sucho. - Prawdopodobnie nauczyłam się udawać lepiej, niż myślisz. Udawanie, jak mi się zdaje, idzie w parze z królowaniem. Mahrak zawsze mi powtarzał, że trzeba poddanym pokazywać spokojną i opanowaną twarz, jakby się miało wszystko pod kontrolą, nawet jeśli w środku człowieka ogarnia potworny strach.

- Mój ojciec mówił to samo - odezwał się w jej uchu Cayleb, a ona dosłyszała w jego głosie nutę zazdrości.

Sharleyan miała świadomość, że jej mąż ogląda obrazy przekazywane ze skimmera, ale wiedziała też, że to nie to samo co faktyczna podróż z Merlinem.

*Z tym że ja chyba nawet bardziej niż on chciałabym, aby był tu ze mną!*

Powstrzymała się przed nerwowym uśmiechem na tę myśl.

- Tak czy owak, to już niedługo - rzekł dla uspokojenia cesarzowej Merlin. - Spójrz!

- Na co mam sp... - zaczęła Sharleyan, zaraz jednak urwała z szeroko otwartymi oczami, ponieważ Merlin właśnie wlatywał prosto w litą skałę.

*Nie poruszamy się znów tak szybko, zareagowała jakaś część jej umysłu.*

*Przynajmniej w porównaniu z prędkością, z jaką lecieliśmy tutaj. A jednak poruszali się wystarczająco szybko, aby serce podeszło jej do gardła. Poczula, jak sama kamienieje w oczekiwaniu na zderzenie, po czym głośno wypuściła powietrze z płuc na widok portalu, który dosłownie rozpękał się przed nimi.*

- Merlinie!

- Wybacz.

W głębokim głosie brzmiała szczerza skrucha... ale także niewątpliwa nuta rozbawienia, więc Sharleyan zakonotowała sobie, aby sprawdzić, czy CZAŁO nie da się przypadkiem udusić. A przy okazji pozbawić też życia tego drania jej męża, który właśnie śmiał się jej prosto do ucha przez komunikator.

- Domyślam się, że twoim zdaniem było to przezabawne, mam rację, Caylebie? - spytała podejrzenie przyjaznym tonem, gdy skimmer osiadał pośrodku ogromnej, idealnie kolistej i jasno oświetlonej przestrzeni przypominającej tunel.

- Och, nie. Wcale nie - odpowiedział prędko cesarz, raz jeszcze wykazując się bystrością urodzonego taktyka.

- To dobrze - stwierdziła jego żona. - Co zaś do ciebie, Merlinie Athrawes...

- Wiem, że przyjdzie mi za to zapłacić - wpadł jej w słowo. - Niemniej... warto było!

Cayleb ponownie się roześmiał, lecz tym razem Sharleyan poczuła, że nie ma wyjścia i musi się doń przyłączyć. Jej tętno powoli wracało do normy, a ona sama raz po raz kręciła głową ze zdumienia, widząc, że tunel ciągnie się i ciągnie. Teraz naprawdę poruszali się wystarczająco wolno, aby mogła dostrzec, że ściany, które mijali, są z gładkiego kamienia wypolerowanego tak, że przypominał lustro odbijające niebywale rażące światło niekończącego się rzędu lamp nad ich głowami, umieszczonych w jakby sklepionym suficie. Tunel był dość szeroki, aby pokonało go równocześnie sześć podobnych skimmerów, przez co Sharleyan poczuła się nagle bardzo mała, nieomal pozbawiona znaczenia.

- Daleko jeszcze? - zapytała ponownie.

- Jaskinia Nimue mieści się pod Olimpem - wyjaśnił Merlin. - Obecnie znajdujemy się około dwu mil od tej góry, a nadlatujemy od północnej strony. Znalazłszy się u celu, będziemy jakieś dwanaście tysięcy metrów... to jest jakieś siedem i pół mili pod górą.

- Siedem i pół mili?! - powtórzyła Sharleyan, a Merlin znowu się zaśmiał. Tym razem jednak w jego głosie nie wyczuła rozbawienia i zastanowiła się, co też może być powodem.

- Siedem i pół mili od szczytu, nie pod poziomem morza - sprecyzował Merlin, zanim cesarzowa miała szansę zrozumieć, co właściwie przyćmiło radość w jego głosie. - Aczkolwiek jak sądzę, to także dość głęboko. - Raczej domyśliła się, niż zobaczyła,



wzruszenie jego ramion. - Komandor Pei i Shan-wei chcieli mieć pewność, że nikt się na mnie nie natknie, zanim się obudzę.

Sharleyan zaczęła coś mówić, lecz urwała, pojawiwszy nareszcie, skąd w głosie Merlina ta nuta cierpienia. Czasami zapominała, że ludzie, którzy dla niej nie żyli od prawie tysiąclecia, dla mężczyzny będącego niegdyś Nimue Alban zginęli zaledwie przed paroma laty.

- W każdym razie - podjął Merlin już nieco zwawszym głosem - kiedy mnie tu upchnęli, napelnili cały ten kompleks atmosferą gazów obojętnych. Co znaczy, że tu w dole nie było ani krztyny powietrza, jakim oddychają ludzie z krwi i kości. Potem jednak Sowa uruchomiła systemy podtrzymywania życia, tak że na miejscu będziemy mieli masę zdatnego do oddychania powietrza.

- Co za ulga - bąknęła Sharleyan, wciąż się zastanawiając, co to takiego ta „atmosfera gazów obojętnych”.

- Robimy co możemy, żeby zadowolić waszą łaskawość - rzucił Merlin. - Skoro już mówimy o dotarciu na miejsce...

Zanim skończył mówić, skimmer wyslizgnął się z tunelu i wpadł do znacznie przestronniejszej komnaty, a Sharleyan ostro wciągnęła powietrze, gdy rozbłysło jeszcze więcej górnych świateł, rozjaśniając niezwykle przestronną jaskinię w kształcie spłaszczonej hemisfery. Ściany, równie gładkie jak te w tunelu, zakrzywiały się ku górze i do środka, aby połączyć się w nie mniej gładkie sklepienie dobre dwieście stóp ponad ich głowami. Jaskinia była nie tylko wysoka, ale też rozległa, z czego Sharleyan zdała sobie sprawę dopiero po chwili lotu skimmera, gdy dostrzegła pod nimi podłogę, na którym stały dziesiątki urządzeń równie wspaniałych jak to, które ich tu przyniosło. Skimmer leciał naprzód z gracją jeszcze przez parę chwil, po czym wylądował miękko obok analogicznej maszyny, stojącej po zawietrznej innej, większej jednostki nieznanego Sharleyan przeznaczenia. Wiszące nad nimi skrzydło uświadomiło cesarzowej niewielkie rozmiary skimmera Merlina, a kiedy przeniosła wzrok na zawieszone wysoko sklepienie jaskini, zrozumiała, że jaskinia musi liczyć co najmniej tysiąc jardów w pionie.

- Mój Boże... - wymruczała.

- Co to takiego, Merlinie? - równocześnie zapytał przez komunikator Cayleb, głosem nie mniej zachwyconym niż jej własny.

- O czym dokładnie mówisz, Caylebie? - zainteresował się Merlin.

- To coś, obok czego wylądowałeś!

- A, to... - Merlin wzruszył ramionami. - W naszej nomenklaturze to wahadłowiec

szturmowy - rzekł. - Pamiętasz tę maszynę, którą poleciliśmy do Corisandu? No więc to jest coś podobnego, tyle że przewidziane do przerzucania oddziałów z orbity na powierzchnię planety.

- Jak licznych oddziałów? - Głos Cayleba nagle stał się natrętniejszy i zimniejszy, a wizerunki Sharleyan i *sejjina* wymieniły spojrzenia, uśmiechając się do siebie nawzajem na ten ewidentny dowód wojskowej natury cesarza.

- Zaledwie kilkusetosobowych - udzielił odpowiedzi Merlin, celowo nadając głosowi obojętne brzmienie.

- Zaledwie, czyżby?

- W przybliżeniu - dodał Merlin, a Sharleyan w tym samym momencie wyprostowała się, gdyż bliźniacze połówki przezroczystego sklepienia skimmera otwały się nad nią.

Pozwoliła *sejjinowi* ująć się za rękę i powieść w dół drabiny, aczkolwiek wcale nie czuła się tak stara ani słaba, ani brzemienna - aby potrzebować jego pomocy. Po chwili jednak zrozumiała, że ta pomoc nie zawadzi. Tak się bowiem zapatrzyła na otaczające ją cuda, że już stojąc obiema nogami na ziemi, chciała przesuwając stopy w dół i zaczęła kopać palcami u nóg podłoże, zamiast znajdować oparcie w kolejnym szczelbu, przez co niemal się wywróciła, a już na pewno by to zrobiła, gdyby nie podtrzymująca ją ręka Merlina.

Otrząsnęła się, a potem posłała kapitanowi uśmiech.

- Jestem pod wrażeniem - oświadczyła.

- Poczekaj, aż zobaczysz resztę - odrzekł Merlin.

\* \* \*

- ...a to zestaw medyczny - powiedział jej prawie godzinę później.

Nie mieli zbyt wiele czasu, ale celowo się nie śpieszył z oprowadzaniem Sharleyan po jaskini, aby ją uspokoić. Zdolność cesarzowej do przyswajania pokazywanych jej cudów zdumiewała *sejjina* i nieprzerwanie robiła na nim wielkie wrażenie, choć właściwie nie powinna. Już wcześniej wiedział przecież, że Sharleyan to jedna z najbystrzejszych i najbardziej trzeźwo myślących osób, jakie znał. Mimo wszystko coś takiego musiało być dla niej szokiem, choć sądziła, że jest dobrze przygotowana, i dlatego Merlin najpierw pozwolił jej odzyskać równowagę, zanim podda ją badaniu, z którego powodu przeleciała niemal na drugą półkulę Schronienia.

- Rozumiem - odrzekła wolno, przekrzywiając głowę, aby przyjrzeć się lśniącym krzywiznom sprzętu diagnostycznego ponad miękko odchyłanym do tyłu fotelem. Być może jej głos zdrzął odrobinę, kiedy wypowiadała to jedno słowo, ale nawet CZAŁO o wzmocnionym słuchu nie był gotów tego przysiąc. Sharleyan wpatrywała się w zestaw

medyczny przez parę chwil, z rękami splecionymi na piersi, pocierając przedramiona jakby w obronie przed zimnem, po czym nagle posłała *seijinowi* wesołe spojrzenie. - Nie przypomina to wcale gabinetów medyków, w jakich bywałam do tej pory - zauważyła.

- Wiem. - Merlin uśmiechnął się ze współczuciem. - Masz jednak moje słowo, że potrafi leczyć nie gorzej od nich. - Nieco głośniej zaś powiedział: - Sowo?

- Tak, komandorze poruczniku?

Sharleyan rozpoznała głos sztucznej inteligencji, którą Merlin ochrzcił Sową. Dotychczas słyszała go nieraz w słuchawce umieszczonej w uchu. A czasami nawet rozmawiała z jego właścicielem... i przekonała się, że Merlin nie mylił się co do tego, że Sowa jest prostolinijna i pozbawiona wyobraźni. Nie była przez to mniej cudowna w oczach Sharleyan, aczkolwiek sprawiała wrażenie nieco upośledzonej. Teraz zaś cesarzowa po raz pierwszy usłyszała ją nie we własnym uchu, lecz tak, jakby jej głos dochodził zewsząd naraz, i rozejrzała się prędko. Zupełnie jakby, z czego zdała sobie sprawę dopiero po chwili, spodziewała się zobaczyć miniaturowego uczonego wyskakującego z jakiejś szafy!

Ta ostatnia myśl wywołała uśmiech na jej twarzy.

- Witaj, Sowo - rzekła Sharleyan.

- Dzień dobry, wasza łaskawość - odpowiedział komputer taktyczny. - Czuj się jak u siebie.

Sharleyan spostrzegła, że jedna brew Merlina powędrowała w górę, i nawet zastanowiła się, co mogło to spowodować, ale zaraz zaprzątnęły ją inne sprawy.

- Mam nadzieję, że nie obrazisz się o to, iż okazuję lekki niepokój, Sowo - mówiła dalej cesarzowa. - To znaczy wiedz, że nie wątpię w twoje umiejętności... po prostu to wszystko jest dla mnie wielką nowością.

- Dla mnie również, wasza łaskawość - odparł komputer, a Sharleyan prychnęła. Też pomyślała, żeby medyk w takiej chwili przyznawał się do własnej słabości!

- Sowa nigdy wcześniej nie robiła czegoś podobnego - wtrącił Merlin, rzucając paskudne spojrzenie w stronę pobłyskującego światelka, które jak Sharleyan dopiero teraz się domyśliła, mogło wskazywać na lokalizację obiektywu Sowy. - Ale tylko dlatego, że jest komputerem taktycznym. Zanim skończyła jako moja bibliotekarka, zajmowała się przede wszystkim bronią i nie miała wiele wspólnego z kwestiami zdrowia. Natomiast komputer medyczny, który w rzeczywistości przeprowadzi badanie, robił to setki razy, zanim komandor i doktor Pei unieruchomili go i umieścili na stałe tutaj. A Sowa tylko powie mu, kiedy ma zacząć.

- Rozumiem - powtórzyła Sharleyan, z powagą patrząc na Merlina i z trudem

powstrzymując uśmiech rozbawienia spowodowanego irytacją *seijina* na sztuczną inteligencję. - Chciałabym jeszcze wiedzieć, ile razy komputer medyczny robił to po tym, jak tu trafił - zapytała po chwili z pewną dozą niepokoju w głosie.

- Cóż, jeśli chodzi o ciężę, to właściwie ani razu - przyznał Merlin. Zdaniem cesarzowej raczej niechętnie. Widząc zmartwione spojrzenie Sharleyan, CZAO dodał: - Komputer medyczny jest w pełni sprawny. I ma już w pamięci twoją całą historię...

- Naprawdę? - zamrugła Sharleyan. - Jakim cudem?

Oczy cesarzowej zwęziły się, kiedy poczuła prawdziwą ciekawość i na moment zapomniała o swym zamiarze wyrównania rachunków z *seijinem* za tę sztuczkę z litą skałą.

- Hm... - Merlin przez chwilę był nieswój. Zaraz jednak wziął się w garść. - No tak, eee... - zaczął z jękaniem. - Musiałem przekazać mu twój profil. Którejś nocy zrobiłem użytek ze zdalnego zestawu diagnostycznego. Kiedy spałaś.

- Kiedy spałam? - Posłała mu spojrzenie, jakim piastunki obdarzają niegrzeczne dzieci zapierające się, jakoby cokolwiek wiedziały na temat zaginionych ciasteczek. „Nie, psze pani! To nie my!” - Dlaczego, *seijinie*? - zapytała ostro. - Dlaczego nie zapytałeś mnie o zgodę?

- Wtedy jeszcze nie było zgody bractwa na wtajemniczenie twojej osoby - wyjaśnił. - A co za tym idzie, nie miałem jak ci wszystkiego wytłumaczyć.

- W tamtym momencie musiałeś milczeć, zgoda - wytknęła bezlitośnie. - Ale czemu milczałeś także potem? Choć może to źle postawione pytanie. Ja chcę wiedzieć, czemu w ogóle zachowałeś się w ten sposób.

Merlin przyglądał się jej przez długą chwilę, po czym pokręcił głową. Od dawna wiedział, że prędzej czy później czeka go podobna rozmowa. Nie spodziewał się jednak, że Sharleyan będzie na niego aż taka zła...

*Akurat, ironizował w myślach. I pewnie dlatego tak się śpieszyłeś z wyjawieniem jej wszystkiego, co? A na dodatek jeszcze ta przekłeta Sowa ni z tego, ni z owego zaczęła przejawiać spontaniczne zachowania! Czemu nie mogła trzymać dzioba zamkniętego na kłódkę jak zwykle?*

- No dobrze - poddał się z westchnieniem. - Powód, dla którego przekazałem komputerowi medycznemu twoje dane... i twoje także, Caylebie - dodał, zwracając się do cesarza, który jak wiedział, przysłuchiwał się całej rozmowie z komnaty sypialnej pałacu w Cherayth - jest taki, że dzięki temu można było wyprodukować nanoboty dla was obojga.

- Nanoboty? - powtórzył przez komunikator Cayleb, ostrożnie wymawiając obcy zbitek zgłosek, a Merlin potaknął skinieniem.

- Tak. Nanotechnologia sprowadza się do bardzo, ale to bardzo małych urządzeń...

tak małych, że nie sposób ich zobaczyć przez najsilniejszą lupę, jaką jest w stanie stworzyć najzdolniejszy optyk na Schronieniu. W tym wypadku nanoboty są miniaturowymi urządzeniami medycznymi zaprojektowanymi po to, aby utrzymać ciało człowieka w zdrowiu.

- Mam w sobie jakieś urządzenie medyczne? - Sharleyan była świadoma drżenia w swoim głosie, ale nie wstydziła się go. Rzeczywiście była wstrząśnięta do głębi.

- Tak. Ale są takie małe, że nie sposób zauważyć ich obecności - zapewnił ją prędko Merlin. - I nie zrobią krzywdy tobie... ani nikomu innemu!

- Czy mam rozumieć, że umieściłeś w nas te... nanoboty? - zapytał Cayleb surowym tonem.

- Tak - potwierdził znowu Merlin i wyprostował ramiona. - Ty i twój ojciec wybieraliście się na wojnę, a byliście mi obaj potrzebni... - Rysy twarzy mu stwardniały, podobnie jak głos, kiedy dodawał: - Twego ojca niestety i tak straciłem... - Poznać było wyraźnie, że nadal sobie tego nie wybaczył. - Nie mam jednak najmniejszego zamiaru stracić i ciebie! A już na pewno z powodu, jakiemu jestem w stanie zapobiec! Dlatego wstrzyknąłem ci podczas snu używane standardowo za czasów Federacji nanoboty medyczne. I to samo uczyniłem Sharleyan po jej przybyciu do Tellesbergu. Oraz - wzruszył ramionami - skoro już o tym mowa, wyposażylem w nie także Maikela, Domyńka i... parę innych osób.

- Ale... dlaczego? - zainteresowała się Sharleyan.

- Żeby uchronić was przed chorobami.

- Jakimi chorobami? - dopytywał Cayleb.

- Wszystkimi - odparł z prostotą Merlin.

- Co takiego? - Sharleyan ponownie zamruwała. Chyba nie chciał powiedzieć, że...?

- Przed wszystkimi chorobami - powtórzył pełnym zdaniem Merlin. - Nigdy nie zapadniecie na raka ani zapalenie płuc, nawet przeziębienie wam nie grozi. Jeśli zostanieie ranni, rany zagoją się szybciej. Znacznie szybciej, jeśli mam być szczerzy. Właściwie tylko z tego jednego powodu wahałem się przed wstrzyknięciem wam tych nanobotów. Jeśli któryś z waszych medyków spostrzeże, jak szybko goją się wasze skaleczenia czy złamania, może nabrać podejrzeń.

- Chwileczkę - przerwał mu Cayleb. - Momencik. Twierdzisz, że żadne z nas nigdy więcej nie zachoruje? Przenigdy?

- Owszem - potaknął Merlin, wzdychając. - Nie miałem leków przeciwstarzeniowych, których powinienem użyć do pary z nanobotami, o ile oczywiście bym się odważył to zrobić, niemniej tyle przynajmniej mogłem dla was uczynić. Szczególnie że oboje jesteście

kluczowymi postaciami w naszym przedsięwzięciu. - Potrząsnął głową, lecz nie zmienił wyrazu twarzy, która zdawała się obliczem wykutym z żelaza. - Caylebie, nie potrafię uchronić ciebie ani Sharleyan przed śmiercią w wypadku czy w jakiejś głupiej bitwie, czego smutny dowód niestety już mieliśmy. Ale prędzej sam zdechnę, niż pozwolę, aby odebrało mi was coś równie nieznaczącego jak jakaś bzdetna bakteria!

Sharleyan poczuła, jak jej własne rysy łagodnieją, gdy wychwyciła szczerą, namiętą pasję w tonie tej odpowiedzi. Nie była do końca pewna, co to takiego „bakteria”, aczkolwiek wydawało się jej, że ma pewne pojęcie. Nie o to jednak chodziło! Chodziło o to, że Merlin Athrawes nie przestał być Nimue Alban i że ta Nimue straciła cały swój wszechświat przed prawie tysiącleciem. A ów Merlin zdawał sobie sprawę, że jego także czeka utrata całego wszechświata - albo przynajmniej tej części, na której mu zależało. Cesarzowa usiłowała już wcześniej (i zawsze bezskutecznie) wyobrazić sobie, jak to jest... co się czuje, wiedząc, że przyjdzie chwila, kiedy wszyscy przyjaciele, wszyscy ci, których się kocha, prędzej czy później odejdą, pozostawiając po sobie pustkę. Albowiem spoglądając teraz w te niesamowite szafirowe oczy - bo były to, do licha, oczy, a nie żadne kulki ze szkła i metalu czy inna technologia! - zrozumiała, że jej i Cayleba znaczenie w przedsięwzięciu Merlina na Schronieniu stanowiło tylko niewielką część motywacji *seijina*.

Cisza zaległa w Jaskini Nimue i w tej ciszy Sharleyan wyciągnęła rękę, aby dotknąć CZAŃ, w którym żyła jej przyjaciółka. I uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że nie urażę cię, doktorze, stwierdzając, że jest tu trochę za chłodno... nawet jak dla dziewczyny z Chisholmu... abym miała się rozebrać przed badaniem.

- O, to nie będzie konieczne - odparł Merlin, odwzajemniając uśmiech i patrząc na nią łagodniejszym spojrzeniem, ponieważ domyślił się celowej zmiany tematu. Przez moment nakrywał drobną dłoń cesarzowej swoją ręką, a potem machnął w stronę fotela do badań. - Wystarczy, że ułożysz się na nim wygodnie. Sowa poprowadzi wszystko.

Sharleyan ponownie przyjrzała się dziwnemu meblowi i wzruszyła lekko ramionami, a *seijin*, widząc to, podał jej rękę. Korzystając z jego pomocy, postawiła stopę na stołku i po chwili już siedziała wygodnie. Powierzchnia fotela do badań ustąpiła pod jej ciężarem, dopasowując się do kształtów ciała, ale Sharleyan nie zwróciła na to większej uwagi. Czegoś podobnego doświadczyła przedtem w skimmerze.

- A zatem mam tutaj tylko leżeć? Nic więcej?

- Nic więcej - zapewnił ją Merlin.

Patrzyła na niego może przez dwie sekundy, po czym zaczerpnęła głęboko tchu i poddała się objęciom fotela medycznego.

- Odpreż się - instruował ją dalej Merlin.

Słyszając zmianę w jego głosie, uniosła nieco brwi. W głęboki męski tembr wdarła się wyższa nuta, sygnalizująca gardłowy kontralt, jakiego Sharleyan nie słyszała nigdy wcześniej. Był to nadal głos Merlina, jednakże cesarzowa zdała sobie sprawę, że oto ma okazję usłyszeć po raz pierwszy głos Nimue Alban. Odwróciła głowę, aby na niego spojrzeć, a on się do niej uśmiechnął. Był to delikatny, smutnawy uśmiech. Widząc go, przekrzywiła głowę w niemym pytaniu.

- Od bardzo dawna nie jestem już Nimue, wasza łaskawość - odezwał się znowu kontralt - ale pomyślałam sobie, że biorąc pod uwagę okoliczności, poczujesz się swobodniej w jej obecności. Poza tym chodzi o coś, na czym Nimue niegdyś bardzo zależało... W jej czasach nikt naprawdę odpowiedzialny nie sprowadzał dzieci na świat, skoro było wiadomo, że Gbaba i tak wszystkich nas zabija...

Sharleyan ponownie wyciągnęła rękę i złożyła dłoń na przedramieniu Merlina/Nimue, prawidłowo odczytując uczucia kryjące się za tym smutnym uśmiechem.

- Zawsze wiedziałam, że nie będę miała dziecka - mówiła dalej Nimue kryjąca się za twarzą i wąsikiem Merlina. Była to zarazem najdziwniejsza i najnaturalniejsza rzecz pod słońcem jaką Sharleyan kiedykolwiek widziała. - Wiedziałam, że nigdy nie będzie mi dane przeżyć macierzyństwa. Nie sądziłam jednak, nawet sobie nie wyobrażałam, że kiedyś stanę obok kobiety, która ma zostać matką. - Nimue zaśmiała się ze smutkiem. - Ironia losu, czyż nie? Zawsze się spodziewałam, że zginę młodo. A tymczasem mam już dziewięćset lat i kto wie... może pożyję jeszcze drugie tyle. Ale nawet wtedy nie dochowam się potomka.

- Och, dochowasz się - przemówiła cicho Sharleyan. - To dziecko jest także twoje, Merlinie... Nimue... Narodzi się i przeżyje swoje życie dzięki tobie. Nigdy bym nie poznała Cayleba, gdyby nie ty. Zginęłabym w klasztorze Świętej Agthy, gdyby nie ty. Charis zamieniłby się w perzynę, gdyby nie ty. Grupa Czworoga... Langhorne... wygraliby, gdyby nie ty. Pismo powiada, że dziecko to coś więcej niż tylko ciało z ciała rodziców, a przecież to, że Pismo kłamie w tak wielu sprawach, nie znaczy, że musi kłamać na temat wszystkiego! Cokolwiek przyniesie przyszłość, Cayleb i ja nigdy nie zapomnimy, że to dziecko zawdzięczamy w równej mierze tobie, jak sobie nawzajem. Obiecuję ci, Nimue - brązowe oczy cesarzowej wejrzały w szafirowe tęczówki, szukając w głębi źrenic nieżyjącej od stuleci kobiety - że pewnego dnia, za naszego życia albo po naszej śmierci, dowie się o tym cały świat.

Patrzyły na siebie przez kilka kolejnych długich chwil, aż w końcu Merlin znowu się uśmiechnął. W tym uśmiechu nadal był smutek, ale nie tylko - była też łagodność, gdy silna

dłoń sprawnie władająca mieczem poklepała drobną kobiecą rękę złożoną na zakutym w zbroję przedramieniu.

- W takim razie może lepiej zabierajmy się już do dzieła?

### .III.

#### ZAMEK MAIRWYN

#### MIASTO SERABOR

#### BARONIA LARCHROS CORISAND

*A niech to, tutaj jest tak zimno, że jaja odmarzłyby nawet górskiemu jaszczurodrapowi!* - zaklął w myślach Sahlahmn Traigair, hrabia Burzowej Warowni, nareszcie schodząc z siodła.

Październik był letnim, nie zimowym miesiącem w Corisandzie, lecz nikt by tak nie pomyślał, widząc zalane marznącym deszczem ulice i dachy Seraboru. Tym samym deszczem, który siekł jego i jego kompanów podczas podróży z gór przez cały miniony dzień. Nie chodziło o to, że hrabia Burzowej Warowni nie nawykł do takiej pogody. Jego hrabstwo leżało nieco na północny wschód od Larchrosu, a on sam był tu częstym gościem na przestrzeni ostatnich lat. Nawet więcej, góry Marthak stanowiły granicę między Larchrosem i hrabstwem Stromeo Wzgórza. Mimo że równik przebiegał dokładnie przez północne pasmo gór Marthak, na najwyższych szczytach śnieg utrzymywał się przez większość roku, a góry Barcor, u których podnóża leżał Serabor, były nawet wyższe od tamtych.

*No, chyba jednak nie dość zimno, żeby ktoś zamarzał naprawdę,* przyznał niechętnie w myślach, rozmasowując sobie tylne rejony ciała, podczas gdy dokoła zsiadali z wierzchowców jego słudzy, gwardziści i towarzysze. *Ale mało brakuje...*

- Witaj na zamku Mairwyn, mój panie! - ozwał się głos i hrabia Burzowej Warowni obrócił głowę. Rahzhyr Mairwyn, baron Larchrosu, był równie mokry... i w równie podłym nastroju... jak hrabia Burzowej Warowni, lecz jakimś cudem jeszcze się uśmiechał. - Jeśli nie zamarłeś całkiem, mogę ci zaoferować miejsce przy kominku i gorącą czekoladę, a może nawet coś mocniejszego...

- No, Rahzhyrze, to najlepszy pomysł, jaki dzisiaj słyszałem! - rzekł hrabia Burzowej Warowni, zdobywając się w odpowiedzi na słaby uśmiech.

- Zatem chodźmy - zaprosił go baron Larchrosu machnięciem dłoni, pozostawiając



zmokniętym stajennym i sługom zadbanie o wierzchowce oraz resztę orszaku.

Hrabia skinął głową i podążył za gospodarzem przez brukowany cegłą dziedziniec stajenny, na wskroś głównego placu zamkowego i po schodach w górę do masywnej, tradycyjnej twierdzy. Zamek Mairwyn liczył sobie ponad trzysta lat i pomimo powiększonych, gomółkowych okien, które zastąpiły dawne otwory strzelnicze, wyglądał na swoje lata. Hrabia Burzowej Warowni osobiście wołał własną, nowszą siedzibę w mieście o nazwie Telitha, z widokiem na lśniące błękitne wody zatoki o tej samej nazwie. A już na pewno wołał swojską scenerię. Jakkolwiek urokliwe mogły się zdawać wąskie i kręte uliczki Seraboru, daleko im było do szerokich i prostych alei Telithy. Wynikało to jednak z tego, że Serabor był położony na wzgórzu, które wszędzie poza baronią nazwano by górą. Ostatnia mila - czy coś koło tego - drogi wiodła stromo pod górę, co okazało się prawdziwym utrapieniem dla ich koni, natomiast sama twierdza wieńczyła solidną kupę granitu, na której dawno temu zaczęto wznosić Serabor.

*Trzeba przyznać, zauważył w duchu hrabia Burzowej Warowni, że ten, kto wybrał to miejsce na zamek, wiedział, co robi. Już samo dotarcie tutaj jest upierdliwe jak mało co. A co dopiero mówić o ataku czy oblężeniu!*

Jeszcze przed trzema miesiącami podobne skojarzenia nigdy nie przychodziły mu do głowy, obecnie jednak nie myślał prawie o niczym innym.

Tymczasem dotarli do szczytu schodów i weszli do wielkiej sali twierdzy. Tam czekała na nich baronowa Larchrosu, uśmiechając się na powitanie, aczkolwiek hrabia Burzowej Warowni najbardziej ucieszył się z tego, że faktycznie żona gospodarza trzymała w dłoniach kielichy z gorącą czekoladą.

- Witaj w domu! - powiedziała Raichenda Mairwyn, zwracając się do męża, po czym przeniosła uwagę na hrabiego. - I ty także, mój panie, bądź po dwakroć pozdrowiony, wstępując w te progi jako gość. Zostałam uprzedzona o waszym przybyciu i pomyślałam sobie, że obaj możecie potrzebować tego... - Podała im parujące kielichy.

Hrabia Burzowej Warowni przyjął poczęstunek z szerokim uśmiechem i natychmiast oplótł palcami przyjemnie ciepły metal.

- Niedościągiona z ciebie gospodyni, pani - odrzekł, po czym uniósł kielich i pociągnął z uznaniem łyk. Ciepło aromatycznego napoju zalało go całego, westchnął więc uszczęśliwiony. - Niech ci Langhorne wynagrodzi w niebiesiech - dodał.

- Dziękuję - zrewanżowała się baronowa i spoważniała nagle. - Ufam, że zasłużę sobie na nagrodę czymś więcej niż marnym kielichem gorącej czekolady - dodała.

- Zaiste, zaiste - zamruczał hrabia, nie spuszczać z niej wzroku. Wyglądało na to, że

jej mąż wtajemniczył ją nawet bardziej, niż hrabia Burzowej Warowni podejrzewał.

*No cóż, przecież od lat wiedziałeś, że za nią szaleje, przypomniał sobie w myślach. A poza tym, choć to niewiasta, jest bystrzejsza od niejednego mężczyzny, którego znasz. Nawet gdyby nie powiedział jej ani słowa, domyśliłaby się prędzej czy później, co jest grane.*

- Na razie - podjęła gospodyni - kazałam przygotować dla was obu kąpiel. Marirah - gestem wskazała jedną ze służących dotąd kryjącą się w mroku wielkiej sali - zaprowadzi cię do twojej komnaty, mój panie. Śmiem przypuszczać przy tej pogodzie, że bagaże masz co najmniej zawilgocone. Na szczęście, jak mi się zdaje, nosisz ten sam rozmiar co mój mąż i mogłam przygotować dla ciebie parę jego strojów. Poślę twoim śladem lokaja, jak tylko wróci ze stajni. A teraz obaj wymoczcie zmarznięte kości w ciepłej wodzie!

\* \* \*

Mniej więcej godzinę później, czując się nieomal grzesznie rozgrzany, hrabia Burzowej Warowni zasiadł wygodnie na wyściełanym miękkim krześle w komnacie, której baron Larchrosu używał jako swojej pracowni. Kleryka gospodarza nigdzie nie było widać, ale ojciec Airwain Yair, kapelan i spowiednik barona, zajmował miejsce na znacznie mniej okazałym krześle po przeciwnej stronie kominka. Deszcz uderzał o szyby i ściekał melodyjnie po rynnach, wylewając się z rzygaczy strumieniami; węgle posykiwały cicho w płytkim palenisku; dekoracyjnie rżnięty kryształ na marmurowym gzymsie kominka migotał w blasku ognia; a wszyscy trzej mężczyźni mieli pod ręką po szklaneczce brandy. Scena była tak idylliczna, jak hrabia Burzowej Warowni potrafił sobie wyobrazić, a jednak Yair przybrał zaniepokojony wyraz twarzy, gdy spojrzał na barona Larchrosu.

- Zatem ci zdrajcy naprawdę postanowili złożyć kapitulację na ręce Cayleba? - zapytał z niedowierzaniem.

- Gwoli szczerości, ojcze - odparł hrabia Burzowej Warowni, zanim gospodarz zdążył odpowiedzieć - rada regencyjna nie miała wielkiego wyboru. Po śmierci Hektora i jego syna, wyjeździe Daivyna z księstwa i rozpoczęciu oblężenia przez siły cesarskie jedynym wyjściem było poddanie się lub stawienie czoła oblężeniu, które mogła zakończyć tylko przegrana.

- To wszystko prawda, Sahlahmnie - baron Larchrosu przemówił tonem znacznie ostrzejszym niż hrabia - ale jednak jest różnica między taktyczną decyzją o poddaniu miasta, a tym, co ojciec Airwain przed chwilą nazwał kapitulacją.

- Nie mogę temu zaprzeczyć - rzekł hrabia Burzowej Warowni ponuro. - Aczkolwiek moim zdaniem nie można odmówić racji hrabiemu Skalnemu Kowadła. Nie mając armii, z marynarką uwiązaną w portach i przy Caylebie zdolnym rzucić do walki takie siły, jakie tylko chciał, w jaki niby sposób mieliśmy go powstrzymać przed osiągnięciem zamierzonego celu?

Już przedtem miał w naszym księstwie tysiące żołnierzy, a przecież nawet nie zaczął wykorzystywać chisholmskich oddziałów, dzięki czemu trzymał w odwodzie całe siły Sharleyan: znacząco większe i sprawniejsze aniżeli te, które przywiódł ze sobą, jeśli wolno mi zauważyć. Dla porównania ja mam mniej niż osiemdziesięciu gwardzistów w swojej osobistej gwardii. A ty ilu?

Baron Larchrosu wydał nieartykułowany pomruk, nie mogąc podważyć argumentu rozmówcy. Książę Fronz, ojciec księcia Hektora, niemal dwie dekady poświęcił na odarcie wielmożów z ich przywilejów feudalnych i zakończył ten proces ostatecznym sukcesem. Hrabia Burzowej Warowni i inni arystokraci dojrżeli mądrość tego ruchu, aczkolwiek dopiero po fakcie. Gdy stało się dla wszystkich jasne, że połączone siły królestw Charisu i Chisholmu, składające się z zawodowych żołnierzy zaciągających się do armii na wiele lat, urządziłyby krwawą jatkę jakimkolwiek gwardiom, jakie mogliby przeciw nim wystawić, w pojedynkę czy też razem. Żaden z nich bowiem nie mógłby sobie pozwolić na utrzymywanie oddziałów zdolnych przeważać szalę zwycięstwa, nawet gdyby książę Fronz nie pomieszał im wcześniej szyków. Czego oczywiście nie omieszkał uczynić, jak już wspomniano. I w czym wykazał się stanowczością, którą po prawdzie jego moźni poddani popierali, bynajmniej nie ciesząc się ze sporadycznych bratobójczych walk, które rozdzierały Corisand z przerażającą regularnością za rządów ojca i dziada księcia Fronza. Tym sposobem nikt nie musiał się nadweręzać utrzymywaniem zbrojnych oddziałów, a książęca armia dbała o to, by jeden wielmoża nie zagroził zanadto drugiemu.

Niestety, restrykcyjna polityka księcia Fronza koniec końców zemściła się na nich wszystkich.

- Największy oddział, jakim ktokolwiek z nas dysponuje... i mówię tutaj nawet o książętach... wystarcza co najwyżej do utrzymania pokoju na własnych ziemiach. A brak nam dostępu do najnowszych broni - bezlitośnie wyliczał hrabia. - Chciałbyś stanąć oko w oko z całym batalionem charisjańskiej piechoty morskiej uzbrojonej po zęby w te ich przekłete strzelby i artylerię?

Zaległa cisza tak dojmująca, że ich uszy świdrowało tylko monotonne bębnienie deszczu o szyby komnaty. Po chwili baron Larchrosu potrząsnął głową.

- Nie - odparł. - Albo przynajmniej... na razie nie.

- Otóż to - podchwycił hrabia Burzowej Warowni.

Przedyskutowali wszystko szczegółowo podczas długiej podróży z Cherayth do Seraboru. Musieli jednak zachować daleko idącą ostrożność, jako że nie mogli mieć pewności, czy ktoś z ich świty nie wkradł się w łaski najeźdźcy, przekazując zasłyszane

opowieści. Do siebie jednak mieli całkowite zaufanie, znali się nie od dziś. I żaden nie miał wątpliwości co do pozycji drugiego. Chociaż...

- Trzeba uważać - dodał cicho hrabia Burzowej Warowni.

- Och, zgadzam się z tobą - odparł baron Larchrosu z grymasem. - O ile się nie mylę, część południowców jest gotowa ustawić się w kolejce, aby obsłonić Caylebowi rękę... albo nawet całować go po tyłku! - Wzdrygnął się z niesmakiem. - I choć nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie, muszę powiedzieć, iż hrabia Skalnego Kowadła może być jednym z nich.

- Naprawdę, mój panie? - Yair potrząsnął głową. - Wyznam, że zawsze go miałem za lojalnego poddanego księcia Hektora. Nie mówiąc o Kościele Matce.

- Ja również, Airwainie - wzruszył ramionami baron Larchrosu. - Obawiam się jednak, że obaj się myliliśmy, co mówię na podstawie jego reakcji na propozycję, aby grać na zwłokę. Albo zmienił strony, albo stał się kompletnym tchórzem! Nie wspominając o tym jego przeklętym synu...

Hrabia Burzowej Warowni zastanowił się, czyby nie napomknąć, że sir Koryn Gahrvai, syn hrabiego Skalnego Kowadła, zachował się tak godnie, jak można by oczekiwać, w obliczu przeważającej przewagi taktycznej Charisjan. Obwinianie Gahrvaia o porażkę jego armii, jakkolwiek mogło polepszyć samopoczucie, nie świadczyło o nadmiernej sprawiedliwości oceniającego.

*Aczkolwiek sprawiedliwe oceny nie są tym, czego w chwili obecnej potrzebujemy najbardziej, przypomniał sobie w duchu hrabia. Skoro więc zwalanie winy na hrabiego Skalnego Kowadła czy sir Gahrvaia ma pomóc zmotywować Rahzhyra i innych, niech i tak będzie.*

- Tak czy siak, ojczy - podjął na głos, spoglądając na księdza - zarówno hrabia Skalnego Kowadła, jak hrabiowie Tartarianu i Północnego Wybrzeża wyraźnie pokazali, że nie zamierzają stawiać żadnego oporu. Natomiast Cayleb... niech będzie przeklęta jego dusza!... przed wyruszeniem do Chisholmu dał jasno do zrozumienia, że każdy, kto nie przysięgnie mu wierności, zostanie pozbawiony tytułów i majątku. - Wzruszył ramionami. - Nie powiem, aby to było dla mnie wielkie zaskoczenie. Przecież właśnie po to wezwał nas wszystkich do Manchyru. Choć to może gorzkie przypomnienie, w końcu to on wygrał tę wojnę, trudno więc się dziwić, że teraz zachowuje się jak na zwycięzcę przystało.

- A ta obelga rzucona w twarz Kościołowi Matce? Ten jego... Kościół Charisu?

- Takie same żądania wysunął wobec duchowieństwa, ojczy - dodał hrabia Burzowej Warowni ciężkim tonem. - Jestem pewien, że już niebawem usłyszysz o tym od swego biskupa... czy też powinienem raczej powiedzieć: od swego nowego biskupa.

- Biskup egzekutor Thomys przystąpił do schizmy? - przeraził się Yair.

- Nie. Tak się składa, że obaj, biskup egzekutor i ojciec Aidryn, zdołali wymknąć się z Manchyru pomimo oblężenia - odpowiedział za gościa baron Larchrosu. - Nikt nie wie, jakim cudem, ale już sam fakt, że tego dokonali, świadczy, iż „cesarz Cayleb” nie jest taki doskonały, jak nam wmawia.

- W takim razie kto...?

- Biskup Klairmant. Czy też raczej: arcybiskup Klairmant - rzekł z goryczą gospodarz, sprawiając, że Yair pobladł nagle.

Klairmant Gairlyng, biskup Tartarianu, jeden z najbardziej szanowanych prałatów księstwa, wywodził się z Ziem Świątynnych, ale nie należał do żadnej ze znaczących dynastii Kościoła Matki. Gdyby tak było, otrzymałby jakieś porządne biskupstwo. Mimo wszystko był odlegle spokrewniony z większością obecnych wikariuszy, co dodawało mu prestiżu i zapewniało posłuch wśród corisandzkiego duchowieństwa. Co gorsza, zasiadał na stolcu biskupim od szesnastu lat, ani razu nie wróciwszy do Syjonu, i zasłużył sobie na renomę niezwykle świątobliwego. To, że ktoś taki uznał prymat. Kościoła Charisu i tego heretyka Staynaira, było poważnym ciosem dla każdego wiernego syna Kościoła Matki. Dlatego Yair uniósł rękę i nakreślił nią znak berła Langhorne’a, na co baron Larchrosu roześmiał się szczerliwie, aczkolwiek bez humoru.

- Obawiam się, że nasz dobry pasterz nie jest jedynym sługą Kościoła Matki, który zmienił barwy... czy też powinienem powiedzieć: sutannę - rzekł głucho. - Sądzę nawet, że to jest najbardziej niepokojące w owym nowym parlamencie Cayleba, kiedy się nad wszystkim lepiej zastanowić. Ponad jedna trzecia... niemal połowa... corisandzkich biskupów wykazała gotowość uznania Kościoła Charisu. - Skrzywił wargi z niesmakiem. - Czyż więc należy się dziwić, że kiedy biskupi dali przykład duchowieństwu, zwykli księża poszli w ich ślady?

- Ja nie... - Yair potrząsnął głową. - Nie mogę w to uwierzyć...

Hrabia Burzowej Warowni wyciągnął rękę i poklepał go uspokajająco po kolanie.

- To jeszcze nie koniec, ojciec - powiedział cicho. - To prawda, że Gairlyng może chcieć... zawrzeć porozumienie z Caylebem i Staynairem. Nie będę udawał, że domyślam się wszystkich jego motywów. Z jednej strony zna hrabiego Tartarianu od lat i z tego co mi wiadomo, ci dwaj zawsze pozostawali w dobrych stosunkach. Być może chodzi częściowo właśnie o to. Zarazem jednak, oddając Shan-wei, co jej się należy, być może pragnie także zapobiec pogromowi tutaj, w Corisandzie. Charisjańska odmiana Inkwizycji z pewnością nie potraktowałaby łagodnie otwartego oporu lojalistów Świątyni.

*Przy czym, przyznał sam przed sobą dość niechętnie, żołnierze tego całego*

*„tymczasowego władcy” generała Chermyna zachowują się o niebo delikatniej, niż oczekiwałem... przynajmniej do tej pory. Kolby muszkietów i bagnety to kiepska sprawa, ale kule to coś znacznie gorszego, a tych na razie jakby skąpili...*

- A może - rzucił kąśliwym tonem gospodarz na ostatnią uwagę hrabiego Burzowej Warowni - Gairlyng, hrabia Skalnego Kowadła i hrabia Tartarianu wszyscy dostrzegli okazję, aby uwić gniazdko dla siebie i Shan-wei w trakcie zapobiegania tym „pogromom”?

- Nie da się tego wykluczyć - zgodził się z nim hrabia Burzowej Warowni.

- Powiedziałeś przed chwilą, mój panie, że ponad jedna trzecia biskupów uznała władzę Staynaira - zwrócił się do gospodarza Yair. - Ale co stało się z tymi, którzy odmówili?

- Większość, jak mi się wydaje, poszukała kryjówek wzorem biskupa Amilaina - odparł baron z uśmiechem, w którym czaiła się odrobina humoru.

Amilain Gahrnaht, biskup Larchrosu, „zaginął w tajemniczych okolicznościach” przed wyjazdem barona do Cherayth. Baron nie orientował się, gdzie dokładnie schronił się Gahrnaht, wiedział jednak, że miejsce jego pobytu jest znane ojcu Airwainowi. Oraz hrabiemu Burzowej Warowni. Był to, prawdę powiedziawszy, główny powód, dla którego arystokrata z taką otwartością rozmawiał w obecności zwykłego księdza, którego właściwie prawie nie znał.

- Odkąd sieć semaforów wpadła w ręce przydupasów Gairlynga - kontynuował już poważniej gospodarz - trudno oczywiście o potwierdzone informacje. Wielu biskupów i wyższych księży wzorem biskupa Amilaina w ogóle nie odpowiedziało na wezwanie cesarza. Tych zastąpiono kandydaturami wysuniętymi przez Gairlynga i Cayleba, jeszcze przed jego odjazdem, natomiast generał Chermyn ogłosił, że każdemu zastępczemu kandydatowi na stolec biskupi będzie towarzyszyła mała armia. Powiada też, że nie będzie masowych aresztowań ani prześladowań lojalistów Świątyni, o ile oni zaniechają otwartej rebelii. - Baron Larchrosu sarknął złowieszczo. - Już widzę, jak długo potrwa ten kruchy pokój!

- Ale... ale przecież Cayleb i Staynair zostali ekskomunikowani - zaprotestował Yair. - Żadna przysięga im złożona nie jest wiążąca w oczach Boga ani żadnego człowieka.

- Nie zapomniałem o tym - zapewnił baron z ponurą miną.

- Ani ja - dodał jego gość. - Przypuszczam, że niemało wasali księcia Daivyna miało to na uwadze. Oraz biskup Mailvyn, bez wątpienia.

- Naprawdę? - Yair wyprostował się na krześle.

Mailvyn Nohrcross był biskupem Barcoru. W przeciwieństwie do Gairlynga pochodził z Corisandu, nie z zagranicy. W istocie był nawet kuzynem barona Barcoru, a z jego rodem liczyło się zarówno duchowieństwo, jak i laikat.

- Nie mogę powiedzieć, abyśmy rozmawiali o tym wprost, ojcze - ciągnął hrabia Burzowej Warowni - lecz faktycznie z paru rzuconych w mojej obecności mimochodem uwag biskupa wywnioskowałem, że zdaniem Mailvyna mądrze będzie tymczasem zapewniać o swej lojalności wobec Kościoła Charisu. A w każdym razie żywię uzasadnioną nadzieję, że uda mu się osłabić ciosy wymierzone w tych, którzy w skrytości ducha pozostaną wierni Świętyni.

- Co więcej - wtrącił baron Larchrosu, wymownie spoglądając na księdza - gdyby ktokolwiek miał okazję przedyskutować to z biskupem Amilainem, biskup Mailvyn zapewne rozciągnąłby dyskretnie swoją protekcję na brata w wierze, który został niesprawiedliwie pozbawiony swego urzędu.

Yair odwzajemnił spojrzenie i po chwili skinął głową, co hrabia Burzowej Warowni skwitował wzruszeniem ramion.

- Prawda jest taka, ojcze Airwainie, że nikt nie ma pojęcia, co się teraz wydarzy. Z tego, co mnie się wydaje, Cayleb zamierza pozostawić sprawy Corisandu w rękach członków rady regencyjnej... której oczywiście doradzać będzie generał Chermyn. Najwyraźniej Cayleb wierzy... a może ma nadzieję... że po tym jak wyjechał do Chisholmu, ludzie zapomną, iż to na jego rozkaz zamordowano księcia Hektora. To właśnie z tego powodu tyle czasu spędzamy w Manchyrze, po tym jak popłynął do Cherayth. Hrabia Skalnego Kowadła, hrabia Tartarianu i cała reszta... wszyscy oni są zajęci wbijaniem nam do głów przekonania, jak to się starają uchować księstwo i bronić jego dawnych prerogatyw. Twierdzą, że Cayleb obiecał im, że pozostawi Corisandowi tyle niezależności, ile będzie możliwe. Ja z kolei pozostawiam twojej domyślności, o jaką niezależność naprawdę mu chodzi!

Ksiądz wyduł pogardliwie nozdrza, a hrabia skwapliwie pokiwał głową.

- Otóż to - potwierdził. - No ale przynajmniej na razie go tutaj nie ma, a sprawą utrzymania wszystkiego pod kontrolą zajmują się z jego polecenia hrabia Skalnego Kowadła i hrabia Tartarianu, natomiast Gairlyng otrzymał gorącego ziemniaka w postaci unormowania spraw kościelnych. Po Manchyrze krążą plotki, że Staynair nawiedzi nas dopiero za kilka miesięcy. Jak dotąd dwaj czy trzej wyżsi księża z Charisu pełnią rolę pomocników arcybiskupa, a przy tym bez wątpienia mają na niego oko w imieniu charisjańskiej Inkwizycji. Jeśli się całkowicie nie mylę, Cayleb zdecydował, że będzie udawał dobrego wujka Corisandu, o ile mu w tym sami nie przeszkodzimy.

- Uważasz, że dlatego zgodził się uznać w Daivynie następcę księcia Hektora, mój panie?

- Częściowo na pewno. - Hrabia Burzowej Warowni machnął wolno ręką, jak

człowiek, który stara się rozwiać mgłę przed sobą. - Gwoli szczerości, nie widzę, aby miał jakąś inną możliwość. Pokazał wyraźnie, że... czy nam się to podoba czy nie... Corisand stał się częścią tego jego Imperium Charisu. Coś takiego to gorzka pigułka do przełknięcia dla naszego księstwa w każdych okolicznościach, a co dopiero po tragicznej śmierci księcia Hektora. Nawet ktoś tak zadufany w sobie jak Cayleb Ahrmahk musiał zdawać sobie sprawę, że w Corisandzie by się zagotowało, gdyby próbował usadzić na tronie którąś ze swoich kukiełek albo osobiście włożyć koronę. A tak zarówno on, jak i powołana przez niego rada regencyjna mogą się ukrywać za plecami księcia Daivyna. Cayleb może nawet udawać, że troszczy się o chłopaka, bo przecież to nie on zamordował mu ojca, czyż nie? Och, nie, oczywiście, to nie był on!... - zakończył z wielką ironią.

- Trzeba wziąć pod uwagę i to - włączył się znowu baron Larchrosu - że pozbywszy się Daivyna z granic księstwa, uniknie być może ostatniego punktu zapalnego tutaj, w Corisandzie. A co gorsza, hrabia Skalnego Kowadła i hrabia Tartarianu mogą udawać, że dbają o prawa Daivyna do korony, miażdżąc wszelkie przejawy oporu! Widzicie, jaka to dla nich doskonała przykrywka? Gdyby zaś Daivyn kiedykolwiek dostał się w łapy Cayleba, ten może postanowić, że już go więcej nie potrzebuje, i posłać śladem ojca oraz brata! Wtedy już na pewno skończylibyśmy z jego kukiełką na naszym tronie!

- Z różnych względów nie zazdroszczę Caylebowi tego kęsa, który uszczknął u nas - stwierdził ze szczerością w głosie Hrabia Burzowej Warowni. - Zamordowanie księcia Hektora i jego najstarszego syna było największą głupotą, jaką mógł popełnić, jednakże Langhorne świadkiem, że nienawiść popycha człowieka do robienia głupstw. Nie znam innej pary ludzi, którzy by się tak nienawidzili jak oni, zwłaszcza po śmierci starego króla Haarahlda w cieśninie Darcos. A w uczucia Sharleyan do księcia Hektora lepiej się w ogóle nie wdawać. Niewykluczone więc, że Cayleb uznał, iż satysfakcja z osobistej zemsty jest warta politycznego bólu głowy, o jaki go przyprawi... A zakładając, że nie wiedział o tym, iż mały Daivyn przebywa poza granicami księstwa, mógł sobie pomyśleć, że dziecko będzie łatwiej kontrolować niż kogoś w wieku młodego następcy tronu, i wówczas zamordowanie zarówno ojca, jak i syna prawdopodobnie wydało mu się sensownym rozwiązaniem. W dodatku, jak słusznie zauważyłeś Rahzhyrze, zawsze mógł się postarać o to, by Daivyna spotkał jeden z nieszczęśliwych wypadków, jakie od czasu do czasu spotykają zawadzających książąt. - Hrabia zrobił ponurą minę i wzruszył ramionami. - Tylko że koniec końców nie dorwał Daivyna i wszystko nagle stanęło na głowie.

- Co twoim zdaniem teraz będzie, mój panie? - zapytał cicho Yair. - To znaczy jak to wszystko się skończy?



- Nie mam pojęcia, ojczy, naprawdę - wyznał hrabia. - Jeśli radzie regencyjnej uda się nad wszystkim zapanować choć przez parę miesięcy i jeśli Gairlyng z resztą kościelnych zdrajców ukuje swego rodzaju rozejm z Kościołem Charisu, doprowadzając do zlania się tych dwóch obcych sobie ciał, Caylebowi może się udać. Myślę jednak, że to mało prawdopodobne, a poza tym - pokazał zęby w uśmiechu całkowicie pozbawionym humoru - osobiście postaram się o zmniejszenie tego prawdopodobieństwa do minimum. Nie można jednak założyć zwycięstwa Cayleba przynajmniej na krótką metę. Na dłuższą zaś... - Wzruszył bezradnie ramionami. - Na dłuższą metę, zakładając, że Daivyn pozostanie na wolności, będziemy mieli świecki zaczątek ruchu oporu. Najpewniej księżę wróci do nas, tak że jakkolwiek kontakt z nim będzie praktycznie niemożliwy, ale przynajmniej pozostanie symbolem. I nie będzie miało znaczenia, czy rada regencyjna zacznie utrzymywać, że działa w jego imieniu, czy nie. Dopóki pozostanie poza granicami księstwa, a jego rzekoma rada regencyjna będzie odbierać rozkazy od Cayleba, taki układ wszystkim wyda się podejrzany. I podobnie sprawa się przedstawia z biskupem egzekutorem Thomysem. Dopóki zachowamy hierarchię prawdziwego Kościoła, choćby i podziemną, jakiegokolwiek próby zbudowania u nas struktur Kościoła Charisu okażą się budowaniem zamków z piasku. Ostatecznie Cayleb i jego sługusy przekonają się, że wywołali powszechne ruszenie Corisandczyków. A kiedy do tego dojdzie, stwierdzą, że rządy, które teoretycznie zaprowadzili, nie są wcale takie silne, jak myśleli. A natura wszelkich powstań jest taka, że jedno zasiewa ziarno drugiego, nawet jeśli kończy się klęską. Zatem gdy Cayleb zostanie zmuszony do wycofania swoich oddziałów z naszej ziemi i odwołania swoich statków z naszych portów, aby rozprawić się z zagrożeniem bliżej własnych granic, ci z nas, którzy ani na moment nie zaprzestali cierpliwej pracy u podstaw, będą w stanie sprawić mu sporą niespodziankę.

## **.IV.**

### **WIEŻA KRÓLA AHRNAHLDA**

#### **PALAC KRÓLEWSKI**

#### **GORATH**

#### **DOHLAR**

Lywys Gardynyr, hrabia Thirsku, bynajmniej nie był w dobrym nastroju, kiedy strażnicy mu salutowali, a ich dowódca z ukłonem otwierał przed nim drzwi.

*Na Langhorne'a, jakże ja nie cierpię polityki, zwłaszcza, dworskiej polityki, pomyślał kwaśno. A już szczególnie w chwilach takich jak ta!*

Witany zaraz za progiem Wieży Króla Ahrnahlda przez gnącego się w ukłonach jednego z niezliczonych sekretarzy księcia Fernu, przyznał z niechęcią sam przed sobą, że mogłoby być o wiele gorzej. W gruncie rzeczy było o wiele gorzej przez ostatnie dwa lata czy coś koło tego. Natomiast teraz sprawy zaczynały przybierać korzystniejszy obrót, przynajmniej dla niego osobiście, za co był niezmiernie wdzięczny. Chociaż żałował, że sytuacja nie polepszyła się nieco wcześniej... i z nieco mniej katastrofalnymi skutkami dla wszystkich dokoła.

Sekretarz prowadził go krótkim szerokim korytarzem, skręcił za róg, zszedł po niewysokich schodach i zapukał delikatnie do wspaniałych, rzeźbionych drzwi.

- Wejść! - rozległ się czyjś tubalny głos dobiegający z drugiej strony skrzydła, które sekretarz, usłyszawszy przyzwolenie, pchnął.

- Przybył hrabia Thirsku, wasza miłość - obwieścił.

- Doskonale! Doskonale! Zapraszam dalej!

Hrabia Thirsku usłuchał wydanego tym samym tubalnym głosem wezwania i wyminawszy sekretarza, wkroczył do luksusowego, zalanego światłem słonecznym biura. Ściany Wieży Króla Ahrnahlda były grube na trzy stopy, jednakże jakiś renowator wpadł na pomysł wycięcia w nich okien sięgających niemal od posadzki do sufitu, co musiało się odbyć sporym nakładem pracy, zważywszy na solidność murów. Wszelako opłaciło się, gdyż teraz okna napełniały komnatę nie tylko blaskiem, ale także złudzeniem ciepła, które było mile widziane przy panującej na zewnątrz lodowatej aurze. Oczywiście prawdziwy ogień płonący w kominku miał z tym wrażeniem jeszcze więcej wspólnego, za co gość też był wdzięczny nawet pomimo tego, że z paleniska unosił się dym.

- Dziękuję, że zechciałeś przybyć tak prędko na moje wezwanie - odezwał się po raz trzeci właściciel tubalnego głosu, wstając zza biurka.

Samyl Cahkrayn, książę Fernu, był mężczyzną średniego wzrostu, o masywnym torsie, wciąż potężnych barkach i umięśnionych ramionach pomimo lat spędzonych w miejscach takich jak to. Włosy przyprószyło mu srebro, lecz nadal były gęste i kręcone, mimo iż miał parę lat więcej niż siwiuteńki i pomarszczony hrabia Thirsku. Jego dłonie zwracały na siebie uwagę zadbanie i brakiem odcisków od miecza, którymi chlubił się w młodości, zanim odkrył, że pióro to broń znacznie skuteczniejsza i bardziej mordercza od jakiegokolwiek oręża, jakie był nosił.

- Jestem do usług jego królewskiej mości, wasza miłość - zapewnił hrabia Thirsku,

skłaniając się przed pierwszym doradcą króla Dohlaru, po czym dodał: - Oficerowie marynarki cenią czas swój i cudzy jak mało kto. - Prostując się, przybrał twarz, w raczej słaby uśmiech. - Przyływy i odpływy nie lubią czekać, a wiatry mają w zwyczaju wiać tam, gdzie im się podoba, więc marynarz nie może zwlekać, jeśli chce wykorzystać ich przychyłność.

- Ach tak. - Księżę Fernu odpowiedział na uśmiech hrabiego grymasem jeszcze wątlejszym, a następnie wskazał ręką na drugiego mężczyznę, który razem z nim czekał na gościa. - Zdziwiający zbieg okoliczności... Księżę Thorastu i ja właśnie rozmawialiśmy na podobne tematy. Nieprawdaż, Aibramie?

- Tak - odparł zapytany, Aibram Zaivyair, księżę Thorastu. Ten nie uśmiechał się wcale, a ukłon, który złożył przed przybyłym, przypominał raczej zdawkowe kiwnięcie głową.

- Naprawdę, wasza miłość? - zapytał hrabia Thirsku, lekko unosząc brew i popatrując na ponuraka. Być może nie było to najrozsądniejsze z jego strony, ale nie mógł sobie odmówić nuty niewinnej ciekawości w swoim pytaniu.

- Tak - potwierdził księżę Fernu, zanim zdążył to uczynić tamten. Choć użył tego samego słowa co księżę Thorastu, w tonie jego głosu dała się wyczuć odrobina zniecierpliwienia.

Hrabia Thirsku dosłyszał ją i przeniósł spojrzenie na mówiącego. To, co dostrzegł w jego oczach, było na tyle jasne, że mógł tylko skinąć głową.

*Pewnie ma rację, zreflektował się hrabia Thirsku w duchu. Chociaż bardzo bym chciał wiedzieć, jak ta gadzina się wije, będę musiał z nim przecież współpracować, co znaczy, że posypywanie mu ran zbyt dużą ilością soli nie wyjdzie mi na dobre. Ale do licha, należało mu się!*

- Skoro tak twierdzisz, wasza miłość - rzekł na głos. - Jeśli mam być szczery, wcale mnie to nie dziwi. Mało kto z nas dysponuje obecnie czasem w nadmiarze.

- To prawda - zgodził się z nim księżę Fernu i gestem wskazał wielki fotel ustawiony naprzeciwko jego biurka. - Spocznij, proszę, mój panie. Mamy wiele do przedyskutowania.

- Oczywiście, wasza miłość.

Usiadł na wskazanym miejscu i z uważną miną odchylił się na oparcie. Mimo że pisemne wezwanie księcia Fernu nie wyjaśniało powodów, dla których miał się stawić bezzwłocznie przed pierwszym doradcą króla, hrabia Thirsku nie miał większych wątpliwości w czym rzecz. A widok czekającego wraz z doradcą księcia Thorastu - wyglądającego jak jaszczurkot wydalający rybie ości - tylko utwierdził go w pierwotnych przypuszczeniach. Niewiadomą pozostawało tylko, jak dalece zostanie zrehabilitowany.

- Jak ci zapewne wiadomo, mój panie - podjął książę Fernu po chwili - dowódca wojsk Kościoła Matki, wikariusz Allayn, zdecydował przed paroma miesiącami, że nasze plany dotyczące budowy statków muszą ulec pewnym... modyfikacjom.

*Cóż, chyba można tak to ująć, pomyślał kwaśno hrabia Thirsku. Bo nikt raczej nie powie: „Ten pieprzony idiota w końcu wyjął palec z dupy i zdał sobie sprawę, że stracił Langhorne jeden wie ile czasu na budowanie nie takich statków jak trzeba”, nawet jeśli podobne stwierdzenie bardziej akuratnie oddawałoby rzeczywistość.*

- Aczkolwiek jestem pewien, że część galer, któreśmy zbudowali, znajdzie zastosowanie - ciągnął książę Fernu - wydaje się oczywiste, że tak jak sugeruje wikariusz Allayn, będą nam potrzebne galeony, gdy nadejdzie czas, by Kościół Matka stawiał czoło apostatom.

*Co - jeśli mnie pamięć nie myli - przedstawiłem niemal słowo w słowo tak samo w swoim szczegółowym raporcie sprzed osiemnastu miesięcy, zauważył w myślach hrabia Thirsku.*

Naturalnie dano mu taktownie, acz stanowczo - bardzo stanowczo nawet - do zrozumienia, że ma trzymać gębę na kłódkę w sprawie tego, jak długo wikariusz Allayn Magwair ignorował jego ostrzeżenia na temat szkód wyrządzonych przez ciężkie, uzbrojone w działa galeony Cayleba Ahrmahka dohlariańskim galerom w trakcie bitw pod Skalistym Klifem i w Cieśninie Skalistej.

- Jak z pewnością wiesz, mój panie, wikariusz Allayn zarządził znaczące zmiany w tej kwestii przed sześcioma miesiącami - kontynuował pierwszy doradca króla Dohlaru. - Parę pięciodni zabrało zintegrowanie nowych planów z naszymi działaniami tutaj... - hrabia Thirsku wiedział, że zabrało to dokładnie dwa miesiące - ...ale ostatecznie udało nam się przemodelować, i to w sposób znaczący, budowane równocześnie galeony kupieckie. Obecnie trwają prace nad paroma całkowicie nowymi jednostkami, jak również nad przeróbkami w tych już zaczętych wcześniej. Książę Thorastu... - skinął głową w kierunku wymienionego mężczyzny - donosi mi, że pierwszy z przerobionych galeonów będzie gotów do wodowania w ciągu miesiąca, a wkrótce potem dołączy do niego pierwszy z całkowicie nowych okrętów, aczkolwiek trzeba się spodziewać, że ożaglowanie ich i przygotowanie do czynnej służby zajmie nieco więcej czasu. Kiedy jednak będą już w pełni sprawne, zamierzam powołać ciebie, mój panie - wbił wzrok w hrabiego Thirsku - na ich dowódcę.

- To dla mnie zaszczyt, wasza miłość - rzekł cicho hrabia. - Pozwól jednak, że zapytam, czy będę miał nimi dowodzić w imieniu króla Rahnylda czy też Świątyni?

- A czy to ma jakieś znaczenie? - zirytował się książę Thorastu.

Hrabia popatrzył na niego i odpowiedział spokojnie:

- Pod wieloma względami nie, wasza miłość. Ale jeżeli się nie mylę co do liczby okrętów, jakie nam przyjdzie obsadzić załogą, konieczne będą zachęty dla marynarzy. Samo zamustrowanie tylu oficerów może się okazać dostatecznie trudne, o ile w ogóle będzie możliwe, co zaś do doświadczonych marynarzy... tych może zwyczajnie zabraknąć.

Książę Thorastu zacisnął wargi. Chciał coś powiedzieć, lecz spojrzawszy na księcia Fernu, zmienił zdanie.

*Chyba dobrze, że nie wspomniałem głośno o tym, że jednym z głównych powodów, dla których brak nam marynarzy, jest jego przygłupi szwagier, Mahkai, z przekąsem skomentował w skrytości ducha hrabia. Szczególnie że od dwóch lat starał się mnie obarczyć winą za to fiasko! W dodatku to, co korsarze Cayleba uczynili z naszą flotą handlową - na jego wachcie, by tak rzec - także w niczym się nie przysłużyło stanowi osobowemu naszej marynarki. Nie wspominając już o znaczącym obniżeniu liczby gotowych przemodelowanych galeonów, o których mówił przed chwilą książę Fernu...*

- Do czego zmierzasz, mój panie? - zapytał go książę Fernu, jakby był nieświadom myśli kłębiących się w głowie hrabiego, co oczywiście nie mogło być prawdą.

- Zmierzam do tego, wasza miłość, że to wielka różnica, czy zaciąg będzie prowadziło królestwo Dohlaru czy duchowieństwo Kościoła Matki. Aczkolwiek nikt nie lubi tego przyznawać, prawdą jest, że wielu z poddanych jego królewskiej mości unika jak ognia punktów rekrutacyjnych naszej floty, i z przykrością należy zauważyć, iż jeszcze więcej ludzi wspiera ich w tym względzie. Szczerze mówiąc, nie dziwię się temu stanowi rzeczy, wiedząc, jaki element służy na naszych okrętach wojennych. Z tego też powodu uważam, że ludzie unikający służby na morzu podejną do naszych zachęt z większą otwartością, jeśli zaciąg będzie prowadzony w imieniu Kościoła Matki. Co więcej, uważam, że ci, którzy... nadal się wahają, pozbędą się wszelkich obaw, mając pewność, że przysłużą się sprawie Kościoła.

Książę Fernu zamyślił się głęboko. Chociaż nigdy nie służył na morzu, dochrapał się wysokiego stopnia w królewskiej armii, zanim zajął się robieniem kariery w polityce. Dlatego wiedział, o czym hrabia naprawdę mówi.

- Wiem, o co ci chodzi, mój panie - przyznał po kilku sekundach milczenia. - Niestety w tej akurat chwili nie jestem w stanie ci odpowiedzieć.

- Czy mogę mówić szczerze, wasza łaskawość?

- Oczywiście, mój panie. - Książę Fernu odchylił się lekko na fotelu, mrużąc oczy.

- Wasza łaskawość, zdaję sobie sprawę z tego, że jego świątobliwość wielki wikariusz Ereka nie wydał jeszcze dekretu o wypowiedzeniu Charisowi świętej wojny. - Książę Thorastu

zesztywniał w tym momencie, ale doradca króla nawet nie drgnął, więc hrabia Thirsku kontynuował tym samym tonem: - My jednak, jako ludzie, którzy odpowiedzą na wezwanie ze strony Kościoła Matki, gdy nadejdzie na to pora, powinniśmy nazywać pewne rzeczy po imieniu. Nie ma przecież w tym królestwie człowieka, który nie wiedziałby, po co budujemy tak potężną flotę. Zważywszy na działania Charisjan w ciągu kilku minionych lat, pewne jest, że Świątynia musi wystąpić przeciw Caylebowi i Sharleyan. I to naprawdę szybko. Nasi wrogowie także o tym wiedzą, o ile wszystkich szpiegów Imperium nie dotknęła nagle głuchota i ślepotą. Dlatego uważam, że powinniśmy od samego początku głosić, komu i w jakim celu te okręty i ich załogi mają służyć. Udawaniem, że jest inaczej, nikogo nie zwiedziemy, tylko utrudnimy sobie rekrutację nowych ludzi. W zaistniałej sytuacji wolałbym, aby moi oficerowie i marynarze byli świadomi swego powołania. I to od samego początku.

Po tych słowach w komnacie przez prawie minutę panowała grobowa cisza. Nawet książę Thorastu wyglądał na bardziej zamyślonego niż wojowniczego - choć to wrażenie dość szybko przyszło. W końcu doradca króla skinął głową.

- Po raz kolejny przyznaję, że słusznie prawisz - stwierdził. - Byłbym nawet skłonny zgodzić się z tobą. Niestety, nie otrzymałem w tej materii żadnych instrukcji od dowódcy wojsk Kościoła Matki ani kanclerza. A bez nich taki ruch wydaje mi się mocno... powiedzmy, że mocno przedwczesny. Nie powinniśmy okazywać aż tak wielkiej wiary w nieuniknioną wybuch świętej wojny. I z tego właśnie powodu nie pozwolimy ci na powoływanie się przy zaciągu na autorytet Kościoła Matki. A w każdym razie nie teraz. Poproszę jednak niezwłocznie biskupa egzekutora Ahraina, by skonsultował się w tej sprawie z wikariuszem Allaynem. Poinformuję też Świątynię drogą semaforową, że uznajemy to rozwiązanie za najrozsądniejsze. Chociaż wielki wikariusz nie podjął jeszcze decyzji o wypowiedzeniu świętej wojny Charisowi, wikariusz Allayn - doradca wolał nie wymieniać w tym momencie nazwy „Grupa Czworoga” - zgodzi się zapewne z tym, że wszyscy już i tak wiedzą, iż budujemy tę flotę, by służyła Kościołowi Matce.

- Dziękuję, wasza łaskawość - wymamrotał hrabia Thirsku.

- Nie ma za co. - Książę Fernu obdarzył go uśmiechem, który wydawał się szczery, a potem przeszedł do omawiania kolejnych tematów. - Może jeszcze tego nie wiesz - dodał pośpiesznie - ale wielki inkwizytor uznał, że nowe sposoby osadzania dział nie naruszają w najmniejszym stopniu żadnego z Zakazów. Jestem pewien, że wszyscy, jak tutaj siedzimy, wolelibyśmy, aby ogłoszono to znacznie szybciej, niemniej już przystępujemy do wyposażenia naszych nowych armat w tak zwane lawety. Pragnę was też poinformować, że otrzymaliśmy zgodę na przerobienie całej istniejącej artylerii. Choć nie znam się na tych

sprawach na tyle, by rozumieć wszystkie detale, pewien jednak jestem, że tak doświadczony oficer jak pan będzie wiedział, o co chodzi. Co więcej, wprowadzamy także nowy system ożaglowania, a nasi rusznikarze lada chwila rozpoczną produkcję nowoczesnych muszkietów. To wszystko razem wzięte pozwoli nam na...

## **.V.**

### **PAŁAC ARCYBISKUPI**

#### **TELLESBERG**

#### **CHARIS**

- Jeszcze szklaneczkę, Bynzhamynie? - zaproponował arcybiskup Maikel Staynair, wyciągając długą rękę po karafkę z brandy i unosząc sugestywnie jedną z przyprószonych siwizną brwi.

- Przypuszczam, że w zaistniałych okolicznościach kolejna szklaneczka nie zawadzi, eminencjo - przystał zgodnie Bynzhamyn Raice, baron Gromu.

Był to potężny mężczyzna o kompletnie łysej głowie i wydatnym nosie, który z nizin dostał się aż do obecnej pozycji w radzie królewskiej Starego Charisu. Chociaż oficjalnym cesarskim doradcą do spraw wywiadu został książę Nahrman ze Szmaragdu, baron Gromu służył jako szef wszystkich szpiegów króla Haarahlda jeszcze zanim Cayleb objął tron, a następnie zajmował różne, ale zawsze kluczowe dla bezpieczeństwa nowo powołanego do istnienia Imperium Charisu stanowiska. Działo się tak, ponieważ był bardzo dobry w tym, co robił, aczkolwiek niedawno zyskał przewagę, o jakiej przedtem nawet mu się nie śniło.

Obecnie siedział ze Staynair'em w gabinecie hierarchy na trzecim piętrze pałacu arcybiskupiego nieopodal katedry w Tellesbergu, przysłuchując się dolatującym przez otwarte okna, brzęczącym w tle odgłosom pogrążającego się w nocnej ciszy miasta. Wieczór był stosunkowo chłodny - przynajmniej jak na październik w Tellesbergu - co przyniosło pewną ulgę po upałach dnia, a hałasy, jako się rzekło, nie były zbyt natarczywe. Miasto nigdy zupełnie nie cichło, nigdy też nie zasypiało. Niemniej pod wieczór robiło się w nim spokojniej, a w dodatku pałac stał w pewnym oddaleniu od doków i dystans też czynił swoje.

Oficjalna rezydencja arcybiskupa mieściła się na terenie okazałego parku, na który składały się prawie trzy akry zadrzewionej i pięknie ukształtowanej ziemi, wartej niemałą fortunę, wzięwszy pod uwagę aktualne ceny nieruchomości w Tellesbergu. Sam pałac zaś był

niezwykle okazałą budowlą, wzniesioną ze złocistego marmuru Ahrmahków i zaprojektowaną tak, by stanowiła godną siedzibę dla najważniejszego z tutejszych hierarchów Kościoła Matki, aczkolwiek gusty Staynaira w tej mierze były znacznie skromniejsze niż większości jego poprzedników. Przykładowo wspaniałe wyposażenie, którym poprzedzający go na tym stanowisku prałat zapełnił gabinet, Staynair kazał usunąć już w początkach swego urzędowania. Zastąpił je meblami, które wraz z Ahrdyn Staynair, swoją nieżyjącą od dawna żoną, zgromadzili przez wspólne lata pożycia. Były one dobrane ze smakiem, a przy tym wysłużone, bardzo wygodne i najwyraźniej wciąż ulubione.

Maikel Staynair spoczywał, na wół leżąc, w przepaścistym fotelu, który jego żona Ahrdyn zamówiła dlań wkrótce po tym, jak został wyświęcony na biskupa. Od tamtej pory dwukrotnie oddawał go do renowacji, a sądząc po stanie obicia w tej chwili, czekała go kolejna zmiana wierzchniego materiału. Powód tego leżał smacznie zwinięty w kłębek na jego kolanach, mrucząc z ukontentowania. Śnieżnobiały jaszczurkot, którego pazurki pocięły na strzępy tapicerkę drapaką o kształcie fotela i którego imię także brzmiało Ahrdyn, mimo iż zdecydowanie był samcem, zdawał się nie mieć cienia wątpliwości, kto tu jest czyim panem, i to bez względu na to, co sobie myśleli ci niemądry ludzie.

Ahrdyn jaszczurkot podniósł właśnie łepkę i przerywając w pół nuty mruczenie, spojrzał z wyrzutem na Staynaira, który musiał się odchylić w bok, aby napełnić ponownie podsuniętą przez gościa szklaneczkę. Na szczęście z punktu widzenia jaszczurkota i jego priorytetów, jak również należytego porządku wszechświata, proces napełniania szklaneczki barona Gromu nie trwał długo i po chwili anatomiczny materac przybrał znowu odpowiednią pozycję. I co ważniejsze, dłonie, przez moment zajęte czym innym, podjęły się na powrót głaskanie.

- To wielka ulga widzieć, że przewodnik duchowy Imperium jest tak solidnie zbudowany - zauważył baron Gromu, wskazując swoją szklaneczką na duże, silne dłonie metodycznie gładzące jedwabiste ciało jaszczurkota. - Odrazą napawa mnie myśl, że mógłbyś zostać zmanipulowany czy też... Boże broń!... zdominowany.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odparł z łagodnym uśmiechem Staynair.

- Och, oczywiście, że nie masz! - parsknął baron Gromu, po czym pociągnął kolejny łyżeczek brandy, mlasnął językiem i posłał ognistą słodycz w dół przetyku. Rozkoszował się przez moment tym uczuciem, ale naraz spoważniał, przypomniawszy sobie prawdziwy powód swojej wizyty.

- Rozumiem, z czego wynika twój plan podróży, Maikelu - rzekł z powagą - lecz skłamałbym, mówiąc, że nie mam co do niego żadnych zastrzeżeń.



- A ja rozumiem, że człowiek na twoim stanowisku okazałby się nieodpowiedzialny, gdyby ich nie miał. - Staynair wzruszył lekko ramionami. - Po prawdzie, ja sam najchętniej nie ruszałbym się z domu. Nie tylko z powodu czyhających wszędzie zabójców ani bardziej prozaicznych niedogodności, ani nawet tego, że najpewniej przez większość czasu będę się niewymownie nudził. - Skrzywił się. - Z drugiej strony, nawet wzięwszy pod uwagę wszystkie te argumenty za pozostaniem w domu, niczym nie mógłbym usprawiedliwić decyzji o porzuceniu myśli o podróży. Po pierwsze, mam pewne obowiązki jako arcybiskup Kościoła Charisu. Mielśmy aż nadto arcybiskupstw nienawiedzanych przez arcybiskupów przez okres dłuższy niż miesiąc czy dwa miesiące w roku! Dzieci boże zasługują na coś więcej i moim zamiarem jest dopilnowanie, aby to dostały.

Staynair zacisnął wargi, spojrzenie mu pociemniało. Baron Gromu wiedział chyba najlepiej ze wszystkich ludzi na świecie, że nie ma na Schronieniu łagodniej usposobionego człowieka niż tenże arcybiskup. W tej chwili jednak, patrząc w jego oczy i widząc wyraz jego twarzy, nie po raz pierwszy uświadomił sobie, jak wielką przepaść dzieli słowa takie, jak „łagodny” i „słaby”.

- Nawet gdyby to wszystko się nie liczyło - podjął Maikel Staynair - a liczy się, o czym nam obu dobrze wiadomo, wierni poza granicami Starego Charisu muszą zacząć przypisywać memu nazwisku jakieś oblicze. Czy też raczej: memu urzędowi. Grupa Czworoga z pewnością szykuje się już do kontrataku. Gdy ów nastąpi, Kościół Charisu przejdzie pierwszą prawdziwą próbę. A jeśli mam być szczery, nie jestem wcale pewien, czy podoła tej próbie. Nie mam wątpliwości co do jego siły i stabilności tutaj, w Starym Charisie, i raczej nie żywię obaw co do jego stanu w Szmaragdzie i Chisholmie, opierając się na korespondencji i... innych dostępnych nam metodach wywiadowczych. Ale byłoby niegodziwością wymagać od ludzi takich, jak arcybiskup Fairmyn ze Szmaragdu czy arcybiskup Pawal z Chisholmu, aby stali niezachwianie, kiedy nadciągnie burza, i jeszcze utrzymali za sobą swoje duchowieństwo, ani razu nie zobaczywszy nawet swego przełożonego...

- Jak już wspomniałem, rozumiem to wszystko - wtrącił baron Gromu. - Tylko że mnie bardziej niż ciebie niepokoją owi czyhający wszędzie zabójcy. Wiem, że będziesz miał przy sobie gwardzistów i że trudniej jest trafić ruchomy cel, jakim z pewnością będziesz, nie zagrzewając nigdzie miejsca dłużej, tak więc raczej nie grozi ci zorganizowany zamach, jak w wypadku Sharleyan. Jednakże niczego nie można wykluczyć, Maikelu, i czeka mnie bardzo niespokojny czas, dopóki nie dostaniesz się pod skrzydła Merlina w Chisholmie albo nie wrócisz tutaj, gdzie ja mogę mieć na ciebie oko. Na świecie jest nazbyt wiele osób, pomijając

już członków Grupy Czworoga, którzy życzą ci rychłej śmierci. O ile nic mi w tym nie przeszkodzi, postaram się, żeby nie mieli wiele do gadania, jeżeli ci to odpowiada.

Obdarzył arcybiskupa surowym spojrzeniem, które przeistoczyło się w coś w rodzaju wyrazu frasunku, gdy Staynair odpowiedział mu niezachwianą pewnością siebie. Mierzyli się wzrokiem przez sekundę albo dwie i to baron Gromu pierwszy zrezygnował z tej walki.

- Poza tymi zmartwieniami - podjął - wiążącymi się z twoją dłuższą nieobecnością w Starym Charisie i niemającymi wiele wspólnego z Kościołem... ani z czyhającymi wszędzie zabójcami... jest jeszcze coś, o czym doskonale wiesz. Po pierwsze...

Postukał się po płatku ucha palcem wskazującym, na co Staynair kiwnął głową z miną poważniejszą niż jeszcze przed chwilą. Podobnie jak baron Gromu miał w uchu nieomal niewidoczną słuchawkę stanowiącą część tego, co Merlin Athrawes nazywał komunikatorem. Gwoli prawdy, sam zarekomendował barona - jako jedną z pierwszych osób godnych wtajemniczenia i dopuszczenia do Kręgu Cayleba - do noszenia urzędu, które Merlin zmajstrował po zamachu na Sharleyan, w którym cesarzowa nieomal postradała życie.

W ciągu prawie pięciu miesięcy od dnia zamachu zarówno Staynair, jak i baron Gromu przywykli do korzyści płynących z używania komunikatorów. Arcybiskup nieraz myślał, że baron czerpie z ich używania nawet więcej korzyści niż on sam, co specjalnie nie dziwiło, zważywszy na naturę pełnionych przezeń obowiązków. Będąc duchownym, Staynair nie mógł być zachwycony wścibstwem, jakie umożliwiały SAPK-i Merlina, wszakże wiedział, że *seijin* - przy aprobachie pary cesarskiej - zainstalował filtry (cokolwiek to było), które miały ograniczać zbędną inwigilację. Z tego powodu - i mimo że właściwie każdy człowiek mógłby czuć pokusę, spędziwszy na szpiegowaniu niemal całe dorosłe życie, jak baron Gromu - Maikel Staynair ufał baronowi na tyle, by nie zamartwiać się niepotrzebnie ewentualnymi nadużyciami z jego strony. Zdawał sobie uprawę, że baron Gromu każdej nocy spędza godzinę na wymianie informacji z Sową i przeglądaniu bieżących raportów, ale miał też świadomość, że większość roboty odwała za niego komputer taktyczny. Baron Gromu wkraczał do akcji wyłącznie wtedy, gdy zgadzały się parametry - ustawione tak, aby zwracać jego uwagę na sprawy ewidentnie istotne, dzięki czemu był w stanie unikać zbędnego podglądactwa.

Niestety osoby mające dostęp do tych samych informacji co oni dwaj można było policzyć na palcach jednej ręki. (Zakładając, rzecz jasna, że Ahrdyn byłby skłonny uwolnić jedną z dłoni Staynaira na dość długo, aby dało się przeprowadzić kalkulację). Tak czy owak rachunek przedstawiał się następująco: jedynymi ludźmi wyposażonymi w komunikator byli: sam Staynair; baron Gromu; doktor Rahzhyr Mahklyn z Królewskiej Akademii; admirał sir

Domynyk Staynair, baron Skalistego Klifu (i brat Maikela Staynaira); sir Ehdvyrd Howsmyn, niewątpliwie najzamożniejszy poddany Imperium Charisu; oraz ojciec Zhon Byrkyt, przeor klasztoru Świętego Zherneau. Nie brakowało innych, których Maikel chętnie by widział dodanych do tej listy, niemniej decyzja nie należała ani do niego, ani nawet wyłącznie do Cayleba i Sharleyan. Zresztą wbrew własnej niecierpliwości musiał się zgodzić z decyzją cesarza w tej kwestii. Jakkolwiek irytujące to było, przyznawał, że w zaistniałych okolicznościach priorytetem przy rozszerzaniu wewnętrznego kręgu jest zachowanie wzmożonej ostrożności.

*Chyba tylko dzięki temu toleruję ojca Zhona i resztę bractwa, pomyślał. Ktoś z nas musi być głosem rozsądku i wołać o wstrzeźliwość. Bądźmy szczerzy, Maikelu. Obecnie ważniejsze jest niedopuszczenie do Kręgu kogoś, kto mógłby nas zdradzić, niż wciągnięcie na listę wtajemniczonych każdego, kogo byśmy tam chętnie widzieli.*

- Domynyk już opuścił królestwo - kontynuował tymczasem baron Gromu. - Howsmyn jest raczej przykuty do swoich odlewni, które niech przypomnę, na wypadek gdybyś o tym zapomniał, znajdują się niemalże tysiąc sto mil od miejsca, w którym teraz siedzimy, ojciec Zhon prowadzi zaś żywot pustelniczy tak, jak tylko to możliwe w Tellesbergu. Zatem gdy wyjedziesz, cesarz z cesarzową będą mogli się kontaktować bezpośrednio tylko ze mną i Rahzhirem. Rahzhyr nie jest członkiem rady, na razie przynajmniej, a ja, pozwól, że będę do bólu szczery, nie mam takiego respektu jak ty u Rayjhisa. Jesteśmy przyjaciółmi i kolegami, ufa mi w wielu sprawach. Ale ciebie naprawdę szanuje. To samo dotyczy reszty członków rady. Jeśli obiorą zły kierunek, nie powściągnę ich tak łatwo, jak ty byś to zrobił.

- To prawda.

Staynair kiwnął głową i jego spojrzenie na moment znów zmroczniało. Baron miał całkowitą rację w sprawie jego wpływu na sir Rayjhisa Yowance'a, hrabiego Szarej Zatoki i pierwszego doradcę królestwa Starego Charisu. Znał się z Rayjhisem praktycznie od chłopięctwa i miał do niego właściwie nieograniczone zaufanie. Nie był to wszakże jedyny powód, dla którego hrabia Szarej Zatoki niemal bezgranicznie ufał osądom arcybiskupa Maikela.

*Podobnie jak nie tylko z tego powodu nie zaproponowałem, aby dopuścić go do wewnętrznego kręgu, pomyślał Staynair ze smutkiem, po czym skrzywił się na własną perwersyjność. To doprawdy głupie, żeby arcybiskup ubolewał z powodu głębi wiary pierwszego doradcy króla!* - napomniał się ostro w duchu.

Być może była to głupota, lecz nawet ta świadomość nie zmniejszała jego ubolewania,

a Staynair był nazbyt uczciwym człowiekiem - także wobec samego siebie - aby temu zaprzeczać. Jak każdy inny mieszkaniec Schronienia hrabia Szarej Zatoki został wychowany jako dziecko Boga Oczekiwanego i pomimo palącej nienawiści do Grupy Czworka i pozostałych osób, które pozwoliły na korupcję w łonie Kościoła, nie stracił wiary. Wiara stanowiła integralną, najgłębszą część jego osobowości i przesądzała o tym, jakim był silnym i honorowym człowiekiem.

Właśnie dlatego sir Rayjhis Yowance nie mógł nigdy usłyszeć prawdy o archaniele Langhornie ani o całym wymyślnym kłamstwie, na którym wyrósł jego Kościół. Coś takiego by go zabiło. Choć może jednak nie... Był silnym człowiekiem, a jego wiara była potężna. Istniała szansa, że z jej pomocą oparłby się sztormowi. Staynair nie miał jednak wątpliwości co do tego, że walka byłaby potworna. W najlepszym razie wpędziłaby go w kryzys sumienia, który spętałby jego zdolność podejmowania trafnych decyzji - a tym samym zmieniła go nie do poznania i przekreśliła jego wyjątkowość na zajmowanym obecnie stanowisku.

Osobiście Staynair poczułby wielką ulgę i zmówił modlitwę dziękczynną, gdyby jedynym kosztem okazała się utrata najskuteczniejszego pierwszego doradcy, jaki służył Charisowi na przestrzeni dwóch ostatnich pokoleń. Być może wykazywał się krótkowzrocznością jako arcybiskup, lecz był zwykłym księdzem o wiele dłużej niż biskupem czy arcybiskupem i nadal co wieczór modlił się, aby sprawy wagi państwowej nigdy nie przesłoniły mu dobra poszczególnych dusz. I ów ksiądz bardzo się martwił, że utraciliby znacznie więcej niż tylko pierwszego doradcę. I na tym polegał prawdziwy dylemat Maikela Staynaira, sługi bożego.

Arcybiskup nie miał najmniejszych wątpliwości, iż Bóg dostrzeże i doceni siłę wiary kogoś takiego jak Rayjhis Yowance bez względu na to, jak owa wiara została wypaczona przez osoby powołane w pierwszej kolejności do troszczenia się o jego duszę. Przy jakiejś okazji Staynair powiedział Merlinowi Athrawesowi, że jakkolwiek wiele Bóg może wymagać od swoich dzieci, czymkolwiek On jest, na pewno nie charakteryzuje się głupotą. I nigdy by nie potępił Rayjhisa za wierzenie w to, w co kazano mu wierzyć od dziecka.

Jak jednak - i kiedy - Staynair i inni, tacy jak on, ci, którzy znali prawdę, mieli ją ujawnić reszcie? Bo że trzeba było to zrobić, nie ulegało kwestii. Żadna wiara nie może się opierać na skończonym kłamstwie i każdy, kto dowiedział się o nim, musi je wskazać współbraciom w wierze. Jak jednak to uczynić? I kiedy? I jakim kosztem - w wypadku tych, którzy nadal wierzyli ślepo w to, w co kazano im wierzyć od dziecka? Pomimo własnych przekonań Maikel Staynair wiedział, że gdy przyjdzie do odślonięcia kłamstwa, znajdzie się wielu takich, co uznają, że i sam Bóg jest oszustwem. Obawiał się tej chwili, martwił

konsekwencjami dla wszystkich tych nieszczęsnych dusz, lecz nawet przez moment nie wątpił w konieczność ujawnienia prawdy. Ani niestety, że schizma, która po tym nastąpi, pod każdym względem przerośnie tę obecną.

Dlatego przede wszystkim musieli zniszczyć Grupę Czworoga i przełamać władzę Kościoła Boga Oczekiwanego na Schronieniu.

Co z kolei znowu zwracało jego myśli na czekającą go podróż i ziejącą wyrwę, którą jego nieobecność pozostawi w radzie królewskiej.

- Jeśli mam być z tobą całkowicie szczery, Bynzhamynie, nie martwię się Rayjhisem aż tak bardzo - rzekł. - Przecież wcale nie musieliśmy nim kierować, aby zaczął robić rzeczy, które umyślili sobie Cayleb i Sharleyan. Od dawna robi je sam z siebie i Bóg świadkiem, że zawsze wykazuje się wielką kompetencją. Poza tym takie sterowanie ma swoje ograniczenia. Bo chyba nie chciałbyś wstać na następnym zebraniu rady i oświadczyć, że słyszysz głosy?

- Niespecjalnie - przyznał baron Gromu.

- No więc sam widzisz. - Staynair wzruszył ramionami po raz któryś z kolei. - Rayjhis na pewno nie zmieni znienacka kierunku, nie przedyskutowawszy swoich zamiarów z pozostałymi członkami rady. Kiedy tak się stanie, a ty będziesz uważał z jakiegoś powodu, jemu nieznanego, że się myli, po prostu będziesz musiał się wykazać zdolnością perswazji, i tyle. Na twoim miejscu jednak nie naciskałbym zbyt mocno, a już na pewno nie bez porozumienia z parą cesarską. Niewykluczone bowiem, że wspólnymi siłami uda nam się bez trudu... powściągnąć jego entuzjazm, tak to nazwijmy. A jeśli nawet nam się nie uda, mogę mieć nadzieję, na podstawie wieloletniej znajomości z nim, że hrabia Szarej Zatoki nie wyskoczy z niczym, co by naraziło nas na poważne niebezpieczeństwo.

- Prawdopodobnie masz rację - zgodził się z arcybiskupem baron Gromu. - Nie, nawet na pewno masz rację. Ale tak czy inaczej nie podoba mi się myśl o władzy skupionej w Cherayth. - Skrzywił się. - Przypuszczam, że baron Zielonego Wzgórza i królowa matka Alahnah mieli podobne odczucia, kiedy dwór przeniósł się do Tellesbergu, i wiem, że wszyscy będziemy musieli przywyknąć do tej dwoistości, niemniej nie mogę powiedzieć, aby mi się ona podobała.

- Rozumiem twoje obawy - rzekł uspokajającym tonem Staynair. - Istotnie odległość dzieląca obie stolice i czas potrzebny na wymianę wiadomości, przynajmniej oficjalnie, to obecnie największa słabość Imperium Charisu, o czym wszyscy doskonale wiemy. Nie wyłączając Grupy Czworoga. Wyobrażam sobie, że tacy spryciarze jak Trynair czy Clyntahn spróbują to wykorzystać. Na szczęście - tu Staynair uśmiechnął się bynajmniej nie arcybiskupim uśmiechem - ci dwaj nie wiedzą o wszystkim, prawda? My możemy tu sobie

siedzieć i zamartwiać się Rayjhisem, ale oni nie mają pojęcia, że w razie potrzeby możemy przedyskutować wszystko z Caylebem i Sharleyan, i to w czasie rzeczywistym!

- Co tylko czyni bardziej frustrującym fakt, że nie możemy porozmawiać w ten sposób z każdym, z kim byśmy chcieli - odparł burkliwie baron Gromu, co arcybiskup skwitował śmiechem.

- Pismo powiada, że cierpliwość to największa z zalet - zauważył. - Co ciekawe, cierpliwość wychwalają wszystkie religie, o których czytałem z Sową. Nie oczekuj więc, że będę się nad tobą użalał, Bynzhamynie, tylko dlatego, że jesteś niecierpliwy!

- Mam nadzieję, że poczucie humoru będzie ci nadal dopisywało, gdy znajdziesz się na unieruchomionym przez ciszę wiatrową galeonie pośrodku Morza Chisholmskiego - odrzekł baron Gromu z lśniąco oczami. - To jest, chciałem powiedzieć: cierpliwość.

- Coś mi mówi, że postój na Morzu Chisholmskim byłby najmniejszym z moich problemów w środku zimy - odparł sucho Staynair. - Poradzono mi zabrać spory zapas herbatki.

Lśniące oczy barona błysnęły jeszcze silniej ognikami rozbawienia. Herbatka, parzona z liści drzewa złocieńca, które wyrastało na wysokość około dziesięciu stóp i radziło sobie niemal w każdym klimacie, była na Schronieniu wypróbowanym lekarstwem na chorobę morską.

- Może cię to bawić - dodał rozzłoszczony lekko Staynair - ale ja wątpię, abym się czuł równie świetnie jak ty teraz, patrząc na fale wysokości wieży katedralnej!

- Domyślam się tego - odpowiedział mu baron, szczerząc zęby w uśmiechu. Odchylił się na oparcie krzesła i przez parę chwil tylko popijał drobnymi łyżkami brandy, po czym dopiero znowu spojrzął wprost na arcybiskupa. - A Nahrman? - zapytał. - Rozmawiałeś o nim ostatnio z ojcem Zhonem?

- Nie - wyznał Maikel. - Prawdę mówiąc, sam jestem w rozterce. Pojmuję, jak cennym nabytkiem mógłby się okazać Nahrman, ale jak dotąd nie wyczułem go jeszcze do końca... jako człowieka, a nie tylko księcia... nie potrafię więc przewidzieć, jak zareaguje na ujawnioną nagle prawdę.

- Z prawdą o wizjach Merlina poradził sobie dość dobrze - zauważył baron Gromu.

- Podobnie jak Rayjhis - skontrował arcybiskup. - Tylko nie zrozum mnie źle, Bynzhamynie. Jeśli ktoś w ogóle ma dość elastyczny umysł, aby przyjąć prawdę za pewnik, kimś takim jest bez wątpienia Nahrman. I skłaniam się ku temu, aby zawierzyć Merlinowi oraz Caylebowi, których zdaniem Nahrman jest obecnie lojalny wobec nas. Problemem jest chyba to, że Szmaragd pozostawał od tak dawna naszym wrogiem. Myślę nawet, że mogą być

uprzedzony do wszystkiego, co ma związek z tą wyspą, nie wyłączając jej dawnego władcy. Nie twierdę, że jestem uprzedzony, ale to jeszcze nic nie znaczy, prawda? Po prostu... nie wiem, na ile stała jest jego obecna lojalność wobec nas. Nie, nie o to mi chodziło... - Machnął ręką z miną człowieka, któremu nieoczekiwanie dla niego samego zabrakło nagle słów. - Raczej chodzi o to, że nie poznałem go jeszcze dość dobrze.

- Tak, w to mogę uwierzyć - skinął głową baron Gromu. Księżę Nahrman przebywał w Tellesbergu zaledwie od półtora miesiąca, zanim udał się z cesarzem Caylebem na kampanię corisandzką. Wrócił do Starego Charisu przed dwoma miesiącami, ale w Tellesbergu pobyl tylko przez pięćdziesiąt czy dwa, po czym wyruszył do Szmaragdu. Nie sposób kwestionować jego decyzji o wyjeździe, wzięwszy pod uwagę, że nie widział się z żoną ani z dziećmi przez większość roku, lecz z drugiej strony faktem było, że Staynair i baron Gromu nie mieli zbyt wielu sposobności, aby lepiej poznać nowego sojusznika. - Może zdołacie się zaprzyjaźnić podczas twojej wizyty duszpasterskiej - podsunął baron, a Staynair przyjął do wiadomości jego sugestię skinieniem głowy.

- Postaram się o to - zapewnił. - Nie wykluczam, że będziemy razem wracać do Chisholmu. Co, jak wynika z twoich niezwykle taktownych słów sprzed chwili, da nam mnóstwo czasu na, jak to ująłeś, zaprzyjaźnianie się.

- Z tego co słyszałem, morskie wojaże są jedną z lepszych okazji do zadzierzgiwania trwałych przyjaźni - dodał jeszcze baron Gromu, a Maikel Staynair prychnął na niego. Zaraz jednak przybrał znowu poważną minę.

- W gruncie rzeczy - zaczął powoli tonem człowieka, który musi przyznać coś zaskakującego - przyjaźń z Nahrmanem nie jest niemożliwa. - Potrząsnął głową z zadumany wyrazem twarzy. - Kto by pomyślał coś takiego jeszcze rok czy dwa lata temu?

- Ja na pewno nie! - Baron Gromu potrząsnął głową z jeszcze większym wigorem, po czym zerknął na zegar. - Cóż - odstawił szklaneczkę po brandy na blat - chyba powinienem się już zbierać. Chciałbym móc powiedzieć, że Leahyn zastanawia się, co porabiam. Niestety prawda wygląda tak, że ona doskonale wie, gdzie jestem, a nawet co tu robiłem! - Skrzywił się. - Śmiem twierdzić, że już w progu obwacha mnie kontrolnie.

Staynair zachichotał.

Leahyn Raice, baronowa Gromu, była czasem określana mianem „postrachu mężczyzn”, w czym kryło się wiele prawdy. Niewiasta ta dorównywała wzrostem mężowi i nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby jej słabą. Do tego miała zdanie na prawie każdy temat i ostry język, którym lubiła się posługiwać, a także bystry umysł, dzięki któremu jej mężowi udało się rozwiązać niejedną nadmiernie skomplikowany problem. A przy tym była

jak do rany przyłóż, o czym ksiądz będący od dłuższego czasu jej biskupem wiedział najlepiej ze wszystkich. Z tym że zadawała sobie wiele trudu, aby ukryć ten fakt przed innymi. Aczkolwiek nie wychodziło jej to najlepiej. Baron z baronową byli małżeństwem od prawie ćwierć wieku i choć Staynair zdawał sobie sprawę, że Bynzhamyn lubi zgrywać pantoflarza przed przyjaciółmi, wszyscy wiedzieli, iż prawda przedstawia się zgoła inaczej. Wszelako nie dało się zaprzeczyć, że Leahyn Raice była nieubłagana, gdy szło o sprawy żywieniowe męża.

- Suszy ci tak głowę z powodu tamtego ataku serca, wiesz przecież - powiedział łagodnym tonem arcybiskup Maikel.

- Oczywiście, że o tym wiem! - uśmiechnął się smutno baron Gromu. - Ale to było sześć lat temu, Maikelu! Medycy mówią mi, że odrobina wina od czasu do czasu... albo nawet whiskey w umiarkowanych ilościach... nie powinna zaszkodzić. Ba, może mi nawet pomóc!

- Gdybym nie wiedział, że masz ich pozwolenie, nigdy bym cię nie zaprosił do pomocy przy opróżnianiu mojej piwniczki - stwierdził Staynair.

- Cóż, mogę tylko sobie życzyć, żeby któryś zdołał przekonać i ją!

- Bzdura! - Arcybiskup pogroził mu palcem. - Już ja cię znam! To po prostu część gry, którą prowadzicie od lat, i sam już nie wiem, któremu z was dostarcza ona więcej radości. - Przyjrzał się baczniej baronowi Gromu. - Coraz bardziej skłaniam się ku myśli, że jednak tobie!

- No wiesz! - Szpieg ton głosu miał niezbyt przekonujący, gdy podnosił się z krzesła, co nie uszło uwagi gospodarza. - Ale tak czy inaczej powinienem już wracać do domu.

- Wiem - odrzekł Staynair, lecz coś w jego postawie kazało baronowi zatrzymać się w pół kroku.

Uniósł brwi, po czym na powrót usiadł, przechylając pytająco głowę.

- Co też postanowiłeś mi powiedzieć na koniec, Maikelu? - spytał.

- Znamy się nie od dziś, prawda? - zaczął raczej niejasno Staynair.

- Owszem. Dlatego tak dobrze znam też ten twój wyraz twarzy. Może więc powiedz to, co chcesz mi powiedzieć, a nie każ mi wywlekać tego z siebie po kawałku.

- Cóż... - bąknął Staynair, po czym kontynuował głosem poważnym, niemal niepewnym: - To nie będzie dla mnie łatwe, Bynzhamynie.

- Z jakiego powodu? - zainteresował się baron Gromu zauważalnie innym tonem i zmarszczył czoło z troską, gdy nieudawane i dość niezwykle dla arcybiskupa zmieszanie stało się dlań jasne.

- Jutro rano - oznajmił Staynair - ojciec Bryahn stawi się u ciebie z samego rana z półtuzinem skrzyń. Nie będą bardzo duże, ale dosyć ciężkie, bo załadowane niemal w całości



papierami.

- Papierami... - powtórzył baron. Pochylił się do przodu, krzyżując nogi. - Jakiego rodzaju papierami, Maikelu?

- Będą to dokumenty - odparł Staynair. - A właściwie akta. Zbiór notatek, zeznań, prywatnych listów... Można by to wszystko nazwać... dowodami.

- Dowody? Dowody na co? - zapytał z napięciem w głosie Bynzhamyn.

- Na dwudziestoletnią korupcję wikariatu i Inkwizycji. - Staynair nagle zaczął mówić matowym głosem, a wzrok mu jakby stwardniał. - Na konkretne przypadki wymuszeń, szantaży, kradzieży... nawet gwałtów i morderstw. Nawet na to, że Zhaspyr Clyntahn, co najmniej on, był świadom znacznej części tych wykroczeń i robił, co mógł, aby je zatuzszować.

Pomimo wieloletniego doświadczenia w dyplomacji baron Gromu poczuł, że opada mu szczęka. Przyglądał się staremu przyjacielowi przez dobre parę sekund dosłownie zamurowany, po czym otrząsnął się gwałtownie.

- To ma być żart? Nie, nie wyglądasz, jakbyś żartował...

- Niestety nie żartuję - westchnął Staynair. - I naprawdę nie chciałem ci o tym mówić, ale wypadki, jak wiadomo, chodzą po ludziach, a ja w najbliższych miesiącach będę dość intensywnie podróżował. Dlatego uznałem, że przed wyruszeniem w drogę powinienem złożyć tę dokumentację w czyichś zaufanych rękach.

- Od jak dawna jesteś w jej posiadaniu? - spytał ostrożnie baron Gromu.

- Zajmuję się nią od jakiegoś miesiąca - przyznał się arcybiskup. - Trochę trwało, zanim... Nieważne.

- Zamierzałeś nikomu o tym nie mówić? - pokręcił wolno głową baron Gromu. - Maikelu, jeśli nie mijasz się z prawdą w opisie tych dokumentów, musisz sobie zdawać sprawę nawet lepiej niż ja, jak kluczowe są to dowody. Dowody, rozumiesz?

- I w tym częściowo tkwi problem. - Staynair ułożył się wygodniej. - Posiadam tylko kopie oryginalnych dowodów. Osobiście jestem przekonany o ich absolutnej autentyczności, ale nie mam możliwości wykazania, że to nie fałszerstwo, co czyni z tych papierów broń obosieczną. Jestem zdania, że publikując oskarżenia na tej podstawie, uczynilibyśmy sobie tylko wielką krzywdę w wojnie propagandowej z Syjonem.

- Być może... - potaknął z namysłem baron Gromu. - Ale z drugiej strony, jakiegokolwiek dowody byśmy posiadali, Grupa Czworka i ich szczekaczki twierdziłoby, żeśmy wszystko sfalszowali. Zmierzam do tego, że nie ma znaczenia prawdziwość dowodów, ludzie po obu stronach barykady i tak będą myśleć, co będą chcieli, na podstawie tego, w co wierzą.

Albo w co chcą wierzyć.

- Wiem. Nad tym też się zastanawiałem. Ale jest jeszcze coś...

- Co takiego? - zapytał z niepokojem baron.

- Dokumenty te przekazano mi w ramach tajemnicy spowiedzi - wyznał Staynair. - Ten, kto mi je przekazał, zezwolił na zrobienie z nich użytku takiego, jaki uznam za stosowne, lecz z ich źródłem jest już inna sprawa. Zostałem poinformowany o jego tożsamości, ale i o tym, że nie wyraża zgody na ujawnienie swojej roli w całej sprawie.

- Nawet Caylebowi ani Sharleyan?

- Nikomu, Bynzhamynie. - Staynair miał niezwykle uroczysty wyraz twarzy. - Być może to nadmiar ostrożności, niemniej decyzja nie należy do mnie. Zresztą muszę się zgodzić, wiedząc to, co wiem, i przeczytawszy to, co zdążyłem przeczytać do tej pory, że gdyby Grupa Czworoga zwąchała pismo nosem, a już szczególnie dowiedziała się, w jaki sposób weszliśmy w posiadanie tych papierów, konsekwencje dla owej odważnej osoby mogłyby się okazać naprawdę straszliwe. Katastrofalne nawet, i to prawdopodobnie dla większej liczby ludzi.

Baron Gromu nie mógł nie zauważyć, że spojrzenie arcybiskupa jest tak zatroskane jak jeszcze nigdy.

- Właściwie powinienem je przekazać Hainrykowi... - kontynuował Staynair. - Wiele nad tym rozmyślałem. Koniec końców doszedłem do wniosku, że niełatwo będzie pogodzić moje zobowiązania względem Imperium Charisu i powinność względem Boga. Odpowiedź, której sobie udzieliłem, niezupełnie mnie satysfakcjonuje, ale tylko taka na mnie spłynęła po wielogodzinnych modlitwach i medytacjach. Jeszcze nigdy w życiu tyle się nie modliłem ani tyle nie medytowałem...

Baron Gromu kiwał powoli głową. Hainryk Waignair, biskup Tellesbergu, był drugim co do ważności członkiem episkopatu w Kościele Charisu tutaj, na terenie Starego Charisu. W istocie miał pełnić obowiązki arcybiskupa Charisu pod nieobecność Staynaira. Był on również członkiem bractwa Świętego Zherneau, co znaczyło, że - podobnie jak arcybiskup i baron - znał prawdę leżącą za kłamstwem o archaniele Langhornie i Kościele Boga Oczekiwanego. Hainryk i Maikel byli dawnymi przyjaciółmi, jak również współpracownikami i współbraćmi tego samego zakonu, baron Gromu zaś wiedział, że Staynair ufa Waignairowi bezgranicznie, zarówno jako człowiekowi, jak i księdzu. Bynzhamyn nie wątpił więc, że Staynair spędził na modlitwie i medytacji długie godziny, skoro w efekcie podjął decyzję, aby przekazać dokumenty jemu, a nie drugiemu hierarsze Kościoła.

- Jako członek rady cesarskiej, arcybiskup Charisu i doradca pary cesarskiej nie mam cienia wątpliwości, że już dawno powinienem był przekazać wam tę dokumentację i zdradzić jej źródło... Ale jako ojciec Maikel, znaczy jako ksiądz, nie mogę pogwałcić świętości konfesjonahu. I nie uczynię tego. Kościół Boga Oczekiwanego być może jest jednym wielkim kłamstwem, ale Bóg nim nie jest, tak samo jak wiara człowieka, który zawierzył mi w tej sprawie.

Baron Gromu zaczął otwierać usta, aby zaprotestować. Zaraz je jednak zamknął, zdawszy sobie sprawę z grubości pancerza, na jaki składała się wiara i prawość Maikela Staynaira. Gdyby Bynzhamyn Raice miał mówić tylko za siebie, musiałby przyznać, że nie był już tak pewny istnienia Stwórcy po tym, jak odkrył prawdę o Kościele Boga Oczekiwanego. Przyznanie tego nie przyszłoby mu łatwo, nawet przed samym sobą, lecz gnębiło go podejrzenie - będące być może wynikiem lat spędzonych w zawodzie szpiega, gdzie cynizm jest podstawą - że skoro można sfabrykować jedną religię, można także sfabrykować wszystkie inne. Był nazbyt inteligentny i uczciwy, aby miał zatajać to podejrzenie przed sobą samym, ale też nie spędzało mu ono snu z powiek, gwoźli szczerości. Czy Bóg istniał naprawdę, czy nie, Imperium Charisu pozostawało w śmiertelnym zwarciu z Grupą Czworka i wystawianie się na otwarte oskarżenia o ateizm (pojęcie, którego nawet nie znał, dopóki nie zyskał dostępu do danych przechowywanych przez komputer taktyczny zwany Sową) włożyłoby tylko broń do ręki ludzi takich jak Clyntahn.

Abstrahując jednak od wątpliwości, które go ogarnęły, zdawał sobie sprawę, że Maikel Staynair nie żywi żadnych. A przy tym arcybiskup był tak daleki od fanatyzmu, jak tylko może być odeń odległa ludzka istota. Baron Gromu był całkiem pewien, że arcybiskup jest świadom toczących go wątpliwości, ale też że nigdy nie potępi go za nie. Staynair po prostu tak nie działał. Baron Gromu nagle poczuł nadzieję, że Bóg Staynaira faktycznie istnieje - to znaczy Bóg zdolny do stworzenia kogoś takiego jak Maikel Staynair. Co z kolei oznaczało, że skoro Maikel dał swoje słowo jako kapłan, prędzej umrze, niż je złamie.

*W tym tkwi, pomyślał Bynzhamyn, prawdziwa różnica pomiędzy nim a kimś takim jak Clyntahn. Clyntahn wierzy w Kościół. W potęgę Kościoła, nie Boga, mimo że nikt nigdy nie pokazał mu choćby strzępu dowodu podważającego istnienie Boga. Maikel z kolei wie, że Kościół jest kłamstwem... a mimo to jego wiara w Boga nie zachwiała się ani na moment.*

- Dobrze, Maikelu - odezwał się cicho. - Pojmuję twój sposób myślenia. I szanuję go. Ale jeśli przekażesz mi te dokumenty, moim zadaniem będzie je wykorzystać. Albo przynajmniej zapoznać się z nimi niezwykle skrupulatnie. Sam wiesz najlepiej, jak wiele się dowiedzieliśmy o Kościele i Inkwizycji z dokumentów, które Domynyk przywiózł z Feraydu.

Z tego, co napomknąłeś, wynika, że te dowody mogą nam zdradzić o wiele, wiele więcej.

- Jestem tego świadom. Dlatego tak długo się wahałem, czy ci je przekazać. Rozważałem nawet, czyby ich nie zostawić tutaj z poleceniem, aby przekazano ci je w razie, gdyby coś naprawdę mi się stało, wraz z listem wyjaśniającym, czym właściwie są. W końcu jednak postanowiłem, że wyjaśnię ci wszystko osobiście, a postanowienie to powziąłem z tych samych powodów, dla których dokumenty te trafiają do ciebie, a nie do Hainryka. Biskup to mój brat w Bogu, jeden z moich najdroższych przyjaciół i człowiek o odwadze wielkiego smoka, lecz największą radość z życia czerpie z uprawiania stanu duchownego, dbania o potrzeby swych owieczek. Głównie z tego względu był idealnym kandydatem na biskupa Tellesbergu... no i jeszcze dlatego, że mogłem mu całkowicie zaufać. Gdybym wszakże obarczył go tym brzemieniem, znalazłby się w bardzo niekomfortowym położeniu. Sądzę, że miałby podobne obiekcje jak ja, choć nie mogę być tego zupełnie pewien... W każdym razie odmawiam postawienia go w sytuacji, gdy musiałby wykonać moje polecenia, co prawdopodobnie zburzyłoby jego spokój sumienia jako księdza. Poza tym Hainryk brzydzi się polityką, nawet polityką kościelną, aczkolwiek śledzi ją, skoro musi. Ale polityka świecka, dyplomacja, strategia... wszystko to są sprawy, jakie woli cedować na innych. Co oznacza, że jest znacznie gorzej poinformowany i znacznie mniej świadomy niż ty czy ja pewnych... powiedzmy, uwarunkowań panujących w Imperium Charisu. A zatem zdecydowanie nie byłby najlepszą osobą z możliwych, gdy idzie o ocenę tych dokumentów z punktu widzenia ich znaczenia i wartości dla cesarstwa. Dla odmiany ty masz silnie rozwinięty zmysł dyplomatyczny, orientujesz się w bieżącej polityce... Jeśli nawet w całym Starym Charisie jest ktoś, kto nadaje się do tego zadania lepiej od ciebie, ja nie mam pojęcia, kto by to mógł być. Z tych właśnie powodów zostawiam te dowody w twoich rękach i otwarcie cię informuję, że nie mogę powiedzieć, jak do mnie trafiły. Wiem, że podejdziesz do nich z najwyższą ostrożnością i że mogę ufać w twoją dyskrecję. Wreszcie - obdarzył barona Gromu miążdzącym spojrzeniem - wierzę, że nie powiesz żywej duszy, skąd je masz, dopóki nie uzyskasz na to mojej zgody.

Baron chciał znowu zaprotestować, lecz potrafił się pogodzić z daremnością swoich działań i odpuścić, co też uczynił w tym wypadku. Zresztą sam fakt, że Staynair ufał mu na tyle, by powierzyć coś podobnego, przesądzał o tym, że nigdy by się nie zdobył na to, aby zawieść pokładane w nim zaufanie.

- Zgoda - powiedział po chwili. - Masz moje słowo. Pod jednym wszakże warunkiem...

- Mianowicie?

- Jeśli coś ci się stanie... Boże broń!... będę mógł zrobić z tym materiałem to, co uznam za najlepsze dla Imperium Charisu. - Baron Gromu miażdżył arcybiskupa spojrzeniem, tak jak on czynił to przed chwilą. - Zrobię co w mej mocy, aby źródło pozostało utajnione, kimkolwiek jest, i zachowam daleko idącą ostrożność. Jednakże nie podejmę się niczego, jeśli nie powiesz mi wyraźnie, że w razie gdyby wszystko spadło na moją głowę, będę mógł postąpić wedle własnego rozeznania i własnej oceny. Rozumiemy się?

- Oczywiście - odparł krótko Staynair.

- To dobrze.

Milczeli obaj przez parę chwil, po czym nagle baron Gromu parsknął.

- O co znowu chodzi? - zainteresował się arcybiskup.

- Właśnie się zastanawiałem, czy zamierzasz o tym powiedzieć Caylebowi i Sharleyan...

- Nie pali się - odrzekł sucho Staynair. - Ale jestem pewien, że uszanowaliby mój urząd. Nawet gdyby nie byli z tego powodu zbyt szczęśliwi. Pozwolisz jednak, że na razie pozwolę, aby ten śpiący smok nie podnosił łba.

- Prawdę mówiąc - uśmiechnął się krzywo baron Gromu - to chyba najrozsądniejsza rzecz, jaką od ciebie usłyszałem dzisiejszego wieczoru!

## **.VI.**

**KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEJ KATHRYN**

**ULICA ŚWIECARZY**

**MANCHYR**

**CORISAND**

Przyszło więcej wiernych, niż ojciec Tymahn Hahskans przywykł widzieć w swoim kościele w środowy poranek.

W świątyni rzadko bywało pusto, szczególnie na późniejszych mszach. Wiedział też (choć starał się nie wbijać w dumę z tego powodu), że spory tłumek pojawiał się zwłaszcza na mszach odprawianych przez niego o tej porze, w odróżnieniu od nabożeństw porannych, które osobiście preferował. Pismo nakazywało skromność, o czym ojciec Tymahn starał się nie zapominać, aczkolwiek nie zawsze z sukcesem. Był takim samym grzesznym śmiertelnikiem jak każdy inny człowiek, i nieraz odczuwał dumę na widok kongregacji zebranej przed

ołtarzem po obwieszczeniu wywieszonym na tablicy przy drzwiach kościoła, że to on będzie prowadził kazanie. Starał się jak mógł, aby przegonić to nieprzystojące mu uczucie, ale nie zawsze mu się udawało. Zwłaszcza gdy jakiś wierny mówił mu, że jego słowa zacytował inny duchowny w odległym kościele.

Jednakże tego ranka, kiedy stał naprzeciwko ołtarza, tuż za balustradą prezbiterium, przysłuchując się chórowi śpiewającemu za jego plecami i spoglądając na zatłoczone ławki i cisnących się ludzi stojących przy wejściu do świątyni, ogarnął go niepokój, jakiego nie czuł od dziesiątek lat. Nie z powodu tego, co miał zaraz powiedzieć - aczkolwiek nie sądził, by to konkretne kazanie rozeszło się szerokim echem po innych dzielnicach miasta - lecz dlatego, że w końcu miał szansę to powiedzieć. Na przestrzeni lat często go uciszano, upominano, aby trzymał buzię zamkniętą na kłódkę, szczególnie w odniesieniu do pewnych spraw, i wzywano na dywanik, ilekroć zbliżył się niebezpiecznie do granicy narzuconych mu restrykcji.

*A teraz, kiedy nareszcie możesz przemówić od serca, Tymahnie, co najmniej połowa twoich owieczek uzna cię za zdrajcę i pomiot Shan-wei, szukający łask u okupanta!*

Poczuł, że twarz zaczyna mu wykrzywiać grymas, lecz zapanował nad nim bez trudu, mając w tym lata praktyki. W wieku pięćdziesięciu sześciu lat od dekady sprawował funkcję proboszcza Świętej Kathryn. Nie był jakimś tam nieopierzonym, dopiero co wyświęconym niższym kapłanem i ani myślał okazać czegoś, co wierni o większej wyobraźni mogliby wziąć za niepewność albo wahanie. Nie wolno mu było pozwolić sobie na coś takiego na ambonie. Z ambony przemawiał czystym głosem Boga, przynajmniej teoretycznie. Na ogół Hahskans wierzył, że Bóg podsunie mu odpowiednie słowa, aczkolwiek czasem musiał przyznać, że ciężko jest usłyszeć głos Boga przez harmider Kościoła.

Tym razem nie musiał się mierzyć z tym problemem. Naturalnie, jak Pismo podkreślało w więcej niż jednym ustępie, przekazywanie słów Boga nie zawsze równało się zyskaniu popularności wśród Jego dzieci. Ludzie mieli w zwyczaju uważać, że Bóg powinien być na tyle bystry, aby myśleć to co oni... i milczeć, kiedy już się z nimi nie zgadzał. Po prawdzie, posłaniec czasem miał dużo szczęścia, jeśli dzieci boże postanowiły go tylko zignorować...

W każdym razie arcybiskup Klairmant i biskup Kaisi obiecali mu swe poparcie, jeśli - albo raczej kiedy - sprawy zaczną przybierać zły obrót. Była to pewna odmiana w stosunku do podejścia biskupa egzekutora Thomysa, przynajmniej w tej materii, z tym że Hahskans nie miał jasności, kto w razie czego okaże poparcie im. Nowy arcybiskup i nowy biskup Manchyru sami narobili niemało zamieszania i Hahskans podejrzewał, że sprawy zdążą przybrać naprawdę paskudny obrót, zanim wszyscy bezpiecznie dobiją do portu.

O ile tak się stanie.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że Pismo w żadnym ustępie nie obiecywało nikomu szczęśliwego zakończenia.

Chór właśnie zbliżał się do końcówki hymnu, Hahskans podniósł więc rękę i uczynił nią znak berła Langhorne'a.

- Unieście serca, moje dzieci...

Znane i ukochane słowa liturgii same potoczyły mu się z ust, gdy przebrzmiała ostatnia nuta organów, cichnąc zaraz po umilkłym hymnie. To krótkie wezwanie wypadło słabo w ogólnym milczeniu, lecz Hahskans zaczerpnął zeń mocy i następne słowa wypowiadał już głośniej.

- Unosimy nasze serca ku Panu i ku Archaniołom, którzy Mu służą...

Chóralna odpowiedź zagrzmiała, napelniając dźwiękiem zabytkowy kościół, odbiła się echem od poczerniałych ze starości belek stropowych w górze.

- Podziękujmy teraz naszemu Panu, który nas stworzył, i Langhorne'owi, który był, jest i pozostanie na wieki Jego sługą...

- Zaiste, podziękujmy.

Głosy dodatkowych wiernych nadawały wyjątkową moc wszystkim odpowiedziom, lecz moc ta wynikała z czegoś więcej niż tylko z większej liczby zgromadzonych w świątyni osób. Rytualne formułki niosły pewną gorączkowość, zaspokajały pewną potrzebę, która znacznie wykraczała poza rutynę zwyczajnej mszy. Teraz nie były to tylko wyświechtane słowa być może aż nadto znajomej liturgii. Tym razem, dzisiaj, w tej świątyni ludzie postrzegali siebie jako prawdziwe dzieci boże w świecie miotanym przez przysłowiowy sztorm. Byli przestraszeni i jak zwykle w takich chwilach zwracali się po pociechę i radę do Kościoła Matki i duchowieństwa.

- Godzi się i wypada zawsze i wszędzie dziękować Tobie, o Panie, Stwórco i Budowniczy Wszechświata, nieskończony Boże. Dlatego do wtóru z archaniołem Langhorne'em i archanioł Bédard, i całym chórem archanielskim święcimy Twoje wspaniałe Imię, nie przestając Cię wychwalać, i powiadamy...

- Prześwięty! - odezwali się w odpowiedzi zebrani, dołączając do jego głosu i wzmacniając go ku chwale Pańskiej. - Panie Boże wszelkiego stworzenia, niebo i ziemia są pełne Twojej wspaniałości, chwała Ci za to, Najwyższy. Amen.

- Amen - powtórzył Hahskans już w ciszy, która zapadła po chóralnych okrzykach, i uśmiechnął się, czując ogarniający go znów spokój wynikający z jego powołania.

*Wszystko będzie dobrze, pomyślał. Cokolwiek się wydarzy, do czegokolwiek to*

*doprowadzi, wszystko będzie dobrze, jeśli tylko Ty jesteś ze mną.*

- Usiądźcie, moje dzieci - poprosił.

Rozległy się szmery podeszew na posadzce i szelesty odzienia, gdy ci stojący w ławkach posłuchali go. Ci, którzy stali z tyłu świątyni, nie mieli na czym usiąść, ale Hahskans wiedział, że korzystając z okazji, oprą się o ścianę albo drewniane kolumny. A jednak rozprężenie, które zapanowało wśród zebranych, było wyczuwalne tylko w sferze fizycznej. Rozluźniły się mięśnie i napięte dotąd ścięgna, aby umysły i dusze mogły jeszcze bardziej się skoncentrować.

Książd uśmiechnął się i ruszył w stronę ambony, gdzie czekał nań otwarty egzemplarz Pisma. Grube tomiszcze było znacznie starsze niż Hahskans. W istocie zostało подарowane kościołowi Świętej Kathryn w intencji ukochanych rodziców pewnego naprawdę zamożnego parafianina na trzy lata przed narodzinami ojca obecnego proboszcza i prawdopodobnie kosztowało dwakroć tyle, ile wynosiły roczne pobory Hahnkansa. Wolumin ów zaliczał się do skarbów parafii Świętej Kathryn - nie była to drukowana kopia, lecz piękny iluminowany manuskrypt zachwycający starannością wykonania i artyzmem. Kiedy otwierało się jego zdobione klejnotami okładki albo przewracało kremowe, grube stronicę, wokół unosił się zapach wosku i kadzidła. Ilekroć sięgał po tę księgę, woń ta kojarzyła mu się z samym Bogiem, toteż i tym razem wciągnął głęboko powietrze, po czym dopiero podniósł wzrok na wpatrzonych w niego wiernych.

- Dzisiejsze czytanie zostanie zaczerpnięte z piątego rozdziału Księgi Bédard, poczynając od wersu dziewiętnastego - oznajmił morzu twarzy, czując wstępującą weń otuchę. Być może był to dobry znak, że czytanie tego dnia pochodziło z księgi spisanej przez patronkę jego zakonu. - Słuchajcie więc... - podjął, posiłkując się tekstem - albowiem wyjawię wam wielką prawdę, ważną dla wszystkich ludzi i uświęconą przez Pana naszego. Wysłuchajcie jej i posłuchajcie, gdyż w Dniu Sądu będziecie musieli zdać relację. Kościół ustanowiono w imieniu Boga i Langhorne'a, aby strzegł i nauczał, przewodząc wszystkim duszom. Nie ma on służyć woli człowieka ani człowieczym ambicjom. Nie ma wychwalać żadnego człowieka ani być przezeń wykorzystywany. Kościół powstał nie po to, by kiedyś sprzeniewierzono się jego twórcom. Kościół. Kościół to wielka latarnia ustawiona przez Boga na potężnym wzgórzu Syjonu, aby odbijała potęgę Jego majestatu i władzy, oświetlając cały świat i przepędzając mrok. Waszym zadaniem jest utrzymywać klosz tej lampy w nieskazitelnej czystości i świętości, nie dopuszczając do najmniejszych zabrudzeń. Pomnijcie na Prawo, które zostało wam dane, z woli Boga mające doprowadzić was bezpiecznie do Niego pod koniec dni. Bądźcie strażnikami Kościoła, przestrzegajcie Pisma, a nie stanie się



krzywda ani wam, ani waszym dzieciom, ani dzieciom waszych dzieci, aż po kres świata, kiedy Go ujrzycie, a ci, którzy okażą się Jego wiernymi sługami, będą się na zawsze pławić w świetle prawdy.

Przepatrzył wnętrze świątyni pogrążone w ciszy jeszcze głębszej niż przed chwilą i uśmiechnął się.

- Tako rzecze Pan swoim dzieciom - zakończył.

- Dzięki niechaj będą naszemu Panu i Jego archaniołom, którzy Mu służą - odparli zebrani.

Hahskans zatrzasnął okładki Pisma, złożył na imponującej twardej oprawie splecione dłonie i powiódł wzrokiem po wiernych.

Jego niepokój, jego obawy przeminęły. Wiedział, że tylko chwilowo, ponieważ był śmiertelnikiem, nie którymś z archaniołów powracających na Schronienie. Ale tymczasem, tego dnia, w tej chwili, nareszcie mógł przekazać wiadomość, którą nosił w głębi duszy od tak dawna. Wiadomość, która jak wiedział, płonęła w duszy znacznie większej liczby księży, aniżeli ci, którzy nosili pomarańczowe szaty wikariatu, chcieliby przyznać.

- Moje dzieci - zaczął głębokim, rezonującym głosem - nie przyszło nam żyć w spokojnych czasach. Chyba że ktoś z was zna inną definicję „spokoju”, niż ja znalazłem w słowniku, a możecie mi wierzyć, że szukałem w niejednym...

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy, a przez zgromadzenie przebiegła fala rozbawienia, jeśli nawet nie śmiechu. Przez chwilę radował się nią, ale zaraz na powrót przybrał poważniejszy wyraz twarzy.

- Nie - powtórzył, z emfazą kręcąc głową. - Czasy nie są spokojne. Na świecie nie ma pokoju, panuje na nim strach. Ale powiedzmy to sobie szczerze, moje dzieci. Nie tylko my się boimy. Jaki ojciec rodziny nie stara się z całych sił, aby nakarmić i uchronić swoje dziatki? Jaka matka nie strzeże swoich maleństw za wszelką cenę? Nie odpędza koszmarów? Nie koi ran na duszy, tak samo jak podrapanych kolan? Całą swoją istotą pragniemy uchronić młode pokolenie od złego. Strzec jak źrenicy oka i chronić wszystkich tych, których kochamy.

Kiedy przestał mówić, cisza w kościele aż dźwięczała, a on pośród milczenia powiódł znowu spojrzeniem po zebranych, nawiązując kontakt wzrokowy z tyloma wiernymi, z iloma się dało.

- A Kościół Matka strzeże i chroni nas wszystkich - ciągnął. - Kościół Matka to boża forteca, wzniesiona przez archaniołów i namaszczona na bożego sługę na Schronieniu, nauczyciela Jego ludu. Nic dziwnego więc, że w czasach zagrożenia... w czasach zarazy, tumultu, burzy, ognia i trzęsienia ziemi... oraz wojny... boże dzieci zwracają się do świętego

Kościół tak, jak syn szuka bezpieczeństwa przed porywistym wiatrem w ojcowskich ramionach, jak córka ucieka w matczyne objęcia przed strachami z sennego koszmaru. Kościół Matka to nasz dom, nasza kryjówka, nasz probierz w świecie wykoślawionym przez przemoc i okrucieństwo, i nadmierną ambicję człowieka. A jak mówi sama święta Bédard, Kościół Matka to wielka lampa ustawiona na wzgórzu i oświetlająca nas i wszystko boże stworzenie odblaskiem bożego światła.

Ponownie przerwał, wczuwając się w swoich wiernych, w ich myśli za ściągniętymi koncentracją brwiami, gdy obmywały ich jego słowa. Zaczerpnął głęboko tchu.

- Nastął czas tumultu i wojny - powiedział nadspodziewanie cicho. - Najeżchano nasze księstwo. Nasz książę poległ zamordowany podstępnie, jego syn i dziedzic także. Najeżdżcą jest obca armia i obcy Kościół, schizmatycy, którzy oddzielili się od Kościoła Matki, którzy wypowiedzieli Kościołowi Matce wojnę, przynoszący nam przerażające, heretyckie słowa. Tysiące naszych bliskich zginęły podczas bitwy w cieśninie Darcos i tutaj, broniąc własnej ziemi, własnych domów. Patrząc na ten łańcuch katastrof, na ten pokot klęsk, zanosimy nasze błagania do Boga, do archaniołów, do Kościoła Matki, dopraszając się ochrony i przewodnictwa, olśnienia, które doprowadzi nas do bożego światła pośród tych ciemności. Tego, abyśmy mogli dopatrzeć się sensu pośród chaosu i usłyszeć boży głos wśród hurgotu... Wiem, że wielu mieszkańców księstwa, a nawet tego miasta wzywa do powstania w słusznej sprawie, do rzucenia wyzwania obcym mieczom i bagnetom. Do zerwania łańcuchów i dyshonoru niewoli. Wiem też, że niejednen z was, moje owieczki, czuje się rozdarty i przestraszony, widząc, iż duchowieństwo dzieli się na przeciwstawne frakcje. Frakcje, które nawzajem się oskarżają i przeklinają, nazywając oponentów zdrajcami, heretykami, apostatami. „Błuźniercy!”, krzyczą niektórzy, a inni odpowiadają na to: „Mordercy niewiniątek!”. Ja zaś pytam, skoro pasterze okładają się kijami, gdzie ich stada znajdują prawdę?

Rozplótł palce i niezwykle łagodnym gestem pogładził ogromną księgę, która przed nim leżała.

- Tutaj, moje dzieci.

Teraz mówił tak cicho, że ci stojący najdalej od ambony musieli wyteżać słuch, aby pochwycić jego słowa, lecz jego wyszkolony głos niósł się wyraźnie.

- Tutaj - powtórzył. - W Piśmie. W słowie bożym przekazanym nam przez archaniołów przysłanych przez Niego. Tylko tutaj znajdziemy prawdę... - A z każdą chwilą jego głos potężniał i nabierał mocy. - Lecz tak jak przestrzega nas Langhorne, prawda nie zawsze jest miła dla ucha. Nie zawsze nam się podoba. Nie zawsze utwierdza nas w

przekonaniu o naszej racji i piętnuje innych jako tych, co pobiłdzili. Nie zawsze też zapewnia bezpieczeństwo. Prawda jest wymagająca i nie dopuszcza samooszukiwania się. Kiedy spadnie się z drzewa, prawdą może być siniak albo zwichnięta kostka, albo złamana kończyna... albo skręcony kark. Skoro nie słuchaliśmy bożego słowa w czas pokoju, skoro ignorowaliśmy prawdę, gdy wokół było spokojnie, przyjdzie nam ją poznać w czas sztormu. Pan ześle na nas prawdę w takiej formie, abyśmy pomimo swego uporu, pomimo zapatrzenia w siebie, usłyszeli ją, a forma ta może obejmować obce okręty wojenne, obce miecze i bagnety, nawet „heretyckich” księży narzuconych nam pod groźbą wymierzonych w nas obcych ostrzy.

Cisza była nie mniej głęboka, nie mniej uważna niż przedtem, a jednak w jakiś sposób inna. Jakby... twardsza, bardziej napięta. Ludzie wstrzymali oddechy, nadstawili uszu, jak gdyby już wiedzieli, że kapłan zaraz powie coś, czego nigdy wcześniej nie wolno mu było mówić.

- Święta Bédard powiada nam w dzisiejszym czytaniu, że Kościół Matka nie ma być sługą człowieka. Że nie wolno Kościoła Matki wykorzystywać do własnych celów ani deprawować, by zaspokoić przyziemne ambicje. Że trzeba Kościół Matkę utrzymać w nieskazitelnej czystości. Nie chcemy sobie nawet wyobrażać innego Kościoła Matki. Nie chcemy dopuścić do siebie myśli, że Bóg mógłby pozwolić na wkradnięcie się do Jego Kościoła zła. Na to, by Jego lampa zamiast źródłem światła stała się nagle źródłem ciemności. Protestujemy głośno, gdy ktoś nazywa nasze marzenia daremnymi. Tych, których zdaniem coś takiego jest możliwe, nazywamy bluźniercami, heretykami, apostatami, ekskomunikujemy ich, wyklinamy w imię boże, określamy mianem sługi ciemności, pomiotu Shan-wei... długo by wymieniać. A jednak, choć mówię to z wielkim bólem serca, nie „heretycy” nas okłamali. I nie Kościół Charisu okazał się sługusem Shan-wei. Tylko Kościół Matka.

Zduszony okrzyk protestu wyrwał się z piersi zgromadzonych. Był szczery, przepełniony bólem, lecz nikt z obecnych nie zdołał oblec go w słowa. Nikt nie zawołał nawet zwykłego „nie!”. I właśnie to, że ów protest był taki nieokreślony, niewyartykułowany - zaledwie okrzyk żalu, nie zaprzeczenia - powiedziało Tymahnowi Hahskansowi wiele o jego owieczkach.

Miał pod powiekami łzy, kiedy sprzeczne emocje targały zebranych, a on czuł ich smutek i strach nie tylko przed tym, co już usłyszeli, ale też przed tym, co dopiero miało nadejść, obawę, która jak wiedział, miała w końcu ustąpić miejsca akceptacji.

- Nie jestem jedynym duchownym Kościoła Matki, który pragnął wyrazić swój protest

przeciwko złu rodzącemu się w jego łonie - oświadczył. - Ani też jedynym z jego kochających synów, który na własne oczy widział, jak zepsucie narasta i pełni się w samym sercu bożego Kościoła. Jest nas więcej, niż moglibyście myśleć, lecz przykazano nam wszystkim milczeć. Nie mówić nikomu o brudzie, o zanieczyszczeniach na kloszu lampy. Udawać, że nie dostrzegamy doczesnej władzy, bogactw, pompy i świeckiej chwały, w jakiej pławili się książęta Kościoła Matki, dla których ważniejsze było to wszystko od powinności wobec Boga i Jego archaniołów.

W głosie Hahskansa pojawiła się moc sugerująca potęgę wizjonera, w oczach płonął mu blask.

- Przykazano nam milczeć... przykazano milczeć mnie osobiście... o tym wszystkim, lecz ja zrywam tę zasłonę milczenia. Otwieram usta i mówię wam, tak. Tak! Moje dzieci, widziałem to wszystko, a moje oczy były wilgotne od smutku i rozczarowania, kiedy w końcu opadły mi klapki. Widziałem zło kryjące się pod świetlistą powłoką Kościoła Matki. Widziałem mężczyzn powołanych do wikariatu, którzy odwracali się plecami do Boga i oddawali swoje serce nie Jego posłannictwu, lecz własnym interesom i żądom. Widziałem niewolę Kościoła Matki i jego wołania o ratunek i użalałem się nad nim w nocnych godzinach, podobnie jak pozostali, a moje serce kamieniało, gdy zaczynałem rozumieć, że skoro Kościół Matka jest podatny na zepsucie i korupcję, nic innego także nie zdoła się uchować. Skoro Kościół Matka nie jest odporny na wpływy zła, nic nie jest i nie ma już dla nas nadziei. Nie ma dla nas nadziei, gdyż zawiedliśmy świętą Bédard, a boży Kościół został skalany. Stał się wrotami zła, portalem, przez który płynie czarna trucizna Shan-wei niszcząca duszę, i to my... my, boże dzieci!... pozwoliliśmy, aby dokonała się ta straszliwa przemiana! Swoim milczeniem, swoją akceptacją, swoim tchórzostwem. Skończyliśmy jako współsprawcy tego pokalania. Nie możemy mieć wątpliwości, że gdy przyjdzie do rozliczania się z uczynków na tym padole, zostaniemy pociągnięci do odpowiedzialności za te straszne przewiny! Z drugiej jednak strony...

Urwał w absolutnej ciszy i pozwolił, by ta cisza się przeciągała. By rosła i potężniała, wypełniając wnętrze świątyni niczym pulsująca błyskawica będąca zapowiedzią boskiej *Rakurai*. I dopiero wtedy, zda się po wieczności, odezwał się ponownie.

- O tak, moje dzieci... Z drugiej strony... Ze wspaniałej drugiej strony! Albowiem Bóg raczył nam zesłać nadzieję. I to w najmniej oczywistym przebraniu. W słowach „apostatów”, w odłamie „schizmatyków”, w naukach „heretyków”. Wyobrażam sobie, że wielu z was szokuje to, co mówię, niektórzy może nawet czują niesmak. Lub strach. A jednak powiadam wam, pochyliwszy się nad doktryną owego Kościoła Charisu, nie znalazłem w niej krztyny

zła. Znalazłem za to gniew. Nawet bunt. Denuncjację i wyzwanie. Wszakże nic z tego... nic, moje dzieci, podkreślam to wyraźnie... nie jest skierowane przeciwko Bogu. Ani Pismu. Ani Kościołowi Matce takiemu, jakim powinien być i jakim... z bożą pomocą... któregoś dnia znowu będzie! - Zrobił przerwę dla złapania oddechu. - Nie twierdzę, że Imperium Charisu napadło na nas z czystej miłości bliźniego. Nie wmawiam wam, że ludzka ambicja, rywalizacja książąt i królów wyklócających się o błyskotki i iluzję władzy nie odegrała żadnej roli w tym, co się stało tutaj czy w cieśninie Darcos, dokąd skorumpowani przedstawiciele Syjonu wysłali naszych braci i synów, by rozprawili się z tymi, którzy śmieli się przeciwstawić ich zepsuciu. Człowiek pozostanie człowiekiem. Człowiek jest śmiertelny, niedoskonały, omylny, podatny na uczucia takie, jak nienawiść i ambicja. To wszystko prawda. Ale człowiek żyje w świecie stworzonym przez Boga i Bóg może, jeśli zechce, wykorzystać nawet ludzkie słabości ku swej chwale. I kiedy tak patrzę na ten świat stworzony przez Boga, kiedy wczytuję się w słowo boże - ponownie pogładził opuszkami palców tomiszczę leżące przed nim - zaczynam rozumieć, że Pan nie robi nic innego. Powiadam wam... a możecie mi wierzyć, że żaden obcy „heretyk” nie włożył w moje usta tych słów... powiadam wam zatem, że to, co Kościół Charisu twierdzi o zepsuciu, korupcji i złu Grupy Czworoga i tych, którzy poddają się jej woli, jest szczerą prawdą przekazaną nam przez Boga, który nie mógł już dłużej znieść tych wynaturzeń, skorośmy sami nie potrafili ich dojrzeć w czas pokoju. Mężczyźni z Syjonu, ci, którzy mają się za panów bożego Kościoła, nie są pasterzami, lecz wilkami! Służą nie światłości, lecz najczarniejszemu mrokowi. Nie dbają o ludzkie dusze, lecz są wrogami samego Boga, gotowi pozwolić, aby Shan-wei sprowadziła ruinę na nas wszystkich... chyba że ci, którzy służą światłości, powstrzymają ich przed tym i zniszczą.

Tymahn Hahskans, nie podnosząc głosu, zakończył:

- Bóg uniół swój miecz, moje dzieci. Przyjdzie nam żyć w jego cieniu i tylko od nas zależy, po której stronie się opowiemy i z czego będziemy musieli zdać relację, stanąwszy przed Jego obliczem. Wszyscy stoimy przed tym wyborem. Ignorując go, wystawiamy się na wielkie niebezpieczeństwo, albowiem ci, którzy nie opowiedzą się po stronie światłości, koniec końców znajdą się po stronie mroku. Zaklinam was w tej chwili próby: decydujcie się. Decydujcie! Wystąpcie w imieniu Boga, który pozwala wam przejrzeć na oczy, i szykujcie się na jeszcze cięższe czasy i trudniejsze wyzwania!

\* \* \*

Merlin Athrawes wzdrygnął się i rozwarł powieki, sprawiając, że obrazy zarejestrowane przez miniaturowe czujniki zainstalowane w kościele Świętej Kathryn

zniknęły sprzed jego oczu. Usiadł prosto na krześle w Cherayth, tysiące mil od Manchyru, wczuwając się w senny spokój panujący w pałacu wokół niego oraz w bicie cybernetycznego serca ograniczonego przez klatkę piersiową z syntetycznych kompozytów.

Moc i pasja kazania Tymahna Hahskansa odbijały się wewnątrz niego echem, zwracając na siebie uwagę wyjątkową płomiennością wiary tego mężczyzny. Jakąś częścią siebie Merlin nawet teraz chciał wyszydząć tę wiarę, albowiem w przeciwieństwie do Hahskansa wiedział, jak wielkie oszustwo za nią stoi. Wiedział, kim naprawdę była Adorée Bédard. Wiedział, że ludzie tacy, jak Zhaspyr Clyntahn i Zahmsyn Trynair, byli znacznie bliżsi Ericowi Langhorne'owi aniżeli ktoś taki, jak Maikel Staynair. Pragnął - i to z siłą, która go zadziwiała - nienawidzić Tymahna Hahskansa za oddawanie czci masowym ludobójcom, takim jak Bédard i Langhorne.

Jednakże nie potrafił się na to zdobyć. Zwyczajnie nie potrafił, czego subtelna ironia wywoływała u niego krzywy uśmiech. Adorée Bédard była osobiście odpowiedzialna za wypranie mózgow wszystkich kolonistów umieszczonych na Schronieniu, przez co wierzyli oni, że zostali stworzeni - zyskali technię życia, by tak rzec - z chwilą otwarcia oczu na tej planecie. To ona zbudowała całe kłamstwo, cegielka po cegielce. Każde słowo Księgi Bédard, czy to napisane własnoręcznie przez nią, czy to przypisane jej już po śmierci, tylko wspierało owo kłamstwo, podbudowywało kłamliwy gmach kościelnej tyranii.

Lecz, pomimo tego wszystkiego, to właśnie zakon Bédard, a więc ludzie tacy, jak Tymahn Hahskans czy Maikel Staynair - byli prekursorami reformacji. I nalegali, aby przesłanie Adorée Bédard rozumieć dosłownie i wprowadzać w życie. Upierali się, aby pociągnąć do odpowiedzialności winnych zepsucia Kościoła Matki.

Merlin Athrawes był bardzo daleki od założenia, że każdy, kto popiera Kościół Charisu, automatycznie popiera również Imperium Charisu. I świat, i ludzki charakter były nazbyt skomplikowane, nazbyt złożone, aby istniała tak prosta współzależność. Lecz Merlin wiedział także - dzięki wyjątkowej perspektywie, z jakiej patrzył na Schronienie za sprawą SAPK-ów - że oburzenie na zepsucie Grupy Czworoga nie ograniczało się wyłącznie do Charisu. I nawet on sam nie docenił owego skrywanego oburzenia na wymuszoną władzę Kościoła - a zwłaszcza Inkwizycji - ponieważ obie instytucje robiły wszystko, aby gniew wiernych nie wyszedł na jaw. Buzował więc tuż pod powierzchnią, nie rzucając wyzwania autorytetowi tych, którzy ze swojego nadania sprawowali najwyższe urzędy.

Wszelako takich jak Hahskans było więcej. Merlin zdawał sobie z tego sprawę od samego początku. Nigdy nie wątpił, że ośmielą się przemówić z głębi serca w sprawie Kościoła Charisu, ale też miał pewność, że są świadomi zła tkwiącego w Świątyni. Miał

nadzieję, że odnajdą swój głos, gdy dusząca ręka Inkwizycji zostanie odjęta od ich ust, i poczuł wielkie zadowolenie, kiedy znalazł nazwiska Tymahna Hahskansa na liście proboszczów ponownie wyświęconych przez nowego arcybiskupa Corisandu, Klairmanta Gairlynga. Jakkolwiek Hahskans nie mógł tego wiedzieć, SAPK-i już dawno doniosły Merlinowi, że duchowny ten jest jednym z najbardziej poważanych księży w Manchyrze. I nie bez powodu, jako że proboszcz u Świętej Kathryn zasłużył sobie na szacunek mieszkańców stolicy Corisandu nie tylko krasomówstwem. Był chętnie słuchanym kaznodzieją, to prawda, lecz szacunek do niego brał się głównie stąd, że każdy - z wyjątkiem największych głupców i największych cyników - musiał dostrzec przepełniające tego bożego sługę mądrość, prawość i nieskończone pokłady miłości.

*Bo Hahskans jest sługą bożym, stwierdził w duchu Merlin. Czy patrzeć na niego przez pryzmat Kościoła Boga Oczekiwanego, czy przez pryzmat Kościoła Charisu, ten człowiek znalazł drogę prowadzącą do Stwórcy. Tak jak mówi, nie jest jedynym duchownym w Corisandzie, który zauważył zepsucie Świątyni, lecz bez wątpienia nikt poza nim nie widzi tego tak jasno ani nie głosi z taką odwagą. Obecność kogoś takiego w Manchyrze, ze wszystkich miejsc na Schronieniu, świadczy, że Bóg chyba jednak istnieje, nawet jeśli ja uważam inaczej.*

Człowiek, który kiedyś był Nimue Alban, potrzęsnał głową i choć już nigdy nie miał potrzebować tlenu, zaczerpnął głęboko tchu.

- No dobrze, Sowo - mruknął. - A teraz zobaczymy, co pokazują czujniki zainstalowane w katedrze. Nie sądzę, aby arcybiskup Klairmant przebił swojego podwładnego, ale nie spisujmy go na straty przedwcześnie.

- Tak jest, komandorze poruczniku - odparła oddalona sztuczna inteligencja, na co Merlin ponownie przytknął powieki.

## **.VII.**

**OKRĘT LODOWY JASZCZUR**

**MIASTO YU-SHAI**

**PROWINCJA SHWEI**

**IMPERIUM HARCHONGU**

Witam na pokładzie, mój panie.

- Dziękuję, kapitanie...? - odparł Phylip Ahzgood, unosząc znacząco brew, gdy odpowiadał ukłonem na powitanie przysadzistego brodacza w mundurze imperialnej marynarki wojennej Harchongu, czekającego na niego przy końcu trapu.

- Yuthain, mój panie. Kapitan imperialnej marynarki wojennej Gorjha Yuthain, do usług. - Oficer pokłonił się po raz kolejny, tym razem głębiej, w charakterystyczny tylko dla Harchończyków sposób.

- Dziękuję, kapitanie Yuthain - powtórzył hrabia Corisu, odwzajemniając gest i obdarzając witającego go mężczyznę wdzięcznym uśmiechem.

Nie była to jego pierwsza wizyta w Yu-Shai, z tym że poprzednim razem nie miał ochoty przyrzeć się lepiej temu miastu. Nie chodziło bynajmniej o jego mieszkańców, raczej zareagował w ten sposób na arogancję obu pionów tutejszej władzy - zarządcy grodu, jak i prowincji spełniali wszystkie wymogi stereotypu harchońskiego biurokraty. A arogancja we wszystkich urzędach imperium wznosiła się na szczyty. Ale gdy trzeba było, każdą sprawę załatwiano z niezwykłą szybkością i łatwością. Niestety przy rozpowszechnionej szeroko korupcji nie było to częste - zupełnie jak przysłowiowy śnieg w lecie - i bez odpowiedniego „podarunku” nie można było niczego załatwić. A fakt, że hrabia i towarzyszący mu potomkowie obalonego władcy byli uchodźcami politycznymi - którzy w dodatku zawędrowali bardzo daleko od domu - oznaczał tylko jedno: tutejsi decydenci będą oczekiwali o wiele większych wziętek niż zazwyczaj. Phylip Ahzgood zaś z zasady nie lubił być oskubywany.

Kapitan Yuthain należał jednak do zupełnie innej kategorii ludzi. Hrabia Corisu znał podobnych oficerów w Corisandzie - zawodowych żeglarzy, mających za sobą szereg lat spędzonych w marynarce wojennej i charakteryzujących się brakiem cierpliwości dla biurokratycznych procedur, dzięki którym urzędnicy starali się wyciągnąć kolejne marki. Phylip wątpił jednak, by ten człowiek gardził każdą okazją do zarobienia dodatkowego grosza. Kto wie, czy nie zajmował się nawet dochodowym przemytem, choć niewykluczone też, że zdobywał fundusze, wiedząc, kiedy się odwrócić, gdy ktoś inny szmugłował towary. Na pewno jednak nie był dogłębnie przeżarty korupcją, o ile hrabia potrafił jeszcze oceniać ludzi, a tego akurat był pewien.

To był dobry znak, podobnie jak radosny błysk, który dało się dostrzec w oku kapitana. Człowiek ten - zdaniem hrabiego Corisu - w najbliższych pięciodniach będzie musiał się wykazać ogromną dozą dobrego humoru oraz nie mniejszą kompetencją. Lodowaty wiatr zaciął mocno nawet tutaj, w zaciszu portowych doków i chroniących je zabudowań. Po wyjściu na otwarte wody z pewnością zrobi się jeszcze bardziej uciążliwy. Nie bez powodu



ludzie rezygnowali z pokonywania zatoki podczas zimowej pory. A powitanie w porcie Fairstock, w prowincji Malansath, może się okazać jeszcze mniej przyjemne niż żegluga przez wzburzony przestwór.

Hrabia Corisu zdawał sobie doskonale sprawę z tych wszystkich niedogodności, ale dzisiaj, po ponad miesiącu podróży lądem na końskim grzbiecie, wydawało mu się, że spędzenie trzech albo nawet czterech pięciodni na pokładzie okrętu może być miłym przerwaniem. Pokład bez wątpienia zakołysze mu się pod stopami, niemniej hrabia był przecież synem wyspiarskiego ludu. Już dawno odkrył, że jest także niezłym żeglarzem, a w każdym razie pływanie idzie mu o wiele lepiej niż jazda konno. Szczerze powiedziawszy, musiał powstrzymać się z całych sił przed nieustannym masowaniem obolałego tyłka.

- Za pozwoleniem, widzę, mój panie, że nie miałaś zbyt lekkiej podróży - zauważył kapitan, zerkając dyskretnie brązowymi oczyma w kierunku ubłoconych butów gościa i wciąż wykrzywionych nóg. - Lodowy jaszczur nie jest niestety luksusowym jachtem, a o tej porze roku jego miano zdaje się bardzo pasować do pogody, którą napotkamy po wyjściu z portu. Nie wyruszymy jednak przed jutrzejszym przypływem, więc będziesz miał czas na porządny nocleg w którejś z okolicznych gospód, jeśli szybko załadujesz swoje rzeczy. A skoro o tym mowa - wskazał głową oświetlone lampami okna tawerny na krańcu doków - w Miedzianym Czajniku dają dobrze zjeść, nie wspominając już o porządnej łaźni na zapleczu. Dla człowieka, który spędził w siodle kilka ostatnich pięciodni, długa gorąca kąpiel może być najlepszym sposobem na rozpoczęcie tego wieczoru.

- To prawda, kapitanie - przyznał hrabia, uśmiechając się z jeszcze większą wdzięcznością, po czym zerknął przez ramię w kierunku równie zmęczonego sługi.

Rhobair Seablanket był dobiegającym pięćdziesiątki wysokim i szczupłym mężczyzną. Miał opuszczone ramiona, ciemne oczy i obfitą, ale równo przystrzyżoną brodę. Na wzmiankę z pewnością zasługiwały jeszcze jego niezwykle długi nos oraz wiecznie smętna mina. Szczerze mówiąc, wyglądał jak zawodowy żałobnik, który nigdy w życiu nie opowiedział jednego kawału. Był za to bardzo kompetentny, czasami nawet nadmiernie drobiazgowy, co najważniejsze zaś: także pochodził z Corisandu. To ostatnie przeważyło, gdy hrabia podejmował decyzję o zatrudnieniu nowego człowieka, gdy kapitan Zhoel Harys zdołał dostarczyć go całego i zdrowego wraz z dziećmi księcia do Yu-Shai podczas ich pierwszej wizyty w tym grodzie, w drodze do Delferahku. Ze zrozumiałych względów nie mogli zaokrętować się na *Skrzydło* z własną służbą - nie pozwalał im na to choćby fakt, że musieli udawać biedaków. Z tego też powodu hrabia Corisu ucieszył się, i to bardzo, mogąc nająć krajana, gdy natknął się na niego w ofercie jednej z harchońskich agencji. Akcent

Seablanketa przypominał mu rodzinne strony, a kompetencje - i to na niejednym polu - przydały się wielokrotnie podczas kilkupięćdniowej podróży, jaką odbyli razem.

- Tak, mój panie? - zapytał teraz sługa, właściwie odczytując spojrzenie swojego pracodawcy.

- Podoba mi się rada kapitana Yuthaina - odparł hrabia Corisu. - Mam zamiar skorzystać z kąpieli, o której wspomniał. Idź więc przodem i zajmij się wniesieniem moich rzeczy na pokład. Rozpakuj kufry i znajdź mi suche ubranie na zmianę. Zanieś je do... Miedzianego Czajnika, dobrze zapamiętałem, kapitanie? - Yuthain skinął głową, więc hrabia znów odwrócił się do Seablanketa. - Przynieś mi je tam, abym miał się w co przebrać, a jeśli kuchnia jest rzeczywiście tak przednia, jak ją zachwala nasz gospodarz, zamów mi też wieczerzę.

- Dobrze, mój panie.

- Nie zapomnij też przynieść rzeczy dla siebie - uściślił hrabia, wskazując na niego palcem. - Domyślam się, że jesteś równie przemarznięty jak ja, a oni tam muszą mieć więcej niż jedną balię.

- Dobrze, mój panie. Dziękuję.

Ponura twarz Seablanketa rozjaśniła się nieco, lecz hrabia nie zważał na jego wdzięczność.

- Proszę nie mieć mnie za gburę, kapitanie - były doradca księcia Corisandu ponownie skupił uwagę na oficerze - ale im prędzej znajdę się w kąpieli, tym lepiej. Jestem też pewien, że *Lodowy Jaszczur* to znakomita jednostka, przyjdzie mi zresztą spędzić na niej kilka najbliższych pięćdni. Na pewno nie zabraknie nam okazji do lepszego poznania się, zanim dotrzemy do Fairstock.

\* \* \*

Łażnia za Miedzianym Czajnikiem była skromnie umeblowana, ale za to solidnie zbudowana i w pełni wyposażona. Hrabia Corisu spędził w niej prawie godzinę, zanurzony po szyję w wodzie, z półprzymkniętymi oczami rozkoszując się przyjemnym ciepłem, które rozluźniało obolałe członki. Podróżując od zajazdu do zajazdu, w ciągu kilku ostatnich miesięcy spędził na końskim grzbiecie albo w trzęsącym się powozie więcej czasu niż podczas reszty życia i dlatego czuł trudy tej podróży w każdej kosteczce. Prawdę mówiąc, główne trakty tutaj, na Howardzie, były o wiele lepiej zaprojektowane, zbudowane i utrzymane niż ich odpowiedniki w Corisandzie. Szerokie, brukowane, z porządnym odwodnieniem i solidnymi mostami pozwalały na pokonanie minimum stu mil dziennie. W księstwie nigdy nie udałooby mu się dokonać czegoś podobnego, ale szczerze powiedziawszy,

wiele by dał, żeby nie musieć tego robić na kontynencie. Fakt, że było to możliwe, nie oznaczał wcale, iż można było pokonać takie odległości w sposób przyjemny dla ciała i umysłu. Dawna miłość hrabiego do morza uległa stanowczemu umocnieniu po miesiącu tułaczki, jaką odbył po opuszczeniu Talkyry.

*To był jednak najłatwiejszy odcinek trasy, który musiałem pokonać*, przypomniał sobie z przekąsem, gdy wychodził z, balii, aby sięgnąć po ręcznik wiszący obok wielkiego kaflowego pieca ogrzewającego wnętrze łaźni. Zatoka Dohlariańska w październiku była najpodlejszym akwenem, jaki znał człowiek. A *Lodowy Jaszczur*, mimo niekwestionowanej kompetencji jego kapitana, był zwykłą galerą, nie zaś galeonem. Płaskodenną, o niskim zanurzeniu i smukłym kadłubie... Nie ulegało więc wątpliwości, a hrabia miał wystarczające pojęcie, by wiedzieć, co myśli, że stanie się pomiotem Shan-wei, gdy tylko opuszczą port.

Zakładając, że uda im się przeżyć podróż przez zatokę (co wydawało się całkiem prawdopodobne, jeśli kapitan Yuthain okaże się tak dobry, jak przypuszczał hrabia), kolejnym etapem będzie tysiąc trzysta mil jazdy traktami - tym razem w głębokich listopadowych zaspach - ku brzegom Jeziora Pei. Tu hrabia znów przesiądzie się na okręt, by przebyć kolejne czterysta mil i dotrzeć na przeciwległy brzeg, który z pewnością będzie skutym lodem, zanim galera zdąży tam dotrzeć. To oznaczało znowuż, że być może dane mu będzie - hura! - przebyć ostatni etap trasy na pokładzie lodowej łodzi.

To doświadczenie sprawi, że *Lodowy Jaszczur*, mimo obiekcji jego dowódcy, wyda się hrabiemu luksusowym jachtem.

*Jakie to szczęście, że nie masz jeszcze pięćdziesiątki na karku*, pomyślał, kończąc się wycierać i sięgając po lniane odzienie, które przewidujący Seablanket zostawił dla niego w pobliżu pieca. *Jakoś to przeżyjesz. Dobrze, że zadbałeś o spisanie testamentu przed wyruszeniem w tę podróż, ale chyba nie było to konieczne. Przeżyjesz, przynajmniej do momentu dotarcia do Syjonu.*

To było właśnie sedno problemu. Co się wydarzy, gdy hrabia dotrze do Syjonu i Świątyni? Fakt, że pismo wzywające go przed oblicze wikariatu podpisał także wielki inkwizytor, a nie tylko kanclerz, napawał go sporym niepokojem. Zwłaszcza że nie widział powodów do tej wizyty. Dla Clyntahna i Trynaira młody książę był tylko kolejnym pionkiem w grze. Któregoś dnia, jeśli uda mu się dotrzeć bezpiecznie na drugi kraniec szachownicy, dostąpi zaszczytu wyniesienia między figury i stanie się kimś o wiele ważniejszym dla graczy. Teraz był jednak tylko zwykłym chłopcem, a Clyntahn znał na tyle dobrze zasady gry, że wiedział, iż najłatwiej poświęca się pionki.

Hrabia Corisu zrobił co mógł, by uspokoić księżniczkę Irys, ale znał ją zbyt dobrze, by

wiedzieć, że kłamstwa tu nie wystarczą. W jego opinii to dziewczę było o wiele zmyślniejsze od ojca i nie wahało się korzystać z umysłu, jakim obdarzył je Bóg i Jego archaniołowie. Podobnie jak księżę Hektor, potrafiła żywić urazę, póki ta żyła, po czym wypychała ją i wieszala w dobrze widocznym miejscu, aby dalej się nią napawać. Na szczęście - przynajmniej do tej pory - dobierała sobie cele nienawiści z wyjątkową ostrożnością. Ta sytuacja mogła jednak ulec zmianie - i kto wie, czy już nie uległa - zważywszy, w jak brutalny sposób jej dotychczasowe życie zostało wywrócone do góry nogami. Jeśli jednak chodzi o wyczucie politycznych wiatrów i zagrożeń wiszących nad głową jej brata, to mimo młodego wieku niewiele ustępowała nawet komuś tak doświadczonemu jak hrabia Corisu. Z tego też powodu powiedział jej czystą prawdę, wyznając, że jego zdaniem Grupa Czworka nie ma chwilowo żadnych planów względem Daivyna. Prędzej czy później któryś z wikariuszy wpadnie jednak na pomysł, jak zagospodarować młodego księcia. Dlatego właśnie on sam musiał przemierzać tysiące mil mimo wyjątkowo niesprzyjającej zimowej aury.

Gdy nadejdzie właściwy czas, Phylip Ahzgood musi znać swoje miejsce. Musi wiedzieć, kto jest jego prawdziwym panem. Widzieć wszystko jasno i wyraźnie, aby nie pomylić aktualnego statusu z nieważną już lojalnością wobec rodu Daykynów. Wikariusze chcieli mu to wykazać osobiście... a poza tym dokonać oceny jego przydatności. Jeśli coś im się nie spodoba, zostanie usunięty z pozycji strażnika Irys i Daivyna. Przy odrobinie szczęścia być może uda mu się zachować życie, aczkolwiek pewniejsze było, że wszelki ślad po nim zaginie. Szanse na szczęśliwe zakończenie miał w stosunku: jeden do pięćdziesięciu.

*Cóż, kochany Phylipie, pomyślał, wkładając bogato zdobioną koszulę ze stalostowej przędzy, musisz zadbać o to, by wikariusze odnieśli pozytywne wrażenie. To nie powinno być aż tak trudne. Zwłaszcza dla tak doskonałego kłamcy, jakim jesteś. Musisz tylko trzymać ich na dystans, aby żaden nie odkrył, co naprawdę myślisz. Czy to może być aż tak trudne?*

\* \* \*

- Chyba powinienem już wracać do Miedzianego Czajnika - powiedział Rhobair Seablanket. - Do tej pory na pewno skończył się kąpać. Chciał, abym zamówił mu wieszak, a gdy ją zje, zacznie się zastanawiać, dlaczego nie ma mnie w łaźni. - Skrzywił się mocno. - Sam się sobie dziwię, że jeszcze nie tkwię po szyję w gorącej wodzie.

- Rozumiem - odparł mężczyzna siedzący po drugiej stronie rozklekotanego biurka w jednym z magazynów portowych.

Pomieszczenie to nie należało do najczystszych ani też najcieplejszych, a jego okna pokrywała tak gruba warstwa kurzu, że nikt postronny nie mógł zajrzeć do wnętrza. To jednak dobrze służyło celom, do których zostało wynajęte.

- Rozumiem - powtórzył mężczyzna - uważam, przynajmniej chwilowo, że moi przełożeni będą usatysfakcjonowani. W każdym razie nie oczekuj, że otrzymasz bardziej... konkretne polecenia.

- Oby - mruknął Seablanket z wyraźną ulgą, a gdy jego rozmówca uniósł znacząco brew, prychnął głośno. - Ten człowiek nie jest głupcem, ojcze. Jestem pewien wszystkiego, co zameldowałem do tej pory, więc uważam, że twoi „przełożeni” niewiele się mylili, podając mi jego charakterystykę. Wolałbym więc nie robić niczego, co skierowałoby na mnie jego baczniejszą uwagę. Jeśli odkryje, że donoszę o wszystkim, co robi, może dojść do drastycznego zakończenia naszej współpracy. Nie zapominajcie o tym, że ten człowiek był szefem wywiadu księcia Hektora. Kimś, kto zawiadywał wszystkimi jego zabójcami. - Seablanket skrzywił się ponownie. - A wywiad Corisandu znany był z tego, że chętnie pozbywał się wrogów, rzucając ich obciążone ciała do jezior albo bagien. A my dwaj mamy przepłynąć całą Zatokę Dohlariańska, i to zimą. Wolałbym znaleźć się na jej drugim brzegu.

- Naprawdę uważasz, że mógłby zareagować w taki sposób? - Rozmówca wydawał się szczerze rozbawiony tą uwagą, co nie uszło uwagi poirytowanego sługi.

- Nie wiem, ale podobnie jak ty, ojcze, wolałbym się o tym nie przekonywać na własnej skórze. Niewykluczone, że okaże się bardziej powściągliwy, jeśli mu powiem, kto mnie umieścił w agencji, gdy pojawił się ostatnim razem w Yu-Shai, ale równie dobrze może go to nie obejść ani trochę.

- Nie możemy do tego dopuścić! - Mężczyzna wstał, pokazując w całej krasie purpurową sutannę ozdobioną płomieniem, i uczynił prawą dłonią znak berła, błogosławiąc sługę. - Moje modlitwy będą z tobą, synu - zapewnił go.

- Wielkie dzięki, ojcze.

Fakt, że pozwolił sobie na taki ton wobec duchownego, wiele mówił o napięciu, jakie odczuwał, żywiąc obawy co do spodziewanej zemsty hrabiego Corisu. A może uznał, że wystarczająco długo zna swojego rozmówcę? Jeśli tak, musiał pojąć, że to znacznie mniej groźne, niż mogłoby się wydawać.

W końcu kto powiedział, że rozjemca wielkiego inkwizytora nie może mieć rozbudowanego poczucia humoru.

**LISTOPAD**

**ROKU PAŃSKIEGO 893**

.I.

**PAŁAC CESARSKI**  
**CHERAYTH**  
**CHISHOLM**  
**ORAZ**  
**HMS *PORANNY WIATR***  
**CIEŚNINA DELFINÓW**

- Jaka jest twoja opinia o najnowszych raportach Merlina i Sowy na temat Corisandu, Maikelu? - zapytała Sharleyan.

Wraz z Caylebem siedziała w Komnacie Księcia Tymahna, znajdującej się tuż obok ich własnych apartamentów i przerobionej na bibliotekę połączoną z pracownią. Brakowało w niej nowoczesnej podgrzewanej podłogi, jaką kazali zainstalować w swojej sypialni, lecz niedostatek ten kompensował nowiutki żeliwny piecyk z odlewni Howsmyna zasilany węglem i dający dość przyjemnego ciepła.

- Widzieliście te same przekazy z SAPK-ów co ja - zauważył Staynair, odzywając się z komunikatora. Jego głos brzmiał zadziwiająco czysto, zważywszy na to, że sam Maikel znajdował się cztery tysiące mil od Cherayth, licząc w linii prostej. - Co o nich myślicie?

- Nie, nie, nie! - odrzekł Cayleb, szczerząc się od ucha do ucha. - My zapytaliśmy cię pierwsi.

- Ehem! - odchrząknął głośno Staynair, a Sharleyan posłała uśmiech mężowi.

Soczewki kontaktowe obojga przekazywały im obraz arcybiskupa siedzącego w kajucie statku i wyglądającego na zachód słońca, z Ahrdynem wyciągniętym na jego kolanach. Natomiast Maikel dzięki temu samemu urządzeniu zobaczył uśmiech cesarzowej i mógł zareagować żartobliwym grymasem. Zaraz jednak spoważniał i wzruszywszy z rezygnacją ramionami, odpowiedział:

- Jeśli chodzi o Kościół, sądzę, że wyjątkowo nam się poszczęściło z osobą Gairlynga, a zwłaszcza z kimś takim, jak ojciec Tymahn. Raczej nie znajdziemy w Corisandzie miłośników Charisu, szczególnie pośród duchowieństwa, niemniej element postępowy, także w hierarchii kościelnej, jest liczniejszy, niż się spodziewałem przed inwazją. Dodatkowa dobra wiadomość jest taka, że ci reformatorzy to urodzeni Corisandczycy, nie wyłączając ojca

Tymahna. Dzięki temu głos rozsądku zyska corisandzką twarz, co z biegiem czasu może się okazać niezwykle istotne. - Milczał przez chwilę, marszcząc brwi. - Co zaś do spraw polityki, moim zdaniem Hauwyl Chermyn, hrabia Skalnego Kowadła i hrabia Tartarianu panują nad sytuacją na tyle, na ile to możliwe, wasza wysokość. Bynzhamyn zgadza się ze mną w tej kwestii, nawiasem mówiąc. Żaden z nas nie wyobraża sobie, aby ktokolwiek mógł zachować się lepiej w sytuacji, gdy Hektor nie żyje, a w całym Corisandzie znalazłoby się może pół tuzina osób, których zdaniem zleceniodawcą morderstwa nie był Cayleb.

- Zgoda - potwierdził cesarz poważnym tonem. - Niemniej muszę powiedzieć, że czułbym się znacznie lepiej, gdyby bractwo dało nam wolną rękę i pozwoliło na wtajemniczenie Hauwyla. Gdyby ktoś w Corisandzie nosił jeden z komunikatorów Merlina, mógłbym spać o wiele spokojniej.

Sharleyan potaknęła, aczkolwiek gwoli prawdy, nie była do końca przekonana do pomysłu wtajemniczenia Hauwyla i wyposażenia go w komunikator. Nie chodziło o to, że nie ufała dowódcy piechoty morskiej czy miała zastrzeżenia do jego lojalności, inteligencji czy wytrzymałości na perswazję. Bynajmniej. Szkopuł leżał w tym, że choć szczerze nienawidził Grupy Czwojga, nie przestał wierzyć, i to głęboko, w doktrynę Kościoła Matki. Całkiem jak w przypadku Rayjhisa Yowance'a czy Mahraka Sandyrsa, nie sposób było przewidzieć, jak Chermyn zareaguje, poznawszy prawdę.

*W dodatku takich jak oni jest więcej, przyznała w myślach skwaszona Sharleyan. I co gorsza, wszyscy byliby znacznie skuteczniejsi, gdybyśmy tylko się odważyli i wszystko im wyznali.*

Niestety nie mogli tego zrobić pomimo problemów, jakie to powodowało. Dostatecznie kiepską sprawą było, że musieli trzymać w niewiedzy hrabiego Szarej Zatoki, czyli pierwszego doradcę cesarza, a do tego teraz doszedł jeszcze Sandyrs, baron Zielonego Wzgórza, który sprawował równoznaczną funkcję w dawnym królestwie Chisholmu.

*Nie wspominając o takim drobiazgu jak ten, że baron Zielonego Wzgórza jest kochankiem matki (cóż z tego, że oni myślą, iż udało im się to utrzymać w tajemnicy) oraz człowiekiem, który nauczył mnie wszystkiego, co powinnam wiedzieć jako władczyni, myślała dalej smętnie cesarzowa. Czemuż, ach, czemuż akurat ci dwaj, na których tak silnie polegamy z Caylebem, muszą okazywać wielką prawość, gdy idzie o sprawy Kościoła Matki?*

- Zrobiłem co mogłem, aby zachęcić Zhona i pozostałych, wasza wysokość - rzekł ostrożnie Staynair, zwracając się do Cayleba. - I muszę powiedzieć, oddając im sprawiedliwość, że stali się nieco bardziej elastyczni, gdy idzie o kwestię rozszerzenia kręgu wtajemniczonych. Zważywszy na to, jakim okoniem stawali przez długi czas... właściwie od



początków istnienia bractwa... to wielki krok naprzód, przynajmniej moim zdaniem.

- Zgoda - powtórzył Cayleb, przyjmując do wiadomości lekko, ale jednak napominający ton arcybiskupa. - Zgadzam się! I jakkolwiek bywa to irytujące, przyznaję, że zakładanie mi wędzidła, kiedy ponosi mnie nadmierny entuzjazm, nie jest najgorszą rzeczą. - Skrzywił się nieznacznie. - Przypuszczam, że większość monarchów ulega czasem swojej popędliwości, tracąc ostrożność. I coraz częściej się zastanawiam, czy bractwo nie miało jednak racji, martwiąc się moją „młodzieńczą niecierpliwością” i zwlekając z dopuszczeniem do tajemnicy mnie samego...

- Aż tak daleko bym się nie posuwał - wpadł mu w słowo Staynair. - Aczkolwiek nie powiem, abym nie poczuł ulgi, słysząc, do jakich wniosków doszedłeś.

- Och, dorastam, naprawdę - zapewnił go suchym tonem Cayleb. - Ma z tym coś wspólnego ciągła obecność Merlina i Sharleyan gotowych walić mnie w łeb, gdy tylko przyjdzie im ochota, wiesz...

- Może i by miało, gdyby ten łeb, jak go nazwałeś, nie był aż taki twardy - zwróciła się doń żona, z uśmiechem gładząc go po włosach. Cayleb uśmiechnął się do niej w odpowiedzi, a ona prychnęła rozbawiona. Zaraz jednak odchyliła się na oparcie krzesła i z poważną miną pokręciła głową. - W każdym razie, jeśli chodzi o Corisand, obecnie mamy do niego bliżej niż do Tellesbergu - uczyniła spostrzeżenie. - Mimo stacji semaforowych po obu stronach morza... Albo między miejscem naszego pobytu a Eraystorem, skoro już o tym mowa... co działa na naszą korzyść, nie Grupy Czworoga. Z Cherayth możemy przesyłać wiadomości znacznie szybciej.

- To rzeczywiście duża pomoc - przyznał Cayleb. - W istocie, przynajmniej w odniesieniu do semaforów, nasze obecne miejsce pobytu jest korzystniejsze niż Tellesberg, jako że Cherayth znajduje się bliżej geograficznego środka. Aczkolwiek to nie to samo co przebywanie w Corisandzie i pilnowanie wszystkiego samemu. No i nie podoba mi się konieczność przesyłania wieści lądem, przez Zebediah, nawet jeśli naczelnicy semaforów zostali przez nas zweryfikowani - dodał kwaśnym tonem.

- To nie to samo - zgodziła się z nim Sharleyan.

Oczywiście oboje wiedzieli, dlaczego Cayleb nie przebywa w Manchyrze i nie nadzoruje osobiście włączania niesformego księstwa do Imperium. Pomijając wszystkie osobiste pobudki, Sharleyan była z tego faktu zadowolona - zwłaszcza z powodu, który właśnie zaczął zmieniać jej figurę; jak się okazało, wyrachowane pobudki polityczne, które ściągnęły go do domu w Cherayth, okazały się koniec końców słuszne. Sharleyan nie była aż tak naiwna, aby sądzić, że hrabia Skalnego Kowadła i hrabia Tartarianu zdołają utrzymać w

ryzach liczne i wielorakie resentymy, od których buzowało w Corisandzie. „Spontaniczne” demonstracje uliczne w Manchyrze - i te, które faktycznie były spontaniczne, całkowicie niezależne od działań osób takich, jak Paitryk Hainree - stanowiły złowróżbną zapowiedź czarnych chmur zbierających się nad horyzontem. Ale przekazy z SAPK-ów Merlina dobitnie udowadniały, że sytuacja przedstawiałaby się jeszcze gorzej, gdyby Cayleb pozostał w Manchyrze. Przynajmniej bowiem obaj hrabiowie byli Corisandczykami, w przeciwieństwie do Cayleba. I sprawowali rządy w imieniu małoletniego księcia Daivyna, teoretycznie jako jego regenci, a nie w imieniu obcego najeźdźcy. Wszyscy mogli się dopatrywać cienia owego najeźdźcy za pustym (tymczasowo) tronem książęcym, ale musieli uznać prawowitość władzy obu regentów, co na pewno nie miałyby miejsca w wypadku Chermyna.

Generalnie był to ładny pasztet. I dość nieświeży.

*Szkoda, że tak bardzo jest mi żal Irys, pomyślała ze smutkiem cesarzowa. Wiem, że nie mogę pozwolić uczuciom mną zawładnąć, bo to rzutowałoby na moje decyzje. Ale wiem też, jak czuje się młode dziewczę, gdy ktoś zamorduje jej ojca. Wiem, co coś takiego może zrobić z człowiekiem, a Hektor Daykyn, choć go nienawidziłam, był ojcem Irys. Kochała go, kochała go tak samo mocno jak ja swojego ojca, i wiem, że nigdy nie wybaczy Caylebowi tego, iż kazał go zabić, podobnie jak ja nigdy nie przebaczyłam Hektorowi, że opłacił zabójstwo mego taty.*

Sharleyan Ahrmahk była boleśnie świadoma nacechowanych ironią losu podobieństw między nią i Irys Daykyn i pomimo palącej ją wciąż nienawiści do księcia Hektora szczerze i głęboko współczuła jego pozostałym przy życiu, osieroconym dzieciom. A jeśli na całym Schronieniu żył ktoś, kto potrafił docenić zagrożenie, jakie stanowiła palająca żądzą zemsty „zwykła dziewczynina”, tym kimś była tylko Sharleyan z Chisholmu.

*Przez co tylko jeszcze bardziej się martwię baronem Larchrosu, hrabią Burzowej Warowni i wszystkimi ich przeklętymi przyjaciółmi i sąsiadami. Co za szkoda, że nie możemy ich po prostu aresztować za to, co jak wiemy, knują.*

Lecz tego nie wolno im było zrobić pod żadnym pozorem. Cayleb miał absolutną rację, uznając, że nie może zastąpić książąt i wielmożów podbitych księstw ludźmi, w których widziano by jego faworytów. Musiał pozostawić wrogich mu arystokratów na swoich stanowiskach, wymuszając na nich tylko przysięgę na wierność, i dać im spokój... do czasu, aż się wychylą i otwarcie mu sprzeciwią. A że żaden sąd nie przyjąłby jako dowodów materiału zebranego przez SAPK-i, mogli co najwyżej siedzieć i obserwować to, co Merlin ochrzcił mianem Północnej Konspiracji.

Gdyby Sharleyan miała być całkowicie szczerą, przyznałaby, że najchętniej podjęłaby

bardziej zdecydowane działania także przeciwko agitatorom ulicznym. Nie rozumiała, dlaczego nie mieliby aresztować plebejuszy pod takim czy innym zarzutem, zakładając oczywiście, że zdołaliby w jakiś sposób zwrócić na nich uwagę Chermyna. Albo Gahrvaia. Tylko jak to zrobić i nie wywołać lawiny pytań osób spoza wewnętrznego kręgu? Zresztą, pomijając nawet te prozaiczne przeszkody, pozostawała kwestia, czy aby na pewno chcą wstąpić na tę drogę? Sharleyan nie wątpiła, że może nadejść taki dzień, gdy nie będą mieli innego wyjścia, niemniej jak słusznie zauważył przed chwilą Cayleb, uleganie własnej popędliwości, aczkolwiek kuszące, rzadko bywało roztropne. Ona sama najchętniej odsuwałaby w czasie jak najdłużej ów moment, gdy staną pod ścianą.

Naturalnie były także inne, bardziej przyziemne, acz nie mniej istotne, argumenty za tym, aby na razie nie podejmować żadnych działań. Baza danych zawierająca nazwiska agitatorów, zbierane przez Merlina i Sowę, stale rosła i wiele przemawiało za tym, aby nie przerywać tego procesu... przynajmniej do czasu. Dzięki temu w razie pilnej potrzeby będą wiedzieli, gdzie dokładnie uderzyć, a zgromadzenie większości, jeśli nie wszystkich wrogów w jednej organizacji ułatwi sprawę o tyle, że będą mogli uciąć łeb opozycji jednym sprawnym cięciem.

*Poza tym, dodała w myślach Sharleyan, przeglądając „dane” Sowy, jak je nazywa Merlin, można się dowiedzieć, z jakiego powodu ktoś dołączył do ruchu oporu. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka to ważna informacja, dopóki seijin nie zwrócił na to mojej uwagi. Znajomość motywów ludzi, którzy aktywnie ci się sprzeciwiają, bywa kluczowa, kiedy chce się wdrażać skuteczną względem nich politykę. Nie zaszkodzi także znajomość charakterów przeciwników. Nie każdy, kto krzyczy razem z ludźmi takimi, jak Hainree czy Waimyn, od razu musi ich przypominać. Po drugiej stronie barykady są też przyzwoici ludzie; ludzie, którzy wierzą, że postępują właściwie, że robią to, czego oczekuje od nich Bóg. Ciężko w to uwierzyć, gdy widzi się dowody czarno na białym! A bez nich na pewno bym o tym w ogóle nie pamiętała, gdy nadejdzie czas ferowania wyroków.*

Tyle dobrego, że wysiłki w tym kierunku nie pochłaniały całej ich energii. Po tym jak już Merlin wdrożył procedury, Sowa instalowała sensory w otoczeniu każdego zidentyfikowanego aktywisty działającego na szkodę Charisu. Tymczasem żadne z nich nie próbowało nadażyć za danymi spływającymi do akt. Zakładając, że „filtry”, które zamontował Merlin, spełnią swoją rolę, Sowa zidentyfikuje każdego liczącego się corisandzkiego duchownego, wielmożę czy członka parlamentu, który kontaktował się w jakiś sposób z osobami z bazy danych. W ten sposób wzmiankowani dostaną się w krąg zainteresowania *seijina* i będą czekali na swoją kolej, gdy idzie o sprawdzenie. Do tej listy

dodano także kilku najważniejszych (albo przynajmniej najaktywniejszych) agitatorów ulicznych, a Sowa regularnie donosiła Merlinowi o osobach mających z nimi do czynienia, i to bez względu na ich status. W gruncie rzeczy jednak całość przedsięwzięcia sprowadzała się do uzupełniania listy wrogów i rozpoznawania struktur rodzącej się organizacji. Aczkolwiek z trudem im przychodziło patrzeć beczynnym na nieustający wzrost liczby nieprzyjaciół, nie mogąc zdusić go w zarodku, zdawali sobie doskonale sprawę, że nie mogli uczynić nic, co by temu zapobiegło, i to bez względu na podejmowane działania zaradcze.

*Ale kiedyś w końcu będziemy mogli rozbić tę ich organizację,* stwierdziła w myślach Sharleyan. *Ba, kiedyś będziemy musieli to zrobić, i to nie tylko w Manchyrze. Północna Konspiracja także doczeka się swojej kolejki. Gdyż prędzej czy później dostarczy nam dowodów, które będziemy mogli wykorzystać, „odkrywszy” je standardowymi metodami. A gdy to już nastąpi, wszyscy się przekonają, jakich sprawnych mamy katów.*

Sharleyan nie mogła się doczekać tego dnia.

- Cóż - odezwała się teraz - przynajmniej nie zanoszę się na to, aby Corisand miał stanąć w płomieniach. Nawet dobrze się składa, że odbędziesz swoją pierwszą duszpasterską podróż do nas i do Corisandu, Maikelu. Myślę też - dodała, a w jej głosie dało się wyczuć nutę dumy... tak, zdecydowanie była to duma, jeśli nawet nie zadufanie - że kiedy rozejdzie się wieść, że nareszcie spodziewamy się narodzin potomka, pewne osoby, które mogłabym wymienić z nazwiska, zdenerwują się tak samo mocno, jak nasi poddani ucieszą.

- Och, tego jestem akurat pewien - poparł żonę Cayleb głosem przepełnionym zadowoleniem.

- Szmaragd też nie - powiedział do obojga Staynair. - Znaczący się, raczej nie stanie w płomieniach.

Żadne z nich nie mówiło głośno, lecz obecnie arcybiskup ściszył głos nawet bardziej niż Cayleb czy Sharleyan do tej pory. Chroniły ich grube mury i solidne drzwi z prawiedębu, strzeżone przez dwóch cesarskich gwardzistów osobiście wybranych do służby przez Merlina Athrawesa i Edwyrda Seahampera. Nikt nie miał prawa ich podsłuchać.

Natomiast Staynair był zamknięty w ciasnej admirałkiej kajucie na pokładzie HMS *Poranny Wiatr*, jednego z nowszych galeonów. W porównaniu z dziupłowatymi kabinami na okrętach wojennych pomieszczenie to porażało przestrzenią i zaiste było godne gości arcybiskupa, zapewniając mu pewną dozę prywatności wymaganą w jego profesji i umożliwiając medytację oraz modlitwę. Aczkolwiek, jako się rzekło, znajdowało się na pokładzie okrętu wojennego charisjańskiej marynarki. Co oznaczało, że grodzie były cienkie, drzwi mogły być ze wszystkiego, tylko nie z prawiedębu, a ludzie choćby niechcący naruszali

wzajemnie swoją prywatność. Na szczęście od początku podróży wyrobił w sobie nawyk chowania się w swej kajucie celem podziwiania zachodu słońca i medytacji. Jak dotąd, nikt z załogi nie zakłócał tych chwil wytchnienia. Dopóki mówił ściszym głosem i nie otwierał świetlika, dopóty nikt go nie powinien usłyszeć przez nieuniknione odgłosy poruszającego się statku. Ani tym bardziej zrozumieć poszczególnych słów. Zresztą i tak zapewne każdy po prostu by przyjął, że arcybiskup modli się, a przyjąwszy to, najpewniej raz-dwa oddaliłby się, byle nie zostać posądzonym o podsłuchiwanie.

- Właściwie - kontynuował Staynair - Szmaragd powinien być równie zachwycony nowiną o twojej, Sharleyan, ciąży, jak wszyscy poddani Starego Charisu czy Starego Chisholinu. Szmaragdczycy opowiedzieli się po jednej ze stron i teraz równie chciwie wypatrują zapewnienia sukcesji jak pozostali poddani Imperium.

- Naprawdę tak uważasz? - zainteresowała się Sharleyan. - Przyznaję, że też odniosłam takie wrażenie, aczkolwiek obawiałam się trochę, że je odniosłam dlatego, że chciałam je odnieść, jeśli za mną nadążasz. - Skrzywiła się lekko. - W pewnym sensie te wszystkie SAPK-i Merlina sprawiają, że jeszcze trudniej jest się rozeznąć w tym, co myślą inni ludzie. Latami trenowałam, aby móc to robić na podstawie relacji pozyskiwanych z drugiej albo nawet trzeciej ręki. Metodą interpretacji, rzekłbyś. A teraz mogę się bezpośrednio przyglądać podejrzanym i na tej podstawie mam oceniać bez niczyjej pomocy, co też im chodzi po głowie. Coraz mniej się dziwię, że Merlin tłumaczy się często „zawaleniem danymi”.

Głos cesarzowej zmieknął przy ostatnim zdaniu, a Cayleb zamasyścił przytaknął jej słowom. Nadal nie do końca pojmował, na jakiej zasadzie działał interfejs danych szybkiej przepustowości, w który niegdyś był wyposażony CZAŁO, ale nie musiał rozumieć, jak coś działa, żeby zrozumieć, czego może dokonać. Świetnie też sobie zdawał sprawę, jak bardzo Merlin żałuje jego utraty. Czymkolwiek więc był ów interfejs danych szybkiej przepustowości, Cayleb - mając obecnie pojęcie o liczbie danych audio i wideo spływających z rozszanych po całej planecie platform obserwacyjnych - mógł tylko żałować, że żaden z nich go nie posiada.

Na szczęście mimo wszystko posuwali się do przodu. I choć Cayleb nie miał pewności w tej sprawie, podejrzewał, że Sowa w miarę zdobywania doświadczenia nabiera też wprawy w sortowaniu i nadawaniu priorytetów spływającym danym. Pomijając nawet to, co robiła Sowa, możliwość przydzielenia pewnej części tego, co Merlin nazywał materiałami, komuś poza nim, znacznie przyspieszało pracę. Oczywiście były też pewne ograniczenia. Nikt poza *seijinem* nie dysponował wbudowanym komunikatorem; zatem wszyscy poza nim musieli

werbalizować swoje myśli, gdy zachodziła potrzeba komunikacji z Sową czy kimkolwiek innym, co znacznie zmniejszało liczbę miejsc i ilość czasu, gdzie i kiedy mogli wymieniać informacje ze sztuczną inteligencją. No i rzecz jasna wszyscy poza CZAO byli istotami z krwi i kości, podatnymi na słabości ciała, nie wyłączając potrzeby jedzenia i snu.

Skoro już o tym mowa, Merlin odkrył także, iż potrzebuje rozsądnej ilości odpoczynku, jeśli ma pozostać czujny. A ściślej mówiąc, odkrył to Cayleb i to on rozkazał seijinowi wyłączać się, aby pozostać zwartym i gotowym.

Toteż seijin zażywał odpoczynku właśnie w tej chwili. Albo raczej powinien to robić, bo jeśli Cayleb albo Sharleyan dowiedzą się, że podsłuchuje, zamiast „spać” - a Sowa została poproszona o donoszenie na niego, gdyby zaszła taka konieczność - przyjdzie mu słono za to zapłacić.

- Cóż, w tym konkretnym wypadku powiedziałbym, że wrażenia waszej łaskawości pokrywają się z prawdą - rzekł do cesarzowej Staynair. - Powinienem chyba dodać, że moje własne obserwacje tutaj spowodowały u mnie wielką ulgę.

„Tutaj” nie jest najwłaściwszym słowem, zauważyła w myślach Sharleyan. *Poranny Wiatr* wypłynął z Zatoki Eraystorskiej wraz z popołudniowym odpływem. W chwili obecnej poruszał się - w ślimaczym tempie z punktu widzenia kogoś, kto doświadczył prędkości skimmera Merlina - w kierunku zachodniej odnogi Cieśniny Delfinów, a trzeba pamiętać, że statek to nie wyverna zdolna omijać rafy, mielizny, wyspy, prądy i nieprzychylnie wiatry. Jeśli będą mieli szczęście, a galeon Maikela zdoła uniknąć - co było raczej mało prawdopodobne - poważniejszych sztormów, podróż powinna trwać stosunkowo krótko jak na tę porę roku i Maikel Staynair dotrze do Cherayth, pokonując siedem tysięcy trzysta mil morskich w „zaledwie” dziesięć pięciodni.

Sharleyan piekliła się - dosłownie piekliła - na myśl o tym, że arcybiskup utknął na pokładzie jakiegoś okrętu na tak długo, ale nawet ona musiała przyznać, że nie mieli większego wyboru. Istotną rzeczą było, aby głowa Kościoła Charisu, czyli nowo intronizowany arcybiskup Maikel złożył wizytę duszpasterską na wszystkich nowych ziemiach imperium. W przeciwieństwie bowiem do Kościoła Boga Oczekiwanego zdobywający dopiero szersze wpływy Kościół Charisu postanowił już w początkach swego istnienia, że wszyscy jego biskupi i arcybiskupi będą na stałe przebywać w swych biskupstwach i arcybiskupstwach. Zamiast składać krótkie doroczne wizyty w swoich siedzibach i przelotnie zajmować się sprawami swoich owieczek, dla odmiany od dotychczasowej rutyny będą tylko raz w roku ściągać na synod, resztę czasu zaś spędzać w domu, doglądając własnych potrzeb i powierzonych im wiernych i koncentrując się na tym,

co naprawdę ważne. Natomiast synod będzie się odbywał każdego roku w innym mieście, zamiast powtarzać rokrocznie w tym samym miejscu, które niechybnie stałoby się imperialnym odpowiednikiem Syjonu.

To oznaczało, że arcybiskup Charisu będzie podróżował w przyszłości z równą intensywnością jak jego podwładni. Coś takiego było nie do pomyślenia w wypadku wielkiego wikariusza, który raczej unikał wszelakiego wysiłku - a z dalekimi morskimi wożami nieodłącznie wiązało się także niebezpieczeństwo wynikające choćby z warunków pogodowych. Maikelowi Staynairovi jednak tego typu rzeczy nie przeszkadzały. Uważał, że im więcej różnic da się zauważyć między Kościołem Charisu a Kościołem Boga Oczekiwanego, tym lepiej, i to z wielu powodów, i zamierzał się o to osobiście postarać. Aby jego następca, który mógłby zapragnąć zbudować własne imperium, miał poważne kłopoty z przełamaniem istniejącej tradycji.

Jego obecna podróż kładła podwaliny pod tę tradycję. Ale była też czymś więcej - Staynair planował złożenie wizyty we wszystkich stolicach części składowych Imperium Charisu oraz w tylu mniejszych miastach, w ilu zdoła. Jak wspomniał przed jego wyjazdem do Szmaragdu baron Gromu, tego typu wyprawa była koszmarem z punktu widzenia bezpieczeństwa. Bóg jeden raczył wiedzieć, jak wielu lojalistów Świątyni najchętniej wraziłoby między żebra „arcyheretyka Staynaira” - jak ochrzcili go sympatycy Syjonu - coś ostro zakończonego, ale liczba ta bez wątpienia była ogromna. Raz podjęto już próbę, i to w jego własnej katedrze. Kto mógł przewidzieć, jakie sprzyjające okoliczności powstaną - albo zostaną stworzone - w katedrze należącej do innego patriarchy? Pomimo tych zagrożeń Staynair nie wątpił, że ma słuszość. Musiał nawiązać osobisty kontakt z masami duchowieństwa, jeśli chciał przekonać poszczególnych księży, że szczerze troszczy się o ich potrzeby, przejmuje się ich zmartwieniami i ma na uwadze kryzys ich sumień wywołany przez schizmę.

*I naprawdę dba o to wszystko, pomyślała Sharleyan. Albowiem zdaje sobie sprawę z tego, czego od nich wymaga. Tylko ktoś całkowicie zaślepiony przez nietolerancję i nienawiść może tego nie widzieć. Pozostali rozumieją to już po pięciu minutach spędzonych w obecności swojego arcybiskupa. I właśnie dlatego musi robić to, co robi, chociaż ja wolalabym zamknąć go na cztery spusty w murach katedry i pałacu arcybiskupiego w Tellesbergu, gdzie nic by mu nie groziło.*

- Zatem nie czujesz żadnych obaw co do Szmaragdu? To znaczy w kwestiach kościelnych - dodał Cayleb, a Staynair potaknęła.

- Nie wydaje mi się, aby poddani księcia Nahrmahna mieli w sobie tyle ognia co my -

odparł - no ale to nie im Grupa Czworoga postanowiła zadać gwałt na duszy i ciele. Mimo to jestem pod wrażeniem, jak szybko Szmaragdyczycy zaakceptowali fakt istnienia korupcji toczącej Kościół Boga Oczekiwanego, która pozwoliła Grupie Czworoga dojść do władzy. Coraz bardziej skłaniam się ku myśli, że wielu... a może nawet większość, jeśli nie ponosi mnie nadmierny optymizm... duchownych w Szmaragdzie dostrzegało zepsucie Świątyni na długo przed tym, zanim książę Nahrman przysiągł lojalność wam obojgu. A zapewniam, że ci, którzy zdawali sobie z tego sprawę, byli też świadomi, iż mogą się stać następnym celem Clyntahna, nawet jeśli pominął ich przy pierwszej okazji. Stąd moje przekonanie, że mamy tam szansę odkryć silniejszy ruch reformatorski i większe zaangażowanie, aniżeliśmy się pierwotnie spodziewali.

- Zaangażowanie reformatorów - powiedział wolno Cayleb, a Staynair ponownie skinął głową, i to zdaniem Sharleyan ze znacznie większym opanowaniem niż to, na jakie ją byłoby stać w podobnej sytuacji.

- Krok po kroku, Caylebie - rzekł Staynair spokojnie. - Krok po kroku. Merlin miał rację, mówiąc, że Bóg może się zakradać przez szpary, kiedy tylko zechce, niemniej w moim odczuciu nie powinniśmy go ponaglać. Najpierw naprawmy największe, najohydniejsze przewiny Kościoła, a dopiero potem, gdy ludzie przywykną do rozważania spraw takich jak doktryna i polityka kościelna, zabierzmy się do proponowania bardziej znaczących zmian.

- To słuszne słowa, Caylebie - odezwała się cichym głosem Sharleyan.

Cayleb spojrział na nią, a ona wyciągnęła rękę, aby dotknąć lekko jego twarzy. Wcześniej nieraz już o tym rozmawiali, wiedziała więc, jak bardzo jej męża boli to, że nie może zedrzeć maski i odsłonić całej głębi kłamstw i wypaczonej wiary leżących u podwalin Kościoła Boga Oczekiwanego. Poczucie odpowiedzialności Cayleba bardzo przez to ucierpiało. A bezczynność w tej sprawie okazała się jednym z największych wyzwania w jego życiu.

- Wiem, kochanie moje - odrzekł Cayleb. - Nie podoba mi się to i nie mam zamiaru udawać, że jest inaczej, ale jestem tego świadom.

- Sądzę - wtrącił Staynair, zmieniając nieco temat - że za rok czy dwa młody Saithwyk nada się do wewnętrznego kręgu.

- Chyba żartujesz! - Sharleyan z wrażenia aż usiadła prosto na swoim krześle i otworzyła szerzej oczy.

- Nie rozumiem, skąd to przypuszczenie u waszej łaskawości.

Staynair mówił niezmiennym tonem, aczkolwiek w jego oczach można było dostrzec błyski, co sprawiło, że Sharleyan dla odmiany zmrużyła powieki. Fairmyn Saithwyk



był świeżo intronizowanym arcybiskupem Szmaragdu. Zaledwie czterdziestoletni - czyli wedle standardowej miary czasu obowiązującej w Federacji Terrańskiej, trzydziestosiedmiolatek - wywodził się z konserwatywnej rodziny, a jego nominację popierała rodzima Izba Lordów. Sharleyan jakoś nie potrafiła się w tym rodowodzie dopatrzeć zadatków na buntowniczego radykała. A jednak przyglądając się Staynairowi...

- Ty nie żartujesz - stwierdziła.

- Nie. Nie żartuję. - Uśmiechnął się do niej łagodnie. - Jak zapewne sobie przypominasz, moim zadaniem jest wstępna ocena raportów Sowy na temat przedstawicieli wyższego duchowieństwa. Biorąc to pod uwagę, nie powinno nikogo dziwić, że mając taką perspektywę, wydaję... zdawałoby się... nietypowe opinie. Ale nie należy też zapominać o tym, kto go polecił na ten urząd.

- Nahrman - powiedział zamyślony Cayleb.

- Otóż to, wasza wysokość! - Arcybiskup odwrócił lekko głowę w stronę cesarza. - Ciebie ominęła konieczność nominowania mnie, jako że przypadkiem znajdowałem się pod ręką i miałem swoje zasługi...

Cayleb obruszył się lekko, a Staynair zachichotał. Zaraz jednak spoważniał i kontynuował:

- W Szmaragdzie sytuacja przedstawiała się zgoła inaczej niż w Corisandzie. I w Chisholmie. Nie chcę przez to powiedzieć, że mam jakieś zastrzeżenia do osoby Braynaira. Sprawdził się, gdy Sharleyan organizowała parlament imperialny w Tellesbergu, i od tamtej pory wspiera was oboje oraz mnie w Cherayth. Z tego co widziałem, wy także jesteście z niego zadowoleni.

Spoglądał na Cayleba, aż ten odpowiedział skinieniem głowy.

- Należy brać to, co daje nam Bóg, Caylebie, i robić z tego najlepszy użytek - rzekł z prostotą. - Zwłaszcza gdy, tak jak w tym przypadku, zapewnia nam całkiem solidny budulec. Pawal Braynair to przyzwoity, solidny, godny zaufania człowiek. Lojalny wobec Boga i Sharleyan, w tej właśnie kolejności, i świadomy, aczkolwiek może nieco wbrew sobie, zepsucia wikariatu. Z przykrością stwierdzam, że moim zdaniem nigdy nie będzie gotowy na przyjęcie całej prawdy, tak samo jak Rayjhis czy baron Zielonego Wzgórza, ale podobnie jak i na nich, możemy na niego liczyć. Natomiast Nahrmanowi, być może, udało się znaleźć jeszcze większy skarb w osobie Saithwyka. - Wargi arcybiskupa zadrżały. - Nie mam co do tego całkowitej pewności, lecz odniosłem wrażenie, że usiłował mnie wybadać, na ile... rewolucyjny się okażę w kwestiach doktrynalnych. Jak dotąd nie wiem, w jakim kierunku sam zamierza podążyć, no ale to powinno stać się jasne w niedługim już czasie. Wolalbym

poprzyglądać mu się jeszcze trochę w akcji, niemniej podtrzymuję swoje słowa. Uważam, że ostatecznie okaże się cennym nabytkiem Kręgu. Poza tym bądźmy szczerzy: im więcej wyższych duchownych będziemy mieć po swojej stronie, tym lepiej dla nas.

- Z tym stwierdzeniem żadne z nas nie będzie polemizować - oznajmiła Sharleyan, po czym nagle wstała. - Pozwól, że tym akcentem, arcybiskupie Maikelu, zakończymy tę konferencję. Zaciągnę teraz mego małżonka do łóża, zanim postanowi otworzyć butelkę whiskey i upić się z tobą na odległość.

- Upić?! - powtórzył obrażonym tonem Cayleb. - Wiedz, że z arcybiskupem się nie upija!

- Wcale nie twierdziłam, że on również by się upił - wytknęła Sharleyan z błyskiem w oku. - Poza tym może u Maikela jest dopiero ósma, ale u nas jest już po dwunastej. Cesarzowa, zwłaszcza cesarzowa w moim stanie, potrzebuje snu, u skoro mam zasnąć, będę też potrzebowała mojego termoforu... Znaczy mojego męża - dodała z uśmiechem. - Sama nie wiem, jak mogłam się tak przejęzyczyć.

- Och, doprawdy? - Cayleb także się podniósł ze swego miejsca, a jego oczy lśniły z rozbawienia, podczas gdy w komunikatorach obojga dał się słyszeć cichy śmiech arcybiskupa. Sharleyan posłała mu niewinne spojrzenie i potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia - zapewniła męża. - Nigdy bym nie śmiała myśleć o tobie w kategoriach czysto użytkowych i do tego stopnia samolubnych! Nawet się nie domyślam, jakim cudem podobne wyrażenie mogło mi się wymknąć.

- Cóż, a ja tak - rzekł złowieszczo Cayleb. - I wiedz, młoda damo, że nie obejdzie się bez kary.

- Tak? - Przechyliła głowę, trzepocząc rzęsami. - Ojej! Czy mam poprosić gwardzistę, żeby nam przyniósł brzoskwinie w zalewie? W końcu już niebawem utracę swoją smukłość i będę mogła się nimi bezkarnie rozkoszować.

Cayleb parsknął i niebezpiecznie poczerwieniał na twarzy, próbując powstrzymać śmiech. Sharleyan zachichotała z ukontentowania, po czym zerknęła na arcybiskupa i uśmiechnęła się słodko.

- I tym akcentem... Dobrej nocy, Maikelu.

.||.

PAŁAC ARCYBISKUPI

## MANCHYR

## CORISAND

- A zatem, ekscelencjo - podjął arcybiskup Klairmant Gairlyng tonem lżejszym, anizeli faktycznie się czuł w tym momencie - co myślisz po całym pięciodniu pobytu?

- O czym konkretnie? - zareagował obojętnie biskup Zherald Ahdymysyn, wkraczając z gospodarzem i drugim z gości do gabinetu Gairlynga.

- Zheraldzie... - Biskup Kaisi Mahkhynroh uniósł napominająco palec wskazujący, na co Ahdymysyn zaśmiał się cicho.

- Wybacz, eminencjo - rzekł, spoglądając znów na Gairlynga z cieniem skruchy. - Obawiam się, że moje poczucie humoru czasami zwodzi mnie na manowce zbytnej bez troski. Sądzę, że to efekt tego, iż przez dłuższy czas podchodziłem do wszystkiego z nadmierną powagą. A jak powiada Pismo, Bóg stworzył człowieka, by ten śmiał się i płakał.

- To prawda, ekscelencjo - przyznał Gairlyng. - Z doświadczenia wiem, że śmiech bywa jedynym sposobem na uniknięcie płaczu. - Obszedł biurko i stając przy wyglądającym na wygodny obrotowym fotelu, zapraszającym gestem wskazał dwa jeszcze wygodniejsze fotele ustawione po przeciwnej stronie blatu. - Proszę, panowie. Czujcie się jak u siebie. Czy mogę zaproponować wam coś do picia?

- Ja dziękuję, eminencjo - odrzekł Ahdymysyn, zajmując miejsce w jednym ze wskazanych foteli. - Po naszym spotkaniu jem obiad z hrabią Skalnego Kowadła i jego synem. Z tego co wiem, będą również obecni hrabia Tartarianu i dwaj inni członkowie rady regencyjnej. - Uśmiechnął się z przekąsem. - Na stanowisku biskupa egzekutora Kościoła Matki potrzeba mocnej głowy. Ale teraz, będąc znowu tylko zwykłym biskupem żyjącym w większej wstrzeźliwości, jakbym utracił tę cechę i zauważyłem, że po wypiciu nawet niewielkiej ilości alkoholu pozwalam sobie na nieco nazbyt rubaszne żarty i nieco nazbyt pochopne opinie. - Zmarszczył czoło i w zamyśleniu potarł brew. - To tylko jedno z możliwych wytłumaczeń. Drugie jest takie, że zawsze miałem słabą głowę, tylko nikt nie śmiał mi tego wytknąć.

Uśmiechnął się szeroko, ale zaraz spoważniał i popatrzył Gairlyngowi prosto w oczy nad blatem biurka.

- Zdziwiałem, nieprawdaż, jak mało jest śmiałków gotowych oceniać wyższe duchowieństwo Kościoła Matki?

Milczenie przeciągało się nieco, aż wreszcie Gairlyng zerknął w górę na stojącego wciąż asystenta, który odprowadzał całą trójkę z manchyrskiej katedry do pałacu

arcybiskupiego.

- To na razie wszystko, Symynie - rzekł. - Zawołam cię, kiedy będziesz potrzebny.

- Oczywiście, eminencjo.

Ciemnowłosy i śniady młody ksiądz miał na sobie brązową sutannę z symbolem berła zakonu Langhorne'a, takim samym, jakie wyszyte było na białej, bramowanej pomarańczową lamówką szacie Gairlynga, a obu mężczyzn łączyło pewne podobieństwo, aczkolwiek było jasne, że asystent arcybiskupa jest rdzennym Corisandczykiem. Gdyby miał parę lat mniej - albo gdyby Gairlyng urodził się nieco wcześniej - Symyn mógłby być synem arcybiskupa. Jednakże Ahdymysyn nie miał wątpliwości, iż w tym wypadku w grę wchodzi naśladowanie starszego hierarchy przez młodego księdza, który darzył przełożonego szczerym szacunkiem.

*Bo rzeczywiście trudno nie szanować arcybiskupa, pomyślał Ahdymysyn. Z całą pewnością jest bardziej godny szacunku niż ja sam za starych dobrych czasów.*

Wargi drgnęły mu ponownie na wspomnienie niektórych rozmów, które odbył z ówczesnym biskupem Maikalem Staynairm. Uświadomił sobie nie po raz pierwszy, iż dobrze się złożyło, że Staynair miał poczucie humoru nie mniejsze niż współczucie, które okazywał bliźnim.

Kiedy drzwi zamknęły się za asystentem, Gairlyng skupił znów uwagę na swoich gościach. Poznał Mahkhynroha zadziwiająco dobrze na przestrzeni ostatniego miesiąca czy dwóch. A może jednak nie „zadziwiająco”, zważywszy na ścisłą współpracę z tym człowiekiem, odkąd sam został intronizowany na prymasa Corisandu, a Mahkhynroh na biskupa Manchyru, i to, że w tym czasie nie zdążyli się zaprzyjaźnić. Co najwyżej zostali kolegami, przynajmniej na razie. Wszakże bez wątpienia darzyli się wzajemnym szacunkiem, a Gairlyng był w stanie docenić, że Mahkhynroh został wyznaczony na swój urząd za sprawą wyjątkowej inteligencji, niezachwianej wiary i niesłychanie głębokich zasobów empatii. Mimo iż zasiadał na tronie biskupim z nadania „obcego, heretyckiego, schizmatycznego” Kościoła Charisu, zdążył się już wykazać umiejętnością słuchania księży - oraz laikatu - ze swego biskupstwa. A właściwie nawet więcej niż słuchania, gdyż było widać, że nie tylko słyszy, co do niego mówią, lecz potrafi także szczerze odpowiadać. Nikt nie mógł go posądzić o słabość czy niepewność, ale też nie znalazłby się wśród uczciwych ludzi taki, co by go oskarżył o tyranie czy nietolerancję.

Z kolei Ahdymysyn jak dotąd pozostawał kompletną zagadką. Gairlyng znał oczywiście suche fakty na jego temat, ale bardzo szybko zrozumiał, że suche fakty to tylko część historii życia tego hierarchy. Wiedział, że Ahdymysyn był biskupem egzekutorem w Charisie, wyznaczonym przez arcybiskupa Erayka Dynnysa, zanim ów popadł w niełaskę i

został stracony za herezję i zdradę. Gairlyng wiedział również, że Ahdymysyn wywodzi się z dość poważanego rodu Ziemi Świętych, aczkolwiek z mniej licznymi i mniej znaczącymi powiązaniem niż te, jakimi mogła się pochwalić jego własna rodzina. Miał świadomość, że Ahdymysyn - jako biskup egzekutor - nieraz udzielał nagany obecnemu arcybiskupowi Maikelowi Staynairowi, gdy ten był jeszcze tylko biskupem Tellesbergu, a także przy niejednej okazji przywoływał go do porządku, a potem był więziony (albo przynajmniej znalazł się w areszcie domowym), gdy ówczesne królestwo Charisu podjęło decyzję o otwartym przeciwstawieniu się Kościołowi Boga Oczekiwanego. Wreszcie orientował się i w tym, że od tamtej pory Ahdymysyn stał się prawą ręką Staynaira i był przezeń wysyłany wszędzie tam, gdzie szykowały się kłopoty, co wyjaśniało jego obecność w Corisandzie w tej chwili.

Gairlyng nie wiedział natomiast, w jaki sposób - i z jakich powodów - w Zheraldzie Ahdymysynie zaszła powyższa przemiana. Ubolewając nad swą niewiedzą, a może tylko swoimi mylnymi poglądami, arcybiskup doszedł do wniosku, że mimo wszystko postawi na szczerość.

- Wybacz mi, ekscelencjo - rzekł, odwzajemniając spojrzenie Ahdymysyna - ale zaczynam podejrzewać, że moje pierwotne przypuszczenia na temat twojej osoby, zwłaszcza w odniesieniu do tego, jak zyskałeś obecną pozycję, były nie do końca zgodne z prawdą.

- Albo raczej - skomentował Ahdymysyn sucho - założyłeś, że spostrzegłszy, z której strony wieje wiatr w Charisie, i zrozumiawszy, że bez względu na sposób obrony, jaki mógłbym przedstawić, wielki inkwizytor i kanclerz powitają mnie co najmniej niechętnie z powrotem w Świątyni czy Syjonie. I że postanowiłem zmienić barwy, póki czas. Dobrze mówię, eminencjo?

Gairlyng pomyślał, że to bardziej szczere przedstawienie sprawy, niż był gotowy przyznać. Niestety...

- Cóż, właściwie... tak - wyznał, przypominając sobie w duchu, że pomijając okoliczności, on był arcybiskupem, podczas gdy Ahdymysyn zaledwie biskupem. - Tak jak powiedziałem, zacząłem podejrzewać, że moje przypuszczenia na temat twojej osoby nie są do końca zgodne z prawdą, aczkolwiek chyba sam bym tego tak nie ujął, jak ty przed chwilą, choć w gruncie rzeczy mniej więcej o to chodzi.

- A już na pewno chodziło o to, którzy cię informowali przed atakiem na Corisand - zasugerował bezlitośnie Ahdymysyn.

- Tak - potwierdził krótko Gairlyng, popadając w zamyślenie, co Ahdymysyn skwitował wzruszeniem ramion.

- Ani przez moment nie wątpiłem, że Grupa Czworoga tak to przedstawiała bez względu na to, co jej członkowie myśleli naprawdę. Aczkolwiek nie mam też złudzeń, że w tym wypadku oficjalne stanowisko pokrywało się z opiniami poszczególnych członków. - Skrzywił się. - Po części dlatego, że jak sobie wyobrażam, sami zachowaliby się w identyczny sposób w podobnych okolicznościach. Ale także dlatego, że jak się obawiam, rozmawiali z osobami, które mnie znają. Przyznaję to z niechęcią, eminencjo, lecz prawda jest taka, że moje poglądy w czasie, gdy to wszystko się zaczęło, dawały podstawy do wyciągnięcia takich, a nie innych wniosków.

- To niezwykła szczerość, ekscelencjo - zauważył cicho Gairlyng, poprawiając się nieznacznie na krześle, które wydało lekuchne skrzypnięcie - zwłaszcza u kogoś, kto tak jak ty był na wyciągnięcie ręki od arcybiskupiego stolca.

- A jednak przysłała mi z większą łatwością, niż sądzisz, eminencjo - odparł na to Ahdym syn. - Nie twierdzę, że prawda nie kole mnie w oczy, lecz prawda to prawda i już. Można jej unikać i można jej zaprzeczać, ale nie można jej zmienić. Ja zaś dwie trzecie swojego życia tutaj na Schronieniu starałem się przemykać na nią oczy. To nie pozostawia mi zbyt wiele czasu na wyrównanie rachunków w tej materii, zanim zostanę powołany przed oblicze Boga, aby zdać relację ze swoich uczynków. Tym bardziej więc nie powinienem tracić cennego czasu na nieszczerłość.

- Rozumiem - pokiwał głową Gairlyng, w myślach dodając, że zaczyna też rozumieć, dlaczego Staynair bez wahania skierował do Corisandu właśnie Ahdym syna. - Skoro już rozmawiamy tak szczerze, pozwolisz, ekscelencjo, że cię zapytam, co w ogóle skłoniło cię do przyznania prawdy?

- Parę powodów - odparł Ahdym syn, odchylając się na oparcie i zakładając nogę na nogę. - Jednym z nich była świadomość, co mnie czeka, gdybym kiedykolwiek powrócił na Ziemię Świątynne. Możesz mi wierzyć, że taka perspektywa każdego skłoniłaby do przemyślenia swego stanowiska nawet jeszcze przed tym, zanim ten rzeźnik Clyntahn kazał zamęczyć arcybiskupa Erayka na śmierć. - Twarz byłego biskupa egzekutora ściągnęła się na moment. - Wątpię, aby ktokolwiek z grona wyższego duchowieństwa wcześniej dopuszczał do siebie myśl, że karząca ręka Schuelera może dosięgnąć także nas. Było to widmo... była to pałka trzymana nad głowami laikatu w celu zmuszenia do wykonywania woli bożej. Czego naturalnie przed nami nie tajono.

Gryzący ton Ahdym syna mógłby odłupać pokaźne kawały marmurowej fasady pałacu arcybiskupiego, a jego spojrzenie było nie mniej twarde niż ten kamień.

- Nie sądziłem jednak, że mogę zostać zamęczony na śmierć na schodach Świątyni -

ciągnął Ahdymсын. - Zakładałem, że może mnie spotkać coś nieprzyjemnego, ale podobna myśl nawet nie przyszła mi do głowy. A więc, przynajmniej początkowo, uważałem, że zostanę uwięziony gdzieś na terenie Charisu, powiedzmy do czasu, aż siły Kościoła Matki zdołają mnie oswobodzić, a wtedy zostałbym odesłany na prowincję, gdzie za murami jakiegoś klasztoru w Górach Światła doiłbym kozy i wyrabiał sery. Możesz mi wierzyć, że w tamtym czasie podobny los wydawał się wystarczająco straszliwy mojej wygodnickiej duszy.

Urwał i opuścił oczy, a jego spojrzenie na moment zmiękło, jakby na jakieś wspomnienie przywołane w pamięci, gdy gładził z roztargnieniem rękaw zadziwiająco pospolitej sutanny. Wszakże kiedy znów spojrział na Gairlynga, jego wzrok na powrót stwardniał.

- Ale potem doszły i nas w Tellesbergu słuchy, co spotkało arcybiskupa Erayka - rzekł głucho. - Co więcej, otrzymałem od niego list, który zdołał wysłać przed egzekucją. - Gairlyng rozszerzył oczy ze zdziwienia, a Ahdymсын w milczeniu potaknął. - Został napisany na pustej stronicy wyrwanej z egzemplarza Pisma, eminencjo - dodał cicho. - W moich oczach było to niesłuchanie symboliczne, zważywszy na okoliczności. W liście tym napisał mi, że podczas aresztowania, podczas procesu i podczas wysłuchiwania wyroku stanął twarzą w twarz z prawdą... i że nie spodobała mu się ona. List nie był długi. Erayk miał tylko tę jedną kartkę i chyba pisał w wielkim pośpiechu, bojąc się, że może go nakryć któryś ze strażników. Zdołał mi jednak powiedzieć... a właściwie przykazać, jako że był moim przełożonym w hierarchii kościelnej... abym nie wracał do Syjonu. Zdradził mi, jaki los go czeka i co stałoby się niechybnie moim udziałem, gdybym dostał się w łapy Clyntahna. Napisał też, że inkwizytorzy obiecali mu łatwą śmierć, jeśli tylko potępi Staynaira i resztę hierarchów Kościoła Charisu, zarzucając im apostazję i herezję. Nie cierpiałby katuszy, gdyby potwierdził wersję Grupy Czworoga, wyjaśniającą, skąd atak na Bogu ducha winne królestwo. On jednak odrzucił tę propozycję. Jestem pewien, że znasz jego ostatnie słowa, i mogę przypuszczać, że zastanawiałeś się, czy to tylko charisjańska propaganda. - Uśmiechnął się bez cienia uśmiechu. - Bo ja bym się zastanawiał... Mogę cię wszakże zapewnić, iż były to jego prawdziwe słowa, a nie żadne kłamstwo. Na szafocie, gdzie miał oddać życie, wyparł się Grupy Czworoga. Nie przyjął od niej łatwej śmierci, albowiem prawda, którą ujrzał, była dlań najważniejsza nawet u kresu życia.

W gabinecie Gairlynga panowała niezwykła cisza. Powolne, miarowe tykanie zegara wiszącego na jednej ze ścian, poza tym wypełnionych półkami z księgami arcybiskupa, wydawało się niemalże odgłosem gromu. Ahdymсын nie przerywał milczenia przez parę chwil, po czym z szelestem sutanny wzruszył ramionami.

- Eminencjo... Jestem świadom realiów panujących na szczytach Kościoła Matki nie gorzej od ciebie. Wiem, dlaczego Clyntahn wydał wyrok na Erayka, dlaczego karząca ręka Schuelera dotknęła po raz pierwszy kogoś z hierarchii kościelnej. Wiem też, że pomimo swoich wad... a Langhorne świadkiem, że miał ich nie mniej ode mnie... arcybiskup Erayk nie zasłużył na taką śmierć, żeby przeżarty na wskroś zepsuciem wikariat mógł umocnić swoją władzę. Rozglądałem się wokół siebie w Charisie i dostrzegałem mężczyzn i kobiety wierzących w Boga, nie w skorumpowanych ludzi, takich jak Zhaspyr Clyntahn, a kiedy to zobaczyłem, zrozumiałem, że chcę być taki jak oni. Zrozumiałem, że nawet tak późno w życiu mogę zrobić użytek ze szczerego powołania. Langhorne świadkiem, że trochę czasu zabrało, zanim Bogu udało się znaleźć wystarczająco mocny młot, aby wbić mi to do głowy przez zatwardziałą czaszkę, lecz liczy się tylko to, że w końcu tak się stało. Taka jest moja pokrętna odpowiedź na twoje pytanie. Nie znalazłem jeszcze wszystkich odpowiedzi... jak dotąd nie... nie już sam fakt, że zadaję pytania, jest coś wart. Jak również to, że w odróżnieniu od dni, gdy byłem ustanowionym przez Kościół Matkę wiceregentem w Charisie, z całą pompą i świetnością przynależną temu urzędowi, teraz jestem chętny znajdować odpowiedzi.

Ahdym syn odetchnął głęboko i wzruszył ramionami.

- Nie jestem już biskupem egzekutorem, eminencjo. W Kościele Charisu nie ma tej funkcji, ale nawet gdyby była, nie sprawowałbym jej. Zakładając, że ktokolwiek by mi ją znowu zaproponował po tym, jak poprzednio się spisałem na tym stanowisku!

Tym razem nie skrzywił warg w uśmiechu. Uśmiechnął się całą gębą, co bardzo by pasowało brzdącowi kończącemu wyjaśniać, że to jednak wróżki opróżniły zawartość słoja z ciasteczkami. Po chwili uśmiech zniknął, lecz spojrzenie Ahdym syna nie było już tak twarde, a głos przestał być nabrzmiały od ciężaru wspomnień, gniewu i winy. Spoglądał na Gairlynga ze spokojem, a kiedy znowu przemówił, głos miał opanowany.

- Teraz jestem kimś znacznie ważniejszym niż biskup egzekutor, eminencjo. Jestem księdzem. Być może po raz pierwszy w całym swoim życiu. - Potrząsnął głową. - Do czegoś takiego nie umywa się żaden z wyższych kościelnych urzędów.

*Co stanowi dla mnie największe zaskoczenie, dodał w myślach. No i co ty na to, Klairmant?*

Gairlyng namyślał się długo i dokładnie. Był arcybiskupem Corisandu, co czyniło zeń hierarchę Kościoła Charisu, a zarazem przeklętego apostatę i heretyka w oczach Kościoła Boga Oczekiwanego. Po tym, co spotkało Erayka Dynnysa - i o czym Ahdym syn był łaskaw wspomnieć przed chwilą - nie mógł mieć wątpliwości, jaki los czekał jego, Ahdym syna czy Mahkhynroha, gdyby którykolwiek wpadł w ręce Inkwizycji. Taka myśl sprawiała, że



człowieka oblewał zimny pot, i Gairlyng faktycznie nieraz się budził w nocy przez podobne koszmary. I zawsze potem leżał bezsennie, zastanawiając się, co u licha - co w imię Boga - podkusiło go, aby przyjmować swój obecny urząd.

A teraz jeszcze to.

Jako arcybiskup był przełożonym Ahdymysyna. Oczywiście Ahdymsyn nie podlegał mu bezpośrednio, co znaczyło, że wykona jego rozkazy tylko w wypadku, gdy nie będą stały w sprzeczności z instrukcjami uzyskanymi już wcześniej od Maikela Staynaira. Aczkolwiek z drugiej strony Ahdymsyn nie miał prawa wydawać rozkazów jemu - nie w tym księstwie ani w tym arcybiskupstwie. Nie mógł też oceniać jego działań. Co najwyżej wolno mu było zdać raport arcybiskupowi Maikelowi, który przebywał tysiąc mil stąd, w Chisholmie, zakładając, że podróż przebiegała zgodnie z planem, bądź też jeszcze dalej, w Szmaragdzie czy też gdzieś pomiędzy Eraystorem a Cherayth, jeśli coś go po drodze zatrzymało. Nie dało się jednak ukryć, że Ahdymsyn był bezpośrednim przedstawicielem arcybiskupa Maikela. Znalazł się tutaj, aby przetrzeć szlaki, przygotować grunt pod pierwszą duszpasterską wizytę Staynaira w Corisandzie. Pomimo wszystko... Gairlyng spodziewał się większego upolitycznienia tego przedstawicielstwa, szczególnie biorąc pod uwagę rodowód Ahdymysyna. Tymczasem to, co dostał... To, co dostał, raczej wywołało w nim burzę pytań, pytań o samego siebie, aniżeli udzieliło odpowiedzi na temat Zheralda Ahdymysyna.

- Ekscelencjo - odezwał się w końcu. - Czuję się zaszczycony szczerością i uczciwością, z jakimi podzieliłeś się ze mną swymi odczuciami i przemyśleniami. Równie otwarcie powiem, że nigdy bym nie pomyślał, iż zachowałeś w sobie tyle... zdolności regeneracyjnej, gdy idzie o duchowość. - Machnął lekko ręką nad blatem biurka. - Nie chcę przez to powiedzieć, że moim zdaniem przyjąłeś obecny urząd z czystego cynizmu, starając się jak najlepiej wykorzystać skomplikowaną sytuację w Charisie. Niemniej nie będę ukrywał, że coś takiego przemknęło mi przez głowę. Po naszej rozmowie mam nie lada dylemat.

- Dylemat, eminencjo? - Ahdymsyn uniósł brew, a Gairlyng sarknął.

- Szczerość za szczerość, ekscelencjo, zwłaszcza że obaj jesteśmy sługami bożymi.

- Eminencjo, z całym szacunkiem, ale nie wydaje mi się, aby cokolwiek, co powiesz, mogło stanowić dla mnie większe zaskoczenie - rzekł sucho Ahdymsyn. - Aby nie być gołosłownym... Bardzo bym się zdziwił, gdybym usłyszał od ciebie, że przyjąłeś swój urząd wyłącznie z głębokiej lojalności wobec Imperium Charisu.

- Cóż... - Ton głosu Gairlynga był jeszcze bardziej cierpki niż Ahdymsyna przed chwilą. - Myślę, że nie powiem nic, co by groziło podwyższeniem ci ciśnienia, ekscelencjo.

Wszelako - pochylił się do przodu z poważnym, nawet uroczystym wyrazem twarzy - czuję się w obowiązku przyznać, że pomimo moich usilnych starań miałem więcej niż parę obiekcji, składając arcybiskupie śluby.

Ahdymсын przekrzywił lekko głowę, a Gairlyng rzucił szybkie spojrzenie na Mahkhynroha. Niczego podobnego nie wyznał biskupowi Manchyru, lecz teraz dostrzegł w jego oczach tylko spokojne zainteresowanie, zanim ponownie przeniósł wzrok na rozmówcę.

- Po pierwsze, nigdy bym nie przyjął tego arcybiskupstwa, gdybym nie uważał, że Kościół Matka... albo przynajmniej wikariat... stał się nieprzećniętym skorumpowany. I nie bez kozery używam określenia „nieprzećniętym”. Gdybym miał choć cień nadziei, że Zahmsyn Trynay będzie domagał się reform bądź że Zhaspyr Clyntahn na nie pozwoli, gdy przyjdzie co do czego, w okamgnieniu odmówiłbym propozycji. Wszelako przyznanie, że Kościół Matka został upośledzony przez własny wikariat, nie oznacza automatycznie przyznania racji Kościołowi Charisu. Nadal gnębi mnie obawa, że Imperium Charisu chce wykorzystać Kościół Charisu do własnych celów. Kościół Matka może ma swoje problemy, ale przynajmniej nigdy nie był pomyślany jako instytucja mająca służyć doraźnym politycznym interesom jakiegoś państwa. Z własnej woli nie służyłbym „Kościółowi”, który byłby tylko narzędziem w rękach ambitnego władcy. - Wykrzywił twarz w grymasie. Upadek duchowy Syjonu to konsekwencja wypaczeń, które pozwoliły religii pełnić służebną rolę polityce. A ja nie zamierzam zastąpić jednej zgnilizny, w wykonaniu wikariatu, zgnilizną narzuconą przez księżęta, królów czy nawet cesarzy.

- Nie mogę odmówić ci racji - zgodził się z Gairlyngiem Ahdymсын. - Problem jednak w tym, że Kościół Charisu przetrwa tak długo, jak długo będzie go chroniło Imperium Charisu. Jeden z drugim jest nierozzerwalnie związany, przynajmniej w tym zakresie, i na pewno przez jakiś czas politykę religijną będzie kształtowała polityka państwowa. I odwrotnie, zapewniam cię.

- W to nie wątpię ani przez chwilę. - Gairlyng pomasaował dwoma palcami nasadę nosa. - Sytuacja jest niesłychanie skomplikowana... tyle jest frakcji, tyle zagrożeń, trudno więc, żeby było inaczej. - Opuścił rękę i spojrzał wprost na Ahdymсына. - Trzeba jednak pamiętać, że dopóki Kościół będzie postrzegany jako część Imperium, nie znajdzie powszechnej akceptacji w Corisandzie. Chyba że zajdą jakieś nieoczekiwane zmiany, których nawet nie potrafię sobie wyobrazić. Dlatego należałoby chyba Kościół Charisu przemianować na przykład na Kościół Zreformowany.

- Rozważano taką propozycję, i to na samym początku - odparł Ahdymсын. - Wszakże została odrzucona, ponieważ Grupa Czworoga i tak nazywałaby ten Kościół, jakkolwiek my

byśmy go nazwali, Kościołem Charisu. Uznano zatem, że lepiej wyprzedzić wikariat o krok i samodzielnie zacząć używać tej nazwy. Wyrażam się tak bezosobowo - wyjaśnił z czarującym uśmiechem - ponieważ nie było mnie przy tym, gdy zapadały decyzje w tej sprawie. Przypuszczam jednak, że spore znaczenie miała kwestia, o której już wspomniałem, mianowicie wzajemnej współzależności. Koniec końców uważam, że przyjęto, iż szczerze podejście jest ważniejsze od politycznych czy propagandowych niuansów.

- Być może, lecz nawet takie argumenty nie wytrzebią niefortunnnych skojarzeń u większości Corisandczyków. A nawet u mnie, a przecież nie urodziłem się w tym księstwie. - Gairlyng potrząsnął głową. - Nie będę twierdził, że rozumiem wszystkie powody, które mną kierują, ekscelencjo. Uważam, że każdy człowiek, który jest zbyt pewien swojej motywacji, oszukuje sam siebie, mówiąc łagodnie. Tak czy owak, przyjąłem tę nominację z czterech powodów. Po pierwsze, tak jak już wspomniałem, dlatego, że w moim odczuciu Kościół Matka uległ tak wielkiemu zepsuciu, iż naprawa od wewnątrz nie była już możliwa. O ile w ogóle można dokonać naprawy, to tylko dzięki zewnętrznemu zagrożeniu dla wikariatu, a osobiście postrzegam w Kościele Charisu takie właśnie zagrożenie wymuszające zmiany. Po drugie, dlatego, że moim największym pragnieniem jest zapobiec albo przynajmniej ograniczyć do minimum prześladowania religijne, które są nieuniknione w wypadku konfliktu takiego jak ten. Pasja w człowieku odzywa się najwyraźniej, gdy w grę wchodzi sprawa duszy. Ty możesz być tylko zwykłym księdzem, a arcybiskup Maikel najłagodniejszym człowiekiem na świecie, ale prędzej czy później dojdzie do głosu ludzka gwałtowność i mściwość. To nie przypadek wasza ani nawet Kościoła Charisu, Grupa Czworoga to rozpoczęła, nie wy, gdy kazała pięciu domenom rzucić się do gardła Charisu. Ale to tylko potwierdza moje stanowisko, to zaś, co się wydarzyło w Feraydzie, tylko je uwydatnia. Nie chcę być świadkiem, jak tutaj w Corisandzie dzieje się to samo. W propozycji objęcia arcybiskupstwa dostrzegłem możliwość zapobieżenia najgorszemu w księstwie, które stało się moim domem.

Milczał i wpatrywał się w Ahdymsyna, dopóki ten nie skinął głową.

- Po trzecie - podjął wyliczankę Gairlyng - wiem na pewno, że wśród corisandzkiego duchowieństwa jest więcej księży dzielących moją opinię na temat stanu Kościoła Matki, aniżeli komukolwiek w Świątyni czy Syjonie się śniło. Nie sądzę, abym musiał się nad tym rozwodzić, po tym, co działo się w Charisie, Szmaragdzie i Chisholmie, lecz na wszelki wypadek choć napomknę. Grupa Czworoga popełniła wielki błąd, przyjmując, że skoro udało się jej opanować krytykę w łonie Kościoła i skutecznie wykorzystała Inkwizycję w powściągnięciu zapędów reformatorskich, to ta krytyka i zapędy zupełnie się nie liczą. Nie

stanowią żadnego zagrożenia. Niestety wikariusze bardzo się pomylili w tym względzie, czego najlepszym dowodem są proboszczowie w Manhyrze. Biskup Kaisi ma już oko na paru, a ja żywię nadzieję, ekscelencjo, że skorzystasz jak najszybciej z możliwości wzięcia udziału w nabożeństwie u Świętej Kathryn. Jak sądzę, głos ojca Tymahna wyda ci się znajomy. Ale mam także nadzieję, iż bez trudu zrozumiesz, że to corisandzki głos, a nie głos kogoś, kto się uważa za Charisjanina.

Ponownie zrobił pauzę, unosząc brew, na co Ahdymysyn znów potaknął skinieniem głowy, tym razem nieco energiczniejszym.

- To istotna różnica, którą postaram się zapamiętać - rzekł. - Aczkolwiek ja też na początku nie uważałem się za Charisjanina. Spodziewam się więc, że z czasem w tym waszym ojcu Tymahnie, eminencjo, może się dokonać podobna przemiana.

- Być może. - W głosie Gairlynga nie dało się wyczuć większego przekonania, zwłaszcza że mówiąc te dwa słowa, arcybiskup skrzywił się okrutnie i dopiero po chwili kontynuował: - Będę całkowicie szczery i powiem, nie kryjąc, że prawdziwą kością niezgody dla wielu Corisandczyków jest tragiczna śmierć księcia Hektora i młodego następcy tronu. Cokolwiek miał za uszami z perspektywy innych księstw, a zważ na to, że wiem o tym niemało, książę Hektor był w ojczyźnie szanowany i lubiany. Wielu jego poddanych, szczególnie w samej stolicy, zareagowało goryczą na wieść o jego śmierci, a fakt, że Kościół Charisu nie potępił Cayleba za ten uczynek, sprawił tylko, że dla sporej liczby ludzi sam Kościół też stał się podejrzanym. Nie będę też krył, że wokół tej sprawy gromadzi się cała opozycja przeciwko zarówno Kościołowi Charisu, jak Imperium Charisu.

- Kościół - odezwał się Ahdymysyn, a w jego głosie wyraźnie wyczuwalne były harde nutki - nie potępił cesarza Cayleba za morderstwo księcia Hektora, ponieważ Kościół nie wierzy, aby cesarz miał cokolwiek wspólnego z zamachem na byłego włodarza Corisandu. To zrozumiałe, że potępienie jedyne go strażnika Kościoła Charisu nawet za dokonane z zimną krwią morderstwo, byłoby trudne i niebezpieczne z politycznego punktu widzenia. Niemniej mogę cię zapewnić osobiście, że arcybiskup Maikel, podobnie jak ja, szczerze i mocno wierzy w niewinność cesarza w tym względzie. Jeśli nawet już z żadnego innego powodu, to dlatego, że taki krok byłby niesłychaną głupotą w jego położeniu! Właściwie...

Zamknął usta z niemal słyszalnym trzaskiem i uczynił gniewny gest ręką, zanim opadł z powrotem na fotel. W pomieszczeniu zaległa głucha cisza na parę długich sekund, aż w końcu Gairlyng poruszył się za swoim biurkiem.

- O ile sobie przypominasz, ekscelencjo - rzekł głosem zadziwiająco spokojnym, niemal łagodnym, zważywszy na to, co przed chwilą się wydarzyło - powiedziałem ci dziś, że

przyjąłem to arcybiskupstwo z czterech powodów. W pełni zdaję sobie sprawę z tego, że twoje następne słowa, te, przed którymi się powstrzymałeś, zrozumiawszy, iż mogłyby się wydać obliczonymi na przyniesienie wam egoistycznych korzyści, miały być takie, że to Kościół Matka kazał pozbawić życia księcia Hektora.

Ahdym syn poruszył się na fotelu, lecz Gairlyng przyszpilił go wzrokiem do miejsca.

- Ja nie wierzę, aby to Kościół Matka zlecił zabójstwo księcia Hektora - ciągnął arcybiskup Corisandu bardzo cichym głosem, nie odrywając oczu od twarzy Ahdym syna. - Ale nie wierzę też, by zlecniodawcą był cesarz Cayleb. I to właśnie jest czwarty powód mojej decyzji.

- Sądysz, że jako arcybiskup przyczynisz się do odkrycia, kto rzeczywiście stoi za morderstwem? - zapytał go Ahdym syn.

- Och, nie, ekscelencjo. - Gairlyng pokręcił głową z ponurą miną, po czym uczynił wyznanie, którego nawet nie przewidywał w chwili, kiedy ci dwaj mężczyźni przestępowali próg jego gabinetu. - Powiedziałem, że nie wierzę, aby to Kościół Matka zlecił zabójstwo księcia Hektora. A to dlatego, że jestem praktycznie pewien, kto to zrobił. - Ahdym syn zrobił wielkie oczy, a Gairlyng odpowiedział mu uśmiechem pozbawionym wesołości. - Nie wierzę, aby Kościół Matka maczał w tym palce... ale jestem praktycznie pewien, że zlecniodawcą zamachu był wielki inkwizytor.

- Naprawdę? - Pomimo charakterystycznego dlań opanowania i lat doświadczenia Ahdym syn nie zdołał się powstrzymać przed okazaniem zdziwienia, co sprawiło, że uśmiech Gairlynga stał się odrobinę szerszy, aczkolwiek ani trochę cieplejszy.

- Podobnie jak ty, ekscelencjo, uważam, że byłby to szczyt głupoty ze strony Cayleba, a ów młodzieniec, którego poznałem w Manchyrze, na pewno nie był głupcem. A kiedy rozważam innych potencjalnych zlecniodawców, tylko jedno nazwisko do mnie przemawia. W przeciwieństwie do większości Corisandczyków spotkałem Clyntahna osobiście. Ty chyba też?

Ahdym syn potaknął, a Gairlyng wzruszył ramionami.

- W takim razie bez wątpienia się ze mną zgodzisz, gdy powiem, że w całym Syjonie nie ma drugiego człowieka, który tak jak Clyntahn zaspokaja własne ambicje, dążąc do celu po trupach, wierzy, że jego sympatie i antypatie odzwierciedlają wolę bożą, i chlubi się intelektem rzekomo przekraczającym granice ludzkiego rozumu. Śmierć Hektora, zamieniająca go z nastawionego bojowo księcia w męczennika Kościoła Matki, musiała się wydać Clyntahnowi genialnym posunięciem, nie przynoszącym ani jednej niekorzyści, dlatego jestem równie pewien jak tego, że tutaj z tobą siedzę, iż to on zlecił zamach na

Hektora i jego syna. Nie mogę tego udowodnić. Przynajmniej na razie. Chociaż być może nikt nigdy tego nie udowodni... A nawet gdybym kiedykolwiek zdobył dowody, nie znaczy to jeszcze, że supremacja Charisjan nagle stałaby się znośniejsza dla Corisandczyków. Wszelako moja wiedza o tym człowieku, moja wiara w to, co uczynił i do czego jeszcze jest zdolny, sprawiła, że nie miałem wyjścia, jak tylko stawić mu opór. Patrząc od tej strony, jestem najwierniejszym synem Kościoła Charisu, jakiego nosi Schronienie.

Zherald Ahdymysyn ponownie odchylił się na oparcie fotela i przez kilka długich chwil tylko wpatrywał się w arcybiskupa.

- Eminencjo, identycznie rozpoczęła się moja duchowa podróż, więc nie mam prawa cię krytykować. Jestem pewien, że wkrótce odkryjesz, iż arcybiskup Maikel jest skłonny z radością akceptować takie początki u każdego hierarchy Kościoła Charisu, nawet jeśli w twoim wypadku cel tej drogi miałby się okazać inny niż u mnie. Różnica między nim a Zhaspyrem Clyntahnem nie ma nic wspólnego z przekonaniem o wypełnianiu misji danej od Boga. Żaden z nich bowiem nie zboczy z obranej ścieżki. Różnica między nimi polega na tym, że Clyntahn uczyniłby wszystko, aby osiągnąć zamierzony cel, który narzucił Bogu, podczas gdy arcybiskup Maikel wierzy, że Bóg pomoże mu osiągnąć każdy cel, który On sobie zamierzył. Poza tym - spojrzenie biskupa nagle stało się znacznie cieplejsze - kiedy w końcu poznasz arcybiskupa Maikela, spędzisz z nim pięćdziesiąt czy dwa i nie nabierzesz przekonania, że każdy Kościół, jaki by uznał za warty zbudowania, jest godzien twego poparcia, okażesz się pierwszym znanym mi człowiekiem zdolnym oprzeć się jego charyzmie.

### .III.

#### PAŁAC KRÓLEWSKI

#### MANCHYR

#### CORISAND

Sir Koryn Gahrvai odetchnął z ulgą, wszedłszy w cień rzucany przez bryłę pałacu, gdzie mógł się skryć przed palącymi promieniami słońca. Listopad w Manchyrze zawsze był gorący, jednakże ten listopad miał chyba zamiar pobić wszystkie rekordy.

*Co niespecjalnie jest nam potrzebne, zważywszy na to, ile mamy na głowie, pomyślał, wchodząc do środka i dziarskim krokiem skręcając w korytarz. Langhorne świadkiem, że*

*punktów zapalnych nam w księstwie nie brakuje!*

W rzeczy samej nie brakowało, a Gahrvai - niestety - był o tym fakcie lepiej poinformowany, niżby sobie życzył.

Gwardziści stojący przed drzwiami komnaty rady wyprężyli się na baczność na jego widok, a on odpowiedział im skinieniem głowy, zachowując się zgodnie z przyjętymi w wojsku zasadami. Poznał obydwóch. Zaliczali się do straży jego głównej kwatery z czasów jeszcze przed... okropieństwami przełęczy Talbor, co było przyczyną, dla której powierzono im obecne obowiązki. Liczba osób, którym mógł ufać, a już zwłaszcza osób uzbrojonych i stojących mu za plecami, była znikoma, z czego nie po raz pierwszy zdał sobie sprawę, przechodząc przez drzwi.

- Przepraszam za spóźnienie - rzekł, gdy jego ojciec odwrócił głowę od hrabiego Tartarianu, z którym właśnie rozmawiał. - Dostarczono mi raport Alyka w chwili, kiedy miałem opuścić biuro.

- Nic się nie stało - zapewnił go ojciec z dość kwaśną miną. - Niewiele straciłeś, jako że niewiele w ogóle udało nam się dzisiaj osiągnąć mimo szczerych chęci.

Gahrvai wolałby, aby ta kwaśna mina i gorzki ton stanowiły dlań zaskoczenie, jednakże sir Rysel Gahrvai, hrabia Skalnego Kowadła, miał wiele powodów do złości. Jako starszy z dwóch wyznaczonych regentów sprawujących władzę w imieniu księcia Daivyna skończył jako głowa książęcej rady regencyjnej, co było chyba najbardziej niewdzięcznym stanowiskiem w całym księstwie (jeśli nie liczyć obecnego stanowiska sir Koryna Gahrvaia).

Koryn nawet przyparty do muru nie potrafiłby podać choćby sześciu nazwisk corisandzkich wielmożów, którzy by nie i wierzyli, że hrabia Skalnego Kowadła dobił jakiegoś targu z Caylebem Ahrmahkiem. Natomiast, nie licząc hrabiego Taritnrianu (który ostatnimi czasy wyglądał na równie zniesmaczonego jak hrabia Skalnego Kowadła), był chyba jedyną osobą mogącą jak z nut wymienić nazwiska trzech doradców nieżyjącego księcia Hektora, którzy szczerze wierzyli, że obaj hrabiowie nie reprezentują wyłącznie swoich interesów.

Na szczęście sir Lyndahr Raimynd, który nieprzerwanie sprawował funkcję Strażnika Kiesy, był jednym z nich. Pozostali dwaj - Edwair Garthin, hrabia Północnego Wybrzeża, oraz Trumyn Sowthmyn, hrabia Airyth - zgodzili się współdziałać w ramach rady regencyjnej (aczkolwiek z mniejszym entuzjazmem niż ten pierwszy, bo po prostu wiedzieli, że ktoś musi to robić). Arcybiskup Klairmant Gairlyng, który niejako automatycznie zasiadał w radzie regencyjnej, zdawał się popierać tę trójkę w sprawie dwóch hrabiów, z tym że wcześniej nie był doradcą księcia Hektora. Ostatni dwaj członkowie rady, księżę Margo i hrabia Stromeo

Wzgórza - obaj nieobecni w tym momencie - zasiadali w radzie księstwa... i tak jak zdecydowana większość wielmożów powątpiewali w motywy hrabiego Skalnego Kowadła i hrabiego Tartarianu.

*I raczej nie będą zachwyceni, kiedy się dowiedzą o dzisiejszym spotkaniu, pomyślał Gahrvai, zmierzając ku swojemu miejscu przy okrągłym stole. Ale gwoli prawdy, oni nigdy nie wyglądali na zachwyconych.*

Sir Bairmon Chahlmairm, książę Margo, był najwyższym rangą arystokratą w radzie. Był również dalekim - ale to naprawdę dalekim - kuzynem księcia Hektora i bez wątpienia raniła go myśl, że zwykły hrabia jest regentem księcia Daivyna. Wahlys Hillkeeper, hrabia Stromego Wzgórza, z kolei to całkiem inna para kaloszy. Nie dało się wykluczyć, że książę Margo żywi pewne ambicje... w zaistniałych okolicznościach. Gahrvai nie miał na to dowodów, ale też tego nie wykluczał, a jego podejrzenia były całkowicie uzasadnione w obecnej, dość skomplikowanej sytuacji. O ile jednak książę Margo był u niego na cenzurowanym, o tyle hrabia Stromego Wzgórza nie napawał go obawami. Ambicje, które przejawiał, było widać jak na dłoni, mimo że - w przeciwieństwie do księcia Margo - nie miał nawet cienia praw do korony.

Dobra wiadomość była taka, że ci dwaj zawsze zostawali przegłosowani w stosunku sześć do dwóch. Zła wiadomość natomiast wiązała się z tym, że nie mając znaczącego wpływu na decyzje rady, zbliżyli się do siebie nawzajem. Co gorsza zaś, jeden z nich - co najmniej jeden - puszczał parę z ust przed postronnymi, przedstawiając własną wersję obrad.

*Co prawdopodobnie wyjaśnia, dlaczego ojciec nie zabiegał o ich obecność na dzisiejszym spotkaniu, zauważył w myślach Gahrvai.*

- Prawdę mówiąc, Rysel, stwierdzenie, że niczego nie osiągnęliśmy, nie jest do końca zgodne z prawdą - rzekł hrabia Tartarianu nieco miłszym głosem.

- Och, wybacz! - Hrabia Skalnego Kowadła przewrócił oczami. - Udało nam się ustalić, jaką część dochodu Daivyna odłożyć dla niego samego. Nie wpadliśmy jeszcze na to, jak mu ją przekazać, ale na pewno coś wymyślimy... kiedyś.

- Domyślam się, że jesteś tym wszystkim bardziej zmęczony niż ja - rzekł hrabia Tartarianu. - Nie mogę cię za to winić. Ale w rzeczywistości przynajmniej uporaliśmy się z korespondencją Chermyna.

- Uporaliśmy się? - powtórzył hrabia Skalnego Kowadła. - W jaki dokładnie sposób, Tarylu? O ile sobie przypominam, chodziło raczej o przyjęcie jego rozkazów...

Koryn zrozumiał, że jego ojciec ma jeden z tych swoich humorków. I nic dziwnego.

- Nie nazwałbym ich rozkazami - odparł spokojnie hrabia Tartarianu. - Ty zresztą też



nie, gdybyś choć na moment przestał wyrzekać.

Hrabia Skalnego Kowadła otworzył szerzej oczy. Zaczął coś odpowiadać, lecz zaraz się opanował.

- No dobrze - przyznał niechętnie. - Masz rację. Przeszanę się wypluwać.

- Rozładowanie emocji nikomu nie zawadzi, Rysel - powiedział doń z lekkim uśmiechem Raimynd. - Wszyscy czasami mamy na to ochotę. Mimo że Taryl rzeczywiście ma rację. Z tego co ja wywnioskowałem, generał Chermyn - zdaniem Koryna, Lyndahr użył oficjalnego tytułu celowo - robi co może, żeby nie przycisnąć nas zbyt mocno.

Hrabia Skalnego Kowadła zrobił taką minę, jakby miał zamiar dyskutować z tym stwierdzeniem. Zamiast tego jednak tylko skinął głową.

- Przyznaję, że stara się zachowywać dwornie - powiedział. - I prawdę mówiąc, doceniam to. Tylko że niestety dla nas, Lyndahrze, nie mówi nam niczego, czego sami byśmy nie wiedzieli. I co jeszcze smutniejsze, na razie nie możemy nic na to zaradzić!

Rozejrzał się po twarzach mężczyzn zebranych przy stole, jak gdyby chciał ich zachęcić do własnych komentarzy. Nikt jednak nie kwapił się z reakcją, co hrabia skwitował prychnięciem.

- Czy słusznie się domyślam, że nasz wicekról, generał Chermyn wyraził ubolewanie z powodu ostatnich incydentów? - zapytał po chwili Koryn, na co jego ojciec potaknął.

- Ano wyraził. Czemu trudno się dziwić. Chociaż gdybym był na jego miejscu, poczyniłbym nieco bardziej stanowcze kroki.

Młody Gahrvai pokiwał głową. Zważywszy na falę rozpalonej do białości wściekłości, która zalała Corisand po skrytobójczym zamachu na księcia Hektora, trudno się było dziwić, że całe księstwo wciąż się gotowało od poczucia krzywdy i nienawiści. Jak również nie było nic dziwnego w tym, że owa fala gniewu ogarniała ulice w postaci demonstracji przeistaczających się w zamieszki. Zamieszki, których nieodłączną częścią było płądrowanie i podpalanie cudzej własności, jeżeli strażnicy miejscy albo (znacznie częściej, niżby to się podobało Korynowi) żołnierze Chermyna nie wkroczyli wcześniej do akcji, dusząc rozruchy w zarodku.

Dziwnym zrządzeniem losu ofiarami największej liczby podpaleń byli kupcy i sklepikarze, z których wielu obwiniano o czerpanie zysków i windowanie cen podczas coraz bardziej dokuczliwej charisjańskiej blokady Corisandu. Koryn nie miał wątpliwości, że sporo prywatnych porachunków (niemających nic a nic wspólnego z lojalnością wobec dynastii Daykynów odbywało się pod przykryciem owych „patriotycznych” zamieszek i że podpalenia w dużej części miały doprowadzić do zniszczenia zapisków, kto jest komu ile winien,

aczkolwiek oczywiście nie miał na nic dowodów. Przynajmniej na razie. Jednakże nawet jeśli przyczyną części antycharisjańskich wystąpień były nie tak znów altruistyczne pobudki, nie dało się zaprzeczyć, że na samym dniu buzowała nienawiść do najeźdźcy.

I czy dające się uniknąć, czy nie; czy zrozumiałe, czy nie - niepokoje te, których źródłem był gniew na okupanta, nosły katastrofalne skutki. Warunki, jakie narzucił Corisandowi cesarz Cayleb, były znacznie mniej rygorystyczne, niż mogły być, szczególnie w świetle trwającej przez dziesiątki lat wrogości między Charisem i Corisandem. Z drugiej strony - przynajmniej zdaniem Koryna - były nie tak restrykcyjne, jak by sobie życzył Cayleb. Niestety cesarz czuł pismo nosem, podobnie jak wszyscy.

- Zgoda, ojcze - przemówił po chwili milczenia. - W tych okolicznościach to chyba dobrze. Na szczęście dla wszystkich generał Chermyn nie jest przewrażliwiony.

- Na szczęście - potwierdził hrabia Północnego Wybrzeża.

Był to przysadzisty mężczyzna, zaokrąglający się w pasie w miarę upływu lat. W jego rzednących włosach wciąż było widać parę pasemek płomiennej rudości, która charakteryzowała go za młodu. Obecnie w jego szarych oczach czaiła się troska.

- Nie sądzę, aby miał okazać przewrażliwienie, cokolwiek się stanie - zauważył otwarcie Koryn. - Jeśli my nie powściągniemy nastrojów naszych rodaków, on niewątpliwie zrobi, co do niego należy. I moim zdaniem nie będzie miał innego wyjścia.

- Tutaj się z tobą zgadzam, Korynie - odezwał się zniecierpliwiony hrabia Airyth. - Tylko że to pogorszy sprawę.

- I pewnie dlatego jak dotąd się powstrzymuje - wtrącił Raimynd. Obrócił się nieco na krześle, aby patrzeć Korynowi prosto w twarz. - Co z kolei doprowadza nas do ciebie.

- Wiem - westchnął Koryn Gahrvai.

- Mówiłeś coś o raporcie Alyka? - przypomniał hrabia Skalnego Kowadła.

- Tak. Jeśli mam być szczery, ten raport to najlepsza wiadomość, jaką otrzymałem ostatnimi czasy. Alyk donosi, że jego konni konstable są już prawie gotowi.

- To naprawdę dobra wiadomość! - przyznał hrabia Skalnego Kowadła, choć uczucia miał mieszane, czego Koryn nie mógł mu mieć za złe.

Sir Alyk Ahrthyr, hrabia Windshare, cieszył się reputacją kogoś, kto wali prosto między oczy. Zasłużoną reputacją, zdaniem Koryna. Oskarżano go dość często o to, że myśli ostrogami, i przewidywano, że raczej żadna encyklopedia pod hasłem „Windshare” nie zamieści słów „uosobienie głosu rozsądku”.

Z drugiej strony hrabia miał świadomość, iż nie należy do najbystrzejszych ludzi na Schronieniu, a Koryn Gahrvai był jedną z niewielu osób wiedzących, że porywczy hrabia

nauczył się przystanąć i pomyśleć - przez jakieś trzydzieści do czterdziestu sekund - zanim rzucał się w wir walki głową naprzód. Z wielu powodów daleko mu było do idealnego dowódcy konnych patroli, które miały zacząć zaprowadzać porządek na prowincji, na szczęście dysponował też dwiema zaletami, które przeważały jego wady.

Po pierwsze, cokolwiek ktoś sobie myślał, niedobitki armii ufały hrabiemu Windshare w nie mniejszym stopniu niż samemu Gahrvaiowi. Żołnierze ci wiedzieli - cokolwiek sobie myślała reszta księstwa - że nikt nie byłby w stanie zrobić więcej w tamtej sytuacji niż Gahrvai, hrabia Windshare i sir Charlz Doyal. Że połączenie charisjańskich karabinów, artylerii o dalekim zasięgu i śmiertelnie niebezpiecznej mobilności marynarki wojennej Charisu oraz piechoty morskiej, zdolnej poruszać się z równą sprawnością na morzu i na lądzie, przerastało możliwości każdego dowódcy, który by nie miał boskich przymiotów. I wiedzieli też, że inny dowódca prawdopodobnie posłałby do piachu znacznie większą ich liczbę, zanimby się o tym przekonał. Właśnie dlatego byli skłonni dalej zawierzać życie swoim starym dowódcom, a to ich zaufanie - oraz lojalność - były więcej warte od najdroższych kamieni szlachetnych.

Po drugie zaś, i nie mniej ważne od zaufania pokładanego przez żołnierzy, Gahrvai także bezgranicznie wierzył w hrabiego Windshare. Być może miał pewne zastrzeżenia do jego zdolności oceny, ale na pewno nie aż takie jak reszta rady regencyjnej. Lecz jakiegokolwiek by żywił obiekcje co do... mądrości hrabiego Windshare, nigdy nawet na moment nie zwątpił w lojalność, prawosć i odwagę Alyka Ahrthyra.

*Może nie jest najbystrzejszy w księstwie, ale dzisiaj zadawałam się tym, kogo mam, i jeszcze dziękuję głośno Langhorne'owi!*

- A jak stoi reszta armii, Korynie? - zapytał hrabia Tartarianu.

- Średnio. - Młody Gahrvai wzruszył ramionami. - Generał Chermyn wyasygnował odpowiednią liczbę muszkietów dla przepisowej liczby żołnierzy, a my przerobiliśmy wszystkie, aby pasowały do nich nowe bagnety. Na razie nie dysponujemy artylerią, ale to raczej zrozumiałe. I nasze wszystkie muszkiety są gładkolufowe. Ale nawet one są o niebo lepsze od tych, z których strzelają inni. O tyle mogłoby być gorzej, niż jest. Nie spodziewam się, aby bojówkarze byli wyposażeni lepiej od nas. Niestety martwi mnie liczba żołnierzy. Nie mam ich tylu, ilu bym sobie życzył. Ani tylu, ilu będzie nam trzeba, zanim to wszystko się skończy, na co wskazuje rozwój wypadków do tej pory. No i wszyscy ci, których mam, byli szkoleni na żołnierzy, a nie na strażników. Dopóki się o tym naocznie nie przekonam, nie mogę stwierdzić z taką pewnością, z jaką bym chciał, że kiedy sprawy zaczną przybierać zły obrót, zachowają się jak strażnicy, a nie żołnierze, doprowadzając do znacznego pogorszenia

sytuacji. o tyle mogłoby być lepiej. Dlatego odpowiadając na twoje pytanie, użyłem określenia „średnio”.

- Ilu ludzi masz? To znaczy mamy? - zapytał hrabia Północnego Wybrzeża. Gahrvai posłał mu wymowne spojrzenie. - Wiem, że przysłałeś nam wszystkim notatkę na ten temat. Ale jeśli mam być szczery, wtedy interesowałem się bardziej morską stroną zagadnienia.

Gahrvai pomyślał, że to by się zgadzało. Hrabstwo Północnego Wybrzeża leżało na wyspie zwanej Córą Wiatrów, od Corisandu dzieliły je wody wschodniej cieśniny Margo i Przesmyku Białego Konia. Wyspa miała powierzchnię prawie połowy Corisandu, ale zamieszkiwała ją populacja będąca zaledwie jedną czwartą ludności księstwa. Większość terenu porastały nadal puszcze, a dziewięćdziesiąt procent mieszkańców bytowało na wybrzeżu. Wyspiarze traktowali Corisandczyków jak obcych i przynajmniej jak dotąd nie żywili tak silnych jak oni uczuć w związku z zamordowaniem księcia Hektora. Z tych powodów Koryn nie dziwił się specjalnie, że hrabia Północnego Wybrzeża interesuje się bardziej tym, jak charisjańskie patrole morskie odbijają się na połowach jego poddanych, z których większość żyła z morza i była rybakami, aniżeli wielkością garnizonu, jaki dla nich szykowano.

- Całość naszych sił... to znaczy oddziałów połowych... ma liczyć mniej niż trzydzieści tysięcy żołnierzy - odparł Koryn. - Wiem, że trzydzieści tysięcy brzmi groźnie, i po prawdzie sam jestem zdumiony, że Cayleb pozwolił nam wezwać pod broń aż tylu mężczyzn. Z drugiej strony jednak trzydzieści tysięcy to wcale nie tak dużo. Zwłaszcza w kategoriach całego księstwa. Dopóki trzymam ich w jednym miejscu, poradzą sobie z prawie każdym przeciwnikiem. Ale jak tylko zacznę ich dzielić na mniejsze oddziały... a dojdzie do tego, jestem przekonany, Shan-wei już się o to postara... równowaga ulegnie zachwianiu. Jeśli mam być szczery, nie widzę możliwości założenia placówek wszędzie tam, gdzie będziemy ich potrzebować. A już na pewno nie będą to placówki odpowiedniej wielkości, co z nowymi muszkietami czy bez nich, może okazać się utrapieniem.

Hrabia Północnego Wybrzeża kiwał z powagą głową.

- Prawdziwy problem - odezwał się znowu hrabia Skalnego Kowadła - polega na tym, że mamy wystarczające siły, aby wdepnąć w ognisko i ugasić je, niewystarczające jednak, by zapobiec rozprzestrzenianiu się iskier. - Zrobił nieszczęśliwą minę. - A dodatkowy kłopot z gaszeniem ognisk polega na tym, że depcze się przy okazji, albo zalewa, wszystko dokoła.

- Otóż to, ojczu. Właśnie dlatego tak ucieszył mnie raport Alyka. Zamierzam zacząć przemieszczać jego ludzi do wszystkich większych miast, zwłaszcza tutaj na południowym wschodzie, i to tak szybko jak to tylko możliwe. Nie zdoła utrzymać swoich placówek w

takiej wielkości, jak byśmy sobie życzyli, ale jego oddziały będą mobilniejsze od naszej piechoty. Obejmą swoim działaniem większy obszar, a jeśli mam być szczery, kawaleria okaże się też skuteczniejsza.

- Skuteczniejsza? - Stary Gahrvai uśmiechnął się pod nosem. - Chciałeś chyba powiedzieć: groźniejsza?

- W pewnym sensie może tak - przyznał Gahrvai. - Nie zaszkodzi, jak ci, którzy potencjalnie będą sprawiać nam problemy, trochę się wystraszą naszych żołnierzy. I nie będę również narzekał, jeśli nasi konstable przypomną miejscowym strażnikom, że powinni pilnować porządku, a nie popierać patriotyczne insurekcje.

- To zupełnie jak ja - poparł syna hrabia Skalnego Kowadła. - Aczkolwiek jakąś częścią siebie chętniej bym poprowadził patriotyczną insurekcję, zamiast robić to.

Nikt nie zareagował na tę uwagę, więc po chwili hrabia tylko wzruszył ramionami.

- No dobrze, Lyndahrze - rzekł. - Skoro Koryn ma już swoje oddziały w gotowości, pora, abyśmy się zastanowili, jak je opłacić. - Jego uśmiech stał się lodowaty. - Jestem pewien, że to będzie świetna zabawa.

## **.IV.**

**HMS RAKURAI**

**ZATOKA GORATH, DOHLAR**

**ORAZ**

**HMS DEVASTATION**

**ZATOKA KRÓLEWSKA, WYSPA HELENA**

**STARY CHARIS**

Mocny wieczorny wiatr zyskiwał na sile, gdy trafiał nad otwarte wody, ich ciemnogrnatową powierzchnię z dwu-, a nawet trzystopowymi falami. Tu i ówdzie przełamywały się one w grzywach piany, co wyglądałoby dosyć rozkosznie, gdyby nie towarzyszące temu zjawisku zawrozczenie wichury. Zatoka Gorath była dobrze osłoniętym kotwicowiskiem, jej wód nigdy nie skuwała też pokrywa lodu. Dzisiaj jednak temperatura powietrza oscylowała w okolicach zera, więc ludzie drżeli za każdym razem, gdy wiatr omiatał pozbawione choćby jednego drzewa równiny otaczające zatokę.

Czekający na wydanie pierwszego rozkazu dohlariańscy marynarze, stojący w

dwuszeregu na pokładzie HMS *Rakurai*, także musieli cierpieć z powodu zimna.

- Opuścić bombramstengi!

Gdy głos kapitana Raisahndo dotarł do najdalszych zakątków pokładu przerobionego kupieckiego galeonu, podoficerowie spojrzeli wymownie na podległych im ludzi. Hrabia Thirsku uznał, że tego popołudnia zaszczyci załogę HMS *Rakurai* swoją obecnością, więc marynarze wiedzieli, że każde odstępstwo od ideału może skończyć się dla nich paskudnymi konsekwencjami.

- Obsada na bombramstengi!

Stopy załomotały o pokład, gdy wyznaczeni ludzie pomknęli ku wantom. Wspinali się w górę z małpią zwinnością, zmierzając ku szczytom masztów, ale to nie powstrzymało bosmanów od zachęcania ich wrzaskami do jeszcze większego wysiłku.

- Ruszać się żwawo!

Rozkaz ten dotarł do marynarzy, gdy zbliżali się do celu. Wykonali go, przyspieszając jeszcze bardziej.

- Obsługa do windrepów!

Kolejni marynarze pośpieszyli na swoje stanowiska, tym razem na poziomie pokładu. Chwycili liny wiodące do bloków głównych, a potem ich odpowiedników umieszczonych po obu stronach każdego masztu, skąd docierały przez salingi aż na top. Każda z nich biegła potem w dół po drugiej stronie masztu i kończyła się pętlą zablokowaną bolcem. Gdy marynarze poluzowali je nieco, padła kolejna komenda.

- Wybierać windrepy!

Silne dłonie pociągnęły liny, a oficerowie nadzorujący pracę zespołów uważnie sprawdzili efekty ich pracy, zanim podnieśli ręce, dając znać, że zadanie zostało wykonane.

- Wyciągnąć zabezpieczenia!

Marynarze szarpnęli mocniej za liny i wysoko nad pokładem masywne drzewca podniosły się nieznacznie, gdy przeciągnięte pod nimi liny napały od dołu. Poruszyły się na tyle, aby czekający w górze ludzie mogli wyjąć blokujące szpile z najtwardszego drewna, które podtrzymywały konstrukcję górnej części masztów.

- Opuszczać równo!

Bombramstengi pochyliły się w jednostajnym tempie niemal równocześnie, gdy marynarze wykonali rozkaz. Trzymano w pełnym napięciu wszystkie liny, mimo że kotwicowisko było dobrze osłonięte i nawet przy takim wietrze nie istniało żadne zagrożenie.

Celem tych ćwiczeń nie było pełne opuszczenie steng na pokład, gdzie zostałyby pieczołowicie złożone i zabezpieczone. Zatrzymano je więc, gdy ich szczyty zrównały się z

zakończeniami niższych części masztu. Obsada rei w tym czasie pilnowała, by takielunek nie zaplątał się, niwecząc cały efekt ćwiczeń. Marynarze popuszczali liny, a gdy padła ostatnia komenda, obłożyli je na kołkownicach. Gdyby stengi miały pozostać w tym miejscu na dłuższy czas, trzeba by dodatkowo zablokować kabestan, ale tego popołudnia nikt nie zwracał uwagi na taki szczegół. Załoga wiedziała bowiem, że czeka ją jeszcze trzykrotne powtórzenie całej operacji.

- Obsady na dół!

Na tę komendę wszyscy marynarze wrócili na pokład, po tym rzecz jasna, jak zamocowali grubymi linami oba fragmenty masztów. Okręt wyglądał dziwnie, pozbawiony szczytowych partii omasztowania, lecz dzięki takiemu położeniu bombramsteng obniżono środek ciężkości omasztowania niemal o jedną trzecią, co zaowocowało zmniejszeniem naporu wiatru i polepszeniem stateczności jednostki. A to oznaczało znaczne ograniczenie ryzyka zatopienia okrętu, gdyby trafił w wyjątkowo groźny sztorm.

Zamocowano ostatnią linę i wszyscy członkowie załogi zamarli, spoglądając z uwagą na kapitana oraz towarzyszącego mu admirała, którzy obserwowali przebieg ćwiczeń. Na pokładzie przez krótką chwilę panowała idealna cisza, zakłócana jedynie wyciem wiatru i hukami fal oraz sporadycznymi piskami wyvern. W pewnym momencie hrabia Thirsku spojrzął na kapitana i skinął z powagą głową.

Nikt nie był jednak na tyle szalony, by wiwatami powitać aprobatę wyrażoną tym gestem admirała. Nawet ludzie z nowego zaciągu służyli już na tyle długo, by wiedzieć, że nie należy tego robić. Tu i ówdzie dało się jednak słyszeć ciche westchnięcia ulgi (żaden z tych ludzi nie chciał nawet myśleć, jaka byłaby reakcja kapitana, gdyby został upokorzony na oczach swojego przełożonego) oraz dumy, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. Wykonanie takiego manewru w spokojnym porcie było dziecinną igraszką w porównaniu z warunkami, jakie panują na wzburzonym morzu podczas nocnego sztormu. Większość marynarzy zdawała sobie z tego sprawę - kilku, aczkolwiek naprawdę niewielu, wiedziało to z własnego doświadczenia - wszyscy jednak byli pewni, że prędzej czy później zostaną zmuszeni do stawienia czoła podobnej sytuacji. I dlatego bez słowa protestu dawali z siebie wszystko, pragnąc opanować tę sztukę w mistrzowskim stylu teraz, w zaciszu portu, a nie na środku wzburzonego morza, gdy będzie zagrożone ich życie.

To było naprawdę nieoczekiwane nastawienie, zwłaszcza w załogach, których ogromną część stanowiły niedoświadczone szczury lądowe. Rekruci zwabieni podstępem przez komisje werbunkowe zazwyczaj czuli ogromny żal do marynarki za to, że zostali wyciągnięci tak daleko od domów oraz kochających żon i dzieci, których los zależał

wyłącznie od zarabianych przez nich pieniędzy. Przy ciężącym nad nimi widmie wojny, nie wspominając już o jakże rzeczywistych zagrożeniach ze strony chorób albo wypadków, nie mieli wielkich szans na ponowne zobaczenie bliskich. Już sama myśl o tym mogła złamać serce wzorowego męża i ojca, ale rzadko któremu wpadało do głowy, że idąc w kamasze, sami skazali swoje rodziny na życie w nędzy i poniewierkę. Nie mieli bowiem żadnej gwarancji, że pozbawieni opieki bliscy dotrwią do ich powrotu, za to mogli mieć pewność, że ci, którym to się uda, przejdą prawdziwą drogę przez mękę. Zważywszy więc na wszystkie te okoliczności, nie można było się dziwić, że wymagali dodatkowej zachęty, co często wiązało się ze stosowaniem brutalniejszych metod - nie było jednak innej drogi, by stworzyć z nich zgraną załogę. Niektórzy nigdy nie staną się częścią tego kolektywu, a wielu z tych, którzy znaleźli swoje miejsce na pokładzie, wciąż brakowało doświadczenia - przynajmniej na razie - nie rozumieli więc jeszcze, że tak wyczerpujące ćwiczenia służą głównie im, a nie wymagającym ponad miarę oficerom i lejącym ich wiecznie bosmanom. Z tego też powodu rzadko spotykano się z chętnym podejściem do wspinaczki po masztach tam i z powrotem, skoro człowiek mógł w tym czasie leżeć spokojnie pod pokładem, z dala od podmuchów lodowatego wiatru.

Nastawienie załogi HMS *Rakurai* było jednak zgoła odmienne. Inne od tego, jakie można zaobserwować na każdym dohlariańskim okręcie, na który większość ludzi trafiła z zaciągu. Po części zawdzięczano to mniej brutalnym metodom szkolenia, bito ich tylko wtedy, gdy naprawdę sobie na to zasłużyli, aczkolwiek kiedy sytuacja tego wymagała, kary wymierzano z bezwzględną surowością. Kilkakrotnie doszło jednak do niepotrzebnego nadużycia siły, gdy któryś z bardziej krewkich bosmanów ze starej szkoły w ferworze akcji zdzielił kogoś z bardziej opieszalnych matrosów kułakiem albo smagnął starterem, czyli węzłą linką - ale teraz zdarzało się to rzadko, czego nie można było powiedzieć o dawnej flocie Dohlaru.

Z drugiej strony zawdzięczano taki stan rzeczy temu, że większość doświadczonych bosmanów - a wraz z nimi starszych oficerów i kapitanów - postradała życie podczas niesławnych bitew z galeonami Charisu. Jednakże przede wszystkim chodziło o to, że nowy głównodowodzący wyjaśnił kadrze, jakie ma zdanie na temat nadmiernego stosowania przemocy, i uczynił to bez najmniejszych niedomówień. Nie tylko powiedział, co myśli, ale także wprowadził swoje słowa w czyn. Do dnia dzisiejszego zwolnił ze stanowisk jedenastu kapitanów, którzy uznali, że stary admirał raczy żartować, i nie zrezygnowali ze stosowania przesadnych kar cielesnych. Zważywszy na to, że dwaj z nich pochodzili ze znacznie lepszych rodów niż hrabia Thirsku, a jeden objęty był nawet osobistym patronatem księcia Thorastu,



żaden z pozostałych dowódców nie próbował interpretować inaczej słów wielkiego admirała.

Istniał także jeszcze jeden powód takiego stanu rzeczy - cieszący się równie ogromnym poparciem z dołu, jak oporem z góry. Dzięki niemu hrabia Thirsku zyskał szacunek niemal wszystkich marynarzy. Nikt nie wiedział dokładnie, skąd się wzięły te pogłoski, niemniej na każdym okręcie szeptało, że wielki admirał zażądał od Kościoła Matki, by ten objął swoją opieką rodziny wszystkich ludzi służących we flocie pływającej pod sztandarami Świątyni. Zwykli marynarze, zwłaszcza we flocie Dohlaru, nie mieli zbyt wysokiego żołdu, ale tym razem księża mieli zadbać o to, by każdy zarobiony przez nich grosz trafiał do rodzin pozostających na lądzie, jeśli któryś sobie tego zażyczy. Co więcej, choć nikt tego się nie spodziewał, Kościół Matka przyobiecał wypłacanie rent wdowom i dzieciom po poległych w boju.

To wszystko sprawiło, że mało kto krzywił się i narzekał, gdy kapitan, otrzymawszy pozwolenie od admirała, uniósł do ust tubę i zawołał:

- Bombramstengi na miejsce!

\* \* \*

- Radzą sobie lepiej, niżbym chciał - zauważył półgłosem sir Domynk Staynair, baron Skalistego Klifu.

Jednonogi admirał rozpiął się wygodnie w swoim głębokim fotelu, opierając drewnianą protezę, która zastąpiła mu odstrzeloną łydkę, na stojącym przed nim podnóżku. Zwisające z powały lampy wypełnione olejem z krakena płonęły jasnym ogniem, a na pokładach nowego flagowca panowała niezmacona cisza. W tej scenerii, siedząc na zakotwiczonym galeonie, przeglądał nagrania transmitowane prosto na jego siatkówkę. Drzewca wróciły na swoje miejsca równie gładko jak przy opuszczaniu. Admirał pokręcił głową - wyglądało to, jakby poruszała nimi jedna ręka.

- To prawda - przyznał głos Merlina Athrawesa rozbrzmiewający w jego uchu. *Seijin* znajdował się w swojej komnacie w Cherayth, około siedmiu tysięcy mil od galeonu. W Zatoce Królewskiej dopiero wybiła północ, ale za oknem Merlina widać już było pierwsze oznaki przedświt. - To jednak tylko ćwiczenia, w dodatku przeprowadzane w idealnych warunkach. Ale nawet teraz widać, że nie dorównują naszym marynarzom.

- Możliwe - przyznał baron Skalistego Klifu. - Wiesz jednak, że nasi marynarze nie mieli i nie mają sobie równych. Już ja się postaram, aby ten stan rzeczy nie uległ zmianie. - Pokręcił głową. - Precyzja działań sprzyja pewności siebie, Merlinie, a ostatnie, czego nam trzeba, to przekonanie tych ludzi, że mogą stawić nam czoło na morzu... - Zamilkł na moment, przekrzywiając głowę, jakby się zamyślił, a potem prychnął głośno. - Pozwól, że

poprawię sam siebie. To nie ostatnia, ale przedostatnia rzecz, jakiej byśmy chcieli. Najgorsze byłoby, gdyby rzeczywiście stali się tak groźni, za jakich się mają. A do tego właśnie zmierzają wszystkie działania hrabiego Thirsku.

- To prawda - powtórzył Merlin, co zabrzmiało tym razem jak swoiste westchnienie. - Muszę przyznać, że wbrew sobie zaczynam podziwiać tego człowieka - dodał. - Z drugiej jednak strony żałuję, i to bardzo, że nie oberwał kulki pod Skalistym Hakiem. Albo że król Rahnyld nie kazał go rozstrzelać, skoro został kozłem ofiarnym po klęsce za Rafą Armagedonu. Byłoby to wprawdzie bardzo niesprawiedliwe, niemniej ten człowiek jest zbyt dobry w tym, co robi, abym mógł spać spokojnie.

- Wydaje mi się, że mając wystarczająco dużo czasu, nasi przeciwnicy mogą dorobić się niejednego zdolnego żeglarza - wtrącił ponurym tonem admirał.

- Widzę, że nie marnował czasu, wylegując się na plaży - stwierdził Merlin i natychmiast dodał, widząc pytające spojrzenie Staynaira. - Ten człowiek dysponuje równie byстрым umysłem jak Ahlfryd. W dodatku ma więcej doświadczenia w kontaktach z morzem niż ktokolwiek, kogo może wezwać Świątynia. To chyba oczywiste, że gdy skierowano go na boczne tory, wykorzystał cały wolny czas na analizowanie błędów, które popełnili idioci pokroju Magwaira czy też księcia Thorastu. Dobrze się stało, że go udupili na tak długi czas, z drugiej jednak strony dali mu okazję do przemyślenia wszystkiego. Dzisiaj widzimy, jak zbiera owoce owych przemyśleń.

Baron Skalistego Klifu mruknął coś poirytowanym tonem na znak, że zgadza się z opinią przedstawioną przez *sejjina*. Doszedł już dawno do wniosku, podobnie zresztą jak Cayleb i Athrawes, że hrabia Thirsku jest najniebezpieczniejszym z ich przeciwników. Jak Merlin słusznie przed momentem stwierdził, ten facet miał lotny umysł i potrafił z niego korzystać. Co gorsza, nie obawiał się wychodzić myślami poza ustalone ramy, jak zwykł to określać *sejgin*. Na przykład kupił sobie lojalność wszystkich marynarzy, zmuszając Świątynię do obietnicy opieki nad rodzinami poległych. A istniały spore opory przed wprowadzeniem takiego rozwiązania, i to nie tylko ze strony Kościoła Matki. Kilku najstarszych dowódców floty Dohlaru postanowiło utracić tę inicjatywę. Zaangażowali się w tę sprawę po części po to, aby zachować istniejące od wieków status quo. Inni obawiali się, że tego rodzaju praktyki mogą stać się nowym obyczajem i marynarka będzie musiała w przyszłości ponosić z tego tytułu kolejne koszty. Najważniejszym jednak elementem była czysta zazdrość o człowieka, któremu książę Fernu i wikariusz Allayn dali tak wielką władzę. Nie mogli znieść tego, że hrabia, korzystając z tak potężnych protektorów, likwiduje każdą próbę oporu. Reformatorów nikt nie lubił, a niechęć do nich rosła wprost proporcjonalnie do

konieczności wprowadzenia zmian.

*Z tego płynie nauczka, pomyślał Merlin. I to całkiem zabawna, zważywszy na to, jak „niepopularni” reformatorzy pokroju Cayleba Ahrmahka i Maikela Staynaira namieszali Świątyni!*

- Zdajesz sobie sprawę z tego - powiedział po chwili milczenia baron - że gdy tylko uda mu się stworzyć porządną flotę, księżę Thorastu i pozostali rzucą go na pożarcie krakenom, jak tylko zrozumieją, iż nie jest im już potrzebny.

- Jestem przekonany, że tak właśnie uczynią - przyznał ze smutkiem Merlin. - On chyba też o tym wie. A to czyni z niego jeszcze bardziej niebezpiecznego przeciwnika Korony.

- Chyba powinniśmy się nim zająć - oświadczył bardziej zdecydowanym tonem baron Skalistego Klifu. - Gwylym gotów jest do wyruszenia w rejs.

- Wiem - odparł *seijin* - aczkolwiek wolałbym, i to z kilku powodów, abyś to ty popłynął zamiast niego.

- Gwylym jest równie dobry jak ja - zaprotestował baron Skalistego Klifu.

Merlin szybko pokręcił głową, wychwytyjąc jakąś twardszą nutę w jego głosie.

- Tu nie chodzi o zdolności, Domynyku - rzucił. - Uwierz mi, nikt chyba nie szanuje Gwylyma jak ja! Wolałbym jednak, aby brodę króla Rahnylda przypalił ktoś, kto ma dostęp do danych z SAPK-ów. Zwłaszcza w świetle komplementów, jakimi obdarzyliśmy właśnie hrabiego Thirsku.

Baron Skalistego Klifu skinął głową na znak, że zgadza się z tą opinią, aczkolwiek widać było, iż czyni to z wyraźną niechęcią. Nie zdecydował się jednak na otwarty protest. Admirał Gwylym Manthyr był kapitanem okrętu flagowego Cayleba podczas pamiętnych bitew pod Skalistym Klifem i w cieśninie Darcos i człowiekiem o żelaznych nerwach, umiejącym skupić się na każdym, nawet z pozoru nieistotnym detalu. Nie należał jednak do kręgu ludzi, którzy znali prawdę o Merlinie, co znaczyło, że nie miał dostępu do „przekazów satelitarnych”. Podobnie zresztą jak reszta członków jego sztabu.

Spośród wszystkich dowódców floty imperialnej tylko baron Skalistego Klifu miał dostęp do wewnętrznego kręgu wtajemniczonych. Wprowadzenie do niego kilku innych osób wydawało się pożądane na tym etapie działań wojennych, aczkolwiek niekonieczne. Baron Skalistego Klifu lobbował osobiście za dodaniem do listy wielkiego admirała Bryahna, hrabiego wyspy Zamek, podobnie jak Merlin mając pewność, że zakon Świętego Zherneau już niedługo wyda na to zgodę. Pozostawała tylko kwestia tego, kto poinformuje o wszystkim sędziwego admirała. Teraz, gdy Sharleyan, Cayleb i Staynair przebywali poza terytorium

Starego Charisu, trudno było znaleźć odpowiedniego posłańca - kogoś o takim autorytecie, że zdołałby podporządkować sobie starego admirała, gdyby objawiona prawda okazała się ponad jego siły, a także człowieka, któremu hrabia uwierzy. Baron Gromu mógłby się podjąć tej misji, niemniej...

- Porozmawiam z Bryahnem, aby wysłał mnie zamiast Gwylyma - obiecał po chwili zastanowienia, chociaż wyglądał na mocno unieszczęśliwionego.

- Nie. - Merlin pokręcił głową. - Cayleb i Sharleyan mieli rację, mówiąc, że będziesz nam potrzebny na miejscu. A raczej tam, gdzie niedługo się znajdziesz. Spójrzmy prawdzie w oczy, Dohlar zaczyna być niepokojący, ale opodal mamy jeszcze Tarot. Baron Białego Brodu także nie jest w ciemni bity.

Tym razem to baron Skalistego Klifu skrzywił się mocno, ale nie zaprotestował.

Flota Charisu była najpotężniejszą marynarką wojenną, jaką dysponowało pojedyncze państwo Schronienia. W dodatku jej siły rosły nadal, i to w szybkim tempie. Dysponowała już ponad dziewięćdziesięcioma galeonami. Kolejne stały na pochylniach stoczni. Problem polegał jednak na tym, że przeciw sobie miała mieć nie siły jednej domeny, tylko połączone floty wszystkich mocarstw z głównych kontynentów. Co gorsza, Kościół Boga Oczekiwanego wyasygnował ogromne kwoty na sfinansowanie budowy kolejnych okrętów, aczkolwiek nie wszystkie programy rozwoju były tak zaawansowane jak dohlariański. Stocznie Ziem Świątynnych i leżącego dalej na północ Harchongu odstawały znacznie od Dohlaru i Desnairu, co nie miało się zmienić w najbliższym czasie, nawet mimo zachęt ze strony Kościoła Matki. Prawda była jednak taka, że gdyby nawet Charis dysponował nieograniczonymi funduszami - których przecież nie miał - to i tak nie byłby w stanie stworzyć tylu jednostek co stocznie kontynentalne. A istniały jeszcze inne ograniczenia, jak choćby liczba doświadczonych marynarzy i dobrego budulca. Dziewięćdziesiąt galeonów wymagających załogi składającej się z minimum pięciuset osób dawało niebagatelną liczbę czterdziestu pięciu tysięcy marynarzy. Na razie marynarka miała wystarczająco wielu kandydatów, ponieważ w Koronie od dawien dawna stosowano metody, które ostatnio hrabia Thirsku wymusił na władzach Dohlaru i Świątyni. To jednak mogło ulec zmianie, ponieważ zaczynało już brakować chętnych do służby pomimo zachęt, a w miarę dalszej rozbudowy floty te braki będą coraz bardziej odczuwalne.

Tylko że nowe okręty musiały powstawać. Zakładając, że Kościół Matka zdoła doprowadzić do końca wszystkie programy zbrojeniowe, na morzach pojawi się flota złożona z trzystu dziewięćdziesięciu nowych galeonów, czyli czterokrotnie liczniejsza niż aktualne siły Charisu. Sto pięćdziesiąt z nich będzie bazowało na kadłubach przerobionych jednostek

kupieckich, podobnie jak jedna czwarta marynarki Korony. Do tego jednak trzeba będzie doliczyć jeszcze ponad dwieście galer, które Kościół Matka sfinansował, zanim Grupa Czwojga zrozumiała, że są już zbyt przestarzałe. Wprawdzie nie będą mogły się równać z okrętami dysponującymi wieloma działami burtowymi, ale zwiększą o ponad połowę liczebność floty, którą wróg wyśle w morze, a jeśli zaczną operować na akwenach oczyszczonych uprzednio z galeonów Charisu... Jedyną dobrą stroną tej sytuacji był fakt, że okręty te były podzielone na pięć osobnych flot. A żadna z nich nie mogła się dzisiaj równać potęgą z Charisjanami, aczkolwiek Harchong po tej zimie będzie dysponował podobną liczbą jednostek. Skoncentrowanie tak oddalonych od siebie eskadr nie będzie proste, o czym Grupa Czwojga przekonała się podczas pierwszej operacji, kiedy to zamierzała doprowadzić do zagłady Starego Charisu. A jeśli już dojdzie do połączenia owych flot, większość ich załóg nadal będzie o wiele mniej doświadczona niż zaprawieni w bojach charisjańscy marynarze.

Hrabia Thirsku zdążył to już pojąć. Tak samo jak Gahvyn Mahrtyń, baron Białego Brodu, najstarszy admirał króla Gorjaha z Tarota. Niestety z perspektywy Kościoła Matki byli to jedyni dowódcy flot, którzy walczyli wcześniej z flotą Korony. Księżę Czarnej Wody, dowodzący Corisandczykami, poległ w czasie bitwy w cieśninie Darcos, a Gharth Rahlstahn, hrabia Mahndyru, i sir Lewk Cohlmyń, hrabia Sharpfeldu, prowadzący szmaragdskie i chisholmskie okręty podległe księciu, teraz służyli we flocie nowego imperium. Co gorsza (także z perspektywy Świątyni), fakt, że hrabia Thirsku i baron Białego Brodu zostali pokonani przez Cayleba, sprawił, iż znaleźli się w niełasce swoich władców. Nikt nie chciał słuchać ich jakże mądrych rad.

To jednak uległo ostatnio zmianie, zwłaszcza w przypadku hrabiego Thirsku, aczkolwiek nie zapowiadało, że marynarki Harchongu, Desnairu czy Ziem Świątynnych pójdą proponowaną przez niego drogą. Tarot miał na to szanse, aczkolwiek król Gorjah nadal znajdował się w niełasce. Grupa Czwojga obwiniła go o przecieki tajnych danych, dzięki którym król Haarahld i jego syn mogli odkryć przedwcześnie strategię Kościoła Matki i zdołali przedsięwziąć skuteczne środki obrony. To była bardzo niesprawiedliwa ocena, ale nie mogła być inna, ponieważ nikt w wikariacie nie miał pojęcia o istnieniu SAPK-ów Merlina. Zwłaszcza że Charisjanie starali się uprawdopodobnić wersję przecieku.

W konsekwencji stocznie Tarota nie zostały włączone do programu budowy nowych galer. Gdy Grupa Czwojga zmieniła strategię i przerzuciła się na galeony, Gorjah otrzymał szansę na rehabilitację, ale jego flota miała być najmniejsza z powstających. A baron Białego Brodu - który zdaniem Merlina był zdolniejszym dowódcą nawet od hrabiego Thirsku - nadal pozostawał poza marginesem.

Z tych też powodów przewaga liczebna sił Świątyni nie była aż tak przytłaczająca, jak wskazywałyby na to liczby. Niestety Imperium Charisu było bardzo rozległym i łatwym do zaatakowania celem. Stary Charis i Chisholm dzieliło sześć tysięcy mil oceanu w linii prostej. Do tego dochodziły kolejne dwa tysiące, jakie musiał pokonać okręt, wypływając z Port Royal w Chisholmie, aby dotrzeć do przylądka Targan na Corisandzie. Siły wyruszające z Chisholmu potrzebowały minimum miesiąca rejsu - i to przy bardzo sprzyjającej pogodzie - by dotrzeć do wybrzeży Starego Charisu. Niemal tyle samo trwała podróż w drugą stronę, do Manchyru. Tak ogromne odległości i czas potrzebny na ich pokonanie zmuszały wielkiego admirała do zarzucenia pomysłu o skoncentrowaniu wszystkich sił. I tak w Chisholmie znalazło się dwadzieścia galeonów dowodzonych przez hrabiego Sharpfieldu mających wsparcie ze strony galer, które ocalały ze wcześniejszego pogromu. Kolejne dziesięć galeonów i dwadzieścia pięć galer stacjonowało na wodach Corisandu pod dowództwem hrabiego Mahndyru. Sobie wielki admirał zostawił kolejne dwadzieścia jednostek, aby móc bronić dostępu do Zatoki Howella i Morza Charisjańskiego.

Tym sposobem do pozostałych zadań można było oddelegować zaledwie czterdzieści galeonów, i to tylko dlatego, że chwilowo floty Świątyni były tak bardzo rozproszone... i nadal niekompletne. Im więcej kościelnych galeonów będzie wchodziło do służby, tym bardziej trzeba wzmacniać linie obrony, co oznacza dalszą redukcję sił zaczepnych.

Chyba że uda się jakoś zneutralizować to zagrożenie.

To miało być właśnie zadanie dla hrabiego Mahndyru i barona Skalistego Klifu. Ten pierwszy, mając pod swoją komendą osiemnaście galeonów i sześć tysięcy żołnierzy piechoty morskiej, został wysłany na Morze Harchońskie, a dokładniej na wody zatoki Hardship, w pobliże prawie bezludnej wyspy Szpon. Ludzie nie osiedlali się na niej z wielu powodów. Po pierwsze nie była duża, w najdłuższym miejscu mierzyła zaledwie sto dwanaście mil, znajdowała się przy tym tylko dwieście mil na południe od równika, a jej nagie, pozbawione roślinności skały i piaski były równie odstręczającym czynnikiem jak niewielkie rozmiary. Z drugiej jednak strony pobliskie spokojne wody stanowiły znakomite kotwiczowisko, a niewielka miejscina, zwana Warownią Szponu, miała się stać portem macierzystym eskadry hrabiego. A w każdym razie czymś na jego kształt. Co ważne, wyspa ta leżała prawie dwadzieścia jeden tysięcy mil morskich od Tellesbergu, ale od zatoki Gorath dzieliła ją czterokrotnie mniejsza odległość. Równie blisko znajdowały się zachodnie wybrzeża południowego Harchongu, gdzie budowano właśnie czwartą część galeonów tamtejszego imperium, nie mówiąc już o bliskości Zatoki Dohlariańskiej, od której nową bazę charisjańskich okrętów dzieliło zaledwie tysiąc pięćset mil.

Podróż na wyspę Szpon mogła być nieco krótsza, gdyby ktoś obrał trasę wschodnią, przez Chisholm, zamiast mijać Rafę Armagedonu i okrążyć południowe krańce kontynentu Howard, niestety wiatry i prądy na zachodzie były znacznie bardziej sprzyjające, zwłaszcza o tej porze roku. Dzięki nim okręty mogły pokonywać każdego dnia pięćdziesiąt, a nawet sześćdziesiąt mil więcej... ale i tak musiały poświęcić ponad trzy miesiące na dotarcie do celu.

Ale gdy tam w końcu dotrą, oddziały piechoty morskiej bez trudu opanują Warownię Szponu i pozostawią garnizon na wyspie. Muszą to zrobić, ponieważ jedynym źródłem słodkiej wody na tej wyżarzonej słońcem skale są studnie artezyjskie znajdujące się w jedynej miejscowości. Mając je w swoim posiadaniu, flota zyska znakomitą bazę wypadową na wody Dohlaru i Harchongu. Marynarze znajdą się daleko od domu - nawet od Chisholmu będzie ich dzielić niemal dziewięć tysięcy mil otwartego oceanu - ale to najlepsze miejsce do zamknięcia szlaków żeglugowych w tamtym rejonie i uniemożliwienia połączenia okrętów hrabiego Thirsku z harchońskimi, budowanymi właśnie w stoczniach znajdujących się na wybrzeżach Zatoki Wraków w prowincjach Queiroz, Kuzniecowa i Selkar. Nawet gdyby eskadra admirała Manthyru tylko tam stacjonowała (a Merlin wiedział, że oficer jego pokroju potrafi narobić sporo zamieszania, jeśli tylko zechce), i tak byłaby solą w oku Kościoła Matki, króla Rahnylda albo cesarza Waisu.

Jego galeony będą ustępowały liczebnie jednostkom wroga - tylko flota Dohlaru będzie miała nad nimi niemal czterokrotną przewagę, zakładając, że do tego czasu Dohlarianie zdołają wykończyć i obsadzić wszystkie jednostki, niemniej wielkie doświadczenie załóg i kapitanów powinno skompensować te niedogodności. A prosty fakt, że Charis po raz kolejny przejmie inicjatywę, powinien wpłynąć destrukcyjnie na pewność siebie i morale jego przeciwników.

Jeśli zaś coś pójdzie nie tak, admirał zawsze będzie mógł zaokrętować garnizon z wyspy i wrócić.

*Tak przynajmniej wygląda to w teorii, pomyślał Merlin. Ale jeśli choćby nasypujemy piachu w tryby kościelnej maszyny, powinniśmy spróbować. Wolałbym jednak, aby to Domynek dowodził tą misją. Albo żebyśmy chociaż wyposażyli Gwylyma w jeden z komunikatorów! Mierzi mnie myśl, że wyślemy tak znaczną część naszej floty na drugi koniec świata, nie mając możliwości kontaktu z jej dowódcą.*

Niestety, jak sam przed chwilą wspomniał, potrzebowali barona Skalistego Klifu bliżej domu. Jego dwadzieścia galeonów, czyli całe pozostałe rezerwy Korony, mają się udać do Hanth w Zatoce Margaret, dzięki czemu będą mogły uderzyć na Tarot. Nowa baza eskadry pozwoli jej także wspomagać jednostki wielkiego admirała, jeśli ktoś lub coś zagrozi Staremu

Charisowi od strony Wschodniego Haven albo Desnairu. Najważniejsza jednak była możliwość podjęcia działań ofensywnych przeciw Tarotowi.

*Sharleyan miała rację także w tej sprawie, przyznał w myślach. Teraz mamy jedyną i niepowtarzalną szansę na zaproponowanie Gorjahowi samodzielnego przyłączenia się do nas. Jeśli się nie zgodzi, trzeba będzie użyć bardziej przekonującego argumentu. Neutralizacja Tarota warta jest sporego ryzyka. A zdobycie jego portów na bazy wypadowe tuż przy granicach Wschodniego Haven jeszcze większego. Nie mówiąc już o tym, jak bardzo opłacalne byłoby przejęcie galeonów budowanych dla Kościoła Matki w tamtejszych stoczniach!*

- Chciałbym móc zrobić tyle rzeczy, których mi teraz nie wolno robić - przyznał na głos. - Desnair zaczyna mnie niepokoić, wiele dałbym też za możliwość dostępu do stoczni Harchongu i Ziem Świątynnych. Nie możemy jednak odsłonić Starego Charisu i Chisholmu, a to właśnie by się stało, gdyby cała flota ruszyła do ataku. Jeśli Gwylym zdoła utrzymać Dohlarian w szachu, dopóki ty i hrabia Szarej Zatoki nie przekabacie Gorjaha, może uda nam się zmienić koleje tej wojny.

- Zatem zobaczymy, *sejinnie*, co możemy zrobić, aby odnieść sukces - rzekł baron Skalistego Klifu, uśmiechając się szeroko. - Zobaczymy, co się da zrobić...

## **.V.**

### **FAIRSTOCK**

#### **PROWINCJA MALANSATH**

#### **ZACHODNI HARCHONG**

Padał tak gęsty śnieg, że nie było widać niczego na długość pokładu.

Hrabia Corisu przyjął ten fakt z niepokojem, jako że *Lodowy Jaszczur* wchodził właśnie na redę portu w Fairstock. Kapitan Yuthain kazał opuścić żagiel i przejść na wiosła, gdy tylko wachtowy na dziobie zameldował, że pod stępką mają nie więcej niż dziesięć sążni wody. Sześćdziesiąt stóp to głębokość wystarczająco duża, by taka jednostka jak *Lodowy Jaszczur* mogła swobodnie żeglować, ale tylko głupiec (a kapitan Yuthain na pewno nie był szaleńcem) odważyłby się na igranie ze zdradliwą cieśniną prowadzącą do Fairstock. Wiodący z północy na południe szlak żeglugowy mierzył dwieście pięćdziesiąt mil i w zdecydowanej większości był bardzo łatwy, niestety zdarzały się tutaj też odcinki, które



mogły sprawić niefrasobliwym sternikom wiele problemów. A niewielka szerokość tej cieśniny utrudniała manewry. W najważniejszym miejscu - gdzie rzecz jasna najwięcej było mielizn - kanał miał tylko czternaście mil... podczas przyływu. Za to szeroka na dwieście mil zatoka Fairstock była idealnym miejscem na kotwicowisko, aczkolwiek wpłynięcie na jej wody mogło sprawić nieco problemów. Zwłaszcza podczas śnieżnej zawiei.

Szczerze mówiąc, hrabia wolałby, aby galera przeczekala tę zawieruchę u wejścia do kanału. Ku jego utrapieniu, nic jednak nie zapowiadało rychłej zmiany pogody, a kapitan Yuthain uznał, że rozkazy są w tym momencie najważniejsze, i postanowił dostarczyć pasażera do Fairstock tak szybko, jak to tylko możliwe. Szli więc teraz naprzód ostrożnie, gdyż pozycję można było określić tylko przez sondowanie; jedynym zaś punktem odniesienia było tam uwidocznione na mapie charakterystyczne pofałdowanie dna. Nawet gdy na nie w końcu natrafili, kapitan nie zdecydował się na zwiększenie prędkości, co niezmiernie cieszyło hrabiego. Przy tak ograniczonej widoczności nie mógł mieć całkowitej pewności, że oficerowie dokonali właściwej oceny odczytów i *Lodowy Jaszczur* znajduje się tam, gdzie przypuszczali. Istniało także inne, o wiele bardziej prawdopodobne ryzyko, że płynąc na oślep, nadzieją się na jednostkę zmierzającą w przeciwnym kierunku. W tak wąskim kanale i przy takiej śnieżycy nie mieliby najmniejszych szans na uniknięcie zderzenia. A Phylip Ahzgood nie chciał, aby wszystkie jego dotychczasowe wysiłki poszły na marne przez tak głupi błąd. Nie po to przebył tyle tysięcy mil na wezwanie Rady Wikariuszy, by teraz zamarnąć na śmierć na tych wodach.

- Siedem sążni!

Okrzyk dobiegł od strony dziobu, dziwnie zduszony padającym śniegiem, a hrabia zdrzął, mimo że miał na sobie gruby płaszcz i ciepłe rękawice.

- Widzę, że nic cię tak nie ucieszy, mój panie, jak zejście na brzeg - zauważył Yuthain, skupiając na sobie uwagę pasażera. Do tej pory hrabia starał się nie rozpraszać kapitana zajmującego się nawigacją przez zdradliwe wody kanału. To nie był najważniejszy moment na ciągnięcie kogokolwiek za rękaw.

Jego myśli musiały być widoczne w oczach, albowiem na zarośniętej twarzy żeglarza pojawił się szeroki uśmiech.

- Następny odcinek powinien być znacznie łatwiejszy, mój panie - powiedział Yuthain. - Nie chcę wyjść na zbyt pewnego siebie, ale moim zdaniem najgorsze mamy już za sobą. Z tego co widziałem, kilka razy zaczynałeś już wątpić, czy dotrzemy aż tak daleko.

- Nonsens, kapitanie. - Hrabia Corisu potrząsnął zdecydowanie głową, uśmiechając się jednocześnie do rozmówcy. - Ani przez moment nie wątpiłem w twoje umiejętności ani w

wyszkolenie załogi tego statku.

- Tak, tak. - Teraz to Yuthain pokręcił głową. - To miłe, co mówisz, ale nie jestem pewien, czy raczenie mnie takimi kłamstewkami będzie zbawienne dla twojej duszy, mój panie.

- Masz rację, gdyby to było kłamstwo, zapewne zaszkodziłoby kondycji mojej duszy. Ale nie mam się czym przejmować, kapitanie, ponieważ wiem, że to czysta prawda.

Yuthain zachichotał, potem przekrzywił głowę, aby wsłuchać się w treść kolejnego komunikatu z dziobu. Zmarszczył brwi, spoglądając w zamyśleniu na mapę i próbując nanieść na nią aktualną pozycję Lodowego Jaszczura. Hrabia przyglądał się jego zachowaniu z szacunkiem należnym żeglarzowi. Tak się bowiem składało, że niedawna pochwała pod jego adresem była absolutnie szczerą. Z drugiej jednak strony, mimo niezachwianej wiary w umiejętności kapitana i jego załogi, hrabia co najmniej kilkakrotnie zwątpił w to, czy uda mu się dotrzeć do portu w Fairstock. Zatoka Dohlaru zimą okazała się znacznie gorsza, niż przypuszczał. Gdy tylko minęli cieśninę pomiędzy Wyspami Klifów i Waleni, trafili prosto w szalejący huragan, który - przynajmniej zdaniem hrabiego Corisu - miał spore szanse na zatopienie kruchej, smukłej i w dodatku płaskodennej galery. Spienione fale sięgały szczytu jedyne go masztu niewielkiego statku. Pompy pracowały nieprzerwanie przez dwie doby, by woda w ładowniach nie doprowadziła do zatopienia *Lodowego Jaszczura*. Od kilku dni nie podawano ludziom ciepłych posiłków - nawet kucharz Yuthaina nie był w stanie rozpalic ognia w kubryku - lodowate fale wdzierały się wszędzie, dotarły nawet do kajuty hrabiego, gdy nadszedł najtrudniejszy moment przeprawy. Załozde udało się jednak opanować sytuację, dzięki czemu wyszli z tego cało, aczkolwiek nie był to wcale koniec problemów z pogodą. Śnieg, zła widoczność, pokryty lodem takielunek nie ułatwiały ludziom zadania. Hrabia Corisu z każdym dniem żywił więc większy szacunek dla Yuthaina i jego ludzi.

Marzył jednak tylko o tym, by opuścić pokład *Lodowego Jaszczura*. Miesiąc jazdy po bezdrożach sprawił, że z radością powitał możliwość spędzenia miesiąca w kajucie statku. Warunki panujące zimą na zatoce zmusiły go jednak do zmiany zdania. Dzisiaj tamto zmęczenie wydawało mu się niczym w porównaniu z tym, co czuł, stojąc na pokładzie.

*Nie powinienem przy tym zapominać o takiej drobnostce jak ta, że z każdą pokonaną milą zbliżam się nie tylko do Fairstock, ale też do Syjonu oraz Świątyni, przypomniał sobie. Z drugiej jednak strony, jak zwykła mawiać archanioł Bédard: „Nie troszczcie się o dzień jutrzejszy”. Jeśli zdołam opuścić pokład tego statku, będę gotów do stawienia czoła przyszłym problemom.*

- Dotrzemy na kotwicowisko za jakieś trzy godziny, mój panie - poinformował go

kapitan Yuthain, odrywając wzrok od mapy. - Gdyby widoczność była lepsza, wysłano by w naszym kierunku łódź z pilotem. W tej jednak sytuacji nie zdziwi mnie, jeśli przyjdzie nam szukać drogi po omacku aż do samego portu. Tak czy owak, kolejną wieczerzę zjesz już na lądzie, hrabio.

- Dziękuję, kapitanie. Nie ma chyba człowieka, który zająłby się mną lepiej podczas takiej podróży, ale nie urażę cię chyba stwierdzeniem, że wolałbym zasnąć dzisiaj w łożu, które się nie kołysze. - Skrzywił się. - Nie wiem, czy będzie mi w nim dane spędzić więcej niż jedną, góra dwie noce, ale Bóg mi świadkiem, że wykorzystam każdą sekundę odpoczynku, na jaki pozwoli mi sytuacja.

- Nie powiem, bym miał ci to za złe, mój panie - odparł Yuthain. - Racz jednak wiedzieć, że nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy woleli nocleg na lądzie, jeśli mieli jakiś wybór. Aczkolwiek w dawnych czasach, gdy nie miałem jeszcze własnej kajuty i prawdziwej koi, chyba inaczej podchodziłem do tego problemu. Na szczęście, głównie dla mojego wizerunku wilka morskiego - w tym momencie wyszczerzył się ponownie do pasażera - to było tak dawno temu, że ręczyć nie mogę, czy dobrze pamiętam.

- Jestem pewien, że dla tak wytrawnego żeglarsza nieustanne kołysanie pokładu jest równie miłe jak ruch kolebki poruszanej ręką kochającej matki - stwierdził hrabia Corisu. - Ale do tego trzeba dojrzeć. A ja, jak widać, mam jeszcze sporo do nadrobienia w tej materii.

- I sporo czasu na to, mój panie - pocieszył go Yuthain.

\* \* \*

Przewidywania Yuthaina okazały się nader trafne. Płynęli dalej, dopóki nie dostrzegli w zadymce rozmazanych kształtów innych jednostek stojących na redzie. Chwilę później sami rzucili kotwicę. Szczerze mówiąc, przeszli tak blisko jednego ze statków, że sternik zebrał srogi opieprz od wachtowych.

- Zamknąć ryje! - odkrzyknął Yuthain przez tubę. - To cesarski okręt w służbie Kościoła Matki! Poza tym, gdybym chciał zatopić tę waszą krypę, waliłbym prosto w śródokręcie, a nie ocierał się o ten koślawy dziób! - Wrzaski dobiegające z mijanej jednostki natychmiast ucichły, a rozbawiony tym kapitan puścił oko do hrabiego. - Prawdę mówiąc - przyznał, zniżając głos - nie widziałem ich aż do ostatniej chwili. Sam też jestem zdziwiony, zapewne nie mniej niż oni, że nie zerwaliśmy im łańcucha. Ale nie przyznam się do tego nawet na torturach!

- Pański sekret jest bezpieczny, kapitanie - zapewnił go hrabia Corisu. a potem zszedł pod pokład, by sprawdzić, czy Seablanket spakował wszystkie jego rzeczy.

- Sprawdziłem wszystko dwa razy, panie hrabio - poinformował go jak zwykle ponury

sluga. - Wątpię zatem, abym zapomniał choćby jednego drobiazgu. Albo spakował go nie tam gdzie trzeba. Jestem też pewien, że w czasie podróży nie zniknęło nic, co należy do pana hrabiego.

- Wiesz przecież, że nie obciążyłbym cię kosztami czegoś, co zostało ukradzione - uspokoił go hrabia.

Seablanket nie dał po sobie poznać, czy ta obietnica go zadowala.

Gdy hrabia zasiadł na środkowej ławie dziesięciowiosłowej łodzi, która w końcu zdołała dotrzeć do *Lodowego Jaszczura*, aby zabrać pasażerów na nabrzeże, nagle dotarło do niego, że wcale nie cieszy się z tego, iż lada moment wyruszy dalej. Z natury był o wiele weselszym człowiekiem niż Seablanket, ale w tym właśnie momencie miał równie paskudny nastrój jak jego sluga. Na szczęście wiatr zdążył już ucichnąć, więc znajdujący się na otwartej łodzi ludzie nie czuli piekielnego zimna. Hrabia Corisu miał jednak wrażenie, że chłód, który go nieustannie przenika, jest tylko bladą zapowiedzią męczarni czekających go na kolejnym etapie podróży, zwłaszcza podczas przeprawy przez Jezioro Pei.

*Albo po drodze z portu nad tamten akwen, pomyślał z kwaśną miną. Na Langhorne'a, chciałbym spędzić chociaż dwie noce pod solidnym dachem, w ciepłku i bez tego wiecznego kołysania.*

- Przygotować się! - zawołał sternik łodzi. - Do wiosł... i naprzód, razem!

Hrabia Corisu podniósł głowę i dostrzegł w pobliżu długie kamienne moło. Trwał już odpływ i wyznaczające linię wysokiej wody girlandy wodorostów zwisały teraz smętnie ponad półtorej stopy nad lustrem wody w porcie. Szalupa przybiła sprawnie tuż obok schodów prowadzących aż do poziomu morza. Trzy dolne stopnie wyglądały naprawdę zdradziecko, pokrywała je warstwa szklatego szlamu, na którym widać było kałuże wody i topniejące powoli płatki śniegu (te leżały wszędzie tam, gdzie nie sięgały niskie fale). Wyżej jednak schody nie sprawiały lepszego wrażenia. Spory ruch za dnia ubił warstwę śniegu w lód, nigdzie też nie było widać świeżego piasku, którym zazwyczaj posypuje się takie miejsca.

- Uważaj, gdzie stawiasz nogi, mój panie - ostrzegł sternik, na co hrabia Corisu zareagował skinieniem głowy. Sięgnął też do kiesy i dorzucił ćwierć marki do napiwku dla załogi szalupy. Na to zapewne liczył ostrzegający, o czym hrabia doskonale wiedział, ale nie zmieniało to faktu, że winien być wdzięczny za dodatkowe ostrzeżenie.

- Ty też uważaj, jak idziesz, Rhobairze - rzucił przez ramię, gdy stawiał ostrożnie stopę na litym kamieniu. Po raz pierwszy od ponad miesiąca miał pod butem suchy ład.

Taki suchy to on znowu nie był. Stopień zdawał się chwiać i obsuwać pod naciskiem

stopy. Hrabia skrzywił się, czując te ruchy. Ktoś mógłby się postarać, aby te stopnie były solidniejsze, równiejsze i bardziej suche, pomyślał markotniejąc.

- Wolałbym nie wyławiać ciebie ani moich bagaży z tej cholernej zatoki - dodał, gdy jeden z marynarzy pomógł słudze podnieść ciężki kufer.

- Ja też mam nadzieję, że nie będę musiał ratować pana hrabiego z podobnej opresji - odparł Seablanket, co jego mocodawca skwitował krótkim parsknięciem, chwytając grubą linę, którą jakaś dobra dusza rozpięła z boku schodów, aby służyła za coś w rodzaju poręczy, i ruszył powoli w górę, pokonując kolejne śliskie stopnie.

Odetchnął z ulgą, gdy w końcu udało mu się dotrzeć cało na samą górę i stanął na szerokiej, płaskiej powierzchni nabrzeża. Nadal miał uczucie, że ziemia chwieje mu się pod stopami, co kazało mu się zastanowić nad czasem, jakiego może potrzebować, by pozbyć się podobnych sensacji. Zważywszy na długość i uciążliwość podróży przez zatokę, mogło to potrwać dłużej niż zazwyczaj.

Hrabia odsunął się od schodów, próbując zachować równowagę na ewidentnie rozchwianym pomoście, potem obrócił się i zmierzył wzrokiem Seablanketa, który w asyście jednego z, wioślarzy wnosił jego kufer. Mina sługi była jeszcze bardziej ponura niż zazwyczaj, a jego długi nos - posiniały od zimna - wydawał się drżeć, jakby węszył rychły upadek albo chociaż upuszczenie kufra, które czaiły się gdzieś w pobliżu pod osłoną kurtyny śniegu.

Mimo obaw żywionych przez Seablanketa kufry oraz pozostałe bagaże hrabiego Corisu dotarły na nabrzeże całe i nieuszkodzone. Gdy sługa zszedł raz jeszcze po śliskich stopniach, tym razem po swoją skromną torbę podróżną, ktoś stojący za hrabią Corisu odchrząknął znacząco.

Na nabrzeżu stał mężczyzna w grubym i niewątpliwie ciepłym płaszczu, spod którego wystawała brązowa sutanna oblamowana błękitem zakonu Chihiro. Wydawał się młody jak na tak wysoką funkcję i chociaż był tylko nieco wyższy od przeciętnego mieszkańca Schronienia, w oczach przybysza sprawiał wrażenie olbrzyma. Gęsie pióro Chihiro na jego ramieniu krzyżowało się z mieczem ukrytym w pochwie, co znaczyło, że należy także do Zgromadzenia Miecza. Zakon Chihiro był wyjątkowy pod tym względem, że dzielił się na człony. Pierwszym było Zgromadzenie Miecza, z którego wywodziła się znaczna część strażników Świątyni, oraz Zgromadzenie Pióra, będące źródłem wszelkiej maści urzędników i biurokratów. Hrabia Corisu, spoglądając na umięśnioną sylwetkę i poznaczone odciskami dłonie, uznał, że i bez patrzenia na symbole można stwierdzić, której części zakonu służy ten człowiek.

- Hrabia Corisu? - zapytał kurtuazyjnym tonem.

- Tak, ojcie - odparł przybysz.

Skłonił się uprzejmie, mając nadzieję, że dzięki temu kapłan nie dostrzeże wyrazu zawodu na jego twarzy. Fakt, że ktoś ze Świątyni pojawił się na tym odludnym, zaśnieżonym nabrzeżu w samym środku nocy, wiedząc z wyprzedzeniem o przybiciu *Lodowego Jaszczura*, nie napawał go optymizmem. W każdym razie stracił właśnie nadzieję na spędzenie kilku nocy w ciepłym zaciszu tutejszych gospód.

- Jestem ojciec Hahlys Tannyr, mój panie - przedstawił się duchowny. - Czekałem na ciebie już od kilku dni.

- Obawiam się, że pogoda niespecjalnie sprzyja moim planom... - zaczął hrabia.

- Panie hrabio, proszę! - Tannyr uśmiechnął się do niego. - Nie uskarżałem się, zapewniam! Zbyt dobrze znam kapitana Yuthaina, żeby podejrzewać go, że nie zrobił wszystkiego co w ludzkiej mocy, aby cię tutaj dowieźć. A zważywszy na obecne warunki pogodowe, jestem skłonny stwierdzić, że i tak przyplłynął kilka dni wcześniej, niż powinien. Nie, nie - pokręcił głową. - Nie skarżyłem się na opóźnienia, panie hrabio. Chciałem ci tylko pokazać, do jakich poświęceń jestem gotów, by poprowadzić cię przez następny, zapewne równie męczący odcinek tej wyprawy.

- Rozumiem.

Hrabia Corisu przyglądał się kapłanowi przez chwilę. Tannyr nie miał jeszcze trzydziestu pięciu lat, uznał, a może był nawet młodszy. Jego włosy były ciemne, a oczy piwne. Przy tak bladej cerze i gładkiej twarzy wyglądał na mężczyznę, który nie powinien mieć problemów ze zdobyciem kobiety. W jego spojrzeniu można się było dopatrzeć także ogników zwiastujących poczucie humoru. Nawet teraz, gdy stał nieruchomo w śniegu, emanował potężną energią. *I kompetencją*, dodał w myślach hrabia.

- Cóż, ojcie Hahlysie - odparł po krótkiej chwili milczenia - skoro okazałeś się tak szczerym człowiekiem, nie będę nawet udawał, że cieszy mnie myśl o dalszych... udrękach tej podróży.

- To całkiem zrozumiałe - stwierdził ojciec Tannyr rozbawionym tonem. - Zła wiadomość jest taka, że od wybrzeży jeziora dzieli nas tysiąc trzysta mil lotem, a my nie posiadamy skrzydeł jak wyverna. Licząc zawłóści traktów, przejedziemy ponad tysiąc siedemset mil, co przy takim śniegu, lodzie i górach Wishbone, które musimy po drodze pokonać, daje przynajmniej miesiąc jazdy, jeśli nie więcej. Na szczęście nasza trasa wiedzie przez dolinę Rayworth, dzięki czemu nie będziemy musieli wspinać się wiecznie i schodzić z przełęczy. Zorganizowałem już zmiany zaprzęgów śnieżnych jaszczurów, które będą na nas

czekały w stacjach należących do Kościoła, więc nie spodziewam się specjalnych opóźnień, o ile pogoda nam dopisze. Aczkolwiek, mając świadomość, że dno doliny znajduje się znacznie wyżej niż tereny wokół Fairstock, możemy przypuszczać, że stracimy na postojach dodatkowy pięciodzień, jeśli nie więcej.

- Mówisz to takim tonem, ojczu, jakbyś cieszył się na tę myśl - zauważył hrabia, na co Tannyr zareagował wybuchem śmiechu.

- Jak głosi Pismo, prawda zawsze lepsza jest niż kłamstwo, panie hrabio. Przekonywanie samego siebie, że będzie lepiej, kiedy wie się doskonale, iż to niemożliwe, nie uszczęśliwi nikogo, zwłaszcza gdy utknie w jakiejś zapadłej dziurze w samym środku gór, czekając, aż skończy się zawieja.

- Owszem, to prawda - przyznał hrabia Corisu.

Tannyr nie powiedział mu niczego nowego.

- Jest też dobra wiadomość - dodał ojciec. - Gdy dotrzemy nad jezioro, będzie pan mógł przez jakiś czas odpocząć.

- Doprawdy? - zainteresował się hrabia, na co Tannyr skinął głową.

- Zima tego roku była wyjątkowo mroźna. Semafony twierdzą, że jezioro całkowicie zamarzło. Zatem gdy przybędziemy na miejsce, nie spodziewałbym się natychmiastowego wypłynięcia na jego wody. A w zasadzie - poprawił się, robiąc poważniejszą minę, aczkolwiek w jego oczach wciąż dało się zauważyć ogniki wesołości - istnieje prawdopodobieństwo, że staniemy na popas. Nie możemy mieć bowiem całkowitej pewności, że nie znajdziemy innego sposobu na dotarcie do świątyni.

- Wygląda więc na to, że ostatni odcinek drogi, z Lakeview do Świątyni, pokonamy ślizgaczem po lodzie. Wiele razy zdarzało mi się odbywać rejsy po morzach i jeziorach, ale takiego pojazdu nawet nie widziałem.

- Nie wątpię, że ta forma podróży będzie dla pana, hrabio, wyjątkowo... interesująca - zapewnił go Tannyr. Zauważył przy tym, że hrabia przyjął jego słowa z mieszanymi uczuciami, więc natychmiast dodał: - Większość ludzi tak to odbiera. Zwłaszcza za pierwszym razem. *Szerszeń* jest nieco mniejszy niż *Lodowy Jaszczur*, ale za to o wiele szybszy. Wiem to z doświadczenia.

- Doprawdy? To ostatnie stwierdzenie sugeruje, ojczu, że jesteś dobrze zaznajomiony z tym środkiem lokomocji. Czy mam przez to rozumieć, że będziesz moim przewodnikiem nie tylko na lądzie, ale i podczas przeprawy?

- Oczywiście, panie hrabio. - Tannyr pokłonił mu się lekko. - Zapewniam cię także, iż jeszcze mi się nie zdarzyło stracić pasażera podczas tych zimowych rejsów.

- A ja odpowiem ci, ojcze, zapewnieniem, że te słowa uspokoiły mnie i usatysfakcjonowały. Mimo że zawierały pewną niepokojącą sugestię.

Uśmiech na twarzy Tannyra stał się jeszcze szerszy. Hrabia Corisu poczuł, że jego lęki powoli ustępują. Nadal nie miał ochoty na natychmiastowe wyruszenie w drogę, cieszyło go jednak to, że ojciec Tannyr okazał się absolutnym zaprzeczeniem skupionego wyłącznie na zadaniu ponurego schueleryty, którego spodziewał się spotkać na ostatnim odcinku swojej podróży.

- Mówiłem poważnie, panie hrabio - dodał kapłan. - *Szerszeń* jest szybszy, niż sądzisz. Nie ma tak masywnego kadłuba jak galera. Co więcej, nie musi pokonywać oporu wody. A o tej porze roku możemy się spodziewać wyłącznie sprzyjających wiatrów. Nie wspominając już o tym, że po tak długich mrozach lód jest solidny i zdążyliśmy go dobrze oznakować, więc będzie nam się podróżowało szybciej i lepiej, niż byłoby to możliwe na początku zimy. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy podczas przeprawy osiągnęli średnią prędkość trzydziestu mil na godzinę.

- Naprawdę?

Słyszac te liczby, hrabia Corisu nie potrafił ukryć zaskoczenia, mimo że bardzo się starał. Nie mógł uwierzyć w to, że podróż przez Jezioro Pei potrwa o wiele krócej, niż zakładał. Ale i ten kij miał dwa końce. Krócej będzie marzył na lodzie, ale za to szybciej spotka się twarzą w twarz z kanclerzem Trynairem i wielkim inkwizytorem.

A to mu nie poprawi humoru w ciągu miesięcznej przeprawy z Fairstock do Lakeview.

*Chyba powinienem dziękować Langhorne'owi, że jestem na tyle młody, by mieć szansę na przeżycie tej eskapady*, pomyślał, nie kryjąc goryczy.

- Naprawdę, panie hrabio - zapewnił go Tannyr, odpowiadając na ostatnie pytanie. - Podczas mocnych zawiei udawało mi się wyciągać nawet do pięćdziesięciu mil na godzinę, a mówię tutaj o przeciętnej prędkości mierzonej na dystansie dwudziestu mil, więc sądzę, że momentami możemy pobić ten wynik. Przy tej pogodzie postaram się jednak nie szaleć ze względu na twoją obecność. To nie zabawa dla kogoś o słabym sercu czy... jak powiedziałaaby moja mama... dla zdrowego na umyśle. - Mrugnął porozumiewawczo. - Sądzę jednak, że ten rejs będzie dla pana hrabiego sporym przeżyciem.

Uśmiechnął się, okazując zrozumiałą dumę ze swojej jednostki, a potem obrócił się i spojrzał w kierunku Seablanketa, który właśnie pojawił się na molo, niosąc ostatnią sztukę bagażu. Przyglądał się słudze w skupieniu przez kilka sekund, następnie przeniósł wzrok na hrabiego Corisu. Tym razem w jego oczach widać było konspiratorski błysk.



- Domyślam się, panie hrabio, że chciałby pan zakończyć tę podróż najszybciej jak się da. Nie wątpię też, że pragnienie niezwłocznego wyruszenia dalej wynika z paskudnej pogody i niewygód, jakie cierpiałeś podczas dopiero co zakończonego rejsu. Muszę cię jednak zmartwić, nie jestem zadowolony z pierwszego zaprzęgu, jaki nam przysłano. Co więcej, muszę raz jeszcze zastanowić się nad rozplanowaniem naszych postojów. Dotarło do mnie bowiem, że możemy skrócić czas całej podróży, jeśli lepiej wszystko zgramy i zaplanujemy, ale na to będę potrzebował chwili czasu. Przepraszam więc za to opóźnienie, ale jako osoba odpowiadająca za twoje zdrowie i bezpieczeństwo nie czułbym się komfortowo, wiedząc, że nie dopiąłem wszystkiego na ostatni guzik.

- W takim razie nie będę cię ponaglał - odparł hrabia Corisu, z całych sił starając się nie okazać radości. - Zdaję się w pełni na twój profesjonalizm. Skoro mówisz, że jest coś do zrobienia, zanim wyjedziemy, zrób to koniecznie.

- Wdzięczny jestem za to zrozumienie, panie hrabio. Jeśli tylko pogoda pozwoli, nadanie wszystkich wiadomości semaforami nie powinno mi zająć więcej niż - Tannyr taksował hrabiego uważnym spojrzeniem, niczym doktor oceniający stopień wycieńczenia pacjenta - dzień albo dwa. Najwyżej trzy. Szczerze powiedziawszy, ten ostatni termin jest najbardziej prawdopodobny. Wygląda więc na to, że spędzimy w Fairstock co najmniej cztery noce. Mam nadzieję, że nie sprawi to panu hrabiemu wielkiego zawodu?

- Uwierz mi, ojczec - odparł hrabia Corisu, spoglądając mu prosto w oczy - że jakoś to przeżyję.

## **.VI.**

### **ZA PRZYŁĄDKIEM HENNETA**

#### **ZATOKA MATHYAS**

Mieszkaniec planety zwanej niegdyś Ziemią mógłby powiedzieć, że wiatr osiągnął sześć stopni w skali Beauforta. Chorąży Hektor Aplyn-Ahrmahk, księżę Darcos, nigdy nie słyszał tego wyrażenia, ale przesłużył na morzach i oceanach prawie pięć z czternastu lat życia. A dokładniej rzecz ujmując, z trzynastu lat i dziewięciu miesięcy, jako że urodziny miał mieć dopiero za kilka pięciodni. Wicher był jednostajnie w takielunku, a morze gęsto pokrywały smugi piany z łamiących się grzywaczy. Doświadczenie mówiło mu, że już tylko kilku mil na godzinę brakuje, by sztorm można było nazwać solidnym sztormem Hektor

podejrzewał, że większość szcurek lądowych spanikowałyby, czując tak silne kołysanie pokładu pod stopami, widząc kaskady wody unoszące się nad dziobem, gdy galeon prüł kolejne fale, by wstać moment później w asyście miriadów brylantów błyszczących w świetle porannego słońca. Szczerze mówiąc, on także, i to przez całkiem długi czas, bardzo źle znosił sztormy. Teraz jednak, mimo smagającego go lodowatego wiatru, czuł tylko zadowolenie (zwłaszcza że w żołądku wciąż miał grzanki i ciepłą słodką owsiankę). Uśmiechał się szeroko, zacierając chronione rękawicami dłonie, i spoglądał w stronę zrefowanych żagli, a gdy nacieszył nimi wzrok, zwrócił się do starszego z dwóch mężczyzn stojących przy kole sterowym.

- Jak się prowadzi, szefie? - zapytał.

- Całkiem dobrze, sir.

Starszy bosman Frahnklyn Waigan był trzykrotnie starszy od małego chorążego, ostatni awans otrzymał mniej więcej w chwili narodzin tego drugiego. A jeszcze kilka miesięcy temu zwracał się do niego nie per „panie chorąży”, tylko „starszy kadecie” - tytuł ten przysługiwał każdemu kadetowi, który zdał egzamin na porucznika, ale nie mógł nim oficjalnie zostać, ponieważ nie miał wymaganych szesnastu lat. Potem, w miarę rozrostu marynarki wojennej, wymyślono dla takich osób stopień chorążego, lecz nie wszyscy marynarze zdążyli się do niego przyzwyczaić. Jeśli jednak Waigan czuł się urażony koniecznością odpowiadania przewyższającemu go rangą smarkaczowi, nie dał tego po sobie poznać.

- Jak na mój gust, jeszcze zbyt mocno napiera na ster - dodał.

Hektor skinął głową. Każdy żaglowiec reagował w ten sposób, gdy ustawiało się go pod podobnym kątem w stosunku do wiatru. A HMS *Przeznaczenie* szedł po zwrocie na sterburtę kursem wschód-północno-wschodni, podczas gdy wiatr wiał z południopółnocnego wschodu, a więc prosto z prawego trawersu. Półwiatr był praktycznie szczytem możliwości tej jednostki, aczkolwiek żaden okręt, zwłaszcza o starym typie ożaglowania, nie mógł nawet marzyć o takim sukcesie.

To był jeden z powodów uniesienia okazywanego teraz przez młodego chorążego. Idąc tak ostro na wiatr i tylko na dolnych żaglach, jego okręt wciąż wyciągał niemal siedem węzłów. No dobrze, sześć i pół, ale to przecież niewiele mniej. To był znakomity wynik, aczkolwiek gdyby kapitan Yairley zdecydował się na rozwinięcie jeszcze paru żagli, mógłby być bez problemu poprawiony.

*Ale nasz stary nie uczyni czegoś takiego, jeśli nie będzie musiał, pomyślał Hektor, uśmiechając się w duszy. To by nie pasowało do jego wiecznie zafrasowanej postawy!*

Szczerze mówiąc, młody chorąży całkiem niedawno zrozumiał, jak wielkie ma szczęście, służąc na okręcie dowodzonym przez kapitana Yairleya. I nie chodziło tylko o jego umiejętność dzielenia się wiedzą o taktyce i żeglarstwie. Hektor był pewien, że w całej flocie nie ma równie dobrego nauczyciela z tych dziedzin, jednakże dowódca zaskarbił sobie jego wdzięczność z zupełnie innego powodu. Nauczył młodego Aplyna-Ahrmahka czegoś znacznie ważniejszego.

Choć nosił książęcy tytuł, młody chorąży nie był dzieckiem arystokraty. Pochodził z ciężko pracującej rodziny kupieckiej i już samo przyjęcie go na kadeta do charisjańskiej marynarki wojennej uważał za wielki zaszczyt dla swojego rodu. Miał nadzieję na zrobienie uczciwej kariery - flota Korony była chyba jedyną na Schronieniu, która oferowała podobne możliwości każdemu, nawet człowiekowi z gminu. Kilku prostych obywateli dochrapało się po latach ciężkiej służby tytułów rycerskich, a nawet stopnia admirała. Hektor mógłby wymienić co najmniej pół tuzina osób mianowanych baronami i jednego, który zmarł jako hrabia. Nigdy jednak nie marzyło mu się, że zostanie prawdziwym księciem!

Nigdy też - w tym momencie spochmurniał - nie sądził, że sam król umrze w jego ramionach, i to odniósłszy śmiertelną ranę, broniąc go własną pierśią. Do głowy by mu nie przyszło, że jako jeden z trzydziestu sześciu ludzi przeżyje atak na okręt flagowy króla Haarahlda VII. Z tej garstki trzy osoby zmarły potem z powodu odniesionych ran, a kolejne jedenaście zostało kalekami i nigdy więcej nie wypłynęło już w morze. Szanse na przeżycie tej masakry i dalszą służbę w marynarce wydawały mu się mikroskopijnie małe. A możliwość adoptowania przez ród Ahrmahków i zostania przybrany synem samego cesarza Cayleba zakrawała na jakiś dziwny sen. Gdyby ktokolwiek roztoczył przed nim taką wizję, Hektor zapewne uciekłby z krzykiem gdzie pieprz rośnie. Co on, syn pierwszego oficera na statku handlowym, mógł mieć wspólnego z rodziną królewską? Przecież to jakiś absurd!

Niestety, spotkało go właśnie coś takiego. Może za jakiś czas Hektor zrozumie, że to wcale nie taka straszna rzecz. Był w stanie to przyznać - jako chłopak obdarzony całkiem sprawnym rozumem - ale na początku zareagował panicznym strachem. Z tego też powodu był wdzięczny losowi, że przydzielono go na HMS *Przeznaczenie*. Sir Dunkyn Yairley także nie zaliczał się do szlacheckiej śmietanki towarzyskiej, choć był spokrewniony, aczkolwiek daleko, z trzema baronami i hrabią. Podjął się więc trudnej nauki młodego kadeta, zdradzając przed nim sekrety etykiety, które musiał poznać jako nowy arystokrata.

*Zacznijmy od tego, jak się trzyma widelec*, na tę myśl Hektor uśmiechnął się ponownie, wciąż pamiętał ból po uderzeniu sztucem trzymanym przez kapitana, gdy wyciągnął nie tę rękę co trzeba. *Byłem pewien, że połamał mi wszystkie palce, ale...*

- Żagiel na horyzoncie! - z bocianiego gniazda, mieszczącego się sto dziesięć stóp nad pokładem, dobiegł okrzyk wachtowego. Z takiej wysokości i przy dobrej pogodzie można było sięgnąć wzrokiem na jedenaście i pół mili dalej niż z poziomu pokładu. - Dwa żagle, pięć rumbów na bakburtę - poprawił się moment później marynarz.

- Panie Aplyn-Ahrmahk! - Inny, donośny głos rozległ się za plecami chorążego.

Hektor obrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z porucznikiem Rhobairem Lathykiem, pierwszym oficerem HMS *Przeznaczenie*, który dopiero co zaczął wachtę.

- Aye, sir? - zaszalutował przepisowo, przytykając prawą pięść do piersi.

Lathyk był wysokim mężczyzną - z tego też powodu musiał nieustannie uważać na głowę, gdy schodził pod pokład - i strasznie ciętym na obiboków. Upierał się także przy przestrzeganiu regulaminu bez względu na okoliczności, zwłaszcza przy kontaktach z młodszymi oficerami. Nie można było jednak zaprzeczyć, że miał ogromne doświadczenie i nie szukał (zazwyczaj) zwady.

- Proszę iść na górę, panie Aplyn-Ahrmahk - powiedział, podając Hektorowi lunetę. - Zobaczymy, co pan powie na ich temat.

- Aye, aye, sir!

Młody chorąży przewiesił sobie lunetę przez ramię i wskoczył na wanty. Lathyk mógł zlecić to zadanie jednemu z kadetów, niemniej Hektor był rad, że tego nie uczynił. Jedną z rzeczy, których zabroniono mu po ostatnim awansie - gdy otrzymał zaszczytną funkcję piątego oficera HMS *Przeznaczenie* - było właśnie bieganie po linach. Tego rodzaju zadań nie zlecano porucznikom, nawet tak młodym jak świeżo mianowany chorąży. A Hektor, w odróżnieniu od większości kolegów, uwielbiał się wspinać na duże wysokości. Cieszył się z każdej chwili spędzonej w bocianim gnieździe, nie miał oporów nawet przed leżeniem na najwyższej rei przy bardzo złej pogodzie. Czasami odczuwał lęk, ale ten był drugorzędny i towarzyszył tylko niesamowitemu uniesieniu. Teraz także, mimo wichury, piął się w górę niczym zwinny małpojaszczur.

Gdy dotarł w pobliże topu masztu, minął bocianie gniazdo i po bramstenwantach wspiął się na samo jabłko. Wiatr świszcział mu w uszach, każdy oddech palił płuca, ale oczy chorążego lśniły radośnie, jakby był jedną z wyvern, które podążają w ślad za każdym okrętem w nadziei na smaczny kąsek.

- Gdzie oni są, Zhaksyn? - zapytał wachtowego.

Marynarz siedział na drewnianym pomoście, obejmując maszt jedną ręką i nonszalancko machając opuszczoną nogą. Uśmiechał się radośnie, spoglądając na Hektora.

Tutaj, na górze, było znacznie zimniej niż na pokładzie, a wiatr wiał mocniej (młody

chorąży nie miał pojęcia, dlaczego tak jest). Mimo że gruby płaszcz krępował mu ruchy w trakcie wspinaczki, Hektor był zadowolony, że ma na sobie tak solidne odzienie, nie mówiąc już o ciepłych rękawicach i robionym na drutach szaliku, który dostał na Zimowe Święto od księżniczki Zhanayt. Zwieńczenie grotmasztu, zwane jabłkiem, miało średnicę około półtorej stopy. Gdy młody chorąży spojrział z niego prosto w dół, nie zobaczył pokładu HMS *Przeznaczenie*, tylko spienioną powierzchnię zielonoszarego morza i pianę po zawietrznej. Gdyby stąd skoczył, znalazłby się w wodzie, nie na deskach. Ale to i tak niewielka różnica. Przy tak niskiej temperaturze wody nie przetrwałby tych kilku chwil, jakie były potrzebne na zorganizowanie pomocy.

Na szczęście nie zamierzał robić czegoś aż tak głupiego.

- Tam, sir... - Wachtowy wskazał kierunek.

Hektor podążył wzrokiem za wyciągniętym palcem, skinął głową i przeplótłszy dla bezpieczeństwa jedną nogę przez wyblinki bramstenwant, podniósł ciężką lunetę, do czego potrzebował obu odzianych w rękawice dłoni.

Utrzymanie przy oku tak ciężkiego przyrządu, gdy stoi się na szczycie masztu sztormującej jednostki, nie było łatwe. A fakt, że Hektor był kruszynką w porównaniu z takim bykiem jak porucznik Lathyk, nie ułatwiał zadania. Z drugiej jednak strony chorąży, choć szczupły i nieduży, także był niezłe umięśniony i miał sporo praktyki w operowaniu lunetą. Oparł ją o przedramię lewej ręki, zatoczył szeroki łuk i znalazł blade żagle majaczące na horyzoncie. Żaden szczer łądowy nie zdołałby wykonać tego zadania.

Nawet z tej wysokości nie był w stanie zobaczyć kadłubów jednostek. W zasięgu wzroku miał tylko topy ich masztów, ale gdy HMS *Przeznaczenie* i obce jednostki poszły jednocześnie na falę, dostrzegł coś więcej. Zakładając, że tamci mają tak samo wysokie maszty, ich reje powinny znajdować się jakieś pięćdziesiąt stóp nad pokładem, skoro więc on je widział z tej wysokości, przybliżona odległość między okrętami musiała wynosić około czternastu mil.

Przyglądał się obu jednostkom długo, dokładnie, cierpliwie, oceniając ich aktualny kurs i próbując wywnioskować prędkość. W końcu od tego patrzenia w lunetę zaczęło mu łzawić oko, ale nie zamrugał ani nie opuścił przyrządu, dopóki nie zakończył obserwacji. Dopiero wtedy pozwolił sobie na westchnięcie ulgi, odłożenie lunety i przetarcie oka.

- I co pan tam wypatrzył, sir? - zapytał marynarz.

Hektor obrócił głowę, by zmierzyć wachtowego znaczącym spojrzeniem, na co ten ostatni zareagował szerokim uśmiechem. To było naprawdę nieoczekiwane, że taki człowiek zadaje identyczne pytanie, jakie za moment padnie z ust porucznika Lathyka. Młody chorąży

wiedział, że wielu jego kolegów, na przykład porucznik Garaith Symkee, drugi oficer HMS *Przeznaczenie*, szybko naprostowałyby takiego śmiałka. Uważał, że ktoś tak młody jak on powinien tym bardziej unikać bratania się z załogą, którą ma dowodzić. Z drugiej jednak strony kapitan Yairley nie miał jakoś problemów z autorytetem, a przecież odpowiadał na zadawane mu pytania. Skoro więc nawet ktoś taki jak kapitan mógł to robić...

- Cóż - odparł - są jeszcze zbyt daleko, by dostrzec więcej szczegółów. Nawet luneta w tym wypadku niewiele pomogła. Mogę się więc mylić, ale przynajmniej ten bliższy nas płynie pod banderą Kościoła.

- Żartuje pan, sir! - Uśmiech Zhaksyna stał się jeszcze szerszy.

Już zacierał ręce z niecierpliwości, jako że jednostki kościelne stanowiły łatwy i spory łup. Hektor uśmiechnął się do niego, zaraz jednak spoważniał.

- Dobrze się spisałeś, meldując o nich - powiedział, klepiąc po ramieniu starszego od siebie mężczyznę (wprawdzie Zhaksyn miał dopiero dwadzieścia parę lat, gdyż na bocianie gniazdo posyłano tylko najmłodszych i najsilniejszych członków załogi).

- Dzięki, sir! - Zhaksyn nie posiadał się z radości.

Hektor skinął mu głową i ruszył w drogę powrotną po wantach. Miał wielką ochotę ześlizgnąć się po padunie, ale nie był już tylko rozbrykanym kadetem - co reprimenda otrzymana pięciodzień wcześniej od porucznika Lathyka uzmysłowiła mu nader dobitnie - więc wybrał bardziej konwencjonalny sposób.

- Słucham, panie Aplyn-Ahrmahk? - zapytał pierwszy oficer, gdy tylko młody chorąży dotarł na pokład i nieco zdyszany dobiegł na kasztel rufowy.

- To na pewno co najmniej dwie jednostki, sir. W każdym razie z tej odległości tyle widziałem. To galeony, z nowszym ożaglowaniem, ale bez bombramstengi. Znajdują się w odległości około czternastu albo nawet piętnastu mil. Idą z wiatrem, kurs północny-północny zachód, ale nie na pełnych żaglach. Ten, który znajduje się bliżej nas, ma chyba kościelną banderę.

- Jest pan pewien?

- Tak, sir. Gdy wszedł na grzbiet fali, dostrzegłem jego bezan. Nie wiem, jakie ma żagle na pozostałych masztach, ale to na pewno nowy system. Sądzę, że to naprawdę duża jednostka, sir. Zdziwiłbym się, gdyby był mniejszy od nas.

Lathyk zmrużył oczy, Hektor wyczuwał, że jego myśli podążają tym samym torem. Pierwszy, po dłuższej chwili, skinął nieznacznie głową i odwrócił się do kadeta stojącego w pobliżu.

- Przekaze pan wyrazy szacunku kapitanowi, panie Zhones, i poinformuje go pan, że

dostrzeżliśmy dwa galeony płynące kursem północny północny zachód, w odległości około czternastu mil, a pan Aplyn-Ahrmahk jest pewien - tutaj porucznik uśmiechnął się do Hektora - że co najmniej jeden z nich ma nowe ożaglowanie i kościelną banderę.

- Aye, aye, sir! - pisnął młody Zhones.

Miał niespełna dwanaście lat i nawet Hektorowi wydawał się niezwykle młody... aczkolwiek on sam, gdy był w wieku tego kadeta, miał za sobą trzy lata służby na okrętach.

Zhones potruchtał w kierunku zejściówki, ale zamarł w pół kroku, gdy pierwszy odchrząknął na tyle głośno, by dało się to słyszeć przez ryk fal. Chłopak posłał mu wylęknione spojrzenie, a potem stanął w pozycji zasadniczej.

- Proszę o wybaczenie, sir! - zawołał, a potem powtórzył treść wiadomości, którą miał przekazać kapitanowi.

- Doskonale, panie Zhones. - Lathyk skinął głową, gdy chłopak wyrecytował wszystko słowo w słowo, po czym pozwolił mu odejść.

Hektor spoglądał za nim, przypominając sobie, jak sam kiedyś przekręcił treść wiadomości, i nie przed byle kapitanem, uważanym na każdym statku za pierwszego po Bogu. Był wtedy pewien, że zaraz umrze ze wstydu. Bał się, że gdy kapitan Tryvythyn usłyszy o jego winie, obdarzy go jednym ze znanych „spojrzeń”.

*To chyba dobrze, pomyślał, gdy młody kadet zniknął pod pokładem, że jego wysokość wybaczył mi ten błąd.*

\* \* \*

- Powiedz mi, Ruhsail, co my tam mamy? - zapytał komandor Wailahr, wychodząc z nadbudówki rufowej.

Kapitan Ruhsail Ahbaht, dowódca należącego do cesarskiej floty Desnairu galeonu *Archaniol Chihiro*, obrócił się na pięcie.

- Proszę o wybaczenie, sir Hairahmie - zsalutował kapitan. - Nie wiedziałem, że wyszedłeś na pokład.

- Może dlatego, że zjawiłem się na nim dopiero przed momentem - odparł nieco rozdrażnionym tonem komandor. Był to solidnie zbudowany mężczyzna o ciemnych włosach, które zaczynały już jednak siwieć na skroniach. W jego równo przystrzyżonej brodzie także dało się zauważyć kilka pasemek srebra. Wzrok jednak nadal miał ostry i czujny.

Towarzyszył mu osobisty kapelan, ojciec Awbrai Lairays, odziany w purpurową, ozdobioną płomieniem sutannę zakonu Schuelera.

- No tak, to prawda - odparł pośpiesznie Ahbaht, aczkolwiek w jego głosie nadal pobrzmiwał przeprasający ton.

Kapitan wyglądał przy tym, jakby za moment miał ponownie zasalutować, co nie umknęło uwagi Wailahra. Komandor z trudem powstrzymał się od złośliwego uśmiešku. Wiedział, że przydzielenie mu na dowódcę okrętu oficera z tak ogromnym doświadczeniem może traktować jak wielkie szczęście, ale po przepłynięciu trzech tysięcy mil i kilku pięciodniach spędzonych na tym samym pokładzie wołałby, aby ten człowiek zapomniał choć na moment, że jest spokrewniony - choć tylko poprzez małżeństwo - z samym hrabią Hankey.

- Nie mogłeś wiedzieć, że tu jestem, dopóki się nie odezwałem - spróbował (chyba z sukcesem) usunąć ton zniecierpliwienia, spoglądając w kierunku wachtowego, który przed chwilą skończył składać raport.

- To mi wygląda na charisjański galeon, sir - wyjaśnił naprowadzony na właściwy trop Ahbaht. - Wachtowy powinien wypatrzeć go wcześniej, ale wciąż dzieli nas jedenaście, a może nawet dwanaście mil. Choć to zbyt daleko, by zobaczyć szczegóły, jesteśmy pewni, że zbliżająca się jednostka dysponuje nowym typem ożaglowania. Do tego idzie pod większą ilością żagli, niż powinna w taką pogodę, i kieruje się prosto na nas. - W tym momencie wzruszył lekko ramionami. - Zważywszy na to, że jedyne okręty wojenne, jakie można spotkać na tutejszych wodach, należą do Korony, wątpię, abyśmy mieli do czynienia z kimś innym niż Charisjanie. Tylko oni szarżują na każdego, kto nie jest ich przyjacielem.

Wailahr skinął wolno głową, rozważając implikacje wynikające z analizy przedstawionej właśnie przez kapitana. To ma sens, uznał. Po dwudziestu sześciu latach służby dla cesarza znał sposób myślenia Charisjan o niebo lepiej niż dowódca jego flagowca. Niestety nie był w stanie zgłębiać tego zagadnienia dalej, jako że jego doświadczenie zawodowe dotyczyło głównie lądu, a dokładniej kawalerii, którą dowodził w armii Desnairu. Podobnie jak w każdej innej domenie Schronienia, także w jego kraju przydzielano wybitnych dowódców lądowych na nowe okręty (których cesarstwo posiadało na razie niewiele), dając im do dyspozycji doświadczonych żeglarza, którego zadaniem było tłumaczenie wszystkiego i wcielanie w czyn wydawanych rozkazów. W końcu to kapitan był człowiekiem odpowiedzialnym za przygotowanie jednostki do walki, natomiast komandor miał ważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się takimi technicznymi szczegółami jak choćby ustalanie właściwego kursu.

*A w każdym razie tak to się przedstawiało w teorii, pomyślał z goryczą Wailahr. Chociaż metoda ta sprawdzała się doskonale w starciu z przeciwnikiem, który postępował w identyczny sposób, to dzisiaj wrogiem był Charis, czyli domena stosująca zgoła odmienne metody. I to od dawien dawna.*

Jako lojalny poddany Mahrysa IV i wierny syn Kościoła Matki, sir Hairahm Wailahr



chciał osiągać sukcesy na piastowanym stanowisku, niemniej zdawał sobie sprawę z tego, jak mało obeznany jest z żeglowaniem. Został rzucony od razu na głębokie wody (to obrazowe określenie zmusiło go do skrzywienia ust), kiedy otrzymał stanowisko dowódcy nie jednego z najnowszych galeonów, ale całej ich eskadry, i dlatego właśnie był tak wdzięczny za obecność doświadczonego Ahbahta.

Nawet mimo że od czasu do czasu miał ogromną ochotę skopać mu dupsko.

- Stwierdził pan, kapitanie, że idzie prosto na nas - powiedział po chwili milczenia. -  
Czy to znaczy, że nas ściga?

- Na to wygląda, sir. - Ahbaht wskazał ręką w kierunku jednostki, której nadal nie mogli dostrzec z pokładu *Archaniola Chihiro*. - To kawał akwenu, komandorze, a niewielki mamy na nim ruch od momentu rozpętania przez tych cholernych Charisjan korsarskiej zawieruchy. Żaden galeon kupiecki nie odważyłby się wpłynąć na wody zatoki Terrence, jak my to dzisiaj robimy. Niemniej gdyby był to statek kupiecki, jego szyper nie zbliżałby się do nas, dopóki nie sprawdziłby, z kim ma do czynienia. I na pewno opuściłby kolejne żagle, żeby na wszelki wypadek zachować dystans, nawet gdyby zmierzał jak my do Silk Town albo Warowni Khairmana. A nasz wachtowy, mimo że nie ma jeszcze całkowitej pewności, sądzi, iż na tamtym pokładzie stawia się kolejne żagle.

- Jak może nie mieć pewności co do takiej sprawy? - Wailahr aż uniósł brew ze zdziwienia.

Dowódca flagowca po raz kolejny wzruszył lekko ramionami.

- Mogę przywołać go tutaj na dół, abyście mogli porozmawiać. Aczkolwiek już kazałem go wypytać porucznikowi Chaimbyrsowi. Według tego, co mi przekazał, wachtowy zauważył obcą jednostkę, gdy ta rozwijała kolejne żagle.

- Rozumiem.

Odpowiedź Ahbahta była wyrazem największej siły i jednocześnie największej słabości, jaką może przejawiać dowódca flagowca czy jakiegokolwiek innej większej jednostki wojskowej. Sądząc po tonie i postawie, był on gotów ściągnąć wachtowego z bocianiego gniazda, by ten osobiście odpowiedział na pytania komandora, ale wcześniej posłał na maszt drugiego oficera *Archaniola Chihiro*, niejakiego porucznika Zhustyna Chaimbyrsa, aby ten dokonał stosownego przesłuchania. Chaimbyrs był znakomitym młodym oficerem - Wailahr zamierzał go wkrótce awansować - potrafił więc tak wypytać marynarza, by ten wyjawiał całą prawdę, nie obawiając się konsekwencji. Wszystko wskazywało więc na to, że Ahbaht dokonał najwłaściwszego wyboru, jeśli chodzi o sprawdzenie pozyskanych informacji, a mimo to był gotów pozwolić, by jego przełożony wyżył się na marynarzu, który był ich

źródłem. A robił to tylko dlatego, że komandor miał koneksje, od których mogła zależeć dalsza kariera każdego oficera na tym okręcie.

*Bądź uczciwy, Hairahrnie*, napomniął się w myślach komandor, zapewne już po raz tysięczny. *W odróżnieniu od ciebie, ten człowiek nie ma żadnych koneksji, a liczy sobie już... no właśnie, ile? Czterdzieści trzy lata? Zresztą to nieistotne. Jest wystarczająco stary, by wiedział, że nie otrzyma kolejnego awansu bez poparcia kogoś naprawdę ważnego. A wydawać by się mogło, że mianowanie na dowódcę jednego z pierwszych wielkich galeonów powinno mieć zbawienny wpływ na jego pewność siebie.*

Z drugiej jednak strony marynarka wojenna nie cieszyła się nigdy wielkim szacunkiem w oczach Desnairian. Z tego też powodu tylko kilku z wielu oficerów, z którymi Wailahr miał okazję się spotkać w ciągu minionych miesięcy, rozumiało w pełni, jak wielkie zmiany zajdą wkrótce na tym polu.

- Nie trzeba, Ruhsail - powiedział komandor po dłuższym zastanowieniu. - Co radzisz?

- Co radzę, sir? - Oczy kapitana zbłądziły mimowolnie gdzieś w bok, w kierunku ojca Lairaysa.

- Mamy pozwolić się dogonić czy stawiamy żagle, żeby uciekać? - zapytał Wailahr nieco groźniejszym tonem.

To zmusiło kapitana do skupienia wzroku na przełożonym, czego ten ostatni o mały włos nie skwitował głośnym westchnieniem. Z tego co wiedział, Ahbaht nie należał do ludzi tchórzliwych, a mimo to cały czas się pilnował, by nie powiedzieć ani nie zrobić czegoś niewłaściwego w obecności kapelana. Bał się go nawet bardziej niż komandora.

Co, uznał po chwili rozwagi Wailahr, było całkiem rozsądnym posunięciem, i to z kilku względów. Po pierwsze ojciec Lairays nie został wybrany na kapelana przez niego. Przydzielił go im biskup egzekutor Mhartyn Raislair, aby obecność duchownego uzmysławiała wszystkim, do kogo tak naprawdę należy *Archaniol Chihiro*. Okręt płynął wprawdzie pod barwami Desnairu, ale nad złotą banderą z czarnym koniem nie na darmo powiewał proporzec Kościoła Matki. Na razie nikt tego nie kwestionował, a w każdym razie nie robił tego otwarcie, ale tylko kompletny głupiec (którym ktoś taki jak Ahbaht z pewnością nie był) mógłby jeszcze wątpić w to, że święta wojna jest już tuż-tuż.

Na całe szczęście, przynajmniej w opinii komandora, ojciec Awbrai nie wyglądał na fanatyka. Cechowała go za to gorliwość w wierze, lecz przecież biskup egzekutor nie wybrałby go na swoje oczy i uszy w sztabie Wailahra, gdyby było inaczej. Zapewne kapelan nie wykorzystałby szczerości Ahbahta przeciw niemu samemu, ale też rozumiał powody jego

powściągliwości, zwłaszcza gdy stawali twarzą w twarz.

- To zależy, sir. Głównie od tego, co zamierzamy osiągnąć - odpowiedział w końcu kapitan flagowca. - Jeśli twoim celem jest zabranie złota z warowni Khairmana, doradzałbym powstrzymanie się od walki. - Znow zerknął na duchownego, ale jego głos pozostał niewzruszony, gdy kontynuował: - Mimo że mamy dwa okręty, a oni idą w pojedynkę, wydaje mi się prawdopodobne, a nawet pewne, że poniesiemy spore straty w starciu. Byłoby to nieuniknione nawet w przypadku, gdybyśmy trafili na charisjańskich korsarzy, a wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z ich galeonem wojennym, który jest znacznie groźniejszy. Chciałbym nadmienić, że nie możemy wracać ze złotem, dopóki nie usuniemy wszystkich uszkodzeń, a to może potrwać, przez co opóźni się dostawa.

*Bardzo rozsądna odpowiedź, pomyślał Wailahr. I w dodatku celna uwaga.*

Nie wiedział, po ile złota płyną jego okręty, ale musiała być to spora ilość. Stanowiąca część desnairiańskiej rocznej daniny na rzecz Kościoła Matki. Zważywszy na ogromne wydatki, jakie Świątynia poniosła, aby wybudować okręty wojenne we wszystkich stoczniach kontynentów Howard i Haven, te pieniądze były jej potrzebne jak powietrze - i to szybko. Skarbiec wikariusza Rhobaira łaknął każdej sumy, jaka mogła do niego wpłynąć, a zważywszy na stan okolicznych traktów podczas zimy, jedynym sensownym rozwiązaniem wydawał się transport drogą morską, przynajmniej tam, gdzie to było możliwe. Jednym z takich odcinków był ten akwen - niestety wciąż bardzo niebezpieczny, jako że okręty budowane w pobliżu Warowni Khairman wciąż nie były w pełni gotowe do akcji. Charisjańscy korsarze krążyli bezkarnie po tych wodach, ponieważ jednostki z Iythrii i Mahrosy, które dopiero wykańczano, nie były w stanie stawić im czoła. Z tego też powodu dwa pierwsze w pełni sprawne galeony z nowej eskadry zostały wysłane aż ze stolicy, zwanej Miastem Desnair (aby nie była mylona z krajem o tej samej nazwie).

*Już wypadliśmy z harmonogramu, pomyślał komandor, a biskup egzekutor nie pochwali mnie za kolejne spóźnienia. Mam jednak dwa okręty i prędzej czy później będę musiał ściąć się z Charisjanami. Langhorne świadkiem, że najpotężniejszą bronią Korony jest straszna reputacja, jaką cieszą się jej marynarze! Całkiem zasłużenie zresztą, przyznaję. Niemniej to tylko śmiertelnicy, czas więc pozbawić ich choćby szczypty owej reputacji...*

Spojrzał w kierunku „swojego” kapelana.

- Ojczy, pozwoliłbym tym dżentelmenom doścignąć nas, skoro tak tego pragną. Albo przynajmniej zbliżyć się znacząco. Na tyle, byśmy mogli sprawdzić, kim naprawdę są. Jeśli to korsarze, z pewnością sami umkną, widząc, że mają do czynienia z dwoma potężnymi galeonami wojennymi. Jeśli, pozwolisz mi na szczerłość; marzy mi się, abyśmy mogli ich

potem dogonić.

- A jeśli to będzie galeon wojenny Korony? - Głęboki głos zupełnie nie pasował do tak młodego kapłana. Kokarda na brązowym czepcu Lairaysa łopotała na silnym wietrze dmącym po otwartym pokładzie *Archaniola Chihiro*.

- Jeśli to będzie galeon Korony, z pewnością nie ucieknie - odparł Wailahr. - A skoro tak, to jak słusznie zauważył kapitan, my dysponujemy dwiema jednostkami, co w razie starcia daje nam znaczącą przewagę. Nie sądzisz, że jego eminencja wybaczy nam drobne spóźnienie, jeśli zużyjemy ten czas na dokonanie koniecznych napraw po tym, jak zatopimy jeden z okrętów Cayleba?

\* \* \*

- Hej tam, na pokładzie! Bliższa ze ściganych jednostek zwija żagle!

Kapitan Dunkyn Yairley spojrział na saling bezanmasztu i zmarszczył lekko brwi, słysząc treść ostatniego meldunku.

- Idzie tylko na bramslach, sir! - kontynuował tymczasem wachtowy. - Podobnie jak ten drugi! - dodał po mniej więcej minucie, zaskakując Yairleya jeszcze bardziej.

*Ten mars na czole sugeruje irytację*, pomyślał Hektor Aplyn-Ahrmahk i zaczął się zastanawiać, o czym może myśleć kapitan.

*Czyżby załoga tamtej jednostki uznała w końcu, że postawiła zbyt wiele żagli jak na taką pogodę?* Oba ścigane galeony szły niemal prosto na północ i początkowo postawiły dodatkowe żagle, gdy ich kapitanowie zrozumieli, że HMS *Przeznaczenie* ruszył w pościg, co jednak wcale nie znaczyło, że są zadowoleni z tej decyzji. Nowe ożaglowanie było o wiele lepsze od tego, którym dysponowali jeszcze kilka lat temu, ale na pewno nie mogło się równać ze stosowanym na jednostkach marynarki wojennej Charisu.

HMS *Przeznaczenie* miał proporcjonalnie wyższe maszty, dzięki czemu mógł postawić aż dwadzieścia pięć żagli, jeśli liczyć łącznie z trzema sporymi kliwrami. Co więcej, dzięki zastosowaniu nowoczesnych maszyn tkackich płótno miało gęstszy splot i było w stanie przechwycić więcej energii wiatru mimo nowego, płaskiego kroju wprowadzonego niedawno przez sir Dustyna Olyvyra. Ścigane okręty nie miały bombramsteng i mogły postawić co najwyżej po dziesięć żagli, i to bez sztaksli, a posługiwały się płótniskami starego, głębokiego kroju, o wiele mniej wydajnymi niż nowy, płaski, stosowany na HMS *Przeznaczenie*. Hektor uważał, że ten dawny system wygląda solidniej i daje wrażenie większej mocy, lecz testy przeprowadzone w Zatoce Howella przez sir Olyvyra nie pozostawiały wątpliwości, które rozwiązanie jest wydajniejsze.

Żagle uciekających okrętów miały także zupełnie inne proporcje. Na *Przeznaczeniu*

były o wiele wyższe i szersze, co przekładało się na większą efektywność.

Dzięki temu rozwiązaniu trumsle stały się głównymi żaglami jednostki - na tym właśnie polegała najistotniejsza różnica pomiędzy nowymi konstrukcjami z Charisu a uciekającymi galeonami.

Do tego dochodziła także gigantyczna różnica powierzchni żagli, na których można było iść w optymalnych warunkach, a nawet podczas tak złej pogody, jaka panowała teraz. Ale szczerze mówiąc, HMS *Przeznaczenie* i jego bliźniacze jednostki i tak nie wykorzystywały jeszcze w pełni potencjalnych możliwości tego systemu. Zaniechano takiej opcji, ponieważ zbyt łatwo można było przesadzić przy stawianiu żagli, zwłaszcza w ciężkich warunkach pogodowych. Poza tym istniała przecież granica, poza którą liczba nakładających się na siebie płócien powodowała spowolnienie jednostki. Pod zbyt wielkim naciskiem dziób zanurzał się głębiej, co powodowało zwiększenie oporu wody i przy gwałtowniejszych zwrotach mogło grozić katastrofą. Z tego też powodu każdy szanujący się kapitan nie rozwijał aż tylu żagli, na ile pozwalała siła wiatru i stan morza.

Najbardziej liczyło się bowiem to, jak zostanie rozdystrybuowana osiągnięta siła ciągu, ponieważ to od niej zależała prędkość jednostki. Dlatego też kapitan Yairley kazał wciągnąć wszystkie sztaksle, rezygnując z postawienia największych żagli. Dzięki temu dziób *Przeznaczenia* miał nieco mniejsze zanurzenie i pruł fale znacznie szybciej. Kapitan nie zapomniał także o efekcie blanketingu, który można by opisać w następujący sposób: im wyższy żagiel, tym łatwiej wykonać zwrot. Tak więc przy pogorszeniu pogody z reguły najpierw refuje się bramsle i oba marsle, a na końcu bombramsle i ewentualnie trumsle, jeśli dana jednostka jest w nie wyposażona. Dolne żagle zwija się lub refuje już wcześniej ze względu na ich wielkość i problemy z obsługą, choć są wydajniejsze od stosunkowo małych górnych żagli.

Pierwotna ocena Hektora, że uciekające galeony dorównują wielkością jego jednostce, okazała się mylna. Oba były mniejsze, niż przypuszczał, dlatego HMS *Przeznaczenie* mógł postawić przy tak mocnym wietrze więcej żagli niż one. Kapitan Yairley wykorzystał ten fakt do maksimum i dał rozkaz postawienia fok i grotmarsli (główne pozostawił zrefowane, ponieważ przy aktualnym kursie tłumiłyby się wzajemnie), i teraz nawet bez bombramsli jego jednostka wyciągała osiem węzłów. Od ponad pięciu godzin zbliżał się z wolna do uciekających okrętów. Tamci do tej pory powinni już jednak zrozumieć, że ich wysiłki są daremne. A skoro tak, ryzykowanie uszkodzenia żagli albo takielunku nie ma najmniejszego sensu. Zwłaszcza że wciąż istnieją szanse na to, że *Przeznaczenie* zmieni zamiar i odpłynie, pozwalając im się spokojnie oddalić.

Z drugiej jednak strony niewykluczone, że to wcale nie pogoda zmusiła przeciwnika do zmniejszenia prędkości i że świadomie pozwala się doścignąć prześladowcy. Tylko że rozsądny człowiek wiałby przed znanymi z chciwości charisjańskimi korsarzami co sił w żaglach - albo więc tamci są głupcami, albo...

- Panie Lathyk, sądzę, że powinniśmy być gotowi do walki za jakieś... trzy godziny - oświadczył z pełnym spokojem Yairley. - Za moment jemy lunch, przyśpieszanie starcia nie ma więc chyba sensu. Proszę zadbać, aby wszyscy zjedli gorący posiłek, i to solidny.

- Aye, sir! - Pierwszy potwierdził przyjęcie rozkazu.

Gdy porucznik przywołał do siebie stojącego w pobliżu kadeta i zaczął wydawać mu szybkie polecenia, kapitan spojrzał w kierunku Hektora.

- Nie wierzy pan w to, że mamy do czynienia z jednostkami kupieckimi? - zapytał młody chorąży, zniżając głos.

Niektórzy dowódcy skróciliby o głowę każdego oficera, który zadałby im tak impertynenckie pytanie. Hektor nie obawiał się jednak o własne życie, i nie chodziło w tym wypadku o koneksje łączące go z panującym rodem.

- Nie, panie Aplyn-Ahrmahk, nie wierzę - odparł Yairley, wskazując głową miejsce, w którym widać było odległe żagle za każdym razem, gdy HMS *Przeznaczenie* znajdował się na szczycie fali. - Zachęcają nas do przyłączenia się do nich, a tego nie uczyniłby żaden skiper jednostki handlowej, nawet gdyby nie widział jeszcze naszej bandery. Co jest całkiem możliwe w obecnych warunkach.

Spojrzał w górę na cesarski proporzec powiewający na szczycie bezanmasztu. Teraz, gdy HMS *Przeznaczenie* płynął fordewindem, uciekający mogli nie widzieć jego bandery ukrytej za żaglami.

- Mogą nadal nie wiedzieć, że to królewska, to znaczy cesarska jednostka... - Yairley skrzywił się na swoje przejęzyczenie - ale musieli dojść do wniosku, że mają do czynienia z korsarzami. W takich warunkach jednostki handlowe mogą tylko uciekać, mając nadzieję, że znikną nam z oczu, gdy zapadną ciemności. Wątpię, aby mieli na to szansę, ale tego właśnie powinni próbować, jako że nikt z nas nie ma całkowitej pewności, czy nie dojdzie do gwałtownej zmiany pogody... - przerwał, unosząc brew. Hektor doskonale wiedział, co oznacza to spojrzenie.

- Skoro zrezygnowali z ucieczki i zdecydowali się na spotkanie z nami w pełnym blasku dnia, muszą dowodzić galeonami wojennymi - skonkludował młody chorąży.

- To bardzo prawdopodobne, panie Aplyn-Ahrmahk - przyznał Yairley, skinąwszy lekko głową jak nauczyciel, którego uczeń wyciągnął właśnie słuszne wnioski. - Gdy zaczęli

zrzucić żagle, pomyślałem, że mamy do czynienia z frachtowcem, którego eskorta pozostaje w tyle, by dać mu osłonę. Jednakże w takim przypadku ta druga jednostka nie zwalniałaby w tym samym czasie, tylko wykorzystwała moment na oderwanie się od pogoni walczącej z jej towarzyszem podróży. Dlatego też uważam, że mamy do czynienia z dwoma okrętami wojennymi. Zgodnie z ostatnimi raportami barona Gromu, Desnair powinien dysponować co najmniej tuzinem w pełni sprawnych, przerobionych galeonów kupieckich. Nie możemy tego potwierdzić w żaden sposób, niemniej byłbym mocno zdziwiony, gdybyśmy nie trafili na dwa z nich. Dręczy mnie tylko jedno pytanie - kontynuował kapitan nieco rozmarzonym tonem, spoglądając gdzieś w przestrzeń. - Co te dwa żaglowce robią w tym rejonie?

- Może wypłynęły na ćwiczenia, sir? - zasugerował nieśmiało Hektor.

- To byłoby całkiem prawdopodobne, gdyby nie fakt, że zapuściły się zbyt daleko w morze - wskazał głową na wzburzoną wichrem powierzchnię wody. - Nie sądzi pan, panie Aplyn-Ahrmahk, że szczury lądowe pokroju desnairiańskich marynarzy nie przepadają za tego rodzaju aurą? Gdyby wypłynęły na zwykłe manewry, trzymałby się bliżej wybrzeża, zwłaszcza że są tu tylko dwie jednostki. A znajdujemy się ponad siedemset pięćdziesiąt mil od ich stoczni w Geyrze i ponad sto od przylądka Henneta. Dlatego zaczynam przypuszczać, że to raczej jednostki budowane w zatoce Jahras, a nie w Geyrze. Bóg jeden wie, czy nie powstaje tam więcej nowych galeonów niż w stoczniach tego drugiego miasta. Ale nawet stamtąd nie powinni wypływać aż tak daleko, by przeprowadzić testy albo ćwiczenia. Poza tym baron Jahrasu dostałby sraczki na samą myśl o tym, że dwa z jego nowiusieńkich galeonów mogą trafić na eskadrę naszych jednostek, jeśli wybiorą się na głębsze wody. Do tej pory starał się unikać podobnych zagrożeń i całkiem nieźle mu to szło. Zastanawiam się więc... - Kapitan stał przez kilka minut głęboko zamyślony, a potem skinął głową, tym razem jednak do siebie, i znowu spojrzał na sterczącego przed nim chorążego. - Do głowy przychodzi mi tylko jeden powód ich obecności na tym akwenie, panie Aplyn-Ahrmahk - dodał, uśmiechając się pod nosem. - I jeśli się nie mylę, nasi chłopcy pożąłują, że dostrzeżliśmy ich teraz, a nie za kilka dni.

- Słucham, sir? - Zdziwiony tym stwierdzeniem Hektor z trudem powstrzymał się od podrapania po głowie. Yairley roześmiał się, widząc jego minę.

- Daj pan spokój, panie Aplyn-Ahrmahk. Kapitan ma chyba prawo do zachowania paru rzeczy w sekrecie.

\* \* \*

- Przepraszam, sir.

Kapitan Ahbaht obrócił się i spojrzał ze zdziwieniem na porucznika Laizaira

Mahrtynsyna, pierwszego oficera *Archaniola Chihiro*.

- Słucham? - zapytał nieco obcesowym tonem.

Znał bardzo dobrze młodego porucznika, ale teraz, gdy kolumny masztów ścigającej ich jednostki były już widoczne z pokładu, miał poważniejsze sprawy na głowie. Przeciwnik znajdował się w odległości około siedmiu mil i jeśli nie zmniejszy prędkości, doścignie desnairiańskie galeony za mniej więcej dwie do dwu i pół godziny. To oznaczało, że za dziewięćdziesiąt minut może otworzyć ogień.

- Pan Chaimbyrs... - porucznik wskazał głową bezanmaszt, na którym siedział wspomniany oficer obserwujący poczynania obcej jednostki - melduje, że przed momentem dostrzegł banderę, sir. To charisjańska flaga... Pod nią znajduje się proporzec marynarki wojennej.

Twarz Ahbahta stężała lekko, ale tylko ktoś z kręgu bliskich znajomych kapitana mógłby to zauważyć. Porucznik z pewnością nie należał do tego grona, niemniej wiedział dokładnie, o czym myśli teraz jego przełożony. Spostrzeżenie Chaimbyrsa potwierdziło podejrzenia żywione wcześniej przez dowódcę - mieli do czynienia z Charisjanami - z tym że proporzec marynarki wojennej to zupełnie inna sprawa. Nie dawano ich jednostkom korsarskim. Tego rodzaju oznaczenia były zarezerwowane wyłącznie dla okrętów królewskiej czy raczej cesarskiej marynarki wojennej Charisu, bo taką teraz nazwę nosiła.

- Rozumiem - rzucił po chwili milczenia Ahbaht. - Czy przy okazji zdołał ocenić siły przeciwnika?

- Na razie nie widział jeszcze burt, sir, ale na górnym pokładzie znajduje się około tuzina krótkolufowych dział mniejszego kalibru. A może być ich tam więcej. W dodatku - dodał niemal przeproszającym tonem - pan Chaimbyrs twierdzi, że ta jednostka nie wygląda na przerobiony frachtowiec.

Tym razem zmarszczki wokół oczu kapitana były znacznie bardziej widoczne. Jeśli przypuszczenia Chaimbyrsa okażą się trafne - a drugi oficer wydawał się wystarczająco kompetentny w tych sprawach - ścigająca ich jednostka jest nie tylko okrętem wojennym cesarstwa, ale też całkowicie nową konstrukcją, stworzoną od podstaw do prowadzenia walki na morzu. Tymczasem oba desnairiańskie okręty były przebudowanymi frachtowcami.

- Rozumiem - powtórzył Ahbaht, chyląc głowę przed pierwszym oficerem. - Dziękuję, panie Mahrtynsyn.

Porucznik odpowiedział przepisowym salutem, a potem wycofał się na bakburtę. Kapitan obrócił się w tym czasie i złożony dłoń za plecami, spoglądał w kierunku spienionych fal, za którymi kryła się sylwetka wspomnianego prześladowcy.



Porucznik nie zazdrościł swojemu dowódcy. Nie czuł też dłań zbyt wielkiego współczucia. Szanował Ahbahta jako doświadczonego żeglarza, ale wiedział, że kapitan mimo wielu lat służby we flocie nie ma wielkiego doświadczenia w dowodzeniu galeonem. Całe życie spędził bowiem na pokładach nielicznych galer, jakimi dysponowało cesarstwo, i z tego też powodu wie o nowej jednostce o wiele mniej niż choćby Mahrtynsyn. Nie z innego powodu przydzielono mu go na pierwszego oficera.

W kategoriach doświadczenia militarnego Ahbaht miał wystarczające kwalifikacje do objęcia stanowiska dowódcy okrętu, o czym porucznik doskonale wiedział. Z drugiej jednak strony, desnairiańska flota nie miała w swoich szeregach nikogo, kto znałby się dobrze na taktyce walki okrętów odpalających salwy burtowe. Kapitan miał nad całą resztą oficerów tę przewagę, że osobiście powąchał prochu podczas prawdziwej walki, co niestety nie było dane Mahrtynsynowi. I chociażby z tego powodu musiał - albo przynajmniej powinien - zdawać sobie sprawę z przewagi, jaką będzie miał przeciwnik podczas zbliżającego się nieuchronnie starcia.

Nie wspominając już o takim szczególe, że oficer jego pokroju powinien być ostrożniejszy i przemyśleć dogłębniej odpowiedź daną komandorowi Wailahrowi.

Na pierwszy rzut oka Desnairianie mieli przewagę nad przeciwnikiem. Już choćby dlatego, że posiadali dwie jednostki. Ale w tym starciu nie tylko liczba okrętów będzie się liczyła, gdy dojdzie do wymiany ognia.

Nowy galeon charisjańskiej marynarki mógł dysponować nawet pięćdziesięcioma działami (a kto wie, czy nie większą ich liczbą), natomiast *Archaniol Chihiro* miał ich na pokładzie czterdzieści. Co gorsza, były one znacznie cięższe. *Archaniol Chihiro*, podobnie jak towarzyszący mu *Błogosławiony Wojownik*, miały po dwadzieścia sześć „jaszczurów” na pokładach działowych i po czternaście „sokołów” na górnym. To dawało im jakieś osiemdziesiąt procent siły ognia charisjańskiej jednostki, jako że wszystkie ich armaty dysponowały nowoczesnymi lawetami oraz wymyślonymi w Koronie ładunkami prochowymi, dzięki którym oba galeony mogły prowadzić ogień równie szybko jak przeciwnik. *Czyli nie jest tak źle, jak się wydaje*, uznał Mahrtynsyn. Problem jednak w tym, że kula wystrzeliana z jaszczura ważyła niewiele ponad dwadzieścia funtów, a z sokoła niespełna dziewięć, podczas gdy Charisjanie, jeśli raporty nie kłamały, mogli dysponować długolufowymi trzydziestofuntówkami na dolnych pokładach i krótkolufowymi karonadami tego samego kalibru na górnym.

A to znaczyło, że mają dwukrotną przewagę nad kanonierami z *Archaniola Chihiro*, jeśli liczyć masę wystrzelianych pocisków. W sumie dawało to więcej żelaza, niż mogły

wystrzelić naraz oba desnairiańskie galeony, a dochodziło do tego jeszcze znacznie grubsze i wytrzymalsze poszycie. To był powód, dla którego obliczenia kapitana Ahbahta miały się z prawdą. Salwy nie tylko będą bardziej niszczycielskie, niż się spodziewał, ale i gruby kadłub zniesie więcej, więc uszkodzenia po każdym trafieniu mogą być znacząco mniejsze niż w przypadku jednostek Desnairu.

Jednakże dysponując dwoma mniejszymi i lżejszymi okrętami, można wymanewrować wroga, o ile znajdzie się ktoś, kto będzie umiał nimi skutecznie dowodzić. Chociaż w przypadku charisjańskiego galeonu, który miał wystarczająco liczną załogę, by w pełni obsadzić stanowiska działowe na obu burtach, nie było to takie pewne - zwłaszcza że w rezerwie pozostanie wystarczająca liczba marynarzy do zajmowania się żaglami. Jeśli jednak Desnairianie znajdą się po obu stronach przeciwnika równocześnie, zyskają nad nim chwilową przewagę ogniową. Mahrtynsyn wątpił jednak, aby załoga *Archaniola Chihiro* - mimo że jej umiejętności wzrosły znacznie od momentu opuszczenia stolicy - była w stanie dorównać sprawnością doświadczonym Charisjanom. Tego akurat był całkowicie pewien choćby dlatego, że wroga jednostka podróżowała w pojedynkę. Ahbaht, widząc samotny okręt, wywnioskował, że ma do czynienia z typowym korsarzem, a nie prawdziwym okrętem wojennym. To było dość rozsądne założenie, i to z wielu względów, więc gdyby okazało się trafne, Desnairianie trafiliby na znacznie lżej uzbrojoną jednostkę i nie tak dobrze wyszkoloną załogę. Poza tym korsarze, widząc, że przeprawa może być ciężka, zazwyczaj odstępowali od potencjalnych ofiar. Gdyby więc zobaczyli, że ścigają dwa desnairiańskie galeony wojenne zamiast pary frachtowców, niemal na pewno wynieśliby się w diabły, żeby szukać szczęścia gdzie indziej. Natomiast kapitan charisjańskiej marynarki wojennej podejdzie do tego problemu w nieco inny sposób.

*Ciekawe, jak nasz stary przekaze tę wiadomość komandorowi?* - zastanawiał się Mahrtynsyn nie bez ironii. *„Wybaczy pan, komandorze, ale wszystko wskazuje na to, że trafiliśmy jednak na galeon wroga. A pokonanie go, moim skromnym zdaniem, może być nieco trudniejsze niż jednostki korsarskiej”.* Porucznik prychnął w myślach. *Akurat!*

Nie. Ahbaht nie zamierzał wkurzać Wailahra podobnymi uwagami. A ten, nie mając obycia na morzu, pozostawał nieświadomy znaczenia masy wystrzeliwanych pocisków oraz - co może jeszcze ważniejsze - wyszkolenia załogi. Nic więc dziwnego, że nawet nie przeczuwa, w jakie bagno mogą się wpakować. I to się nie zmieni, jeśli Ahbaht nie raczy mu powiedzieć.

A to oznaczało, że za mniej więcej dwie godziny przestanie być tak miło.

\* \* \*

Sir Dunkyn Yairley spoglądał na ogromne żagle desnairiańskich okrętów, głaszcząc się w zamyśleniu po brodzie. Bliskość starcia sprawiła, jak zawsze zresztą, że czuł na dnie żołądka wsysającą wszystko pustkę. Jego podwładni zdawali się wolni od podobnych problemów, tym bardziej więc nie mógł okazać przed nimi dręczącego go niepokoju. Zastanawiał się tylko, czy naprawdę ich podejście do walki różni się aż tak bardzo czy może są po prostu lepsi w ukrywaniu emocji.

To jednak nie miało w tym momencie najmniejszego znaczenia.

- Cóż - rzucił, nie pozwalając, aby z jego głosu i wyrazu twarzy przebijał wspomniany niepokój - w końcu zrozumieli, że nie mają do czynienia z jakimś durnym i w dodatku głuchoniemym ślepcem.

Marynarze przydzieleni do obsad karonad na śródokręciu usłyszeli te słowa, zgodnie z jego zamiarem, i uśmiechnęli się jak jeden mąż. Kilku było tak rozbawionych, że trącało swoich towarzyszy łokciami. Inni nawet chichotali. Nie dostrzegł śladu innych emocji, tylko wyczekiwanie.

*Cóż za radośni idioci*, pomyślał Yairley, aczkolwiek w tej uwadze było tyleż irytacji, co zadowolenia z ich postawy.

Zaraz jednak oddalił od siebie tę myśl, by zająć się analizą sytuacji.

Był pewien, że dokonał właściwej oceny uzbrojenia obu okrętów przeciwnika, choć wolałby, aby miały na pokładzie choć o kilka dział mniej. Te, którymi on dysponował, były o wiele cięższe i lepiej obsadzone, załogami, dla których walka nie będzie niczym nowym. Ale osiemdziesiąt luf to osiemdziesiąt luf, w porównaniu do pięćdziesięciu czterech jego.

*Ciekawe, czy mam do czynienia z kapitanami galer?*

To mogło stanowić ogromną różnicę, zważywszy na odmienność jednostek. Dowódcy galer myśleli zazwyczaj w kategoriach ataku poprzez szarżowanie dziobem na przeciwnika - ponieważ to w tym kierunku była zorientowana ich najcięższa artyleria pokładowa - i dokonania abordażu. Nie mówiąc już o tym, że kapitan galery będzie miał znacznie mniejsze doświadczenie w sterowaniu ciężkim i mało zwrotnym galeonem z ożaglowaniem rejowym. Galery mają przecież wiosła, więc ich dowódcy są w stanie skierować je prosto pod wiatr.

Yairley przestał gładzić się po brodzie, złożył dłonie za plecami i obserwował w skupieniu zwiężający się pas wody dzielący HMS *Przeznaczenie* od ściganych jednostek. Desnairianie nie płynęli w szyku. Od chwili rozpoczęcia pościgu wiatr skręcił o cztery rumby ku wschodowi, przez co drugi z galeonów po ostatnim zwrocie na sterburtę został jakies dwieście jardów w tyle nieco po zawietrznej. Yairley zastanawiał się, czy było to działanie zamierzone czy tylko zaniedbanie. A może chodziło o gorsze wyszkolenie załóg przeciwnika.

Cesarstwo Desnairu nie zrezygnowało z delegowania oficerów armii na stanowiska dowódców okrętów wojennych.

*Lepiej nie licz na aż tak wielkie szczęście, Dunkynie, napomniał się kapitan. Ale pomarzyć ci wolno.*

Dwieście jardów to niezbyt wielka odległość dla szczura lądowego, ale cokolwiek mówić o Yairleyu, na pewno nie należał do tej kategorii ludzi. Dla artylerzysty nawykłego do walki na stałym lądzie taki dystans był idealny do odpalania pocisków - z tej odległości bowiem nawet średnio wyszkolony kanonier bez trudu trafi w cel mierzący pięćdziesiąt jardów długości i sześć, a nawet siedem wysokości, nie mówiąc już o szerokości sięgającej miejscami powyżej dziesięciu. Dla żeglarza, przyzwyczajonego do tego, że lufa jego armaty porusza się w trzech kierunkach jednocześnie, podobnie zresztą jak cel, taki sam dystans musiał być czymś zupełnie innym.

*Na przykład idealnym sposobem na zmarnowanie prochu i kul, pomyślał kapitan. A to oznacza, że obaj Desnairianie znajdują się teraz poza zasięgiem efektywnego wspierania się ogniem. O ile, rzecz jasna, nie wpłynę dokładnie pomiędzy nich.*

Spojrzał na własne żagle i podjął decyzję.

- Panie Lathyk!

- Słucham, sir?

- Opuśćcie bramsle, jeśli łaska.

- Aye, aye, sir! - Pierwszy oficer walnął się pięścią w pierś, oddając dowódcy salut, i natychmiast przyłożył skórzana, tubę do ust. - Obsadzić fały i gejtawy bramsli! - ryknął.

W odpowiedzi po deskach pokładu załomotały dziesiątki stóp.

\* \* \*

Laizair Mahrtynsyn przyglądał się Charisjanom spod na wpół opuszczonych powiek, stojąc na pokładzie rufowym *Archaniola Chihiro*. Zbliżali się powoli, wysunawszy działa na sterburcie, skręcając lekko w kierunku bakburty ściganego flagowca, co nie zdziwiło zbytnio porucznika. Ani nie zachwyciło, nie mógł jednak powiedzieć, że nie spodziewał się takiej reakcji. Nie miał bowiem wątpliwości, że Cayleb Ahrmahk nie oddaje swoich najpotężniejszych okrętów ludziom, którzy nie dowiedli, iż są niezwykle kompetentni w tym fachu. W dodatku kapitan tej jednostki w pełni rozumiał, jaką przewagę zyskał dzięki niedawnej zmianie warunków pogodowych. Znajdował się po nawietrznej, więc cała inicjatywa należała teraz do niego. To on mógł wybierać, kiedy i jak zaatakować, a wszystko wskazywało na to, że potrafi to wykorzystać.

Mahrtynsyn miał tylko nadzieję, że jego dowódca wie o tym równie dobrze jak wróg.

Bez względu jednak na stan wiedzy kapitana Ahbahta, porucznik zdawał sobie sprawę, że charisjański galeon jest o wiele bardziej zwrotny niż ich własna jednostka. Załoga *Archaniola Chihiro* udoskonaliła, i to znacznie, swoje umiejętności od momentu opuszczenia portu w stolicy, ale gdy Mahrtynsyn zobaczył, z jaką szybkością Charisjanie opuszczają żagle, zrozumiał, że jego ludzi czeka jeszcze długa nauka. Kliwry i bramsle zniknęły błyskawicznie, jak za dotknięciem magicznej różdżki. Przeciwnik pozostawił sobie tylko żagle potrzebne podczas walki. Mimo że ich powierzchnia była zdecydowanie mniejsza, galeon Charisjan zbliżał się nieprzerwanie.

Jego prędkość znacznie zmalała, ale to też nie uszczęśliwiło Mahrtynsyna. *Archaniol Chihiro* i *Błogosławiony Wojownik* także refowały największe płótna, szykując się do walki, a to będzie je kosztowało znacznie większą utratę prędkości niż wroga. Zbliżająca się jednostka była szybsza od nich o prawie dwa węzły, a znajdowała się już tylko osiemset jardów za rufą bliższego galeonu. Za niespełna dwanaście minut zrówna się z nim, ale już było wiadomo, jakie zamiary ma charisjański kapitan. Chciał podejść po zawietrznej *do Archaniola Chihiro* i wdać się w wymianę ognia bakburta w sterburtę. Po zmianie wiatru oba okręty szły bejdewindem, więc pociski Charisjan powinny pójść wysoko, ale też będą mieli do czynienia tylko z desnairiańskim flagowcem. *Błogosławiony Wojownik* będzie zbyt daleko, by otworzyć ogień. A przy takim pojedynku artyleryjskim wróg będzie miał ogromną, choć tylko chwilową, przewagę ognia nad *Archaniołem Chihiro*.

*Gdyby jednak plan komandora i kapitana wypalił, nie doszłoby do starcia burta w burtą, czyż nie?*

Nie, z pewnością nie. Niestety, wszystko wskazywało na to, że dowódca wrogiego galeonu także miał plan i właśnie go realizował.

\* \* \*

- Dobrze, panie Lathyk - powiedział sir Dunkyn Yairley. - Sądzę, że już czas.

- Aye, sir! - Pierwszy oficer skinął głową dowódcy, a potem natychmiast obrócił się w stronę Hektora. - Proszę się przygotować, panie Aplyn-Ahrmahk - rzucił, na co młody chorąży zareagował zwykłym skinieniem głowy, otrzymał bowiem wyraźny rozkaz, by nie salutować przełożonym, gdy ktoś z pokładu wrogich jednostek może to widzieć - i przesunął się bliżej kratownicy zasłaniającej luk pokładu działowego. Spojrzał pomiędzy belkami na znajdujące się w dole działa. Długie trzydziestofuntówki zostały już nabite i podtoczone do furt na sterburcie. Uśmiechnął się, widząc, że obsady są w pełni gotowe do działania.

Nie był to jednak przyjemny uśmiech.

- Podeprzeć lawety! - zza jego pleców dobiegł podniesiony głos porucznika.

\* \* \*

Komandor Wailahr stał na pokładzie rufowym *Archaniola Chihiro*, przyglądając się wolno podpływającemu galeonowi wroga.

Zdawał sobie sprawę, że kapitan Ahbaht mocno spochmurniał, gdy zobaczył, jak potężnie uzbrojony jest okręt Charisjan. On sam także nie widział powodów do okazywania przesadnej radości. Mimo że większość kariery spędził na lądzie, odbył wystarczająco wiele ćwiczeń artyleryjskich na pokładach okrętów, by podejrzewać, że celność nowych armat może być przerażająca. Aczkolwiek ta zasada powinna obowiązywać w obie strony, więc dwukrotnie większa liczba luf powinna oznaczać możliwość zadania wrogowi znacznie poważniejszych szkód.

Zakładając, że uda się użyć ich wszystkich.

*Jak na razie robi dokładnie to, co przewidział Ahbaht, przypomniał sobie w myślach. Jeśli tak dalej pójdzie...*

Zanim *Błogosławiony Wojownik* oddalił się od *Archaniola Chihiro* na obecną odległość, Wailahr i Ahbaht, korzystając z pomocy tub, odbyli krótką rozmowę z kapitanem Tohmysem Mahntainem, dowódcą bliźniaczej jednostki. Mahntain był dobrym oficerem, o wiele młodszym od Ahbahta i nie tak doświadczonym jak on, ale za to bardziej agresywnym. Od razu zrozumiał, na czym polega plan komandora i kapitana flagowca. Można więc było mieć pewność, że wykona wydane mu rozkazy.

Co więcej, przewidywania Ahbahta, że przeciwnik zdecyduje się na starcie z jednym galeonem, gdy tylko dostrzeże taką okazję, okazały się trafne. Rozmyślne rozdzielanie obu okrętów sprawiło, że wróg uznał *Archaniola Chihiro* za kuszący cel ataku. Zyskawszy pewność, że działa *Błogosławionego Wojownika* będą bezużyteczne z tej odległości, Charisjanie podejść do flagowca od zawietrznej, chcąc wdać się w wymianę ognia, gdyż ta gwarantowała im sporą przewagę.

Ale gdy okręt wroga podejdzie, chcąc wykorzystać tę przewagę, Mahntain zacznie wykonywać wydane mu wcześniej rozkazy. *Błogosławiony Wojownik* zmieni natychmiast kurs na północno-zachodni, żeby jak najbardziej wyostrzyć do wiatru. Tym sposobem wejdzie przed dziób wroga, zajmując pozycję, na której nie dosięgnie go jego salwa burtowa.

Gdy znajdzie się przed atakującym galeonem, wykona kolejny zwrot, wracając na dawny kurs, dzięki czemu (o ile wszystko zostanie zgrane w czasie) wróg znajdzie się w zasięgu dział obu desnairiańskich jednostek. Wielki okręt wroga znajdzie się w potrzasku pomiędzy dwoma lżejszymi Wailahra, a wtedy większa liczba dział da im zdecydowaną przewagę.

O ile, rzecz jasna, wszystko pójdzie zgodnie z planem, napomniiał się w myślach komandor. Aczkolwiek jeśli nawet dojdzie do pewnych opóźnień, i tak zyskamy nad nimi przewagę taktyczną.

W takim przypadku Charisjanin może wykonać zwrot, przygotowując się na wymianę ognia z Błogosławionym Wojownikiem, ale wtedy odsłoni przed kolejną salwą burtową Archaniola Chihiro swój najsłabszy punkt, czyli rufę. Nie, jedynym rozsądnym rozwiązaniem dla niego będzie wymiana ognia z flagowcem burta w burtę. Co zapewni przewagę Desnairianom, o ile flagowiec nie zostanie zbyt mocno uszkodzony ani nie dojdzie do zderzenia jednostek.

*Aczkolwiek kolizja także będzie nam na rękę*, uznał z ponurą satysfakcją Wailahr. Mimo że charisjańska piechota morska cieszyła się zasłużoną sławą, Desnairianie przewyższali ich liczebnie co najmniej w stosunku dwóch do jednego. Zderzenie i załatwienie sprawy za pomocą zimnej stali z pewnością nie byłoby najgorszym rozwiązaniem.

\* \* \*

Kapitan Yairley spoglądał w kierunku bukszprytu swojego okrętu, zbliżającego się nieustannie do desnairiańskiego galeonu. Mógł już odczytać nazwę na jego rufie - *Archaniol Chihiro* - która nie pozostawiała zbyt wielu wątpliwości, komu przypisać tę jednostkę. Nawet bez użycia lunety widział sylwetki oficerów i otaczających ich członków załogi.

Okręt wroga, mimo że krótszy i bardziej pękaty, był także znacznie wyższy, przez co z pewnością trudniej było nim sterować, zwłaszcza przy silnych wiatrach. Podczas przebudowy z, jednostki kupieckiej oba kasztele znacznie obniżono, nie na tyle jednak, by *Archaniol Chihiro* nie miał drugiego pokładu rufowego, którego Yairley zazdrościł Desnairianom z kilku powodów. Stanowisko sterników na HMS *Przeznaczenie* było całkowicie odsłonięte - zarówno na ostrzał muszkietów, jak i artyleryjski - a na jednostce wroga mieściło się za wysokimi nadburciami rufy, gdzie było nie tylko chronione, ale i niewidoczne z zewnątrz.

Jakby na zawołanie, wróg otworzył ogień z muszkietów. Były to jednak stare modele, nie skałkówki, więc strzelały preraźliwie wolno. A przy gładkich lufach ich celność także pozostawiała wiele do życzenia, chociaż to akurat cechowało każdego strzelca próbującego trafić wroga z kołyszącego się pokładu. W takich warunkach trafienie przeciwnika, także znajdującego się w nieustannym ruchu, było raczej kwestią szczęścia niż wyszkolenia, o czym jednak trudno pamiętać, gdy wokół świszczą kule.

*O, jedna minęła mnie o włos*, zauważył mimochodem.

Strzelcy wyborowi rozmieszczeni na marsach fok i grotmasztu odpowiedzieli ogniem i chociaż nie mieli więcej szczęścia niż ich przeciwnicy, prowadzili bardziej zmasowany

ostrzał dzięki nowoczesnej skałkowej broni. Ktoś krzyknął na desnairiańskiej jednostce, gdy sięgnęła go zabłąkana kula, i Yairley zobaczył ciało spadające z bezanmasztu, które chwilę później gruchnęło z przerażającym łomotem na pokład rufowy *Archaniola Chihiro*. Strzelcy piechoty morskiej odpowiedzieli wrogowi pięknym za nadobne.

*Chyba jesteście już wystarczająco blisko*, uznał kapitan, zerkając w stronę Lathyka.

- Teraz, panie pierwszy! - rzucił zwięźle, a jego zastępca natychmiast zadał w gwizdek.

\* \* \*

Sir Hairahm Wailahr nawet nie odwrócił głowy, gdy tuż za nim na pokład rufowy runęło ciało zastrzelonego marynarza. Ten człowiek zginął najprawdopodobniej na miejscu, zanim zdążył spaść z masztu, a jeśli nawet nie, to teraz na pewno już nie żył, a komandor widział w swoim długim życiu wystarczająco dużo trupów. Więcej uwagi poświęcił więc drzazgom odłupanym z desek pokładu, gdy kilka charisjańskich kul wbiło się w drewno w pobliżu jego stóp. Strzelcy wyborowi z pokładu wrogiej jednostki musieli rozpoznać w nim oficera, aczkolwiek nie zdawali sobie nawet sprawy, jak cenne trofeum stanowiłaby jego osoba. To była jednak tylko przelotna myśl, której nie pozwolił się zadomowić w swoim mózgu. Zdawał sobie sprawę z własnej śmiertelności, niemniej miał wiele innych ważniejszych problemów na głowie, gdy przedłużony bukszpryt charisjańskiego galeonu znalazł się na wysokości rufy jego własnej jednostki.

*Na Langhorne'a, to musi zabość!* - pomyślał. Wrogi okręt podszedł bliżej, niż przypuszczał. Wyglądało na to, że jego kapitan chce pójść na wymianę salw z odległości niespełna trzydziestu jardów. A z takiego dystansu nawet mało doświadczeni kanonierzy, jakimi dysponował komandor, nie mogą nie trafić w wielki cel. Wailahr uśmiechnął się pod nosem, gdy zrozumiał, jak wielkie szkody zostaną zaraz poczynione.

*Po obu stronach, mój heretycki przyjacielu, dodał zaraz. Po obu stronach.*

Jeszcze kilka minut i...

\* \* \*

- Ster lewo na burtę! - zawołał sir Dunkyn Yairley. - Teraz!

- Aye, sir! Jest, lewo na burtę! - odkrzyknął bosman Waigan i z pomocą asystenta zakręcił mocno wielkim podwójnym kołem sterowym.

\* \* \*

Wailahr zrobił wielkie oczy, gdy okręt przed nim nagle zmienił kurs. To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał, zwłaszcza że tym manewrem wróg oddalał się od *Archaniola Chihiro*, przepływając za jego rufą, zamiast zrównać się burtami. Ścigający go galeon



kontynuował jednak manewr z zegarmistrzowską precyzją i moment później komandor mógł spojrzeć z przerażeniem w furty działowe na jego bakburcie.

Były zamknięte, ponieważ wykonując ten manewr, szykował się do starcia artyleryjskiego po sterburcie.

\* \* \*

- Kręćcie, chłopcy, kręćcie! - zawołał Hektor, pochylając się nad kratownicą.

Nie musiał ich popędzać. Oficerowie i marynarze na pokładzie działowym słyszeli gwizdek porucznika Lathyka równie głośno i wyraźnie jak obsługa stojących na górze karonad. Kapitan Yairley nie był jednak człowiekiem, który zdawał się na łut szczęścia. Wyznawał zasadę, że prawdziwy oficer sprawdza wszystko dwa razy, aby mieć pewność, że nie dojdzie do żadnych błędów, gdy rozpocznie się walka. A takie muszą się zdarzyć, gdy wokół zapanuje bitewny szal, jednak zadaniem dobrego oficera jest zadbanie, by było ich jak najmniej... i aby nie nastąpiły szybciej niż to konieczne.

A na tym etapie wszystko mogło pójść nie tak.

Gdy okręt rozpoczął zwrot, marynarze stojący wokół pokładowych karonad (aby mógł ich tam zobaczyć każdy głupek z wrogiej jednostki) obrócili się jak jeden mąż i pognali na sygnał dany przez porucznika na drugą burtę. Krótkolufowe masywne armaty zostały uprzednio nabite, więc wycelowanie ich nie zabrało wiele czasu. Gorsza sprawa była z ciężkimi armatami znajdującymi się poniżej na pokładzie działowym.

Na szczęście nikt na pokładzie *Archaniola Chihiro* nie mógł widzieć, co dzieje się na pokładzie działowym *Przeznaczenia*. Z tego też powodu kapitan Yairley mógł odesłać wszystkie obsady do dział na przeciwległej burcie, nie obawiając się odkrycia podstępów. W tym samym momencie wszystkie furty na sterburcie zostały otwarte, a kanonierzy natarli z całych sił na stemple, dosuwając lawety do pozycji bojowej. Kółka zapiszczały jak rozwścieczone prosiaki, tocząc się po posypanych piaskiem deskach pokładu. Długie lufy nowoczesnych krakenów wynurzyły się jednocześnie z mroku furt.

Nie było czasu na dokładne celowanie.

Na szczęście kanonierzy z HMS *Przeznaczenie* mieli wiele praktyki w tego rodzaju akcjach.

\* \* \*

Ciszę rozdarł ogłuszający ryk gromów.

Sir Hairahm Wailahr nie wyobrażał sobie nawet, że tak może brzmieć salwa. Właściwie oszołomiony czuł się każdy, kto po raz pierwszy miał okazję obserwować podobne wydarzenie. Komandor stał na wąskim pokładzie rufowym swojego flagowca - liczącym

niespełna czterdzieści stóp długości i dwadzieścia w najszerszym miejscu, i patrzył, jak dwadzieścia siedem ciężkich dział wyrzuca z siebie kolejno pociski przy wtórce gromów, wypluwając języki ognia i dymu, gdy wróg przechodził za rufą *Archaniola Chihiro*. Charisjanie odpalili salwę z odległości niespełna pięćdziesięciu stóp. Obie jednostki znajdowały się tak blisko siebie, że po zmianie kursu bukszpryt HMS *Przeznaczenie* przesunął się po rufie *Archaniola Chihiro*, tnąc część want bezanmasztu. A potem rozpętało się piekło. Kolejne wielkie działa wyrzucały z luf kartacze umieszczone za właściwymi kulami, czyniąc niewyobrażalne spustoszenia. Komandor czuł na twarzy żar bijący z armat wroga, gdy niewidzialne fale uderzeniowe miotaly jego ciałem po każdym wystrzale. Pokład pod stopami drżał i wierzgał, gdy kolejne pociski przebijały poszycie. Wailahr czuł się przy tym tak, jakby jakiś maniak młócił go po podeszwach butów kijem. Deski wokół pękały z trzaskiem, szyby z okien zdobiących rufę *Archaniola Chihiro* zniknęły w mgnieniu oka, a ostrzeliwani ludzie pod pokładami, zaskoczeni takim obrotem sprawy podobnie jak on sam, darli się, jakby ktoś obdzierał ich żywcem ze skóry. Ich skowyt słychać było nawet mimo gromów wydobywających się z luf charisjańskiego galeonu.

Przygotowany do walki pokład działowy flagowca był teraz jedną wielką jaskinią, rozciągającą się od rufy aż po dziób. Armaty sterczały z furt działowych, bezradnie czekając, aż pojawi się przed nimi jakiś cel. Ten jednak był już z innej strony, za rufą, w miejscu, którego obsady nie mogły nawet widzieć stąd, gdzie stały. Nie mówiąc już o strzelaniu, gdy tymczasem kolejne stalowe kule o średnicy ponad sześciu cali cięły raz po raz powietrze, wyjąc niczym demony zesłane przez Shan-wei.

Sześć jaszczurów zaliczyło bezpośrednie trafienie, ich lawety rozpadły się w drobny mak, rozsiewając dodatkowe chmury zabójczych drzazg, a potężne, odlane z brązu lufy wierzgnęły, by moment później opaść i zmiażdżyć poranionych ludzi. Ci znajdujący się na torze pocisków byli przecinani przez nie w pół. Drzazgi z przebitego kadłuba - niektóre miały nawet sześć stóp długości i cztery cale średnicy na grubszym końcu - wbijały się w ciała krwawiących marynarzy niczym włócznie miotane przez rozwścieczonego tytana. Ranni darli się, zaciskając dłonie na zmasakrowanych członkach, ci zaś, którzy ginęli na miejscu, po prostu znikali w chmurze krwi, rozrywani na strzępy wirującymi kartaczami - każdy miał średnicę trzech cali!

Ta jedna salwa burtowa zabiła bądź okaleczyła ponad połowę załogi *Archaniola Chihiro*.

\* \* \*

- Wracamy na dawny kurs, panie Waigan!

Kapitan musiał podnieść głos, ale poza tym wyglądał w oczach sternika na całkowicie opanowanego.

- Aye, aye, sir! - odparł bosman ostrym tonem i koło sterowe pomknęło w przeciwnym kierunku.

Galeonowi to się nie spodobało, ale zareagował, jak oczekiwano. Kadłub jęknął przeciągle, gdy jednostka wykonywała ponowny zwrot na zachód, tnąc fale. Kapitan Yairley idealnie wyczuł moment, nawet wiatr pomógł im wykonać ten manewr.

HMS *Przeznaczenie* wrócił na dawny kurs, a nawet odbił bardziej na bakburtę, łapiąc ponownie wiatr w żagle, które załopotały krótko, a potem ponownie się wyduły.

Ten manewr spowodował kolejną utratę prędkości. *Archaniol Chihiro* oddalił się więc od okrętu Yairleya, płynąc dalej tym samym kursem. Na pokładzie panowało jednak zbyt ogromne zamieszanie, by ktokolwiek z dowództwa - wyłączając kapitana Ahbahta, który stanął na drodze jednej z kul wystrzelonych z *Przeznaczenia* - pomyślał o jego zmianie. Ocaleni z pogromu oficerowie, z porucznikiem Mahrtynsynem na czele, dwoili się i troili, by zapanować nad orgią zniszczenia wywołaną jedną jedyną salwą Charisjan. Moment później atakujący ponownie przeszli za rufą uszkodzonego *Archaniola Chihiro*, tym razem z północnego wschodu na południowy zachód.

Kanonierzy nie zdążyli jeszcze przeładować dział, ale nie musieli tego robić. Armaty na sterburcie zostały nabite przed wykonaniem pierwszego manewru i nawet po przeniesieniu części obsad na drugą burtę oficerom pokładowym zostało dość ludzi, by je odpalić. Tym razem dystans był o wiele większy - sięgał stu pięćdziesięciu jardów - lecz to im wystarczyło.

\* \* \*

- Zabrać mi stąd to cholerstwo! - wrzeszczał komandor Wailahr. - Odsuńcie je na bok... i to już!

Nie dał się rozproszyć na tyle, by zapomnieć o przejęciu obowiązków dowódcy flagowca. Może nie był żeglarzem, ale tyle jeszcze wiedział. Niestety niewiele więcej mógł zrobić w tym momencie, dlatego chwycił za koniec belki, która przywalała działa stojące na górnym pokładzie. Siłował się z nią, jęcząc głośno, chcąc oczyścić stanowiska dostępnej jeszcze artylerii, ale zaraz odstąpił i obróciwszy głowę, spojrzął za kolumny dymu unoszące się zza rufy. To HMS *Przeznaczenie* odpalił drugą salwę.

Po raz kolejny w jego kierunku pomknęło niemal trzydzieści ciężkich pocisków. Dystans był tym razem o wiele większy, dlatego w odróżnieniu od pierwszej salwy sporo kul nie trafiło w *Archaniola Chihiro*. Reszta jednak spadła na cel. Jedna uderzyła w bezanmaszt, ścinając go równo około ośmiu stóp nad pokładem. Górna część zwała się z impetem na

grotmaszt galeonu. Jej ciężar i siła wiatru zrobiły swoje, kolejne grube drzewce trzasnęło jak zapalka. *Archaniol Chihiro* zadrżał jak śmiertelnie raniony jaszczur, gdy na jego pokład posypał się deszcz luźnego takielunku oraz płótna, które niemal natychmiast zniknęło w spienionych odmętach. Moment później galeonem szarpnęło, gdyż zanurzony w morzu maszt zadziałał jak wielka dryfkotwa. Wokół wciąż rozlegały się krzyki ludzi miażdżonych ciężkim osprzętem i rozrywanych na strzępy dalszym ostrzałem Charisjan.

Wailahr także nie zdołał uniknąć deszczu odłamków z bezanmasztu i stał teraz, zaciskając prawą dłoń na lewym ramieniu. Wróg pokiereszował mu rękę równie mocno jak ten okręt, ale to nie miało w tym momencie żadnego znaczenia.

Patrzył z goryczą i zrozumieniem, jak charisjański okręt po raz kolejny zmienia kurs. Czarny galeon wykonał ciasny zwrot, jego reje obróciły się raz jeszcze, równocześnie, jakby kontrolowała je jedna ręka. Okręt nabrał wiatru w żagle i ponownie przyśpieszył. Komandor zauważył, że nad marsłami znów rozkwitają rozwijane bramsle. Opadły jak kurtyny, ale natychmiast się wyprężyły, gdy naciągnięto szoty. HMS *Przeznaczenie* przemknął na nich jak błyskawica obok wraku *Archaniola Chihiro*.

Wailahr spojrział w kierunku *Błogosławionego Wojownika*.

Zdawał sobie sprawę, że kapitan Mahntain został zaskoczony niespodziewanym manewrem Charisjan jak on i Ahbaht. *Błogosławiony Wojownik* zmienił kurs automatycznie, gdy *Przeznaczenie* otworzyło ogień, idąc znów zachodnim kursem, jak miało to zrobić na początku. Niestety, to był jedyny element pierwotnego planu Wailahra, który udało się zrealizować. Tyle że ani Charisjanie, ani *Archaniol Chihiro* nie znajdowali się tam, gdzie powinni, aby jego taktyka przyniosła zakładane efekty. *Błogosławiony Wojownik* był o wiele dalej na południowy zachód, niż powinien... a Charisjanie, kierując się na północ-północny zachód, znów próbowali przejść za rufą wrogiej jednostki, mając przewagę pod postacią sprzyjającego wiatru. Dzięki niej mogli uniknąć starcia burta w burtę.

Kolejna salwa ze sterburty charisjańskiego galeonu posłała w niebo języki ognia i ogłuszający ryk ciskanych gromów, gdy ten przechodził przed dziobem uszkodzonego *Archaniola Chihiro*, kierując się na drugą ofiarę. Przedni maszt, uszkodzony przez takielunek zerwany podczas poprzedniej katastrofy, przełamał się na bok, pozbawiając flagowiec ostatnich żagli. Okręt zachwiał się jak pijany, potem skręcił ostro pozbawiony równowagi i hamowany przez szczątki masztów wciąż zwisające z jego burty.

Porucznik Mahrtynsyn zdołał jakimś cudem ocaleć z tego pogromu - co więcej, wciąż był na nogach, wydawał rozkazy, kierował drużyny ocalonych do odcięcia paraliżującego okręt obciążenia. Topory poszły w ruch, ich ostrza błyskały w słońcu, tnąc drewno i liny. Ci

ludzie walczyli o ocalenie jednostki, a wokół nich leżeli jęczący, płaczący lub wijący się w ciszy ranni marynarze i żołnierze.

Następna salwa przepływającego *Przeznaczenia* spowodowała kolejne straty w i tak przetrzebionej załodze, lecz komandor zdawał sobie sprawę z tego, że *Archaniol Chihiro* nie zaprzęta już myśli Charisjan. Flagowiec został wyeliminowany z walki. Miał kadłub potwornie uszkodzony, a załogę niemal doszczętnie wybitą, nie będzie więc stanowił żadnego zagrożenia, gdy wróg wróci. W tym momencie czarny galeon miał ważniejszy cel przed sobą i Hairahm Wailahr zacisnął zęby, czując znacznie większy ból niż ten, który powodowała rana ręki.

Znał Tohmysa Mahntaina. Jeśli w tym człowieku był choć gram rezygnacji, stary komandor nigdy tego nie zauważył.

Także teraz *Błogosławiony Wojownik* już zmieniał kurs. Jego załodze brakowało jednak doskonałości Charisjan, więc galeon zatoczył się chwiejnie, nie chwytając od razu wiatru w żagle. Zdołał jednak usunąć rufę sprzed dział wroga i nie podzielił losu *Archaniola Chihiro*. Moment później jego działa na sterburcie zagrzmiały wyzywająco. Mimo determinacji i bohaterstwa Mahntaina niezdarność, z jaką jego okręt wchodził na nowy kurs, podkreślała tylko przepaść dzielącą charisjańskich i desnairiańskich marynarzy. Nie chodziło już o to, że wróg ma przewagę ogniową i liczebną, tylko o to, że deklasował swojego przeciwnika pod każdym względem. Sir Hairahm Wailahr żałował w tej chwili, że nie ma możliwości nadania sygnału. Kazałby Mahntainowi przerwać walkę i uciekać gdzie pieprz rośnie.

*Albo poddać się, przyznał szczerze w skrytości ducha, widząc, jak okręt sir Dunkyna Yairleya spada na kolejną ofiarę niczym wygłodzona wyverna. Nie da rady uciec. Jego okręt jest zbyt wolny. A skoro to niemożliwe...*

Kolejny grzmot przetoczył się po mroźnym popołudniowym niebie, gdy charisjański galeon, bezlitosny jak kraken powiewający nad jego bezanmasztem, otworzył ponownie ogień.

## **.VII.**

**PAŁAC ARCYBISKUPI**

**TAIRYS**

**GLACIERHEART**

## SIDDARMARK

Surowszej zimy Zhasyn Cahnyr nie pamiętał... i to z więcej niż jednego powodu.

Cahnyr był szczupłym mężczyzną, przy którego lepieniu Bóg poskąpił tłuszczu. Dlatego odczuwał zimno dotkliwiej niż inni i uważał, że zesłanie go do arcybiskupstwa Glacierheart w górach Siddarmarku jest dowodem na poczucie humoru zarówno Boga, jak i archaniołów.

Aczkolwiek ostatnimi czasy coraz trudniej było mu się doszukać czegoś zabawnego w swoim położeniu.

Obecnie stał na drugim piętrze pałacu w mieście Tairys, wyglądając z okna swego gabinetu. Chociaż „pałac” to może za dużo powiedziane, zwłaszcza z punktu widzenia innych dostojników Kościoła Matki. Tairys bowiem, mimo że był największym miastem prowincji Glacierheart, z punktu widzenia bogatszych i bardziej ludnych rejonów mógł się zdawać co najwyżej miasteczkiem.

Mieszkańcy arcybiskupstwa byli w większości ubodzy, zapracowani i bardzo religijni. Natomiast jego bardzo ograniczone zasoby naturalne sprowadzały się do tego, co pod ziemią, w kopalniach. Niestety nie chodziło o złoto, srebro ani kamienie szlachetne, takie jak szmaragdy czy rubiny, lecz o zwyczajny węgiel. Cahnyr nie miał nic przeciwko węglowi, a wręcz odwrotnie, cenił go znacznie wyżej od wymienionych błyskotek, szczególnie że węgiel w prowincji Glacierheart był doskonałym, świetnie się palącym antracytem. A przy tym... i uczciwym towarem. Takim, jakiego użycie - tego Cahnyr był pewien - popierał sam Bóg. I który zapewniał domom ciepło, tak rozpaczliwie potrzebne wśród śniegu i lodu. Paru właściciele kuźni zaczęło z nim nawet eksperymentować, wzorem Charisu, i przetwarzać w koks.

A jednak bywały chwile, gdy arcybiskup żałował, że nie ma pod ręką czegoś bardziej rzucającego się w oczy, czegoś, co by zaspokajało pragnienia wynikające z ludzkiej próżności. Coś takiego bowiem zapewniłoby jego owieczkom większe przychody. I uchroniłoby je przed przedwczesnym złożeniem do grobu za sprawą tak zwanego czarnego płuca, jakiego się nabawiali pomimo starań sług zakonu Pasquale.

Arcybiskup skrzywił wargi na tę myśl, po czym potrząsnął głową.

*Oczywiście, że tego byś chciał, Zhasynie, napomniał się w duchu łagodnie, bo nie po raz pierwszy. Każdy kapłan wart swego czepca i berła życzy sobie, aby jego wierni wiedli dłuższe, zdrowsze i dostatniejsze życie. Bądź jednak wdzięczny Bogu za to, że ci ludzie mają w ogóle co kopać i zawozić na targ.*

Ta ostatnia myśl sprawiła, że podążył bezwiednie ku kanałowi, obecnie skutemu lodem, łączącemu miasto z rzeką Graywater. W jej korycie możliwy był ruch - przynajmniej barek - na niemal całości z jej czterystu mil, aczkolwiek znalazło się parę miejsc, w których były wymagane śluzy. Graywater łączyła Lodowe Jezioro leżące na północny zachód od Tairysu z jeziorem Glaciersborn położonym dwieście mil na południowy zachód. Stamtąd wypływała potężna rzeka Siddar wijąca się na odcinku tysiąca sześciuset mil przez ostatnie pasmo górskie prowincji, następnie u stóp wzgórz Shiloh, przez starą Prowincję, do samej stolicy, czyli Siddaru. Co oznaczało, że barki załadowane węglem mogły dopłynąć aż tam, a stamtąd statkami żeglugi przybrzeżnej i galeonami dalej w szeroki świat.

Większość wydobycia była pożytkowana na miejscu, w Republice Siddarmarku, bądź to zrzucana na brzeg w nadrzecznych portach, bądź to zawożona w całości do stolicy i dopiero tam sprzedawana. Ta część, która nie trafiała w żadne z tych miejsc, płynęła aż do wybrzeży Wschodniego Haven przez Przesmyk Hsing-wu, a stamtąd na zachód, aby zaspokoić zimowe apetyty mieszkańców Syjonu. To, że do punktu docelowego docierała drogą wodną, sprawiło, że cena była konkurencyjna w porównaniu z towarem dostarczanym lądem, nawet z mniej oddalonych miejsc czy z samego Syjonu, jakoś zaś mówiła sama za siebie. Oczywiście końcowa cena była powiększona o to, co dodali kupcy, przewoźnicy i pośrednicy, a tylko nieznaczna jej część trafiała do rąk - powykrzywianych, pokrytych odciskami, czarnych od wżartego węglowego pyłu i z połamanymi paznokciami - tych, którzy w rzeczywistości wydarli węgiel z trzewi gór. To musiało wystarczyć owieczkom Cahnyra, i wystarczało, aczkolwiek z trudem, mimo to tutejsi górnicy byli wdzięczni losowi. Choć żyli na głuchej prowincji i nie mieli pojęcia o sprawach wielkiego świata rozciągającego się za poszarpanymi, pokrytymi wiecznym śniegiem szczytami odgradzających ich gór, byli świadomi, że powodzi im się lepiej niż niejednemu na Schronieniu.

Między innymi z tego powodu Cahnyr darzył ich taką sympatią. Och, cieszyła go ich religijność. Cieszyła go wielka radość, którą słyszał w ich śpiewach i którą widział na ich obliczach, kiedy w zupełności oddawali się Bogu. Niemniej najbardziej cenił w tych ludziach upór i niezależność, odwagę, z jaką stawiali czoło rzeczywistości, polegając tylko na sobie. Te cechy wywoływały oddźwięk gdzieś na dnie jego duszy. Powierzeni mu pod duchową opiekę ludzie byli zadziwiająco prawi. Nigdy nie zwlekali z pomocą sąsiadowi w razie potrzeby, i nigdy nie skąpili grosza, nawet jeśli sami niewiele posiadali; coś kazało im stać zawsze pewnie na dwóch nogach. Wiedzieli, jak to jest zarabiać na własne utrzymanie ciężką, łamiącą grzbiet harówką w czeluściach niebezpiecznych kopalń, gdzie pot wiecznie zalewa oczy. Podejmowali pracę jako dzieci, zaprzestawali jej jako starcy, a po drodze uczyli się

szacunku dla samych siebie. Wiedzieli, że się sprawdzili. Że zapewnili rodzinom godny żywot. Że wypełnili swój obowiązek i że wszystko, co osiągnęli, zawdzięczają samym sobie.

*Clyntahn i Trynair, i Rayno nigdy nie potrafili pojąć, dlaczego tak cenię tych ludzi, myślał teraz arcybiskup, ogarniając wzrokiem pokryte mgłą i śniegiem wierzchołki gór. Ich ideałem jest to, co Rayno ma u siebie w Harchongu: niewolnicy znający swoje miejsce. Rysy Cahnyra stężały. Każdy z hierarchów woli mieć pewność, że owieczki nie podniosą głowy. Że nie zaczną dyskutować ze swymi świeckimi i duchowymi panami. Nie zaczną myśleć samodzielnie, zastanawiać się, jak to możliwe, że Kościół Matka opływa w bogactwa, a jego dzieci przymierają głodem. Nie zaczną przypominać księżętom Kościoła, że w gruncie rzeczy są sługami Boga... a nie odwrotnie.*

Cahnyr zdawał sobie sprawę, że większość hierarchów nie pojmuje, dlaczego on upiera się przy dwóch, i to długich, wizytach w arcybiskupstwie, podczas gdy jego koledzy dokonują co najwyżej krótkiej inspekcji raz do roku. Co więcej - to, że dobrowolnie rezygnował z udogodnień Świątyni, rozrywek Syjonu i politycznych machinacji, tak kluczowych dla wikariatu, wzbudzało w nich wesołość. Jeden czy dwaj być może rozumieli, że pokochał zjawiskowy krajobraz surowych gór, gęstych wiecznie zielonych lasów, wodospadów sunących w dół z wysokości kilkuset stóp w koronkowej mgiełce i głębokich toni jezior zasilanych przez lodowce, z których słyęła prowincja Glacierheart. Niektórzy - głównie ci, których znał jeszcze z czasów seminarium - orientowali się, że żywi zainteresowanie geologią i uwielbia badać cud boskiego stworzenia w trzewiach ziemi, na przykład zapuszczając się w jaskinie, w których odnajdował spokój podobny do tego panującego we wnętrzu katedry.

Lecz nawet osoby znające tę stronę jego natury i będące w stanie ogarnąć, co też ujęło go w tym właśnie arcybiskupstwie, dziwiły się jego zauroczeniu i długim wizytom wśród nieokrzesanych wieśniaków odległej prowincji. Wydawało się im to takie ekscentryczne. Takie... osobliwe. Nikt nawet nie przypuszczał, że Cahnyr czerpie siłę i wsparcie z wiary płonącej w sercu prowincji tak jasnym ogniem.

Ani też że mieszkańcy Glacierheart - zarówno arystokraci (tacy, jakich wydała prowincja, i w takiej liczbie, jaka się ostała), jak i zwykli poddani - doceniają to, że on szczerze się o nich troszczy. Wszyscy inni arcybiskupi nie przejmowali się podobnie błahymi sprawami. Nawet najlepsi z nich uważali, że robią dość, utrzymując dziesięcinę na wysokości, która dawała szansę przeżycia ograbianym, oraz wysyłając dość duchownych, aby zapełnili miejscowe kościoły oraz klasztory, i może jeszcze bacząc, żeby biskupi egzekutorzy nie strzygli nadmiernie owieczek. Przestali być zwykłymi wioskowymi księżmi, odkąd Bóg



wezwał ich do wyższych celów w administracji Jego Kościoła, a opiekę duszpasterską, której nie mogli już zapewnić, cedowali na niższych rangą duchownych.

*I właśnie przez to cała ta sprawa z Charisem wzięła ich przez zaskoczenie, pomyślał ponuro Cahnyr. Pokręcił głową, nie odrywając od horyzontu wyostrego spojrzenia - ostrzejszego nawet od grani i sopli, po których wodził oczami. Głupcy! Sarkają na reformy w Kościele Matce, ponieważ wszystko w nim chodzi jak w zegarku... z ich punktu widzenia. Mają władzę, mają bogactwo, ich rodziny opływają w dostatki. Uważają więc, że z pewnością też nie brakuje niczego nikomu innemu. Albo przynajmniej nikomu, kto ma jakieś znaczenie.*

*Ale co do jednego się nie myślą... Przestali być księżmi. Tylko że nie zrozumieli jeszcze, jaką odrazą napawa Boga kapłan, który zapomniał o swojej pierwszej i najważniejszej powinności: pasterza, obrońcy i nauczyciela; który wyparł się niesienia słowa bożego w imię władzy.*

Cahnyr zmusił się do powściągnięcia gniewu. Zaczerpnął głęboko tchu, otrząsnął się i odwrócił od okna. Przeszedł do kominka, przestawił osłonę i za pomocą szczypiec umieścił na palenisku kilka świeżych grudek węgla. Przysłuchiwał się donośnemu trzaskowi, towarzyszącemu eksploracji płomieni po nowym paliwie, i przez parę chwil grzał sobie dłonie. Następnie odstawił osłonę na swoje miejsce, podszedł do biurka i usadowił się za nim.

Znał prawdziwy powód, dla którego jego gniew skierowany przeciwko zepsuciu Kościoła Matki tak łatwo przeistaczał się w rozpaloną wściekłość, syczącą i buchającą niczym płomienie w jego kominku. Zdawał sobie również sprawę, że gniew ten nie wynika wyłącznie z oburzenia. Chodziło o coś znacznie bardziej osobistego i ukierunkowanego.

Przymknął oczy, uczynił znak berła na piersi i szeptem zmówił jeszcze jedną modlitwę za swych przyjaciół z Syjonu. Za pozostałych członków Kręgu, których przyszło spisać na straty.

Zastanawiał się, czy Samyl Wylsynn odkrył tożsamość zdrajcy. Śmiertelnie groźną w konsekwencji słabą cegielkę w murze fortecy Kręgu. Czy też nadal tylko się domyślał? Nadal był zmuszony trzymać wszystko w sekrecie, żeby Clyntahn pozostawał w nieświadomości i nie mógł uderzyć jeszcze szybciej i jeszcze okrutniej?

*Nie powinienem tego mówić, Panie, myślał arcybiskup, ale dziękuję Ci za oszczędzenie mi brzemia Samyla. Proszę, bądź przy nim i przy reszcie mych braci. Jeśli możesz ich ocalić, proszę, zrób to, nie dlatego, że ich kocham, lecz przez wzgląd na to, że są dobrymi ludźmi, którzy darzą Cię szczerą miłością. Wszakże to Ty jesteś Budowniczym tego świata. To Ty znasz jego jedyny prawdziwy cel. Dlatego proszę, natchnij mnie siłą na przyszłość i uczynń posłusznym, abym mógł odegrać swoją rolę w Twoim planie.*

Rozwarł powieki i odchylił się na oparcie fotela. Ten mebel był jedynym luksusem, na jaki Cahnyr sobie pozwolił; jedyną ekstrawagancją, jaką zaakceptował. Gdy przed ośmioma laty Gharth Gorjah, jego wieloletni osobisty sekretarz, przekazał mu, że parafianie chcą obdarować swojego pasterza z okazji Zrównania Zimowego i proszą o sugestie, Cahnyr napomknął, że przydałby mu się nowy fotel, ponieważ ten stary (liczący o rok czy dwa lata więcej niż ojciec Gharth) powoli dożywa swych dni. Sekretarz kiwnął wtedy głową i wyszedł, a arcybiskup nie myślał już o tym później. Do czasu, aż przyjechał z doroczną zimową wizytą duszpasterską - mającą potrwać jak zawsze co najmniej dwa miesiące - i zobaczył, że czeka na niego nowy fotel.

Wierni zamówili go aż w Siddarze. Na pierwszy rzut oka poznać było, że fotel musiał kosztować tyle, ile wydaje na rok życia sześciuosobowa rodzina, lecz również, że wart był każdej wydanej na niego marki. Cahnyr dopiero jakiś czas potem dowiedział się, że jego lokaj, Fraidmyn Tohmys, podał darczyńcom dokładne wymiary arcybiskupa, tak że rzemieślnik, spod którego ręki wyszedł mebel, mógł go dopasować do jego osoby. Fotel pod wieloma względami wydawał się prosty - tapicerki nie wyszyto złotą i srebrną nicią, a drewno nie było inkrustowane kamieniami szlachetnymi - to jednak nie przeszkadzało Cahnyrowi, ponieważ gust miał niewybredny, acz dobry. O ile nie przepłacono za ozdóbki, o tyle uiszczono uczciwą zapłatę za grzeszną zgoła wygodę. Zhasyn Cahnyr bowiem w całym swoim życiu nie siedział na wygodniejszym fotelu.

W tej chwili wszakże nawet owa wygoda była marnym pocieszeniem.

Wargi drgnęły mu leciutko, gdy uświadomił sobie tę ostatnią myśl, zaraz jednak chwila wesołości minęła, gdyż jego sytuacja bynajmniej nie była zabawna.

Poruszyło go to, że Wylsynn powiedział mu o swych podejrzeniach, o rosnącej pewności, że Krąg został zdradzony przed Clyntahnem i Inkwizycją. Samyl ufał mu na tyle, by podzielić się z nim swymi obawami, co znaczyło, iż jego zdaniem nie może być zdrajcą. Ta myśl natchnęła Cahnyra otuchą nawet pośród zamętu i przerażenia wywołanego wiadomością o zdradzie. Szczególnie że Samyl swoim zwyczajem był równie bezpośredni jak zwykle.

- Mówię ci o tym także dlatego, Zhasynie - powiedział - że w przeciwieństwie do reszty z nas masz dobry powód, aby opuścić Syjon w środku zimy. Wszyscy słyszeli o twojej „ekscentryczności”, więc nikt... nawet Clyntahn... nie pomyśli, że jest coś dziwnego w twym zwyczajowym powrocie do Glacierheart. Uczynię co w mej mocy, aby ochronić resztę hierarchów, lecz jeśli prawdą jest to, co podejrzewam, jeśli faktycznie zostaliśmy zdradzeni na całej linii, wszyscy, nie wyłączając ciebie, znajdziemy się na celowniku Inkwizycji. -

Wylsynn spojrział mu prosto w oczy, po czym położył rękę na ramieniu Cahnyra. - Wydostałeś ostatnie listy Dynnysa z jego celi. Udało nam się dostarczyć je wdowie po nim... w Charisie. Nowe zadanie będzie jednak znacznie trudniejsze. Tym razem wróg o nas wie. Nie sądzę jednak, aby zdecydował się na otwarte działania przez co najmniej miesiąc albo dwa. Zatem będziesz miał trochę czasu. Nie zmarnuj go, Zhasynie. - Druga dłoń dołączyła do pierwszej i Wylsynn potrząsnął arcybiskupem jakby dla podkreślenia wagi swoich słów. - Nie zmarnuj go. Przygotuj wszystko, a później zniknij.

Cahnyr otworzył usta, aby zaprotestować, lecz Wylsynn znów delikatnie nim potrząsnął.

- Tu niczego byś nie osiągnął - kontynuował. - Co najwyżej zginąłbyś razem z nami. Wiem, że jesteś na to gotów, ale myślę, że Bóg ma co do ciebie inne plany, coś znacznie większego niż tylko męczeństwo. Aczkolwiek przyznaję to z wielką niechęcią, Kościół Charisu jest chyba naszą ostatnią nadzieją. To znaczy nie „naszą” w dosłownym rozumieniu słowa, jeśli wiesz, o co mi chodzi, albowiem nie wydaje mi się, aby Staynair czy Cayleb mogli pomóc Kręgowi, nawet gdyby wiedzieli, w jakim położeniu się znaleźliśmy. W szerszym rozumieniu, w odniesieniu do celu, który sobie założyliśmy na samym początku. Zepsucie posunęło się nazbyt daleko tutaj, w Świątyni. Trynair i Clyntahn... zwłaszcza Clyntahn... są nazbyt skorumpowani. Są szczerze oddani przesiąkniętej złem sprawie, zamieniającej Kościół Matkę w obrazę boską, a my, o ile w ogóle mieliśmy szansę na ich powstrzymanie, właśnie ją utraciliśmy. Skończył nam się czas. Może jednak Charisjanom się uda. Może ich nacisk od zewnątrz spowoduje wymuszenie reform. Trudno przewidzieć, jaki to skutek przyniesie dla powszechności Kościoła Matki i jego jedności, wszelako doszedłem do wniosku, że lepiej, by Kościół Matka był Kościołem Boga, choćby podzielonym, aniżeli monolitem złamanym i oddanym w niewolę Złu.

Cahnyr widział ból w oczach Wylsynna, wychwytywał w jego głosie gorzkość, z jaką czynił te wyznania. Zrozumiał też, że Samyl Wylsynn przemówił również w jego imieniu. Albowiem, choć całą duszą się wzdragał przed schizmą, przed horrorem niepokojów religijnych, wreszcie przed zagrożeniem błędów doktrynalnych, z czego wszystko było nieuniknionym skutkiem rozpadu Kościoła Matki na rywalizujące ze sobą sekty, wołał to aniżeli popadanie Kościoła w dalsze zepsucie, co byłoby najgorszym i najmroczniejszym błędem, jaki potrafił sobie wyobrazić.

Mimo że niechętnie przyznawał rację argumentom Wylsynna i podzielał jego zdanie o konieczności bezzwłocznego podjęcia działania, nie miał pojęcia, jak uniknąć szponów Inkwizycji. Owszem, w Glacierheart były na to większe szanse, niż gdyby pozostał na

Ziemiach Świątynnych, lecz w dalszym ciągu o niczym to nie przesądzało.

Wiedział jednak, i to z dużą dozą pewności, że ojciec Bryahn Teagmahn, intendent Glacierheart, został uprzedzony o przypuszczeniach Clyntahna. Intendent ów, jak wszyscy mu podobni, został wysłany do Glacierheart przez Inkwizycję i - również jak wszyscy intendenci - był członkiem zakonu Schuelera. A do tego wyrachowanym, stanowczym formalistą. Cahnyr usiłował się go pozbyć przy paru okazjach, jednakże każdorazowo odmawiano jego prośbie o zmianę na tym stanowisku. Było to, mówiąc najdelikatniej, zastanawiające i z pewnością jawnie świadczyło, że ktoś na najwyższych szczeblach władzy Inkwizycji jest zainteresowany pozostawieniem Teagmahna tam, gdzie był, co z kolei jasno pokazywało - przynajmniej zdaniem Cahnyra - wobec kogo jest lojalny intendent teoretycznie przypisany do jego arcybiskupstwa. Z drugiej strony, Teagmahn nie był najzręczniejszym agentem, jakiego Clyntahn mógł sobie wymarzyć. Może wielki inkwizytor sądził, że jego zapal zrównoważy brak subtelności? A może uznał, że do pilnowania tak zakręconego ekscentryka jak Cahnyr wystarczy agent o umiarkowanych zdolnościach? Jakiegokolwiek były powody decyzji hierarchy, Teagmahn od pewnego czasu nie krył podejrzeń dotyczących swego zwierzchnika. Wiecznie na posterunku, nadskakujący arcybiskupowi, wypytujący, czy przełożony nie ma dla niego aby jakichś zadań do wykonania... W przypadku działalności wywiadowczej takie zachowanie było równie subtelne jak wrzucenie kamienia brukowego przez zamknięte okno, by zwrócić na siebie czyjąś uwagę. Ale niestety ani trochę mniej skuteczne.

A co gorsza powiedziało Cahnyrowi, że Clyntahn jest pewien, iż ma arcybiskupa na wyciągnięcie ręki i może mu skrócić kark w dowolnej chwili. Co z kolei znaczyło, że Teagmahn będzie wyczulony na wszelkie podjęte działania - pomijając już fakt, że Tairys było małym miastem i pilnowanie w nim kogoś stanowiło fraszkę, zwłaszcza dla intendenta Inkwizycji. Tak czy siak Cahnyr nie miał bladego pojęcia, co robi, jak już dotrze do swego arcybiskupstwa. W jego głowie nie zrodził się żaden, choćby najbardziej ogólny plan.

Między innymi dlatego tak bardzo się zdziwił, gdy po przybyciu stwierdził, że nie tylko on przez cały czas główkował.

Siedząc przy swoim biurku, sięgnął ręką do kieszeni sutanny i ponownie wydobył list.

Nie było na nim nadawcy, a charakter pisma nic nie mówił Cahnyrowi. Arcybiskup nie wykluczał, że to sprawka Clyntahna - rodzaj prowokacji mającej stanowić usprawiedliwienie dla jego aresztowania, gdy do tego już dojdzie - aczkolwiek trudno mu było uwierzyć w tak wielką perfidię wielkiego inkwizytora. Ani Clyntahn osobiście, ani Inkwizycja jako instytucja w przeszłości raczej nie wykazali się nadmierną subtelnością

działań.

Poza tym po co właściwie miałby się tak wysilać? Clyntahn mógł go aresztować w dowolnej chwili na podstawie samych podejrzeń, a podlegli mu inkwizytorzy, którym nie brakowało wyobraźni ani entuzjazmu, już by zadbali o sfabrykowanie dowodów. Biorąc to wszystko pod uwagę, jak również nie zapominając o pogardzie, jaką wielki inkwizytor darzył arcybiskupa Glacierheart, podobnie zmyślna intryga raczej nie wchodziła w grę.

Ten wniosek rodził jednak pytanie: kto w takim razie był autorem tego listu?

Cahnyr miał całkowitą pewność, że nie Wylsynn. Po pierwsze dlatego, że wiadomość już na niego czekała, gdy tu przyjechał. Gdyby Wylsynn miał coś jeszcze do zakomunikowania, powiedziałby mu to w rozmowie twarzą w twarz, jak zwykle bez ogródek, nie uciekając się do enigmatycznego listu, zanim opuścił Syjon. Gdyby zaś z jakiegoś powodu musiał posłać list jego tropem, użyłby szyfru, a nie zakamuflowanej i mało zrozumiałej treści.

Z westchnieniem rozłożył kartkę i odczytał raz jeszcze:

*Pojmuję, że Wasza Eminencja ma powody do niepokoju, a od naszego wspólnego przyjaciela wiem, co to za powody. Zdaję sobie też sprawę, że Wasza Eminencja nie ma pojęcia, kim jestem, i że nie mógłbym mieć pretensji, gdyby mój list znalazł się w płomieniach, niedoczytany do końca. W gruncie rzeczy spalenie tej wiadomości nie będzie najgorszym pomysłem, aczkolwiek mam nadzieję, że stanie się to dopiero po zapoznaniu się Waszej Eminencji z treścią, a nie wcześniej. Jak już wspomniałem, nasz wspólny przyjaciel podzielił się ze mną swoimi obawami. Podejrzewam, że uczynił to dlatego, iż nigdy nie należałem do jego wewnętrznego kręgu, by tak rzec. Tak czy owak jestem świadom nadziei Waszej Eminencji, ambicji oraz obecnych problemów. W tych ostatnich być może jestem w stanie służyć pomocą...*

*Pozwoliłem sobie zaproponować kilka rozwiązań. Oczywiście to, które z nich się nada, będzie zależało od wielu czynników, jakich nie potrafię przewidzieć ani ocenić w tej chwili i z miejsca, gdzie przebywam. A fakt, że nie podaję adresu zwrotnego, uniemożliwi Waszej Eminencji poinformowanie mnie, które z zaproponowanych rozwiązań - o ile w ogóle któreś - trafiło Waszej Eminencji do przekonania.*

*Z tej przyczyny pozwoliłem sobie poczynić dość szeroko zakrojone przygotowania. Dla powodzenia akcji kluczowe jest, aby Wasza Eminencja znalazł się w określonym (jednym z trzech) miejscu w określonym przedziale czasu. Jeżeli tylko uda się Waszej Eminencji dotrzeć w jedno z nich we właściwym momencie, bez wątpienia napotka tam Wasza Eminencja*

*znajomą twarz. Co stanie się później, muszę na razie zachować w tajemnicy, gdyż boję się powierzać te informacje papierowi. Musimy mieć ufność w Bogu. Ktoś mógłby powiedzieć, że to zgubne, zważywszy na ciemność, jaka nas wszystkich otacza. Ale nie powinniśmy zapominać, że poza tą ciemnością czeka na nas światło. Mając to na uwadze, jakże moglibyśmy nie zaryzykować utraty czegoś w tym świecie i nie przyczynić się do dzieła bożego?*

List składał się z jednej tylko kartki. Czy też raczej: obecnie składał się z jednej tylko kartki. Albowiem Cahnyr wziął sobie do serca przynajmniej pierwszą z rad nadawcy. Mimo to zachował początek listu. Traktował go jak talizman. Ba, jak ucieleśnienie nadziei. A nadzieja była najkruchszym i najbardziej pożądanym towarem. Jeżeli autor tego listu pisał szczerze - a Cahnyr pomimo wysiłków, aby pozostać sceptycznym, jednak w to wierzył - znaczyło to, że na świecie wciąż są ludzie gotowi działać zgodnie z wolą Boga. Nadal gotowi ryzykować, przykładając do niej rękę, pomimo wiedzy, co może uczynić im Clyntahn i jego Inkwizycja.

Właśnie dlatego Cahnyr zachował pierwszą kartkę listu napisanego nieznanym mu charakterem pisma i nosił ją w kieszeni sutanny, na sercu. Dlatego, że ta treść przywróciła mu nadzieję, wiarę, że Światło jest silniejsze od Ciemności. A było silniejsze dlatego, że zamieszkiwało ludzkie serce, ludzką duszę, ludzki umysł, a człowiek był gotów ponieść wielkie ryzyko, byle postąpić właściwie.

*Dopóty choć płomynek tej gotowości płonie choć w jednym ludzkim sercu, dopóki oświecła choć jedną ludzką duszę, Ciemność nie wygra, pomyślał Zhasyn Cahnyr, nabożnie składając pojedynczą kartkę i chowając ją do kieszeni na sercu.*

**LUTY**

**ROKU PAŃSKIEGO 894**

.I.

## GABINET KSIĘCIA KHOLMANU

IYTHRIA

ZATOKA JAHRAS

DESNAIR

- A niech to! - Daivyn Bairah, książę Kholmanu, najstarszy doradca cesarza Mahrysa IV, specjalizujący się w sprawach marynarki wojennej Desnairu, zmiął kartkę papieru w kulkę i cisnął ją do kosza na śmieci. Nierówna powierzchnia pocisku wpłynęła negatywnie na jego aerodynamikę, więc chybił celu i wylądował na dywanie wyściełającym podłogę gabinetu, odbił się od niego dwukrotnie, po czym wtoczył pod regał.

- Szlag! - mruknął zde gustowany książę, opadając ciężko na fotel, ze wzrokiem utkwionym w siedzącym naprzeciw mężczyźnie.

Jego gość, sir Urwyn Hahltar, baron Jahrasu, był niskim, drobnej budowy mężczyzną. Jego brązowe włosy zaczynały już siwieć na skroniach. Różnił się mocno od wysokiego i całkiem już siwego księcia Kholmanu. Dla przykładu miał pełną brodę, podczas gdy twarz księcia zdobił tylko krótko przystrzyżony wąsik. Był także niemal dziesięć lat młodszy i znacznie bardziej opalony od swojego gospodarza.

Piastował funkcję naczelnego admirała floty Desnairu, co akurat w tym momencie było dla niego czystym utrapieniem. Jako pierwszy objął takie stanowisko, jako że nigdy wcześniej nie było potrzeby nadzoru nad nieistniejącą marynarką wojenną. Zanim doszło do konfliktu pomiędzy królestwem Charisu i Rycerzami Ziemi Świątynnych, cesarstwo nie potrzebowało floty jako takiej. Desnair dysponował w najlepszym wypadku czterdziestoma galerami. Co gorsza, rozwój tej formacji zakończył się przed ponad siedemdziesięcioma laty, a w czasie bitwy w cieśninie Darcos cesarz miał już tylko dwanaście okrętów, odkupionych zresztą od innych mocarstw, a nie zwodowanych we własnych stoczniach. Pomimo ogromnego kompleksu portowego w Jahrasie Desnair nie był nigdy potęgą morską - a już na pewno nie w ciągu minionych stu pięćdziesięciu lat, gdyż w tym okresie skupiał się głównie na lądowej rywalizacji z Republiką Siddarmarku.

Baron Jahrasu był jednak wyjątkową postacią jak na desnairiańskiego wielmożę. Służył - przykładnie, a nawet ze znaczącymi osiągnięciami - w armii, jak każdy senior



ważnego rodu, lecz był o wiele bardziej przedsiębiorczy niż inni arystokraci. Szczerze mówiąc, przejawiał znacznie większą aktywność na tym polu, niż byłby skłonny przyznać przed przyjaciółmi i sąsiadami. Kontrolował na przykład największą kompanię handlową cesarstwa (co już samo w sobie mogło go zdyskredytować w oczach osób równych mu stanem), która dysponowała ponad trzydziestoma galeonami.

Ten fakt właśnie sprawił, że baron stał się niekwestionowanym kandydatem na stanowisko dowódcy tworzonej właśnie przez Mahrysa floty.

*Byłoby lepiej, pomyślał teraz, kryjąc emocje za pokerowym obliczem, gdybym przed otrzymaniem tak eksponowanego stanowiska miał okazję dowodzić choć przez chwilę pojedynczym okrętem wojennym! Albo żeby miał do dyspozycji choć jednego człowieka, który wie, jak tworzy się zręby marynarki wojennej.*

- Jego cesarska mość nie będzie tym zachwycony, Urwynie - powiedział w końcu książę. To było spore niedomówienie, o czym baron doskonale wiedział.

- Owszem - przyznał. Mimo przepaści dzielącej ich pod względem tytułatury, admirał był niemal tak bogaty jak jego gospodarz. Poza tym pojął za żonę kuzynkę najstarszego doradcy cesarza, co razem wzięte pozwalało mu na wyrażenie szczerzej opinii o zaistniałej sytuacji. - Ale też - kontynuował - nie powiem, abym czuł się zaskoczony. Wailahr był dobrym człowiekiem, lecz brakowało mu kwalifikacji do dowodzenia okrętem, podobnie zresztą jak innym naszym komandorom.

Książę Kholmanu prychnął z pogardą. Nie mógł zaprzeczyć temu akurat stwierdzeniu, aczkolwiek cisnęły mu się na usta słowa, że ci sami oficerowie nie mieli też żadnego doświadczenia w dowodzeniu galerami. Co akurat, przy tak ogromnych różnicach dzielących okręty wiosłowe od żaglowców, nie było tak złe, jak by się wydawało. Pragnął jednak, by człowiek, któremu zlecono program budowy i zarządzania nową flotą, wiedział, na czym one polegają.

- To prawda - przyznał. - Niemniej gdy jego wysokość otrzyma kopię tego pisma - wskazał palcem w kierunku zmiętej kartki leżącej pod regałem - jego wściekłość będzie potworna, o czym doskonale wiesz. Co gorsza, biskup egzekutor Mhartyn zareaguje podobnie.

- Wiem przecież - zachnął się baron. - Ale musieli obaj zdawać sobie sprawę, co grozi naszym jednostkom, gdy zdecydowali się na wysłanie dziesięciny drogą morską. Na własnych galeonach kupieckich przekonałem się, do czego są zdolni charisjańscy korsarze albo okręty wojenne Korony.

- Z tego raportu wynika - książę Kholmanu znów dźgnął powietrze palcem

wskazującym - że jeden ich okręt poradził sobie bez trudu z dwoma naszymi. A miały one za dowódcę, jak sam przed chwilą przyznałeś, „dobrego człowieka”. Jednego z naszych najlepszych ludzi.

- To właśnie próbuję ci wyjaśnić od samego początku, Daivynie - odparł baron Jahrasu. - Bitwy na morzu nie mają nic wspólnego z walkami na lądzie. My po prostu nie byliśmy do nich szkoleni. Desnairiański szlachcic, zanim osiągnie pełnoletność, wie z grubsza, na czym polega szarża kawalerii. Nasza armia jest także całkiem dobrze zorganizowana i potrafi wykorzystywać jednostki jazdy i piechoty na lądzie. Wiemy, ile czasu zajmie przeniesienie oddziałów z punktu A do punktu B, ile mil armia może przebyć po określonym rodzaju dróg, ile podków i gwoździ będzie potrzebować, jakiego rodzaju wozów użyć do transportu, ilu kowali i weterynarzy trzeba ze sobą zabrać. Potrafimy planować na podstawie o tego rodzaju informacji. Powiedz mi jednak, ile beczulek prochu będzie potrzebował galeon? Ile łokci olinowania i płótna musi mieć w zapasie? Albo jak długo będzie żeglował z Geyry do Iythrii? Cóż, to zależy. Na przykład od prędkości wiatru, doświadczenia dowódcy, pogody, czyli od rzeczy, z którymi dowódcy jego cesarskiej mości niewiele mieli do czynienia. - Baron wzruszył ramionami, nie nonszalancko, tylko dla podkreślenia własnej bezradności. - Gdy rozmawiamy o pokonaniu Charisu na morzu, mówimy o prowadzeniu wojny w jego stylu - dodał. - Marzę o starciu z heretykami na lądzie i nie ma znaczenia, co ludzie wygadują o wydarzeniach w Corisandzie, ponieważ na morzu nigdy nie dorównamy marynarzom Korony. Oni są tak dobrzy w swojej dziedzinie, jak my w operowaniu kawalerią. Dopóki nie zyskamy szansy na porządne wyszkolenie naszych ludzi, będziemy przegrywać w równie tragiczny sposób.

Księżę Kholmanu z trudem powstrzymał się od kolejnej fali przekleństw. Z drugiej strony, jedyną dobrą cechą barona Jahrasu (prócz pokrewieństwa, rzecz jasna) była zdolność mówienia wprost o trudnych sprawach. Przynajmniej gdy rozmawiali w cztery oczy. Jego słowa miały sens. Szczerze powiedziawszy, księżę nie uważał, by jego przyszywany kuzyn był wyjątkowym oficerem, wiedział jednak, że nie ma lepszego od niego, gdy chodzi o handel, transport czy produkcję. W każdym razie nie było kogoś tak dobrego jak on pośród desnairiańskiej arystokracji, co zresztą na jedno wychodziło. Przecież nikt spoza szlachetnie urodzonych nie mógłby piastować urzędu naczelnego admirała cesarskiej floty.

Ktoś taki jak księżę Kholmanu nie potrafił przyjąć do wiadomości, iż w stanach niższych mogą istnieć jednostki wiedzące więcej niż on sam albo baron Jahrasu. Zdecydowana większość jego arystokratycznych przyjaciół nie pomyślałaby nawet o takiej możliwości, nie mówiąc już o tym, że ktokolwiek z nich - nie wyłączając samego księcia -

widziałby takiego osobnika na stanowisku zajmowanym przez barona. Absurdalność tej myśli była wystarczającym powodem do jej natychmiastowego odrzucenia. A gdyby ktokolwiek inny zaproponował podobne rozwiązanie, zostałby natychmiast wykpiony, ponieważ było niemożliwe, aby oficer spoza szlachty - gdyby takowy istniał - mógł rozkazywać lepiej od siebie urodzonym podwładnym.

Niemniej fakt, że baron Jahrasu ma najprawdopodobniej największe doświadczenie w sprawach dotyczących budowy floty, nie musiał oznaczać automatycznie, że nadaje się do tej roboty. Z tego, co książę zdążył zauważyć, zadaniu postawionemu przed jego przyszywanym kuzynem mógłby nie podołać nawet archanioł Langhorne!

- Nie zaprzeczę ani jednemu twojemu słowu, Urwynie - odpowiedział książę po chwili milczenia. - Jeden Langhorne wie, ile razy walczyliśmy ten temat. I jak często ostrzegaliśmy jego wysokość oraz biskupa egzekutora. To jednak w najmniejszym stopniu nie załatwia sprawy reakcji obu wspomnianych osób, gdy dotrze do nich ten raport.

Baron skinął głową. Dobre było tylko to, że cesarz Mahrys i jego biskup egzekutor przebywali aktualnie w Geyrze, ponad tysiąc trzysta mil od gabinetu księcia Kholmanu. Czasami tak wielka odległość była niekorzystna, zwłaszcza gdy chodziło o polityczne przepychanki, od których roiło się w historii Desnairu. Rywale księcia mieli o wiele szybszy i skuteczniejszy dostęp do cesarskiego ucha. Z drugiej jednak strony zdecydowana ich większość zdawała sobie sprawę z tego, że budowa nowej floty od podstaw to bardzo opłacalne, lecz przy tym równie niewdzięczne zadanie. Bez względu na optymistyczne nastawienie cesarza Mahrysa i jego biskupa egzekutora nie było chyba w Desnairze szlachcica, który pragnąłby walczyć z Charisem na otwartym morzu. Nikt, kto miał okazję trafić na okręty heretyków, nie cieszył się z tego spotkania... a totalna porażka połączonej floty pięciu domen była najlepszym przykładem tego, czym mogło się ono skończyć.

Z tego też powodu wrogowie księcia, którzy z piekielną radością zaszkodziłoby jego wiarygodności, zachowywali pełną ostrożność, aby przypadkiem nie trafić na jego miejsce. Również dlatego pozycja barona Jahrasu, mimo jego stosunkowo niskiego urodzenia, była jeszcze bezpieczniejsza. On sam zrezygnowałby z niej przy pierwszej okazji, gdyby tylko zaistniała taka możliwość. Na szczęście odległość od Geyry dawała im obu sporą autonomię działań. Nie mieli tu żadnych rywali ani donosicieli bez przerwy spoglądających im na ręce. Znajdowali się też na tyle daleko od stolicy, że mogli być niemal pewni, iż nie tylko przetrwają ten kryzys, ale także nie zostaną usunięci z zajmowanych stanowisk.

*Nic, tylko się cieszyć*, pomyślał baron.

- Bądźmy szczerzy, Daivynie - powiedział. - Nie zdołamy złagodzić gniewu cesarza i

biskupa po tym, co stało się z Wailahrem. To jedno jest pewne. Aczkolwiek powinniśmy wykorzystać to wydarzenie do podkreślenia, iż od początku ostrzegaliśmy, że pierwsze starcia w żywiole Charisjan muszą zakończyć się stratami. Nie my jedni znaliśmy Wailahra i ceniliśmy jego talenty dowódcze. Tak zróbmy. Przekażmy jego wysokości, że samotny charisjański galeon zatopił w niespełna czterdzieści pięć minut dwie nasze najlepsze jednostki, i to dowodzone przez znakomitego oficera. Ale nie obciążajmy go tą klęską. Podkreślmy, że walczył dzielnie i z wielką determinacją. To nie jest akurat dalekie od prawdy, jeśli możemy wierzyć wiadomości przesłanej przez kapitana Yairleya. Powiedzmy cesarzowi, że prace przy budowie nowych okrętów postępują bardzo szybko, ale będziemy potrzebowali znacznie więcej czasu, by wyszkolić ich załogi.

Księżę pogrążył się w zamyśleniu. W słowach barona kryła się wielka mądrość. Ekonomia prowincji leżących nad zatokami Jahras i Mahrosa zależała dzisiaj niemal wyłącznie od pieniędzy, jakie Kościół Boga Oczekiwanego pompował w tutejsze stocznie po rozpętaniu wojny z Charisem. Okolice zaroily się od cieślów, kowali, powroźników, żaglomistrzów, drwali, szwaczek, odlewników, rolników i rybaków liczących na sprzedaż swoich usług oraz towarów nowo powstającej flocie. Miejscowi nie przejmowali się harchońskimi „doradcami”, których przysłano tutaj, by im (teoretycznie rzecz jasna) pomagali, tylko brali się do roboty z entuzjazmem napędzanym po równo przez gorliwą wiarę i okazję zarobku.

Rody księcia Kholmanu i barona Jahrasu także dorobiły się na tym interesie niemałych fortun. Taka korzyść płynęła z bycia tutejszym arystokratą, że odpowiednie gratyfikacje dla obojgu ujęto już w pierwotnych planach budowy floty. Mając to wszystko na względzie, pilnowali, by być tuż przed harmonogramem i nieco poniżej kosztów wszędzie tam, gdzie rozliczano ich z produkcji okrętów. Dzięki ich zamówieniom lokalny przemysł metalowy mógł się rozwinąć do niewyobrażalnych rozmiarów. Nieprzypadkowo wszystkie zakłady odlewnicze zajmujące się dostawami wyposażenia oraz artylerii - zwłaszcza te nowo powstające w Iythrii, Mahrosie i Warowni Khairmana - mieściły się na terytorium księstwa Kholmanu, ale nikt nie protestował przeciw takiemu rozwiązaniu, ponieważ przemawiały za nim przede wszystkim argumenty natury logistycznej. A produkcja w tych manufakturach rosła nieprzerwanie. Działa wychodzące z odlewni kosztowały prawie dwukrotnie więcej niż ich charisjańskie odpowiedniki i były po wielekroć niebezpieczniejsze w użyciu, ale robiono je szybciej niż do tej pory, by sprostać lawinowo rosnącym zamówieniom marynarki wojennej, która potrzebowała wyposażenia dla powstających wciąż jednostek.

- Możemy im to powiedzieć - przyznał księżę. - Jego wysokość musi zdawać sobie

sprawę, że na wyszkolenie tak wielu załóg trzeba czasu. Trzeba będzie jednak określić jakieś ramy tego programu, przedstawić mu choćby przybliżone szacunki, wątpię bowiem, że znów da się zbyć ogólnikami. A nawet jeśli to zrobi, pozostaje jeszcze biskup egzekutor Mhartyn. Jego tak łatwo nie obejdziemy.

- Święta racja - przyznał baron Jahrasu, po czym zapatrzył się w jeden z obrazów wiszących na ścianie gabinetu księcia, skubiąc w zamyśleniu brodę. Po chwili otrząsnął się jednak z tego stanu i dodał: - Jemu musimy powiedzieć, że czy mu to pasuje czy nie, tegoroczna dziesięcina musi pojechać do Syjonu drogą lądową. Dam ci oficjalny raport, w którym zawrę taką rekomendację. Potem powiadomimy go, że budujemy okręty szybciej, niż są dostarczane załogi. W tym samym piśmie, w którym napomknę o konieczności przesłania dziesięciny lądem, zaznaczę, że to, co stało się z Wailahrem, świadczy o potrzebie dłuższego oraz bardziej intensywnego szkolenia mustrowanych załóg. I że musimy przydzielać ludzi na kolejne okręty równocześnie, a nie kompletować załogę po załodze.

Książę Kholmanu wysłuchał go, zmrużywszy oczy, po czym skinął głową. Jeśli przekażą wiadomość, że dysponują niewielką liczbą w pełni obsadzonych galeonów, natychmiast otrzymają polecenie powtórzenia ryzykownej misji, która właśnie kosztowała życie komandora Wailahra. Jeśli jednak zawiadomią dwór, że pozostałe jednostki mają wciąż niekompletne załogi, nikt nie będzie się upierał (przynajmniej nie powinno do tego dojść) przy wysyłaniu okrętów w morze, gdzie Charisjanie mogą je wyłuskać po kolei jak jaja z gniazda.

*Rozdzielając ludzi między większą liczbę jednostek, będziemy mogli słać kolejne zapotrzebowania na ludzi, pokazując, że wykorzystujemy natychmiast każdego człowieka, jakiego nam tutaj przysyłają. I to nie nasza wina, że nie są w stanie nastarczyć marynarzy, choć dwoimy się i troimy...*

- Dobrze - zgodził się w końcu. - To ma sens. Ale co powiemy, jeśli zażądamy konkretnego harmonogramu?

- Po pierwsze, odpiszemy im, że wszystko będzie zależało od tempa przysyłania nowych ludzi - odpowiedział natychmiast baron Jahrasu. - To zresztą czysta prawda. Dodamy, że musimy mieć czas na dokonanie stosownych obliczeń, niech to będzie miesiąc, a najlepiej dwa, aby przedstawić realistyczny plan kompletowania załóg, ponieważ dopiero po takim czasie będziemy mogli ocenić, jak szybko napływają zamustrowani ludzie. Dodamy do tego okres potrzebny na przeprowadzenie gruntownego szkolenia. To musi nam zająć co najmniej kilka miesięcy, a skoro mamy teraz luty... Zważywszy na okoliczności, powiedziałbym, że w najlepszym razie będziemy gotowi w sierpniu albo we wrześniu, ale

nawet wtedy, o czym taktownie napomknę w moim raporcie, nasi ludzie nie będą dość dobrze wyszkoleni, by wygrywać bitwy na otwartym morzu bez znaczącej przewagi liczebnej. Dlatego - na jego ustach pojawił się błady uśmiech - najrozsądniej będzie unikać operacji, które pozwolą Charisjanom na niszczenie naszych jednostek, dopóki nie pojawią się tutaj okręty budowane w innych miejscach i nie uzyskamy wspomnianej przewagi liczebnej.

- To zrozumiałe - poparł go książę Kholmanu.

*Sierpień albo wrzesień*, pomyślał, powstrzymując się od uśmiechu. *Czyli nawet październik, jako że możemy się spodziewać niewielkiego, aczkolwiek nieuniknionego poślizgu, za który winą obarczymy ludzi zajmujących się dostarczaniem załóg. Nie, to może być nawet listopad... czyli czas, gdy Przesmyk Hsing-wu zamarza na stałe, co oznacza, że okręty budowane gdzie indziej nie będą miały szans na pojawienie się na tych wodach aż do przyszłej wiosny.*

Uwagi księcia nie umknęła też myśl, że takie rozciągnięcie harmonogramu, jakie przedstawił baron Jahrasu, pozwoli im obu na zarobienie kolejnych sporych sum z funduszy kościelnych. To było instynktowne rozumowanie, charakterystyczne chyba dla każdego arystokraty z Desnairu. Co ważniejsze, przynajmniej z jego punktu widzenia, takie wychodzenie przed szereg - czyli rzucanie się przed innymi w morze pełne wygłodniałych charisjańskich krakenów - skończyłoby się katastrofą dla floty, którą on i baron mieli zbudować. Lepiej zadbać, aby krakeny miały więcej ofiar do wyboru.

- Bierz się zatem do roboty i pisz ten raport - polecił swojemu naczelnemu admirałowi. - Myślę, że antydatowanie go nie byłoby najgorszym pomysłem. W końcu zastanawialiśmy się nad tym problemem od dłuższego czasu, więc powinniśmy to uświadomić jego wysokości. - Książę uśmiechnął się pod nosem. - Nie chciałbym, aby pomyślał, że kryjemy własne tyłki po tym, co stało się z Wailahrem.

## .II.

### SZERSZEŃ

### JEZIORO PEI

### ZIEMIE ŚWIĄTYNNE

Hrabia Corisu jeszcze nigdy w życiu nie zmarzył tak bardzo. Niemniej zupełnie mu to nie przeszkadzało. Szczerze mówiąc, zapomniał także o czekającej go wizycie w Syjonie. Ze

wszystkich sił powstrzymywał się przed wydawaniem radosnych okrzyków, gdy lodowa łódź zwana *Szerszeniem* przecinała niekończącą się białą równinę Jeziora Pei niczym brzytwa samego Langhorne'a, zostawiając za sobą prawdziwą lodową tęczę.

Nawet sobie nie wyobrażał czegoś podobnego. Nie przygotowały go na to także opowieści, które Hahlys Tannyr snuł podczas posiłków i okazjonalnych kufli piwa, które spożywali wspólnie w czasie podróży z Fairstock do Lakeview. I nie chodziło tu bynajmniej o brak wyobraźni czy entuzjazmu, bo tych kapłanowi nie można było odmówić, gdy zaczynał swoje barwne opowieści. Głównym powodem zaskoczenia był brak czegokolwiek, z czym hrabia Corisu mógłby porównać przeżywane właśnie wrażenia. Gdyby ktoś go wcześniej zapytał, stwierdziłby autorytatywnie, że człowiek nie może się poruszać z prędkością większą niż... powiedzmy... piętnaście mil na godzinę. Szczerze powiedziawszy, nawet ta skromna liczba wydawała mu się trudna do osiągnięcia, o ile nie dysponowało się specjalnie hodowanymi końmi. Jaszczurodrapy potrafiły poruszać się szybciej, gdy atakowały - słyszał kiedyś, że w takich momentach osiągały nawet czterdzieści mil na godzinę - ale jeszcze nigdy żaden człowiek nie zdołał dotrzeć tych bestii... może z wyjątkiem kilku śmiałków, którzy jednak marnie kończyli, dając przykład, czego ludzie nie powinni robić. Teraz jednak, gdy spoglądał na strugi tęczowo lśniących odłamków lodu tryskających spod piszczących głośno płóz, i czuł wibracje łodzi przenikające jego stopy i nogi, doświadczył w końcu tego, co próbował mu wyjaśnić ojciec Tannyr podczas wielu pięciodni męczącej podróży przez zaśnieżone krainy.

\* \* \*

Powolna i pełna cierpień wędrówka przez dolinę Rayworth wrzynającą się od południa na kształt litery V w góry Wishbone, wcale nie przygotowała hrabiego na ostatni etap podróży. Żółwie tempo jazdy sprawiało, że opowieści ojca Tannyra o niebotycznych prędkościach osiągniętych przez lodowe łodzie wydawały się jeszcze bardziej przesadne. Jedyną dobrą stroną tej jazdy były - dość przewrotnie zresztą - obfite śniegi. Dzięki zaspom spore sanie przygotowane przez kapłana spisywały się znakomicie i w rezultacie okazały się szybsze od powozu albo nawet od wierzchowca jadącego po takich bezdrożach. Sześćcionogie białe jaszczury, sprowadzone dzięki systemowi semaforów Kościoła, ciągnęły je gładko przez najgłębsze nawet zasy. Zwierzętom tym, w odróżnieniu od pasażerów sań, niestraszne były najgorsze mrozy. Ich wielowarstwowa skóra dawała idealną izolację (nie mówiąc już o tym, że po wyprawieniu robiono z niej nieprzyzwoicie delikatne dywaniki, o czym hrabia przekonał się na jednym z nielicznych postojów), a ich wielkie stopy mające pomiędzy palcami coś na kształt błony pozwalały im się prześlizgiwać nawet po świeżym śniegu. Bestie

te były o wiele mniejsze od górskich jaszczurów używanych często jako zwierzęta pociągowe w bardziej umiarkowanych strefach klimatycznych, ale i tak dwukrotnie przewyższały wielkością dorodnego konia. Mimo że trudno by im było doścignąć ogiera, to ich legendarna jaszczurza wytrzymałość pozwalała na niekończący się bieg, który z pewnością wycieńczyłby, a nawet zabił każdego wierzchowca.

Białe jaszczury z ogromną radością mknęły przez góry Wishbone mimo szalejących tam zamieci. A gdy wichur stawał się zbyt trudny do zniesienia nawet dla nich, po prostu zwijały się w olbrzymie kule - dwa albo trzy tuliły się do siebie, jeśli to było możliwe - i pozwalały, by zawieja przykryła je kołdrą śniegu. Ludzie nie dysponowali niestety tak dobrą izolacją jak one, więc nawet z pomocą tych bestii ojciec Tannyr i hrabia Corisu musieli zrobić kilka nieprzewidzianych postojów - najdłuższy trwał aż trzy dni. Zazwyczaj korzystali z kościelnych posterunków, jako że niemal wszystkie gospody na szlaku (a te zdawały się o wiele większe od gościńców, do których przywykł hrabia Corisu) zamknięto na czas zimy. *I nic dziwnego*, pomyślał hrabia, *skoro pogoda przegnała stąd do wiosny wszystkich prócz najhardziej zatwardziałyh wędrowców*. Na szczęście okazało się, że kościelne przybytki także są większe i bardziej komfortowe, niż początkowo przypuszczał, aczkolwiek po przemyśleniu sprawy uznał, że gdzie jak gdzie, ale na trasie podróży najważniejszych hierarchów Kościoła należało się spodziewać podobnych zbytków.

Opóźnienia spowodowane warunkami pogodowymi były frustrujące mimo niewątpliwej wygody, jaką oferowały odwiedzane posterunki, szybko zapadający zmierzch także nie poprawiał im humoru, chociaż białe jaszczury nie obawiały się marszu nawet w niemal kompletnych ciemnościach. Dzięki temu podróżnicy mogli często przeciągać czas jazdy. Niestety w tym górskim terenie roило się od zbyt oblodzonych, za stromych albo przesadnie krętych odcinków traktu, na które po ciemku mógłby wejść tylko szaleniec albo idiota. Zważywszy na wszystkie te fakty, hrabia nie był specjalnie zdziwiony, iż pierwsze oceny długości jego podróży, czynione przez ojca Tannyra, okazały się nazbyt optymistyczne.

Mimo tych przeciwności w końcu udało im się dotrzeć do Lakeview, rzecz jasna w samym środku kolejnej śnieżycy. Wjechali do miasta już po zmroku. W ciemnościach starożytne zabudowania wyglądały jak kamienne istoty tulące się do siebie dla ochrony przed mroźną pogodą. Wiele okien zostało szczelnie zamkniętych i zabezpieczonych okiennicami, ale blask lamp padający z pozostałych podświetlał tańczący na wietrze kobierzec śnieżynek. Sanie zwolniły, gdy dotarli na ulice Lakeview, ale na szczęście wokół było już pusto - ciemności i zła pogoda wypłoszyły mieszkańców z otwartej przestrzeni - mogli więc bez problemu dotrzeć do znajdującej się tuż przy porcie gospody U Archaniołów, w której



zarezerwowano dla nich pokoje.

Był to ogromny przybytek, wysoki na pięć pięter, z godnymi pałacu komnatami i zajmującą cały parter restauracją. Szczerze mówiąc, miejsce to przewyższało ogromem wszystkie gospody, jakie hrabia znał w Corisandzie, a nawet te mijane po drodze z Fairstock. Był pewien, że nie widział w żadnym z odwiedzanych miast katedry większej niż ten budynek. Określanie go mianem gościńca zakrawało na świętokradztwo. Przypuszczał nawet, że słowo „hotel” zostało wymyślone przez kogoś, kto go odwiedził.

Hrabia zauważył jednak, że olbrzymi gościniec jest prawie pusty. Gdy podzielił się tym spostrzeżeniem z ojcem Tannyrem, kapłan wybuchnął śmiechem.

- W lecie nasz gościniec pęka w szwach - wyjaśnił. - Często bywa tak, że zaczyna brakować pokoi. Zauważyłeś, hrabio, jak wielkie były gospody mijane po drodze? - Zapytany skinął głową. - Widzisz, gdy tych ziem nie spowija lód i śnieg, tysiące pielgrzymów przebywają ten szlak, aby dotrzeć na czas do Świątyni. Wszyscy muszą gdzieś nocować, a każda droga na południe od Jeziora Pei kończy się właśnie tutaj. Lakeview jest miejscem, z którego człowiek podróżujący łodem może dopłynąć do Syjonu i Świątyni, tak jak port Harbor jest celem wędrówki tych, którzy wybierają Przesmyk Hsing-wu. Uwierz mi, gdybyś trafił tu latem, przysięgałbyś, że widziałeś na własne oczy, jak wszyscy dorośli mieszkańcy Schronienia pielgrzymują do Świątyni... A każdy z nich nocuje w tym właśnie przybytku. O tej porze roku jednak obsługa zamyka trzy górne piętra. Ale nie ma się co dziwić, skoro dwie trzecie albo może nawet i trzy czwarte nadal dostępnych pokoi świeci pustkami.

- Dlaczego, na Boga, nie zamkną tego interesu na zimę, skoro nie mają na kim zarabiać? - zapytał hrabia Corisu.

- Cóż, tutejsza restauracja cieszy się ogromną sławą - odparł rozbawiony Tannyr. - Przekonasz się, o czym mówię, gdy zasiądziemy do wieczerzy. Obsługa kuchni nie musi więc być redukowana nawet zimą. A co do reszty... - Wzruszył ramionami. - Kościół Matka ma udział w tej gospodzie, więc skarbiec Świątyni finansuje jej prowadzenie w miesiącach zimowych. Szczerze mówiąc, to samo dotyczy większości lokali i hoteli znajdujących się w Lakeview. I w porcie Harbor także.

Hrabia pokiwał głową ze zrozumieniem. Dziwiło go, że sam nie doszedł do tego wniosku. Kościół miał przecież żywotny interes w obsługiwaniu pielgrzymek przybywających do Świątyni, jak każe wiernym Pismo.

*Nie mówiąc o tym, pomyślał nieco bardziej cynicznie, że przychody, jakie ma z tych przybytków skarbiec Świątyni w szczycie sezonu, z pewnością przewyższają koszt ich utrzymania przez resztę roku.*

Bez względu na okoliczności hrabia musiał przyznać jedno: gospoda U Archaniołów była najwygodniejszym i najbardziej luksusowym przybytkiem, w jakim postąpiła jego noga. Istniała ogromna różnica pomiędzy jej wnętrzami a pozostałymi miejscami, które dane mu było odwiedzić podczas licznych podróży. Był też pewien, że tylko kilka innych apartamentów tego hotelu mogło się równać przepychem z komnatami, które dano do dyspozycji im obu. A restauracja okazała się tak dobra, jak twierdził jego przewodnik. Hrabia poczuł nieodpartą chęć spędzenia w tym miejscu więcej niż jednej nocy.

Niestety wiedział, że to nie będzie możliwe, dlatego starał się nie okazywać zawodu, gdy następnego ranka podążał za ojcem Tannyrem w kierunku doków. Sądząc po znaczącym uśmiešku kleryka, nie udało mu się go oszukać. Obdarzony wielkim poczuciem humoru przewodnik miał jednak tyle taktu, że powstrzymał się od kąśliwych uwag.

Hrabia był mu za to wdzięczny, miał też nieodparte wrażenie, że jego wzrok, gdy po raz pierwszy ujrzał *Szerszenia*, wynagrodził kapłanowi wcześniejszą wstrzemięźliwość.

Prawdę powiedziawszy, zamarł w pół kroku, gapiąc się na lodową łódź w niemym podziwieniu. Mimo dokładnych opisów, które tak często słyszał, nie był przygotowany na widok tego chwackiego pojazdu stojącego na ogromnych, przypominających łyżwy płozach. Już sama myśl, ile każda z nich musiała kosztować, mogła wprawić w stupor, zwłaszcza gdy miało się doświadczenie w wycenianiu podobnych elementów, którego jemu nie brakowało, ponieważ przypadło mu w udziale zaszczytne zadanie zbudowania floty nowoczesnych, uzbrojonych w działa galeonów. I to zupełnie od podstaw. Po raz kolejny zrozumiał w tej chwili, że ma przed sobą przykład niezgłębionych zasobów finansowych Kościoła.

Lodowe łodzie w rodzaju *Szerszenia* były nie tylko horrendalnie drogie. Stworzono je do jednego tylko celu, jakim było pokonywanie rozległego akwenu zamrożonego przez większą część roku Jeziora Pei. Syjon od Lakeview dzieliło niemal czterysta pięćdziesiąt mil w linii prostej, a każdego roku, gdy nadchodziła zima, wody te przestawały nadawać się do żeglugi.

Gdy lód skuwał przesmyk, a potem samo jezioro, żaden okręt nie mógł przebyć tej trasy. Jedynym środkiem komunikacji ze Świątynią były wtedy lodowe łodzie, takie jak *Szerszeń*. Jednostki tego typu nie mogły jednak zabierać na pokład tak wiele ładunku jak konwencjonalne frachtowce, dlatego Kościół potrzebowałby ogromnej ich floty, by zapewnić zaopatrzenie z południowych krain dla miasta oraz Świątyni, gdy tradycyjne szlaki handlowe zamarzną. W tej sytuacji ograniczono się do przewożenia tylko najbardziej luksusowych dóbr oraz nielicznych pasażerów, którzy musieli docierać do celu bez względu na porę roku. Na tym polu działalności Kościół Matka także miał wyłączność.

*Szerszeń* wyglądał jak galera kurierska, którą ktoś postawił na gigantycznych płozach. Mimo że poczyniono wiele zmian konstrukcyjnych, wciąż dało się poznać, do czego ta jednostka służyła w przeszłości. To ma sens, uznał hrabia Corisu, zwłaszcza że lodowe łodzie na początku sezonu - jeśli wierzyć słowom ojca Tannyra - trafiały od czasu do czasu na polacie otwartej wody. Albo ich załogi odkrywały poniewczasie, że warstwa lodu, po którym jadą, jest zbyt cienka. W takich momentach zdolność do natychmiastowej zmiany w tradycyjny statek musiała być niezwykle przydatna.

Hrabia Corisu nigdy nie słyszał o pojazdach zwanych na Starej Ziemi wodolotami, ale właśnie spoglądał na łódź będącą tutejszym ich odpowiednikiem. Wysięgniki *Szerszenia* wystawały daleko za jego kadłub, ale w odróżnieniu od skrzydeł wodolotu miały służyć jako podpory podczas jazdy po lodzie, a nie stabilizatory zmniejszające opór falującej wody. Poza tym zasada działania obu jednostek była bardzo podobna. Gdy hrabia spoglądał na wspaniały kadłub tej łodzi, zrozumiał, że tylko ktoś taki jak ojciec Tannyr może nadawać się na jej kapitana. W tym akurat przypadku Kościół Matka dobrał idealnego kandydata na to stanowisko. Ta myśl kazała się zastanowić hrabiemu, czy aby Hahlys Tannyr jest typowym przedstawicielem tutejszych lodowych szyprów.

Kapłan nie krył dumy z dowodzenia *Szerszeniem*, więc ogromne zaskoczenie, a nawet podziw hrabiego bardzo mu się spodobały. Radość okazywana przez załogę z powodu powrotu dowódcy także była widoczna. Marynarze migiem wnieśli na pokład bagaże należące do hrabiego i Seablanketa.

- Wiatry zdają się sprzyjać szybkiemu przejściu, panie hrabio - stwierdził ojciec Tannyr, gdy stali obaj na pokładzie *Szerszenia*, spoglądając na panoramę zamrzniętego portu. Mimo śnieżycy z minionej nocy silne wiatry zdążyły oczyścić tafłę zamrzniętej wody z zasp, więc hrabia widział wyraźnie rysy pozostawione przez łodzie opuszczające nabrzeże. Ślady ciągnęły się przez błękitną równinę w kierunku falochronów, a potem w głąb jeziora. Powietrze wydawało się wyjątkowo spokojne, hrabia czuł jedynie lekki wietrzyk wiejący od strony portowych magazynów, spojrzał więc nieco zdziwiony w kierunku kapłana.

- Tak, wiem, że tutaj prawie nie wieje - rzekł Tannyr, uśmiechając się pod nosem. - Ale tam, na otwartej przestrzeni... Zaufaj mi, hrabio, tam trafimy na bardzo mocne wiatry!

- Gotów jestem uwierzyć ci na słowo - przyznał jego gość. - Jak jednak zamierzasz dostać się aż tam, skoro tutaj nie wieje?

- Dzięki temu, panie hrabio. - Tannyr wskazał ręką za siebie, a gdy hrabia Corisu powiódł wzrokiem w tamtym kierunku, zobaczył zmierzające w kierunku *Szerszenia* stado składające się z co najmniej trzydziestu białych jaszczurów. - One zaciągną nas tam, gdzie

wiatr jest wystarczająco silny, by poruszyć tak ciężką łódź - dodał konfidencjonalnym tonem kapłan. - To potrwa, ale jak już tam się znajdziemy, poczujesz, czym jest latanie.

\* \* \*

Hrabia, przypomniawszy sobie tę zapowiedź ojca Tannyra, musiał przyznać, że duchowny miał całkowitą rację.

Odmówił grzecznie prośbom, aby udał się pod pokład do przygotowanej dla niego kajuty. Wydawało mu się, że ujrzał zrozumienie w oczach kościelnego kapitana, lecz musiał ulec perswazjom tego doświadczonego wilka - chyba raczej lodowego niż morskiego - i przeniósł się w inne, znacznie bezpieczniejsze dla niego miejsce na pokładzie, skąd również mógł cieszyć się urokami jazdy po jeziorze.

Odholowanie *Szerszenia* za falochrony nie trwało aż tak długo, jak zdawał się sugerować ojciec Tannyr. Może to jednak było tylko wrażenie człowieka, który po raz pierwszy doświadczał tak wielkich niezwykłości i musiał do wszystkiego przywyknąć. W odróżnieniu od swego przewodnika i pozostałych członków załogi po raz pierwszy brał udział w takim rejsie, więc interesowało go wszystko, nawet żmudny proces zaprzęgnięcia lodowej łodzi i ciągnięcia jej na pozycję wyjściową. Widać było, że białe jaszczury nie robią czegoś takiego po raz pierwszy. Zarówno zwierzęta, jak ich poganiacze poruszali się sprawnie i z wielką gracją. Grube łańcuchy były spinane przy wtórze melodyjnych komend i zachęt towarzyszących ruszeniu lodowej łodzi. Zważywszy na stopień skomplikowania przedsięwzięcia, zostało one wykonane w zadziwiająco krótkim czasie, a gdy zakończono przygotowania - co obwieściło podniesienie głosów poganiaczy - białe jaszczury napały na założone im obroże z ogromną siłą, świszcząc przy tym znajomo. Do tych dźwięków hrabia zdążył się już przyzwyczaić, słyszał je codziennie podczas całomiesięcznej podróży. Z początku ciężka konstrukcja nie chciała nawet drgnąć, ale już po chwili płozy przesunęły się z piskiem po lodzie i pojazd ruszył ciągnięty zaprzęgiem ogromnych bestii. Gdy ostrza płóz ruszyły w końcu z miejsca, a lodowa łódź sunęła już bez większych oporów, oddalając się od doków, hrabia Corisu poczuł we włosach pierwsze porywy silniejszego wiatru, który zdaniem ojca Tannyra miał czekać na nich nad tafią jeziora. Musieli jednak jechać jeszcze przez trzy kwadranse, zanim kapitan poczuł się usatysfakcjonowany jego siłą. Gdy tak się stało, wyprężnięto jaszczury i poganiacze, machając na pożegnanie rękami, popędzili stado w kierunku Lakeview.

Hrabia Corisu przyglądał się ich powrotowi do portu, ale tylko do momentu, gdy z pokładu rufowego padła ostra komenda i członkowie załogi pośpieszyli na stanowiska, by rozwinąć żagiel. Zaciekawienie kazało hrabiemu oderwać wzrok od oddalających się

jaszczurów i przenieść go na opadające płótno pojedynczego, łacińskiego żagla łodzi lodowej. Wyglądało to niemal identycznie jak na konwencjonalnym statku, co w takiej jednak scenerii sprawiało dziwne wrażenie. Hrabia, mimo świadomości, że ma pod stopami setki stóp wody, odnosił wrażenie, że stoi na suchym lądzie. Nie potrafił się także przyzwyczaić do widoku marynarzy biegających po pokładzie, gdy wszędzie wokół bieleł się twardy jak kamień lód.

Wyglądało jednak na to, że spośród ludzi przebywających na łodzi tylko on ma podobne odczucia. A może pozostali mieli zbyt dużo roboty, by oddawać się takim zbytkom jak myślenie? Ci marynarze znali się na swojej robocie. To było widać już od momentu rozwinięcia żagla. Płótno nie poddało się łatwo, załopotalo głośno na wietrze mknącym przez pokład. Kadłub *Szerszenia* zadrżał pod stopami hrabiego, jakby chciał pokazać ogromną ochotę do ruszenia przed siebie. W tym momencie członkowie załogi opanowali wielki żagiel, napięli go mocno i łódź ruszyła w głąb lodowego przestworu.

Z początku poruszała się wolno, spod płoż dobiegały najpierw ciche zgrzytnięcia, które powoli zamieniały się w nieustający pisk. Wyczuwalny ruch był dziwny, pokład pod nogami hrabiego wibrował mocno i zbyt twardo jak na konstrukcję przeznaczoną pierwotnie do pływania po wodzie. Tak, właśnie o coś takiego chodziło, hrabia nie potrafił znaleźć lepszego określenia, ale gdy wyciągnął rękę, by chwycić za reling, wyczuł to samo drzenie przenikające każdy element łodzi oraz - choć już znacznie łagodniej - jego kości.

Z początku lodowa łódź nabierała prędkości powoli, ale w miarę oddalania się od brzegu porywy wiatru robiły się mocniejsze, więc i ona mknęła szybciej od jakiegokolwiek galery, a nawet galeonu. Hrabia Corisu poczuł, że otwiera usta, gdy w końcu dotarła do niego prawda, jaką chciał mu przekazać tak wiele razy ojciec Tannyr, opisując podczas postojów swojego *Szerszenia*. Sunąca na wąskich płożach łódź nie musiała pokonywać oporu stawianego przez wodę. I dlatego mogła przyspieszać w tak ogromnym tempie, osiągając o wiele większe prędkości przy podobnym wietrze.

Czego dowód hrabia miał właśnie przed oczami.

\* \* \*

- Dobrze się pan bawi, hrabio?

Hahlys Tannyr musiał wykrzyknąć to pytanie w ucho Corisandczyka, by ten usłyszał cokolwiek przez ryk wichury i pisk wydawany przez płozy. Hrabia nie zauważył jego nadejścia. Był zbyt skupiony na widoku rozciągającym się przed dziobem jednostki, stojąc na szeroko rozstawionych nogach i trzymając się mocno relingu, z oczami lśniącymi od ekscytacji. Zaskoczony obrócił szybko głowę, by spojrzeć na kapitana.

- O tak, zdecydowanie, ojczu! - odchrząknął w odpowiedzi. - Obawiam się, że nie

uwierzyłem ci, gdy opowiadałeś, jak szybka jest twoja łódź! Ileż ona teraz wyciąga? Będzie ze czterdzieści mil na godzinę.

- Nie przy takim wietrze, panie hrabio - odparł Tannyr, kręcąc głową. - Jest szybka, ale do rozwijania takich prędkości trzeba by prawdziwego huraganu. Moim zdaniem rozwijamy jakieś trzydzieści.

Hrabia Corisu nie miał wyboru, musiał uwierzyć kapitanowi na słowo. Sam bowiem nie miał doświadczenia pozwalającego na dokładniejsze określenie prędkości.

- Jestem zaskoczony, że nie odczuwamy przez to większego zimna! - zauważył, prowokując wybuch śmiechu ojca Tannyra.

- To dlatego, że jedziemy z wiatrem, panie hrabio. Kierunek jazdy redukuje powiewy omiatające pokład. Możesz mi wierzyć, że przemarzłbyś na kość, gdybyśmy szli pod wiatr!

- Nie wątpię - przyznał hrabia. - Przyjmuję także na słowo twoją ocenę prędkości, jaką rozwijamy. Nie wyobrażałem sobie do tej pory, że coś może się poruszać z tak ogromną szybkością, zwłaszcza po litej powierzchni!

- Mamy szczęście, że łódź jest tak gładki na otwartych przestrzeniach - rzucił ojciec Tannyr.

Machnął przy okazji ręką, wskazując otaczającą ich białą równinę, a potem rząd masztów, na których powiewały chorągiewki różnego koloru, mijane przez *Szerszenia* z zadziwiającą regularnością od momentu opuszczenia Lakeview.

- Widzi pan? - zapytał, a hrabia skinął głową. Następny maszt był zakończony zieloną chorągiewką. - Zieleń oznacza gładki odcinek lodu przed nami - wyjaśnił kapitan. - Ale tylko szalenie ufa całkowicie znakom. Z tego też powodu wolimy mieć dobrych obserwatorów. - Wskazał głową na niemal zamrożonego człowieka tkwiącego na bocianim gnieździe. - Na szczęście ekipy kontrolne robią kawał dobrej roboty, pilnując, aby oznakowanie szlaku było jak najbardziej aktualne. Przed każdą lodową muldą zobaczymy żółte chorągiewki, a większe wykroty oznaczane są kolorem czerwonym. Poza tym te znaki wytyczają właściwy tor jazdy. Są czymś na kształt boi portowych.

- Jakim cudem te flagi znalazły się aż tutaj? - Hrabia znów musiał wykrzyknąć pytanie.

Ojciec Tannyr, słysząc je, wyszczerzył się jeszcze bardziej.

- Gdy łódź stwardnieje, osadzenie masztów staje się bajecznie proste. Ludzie wyrąbują otwór, wstawiają uchwyt i czekają, aż wszystko ponownie zamarznie.

- Jak udaje im się ocalić je potem przed zatonięciem?

- Maszty są wkładane w specjalne uchwyty wyposażone w krzyżaki. Dokładniej rzecz

ujmując, w dwa krzyżaki ustawione pod pewnym kątem do siebie. Same uchwyty mają średnicę szerszą niż wykopana dziura, więc pozostają na lodzie, podczas gdy reszta takiej konstrukcji zamarza. Potem wkłada się do nich maszt z chorągiewką i po robocie. Gdy zbliża się wiosna, służby pilnujące szlaku przywiązują do każdego uchwytu zwykłą boję, dzięki której żelazo nie utonie po roztopach. Wyławiamy je potem, aby wykorzystać następnej zimy.

Hrabia skinął głową na znak, że rozumie, a potem stał obok kapitana przez kilka długich minut, przyglądając się obrazom umykającym sprzed dziobu Szerszenia. Jakiś czas później ojciec Tannyr poruszył się niespokojnie.

- Zakładając, że moje wyliczenia są wystarczająco precyzyjne, a zapewniam cię, iż jestem zazwyczaj nieomylny w tych sprawach, do Syjonu mamy jeszcze około dwunastu godzin jazdy - powiedział. - W innej sytuacji powiedziałbym, że nawet więcej, ale pogoda nam sprzyja, niebo jest czyste, a co więcej, dzisiaj będzie pełnia, więc po zmierzchu nie zwolnimy zbyt mocno. Dlatego nalegam, choć widzę, jak bardzo raduje cię pobyt. na pokładzie, byś zszedł ze mną do kajuty i napił się czegoś gorącego. Szczerze mówiąc, wolałbym dostarczyć cię do celu niezamrożonego na kość, więc zapraszam także na ciepły posiłek, który zostanie podany już za parę godzin.

- Sądzę, że ja również wolałbym dotrzeć na miejsce niezamrożony - odparł hrabia Corisu. - Ale nie chcę tracić tak pięknych widoków!

Uniósł obie ręce, wskazując pokład przed nimi, maszt z wydętym mocno żaglem i drobinki lodowego pyłu wyrzucane w powietrze przez potężne płozy, na których łódź mknęła przez niezwykle słoneczny (i jeszcze bardziej mroźny) poranek.

- Wiem, wiem. Dlatego nie każę ci, hrabio, zejść pod pokład. - Tannyr zaniósł się gromkim śmiechem. - Szczerze mówiąc, to byłaby z mojej strony czysta hipokryzja, sam bowiem uwielbiam stać tutaj. Ty jednak musisz myśleć perspektywicznie. Nie zapominaj, że dzień jest długi, więc wystarczy ci czasu i na obserwację. A słowo daję, jeśli wydaje ci się, że ten widok zapiera dech w piersiach, poczekaj, aż staniesz tutaj w blasku księżyca!

.III.

ŚWIĄTYNIA

SYJON

ZIEMIE ŚWIĄTYNNE

Milczące płatki śniegu dobijały się do wysokich, sięgających od podłogi do sufitu okien niczym zabłąkane duchy. Jasne, nieomal mistyczne oświetlenie, które zawsze opromieniało fronton Świątyni, zamieniało wirujące śnieżynki w błyszczące klejnoty dopóty, dopóki nie porwał ich wiatr i nie wionął nimi w szybę. Hauwerd Wylsynn przyglądał się im, jak zmieniają się ze wspaniałych, klejnotów w widmowe duchy, czując zimno znacznie dotkliwsze, niżby sugerowała pogoda za oknem, bo szepczące aż w jego szpiku.

Oderwał wzrok od magicznego spektaklu za oknem i obrzucił spojrzeniem apartamenty swego brata. Każdemu wikariuszowi przysługiwały własne komnaty w rozległej bryle Świątyni, aczkolwiek te przydzielone Samylovi Wylsynnowi nie należały do najokazalszych. Nie były też specjalnie ciasne, lecz zwracała uwagę ich skromność - przynajmniej w odniesieniu do wysokiej pozycji Wylsynna.

Zostały umeblowane dość zwyczajnie, bez przepychu, w jakim gustowali pozostali wikariusze. Szczególnie zaś Zhaspyr Clyntahn, obecny wielki inkwizytor. Plotka głosiła (nie mijając się zbytnio z prawdą), że zgromadzone w jego komnatach dzieła sztuki były warte roczny przychód z niedużej baronii. Nie wspominając już o tym, że zajmował on narożny apartament - o który się skutecznie dopominał - z oknami wychodzącymi na wschód i północ, dzięki czemu miał doskonały widok na dachy, wieże i budowle Syjonu z jednej strony oraz wspaniałą kopułę i kolumnadę Świątyni z drugiej.

Hauwerd przypuszczał, że można argumentować (co Clyntahn niewątpliwie uczynił), iż takie apartamenty idą w parze z urzędem człowieka, który ma za zadanie baczyć na stan całego Kościoła Matki. Nieraz słyszał na własne uszy, jak Clyntahn świętoszkowato oznajmia, że należy wszelkimi sposobami wspierać autorytet i prestiż jego stanowiska. Autorytet i prestiż, które musiały być widoczne i zrozumiałe z daleka nawet dla najbardziej maluczkich spośród wiernych, łasych na ziemskie dobra i zaszczyty. Oczywiście nigdy nie było mowy o nienasyconym apetycie Clyntahna, jego chciwości, zepsuciu, dążeniu do władzy po trupach. Co to, to nie, Langhorne świadkiem!

Hauwerd zacisnął wargi i przełknął wzbierającą mu w gardle żółć na myśl o prostocie komnat jego brata: braku rzeźb, bezcennych kobierców, imponujących malowideł najbardziej znanych artystów Schronienia, tak widocznej w porównaniu z przytłaczającą wystawnością komnat Clyntahna. Owszem, na ścianach Samyla wisiały obrazy, ale były to portrety jego żon - zmarłej i obecnej - trzech synów, dwóch córek, szwagra i pierwszego wnuka. Umeblowanie było wygodne i z pewnością nie tanie, lecz pełniło funkcję użytkową i zostało wybrane pod kątem wygody, nie zaś dla podkreślania znaczenia właściciela. Natomiast pomniejsze dzieła sztuki, ustawione pomiędzy księgami w biblioteczce i na blacie biurka, również skromne i nie



i rzucające się w oczy, aczkolwiek niezwykle piękne, w większości wyszły spod ręki mniej znanych artystów, których Wylsynn wziął pod swoje skrzydła, gdyż coś go w nich ujęło.

*Gdybyż Samyl wygrał w tamtych wyborach, pomyślał z goryczą Hauwerd. Był przecież tak blisko. Właściwie nadal nie jestem przekonany, czy Clyntahn odniósł czyste zwycięstwo. Ten podlizywacz Rayno zawiadywał liczeniem głosów i patrzcie tylko, gdzie wylądował!*

Oczywiście, gdyby to Samyl został wielkim inkwizytorem zamiast Clyntahna, znacząca różnica między wystrojem apartamentów tych dwóch dostojników Kościoła Matki nie rzucałaby się w oczy najbardziej tym wszystkim, którzy obserwowaliby zmiany wprowadzane w łonie Kościoła.

*Po pierwsze, nigdy nie doszłoby do tej przeklętej schizmy. Samyl nigdy nie poszedłby za radą Clyntahna i nie zniszczył całego królestwa tylko dlatego, że nadepnęło mu na odcisk. Zresztą Clyntahn mógłby sobie w ucho wsadzić swoje rady, gdyby przegrał! Z drugiej strony, dodał w myślach Hauwerd, krzywiąc wargi w grymasie, gdyby Samyla wybrano, pewnie już dawno gryzłby ziemię. Paru naszych przodków skończyło jako ofiary skrytobójców. Tyle więc dobrego, że przynajmniej tego los nam oszczędził.*

*Chociaż w dłuższej perspektywie wyjdzie chyba na jedno...*

To pomyślawszy, zaczerpnął głęboko tchu i obdarzył brata ciepłym spojrzeniem. Zawsze byli ze sobą blisko, mimo że dzieliło ich aż dziesięć lat. Odkąd pamiętał, Hauwerd podziwiał Samyla i wierzył, że dokona wielkich rzeczy w imieniu Boga i Jego Kościoła.

Wiedział, że ich matka nie była zadowolona, gdy Samyl wstąpił do zakonu Schuelera. Choć nosiła nazwisko Wylsynn przez małżeństwo, nie pozostawała ślepa na to, ilu członków rodu na przestrzeni ostatnich trzystu czy czterystu lat walczyło z korupcją Kościoła. Doskonale więc wiedziała, co przyciągnęło Samyla do zakonu Schuelera, i dostrzegła w nim owo palące pragnienie zwalczania zła gromadzącego się wokół Świątyni. A przy tym pamiętała, jaki los spotkał jego pradziada tylko nieco ponad sto lat wcześniej. Święty Evyrahard sprawował urząd wielkiego wikariusza najkrócej w historii i cokolwiek głosiła wersja oficjalna, jego „nieszczęśliwy wypadek” miał wiele wspólnego z wysiłkami, które podjął w celu zreformowania Kościoła Matki. Tairhel, stryjeczny dziad Samyla i Hauwerda, piastował ten sam urząd niewiele dłużej. Wprawdzie nie było dowodów na to, że ktoś przyczynił się do jego zgonu, lecz wstąpiwszy na Tron Langhorne’a, był już stary i schorowany, brakowało mu wigoru charakteryzującego poprzednika. Zapewne dlatego pozostali wikariusze uznali, że jego staraniom o zaprowadzenie nowych porządków w łonie Kościoła równie dobrze może położyć kres naturalna śmierć. Aczkolwiek nie da się

wykluczyć, że ktoś w jakiś sposób trochę ją przyśpieszył.

*No cóż, mamo, pomyślał teraz Hauwerd. Wygląda na to, że miałaś jednak rację i twoje obawy były uzasadnione. Dobrze przynajmniej, że ani ty, ani tata nie zobaczycie, co stanie się z Samylem. Jestem pewien, że i tak się dowiedziecie, ale z tego, co napisano w Piśmie, wynika, że z tamtej strony wszystko nabiera sensu. Mam nadzieję, że to prawda, bo stąd, gdzie ja siedzę w tej chwili, nie potrafię się dopatrzeć ani sensu, ani choćby zdrowego rozsądku w poczynaniu niektórych. A już na pewno nie ma w tym cienia sprawiedliwości!*

- Jak smakuje ci wino? - zapytał Samyl cicho, a Hauwerd odpowiedział prychnięciem.

- Jest wyborne. To Święty Hyndryk, rocznik sześćdziesiąty czwarty, nieprawdaż? - Samyl przytaknął z powagą, a Hauwerd prychnął ponownie, tyle że głośniej. - No, przynajmniej na nim ten spaślak Clyntahn nie położył łapy!

- Nie z tego powodu je dziś wybrałem, ale twoja uwaga jest warta zapamiętania na przyszłość...

Samyl przemawiał z takim spokojem, że coś w duszy Hauwerda jęczało, a on sam chciał wydrzeć się na brata z frustracji. Właśnie ten spokój, ta absolutna, głęboko zakorzeniona wiara wzbudzały w Hauwerdzie najwyższy szacunek. W tym wszakże momencie tyleż go drażniły, co pocieszały. Gdyby Hauwerd chciał zagłębiać się w przyczyny takiego stanu rzeczy, musiałby przyznać, że spokój Samyla - jego pogodzenie się z wolą Boga - wywoływał wątpliwości, czy sam aby na pewno jest człowiekiem religijnym.

Nieraz w przeszłości walczył z takimi myślami, nigdy jednak nie zdołał wypłenić ich całkowicie. Bo przecież naprawdę sprawiedliwy Bóg i archaniołowie szczerze służący Światłu nigdy by nie opuścili człowieka tak dobrego jak jego brat, osoby pragnącej tylko wykonywać wolę bożą i miłować bliźniego. Ba, opuścili to za mało powiedziane; w istocie należałoby rzec: przekazali w łapy złych do szpiku, zepsutych do cna ludzi pokroju Zhaspyra Clyntahna. Ludzi zdolnych do unicestwienia całego królestwa. Mających w swym arsenale wszystkie kary przewidziane w Księdze Schuelera i skłonnych ich użyć, by zadać cierpienie niewinnym dziatkom bożym, których jedynym grzechem było sprzeciwienie się zepsuciu hierarchów.

Hauwerd Wylsynn znał swoje słabości. Nie mógłby z ręką na sercu przyznać, że zasługują one na karę, jaką ma dla niego w zanadrzu Clyntahn, lecz również nie mógłby zaprzeczyć, że uległ nadmiernej ambicji. Bywało, że wykorzystywał swoje urodzenie i swój urząd, że szedł po linii najmniejszego oporu, że używał Boga zamiast siebie jako narzędzia w rękę Boga. Miał jednak absolutną pewność, że jego brat niczego podobnego nie robił. Że Samyl jest duchowym następcą świętego Evyraharda, a nie tylko jego potomkiem. Cóż więc

sobie myślał Bóg, pozwalając tak skończyć człowiekowi, który powinien być Jego rycerzem zdolnym do najwyższych poświęceń w imię czystości Jego Kościoła?

Było to pytanie z rodzaju tych, których nie powinien stawiać nikt, a już na pewno nie osoba wyniesiona do urzędu wielkiego wikariusza. Ktoś taki nie miał prawa wygrażać Bogu, zarzucać Go pretensjami, wylewać żali, jak On mógł opuścić najspolegliwszego ze swoich sług. Do tego sprowadzała się wiara: do akceptowania wszystkiego, czego nie był w stanie pojąć.

Coś takiego zaczął mówić Samyłowi. Zaniósł swoje wątpliwości, swój gniew do brata, jak czynił to wielokrotnie wcześniej, wiedząc, że ten wysłucha go i nie będzie oceniał, a następnie natchnie otuchą (bądź delikatnie zgani). Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że tym razem żadne nawet najmądrzejsze słowa nie ugaszą palących go pytań. Oraz że nie wolno mu obarczać brata, który niósł swoje brzemię, dodatkowym ciężarem.

*Tyle dobrego, że udało nam się odesłać sporą część młodszych członków Kręgu, zanim spadły śniegi, pomyślał Hauwerd. Zresztą do tej pory paru innych domyśliło się, jak wygląda sytuacja, i zdążyło poczynić kroki dające choć cień szansy na wymknięcie się z rąk Inkwizycji, gdy ta wyciągnie po nas łapy. Świadczy o tym choćby fakt, że rodziny wielu dziwnym zrządzeniem „zniknęły” ostatnimi czasy...*

Powędrował spojrzeniem ku portretom bliskich Samyła. Ci też zniknęli, aczkolwiek nie sądził, by zaaranżował to jego brat. Właściwie był świadkiem, jak Samyl dostał list od żony, Lysbet, informujący, że ściągnie na zimę jak zawsze pomimo jego wyraźnych instrukcji, by trzymała się z dala od Ziem Świątynnych. Na własne oczy widział, jak twarz Samyła posmutniała, i rozumiał, z jakiego powodu jego brat postarzał się w ciągu chwili o pięć lat. Gwoli ścisłości, później Lysbet z dziećmi zniknęła po drodze do Syjonu, jakieś trzy dni drogi od Świątyni.

Pozostały ślady walki, lecz nie znaleziono żadnych dowodów na to, kto był przeciwnikiem; w każdym razie wszyscy zniknęli: Lysbet, jej dwaj synowie oraz jedna córka. Z początku Samyl zdawał się jeszcze starszy i bardziej przybity niż wcześniej, ale z czasem zdał sobie sprawę, że cokolwiek spotkało jego bliskich, nie dostali się w łapy Inkwizycji. Nikt o niczym nie wiedział, spływały nawet wyrazy współczucia, lecz dopiero nieudawana i ledwie maskowana wściekłość Zhaspyra Clyntahna przekonała Hauwerda, że Inkwizycja faktycznie nie miała nic wspólnego z „porwaniem” rodziny Samyła.

Jak łatwo się domyślić, porwanie najbliższych wielkiego wikariusza rozpętało zakrojone na niesłychaną skalę poszukiwania, nie mające precedensu w historii Kościoła Matki, lecz nawet to nie ujawniło, kto stał za tym wydarzeniem. W kolejnych pięciodniach

Samyl trzymał się dzielnie, mimo że nie nadchodziło żądanie okupu ani żadne wieści. Hauwerd nie miał wątpliwości, że Inkwizycja ma Samyla na oku, wyczekując niczym królewska wyverna, na jakiś przełom, na jakąś formę kontaktu, na cokolwiek, co by doprowadziło inkwizytorów do Lysbet. W końcu jednak nawet agenci Clyntahna musieli dać za wygraną.

Zapewne właśnie przykład Lysbet zainspirował resztę członków Kręgu do zadbania o swoje rodziny. Hauwerd mógł mieć tylko nadzieję, że odpowiednie kroki poczyniono w porę i że okazały się skuteczne.

*I mam też nadzieję, dodał w myślach, a właściwie mogę się modlić o to, by wszyscy oni zrozumieli, dlaczego nie ostrzeżliśmy ich bezpośrednio.*

Hauwerd zawężił grupę podejrzanych o zdradę do pół tuzina. Problem polegał na tym, że nie wiedział, która z tych sześciu osób zmieniła barwy, zdradziła ich sprawę Clyntahnowi, ujawniła istnienie - oraz nazwiska członków - reformatorskiej organizacji. Z drugiej strony, mógł się także mylić i zdrajcą był ktoś spoza wytypowanej przez niego grupy. Dlatego nie byli w stanie przestrzec członków Kręgu, nie zawiadamiając przy tym zdrajcy.

Gdyby to uczynili, Clyntahn uderzyłby natychmiast i z pełną siłą, nie czekając na sposobny moment. A wyczekiwał tego momentu - przynajmniej w opinii Hauwerda - dlatego że chciał się rozkoszować triumfem nad tymi, którzy śmieli mu rzucić wyzwanie.

Zatem Clyntahn czekał przyczajony, a oni siedzieli cicho, wykorzystując dany im czas na przygotowania mające osłabić cios, gdy ten w końcu na nich spadnie. Wszyscy młodszy kapłani zostali odesłani z Syjonu tam, gdzie groziło im mniejsze niebezpieczeństwo. Sieć współpracowników i agentów spoza wewnętrznego kręgu została poinformowana i otrzymała zadanie wyszukania odpowiednich kryjówek.

*Dzięki Bogu, że nigdy się nie ożeniłem, westchnął w duchu Hauwerd. Aczkolwiek jest to być może kolejny dowód na to, że moja wiara jest słabsza niż wiara Samyla, który zdecydował się na zakładników w tej rozgrywce z Clyntahnem.*

- Dobrze rozumiem, że hrabia Corisu zjawił się dzisiaj wieczorem? - zapytał na głos, a Samyl uśmiechnął się blado na tę próbę brata, by zmienić temat na „bezpieczny”.

- Tak słyszałem - potwierdził. - Przypuszczam, że miał koszmarną podróż... - Pokręcił głową. - O tej porze roku...

- Na pewno - zgodził się z bratem Hauwerd. - Niemniej nie sądzę, aby to specjalnie martwiło Clyntahna czy Trynaira. Możemy być wdzięczni, że nie kazał mu ciągnąć ze sobą chłopca.

- Nie widzieli takiej potrzeby - wzruszył ramionami Samyl. - To tylko dziecko,

Hauwerdzie. Jeszcze przez parę dobrych lat Daivyn będzie robił to, co mu każą dorośli, ponieważ do tego przywykł. Clyntahn musi myśleć, że ma mnóstwo czasu na omamienie go, zanim chłopiec wyrośnie na mającego własne zdanie księcia.

- Zakładając, że z Trynairem w ogóle zamierzają pozwolić mu dorosnąć - rzekł Hauwerd gorzko, nie z taką goryczą jednak, jaką miał w oczach.

- Zakładając to, tak - pokiwał głową Samyl. - Modłę się za niego. Żywiłbym większy optymizm, gdyby Bóg nie dał nam do zrozumienia, że sprawy będą się toczyć swoim torem.

Hauwerd zacisnął szczęki, zwalczając kolejny napad gniewu. Samyl nie raz musiał mu przypominać, że Bóg nie dałby człowiekowi wolnej woli, gdyby nie chciał, by ten jej używał. Z tego wynikało, że ci, którzy wybrali zło, mogli czynić złe uczynki. Co automatycznie znaczyło, że inni - nawet mali chłopcy - cierpieli z powodu tychże złych uczynków. Hauwerd nie wątpił, że jest to częścią bożego planu, niemniej wielokrotnie - tak jak na przykład teraz - uważał, że cierpienie ofiar jest niepotrzebne.

- Cóż, mam nadzieję, że hrabia Corisu jest tak sprytny, jak wieść głosi - odezwał się po chwili. - Temu chłopcu... i jego siostrze także... przyda się każda pomoc.

Samyl potaknął w milczeniu, a jego spojrzenie zmiękło. Było to bardzo podobne do jego brata: troszczyć się o małego chłopca i jego nastoletnią siostrę, mimo że nigdy ich nawet nie widział. Był do szpiku gwardzistą Świątyni, wojowniczym, a zarazem opiekuńczym; służył Bogu przede wszystkim mieczem, a dopiero potem sercem i umysłem. Cieszył się, że Hauwerd wie, jak bardzo go kocha, i że żaden z nich nie musi tego powtarzać tu i teraz.

- Chyba - przemówił Hauwerd ponownie, zerkając na ścienny zegar, który jak każdy inny w Świątyni odmierzał czas z największą dokładnością - będę się już zbierał. - Podniósł się ze swego fotela. - Mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

- Potrzebujesz pomocy? - spytał go Samyl, co Hauwerd skwitował prychnięciem, tyle że cichszym niż poprzednie.

- Być może tego nie wiesz, Samylu, ale potrafię zapiąć guziki i zawiązać sznurowadła od... och, sam już nie wiem, ilu lat!

- Racja - zaśmiał się pod nosem Samyl. - Racja... Zatem zmykaj do swoich spraw. Ale widzimy się jutro wieczorem na kolacji u ciebie?

- Oczywiście - potwierdził Hauwerd, skinął bratu i wyszedł.

\* \* \*

- Aaa... psiiik! - kichnął przepotężnie Rhobair Duchairn.

Nawet uświęcone, przytulne komnaty Świątyni nie były w stanie uchronić przed zwykłym przeziębieniem. Duchairn przeziębził się po raz trzeci tej zimy i miał wrażenie, że

tym razem objawy są dotkliwsze niż przy poprzednich dwóch.

Zatrzymał się, aby wydobyć chustkę i wydmuchać nos - przy okazji odzyskując wzrok po kichnięciu - po czym podjął wędrówkę korytarzem. Był spóźniony na umówione spotkanie, aczkolwiek nie przejmował się tym zbytnio. Koniec końców pełnił funkcję głównego skarbnika Kościoła Boga Oczekiwanego.

Czekający na niego ludzie podlegali mu i nie mogli zacząć spotkania, dopóki się nie zjawi. A jemu w dodatku wcale nie uśmiechała się ta narada. Pieniądze zaczęły wyciekać ze skarbcza, który miał pod swoją pieczęcią, odkąd Charis stawiał opór, zamiast się poddać po pierwszym ataku, i od tamtej pory sytuacja nie uległa znaczącej poprawie - i zdaniem Duchairna nie miała się poprawić w najbliższej przyszłości. Zwłaszcza po ciosie wymierzonym w płynność finansową Świątyni. Charis, Chisholm, Szmaragd i Corisand, a nawet Zebediah nie tylko przestały zniechęcać płacić dziesięcinę (która w wypadku szczególnie Charisu była kąskiem nie do pogardzenia), ale też poczyniły kroki skierowane przeciwko gospodarce podbitych wrogów, co fatalnie odbiło się na ekonomii tychże, a w efekcie doprowadziło do uszczuplenia wpływów z dziesięciny tych domen. Wedle ostatnich wyliczeń Duchairna roczne wpływy z dziesięciny wymaganej od królestw lądowych zmniejszyły się o jakieś dziesięć procent, a ogólne wpływy, nie wyłączając tych należnych od rebeliantów, spadły o ponad jedną trzecią. Na szczęście Kościół posiadał także inne źródła przychodów, ale przecież nie były one nieograniczone. Po raz pierwszy za ludzkiej pamięci Kościół Boga Oczekiwanego wydawał więcej, niż zbierał od wiernych, a to była bardzo groźna sytuacja.

Czego, niestety, najwyraźniej nie potrafili pojąć koledzy Duchairna.

Jego oblicze pociemniało na myśl o tychże kolegach. Ani Trynair, ani Clyntahn nawet się nie zająknęli, że mają zamiar przesłuchać hrabiego Corisu tego ranka. Duchairn miał swoje źródła, o których tamci dwaj nic nie wiedzieli, jednakże nie zamierzał ich ujawniać tylko po to, by rzucić im w twarz informację, jakiej nawet nie powinien posiadać. Wątpił, by którykolwiek z nich zrobił wielkie halo, gdyby Rhobair pojawił się na rozmowie z hrabią, lecz miał świadomość, że celowo ułożyli wszystko tak, by terminy się zakleszczały i kolidowały z jego naradą w sprawie stanu skarbcza. Albowiem obydwóm obecność Duchairna przeszkadzałyby w drażnieniu tematów, które na pewno zamierzali podjąć.

Co tylko podkreślało rozdziew między nimi a nim... Rozdziew skutkujący zagrożeniem dla niego.

Ponownie przystanął i wyjrzał przez okno, które ciągnęło się na całej długości korytarza po jednej stronie. Śnieg przestał padać wkrótce po świcie i teraz jasne światło

słoneczne odbijało się od nieskazitelnej warstwy świeżego puchu, która pokryła białym kobiercem tereny wokół Świątyni. Mistyczny, nierozbijałny, idealnie gładki kryształ szyb przyćmiewał rażący blask, a dziewicza biel na zewnątrz sprawiała, że Duchairn tym bardziej doceniał ciepło panujące za murami.

A także wybiegał myślą ku ludziom spoza Świątyni, szczególnie ku licznym biedakom z Syjonu, którzy tego mroźnego ranka z pewnością nie zaznali ciepła ani wygod. Tą refleksją również nie zamierzał się dzielić ze swymi niegdysiejszymi kolegami z Grupy Czworoga. Nie dlatego, żeby się jej nie domyślali, lecz z tego powodu, że wyrażenie jej na głos nie przyniosłoby niczego dobrego, a mogłoby narobić wielu szkód.

Zahmsyn Trynair obdarzyłby go po prostu spojrzeniem pełnym niecierpliwości i niezrozumienia. O ile kanclerz Kościoła w ogóle rozmyślał o losie biedaków, robił to wyłącznie w kontekście fragmentu Księgi Langhorne'a, w której napisano, że „biedacy zawsze będą pośród was”. Skoro sam Langhorne godził się z tym faktem, Trynair nie miał innego wyjścia.

Allayn Magwair z kolei najpewniej nawet by nie zauważył wzmianki Duchairna. Ostatnimi czasy dowódca wojsk Kościoła Matki wszystkie swoje myśli poświęcał budowie floty potrzebnej do starcia Imperium Charisu na proch. To zaś, że rozpoczął budowę nie takiej floty jak trzeba, na co Duchairn wyasygnował ze skarbcza pokaźne sumy - żeby mogły powstać nikomu niepotrzebne setki galer - z pewnością wzmacniało jego koncentrację na tym temacie, odciągając uwagę od wszystkiego innego. Aczkolwiek Magwair nigdy nie mógł się pochwalić podzielną uwagą. Ani nadmierną inteligencją. Mimo to - przynajmniej zdaniem Duchairna - koncentrowanie wysiłków na jednej tylko sprawie nie powinno nastroczać mu większych problemów. Mógłby więc od czasu od czasu pomyśleć o nieszczęsnych mężczyznach i kobietach, a zwłaszcza dzieciach, które powinny znajdować się w centrum uwagi każdego duchownego.

No i był jeszcze Clyntahn. Wielki inkwizytor. Jedyne członek Grupy Czworoga, który nie podszedłby do troski okazywanej przez Duchairna ani z niezrozumieniem, ani z obojętnością. Duchairn zaczął nawet żałować, że nie wybrał zakonu Bédard zamiast Chihiro. Był prawie pewien, że każdy członek zakonu Bédard, który nie czułby przemożnego strachu przed wielkim inkwizytorem, przyznałby bez wahania, że Clyntahn cierpi na paranoję, i to pogłębiającą się z każdym dniem. Oczywiście znalezienie kogoś takiego graniczyłoby z cudem, wszyscy bowiem - również w zakonie Bédard - czuli strach przed wielkim inkwizytorem. Mimo to Duchairn wolałby usłyszeć potwierdzenie swojej opinii laika - przynajmniej w sprawach dotyczących umysłu - zanim podejmie jakiegokolwiek działania.

Z drugiej strony nie było to absolutnie konieczne. Nie trzeba było oficjalnej diagnozy, by wiedzieć, że Clyntahn każdą wzmiankę o biedakach potrzebujących pomocy - zgodną zresztą z naukami Pisma - potraktuje jako krytykę Kościoła Matki. Co w gruncie rzeczy nie byłoby tak znów odległe od prawdy. Jednakże w tym konkretnym momencie, gdy Zhaspyr Clyntahn podzielił ludzi na trzy kategorie: sprzymierzeńców, powolne narzędzia i kandydatów do eksterminacji, sama sugestia, że Kościół powinien się starać bardziej, mogła być śmiertelnie niebezpieczna.

Bywały chwile, gdy Duchairn nie przejmował się zagrożeniem. Gdy jego gniew, jego wściekłość, jego ból wynikające z odkrycia na nowo wiary i poczucia winy zmuszały go w istocie do stawienia czoła Clyntahnowi. Gdy nieomal łaknął zniszczenia, nawet męczeństwa, ze wszystkim, co ono pociągało, w ramach ekspiacji za dotychczasowe życie. Za to, że godził się z zepsuciem wikariatu. Że przez tyle lat czerpał zeń korzyści. Że nie tylko zaakceptował propozycję Clyntahna, by unicestwić Charis, lecz wręcz ją popierał. I przyłożył rękę do dzieła zniszczenia.

Zmusił się do kontynuowania wędrówki przez korytarze, które miały go doprowadzić na miejsce spotkania z podwładnymi, lecz wyraz twarzy miał równie bezbarwny jak śnieg za oknem, kiedy po raz kolejny wyrzucał sobie swoje grzechy. Nie zamierzał udawać, że nie dba o to, co się z nim stanie, jeśli dojdzie do otwartej konfrontacji z Clyntahnem. Nie łudził się, że wielki inkwizytor nie wykorzysta okazji i nie da mu takiej nauczki, by popamiętał ją każdy członek Grupy Czworka, który choćby pomyślał o sprzeciwie. A jednak to nie ten strach kazał mu zaciskać szczęki z całych sił, powściągać emocje i słowa, powstrzymywać się przed jawnym potępieniem zepsucia i Clyntahna. Nie... Chodziło o zupełnie inną obawę, która go dręczyła, mianowicie że gdyby pozwolił się stłamsić na tak wczesnym etapie, popełniłby jeszcze potworniejszy grzech, polegający na przedwczesnej śmierci na zawsze przekreślającej szansę na naprawienie szkód, do których się przyczynił, szkód wyrządzonych światu stworzonemu przez Boga.

*Chociaż nie mogę powiedzieć, że wiem, jak się zabrać do naprawiania tych szkód, pomyślał ze smutkiem. Może to właśnie stanowi część mojej pokuty? Może moją karą jest przyglądanie się, jak sprawy przybierają coraz gorszy obrót i znikąd nie widać nadziei? Wszelako w Piśmie napisano, że Bóg zawsze znajdzie jakieś wyjście, nawet jeśli człowiek go nie widzi... Może więc tak naprawdę Pan chce, abym przestał się szarpać i okazywać pychę, abym skończył z przekonaniem, że potrafię zapobiec kataklizmowi na skalę planety. Może chce, abym przyjął do wiadomości, że to On pokaże mi drogę...*

Ten tok myśli został nagle przerwany, gdy skarbnik Kościoła Boga Oczekiwanego



wpadł na litą ścianę, którą ktoś ustawił pośrodku korytarza.

Albo przynajmniej na coś, co sprawiało wrażenie litej ściany, albowiem donośne „Auć!”, które się rozległo, zdawało się sugerować, że to jednak nie granitowa przeszkoda stanęła na przeszkodzie Duchairnowi.

Rhobair chwiejnie zatoczył się do tyłu, nieomal się przewracając. Do upadku z pewnością by doszło, gdyby czyjeś ręce nie złapały go w porę pod pachy i nie przytrzymały w pozycji pionowej. Potrząsnął głową, czując w zatkanych przez katar uszach dzwonienie, po czym otworzył szeroko oczy, rozpoznawszy twarz mężczyzny, z którym się zderzył.

Duchairn nie był niski, ale też nie zaliczał się do osób przesadnie wysokich. Poza tym nigdy nie nabrał tuszy, mimo że od dwudziestu czy nawet trzydziestu lat prowadził głównie siedzący tryb życia. Człowiek, na którego wpadł, był od niego o głowę wyższy i potężnie zbudowany, a jego rozłożyste barki sugerowały, że minione lata spędził w dużej części na utrzymywaniu ciała w kondycji, którą cieszył się za czasów spędzonych w Gwardii Świątyni. Musiał być cięższy o czterdzieści albo nawet pięćdziesiąt funtów, i to bynajmniej nie rozlazłego tłuszczu.

A nazywał się Hauwerd Wylsynn.

Duchairn stał jak wmurowany, wpatrując się w szarobrazowe oczy Wylsynna. Były one twarde i błyszczące niczym krzemień i bardzo pasowały do człowieka, który - w przeciwieństwie do Rhobaira Duchairna - nigdy się nie ugiął przed zepsuciem Świątyni. Hauwerd Wylsynn miał wiele powodów, aby lękać się Zhaspyra Clyntahna, i ani jednego powodu, aby lękać się Boga.

- Powinieneś bardziej uważać, Rhobairze - rzekł do niego Wylsynn, odstawiając go pewnym ruchem na ziemię, zanim cofnął mocarne dłonie. Poklepał niższego mężczyznę niemal czule, jakby sprawdzając, czy nie ma żadnych złamań, i uśmiechnął się blade. - Mógłbyś sobie zrobić krzywdę, napadając w ten sposób na innych. Życie jest za krótkie, aby podejmować podobne ryzyko, nie uważasz? - Przechylił lekko głowę pytającym gestem, a Duchairn poczuł, jak krew lodowacieje mu w żyłach. Dostrzegął coś w tonie i spojrzeniu rozmówcy, coś, co go bardzo niepokoiło.

*Wie, domyślił się nagle Duchairn. Wie, że to ja ostrzegłem jego brata. I... Bóg mi świadkiem... wie również, że Clyntahn zamierza zabić ich obu. I że mnie brakuje odwagi, aby go przed tym powstrzymać.*

Skarbnik Świątyni otworzył usta, nie mając pojęcia, co chce powiedzieć, wszelako Wylsynn pokręcił znacząco głową. Słowa zamarły w gardle Duchairna.

- Oczywiście, że jest za krótkie - odpowiedział na swoje pytanie Wylsynn. - A my

mamy zbyt wiele do zrobienia, aby marnować cenny czas. Czyż Pismo nie powiada, że Bóg przygotował ścieżkę każdego człowieka?

- Tak - usłyszał własny głos Duchairn. - Tak właśnie mówi Pismo.

- Sądzę więc, że da nam spokój, dopiero gdy dobiegniemy do mety. Tym bardziej więc bądź ostrożny. - Pomachał żartobliwie palcem tuż przed nosem Duchairna. - Patrz pod nogi, bo inaczej możesz nie mieć szansy na przebiegnięcie całej ścieżki, którą zaplanował dla ciebie Bóg.

Duchairn musiał użyć całej swojej siły woli, aby trzymać buzię na kłódkę. Kiedy jednak znowu spojrzął w oczy Wylsynnowi, nagle stracił chęć odezwania się, uświadomiwszy sobie, co w nich widzi. Wylsynn tymczasem obdarzył go słabym uśmiechem, klepnął raz jeszcze, po czym odwrócił się i ruszył w swoją stronę.

\* \* \*

- Hrabia Corisu, wasza dostojność - zapowiedział duchowny przy drzwiach, ukłonem zapraszając Phylpą Ahzgooda do środka.

Ahzgood nie do takich pokłonów był przyzwyczajony. Zmilczał jednak, pomyślawszy, że kapłan będący w służbie kanclerza Rady Wikariuszy z pewnością widuje książąt tuzinami, a hrabiów na pęczki, o baronach nie wspominając. No i że większość z nich raczej nie jest wygnańcami żyjącymi u kogoś na garnuszku.

- W rzeczy samej, w rzeczy samej. Zapraszam dalej, mój panie.

Ahzgood usłuchał i moment później stał już oko w oko z dość wysokim, szczupłym mężczyzną o kanciastej twarzy, krótko przystrzyżonej brodzie i głęboko osadzonych, bystrych oczach, odzianym w pomarańczową sutannę członka wikariatu. Nie uległo wątpliwości, że hrabia Corisu ma przyjemność z Zahmsynem Trynair'em we własnej osobie.

Trynair wyciągnął rękę, na co hrabia Corisu skłonił się, by ucałować szafirowy pierścień, po czym wyprostował plecy w milczeniu.

- Doceniamy, że bez; zbędnej zwłoki pośpieszyłeś na nasze wezwanie - kontynuował kanclerz. - Szczególnie biorąc pod uwagę porę roku i warunki pogodowe... - Uśmiech, który rozszerzał mu wargi, nie docierał do jego oczu. - Gdybyż tak wszyscy synowie Kościoła Matki byli równie obowiązkowi jak ty.

- Nie będę krył, że podróż była wyczerpująca, wasza dostojność - odezwał się hrabia Corisu, pozwalając sobie na suchy uśmieszek. - Jednakże w dzieciństwie wpojono mi zasadę, że kiedy Kościół Matka wzywa, należy odpowiedzieć na wezwanie niezwłocznie. Niemniej jadąc tutaj, doznałem też, przyjemnych wrażeń, między innymi podczas przeprawy przez, Jezioro Pei, nie mówiąc już o wizycie w Świątyni, co stanowi wartość samą w sobie.

- Świetnie.

Ta krótka, jednowyrazowa reakcja na dłuższą wypowiedź Ahzgooda nadeszła od strony nie Trynaira, lecz niższego, przysadzistszego, siwowłosego, obdarzonego wieloma podbródkami wikariusza, który nie raczył wstać na widok gościa. Co do jego tożsamości również nie mogło być najmniejszych wątpliwości, aczkolwiek Ahzgooda raczej zdziwiło, że opisy, które słyszał, tak idealnie pasują do osoby wielkiego inkwizytora Clyntahna. Nie wyłączając plam z jedzenia na jego sutannie.

*Powinna obowiązywać reguła, że czarny charakter nie może wyglądać jak typowy czarny charakter*, pomyślał hrabia Corisu, po czym wzdrygnął się, gdy dotarło do niego, jak właśnie określił w duchu Clyntahna. Czym nie był zbytnio zdziwiony - w końcu od dawna czuł, że się na to zbiera. A jednak uznał chwilę za przełomową, jak gdyby przekroczył nieodwołalnie jakąś granicę, i nieważne było, że tylko on zdawał sobie z tego sprawę.

*I lepiej niech tak pozostanie, Phylypie*, napomniął się w duchu.

Sądząc z wyrazu twarzy Clyntahna, wielkiego inkwizytora nie interesowały myśli przechodzące przez głowę hrabiego Corisu. Ani też nie poczuwał się on do obowiązku ugoszczenia przybyłego. O ile bowiem Trynair patrzył na hrabiego Corisu zimnym wzrokiem mistrza szachowego, o tyle spojrzenie Clyntahna płonęło niczym u fanatyka. Gorączką utwierdzającą Ahzgooda we wcześniejszym przekonaniu, że to Zhaspyr Clyntahn jest niebezpieczniejszy z tej dwójki.

- Usiądź, mój panie. - Trynair zaprosił hrabiego gestem do zajęcia miejsca na wskazanym, jedynym po tej stronie stołu, krześle.

Był to najprostszymi mebel, jaki hrabia Corisu widział w całej świątyni - z niskim oparciem, bez tapicerki, ewidentnie służący tylko jednemu celowi. Zdecydowanie różnił się od przypominających trony foteli obu wikariuszy, w których ci zdawali się tonąć, a jednak gdy Ahzgood przysiadł ostrożnie, nieomal poderwał się zaraz na równe nogi ze zdumienia, gdy z pozoru zwykła drewniana powierzchnia jęła się pod nim uginać. Tak, z całą pewnością się poruszała... przemieszczała... nic dziwnego więc, że Ahzgood spoglądał z rosnącym oszołomieniem, jak kształty krzesła dopasowują się płynnie do jego sylwetki.

Podniósł wzrok na obserwującego go badawczo Trynaira i zmusił się do uśmiechu. Grymas, którym obdarzył kanclerza, świadczył o mieszanych uczuciach: zdziwienia i odrobiny chłopięcej radości, co Trynair skwitował cichym śmiechem gospodarza zadowolonego z niespodzianki sprawionej gościowi.

Jak zauważył Ahzgood, Zhaspyr Clyntahn zgodnie z przewidywaniami pozostał obojętny na tę scenę - a przynajmniej takie można było odnieść wrażenie.

*Lepiej nie zakładaj niczego z góry, Phylypie, napomniał się znowu w duchu hrabia Corisu. Chybaby cię nie zdziwiło, gdybyś się dowiedział, że wielki inkwizytor już dawno zrozumiał, jak przydatne może być udawanie przed przeciwnikami braku zmysłu obserwacyjnego. Jedyłą groźniejszą rzeczą od prawdziwego głupca, zwłaszcza gdy idzie o rozgrywki na szczytach władzy, jest mądry człowiek, którego mylnie weźmie się za głupca. Nahrmahn chyba cię tego nauczył!*

- A zatem - podjął po pewnej chwili Trynair - skoro już tu dotarłeś, powinniśmy przejść od razu do sedna. Jak ci zapewne wiadomo, jako kanclerz Kościoła Matki, działając w imieniu wielkiego wikariusza Ereka, który wydał mi ściśle instrukcje, uznałem oficjalnie w młodym księciu Daivynie prawowitego władcę Corisandu. Zważywszy na jego młody wiek, pomyśleliśmy, że mija się z celem wleczenie go do Świątyni w celu omówienia jego przyszłości. Ty zaś występujesz jako jego prawny opiekun. Jako że nigdy nie uznamy legalności „rady regencyjnej” ustanowionej przez Cayleba i Sharleyan wbrew woli Boga, w tobie widzimy obecnego regenta Corisandu działającego w imieniu niepełnoletniego księcia Daivyna.

Urwał, czekając na jakiś komentarz ze strony gościa, hrabiemu Corisu jednak nie uśmiechało się wpadnięcie w zastawione na niego sidła. Ahzgood ograniczył się do mającego sugerować zrozumienie kiwnięcia głową i przybrania wyrazu wytężonej uwagi na twarzy.

- W zaistniałych okolicznościach - kontynuował po chwili przerwy kanclerz - konieczne jest unormowanie sytuacji księcia. Jakkolwiek może się wydawać bezpieczny pod opieką króla Zhamesa, szczególnie że Delferahk jest w stanie wojny z apostatami, nie wszystkie aspekty jego położenia są obecnie należycie sformalizowane.

Ponownie zrobił pauzę, tym razem dając do zrozumienia, że będzie przeciągał milczenie, dopóki nie odezwie się hrabia Corisu.

- Sformalizowane, wasza dostojność? - powtórzył sumiennie Ahzgood. - Czy wolno mi zapytać, co dokładnie masz na myśli?

- Och, daj spokój, mój panie! - do rozmowy włączył się Clyntahn, machając lekceważąco dłonią. - Byłeś szefem wywiadu księcia Hektora! Jeśli ktokolwiek wie, o co chodzi w te klocki, tym kimś jesteś ty!

- Wasza dostojność... - zaczął hrabia Corisu ostrożnie, dobierając słowa z taką starannością jak jeszcze nigdy w życiu. - Oczywiście masz rację. Szpiegowałem dla księcia Hektora. Ale o ile wolno mi to zauważyć, mój punkt zapatrywania z perspektywy księżstwa oddalonego od Ziemi Świątynnych musi się różnić od waszej oceny sytuacji z centrum wydarzeń, gdzie zbiegają się wszystkie troski i cała wiedza Matki Kościoła. Przyznaję, że

sporo czasu spędziłem na główkowaniu, czego też mogą ode mnie oczekiwać dwaj dostojnicy Rady Wikariuszy. Jednakże nie jestem na tyle naiwny, by wierzyć, że posiadam informacje wystarczające do tego, aby wyciągnąć właściwe wnioski. Potrafię podać kilka aspektów, w których ramach sytuacja księcia Daivyna wymaga sformalizowania, lecz nie mając wszystkich informacji, nie mogę dojść, w jaki sposób ja i księżę Daivyn możemy być przydatni Kościołowi Matce.

Kiedy do rozmowy wtrącił się Clyntahn, w oczach Trynaira pojawiły się ogniki mogące oznaczać irytację. Teraz wszakże kanclerz rozsiadł się wygodniej w fotelu i splótłszy dłonie przed sobą, przybrał zamyślony wyraz twarzy. Natomiast Clyntahn posłał gościowi chytry uśmieszek, jak gdyby swoją odpowiedzią zdał jakiś egzamin.

- Przyjmujemy z wielką ulgą wiadomość, że zastanawiałeś się nad tym, jak księżę Daivyn... i ty oczywiście... możecie być przydatni Kościołowi Matce - rzekł wielki inkwizytor, a nacisk na słowo „ty” był równie wyraźny jak błysk w jego oku. - Nie wątpię, że możemy polegać na twojej inteligencji i gorliwości nie mniej niż niegdyś księżę Hektor.

*Chcielibyście tego, co, wasze dostojności?* - zgryźliwie zareagował w skrytości ducha Ahzgood. Clyntahn może był przebiegły jak sama Shan-wei, ale można w nim było czytać jak w otwartej księdze, przynajmniej czasami. Aczkolwiek wynikało to zapewne z tego, że ktoś, kto pociągał za wszystkie sznurki władzy, i to na najwyższym szczeblu, mógł sobie pozwolić na otwartość wtedy, gdy służyła ona jego interesom, i nie musiał niepotrzebnie owijać w jedwabiu.

- Uczynię wszystko, aby nie zawieść twego zaufania, wasza dostojność - odparł na głos.

- W takim razie z pewnością nie odbierzesz nazbyt osobiście tego, co zaraz powiem - podjął Trynair. Hrabia Corisu zerknął na kanclerza, a ten lekko wzruszył ramionami. - W tych okolicznościach wielki wikariusz uznał za stosowne, aby regencję Corisandu powierzyć komuś z wikariatu, a nie osobie świeckiej. Ojciec księcia Daivyna zginął męczeńską śmiercią z rąk schizmatyków. Wielki wikariusz uważa, iż obowiązkiem Kościoła Matki jest roztoczyć opiekę nad jego potomkiem i dziedzicem.

- To zrozumiałe, wasza dostojność - zgodził się hrabia Corisu.

Nie miał wątpliwości, że Trynair domyśla się - słusznie, nawiasem mówiąc - że on, Phylip Ahzgood, uważa całą tę sprawę z wielkim wikariuszem Erekiem za czystą fikcję. Ereka bowiem Trynair wybrał osobiście przed paru laty z niedługiej listy powolnych mu kukiełek i jeśli nawet od tamtego czasu wielki wikariusz pomyślał o czymś samodzielnie, nie doszło powtórnie do tego wielkiego wydarzenia.

- Pod wieloma względami zmiana ta - ciągnął swój wywód Trynair - będzie czystą formalnością. Jak wspomniałem już wcześniej, nie ma sensu wprowadzać w życie młodego księcia jeszcze więcej zamętu. Najlepiej będzie pozostawić go tam, gdzie jest, pod opieką osoby, której ufa i która jak wie, troszczy się o jego dobrze pojmowany interes.

*Zakładając, że osoba ta będzie z kolei troszczyła się o interes Kościoła czy raczej Grupy Czworoga,* dodał w myślach hrabia Corisu.

- Gwoli prawdy - wtrącił Clyntahn - jesteśmy zdania, że nad księciem powinien czuwać człowiek o twoich zdolnościach i doświadczeniu. - Gdy Ahzgood przeniósł wzrok na niego, wielki inkwizytor wzruszył ramionami przypominającymi dwa wielkie balerony. - Było nie było, Cayleb już zamordował jego ojca. Ciężko powiedzieć, kiedy wpadnie mu do głowy... jemu albo tej zdzirze Sharleyan... że należałoby wymieść wszystkich członków rodu Daykynów. Z tego co słyszałem, napotykają dość znaczny opór w Corisandzie. Mogą więc w każdej chwili dojść do wniosku, że pozbycie się młodego księcia złamie opór jego poddanych przeciwnych panowaniu Charisu.

- Rozumiem, wasza dostojność. - Hrabia Corisu miał tylko nadzieję, że żaden z hierarchów nie domyślił się lodowatych ciarek biegających mu w górę i w dół po kręgosłupie. - Zgadzam się w zupełności, że w tych sprawach ostrożności nigdy za wiele. Rzecz jasna omówiłem kwestie bezpieczeństwa jego książęcej mości z królem Zhamesem jeszcze przed opuszczeniem Talkyry. I mogę zapewnić, że natychmiast po powrocie do Delferahku osobiście roztoczę pieczę nad księciem.

- Doskonale! - Clyntahn uśmiechnął się szeroko. - Myślę, że nie pomyliliśmy się przy wyborze twojej osoby do tego zadania, mój panie!

- Ja również - zawtórował wielkiemu inkwizytorowi Trynair. - Pozostało nam jeszcze parę innych spraw do omówienia. Uporanie się ze wszystkimi może wymagać kilku spotkań z rzędu, tak więc oczywiście pozostaniesz naszym gościem, dopóki nie załatwimy wszystkiego. Na razie jednak pragniemy cię trochę wypytać. Otrzymujemy raporty z Corisandu i znamy ze słyszenia nastawienie tamtejszej społeczności, lecz wolelibyśmy dowiedzieć się o pewnych sprawach z pierwszej ręki. I to w dodatku od kogoś, kto dysponuje odpowiednią wiedzą, aby dokonać oceny sytuacji księstwa po ataku Cayleba. Bez wątpienia po twoim wyjeździe doszło do wielu zmian w Corisandzie, ale i tak stanowisz cenne źródło informacji. Jest wiele kwestii, które chcielibyśmy z tobą poruszyć. Na przykład: którzy z wasali księcia Hektora... znaczy księcia Daivyna... najchętniej podejmą działania zbrojne przeciwko charisjańskiemu najeźdźcy?

*Faktycznie zapowiada się na dłuższą nasiadówkę,* pomyślał ze znużeniem hrabia

Corisu. *Z tym że trzeba bardzo uważać, bo nie wiadomo, ile dokładnie już wiedzą ze swoich źródeł.*

- To trudne pytanie, wasza dostojność - zaczął. - Na oczekaniu przychodzi mi do głowy może tuzin wasali księcia Hektora, którzy z pewnością mają inklinacje w tym kierunku. Nie mając jednak należytego rozeznania w obecnej sytuacji... zważcie bowiem, proszę, na to, że jestem w podróży od prawie czterech miesięcy i w tym czasie nie miałem możliwości rozsyłania i zbierania wici... mogę podejrzewać, że ci bardziej oddaleni od Manchyru znajdują się w lepszym położeniu, aby cokolwiek przedsięwziąć. Opierając się na powyższym, śmiem twierdzić, że hrabiowie Burzowej Warowni i Stromego Wzgórza już podjęli pewne działania w tym kierunku. Żaden z nich nie jest dobrze usposobiony w stosunku do Cayleba i Sharleyan, obydwaj zamieszkują też daleko na północy, skąd nie można ich łatwo sięgnąć ze stolicy. Co zaś do wielmożów zamieszkujących bardziej na południe i zachód - kontynuował - nie zdziwiłbym się zbytnio, gdyby księżę Czarnej Wody, to znaczy sir Adulfo, który niedawno przejął władzę w swojej domenie, również był naszym potencjalnym sprzymierzeńcem. Nie można też zapominać o księciu Barcairze i...

\* \* \*

- A zatem, panie Seablanket, widzę, że jak zwykle wywiązałeś się z powierzonego ci zadania bez zarzutu.

- Staralem się, eminencjo.

Rhobair Seablanket pochylił się nad dłonią arcybiskupa Wyllyma Rayno, całując podetknięty pierścień, a następnie wyprostował się. Twarz oblekł w wyraz grzecznego zainteresowania, czekając, aż posypią się pytania hierarchy, na co ten uśmiechnął się lekko.

Rayno był niski, szczupły i śniady. Jak zawsze miał na sobie purpurowy habit zwykłego mnicha z zakonu Schuelera. Ówże habit jednak nosił symbol otoczonego płomieniami miecza, używanego wyłącznie przez generała zakonu Schuelera, co czyniło zeń niezwykle groźnego człowieka i prawą rękę Zhaspyra Clyntahna. Zazwyczaj bawiła go reakcja przeróżnych agentów Inkwizycji na ten widok. Co ważniejsze jednak, reakcja ta umożliwia mu ocenę zdolności poszczególnych współpracowników. Weźmy na przykład Seablanketa. Nikt, kto zaszedł tak daleko na służbie Inkwizycji, nie mógł lekceważyć Wyllyma Rayno ani nie obawiać się konsekwencji rozczarowania hierarchy, a jednak Corisandczyk odwzajemniał spojrzenie arcybiskupa spokojnie i jego opanowanie zdawało się nieudawane.

*Może naprawdę czuje taki spokój, jak okazuje, pomyślał arcybiskup. A może nie. Ciekawe, ciekawe... Jeżeli zachowuje się z taką dezynwolturą, i to już podczas pierwszego*

*spotkania ze mną twarzą w twarz, może być większym głupcem, niż sądziłem. Sumienie żadnego człowieka nie jest aż tak czyste, by nie odczuwał najmniejszego niepokoju w tych okolicznościach. Z drugiej strony, jeżeli potrafi udawać taki spokój w tychże okolicznościach, jest zdolniejszy, niż wskazywałyby na to jego akta. A w takim wypadku z pewnością znajdę dla niego godne zajęcie, jak już skończy z obserwacją hrabiego Corisu.*

- Przeczytałem twoje raporty - kontynuował arcybiskup na głos - i muszę przyznać, że w porównaniu z resztą tego, co trafia na moje biurko, były one krótkie, zwięzłe i jasne. A w dodatku pozbawione błędów gramatycznych!

Snujący się po jego wargach uśmiech nie zawitał w oczach, a wpatrujący się weń uważnie Seablanket powstrzymał się przed skwitowaniem tej ostatniej uwagi śmiechem.

- Z raportów tych wywnioskowałem - ciągnął Rayno - że hrabia Corisu zdaje się świadomy położenia księcia Daivyna, jak również implikacji tegoż położenia dla jego własnej przyszłości, co czyni zeń człowieka dobrze rozezanego w sytuacji oraz pragmatyka. Dodatkowo sprawia bardzo kompetentne wrażenie. Chyba nie powinno mnie to dziwić, zważywszy na to, jak długo służył pod księciem Hektorem. Mimo to mam parę wątpliwości do jego osoby, które chciałbym teraz rozwiązać, jako że z doświadczenia wiem, że nawet najszczegółowszy pisemny raport nie może być kompletny.

Seablanket poruszył się lekko, więc Rayno uniósł na krótko prawą dłoń i uspokoił go trzepotliwym gestem.

- Nie sugeruję, że cokolwiek pominąłeś celowo. Aczkolwiek takie rzeczy również się zdarzały... - Rozciągnął wargi w zimnym uśmiechu. - Chodziło mi tylko o to, że pisemny raport nigdy nie zastąpi bezpośredniej wymiany zdań, gdy można zadawać pytania, udzielać wyjaśnień i rozwodzić się nad najbardziej interesującymi kwestiami. A także upewniać się, że nie doszło do przypadkowego nieporozumienia.

Zrobił pauzę, przechylając lekko głowę, i Seablanket potaknął:

- Rozumiem, do czego zmierzasz, eminencjo. Naturalnie jestem na twoje rozkazy, jeśli zyczysz sobie zagłębić się w którąkolwiek z kwestii poruszonych przeze mnie na piśmie. Chciałbym jednak zauważyć, że hrabia spodziewa się mnie w swoich apartamentach po powrocie ze spotkania z wikariuszami.

- Słuszna uwaga - zgodził się z nim Rayno. - Niemniej skądinąd wiem, że wielki inkwizytor i kanclerz mają zamiar wziąć go na spytki w sprawie polityki wewnętrznej Corisandu, co z pewnością chwilę potrwa. Rzekłbym dwie do trzech godzin, lekko licząc, a ja, drogi panie, nie mogę poświęcić ci tyle czasu dzisiejszego ranka.

- Rozumiem, eminencjo - wymamrotał Seablanket, skłaniając głowę unizienie.



Rayno przewiercał go wzrokiem, zadowolony z uległości agenta. Nie zawadzi przy każdej okazji podkreślać, że najlepiej widziane są zwięzłe i treściwe informacje.

- W takim razie możemy rozpocząć - podjął hierarcha, zajmując miejsce w wygodnym fotelu za biurkiem i pozostawiając agenta w pozycji stojącej. Odchylił się na oparcie, złożył przedramiona na podłokietnikach i zetknął opuszki palców, tworząc na piersi piramidkę. - Pierwsza sprawa. Z twego raportu wynika, że księżę Daivyn wierzy bezgranicznie hrabiemu Corisu. Zechcesz łaskawie wyjaśnić, skąd czerpiesz tę pewność?

- Eminencjo, księżę to jeszcze dziecko - odparł bez wahania Seablanket. - Zdaje sobie sprawę, że jego ojciec nie żyje i że jego życie znalazłoby się w niebezpieczeństwie, gdyby dosięgli go charisjańscy skrytobójcy.

Agent spoglądał arcybiskupowi prosto w oczy, co wzbudziło tym większy szacunek Wyllyma. Najwyraźniej Seablanket miał pewne podejrzenia co do tego, kim naprawdę byli skrytobójcy i kto ich nasłał na księcia Corisandu. Równie jasne zdawało się to, że nie zamierza wypowiadać tych przypuszczeń na głos. A przy tym był dość bystry, aby domyślić się, czego Rayno pragnie się dowiedzieć.

- W tych okolicznościach, jak również z uwagi na to, że zna hrabiego od maleńkości i wie, iż ojciec wyznaczył Ahzgooda na jego prawnego opiekuna, to zupełnie naturalne, że mały księżę darzy hrabiego bezgranicznym zaufaniem. Gwoli szczerości, hrabia też ma w tym swój udział... - Uśmiechnął się ledwie zauważalnie. - Phylip Ahzgood był szpiegiem księcia Hektora przez wiele lat. Po czymś takim przekonanie małego chłopca, że jest się godnym zaufania opiekunem, to fraszka.

- Twoim zdaniem hrabia celowo wzbudza w chłopcu uczucie, żeby go całkowicie od siebie uzależnić?

- Tak bym tego nie ujął, eminencjo... - Seablanket zacisnął wargi i zmarszczył czoło w poszukiwaniu właściwych słów. - Hrabia nie musi wzbudzać w tym chłopcu żadnych uczuć. Wszyscy wiedzą, że księżę Daivyn i księżniczka Irys są zależni od hrabiego, ich samych nie wyłączając. Być może oficjalnym opiekunem księżątek jest król Zhames, ale jeśli wolno mi pozwolić sobie na szczerość, jego królewska mość nie jest nawet w połowie tak sprytny jak hrabia Corisu. - Seablanket wzruszył ramionami. - Tylko kwestią czasu jest, kiedy cały dwór w Talkyrze zacznie tańczyć do melodii granej przez Ahzgooda. Zatem chodzi nie tyle o wzbudzanie w chłopcu poczucia zależności, ile zwykłego zaufania. Przekonania, że hrabia jest nie tylko jego głównym doradcą, ale właściwie jedynym. Jestem pewien, że wynika to ze szczytnych pobudek - Seablanket uśmiechnął się świętoszkowato - ale najlepsze w tym jest to, że kiedy przyjdzie do pokierowania małym księciem, Ahzgood zrobi to, nie wyjmując

palca z ucha. Daivyn posłucha hrabiego bez względu na to, co będą mu doradzać inni, w tym jego własna siostra.

- Zatem twoim zdaniem hrabia Corisu ma pełną kontrolę nad chłopcem?

- Moim zdaniem może nim kierować, przesądzając o jego decyzjach. Ale kontrolę nad małym księciem ma król Zhames. Gdyby jego królewska mość z jakiegoś powodu uznał, że Daivyn powinien wpaść w ręce kogoś innego, hrabia Corisu nie zdołałby temu zapobiec.

- A czy są przesłanki, aby sądzić, że jego królewska mość może podjąć taką decyzję? - Rayno zwięził oczy w szparki, a Seablanket wzruszył ramionami.

- Eminencjo, nie pozostaję na służbie króla Zhamesa i cokolwiek mam do powiedzenia na jego temat, jest znacznie mniej pewne niż to, co wiem o Ahzgoodzie. Nie próbuję sugerować, że jego królewska mość żywi względem małego księcia jakieś plany... to znaczy inne niż te, które ustalił wspólnie z tobą, eminencjo, i z wielkim inkwizytorem... lecz nie jest tajemnicą, że obecnie w Talkyrze panuje bardzo napięta sytuacja. Charisjańska flota wojenna rozniosła w pył tamtejszą flotę handlową, a okręty wojenne Korony panoszą się po całym wybrzeżu. Armia króla wcale nie radzi sobie lepiej na lądzie niż jego marynarka wojenna na morzu. W tej sytuacji trudno ocenić, jak uzna za stosowne rozegrać kartę księcia Daivyna.

Rayno z wolna pokiwał głową. Ostatnia uwaga była niezwykle celna, a przy tym świadczyła także o wielkiej inteligencji i zdolnościach agenta. A jego sugestia, że król Zhames nie jest najspolegliwszym z opiekunów, była niepokojąco prawdziwa, zważywszy na to, co już się stało z niektórymi innymi władcami (przypadek księcia Nahrmahna ze Szmaragdu nasuwał się na myśl sam), którzy stanęli na drodze Cayleba. Chociaż...

- Nie sądzę, abyśmy musieli się przejmować nadmiernie królem Zhamesem w obecnej chwili - rzekł, na poły do agenta, na poły do siebie. - Wątpię, aby przeciwstawił się instrukcjom płynącym ze Świątyni, zwłaszcza tym dotyczącym księcia Daivyna.

- Na pewno niczego podobnego by nie zrobił, eminencjo - potaknął Seablanket, aczkolwiek w jego tonie pobrzmiwała jakaś dziwna nuta, która...

Rayno przechylił głowę, marszcząc brew, po czym nagle otworzył szerzej oczy. Czyżby Corisandczyk insynuował, że...?

- Tak czy owak nie możemy zaniedbywać kwestii bezpieczeństwa młodego księcia - powiedział stanowczo arcybiskup. - Było nie było, ochrona jego ojca w Manchyrze też wydawała nam się wystarczająca. Sądzę, że powinniśmy rozważyć inne sposoby zapewnienia mu ochrony. Niestety ludzka natura jest przekupna, niewykluczone więc, że znajdzie się ktoś, kto powinien go chronić, a połasi się na obietnice osób pragnących go skrzywdzić i... Może

nawet powinniśmy przenieść księcia Daivyna pod opiekę kogo innego.

- Otóż to, eminencjo. - Seablanket ponownie skłonił głowę uniżonym gestem. - Jeśli wolno mi to zauważyć, człowiek, któremu zostanie powierzona opieka nad małym księciem, powinien być przede wszystkim lojalnym sługą Kościoła Matki.

Rayno ponownie zwęził oczy w szparki, nie kryjąc zdziwienia. Oczywiście Seablanket nie został wybrany do tego zadania z tej tylko przyczyny, że z pochodzenia był Corisandczykiem, którego można było na czas umieścić w Yu-Shai, gdzie najął się na lokaja hrabiego Corisu. Przez lata wypełniał niejedną misję z ramienia Inkwizycji, wszakże arcybiskup nie spodziewał się, że agent podejmie ten akurat wątek.

- Czy twoim zdaniem Phylip Ahzgood jest przede wszystkim sługą Kościoła Matki? - zapytał generał zakonu.

- Moim zdaniem hrabia do niedawna był przede wszystkim sługą księcia Hektora - odparł Seablanket z miną człowieka starannie wążącego swoje słowa. - Nie potrafię ocenić, na ile ta jego lojalność wynikała z własnych ambicji i przyjemności pławienia się we władzy, jaką dawało mu stanowisko pierwszego doradcy księcia Hektora, niemniej mogę zaręczyć, że był szczerze i bezgranicznie oddany swemu panu. Jednakże teraz księżę Hektor nie żyje, a corisandzkie dobra Ahzgooda zajął Cayleb z Sharleyan. Hrabia Corisu to człowiek nawykły do władzy, a tę odebrano mu wraz z zajęciem Corisandu i wygnaniem go z księstwa. Nie jest na tyle naiwny, by uwierzyć, że para cesarska zaufa komuś, kto był najbliższym doradcą Hektora, więc nawet gdyby przeszło mu przez myśl, aby ułożyć się jakoś z Caylebem i Sharleyan... aczkolwiek ani przez chwilę nie sądziłem, że tak może być... od razu by zrozumiał, że to bezcelowe. W najlepszym razie. W najgorszym bowiem Cayleb mógłby mu obiecać złote góry i rozprawić się z nim, jak już znalazłby się w jego zasięgu. Co więcej, eminencjo, w mojej opinii hrabia Corisu nie wierzy w ostateczne zwycięstwo Charisu. A nie jest człowiekiem, który by się wiązał ze stroną, która koniec końców przegra. Intuicja podpowiada mi, że jego rozbuchane ambicje wraz z wrodzoną lojalnością skłonią go do zwarcia szyków z Kościołem Matką. Nie zapominajmy, że Phylip Ahzgood jest pragmatykiem. - Seablanket wzruszył ramionami. - I że w służbie Hektora już dawno musiał zrozumieć, że czasem z konieczności trzeba iść na pewne... ustępstwa.

- Ach tak.

Rayno zastanawiał się nad słowami agenta przez kilka chwil. Sam kilkakrotnie z wielką obawą rozważał możliwość przystąpienia hrabiego Corisu do sojuszu z Caylebem. W końcu dysponował on księciem Daivynem, a Cayleb i Sharleyan - niech będzie przeklęta jej dusza - musieli sobie zdawać sprawę, jak cennym pionkiem w tej grze stał się następcą

Hektora. Z drugiej strony z takim posunięciem wiązało się ogromne ryzyko i Ahzgood z pewnością był świadom, co uczyniłby mu Kościół Matka, gdyby podjął jednak taką próbę i nie dopiął swego.

Wszelako arcybiskup nie pomyślał o dwóch pozostałych sprawach poruszonych właśnie przez agenta. Faktycznie było zgoła nieprawdopodobne, by Cayleb czy zwłaszcza Sharleyan zdecydowali się zaufać - choćby w ograniczonym zakresie - hrabiemu Corisu. Po pierwsze Sharleyan nigdy nie zapomni, że to on był głównym szpiegiem księcia Hektora w czasach, gdy zabito jej ojca, i że to on osobiście najmował zbirów - rzekomych piratów - którzy byli odpowiedzialni za morderstwo. Pomijając nawet te zaszłości, była jeszcze sprawa przekonania hrabiego Corisu co do tego, kto ostatecznie wygra toczącą się wojnę. A nikt nie miał wątpliwości, że - o ile nie zajdą nieprzewidziane okoliczności, które niespodzianie przechyłą szalę zwycięstwa - Charis nie ma szans w starciu z potęgą Kościoła Matki. Rayno przyznawał, aczkolwiek z wielką niechęcią, że jest możliwe, by Charis przetrwał gniew Kościoła, lecz był przy tym całkowicie pewien, że nic poza boską interwencją nie jest w stanie doprowadzić do pokonania Kościoła przez Charis. A z tego, co Rayno słyszał już wcześniej o Ahzgoodzie, mógł podejrzewać, że doszedł on do tych samych wniosków, które przed chwilą wyłuszczył mu Seablanket. Każdy zaś człowiek, który utracił to, na co pracował przez całe swoje życie, myśli przede wszystkim o tym, aby odzyskać choć część z tego, co mu zabrano.

*Warto to sobie zakonotować, pomyślał arcybiskup. Jak również to, iż ze wszystkich znanych mi raportów wynika, że Seablanket nie myli się też co do tego, że hrabia Corisu jest znacznie bystrzejszy od króla Zhamesa. Co oznacza, że szanse na to, iż zdecyduje się na jakieś nierozważne działania, spadają praktycznie do zera. Tak więc najmdirzejsze, co możemy zrobić, to zostawić go tam, gdzie jest, w charakterze opiekuna księcia Daivyna. Zakładając oczywiście, że nasz agent prawidłowo rozpracował jego charakter.*

Rozmyślał o tym wszystkim jeszcze przez chwilę, po czym otrząsnął się niezauważalnie. Trynair i Clyntahn z pewnością wyrobią sobie własną opinię na temat hrabiego w ciągu najbliższych paru pięciodni. Bez wątpienia będą polegać raczej na swoim wyczuciu aniżeli na ocenie kogoś trzeciego, niemniej nie zawadzi mieć na podorzędziu przygotowany raport, gdyby jednak poprosili go o radę.

Na razie odłożył tę kwestię, oznaczając ją w myślach „do rozważenia później”, po czym znów skupił uwagę na agencie.

- Zaiste wszystko to bardzo cenne obserwacje, panie Seablanket - powiedział. - Kilka z nich zasługuje na przedyskutowanie, co uczyniłbym tu i teraz, gdyby czas pozwalał. Jako że

jednak nagli, chciałbym usłyszeć, jakie w twoim odczuciu zdanie na temat Charisu wyrobił sobie książę Daivyn.

- Jak już wspomniałem, eminencjo, to tylko dziecko, w dodatku sierota. Nie mam cienia wątpliwości, że pomimo zaprzeczeń, jakie wystosował Cayleb z Sharleyan, mały książę wierzy, iż to oni są odpowiedzialni za śmierć jego ojca. Chyba więc nie ma niczego dziwnego w tym, że nienawidzi Cayleba każdym włókienkiem swojego ciała i że nie może być mowy o zaufaniu między nimi dwoma. Oczywiście zarówno król Zhames, jak i hrabia Corisu podsycali w nim te właśnie uczucia. - Seablanket ponownie leciutko wzruszył ramionami, co jak zdążył się przekonać arcybiskup, było typowym dlań gestem. - Naturalnie w jego położeniu uczucia takie mogą się przyczynić wyłącznie do zwiększenia jego szans na przeżycie. - Przy tym ostatnim zdaniu w głosie agenta pobrzmiewała ledwie wyczuwalna ironia.

Seablanket znów spojrzał prosto na arcybiskupa, a ten tym razem nie zdołał całkowicie się powstrzymać przed niechętnym uśmiechem uznania. Zdecydowanie trzeba wynaleźć następne odpowiedzialne zajęcie dla tego człowieka, pomyślał. Ma niestychany zmysł obserwacji oraz - co może nawet ważniejsze w wypadku szpiega - chętnie dzieli się swymi przemyśleniami ze zleceniodawcą. Chętniej, niżby Rayno mógł przypuszczać.

- Co zrozumiałe - podjął Seablanket po krótkiej przerwie - mały książę jest wystarczająco rozgniewany, aby chcieć uczynić krzywdę Caylebowi i Charisowi. Na razie jest tylko dzieckiem, jak już kilkakrotnie podkreślałem, niemniej w końcu dorośnie. Zanim osiągnie wiek męski... zakładając, że uda mu się unikać do tego czasu charisjańskich skrytobójców... będzie myślał wyłącznie o tym, jak zniszczyć Imperium Charisu i wszystko, co się z nim wiąże. Właściwie...

Wyllym Rayno rozparł się w fotelu i wytyczył słuch. Postanowił odwołać kolejne spotkanie. Uznał bowiem, że ostrość spojrzenia i celność obserwacji poczynionych przez agenta na corisandzkim dworze na wygnaniu w Talkyrze świadczy, iż warto również wysłuchać jego opinii na temat miast i prowincji, przez które on i hrabia Corisu przejechali po drodze do Świątyni. Rayno oczywiście był zasypywanymi raportami inkwizytorów i intendentów przemierzających lądowe królestwa, lecz nic nie zastąpi wyczulonego oka i bystrego umysłu prawdziwego agenta, który w dodatku dzięki wysokiej pozycji Ahzgooda obracał się w najwyższych sferach różnych okolic. Owszem, był tylko lokajem, lecz każdy szpieg wie, iż słudzy stanowią najlepszych agentów. Widzą i słyszą wszystko, sami nie będąc zauważani, gdyż ich panowie mają ich za elementy stałego krajobrazu, w najlepszym razie ruchome meble. Co przesądzało o wartości raportów agenta, którego arcybiskup z każdą

chwilą cenił coraz bardziej.

Nie mogę go stracić z oczu, powtarzał sobie w duchu Rayno. Szpiedzy, którzy potrafią myśleć, są zbyt rzadcy i zbyt cenni, by marnować ich na standardowe zlecenia.

\* \* \*

Rhobair Duchairn odchylił się na oparcie, pocierając ze znużeniem czoło. Jeszcze pół godzinki i będą sobie mogli zrobić przerwę na lunch. Nie mógł się tego doczekać, i to nie tylko dlatego, że rano nie przełknął nic na śniadanie. W głowie mu dudniło, uszy miał zatkane nawet bardziej niż przedtem (głos obecnego mówcy brzmiał tak, jakby wydobywał się z beczki pełnej wody), nade wszystko jednak łaknął chwili prywatności, aby zastanowić się nad wcześniejszym niespodziewanym spotkaniem z Hauwerdem Wylsynnem.

Aczkolwiek raczej nie mógł liczyć na to, że wyciągnięte wnioski podniosą go na duchu.

Poczuł, że zaczyna mu kapać z nosa, i mruknął pod nosem soczyste przekleństwo, średnio pasujące do jego eksponowanego stanowiska w wikariacie. Nie cierpiał używać chusteczki do nosa w obecności innych osób, wszakże w tym wypadku alternatywa była jeszcze gorsza. Sięgnął więc do kieszeni i...

...zamarł.

Przez sekundę nie drgnął mu nawet jeden mięsień, dopiero potem zmusił się do odprężenia, włókno po włóknie. Miał nadzieję, że nikt tego nie spostrzegł. Zastanowił się i doszedł do wniosku, że z pewnością nikt niczego nie zauważył. Mimo to dalej czuł się tak, jakby miał na plecach wyrysowaną wielką tarczę strzelniczą.

Przez kogoś, a może nawet przez siebie samego.

Opuszkami palców badał niewielką, lecz grubą kopertę, która jakimś cudem zagnieździła się pod jego chustką do nosa. Nie było jej tam, gdy rankiem opuszczał swoją komnatę, i na pewno nie włożył jej tam później. Prawdę powiedziawszy, przychodziła mu do głowy jedna tylko osoba, która znalazła się dość blisko niego, aby móc to zrobić bez zwracania na siebie uwagi.

Wszakże nie był w stanie wymyślić ani jednego podarunku od tejże osoby, który nie byłby dlań groźniejszy niż czysty cyjanek.

*Ciekawe, pomyślał skrawkiem umysłu. Jeszcze nigdy nie straciłem tak szybko apetytu.*

## .IV.

**AKADEMIA KRÓLEWSKA**  
**PAŁAC W TELLESBERGU**  
**KRÓLESTWO STAREGO CHARISU**

- Baron Morskiego Szczytu już tu jest, doktorze.

Doktor Rahzhyr Mahklyn podniósł wzrok znad leżących przed nim dokumentów, gdy Dairak Bowave zajrzał za próg jego gabinetu. Bowave był przyjaźnie usposobionym młodzieńcem, niewiele tylko starszym od cesarza Cayleba, dzielącym swój czas między gabinet doktora oraz akademicką bibliotekę, w której przesiadywał z zięciem Mahklyna, Aizakiem Kahnklynem. W tej ostatniej wszyscy mieli pełne ręce roboty. Udało im się wstępnie odtworzyć księgozbiór zgromadzony w pierwotnej siedzibie uczelni, która spłonęła doszczętnie przed jedenastoma miesiącami, wszelako stanowił on zaledwie ułamek dawnej kolekcji, a katalogowanie i rozmieszczanie napływających wciąż materiałów było nie lada wyzwaniem.

Aczkolwiek - o czym nie wiedzieli Bowave z Aizakiem i nie mogli się dowiedzieć - Mahklyn miał obecnie dostęp do czegoś, przy czym pierwotne zbiory biblioteki Akademii Królewskiej wydawały się nie mieć znaczenia.

- Zaproś barona, Dairaku - powiedział doktor.

- Oczywiście. - Bowave uśmiechnął się, skinął głową i zniknął, Mahklyn zaś zaczął schludnie składać zapisane odręcznie kartki.

Wspomniane wyżej notatki pochodziły od Sahndrah Lywys. Mahklyn przeglądał je, przygotowując się do tego spotkania, i nie mógł wyjść z podziwu, jak jasne mu się zdają... obecnie. Charakter pisma doktor Lywys nie pozostawiał nic do życzenia pod względem przejrzystości - można nawet powiedzieć, że był elegancki - lecz nie brakowało mu zawijasów, a krótkowzroczność Mahklyna - „miopia”, jak mówił o niej Merlin Athrawes - pogłębiała się z każdym rokiem. Pomimo najlepszych nawet soczewek, jakie udało się dla niego przyciąć, coraz trudniej było mu odczytać słowo drukowane. Przynajmniej do niedawna. Ostatnio bowiem „soczewki kontaktowe”, które Merlin mu przekazał do pary z „komunikatorem”, w zadziwiający sposób naprawiły jego wzrok i ostrość widzenia. Do tego stopnia, że Mahklyn przypuszczał, że nigdy - nawet w czasach dawno minionej młodości - nie widział tak dobrze. Naturalnie owa dawno miniona młodość należała do tak zamierzchłej przeszłości, że pamięć w pewnych sprawach mogła być zawodna, niemniej faktem pozostawało, że teraz widzi wszystko bardzo wyraźnie również w słabym świetle. Może nie aż w tak słabym w jakim widział Merlin Athrawes, lecz bez wątpienia był w stanie zobaczyć

coś w warunkach znacznie gorszych niż widział przeciętny człowiek.

- Baron Morskiego Szczytu, doktorze - zaanonsował Bowave, przepuszczając do środka dużego i zalanego słońcem pomieszczenia raczej niskiego puzatego oficera w błękitnej tunice i luźnych czarnych spodniach, czyli umundurowaniu marynarki wojennej Imperium Charisu.

- Ahlfrydzie! - Doktor wstał zza biurka, wyciągając prawą rękę do gościa. Po chwili obaj mężczyźni ściskali się za przedramiona.

Poznali się niedługo przed tym, zanim w Charisie pojawił się Merlin, jednakże w ciągu minionych trzech lat stali się jądrem wąskiej, aczkolwiek wolno się powiększającej grupki doradców i wynalazców, których gromadził wokół siebie cesarz Cayleb. W przeciwieństwie do Mahklyna baron Morskiego Szczytu nie znał całej prawdy o *seijinie*. Ani też o walce na śmierć i życie toczącej się pomiędzy Charisem i Grupą Czworka. Nie znaczyło to bynajmniej, że nie oddaje mimo to wielkich zasług, ratując Koronę przed upadkiem.

*Ale jeśli Byrkytowi uda się w końcu przekonać resztę bractwa, dopuścimy go do wewnętrznego kręgu. Najwyższa już na to pora,* pomyślał Mahklyn, srożąc się w duchu.

- Rahzhyrze. - Sir Ahlfryd Hyndryk odwzajemnił powitanie z nie mniej szerokim uśmiechem. - Cieszę się, że znalazłeś dla mnie czas.

- Wolę nie myśleć, co by powiedział jego cesarska mość, gdybym nie znalazł dla ciebie czasu, którego gwoli szczerości ledwie mi starcza. - Machnięciem ręki zaprosił barona do zajęcia miejsca na fotelu ustawionym przed biurkiem. - A jeśli nawet nie jego cesarska mość, to jej cesarska mość z pewnością.

Mahklyn dodał ostatnie zdanie z wielkim uczuciem, co baron Morskiego Szczytu usłyszał i skomentował cichym śmiechem. Cesarzowa Sharleyan interesowała się osobiście wieloma jego projektami. Nie tylko w lot chwyciła korzyści i implikacje natury technicznej wynikające z jego starań, ale także dzięki giętkiemu i niezwykle aktywnemu umysłowi zdołała podpowiedzieć parę cennych rozwiązań. Wśród wspólnej pracy tych dwoje połączyła prawdziwa przyjaźń.

- Aczkolwiek zgodziłem się z tobą spotkać bynajmniej nie z obawy przed cesarskim gniewem - kontynuował Mahklyn. - Nie czytam na bieżąco wszystkich wiadomości od ciebie, Ahlfrydzie, lecz mam na tyle rozeznania, by wiedzieć, że razem ze swoimi pomocnikami z Heleny wzbudzasz nowe bałwany na naszym morzu. I bardzo dobrze.

- Robimy, co możemy - przyznał baron Morskiego Szczytu. - Niestety tempo naszych prac spadło, odkąd kapitan Athrawes opuścił granice królestwa. - Posłał naukowcowi podejrzliwe spojrzenie, cywil jednak był już przyzwyczajony do tego, że puzaty komandor



przy każdej okazji próbuje się dowiedzieć czegoś więcej o Merlinie.

- Rzeczywiście, kapitan wpływa na nas... pobudzająco - odpowiedział krótko.

- Nie wiedziałem, że niedomówienie jest twoją mocną stroną - zauważył baron z mdłym uśmiechem na twarzy.

- My, uczeni, prędzej czy później zaczynamy być mistrzami języka - stwierdził Mahklyn, odpowiadając podobnym grymasem, po czym odchylił się na oparcie swego krzesła. - Ale mów, co kazało ci opuścić Królewską Przystań?

- Przede wszystkim, o czym zdaje się napomknąłem w swoim liście, pragnę spotkać się z doktor Lywys. Mam do niej kilka pytań. Jednakże zamierzam również poinformować cię szeroko o tym, czym obecnie się zajmujemy...

Mahklyn pokiwał głową. Zważywszy na to, że poszukiwanie wiedzy zawsze niebezpiecznie graniczyło z łamaniem Zakazów Jwo-jeng, szczególnie w oczach niektórych duchownych, w przeszłości - jeszcze za panowania starego króla Cayleba I - uznano, że rozdzielenie Korony od Akademii Królewskiej będzie dobrym pomysłem, a Mahklyn, stanowiąc na czele uczelni, nie zamierzał zmieniać tego stanu rzeczy, który nawiasem mówiąc, zakrawał już na tradycję.

Przynajmniej do czasu, aż podpalacze zniszczyli dawną siedzibę Akademii Królewskiej i nieomal doprowadzili przy tym do śmierci Mahklyna. Wówczas cesarz Cayleb - będący wtedy nadal królem Caylebem - uznał, że pora skończyć z tym nonsensem. Przeniósł siedzibę uczelni do pałacu, przypisał odpowiedzialność za jej bezpieczeństwo swojej gwardii i wprowadził niejakiego Rahzhyra Mahklyna do Kręgu. Jedną z widomych oznak tych zmian było mianowanie go szefem Imperialnej Rady Naukowej, po tym jak stworzyła ją cesarzowa Sharleyan.

- No to informuj - rzucił teraz doktor Mahklyn, splatając dłonie za głową i odchylając się jeszcze bardziej.

- Ehm - odchrząknął baron Morskiego Szczytu. - Po pierwsze, nareszcie udało mi się zorganizować zespół eksperymentalny, o który od tak dawna się starałem. Przyznaję, że trochę to trwało, zanim znalazłem odpowiedniego człowieka na stanowisko kierownicze. Przypomnij mi, bo nie pamiętam... Czy miałeś przyjemność poznać komandora Mahndrayna?

- Mahndrayna? - powtórzył powoli uczony, wyężdżając pamięć. W pewnej chwili zmrużył oczy. - Wysoki, chudy młodzieniec o czarnych włosach? Sprawiający wrażenie, jakby miał owsiki?

- Nie jestem pewien, czy posłużyłbym się takim samym opisem... - Baron skrzywił wargi w uśmiechu, lecz zdołał się powstrzymać przed głośnym śmiechem. - Choć to prawda,

że straszny z niego wiercipięta, więc chyba mówimy o tym samym człowieku.

Mahklyn skinął głową, mimo że określenie „wiercipięta” nie oddawało w pełni ruchliwości mężczyzny, którego zapamiętał. Osobiście odniósł wrażenie, że Mahndrayn to ktoś, kogo przepelnia - by nie powiedzieć: rozsadza - nadmiar energii. Pozornie, z wyglądu, stanowił on dokładne przeciwieństwo barona Morskiego Szczytu, lecz doktor Mahklyn dopatrywał się znacznie głębszych podobieństw łączących obu tych wojskowych.

- W każdym razie - podjął baron Morskiego Szczytu - wyznaczyłem Urvyna... bo tak Mahndrayn ma na imię... na przewodnika grupki moich najbystrzejszych podwładnych. Kazałem mu sprawdzić wszystkie znane nam dotychczas fakty.

- Wszystkie znane nam dotychczas fakty? - Mahklyn uniósł jedną brew, na co baron potaknął skinieniem.

- Owszem. Rzecz w tym, Rahzhyrze, że zmiany w ostatnich latach następowały bardzo szybko, tak szybko, że nie sposób było ich wszystkich odnotować. Och - machnął lewą dłonią, tą, w której brakowało dwóch palców od czasu pamiętnego wypadku z prochem strzelniczym - zgadzam się, że wyprzedziliśmy całą resztę. Lecz posuwaliśmy się do przodu tak prędko, że musieliśmy coś przeoczyć, czegoś nie dopatrzeć. Dlatego właśnie poprosiłem Urvyna, aby przyjrzał się wszystkiemu świeżym okiem. Zlustrował to, co udało nam się osiągnąć, i ocenił, czy mogliśmy coś zrobić lepiej, niż faktycznie zrobiliśmy. Bądź też, spoglądając z dzisiejszej perspektywy, czy mogliśmy dokonać innych, lepszych, korzystniejszych wyborów. Gdybyśmy tylko mieli więcej czasu...

- Rozumiem... - Mahklyn kiwał się na krześle, rozważając usłyszane przed chwilą słowa barona Morskiego Szczytu. Im dłużej nad nimi myślał, tym słuszniejsze mu się zdawały.

*Właściwie sam powinienem był o czymś takim pomyśleć, i to całe miesiące temu, stwierdził w duchu. Ciekawe, czemu na to nie wpadłem?... Sarknął bezgłośnie. Po co pytasz, skoro wiesz? Nie proponowałeś niczego takiego, ponieważ znasz całą prawdę o seijinie. Wiesz o „danych komputerowych” Sowy, a zatem wiesz również, że Merlin ma wszystkie odpowiedzi na wyciągnięcie ręki. Dlatego założyłeś, że zawsze podsuwał ci najlepsze rozwiązania różnych problemów.*

*A przecież cel przyświecający Merlinowi świadczy dobitnie, że wcale nie musiał on zawsze podsuwać nam najlepszych rozwiązań, nieprawdaż? Seijin chce nas zmusić do wysiłku, do odkrycia drzemiącego w nas potencjału, dzięki któremu znajdziemy odpowiedzi sami, bez prowadzenia za rączkę... Mahklyn potrząsnął niezauważalnie głową. I ma świętą rację: musimy w sobie rozwinąć i kultywować samodzielne myślenie, aczkolwiek domyślam*

*się, że dla niego przyglądanie się, jak błądzimy po omacku, musi być niezwykle frustrujące. Szczególnie gdy idzie o sprawy naprawdę ważne, a być może w ostatecznym rozrachunku krytyczne, bez względu na to, jakimi się zdają w chwili obecnej.*

Ogromny szacunek, który żywił dla mężczyzny będącego niegdyś Nimue Alban, podniósł się o poprzeczkę.

- To naprawdę doskonały pomysł - powiedział na głos, skupiając znów uwagę na baronie Morskiego Szczytu. - Czy są już jakieś wyniki?

- Wygląda na to, że tak. Niektóre rzeczy będę jeszcze musiał omówić z admirałem Wyspy Zamek i Dustynem Olyvyrem, ale już teraz mogę powiedzieć, że być może poczynimy pewne zmiany w budowie następnych galeonów. - Potrząsnął głową z wyrazem smutku na twarzy. - Sądzę, że właściwie nie powinno to być powodem do zdziwienia, zważywszy na to, że postawiliśmy całą naszą wiedzę o budowie okrętów na głowie, lecz jeśli Urvyn i jego zespół się nie mylą, wszystko wskazuje na to, że popełniliśmy grzech przesady, i to na wielu płaszczyznach. Zespół eksperymentalny kontynuuje również bardziej szczegółowe badania artylerii, które starałem się nadzorować przez ostatnie półtora roku. - Ponownie potrząsnął głową i tym razem w jego oczach pojawiło się znużenie. - Właśnie dlatego tak mi zależało na powołaniu do istnienia tego zespołu, Rahzhyrze. Najzwyczajniej w świecie dzień ma za mało godzin, abym mógł mieć baczenie na wszystko. Już przed paroma miesiącami zdałem sobie sprawę, że usiłując wszystko kontrolować, spowalniam procesy, które bez mojego udziału toczyłyby się sprawniej. Jestem pewien, że Urvyn i jego ludzie znacząco dopomogą.

- W zupełności popieram pomysł, aby zmniejszyć zakres twoich obowiązków - odezwał się łagodnie Mahklyn. - Zastanawiałem się nad tym przed naszą rozmową i miałem nadzieję, że uda mi się ciebie przekonać do czegoś podobnego. Ale ze wstydem przyznaję, że mnie ubiegłeś.

- Cóż, wszyscy mamy natłok spraw na głowie - zauważył baron Morskiego Szczytu.

- To prawda - potaknął doktor Mahklyn.

Był zdania, że podobne wycofanie się z pierwszego szeregu działań musi być niezwykle trudne; Zwłaszcza dla kogoś, kto jest tak dobry w tym, co robi. Z pewnością więc dobrowolne wyrażenie zgody, aby ktoś inny stanął pomiędzy nim a jego pracą przyszło baronowi, człowiekowi kompetentnemu i kochającemu swoje zajęcie, z wielkim trudem.

- Wracając do tematu... Sądzę, że w ciągu najbliższego pięciodnia urodzi się pierwszy oficjalny raport adresowany do ciebie i do Rady Naukowej. To była pierwsza ze spraw, które chciałem poruszyć w rozmowie z tobą. Druga wiąże się z prawdziwym powodem, dla którego

chcę wypytać jeszcze dziś doktor Lywys o parę rzeczy... Otóż kiedy Urvyn zajmował się swoimi badaniami, ja nagle miałem czas pochylić się uważniej nad kwestią naszej artylerii...

- No i? - Mahklyn nagłym ruchem wyprostował oparcie krzesła, kładąc przedramiona na podłokietnikach i splatając palce przed sobą.

- No i najwyraźniej nowa mieszanina opracowana przez doktor Lywys zapowiada się obiecująco.

Baron Morskiego Szczytu uśmiechnął się promiennie, a Mahklyn odpowiedział mu szerokim uśmiechem. Sahndrah Lywys była starszym chemikiem Akademii Królewskiej, aczkolwiek Rahzhyr, mając dostęp do komputerowej biblioteki Sowy, powinien ją określić raczej mianem „alchemika”. Pracownicy Akademii Królewskiej dążyli do opracowania metody naukowej z prawdziwego zdarzenia nawet przed tym, jak Merlin pojawił się w Charisie, lecz obostrzenia zawarte w Piśmie przez Erica Langhorne’a i Adorée Bédard czyniły to... trudnym, delikatnie mówiąc. A także niebezpiecznym.

Tworząc Kościół Boga Oczekiwanego, Langhorne i Bédard wiedzieli, że zwykłe poinformowanie ludzi, czego Stwórca im zabrania, nie wystarczy, aby okiełznać ludzką ciekawość, i dlatego zaprezentowali cały szereg „cudownych” wyjaśnień rozmaitych zjawisk, które w przeciwnym razie jątrzyłyby ludzkie umysły i zmuszały do zadawania pytania: „Dlaczego?” Podsuwając owe wyjaśnienia, poparte autorytetem archanielskim - a zatem zarazem również boskim - w genialny sposób obeszlą problem, ucinając wszelkie pytania o przyczyny zachodzących w świecie zjawisk. I nic dziwnego, skoro powątpiewanie w podane odgórnie wyjaśnienia czy ich podważanie równałoby się rzuceniu wyzwania Bogu i majestatowi Kościoła Matki, na co raczej nie poważylby się nikt wychowany w cieniu Inkwizycji.

Z drugiej strony w całym Piśmie roiło się od miejsc prowokujących potencjalnie niebezpieczne pytania, głównie w zakresie dotyczącym udanej kolonizacji planety, na której pierwotnie ludzkość nie miała prawa mieszkać. Merlin nazywał ten proces „terraformingiem”, a było to zadanie przekraczające możliwości nierozwiniętej technologicznie cywilizacji.

A przy tym postawiło archaniołów przed pewnym dylematem. Pierwsi koloniści (i ich potomkowie) musieli dysponować przynajmniej niektórymi zaawansowanymi narzędziami, jeśli mieli się rozprzestrzenić ze swoich enklaw, zaludnić całą planetę i - co najważniejsze - przeżyć na Schronieniu. Co przecież było głównym celem istnienia kolonii. Nawet szaleńcy pokroju Langhorne’a i Bédard musieli to rozumieć! Gdyby narzędzia te nie były dostępne od samego początku, rychło wzbudziłyby w Adamach i w Ewach innowacyjność, której ci dwoje starali się za wszelką cenę zapobiec. Tym samym „archaniołowie” zostali zmuszeni do

przekazania „natchnionych przez Boga” instrukcji w sprawach hodowli zwierząt, nawożenia, higieny, zasad pierwszej pomocy, prymitywnych technik tkackich oraz szeregu innych niezbędnych umiejętności technicznych.

To, że owe instrukcje sprawdzały się bez pudła w każdej sytuacji, tylko utrwalało przekonanie o ich „cudowności” i cementowało nienaukowy światopogląd, który obowiązywał na Schronieniu przez tyle stuleci. Ludzie pozostali jednak ludźmi. Zawsze znaleźli się bardziej dociekliwi, tacy, co musieli wszędzie włożyć palec, zrozumieć wszystko dokładniej, i koniec końców pomimo czujnego oka Inkwizycji obserwującego te poszukujące wiedzy niesforne jednostki czasem stawiano istotne pytania.

Wszakże rozwój metody naukowej zdawał się toczyć w tempie procesów geologicznych, nawet na Akademii Królewskiej. Gdy do władzy doszedł król Haarahld VII, sprawy nieco przyspieszyły i - przede wszystkim - zyskały akceptację, przynajmniej w Charisie. Co jak podejrzewał doktor Rahzhyr Mahklyn, mogło mieć coś wspólnego z osobistą i zażartą nienawiścią Zhaspyra Clyntahna do tego odległego królestwa.

Od przybycia Merlina - i początków eskalacji konfliktu między Charisem i Grupą Czworoga - sprawy nabrały tempa. Doktor Sahndrah Lywys była jednym z bardziej oddanych bojowników o postęp, mimo że jej wiedza o chemii ograniczała się w zasadzie do kwestii empirycznych. Wiedziała, co się stanie podczas określonych reakcji chemicznych i jak wytworzyć spore ilości użytecznych związków chemicznych, lecz nie miała pojęcia (przynajmniej na razie), dlaczego zachodzą poszczególne reakcje ani jak są zbudowane określone związki. Mahklyn czuł pewność, że to się zmieni, i to już w najbliższej przyszłości. W gruncie rzeczy już się zmieniało, aczkolwiek wszystkie odpowiedzi, na które liczył tego dnia baron Morskiego Szczytu, nadal miały wynikać z wiedzy czysto doświadczałnej.

- Ta mieszanina, o której wspomniałem, wcale nie jest trudniejsza do wytworzenia niż zwykły proch strzelniczy - ciągnął komandor. - W pewnych sytuacjach trzeba się z nią obchodzić delikatniej, w innych przeciwnie. Dobra wiadomość jest taka, że wiele składników potrzebnych do jej wytworzenia można znaleźć w składach producentów nawozów. Zła natomiast wynika z tego, że podobnie jak w wypadku prochu produkcja bywa niebezpieczna. - Prychnął rozbawiony. - I chyba nic dziwnego, zważywszy, że przecież chodzi o sprokurowanie czegoś, co będzie się zapalało od potarcia. Co też czyni!

- Z nazbyt wielką łatwością? - zapytał niespokojnie Mahklyn.

- Nie. Skądże znowu. - Baron Morskiego Szczytu pokręcił głową. - W istocie mieszanina wydaje się doskonała, przynajmniej na ładunki artyleryjskie. Urvyn przeprowadza właśnie testy. Oczywiście nie mamy wystarczającej liczby łusek, jako że Ehdwyrd i jego

zespół robi każdą z nich specjalnie na nasze potrzeby, ale na szczęście Urvyn wpadł na genialny pomysł, jak zbadać ich plany, i wyniki są naprawdę, ale to naprawdę zachęcające, Rahzhyrze.

Mahklyn skinął głową. Koncept, o którym właśnie wspomniał baron, był częściowo dziełem cesarzowej Sharleyan.

Komandor wpadł na pomysł wykorzystania zapalającej się od potarcia substancji umieszczonej wewnątrz zamkniętej tuby.

Zdał sobie bowiem sprawę, że najsensowniejszym sposobem na detonowanie tego rodzaju amunicji będzie wypełnienie pocisku odpowiednio spreparowanym materiałem wybuchowym i umieszczenie w jego wnętrzu żelaznej kuli, która po uderzeniu wystrzelonego pocisku w cel przeleci przez jego wnętrze, odpalając właściwy ładunek i doprowadzając do jego eksplozji.

Ale to Sharleyan zaproponowała, aby ową kulę zamocować na kawałku drutu, który pękałby podczas wystrzeliwania pocisku. Tym sposobem można było zabezpieczyć amunicję przed przypadkowym wybuchem, zanim jeszcze opuści lufę działa. W chwili odpalenia siła przyspieszenia zerwie drut, kula przeleci na tył pocisku - niepokryty mieszkanką eksplodującą - i zostanie tam do momentu, aż pocisk trafi w cel. Wtedy kula, nietrzymana już przez nic - drut bowiem został zerwany - przeleci na część czołową, uderzy w materiał wybuchowy i... Bum!

To było proste, ale zarazem eleganckie rozwiązanie... o ile ktoś zdoła wyprodukować odpowiednią substancję zapalającą. Nauka znała wiele materiałów, które zapalały się podczas tarcia albo wstrząsu, problem polegał jednak na tym, że należało znaleźć taki, na jakim można zawsze polegać: bardzo stabilny, a więc nie eksplodujący w najmniej spodziewanym momencie. Do poszukiwań takiej substancji oddelegowano Sahndrah Lywys, a ona natychmiast sięgnęła po Pismo, aby szukać w Zakazach, czego można użyć, a czego nie, opierając się rzecz jasna na opisach „terraformingu” archaniołów. Dla przykładu, fosfor produkowano od Dnia Stworzenia jako składnik nawozów i chociaż żaden z mieszkańców Starej Ziemi nie produkowałby go w tak prymitywny sposób, to jednak tutaj, na Schronieniu, było to całkiem normalne. Nie był to jednak wyłączny związek chemiczny, którego stosowanie zalecał Kościół Matka. Saletry używano zarówno przy produkcji nawozów, jak i przy konserwowaniu żywności a „Łzy Schuelera” (które obywatel Federacji Terrańskiej określał mianem kwasu azotowego) stosowano w metalurgii jako czynnik czyszczący albo do usuwania brudu z rur.

Nikt jednak nie znał natury procesów chemicznych, podczas których produkowano

owe związki. Dzięki temu mieszkańcy Schronienia nie potrafili rozpoznać potencjalnych zagrożeń, które mogły doprowadzić do śmierci wielu ludzi na przestrzeni tych kilku stuleci. Co gorsze - oczywiście z punktu widzenia Langhorne'a - gdyby ludzie zaczęli ginąć od zesłanych im przez archaniołów darów, zapewne zaczęłoby się kwestionowanie słuszności poczynań boskich pomocników... albo co jeszcze gorsze, szukanie alternatywnych środków. A od tego byłoby już blisko do wynalazków, które przewróciłyby cały misterny plan zarządcy kolonii.

Aby uniknąć podobnych wpadek, „archaniołowie” przestrzegli swoje owieczki w Piśmie przed niebezpieczeństwem wybuchów oraz innymi potencjalnymi zagrożeniami, jeśli ktoś nie zachowa należytej ostrożności. Dla przykładu, biały fosfor był prostszy do wyprodukowania niż czerwony, ale Pismo zabraniało jego używania do wielu celów, obkładając go klątwą Płonącej Szczęki. Mahklyn dowiedział się dopiero po zapoznaniu z bibliotekami Sowy, że owa osławiona klątwa archanioła Pasquale nie jest niczym nadprzyrodzonym. W rzeczywistości było to schorzenie znane na Starej Ziemi jako martwica fosforowa kości żuchwy, które było naturalną konsekwencją zbyt częstego wdychania oparów białego fosforu. To nie mściwy archanioł stał za obumieraniem kości i nie on sprawiał, że zaczynały świecić w ciemnościach... co prowadziło do pewnej śmierci, jeśli nie amputowano ich w porę.

Płonąca szczeka była tylko jednym z przykładów „klątw”, jakie czekały na tych, którzy pogwałcą Zakazy ustanowione przez archaniołów. Do tego dochodziły rozmaite zarazy - które wybuchały co jakiś czas, gdy ludzie zapominali o nakazie utrzymywania higieny osobistej, skorbut albo krzywica nękające tych, którzy odżywiali się nie tak, jak polecało Pismo. Istniały setki podobnych klątw i związanych z nimi „religijnych praw”, które dotyczyły niemal każdego aspektu życia mieszkańców Schronienia.

Lywys wytropiła wszystkie zakazy karane spontanicznym samozapłonem albo eksplozjami „Gniewu Archaniołów” i dzięki nim sporządziła listę potencjalnych materiałów wybuchowych. Aktualnie pracowała z baronem Morskiego Szczytu nad związkami, które były znane chemikom jako: chlorek potasu, siarczek antymonu, klej roślinny czy krochmal.

- Na razie mamy jeden niewypał na tysiąc wystrzelonych pocisków - kontynuował tymczasem baron Morskiego Szczytu. - Zalecenia doktor Lywys dotyczące metod granulowania prochu, które Merlin nazywa „kontrolą jakości”, okazały się nader skuteczne. - Pokręcił głową i uśmiechnął się, ale raczej kwaśno. - Byłem bardzo dumny z jakości i konsystencji naszego prochu - przyznał. - Głównie dlatego, że porównywałem go z tym gównem, które produkuje się wszędzie indziej. Niemniej każda partia dostarczonego produktu

różni się nieco od poprzedniej. Doktor Lywys twierdzi, że dzieje się tak, ponieważ nie dostajemy idealnie czystej saletry i węgla drzewnego, a nawet, jak się okazuje, siarki, której używamy do produkcji prochu. Zdołała jednak doprowadzić do znaczących postępów na tym polu, głównie kontrolami i tak fanatycznym podejściem do standardów, że nawet Jwo-jeng byłaby nim usatysfakcjonowana. Zaproponowała także znakomitą metodę sprawdzania każdej partii dostarczonego prochu. Wystrzelujemy kontrolne pociski z zablokowanego w jednej pozycji działa i mierzymy odległość, na którą dolatują. To pozwala nam na porównanie jej z osiąganymi uzyskiwanymi przy użyciu standardowego ładunku. Nawet marny kanonier dzięki tej klasyfikacji będzie w stanie wziąć właściwą poprawkę i poprawić celność.

- Tak, to mi wygląda na robotę Sahndrah - przyznał Mahklyn, uśmiechając się pod nosem.

- To nie jedyna jej uwaga, która prowadzi do nader... interesujących implikacji - zapewnił go baron.

- Jakiego rodzaju implikacji? - zapytał lekko zaniepokojony naukowiec.

- Cóż, dawno temu, gdy Merlin sugerował nam używanie granulowanego prochu, twierdził, że ten rodzaj materiału wybuchowego jest mocniejszy, ponieważ między ziarnami znajduje się więcej powietrza, a to oznacza większą łatwość palenia, i faktycznie taki proch spala się naprawdę szybko, a co więcej, całkowicie. Doktor Lywys twierdzi jednak, że to nie do końca prawda.

- Naprawdę? - zapytał Mahklyn, próbując nie robić zdziwionej miny.

- Naprawdę - odparł baron Morskiego Szczytu. - Jego słowa opisały z grubsza konsekwencje tej zmiany. Sądzę, że nie wgłębiał się w dalsze szczegóły, żebym mógł go lepiej zrozumieć. Zgodnie jednak z opinią doktor Lywys, a także moimi eksperymentami nad ustabilizowaniem prędkości spalania w spłonkach, drobnoziarnisty proch pali się szybciej niż gruboziarnisty, tyle że ten drugi ma większą moc. Zanim rozpoczęliśmy produkcję granulowanego prochu, potrzebowaliśmy trzydziestofuntowego ładunku do wystrzelenia kuli o tej samej wadze z długolufowego działa. Dzisiaj wykorzystujemy dziewięćipółfuntowe ładunki. To pokazuje, jak bardzo wzrosła ich moc, mimo że proch pali się wolniej, ponieważ granulaty jest bardzo gruby. Dlatego uważam, że Merlin powiedział mi prawdę, mimo iż twierdził coś zupełnie przeciwnego.

- Słucham? - Mahklyn zrobił wielkie oczy, na co baron zareagował śmiechem.

- Granulowanie prochu pomaga w utrzymaniu odpowiedniej ziarnistości i ułatwia procedury kontrolne, o których tyle mówił nam *seijin*. Najważniejsze jest jednak to, że proces ten zapobiega oddzielaniu się składników. No i granulaty tak łatwo nie zamoknie. Zwłaszcza



teraz, gdy glazurujemy ziarna zgodnie z sugestiami doktor Lywys. Inna sprawa to odsłonięcie większej powierzchni, by proch spalał się jednorodnie. To ważne, ponieważ ograniczamy w ten sposób ilość niespalonych ziaren, które są wypychane z lufy eksplozją. Innymi słowy, mimo że prędkość spalania jest mniejsza, zyskujemy na symultanicznym zapłonie, co oznacza, że spala się go więcej na krótszym odcinku lufy. Dzięki temu zostaje też mniej nagaru. Czy teraz wyraziłem się jaśniej?

- Szczerze mówiąc, tak - przyznał Mahklyn, wolno cedząc słowa.

- Moim skromnym zdaniem Merlin, z sobie tylko znanych powodów, dał nam szansę, abyśmy sami do tego doszli.

- Chyba masz rację - zgodził się naukowiec, udając, że nie dostrzega badawczego spojrzenia rzuconego przez komandora.

- Cóż - mruknął baron Morskiego Szczytu, widząc, że jego rozmówca nie chwycił przynęty. - Jedyne, czego nie przewidziałem przed ponownym rozważeniem tego problemu z Urvynem i doktor Lywys, to fakt, że robiąc granulaty większej średnicy, uzyskamy mocniejsze eksplozje lżejszych ładunków.

- A to oznacza większe ciśnienie w lufie - dodał zamyślony Mahklyn.

- Możesz mi wierzyć, że przemyśleliśmy i ten aspekt sprawy. - Komandor przewrócił oczami. - Dobra wiadomość jest taka, że otrzymałem właśnie kolejny list od Howsmyna, w którym powiadomił mnie, że zdaniem jego mechaników, użycie drutu do wzmocnienia konstrukcji luf będzie idealnym rozwiązaniem. Stwierdził przy okazji, że wyprodukowanie tak ogromnych ilości drutu będzie prawdziwym problemem, ale już pracuje nad nowszymi ciągarkami oraz nawijarkami, które pozwolą na równomierne kładzenie mocno naprężonego drutu, i jest pewien, że uda mu się je wyprodukować... już niedługo. Do tego zawiadomił mnie, że zaczyna produkcję dział, które będą lżejsze, silniejsze i o niebo tańsze. Niestety, będzie to możliwe dopiero za rok, a do tego czasu wszystkie moce przerobowe naszych odlewni będą zbyt małe jak na potrzeby naszej marynarki wojennej. Budujemy nowe okręty szybciej, niż jesteśmy w stanie odlewać dla nich działa, dlatego nie jest pewien, czy przejście na nowy system nie rozwali mu całkiem starego harmonogramu. A do tego dochodzą jeszcze wszystkie te drobne problemy z produkcją i napełnianiem łusek z zachowaniem rygorów kontroli jakości, aby były bardziej niebezpieczne dla wroga niż dla nas.

- Wspaniale.

- Mogło być gorzej - zapewnił go baron Morskiego Szczytu. - Przynajmniej uporamy się z problemem unifikacji i ulepszania prochu, zanim jego zakłady rozpoczną masową produkcję nowej amunicji.

- Rozumiem. - Tym razem Mahklyn skinął głową z aprobatą. - Czy to właśnie zaproponowała wam Sahndrah?

- O, nie. - Potrząśnięcie głowy barona zaskoczyło go. - Jeśli mam być szczery, ona raczej sugerowała nam, czego mamy nie robić.

- Jeśli twoim zamiarem było namieszanie mi w głowie, znakomicie ci się to udało, Ahlfrydzie - powiedział z wyczuwalnym przekąsem Mahklyn, na co komandor zareagował wybuchem śmiechu.

- Wybacz! Chciałem tylko powiedzieć, że doktor Lywys jest bardzo... konkretną kobietą. Przesłała nam pełną listę materiałów, których moglibyśmy używać do produkcji zapalników i pocisków. To nas satysfakcjonowało aż do teraz, ponieważ pomagało załatwić problem. Ale to tylko jeden z wielu, jakie przed nami stoją. Jak słusznie sama zauważyła, sporo związków z jej listy jest bardzo niestabilnych albo zbyt czułych, choć nikt nie wie dlaczego.

- To zabrzmiało jak jeden z jej ulubionych tekstów - rzucił Mahklyn, uśmiechając się pod nosem.

- Na liście znalazło się coś, co nazwała „rtęcią piorunową”... - Komandor bacznie obserwował starego naukowca, ale ten nie okazał żadnej reakcji prócz zdawkowego przytaknięcia. - Ostrzegła nas, że owa rtęć piorunowa jest zbyt czuła jak na wsad do czegoś tak żwawego jak... pocisk artyleryjski. Sprawdziliśmy to, z zachowaniem wszelkich wymogów ostrożności, i zgodziliśmy się w pełni z jej wnioskami, lecz kilka dni temu jeden z naszych młodych oficerów zaproponował, by mimo niestabilności dyskwalifikującej ten związek w artylerii użyć go do odpalania naboju w karabinach. Dzięki temu można by wyeliminować zamki skałkowe.

Mahklyn pozwolił swojemu fotelowi na wyprostowanie, nie próbując nawet ukryć nagłego wzrostu zainteresowania. „Rtęć piorunowa”. Na Starej Ziemi zwana piorunianem rtęci, była jednym z tych związków chemicznych, z którymi chciał mieć jak najmniej wspólnego, już choćby z powodu zagrożeń dla zdrowia. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że substancja ta miała wiele interesujących właściwości, dzięki którym na Starej Ziemi przez dłuższy czas była stosowana w amunicji do broni palnej. Odkrył to na własną rękę, grzebiąc w archiwach Sowy podczas jednej z tych feralnych nocy, gdy stare kości nie dawały mu spać. Istniały jednak inne, znacznie bezpieczniejsze sposoby na osiągnięcie tego samego celu, ten jednak miał nad nimi istotną przewagę - znajdował się tu i teraz, na wyciągnięcie ręki, jeśli tylko ktoś będzie miał tyle rozumu w głowie, że zdoła dostrzec wszystkie implikacje. Gdy przeglądał raporty doktor Lywys, zaczął mieć wątpliwości, czy zwrócenie jej uwagi na

niektóre z nich nie było błędem. Czy to możliwe, że...?

- Mów dalej - ponaglił barona.

- Ta substancja jest tak czuła, że wystarczy ją upuścić, by wybuchła, a to może sprawić nam wiele problemów - powiedział jego rozmówca, dla wzmocnienia efektu pochylając się i pokazując okaleczoną dłoń. - Aczkolwiek jestem pewien, że uda nam się rozwiązać większość z nich. A jeśli to zrobimy!... Rahzhyrze, będziemy mogli je detonować nawet pod wodą! Jeśli rozgryziemy ten problem, nasza piechota morska będzie mogła strzelać nawet podczas największej ulewy! Co więcej, dzięki temu zmniejszymy po raz kolejny czas potrzebny na odpalenie broni, czyli moment pomiędzy opadnięciem młoteczka a eksplozją głównego ładunku. To powinno z kolei poprawić indywidualną celność.

- Rozumiem. - Mahklyn skinął energicznie głową. - Widzę, że ten twój młody oficer wpadł na całkiem ciekawy pomysł. Powinniśmy niezwłocznie rozpocząć badania!

- Zgadzam się całkowicie - rzucił baron, uśmiechając się krzywo. - Ten chłopak naprawdę jest bystry. Szczerze mówiąc, to nie jedyny jego pomysł dotyczący spłonek doktor Lywys.

- Doprawdy?

- O, tak. Jeśli się nie mylę, może doprowadzić do bankructwa wszystkich producentów krzesiw - dodał, pękając ze śmiechu na widok zaskoczonej miny naukowca. - Nałożył odrobinę tej substancji na patyczek i odkrył, że może ją odpalić poprzez potarcie o szorstką powierzchnię. To przypomina magię w najlepszym wydaniu. Cholerstwo można zapalić o niemal wszystko, a jeśli tylko doda się odrobinę parafiny, która podtrzymuje płomień, uzyskuje się wodoodporne narzędzie do krzesania ognia. W dodatku ogień jest o wiele gorętszy i dłużej się pali niż ten, który uzyskujemy w tradycyjnych krzesiwach.

- Naprawdę? To mi wygląda na wynalazek, który przyda się także poza flotą!

- To pewne, ale trzeba go jeszcze udoskonalić. Zapala się... jak by to powiedzieć... nieco zbyt energicznie i sieje iskrami jak szalony. Trzeba się mieć na baczności, jeśli człowiek chce go używać. A jak cuchnie! - skrzywił się mocno, a potem uśmiechnął. - Wątpię, aby nazwa nadana temu wynalazkowi przez Radę spodobała się Grupie Czworoga.

- A cóż to za straszne miano? - zapytał Mahklyn.

- Zważywszy na wszystkie te iskry i smród, bo dym cuchnie jak nie przymierzając siarka, nazwaliśmy nasz wynalazek świecami Shan-wei - wyjaśnił baron Morskiego Szczytu, znów się krzywiąc. - Ale nie będziemy jej rekomendować nikomu, skoro Grupa Czworoga robi co może, by udowodnić, że wielbimy Shan-wei.

- No tak - przyznał naukowiec. - To nie byłoby zbyt roztropne.

Mimo tej zgody inna myśl przeszła mu przez bardziej prywatną część umysłu.

*Możesz mieć rację, nie chcąc jej teraz używać, Ahlfrydzie. Co ja mówię, masz ją na pewno! Nie zmienia to jednak faktu, że ten twój młody bystry oficer nadal swojemu wynalazkowi idealną nazwę. Ponieważ ta „świeca” będzie częścią planu, który zakończy tyranię Kościoła Boga Oczekiwanego, a Pei Shan-wei, gdziekolwiek teraz jest, będzie nas zagrzewać w tej walce do samego końca.*

## **.V.**

### **PAŁAC CESARSKI**

#### **CHERAYTH**

#### **CHISHOLM**

- Och, dobrze cię wreszcie zobaczyć, Maikelu!

Cesarzowa Sharleyan rozłożyła szeroko ramiona, by objąć Maikela Staynaira, który był znacząco od niej wyższy. Kiedy zamknął ją w uścisku, dosłownie zniknęła z widoku, lecz Cayleb był nieomal pewien, czekając na swoją kolej, by powitać Staynaira, że ani oczy jego żony, ani oczy arcybiskupa nie są zupełnie suche.

- Ciebie również dobrze widzieć, wasza łaskawość - odparł po dłuższej chwili Staynair, odstępując do tyłu na odległość wystarczającą, aby umieścić dłonie na barkach Sharleyan i wejrzeć jej głęboko w oczy. - Kiedyśmy się widzieli ostatnim razem, ledwie zdążyłaś ująć z życiem tym morderczym szaleńcom.

- Tak... - Spojrzenie cesarzowej pociemniało na moment, zanim sięgnęła ręką, by poklepać dłoń spoczywającą na jej prawym ramieniu. Wtedy wzrok znowu jej zmiękł. Zaraz jednak potrząsnęła głową z niezadowoleniem. - Wiem... - powtórzyła. - Tylko nie myśl sobie, że radość z naszego ponownego spotkania sprawi, iż zapomnę, jak powinienes się do mnie zwracać!

Przez mgnienie oka Staynair zdawał się zaskoczony, ale niemal od razu i w jego spojrzeniu pojawiły się ogniki. Cofnął się jeszcze o krok i skłonił z przesadną szarmanckością.

- Racz wybaczyć... Sharleyan - rzekł.

- Tak lepiej - oceniła, na co arcybiskup zachichotał, już się odwracając, by powitać Cayleba.

W wypadku większości mężczyzn Cayleb wymieniłby uścisk przedramienia, jednakże chodziło o Maikela Staynaira, którego nie widział osobiście od przeszło roku, i sam nie miał zupełnie suchych oczu, kiedy w końcu zaczął z wielką gwałtownością ścisnąć arcybiskupa.

- Nie tak mocno, Caylebie! Nie. tak mocno! - sapał Staynair. - Uważaj na moje zębra! Nie są młodsze niż reszta mnie, jak zapewne się domyślasz!

- I ty, i one jesteście twardsi od starego buta - zrewanżował się nieco ochryłym tonem Cayleb.

- To dopiero pełne szacunku słowa skierowane do arcybiskupa - zauważył Staynair, a Cayleb roześmiał się serdecznie i gestem wskazał fotel ustawiony przed kominkiem, w którym płonęły równym ogniem węgle.

- Cóż, zobaczymy, czy da się to naprawić... Znając cię nie od dziś, zakładam, że na początek to wystarczy - wskazał na karafkę z whiskey stojącą na blacie stołu pomiędzy fotelem a kanapą obok. - Z Zachodniej Wyspy, skoro już o tym mowa. Ciężko było namówić Sharleyan, żeby się z nią pożegnała... to jej najlepsza dwudziestoczteroletnia whiskey... lecz w końcu uznała, że to najlepszy sposób na przyciągnięcie całej twojej uwagi.

- Wy dwoje najwyraźniej macie niesłuchanie niskie... i przerażająco prawdziwe... wyobrażenie o mojej naturze - zażartował Staynair.

Arcybiskup podążył za swymi gospodarzami do wskazanego fotela, po czym pozwolił się usadzić naprzeciwko nich. Większość - na pewno nie wszyscy, lecz zdecydowana większość - arcybiskupów domagałaby się pierwszeństwa przed jakąkolwiek parą monarszą. Oczekiwałyby, że gospodarze będą stali, dopóki hierarcha nie zajmie swojego miejsca. Maikel Staynair nie miał podobnych oczekiwań... co było jednym z powodów, dla których Sharleyan i Cayleb zaczęli, stojąc, aż on pierwszy usiądzie.

Gdy już siedział zagłębiony w fotelu, Sharleyan zwinęła się w kłębek na jednym końcu kanapy, zrzuciwszy pantofle i podkurczywszy stopy, Cayleb natomiast zakrzętnął się przy rozlewaniu do trzech solidnych szklaneczek mocnego bursztynowego trunku. Następnie dodał odrobinę wody i nieco lodu (którego nigdy nie brakowało w Chisholmie, zwłaszcza zimą) do szklaneczki Staynaira i swojej, pamiętając, że jego żona, nauczona rozkoszować się tą wyśmienitą whiskey przez samego barona Zielonego Wzgórza, uważała dodawanie wody w jakiegokolwiek postaci za profanację. Wyłącznie będąc w lepszym humorze, była skłonna przyznać, że barbarzyński charisjański zwyczaj dało się usprawiedliwić, zważywszy na ciepły klimat panujący przez okrągły rok - lecz tylko w najbardziej ekstremalnych warunkach i z założeniem, że przyzwoici ludzie nie powinni mu ulegać. Przyzwoici ludzie co najwyżej traktowali swoją porcję whiskey ciutką wody źródlanej dla wydobycia pełni smaku i zapachu.

- O raju - westchnął Staynair, przymykając powieki z ukontentowania, kiedy już po dłuższej chwili opuścił swoją szklankę. - Wiecie, rzadko się zdarza, by coś prześcigało własną reputację...

- Jestem zmuszony przyznać, że chisholmskie destylarnie są lepsze od naszych, charisjańskich - zgodził się z arcybiskupem Cayleb. - Aczkolwiek na razie dopiero poznaję ich ofertę... Dobra wiadomość jest taka, że spróbowanie każdego rodzaju tutejszej whiskey zajmie mi lata.

- Niesłychanie łagodna - mlasnął Staynair, upiwszy kolejny łyk i potrzymawszy go chwilę w ustach przed połknięciem.

- Była trzykrotnie destylowana - pośpieszył z informacją Cayleb. - Większość tutejszych destylarni wypala beczki po każdorazowym opróżnieniu. A na Zachodniej Wyspie, nieopodal Traynside, mają w zwyczaju wkładać do nich kostki torfu podczas procesu suszenia w piecach. Stąd właśnie ten lekki dymny posmak. Merlin twierdzi, że przypomina mu smakiem coś, co na Starej Ziemi zwano Bushmills.

- Z jakiegoś powodu ta jego uwaga przyczyniła się bardziej niż cokolwiek innego, przynajmniej w moim wypadku, do rozbudzenia poczucia więzi między nami, tutaj na Schronieniu, i naszymi przodkami - odezwała się cichym głosem Sharleyan. - Co więcej, my nie tylko wytwarzamy whiskey, ale robimy to w sposób, który wzbudza uznanie w kimś ze Starej Ziemi...

- No, przynajmniej smak naszej whiskey wzbudza uznanie - zauważył Cayleb z raczej smutnym uśmiechem. - Z tego co wiem. CZAŁO nie może czerpać przyjemności z alkoholu. Co tylko podkreśla wyrzeczenia, jakie poniósł Merlin, decydując się na obecność tutaj.

- Amen - zakończył Staynair tonem sugerującym tyleż zgodę co właśnie zmówioną w intencji CZAŁO modlitwę. Potem przez kilka chwil siedział w milczeniu, wpatrując się w zawartość swojej szklanki, wolno i z namysłem umoczył znów usta, a na koniec wyprostował się na fotelu. - Skoro już mowa o Merlinie... - zaczął, lekko unosząc brew.

- Będzie na kolacji - zapewnił Cayleb w odpowiedzi. - W tej chwili załatwia pewną sprawę z Ahlberem Zhustynem i hrabią Białej Grani.

- Doprawdy? - W górę powędrowała druga brew Staynaira.

Sir Ahlber Zhustyn był tutejszym odpowiednikiem Bynzhamyna Raice'a, natomiast Hauwerstat Thompkyn, hrabia Białej Grani, pełnił w Chisholmie funkcję ministra sprawiedliwości. Ci dwaj współpracowali ze sobą ściśle, albowiem kwestię wywiadu rozwiązano w Chisholmie nieco inaczej niż w Charisie. Zhustyn odpowiadał za szpiegowanie innych, hrabia Białej Grani pośród licznych obowiązków miał i ten, aby zapobiec

szpiegowaniu na terenie królestwa.

- Czy wolno mi zapytać, jakiego rodzaju sprawę? - zainteresował się arcybiskup.

- Głównie dotyczy ona przygotowań do jutrzejszej narady Nahrmahna z nimi - odparła Sharleyan, robiąc niezadowoloną minę. - Obawiam się, że Hauwerstat w dalszym ciągu niechętnie widzi między nami Nahrmahna. Ma to coś wspólnego z czasem, który poświęcił na zwalczanie niegdyś jego szpiegów...

- Coś takiego! - wtrącił Staynair.

- Właśnie, coś takiego! - powtórzył za arcybiskupem Cayleb, po czym prychnął i zaśmiał się krótko. - Żałuj, że nie widziałeś ich razem, kiedyśmy się zatrzymali w Cherayth, jadąc do Chisholmu w zeszłym roku, Maikelu! - Potrząsnął głową. - Nie można mu było niczego zarzucić, lecz ilekroć Nahrmahn zaczynał mówić o sprawach, do których dostępu bronił mu dotąd minister sprawiedliwości, ów natychmiast znajdował lepszy temat do rozmowy albo wręcz nagle stwierdzał, że wzywają go inne pilne obowiązki.

- Udzieliłam mu potem nagany - rzekła Sharleyan z niejakim zażenowaniem. - Obiecał, że przy następnej okazji będzie zachowywał się właściwie. Ale jeśli mam być całkowicie szczerą, wolę, gdy jest nadmiernie podejrzliwy niż zbytecznie ugodowy.

- Och, masz rację bez dwóch zdań! - Cayleb pokiwał zamaszycie głową. - Nahrmahn także to rozumiał. Hrabia Białej Grani przekazywał wszystkie dane wywiadowcze mnie, a Nahrmahn otrzymywał je dopiero z drugiej ręki. Niemniej nasz cesarski doradca do spraw wywiadu powinien mieć bezpośredni dostęp do wszystkich spływających informacji. I właśnie to, w chwili gdy rozmawiamy, tłumaczy hrabiemu Białej Grani Merlin wraz z Ahlberem, który jest... nieco bardziej elastyczny. - Cesarz wzruszył ramionami. - Obecnie wszyscy Chisholmianie traktują Merlina jak mojego osobistego posłańca. To znaczy mojego i Sharleyan. Każdy więc przyjmuje, że Merlin przemawia w naszym imieniu, aczkolwiek nieco bardziej otwarcie, niż my moglibyśmy to zrobić bez popadania w niezręczność. Z drugiej strony jego rozmówcy również czują się swobodniej i mówią z nim bez ogródek, udając, że nie mają pojęcia o tym, że ich słowa i tak do nas trafiają.

- Ach tak... - pokiwał głową Staynair i uśmiechnął się. - Sprytne. Choć z trudem przychodzi mi wyobrazić sobie Merlina jako posłańca.

Cayleb przechylił lekko głowę, patrząc na arcybiskupa z dziwną miną.

- Uwierz mi, Maikelu, Merlin jest posłańcem na więcej sposobów, niż można by pomyśleć.

- Czyżby? - spytał Staynair, przejawiając wyraźną ciekawość, co Cayleb jednak skwitował przeczącym ruchem głowy.

- Nie, nie. Nie wdamy się w rozmowę na ten temat, dopóki nie dołączy do nas główny zainteresowany. Zresztą i nas trzyma w niepewności od dość dawna, więc najlepiej będzie, jeśli wysłuchamy wszystkiego na własne uszy równocześnie.

Arcybiskup przyjrzał się parze monarchów uważniej. Bywały chwile, kiedy musiał sobie przypominać, że Merlin Athrawes ma własne cele. Czy też raczej należałoby rzec: że Nimue Alban ma własne cele. A nawet misję. Maikel nigdy nie wątpił w lojalność Merlina wobec Charisu, wobec ludzi, którzy stali się jego przyjaciółmi, jego rodziną. A jednak pod tym wszystkim - być może najszczelniej przykryte właśnie przez tę lojalność - leżało postanowienie, które Nimue Alban podjęła w chwili śmierci, aby dziewięćset lat później, już jako CZAO, stąpać po planecie, jakiej nigdy nawet nie widziała na oczy. Arcybiskup nie wątpił również, że cele Merlina nieraz zderzają się z celami Nimue. Trudno żeby było inaczej. Niemniej miał nadzieję, że słowa Cayleba nie sugerują jednej z takich sytuacji. Oczywiście gdyby jednak o to chodziło, Merlin wyszedłby z tego wewnętrznego starcia zwycięsko, jak zawsze. Staynair wymamrotał krótką modlitwę za duszę, która wzięła na siebie tak ogromny ciężar.

- Zatem - odezwał się, wyciągając przed siebie szklanę, która jakimś cudem zdążyła opustoszeć - chyba powinienem się wzmocnić przed dalszą częścią naszego spotkania. Na wypadek gdyby czekały mnie jakieś wyjątkowe rewelacje.

- O, co za wspaniała wymówka, Maikelu! - zaśmiała się Sharleyan. - Zaczekaj tylko, aż dopiję swoją whiskey, i będziemy mogli dopełnić szklanice razem.

- Tylko nie wzmocnijcie się zanadto - przestrzegł oboje Cayleb poważnym głosem. - Ani za szybko. Uporajmy się przynajmniej z najbardziej palącymi kwestiami.

- Pałace kwestie? - powtórzył Staynair.

- Och, wiem, o co mu chodzi - odpowiedziała Sharleyan. Widząc, że arcybiskup spogląda na nią z ciekawością, wzruszyła ramionami. - Oczywiście o Nahrmaha.

- O Nahr... - zaczął Staynair i urwał w pół słowa, nagle zrozumiał. - Masz na myśli to, czy powinien zostać dopuszczony do wewnętrznego kręgu? - Tym razem Cayleb odpowiedział na pytanie arcybiskupa krótkim potaknięciem. - Trochę mnie dziwi, że nie zaczekamy z tym do pojawienia się Merlina, aby mógł dorzucić swoje trzy marki.

- Merlin - wyjaśnił Cayleb - już wyraził swoje zdanie w tej sprawie. Przy tym uraczył mnie i Sharleyan kilkoma celnymi uwagami na temat bractwa. Jak to szło?... Procesy decyzyjne, lodowce, zrędlivi staruszkowie i patrzenie na wskazówki zegara...

- O raju - powiedział znowu Staynair, aczkolwiek odmiennym tonem, po czym potrząsnął głową i zachichotał. - A ja się zastanawiałem, czemu ostatnimi czasy nie suszy



głowy Zhonowi. Nie sądziłem, że w grę może wchodzić cecha tak mu obca jak takt!

- Nie posuwałbym się w przypuszczeniach aż tak daleko - zauważył sucho Cayleb. - Chodziło raczej o obawę, że mógłby nie zapanować nad sobą. Bo z tego co mi się wydaje, Merlin już podjął decyzję. Po części chyba dlatego, że jego zdaniem Nahrman domyślił się już prawie wszystkiego sam. - Arcybiskup otworzył szerzej oczy, ulegając panice, jednakże Cayleb zbył jego niepokój lekceważącym machnięciem dłoni. - Och, nie sądzę, by nawet ktoś taki jak Nahrman był w stanie sam z siebie domyślić się wszystkiego. Zresztą gdyby tak się stało, z pewnością byś o tym wiedział, zważywszy na to, gdzie obaj przebywaliście w minionych kilku miesiącach. Niemniej Merlin nie mylił się co do tego, że Nahrman zebrał dość informacji, by zacząć stawiać sobie pytania, na które jeszcze nie opracowaliśmy odpowiedzi. A jak wiadomo, kiedy Nahrman chce się czegoś dowiedzieć, dowie się tego bez większego trudu.

*No, pomyślał Staynair, to mi zakrawa na wielkie niedopowiedzenie.*

Arcybiskup być może znał jednego czy dwóch ludzi na Schronieniu, którzy byli inteligentniejsi niż Nahrman Baytz. Ale już na pewno nie trzech. Nawet jeśli żył kiedykolwiek jakieś wątpliwości w tej sprawie, opuściły go one podczas długiej morskiej podróży ze Szmaragdu do Chisholmu. Odkąd kuzyn Nahrmana, hrabia Sosnowej Doliny, obiecał mieć oko na to, co dzieje się w Szmaragdzie, mały krągły książę nie miał nic przeciwko powrotowi do Chisholmu. Zdaniem Staynaira głównie dlatego, że tam obecnie przebywał dwór, a Nahrman nie umiał pozostawać z dala od „wielkiej rozgrywki”, nawet jeżeli został przypisany do drużyny kogoś innego po tym, jak jego własna odpadła sromotnie w przedbiegach. Upierał się jedynie przy tym, aby jego żona, księżna Ohlyvya, mogła mu towarzyszyć, czego powody nawiasem mówiąc, arcybiskup pojął w lot także podczas podróży.

Gwoli ścisłości Staynair był od początku za tym, aby Ohlyvya im towarzyszyła. Nie bez powodu uważał, że żona Nahrmana - jedna z najmądrzejszych kobiet, jakie arcybiskup znał - potrafi okiełznać potencjalnie niebezpieczną zapalczliwość i pobudliwość księcia. Co jednak w zaistniałych okolicznościach mogło również zrodzić pewne problemy...

- Skoro już poruszyliśmy ten temat, Caylebie, pragnę cię zapewnić, że w całej rozciągłości zgadzam się z twoją oceną Nahrmana - rzekł na głos arcybiskup. - Twoją i Merlina, oczywiście. Dlatego, w przeciwieństwie do niego - podkreślił - wywierałem nacisk na Zhona w sprawie tej decyzji. Jak na razie jednak bezskutecznie.

Cayleb siedział rozparty, przyglądając się hierarsze. Cisza, która zaległa po ostatnich słowach, zdawała się dłuższa niż w istocie. W końcu cesarz skrzywił się i odrzekł:

- Na razie, Maikelu, tylko na razie. Myślę, że tym razem Zhon nie będzie miał wyjścia.

W tym konkretnym momencie Staynair pomyślał, że Cayleb bardzo przypomina ojca. W jego brązowych oczach nie było cienia wesołości i - co nie mniej ważne - Sharleyan miała równie poważny wyraz twarzy.

- Nie chcę wykorzystywać swojej smoczej karty w stosunku do bractwa zbyt często - kontynuował Cayleb - lecz wydaje mi się, że w tej sytuacji nie mam innego wyjścia. Naradzają się nad tym od miesiący. Zaczęli na długo przed twoim wyjazdem ze Szmaragdu, na miłość boską, i po prostu nie mogę pozwolić, aby trwało to dłużej. Muszę domagać się decyzji, i to natychmiast.

Staynair przypatrywał się parze cesarskiej przez długą, pełną milczenia chwilę, a potem skłonił głowę w dość niezwykłym w ich relacjach geście szacunku. Zaraz jednak uniósł znów spojrzenie i dalej spoglądał obojgu prosto w oczy.

- Skoro życzysz sobie decyzji, wasza wysokość, będziesz ją miał - rzekł z powagą. - Ale czy rozważyłeś, co będzie, jeżeli bractwo dojdzie do porozumienia i skutki decyzji okażą się... niedobre?

- Rozważyliśmy to - odparła Sharleyan ponurym tonem, zanim Cayleb zdążył się odezwać. Staynair zwrócił się lekko w jej stronę, a ona odpowiedziała mu pewnym spojrzeniem. - Jeżeli powiemy Nahrmahnowi prawdę, a on zareaguje niezgodnie z naszymi przewidywaniami, będzie można uczynić tylko jedno. Modłę się, aby nigdy do tego nie doszło. W przeciwnym razie resztę życia spędzę w wielkim żalu i na próbach przebłagania Boga. Mimo to podejmiemy konieczne działania, jeśli zajdzie taka potrzeba. - Uśmiechnęła się blado. - Właściwie ryzyko było takie samo w wypadku wszystkich osób. Jak dotąd szło nam jak po maśle, jak lubi mawiać Cayleb. Zapewne dlatego, że bractwo niczego nie czyni pochopnie i rozważa swoje decyzje tak skrupulatnie jak to tylko możliwe. Lecz kiedyś musi nam się powinąć noga. Od zawsze zdajemy sobie sprawę, jaka będzie cena takiej pomyłki oraz że pewnym ludziom można wyjawić tylko ułamek prawdy.

- Doskonale, wasza łaskawość. Wasza wysokość, spodziewaj się odpowiedzi, w tę czy we w tę, jeszcze dziś.

\* \* \*

- Harvai, wszystko jak zwykle było przepyszne - powiedziała Sharleyan ze szczerością w głosie kilka godzin później, gdy służący sprząтали ze stołu. - Niesłuchanie nas rozpieszczasz, wiesz? Ty i twoi ludzie. Zapewne dlatego darzymy was taką sympatią. Dziękuję ci... oraz pani Bahr i całej załodze w kuchni. Przekaż im nasze podziękowania,

proszę.

- Oczywiście, wasza łaskawość - odrzekł z uśmiechem i głębokim ukłonem sir Harvai Phalgrain.

Phalgrain, ochmistrz pałacowy, pilnował, aby wszystko toczyło się ze sprawnością, jakiej mógłby pozazdrościć niejeden dowódca wojskowy... i jaką tylko niewielu z nich osiągało. Zważywszy na to, kim byli dzisiejsi goście pary cesarskiej, osobiście dopilnował, aby wszystko przebiegło jak trzeba, i najwyraźniej ucieszyły go komplementy Sharleyan.

- Ale teraz - odezwał się Cayleb - poradzimy już sobie bez twojej pomocy, Harvai. Bądź tak dobry i zostaw parę butelek. Wezwiemy cię, jeśli będziemy potrzebowali czegoś jeszcze.

Mówił to z uśmiechem, ochmistrz uśmiechnął się zatem w odpowiedzi, skłonił ponownie - tym razem z czystej grzeczności, żegnając wszystkich obecnych - i opuścił komnatę.

Cayleb odprowadzał go wzrokiem, dopóki nie zamknęły się drzwi, po czym przeniósł uwagę na swoich gości.

Z pewnych powodów - i to wielu, gdyby miał być w stosunku do siebie całkowicie szczerzy - wolałby, aby tych gości była dwójka, a nie trójka. Sądził, że można było zapowiedzieć to spotkanie jako „kolację roboczą”, na którą księżna Ohlyvya nie miałyby wstępu. Nawet rozpoczęli przygotowania pod tym kątem, lecz kiedy poświęcili tej sprawie nieco więcej myśli, doszli do przekonania, że takie postępowanie mogłoby się okazać zgoła nierozważne.

Przede wszystkim jednak byłoby zwyczajnie niegrzeczne. Z tym akurat zarówno Sharleyan, jak i on sam jakoś by sobie poradzili. Niestety Ohlyvya Baytz była bardzo, ale to bardzo bystrą kobietą. Gdyby wykluczono ją z grona zaproszonych i coś przytrafiłoby się Nahrmahnowi, zaczęłaby zadawać pytania nie mniej dociekliwe niż te, do których był zdolny jej mąż. Nie dało się również wykluczyć, że uzyskałaby odpowiedzi na swoje pytania, a nawet jeśli nie, już samo uczynienie z niej wroga Charisu przyniosłoby niemal tak samo groźne konsekwencje, jak zwrócenie przeciwko Imperium Nahrmahna.

Poza tym parę książeczą zdawała się łączyć zażyłość nie mniejsza niż ta, która rozwinęła się między Caylebem i Sharleyan. Wpływ, który Ohlyvya miała na męża, wynikał z tejże bliskości, siły ich związku i wzajemnej miłości. Niepoinformowanie jej o wszystkim postawiłoby księcia w pozycji niegodnej pozazdrosczenia, a bardzo przypominającej położenie Cayleba, zanim w końcu Sharleyan poznała prawdę. Wreszcie, istniała możliwość, że Nahrman i Ohlyvya zaakceptują nowiny łatwiej, gdy usłyszą je równocześnie.

Ani Cayleb, ani Sharleyan nie byli zadowoleni z ostatecznie podjętej decyzji, niemniej była to jedyna decyzja, jaką mogli podjąć.

*Cóż, jeśli tylko Merlin nie myli się co do żadnego z nich, nie powinno to stanowić problemu, pomyślał Cayleb nie po raz pierwszy. Naturalnie Merlin chętnie by przyznał, że popełnił po drodze błąd czy dwa...*

O wilku mowa...

- Może nareszcie do nas dołączysz, Merlinie? - zaprosił stojącego w drzwiach komnaty wysokiego, szafirowookiego gwardzistę.

\* \* \*

Merlin Athrawes uśmiechnął się nieznacznie, widząc, że Ohlyvya Baytz nieco zbyt szybkim ruchem podrywa głowę i odwraca się od pograżonej w rozmowie z nią cesarzowej. Księżna Ohlyvya od dziesiątek lat była żoną panującego księcia. Miała czas nauczyć się maskować tak powszednie uczucia, jak na przykład zdziwienie, i robiła to zręczniejsz od większości ludzi.

Przynajmniej w normalnych okolicznościach.

Nahrman z kolei miał okazję obserwować z bliska interakcję między Caylebem a Merlinem podczas kampanii corisandzkiej. Właściwie wiedział nawet o tym, że *seijin* miewa „wizje”. Że jego funkcja wizjonera i doradcy jest ważniejsza od funkcji osobistego ochroniarza cesarza. A także na własne oczy się przekonał, iż relacja łącząca parę cesarską z kapitanem Athrawesem jest ciaśniejsza, niż wydawało się niejednemu zwykłemu poddanemu.

Wiedzę o tym wykorzystywał w trakcie analiz „wizji” Merlina, aczkolwiek nie podzielił się nią w żaden sposób z żoną. Jednakże fakt, że Cayleb i Sharleyan postanowili wtajemniczyć Ohlywyę przynajmniej częściowo w to, co on już wiedział, tak czy inaczej musiał stanowić dlań pewne zaskoczenie. Ale nawet jeśli tak było, nie dał niczego po sobie poznać. Po prostu przechylił lekko głowę z powątpiewającym wyrazem twarzy, który zwiódłby niemal każdego. Z tym że Merlin poznał niskiego pyzatego księcia nie gorzej niż on jego i dzięki temu praktycznie widział myśli przebiegające Nahrmanowi przez głowę.

- Oczywiście, wasza wysokość - mruknął od drzwi i w paru krokach znalazł się przy stole.

Cayleb gestem wskazał krzesło stojące między nim a Maikalem Staynair, na co Merlin skłonił się, odpiął pas, odstawił katana i wakizashi pod ścianę, przyciągnął do siebie wskazane krzesło i zajął miejsce.

- Wina, Merlinie? - spytał Staynair z uśmiechem błakającym mu się na wargach.

- Gdybyś był tak dobry, eminencjo - odparł Merlin, kątem oka dostrzegając zdumioną

minę księżnej Ohlyvyi, kiedy arcybiskup Kościoła Charisu nalewał wina zwykłemu gwardziście. Maikel podał kieliszek Merlinowi, który przyjął go z wdzięcznością i od razu pociągnął łyk.

- Nahrmahnie, Ohlyvyo - przemówił Cayleb, przyciągając uwagę pary książęcej - jak zapewne się już domyśliliście, wraz z Sharleyan zaprosiliśmy tu dziś Merlina nie bez powodu. Bez wątpienia wydedukowaliście do tej pory, że Merlin nie jest li tylko ochroniarzem. To znaczy, Ohlyvyo, Nahrmahn był tego właściwie świadomy, aczkolwiek chyba nie podzielił się jeszcze tą wiedzą z tobą.

- Rzeczywiście, wasza wysokość - przyznała Ohlyvya, gdy cesarz urwał na moment. W jej głosie pobrzmiwała nuta niepokoju.

- Wiemy o tym - pośpieszyła z zapewnieniem Sharleyan, wyciągając rękę, by pokrzepiającym gestem dotknąć ramienia starszej kobiety. Kiedy Ohlyvya na nią spojrzała, cesarzowa uśmiechnęła się. - I możesz mi wierzyć, że mówiąc, iż wiemy, że Nahrmahn nie zdradził żadnej z naszych tajemnic przed nikim, nawet przed tobą, nie mamy co do tego najmniejszych wątpliwości. Zrozumiesz w pełni, o co mi chodzi, kiedy Merlin przedstawi już swoje wyjaśnienia.

- Wyjaśnienia, wasza łaskawość? - Niepokój Ohlyvyi tym razem był jeszcze wyraźniejszy.

Sharleyan potaknęła skinieniem. Następnie przeniosła spojrzenie na Merlina.

- Chyba pora, abyś zaczął - oznajmiła.

- Oczywiście, wasza łaskawość. - Merlin skłonił lekko głowę w geście zgody, po czym popatrzył nad białem prosto na księżną. - Twój małżonek, wasza dostojność, słyszał już część z tego, co zaraz powiem, aczkolwiek muszę was oboje z góry uprzedzić, że nie wszystko. Informacje, których mu udzieliliśmy, nie były kompletne. Za co muszę przeprosić waszą dostojność... - na moment przeniósł spojrzenie na Nahrmahna. - Niemniej wchodziła tu w grę zasada „ścistej potrzeby” dostępu do określonych informacji, co jak mam nadzieję, wasza dostojność zrozumie, kiedy już skończę swoją wypowiedź.

- Ale już teraz mam rozumieć, że coś się zmieniło i ni stąd, ni zowąd zyskałem prawo do zapoznania się z tymi informacjami, czy tak, *seijinie*? Zresztą nie tylko ja, bo i moja żona także? - Nahrmahn zadał te pytania spokojnym tonem, lecz równocześnie sięgnął po dłoń księżnej, aby uściskać ją w geście dodania otuchy.

Merlina ujęła owa opiekuńczość księcia Nahrmahna i natychmiast zapalał cieplejszymi uczuciami do niego.

- Chodzi nie tyle o zmiany, wasza dostojność, ile o to, że zapadła pewna decyzja -

wyjaśnił. - W której podejmowaniu brało udział więcej osób. niż nawet ty mógłbyś przypuszczać. Większość z nich, niestety, nie dysponuje... ową przewagą, którą jak już wiesz, ja mogę się pochwalić. To sprawiło, że ludzie ci byli pełni wahania czy też może raczej ostrożności, jak powinienem to ująć.

- W przeciwieństwie do ciebie? - mruknął Nahrman z uśmiechem, a Merlin tylko wzruszył ramionami.

- Nie prowadzilibyśmy tej rozmowy, gdyby Cayleb, Sharleyan i arcybiskup Maikel nie mieli pewności, jak ona się potoczy, wasza dostojność. Aczkolwiek żadne z nas nie jest nieomyślne, więc niewykluczone, że popełniamy jednak błąd. Chociaż osobiście nie sądzę, aby tak było.

- Cóż, to napawa mnie ulgą - stwierdził cierpko Nahrman. - Ale może mógłbyś już rozpocząć te wyjaśnienia?

- Naturalnie, wasza dostojność.

Mimo powagi sytuacji Merlin nie mógł nie zauważyć mieszaniny podenerwowania, niecierpliwości i wesołości w tonie księcia. Przez moment miał ochotę zachichotać, ale zdołał zwalczyć pokusę, pochylił się do przodu na krześle, oplótł palcami dół kieliszka i obrzucił spojrzeniem parę książęca.

- Choć wyda się wam to trudne do uwierzenia, zdaję sobie sprawę, jak bardzo jesteście rozczarowani czynaniami Grupy Czworoga - rzekł równym, zdecydowanym tonem. - Nie podejrzewam tego, nie wydaje mi się, że to wiem, tylko wiem z całą pewnością, że księżna Ohlyvya jest tak samo zdegustowana i rozgniewana jak cesarz Cayleb i cesarzowa Sharleyan tym, co wyprawiają Clyntahn i Trynair, teoretycznie w imię Boga, nadużywając swojej władzy, rujnując autorytet Kościoła i wystawiając na ciężką próbę wiarę każdego mieszkańca Schronienia. Z tych samych źródeł wiem, że oboje was zniesmacza zepsucie Grupy Czworoga i dążenie jej członków do władzy absolutnej zakrawającej na tyranie, i to zniesmacza bardziej, niż bylibyście skłonni to przyznać, zwłaszcza że książę Nahrman od lat kultywuje swój wizerunek jako cynicznego pragmatyka i bezwzględnego polityka. - Uśmiechem skwitował lekko oburzony wyraz twarzy księcia, aczkolwiek w jego głosie nie było cienia wesołości, gdy kontynuował: - Powinniście jednak wiedzieć, że Grupa Czworoga to nie pierwsza banda, która dla własnych celów robi zły użytek z wiary w Boga. Jeśli chodzi o ścisłość, Clyntahn i jego kompani są tylko naśladowcami tradycji, która powstała jeszcze przed Stworzeniem.

Siedzące naprzeciwko niego małżeństwo równocześnie się wyprostowało, a ich oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Tym razem uśmiech Merlina był o wiele bardziej ponury.

- Widzicie bowiem, przed ponad tysiącem lat...

\* \* \*

W komnacie zapadła dźwięcząca cisza, gdy Merlin skończył mówić dwie godziny później. Słaby świst zimowego wiatru za oknem, buszującego pośród blanek, dachów i gzymsów, pukającego lodowatymi palcami do szyb, był wyraźny jak nigdy, i to pomimo solidnych, grubych murów pałacu.

Nahrmahn i Olyvya Baytz siedzieli obok siebie, trzymając się za ręce, tak jak w chwili, gdy Merlin zaczynał swą opowieść, lecz księżna miała oczy jeszcze szerzej otwarte niż przedtem - zdawały się one dwoma ciemnymi jeziorami w świetle lamp, kiedy patrzyła na komunikator, przenośny projektor holograficzny i obnażony wakizashi, leżące przed nią na stole. Merlin zastanawiał się tymczasem, który z tych przedmiotów ją ostatecznie przekonał. Osobiście stawiał na wakizashi. Zarówno komunikator, jak i projektor wyglądały obco, dziwacznie, nawet magicznie. Miecz tak nie wyglądał, a mimo to na jej oczach owo niesłychanie groźne ostrze ze stali bojowej ostrugało pogrzebacza, który wcześniej zabrał z zestawu stojącego przy kominku w komnacie jadalnej. To, że broń nie wyglądała obco, mimo iż taka niewątpliwie była, czyniło wrażenie tym potężniejszym.

*Muszę potem pozbyć się tego pogrzebacza na dobre, pomyślał. Lepiej, żeby służby zastanawiali się, gdzie zniknął, niż zobaczyli go pociętego na plasterki niczym świąteczny indyk.*

Poczuł krótkie ukłucie, gdy uświadomił sobie, jakiego porównania właśnie użył w myślach, i zastanowił się, czy skłoniła go do tego wcześniejsza recytacja prawdziwej historii ludzkości.

Nahrmahn panował nad wyrazem swojej twarzy znacznie lepiej niż księżna. Jej zdumienie - i szeroko otwarte oczy przepełnione strachem - były bowiem aż zanadto czytelne. Księżę spojrzenie miał skryte pod wachlarzem rzęs, a minę zamyśloną, wargi zaciśnięte, jakby mierzył się z jakimś codziennym problemem, a nie fundamentalną zmianą w jego światopoglądzie.

- A zatem? - odezwał się wreszcie Cayleb, przerywając przeciągającą się ciszę.

Ohlyvya poderwała głowę, pobiegła wzrokiem do twarzy cesarza niczym spłoszony zając. Nahrmahn obdarzył Cayleba spokojnym spojrzeniem, lecz zarazem wolną ręką nakrył trzymaną już dłoń żony. Poklepał grzbiet dłoni Ohlyvyi delikatnie dla dodania otuchy, po czym przeniósł spojrzenie na Merlina siedzącego po drugiej stronie stołu.

- To nie gwardziści jej łaskawości uratowali jej życie, czyż nie tak, *seijinie?* - zapytał.

- A przynajmniej nie tylko oni.

- Nie tylko, wasza dostojność, to prawda. - Merlin odpowiedział zniżonym głosem,

jego szafirowe oczy CZAO pociemniały. - Jednakże gdyby nie oni, moje pojawienie się tam mogłoby nic nie dać... I to moja wina, że tylu ich zginęło tamtego dnia. Źle to wtedy rozegrałem.

Sharleyan poruszyła się na krześle, jakby chciała zaprzeczyć, nie odezwała się jednak, za to Nahrman z bladym uśmiechem przemówił:

- Właśnie odtworzyłem tamte wydarzenia w pamięci jeszcze raz. - Ton głosu miał nieco dziwny. - Wcześniej sądziłem, że wyjaśniłeś wszystko, a tymczasem okazuje się, że jeszcze więcej mi nie powiedziałeś! - Potrząsnął głową. - Dopiero teraz wszystko zaczyna się układać w spójną całość, przyznaję. Od dawna dziwiło mnie, że cesarz i cesarzowa mają zawsze takie samo zdanie na każdy temat. A nie zapominajmy, że jestem jednym z tych ludzi, którzy wiedzą, że po latach małżeństwa jedno z małżonków potrafi odgadywać myśli drugiego. Jak również - przeniósł na żonę spojrzenie oczu zmrużonych w pełnym ciepła uśmiechu - że nawet po latach potrafią się nawzajem zaskakiwać. Wy dwoje jednak - skupił znów uwagę na Caylebie i Sharleyan - jesteście małżeństwem dopiero od niedawna, więc tym bardziej dziwiła mnie wasza zgodność, szczególnie że najczęściej dzieli was znaczna odległość, wymagająca paru miesięcy podróży. Weźmy choćby decyzję jej łaskawości o powrocie do Chisholmu po nieudanej próbie zamachu. Moim zdaniem dokładnie tak należało postąpić. Nie kryłem się ze swoją opinią zaraz po tamtych wydarzeniach, nie sądziłem jednak, że decyzje zapadną tak szybko i zaraz zostaną wdrożone w życie. Ale teraz już rozumiem, jak do tego doszło.

- Gwoli prawdy, wasza dostojność, Cayleb i Sharleyan zyskali możliwość bezpośredniej komunikacji dopiero po tamtym zamachu - wtrącił Merlin.

Nahrman pokiwał w zamyśleniu głową.

- No tak, racja... A mimo to działali jednomyślnie nawet wcześniej, nieprawdaż?

- Prawdaż - przyznał sucho Cayleb. - Czy teraz możemy wrócić do pytania, które zadałem?

- Nie powiem, aby nie stanowiło to dla mnie sporego zaskoczenia, wasza wysokość - zaczął powoli Nahrman. - Zresztą podejrzewam, że byłbyś rozczarowany, gdybym w ogóle się nie zdziwił! Najdziwniejsze w tym wszystkim jest jednak to, że nie przeżyłem... nazwijmy to... szoku.

- Nie? - W głosie jego żony dało się wyczuć lekkie, acz zauważalne drżenie. Nahrman przeniósł na nią prędko wzrok, a ona w odpowiedzi na troskę w jego oczach uśmiechnęła się słabo. - Bo ja przeżyłam prawdziwy szok - kontynuowała. - Poza tym muszę przyznać... - zawiesiła spojrzenie na parze cesarskiej - że czuję też pewien niepokój.



Pomijając dowody, które przedstawia nam *seijin*, wymagacie od nas, abyśmy uwierzyli w rzeczy nie do wiary. Czy też raczej: abyśmy przestali wierzyć w pewne rzeczy... Teraz nie mówicie już tylko o Grupie Czworą. Nie tylko o zepsuciu Kościoła i złych ludziach przeinaczających słowo boże. Twierdzicie, że samo przesłanie Boga jest kłamstwem. Że wiara, której powierzyliśmy nasze dusze... i dusze naszych dzieci... jest jednym wielkim oszustwem.

*Ta kobieta ma nerwy ze stali, pomyślał Merlin z szacunkiem. Powiada, że jest zszokowana, lecz nie unika prawdy, przechodzi do samego sedna, do tego, co dla niej najważniejsze.*

- Właśnie to Merlin chciał wam powiedzieć, między innymi - odezwał się Staynair, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Ohlyvya spojrzała na arcybiskupa, a ten uśmiechnął się do niej smutno. - Kościół Boga Oczekiwanego jest kłamstwem, „jednym wielkim oszustwem”, jak ujęłaś to przed chwilą - potwierdził. - Jednakże ci, którzy powołali go do życia, uczynili to, wykorzystując elementy prawdziwej wiary w Boga. Użyli kawałków prawdy do stworzenia kłamstwa i to właśnie sprawiło, że ich twór był tak przekłęcie... a wiedz, wasza dostojność, że nie sięgam po to słowo często... przekonujący. Wszelako, jak rzekł Merlin na samym wstępie, nie ma wielkiej różnicy między Langhorne'em a Grupą Czworą. Może z wyjątkiem tego, że Erie Langhorne miał prawo utrzymywać, że przeżycie ludzkiej rasy zależy od powodzenia jego oszustwa.

Ohlyvya zwięzła oczy w szparki, a Staynair wzruszył ramionami.

- Nie podważę niczego, co Merlin ma do powiedzenia na temat Langhorne'a, Bédard czy reszty „archaniołów”. Byli to masowi mordercy i bez wątpienia megalomani, a to, co stworzyli, jest obrazą boską i potwornością w najczystszej postaci. Sam jestem członkiem zakonu Bédard, więc odkrycie prawdy o jego założycielce, jak łatwo się domyślić, było najgorszym, co spotkało mnie w życiu. Lecz przecież zakon Bédard uczynił też wiele dobrego na przestrzeni stuleci. Chcę wierzyć, że przeistoczył się w coś zgoła innego niż to, co miała na myśli Adorée Bédard, przeprogramowując umysły nieszczęsnych, pogrążonych we śnie ludzi i sprawiając, by uwierzyli w jej kłamstwo, aczkolwiek nie wykluczam, że akurat w tej sprawie mogę się mylić. Chociaż wiemy, co Adorée Bédard i Erie Langhorne uczynili, nigdy nie zdołamy odkryć, co chodziło im po głowie, i kiedy to robili. Nie twierdzą, że szlachetność pobudek, gdyby takie nimi kierowały, usprawiedliwiłaby ich czyny. Mówię tylko, że my, ludzie, mamy w zwyczaju wydawać sądy na podstawie tego, co widzimy i co rozumiemy, nawet gdy jesteśmy w stanie przyjąć, że teoretycznie istnieją też rzeczy, których jeszcze nie zobaczyliśmy ani nie pojęliśmy. Postępujemy tak w stosunku do bliźnich, a także w stosunku

do samych siebie. Sądzę, że powinniśmy wszyscy zdać sobie z tego sprawę. I nie przykładać tej samej miarki do Boga.

Księżna przypatrywała mu się przez parę chwil, a potem wolno pokiwała głową. Nie przyznała mu tym racji - jeszcze nie. Ale przynajmniej okazała swoje zrozumienie. Bądź raczej: początki zrozumienia.

- Kiedy nadejdzie czas, Ohlyvyo - powiedziała do niej Sharleyan - każdy człowiek będzie musiał samodzielnie zdecydować, jak zareaguje na to wielkie oszustwo. Wiem, jaka była moja reakcja, lecz nie sposób przewidzieć reakcji innych ludzi. Właśnie dlatego z taką ostrożnością dobieramy tych, którym można wyjawiać prawdę.

- A jeśli się okaże, że w wypadku kogoś popełniście jednak błąd? Co wtedy? - zapytała Ohlyvya cicho.

- Jeśli o to pytasz, domyślasz się odpowiedzi - odparła Sharleyan również cichym głosem, nie okazując cienia emocji. - Nie będziemy udawać w tej sprawie. Bóg jeden wie, ile jeszcze osób zginie, zanim to wszystko się skończy, a informacje, które ujawnił wam dzisiejszego wieczoru Merlin, w rękach lojalistów Świątyni byłyby morderczym narzędziem. Co ty byś uczyniła na naszym miejscu, aby temu zapobiec?

W komnacie znów zaległa długa, przeciągła cisza, tym razem pełna napięcia. A potem nieoczekiwanie dla wszystkich Ohlyvya Baytz się uśmiechnęła. Niezbyt szeroko, lecz szczerze - przynajmniej w ocenie Merlina.

- Jestem żoną Nahrmahna niemal tak długo, jak ty chodzisz po Schronieniu, wasza łaskawość - rzekła. - W ciągu tego czasu robił co mógł, aby uchronić mnie przed przykrą rzeczywistością „wielkiej rozgrywki”. Obawiam się jednak, że nie odnosił na tym polu takich sukcesów, o jakie się podejrzewał. A ja nie miałam serca mu o tym powiedzieć.

Odwróciła się, a jej uśmiech stał się szerszy i cieplejszy, gdy skrzyżowała spojrzenia z mężem, równocześnie ściskając mu dłoń. Następnie ponownie przeniosła wzrok na cesarza i cesarzową i w jednej chwili spoważniała.

- Tak więc doskonale wiem, co byście uczynili, jak również że Nahrmahn uczyniłby to samo na waszym miejscu. I ja też - dodała, spoglądając Sharleyan prosto w oczy. - Tym bardziej się cieszę, że nie będziecie musieli zrobić niczego podobnego.

- Nie będziemy musieli? - upewnił się Cayleb, na co Ohlyvya zamasyściła pokręciła głową.

- Wasza wysokość... Gdyby Nahrmahn miał ogłosić, że jesteście heretykami i czcicielami demonów, zrobiłby to z chwilą, kiedy usłyszał, że *seijin* miewa wizje. Nie musieliście mu mówić, że *seijin* również umie latać w powietrzu i nie potrzebuje wykonywać

takich czynności jak... czy ja wiem... choćby oddychanie, aby mój mąż się domyślił, że Merlin jest kimś więcej, niż podejrzewa Grupa Czworka. Nahrmahn natychmiast zrozumiał, że *seijin* jest istotą nienaturalną, i jak go znam, przeszło mu przez myśl, że takie stworzenia są sługami Shan-wei. Bo mój mąż potrafi myśleć, wiecie...

Uśmiechnęła się ponownie, potrząsając głową i zerkając na Nahrmahna, choć ani na chwilę nie spuściła oka z pary cesarskiej.

- Znam swego męża - rzekła stanowczym tonem - i wiem, że choć *seijin* jest w stanie go poddawać nieustannej obserwacji, udałoby mu się wystąpić przeciwko wam, gdyby uznał, że wysługujecie się Shan-wei. Pewnie nie wyszedłby z tego cało, niemniej czynem pokazałby, po czyjej stoi stronie. Sądzę też, że poznaliście go wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że nie mijam się w tej sprawie z prawdą i Nahrmahn jest zdolny postąpić właściwie, nawet ryzykując życie. Szczególnie w sytuacji, gdy wierzy, że ktoś opowiada się po stronie Ciemności...

Twarz księcia poróżowiała - zdaniem Merlina odcień różu był niezwykle oryginalny - niemniej poza tym Nahrmahn w żaden sposób nie okazał buzujących w nim uczuć.

*Na Boga, ta kobieta ma całkowitą słuszność, pomyślał seijin i niezauważalnie pokręcił głową z podziwu. Nahrmahn jest dokładnie taki, jak go przedstawia, chociaż nie wiedziałem tego przy naszym pierwszym spotkaniu. Teraz jednak jestem pewien, że gdyby podejrzewał nas o konszachty z Shan-wei, postąpiłby tak, jak mówi Ohlyvya.*

- Tak się składa - kontynuowała tymczasem księżna - że ufam osądowi mego męża. Nahrmahn nie jest nieomylny i jak każdy popełnia błędy... aczkolwiek jest ich mniej niż w wypadku innych książąt, jacy przychodzą mi na myśl w tej chwili. Wszelako w tej konkretnej sytuacji mój osąd pokrywa się z jego osądem w zupełności.

Wbiła wzrok w Staynaira.

- Eminencjo... Chętnie zapoznam się z tymi pozostałymi wersjami Pisma, o których wspomniałeś. Jestem pewna, że ich lektura wzbudzi liczne pytania. Wiedz jednak, że byłam gotowa zaufać twojemu słowu przeciwko słowu Świątyni, gdy przyszło do tego, że odrzuciłeś interpretację Pisma podaną przez Kościół Matkę, a przecież wtedy nie miałam nic oprócz wiary. Być może teraz żądasz od nas znacznie więcej, ale też przedstawiasz dowody na poparcie swoich twierdzeń i tez. - Wzruszyła ramionami. - Nie wątpię, że osoby takie jak Clyntahn pozostają nadal odporne na fakty. Ja wszakże już zdecydowałam, że Zhaspyr Clyntahn nie wierzy w tego samego Boga co ja, zatem jego opinie nie mają dla mnie większego znaczenia.

Merlin odprężył się, kiedy pojął, że słowa księżnej Ohlyvyi płyną z głębi serca.

Rozejrzał się po twarzach zebranych i na wszystkich ujrzał tę samą ulgę, która i jego ogarnęła - w mniejszym lub większym stopniu. Może jednak z wyjątkiem twarzy Nahrmahna.

Książę Szmaragdu nie patrzył na Merlina Athrawesa. Nie patrzył nawet na Cayleba ani na Sharleyan, swoich władców. Ani na arcybiskupa. Nie patrzył na żadną z osobistości, którymi był otoczony. Nie... Nahrman Baytz spoglądał prosto na najważniejszą dlań osobę.

Na swoją żonę.

A w jego wzroku, ten jeden jedyny raz, można było wyczytać wszystkie targające nim emocje i uczucia.

## .VI.

### SALON KSIĘCIA NAHRMAHNA

#### PAŁAC CESARSKI

#### CHERAYTH

#### CHISHOLM

- Dzień dobry, wasza dostojność.

- Rzeczywiście już jest, prawda? Znaczy się dzień. - Nahrman wyrwał za okno pałacu na pograżony w szarości chisholmski poranek, po czym wzruszył lekko ramionami.

Merlin pomyślał, że wcale nie jest aż tak wcześnie, lecz zaraz sobie przypomniał, że Cherayth leży cztery strefy czasowe na wschód od Eraystoru. Wprawdzie Nahrman dość dużo czasu spędził w podróży, więc powinien już dawno przestawić swój wewnętrzny zegar. Fakt, że rano nadal go zaskakiwał, świadczył zdaniem Merlina o tym, że książę Nahrman po prostu nie należał, jak to się mówiło na Starej Ziemi, do rannych ptaszków.

*No i dobrze, uśmiechnął się w duchu seijin. Ja też nie byłbym rannym ptaszkiem, gdybym nie musiał...*

- Cóż mogę dla ciebie uczynić o tej nieludzko wczesnej porze? - zainteresował się Nahrman, podchodząc bliżej do kominka salonu komnat gościnnych w pałacu cesarskim. Wyciągnął dłonie ku płomieniom, mimo iż w pomieszczeniu nie było jakoś specjalnie zimno. Przynajmniej wedle standardów obowiązujących w Chisholmie.

- Prawdę powiedziawszy, chciałbym przedyskutować z tobą parę spraw - odrzekł Merlin, na co Nahrman zmrużył oczy, przybierając poważniejszy wyraz twarzy.

- Ze mną jako cesarskim doradcą do spraw wywiadu - zapytał, spoglądając na Merlina

- czy raczej jako z nowym członkiem wewnętrznego kręgu?

*Seijin* ledwo zauważalnie wzruszył ramionami.

- Jedno i drugie. Albowiem jak zapewne już się domyśliłeś, twoja zdolność przetwarzania spływających danych wywiadowczych znacznie wzrośnie z chwilą, gdy nauczysz się używać komunikatora. Z tym że moim zdaniem nie jesteś na to w pełni przygotowany. Tylko bez obrazy - uprzedził obiekcje księcia. - Nikt, kto wcześniej nie miał do czynienia z tym urządzeniem, nie jest na to w pełni przygotowany.

- Z jakiegoś powodu nie wydaje mi się to dziwne - odparł suchym tonem Nahrman i potrząsnął głową. - Pamiętam te zgrabnie sformułowane „streszczenia”, które ty i... Sowa mi dostarczałyście, i to, jak usilnie próbowałem sobie wyobrazić oglądane przez was rzeczy. - Ponownie potrząsnął głową. - Coś takiego przechodzi ludzkie pojęcie, obawiam się. Przypuszczam więc... a chyba nie mylę się w swoich przypuszczeniach... że rzeczywistość takiego doświadczenia przerasta wszystko, co można sobie wyobrazić.

- Chyba tak. Ale uważam, że przywykniesz to tego szybciej, niż mógłbyś sądzić. - Merlin uśmiechnął się. Zaraz jednak znowu spoważniał. - Niestety odkryjesz też coś, co nazywa się szumem informacyjnym. - Dla odmiany teraz on potrząsnął głową. - Właśnie przez to Sharleyan nieomal zginęła w zamachu pomimo wszystkich moich SAPK-ów i pluskiew. Po prostu spływało tak dużo danych, że nawet z pomocą Sowy nie byłem w stanie ich wszystkich przetworzyć. A w przeciwieństwie do ciebie potrafię obejść się bez snu przez bardzo długi czas.

- Przypuszczam, że tak... - rzekł zamyślony Nahrman. - Wyobrażam sobie, jak trudno musi być ich cesarskim mościom znaleźć czas... i miejsce... na zapoznanie się z całym materiałem, o którym mówisz. Przecież nie mogą siedzieć w sali tronowej i ignorować wszystkich obecnych tylko dlatego, że ty nadajesz im wprost do ucha głosy, których nikt inny nie może słyszeć. Coś takiego prędzej czy później wzbudziłoby podejrzenia.

- O, jest jeszcze gorzej, niż myślisz - przewrócił oczami Merlin. - A tobie nie będzie ani odrobinę łatwiej.

- Ani odrobinę? - powtórzył Nahrman, unosząc brwi.

- Na razie masz dostęp do plików komputerowych Sowy, ale przecież wiem, po kim twoje dzieci odziedziczyły zamiłowanie do czytania! Wzdrygam się na myśl, co będzie, gdy odkryjesz bazy danych. I niech nas ręka boska broni przed tym, abyś miał dostać egzemplarz czegokolwiek, co napisał Machiavelli!

- Machiavelli... - Nahrman powtórzył dziwnie brzmiące nazwisko powoli, mozoląc się z obco brzmiącymi sylabami. - Co za cudaczne miano. - Przechylił lekko głowę. - A o

czym on pisał?

- Dowiesz się w swoim czasie, wasza dostojność - wzruszył ramionami Merlin. - Prawdopodobnie popełniłem błąd, wspominając ci o nim, ale że poleciłem Sowie, aby pomagała wszystkim użytkownikom rozeznąć się w systemie, mam pewność, że prędzej czy później sam byś się natknął na tę postać.

- Zdajesz sobie sprawę, że w ten sposób tylko podsycasz moją ciekawość? - zapytał Nahrman.

- Tak, chyba tak... - Merlin podszedł do okna i zapatrzył się na skuty zimą krajobraz na zewnątrz. - W dużej części chodzi pewnie o to, że nareszcie mam z kim o tym wszystkim porozmawiać. To tak, jakby historia ludzkości przestała być nagle martwa. Do tej pory nawet nie wiedziałem, jak bardzo mi jej brakuje...

Rysy twarzy Nahrmana nagle zmiękły, a on sam położył dłoń na ramieniu *seijina*.

- Jest takie przysłowie - zaczął cicho. - Być może było już znane na Starej Ziemi. „Nikt nie jest bardziej samotny niż koronowany władca”... - Pokręcił głową i przyłączył się do wyglądającego przez okno Merlina. Po dłuższej chwili milczenia dodał: - Uświadomiłem sobie prawdziwość tego powiedzenia dość dawno temu, lecz nigdy nawet nie przeczuwałem, że może istnieć ktoś tak samotny jak ty w chwili, kiedy przebudziłeś się w tamtej jaskini.

Merlin odwrócił się, obrzucając spojrzeniem niskiego, pyzatego księcia Szmaragdu, po czym wolno skinął głową.

- Codziennie - rzekł pogodniejszym tonem - czuję coraz większą radość, że udało nam się załatwić tę sprzeczkę między Charisem a Szmaragdem bez konieczności skracania nikogo o choć stopę wzrostu.

- Zwłaszcza w wypadku osób, które i tak nie są zbyt wybujałe pod tym względem - zauważył sucho Nahrman.

- Otóż to - potwierdził Merlin z uśmiechem. Moment później otrząsnął się z nastroju, który go ogarnął, i przeszedł do rzeczy. - Ale wracając do powodów, dla których odwiedziłem cię tego ranka...

- Właśnie, właśnie - podchwycił Nahrman.

- Rzecz w tym, że wracam do Maikelbergu zaraz po naszej rozmowie. Mam tam do załatwienia pewną sprawę w imieniu ich cesarskich mości... sprawę wiążącą się w pewien sposób z naszą obecną konwersacją. Jako że nie będę obecny, nie zdołam zapoznać ciebie i księżnej Ohlyvyi z działaniem komunikatorów, co niechybnie bym uczynił, gdyby obowiązki nie wezwały mnie dokądś indziej. Wszelako Cayleb i Sharleyan godnie mnie zastąpią i z tego co mi wiadomo, właśnie w tym celu zaproszą was dzisiejszego wieczoru znów na kolację, w

której weźmie udział także arcybiskup Maikel.

Urwał na moment z uniesionymi lekko brwiami i dopiero gdy Nahrman przyjął te informacje do wiadomości nieznacznym skinieniem głowy, podjął:

- Kiedy już będziesz na bieżąco i bez problemów będziesz się posługiwał interfejsem służącym do komunikacji z Sową, poprosimy cię o ulżenie nam i przejęcie części spływających informacji. Jak dotąd Cayleb i Sharleyan co dzień zapoznają się z określonymi danymi spływającymi do Sowy. Obawiam się, że będziemy musieli walczyć z pokusą, aby cię nie przeciążyć. Moim zdaniem jesteś najlepszym analitykiem, jakim w tej chwili dysponujemy. Na pewno lepszym ode mnie, a także jak myślę, od barona Gromu. Dlatego tak ważne jest, abyśmy w twoim wypadku zachowali równowagę między zwykłym przeglądaniem danych a analizowaniem tych, które podeśle ci ktoś o mniej analitycznym umyśle.

- Rozumiem... - bąknął Nahrman.

Merlin uznał, że jeśli nawet jego komplementy sprawiły księcia w zażenowanie, w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać.

- Jednakże w odniesieniu do pewnych danych powinieneś być pierwszą osobą, która na nie spojrzy - ciągnął *seijin*. - Co sprowadza tę rozmowę do mojej wizyty w Maikelbergu.

- To znaczy? - zapytał Nahrman, kiedy Merlin zamilkł.

- Niektórzy ludzie - zaczął *seijin*, uważnie dobierając słowa - bądź już chlapią jęzorem o sprawach, o których nie powinni z nikim mówić, bądź dopiero szukają, z kim by tu o nich pogadać. Niektórzy wysoko postawieni ludzie - podkreślił.

- Nie dziwi mnie to - odrzekł kwaśnym tonem książę. - Ba, mógłbym nawet wymienić parę nazwisk owych wysoko postawionych ludzi. Streszczenia, które mi przekazywałeś, były ich pełne. Czy mam rozumieć, że do tej grupy osób zalicza się ktoś rezydujący w Maikelbergu?

- Owszem, w Maikelbergu jest parę osób zaliczających się do tej grupy... - skrzywił się Merlin. - Na szczęście nie tylu, ilu by mogło być. Na przykład książę Eastshare.

- Naprawdę? - Nahrman przyjrzał się Merlinowi z napięciem, po czym pokiwał głową. - Świetnie. Świetnie! - Pokiwał głową jeszcze zamaszyciej. - Tak właśnie sądziłem, ale cieszę się, że mam nareszcie potwierdzenie swoich podejrzeń.

- Nie jesteś w tym uczuciu odosobniony - zapewnił Merlin. Następnie wzruszył ramionami. - Oczywiście nie możemy aresztować ludzi ot tak, nie mając dowodów, które nadawałyby się do przedstawienia w sądzie. Możemy za to odsuwać osoby, do których straciliśmy zaufanie, z ważnych stanowisk i to właśnie czynimy. Jednakże jest pewna, na

szczęście niezbyt duża grupa zdrajców, których nie da się usunąć bez żelaznych dowodów lub których z różnych przyczyn nie chcemy usunąć...

- Gdy wie się, kto jest zdrajcą, można kontrolować przepływ informacji - zauważył przytomnie Nahrman.

- Właśnie - przytaknął Merlin. - Z tego założenia wyszli Cayleb i Sharleyan, decydując się zostawić na dotychczasowych stanowiskach wątpliwe osoby, a teraz twoim zadaniem będzie kontrolowanie przepływu informacji, o którym wspomniałeś.

Nahrman przyjął to do wiadomości skinieniem głowy, nie spuszczać Merlina z oka.

- Oprócz nich jest jeszcze grupka... tak naprawdę garstka... ludzi, którzy zostali na swoich stanowiskach ze ściśle określonych powodów. Różnych od tych, o których mówiliśmy przed chwilą, gdyż na pewno nie chodzi o informacje, jakie mogliby przekazać dalej. Cayleb określa ich zbiorczym mianem „Delikatesów Mistrza Traynyra”. - To mówiąc, badawczo przyglądał się Nahrmanowi. Księżę zmarszczył na moment brwi, po czym ruchem głowy dał znać, że kojarzy nawiązanie do legendarnego na Schronieniu mistrza przedstawień kukielkowych.

- Zatem twoja podróż do Maikelbergu ma związek z jedną z tych kukielek... Z kimś, kogo chcecie zmanipulować tak, by postępował zgodnie z waszym życzeniem. Albo z kimś, kim manipulujecie, aby to on zmanipulował kogoś innego za was...

- Obserwowanie cię przy pracy to jedna z moich niewielu przyjemności - wyszczerzył się doń Merlin. - A skoro już o tym mowa, wiedz, że czerpałem z tego przyjemność także wtedy, gdy byłeś po drugiej stronie!

- Miło wiedzieć, że dostarczyłem ci wielu godzin rozrywki, *seijinie* - zrewanżował się oschle Nahrman, lecz nie opanował ogników rozbawienia w oczach, na co Merlin prychnął przez nos.

- Pozwól, że opowiem ci o szlachetnym hrabim Swayle - zaczął. - Interesująca z niego postać. W dodatku ma całkiem ciekawych przyjaciół. Cayleb, Sharleyan i... co tu ukrywać... ja także chętnie wysłuchamy twojej opinii na jego temat. A ja osobiście będę wdzięczny dodatkowo za rady, jak działać, kiedy już znajdę się w Maikelbergu... Bo widzisz...

## .VII.

PAŁAC ARCYBISKUPI

TAIRYS



## GLACIERHEART

### SIDDARMARK

- Masz co do tego całkowitą pewność, eminencjo?

Ojciec Gharth Gorjah nie zdołał zapanować nad pełnym wątpliwości tonem głosu, na co Zhasyn Cahnyr się uśmiechnął. Gorjah był prawie dwakroć młodszy od Cahnyra, a służył arcybiskupowi, odkąd opuścił seminarium. Był bardzo zdolnym sekretarzem i Cahnyr wiedział, że każdy inny hierarcha chętnie by mu go podebrał. Jednakże Gorjah nigdy nie okazał choćby cienia zainteresowania propozycjami, jakie kierowano pod jego adresem. Cahnyr wierzył, że to dlatego, iż Gorjah lubi dłań pracować. Sam wysoko sobie cenił usługi młodszego księdza i czasem miewał wyrzuty sumienia, że nie zachęcił go, by sięgnął po któreś z oferowanych stanowisk. Jakiś lepiej ustosunkowany arcybiskup z pewnością przyspieszyłby jego karierę. Gharth Gorjah mógłby już się zaliczać do niższych stanów hierarchii, gdyby przeszedł na służbę któregoś z aktywniejszych prałatów.

Wszelako Cahnyr był też świadom, że lojalność jego podwładnego wynika po części i z tego, że urodził się i wychował tutaj, w Glacierheart. Stary Gorjah i wszyscy bracia Ghartha w młodym wieku trafili do kopalń, lecz rodzina zgodnie postanowiła, iż najmłodszy syn musi osiągnąć w życiu coś więcej, po czym bez protestów wspierała go i poświęcała się dla niego.

Kościół zapewniał wszystkim swoim dzieciom pięć lat darmowej nauki (co zdaniem Cahnyra należało się im zasłużenie, zważywszy na to, jaką dziesięcinę z nich zdzierano rok w rok), lecz mało kto w Glacierheart mógł sobie pozwolić, aby potomek nauczył się czegoś więcej niż czytania, pisania i rachowania. Rodzice Ghartha wszakże zaparli się i jakimś cudem zdołali zatrzymać go w szkole, nie dopuszczając nawet w pobliże kopalni. Miejscowy ksiądz także dopatrywał się w chłopcu jakiejś iskry, przez co mieli na niego oko nauczyciele, którzy w końcu zrozumieli, że ten niski, przysadzisty syn górnika ma niezwykle bystry umysł.

Potem kłamka zapadła. Kościół Matka nigdy nie przeoczył prawdziwego klejnotu, zwłaszcza gdy - tak jak w wypadku Ghartha - klejnot ów wykazywał szczere powołanie. Ono właśnie zwróciło uwagę poprzednika Cahnyra na stolcu arcybiskupim. Z Glacierheart Gorjah trafił do Syjonu, do seminarium. Arcybiskup ów zamierzał zatrudnić młodego duchownego zaraz po ukończeniu przez niego seminarium, lecz ostatecznie świeżo wyświęcony ojciec Gharth został sekretarzem Cahnyra, gdy ten zajął miejsce przedwcześnie zmarłego poprzednika. Nowy arcybiskup natychmiast zapalał sympatią do młodego kapłana.

*I pewnie dlatego Gharth ma mnie czasami za niedorozwiniętego wujka, zauważył teraz w myślach Zhasyn.*

- Jeśli pytasz, czy jestem pewien, że to dobry pomysł, moja odpowiedź brzmi: tak. Jeśli zaś chodzi ci o to, czy to najlepsza pora roku na wyjazd, odpowiadam: nie. Natomiast jeśli chciałeś zapytać, czy na pewno chciałem wydać ci takie, a nie inne instrukcje, ponownie muszę odpowiedzieć: tak.

Przez chwilę drapał się po brodzie zamyślony, po czym zgromił młodszego od siebie mężczyznę wzrokiem. Było to groźne spojrzenie, pełne majestatu i potęgi... a efekt psuły tylko ogniki rozbawienia błyskające w jego oczach.

- Wygląda więc na to, że ogólna odpowiedź brzmi jednak: tak. Zgodzisz się ze mną?

- Oczywiście, eminencjo! - Gorjah splonął się lekko, ale zaraz potrząsnął głową z typowym dla mieszkańców Glacierheart uporem. - Tylko że tak jak raczyłeś wspomnieć, pora roku nie sprzyja podróżom. Szczególnie do górskiej chaty. Trudno powiedzieć, w jakim stanie jest dom, a poza tym w każdej chwili może się rozpętać zamieć śnieżna. Jeśli pogoda naprawdę się załamie, a do opieki będziesz miał tylko Fraidmyna... - Urwał, widząc, że Cahnyr zaczyna się uśmiechać.

- Doceniam twoją troskę. Niemniej uważam, że nawet para starych pierdołów, takich jak Fraidmyn i ja, da sobie radę przez parę dni. Chata zaś stoi na tamym szczycie co najmniej od stu lat, więc nie sądzę, by nawet burza śnieżna miała ją zdmuchnąć właśnie teraz. Zresztą nawet jeśli warunki będą raczej surowe, to chyba w niczym nie przeszkodzi poszukiwaniom duchowego spokoju, prawda?

- Nie, eminencjo. Oczywiście, że nie przeszkodzi. Tylko że...

- Tylko że wolałbyś mnie nie puszczać samego tam, gdzie mogę narozrabiać? - dokończył za sekretarza Cahnyr, unosząc brew.

Gorjah ponownie się zaczerwienił, a następnie roześmiał głośno.

- Przyznaję się do winy, eminencjo! - rzucił z uśmiechem. Zaraz jednak spoważniał i wpatrzył głęboko w oczy przełożonego.

Cahnyr odpowiedział spokojnym spojrzeniem - i tylko spojrzeniem, nie reagując na niezadane pytania. Nie mógł, ba, nie chciał na nie odpowiadać. Nie teraz. Już dawno uznał, że im mniej Gorjah będzie wiedział o ryzykownych przedsięwzięciach przełożonego, tym lepiej. Niełatwo było wykluczyć Ghartha z istotnej części swojego życia, lecz przecież arcybiskup działał w Kręgu na długo przed tym, zanim Gorjah zaczął dla niego pracować. Kontakty z Wylsynnami były już ustanowione i wystarczyło nie informować o nich sekretarza.

Bywały chwile, że Cahnyr zastanawiał się nad słusznością własnej decyzji, i to nie tylko dlatego, że komplikowała mu ona życie. Widział w Gorjahu bratnią duszę i raczej wątpił - aczkolwiek całkowitej pewności nie miał - aby młody Gharth zdradził jego czy Krąg.

Skoro już o tym mowa, był praktycznie przekonany, że młodzieniec z miejsca przyłączyłby się do ich działań. Nie chciał jednak, by Gharth musiał podejmować tę decyzję na tak wczesnym etapie swojego życia. Nie była to sprawa, od której zwyczajnie można się było odwrócić w razie stwierdzenia, że jednak popełniło się błąd, a Cahnyr był pewien, że decyzja Gorjaha w większej części wynikałaby z szacunku i sympatii, które żywił dla niego.

Po upływie kilku lat, gdy Cahnyr nabrał już pewności, że Gharth podjąłby tę decyzję świadomie i z właściwych pobudek, pojawiły się inne przeszkody. Wielkim inkwizytorem został Clyntahn, co znacznie zwiększyło ryzyko. Członkowie Kręgu postanowili, że ograniczą swoje działania wyłącznie do najwyższych hierarchów. Do tej pory tylko niewielu niższych rangą duchownych zostało wtajemniczonych i zgodnie uznano, że nie należy tego zmieniać, zarówno ze względów bezpieczeństwa, jak i po to, by chronić swoich przyszłych następców. A poza tym Gorjah w pewnym momencie poślubił swą ukochaną z lat dziecięcych i dość szybko przyszło na świat pierwsze z jego (obecnie trojga) dzieci.

Zważywszy na to wszystko, Cahnyr nie chciał narażać swego sekretarza. Od pięciu lat Gorjah nie towarzyszył mu podczas pobytów w Świątyni, dokąd Cahnyr się udawał pomiędzy wizytami duszpasterskimi. Arcybiskup zatrudnił nawet drugiego sekretarza w Syjonie - co do którego miał pewność, że jest szpiegiem Inkwizycji - natomiast na Gorjaha cedował coraz większą liczbę obowiązków tutaj, w Glaciereheart. Gdy przed trzema laty zmarł na zapalenie płuc leciwy sekretarz biskupa egzekutora, Gharth przejął jego obowiązki, tak więc także oficjalnie miał wiele powodów do pozostawiania na stałe w Tairysie.

Wszelako bywały chwile, szczególnie w ostatnich miesiącach, gdy Cahnyr czuł wyrzuty sumienia dlatego, że nie powiedział Gharthowi o Kręgu. Nabrał bowiem pewności, że Clyntahn i tak nie uwierzy w to, że Gorjah nie miał pojęcia o działalności przełożonego. Co gorsza, przypuszczał, że Clyntahnowi będzie wszystko jedno, czy Gorjah był naprawdę zaangażowany w cokolwiek czy też nie. Wielki inkwizytor mógł po prostu uznać, że Gharth Gorjah, winny czy nie, będzie stanowił kolejny świetny przykład, a przecież nie brakowało młodszych duchownych, którzy by go zastąpili na stanowisku.

Mimo wszystkich obiekcji arcybiskup postanowił trzymać się swego pierwotnego zamiaru nie wtajemniczania w nic sekretarza. Jego asystent z Syjonu miał dostęp do całej korespondencji między nim i Gorjahem; co więcej, Cahnyr zatrzymał go właśnie w tym celu nawet po tym, jak się zorientował, że mężczyzna ten regularnie składa raporty Inkwizycji. W listach, które krążyły między nimi dwoma, nigdy nie padło ani jedno słowo na temat działalności Kręgu, toteż arcybiskup mógł mieć nadzieję, że czysto służbowy wymiar ich znajomości w połączeniu z faktyczną niewiedzą Gorjaha będą najlepszą ochroną jego

sekretarza.

*Choć koniec końców może się to okazać niewystarczające, myślał smutno Cahnyr, nie jestem w stanie zrobić dla ciebie nic więcej, Gharth. Nie mogę cię nawet poprosić, abys uciekł ze mną, o ile sam zdobędę się na ucieczkę. Rozpaczliwe przedzieranie się przez góry w środku zimy to ostatnie, czego ci trzeba, przy trójce dzieci i żonie w ciąży.*

- Zatem dobrze, eminencjo - odezwał się wreszcie Gorjah. - Nie powiem, że mam cię za głupca, gdyż nigdy bym się nie powążył użyć takiego określenia w stosunku do ciebie. Nie będę też twierdził, że dwaj szanowani dżentelmeni, z których każdy ma sześćdziesiątkę dawno za sobą, nie są w stanie zadbać o siebie nawet w najtrudniejszych warunkach. - Obdarzył Cahnyra surowym spojrzeniem, po czym potrząsnął głową, napotkawszy równie stanowczy wzrok przełożonego. - Poczynię stosowne przygotowania. Jeśli dasz mi pięciodzień, zadbam także, aby kosze były pełne węgla, a szpizarnia nie świeciła pustkami.

- Dziękuję, Gharth. - Cahnyr łagodnym gestem poklepał młodszego mężczyznę po ramieniu. - Pomyślałeś o wszystkim. Doceniam to.

Rzeczywiście tak było. A zaproponowana przez sekretarza zwłoka wydawała się w sam raz.

## **.VIII.**

### **SIEDZIBA KSIĘCIA EASTSHARE**

#### **MAIKELBERG**

#### **KSIĘSTWO EASTSHARE**

#### **CHISHOLM**

*Gdybym nadal był żywym człowiekiem, zauważył w myślach Merlin Athrawes, kiedy kolejny wierzchowiec po zmianie unosił go w dal, powoli miałbym dość tego telepania. I całej tej wyprawy.*

Maikelberg został wzniesiony przez ojca Sharleyan, króla Sailysa. Miasto leżało niecałe sto pięćdziesiąt mil na północ od Cherayth, na wąskim pasie lądu pomiędzy jeziorem Morgan oraz Zatoką Wiśniową, i od swoich początków było pomyślane jako forteca.

Narzędziami, którymi król Sailys rozprawił się z potęgą wielmożów latami spychających na margines jego dziada i ojca, były: po pierwsze, armia dowodzona przez jego szwagra, księcia Doliny Halbrooma; po drugie, przymierze Korony z Izbą Gmin, o które

wystarał się jego przyjaciel z lat młodości, Mahrak Sandyr, baron Zielonego Wzgórza; i po trzecie, położenie geograficzne. Aczkolwiek przyznać należy, że to ostatnie na nic by się nie zdało, gdyby nie wielki talent dyplomatyczny Mahraka. Hrabia z dużą ostrożnością podchodził do wsparcia książąt Brzegu Jeziora i Rozbitej Skały oraz hrabiego Heleny, zgodził się jednak na nie z czystego wyrachowania, trudno bowiem było powiedzieć, że darzył specjalnym uczuciem któregokolwiek z nich, a już zwłaszcza drugiego ze wspomnianych arystokratów. Jeśli dodać do tego gorące poparcie, jakiego udzielało wolne miasto Port Charlz (którego mieszkańcy zmienili nazwę z Port. Royal, by okazać entuzjazm dla powstającej Korony), Sailys (będący podówczas księciem Cherayth) zyskał spore terytoria. Ziemia - od zachodu chroniona jeziorami Morgan i Megan, natomiast od wschodu i południa morzem - gdzie powstawały największe porty kraju. Ich dobrobyt ściągał w te okolice najlepszych fachowców, więc nowo powstałe królestwo szybko zdominowało wiecznie ze sobą skłóconych okolicznych wielmożów.

Maikelberg wybudowano na terenach należących do ówczesnego księcia Eastshare - który nie należał do najgorętszych popleczników nowego króla - aby umocnić nowy porządek. Pozwalało utrzymać wojowniczego arystokratę po jego stronie jeziora, dzięki czemu Sailys zyskał możliwość skoncentrowania się na znacznie niebezpieczniejszej granicy lądowej z księstwami Brzegu Jeziora i Brzegu Wiatrów. Król był bardzo ostrożny, rozszerzał swoją strefę wpływów stopniowo w kierunku zachodnim, ani razu nie odsłaniając swojego zaplecza.

Książę Eastshare był na tyle zajadły, że dał się zabić w bitwie, zanim zmałstrował pierworodnego syna. Z tego też powodu tytuł przeszedł w inne ręce, a nowy władca - ojciec obecnego księcia - szybko zrozumiał, gdzie stoją konfitury, i niemal natychmiast stał się jednym z najgorętszych orędowników Korony. Mimo to Sailys nawet na moment nie pozwolił zaniedbać Maikelbergu, a Sharleyan kontynuowała tę tradycję. Co więcej, zrealizowała plany ojca dotyczące jeziora Morgan, łącząc je z Zatoką Wiśniową Kanałem Króla Sailysa. Drugi ze wschodnich akwenów, jezioro Megan, również zyskało połączenie dzięki Kanałowi Edmynda. Dzięki tym szlakom wodnym okolice Cherayth mogły się rozwinąć gospodarczo. Wtedy też stało się jasne, że twierdza Maikelberg nie powstała w przypadkowym miejscu.

Bliskość Zatoki Wiśniowej i jeziora Morgan umożliwiała szybką komunikację drogą wodną, nic więc dziwnego, że nowy książę Eastshare wybrał Maikelberg na bazę, w której miała powstać nowa cesarska armia. Twierdza miała także połączenie ze stolicą, do której wiodła doskonale utrzymana droga. Kapitan Athrawes, jako członek osobistej gwardii cesarza

Cayleba, otrzymał przywilej pierwszeństwa przy wyborze świeżych koni w każdym z posterunków, które rozmieszczono wzdłuż tej trasy. Dzięki temu mógł pokonać odległość dzielącą oba miasta w dwa dni jazdy, ale gdyby naprawdę zależało mu na skróceniu tego czasu, dałoby się urwać jeszcze kilka godzin...

*Gdybym mógł skorzystać ze skimmera, dotarłbym tu w niespełna dziesięć minut,* pomyślał z przekąsem, gdy ujrzał w końcu mury Maikelbergu, uśmiechając się pod nosem. Aczkolwiek i tak nie zmarnowałem tego czasu, dodał po chwili.

Nimue Alban była raczej marnym jeźdźcem. Uczyła się tej sztuki jeszcze jako dziewczynka, ponieważ nalegał na to jej bogaty ojciec - sam będący jednym z czołowych graczy w polo. Ona jednak miała zupełnie inne zainteresowania... co niezmiernie irytowało jej rodzica, który żywił głębokie przekonanie, że każda dziewczynka musi uwielbiać konie. Może zasada ta dotyczyła wszystkich pozostałych dziewczynek, niemniej Nimue wołała żeglowanie od hippiki.

Nic więc dziwnego, że zdolności jeździeckie Merlina Athrawesa również nie należały do najlepszych. Na jego szczęście mieszkańcy Schronienia preferowali prostszy, zachodni styl jazdy - tak przynajmniej nazywali go byli trenerzy Nimue (i to raczej lekceważącym tonem). Drugim szczęśliwym zrządzeniem losu było to, że sztuczne ciało CZAO posiadało funkcję zwaną „pamięcią mięśniową”, naśladującą mechanicznie każde zaobserwowane zachowanie. Dzięki niej zdolności hippiczne kapitana uległy daleko idącej poprawie i mógł on dosiadać wierzchowca, nie obawiając się o nadszarpnięcie reputacji idealnego wojownika.

Teraz mógł ustawić automatyczny tryb jazdy, dzięki któremu trzymał się w siodle z wielką gracją. Zwielokrotniona dzięki włóknom optycznym szybkość reakcji i wzmocnione zmysły pozwalały wykorzystać długie godziny monotonnego galopu po trasie łączącym Cherayth z Maikelbergiem do wykonywania zupełnie innych zadań. Zyskał na przykład możliwość zapoznania się z kolejną porcją niekończącego się strumienia danych napływających z pluskiew Sowy.

Tym właśnie zajmował się od momentu opuszczenia pałacu i jak zawsze, gdy dane mu było skupiać się dłużej na analizie dostarczonych przekazów, dostrzegł kilka niezauważonych wcześniej farbowanych lisów zakradających się do ich ogródka. Większość z nich była jeszcze na tyle daleko od kurnika, że nie stanowiła realnego zagrożenia, ale jeden wydawał się na tyle interesujący, że *seijin* postanowił porozmawiać o nim z arcybiskupem Maikielem.

*Aczkolwiek lepiej będzie, jeśli zaczekam z tą rozmową do powrotu, aby odbyć ją w cztery oczy.* Z tą myślą Merlin wjechał na most Maikela, największy z trzech mostów zwodzonych, którymi można było przepłynąć się na drugą stronę Kanału Króla Sailysa.

Podkute żelazem kopyta zadudniły po deskach, a Merlin błyskawicznie wrócił do rzeczywistości. Rozmowa ze Staynairem musi poczekać do chwili powrotu do Cherayth. Wizyta u księcia Eastshare może okazać się równie interesująca.

\* \* \*

- *Seijin* Merlin.

Ruhsyl Thairis, książę Eastshare, miał czterdzieści pięć lat, kasztanowe włosy, piwne oczy, mierzył kilka cali powyżej sześciu stóp i był dość mocno zbudowany. Mimo że należał do grona najlepiej urodzonych wielmożów Chisholmu, wstał z fotela na widok cesarskiego oficera.

- Wasza łaskawość - odparł Merlin, kłaniając się głęboko.

- Miło mi cię znowu widzieć - kontynuował arystokrata, wyciągając rękę. Gdy uścisnęli sobie przedramiona, książę uśmiechnął się krzywo. - Miło mi cię znowu widzieć - powtórzył - aczkolwiek pojęcia nie mam, czemu zawdzięczam twoją ponowną wizytę. A raczej dlaczego wróciłeś tak szybko.

- Stało się tak z kilku powodów, wasza łaskawość, ale jeden z nich był ważniejszy niż wszystkie pozostałe. - Merlin odwdzieczył się gospodarzowi jeszcze bardziej krzywym uśmiechem. - Ich wysokości mają dla ciebie wiadomość, która ich zdaniem powinna być przekazana osobiście.

- Doprawdy? - Książę Eastshare uniósł brew.

- Szczerze mówiąc, to dość... skomplikowane, wasza łaskawość. Chyba będę potrzebował więcej czasu, by ci to dokładnie wyjaśnić.

- Rozumiem.

Książę Eastshare spojrzał uważniej na swojego gościa. Pomimo lojalności wobec Korony, a dokładniej rzecz ujmując, wobec królowej Sharleyan Tayt-Ahrmahk, książę pozostawał rasowym chisholmskim arystokratą. Po zdradzie księcia Doliny Halbbrooka Merlin upewnił się (osobiście i za pomocą SAPK-ów), że jego aktualny gospodarz szczerze popiera Imperium i - choć z pewnymi zastrzeżeniami - Kościół Charisu. Mimo to nadal nie potrafił pojąć prostego konceptu, że stanowiący większość społeczeństwa chłopci są takimi samymi ludźmi jak on. W jego przypadku nie chodziło jednak o klasyczną arogancję, tylko najzwyczajsze w świecie niezrozumienie. Nadrzędność arystokracji była tak naturalnym elementem świata, w którym urodził się i żył, że nie potrafił ogarnąć umysłem innych konceptów.

Z jednym tylko wyjątkiem. Bez najmniejszego trudu zaakceptował fakt, że nie tylko szlachcic, ale także zwykły wieśniak może zostać oficerem w armii. Szczerze mówiąc,

wslawił się bardzo ostrym traktowaniem kumoterstwa i tępił instytucję arystokratycznego patronatu, zwłaszcza w kwestiach związanych z awansami i przydziałami.

Merlin podejrzewał, że po części wynika to z przeświadczenia księcia Eastshare, iż wszyscy oficerowie - i to bez względu na status społeczny - są członkami jego rodu. Z drugiej jednak strony chodziło także o kwestie instytucjonalne, jako że armia powstała, by przełamać monopol arystokracji na władzę. Stworzono ją z ludzi stanu niższego, nie szlachty, więc nawet człowiek z samych szczytów establishmentu musiał trzymać się ustalonych reguł. Niemniej nie wymagano od niego, by szerzył je poza armią; w każdej innej dziedzinie życia patronaty możnych rodów były dla niego czymś normalnym.

Merlin, jako żołnierz, załapał się jednak na traktowanie armijne, mimo że raczył urodzić się gdzieś z dala od granic Chisholmu, co samo w sobie było dla tutejszej arystokracji czymś wyjątkowo odrażającym. Księcia nie zmylił także fakt posiadania przez niego zwykłego stopnia kapitana, w swojej długiej karierze wojskowej nauczył się bowiem, że w tej szarzy także bywają równi i równiejsi. A człowiek, który dowodził osobistą gwardią cesarza - tego samego, którego uratował przed laty przed zamachem - a także służył obu ich wysokościach za osobistego posłańca, a nawet rozjemcę, musiał być o wiele równiejszy od pozostałych. To chyba było głównym powodem, dla którego książę Eastshare wolał tytułować go *seijinem*, zamiast jak inni używać oficjalnego stopnia. Nie mówiąc już o traktowaniu zwykłego prostaczka - w dodatku urodzonego za granicą - jak prawie sobie równego. Jak niewiele gorszego, ale na pewno nie kogoś takiego jak on sam.

- Skoro ich wysokości uważają, że powinienem wysłuchać jej bezpośrednio z twoich ust, pozwól, że zaproszę cię na wspólną wieczerzę - stwierdził książę. - Moja żona wyjechała, by odwiedzić naszego najnowszego wnuka, i nie wróci aż do jutrzejszego popołudnia, dlatego i tak zamierzałem zjeść tutaj, w kwaterze głównej, zamiast jechać do pustego domu. Chciałem poprosić kilku moich najlepszych oficerów, aby przyłączyli się do mnie, ale domyślam się, że to nie będzie możliwe, ponieważ treść owej wiadomości powinna pozostać tylko między nami.

- Szczerze mówiąc, wasza łaskawość - wymamrotał Merlin - twoje domysły są jak zwykle bezbłędne.

\* \* \*

- Mów więc, *seijinie* - poprosił książę Eastshare trzy godziny później - jaką to masz dla mnie wiadomość?

- Już mówię, wasza łaskawość.

Ordynans księcia przypilnował, by słudzy wynieśli nakrycia, potem nalał obu



rozmówcom wina, odstawił karafkę w zasięgu ręki swojego przełożonego i wycofał się dyskretnie do pomieszczenia sąsiadującego z apartamentami dowódcy cytadeli w Maikelbergu. To był wyjątkowo dobry posiłek, uznał Merlin, wino także należało do tych lepszych. Napędzany zimną fuzją mechanizm CZAO nie wymagał odżywiania, ale jego syntetyczny system trawienny został tak skonfigurowany, by „odzyskiwać” materiał potrzebny do imitowania naturalnych procesów, takich choćby jak wzrost włosów. Większość spożytego posiłku będzie musiała być wyrzucona, niemniej twórcy CZAO zadbali, by jego użytkownicy mogli robić wszystko, do czego przywykli w normalnym życiu. Kubki smakowe Merlina były więc w pełni sprawne, aczkolwiek każdy uzdrowiciel ze Schronienia postradałby chyba zmysły, gdyby ktoś próbował im opisać zasady ich działania. Wieczera smakowała gościowi, czego książę, nie będący w stanie dostrzec wartości chłopów, nie przeoczył. Rozmowa przy stole była równie przednia jak posiłek, więc Merlin miał nadzieję, że atmosfera pozostanie taka i w dalszej części wieczoru.

*Chciałbym zobaczyć na własne oczy jego gwałtowną reakcję, pomyślał seijin.* Cayleb i Sharleyan założyli się o to, Athrawes miał też przecucie, że będą oglądać na żywo przekaz z SAPK-a, by sprawdzić, które z nich miało rację. *Nahrman także będzie się temu przyglądał,* dodał po chwili w myślach.

Nagle *seijin* zdał sobie sprawę z tego, że książę Eastshare przygląda mu się z drugiej strony stołu, i to nie kryjąc niecierpliwości.

*Czas skończyć z tymi przemyśleniami, uznał, odchrząkując cicho.*

- Jestem pewien, że wasza łaskawość zauważył - zaczął - pewne... oznaki konfliktu interesów w kadrze oficerskiej naszej armii.

- Pytasz, czy wiem o tym, że ich wysokości zastanawiają się nad tym, ilu książę Doliny Halbbrooka może mieć naśladowców? - rzucił obojętnym tonem książę. Merlin nie krył zdziwienia tak otwartym postawieniem sprawy, a to z kolei zmusiło starego dowódcę do wybuchnięcia śmiechem. - Ty, *seijinie*, zawsze byłeś uosobieniem taktu, ale tylko głupiec, którym z pewnością nie jestem, nie zrozumiałby jeszcze, że powodem twoich tak częstych ostatnio wizyt w Maikelbergu jest niepokój żywiony przez ich wysokości. Powiem wprost, sądzę, że ja byłem głównym celem tej obserwacji, a uważam tak choćby dlatego, że Byrtrym, mój przyjaciel od wielu lat, został mężem mojej siostry. Nie wspominając już o takim drobiazgu, że odziedziczyłem to stanowisko właśnie po nim. Zakładam jednak, że fakt, iż nadal jestem tutaj głównodowodzącym, a ich wysokości nadal traktują mnie z szacunkiem, oznacza, że twoje raporty na mój temat musiały być przynajmniej neutralne.

Merlin przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Miałem nadzieję, że nie było to aż tak oczywiste, wasza łaskawość - oświadczył nieco zmieszany, co księżę skwitował kolejnym chichotem.

- Nie żartowałem, kiedy mówiłem, że jesteś usposobieniem taktu. Tak szczerze, po żołniersku, zdziwiłbym się, gdyby Sharleyan albo Cayleb nie mieli zastrzeżeń podobnej natury. Miałem przyjemność obserwować jej wysokość od chwili, gdy skończyła dwanaście lat. Nie przetrwałaby w cieniu królowej Ysabel, gdyby była głupią trzpiotką. Nie utrzymałaby się też na tronie, gdyby traktowała wszystkich jako niegodnych zaufania, dopóki nie udowodnią w jakiś sposób, że jest przeciwnie. Przyznaję, że całkiem zrećźnie wspierasz ją w obu tych kwestiach.

- Dziękuję, wasza łaskawość. - Merlin pokłonił mu się przez stół, a potem uśmiechnął się. - W rzeczy samej, moja opinia o tobie była bardzo pozytywna. Dodam też, choć może nie jestem osobą, która powinna poruszać takie tematy, że jej wysokość jest zadowolona z ciebie, także prywatnie. Wątpię, aby traktowała cię jak zwykłego wasala czy dowódcę armii.

- Miło mi to słyszeć. - Twarz księcia Eastshare złagodniała. - Nie winię jej za te obawy, aczkolwiek przyznaję, że sam byłem nimi zaniepokojony. - W jego piwnych oczach pojawił się niepokój. - Domyślam się, że musiała bardzo to wszystko przeżyć. - Pokręcił głową. - Nie wiem, jak Byrtrym mógł pogodzić tak ogromny konflikt interesów. To na pewno nie było dla niego łatwe, niemniej... - Księżę urwał w pół zdania i znów pokręcił głową. Tym razem mocniej i bardziej zdecydowanie, jak pięściarz, który próbuje się otrząsnąć po potężnym lewym sierpowym. Jego wzrok także był mocno rozmyty, jakby patrzył na coś, czego nie da się zobaczyć. Zaraz jednak otrząsnął się z tej zadumy, pociągnął łyk wina i ponownie skupił się na gościu. - A co do tej wiadomości...?

- Dobrze, przejdźmy do rzeczy, pomijając wszystkie te niepotrzebne dygresje i puste słowa. Mówiąc w skrócie, wasza łaskawość, ich wysokości oraz księżę Nahrman uznali jednogłośnie, że jeden z twoich oficerów, w przeciwieństwie do ciebie, także ma problemy z dochowaniem wierności. Co więcej, dowody, które znalazły się w posiadaniu naszego doradcy do spraw wywiadu, sugerują niezbicie, że człowiek ten jest zamieszany w kolejny spisek.

*Każde wypowiedziane przeze mnie słowo jest prawdziwe, pomyślał Merlin, mimo że Sharleyan, Cayleb i Nahrman doszli do tych wniosków wyłącznie na podstawie materiałów, które ja im dostarczyłem.*

Księżę Eastshare zerwał się z fotela, robiąc jednocześnie groźną minę. Gdyby *seijin* miał określić jego stan jednym tylko słowem, z pewnością uznałby go za wkurzonego.

- Kim jest ten bękart?! - wykrzyknął, a jego ton był jeszcze groźniejszy niż mina. -

Każę mu przysmażyć jaja na wolnym ogniu! I wierz mi, to będzie najmilsza rzecz, jaka go spotka!

*Cóż, na razie wszystko wskazuje, że Cayleb wygra ten zakład, pomyślał Merlin.*

- Wasza łaskawość, proszę! - *Seijin* podniósł obie dłonie, pragnąc uspokoić księcia. - Ostrzegalem, że ta sprawa jest skomplikowana. Wątpię, aby ze strony ich wysokości spotkała cię pochwała za takie potraktowanie tego człowieka.

- Wątpisz? - Gniew księcia ustąpił natychmiast niedowierzaniu. - Na Langhorne'a, *seijinie!* Przecież sam powiedziałaś, że to ktoś z mojego sztabu! Zdajesz sobie sprawę, do jakich informacji miał dostęp? Ile szkód mógł uczynić?

- To jest właśnie powód, jeden z głównych powodów, dla których zostałem tutaj przysłany. - Merlin skrzywił się. - Powiem wprost, niepokojmy się, czy będziesz w stanie udawać, że nie wiesz o jego zdradzie. Nie mówię tego chętnie, ale muszę przypomnieć... że nie należysz do najbardziej subtelnych ludzi, jakich znamy.

Przez moment zdawać się mogło, że księżę Eastshare nie wierzy własnym uszom. Merlin spoglądał na niego spokojnie, zastanawiając się cały czas, czy jego rozmówca zaraz nie eksploduje. Arystokrata zaskoczył go jednak, wybuchając ostrym śmiechem.

- Nie należę do ludzi subtelnych, powiadasz? - Księżę wyciągnął palec w kierunku gościa. - Subtelnych!

- Jeśli chodzi o podejście do pewnych spraw, wasza łaskawość - zapewnił go Merlin. - Gdy przychodzi do kwestii politycznych, jego wysokości wierzą, że potrafisz kłamać, oszukiwać i udawać jak mało kto!

Księżę Eastshare roześmiał się po raz kolejny, ale zaraz potrząsnął głową i zmierzył *seijina* dość groźnym spojrzeniem.

- Dobrze, Merlinie. Zrozumiałem aluzję. Niemniej - spoważniał znowu, pochylając się w kierunku rozmówcy - pozostanę przy swoim zdaniu. Członkowie mojego sztabu wiedzą zbyt wiele o najnowszym uzbrojeniu, taktyce, strategii i planowaniu, nie mówiąc już o liczności oddziałów. - Pokręcił głową, tym razem zdecydowanie. - Jeśli któryś z nich przekazuje te informacje choćby lojalistom, możemy być pewni, że prędzej czy później trafią one do Świątyni!

- Zgoda - przytaknął Merlin, również poważniejąc. - Z drugiej jednak strony, ich wysokości uważają, że teraz, gdy sieć semaforowa wpadła w nasze ręce, trzeba wielu miesięcy, by jakakolwiek wiadomość z Chisholmu dotarła do Syjonu, a co za tym idzie do Grupy Czworoga. To oznacza, że zanim trafi do celu, będzie już przestarzała i nieistotna. A w każdym razie bezużyteczna ze strategicznego punktu widzenia.

- Nie zaprzeczysz jednak, że pozostaje niezwykle aktualna, jeśli rozpatrywać ją w kategoriach doktrynalnych, nie mówiąc już o tym, że wróg dowie się, jak działa nasza najnowocześniejsza broń - skontrolował księżę Eastshare. - A im później zdołają rozgryźć nasze tajemnice, tym lepiej dla nas.

- Wasza łaskawość, choćbym bardzo tego pragnął, wiem, że nie wszyscy, którzy pracują dla Clyntahna i Magwaira, to kompletni idioci. A agenci Inkwizycji zawsze należeli do najlepszych na świecie. I nie ma się czemu dziwić, wzięwszy pod uwagę, do czego powołano tę instytucję. - Merlin mierzył rozmówcę spojrzeniem, dopóki ten nie przytaknął. - Z tego też powodu, jak mniemam, Świątynia otrzymuje więcej informacji o naszym nowym uzbrojeniu, niżbyśmy sobie tego życzyli. I to bez względu na to, co robimy. To samo dzieje się z egzemplarzami broni. Ktoś na pewno dostarczył ją tutejszym lojalistom. Byłbym mocno zdziwiony, gdyby kilka naszych karabinów nie trafiło już do Syjonu. Zakładam także, że Świątynia otrzymała informacje o wszystkim, co wymyślili Corisandczycy aż do momentu naszej inwazji. Cesarz z cesarzową, mając na względzie wspomniane przeze mnie fakty, doszli do wniosku, że szkody poczynione przez tego zdrajcę ze sztabu przyniosą nam mniej szkód... niż pożytku.

- Pożytku? - powtórzył księżę Eastshare, mrużąc powieki. - Czy to znaczy, *seijinie*, że ich wysokości oraz nieoceniony księżę Nahrman znaleźli jakiś sposób, by wykorzystać tego zdradzieckiego bękarta?

- Możesz to przyjąć za pewnik, wasza łaskawość. - Merlin uśmiechnął się paskudnie. - Jeśli uda ci się powściągnąć chęć odcięcia mu, a potem obsmażenia jajec, która nawiasem mówiąc jest bardziej niż zrozumiała, zyskamy okazję do wykorzystania wspomnianego zdrajcy do zastawienia pułapki na znacznie większą rybkę.

- Czy ja zasugerowałem chęć odcinania czegokolwiek przed obsmażaniem? - zapytał jadowitym tonem księżę, a Merlin, mimo że Nimue Alban była od urodzenia kobietą, skrzywił się mocno, gdy dotarło do niego znaczenie tych słów.

- Mój błąd, wasza łaskawość - przeprosił. - Ale podtrzymuję każde słowo, oprócz tego jednego rzecz jasna.

- Rozumiem.

Księżę Eastshare usiadł znowu w fotelu, prawą dłonią wodził po nóżce kielicha, podczas gdy palce lewej bębniły powoli, rytmicznie, po lnianym obrusie.

- Właśnie dotarło do mnie - odezwał się w końcu - w świetle twojego stwierdzenia o mojej subtelności, a raczej jej braku, że nie przysłano by cię tutaj, abyś wyjawiał mi tę tajemnicę, gdybym nie stanowił istotnego elementu planu. W przeciwnym razie cesarz z

cesarzową woleliby nie informować mnie o niczym, abym w dość prawdopodobnym przyptywie gniewu nie zdradził przed sprzedawczykien, iż o nim wiemy. - Książę wyszczerzył na moment zęby. - Sądzę, że urwanie mu łba przy najbliższym spotkaniu mogłoby być zbyt czytelną aluzją.

- W rzeczy samej. - Merlin wolał nie komentować ostatniej wypowiedzi, więc ograniczył się tylko do zdawkowego skinięcia głową, a potem od razu przeszedł do kolejnego punktu rozmowy. - Prawdę powiedziawszy, ich wysokościom zależało na dwóch rzeczach, wasza łaskawość. Po pierwsze woleli zyskać całkowitą pewność, że dowiesz się o istnieniu zdrajcy oraz o ich planach, zanim sam wszystko odkryjesz. Byli bowiem pewni, że w przeciwnym razie od razu kazałbyś go aresztować, a dopiero później powiadomiłbyś ich o swoim sukcesie... - Zamilkł na moment, a książę potwierdził skinieniem głowy jego podejrzenie. - Po drugie, chcą mu nieco pomóc w popełnieniu tej zdrady.

Mięśnie na twarzy księcia napięły się nieco, przez moment wyglądało na to, że zamierza zaprotestować.

*Samo wspomnienie o pomaganiu w zdradzie każe ci traktować człowieka mówiącego te słowa jak spiskowca, pomyślał Merlin. Nie mogę cię jednak za to winić. Szczerze mówiąc, fakt, że pomyślałeś o tym, ale nie zaprotestowałeś, poprawił twoją ocenę w moich oczach.*

- Kim on jest? - zapytał książę Eastshare.

- To hrabia Swayle, wasza łaskawość - odparł *seijin*.

Dowódca armii skrzywił się. W jego spojrzeniu było wiele bóleści, i nic dziwnego, zważywszy na to, od jak dawna znały się rody Thairisów i Rahskailów. Było w nim jednak o wiele mniej zaskoczenia, niż powinno...

- Podejrzałem go. A może raczej obawiałem się tego. - Książę Eastshare, kręcąc ze smutkiem głową, mówił spokojniejszym tonem niż Merlin przed chwilą. - Przestał głupio gadać, zwłaszcza ostatnio, po tym co stało się w klasztorze Świętej Agthy, niemniej jego pierwsze reakcje na wieści o ślubie Sharleyan były dalekie od... zadowolenia. - Książę raz jeszcze potrząsnął głową. - Wydaje mi się, że winił cesarza za wciągnięcie naszej królowej w apostazję. To było naprawdę głupie z jego strony. Nie potrafię wymienić ani jednego przykładu nakłonienia Sharleyan do czegoś, czego nie chciała zrobić. Nie dziwi mnie jednak, że takie myśli skłoniły go do popełnienia zdrady. O ile dowody zgromadzone przez księcia Nahrmahna są prawdziwe.

- Jeśli okaże się, że podejrzenia ich wysokości są bezpodstawne, nasza akcja nie wyrządzi nikomu najmniejszej krzywdy. Ale jeśli jest odwrotnie, możemy odnieść dzięki niej kilka znaczących korzyści.

- Dobrze, *seijinie* Merlinie - rzucił książkę Eastshare z wyczuwalnym żalem. - Przyjmuję do wiadomości, nie bez oporów rzecz jasna, że mój przyjaciel hrabia zboczył z jedynej prawdziwej drogi. Nie tknę go jednak palcem i nadal będę udawał, że jest jednym z moich najbardziej zaufanych oficerów... i przyjaciół. A teraz proszę, wyjaw mi dokładniej, co ich wysokości mają na myśli.

- Oczywiście, wasza łaskawość. Chodzi o to...

## **.IX.**

**KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEJ KATHRYN**

**ULICA ŚWIECARZY**

**ORAZ**

**MAGAZYN MANCHYR**

**CORISAND**

**ORAZ**

**KOMNATA KAPITANA MERLINA ATHRAWESA**

**KOSZARY ARMII IMPERIUM**

**MAIKELBERG**

**KSIĘSTWO EASTSHARE**

**CHISHOLM**

- O, jesteś nareszcie!

Tymahn Hahskans drgnął, po czym spojrzał w górę z pełnym poczuciem winy wyrazem twarzy. Dailohrs Hahskans stała u szczytu wąskich schodów w samej koszuli nocnej i spoglądała w dół, krzyżując ramiona na piersi i delikatnie postukując bosą stopą w drewniany stopień. Była dość wysoką, szczupłą kobietą, osiem lat młodszą od męża, z kasztanowymi włosami, w których dopiero pojawiały się pasemka siwizny, i turkusowymi oczami. W tym akurat momencie nie było widać tęczy, ponieważ Dailohrs mrużyła powieki, co Hahskans dostrzegł nawet z dołu. Przelotnie rozważył, czyby jej nie okłamać, lecz po prawie trzydziestu latach małżeństwa wiedział, że mijałoby się to z celem. Zatem skoro już został przyłapany, postanowił znieść konsekwencje po męsku.

- Zagadaliśmy się z Zhaifem Laityrem na temat kazania w tym pięciodniu.

- Chciałeś raczej powiedzieć: zapiliśmy z Zhaifem Laityrem i ocknęliśmy się błędem

świtem!

- Być może w trakcie rozmowy wychyliliśmy kufelek albo dwa. Ale tylko po to, by wzmocnić siły przed ciągiem dalszym naszej dysputy teologicznej - odparł z godnością, na co kąciki jej warg zdrzały.

Był to zaledwie cień szerokiego uśmiechu, jakim zazwyczaj się do niego szczyrzyła przy okazji tej niemal uświęconej tradycją wymiany zdań, niemniej Hahskans był wdzięczny i za to. Zhaif Laityr był proboszczem w kościele Archaniołów Tryumfujących przy placu Szarego Jaszczura, dwie parafie od Świętej Kathryn, gdzie proboszczował Hahskans, i ci dwaj księża od lat się przyjaźnili ze sobą. Mimo że Hahskans należał do zakonu Bédard, podczas gdy Laityr był członkiem zakonu Pasquale, dzielili wiele przekonań - również tych, których woleli nie wypowiadać na głos.

Właśnie dlatego Dailohrs Hahskans miała zatroskane spojrzenie i nie potrafiła się uśmiechnąć.

- Naprawdę potrzebowaliście wzmocnienia? - Przechyliła głowę, rozpaczliwie czerpiąc otuchę ze znajomej rutyny. - Czy zatem mam wnosić z tego, że musieliście się posilać płynami, ponieważ pani Dahnzai nie była w stanie podać tobie i twojemu kumpłowi kanapek?

Lyzbyt Dahnzai była gospodynią na plebanii u Archaniołów Tryumfujących jeszcze dłużej niż Ezmelda Dobyns u Świętej Kathryn. Lata praktyki sprawiły, że doszła do perfekcji w prowadzeniu kuchni księdza Zhaifa, a przy tym z równą skutecznością jak Dailohrs i pani Dobyns umiała go zmusić do tego, by o siebie zadbał.

- Skoro pytasz, spożywanym przez nam płynem towarzyszyło parę kanapek z pieczoną piersią wyverny - zapewnił Hahskans.

- Doskonale. Może dzięki temu udało wam się zachować trzeźwość do czasu, gdy uzgodniliście treść tego kazania - wymamrotała jego żona, kiedy wspinał się po schodach, by zamknąć ją w objęciach.

Zesztywniała, choć tylko na moment, a jego przeszył spazm smutku na myśl, co spowodowało to nagłe napięcie jej mięśni. Chwilę później, już rozluźniona, przytulała mu policzek do piersi i obejmowała go ramionami z siłą mówiącą więcej niż wszystkie słowa, których nie mogła wypowiedzieć.

Pochylił się odrobinę, opierając brodę o czubek jej głowy, i zaczął delikatnymi ruchami gładzić jej włosy. Po tylu latach spędzonych razem wiedział, że nie musi przeproszać ani niczego wyjaśniać - miał pewność, iż Dailohrs rozumie, co zmusza go do takiego postępowania; do zajęcia tego, a nie innego stanowiska w pewnych sprawach. Choć jej się to

nie podobało. Dała mu to wyraźnie do zrozumienia, kiedy poinformował ją o swoim zamiarze uznania zwierzchnictwa arcybiskupa Klairmanta i biskupa Kaisiego. Nie chodziło o to, że darzyła szczególną estymą poprzedniego biskupa Manchyru czy biskupa egzekutora Thomysa, gdyż wcale tak nie było. Po prostu obawiała się, do czego przywiedzie jej męża gniew na zepsucie Kościoła Matki. Bała się, że wskutek swojej decyzji zostanie on uznany za zdrajcę zarówno Kościoła, jak i Corisandu.

A jednak - pomimo strachu, pomimo szczerzej obawy o ukochanego męża - nie przeciwstawiała mu się zbyt długo ani zbyt głośno. Być może dlatego, iż zdawała sobie sprawę, że byłby to próżny trud. Że Tymahn i tak postąpi w sposób, jaki nakazuje mu wiara i sumienie. Hahskans podejrzewał jednak, że chodziło też o coś więcej. Żona troszczyła się o jego bezpieczeństwo, a nie przejmowała wiarołomstwem, gdyż oboje małżonkowie dzielili podobne przekonania. Być może Dailohrs była mniej porywcza od męża i wołałaby stosować politykę małych kroków, zamiast porywać się od razu na naprawę całego Kościoła, niemniej bez wątpienia dostrzegała drążącą go korupcję. Rozumiała nie gorzej od Tymahna, że Kościół Matka stał się własną parodią i wypaczeniem zamysłu Stwórcy.

Nic jednak nie było w stanie polepszyć jej samopoczucia, odkąd się dowiedziała, że jej mąż i Zhaif Laityr - którego reformatorskie zapędy były nie mniejsze - pracują razem nad tekstem kazania na najbliższą środę.

- Przepraszam, kochanie - mruczał jej teraz do ucha, a ona z każdą chwilą obejmowała go ciaśniej. - Nie chcę przysparzać ci trosk, ale...

- Ale jesteś upartym, niezmordowanym, nieustępliwym mężczyzną, nieodrodnym synem zakonu Bédard - przerwała mu, nawet na moment nie odrywając twarzy od jego piersi, i zaśmiała się, aczkolwiek nieco drżąc. Nie ruszała się jeszcze przez chwilę czy dwie, po czym odsunęła się, wspięła na palce i złożyła pocałunek na jego zarośniętym policzku. - Nie mogę udawać, że o tym nie wiedziałam, wychodząc za ciebie za mąż. Chociaż jeśli mam być szczerą, twój upór przerodził się w zwykłą upartość na przestrzeni ostatnich dziesiątek lat.

- Chyba masz rację... - rzekł cicho, obdarzając ją spojrzeniem przepelnionym czułością i wdzięcznością.

- Na pewno mam rację! - Jeszcze przez moment nie odrywała od niego wzroku, po czym uściśnęła go raz jeszcze i wypuściła z objęć. - Domyślam się, że pomimo upojenia chcesz przepisać na czysto swoje notatki, z których ma powstać to kazanie?

- Raczej tak... - przyznał pokornie.

- Cóż, to też mnie nie dziwi. Ezmelda zostawiła dla ciebie kanapki z szynką. Znajdziesz je w swojej pracowni. No wiesz, w razie gdybyś znowu poczuł znużenie i



konieczność wzmocnienia się czymś...

- I dzbanuszek piwa? - zapytał głosem pełnym nadziei, śmiejąc się do żony samymi oczami.

- I dzban z wodą! - odparła stanowczo. - Obydwie uznaliśmy, że piwem nasączysz się w wystarczającym stopniu podczas swojej dysputy teologicznej z Zhaifem.

- No cóż, pewnie znowu masz rację... - westchnął, wyciągając rękę, by delikatnie dotknąć jej policzka.

- A sio! - Machnęła, jakby przeganiała jaszczurkota. - Tylko mi nie siedź do rana! - dodała, kiedy on już schodził po stopniach na parter.

\* \* \*

Prawie dwie godziny później Hahskans odchylił się na oparcie krzesła i potarł powieki. Nie miał już oczu młodzieńca, a choć Ezmelda pilnowała, by wypolerowane klosze lamp lśniły czystością, nocą nie było w pracowni tak jasno jak za dnia.

*A poza tym nie masz najczytelniejszego charakteru pisma na świecie, Tymahnie,* upomniał się w duchu.

To niestety była prawda. Na szczęście już prawie skończył. Teraz chciał przez dzień czy dwa pozwolić się myślom uleżeć, zanim nada im ostateczną formę. Musiał jeszcze zastanowić się nad kilkoma cytatami z Pisma. Na ogół starał się unikać przeciążania swoich kazań wyimkami ze świętych tekstów, lecz...

Ten tok myśli został ucięty jak nożem, gdy nagle zarzucono mu od tyłu na głowę gruby jutowy worek.

Zaskoczenie dosłownie przykuło go do miejsca... wprawdzie tylko na jedno uderzenie serca, ale to wystarczyło, by napastnik - kimkolwiek był człowiek, któremu udało się bezszelestnie zakraść do pracowni - mocno zaciągnął troczki worka na jego szyi. Hahskans uniósł obie ręce do góry i za siebie, równocześnie próbując wstać z krzesła, jednakże natychmiast zaniechał jakichkolwiek ruchów, gdy poczuł na gardle, tuż pod skrajem worka, zimne ostrze.

- Piśnij jedno słówko - syknął mu ktoś do ucha - a poderżnę ci, kurwa, gardło!

Hahskans ani drgnął; tylko jego serce biło szaleńczo. Napastnik zaśmiał się brzydkim, charczącym śmiechem.

- No, tak lepiej - odezwał się ktoś inny i Hahskans zrozumiał, że napastników jest co najmniej dwóch. - Idziemy!

- Nie. - Tymahn Hahskans był zdziwiony, jak spokojny i stanowczy ma ton głosu. - Poderżnijcie mi gardło tutaj, skoroście po to przyszli.

- Jak sobie życzysz... W takim razie będziemy musieli też poderznąć gardło tej twojej suce, która siedzi na piętrze.

Serce Hahskansa przestało bić.

- O tym nie pomyślałeś, co? - szydził dalej ten sam mężczyzna. - Zmięła ci rura, co? Ty przekłety zdrajco!

- Wiele w życiu nagrzeszyłem - odrzekł Hahskans na tyle spokojnie, na ile mógł, mając przyłożone ostrze do gardła i czując strach o żonę - lecz nigdy nikogo nie zdradziłem.

- Kłamiesz! - zgrzytnął napastnik. - Zdrajca i kłamca! Ale to żadna nowina. Tak czy siak idziesz z nami. - Ostrze zbliżyło się do skóry. - Prawda?

Hahskans milczał przez moment, lecz w końcu zmusił się do tego, by skinąć głową.

\* \* \*

Tymahn Hahskans nie wiedział, jak długo siedzi przywiązany do krzesła.

I miał bardzo mgliste pojęcie na temat tego, gdzie może się znajdować. Przewieźli go tutaj na wozie, ukrytego pod plandeką, wciąż z workiem na głowie, przez co nic nie widział. Nie sądził, by podróż trwała dość długo, by wydostali się za roгатki, ale całkowitej pewności nie miał. Chciał wołać o pomoc, mimo że się domyślał, iż o tak późnej porze raczej nikt nie usłyszy krzyku, nawet na głównych ulicach stolicy, lecz napastnicy go zakneblowali, a poza tym przez cały czas kucal przy nim ten mężczyzna z nożem.

Domyślił się - z dźwięków, jakie wydawał wóz, jadąc, a potem usłyszawszy skrzypienie jakichś wrót, gdy już się zatrzymali - że napastnicy przewieźli go do jakiegoś składu. Pełno ich stało pustych i nieużywanych od charisjańskiego oblężenia, a ten w dodatku zdawał się duży - wystarczająco duży, aby nikt na zewnątrz nie usłyszał, co dzieje się w środku.

Jakkolwiek długo tu siedział, wykorzystał ten czas na milczące recytowanie fragmentów Pisma. Znajome słowa pomagały mu, lecz nawet one nie były w stanie zniweczyć lodowej kuli strachu, jaką czuł w żołądku. Sposób porwania, groźba rzucona pod adresem Dailohrs - wszystko to powiedziało mu, kto stoi za tym występkiem. A Tymahn Hahskans był tylko człowiekiem. Śmiertelnikiem. Nawet najsilniejsza wiara nie była w stanie sprawić, aby strach, który się w nim zrodził, odszedł.

Nie wątpił, że zostawiono go w tym miejscu porzuconego i samotnego celowo, aby strach zdążył nadszarpnąć jego siłę woli. Bardzo by chciał powiedzieć, że ta metoda nie działa, lecz...

Wtem gdzieś za nim otworzyły się drzwi. Hahskans zeszywniał w jednej chwili, napinając mięśnie, po czym zamrugął przeraźliwie, gdy zdarto mu z głowy worek.

Światło, jak się wkrótce okazało, nie było wcale takie silne, jak sądził. Kiedy w końcu zaczął rozróżniać szczegóły otoczenia, ujrzał żyłastego szatyna stojącego naprzeciw ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Wyglądał na co najmniej dwadzieścia lat młodszego od niego i - co Hahskans zauważył dopiero po chwili - miał paskudną bliznę na twarzy. Prawdopodobnie od oparzenia. Tymahn wzdrygnął się na myśl, jak straszny wypadek musiał ją spowodować. Wbrew sobie poczuł dla tego człowieka współczucie.

- A więc - odezwał się mężczyzna z blizną i współczucie Hahskansa natychmiast wyparowało, gdy rozpoznał głos jednego z napastników. - Udała ci się medytacja, ojcze? - Ostatnie słowo wypłynęło z siebie z takim sarkazmem, jakby była to największa obelga, a nie tytuł zwyczajowo przysługujący lubianym księżom.

Z jakiegoś powodu podziało to na Hahskansa jak czerwona płachta.

- Prawdę powiedziawszy bardzo - odrzekł spokojnie. - Też czasem powinieś pomedytować, synu.

- Nie jestem twoim synem, kurewski zdrajco! - odwarknął ten z blizną. Gwałtownym ruchem rozkrzyżował ramiona i opuścił jedną rękę do uchwytu noża przy pasie.

- Może nie moim - przyznał Hahskans, nie tracąc opanowania - ale każdy człowiek jest synem Kościoła Matki i Boga... chyba że dokona innego wyboru.

- Jak ty! - syknął porywacz.

- Nic podobnego - zaprzeczył Hahskans. patrząc prosto w przepelnione nienawiścią oczy.

- Nie kłam mi tutaj, skurwysynu! - Mężczyzna z blizną wyszarpnął nóż do połowy. - Siedziałem w twoim kurewskim kościele! Słyszałem, jak obrzucasz błotem Kościół Matkę! Widziałem, jak liżesz dupy przeklętym Charisjanom i tym pomiotom Shan-wei, które mienią się radą regencyjną!

- Nie ma ślepego bardziej ślepego niż ten, który nie chce przejrzeć na oczy - zacytował cicho Hahskans.

- Ani się waż cytować tutaj Pismo! - Mężczyzna jeszcze podniósł głos, a Hahskans wzruszył zwyczajnie ramionami, na tyle, na ile pozwalały mu krępujące go więzy.

- Pismo jest po to, by je cytować - rzekł. - A gdybyś nie zatykał uszu i nie zamykał oczu, dokładnie jak to przewidział Langhorne, dając nam ten konkretny urywek, wiedziałbyś, że nigdy nie „obrzucąłem błotem” Kościoła Matki. Mówiłem tylko prawdę o jego wrogach.

Nóż wyszedł z pochwy do końca, lewa dłoń mężczyzny szarpnęła księdza za włosy, odchylając jego głowę do tyłu. Ostra stal przylgnęła ponownie do odsłoniętego gardła. Oszepony blizną człowiek wygiął wargi w ohydny, zwierzęcy grymasie.

- To ty jesteś wrogiem Kościoła Matki! - szepnął głosem drżącym od nienawiści. - Udowadniasz to, ilekroć otwierasz usta! I w dodatku pociągasz innych za sobą w bagno herezji, apostazji i zdrady!

- Nadejdzie czas, gdy mędrzec wyjawii prawdę głupcowi, a ten jej nie rozpozna - padł kolejny cytat.

Hahskans nie miał pojęcia, jakim cudem zdołał się odezwać. Wykorzystał fragment tego samego ustępu z Księgi Langhorne'a i zanim wypowiedział ostatnie słowo, był pewien, że porywacz poderżnie mu gardło jednym ruchem. Właściwie jakąś częścią siebie chciał, aby tak się stało.

Jednakże porywacz opanował się. Pociągnął za włosy jeszcze mocniej, wywołując mimowolny jęk bólu z ust księdza, po czym pchnął głowę więźnia w drugą stronę, aż odskoczyła. Następnie odsunął się od krzesła z przywiązanym mężczyzną.

- Mówiłem im, że nie będziesz miał nic ciekawego do powiedzenia - stwierdził niemal pieszczotliwym tonem. - Oni myśleli, że możesz coś powiedzieć, ale to ja miałem rację. Słuchałem twoich kazań, ty bezwartościowy skurwielu! Dobrze wiem, co z ciebie za jed...

- Wystarczy, Rahn.

Hahskans nie słyszał, by drzwi otwierały się ponownie, jednakże gdy teraz lekko obrócił głowę, zobaczył drugiego mężczyznę. Ten miał na sobie purpurowy habit zakonu Schuelera i czepiec z brązową kokardą duchownego niższej rangi. Żołądek skurczył się Hahskansowi na jego widok.

Nowo przybyły przyglądał się Hahskansowi przez parę sekund, po czym potrząsnął głową.

- Młody Rahn bywa zapalczywy i ma niewyparzony język, księżu Tymahnie - powiedział. - Niemniej zdarza mu się trafić w samo sedno. Bo jestem pewien, że w głębi serca wiesz, że wszystko, co tu mówił, jest prawdą.

- Nie - zaprzeczył Hahskans. W jego głosie nadal pobrzmiwał dziwny spokój. - Obaj możecie zamykać uszy i oczy, jeśli chcecie. Bóg dał wam wolną wolę. Nie zabroni wam z niej korzystać bez względu na to, jak bardzo wypaczyliście Jego prawdę. Jednakże to, że odmawiacie ujrzenia słońca, nie znaczy, że ono nie świeci.

- Widzę, że znasz słowa Pisma... - Uśmiechnął się wymuszenie duchowny. - Wielka szkoda, że odwróciłeś się od ich prawdziwego znaczenia... „Jam ustanowił Święty Kościół na Jego rozkaz i teraz oddaję go wam i waszym braciom wybranym przez Boga. Zarządzajcie nim jak należy i wiedźcie, że jesteście moimi spadkobiercami i pasterzami bożej trzódki na tym świecie”. Langhorne powierzył tę władzę wikariatowi, nie mnie ani nie tobie. Atakując

świętokradczo wikariat, podnosisz rękę na Langhorne'a i Boga!

- Nieprawda - zaprzeczył Hahskans głucho. - Albowiem już w następnym wersecie Langhorne powiada: „Baczcie, aby nie zawieść, gdyż nadejdzie czas rozrachunku i każda utracona owieczka zostanie wam policzona”. Zhaspyr Clyntahn i jego przyjaciele powinni o tym pamiętać, bo coś mi mówi, że Bóg nie zapomni o tym, kiedy staną z Nim twarzą w twarz. Nie mam prawa w Jego imieniu domagać się ostatecznego rozrachunku, niemniej jestem Jego kapłanem. Jestem pasterzem. Ja także będę musiał się rozliczyć ze swoich uczynków. Dlatego nie zamierzam utracić ani jednej owieczki na rzecz zepsutego do szpiku wielkiego inkwizytora, skorumpowanego do tego stopnia, że z powodu własnego widzimisię skazuje na zatracenie całe królestwa!

Oczy duchownemu błysnęły, lecz najwyraźniej miał więcej opanowania niż człowiek z blizną. Nozdrza mu się rozszerzyły z gniewu i twarz pociemniała, jednakże tylko zaczerpnął głęboko tchu i powiedział zimno:

- Shan-wei zwodzi ludzi na wiele sposobów. Jednym z najskuteczniejszych jest natchnięcie ludzkiej duszy arogancją i próżnością, które sprawiają, że człowiek ceni wyżej swój rozum od słowa bożego. Wszelako Kościół Matka jest gotów przyjąć z otwartymi ramionami nawet najgorszego grzesznika, jeśli jego żal za grzechy i pokuta są szczerze...

- Albo raczej jeśli Inkwizycja torturami zmusi go do skruchy - zripostował Hahskans.

- Ocalenie ciała i stracenie duszy nie byłoby oznaką bożej miłości - rzekł duchowny. - Ty zaś, ojcze, czynisz straszne szkody w łonie Kościoła Matki. Na które nie możemy pozwolić. Dlatego dajemy ci wybór. Wyrzeknij się herezji i kłamstw, wycofaj fałszywe oskarżenia i podłe oszczerstwa pod adresem bożego dzieła, a Kościół Matka otoczy cię opieką.

- Chcesz, abym stanął na ambonie i kłamał? - Hahskans potrząsnął głową. - Nie zrobię tego. Obaj wiemy, że wszystko, co powiedziałem, było szczerą prawdą. Nie wyrzeknę się prawdy na rozkaz kogoś, kto pragnie szerzyć zło i zepsucie w sercu Świętyń.

- Schueler wie, jak radzić sobie z opornymi - rzucił duchowny groźnym tonem, a Hahskans w odpowiedzi zaskoczył i jego, i siebie wybuchem krótkiego głośnego śmiechu. Będącego oznaką pogardy, nie wesołości.

- Myślisz, że nie wiedziałem, do czego to zmierza? - Ponownie potrząsnął głową, w jego oczach płonęło wyzwanie. - Dobrze wiem, co twoi przełożeni z Syjonu uczynili arcybiskupowi Eraykowi i dlaczego. Jeśli chodzi o mnie, nie darzę uczuciem Imperium Charisu, lecz widzę, że Kościół Charisu potrafi rozpoznać wrogów Boga. Podobnie jak ja. Dlatego stoję po jego stronie, a nie po twojej.

- Teraz przemawiasz odważnie - rzekł cicho duchowny - lecz niebawem zaśpiewasz inaczej, gdy przekonasz się, że Shan-wei nie zdoła cię uratować przed sprawiedliwie karzącą ręką Boga.

- Być może - przyznał Hahskans, nie kryjąc się ze strachem, którego istnienie obaj przeczuwali, a który wił się wewnątrz Tymahna niczym zimny wąż. - Jestem tylko człowiekiem, nie jednym z archaniołów, a ciało ma swoje słabości. Mimo to, cokolwiek zrobicie memu ciału, moja dusza stanie przed obliczem Boga nienaruszona. Czyniłem tylko to, czego Bóg oczekuje po wszystkich swoich sługach. Bez wątpienia popełniłem w życiu parę błędów. Błądzenie jest rzeczą ludzką i nie omija nawet Jego kapłanów. Wiem jednak, że w tej konkretnej sprawie się nie pomyliłem, tak jak obaj wiemy, że właśnie dlatego tutaj się znalazłem. Chcecie zamknąć mi usta, zanim narobię więcej kłopotów temu stręczycielowi Clyntahnowi!

- Zamilcz!

Duchowny stracił w końcu panowanie nad sobą i na odlew spoliczkował Hahskansa. Jego ręka, wracając, uderzyła księdza w drugi policzek grzbietem dłoni. Hahskans sapnął z wrażenia, poczuwszy w ustach krew z rozbitej wargi i rozkwaszonego nosa. Na krześle utrzymały go tylko więzy.

Duchowny odstąpił gwałtownie do tyłu, opuszczając obie ręce wzdłuż boków, a Hahskans splunął śliną zmieszaną z krwią na posadzkę składu.

- Zatem prawda o sprawkach Clyntahna kole bardziej aniżeli „zdrada” Kościoła Matki, tak? - zapytał zmienionym głosem, ponieważ teraz był zmuszony oddychać przez usta.

- Profanujesz stworzone przez Boga powietrze każdym swoim słowem - stwierdził głucho duchowny. - Wyrzekamy się ciebie. Skazujemy cię na błąkanie się w wiecznej ciemności, w kręgu piekieł, gdzie panuje twoja mroczna władczyni. Wymazujemy twoje imię spośród sług bożych i na wieki wieków wykluczamy z grona odkupionych dusz.

Żołądek Hahskansa zamienił się w kulę ołowiu, kiedy padała oficjalna formułka wyklęcia. Po tym wszystkim, co miało miejsce wcześniej, Tymahn nie był zdziwiony, że do tego doszło, lecz i tak formuła wyklęcia wzbudziła w nim przerażenie i poczucie jakiejś ostateczności, których jednak się nie spodziewał. W miarę trzeźwa część jego umysłu zasugerowała, że stało się tak być może dlatego, iż nie sądził, aby mógł bać się jeszcze bardziej niż do tej pory.

Aczkolwiek chodziło o coś więcej niż o przerażenie czy nawet panikę. Ogarnęło go przekonanie, że teraz przyjdzie mu zapłacić za wszystko dobre, co spotkało go w życiu. Przyglądał się spokojnie, niemal szyderczo mężczyźnie z blizną, gdy ten ponownie wyciągał

nóż, i w milczeniu zmalował modlitwę dziękczynną. Nie miał wątpliwości, że to, co go zaraz czeka, okaże się gorsze niż wszystko, co mógłby sobie wyobrazić, a przy tym był wdzięczny, że jego oprawcy nie dysponowali zapleczem dla tortur zalecanych dla wrogów Kościoła Matki przez Księgę Schuelera. Cokolwiek z nim będzie, zostaną mu oszczędzone męki zadane przez Inkwizycję Eraykowi Dynnysowi. Widząc obnażone ostrze, czując, jak czyjaś ręka szarpie znów jego głowę do tyłu, a jakaś inna zrywa sutannę z jego piersi, modlił się, aby znaleźć w sobie tę samą odwagę, tę samą wiarę, którą odnalazł arcybiskup Dynnys.

\* \* \*

Merlin Athrawes nagle rozwarł powieki.

Nimue Alban miała zawsze głęboki spokojny sen. Nie lubiła się budzić i proces dochodzenia do pełnej przytomności trwał u niej minutę albo dwie. W wypadku Merlina było inaczej. Przełączenie się ze stanu „snu”, przy którym upierał się Cayleb, w stan przytomności zachodziło u niego w okamgnieniu.

Tak jak teraz.

Dlatego ledwie otworzyły się jego szafirowe oczy, Merlin był świadomy, gdzie się znajduje i która jest godzina. Wiedział również, że jego wewnętrzny zegar nie powinien był go „zbudzić” jeszcze przez godzinę i dwanaście minut.

- Komandorze poruczniku Alban?

Oczy Merlina, zaprojektowane tak, by do złudzenia przypominały ludzki prototyp, rozszerzyły się ze zdziwienia, kiedy w jego elektronicznym mózgu rozległ się ten cichy głos.

- Sowo? - wymamrotał na głos ze zdziwienia. - To ty, Sowo? - dopytywał, tym samym dając ponownie dowód, że go zaskoczyła, albowiem nie było takiej możliwości, by nie rozpoznał głosu odległej sztucznej inteligencji. Tyle dobrego, że to drugie pytanie zadał już w myślach. Ucieszyło go to tym bardziej, że ściany jego komnaty gościnnej w siedzibie księcia Eastshare w Maikelbergu z pewnością nie były dźwiękoszczelne.

- Tak, komandorze poruczniku Alban - potwierdził komputer.

- O co chodzi? - zapytał Merlin, dla odmiany mrużąc oczy w próbie przewidzenia możliwego problemu.

- Wyniknęła sytuacja, która nie podpada pod żadną z moich instrukcji, więc potrzebuję dodatkowych wskazówek, komandorze poruczniku Alban.

- To znaczy? - zażądał szczegółów Merlin.

Nie był to pierwszy przypadek nawiązania przez Sowę kontaktu z nim bez uprzedniego polecenia. Świadczyło to, że zapowiadana w instrukcji obsługi pełna świadomość, mająca się rozwinąć u Sowy z czasem, nareszcie daje o sobie znać. Niestety

fakt, że komputer posunął się do zakłócenia jego odpoczynku, świadczył też o tym, że cokolwiek miał do zakomunikowania, nie należało do dobrych wiadomości.

- Otrzymałam właśnie rutynowy raport z SAPK-a Charlie-Bravo-Siedem-Dziewięć-Jeden-Trzy - wyjaśniła Sowa. - Analiza jego treści sugeruje mi, że chciałbyś się z nim zapoznać.

- Jakiej treści? - zapytał Merlin.

Dwuliterowy kod oznaczał, że było to jedno z urządzeń wysłanych do Corisandu, ale nawet wydajny sztuczny mózg CZAŁO nie potrafił od razu wykryć, komu zostało przydzielone.

- Cel: ojciec Tymahn Hahskans został porwany - zameldowała Sowa.

- Co takiego? - Merlin usiadł na łóżku.

- Cel: ojciec Tymahn Hahskans został porwany - powtórzyła Sowa. Bez względu na to, czy sztuczna inteligencja uzyskała w końcu świadomość, przemawiała wciąż absolutnie bezbarwnym głosem. Jakby zupełnie jej to nie interesowało.

- Kiedy? - zapytał Merlin, odwracając się, aby postawić stopy na posadzce i sięgnąć po ubranie.

- Porwanie nastąpiło pięć godzin, dziewiętnaście minut i trzydzieści jeden sekund temu, komandorze poruczniku.

- A ty mi o tym mówisz dopiero teraz? - Athrawes od razu zdał sobie sprawę z tego, że to był naprawdę nieuczciwy zarzut. Na cud zakrawał już sam fakt, że Sowa zdecydowała, iż powinna zameldować o tym wydarzeniu. A mimo to...

- Nie otrzymałam żadnych szczegółowych wytycznych, jak traktować przypadki porwań - oświadczyła z pełnym spokojem Sowa. - Z tego też powodu moje filtry nie przedstawiły tej informacji jako priorytetowej. Odkryłam ten fakt dopiero podczas rutynowej kontroli baz danych obiektu Charlie-Bravo-Siedem-Dziewięć-Jeden-Trzy. Gdy zgrałam treść raportu, natychmiast skontaktowałam się z panią, komandorze poruczniku.

Merlin stał już, dopiął spodnie i sięgnął po tunikę.

- Co teraz dzieje się z Hahskansem? Daj mi przekaz z SAPK-a w czasie rzeczywistym!

- Tak jest, komandorze poruczniku.

Sowa wykonała jego polecenie niemal natychmiast i Merlin Athrawes jęknął, gdy przekaz pojawił się w jego elektronicznym mózgu.

*Wielki Boże*, taka myśl pojawiła się gdzieś w zakamarkach jego świadomości. *Wielki Boże!*



*Seijin* wzdrygnął się, gdy jego zmysły zaatakował przenikliwy wrzask. Krwawość tej sceny uderzyła go jak młotem, a ten sam zakamarek umysłu podpowiedział mu, że gdyby był człowiekiem z krwi i kości, zapewne nie wytrzymałby i zwymiotował.

Zamarł, chociaż napatrzył się już tylu okropieństw, że wystarczyłoby ich na tuzin żywotów. Właśnie zbierał się do wydania Sowie rozkazu przygotowania skimmera zwiadowczego, ale zrezygnował w porę. Znajdował się prawie trzy tysiące mil od Manchuru. Lot na miejsce zajęłby mu ponad czterdzieści minut, nawet przy prędkości pięciu machów, nie mówiąc o kwadransie potrzebnym na sprowadzenie maszyny do twierdzy i dotarcie do miejsca, z którego mógłby bezpiecznie dostać się na jej pokład. Zawsze bowiem istniała możliwość, że ktoś go wypatrzy. Sądząc po strasznych ranach, które zadano temu kapłanowi, na pewno nie przeżyłby tak długo, by doczekać ratunku. Nie mówiąc już o tym, że przy prymitywnym poziomie medycyny, jaki panował na Schronieniu, każda z zadanych mu ran mogła być śmiertelna.

Ryzykując ujawnienie swoich demonicznych zdolności, Merlin i tak nie był w stanie uratować tego człowieka.

*Wybacz mi, Boże, ale im prędzej on umrze, tym lepiej dla niego, pomyślał przerażony seijin.*

Opadł ponownie na łoże, przytłoczony obrazem i dźwiękiem transmitowanym z SAPK-a. Mógł go wyłączyć, wiedział o tym przecież. I tak nie zdoła pomóc kapłanowi. Było już za późno. Nie musiał więc oglądać przerażającej transmisji z morderstwa ojca Hahskansa.

Nie, wręcz przeciwnie. Musiał to zobaczyć. Teraz rozumiał Adorai Dynnys lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Wiedział już, dlaczego nie była w stanie odwrócić się i odmówić patrzenia na los, jaki Inkwizycja zgotowała jej mężowi.

Ktoś musiał to widzieć, by móc potem zaświadczyć.

*Ktoś musiał o tym pamiętać, dodał w myślach.*

## **.X.**

### **KLASZTOR ŚWIĘTEGO ZHUSTYNA**

**MANCHYR**

**CORISAND**

Aidryn Waimyn odchylił się na oparcie i potarł powieki zmęczonych oczu. Treść

listów i raportów, które miał przed sobą, zaczęła się zlewać w jedną niewyraźną plamę, a zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że pora przerwać lekturę i położyć się spać. Dzięki temu złapałby parę godzin snu, a Langhorne świadkiem, że naprawdę potrzebował odpoczynku, zanim wstanie kolejny ranek.

Z jakiegoś powodu jego dni były za krótkie. Właściwie wcale go to nie dziwiło - każdy intendent Kościoła narzekał na to samo, a jemu nie było ani trochę lżej, kiedy pracował w swoim biurze w pałacu arcybiskupim. Niemniej gdy wykonywał swe obowiązki w ukryciu, tak jak teraz, unikając świeckich władz, które na niego czyhały, chcąc zawlec przed oblicze heretyckiego „arcybiskupa”, sytuacja wyglądała jeszcze gorzej.

*No ale, pomyślał sardonicznie, opuszczając rękę, są też pewne plusy. Na przykład utrata semaforów. Może wciąż muszę zajmować się pomniejszych problemami, takimi jak los przeklętych dusz tych, którzy zostali złapani i oskarżeni o zdradę, a nawet straceni - tego typu drobnymi sprawami... - ale najważniejsze, że zalew spływających informacji się zmniejszył!*

Wargi mu drgnęły w odpowiedzi na ten kiepski żart, aczkolwiek w myśli tej było więcej prawdy, niż mogło się na pozór wydawać. U Świętego Zhustyna był bezpieczniejszy niż gdziekolwiek indziej w podbitym Corisandzie i w rzeczywistości nie musiał się obawiać, że zostanie schwytany przez nowe władze. Oczywiście nie znaczyło to, że strach opuścił go całkowicie. W miarę jak ruch oporu rozprzestrzenił się w mieście, jego kanały zbierania informacji również się poszerzały. Chociaż jednak zyskiwał coraz więcej raportów i wiadomości stąd, nie miał dostępu do przepływu informacji, zapewnianego przez system stacji semaforowych Kościoła Matki, a zatem i pojęcia o tym, co dzieje się w reszcie księstwa.

Nieliczne meldunki, które otrzymał od biskupa egzekutora Thomysa Shylaira dzięki poświęceniu zaufanych kurierów, były zbyt krótkie i enigmatyczne. W porównaniu z gładką i praktycznie natychmiastową komunikacją, do której przywykł w czasach sprzed inwazji charisjańskiej, czuł się głuchy i ślepy. Ani trochę mu się to nie podobało, a już szczególnie nie podobało mu się, że nie wie, co słyhać za rogatkami Manchyru.

*Przyznaj, mówił do siebie w duchu, że tak naprawdę chodzi o to, że nie masz wystarczającego zaufania do biskupa Thomysa i nie wierzysz, że poradzi sobie w sytuacji takiej jak ta. Nie jest on najbystrzejszym przełożonym, dla którego pracowałeś, co? Ale nie zapominaj, że ten biskup chce przynajmniej coś zrobić, zamiast zaprzedać się Charisjanom, a to już coś, Aidrynie, to już coś!*

Faktycznie, było to coś i aby oddać sprawiedliwość wspomnianemu biskupowi egzekutorowi, należało powiedzieć, że kontakty, które najwyraźniej ustanowił z ludźmi

takimi, jak hrabia Burzowej Warowni, hrabia Głębokiej Doliny i baron Larchrosu, okazały się bardziej obiecujące, aniżeli Waimyn mógł przypuszczać jeszcze przed paroma miesiącami. Aczkolwiek Aidryn nie orientował się, jak dokładnie mają się sprawy między biskupem egzekutorem Thomysem i jego świeckimi sprzymierzeńcami ani też co dokładnie wspólnie planują, toteż na wszelki wypadek nie notował ani słowa na ich temat, nawet przebywając tutaj. Mimo że właściwie nie miało to większego znaczenia. On rozkazy otrzymywał bezpośrednio od wielkiego inkwizytora nawet przed inwazją charisjańską w ramach pewnego zabezpieczenia. Shylair wiedział - mniej więcej - jak brzmią te rozkazy, i bez wątpienia wpasował je jakoś w plany swoje i pozyskanych sojuszników, niemniej w niczym nie zmieniało to podstawowej misji Aidryna.

*Zhaspyr Clyntahn miał rację, pomyślał po raz kolejny Waimyn. To, co dzieje się na północy, jest ważne, być może nawet kluczowe, lecz jeszcze ważniejsze jest to, co dzieje się tu, w Manchyrze. Manchyr to nie tylko stolica, to także największe miasto tego księstwa i wszystkie inne miasta i miasteczka spoglądają na nie. By zobaczyć, w którym kierunku idą sprawy. Jeśli „rada regencyjna” i „wicekról general” nie zdołają utrzymać tutaj panowania, reszta Corisandu także się im postawi.*

Usiadł prosto i sięgnął po następny raport. Z wielu powodów był przeciwny spisywaniu tego wszystkiego, mimo że w odniesieniu do większości swoich agentów używał kryptonimów znanych tylko jemu. Zapiski nie były najbezpieczniejszą metodą pracy wywiadowczej, lecz bez nich Waimyn szybko straciłby rozeznanie w prowadzonych przez siebie operacjach. Chodziło o to, aby zachować równowagę między bezpieczeństwem a wydajnością.

Zmarszczył czoło, czytając notatkę, która przed chwilą leżała na szczycie kupki dokumentów. Jej autorem był Ahlbair Cahmmyng, a Aidryn Waimyn miał mieszane uczucia do tej postaci. Cahmmyng był bez wątpienia zdolnym agentem i nieraz w przeszłości okazał się bardzo przydatny. Niestety jego przydatność wynikała - na tyle, na ile Waimyn był to w stanie stwierdzić - z całkowitego braku skrupułów. Ahlbair Cahmmyng był, mówiąc krótko, zawodowym zabójcą. Jednym z lepszych, jakich można było wynająć... i właśnie dlatego Waimyn miał co do niego mieszane uczucia. Pieniędzmi kupił sobie jego usługi - ale przez cały czas się obawiał, że pieniądze kogoś innego, w większej ilości, mogą kupić jego zdradę.

Obawa była tym silniejsza, że gdyby Ahlbair Cahmmyng zdecydował się zdradzić Aidryna Waimyna, konsekwencje dla tego ostatniego byłyby katastrofalne... jako że wyłącznie Cahmmyng znał tożsamość osoby, która stała za zamachem na księcia Hektora.

Waimyn rozważał nawet dyskretne wyeliminowanie Cahmmynga. Gwoli prawdy,

rozważał to dość często, aczkolwiek nigdy nie zdecydował się na ten krok. Po pierwsze dlatego, że Cahmmyng na każdym kroku udowydzał swoją skuteczność. Czasami Waimyn był bliski zdania, że Ahlbair Cahmmyng jest szczerze (aczkolwiek raczej specyficznie) oddany Kościołowi Matce, chociaż nie postawiłby na to wielkiej sumy pieniędzy. Po drugie zaś Waimyn podejrzewał, że Cahmmyng poczynił pewne kroki mające zapewnić mu nietykalność, i dlatego zwlekał z pozbyciem się agenta na stałe. Nie zdziwiłby się bowiem, gdyby człowiek ten ukrył gdzieś dowody łączące Waimyna - a zatem także wielkiego inkwizytora - z zamachem na Hektora. Waimyn na poczekaniu potrafiłby wymienił kilka sposobów, jakich Cahmmyng mógł użyć, aby informacja wpadła w ręce okupanta, gdyby jemu samemu stało się coś złego. A znając reputację agenta, mógł być pewien, że Cahmmyng znał jeszcze inne sposoby, które nawet nie przyszły mu do głowy.

*Z drugiej strony, pomyślał intendent, fakt, że był zamieszany w zamach na księcia Hektora, to broń obosieczna. Zależy mu, abym nie trafił w ręce wroga, tak samo jak mnie na jego bezpieczeństwie. Co czyni każdego z nas idealnym opiekunem tego drugiego, czyż nie? Na ironię losu zakrawa to, że Ahlbair Cahmmyng jest w takim, razie moim najrzetelniejszym agentem.*

Było wiele innych dobrych stron współpracy z takim fachowcem. W przeciwieństwie do niejednego zrekrutowanego niedawno agenta Ahlbair Cahmmyng raczej nie miał szans ulec fanatyzmowi. Ludzie pokroju Paitryka Hainreego żywili znaczny entuzjazm dla sprawy, podsycali go jednak nienawiść i żale. W dodatku nadmierny entuzjazm powodował, że ciężko było takie osoby kontrolować. Między innymi dlatego Waimyn starał się za wszelką cenę pozostać anonimowym ogniwem sieci. Uczynił wyjątek dla wspomnianego Hainreego, niemniej nawet on był obecnie przekonany, że intendent już dawno opuścił miasto. Z tego też powodu teraz to Cahmmyng kontaktował się z grupą Hainreego w jego imieniu.

Z podobnych powodów Waimyn zdecydował się powierzyć Cahmmyngowi zadanie dobrania zespołu do bieżącej operacji. Osobiście wyselekcjonował do tej misji inkwizytora, lecz Cahmmyngowi pozostawił „fizyczną” - jak to nazywał agent - stronę zagadnienia. Ahlbair Cahmmyng był po prostu lepiej zaznajomiony z poszczególnymi współpracownikami, których rekrutował osobiście - znał ich możliwości, charaktery i motywacje. I co najważniejsze, jak wierzył Waimyn, postarał się o to, aby żaden nie naprowadził okupanta na jego trop. A jeśli nie znajdą Cahmmynga, to tym bardziej nie trafią do niego.

*A to naprawdę istotne w moim wypadku, pokiwał głową intendent.*

Jakąś częścią siebie żałował, że zlecił porwanie i egzekucję księdza Tymahna.

Oczywiście bardzo niewielką częścią, zważywszy na to, że Hahskans sam się o to prosił. Nie był z pewnością jedynym przedstawicielem duchowieństwa, który naraził na szwank swoją duszę, dezercerując na stronę Kościoła Charisu, lecz mimo dość niskiej pozycji okazał się mieć zadatki na przywódcę zdradzieckiego ruchu reformatorskiego w Corisandzie. Jeszcze przed inwazją Charisu Waimyn dość często wysłuchiwał kazań księdza Tymahna, który był utalentowanym mówcą, mającym dar trafiania do serc swoich wiernych... i nie tylko. Już wtedy bowiem Waimyn był świadom, że Hahskans burzy się pod władzę biskupa egzekutora Thomysa. W istocie jego oburzenie, jego gorące pragnienie wytknięcia palcem winnych zepsucia w Świątyni nieraz zwróciły na niego uwagę Inkwizycji. Hahskans gościł przy paru okazjach w gabinecie Waimyna, który dał mu jasno do zrozumienia, co myśli o próbach wydawania sądów na temat działalności wikariatu. Wyłącznie sumienność w wykonywaniu obowiązków duszpasterskich oraz odpowiednia ilość oleju w głowie - która kazała mu zatrzymać większość przekonań dla siebie - zapobiegła przeniesieniu go ze Świętej Kathryn.

Z powyższych powodów Waimyn nie był specjalnie zdziwiony wiadomością, że Hahskans zdradził śluby złożone Kościołowi Matce i przyłączył się do heretyków. Zdziwiło go co innego... zapał i elokwencja, którymi wykazał się Hahskans podczas tej zdrady, oraz jego efektywność po drugiej stronie barykady. Stał się załóżkiem małej, lecz stale rosnącej grupy księży, którzy nazywali samych siebie „reformatorami” i otwarcie atakowali Kościół Matkę na każdym kroku. Ich parafie w większości obejmowały mieszkańców niższych stanów, co tylko czyniło sytuację groźniejszą. Popularyzując Kościół Charisu wśród ludności, „reformatorzy” sprzyjali także Imperium Charisu, a zadaniem Waimyna było dotrzeć do tych samych osób, które dawały im posłuch, celem sprzeciwienia się okupantowi.

Wbrew wściekłości na działania Hahskansa Waimyn nawet przez moment nie wierzył, by ksiądz ten sprzeniewierzył się złożonym ślubom z chciwości czy nadmiaru ambicji. Niestety. Albowiem ludzką ambicję można obrócić na swoją korzyść, a chciwość zaspokoić. Lecz arogancja wynikająca ze słusznego oburzenia, bezczelność biorąca się z przekonania, że osobistą wersję wiary można przeciwstawić ustalonemu porządkowi i majestatowi Kościoła Matki, była czymś zupełnie innym. Hahskans nie dbał o władzę ani bogactwo, ani luksusy - i to właśnie sprawiało, że był tak skuteczny oraz tak groźny. Niemniej jakkolwiek starannie dobierał słowa przed swą trzódką, jakkolwiek zręcznie przekręcał wersety Pisma, aby podeprzeć nimi swoje herezje, widać było, że oddał się całkowicie we władanie Shan-wei. Odwrócił się plecami do Boga i wikariatu, przez co Waimyn nie musiał udawać, że ma wyrzuty sumienia z powodu decyzji o wyeliminowaniu zdrajcy.

*I to w wyeliminowaniu w taki sposób, jaki da do myślenia reszcie reformatorskiej braci. pomyślał intendent, gniewnie zaciskając szczęki. Sądząc z raportu Cahmmynga, ten cały Aimayl wykona zadanie, nie mając nawet pojęcia, że to ja je zlecilem. Skoro już o tym mowa, ojciec Daishan też nie jest wiele mądrzejszy...*

W odróżnieniu od Aimayla ksiądz Daishan Zaccho doskonale wiedział, kim jest Waimyn, ponieważ pracował dla niego przez sześć lat. Wierzył za to, że intendent wy dostał się z Manchuru razem z biskupem egzekutorem Thomysem, gdyż to właśnie powiedział mu Waimyn. Zatem gdyby nawet Aimayla i Daishana pojmano, żaden z nich nie byłby w stanie doprowadzić władz do Świętego Zhustyna. A w dodatku Zaccho - ze wszystkich inkwizytorów działających na terenie Corisandu - był najmniej skłonny zawahać się podczas egzekucji księdza heretyka.

*Nie będę udawać, że żałuję tego, co ma się stać, skwitował były intendent w myślach, i że nie cieszę się, iż wybrałem do tego zadania właściwych ludzi.*

Zakończył lekturę raportu Cahmmynga i ziewnął szeroko, odkładając przeczytany dokument na bok.

*Wystarczy! Z powodu zmęczenia mogę zacząć popełniać błędy. Pora trochę się przespać... Ziewnął ponownie. Jutro też będzie dzień.*

*Przynajmniej dla większości z nas.*

## **.XI.**

**PLAC SZAREGO JASZCZURA  
SIEDZIBA SIR KORYNA GAHRVAIA  
ORAZ  
KLASZTOR ŚWIĘTEGO ZHUSTYNA  
MANCHYR  
CORISAND**

Gwałtowny gest sprawił, że eskorta sir Koryna Gahrvaia zatrzymała się raptownie i hałaśliwie na kocich łbach. Gniew, który można było wyczytać z uniesionej zaciśniętej pięści Gahrvaia, był dla tych ludzi dość niezwykły. W eskorcie znajdowali się tylko ci, którzy służyli pod nim podczas bitwy przy Przeprawie Haryla i przez całą resztę kampanii na przełęczy Talbor. Widzieli go więc w wirze walki, widzieli, jak odwiedza rannych i pociesza

umierających, a nawet jak wyrusza, aby złożyć kapitulację na ręce Cayleba z Charisu. Widywali go już zatem rozgniewanego, zmartwionego, pogrążonego w żalu, zaciętego...

Nigdy wszakże nie widzieli go takiego jak teraz.

Dlatego eskortujący Gahrvaia ludzie przystanęli raczej jak niepewne dzieci, lękające się niezrozumiałego gniewu ojca, aniżeli elitarna doborowa jednostka, którą w rzeczywistości stanowili. Rozglądali się po budynkach otaczających Plac Szarego Jaszczura, rozjaśnianych przez wczesnoporanne słońce świecące z jasnoblękitnego nieba. Powietrze było rześkie i chłodne - zapowiadało mające dopiero nadejść upały, a przez to zdawało się tym przyjemniejsze, bo ulotne. Wszystko: okna, kolorowe markizy, stragany i kramy tętniącego zazwyczaj życiem targowiska Szarego Jaszczura, kąpało się w złocistej poświacie.

Z tym że w tej chwili te stragany i kramy były puste. Mieszkańcy, którzy powinni tłoczyć się na placu, targując się i kupcząc, stali w ciszy na samym skraju, trzymani w ryzach przez ponurych strażników miejskich. Ich bezruch i milczenie były tak głębokie, że dało się słyszeć odległe niegłośnie świsty wyvern śmigających wysoko na niebie.

Gahrvai zeskoczył z konia. Yairman Uhlstyn, osobisty gwardzista sir Koryna, poszedł w jego ślady, lecz identyczny gest uniesionej szybko ręki uświadomił mu, że tego dnia nawet jego obecność nie jest mile widziana. Uhlstyn nie był tym zachwycony, wszelako służył rodowi Gahrvaiów od piętnastego roku życia, a obecnemu generałowi od czasu, gdy ten był małym chłopcem. Znał sir Koryna lepiej niż jakikolwiek inny człowiek i dlatego bez szemrania posłuchał rozkazu, przyglądając się tylko, jak Gahrvai zbliża się do białego prześcieradła z czerwoną plamą.

*Nie chciałbym być w skórze sprawców, pomyślał gniewnie ciemnowłosy gwardzista. Służę generałowi i jego ojcu od dziesiątek lat, a nigdy nie widziałem żadnego z nich w tak podłym nastroju. Sir Koryn odkryje, kto to zrobił, a wtedy...*

\* \* \*

Sir Koryn Gahrvai maszerował po kocich łbach niczym żołnierz idący do boju; wyczuwał panujący wokół niego bezruch, jak również wyraźną różnicę pomiędzy miłym chłodem poranka a wrzącą kipiela w jego duszy. Zmusił się do przybrania maski spokoju, świadom, że dla patrzących trąci ona fałszem, gdyż nigdy nie był dalszy od odczuwania spokoju.

*Powoli, Korynie. Tylko powoli, napominał się w duchu. Pamiętaj, ile, oczu na ciebie patrzy. Nie zapominaj, że jesteś generałem, reprezentantem rady regencyjnej, nie zwykłym człowiekiem. Nie zapominaj o tym ani na chwilę...*

Dotarł do poplamionego czerwienią prześcieradła. Obok klęczał ksiądz, zaczynający

już siwieć jasnowłosa mężczyzna z brodą. Nosił zielony habit i kaduceusz świadczący, że należy do zakonu Pasquale, a zielona kokarda na jego czepcu mówiła, że jest wyższym kapłanem.

Podniósł wzrok, kiedy stanął nad nim Gahrvai, i generał dostrzegł w szarych oczach starszego mężczyzny łzy. A jednak oblicze miał spokojne, tchnące powagą.

- Ojczy... - Gahrvai wiedział, że to krótkie słowo powitania zabrzmiało ostrzej, niżby chciał, dlatego postarał się uklonić z większym szacunkiem, aczkolwiek to również niezbyt mu wyszło.

- Generale - odparł duchowny. Wyciągnął rękę i delikatnie przyłożył dłoń do prześcieradła. - Przykro mi, że zostałeś tutaj wezwany - dodał.

- Mnie także. - Gahrvai zaczerpnął głębiej tchu. - Wybacz... - odezwał się po chwili. - Obawiam się, że przepełnia mnie gniew, choć to marne wytłumaczenie nieuprzejmości. Nazywasz się...?

- Zhaif Laityr. Jestem proboszczem w kościele pod wezwaniem Archaniołów Tryumfujących. - Ruchem głowy wskazał kamienną wieżę świątyni stojącą po drugiej stronie placu. Rysy jego twarzy stężały. - Mam pewność, że zostawiono go tutaj po części w charakterze wiadomości dla mnie.

Gahrvai na moment zmrużył oczy, po czym skinął głową, przypomniawszy sobie nazwisko Laityra. Sir Charlz Doyal, który dowodził artylerią w początkach kampanii na przełęczy Talbor był obecnie jego adiutantem, a także pełnił funkcję głównego analityka wywiadu. Gahrvai przypomniał sobie jego raporty na temat powstającego w Manchyrze ruchu reformatorów.

*Tak, pomyślał. Dranie, którzy to zrobili, rzeczywiście mogli chcieć zostawić „wiadomość” dla kogoś takiego jak Laityr.*

- Boję się, że możesz mieć rację, ojczy - rzekł na głos. - Chociaż nie zgodziłbym się, że to wiadomość tylko dla ciebie, już prędzej dla nas wszystkich. - Na ułamek sekundy obnażył zęby. - Gdy już znajdziemy sprawców, ja też będę miał dla nich pilną wiadomość...

- Pasquale jest patronem uzdrowiaczy - przypomniał Laityr, patrząc na sylwetkę rysującą się pod prześcieradłem - ale myślę, że ten jeden raz mi wybaczy, jeśli pożyczę ci odniesienia sukcesu w tej sprawie. - Poruszył ręką, gładząc prześcieradło, po czym potrząsnął głową. - Nie musieli mu tego robić - szepnął tak cicho, że Gahrvai ledwie go usłyszał. - Nie musieli, ale... chcieli.

- Moim zdaniem co do tego także się nie mylisz, ojczy - odpowiedział Gahrvai równie cicho. Laityr podniósł na niego spojrzenie, co generał skwitował wzruszeniem ramion. - Jak



dotąd nie widziałem wielu dowodów nienawiści płynącej z Kościoła Charisu czy waszej grupy reformatorów, za to całe mnóstwo dochodzącej od lojalistów Świątyni.

- Ja tak samo - potwierdził Laityr. - Co więcej, uważam, że dopuścili się tego, aby wywołać w nas nienawiść. - Ponownie popatrzył na zakryte prześcieradłem ciało. - Tymahn nikogo nie nienawidził, może z wyjątkiem tych przeżartych korupcją ludzi z Syjonu, i każdy, kto wysłuchał choć jednego jego kazania, musiał o tym wiedzieć. Wydaje mi się, że dlatego Tymahn był taki popularny. I dlatego lojaliści Świątyni chcieli nas zbrukać swoją nienawiścią. Pragną, abyśmy na nich napadli, aby nasz gniew podsycił konflikt między nami, pogłębił dzielącą nas przepaść. Aby nasz brak umiaru usprawiedliwił ich gwałtowność.

- W tej sprawie również możesz mieć rację, ojczy - potaknął Gahrvai z ponurą miną. - I jako syn Kościoła Matki wyrażam nadzieję, że wraz z innymi duchownymi, którzy prawią kazania z ambon, zdołasz zapobiec eskalacji nienawiści, opanować ten gniew. Reprezentuję jednak władze świeckie i nie moim obowiązkiem jest przebaczać sprawcom.

- Nie. Oczywiście, że nie.

Laityr spoglądał na ciało jeszcze przez parę chwil, po czym zaczął się podnosić z klęczek. Sądząc po sztywności jego ruchów, Gahrvai domyślił się, że starszy duchowny klęczał na bruku, odkąd znaleziono zwłoki, wyciągnął więc do niego pomocną dłoń. Zhaif przyjął ją z wdzięcznością, stanąwszy na nogach, otrząsnął się i raz jeszcze wskazał w stronę kościoła.

- Wiem, że musimy go tu zostawić do czasu, aż zbadasz miejsce zbrodni, generale. Rozumiem to. Lecz wiedz, że jego żona czeka na plebanii pod opieką mojej gospodyni. Zaproponowałem, że z nią zostanę, ale ona wołała, abym był tutaj z Tymahnem. Tym sposobem udało mi się oszczędzić jej tego widoku. Nie sądzę bowiem, aby posłuchała moich argumentów, nawet gdyby jasno myślała. Teraz wszakże... - znowu potrząsnął głową. - Proszę, generale... Ja... ja nie chcę, aby go zobaczyła. Nie tak...

- Naturalnie. - Gahrvai patrzył duchownemu prosto w oczy. - Kiedy do niej wrócisz, powiedz, że musimy zabrać ciało, aby mogli je zbadać nasi medycy. Trzymaj ją w czterech ścianach, dopóki stąd nie odjedziemy. Przekaż, że to moja osobista prośba i że wynika ona z dbałości o dobro śledztwa. - Zaciśnął wargi. - Z dotychczasowych raportów niestety wiem, że to pewnie nic nie da... Gdybyś więc mógł przesłać jakieś jego ubranie, postaram się, by przygotowano zwłoki do wystawienia. Mam nadzieję, że w ten sposób uda się ukryć najgorsze.

- Dziękuję, generale. - Stary ksiądz położył dłoń na przedramieniu Gahrvaia i uściśnął lekko. - Obawiam się, że jego żona domyśliła się wiele z mojej reakcji, lecz jednak jest wielka

różnica między wiedzą a koniecznością oglądania na własne oczy, co ci rzeźnicy mu uczynili.

- Głos Laityra załamał się przy ostatnich słowach, a jego dłoń uściśnęła ramię Gahrvaia mocniej. Potem duchowny dość głośno odchrząknął. - Ja już się pożegnałem - rzekł. - I poprosiłem Boga, aby Tymahn mógł poczekać na resztę z nas. Więc jeśli mi teraz wybaczysz... powinienem w tej chwili pocieszać wdowę po drogim przyjacielu.

- Oczywiście, ojcie - rzekł łagodnie Gahrvai. Ukłonił się ponownie, tym razem głębiej, a Laityr nakreślił znak berła Langhorne'a, po czym obrócił się i odszedł wolno w stronę plebanii.

Gahrvai odprowadzał go wzrokiem, odczytując z jego postawy mieszaninę oburzenia, żalu i determinacji. Dostrzegał także w kroku duchownego odwagę. Wzbudzającą zazdrość nawet u generała. Sir Koryn osobiście wolałby stawić czoło nacierającej kawalerii albo nawet charisjańskim strzelcom aniżeli temu, co czekało Laityra. Przez moment rozważał różnicę między odwagą zwykłą i cywilną. Następnie odetchnął głęboko, opadł na jedno kolano, złapał za róg prześcieradła i przyszykował się wewnętrznie na to, co zaraz zobaczy.

\* \* \*

Znacznie później tego samego dnia, już wieczorem, sir Koryn Gahrvai siedział za biurkiem w swoim gabinecie. Nareszcie był sam, bez świadków, mógł więc pozwolić na to, by jego mina wyrażała gniew i frustrację, które musiał ukrywać przed oczami postronnych.

Odchylił się na oparcie drogiego obrotowego krzesła i potarł powieki. Oczy go piekły - częściowo ze zmęczenia, jak się domyślał, ale też od nadmiaru lektury ostatnimi czasy. Raporty regularnie spływały na jego biurko, a jemu coraz mniej podobało się to, co w nich wyczytywał.

Okrucieństwo oprawców księdza Tymahna - medycy Gahrvaia stwierdzili, że mężczyzna umarł dopiero pod sam koniec wymyślnych tortur, które mu zadano - sprawiało, że wszystkie inne dotychczasowe wydarzenia przy nim bladły, oraz wyraźnie pokazywało, że ataki na duchowieństwo i laikat Kościoła Charisu przybierają na sile.

Większość takich przypadków zdaniem Gahrvaia i Doyala była spontaniczna i wynikała z osobistych porachunków, a ich sprawcy byli wykrywani, aresztowani i osadzani w więzieniu. Sir Koryn osobiście optował za karą, która byłaby dotkliwsza, lecz wicekról generał Chermyn popierał arcybiskupa Klairmanta, który uważał, że władze powinny ograniczać surowość kar. Chermyn dał jasno do zrozumienia, że dopóki nie wybuchną poważniejsze zamieszki, zamierza pozostawić sprawy w rękach Gahrvaia i rady regencyjnej, niemniej nie ukrywał, że instrukcje otrzymane od cesarza Cayleba i cesarzowej Sharleyan zakazują mu nakładania restrykcji, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

Sir Koryn na ogół doceniał wstrzemięźliwość Chermyna. Na ogół zgadzał się ze zdaniem wicekróla generała i arcybiskupa. Ale zdarzały się sytuacje - ostatnimi czasy coraz częstsze - kiedy wątpił, aby w grę wchodziła spontaniczność. Niepokoił go wzór zachowań dostrzeżony na przestrzeni minionych kilku pięciodni, a teraz w dodatku było jeszcze to. Nie widział możliwości, aby porwanie księdza Tymahna, torturowanie go i w końcu zamordowanie było czynem jakiegoś zapalczywca. Zbyt starannie wszystko zaplanowano i przeprowadzono, a sam czyn był wyraźnym ostrzeżeniem dla pozostałych reformatorów, jak również wyzwaniem rzuconym władzom świeckim i kościelnym.

*Trzeba rozróżnić między wstrzemięźliwością i słabością, pomyślał ponuro Gahrvai. Wybór padł na księdza Tymahna, najukochańszego kapłana w całym mieście. Zabito źródło miłości i zaufania mieszkańców i uczyniono to w dużej mierze po to, żeby udowodnić swoje możliwości. I żeby wzmocnić lojalistów Świątyni, którzy musieli go nienawidzić równie mocno, jak wszyscy inni go kochali; żeby pokazać, że ani nie znajdziemy sprawców, ani nie powstrzymamy podobnych czynów w przyszłości. Dlatego nie wydaje mi się, żeby nawet arcybiskup chciał się trzymać polityki wstrzemięźliwości, kiedy znajdziemy tych drani. Tylko że w tym właśnie problem, Korynie, nieprawdaz? Najpierw trzeba ich znaleźć, a ty nie masz pojęcia, gdzie szukać...*

Opierał się z całych sił przed przyznaniem tego choćby przed samym sobą, wiedział jednak, że nie ma sensu udawać, iż jest inaczej. Wraz z Doyalem dysponował agentami oraz zeznaniami zadziwiająco dużej liczby osób, które zaczęły się zwracać głównie do swoich proboszczów z informacjami o tym, co widzieli i słyszeli. Mając takie wskazówki, agenci Doyala byli w stanie przeniknąć do parunastu grup - „komórek”, jak je nazywał Doyal, przyrównując do cząstek plastra miodu - tylko że jak dotąd wszystkie one okazały się najniższego szczebla. Ich członkowie byli co najwyżej kumplami od kielicha o gburowatych skłonnościach. Aczkolwiek niektórzy działali z większym wyrafinowaniem niż to, o jakie można by ich podejrzewać. Doyal i Gahrvai nabrali więc pewności, że ktoś za nimi stoi, ktoś, kto nie ujawnia się przed swymi podwładnymi, ale koordynuje wszystkie ich działania. Doyal wysnuł nawet przypuszczenie, że sieć ta istniała jeszcze przed najazdem Charisjan. Co by znaczyło - zważywszy na przynależność uprzedniej hierarchii kościelnej tutaj w Corisandzie - że był w to zamieszany ojciec Aidryn Waimyn, intendent biskupa egzekutora Thomysa.

Mając w pamięci swoje podejrzenia co do faktycznych sprawców zamachu na księcia Hektora, sir Koryn Gahrvai tylko czekał na sposobność, aby porozmawiać twarzą w twarz z ojcem Aidrynem.

*Niestety nic z tego, pomyślał ponuro Gahrvai. Przyczał się i nie daje znaku życia.*

*Wiem, że musi być gdzieś na terenie miasta. Wiem to na pewno! Tylko że nie mam pojęcia, gdzie dokładnie, i...*

BRZEĘĘEK!

Nagły odgłos tłuczonej szyby wyrwał Gahrvaia z zamyślenia. Generał zerwał się na nogi, odruchowo sięgając prawą ręką do sztyletu, który odpiął, wchodząc do gabinetu. Obrócił się wokół własnej osi, dopadł do okna, które wychodziło na centralny dziedziniec za murami jego miejskiej siedziby, i przykucnął pod ścianą z bijącym sercem.

Zamarł z napiętymi mięśniami, zastanawiając się, jakim cudem komuś udało się ominąć strażę. Tymczasem nic się nie działo. Było tak cicho, że wyraźnie słyszał tykanie zegara stojącego w jednym z rogów pomieszczenia, a nawet szeleszczący poszept wahadła kiwającego się miarowo, monotonicznie. Po paru chwilach Gahrvai zaczął się odprężyć - przynajmniej trochę - i odsunął się od ściany.

Za oknami panowała ciemność. Gahrvai obszedł ostrożnie biurko, strzelając oczami na wszystkie strony, po czym ponownie się zatrzymał.

Pośrodku dywanu leżał kamień otoczony aureolą szklanych odłamków. Nie był duży, lecz Gahrvai, mrużąc oczy, dostrzegł, że coś jest wokół niego owinięte.

Zbliżył się doń przy wtórze chrzęstu gnieczonego butami szkła i ostrożnie go podniósł. Ktoś owinał kamień papierem, a ten przymocował jeszcze sznurkiem. Gahrvai, trzymając w lewym ręku kawałek skały, palcami drugiej dłoni pozbył się ostatnich okruchów stłuczonej szyby.

Czoło zmarszczyło mu się jeszcze bardziej. Po chwili znów stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz przez strzaskaną szybę. Ogród zalewał blask księżyca. Plamy srebrzystej światłości i atramentowej czerni mamły wzrok, nie na tyle jednak, by Gahrvai nie mógł stwierdzić z całą pewnością, że w dole nikogo nie ma. Nikt większy od karła nie ukryłby się wśród niskich krzewów i starannie utrzymanych grządek. Z czego by wynikało, że ten, kto rzucił kamieniem, nie zatelefał, aby sprawdzić reakcję sir Koryna. Jak jednak ów ktoś dostał się w ogóle do ogrodu? A potem z powrotem za mury posiadłości? Gahrvai był pewien ludzi, których osobiście wybierał na strażników. Gdyby którykolwiek z nich zobaczył coś lub usłyszał - na przykład odgłos tłuczonej szyby - w gabinecie już dawno roiliby się od uzbrojonych, rozgniewanych i czujnych gwardzistów.

A najwyraźniej tak nie było.

Przeszedł z powrotem po zasłanym szkłem dywanie i usiadł za biurkiem, odkładając owinięty w papier kamień na bibule. Przez parę sekund tylko mu się przyglądał, a następnie nożykiem do korespondencji przeciął sznurek.

Papier, jak się okazało, był kopertą, na której wypisano jego imię jako adresata. Gahrvai nie zdziwił się zbytnio tym, że nie rozpoznawał charakteru pisma, za to poczuł podniecenie, ważąc kopertę w dłoni i stwierdzając, że musi zawierać co najmniej parę kartek. Nie miał pojęcia, czemu nadawca wybrał taki nietypowy sposób na doręczenie swego listu, lecz był całkowicie pewien, że żadna pogróżka - nawet taka, co wyszła spod ręki wyjątkowo gadatliwego zbira - nie zabrałaby więcej miejsca, niż znajduje się na jednej stronie. Uznał zatem, że cokolwiek napisał tajemniczy korespondent, nie ma to wiele wspólnego z groźbami karalnymi.

Za pomocą tego samego nożyka przeciął kopertę i wyjął zawartość. W środku znalazł aż osiem kartek - cienkich i wyglądających na dość drogie - na których tym samym schludnym charakterem pisma naściubiono tekst w ciasnych linijkach. Gahrvai ułożył je na blacie, poprawił ustawienie lampy i pochylił się z wielką ciekawością.

\* \* \*

- Otwierać!!! Otwierać w imię Korony i Świętego Kościoła Matki!!!

Tubalny ryk był kontrapunktowany ogłuszającymi trzaskami, gdy szesnastu chłopów uderzało w zamkniętą bramę dziesięciostopowym, zakończonym żelazem taranem. Ktokolwiek domagał się otwarcia, najwyraźniej nie zamierzał czekać na odpowiedź.

- Co?! - wykrzyknął ktoś inny głosem pełnym niedowierzania. - Co tam się wyprawia?! To dom boży!

Zakonnik pełniący tej nocy funkcję furtiana wypadł z małej komórki przy bramie, załamując ręce, i pognął w stronę wieży klasztoru, zanim taran uderzył po raz drugi. Zdążył nieomal dotrzeć do zamkniętej wciąż bramy, gdy wtem oba skrzydła otwarły się raptownie. Fragment strzaskanego rygla trafił go w ramię, ścinając w biegu. Furtian nie zdążył się podnieść na nogi, gdyż wcześniej poczuł na piersi ucisk ciężkiego buta. Jęknął z bólu. Chciał zakrzyknąć w proteście, lecz zanim wydobył z siebie dźwięk, zamilkł na widok ostrza - wiszącego nie dalej niż osiemnaście cali od jego nosa - bardzo ostrego i trzymanego pewną ręką bagnety. Gapił się nań z rozdziawioną gębą.

Kątem oka zauważył, że butowi na jego piersi towarzyszy cała masa innych par butów, kiedy przez bramę wpadał oddział piechoty. Błyskały bagnety, w powietrzu śmigwały rozkazy, otwierały się inne drzwi, gdy napierały na nie kolby muszkietów i silne barki.

Z cel klasztoru jęli wysypywać się braciszkwowie zakonni, mrugając z konfuzji, wykrzykując pytania. Nikt im nie odpowiadał. Zamiast tego wyciągnęły się po nich bluźniercze ręce, powodując, że oczy zakonników rozszerzyły się ze zdziwienia jeszcze bardziej, zanim obracano ich twarzą do muru i miotano bezlitośnie na lity kamień. Żaden

zakonnik nigdy nawet nie wyobrażał sobie, że sługa Kościoła Matki może zostać zaatakowany w podobnie brutalny sposób, szczególnie gdy jest schuelerytą. Wszystkich ogarnął szok tak wielki, że pozbawiający woli działania. Zakon Schuelera był zapleczem Inkwizycji, schueleryci - w dużej części inkwizytorzy - strzegli i pilnowali kościelnego prawa. Jaki śmiałek powążył się naruszyć nietykalność ich zgromadzenia?! Tu i ówdzie jakiś braciszek stawiał opór, tylko po to jednak, by zaraz paść na kolana, powalony kolbą muszkietu.

- Jak śmie...?! - krzyknął któryś, gramoląc się z powrotem na nogi, ale nie dokończył, gdyż przerwała mu w połowie mosiężna kolba wymierzona tym razem w otwarte usta, nie w bark czy plecy. Zakonnik padł na kolana, plując zębami i krwią, nieświadom, że tylko rozkaz sierzanta uratował go przed śmiertelnym ciosem prosto w ciemię.

Coraz więcej zbrojnych chwyciło schuelerytów, wykręcało im ręce do tyłu i pętało nadgarstki szorstkim sznurem. Potem zakonników pociągnięto na dziedziniec klasztorny, nawet wówczas nie okazując im litości. Zbrojni, z których oczu wзираła stał, zmusili ich wszystkich do ukłęknięcia wprost na bruku, po czym wymierzili w nich bagnety, błyszczące słabo, lecz złowieszczo w świetle księżyca, podczas gdy braciszki spoglądali z lękiem i usiłowali zrozumieć, co się wokół nich dzieje.

Sir Koryn Gahrvai pozwolił działać swoim doświadczonym podoficerom piechoty. Kwatera główna generała była położona na obrzeżach parafii Świętej Kathryn, dzięki czemu ksiądz Tymahn zyskał wśród żołnierzy popularność nie mniejszą niż wśród zwykłych parafian co środa wysłuchujących jego kazań. Nawet bowiem ci, którzy nie w pełni się z nim zgadzali, darzyli go szacunkiem, a wszyscy długo rozprawiali o słowach, które padły w kazaniu danego pięciodnia. Po tym, co się przytrafiło Hahskansowi, sir Koryn przypuszczał, że podoficerowie będą mieli więcej trudności z powściągnięciem swoich podwładnych aniżeli z ich motywowaniem, ale nie zamierzał się w to mieszać, mając inne sprawy na głowie.

Jego podkute buty dźwięczały na kamiennej posadzce, gdy zdecydowanie maszerował korytarzem wraz z Yairmanem Uhlstynem i kapitanem Frahnklynem Naiklosem, dowódcą kompanii. Towarzyszył im jeden z oddziałów Naiklosa, a dwaj jego członkowie - podobnie jak Uhlstyn - dzierżyli nie muszkiety, tylko młoty.

Gahrvai skręcił za róg, po czym spojrzał w dół, na trzymany w ręku papier z notatkami.

- Tutaj - rzekł głucho, wskazując na naścienną mozaikę.

- Proszę się odsunąć, sir - odrzekł Uhlstyn ponurym tonem i dał głową znak jednemu z wyposażonych w młoty żołnierzy. - Tam, Zhock - rzucił, wskazując brodą.

Żołnierz w odpowiedzi skinął krótko głową. Obaj, żołnierz i Uhlstyn, zajęli miejsca obok siebie, zwróceniu twarzą ku pogodnej idyllicznej scenie na ścianie. Po chwili młoty spadły niemal równocześnie.

Żelazne głowice skruszyły mozaikę, niszcząc płytki. W korytarzu rozległo się echo uderzenia i chrzęstu łamanego kamienia, przez które Gahrvai niewyraźnie słyszał głosy dobiegające z ulicy za murami klasztoru. Klasztor Świętego Zhustyna był jednym z najstarszych i największych obiektów tego typu w obrębie właściwego miasta, położonym w dobrej dzielnicy niecałe dziesięć przecznic od manchyrskiej katedry. Odgłosy wskazywały na to, że sąsiedzi zakonników są raczej zdziwieni niż przestraszeni wybuchem nocnej przemocy.

*Cóż, jedni i drudzy będą się musieli pogodzić z faktami, pomyślał, przyglądając się, jak młoty znowu się unoszą. Tyle dobrego, że udało nam się drani zaskoczyć. Jest więc nadzieja, że szczury, których szukam, nadal siedzą w swoich norach. Albo, dodał z paskudnym uśmiechem odsłaniającym zęby jak u drapieżcy, uciekają już tunelem ewakuacyjnym. Chybabym nawet to wolał, mimo że nie będzie mnie na miejscu, by zobaczyć ich miny, jak wpadną prosto na oddział Charlza!*

Młoty ponownie wbiły się w mur. Odleciały kolejne fragmenty mozaiki, powtórzyło się znajome echo, ale dało się słyszeć coś jeszcze. Coś jakby pusty pogłos, jakże nie pasujący do solidnych starożytnych murów klasztoru.

Przy trzecim uderzeniu uśmiech sir Koryna jeszcze się poszerzył - i stał się odrobinę okrutniejszy - gdy w czymś, co miało być litym murem, pojawiły się otwory. Nie mroczne dziury, jakie czasami spotyka się w kamiennych ścianach, lecz otwory, przez które z drugiej strony bił blask i dobiegał czyjś gorączkowy głos, gdy siła i częstotliwość uderzeń młotów przybrały na sile.

Otwory powiększały się z każdą chwilą, łączyły ze sobą, aż w końcu zlały w jedną wielką dziurę i wtedy rozsypał się cały jeden fragment ściany zbudowanej z ogromnych kamiennych bloków. Coś zagrzmiało przeraźliwie, jakaś lufa wypluła chmurę gryzącego dymu prochowego i jeden z żołnierzy Naiklosa krzyknął, kiedy kula muszkietu trafiła go w lewą nogę. Zanim Gahrvai zdążył cokolwiek powiedzieć, inny żołnierz z oddziału już przykładął swój muszkiet do ramienia i za moment rozległ się drugi wystrzał, rozbrzmiewając dźwięczeniem w uszach, które jeszcze nie doszły do siebie po pierwszym huku. Szary, gryzący dym zgęstniał i ktoś po drugiej stronie muru wrzasnął.

- Do środka! - wydał rozkaz kapitan Naiklos. - Tylko pamiętajcie, brać ich żywcem!

- Tak jest! - potwierdził przyjęcie rozkazów sierżant. Po czym zwrócił się do podkomendnych: - Słyszeliście, co powiedział pan kapitan! Do środka, migiem!

Wszyscy z wyjątkiem rannego żołnierza przedarli się przez otwór, poszerzając go własnymi ciałami. Pomieszczenie okazało się tak przestronne, jak wynikało z opisu przedstawionego w liście przez tajemniczego korespondenta Gahrvaia. I - jeśli wierzyć dalszym informacjom nieznanego - było tylko jednym z sześciu takich samych ukrytych przemyślnie przez projektanta klasztoru przed ponad pięcioma wiekami. W przeciwieństwie do większości klasztorów, zakonów i monastyrów, które często zmieniały właścicieli, a co za tym idzie religijnych patronów, klasztor Świętego Zhustyna powstał jako siedziba schuelerytów i ani razu w historii nie zmienił swego przeznaczenia, co zmusiło Gahrvaia do zastanowienia, ile podobnych sekretnych komnat znajduje się jeszcze w innych budowlach należących do Kościoła Matki.

*Trudno ocenić*, westchnął w duchu, wtykając głowę w otwór, aby pójść w ślady Uhlstyna i Naiklosa i dołączyć do nich po drugiej stronie ściany. *Ta z pewnością jest pierwszą, o jakiej słyszałem. Ba, nie tylko ja, ale także arcybiskup Klairmant i biskup Kaisi. W każdym razie tak mi się wydaje...* Skrzywił się. *A niech to! Wygląda na to, że zaczynam powątpiewać w szczerłość hierarchów, którym do tej pory ufałem, i zastanawiam się, czy przypadkiem i oni nie zatają przede mną informacji, jakich potrzebuję.*

Jego uszu doleciały podniesione głosy - gniewne, wręcz zastraszające. Dochodziły one z przyległego pomieszczenia. Gahrvai zakasłał, przechodząc przez chmurę dymu, aby się tam dostać. Tym razem, jak zauważył, nie był to dym prochowy. W tej komnacie palono papier... Pomimo szczypania oczu dostrzegł przewrócony piecyk i domyślił się, że ktoś zaczął niszczyć dokumenty tuż przed tym, zanim zjawili się jego ludzie. Teraz Uhlstyn zadeptywał iskry ognia na stosie papierów, które uprzednio wyrzucił na ziemię.

Dwaj mężczyźni, obaj w koszulach nocnych, stali plecami do ściany i twarzami zwróconymi w stronę obnażonych bagnetów. Jednego z nich rozpoznał natychmiast.

- Aidryn Waimyn... - powiedział drewnianym głosem. - Aresztuję cię w imieniu Korony i Kościoła Matki na rozkaz rady regencyjnej księcia Daivyna i arcybiskupa Klairmanta za działalność wywrotową, zdradę i morderstwo.

- Nie masz prawa mnie aresztować! - syknął w odpowiedzi Waimyn. Był wyraźnie wstrząśnięty, a w wyrazie jego twarzy mieszały się wściekłość i niedowierzanie. - Ty i ci twoi heretycy przełożeni nie macie władzy nad prawdziwym Kościołem Boga Oczekiwanego!

- Być może - odparł Gahrvai, nie zmieniając tonu głosu. - Ale ja i tak muszę wykonywać ich rozkazy. Wspomnij, co przytrafiło się inkwizytorom z Feraydu.

W oczach Waimyna błysnął strach. Gahrvai uśmiechnął się na to.

- Moi żołnierze składają też wizytę Rahnowi Aimaylowi - poinformował byłego



intendenta - oraz Paitrykowi Hainreemu.

Waimyn drgnął zauważalnie, gdy padły oba nazwiska, co spowodowało, że uśmiech Gahrvaia stał się szerszy, aczkolwiek ani trochę nie cieplejszy.

- Coś mi podpowiada, że któryś z tych dżentelmenów potwierdzi to, co już właściwie wiemy - rzekł. - I nie będzie trzeba do tego tortur, w jakich się lubujecie. A to, moim skromnym zdaniem, wielka szkoda. - Zajrzał głębiej w oczy Waimyna i zobaczył, że jego słowa podsyciły płonący tam strach. - Jakąś częścią siebie bowiem bardzo żałuję, że para cesarska wraz z arcybiskupem Maikalem wyraźnie zabroniła stosowania kar przepisanych waszą Księżą Schuelera w wypadku osób oskarżonych o pozbawienie życia księdza. Chociaż z drugiej strony to chyba dobrze dla mojej duszy. Bardzo bym nie chciał smażyć się w tym samym ogniu co ty. Dlatego dla pewności skorzystamy ze starego dobrego sznura.

- Nie ośmielisz się! - wrzasnął Waimyn.

- Sądzę, że tak samo myśleli inkwizytorzy w Feraydzie - zauważył Gahrvai. Przypatrywał się byłemu intendentowi jeszcze przez moment, po czym zwrócił się do Naikłosa. - Pańscy ludzie spisali się doskonale, podobnie jak pan, kapitanie - oznajmił. - Proszę jeszcze odstawić pojmanych do więzienia Kahsimahr. - Obdarzył Waimyna kolejnym lodowatym uśmiechem. - Gdzie są oczekiwani.

## **.XII.**

**KOMNATA RADY**

**PAŁAC KRÓLEWSKI**

**CHERAYTH**

**CHISHOLM**

- Wasze cesarskie moście.

Książę Nahrman ze Szmaragdu pokłonił się, gdy minął strażników pilnujących wejścia, odpowiadając na poranne wezwanie. Cayleb i Sharleyan siedzieli przy stoliku ustawionym pod jednym z okien komnaty. Na zewnątrz było wciąż ciemno; zimowe bezgwiezdne niebo było zaciągnięte tak grubą warstwą chmur, że nikt nie powinien mieć nadziei na ujrzanie blasku słonecznego. *Pora jest zbyt wczesna nawet dla tak młodych i pełnych wigoru monarchów*, zauważył gość. Dla niego wstawanie przed brzaskiem było czymś na kształt barbarzyńskich obyczajów, jako że całe życie hołdował wygodom.

Zaproszenie na konferencję jeszcze przed śniadaniem zupełnie go zaskoczyło.

W komnacie cesarskiej stał jeden z nowoczesnych odlewanych pieców Howsmyna. Wychodząca z niego rura została wpasowana w ogromny, przestarzały i z pewnością mniej wydajny kominek. W pomieszczeniu panowała dzięki temu przyjemna atmosfera. Było tu wystarczająco ciepło, nawet jak na gust urodzonego w strefie podzwrotnikowej Szmaragdzyka.

Na stoliku obok obowiązkowego dzbanka herbaty stało podobne naczynie z gorącą czekoladą, wokół rozstawiono kubki, talerzyki oraz tacę z rogalikami i babeczkami. Nahrman przed przybyciem do Cherayth nie słyszał nawet o rogalach nadziewanych orzechami albo jagodami, niemniej te lokalne smakołyki od razu przypadły mu do gustu. Zwłaszcza jeszcze ciepłe, dopiero wyjęte z piekarnika i polane maselkiem.

Rozpromienił się na ich widok nie tylko z powodu porannego głodu. Był to bowiem tylko jeden z wielu czynników, które wpłynęły kojąco na stan jego umysłu. Od chwili, gdy on i jego żona otrzymali dostęp do komunikatorów oraz baz danych Sowy, Ohlyvya całkowicie zmieniła podejście do jego nawyków żywieniowych. Nahrman z równą gorliwością przeglądał te same pliki, aczkolwiek skupiał całą uwagę na zupełnie innych aspektach zawartych tam informacji. Cieszył go dostęp do wiedzy, dzięki której mógł zrozumieć, skąd wzięły się te wszystkie „święte nakazy”, których przestrzeganie zalecało Pismo, ale wolałby nie czytać niczego o „cholesterolu” czy „arteriosklerozie”. Wystarczało mu bowiem, że bez przerwy był pouczany w tych kwestiach przez zakonnych uzdrowiaczy, którzy nie mieli nawet pojęcia, co kryje się za dietetycznymi sugestiami archanioła Pasquale.

Uśmiechnął się do tej myśli, ale natychmiast spoważniał, widząc miny cesarza i jego małżonki.

- Dzień dobry, Nahrmanie. - Sharleyan odpowiedziała na jego powitanie. Przemówiła kurtuazyjnym tonem, ale dawało się w nim wyczuć źle maskowaną złość. Na szczęście wyglądało na to, że jej łaskawość nie jest wściekła na gościa. - Dołącz do nas, proszę.

- Oczywiście, wasza łaskawość.

Nahrman zajął wskazane mu miejsce, siadając naprzeciw Cayleba, jego małżonki i ogromnego okna, które mieli za sobą. Sharleyan naląła mu czekolady i osobiście podała kubek. Przyjął go, mamrocząc słowa podziękowania, a potem postawił na blacie i oplótł dłońmi, zastanawiając się cały czas, jaki jest powód tak nagłego wezwania. Z początku sądził, że może mieć coś wspólnego z misją wykonywaną przez Merlina w Maikelbergu, ale dość szybko odrzucił tę myśl, ponieważ należał do grona osób, które oglądały transmisję rozmowy z księciem Eastshare, a ta poszła całkiem gładko, więc...

- Proszę o wybaczenie, wasza łaskawość - powiedział, zwracając się do Sharleyan - ale z twojej postawy wnioskuję, że wydarzyło się coś, o czym jeszcze nie wiem.

Ton tej wypowiedzi, jak i uniesiona brew sugerowały, że było to raczej pytanie niż stwierdzenie. Cayleb zaśmiał się chrapliwie pod nosem, zatem księżę natychmiast skupił uwagę na nim.

- Można tak powiedzieć - przyznał młody cesarz. - Zaraz po przebudzeniu połączyłem się z Sową, by pobrać najświeższe wieści z jej baz danych. Zawsze tak robię i niemal codziennie znajduję tam kilka zagadnień, którym powinienem się przyjrzeć. Większość z nich nie ma jednak wielkiego znaczenia dla naszej sprawy. Można by nawet rzec, że to bardziej osobiste zainteresowania. Na przykład wyniki najnowszej kolejki ligi baseballu w Starym Charisie. Albo śledzenie poczynań Hektora i *Przeznaczenia*. Tego rodzaju rzeczy... - Zamilkł na chwilę, co Nahrman skwitował skinieniem głowy. - Jednym z takich wydarzeń były kazania głoszone przez ojca Tymahna z Manchyru. Nie chodziło bynajmniej o ich wydźwięk polityczny, myślę, że trafiały mi one do przekonania jako człowiekowi, nie cesarzowi. Dzisiaj, jak co środę, zapytałem o kolejne kazanie tego kapłana. - Twarz Cayleba stężała, a jego głos stał się bardziej oschły. - Niestety w tym tygodniu nie przemówił do wiernych. Skurwiele Waimyna zamordowali go poprzedniej nocy. Zamęczyli go na śmierć, jeśli chcesz wiedzieć, a wczoraj rano porzucili nagie ciało na placu Szarego Jaszczura.

Nahrman zeszytniał, natychmiast też zerknął w kierunku Sharleyan. Teraz rozumiał, skąd ten błysk w oku cesarzowej. Jej łaskawość czekała z niecierpliwością na dzień, w którym dane im będzie poznać czołową postać ruchu corisandzkich reformatorów. Księżę wiedział, jak ogromnym szacunkiem darzyła Hahskansa, i podejrzewał, że jego zamordowanie, zwłaszcza z rozkazu Waimyna, musiało jej przypomnieć, jak wielu gwardzistów poległo podczas próby zamachu na nią zorganizowanego przez innego kościelnego hierarchę.

- Sowa potwierdziła, wasza wysokość, że to zabójstwo na zlecenie Waimyna? - zapytał tak neutralnym tonem, na jaki mógł się zdobyć, kierując to pytanie do Cayleba, a ten zareagował ni to prychnięciem, ni to warknięciem.

- O tak. Drań wydał rozkaz Aimaylowi, przekazując go przez Hainreego.

- Rozumiem. - Nahrman wyglądał na zwyczajnie zamyślonego, ale w jego głowie przebiegały znacznie bardziej złożone procesy skojarzeniowe. - Przyznaję, że zaskoczyła mnie jego decyzja o eskalacji konfliktu w taki właśnie sposób - dodał pulchny księżę chwilę później. - Wiem, że miał spore problemy z komunikowaniem się z biskupem egzekutorem Tohmysem i jego „Spiskiem Północy”, ale musiał przecież wiedzieć, że ich plany nadal są w

powijakach, a to wyklucza otwartą konfrontację z radą regencyjną i generałem Chermynem.

- Wszyscy w to wierzyliśmy - wtrąciła Sharleyan.

Teraz, gdy Nahrman wiedział już, co zaszło, zrozumiał też, że ten twardy ton jest echem surowej samodyscypliny, którą dawno temu wpojono nieletniej królowej. Widać było, jak wiele jej potrzebuje, by powstrzymać rodzącą się w jej trzewiach furję.

- Myliliśmy się jednak w swoich osądach - dodała.

- Chyba nie do końca o to chodzi - zaprotestował Cayleb. Spojrzała na niego nieco ostrzej niż zazwyczaj, ale zareagował na to, tylko potrząsając głową. - Chcę powiedzieć, że on musiał wiedzieć, iż biskup egzekutor i jego sługusy nie są jeszcze gotowi do konfrontacji, ale od pewnego czasu nie przeszkadzało mu to w podgrzewaniu atmosfery w Manchyrze. Zamierzał przygotować miasto na natychmiastową reakcję, gdy Spisek Północy w końcu zacznie działać. To skłania mnie do myśli, że coś musiało go zmusić do tak nagłej zmiany planów.

- Chyba zgodzę się z jego wysokością - powiedział po chwili Nahrman, kierując te słowa do Sharleyan. Wyciągnął rękę i zaczął bezwiednie smarować masłem jeden z rogalików. - Waimyn zawsze miał spore problemy z komunikacją. Nie mógł więc koordynować swoich działań z wielmożami z północy. Niemniej zdawał sobie sprawę z tego, że powinien koordynować z nimi działania, dlatego uważam, że w grę wchodzi jakiś czynnik lokalny, raczej o znaczeniu taktycznym, jeśli mogę użyć takiego sformułowania, bo to na pewno nie była fundamentalna zmiana strategicznego myślenia.

Sądząc po wyrazie twarzy Sharleyan, obojętność, z jaką Nahrman analizował tę sytuację, była dla niej irytująca. Księżę jednak zdawał się tego nie zauważać. Cesarzowa i jej małżonek znali go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że tak właśnie podchodzi do każdej analizy. Irytacja wynikała wyłącznie z gniewu, jaki przepełniał Sharleyan, i pomimo młodego wieku cesarzowa zdawała sobie z tego sprawę.

- Miałem znacznie więcej czasu na przemyślenie tej sprawy niż ty, Nahrmanie - stwierdził Cayleb, sięgając po własny kubek czekolady - i doszedłem do wniosku, że musi chodzić o splot kilku przyczyn. Wydaje mi się, że ojciec Tymahn okazał się zbyt dobry w zjednywaniu poparcia dla Kościoła Charisu, niż Waimyn początkowo przypuszczał. Może nie było to w pełni zgodne z pragnieniami ojca Tymahna, ale dzięki jego kazaniom akceptacja dla naszego imperium zataczała coraz szersze kręgi, zwłaszcza w stolicy. Jestem pewien, że Waimyn także to zauważył i zaczął się obawiać, że działalność reformatorów może zniweczyć jego wysiłki i plany. Wiemy już, że niepokoila go coraz większa liczba przecieków, które trafiały z ust wiernych do ugodowych kapłanów. Dlatego uważam, że

lojaliści doszli do wniosku, iż nie mogą dłużej tolerować takiej sytuacji, więc postanowili pozbyć się ojca Tymahna. A sposób, w jaki go zabito, a potem porzucono ciało, miał odstraszyć... nie tylko potencjalnych następców wśród zreformowanego kleru, ale i członków laikatu skłonnych do współpracy z nimi.

- To bardzo sensowne założenie, wasza wysokość - przyznał po chwili Nahrman, zagryzł posmarowanym rogalikiem i przeżuwał przez dłuższą chwilę z zamyślnym wzrokiem. - Tak, to bardzo sensowne spostrzeżenie - powtórzył, gdy już przełknął - więc w pełni zgadzam się z poczynioną przez ciebie analizą. Niemniej uważam, że przeoczyłeś jeden szczegół.

- Jestem pewien, że przeoczyłem ich co najmniej tuzin! - prychnął Cayleb. - Powiedz zatem, który z nich masz na myśli.

- Temperament Waimyna, wasza wysokość - odparł zwięźle Nahrman. - Nie ulega wątpliwości, że szczerze nienawidził ojca Tymahna za zdradę i szerzenie apostazji. Przecież to schueleryta. Dla niego to nie było zwykłe przekazanie wiadomości, aczkolwiek taką rolę pełniła śmierć zamęczonego. Moim zdaniem chodziło o przykładowe ukaranie kapłana za herezję i złamanie przysięgi danej wielkiemu wikariuszowi.

- Innymi słowy, to była dla niego sprawa osobista - wtrąciła Sharleyan tonem jeszcze bardziej obojętnym, niż przemawiał Nahrman.

- Tego typu działania zawsze mają podłoże osobiste. Do pewnego stopnia, rzecz jasna - stwierdził książę, nie kryjąc zasmucenia. - Gdybym dostał markę za każdego władcę albo wikariusza, który pozwolił, by złość popchnęła go do ogromnej i naprawdę głupiej katastrofy, mógłbym dzisiaj odkupić Świątynię od Duchairna, abyśmy wszyscy żyli długo i szczęśliwie. A skoro o tym mowa, czyż cała ta wojna nie została spowodowana podobną reakcją Zhaspyra Clyntahna?

- To prawda - przyznała po chwili cesarzowa.

- A co Merlin o tym wszystkim sądzi? - zapytał Nahrman, spoglądając ponownie w kierunku Cayleba.

- Jeszcze nie rozmawialiśmy na ten temat. - Książę zdumiał się, ale cesarza mało to obeszło. - Za dużo czasu i wysiłku kosztowało mnie zmuszenie go do odpoczynku w nocy, nie mam więc zamiaru dostarczać mu argumentów na swoją niekorzyść. Nie zrobię niczego podobnego, dopóki nie będę miał naprawdę ważnego powodu, a zresztą ojciec Tymahn i tak już nie żył. - Cesarz machnął ręką, jakby chciał zaniechać tego tematu. - Nie widziałem większego sensu we wcześniejszym budzeniu Merlina, poza tym i tak „wstanie” za jakiś kwadrans, a tyle jeszcze możemy poczekać.

- Rozumiem.

Mimo ogromnego szoku i gniewu z powodu zabicia ojca Tymahna Nahrman poczuł nagle, jak jego usta układają się w jakże niepożądany uśmiech. Księżę zdawał sobie sprawę, że nie ma w tym niczego zabawnego, niemniej ogromna dbałość Cayleba - oraz Sharleyan - o tysiącletniego, nieśmiertelnego i praktycznie biorąc niezniszczalnego androida jest o wiele bardziej widoczna, niż para cesarska by sobie życzyła. A także mocno rozczulająca.

- Tymczasem powinniśmy się zastanowić - zaproponowała Sharleyan - czy Maikel powinien kontynuować zaplanowaną podróż do Corisandu. Skoro Waimyn potrafił zaryzykować eskalację konfliktu, zabijając ojca Tymahna, tym bardziej może zechcieć dokonać zamachu na Staynaira. Wiem, że Gahrvai spisuje się lepiej niż dobrze przy ochronie nowego Kościoła, niemniej wciąż mamy do czynienia z aktami wandalizmu, nie wspominając już o zamordowaniu ojca Tymahna. Wątpię, aby Maikel miał tyle szczęścia co ostatnio, zwłaszcza że nie ma tam Merlina. No i nie mamy nikogo w Corisandzie, z kim moglibyśmy komunikować się za pomocą przekazów z SAPK-ów.

- Wasza łaskawość, są sprawy, w których poszedłbym na większe ryzyko niż w innych - rzucił szybko Nahrman. - Po odbyciu podróży ze Szmaragdu do Chisholmu u boku naszego arcybiskupa śmiem stwierdzić, że zabronienie mu kontynuowania pielgrzymki z powodu rosnącego zagrożenia będzie równie skuteczne jak zakazanie śniegowi padania zimą albo unieważnienie codziennego przyływu.

Mimo parszywego nastroju, jaki opanował całą trójkę, Sharleyan i Cayleb uśmiechnęli się półgębkiem. Potem cesarzowa sięgnęła po babeczkę, jakby zarażona przykładem księcia. Jej ciąża - i związane z nią poranne nudności - była już tak zaawansowana, że zmuszała ją do ostrożniejszego wyboru potraw, zwłaszcza na śniadanie. Z tego też powodu piła herbatę zamiast słodziutkiej, gęstej czekolady, a teraz denerwując się widokiem Nahrmana pochłaniającego słodki rogal nadziewany siekanymi orzechami i musem z jagód, nie mówiąc już o spływającym z ciasta rozgrzanym maśle, musiała zadowolić się pozbawionym bakalią kukurydzianym wypiekiem.

- Wiem, że on będzie... upierał się przy swoim... - zaczęła z ustami pełnymi ciasta, zdając sobie sprawę, jak to brzmi, ale gdy Cayleb wybuchnął gromkim śmiechem, nie zdołała ukryć zaskoczenia.

- Właśnie przypomniała mi się ocena pewnego oficera, którą kilka lat temu przesłał mi Bryahn. Dotyczyła kadeta Ahrmahka... zwanego podczas oficjalnych okazji księciem koronnym Caylebem.

- Doprawdy? - Sharleyan zmrużyła oczy, ale po chwili przestała się tak bardzo bocyć.

- Mogę zapytać, z jakiego powodu admirał Wyspy Zamek podzielił się z tobą treścią tego, z pewnością fascynującego, dokumentu?

- Chciał mi coś udowodnić.

- Wybacz, wasza wysokość - wtrącił księżę Nahrman - ale pierwszy raz słyszę o czymś takim jak ocena oficera na piśmie. Czy to standardowa procedura w waszej marynarce wojennej? Czy raczej sporządzono ją ze względu na niezwykle status wspomnianego oficera?

- To tradycja mająca już niemal trzydziestoletnią historię - odparł Cayleb. - Ustanowił ją mój dziadek, gdy sam był jeszcze oficerem w czynnej służbie. Każdy dowódca ma obowiązek spisania dorocznej oceny wszystkich służących pod nim oficerów. Dokumenty te trafiają następnie do akt ocenianych i służą w przyszłości jako pomoc dla komisji promocyjnych. W moim wypadku nie chodziło jednak o takie powody, jako że ojciec potrzebował mnie bardziej w Tellesbergu niż na okrętach pływających po morzach i oceanach. Niemniej mój dowódca musiał sporządzić stosowną ocenę, podobnie jak w wypadku wszystkich innych kadetów z tej jednostki.

- Rozumiem. A kim był ów kapitan, który tak cię obsmarował?

- Facet nazwiskiem Dunkyn Yairley - rzucił Cayleb, na co Sharlean zareagowała znaczącym uniesieniem brwi. - Był wtedy zwykłym porucznikiem - wyjaśnił rozbawiony tym Cayleb - ale tak, kazałem przydzielić Hektora na *Przeznaczenie*, by trafił pod jego opiekę. Zaznaczyłem jednak Yairleyowi, aby pod żadnym pozorem nie wygadał, że ja także byłem kiedyś jego kadetem. Jestem pewien, że sam z siebie nie wyskoczyłby z podobną rewelacją, ale jak to mówią: lepiej na zimne dmuchać.

- Zważywszy na okoliczności, przypuszczam, że porucznik Yairley sporządził nader pochlebną opinię o charakterze waszej wysokości? - zapytał Nahrman, uśmiechając się pod nosem, gdy unosił do ust kubek z gorącą czekoladą.

- Cóż, to zależy, co rozumiesz pod pojęciem „nader pochlebna opinia” - odparł Cayleb. - Opisał mnie w następujący sposób: „Jego wysokość ma ogromny potencjał, cechuje go między innymi spora wytrwałość w dążeniu do celu, aczkolwiek w jego przypadku to raczej kwestia bezsensownego uporu niż rozsądku”.

Nahrman, który miał to nieszczęście, że właśnie przełykał gorący płyn, zatchnął się momentalnie i musiał wypluć całą czekoladę z ust. Sharlean także zadziwiła ich obu - i pewnie siebie także - wybuchając głośnym chichotem. Cayleb, widząc ich reakcje, tylko pokręcił głową.

- Teraz już rozumiem, wasza wysokość, dlaczego nie przejmujesz się jego zachowaniem wobec kadetów posiadających książęce tytuły - wymamrotał Nahrman,

wycierając usta chusteczką.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło - przyznał Cayleb i zaraz spoważniał. - Z drugiej jednak strony jego opis mojej skromnej osoby w wieku trzynastu lat jest niczym wobec siedemdziesięciodwuletniego Maikela Staynaira. Ten człowiek przetrzymałby uporem smoka. Co ja mówię, jest w tym lepszy od jaszczurkota, nie ma więc porównania do kogoś takiego jak zwykły cesarz albo cesarzowa!

- Obawiam się, że wasza wysokość ma całkowitą rację. - Nahrman odłożył chusteczkę na blat i ściągnął na moment wargi. - I chociaż rozumiem obawy waszych wysokości - dodał, spoglądając na Sharleyan - to jednak w tej sprawie muszę przyznać rację arcybiskupowi.

- Słucham? - Cesarzowa wyglądała na zbyt zaskoczoną treścią jego wypowiedzi, by się zdenerwować. Z tego też powodu Nahrman wolał szybko uzasadnić tę myśl, zanim jego rozmówczynie dojdzie do siebie.

- Wasza łaskawość, jego wizyta została już zapowiedziana zarówno w Manchyrze, jak i tutaj. Wszyscy w Corisandzie wiedzą, że ma przybyć, podobnie jak jest im wiadomo, że to wizyta duszpasterska, którą ma okazać wsparcie dla lokalnego Kościoła. Jeśli nagle odwoła swoje przybycie, ludzie zaczną się zastanawiać, dlaczego to zrobił. Gdyby wieść o tym została rozpowszechniona teraz, zanim informacja o zamordowaniu ojca Tymahna dotrze do nas normalnym obiegiem, moglibyśmy udawać, że ta decyzja nie miała żadnego związku z obawami o jego życie. Problem jednak w tym, że moim zdaniem nie zgodziłby się na... takie łągarstwo. Ale gdyby nawet poszedł nam na rękę, znajdą się ludzie, którzy za nic w to nie uwierzą. Cokolwiek powiemy i jakkolwiek dowód im przedstawimy, oni i tak będą utrzymywali, że zmienił decyzję, znając losy ojca Tymahna.

- On ma rację, Sharley - przyznał Cayleb, krzywiąc się mocno.

- A skoro ludzie będą w to wierzyć, Grupa Czworoga i lojaliści Świątyni bez problemu przedstawią go tłumom jako zwykłego tchórza - dodał zaraz książę. - Co zresztą nie odbiegałoby daleko od prawdy. Och! - Machnął ręką, uprzedzając wybuch cesarzowej. - Tak, przyznaję, lepszym określeniem w tej sytuacji byłaby roztropność albo nawet zdrowy rozsądek, ale jak tu siedzimy w trójkę, wszyscy wiemy, że tym słowem opisujemy raczej nasze odczucia, nie jego. I z tego powodu musielibyśmy kazać Merlinowi, aby siłą skłonił go do rezygnacji z dalszej podróży. Ludzie w Corisandzie, a może nawet w Szmaragdzie i tutaj odnieśliby wrażenie, że zrezygnował, aby uniknąć ryzyka zamachu. Jestem pewien, że większość z tych, którzy popierają Kościół Charisu, byłaby zadowolona z takiego obrotu sprawy. Niestety równie wielka liczba przeciwników reformy także by się ucieszyła, gdyby tu



nie przybył. Lojaliści zyskaliby atut, że nawet arcybiskup Charisu nie ma w sobie na tyle wiary, by ryzykować za nią życie. A gdyby tak się stało, wasza łaskawość - krągły książę spojrział Sharleyan prosto w oczy - wszystko, co zdołał do tej pory osiągnąć Maikel Staynair, i to, co próbował osiągnąć tu w Corisandzie ojciec Tymahn, poszłoby na marne.

W komnacie cesarza zapadła grobowa cisza. Nawet cichy trzask węgla na palenisku pieca wydawał się w niej ogłuszającym rykiem. Za oknem z grubych chmur posypały się pierwsze płatki śniegu, dobijając się do szyb jak bezszelestne duchy. Dopiero po dłuższej chwili Sharleyan zdecydowała się przełamać ten czar i skinęła niechętnie głową.

- Masz rację - powiedziała, okazując wielkie niezadowolenie. - Takich argumentów użyłby też Maikel... i miałby rację. - Spuściła wzrok na babeczkę trzymaną w prawej dłoni i zauważyła, że nieświadomie rozdlubała ją palcami. - Co gorsza, ja także o tym wiem. Gdybym próbowała go do tego przekonać, jeszcze bardziej uparłby się przy swoim postanowieniu. - Niszczyła babeczkę, powoli, acz systematycznie, przez kolejną minutę, a potem znów spojrziała im w oczy, tym razem o wiele twardziej. - A skoro tak, musimy posłać tam z nim Merlina! Wydaje mi się, że to usprawiedliwione posunięcie, zwłaszcza w świetle tego, co przydarzyło się ojcu Tymahnowi. To chyba jedyna osoba na tym świecie, prócz mnie rzecz jasna, którą Cayleb chciałby w ten sposób chronić. W dodatku możemy porozumiewać się z Merlinem, kiedy tylko zechcemy, jakby nadal był z nami w Cherayth.

- Tak, to prawda - przyznał cesarz po chwili zamyślenia. - Wcześniej tego nie zauważyłem, ale masz rację. Przecież bez przerwy posyłamy go z jakimiś misjami, jak choćby teraz do Maikelbergu. Możemy więc...

Ktoś zapukał ostrożnie w drzwi komnaty, więc wszyscy natychmiast spojrzeli w tamtym kierunku. Moment później zrobili wielkie oczy, widząc, że wchodzi przez nie osoba, o której właśnie rozmawiali, czyli kapitan Athrawes, jakby ich słowa zmaterializowały go na powrót w stolicy. Jego buty były upaprane błotem, podobnie bryczesy, a na płaszczu z kapturem, który narzucił na kolczugę i napierśnik, widać było płatki roztapiającego się właśnie śniegu.

- Wasze wysokości... - Pokłonił się przed Caylebem i Sharleyan - książę... - to samo uczynił przed Nahrmanem.

Wyprostował się, gdy strażnik zamknął za nim drzwi.

- I my cię pozdrawiamy - odparł cesarz, mierząc go czujnym wzrokiem, gdy znów znaleźli się sami. - Wybacz, że pytam, ale czy nie powinienes być teraz w Eastshare, omawiając sprawy z księciem oraz hrabią Zielonej Doliny?

- Powinienem - przyznał Merlin - ale wydarzyło się coś ważnego. Coś, o czym

chciałem porozmawiać z wami w cztery oczy. Dlatego opuściłem twierdzę wczoraj wieczorem. - Skrzywił się, spoglądając na zabłocone buty. - Obawiam się też, że minionej nocy nie odpoczywałem nawet przez chwilę. - Znow podniósł głowę. - Zmieniłem konie ze dwanaście razy, mając nadzieję, że zdążę porozmawiać z tobą i Sharleyan z samego rana. - Skrzywił się raz jeszcze, ale dało się wyczuć w tej minie odrobinę humoru. - Nie spodziewałem się, że wstaniecie tak wcześnie.

- Może dlatego, że raczyłeś nie zauważyć moich codziennych porannych mdłości - ofuknęła go Sharleyan. - Nie zaglądasz tak wcześnie do naszych prywatnych apartamentów, ale wiedz proszę, że już od pewnego czasu nie śpimy o tej porze.

Nahrmahn wsunął do ust resztę posmarowanego masłem rogalika, by nie zauważyli rodzącego się na jego twarzy uśmiechu.

- Masz rację, wasza łaskawość, jakoś mi to umknęło z pamięci. Wybacz. - *Seijin* pokłonił się jej, znacznie głębiej niż poprzednio.

- Twierdzisz, że chciałeś porozmawiać z nami z samego rana - odezwał się Cayleb, gdy kapitan Athrawes wyprostował plecy. - Czy mam rozumieć, że chodzi ci o wydarzenia w Corisandzie?

- Widzę, że już wiecie. - Ton, jakim wypowiedział te słowa Merlin, był nieco dziwny, uznał Nahrmahn, jakby *seijin* poczuł się... nieswojo?

- Można tak powiedzieć - przyznał Cayleb. - Poprosiłem Sowę, by nagrywała dla mnie kazania ojca Tymahna. Gdy chciałem przejrzeć ostatnie dzisiejszego ranka, dowiedziałem się o morderstwie.

- Rozumiem.

Głos Merlina nadal brzmi nieco dziwnie, pomyślał Nahrmahn, czując, że jego ciekawość zaczyna rosnać.

- Właśnie zastanawialiśmy się z księciem, czy powinniśmy pozwolić Maikelowi na kontynuowanie wizyty duszpasterskiej - dodała Sharleyan. - To chyba oczywiste, że byliśmy temu przeciwni, zwłaszcza w świetle ostatnich wydarzeń. Pomyśleliśmy więc, że wyślemy ciebie, abyś zadbał o to, by Waimyn i jego rzeźnicy nie mogli na niego zapolować.

- Żeby Wai...? - zaczął Merlin, ale zaraz przerwał.

Spoglądał dziwnie to na Cayleba, to na jego żonę, a potem chrząknął znacząco. Wszyscy z siedzących w komnacie ludzi zdawali sobie sprawę z tego, że CZAŁO nie musi tego robić, aczkolwiek już dawno temu zrozumieli, że to sposób Merlina na kupienie sobie dodatkowej chwili czasu. Z tego też powodu przyglądali mu się teraz ze zdziwieniem, zaskoczeniem i dociekliwością.

- Merlinie? - zapytał Cayleb tonem rodzica przeczuwającego, że jego pociecha coś właśnie zmalowała.

Athrawes spojrział na niego, a potem... westchnął. To była następna rzecz, jakiej CZAO nigdy nie robił.

- Mówisz, że Sowa powiadomiła cię o zamordowaniu ojca Tymahna - zaczął nieco wymijająco. - Czy to znaczy, że poprosiłeś o kompletny raport sytuacyjny?

- A dlaczego miałbym to robić? - zdziwił się cesarz. - Ojciec Tymahn już nie żył, a nic, co uradzilibyśmy przy tym stole, nie mogło mieć natychmiastowego wpływu na wydarzenia w Corisandzie. Prawdę mówiąc, tam nadal panuje jeszcze noc.

- Właściwie w Manchyrze już świta. Mają tam całkiem niezłą pogodę, muszę przyznać.

- Co jeszcze możesz nam powiedzieć o Manchyrze, drogi kapitanie? - zapytała Sharleyan, spoglądając na niego podejrzliwie.

- Szczerze mówiąc, mniej więcej teraz sir Koryn Gahrvai, jego ojciec, Charlz Doyal, generał Chermyn, biskup Kaisi i arcybiskup Klairmant, zaczynają pierwsze przesłuchanie Aidryna Waimyna.

- Co robią? - Cayleb uniósł się o cal albo dwa z zajmowanego fotela, Sharleyan zrobiła wielkie oczy, a Nahrman po prostu siedział spokojnie, trzymając w dłoniach kubek czekolady.

- Wybacz - rzucił Merlin. - Kiedy wspomniałeś, że Sowa powiadomiła cię o wydarzeniach w Corisandzie, myślałem, że dowiedziałeś się o wszystkim.

- Wygląda na to - odparł Cayleb, z trudem opanowując złość, gdy opadał na siedzisko - że tkwiłeś w błędzie.

- Właśnie zdałem sobie z tego sprawę - przyznał krótko Athrawes i pokręcił głową. - Z tego co zauważyłem, Sowa w końcu zaczęła przejawiać oznaki świadczące o rozwoju jej samoświadomości. Zauważyła, co się święci, i zdała sobie sprawę, że powinna mnie zbudzić.

- Mięśnie na sztucznej twarzy *seijina* drgnęły. - Niestety zrobiła to zbyt późno. Nawet gdybym od razu zdecydował się na podróż do Manchyr, i tak nie zdążyłbym na czas. Mogłem więc siedzieć tam i przyglądać się, jak go mordują. - Twarz Merlina była teraz pozbawioną wyrazu maską. Sharleyan jeszcze nigdy go takim nie widziała, nawet podczas zamachu w klasztorze Świętej Agthy. Ale Cayleb był... na pokładzie rufowym *Królewskiego Charisu*, gdy Athrawes zrozumiał, że nie zdążył ocalić króla Haarahlda VII. - To było straszne - dodał *seijin*, znizując głos. - Potworne. A ja nie mogłem nic zrobić, by to powstrzymać. - Przycisnął pięść do boku i spojrział na nią z takim wyrazem twarzy, jakby

należała do kogoś innego. - Nie chciałem was budzić pośrodku nocy, żebyście oglądali te okropieństwa, ponieważ i wy nie moglibyście w niczym pomóc. - Znów na nich patrzył. - Dlatego zdecydowałem, że powinienem wracać i powiedzieć wam o tym twarzą w twarz, ale na pewno nie przed śniadaniem, jako że po takich rewelacjach nie mielibyście z pewnością zbyt dobrych apetytów. Gdy dotarłem do wrót pałacu, Franz Ahstyn poinformował mnie jednak, że już nie śpicie i że kazaliście sprowadzić Nahrmahna. Obawiałem się, że znam powód tego poruszenia.

- Niech ci będzie - wycodził wolno Cayleb. - Teraz rozumiem. Ale o co chodzi z tym Waimynem?

- Nie potrafiłem powstrzymać go od zamordowania ojca Tymahna - wyjaśnił Athrawes - więc postanowiłem, że zrobię wszystko, by nie pozbawił życia nikogo innego. Musiałem to uczynić, żeby ocalić pozostałych reformatorów od podobnego losu. Wykorzystałem więc jedną z platform Sowy do napisania listu i podrzucenia go sir Korynowi. - Uśmiechnął się pod nosem mimo niewesołej sytuacji. - Rozbicie szyby zwróciło jego uwagę. A gdy przeczytał...

\* \* \*

- I tak to mniej więcej to wyglądało - dokończył kilka minut później. - Ludzie Gahrvaia pojмали Aimayla i co najmniej trzy czwarte przywódców jego siatki. Hainree usłyszał jednak, że idą po niego, i zdołał zbiec. Podobnie wykonawca tego mordu, niejaki Cahmmyng. Na szczęście ludzie sir Koryna zdołali przejąć wszystkie cztery magazyny broni należące do spiskowców i mają w rękach dość ludzi, by dowiedzieć się wszystkiego. - Merlin skrzywił się. - Tym razem nie będą pytali grzecznie. Na pewno powstrzymają się od metod z Księgi Schuelera, ale i tak nie zazdroszczę przesłuchiwanym. Jestem też pewien, że sir Koryn i Doyal zdobędą wystarczającą ilość tropów, by zlikwidować resztę siatki Waimyna w Manchyrze.

- Mój Boże, Merlinie. - Cayleb milczał przez całą tyradę *seijina*, ale teraz kręcił z niedowierzaniem głową. - Wybacz, że zapytam, ale czy nie zgodziliśmy się wszyscy, że na razie pozostawimy tych ludzi na wolności? Żeby mieć na nich oko i uzupełniać te... jak je nazywasz... bazy danych?

- Tak było - przyznał Merlin. - Ale zabijając ojca Tymahna, doprowadzili do eskalacji konfliktu. - Spojrzenie jego szafirowych oczu było zimne i twarde. - Przekroczyliby granicę, nawet w wypadku porwania go i przetrzymywania jako zakładnika, aby móc wysuwać wobec nas żądania. Ale im od początku chodziło o jego zabicie. Zamęczyli kapłana, by zakpić z urzędu arcybiskupa Klairmanta, autorytetu sir Koryna, całej rady regencyjnej, a nawet

Chermyna. Nie mogłem pozwolić, by im się upiekło, zwłaszcza że tamtejsi reformatorzy robili kawał dobrej roboty dla naszej sprawy.

- Nie mogłeś pozwolić? - zapytała ostrożnie Sharleyan, a on skinął zdecydowanie głową.

- Nie mogłem.

W komnacie znów zapanowała cisza. Śnieg za oknem był tym razem o wiele gęstszy. Nahrmahn zadrżał na ten widok, mimo że chłód nie mógł go tutaj osiągnąć. Lodowaty powiew omiatający podstawę jego kręgosłupa nie miał jednak nic wspólnego z warunkami pogodowymi.

*Nie możemy zapominać, że Merlin, a raczej Nimue Alban ma swój cel, pomyślał spokojnie władca Szmaragdu. Ścisłe z nim współpracujemy, a powodzenie Charisu odgrywa kluczową rolę w jego planach, ale on nie jest obywatelem Korony. Nie urodził się na Schronieniu, jak my wszyscy. Podejrzewam, że Cayleb po raz pierwszy przekonał się na własnej skórze, iż CZAŃO nie ma zamiaru pytać o zgodę cesarza przed podejmowaniem tak ważnych decyzji. Ciekaw jestem, jak Cayleb, a zwłaszcza jego małżonka zareaguje na tę sytuację.*

- Ale dlaczego nie powiedziałeś nam o tym wszystkim jeszcze wczoraj? - zapytał w tym momencie cesarz.

- Ponieważ, jak już wspomniałem, chciałem to zrobić twarzą w twarz. Nie wiedziałem, że usłyszycie o zabiciu ojca Tymahna, zanim zdążę wrócić do pałacu, ponieważ obserwacja sytuacji w Manchyrze należy tylko do moich obowiązków. Chciałem przekazać ci te wieści osobiście, nie przez komunikator. Oraz powiadomić, co w związku z tym przedsięwziąłem.

- A może dlatego, że obawiałeś się naszego gniewu, gdy wyjawisz, iż chcesz postawić na głowie całą strategię dotyczącą Manchyrę? - Nie sposób było wyczytać intencji Cayleba z tonu jego głosu, ale oczy mówiły wszystko.

- Nie chodziło o to, że ty i Sharleyan możecie się rozzłościć - odparł ze spokojem Merlin. - Sądziłem jednak, że skoro już zareagowałem czy też, jak mawialiśmy na Starej Ziemi, zastosowałem politykę faktów dokonanych, winien ci jestem przynajmniej osobiste wyjaśnienie, co zrobiłem i dlaczego.

Cayleb wyprostował się w fotelu i mierzył wzrokiem stojącego po przeciwnej stronie stołu wysokiego niebieskookiego mężczyznę w czarnej zbroi oznaczonej niebiesko-złotym emblematem Imperium Charisu. Nahrmahn zastanawiał się, kogo widzi teraz przed sobą młody władca: kapitana swojej gwardii czy CZAŃO noszącego duszę dawno zabitej kobiety?

Cesarz zerknął w stronę żony, a potem rozluźnił się widocznie.

- Po pierwsze, pozwól, że ci powiem, iż w pełni popieram to, co uczyniłeś. Ufam też, że Sharleyan ma takie samo zdanie na ten temat. - Spojrzał znacząco na małżonkę, a ona skinęła głową na znak, że to prawda. - Po drugie, pragnę ci wszelako przypomnieć rozmowę, jaką odbyłeś swego czasu z moim ojcem. Szanuję cię i podziwiam, powiedziałeś do niego, ale komu jestem naprawdę wierny? Nie tobie i nie Caylebowi, lecz przyszłości. Dla niej użyję was obu, jeśli zajdzie taka potrzeba. - W komnacie po raz kolejny zapadła grobowa cisza. Cesarz zamilkł, tylko uśmiechał się pod nosem. - Dziwi cię to, że wiem, co mu wtedy powiedziałeś? - zapytał po chwili.

- Trochę - przyznał Merlin. - Nie spodziewałem się, że powie ci o tym.

- Bo nie powiedział. Dowiedziałem się od Charlza Gahrdanera. Wprawdzie ojciec mu tego zabronił, ale gdy zauważył, jak blisko jesteśmy ze sobą, postanowił mnie ostrzec. Nie chodziło o to, że ci nie ufał. On był wierny wyłącznie Charisowi. Rodowi Ahrmahków.

- Jesteś zły o to, że ja nie jestem? - zapytał *seijin*, zniżając głos.

- Merlinie - odparł cesarz, uśmiechając się niespodziewanie, trochę krzywo, ale szczerze. - Od dawna o tym wiedziałem. Nawet gdyby Charlz mi tego nie powiedział, widziałem to w twoim postępowaniu. Ale ofiarowałaś mnie i Sharleyan swoją przyjaźń, a nawet usługi. Do diaska, przeleciałeś połowę planety, by uratować jej życie! To chyba jasne, że chciałbym mieć nadzieję, że zawsze będziemy działać w jedności i zgodzie. I nie przeczę, że wolałbym, abyś poinformował mnie, co zamierzasz uczynić, zanim napuściłeś Gahrvaia na Waimyna. Jeśli o takie sprawy chodzi, możesz mnie budzić o każdej porze, tak jak ja miałem w zwyczaju, gdy chodziło o ciebie. Nie myśl jednak, że oczekuję, iż zboczysz choć o krok z wytyczonej drogi. Aż takim głupcem nie jestem. Ani samolubem. - Pokręcił raz jeszcze głową. - Użyłeś kiedyś przy mnie pewnego zwrotu, mówiąc o kimś. Powiedziałeś, że zapłacił słono za prawo do poglądów na jakiś temat. To dotyczy teraz także ciebie.

Znów zapadło milczenie, a po chwili rozległ się śmiech *seijina*.

- Miałem nadzieję, że tak to odbierzesz - powiedział Merlin - aczkolwiek skłamałbym, gdybym stwierdził, że byłem tego pewien.

- Czy moja cesarska wściekłość za to, że zmieniasz ustalenia poczynione ze mną i moją małżonką, miałyby jakikolwiek wpływ na twoje przyszłe działania?

- Nie - zapewnił go zwięźle Merlin. - Raczej nie.

- Tak właśnie myślałem - mruknął Cayleb.

## .XIII.

### APARTAMENTY ARCYBISKUPA MAIKELA

#### PALAC ARCYBISKUPI

#### CHERAYTH

#### CHISHOLM

Maikel Staynair oderwał wzrok od książki trzymanej na podolku, gdy ktoś delikatnie zapukał do drzwi jego komnaty.

Ranek ten był tak spokojny, jak przystało na zimowe przedpołudnie. Arcybiskup usadowił się przy wychodzącym na wschód oknie dla lepszego światła, którego potrzebował podczas lektury, ale też po to, aby móc wyglądać na przykryty śniegiem krajobraz Chisholmu. W Cherayth nie był od dość dawna, więc zdążył zapomnieć wrażenie, jakie robi padający śnieg, i teraz z nieodmienną fascynacją przyglądał się lecącym z nieba białym płatkom. W przeciwieństwie do swego pana Ahrdyn uważał śnieg za kiepski wynalazek. Na szczęście dla dobrego samopoczucia jaszczurkota jego koszyk był dość obszerny, aby pomieścić mięciutki kocyk - podarunek od cesarzowej Sharleyan - tak że w chwili obecnej leżał w nim głęboko zakopany, wystawiając tylko koniuszek noska.

Ktokolwiek stał za drzwiami, ponowił pukanie w nieco bardziej stanowczy sposób.

- Tak? - zawołał Staynair, na co drzwi otwarły się akurat na tyle, by w szparze zmieściła się głowa należąca do ojca Bryahna Ushyra, osobistego sekretarza arcybiskupa i jego najbardziej zaufanego pomocnika.

- Bardzo mi przykro, że przeszkadzam, eminencjo, ale *seijin* Merlin pyta, czy możesz mu poświęcić chwilę swego czasu.

Siwe brwi Staynaira uniosły się lekko. Przez chwilę siedział w bezruchu, po czym umieścił zakładkę między kartkami książki i zamknął okładki.

- Oczywiście, Bryahnie. Proś *seijina* na pokoje.

- Dobrze, eminencjo - wymamrotał Ushyr, po czym zniknął.

Moment później drzwi otwarły się ponownie, tym razem szerzej, i do środka wkroczył Merlin Athrawes. Staynaira dziwiła jego wizyta, i to z wielu powodów. Po pierwsze, sądził, że Merlin zostanie w Maikelbergu jeszcze przez dzień czy dwa. Po drugie, nie rozumiał, czemu *seijin* pofatygował się doń osobiście, zamiast użyć komunikatora, skoro SAPK-i z pewnością doniosły mu, że arcybiskup jest w swej komnacie sam, co znaczyło, że nikt by go

nie przyłapał na mówieniu do samego siebie.

- Dziękuję, że zechciałeś mnie przyjąć bez uprzedzenia, eminencjo - powiedział Merlin, kiedy Ushyr raz jeszcze zamykał za sobą drzwi.

- Jesteś zawsze mile widzianym gościem, *seijinie* - odparł Staynair z uśmiechem. - Aczkolwiek nie ukrywam, że nieco mnie zaskoczyła twoja nagła wizyta.

- Domyślam się tego. - Merlin odpowiedział uśmiechem, który wszakże zaraz zniknął z jego twarzy. - Przybywam prosto ze spotkania z Caylebem, Sharleyan i Nahrmahem. To znaczy - poprawił się - po drodze zdążyłem się wykapać i przebrać w czysty mundur.

- O jakim spotkaniu mówisz?

- W Manchyrze doszło do pewnych... nieprzewidzianych wypadków. - Staynair zmrużył oczy, słysząc, że Merlin przybiera ponury ton. - Prawda jest taka, że przybyłem, aby prosić cię o dołączenie do tamtej trójki w celu przedyskutowania tychże wypadków. Zaczekaliśmy z tym do czasu po śniadaniu. Z paru powodów.

- Czy mam rozumieć, że wspomniane „nieprzewidziane wypadki” nie należą do kategorii dobrych wiadomości? - zapytał cicho Staynair.

- Obawiam się, że tak. Co więcej, skomplikują one nieco twoją wizytę.

- Ach tak. - Staynair odłożył książkę i zaczął się podnosić z wygodnego fotela.

- Chwileczkę, eminencjo.

Arcybiskup uniósł brwi wyżej, widząc, że Merlin zachęca go, aby pozostał na swoim miejscu. Opadł posłusznie na oparcie, przechylając głowę na bok.

- Słucham - powiedział, - Przekazanie tego zaproszenia to tylko jeden z powodów mego przybycia - poinformował. - Muszę też przedyskutować z, tobą coś, zanim wtajemniczę w to także tamtą trójkę.

- Czy to będzie miało coś wspólnego z wypadkami w Manchyrze?

- Nie, eminencjo. Nie bezpośrednio. Raczej z rozmową, którą odbyłeś z baronem Gromu, zanim udałeś się do Szmaragdu.

- Proszę? - Staynair zamrugał, a Merlin uśmiechnął się krzywo.

- Przed wyjazdem z Tellesbergu poprosiłeś ojca Bryahna, żeby dostarczył baronowi parę skrzyń z dokumentami. Dokumentami, które otrzymałeś z Syjonu... za pośrednictwem pani Dynnys.

Staynair zeszytniał. Przez chwilę czyste zaskoczenie - i szok - przykuły go do fotela. Siedział tak z otwartymi szeroko oczami, po czym nagle jego zazwyczaj łagodne oblicze pociemniało. Oczy, dotąd szeroko otwarte, zmrużyły się, a całe ciało jakby zadrżało, gdy przeszła je błyskawica oburzenia.



- Merlinie!... - zaczął ostrym tonem.

- Proszę, eminencjo! - powiedział szybko *seijin*, unosząc dłoń w pojednawczym geście. - Nie zamierzam w żaden sposób zdradzić twojej tajemnicy!

- Właśnie to zrobiłeś! - Merlin jeszcze nigdy nie widział arcybiskupa tak rozgniewanego. - Zdaję sobie sprawę, że cały „Kościół Boga Oczekiwanego” to jedna wielka farsa, w dodatku nie najlepsza, lecz chyba wiesz, że mimo to poważnie podchodzę do swoich obowiązków duszpasterskich! I z pewnością rozumiesz, że pani Dynnys powierzyła mi pewne informacje tylko dlatego, że obowiązuje mnie tajemnica konfesjonału!

- Owszem - przyznał Merlin, nakazując sobie spokojny ton. - Dowiedziałem się o tym tylko dzięki rutynowemu meldunkowi Sowy. Przepraszam, że nie pomyślałem wcześniej o założeniu filtra na twoje rozmowy z poszczególnymi wiernymi w celu ochrony twojej i ich prywatności. Zapewniam cię, eminencjo, że obecnie taki filtr już istnieje i działa.

Staynair w dalszym ciągu gromił go wzrokiem, ale Merlin nie spuszczał oczu.

- W każdej chwili możesz sprawdzić to u Sowy, eminencjo - dodał cicho.

W pomieszczeniu panowała pełna napięcia cisza. Przerwało ją dopiero głębsze westchnienie Staynaira.

- To nie będzie konieczne. - Odezwał się równie cicho jak *seijin* przed chwilą. - Wierzę ci na słowo, Merlinie. Jak zawsze.

- Dziękuję - odparł Athrawes krótko i z tego jednego słowa przebijała zarówno szczerść, jak i wdzięczność.

- Podejrzewam jednak - kontynuował Staynair tonem człowieka, który ostrożnie cofa się znad krawędzi - że nie bez powodu zechciałeś zwrócić moją uwagę na tę sprawę?

- To prawda.

Merlin podszedł do okna i zapatrzył się na zaśnieżony krajobraz. Milczał przez dobre parę sekund, po czym nagle odwrócił głowę i spojrzał prosto na arcybiskupa.

- Eminencjo, dowiedziałem się o istnieniu dokumentów Madame Ahnzhelyki przez przypadek, ale doskonale rozumiem, czemu pani Dynnys tak zależy na zachowaniu jej tożsamości w jak największej tajemnicy. Nie wiem wszakże... z powodu tego filtra, o którym ci wspomniałem... czy pani Dynnys ostatecznie ujawniła przed tobą nazwiska osób ze Świątyni współpracujących z Madame Ahnzhelyką.

Staynair zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, po czym wzruszył ramionami.

- Nie.

- Niespecjalnie mnie to dziwi. - Merlin ponownie odwrócił się do okna. - Ale... odkąd dowiedziałem się o tej rozmowie... miałem oko na Madame Ahnzhelykę.

- Co takiego? - Merlin wyczuł w głosie Staynaira nutkę przerażenia. - Zdawało mi się, że mówiłeś...

- Mówiłem - przerwał mu Merlin, ani na moment nie odwracając się od okna - że nie odważyłbym się używać SAPK-ów ani zdalnie sterowanych czujników w samej Świątyni. - Wzruszył ramionami. - Nadal nie mam pojęcia, czym naprawdę są te źródła energii pod Świątynią. Najwyraźniej znaczna ich część wiąże się ze zwykłym utrzymaniem kompleksu, a pozostałe to automatyczne czujniki, które zapewniają „cuda”. Moim zdaniem jednak jest tego tam znacznie więcej, niżby wynikało z takiego użycia, i dlatego nie zamierzam nadziać się niechęć na żadne sensory. Tak czy siak siedziba Madame Ahnzhelyki znajduje się w wystarczającym oddaleniu od Świątyni, abym mógł ją obserwować. Ostrożnie, rzecz jasna. Właściwie - obrócił się do arcybiskupa, uśmiechając się dziwnie - wiesz, raz nawet pofatygowałem się osobiście do Syjonu.

- Byłeś w Syjonie?! - Staynair nawet nie próbował ukryć zdumienia, co doprowadziło Merlina do śmiechu.

- Zanim mogłem wyjawić prawdę komukolwiek z was - sprecyzował. - Powiedz mi szczerze, naprawdę nigdy się nie zastanawiałeś, jakim cudem arcybiskup Erayk potknął się na schodach Madame Ahnzhelyki w najbardziej odpowiednim momencie?

Staynair ponownie zrobił wielkie oczy, a Merlin potaknął skinieniem na niezadane przez niego pytanie.

- Czy to nie było nazbyt ryzykowne? - zapytał po chwili. - Z tego co mówiłeś wcześniej, wynikałoby, że coś takiego wystawiało cię na poważne ryzyko wykrycia.

- Owszem - przyznał Merlin. - Niestety był to jedyny sposób, jaki mi przyszedł do głowy, a czas wtedy naglił.

- Z tym twierdzeniem nie mogę się nie zgodzić - pokiwał głową Staynair.

Merlin wzruszył ramionami.

- Zatem, jak już wspomniałem, mam na nią oko. I coraz bardziej martwię się o jej bezpieczeństwo.

- Martwisz się? Jak to? Dlaczego? Co się tam dzieje? - dopytywał Staynair.

- Tego nie jestem całkiem pewien... Wydaje mi się, że nawiązuje nietypowe kontakty. I robi inne dziwne rzeczy. Między innymi ukryła parę grup ludzi w rozmaitych miejscach Syjonu. Nie zdołałem zidentyfikować większości z nich, ale wiem, kim jest przynajmniej część...

- Kim? - zapytał Staynair, kiedy Merlin nagle umilkł.

- To rodziny. Tyle wiem na pewno. I jeśli się nie mylę, są to rodziny wysoko

postawionych hierarchów. Wikariuszy i arcybiskupów.

Skrzyżowały się spojrzenia oczu brązowych i szafirowych, a w komnacie zaległa niezwykła cisza.

- To reformatorzy Adorai - powiedział Staynair po paru sekundach.

- Tak właśnie pomyślałem... i stąd moja troska. - Merlin pokręcił głową. - Im dłużej przyglądam się Madame Ahnzhelyce, tym bardziej ją podziwiam. To niezwykle sprawna kobieta, eminencjo! Jestem pewien, że przygotowała już drogę swojej ucieczki, choć jeszcze nie odkryłem żadnych szczegółów. Przypuszczam, że to raczej dobry, nie zły znak... skoro ani Sowa, ani ja nie wpadliśmy na żaden trop, mało prawdopodobne, aby udało się to Inkwizycji. Ale po pierwsze nie mogę mieć w tej sprawie całkowitej pewności, zwłaszcza że w Świątyni nie mam zainstalowanych żadnych skanerów. A po drugie sama liczba osób przewidzianych do ewakuacji może ją zdradzić. Clyntahn i Rayno bez wątpienia już się zastanawiają, gdzie podziały się pewne osoby, a jeśli czegoś nie można odmówić inkwizytorom, to właśnie tego, że znajdowanie ludzi wychodzi im najlepiej.

Staynair rozparł się w fotelu ze zmartwioną miną, palcami jednej dłoni bawiąc się berłem będącym symbolem jego urzędu. Siedział tak przez parę chwil, po czym nagle spojrzął znowu na *seijina*.

- Do czego właściwie zmierzasz, Merlinie?

- Wybieram się do Syjonu - stwierdził w odpowiedzi kapitan Athrawes.

Tym razem Staynair zapanował nad mimiką. Najwyraźniej nie był zachwycony pomysłem Merlina, ale spodziewał się czegoś podobnego z jego strony.

- Jak chcesz tego dokonać? - zapytał jakby nigdy nic.

- Plan nie jest skomplikowany. Może nieco ryzykowny, ale na pewno nie skomplikowany.

- Zaczynasz mnie przerażać - stwierdził Staynair sucho i Merlin ponownie wybuchnął śmiechem.

- W gruncie rzeczy natchnęła mnie do tego Sharleyan, a konkretnie słowa, które padły z jej ust tego ranka. Zamierzają, ona i Cayleb, wysłać mnie z tobą do Corisandu, abym miał na ciebie oko. Stwierdziła w rozmowie z mężem, że teraz, kiedy możemy być w kontakcie, gdziekolwiek się znajdujemy, powinien wysłać z arcybiskupem Charisu swoich najlepszych gwardzistów. A ja pomyślałem, że skoro na ich rozkaz mogę się udać do Corisandu, pozostając w kontakcie, podobnie będzie, jeśli udam się do Syjonu.

- I co? Zamierzasz przechadzać się po mieście? W mundurze straży cesarskiej?

- Niezupełnie - uśmiechnął się Merlin. - Tak się składa, że jestem w stanie

zrekonfigurować CZAŁO, emineńco. Niewiele da się zrobić w kwestii wzrostu, ale mogę zmieniać dowolnie kolor włosów, oczu, cery... - Wzruszył ramionami. - Zaufaj mi, jestem w tym mistrzem. Czy też raczej mistrzynią...

Staynair skinął głową. Do tej pory zdążył się już zapoznać z aktami Nimue Alban i musiał przyznać, że nikt, kto ją znał, nie dopatrzyłby się jej w postaci Merlina Athrawesa. Widział oczywiście - zgoła rodzinne - podobieństwo między tymi dwojgiem, lecz Merlin był stuprocentowym mężczyzną.

- Nie będę udawał, że przenosiny mnie samego i całej elektroniki, którą jestem napakowany, w pobliże Świątyni nie napawają mnie strachem - ciągnął Merlin - lecz wiem z całą pewnością, że nikt nie skojarzy mnie z kapitanem Merlinem Athrawesem. Nawet jeśli ktoś później spotka go osobiście.

- Rozumiem.

- Cóż, skoro rozmawiamy aż tak szczerze, powinienem chyba przyznać, że kiedy już tam się znajdę, będę musiał grać, jak mi podpowie intuicja. - Wzruszył ramionami. - Inaczej się nie da. Najważniejsze, że dysponuję pewną przewagą nad Madame Ahnzhelyką, no i zawsze mogę mówić, że jestem jeszcze jednym *seijinem*, przyjacielem Merlina, który postanowił go wspierać w działaniach. To powinno zgrabnie wyjaśnić moje zdolności, jeśli przyjdzie mi z którejś skorzystać przy świadkach.

- A gdzie będzie Merlin, kiedy ty odwiedzisz Syjon? - zainteresował się trzeźwo myślący Staynair. - Znikniesz na dobre parę dni, może nawet pięćdni.

- Między innymi dlatego tu jestem. Moją krótką nieobecność da się wyjaśnić tym, że jestem *seijinem*. Niejedna legenda wspomina, że *sejiniowie* co jakiś czas wycofują się z aktywnego życia, aby medytować. Tymczasem Merlin pełni służbę, odkąd pojawił się w Charisie. Każdy uwierzy, że już najwyższa pora na taką przerwę. Nazwiemy ją „ucieczką w świat ducha”. Zważywszy na to, że Cayleb i Sharleyan chcą mnie wysłać wraz z tobą do Corisandu, sami zaś zostaną tutaj z tłumem gwardzistów nie spuszczaćcych ich z oka, możemy chyba zapowiedzieć, że korzystając z okazji, wybieram się medytować, zanim udam się w podróż z tobą.

- Przypuszczam, że to zabrmi dość przekonująco - zgodził się z nim Staynair.

- Jedyńy kłopot polega na tym, że będziemy musieli przekonać do naszego pomysłu parę cesarską. - Wargi Merlina drgnęły w na pół uśmiechu, na pół grymasie. - A nie sądzę, by spodobał się on Caylebowi i Sharleyan. Nie zrobię jednak niczego bez ich pełnego poparcia. Prawdę powiedziawszy, niedawno odbyliśmy na ten temat interesującą rozmowę. - Uśmiech wygrał na jego twarzy z grymasem, zaraz jednak znowu zniknął. - W tym jednak

wypadku nie mogę im zdradzić swoich planów, nie wspominając o Madame Ahnzhelyce. A nie mogę o niej wspomnieć, jeśli chcę dochować tajemnicy konfesjonału, która obowiązuje ciebie.

- Rozumiem - kiwnął głową Staynair.

Siedział bez ruchu przez pełne dwie minuty, namyślając się, po czym przeniósł znów spojrzenie na Merlina.

- To niezręczna sytuacja - rzekł. - Z jednej strony jesteś już w posiadaniu informacji objętych tajemnicą konfesjonału. Z technicznego punktu widzenia nie potrzebujesz więc mojej zgody, aby je ujawnić Caylebowi i Sharleyan, szczególnie że poznałeś je bez naruszenia tajemnicy konfesjonału. Co więcej, nie jesteś duchownym, więc tajemnica konfesjonału właściwie w ogóle cię nie dotyczy. Aczkolwiek obydwaj wiemy, że to argument, jakiego mógłby użyć tylko legalista.

Merlin potaknął milcząco, a Staynair wziął głęboki oddech, zanim podjął:

- Jako arcybiskup mam moc zwolnienia z tajemnicy konfesjonału w ściśle określonych przypadkach. Szczerze mówiąc, nie skorzystałbym z tego prawa w większości punktów zapisanych w przepisach Kościoła Boga Oczekiwanego, gdyż na ogół służą one wydawaniu ludzi Inkwizycji. Wszelako nawet Kościół Langhorne'a dostrzega, że czasem bezpieczeństwo jednostki jest wartością najwyższą. Nasza sytuacja podpada właśnie pod ten przypadek! Niestety nie mamy czasu na to, abym poprosił Adorai o pozwolenie. Musisz wszakże wiedzieć, że gdyby nie bezpośrednie niebezpieczeństwo grożące Madame Ahnzhelyce i osobom, które stara się uratować, nawet bym nie rozważał takiej możliwości. Jesteś tego świadom?

Merlin ponownie skinął głową. Staynair westchnął.

- No dobrze, Merlinie. W tych okolicznościach poprę cię w rozmowie z Caylebem i Sharleyan.

## **.XIV.**

**SIEDZIBA MADAME AHNZHELYKI PHONDY**

**SYJON**

**ZIEMIE ŚWIĄTYNNE**

Cicha muzyka rozbrzmiewała w komfortowo urządzonego saloniku. Bogato odziani

mężczyźni, większość nosząca sutanny z jedwabiobawełny lub stalostu, część w pomarańczowych szatach znamionujących wikariuszy, siedziała lub stała, trzymając w dłoniach kieliszki z winem lub koniakiem. U Madame Ahnzhelyki interes kwitł przez okrągły rok, aczkolwiek w zimowe miesiące lepiej niż kiedykolwiek, gdyż wtedy wszyscy mieszkańcy Syjonu skupiali się na aktywności wewnątrz domów. Młode kobiety - o wszelakich odcieniach skóry, lecz wszystkie tak samo urocze - towarzyszyły gościom, zabawiając ich rozmową i śmiejąc się perlście. Każda była odziana z wielkim smakiem i dyskretnie umalowana. Trudno byłoby sobie wyobrazić wizerunek dalszy od popularnego w świadomości ludzkiej obrazu nierządnic.

Był to główny z powodów sukcesu Madame Ahnzhelyki.

U niej nie było miejsca na wulgarność! Na nazbyt potoczną albo niemiłą bądź też niegrzeczną rozmowę. Na marne żarty. Dziewczęta Madame Ahnzhelyki były bystre, wykształcone i pełne energii. Zachęcano je do czytania i śledzenia najnowszych wiadomości, aby mogły podjąć w dyskusji każdy temat, błyszcząc inteligencją i gdy trzeba - taktem. Nic dziwnego, że przyciągały wyłącznie najznakomitszych klientów i że wśród hierarchów Świątyni krążyły legendy o ich spolegliwości i dyskrecji.

Madame Ahnzhelyka ustawiła poprzeczkę wysoko, aczkolwiek nie wyżej niż za czasów, gdy sama była dziewczyną pracującą... z czego być może wynikała zażyłość łącząca ją nadal z wieloma przedstawicielami wikariatu. Teraz przemierzała swój salon, zatrzymując się to tu, to tam, aby zamienić słowo z osobami, które знаła szczególnie dobrze. Muskała pieszczotliwie ramiona. Składała niewinne pocałunki na policzkach tych, których faworyzowała. Posyłała uśmiech lub żarcik pozostałym. Nikt, kto na nią patrzył, nie domyślał się, że jej duszę mąci troska.

To zrozumiałe, kiedy wziąć pod uwagę, że prawdziwa kurtyzana przede wszystkim musi umieć udawać.

Odwróciła się, gdy spostrzegła ruch kątem oka, i jej brwi podjechały do góry na widok mężczyzny, którego nigdy jeszcze u siebie nie widziała.

Był wysoki, gładko ogolony, o piwnych oczach. Ciemne włosy miał nieco dłuższe, niż zalecała obecnie moda panująca w Syjonie, zaczesane do tyłu i ściągnięte w kucyk za pomocą wysadzanej klejnotami spinki, a jego ciężki, przyprószony śniegiem płaszcz, który właśnie przekazywał w ręce lokaja, był podbijany zimowym, białym futrem górskiego jaszczurodrapa. Gruby złoty łańcuch na szyi i duże pierścienie z tego samego metalu zdobiące jego zadbane dłonie dodatkowo wskazywały na zamożność, co Madame Ahnzhelyka odnotowała z niejakim zainteresowaniem.

- Wybacz, eminencjo - powiedziała do człowieka, z którym właśnie rozmawiała - ale chyba powinnam czynić honory pani domu.

- Ależ oczywiście, moja droga - odparł jej rozmówca, mężczyzna w randze arcybiskupa.

- Dziękuję. - Spojrzała nań ciepło, zanim odeszła.

Podpłynęła wdzięcznie do nowo przybyłego, który rozglądał się wokół siebie nienachalnie, aczkolwiek z wyraźną ciekawością. Zauważył jej nadejście, a ona uśmiechnęła się szerzej i wyciągnęła szczupłą rękę.

- Witam - rzekła krótko.

- Dziękuję - odpowiedział miłym dla ucha tenorem. Uniósł jej dłoń gestem pełnym galanterii aż do ust i złożył na niej delikatny pocałunek.

- Domyślam się, że mam przyjemność z Madame Ahnzhelyką we własnej osobie, czy tak?

- Owszem - potwierdziła. - Ja zaś mam przyjemność z sir...?

- Nazywam się Ahbraim Zhevons. - Złożył płytki ukłon, co skwitowała skinieniem głowy. Pomyślała, że akcent jej nowego gościa wskazuje na rodowód z Desnairu.

- Jesteś w naszym mieście przejazdem, sir Zhevonsie?

- Proszę mi mówić po imieniu. - Błysnęły w uśmiechu białe zęby i piwne oczy. - Zaiste, tak. Czyżby znowu zdradził mnie mój akcent? A może wyrażam się jak wieśniak?

- Ależ skąd... Ahbraimie! - Srebrzysty śmiech Madame Ahnzhelyki był nie mniej uroczy od niej samej. - Lecz przyznaję, że wychwyciłam lekki akcent... jakby z Desnairu?

- Ciepło, ciepło. - Teraz uśmiechał się łobuzersko, mrużąc oczy. - Tak naprawdę pochodzę z Silkiahu.

- Och, przepraszam! - Tym razem roześmiała się nieco głośniej. Wielu mieszkańców wielkiego księstwa Silkiahu obrażało się, gdy ktoś nie zgadł prawidłowo ich pochodzenia.

- Nie ma za co przepraszać - zapewnił. - A nawet gdyby było, z radością przyjąłbym przeprosiny od kogoś tak czarującego...

- Ahbraimie, tobie także nie brakuje uroku - zauważyła.

- Moi rodzice z pewnością tak myśleli.

- Czy wolno mi spytać, co cię sprowadza do Syjonu o tej porze roku? - Ahnzhelyka skrzywiła się nieznacznie. - Choć daleka jestem od kwestionowania osądu archaniołów, nieraz się zastanawiam, co też sobie myśleli, stawiając Świątynię w miejscu, gdzie panują tak srogie zimy!

- Faktycznie, podróż do Syjonu jest bardziej uciążliwa zimą - przyznał ze

wzruszeniem ramion. - Niestety służba nie drużba. Zresztą wszelkie trudy podróży wynagrodził mi widok, który zastałem po przyjeździe...

- Miło mi to słyszeć. Czy przedstawić cię którejs z moich młodych dam?

Ahnzhelyka nadal mówiła tonem uprzejmym i wdzięcznym, niemniej udało jej się przekazać jasno i wyraźnie, że jej dni w zawodzie już dawno odeszły w przeszłość. Zhevons zdawał się ubawiony implikacją tej wypowiedzi.

- Myślę, że to doskonały pomysł - przystał chętnie na rzuconą propozycję. - Mam wszakże nadzieję, że będziemy mogli jeszcze porozmawiać?

- O, z pewnością - odparła, ujmując go pod łokieć i prowadząc w kierunku siedzącej po drugiej stronie salonu niebieskookiej i złotowłosej dziewczyny.

- Ahbraimie, pozwól, że przedstawię ci Mahrlys - rzekła Ahnzhelyka. - Mahrlys, to jest Ahbraim. Właśnie przybył z Silkiahu.

- Naprawdę? - Mahrlys obdarzyła gościa olśniewającym uśmiechem. - Och, chyba wiem, czemu Madame Ahnzhelyka przedstawiła cię mnie.

- Ja również - odrzekł Ahbraim, usłyszawszy podobny do swojego, tyle że jeszcze silniejszy akcent. - Czyżbym miał przyjemność z krajanką?

- Owszem - odparła za dziewczynę Ahnzhelyka, przekazując jej zniewoloną dłoń mężczyzny. - Pomyślałam sobie, że to zmniejszy twoją nostalgię.

- Tak... - zamruczał Zhevons. - Jestem tego pewien...

\* \* \*

Gdy Ahbraim Zhevons pojawił się ponownie w salonie, przybytek świecił już pustkami. Towarzyszyła mu Mahrlys Fahrno, która uśmiechała się szerzej, niżby wypadało profesjonalistce. Tak przynajmniej, podchodząc do obojga, pomyślała sobie Madame Ahnzhelyka. Cieszyło ją to, gdyż lubiła Mahrlys i miała nadzieję, że chwile spędzone z Ahbraimem przyniosą jej przyjemność. Jako że jednak pierwsze wrażenie bywa często mylące, aż do tej chwili nie mogła mieć pewności, że podjęła właściwą decyzję.

- Opuszczasz nas już, Ahbraimie?

- Obawiam się, że muszę - odparł. - Z samego rana mam spotkanie w sprawie kontraktów na budowę statków. Nie powinienem niewyspany mierzyć się ze sługami wikariusza Rhobaira.

- Święte słowa!

- Tak właśnie sądziłem... - Uśmiechnął się. - Wszakże zanim wyjdę, czy mógłbym zamienić słówko na osobności...?

- Na osobności? - Brwi Madame Ahnzhelyki znów podjechały do góry.



- Mam prośbę... w imieniu przyjaciela.

- Rozumiem. - Wyraz jej twarzy pozostał niezmieniony, niemniej wewnątrz cała się spięła. Wychwyciła coś w głosie gościa... coś nieznacznego, nieomal nieistniejącego. A jednak wyraźnego. Była tego pewna. - Zapraszam zatem - dodała po niezauważalnym wahaniu, wskazując gestem jedną z mniejszych salek. - Może przejdziemy tam?

- Oczywiście - rzekł, podając jej ramię.

Przemierzyli pusty salon, gawędząc ze sobą, po czym Zhevons zamknął za obojgiem drzwi mniejszego pomieszczenia. Potem odwrócił się twarzą do Madame Ahnzhelyki.

- No więc, Ahbraimie... - odezwała się pierwsza. - O jaką to prośbę przyjaciela cho...?

- Adorai chciałaby, abyś dołączyła do niej w Charisie - rzekł, przerywając jej w pół słowa.

Pomimo dziesiątek lat praktyki i narzucanej sobie dyscypliny oczy Ahnzhelyki rozwarły się szeroko. Kobieta wpatrywała się w jego twarz z natężeniem przez moment, po czym nagle pobladła, zdawszy sobie sprawę, iż się zdradziła. Jedną dłonią zakryła szyję i objęła palcami wisior, który nosiła na jedwabnym sznureczku.

- Nie - powiedział łagodnie Zhevons. Nie odrywała od niego spojrzenia, więc potrząsnął dodatkowo głową. - Nie rób tego... Adorai byłaby bardzo nieszczęśliwa, gdybyś połknęła ten cyjanek... Nynian.

Zamarła, ledwie ważąc się oddychać, a stojący przed nią mężczyzna uśmiechnął się krzywo.

- Wiem, co myślisz, ale zastanów się. Gdyby Clyntahn i Rayno podejrzewali cię... gdyby wiedzieli dość, by znać imię, które nadali ci wuj z ciotką... nie musieliby zastawiać na ciebie sideł. Już dawno byłabyś ich więźniem.

Patrzyła na niego nieprzerwanie, lecz kolor zaczął wracać na jej twarz. Na razie jednak nie odrywała dłoni od wisiora.

- To zależy - rzekła po długiej chwili milczenia. Głos miała zadziwiająco spokojny, zważywszy na okoliczności. - Potrafię wyobrazić sobie parę scenariuszy, w których wciągnięcie mnie w pułapkę byłoby korzystniejsze niż zwykle aresztowanie i poddanie przesłuchaniu.

- Pewnie tak. - Pokiwał głową. - Ale myślę, że dobrze znasz Clyntahna... Rayno być może zdobyłby się na taką subtelność, ale Clyntahn...? - Potrząsnął głową. - Nigdy w życiu. Zwłaszcza gdyby podejrzewał, co przesyłasz Adorai do Tellesbergu. I gdyby wiedział, że to ty pomogłaś jej i chłopcom opuścić Ziemię Świątynne na czas.

Zwężiła oczy w szparki, gdy dotarło do niej, jak wiele o niej wie.

*Ma rację*, pomyślała, wzdrygając się wewnętrznie i bacząc, aby niczego nie dać po sobie poznać. *Gdyby ta świnia Clyntahn wiedział, ile szkód mu narobiłam, już od dawna wrzeszczałabym w jednym z jego lochów. I robiłabym to przez długi, długi czas...*

- Dobrze - powiedziała w końcu, choć nie oderwała dłoni od wisiorka. - Zakładam, że naprawdę przysłała cię Adorai. W takim razie - uśmiechnęła się krzywo - nie ma sensu udawać, że nie wiem, o czym przed chwilą mówiłeś. Ale dlaczego cię przysłała? I dlaczego właśnie teraz?

- Gwoli szczerości - rzekł, ostrożnie dobierając słowa - Adorai nie przysłała mnie tutaj. Nie wie nawet, że tu jestem.

- Ale przecież powiedziałaś... - Zacisnęła palce na wisiorku.

- Nie!

Wyciągnął rękę błyskawicznie, z szybkością, o jaką nigdy by nie podejrzewała żadnego człowieka, i chwycił ją za dłoń. Ahnzhelyka rozszerzyła oczy ze zdumienia. Dotyk, który czuła, był zadziwiająco łagodny, zarazem jednak przypominał uścisk imadła. Stawiła mu opór z całych sił, tak mocno, że aż się zachwiała, a on mimo to ani drgnął.

- Powiedziałem, że Adorai nie wie, że tu jestem, Ahnzhelyko. I że pragnie, abyś dołączyła do niej w Tellesbergu. Oba te twierdzenia są prawdziwe.

- Jak to?

Zaprzała próżnych wysiłków w celu oswobodzenia się z jego żelaznego uchwytu, równocześnie mrużąc oczy podejrzliwie.

- Jestem pewien, że nawet tu w Syjonie krążą opowieści o *seijinie* Merlinie i usługach, które oddał Charisowi. - Sądząc z tonu Zhevonsa, było to pytanie, więc Ahnzhelyka potaknęła. - Można powiedzieć, że pod wieloma względami przypominam *seijina*... a arcybiskup Maikel i ów Merlin dowiedzieli się o wydarzeniach rozgrywających się tutaj, w Syjonie. Na tej podstawie uznali, że roztropnie będzie mnie tu przysłać. Niestety nie mieli dość czasu, aby podzielić się swymi obawami z Adorai czy poprosić ją o radę. Dlatego wiem o tobie całkiem sporo, ale jednak nie wszystko.

- Też jesteś *seijinem*? - zapytała Ahnzhelyka sceptycznie.

Zhevons uśmiechnął się do niej.

- Mówię tylko, że podobnie jak Merlin dysponuję pewnymi cechami, które tradycja przypisuje *sejinom*. - Wzruszył ramionami. - Aczkolwiek to dość pojemne i wygodne pojęcie. - Urwał i przez moment przyglądał się jej z uwagą. - Czy jeśli puszcę twoją rękę, powstrzymasz się od zażycia trucizny przynajmniej na czas naszej rozmowy? - zapytał z cieniem uśmiechu na wargach.

- Tak - odparła. - Ale tylko wtedy, jeśli puścisz moją rękę... i odstąpisz parę kroków do tyłu.

Patrzyła mu prosto w oczy, a on najwyraźniej rozważał jej propozycję, bijąc się z myślami. Ostatecznie skinął głową.

- Dobrze. - Puścił jej rękę i zrobił trzy kroki w tył. Więcej nie mógł ze względu na skromne rozmiary komnaty. Czując za plecami ścianę, uśmiechnął się ponownie i z nieco sardonyczną miną skrzyżował ramiona na piersi, aby pokazać, że nie ma złych zamiarów. - Czy tyle wystarczy, pani? - spytał ją.

- Chyba musi wystarczyć - odpowiedziała, choć pamiętając, jak szybko potrafi się poruszać, podejrzewała, że wciąż jest wystarczająco blisko niej, aby jej przeszkodzić w zażyciu trucizny. - Ale zdaje się, że mówiłeś coś o Adorai i Charisie...?

\* \* \*

Ahnzhelyka Phonda usiadła na łóżku, opierając się na stosie miękkich poduszek, z tacą śniadaniową na kolanach, i zapatrzyła za okno pokryte szronem od zewnętrznej strony, od wewnątrz zaś parą ulatującą z kubka pełnego gorącej czekolady trzymanego w dwóch szczupłych dłoniach. Słońce dopiero wstawało, muskając wzory na szybie okiennej opalizującymi złoto-czerwonymi promieniami. Ahnzhelyka dumiała.

Często rozpoczynała dni w ten właśnie sposób, aczkolwiek rzadko budziła się aż tak wcześnie, co było zrozumiałe z uwagi na jej tryb życia wymagający pozostawania na nogach do późnych godzin nocnych. Jednakże - choć może nikt by się tego nie domyślił, patrząc na nią - niewiele spała minionej nocy. Jej myśli były też znacznie bardziej niespokojne niż wyraz twarzy.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, odwróciła głowę od okna.

- Słucham?

- Przyszła Mahrlys - zaanonsowała przez zamknięte drzwi Sandaria Ghatfryd, osobista pokojówka Madame Ahnzhelyki.

- Niech wejdzie... i ty też.

Drzwi się otworzyły i próg przestąpiła pokojówka, której po piętach deptała Mahrlys. Te dwie kobiety stanowiły swoje przeciwieństwo nie tylko dlatego, że Sandaria w tym momencie była jak zwykle schludnie odziana, natomiast Mahrlys miała na sobie haftowany szlafrok narzucony na koszulę nocną i rozpuszczone włosy w nieładzie. Sandaria była o dobre ćwierć wieku starsza od Mahrlys, miała myszowate włosy, brązowe oczy i niemalże śniadą cerę, którą odziedziczyła po swojej matce rodem z Harchongu. Była też co najmniej cztery cale niższa od złotowłosej mieszkanki Silk Town. A jednak w oczach obydwóch czaiła się

inteligencja i choć Sandaria nigdy nie zakwalifikowałyby się do grona dziewcząt Madame Ahnzhelyki z powodu niedostatków w urodzie, służyła swojej pani od prawie dwudziestu lat. A tak naprawdę znała ją dłużej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

- Tak, pani? - zapytała teraz Sandaria.

Mimo że Ahnzhelyka zatrudniała ochmistrza, który pełnił zarazem funkcję jej lokaja i majordomusa, wszyscy wiedzieli, że w rzeczywistości u Madame Ahnzhelyki rządzi Sandaria.

- Musimy omówić parę spraw, Sandario - odrzekła Ahnzhelyka. - Najpierw jednak chciałabym zapytać Mahrlys, jakie sprawił na niej wrażenie pan Zhevons.

Mahrlys zmarszczyła czoło. Nie ze zdziwienia, ponieważ troska Madame o podopieczne była szeroko znana. Znała osobiście większość klientów bądź otrzymała za nich poręczenia od kogoś, kto był jej znany. W razie gdy pojawiał się gość, o którym nic nie wiedziała, miała w zwyczaju wypytywać potem o niego tę dziewczynę, która spędziła z nim noc. Wiedziała więc, czego się spodziewać, podobnie jak wcześniej przez cały czas miała świadomość, że dwóch przysadzistych mężczyzn, których Madame Ahnzhelyka zatrudniła na stanowiskach ochroniarzy, było w pobliżu, gdyby potrzebowała ich pomocy.

- Spodobał mi się, Madame - odrzekła po chwili zastanowienia. - Był miły, dowcipny, hojny... prawdziwy dżentelmen. - Zmarszczyła uroczo nosek. - Nie miał żadnych nietypowych żądań i obszedł się ze mną dosyć delikatnie. Zdaje się, że to jeden z tych mężczyzn, których na równi interesuje doznawanie przyjemności, jak i jej dostarczanie. W czym zresztą - uśmiechnęła się jeszcze bardziej czarująco - jest całkiem niezły.

- Ale mieliście też nieco czasu, aby porozmawiać? - zapytała Madame Ahnzhelyka z uśmiechem.

Mahrlys zaśmiała się dźwięcznie.

- Owszem, troszeczkę - odpowiedziała.

- Pewnie chętnie usłyszałaś nowiny z ojczyzny...

- Tak naprawdę, Madame, nigdy specjalnie nie tęskniłam za domem. - Mahrlys się skrzywiła. - Rodzina mojej matki nie tolerowała mnie, gdy tata umarł, i to jeszcze przed tym, zanim ktokolwiek się zorientował, że jeśli nawet mam powołanie, to z pewnością nie do służby Kościołowi Matce! - Zaśmiała się ponownie, tym razem nieco ostrzej. - Aczkolwiek nie ukrywam, że dobrze było usłyszeć, co nowego w Silk Town. A Ahbraim znał wszystkie najświeższe plotki!

Mahrlys przewróciła błękitnymi oczętami, wywołując śmiech Ahnzhelyki.

- Zatem wnoszę, że nie będziesz niezadowolona, jeśli Ahbraim odwiedzi nas

ponownie?

- Och, to pewne, że nie, Madame!

- Świetnie. - Madame Ahnzhelyka skinęła głową. - To na razie wszystko, Mahrlys. Możesz odejść i zjeść śniadanie z resztą dziewcząt.

- Oczywiście, Madame. Dziękuję, Madame.

Dziewczyna dygnęła i wyszła, a Madame Ahnzhelyka przekrzywiła głowę, obdarzając spojrzeniem Sandarię stojącą przy znów zamkniętych drzwiach.

- Słucham, pani? - Ona jedna uporczywie zwracała się do Ahnzhelyki per „pani”, nie „Madame”.

- Nasz wczorajszy gość był bardziej interesujący, niż się to wydaje Mahrlys... - Widząc, że służąca unosi brew, Ahnzhelyka tylko prychnęła. - O ile mówi prawdę... a sędzę, że tak jest... wcale nie pochodzi z Silkiahu. A już na pewno nie przybywa tu, aby załatwiać interesy tego księstwa.

- Nie? - zapytała spokojnie Sandaria, gdy Ahnzhelyka zrobiła pauzę.

- Twierdzi... a ja mam powody, aby mu wierzyć... że działa w imieniu Charisjan.

- Czy wolno mi zapytać, dlaczego dajesz mu wiarę, pani?

- Dlatego, że sporo o mnie wie - odparła Ahnzhelyka. - Wie o informacjach, które przesyłam Adorai. Wie o Nynian. - Spojrzenia obu kobiet się skrzyżowały. - A co najbardziej niepokojące, wie też o niektórych naszych... gościach.

- Rozumiem. - Nawet jeśli Sandaria poczuła się tą informacją zaalarmowana, nie dała niczego po sobie poznać. Zaledwie zmarszczyła czoło w namyśle, na moment przymknęła powieki, po czym znów patrzyła na chlebobawczynię. - Zakładam, że wzięłaś pod uwagę możliwość, że nie jest z tobą do końca szczery?

- Oczywiście. - Ahnzhelyka wzruszyła ramionami. - Co więcej, poruszyłam tę kwestię w rozmowie z nim. A on mi na to odpowiedział, że gdyby był agentem Clyntahna, nie musiałby zastawiać na mnie sideł.

- Chyba że zależy im na tym, abyś doprowadziła ich do owych gości, pani - zauważyła przytomnie Sandaria.

- Tak... - westchnęła Madame Ahnzhelyka, przenosząc spojrzenie na pokrytą szronem szybę. - Myślę jednak, że miał rację, mówiąc, iż Clyntahn po prostu by mnie zaaresztował i poddał przesłuchaniu.

W jej głosie pobrzmiwało przerażenie. Wprawdzie nikt, kto nie był z nią blisko, nie wychwyciłby tego lekuchnego drżenia, niemniej Sandaria знаła swoją panią bardzo dobrze... i teraz nagle zmrużyła oczy, wypominając sobie w duchu, że nie dostrzegła wcześniej wisiorka

na szyi Ahnzhelyki. Jej pani na ogół nie sypiała z włożoną biżuterią, nie mówiąc już o...

- Z tym że... choć może mieć całkowitą rację w odniesieniu do Clyntahna - kontynuowała tymczasem Ahnzhelyka, nie zauważając reakcji służącej na widok wisiorka - nie da się wykluczyć, że pracuje dla Rayna. Przecież nie od dziś wiadomo, że Rayno potrafi ukrywać pewne sprawy przed Clyntahnem, dopóki sam ich nie prześledzi swoimi metodami.

- To prawda, pani. - Sandaria potaknęła z powagą. - Lecz czy uczyniłabyś coś takiego w obecnych warunkach?

- N... nie sędzę - rzekła powoli Madame Ahnzhelyka. Potrząsnęła głową, najpierw lekko, potem bardziej zdecydowanie. - Nie sędzę, aby Rayno... wiedząc, jak rozpaczliwie pragnie ich dopaść Clyntahn... zatajał przed nim jakiegokolwiek wiadomości. Między innymi dlatego właśnie dałam wiarę słowom pana Zhevonsa.

- Między innymi? - powtórzyła Sandaria, raz jeszcze unosząc brew.

- Tylko dlatego - poprawiła się Ahnzhelyka z uśmiechem, który zaraz spęłzył jej z twarzy na wspomnienie, z jaką szybkością działał Zhevons i jak silny miał uścisk.

- No dobrze... - pokiwała głową Sandaria, najwyraźniej całkowicie ufając w osąd swojej pani. - A co zamierzasz teraz zrobić?

- Martwię się o Krąg - rzekła Ahnzhelyka głucho. - Jeśli mam być szczerą, nie rozumiem, czemu Clyntahn zwleka tak długo, zakładając, że Samyl nie myli się co do jego planów. - Jej piękne oczy pociemniały, przyćmione przez przecucie naciągających smutnych wydarzeń. - Obawiam się jednak, że jego cierpliwość jest już na wyczerpaniu... w gruncie rzeczy jestem tego pewna. A gdy już wykona swój ruch, każdy, kogo pojmie, zostanie poddany przesłuchaniu.

Sandaria ponownie skinęła głową. Obie kobiety wiedziały, z jaką skutecznością Inkwizycja potrafi torturami wyciskać informacje ze swoich więźniów. A gdy więźniowie okazywali się osobistymi wrogami wielkiego inkwizytora, jego podwładni stawali się jeszcze okrutniejsi niż zwykle.

- Wiedzą o nas tylko Samyl i Hauwerd - ciągnęła Ahnzhelyka. - W każdym razie taką mam nadzieję. Tym dwóm ufam całkowicie i wierzę w ich męstwo. Niemniej jeśli zostaną pojmami, prędzej czy później wyjawią mój... nasz udział, i męstwo czy jego brak nie będą tu miały nic do rzeczy. Poza tym nie możemy mieć pewności, że któryś z naszych gości nie skontaktował się z małżonkiem, co poszerza krąg osób mogących nas wydać albo przynajmniej doprowadzić Inkwizycję do swojej rodziny. To z kolei...

Urwała, wzruszając ramionami, a służąca milcząco potaknęła.

- W zaistniałej sytuacji, Sandario - podjęła Ahnzhelyka po chwili - chyba musimy

uznać, że ten mężczyzna jest tym, za kogo się podaje. A skoro tak, nie mamy innego wyjścia, jak posłuchać jego ostrzeżenia, że nadeszła pora, by przeszmyglować naszych gości poza Syjon. Natychmiast.

- Tak, pani. - Sandaria skłoniła głowę w niezwykle oficjalnym geście, niczym żołnierz przyjmujący rozkazy od dowódcy.

- Obawiam się, że będziesz musiała pójść dziś po południu na zakupy - zakończyła Ahnzhelyka ze słabym uśmiechem. - Postaraj się znaleźć dla mnie trochę niebieskiego stalostu.

- Oczywiście, pani.

## **.XV.**

### **ŚWIĄTYNIA**

#### **ORAZ**

#### **SKRZYŻOWANIE ULIC HAHRIMANA I TARGOWEJ**

#### **SYJON**

#### **ZIEMIE ŚWIĄTYNNE**

- Wątpię, abyś miał dla mnie jakieś dobre wiadomości, Wyllymie?

Zhaspyr Clyntahn, biskup i generał zakonu Schuelera oraz wielki inkwizytor Kościoła Boga Oczekiwanego, obdarzył arcybiskupa Chiang-wu zimnym, niezadowolonym spojrzeniem. Wyraz twarzy miał nie mniej ponury, toteż większość członków zakonu Schuelera już dawno poczułaby na dnie żołądka ucisk świadczący o rodzącej się panice.

Wszelako Wyllym Rayno, nawet jeśli czuł coś na kształt paniki, w żaden sposób tego nie okazywał.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że nie przynoszę dobrych wiadomości na interesującym cię froncie, wasza dostojność - odparł w miarę spokojnym tonem. - Ostatnie doniesienia z Corisandu sugerują, że sprawy zaczynają tam przybierać obrót korzystny dla Kościoła Matki, jednakże to dopiero bardzo wstępne oceny i niestety, jak wszystko, co dociera do nas z tego księstwa, również bardzo nieaktualne. Budowa okrętów... przynajmniej tam, gdzie wody nie są skute lodem... posuwa się w przyzwoitym tempie, chociaż zdarzają się opóźnienia i kłopoty. Hrabia Thirsku odnosi sukcesy na polu szkolenia, a Tarot nareszcie przystąpił do naszego programu rozbudowy floty. No i oczywiście są jeszcze uwagi

Seablanketa na temat przydatności hrabiego Corisu... - Uśmiechnął się blado. - Nic z tego jednak nie dotyczy sprawy, o którą raczyłeś zapytać, jak się domyślam.

- Nie, Wyllymie. Nie dotyczy. - Mogło się zdawać, że w głębi oczu Clyntahna czai się cień szacunku dla opanowania Rayna. Ale też nie da się wykluczyć, że było to tylko złudne wrażenie. - Może więc przejdiesz wreszcie do tego, co mnie najbardziej interesuje...?

- Skoro tak stawiasz sprawę, wasza dostojność... - Rayno skłonił głowę. - W dalszym ciągu nie mamy żadnych danych na temat obecnego miejsca pobytu rodzin zdrajców. Zupełnie jakby zniknęły z powierzchni Schronienia.

- Ach tak. - Clyntahn nie zdawał się zdziwiony tym, co usłyszał. Odchylił się na oparcie fotela, spoglądając nad biurkiem na stojącego adiutanta zakonu Schuelera, i skrzyżował powoli palce dłoni złożonych na wydatnym brzuchu. - Zapewne domyśliłeś się również, że taki stan rzeczy napawa mnie niezadowolaniem? - dodał z zimnym uśmiechem.

- Oczywiście, wasza dostojność. Pragnę zauważyć, że jestem nie mniej niezadowolony z tego powodu niż ty. Ale chyba nie wolałbyś, abym zapewniał cię o czynionych postępach, podczas gdy w istocie rzeczy stoimy w miejscu?

Oczy Clyntahna błysnęły, lecz zaraz wielki inkwizytor zaczerpnął głęboko tchu, poruszając skrzydełkami nosa.

- Nie, nie wolałbym - przyznał zgodnie z prawdą.

Jednym z powodów, dla których tak wysoko cenił Wyllyma, było to, że ów nigdy go nie okłamywał, aby chronić własny tyłek czy ukrywać niepowodzenia. Clyntahn był świadom, że przy paru okazjach Rayno „zmanipulował” przekazywane mu informacje, nie podając ich w niekorzystnym dla siebie momencie, tylko wyczekując sposobniejszej okazji. Niemniej coś takiego nie mogło się równać z kłamstwem rzuconym w żywe oczy. A z tym ostatnim miał do czynienia aż nazbyt często, gdyż głupców nie brakowało także w jego otoczeniu. Ludzie ci zdawali się nie rozumieć, że prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw, a kiedy wielki inkwizytor się o tym dowie, poniosą surowe konsekwencje.

Ale miał i inne powody, aby darzyć Wyllyma szacunkiem. Choćby ten, że arcybiskup udowodnił swoją lojalność. Co więcej, Clyntahn mógł mieć pewność, że Rayno nigdy nie zacznie aspirować do fotela wielkiego inkwizytora. Czyhało na niego zbyt wielu wrogów, których nie miał jak pokonać. Obecna pozycja była więc szczytem jego marzeń... a stałaby się zagrożona z chwilą upadku Clyntahna bądź nawet gdyby wielki inkwizytor wycofał dane mu poparcie. Zatem Wyllym Rayno miał wszelkie powody, aby służyć wiernie swojemu przełożonemu.

Poza tym adiutant świetnie sobie radził na swoim stanowisku. Owszem, rodzina



Samyla Wylsynna wymknęła mu się na progu Świątyni, by tak rzec, ale tak naprawdę nie była to jego wina. Kazał śledzić kobietę i jej pomiot aż trzem najbardziej zaufanym inkwizytorom, którzy - tak się składa - zniknęli tego samego wieczoru co obserwowane przez nich osoby. Clyntahn doszedł więc do wniosku, że co najmniej jeden z nich musiał być zdrajcą. Jakkolwiek nieprawdopodobnie to brzmiało, stanowiło jedyne logiczne wyjaśnienie ucieczki Lysbet Wylsynn. Mimo to Clyntahn i tak przejrzał osobiście akta wszystkich trzech zaginionych inkwizytorów. Jeśli któryś z nich faktycznie zdradził, żadna wzmianka w dokumentach tego nie sygnalizowała - a zatem Rayno również nie mógł przewidzieć takiego rozwoju sytuacji. Do tego dochodziło ostatnie niepowodzenie adiutanta, który nie potrafił ustalić miejsca pobytu rodzin trzech wikariuszy i dwóch arcybiskupów, którym udało się dotrzeć do Syjonu - i które musiały znajdować się tuż pod ich nosem! Było to zgoła niezwykle. Gwoli ścisłości wielki inkwizytor był w stanie przypomnieć sobie tylko jedną inną sytuację, w której Wyllym Rayno poniósł równie spektakularną klęskę na całej linii.

- Zatem nie ma żadnych postępów?

- Żadnych, wasza dostojność, co mówię z wielkim smutkiem. - Rayno zwiesił głowę. - Od chwili zniknięcia nie doszło do próby kontaktu między nimi, a nasi agenci rozsiani po całym mieście nie natrafili na żaden ślad. - Milczał przez chwilę, po czym przechyliwszy lekko głowę, dodał: - Może powinniśmy poprosić Stantyna, żeby o nich popytał.

- Nie! - sprzeciwił się momentalnie Clyntahn. - Równie dobrze mogliśmy to zrobić sami! A właśnie... Trzeba zakładać, że skoro przewidzieli ten nasz ruch, mogą nam się również wymknąć.

Rayno pokiwał głową, choć nie był pewien, czy zgadza się z opinią przełożonego w tej materii. Nyklas Stantyn, arcybiskup Hankey, był kretem umieszczonym przez Clyntahna w grupie wikariuszy reformatorów, którzy ochrzcili swoją komórkę mianem Kręgu. Gwoli ścisłości, to właśnie Stantyn poinformował wielkiego inkwizytora o istnieniu takiego ciała, jak Krąg. Rayno był przekonany, że pozostali członkowie Kręgu - a przynajmniej jego przywódcy - zdają sobie sprawę z faktu, że zostali zdradzeni, aczkolwiek najwyraźniej nie wiedzą, kto jest zdrajcą. On sam był gotów poświęcić Stantyna. Znał paru członków Kręgu - pierwszy z brzegu przychodził mu na myśl Hauwerd Wylsynn - którzy z radością poderznęliby zdrajcy gardło nawet za cenę ujawnienia się. Taki czyn w żadnym razie by ich nie uratował, ale przynajmniej mieliby z tego odrobinę satysfakcji. W dodatku posłużyłby za dowód ich winy i przestrozę dla reszty wikariatu. Fakt, że byłoby to trochę niesprawiedliwe posunięcie w stosunku do Stantyna, lecz przecież jego akcje i tak spadną z chwilą rozpracowania Kręgu do końca. Zdaniem Wyllyma znacznie bardziej by się przysłużył jako

męczennik na tym etapie, swoją śmiercią przypieczętowując zdradę Kręgu.

A nawet jeśli nie, i tak przebolełby stratę Stantyna.

O ile Clyntahn zwlekał z wydaniem rozkazu aresztowania renegatów, o tyle Rayno był pewien, że wszyscy oni wiedzą, co ich czeka. Co najmniej jeden z wikariuszy - członek Kręgu od ponad dziesięciu lat, zdaniem Stantyna - popełnił samobójstwo przed miesiącem. Dwóch zginęło w wypadkach, lecz Rayno doskonale wiedział, że pozory często mylą.

*Wszyscy trzech odebrali sobie życie, pomyślał po raz kolejny. Uznali, że taki koniec będzie łatwiejszy niż to, co przewiduje dla heretyków Księga Schuelera. Być może mieli nadzieję, że w ten sposób ochronią przed Inkwizycją swoje rodziny.*

Na razie nie potrafił powiedzieć, czy ta nadzieja była uzasadniona czy też nie. To zależało od decyzji Clyntahna, która pozostawała wielką niewiadomą. Wszystko wskazywało na to, że wielki inkwizytor zechce dać nauczkę rodzinom samobójców i uczynić z nich przykład dla reszty wikariuszy, ale nie było to jeszcze przesądzone. Gdyby się bowiem powstrzymał, mogłoby to stanowić zachętę dla pozostałych zdrajców, aby usunęli się z drogi sami, nie czekając, aż on ich usunie. Wyllym był bardzo ciekaw, jakie rozwiązanie ostatecznie wybierze wielki wikariusz.

*Tymczasem, podjął myśl Rayno, Clyntahn rozkoszuje się świadomością, że wszyscy oni wiedzą, co ich czeka. Nawet gdyby chcieli, nie uciekliby daleko w środku zimy, a tak muszą go widywać codziennie i rozpamiętywać czekający ich los. Właściwie wszyscy to robimy, czy się do tego przyznajemy czy nie.*

Rayno uważał, że to jest prawdziwa przyczyna tego, iż Clyntahn zwleka z decyzją. Oczywiście wielki inkwizytor nie przyznał się do niczego podobnego w rozmowie, niemniej Rayno nie na darmo pracował dla niego od tylu lat.

Tak więc Clyntahn celowo podsycił strach rozszerzający się w szeregach wikariatu, aczkolwiek nie z sadyzmu ani nawet z chęci ukarania tych, którzy śmieli rzucić wyzwanie Grupie Czworoga. Bynajmniej. Wykorzystywał owo judzące przerażenie, aby wyostrzyć konflikty, które nawet w normalnych okolicznościach nawiedzały Świątynię zimową porą. Chciał w ten sposób wymusić decyzje, sprawić, aby nawet ci, którzy zazwyczaj stali z boku, nie angażując się w politykę wewnętrzną, opowiedzieli się po jednej ze stron. Zdeklarowali się. Jego życzeniem było, aby stało się to na jego warunkach. To, że sam kontrolował Inkwizycję, a Allayn Magwair dowodził strażami, dawało Grupie Czworoga bezdyskusyjną przewagę w Syjonie i w Świątyni. Tymczasem z powodu zimy utknęła tu większość hierarchów Kościoła Matki. Nie było równowagi dla potęgi Clyntahna, co równało się temu, że mógł zadać miażdżący cios każdemu, kto by okazał się wrogiem Grupy Czworoga.

W obliczu takiego zagrożenia nawet ci, którzy żywili pewne wątpliwości co do sposobu, w jaki Grupa Czworka radzi sobie z kryzysem, zaczęli się zastanawiać, jak by tu wykazać się prawomyślnością. Albo chociaż wzbudzić litość niczym pies liżący rękę pana z obawy przed uderzeniem i tak kupujący sobie odrobinę wytchnienia. Wszystko, byle przeżyć. Tu i teraz. Albowiem największy głupiec musiał sobie zdawać sprawę, że jeśli nie wyjdzie cało z tej opresji, może się już zacząć żegnać z tym światem.

Wykorzystywanie wrogów i rywali do własnych politycznych celów sprawiało Clyntahnowi przyjemność. To nie ulegało wątpliwości. Rayno widział to wyraźnie i gwoli prawdy uważał, że to okrucieństwo ocierające się o sadyzm jest poważną wadą wielkiego inkwizytora. Lecz już przed wieloma laty zrozumiał, że każdy człowiek ma jakieś wady i że im potężniejsza osoba, tym poważniejsze są rysy na jej charakterze. Zresztą fakt, że Clyntahn kazał swoim wrogom cierpieć, w żadnym razie nie zmniejszał skuteczności jego strategii. A poza tym żadna inna strategia nie była możliwa, ponieważ nie mogło być mowy o ponownym nawiązaniu przyjaznych stosunków między Samylem Wylsynnem i Zhaspyrem Clyntahnem. Coś takiego było po prostu niemożliwe - jeśli nawet z żadnego innego powodu, to dlatego, że zdaniem Clyntahna jego przeciwnicy poczytaliby mu to za słabość. Wzięliby to za ugodę wynikającą z obawy, że jego żelazna pięść nie jest dość mocarna. Tym bardziej więc kluczowe było dla niego okazywanie, że nie żywi podobnych rozterek i że nie dopuszcza ich u pozostałych wikariuszy.

W tym celu musiał użyć siły. Musiał zmiażdżyć swoich wrogów, otwarcie i kompletnie, i to też zamierzał uczynić. Mógł odwlekać ten moment, mógł przeciągać straszliwe oczekiwanie, aby nakłonić innych do uległości, lecz nigdy nie miał wątpliwości, jak to wszystko się skończy. Nie mógł ich mieć, bo zostałyby odebrane jako wahanie lub przejaw łagodności.

Tak to pojmował Rayno i jego zdaniem Clyntahn osiągnął wszystkie założone cele. Uważał jednak, że dalsza zwłoka była nie tylko zbyteczna, lecz wręcz niewskazana, jako że wywierała zły wpływ na tych wikariuszy, którzy mieli szanse wyjść cało ze zbliżającej się czystki. Co z kolei oznaczało, iż przedłużające się wyczekiwanie Clyntahna wynika z pobudek osobistych. Zdobywszy wszystkie trofea w kategoriach politycznych, rozkoszował się czysto zwierzęcym uczuciem, właściwym dla drapieżców, przyglądając się jak one skazanym w nierównej walce ofiarom wijącym się z cierpienia niczym robak na haczyku.

*Jeśli ktokolwiek oprócz mnie jest tego świadomy, powinien mimo strachu zrozumieć, że nie należy w przyszłości nadeptywać Clyntahnowi na odciski. Tak więc, nawet działając pozornie na własną szkodę, Clyntahn piecze dwie wyverny na jednym ogniu.*

Jedyną złą stroną przeciągającego się oczekiwania w chwili obecnej było ryzyko, że części rodzin uda się mimo wszystko uciec, aczkolwiek ani Clyntahn, ani Rayno nie brali serio możliwości, że w ich ślady pójdzie ktoś jeszcze. Wprawdzie Rayno nadal nie miał pojęcia, jakim cudem krewnym ich wrogów - szczególnie członkom rodziny Wylsynna - udało się rozplątać jak we mgle, podejrzewał jednak pomoc osoby z zewnątrz. Gracza, którego jeszcze nie zidentyfikowali. Kogoś, kogo Stantyn nie znał i nie mógł zdradzić. W zniknięciu, o którym mowa, Rayno dostrzegł rękę mistrza, bardzo podobną do tej, która przyczyniła się do zniknięcia najbliższych arcybiskupa Erayka Dynnysa. Tamtej sprawy także nadal nie rozwiązał i tym większy żywił szacunek dla człowieka, któremu udało się wyciągnąć parę osób z Ziem Świątynnych i przetransportować ich do Charisu niepostrzeżenie, nie pozostawiając nawet jednego śladu. Adiutant z radością wydałby nakaz egzekucji tego śmiałka, kimkolwiek on był, nic wszakże nie mogło zmniejszyć respektu dla zuchwałego i niezwykle sprawnego przeciwnika.

Bez względu jednak na jego sprawność, nikt już nie miał się im wymknąć. Wszyscy członkowie rodzin zdrajców byli pod ciągłą obserwacją, a Rayno osobiście dobierał inkwizytorów odpowiedzialnych za to zadanie. Oczywiście tak samo postąpił w wypadku rodziny Wylsynna, niemniej teraz - nauczony doświadczeniem - przypisał do każdego nazwiska po dwie grupy agentów, a szczerze wątpił, aby otaczało ich aż tylu zdrajców (zakładając, że o to chodziło w przypadku Wylsynna). Był więc całkowicie pewien, że nikt z obserwowanych nie zmieni miejsca pobytu bez jego wiedzy. Właściwie pragnął, aby ktoś tego spróbował. Gdyby tak się stało, zaistniałaby szansa kontaktu z uciekinierami, co doprowadziłoby go do tamtych jak po sznurku - a sądził, że to jego jedyna nadzieja, jaką może mieć w tej sytuacji.

Co wcale nie znaczyło, że zaniechał polowania. Tymczasem jednak...

- Czy zastanawiałeś się nad tym, kiedy dokonać aresztowań, wasza dostojność? - zapytał po chwili milczenia.

- Myślę, że możemy dać im jeszcze pięćdziesiąt czy coś koło tego, jak sądzisz, Wyllymie? - Pytanie adiutanta wyraźnie przywróciło dobry humor wielkiemu inkwizytorowi, który nawet uśmiechnął się jowialnie. - Po cóż skracać czas, jaki spędzają z własnymi bliskimi, nieprawdaż?

- Zapewne masz rację, wasza dostojność. - Rayno odwzajemnił uśmiech, aczkolwiek jego grymasu nie można było nazwać jowialnym ani nawet serdecznym.

W przeciwieństwie do Clyntahna nie czerpał większej przyjemności z perspektywy zniszczenia wrogów wielkiego inkwizytora. Ani też niespecjalnie się kwapił do uczestnictwa

w przesłuchaniu ich rodzin. Przyznawał, że jest to najskuteczniejsza metoda pozyskiwania zeznań znana członkom zakonu Schuelera, i rozumiał, że część frustracji Clyntahna wynika z tego, że stracił szansę na zastosowanie jej wobec członków zaginionych rodzin. Osobiście jednak Rayno byłby szczęśliwszy, gdyby mógł się trzymać z daleka od tego wszystkiego. Szczególnie że wcale nie było to potrzebne. Dysponowali wystarczającym materiałem dowodowym i praktycznie mogli być pewni tego, że oskarżeni w końcu przyznają się do winy (oskarżeni zawsze przyznawali się do winy, czyż nie?). No i pomijając paru młodszych biskupów i arcybiskupów, którym udało się opuścić miasto przed nastaniem zimy, mogli położyć łapy na winnych, kiedy tylko zapragną.

A ci, którzy wyjechali z Syjonu, i tak tylko przesunęli w czasie nieuniknione. Wszyscy byli na celowniku starannie wybranych inkwizytorów, czekających tylko na wiadomość semaforową, aby ich ująć.

*Przypuszczam, że nie da się wykluczyć tego, że jednemu czy dwóm uda się zbiec, aczkolwiek na krótko. Zdecydowanie nie większej liczbie niż jednemu czy dwóm... i na pewno tylko na krótko.*

\* \* \*

Nikt, kto znał panią Wylsynn, nie rozpoznałby jej pod postacią „Chantahal Blahndai” odzianej w ciepłe, lecz całkiem zwyczajne poncho skrojone na modłę obowiązującą w Harchongu i narzucone na równie zwyczajny wełniany płaszcz z kapturem. A w każdym razie taką nadzieję miała Lysbet, chowająca pod osłoną luźnego poncha dłonie skryte w mitenkach pod pachy, wtulająca twarz głębiej w gruby kołnierz i ogólnie kuląca się przed wiatrem i chłodem.

Zawsze nienawidziła Syjonu zimą. Posiadłości jej męża leżały w południowej części Ziem Świątynnych, tuż przy granicy z księstwem Tanshar. Rodzina Lysbet, choć była spokrewniona z kilkoma znacznymi dynastiami Kościoła Matki, wywodziła się właśnie stamtąd. A choć zimy w Tansharze bywały srogie - szczególnie na wybrzeżu zatoki Tanshar - nigdy nie było tam tak przeraźliwie zimno jak w Syjonie. Jej mążonek przyszedł na świat zaledwie pięć mil w głąb Ziem Świątynnych od granicy z jej rodzinnym księstwem i w pełni podzielał jej niechęć do tutejszych mrozów. Tylko z rzadka nalegał, aby towarzyszyła mu podczas zimowych podróży.

Tego roku nie zamierzał jej prosić, aby dołączyła do niego, i to z powodów znacznie poważniejszych aniżeli jej niechęć do zimna i śniegu. Właściwie przesłał jej nawet (dyskretną) wiadomość z radą, że powinna zmienić zaplanowaną trasę podróży. Niestety krótko przed otrzymaniem tej wiadomości sama zdała sobie sprawę, że ona i dzieci są

śledzeni.

Przeciętny człowiek niczego by nie zauważył, jednakże Lysbet Wylsynn w żadnym razie nie należała do osób przeciętnych. Zaliczała się do bystrych, spostrzegawczych kobiet i już przyjmując oświadczyzny Samyla Wylsynna, rozumiała, że wżenie się w tę konkretną dynastię wciągnie ją w bagno polityki Świątyni. Perspektywa ta ją odrzucała, lecz Samyl - pomimo dzielącej ich różnicy wieku - z pewnością nie działał na nią w ten sam sposób, co przypomniawszy sobie teraz z gorzko-słodkim uśmiechem na wargach, a poza tym oboje podobnie reagowali na wypaczenie idei Kościoła Boga Oczekiwanego przez Kościół Matkę.

Nigdy jednak nie sądziła, że dojdzie aż do tego. Cóż, chyba nikt nie jest przygotowany na koniec znanego mu świata, nawet jeśli twierdzi, że jest. Niemniej - przynajmniej teoretycznie - zawsze spodziewała się katastrofy, a w minionych kilku latach - zwłaszcza od pamiętnego ataku Grupy Czworka na Charis - wręcz czyniła pewne kroki mające ją uchronić przed najgorszym. W przeciwieństwie do reszty członków Samyelowego Kręgu w łonie wikariatu Lysbet wiedziała, kto jest prawdziwą podporą reformatorów. Po tym jak Adorai Dynnys została zmuszona do opuszczenia Charisu po aresztowaniu jej męża, sędowała swoje obowiązki właśnie na Lysbet. Musiała przy tym przekazać jej określone informacje, dotąd wiadome tylko jej samej i Samylowi, co z kolei znaczyło, że Lysbet poznała prawdziwe znaczenie Ahnzhelyki Phondy dla Kręgu... o czym nikt więcej nie miał pojęcia ani nawet nie żywił żadnych przeczuć czy podejrzeń względem osoby Madame.

O ile Lysbet miała dokładne informacje, obecnie tylko ona, Samyl i brat Samyla - Hauwerd - wiedzieli o powiązaniach Ahnzhelyki z Kręgiem. Dlatego kiedy tylko się zorientowała, że ktoś śledzi ją i dzieci oraz że każda próba ucieczki zostanie zduszona w zarodku, powzięła własny plan. Zamiast trzymać się z dala od Syjonu, napisała do Samyla - otwarcie, korzystając z przywilejów żony hierarchy Kościoła Matki umożliwiających jej korzystanie z systemu semaforów - że jednak dołączy doń na zimę. I jęła przygotowywać się do podróży.

Następnie poczyniła inne (i znacznie dyskretniejsze) plany przy współudziale Ahnzhelyki. Nie spodziewała się, że w ich trakcie zginą wszyscy trzej śledzący ją inkwizytorzy, lecz nie uroniła nawet jednej pełnej hipokryzji łzy z powodu ich śmierci. Niestety początkowy plan Ahnzhelyki, aby wydostać ich z Ziemi Świątynnych, okazał się niemożliwy do zrealizowania z powodu sekretnych, lecz intensywnych poszukiwań, jakie wdrożył ze swej strony Wyllym Rayno. Jawne polowanie na „porywaczy” Adorai i jej dzieci byłoby wystarczającym utrudnieniem w każdych okolicznościach, jednakże to jego skryte działania wzbudziły ostrożność Madame.

*Jak również skłoniły ją do próby wydostania z miasta tylu rodzin hierarchów, ile się dało, przypominała sobie teraz w duchu Lysbet.*

Ona, jak każda matka, myślała wyłącznie o swoich dzieciach - o tym, aby zapewnić im bezpieczeństwo choćby kosztem dzieci kogoś innego - i gorzko żałowała tej ostatniej decyzji Ahnzhelyki. Jednakże matka egoistka przegrała w wewnętrznym starciu z resztą jej osobowości. Tak więc ogólnie popierała decyzję Madame w całej rozciągłości. Pomimo obaw o własną rodzinę wiedziała, że pozostawienie bez pomocy tych, którym mogły pomóc, byłoby zdradą wszelkich ideałów głoszonych przez Krąg.

A skoro jej mąż, szwagier i większość drogich przyjaciół z wikariatu mieli zginąć za ideały Kręgu, Lysbet Wylsynn - podobnie jak Ahnzhelyka Phonda - nie mogła zdradzić ich sprawy.

Co bynajmniej nie uczyniło lżejszym długotrwałego ukrywania się tutaj, w Syjonie, tej jaskini bestii. Dobra wiadomość była taka, że Chantahal Blahndai ani trochę nie przypominała Lysbet Wylsynn. Była starsza, miała włosy innego koloru, duży pieprzyk na brodzie i ważyła co najmniej trzydzieści funtów więcej niż szczupła, młodzieńczo wyglądająca pani Wylsynnowa. A poza tym, o ile pani Wylsynnowa podróżowała z dwoma synami i córką, Chantahal miała za towarzysza podróży tylko jedynaka.

Zadziwiające, jak biegła w używaniu kosmetyków i farby do włosów była osoba, która poświęciła życie „powołaniu” Ahnzhelyki. Nie mniej cudowne było to, że zimowy strój umożliwił pogrubienie figury bez zwracania niczyjej uwagi. Co więcej, większość matek może miałaby obiekcje przed pozostawieniem swych małych dzieci w „domu o złej sławie”, jakkolwiek eleganckie robiłby wrażenie, Lysbet ani trochę nie martwiła o dwunastoletnią Zhanat i ośmioletniego Archbahlda. Nie potrafiłaby wskazać bezpieczniejszej kryjówki dla tych dwojga, szczególnie że od dawna martwiła się przypadkowym zdradzeniem ich prawdziwej tożsamości przez wciąż naiwnego i prawdomównego Archbahlda.

Jej starszy syn, Tohmys, liczył obecnie czternaście lat i był poważnym chłopcem, dzielającym ojcowski gniew (oraz smutek) z powodu zepsucia Kościoła Matki. Był nie tylko synem swego ojca, lecz również nieodrodnym bratankiem swego stryja. Zamierzał pójść w ślady Hauwerda i wstąpić do straży Świątyni, tak że pomimo młodego wieku posługiwał się sprawnie mieczem i celnie strzelał, czy to z muszkietu, kuszy czy ze zwykłego łuku. Był niesłychanie opiekuńczy w stosunku do matki i najzwyczajniej w świecie odmówił ukrycia się razem z młodszym rodzeństwem.

Po prawdzie, Lysbet wcale nie nalegała. Częściowo dlatego, że znała swego męża i syna i wiedziała, kiedy walka z nimi jest z góry przegrana. Głównie jednak dlatego, że choć

ufała Ahnzhelyce i jej zdolnościom, nie chciała stawiać wszystkiego na jedną kartę. Z tego samego powodu Ahnzhelyka poczyniła całkiem odmienne plany względem najstarszej córki Lysbet (a praktycznie jej pasierbicy, aczkolwiek Eras nie poznała nawet swej rodzonej matki), jej męża i syna, których także należało zabrać spod nosa Inkwizycji. Lysbet podejrzewała, że było to możliwe dzięki jej decyzji, by wkroczyć prosto w otwartą paszczę bestii. Inkwizycja tak czujnie obserwowała każdy jej krok, że spuściła z oka sir Fraihmana Zhardeau z rodziną...

Radowała się w głębi ducha, gdy dosięgła ją wiadomość od Ahnzhelyki, że Fraihman, Eras i mały Samyl zdołali uciec... przynajmniej na razie. Teraz jednak, przemierzając miasto pod wypolerowanym przez wiatr błękitnym zimowym niebem i brnąc przez zasy powodowane przez nocne zamiecie oraz miejscami pokonując breję, w jaką zamieniły śnieg nogi wierzchowców i ludzi ją poprzedzających, znów poczuła znajome brzemię rozpacz. Nie bała się o siebie ani nawet o swoje dzieci i wnuka - aczkolwiek strach o nich był dotkliwszy i bardziej dojmujący niż ten, który mogłaby czuć z powodu samej siebie. Z drugiej strony nie chciała zgrzeszyć nieostrożnością, myśląc, że gdyby Inkwizycja miała któreś z nich dopaść, już by to zrobiła. W każdym razie najwięcej myślała o mężu. Mężu, który tyle poświęcił, by osiągnąć zamierzony cel. A także o przyjaciółach i zaufanych współpracownikach, którzy go wspierali i pomagali mu... i którzy mieli razem z nim umrzeć, gdy nadejdzie pora.

*Przecież nie skłonił ich do wspólnego działania podstępem*, przekonywała się w duchu, obejmując ciaśniej pod okryciem, gdy ostry wiatr kąsał nawet zakryte partie jej ciała, hulając między ścianami budynków po obu stronach ulicy. Wszyscy byli równie zagniewani i zdeterminowani jak on i wszyscy się domyślali, jak skończą. Lecz co innego domyślać się, a co innego *wiedzieć, że ktoś taki jak ten nieludzki chciwiec Clyntahn jednak wygra...*

Lysbet nie mogła wiedzieć, że jej myśli, jej oburzenie na to, iż dobry Bóg pozwala na coś podobnego, stanowiły odbicie przekonań jej szwagra. Gdyby wszakże to wiedziała, nie czułaby się zdziwiona - znała Hauwerda tyle samo co Samyla, a poza tym pod pewnymi względami więcej ją z nim łączyło niż z mężem. Być może właśnie dlatego od samego początku bardziej ją ciągnęło do Samyla niż do Hauwerda. Tego pierwszego darzyła miłością żony i kochanki, lecz drugiego również lubiła, i to bardziej niż rodzonych braci (aczkolwiek nigdy się do tego nie przyznała). Dlatego też tak ją cieszyło, że Tohmys odziedziczył wiele cech po stryju; Lysbet nie potrafiła sobie wyobrazić lepszego wzoru dla chłopca.

Dobrnęła do skrzyżowania ulicy Hahrimana i Targowej - co oznaczało, że znalazła się w pół drogi między tanim, spartańsko urządzonej mieszkaniem w kamienicy a trzecim co do wielkości targiem Syjonu - i zerknęła na drugą stronę ulicy, na witrynę modystki.



Nawet nie zwolniła kroku, skręcając za róg, lecz oczy jej się najpierw rozszerzyły, a potem zwęziły, gdy mijała wystawę. Za szybą wyeksponowano belę niebieskiego materiału - zdaje się, stalostu. Natomiast za kratą strzegącą bramy sklepu, przy której odbierano dostawy, leżało parę brył węgla. Spadły z wozu bądź ktoś umieścił je tam celowo, tuż poza zasięgiem rąk zmarzniętych biedaków, gdzie teraz błyszczały czernią pośród przybrudzonego śniegu.

Wystarczył rzut oka, by Lysbet zauważyła i niebieski materiał, i bryły węgla. Natychmiast pochyliła bardziej głowę, ruszając dalej pod wiatr.

Postanowiła udać się na targ. Chantahal zawsze robiła zakupy w ten dzień pięciodnia i dziś także zamierzała się targować o nieludzko drogie ziemniaki i przemarznąłą marchew. Może nawet skusi się na parę cebul, jeśli tylko przekupki nie będą wołać za nie zbyt wysokiej ceny, po czym jak zwykle wróci do swego mieszkania.

Wiedziała, że cokolwiek będzie robić, nie może dać po sobie poznać, że dostrzegła niebieski materiał i bryły węgla.

Że zrozumiała ostrzeżenie Ahnzhelyki, każące jej być gotową do podróży w każdej chwili.

## **.XVI.**

**U MADAME AHNZHELYKI**

**ORAZ**

**ŚWIĄTYNIA SYJON**

**ZIEMIE ŚWIĄTYNNE**

Ahbraim Zhevons wpatrywał się w swoje odbicie z piwnymi oczami i ciemnymi włosami. Dostrzegał słabe - bardzo słabe - „podobieństwo rodzinne” do Merlina Athrawesa i Nimue Alban. Coś w kształcie ust, których nie zdołał zmienić tak, jak by chciał. Zastanowił się, czy z tym niepowodzeniem miała coś wspólnego jego podświadomość, czy był to tylko błąd w oprogramowaniu CZA0, który zachował część poprzednich cech. W czasach sprzed jej cybernetycznej reinkarnacji Nimue nie interesowała się zbytnio możliwościami softwareu pozwalającymi na dowolne kształtowanie wyglądu zewnętrznego CZA0. Bardziej pociągały ją sprawy związane ze sportami ekstremalnymi. A w ogóle to wcale nie chciała dostać CZA0 - był to prezent od ojca, któremu nie miała serca odmówić. Zatem nie była specjalnie biegła w wykorzystywaniu „kosmetycznych” zdolności swego obecnego fizycznego awatara i nie

mogła wykluczyć, że za podobieństwo winę ponosi jednak jakaś wada oprogramowania.

*Jasne, pomyślał sardonicznie Ahbraim. Nie da się tego wykluczyć. Tylko że trzeba to zrobić. O czym doskonale wiesz, Merlinie.*

*Dziwne, dodał w myślach, odwracając się od lustra.*

Uważał się bardziej za Merlina niż za Nimue czy Ahbraima. Może dlatego, że przez parę ostatnich lat był Merlinem... Albo też dlatego, że w końcu pogodził się z tym, że Nimue nie żyje, a on jest kimś... czymś całkowicie innym. A może potrzebował po prostu jednej konkretnej tożsamości, w której mógłby się zakotwiczyć, w przeciwnym bowiem razie odbiłaby mu szajba. Tym sposobem wrócił do kwestii podobieństwa w wykroju ust....

*I tak nikt tego nie zauważy, nawet gdyby znał Ahbraima, i Merlina, powiedział sobie. Zwłaszcza po tym, jak Merlin znów zapuści brodę i wąsy.*

Wyrzwał na zewnątrz przez okno swego pokoju hotelowego. Znowu padał śnieg. Wyglądało na to, że w Syjonie prawie na okrągło padał śnieg. Merlin nie po raz pierwszy zastanowił się, czy „archaniołowie” wybrali to miejsce celowo, aby jeszcze bardziej podkreślić „cudownie podtrzymywane” komfortowe warunki panujące wewnątrz Świątyni. I ponownie uznał, że na kwaterę główną zarządu kolonii wybrano właśnie to miejsce dlatego, że istniało małe prawdopodobieństwo, aby niezaawansowani technicznie koloniści i ich potomkowie kiedykolwiek się tu zapuścili z zamiarem osiedlenia się.

Przed zniszczeniem enklawy Aleksandria (oraz odwetowym atakiem komandora Pei na ośrodki Langhorne'a i Bédard) nie było tutaj żadnej świątyni. Dlatego Merlin przypuszczał, że oboje administratorzy wybrali to miejsce na swoją siedzibę ze względu na trudno dostępny teren, jakim było pogórze Olimpu - zwykli śmiertelnicy nie mieli tu czego szukać, a jednocześnie było stąd tak blisko do zamieszkałych części globu, że „archaniołowie” mogli pojawiać się wśród wiernych wtedy, gdy to było konieczne. Klimat nie stanowił dla tych boskich istot żadnej przeszkody, a wspaniałe pałace pomagały w podtrzymaniu iluzji boskości w oczach tych nielicznych kolonistów, którym dane było odwiedzić dawny Syjon.

Nie miał, rzecz jasna, żadnego dowodu na poparcie tej tezy, aczkolwiek niektóre z treści przekazanych mu przez komandora Pei zdawały się uprawdopodobniać jego domysły. Wydawać się mogło, że Chihiro i Schueler (którzy mianowali się przywódcami „archaniołów” ocalonych z nuklearnej pożogi, jaką zafundował kwaterze głównej komandor Pei) także podążyli tym tropem. Niemal na pewno zdecydowali się na wzniesienie świątyni w miejscu zniszczonej bazy, by podkreślić zwycięstwo „sił światła” nad „mrocznymi piekielnymi legionami Shan-wei”. Świątynia miała przypominać wiernym nieskończoną

potęgę „archaniołów”.

*To było bardzo sensowne posunięcie, pomyślał Merlin, przyglądając się płatkom śniegu wirującym na coraz silniejszym wietrze. Po tym jak większość personelu Langhorne'a zginęła w gigantycznej kuli ognia, ocaleni musieli w jakiś sposób udokumentować, że to oni zostali zwycięzcami tego konfliktu. A przekonanie ludzi do swoich racji mogło być trudne, skoro zostało ich tak niewielu. Nie mieli wyjścia, musieli stworzyć coś, co natychmiast uzmysławiałoby ich potęgę.*

Bez względu na to, jakie przyświecały im cele, było to jedno z najgorzej położonych miast na całym Schronieniu - zwłaszcza zimą. Latem było zupełnie inaczej. Aczkolwiek lato w Syjonie gościło na bardzo krótko. I nie nadejdzie jeszcze przez długi czas, przez co plany Ahbraima, zwłaszcza te dotyczące najbliższej przyszłości, stawały pod znakiem zapytania.

Merlin nie skłamał, gdy powiedział Staynairovi, że miał na oku Ahnzhelykę Phondę od chwili, gdy Adorai Dynnys ujawniła jej prawdziwe oblicze, tak inne od tego, co zakładał wcześniej. Zabezpieczył się jednak dokładnie, wysyłając drony nagrywające przekazy, które musiał co jakiś czas ściągać do bazy, zamiast transmitować jak wszystkie inne przez sieć satelitów. Te utrudnienia ograniczały pole jego obserwacji, ale nie mógł sobie pozwolić na większą nieostrożność, zwłaszcza że wiedział o tajemniczych źródłach energii tkwiących w podziemiach Świątyni.

Nie mógł też korzystać z latających platform obserwacyjnych, które Sowa rozsyłała po każdym innym zakątku planety. W Syjonie nie miał więc możliwości przekierowywania ich na inne osoby, jak robił to w pozostałych domenach, co sprawiało, że dysponował znacznie mniejszą ilością danych, niżby chciał. Mimo to w ciągu minionego pięciodnia zdążył odkryć, że Ahnzhelyka Phonda prowadzi tę niebezpieczną grę o wiele dłużej, niż sądził, mając do dyspozycji wyłącznie rewelacje Adorai. Doszedł też do wniosku, że to raczej ona pierwsza skontaktowała się z Samylem Wylsynnem.

Z początku odrzucał tę możliwość. Nie dlatego bynajmniej, że wątpił w jej zdolności. Chodziło mu raczej o to, że pełniła rolę jedyne go kontaktu organizacji Wylsynna. Merlin zrozumiał, przypomniawszy sobie zachowanie młodego Paityra Wylsynna w Charisie, a potem poznawszy treść dokumentów dostarczonych Staynairovi przez Adorai - po tym, rzecz jasna, jak arcybiskup wyraził na to zgodę - że walka tego rodzaju z zepsuciem wikariatu trwa już od wielu pokoleń. Z tego też powodu wydawało mu się, że to właśnie Samyl powinien zrekrutować Ahnzhelykę, nie odwrotnie.

*Ale tak się nie stało, pomyślał. Jeśli wszystko dobrze rozumiem, to ona pierwsza dowiedziała się o Kręgu i to ona zaferowała reformatorom usługi, zostając ich kurierem.*

*Sama też posiadała własną organizację, sprawną i działającą na długo przed skontaktowaniem się z Wylsynnem, tyle że nigdy nie dopuściła do połączenia szeregów. Dzięki temu mogła wywieźć z Ziemi Świątynnych Adorai i jej synów. A potem sprawić, że zniknęła Lysbet Wylsynn i rodziny pozostałych spiskowców.*

Wyglądało więc na to, że nie zdołał odkryć jeszcze wszystkich faktów na temat Ahnzhelyki Phondy. Fakt, że nie potrafił ustalić tak wielu rzeczy nawet z pomocą przewagi technologicznej, jaką dysponował - aczkolwiek w Syjonie nie była ona tak przytłaczająca jak w innych domenach - mógł stanowić wytłumaczenie, jakim cudem udawało jej się uniknąć namierzenia przez śledczych Inkwizycji. Merlin nie miał też bladego pojęcia, w jaki sposób porozumiewała się z pięcioma rodzinami, które ukryła na terenie Syjonu. Był jednak całkowicie pewien, że tylko ona mogła się z nimi skontaktować.

Dzięki temu przekonaniu zdołał w końcu namierzyć Lysbet, a potem, studiując dane uzyskane dzięki podłożonym jej pluskwom, zdał sobie sprawę z tego, że Wylsynn wie już o zdradzie, ale nie chce - albo nie może - poinformować o tym pozostałych członków Kręgu. Merlin nie potrafił jednak zrozumieć, dlaczego tak twardy i stanowczy człowiek jak wikariusz Samyl zachował tę informację dla siebie, niemniej tak właśnie wyglądały fakty. Co więcej, Ahnzhelyka także o wszystkim wiedziała. I dlatego nawiązała kontakty z rodzinami reformatorów, a potem ukryła je, nie rozmawiając z nikim na ten temat.

*Te biedne dranie z pewnością zastanawiają się, czy ich żony i dzieci zdołały zbiec Clyntahnowi - przynajmniej chwilowo - czy też znajdują się w lochach tego oprawcy, pomyślał Merlin. Boże, nie zdawałem sobie sprawy z tego, jakim jest sadystą. Jeśli Krąg, a w zasadzie Wylsynn wie o jego planach od tak dawna, jak sądzę, to ten porąbany drań dręczy ich już od miesięcy. I z pewnością czerpie z tego faktu niewyobrażalną rozkosz.*

Zhaspyr Clyntahn nie miał pojęcia, jakim jest szczęśliwcem, że nie opuszcza nawet na chwilę terenu Świątyni. Gdyby to uczynił, gdyby pojawił się choć na sekundę w miejscu, gdzie Merlin mógłby go zaatakować bez ryzyka wykrycia przez sensory umieszczone w podziemiach kompleksu wzniesionego przez „archaniołów”, już by nie żył. W tym jednym przypadku umysł Nimue Alban nie miałby żadnych oporów.

Niestety Merlin nie widział szans na realizację tego planu. Przynajmniej w najbliższej przyszłości, zanim Clyntahn dopadnie kolejne ofiary ze swojej aktualnej listy. I musiał się z tym faktem pogodzić. Z tego też powodu postanowił skupić się na ocaleniu rodzin reformatorów oraz członków organizacji Ahnzhelyki, bez względu na jej wielkość.

To właśnie będzie celem mojej dzisiejszej wizyty, pomyślał, sięgając po płaszcz Zhevonsa.

\* \* \*

- Dobry wieczór, Ahbraimie - powitała go z uśmiechem Ahnzhelyka Phonda.

- Dobry wieczór, moja droga. - Merlin pochylił się nad jej dłonią raz jeszcze i złożył szarmancki pocałunek.

*A może myślę o sobie jako o Merlinie, a nie jako o Nimue dlatego, że Nimue nie interesowały kobiety, podczas gdy Merlina owszem...*

Porzucił te rozważania, nie mając pewności, czy naprawdę chodzi o zainteresowanie Merlina płcią przeciwną czy też o jego zainteresowanie innymi kobietami, czy też o to, że właśnie odkrył na swój temat coś, czego Nimue nawet nie podejrzewała, bądź wreszcie czy chodzi raczej o zwykłe odwrócenie myśli od spraw o znaczeniu dla całej planety i zastąpienie ich kwestią, która nie niosła żadnego znaczenia dla nikogo poza nim.

- Cieszę się, że znalazłeś dla nas czas dzisiejszego wieczoru - kontynuowała Ahnzhelyka. - Chociaż obawiam się, że w pogodę taką jak ta możemy nie mieć licznego towarzystwa.

- To zrozumiałe. - Merlin przekrzywił lekko głowę, przysłuchując się wyciu wichru za murami domu Ahnzhelyki.

Było osiem stopni poniżej zera - osiem stopni Fahrenheita poniżej zera - i wciąż robiło się zimniej. Wiatr w porywach osiągał czterdzieści mil na godzinę, a Merlin był boleśnie świadom faktu, że gdy stoi w przytulnym wnętrzu domu Ahnzhelyki, ludzie - oraz ich dzieci - zamierzają na dworze, i to zamierzają dosłownie, nie w przenośni. Wiedział o szopie ogrodniczej na terenie posiadłości Ahnzhelyki i o czterech rodzinach, które ją zajmowały tej zimy. Wiedział, że właścicielka kazała ją jak co roku osłonić przed działaniem warunków atmosferycznych i wyposażyć w ceramiczny piecyk z odpowiednim zapasem węgla. Niestety wiedział również, że członkowie tych rodzin, korzystając z ciasnoty, ogrzewają się również ciepłem własnych ciał i że teraz najpewniej siedzą stłoczeni, sztywni z zimna i nieszczęśliwi. Wątpił, aby któremukolwiek z nich udało się zasnąć pośród targających nimi dreszczy. Lecz w przeciwieństwie do licznych biedaków kłębiących się wokół wylotów szybów wentylacyjnych Świątyni oni rankiem będą żywi.

*Ahnzhelyka zdaje sobie sprawę z tego wszystkiego, pomyślał, patrząc na jej uśmiechniętą twarz. A mimo to potrafi się uśmiechać, a nawet śmiać, jakby nie miała jednej troski, aczkolwiek tak naprawdę dokłada starań, by dać choć niektórym szansę przeżycia, zawiaduje siecią Wylsynna i ukrywa uciekinierów...*

Jego podziw dla tej kobiety wzrósł nawet bardziej. Ujął ją pod ramię i poprowadził przez salonik do długiego stołu z bufetem. Służący podał mu talerz wyładowany kopiasto

delikatesami - zwiniętymi w ruloniki plasterkami szynki, cieniutkimi płatkami rzadkiej tutaj wołowiny, kawałeczkami piersi wyverny i kurczaka, pajęczych krewetek, oliwkami, jajami, korniszonami, serami, pieczywem... Merlin uświadomił sobie, że na tym jednym stole leży tyle jedzenia, że wystarczyłoby go do wykarmienia wszystkich osób mieszkających w szopie ogrodnika przez co najmniej miesiąc. Wiedział jednak, że co rano resztki z tego stołu trafiają właśnie do ich żołądków. Tam i do garkuchni prowadzonej przez zakon Bédard.

*Ale nawet to mnie wkurza, dodał w myślach. Bo jeśli ktokolwiek z pierwotnych „archaniołów” przyłożył rękę do dzieła Langhorne’a, była nim Bédard. Dlatego wolalbym - choć to może głupie z mojej strony - żeby i jej zakon był tak zepsuty jak zakon Schuelera. Ale tak nie jest. Już nie. Czemu czarne charaktery nie pozostają nimi do samego końca sztuki?*

- Z tego co wiem, Mahrlys zarezerwowała sobie czas dla ciebie, Ahbraimie - rzekła doń z uśmiechem Ahnzhelyka, a on odpowiedział w ten sam sposób.

- Szczerze mówiąc - odezwał się cicho, wzrokiem obrzucając nadal puste pomieszczenie - choć Mahrlys jest uroczą osobką, w rzeczywistości przyszedłem po to, by porozmawiać z tobą.

- O? - Uniosła lekko brew, a on obdarzył ją bladym uśmiechem.

- Nie mogę być tego pewien - kontynuował z wyrazem twarzy człowieka, który prawi komplementy ślicznej gospodyni - ale chyba zaczyna nam się kończyć czas.

Spojrzał jej prosto w oczy, po czym znów przeniósł uwagę na otoczenie.

- Tak, to chyba prawda. - Uśmiechnęła się doń, sprawiając wrażenie rozbawionej tym, co właśnie powiedział, lecz gdy się odezwała, głos miała pełen smutku. - Sądziłam, że uda mi się przerzucić więcej osób - ciągnęła. - Obawiam się jednak, że to będzie niemożliwe. Faktycznie zabrakło nam czasu.

Tym razem to on uniół brew, na co ona odpowiedziała, potrząsając głową ze smutkiem.

- Mam swoje źródła w łonie Inkwizycji. Clyntahn wykona swój ruch już jutro.

- Przeciwno tobie? - Wbrew sobie samemu, wbrew temu, że był CZAŁO, a nie człowiekiem z krwi i kości, Merlin nie zdołał wypłenić ze swego głosu i z oczu zaniepokojenia.

- Raczej nie - odparta. - Przynajmniej jeszcze nie... Ale gdy zaczniesz przesłuchiwać świadków...

Urwała, a on skinął głową, choć miał gonitwę myśli pod czaszką. W odróżnieniu od Ahnzhelyki miał dostęp do sieci satelitów meteorologicznych. Wiedział więc, że szalejący dzisiaj wieczoru wiatr ustanie, a temperatura przestanie dalej spadać, choć po

przejściowej odwilży zima uderzy znowu. Jej nawrót może być nawet gorszy od tego, czego doświadczają teraz.

- Czy masz gdzie się ukryć w tym mieście na pięćdziesiąt albo dwa?

- Poradzę sobie, jeśli będę musiała. - Uśmiechnęła się znowu. - A co? Czyżby któraś z twych zdolności na miarę *seijina* podpowiadała ci coś, o czym ja nie mam pojęcia, Ahbraimie?

- Może... - odrzekł, również obdarzając ją uśmiechem. - Pogoda za parę dni znowu się pogorszy. - Zrobiła sceptyczną minę, co widząc, Merlin poklepał ją po dłoni. - Uwierz mi na słowo, Ahnzhelyko. Jeśli to tylko możliwe, lepiej unikać wysyłania ciebie... czy kogokolwiek innego... w podróż.

Przyglądała mu się z uwagą przez parę chwil, po czym wzruszyła ramionami.

- Najbliższy dzień albo dwa tak czy inaczej miałam poświęcić na dopinanie przygotowań na ostatni guzik - oznajmiła. - Moim zdaniem parę dodatkowych dni wyjdzie całej operacji na dobre. Zakładając, że moje wcześniejsze działania zakończyły się sukcesem i droga opuszczenia miasta faktycznie jest wolna...

- Jestem pewien, że tak będzie.

- Cóż. - Rozejrzała się po swoim saloniku, po czym ponownie wzruszyła ramionami. - Będę tęsknić za tym miejscem - rzekła smutno. - Udało mi się tu uczynić sporo dobrego. Szkoda, że koniec końców tak straszliwie zawiodłam.

- Nie zawiodłaś - zapewnił ją cicho. Kiedy na niego spojrzała, z emfazą potrząsnął głową. - Zaufaj mi, dni Grupy Czworka... dni Świątyni... są policzone. Może potrwa to trochę dłużej, niż ty czy ja byśmy chcieli, ale ostatecznie Świątynia upadnie... dzięki ludziom takim jak ty i Adorai Dynnys.

- Ile osób jednak wprawdzie umrze, Ahbraimie? - zapytała ponuro, acz wciąż z wyrazem twarzy Madame gawędzącej z ulubionym klientem. - Ilu z nich umrze?...

- Wielu - odrzekł bez mrugnięcia okiem. - Ale nie przez ciebie, nie z twojej winy. Ba, dzięki tobie ofiar będzie mniej, niżby mogło być. Zatem jeśli nie masz nic przeciwko temu, zamiast rozpaczać, jak bardzo zawiodłaś, lepiej skoncentruj się na tym, by uratować jak najwięcej tych, których jeszcze można ocalić.

\* \* \*

Kapitan Khanstahnzo Phandys ze straży Świątyni szedł rażno przestronnym korytarzem. Miał na sobie wypolerowaną stalową kolczugę i szkarłatną służbową tunikę narzuconą na gruby wełniany sweter, w którym szczerze mówiąc, zaczynał się pocić po wejściu do ogrzewanych pomieszczeń. Miecz tkwił w pochwie na jego udzie, rękawice

zatknął za pas, na spodniach i wysokich butach, mimo że wcześniej miał na sobie płaszcz - teraz pozostawiony w szatni - wciąż widać było krople wody, pozostałości po roztopionych płatkach śniegu.

Kapitan nie miał zadowolonej miny, ale kto ostatnio mógł pochwalić się dobrym humorem. Szczerze mówiąc, odkrył tego ranka, że wielu jego kolegów ze straży znajduje się u kresu wytrzymałości psychicznej. W powietrzu wisiało coś nieuchwytnego, coś, czego nie można było dostrzec, poczuć ani dotknąć; coś, co mimo to było przytłaczające.

Poczuł się tak po raz pierwszy od trzech lat, kiedy to miała miejsce katastrofalna w skutkach klęska wojsk wysłanych do heretyckiego Charisu. To było coś w rodzaju trzęsienia ziemi, jakie nawiedza ten świat raz na sto lat, pomyślał Phandys. Komuś takiemu jak zwykły kapitan straży nie wypadało zajmować się podobnymi sprawami, niemniej on nie zamierzał udawać, że nie wie, jak wygląda prawda. Tak samo jak nie zamierzał udawać, że wstrząsy te, sięgające kolejno Chisholmu, Szmaragdu i Zebediahu, a nawet podbitego Corisandu, nie uderzają z zabójczą siłą w Świątynię i szeregi wikariatu.

Dla większości ludzi żyjących na głównych kontynentach te odległe krainy wydawały się tylko niewiele znaczącymi ziemiami leżącymi gdzieś na krańcach świata. Poza tym, mimo legendarnego wręcz bogactwa Charisu, to wyspiarskie królestwo miało zbyt mało obywateli, by stanowić zagrożenie dla tak wielkich domen, jak Desnair, Dohlar, Harchong czy Republika Siddarmarku. Nawet myśl o tym wydawała się śmieszna... przecież Bóg w swojej wszechwiedzy nigdy nie dopuściłby do tego, by apostaci i heretycy wygrali takie starcie!

Niemniej ci, którzy nosili pomarańczowe szaty Kościoła Matki, mieli odmienne zdanie na ten temat. Za nic nie przyznaliby, że rebelia „Kościoła Charisu” zyskuje pogłos w przyłączonych bądź podbitych domenach. Hierarchowie ci jednak zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, że ludzie pokroju Hauwerda i Samyla Wylysynnów mogą mieć rację. Że życie w luksusie i władza, którą tak lubili, niekoniecznie muszą cieszyć ich owieczki, jak to sobie wmawiali. Że Grupa Czworoga uwolniła atakiem na Charis siły, które mogą ją zniszczyć.

Tego rodzaju myśli powinny rodzić się w głowach przełożonych kapitana Phandysa, o czym on sam doskonale wiedział. Nie był jednak idiotą, a przydział do służby kurierskiej pozwalał mu na poznanie całej prawdy, jako że przez jego ręce przechodziła większość wiadomości spływających ze świata. Zresztą gdyby nawet nie miał do nich dostępu, i tak stacjonował w obrębie Świątyni już od niemal dwóch lat. W tym czasie - a zwłaszcza podczas ostatniej zimy - zauważył, jak wiele się tu zmieniło od czasu jego wcześniejszych pobytów w Syjonie. Widział to samo co inni, rozumował tak samo jak oni i dlatego nie miał żadnych wątpliwości, że wielki inkwizytor i najwyższy przełożony Phandysa, wikariusz Magwair,



uznali, iż nie mogą walczyć na więcej niż jednym froncie.

Z tego też powodu kapitan przybył dzisiaj do Świątyni, zamiast dyżurować w swoim biurze kurierskim na brzegu jeziora.

Dotarł właśnie do skrzyżowania korytarzy i skręcił w lewo. Przy jednym z okien stali wikariusze spoglądający w mroźny poranek. Gdy Phandys znalazł się w polu ich widzenia, obaj zerknęli na niego z zaciekawieniem, zupełnie jak wyverny. Wzdrygnęli się także, i to mocno, zanim zdążyli opanować nerwy. To kazało kapitanowi zastanowić się, o czym też mogli rozmawiać w tak ustronnym miejscu. Zważywszy na nerwową reakcję na widok zwykłego kapitana straży, z pewnością musieli poruszać tematy zakazane... przynajmniej z punktu widzenia Grupy Czworoga, pomyślał z ponurą satysfakcją Phandys. Ostatnio nie należało to do rzadkości.

Khanstahnzo służył w straży już od piętnastu lat i właśnie zaczynał czwartą zmianę w Świątyni. Nigdy jeszcze nie widział tak srogiej zimy. Nigdy jeszcze hierarchowie nie dzielili się na tak małe, wylęknione grupki i nie oglądali się tak często przez ramię z obawy przed tym, że ktoś nawet bardzo im bliski może poznać ich prawdziwe myśli.

Zasalutował sprężysto wikariuszom, gdy ich mijał. Nie odpowiedzieli w żaden sposób na to pozdrowienie. Spoglądali tylko za nim wzrokiem lodowych wyvern, obserwujących krakena przepływającego obok kry, na której przysiadły.

Kapitan szedł dalej korytarzem, potem raz jeszcze skręcił, wspiał się na ciąg niskich, ale za to szerokich stopni i stanął przed zamkniętymi drzwiami. Zatrzymał się tylko na moment - to wahanie raczej dało się wyczuć, niż zobaczyć - by wreszcie zastukać zdecydowanie.

- Tak? - zapytał ktoś z drugiej strony.

- Czy mogę prosić o chwilę rozmowy, majorze Kahrnaikys? - zapytał Phandys. - Obawiam się, że to ważne, sir.

Nie otrzymał odpowiedzi od razu, po chwili jednak padło zdawkowe zaproszenie i zasilane nieznaną energią drzwi rozwarły się, jakby ktoś machnął ręką przed magicznym oknem, które nimi sterowało.

Major Zhaphar Kahrnaikys był wysokim mężczyzną o ciemnorudych włosach, krzaczastych brwiach i piwnych oczach. Rzadko kiedy zdarzało się, by jeden człowiek pełnił wysoką funkcję w straży Świątyni i zakonie Schuelera, jak to było w jego przypadku. Kapitan Phandys poczuł, że puls mu przyśpiesza, gdy zobaczył miecz położonego leżącego w pochwie na blacie biurka, a nie tam, gdzie być powinien, czyli na ścianie.

- O co chodzi? - zapytał major z nutą niecierpliwości w głosie.

Sprawiał wrażenie człowieka zajętego. Phandys rozumiał powody tego stanu, ale i tak milczał jeszcze przez chwilę, przyglądając się ordynansowi siedzącemu sztywno za własnym biurkiem w głębi gabinetu. Major podążył wzrokiem za kapitanem, zacisnął mocno usta, poirytowany tym milczącym napomnieniem, ale zaraz skrzywił się mocno i potrząsnął głową.

- Dajcie nam minutkę, sierżancie - rzucił.

Podoficer podniósł wzrok i zaraz wstał.

- Tak jest!

Mijając Phandysa, starał się nie okazywać dręczącej go ciekawości, ale i tak wylewała mu się ona z oczu. W jego spojrzeniu kryła się też widoczna ulga, że nie będzie musiał słuchać o sprawie, która sprowadziła kapitana straży w te progi.

Major sprawdził wzrokiem, czy drzwi są już zamknięte, potem spojrzał ponownie na Phandysa.

- Słucham? - zapytał opryskliwym tonem.

Kapitan zaczerpnął tchu.

- Sir - powiedział z niepokojem w głosie. - Zauważyłem coś, co mnie mocno... zaniepokoiło. Uznałem więc, że warto zwrócić na to uwagę odpowiedniej osoby.

- Uznałeś, powiadasz. - Kahrnaikys zmrużył oczy i przechylił głowę na bok. - Z faktu, że trafiłeś do mojego biura, wnioskuję, iż to ja jestem ową odpowiednią osobą.

- Na to wygląda - przyznał Phandys. - W każdym razie pan pierwszy przyszedł mi na myśl. - Jego wzrok spoczywał przez krótką chwilę na plakietce z mieczem i płomieniem zdobiącej mundur przełożonego.

- Rozumiem. - Kahrnaikys odchylił się w fotelu i skrzyżował ręce na piersi. - Zatem mów, kapitanie, co ci chodzi po głowie.

- Sir, pełniłem dzisiaj rano służbę w naszej stancyi kurierskiej - zaczął Phandys - i...

- Co zatem robisz tutaj, skoro miałeś przydział do naszej stancyi? - przerwał mu natychmiast major. Miał w straży opinię wyjątkowego służbisty.

- Byłem na posterunku, sir, gdy zauważyłem rozkaz, który... wydał mi się dziwny - dokończył kapitan, ostrożnie dobierając słowa. - Dlatego przekazałem moje obowiązki porucznikowi Vyrnahnowi i pośpieszyłem, by złożyć raport.

- Co to był za rozkaz? - Kahrnaikys nie ufał osądom swojego podwładnego, co marnie wróżyło karierze kapitana, ale przynajmniej zechciał go wysłuchać.

- Sir, rozkaz dotyczył rezerwacji miejsc na poranną łódź lodową do Lakeview. - Gdy kapitan zauważył, że jego przełożony marszczy brwi, natychmiast dodał: - Autoryzacja została wydana minionej nocy, pewnie więc nie zwróciłbym na to uwagi, gdyby nie rutynowe

sprawdzenie dokumentów. Zdziwiło mnie, że na zgłoszeniu nie ma listy pasażerów. Zaznaczono liczbę miejsc do rezerwacji, ale nie było żadnej wzmianki, kim mają być przewożone osoby. A kiedy sprawdziłem księgi, nie znalazłem w nich nazwiska oficera wydającego autoryzację. Z tego, co zdołałem ustalić do tej pory, wynika, że wpis ten pojawił się samoistnie.

- Co takiego? - Mars na czole Kahrnaikysa pogłębił się. - Przecież to nie ma sensu.

- Owszem, sir. Tak właśnie pomyślałem. - Phandys ucieszył się na widok przewidywanej reakcji przełożonego. - Dlatego zacząłem kopać głębiej. Jak ustaliłem, wpis został dokonany podczas dzisiejszego czuwania Langhorne'a. A wie pan, jak wtedy jest spokojnie.

- Tak, tak - mruknął major, uwalniając dłoń, by popędzić nią podwładnego. - Wiem. Mówcie dalej.

- O tej porze dyżurny zajął się przepisywaniem długiego listu od jednego z wikariuszy. Pismo było tak długie i ważne, że rzeczony hierarcha pofatygował się osobiście na przystań... i to w tak marną pogodę. Wiem, że aura o tej porze roku nigdy nas nie rozpieszcza, ale miniona noc była wyjątkowo paskudna. Wikariusz musiał przemarznąć na kość, zanim dotarł kolumnadą do przystani. O tej porze kantor odbierania wiadomości jest zazwyczaj zamknięty, więc dyżurny oficer musiał kogoś zbudzić, by gość został obsłużony.

- Sugerujecie, kapitanie, że w czasie gdy dyżurny otwierał kantorek, by przyjąć wiadomość, ktoś zakradł się do jego biura i dokonał anonimowego wpisu do księgi? - W głosie Kahrnaikysa słychać było tylko lekkie niedowierzenie.

- Uważam, że tak właśnie się stało - przyznał z nieszczęśliwą miną, kręcąc przy tym głową. - Majorze, wiem, że nie mówi się nam oficjalnie wszystkiego, i Langhorne świadkiem, że daleki jestem od wściubiania nosa w nie swoje sprawy, niemniej ta sytuacja jest tak bezsensowna, zwłaszcza jeśli zważymy na okoliczności... - Zawiesił głos, gdy major uśmiechnął się do niego półgębkiem. *W końcu doczekałem się choćby cienia aprobaty*, uznał.

- Rozumiem, kapitanie. Wiem też, w jakim położeniu to was stawia. Proszę mi jednak zdradzić, który to wikariusz przybył do was późną nocą z tak długą wiadomością?

Przez moment w gabinecie panowała kompletna cisza; Phandys właśnie zrozumiał, że stąpa po kruchym lodzie. Nie mógł się już wycofać. Wiedział jednak, że tak będzie, zanim po raz pierwszy otworzył usta, zwiesił więc ramiona i spojrzał przełożonemu prosto w oczy.

- To był wikariusz Hauwerd, sir - wyszeptał, widząc, jak w oczach Kahrnaikysa zapala się ogień.

- Rozumiem. - Major wpatrywał się w niego przez całą wieczność, potem skinął

zdecydowanie głową, odsunął fotel i wstał, sięgając jednocześnie po miecz.

- Kapitanie, przepraszam, jeśli odnieśliście wrażenie, że mam wam za złe, iż przychodzicie do mnie z tą sprawą. Zrobiliście, co do was należało. A teraz chodźcie ze mną.

\* \* \*

Samyl Wylsynn podniósł filiżankę z czekoladą, ujął ją obiema dłońmi, po czym spojrzał na brata siedzącego po drugiej stronie śniadaniowego stolika. Obserwował go badawczo, przekrzywiwszy nieco głowę, kontemplując zachowanie Hauwerda.

- Powiesz mi w końcu, po co zaprosiłeś mnie na to śniadanie? - zapytał i uśmiechnął się, gdy Hauwerd oderwał wzrok od kielbaski, którą przepychał bezmyślnie po talerzu od ponad dziesięciu minut. - Uwielbiam te nieliczne chwile, gdy mogę zjeść posiłek z moim ulubionym bratem. Z jedynym bratem, skoro już o tym mowa. Ty jednak nie należysz do amatorów wczesnego zrywania się z łoża. Kiedyś musiałem cię wywlekać z niego siłą, żebyś towarzyszył mi przy stole. Skoro już o tym mowa - wskazał brodą widelec zaganiający kielbaskę na drugi kraniec talerza - dzisiaj nie wzięłeś do ust nawet kęsa. Powiedz mi zatem, co cię trapi.

- Czy to aż tak oczywiste? - Uśmiech wysłany w odpowiedzi nie należał do najweselszych.

- Owszem - potwierdził Samyl. Zamilkł na moment, by upić łyk czekolady, a potem zaczerpnął głęboko tchu. - Czyżby twój kontakt zameldował, że nie będziemy mieli zbyt wielu okazji do wspólnego jadań?

Hauwerd wyprężył potężne ramiona. Chciał odpowiedzieć od razu, ale zdołał zapanować nad emocjami i spoglądał tylko na starszego brata przez dłuższą chwilę.

- Tak - przyznał w końcu, krzywiąc się mocno. - Nadal mam kilku przyjaciół w straży. Jeden z nich... będzie lepiej dla wszystkich, jeśli jego tożsamość pozostanie tajemnicą nawet dla ciebie... poinformował mnie, że kończy nam się czas. Dlatego chciałbym, abys rozważył tę propozycję, którą omawialiśmy w ostatnim pięciodniu. Proszę.

- Nie. - Ton Samyla był spokojny, wręcz ubolewający, ale i zdecydowany.

- Przecież wiesz... - zaczął Hauwerd, lecz brat powstrzymał go uniesieniem ręki, kręcąc przy tym głową.

- Tak, bracie, wiem. I nie będę udawał, że twoja propozycja nie wydaje się... kusząca. Bardzo kusząca. Nie mogę jednak na nią przystać. Cokolwiek się jeszcze wydarzy, jestem wikariuszem Kościoła Matki. I co ważniejsze, kapłanem.

- Samylu, Księga Schuelera mówi wyraźnie, że jeśli nie ma żadnej nadziei, wybranie tego rozwiązania nie jest grzechem...

- Przecież powiedziałem, że twoja propozycja wydaje mi się kusząca - przerwał mu Samyl. - Poza tym wiesz równie dobrze jak ja, że cytowane przez ciebie wersy dotyczą raczej nieuleczalnych chorób, a nie kwestii związanych z wiarą.

- Dzielisz włos na czworo! - Tym razem Hauwerd przemawiał ostrzej, w jego głosie pobrzmiwały frustracja i troska. - Do licha, Samylu! Wiesz przecież doskonale, co Clyntahn z tobą zrobi. Ty będziesz cierpieć najbardziej z nas wszystkich, jeśli dostanie cię w swoje łapy!

- Dotarliśmy do punktu, w którym to przestaje mieć znaczenie - odparł Samyl. - Nie zapominaj, że taki sam los czeka wszystkich, których znaleźliśmy i kochaliśmy. Naszych braci, nawet tych pochodzących od innych rodziców. Czy mam ich opuścić? Przecież to ja ich wciągnąłem do Kręgu. To ja im przewodziłem od tylu lat. A ty teraz chcesz, abym wybrał łatwiejszą drogę i zostawił ich na pastwę losu?

- Na rany Langhorne'a! - jęknął Hauwerd, a oczy aż mu zalśniły. - Bez względu na to, co uczynisz, oni i tak są straceni. I nie wmawiaj mi, że sam ich do tego wciągnąłeś, jakby nie wiedzieli, na co się godzą! Nie byłeś jedynym głosem rozsądku w wikariacie, u licha, więc nie umniejszaj zasług swoim współpracownikom. I mnie! - Hauwerd zgromił brata spojrzeniem. - Tak, wszyscy poszliśmy za twoim przykładem. Jestem też pewien, że spora część naszych braci uczyniła to z tego samego powodu co ja: z czystej braterskiej miłości. Ale równie istotnym czynnikiem było to, że masz rację! Ponieważ chcieliśmy wydrzeć Kościół Matkę z łap łotrów pokroju Clyntahna i Trynaira, chociaż ten drugi nie jest aż tak wielkim sadystą jak wielki inkwizytor. Odebrać i zwrócić go Bogu! To był nasz wspólny wybór i dokonaliśmy go, więc nie śmieć nam go odbierać!

- Hauwerdzie, ja... - wychrypiął Samyl i umilkł, spoglądając w zamieć za oknem. Odchrząknął jednak zaraz i ponownie skupił wzrok na bracie. - Wybacz - wyszeptał. - Nie zamierzałem sugerować...

- Dajże spokój. - Napomnienie było ostre, niemniej Hauwerd przemawiał łagodnym tonem, łagodząc jego wydzwięk miłością. - Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Wiem, że tego nie sugerowałeś. Ale to nie ma już znaczenia. I chyba właśnie dlatego jestem taki zły. Wiesz równie dobrze jak ja, że to niczego nie zmieni, ale mimo wszystko wciąż się upierasz. To naprawdę głupie.

- Być może - przyznał Samyl. - Ale nie zamierzam dawać Clyntahnowi tej satysfakcji. Nie stanę przed obliczem Boga i Jego archaniołów z wiedzą, że odebrałem sobie życie ze strachu przed tym, co ta świnia może mi zrobić.

- I zamiast tego dasz mu satysfakcję z tego, że zamęczy cię na śmierć? - Hauwerd

mocniej pokręcił głową. - To właśnie słownikowa definicja głupoty.

- Być może. - Samyl uśmiechnął się krzywo, choć była w tej reakcji przynajmniej szczypta radości. Zaraz jednak spoważniał i także potrząsnął głową. - Erayk Dynnys znalazł w sobie odwagę i wiarę, wyznał prawdę, mimo że jednym kłamstwem mógł sobie kupić łatwiejszą śmierć. Czy ja nie powinienem zrobić tego samego? Czy samobójstwo nie będzie włożeniem broni w rękę Clyntahna? Przecież będzie mógł wykrzyzczyć całemu światu, że członkom Kręgu zabrakło na sam koniec wiary i umknęli przed przesłuchaniami oraz sprawiedliwą karą? Chcesz pozwolić, abyśmy zniżyli się do jego poziomu. Przecież ten człowiek nigdy nie wierzył tak, jak my. Nim kierują wyłącznie ambicje i chciwość, a nie wiara. Mam dać do zrozumienia reszcie wikariatu, Kościołowi i wiernym, że to była tylko kolejna przepychanka o władzę? Szarpanina o to, kto kogo pozbawi politycznych wpływów? Jeśli to uczynię, co stanie się z kolejnym Kręgiem? Z kolejnymi ludźmi, którzy będą mieli szanse na pokonanie Zhaspyra Clyntahna... Albo jego następcy. I kolejnych wielkich inkwizytorów.

Hauwerd Wylsynn spoglądał na brata i przez moment - gdy ten płomiennie do niego przemawiał - widział w jego szeroko otwartych, gorejących oczach bezgraniczne oddanie i coś jeszcze. *Wspomnienie pewnego dnia, gdy miałem... sześć lat? Tak, pewnie coś koło tego*, pomyślał, przypominając sobie ten dzień na łodzi, gdy starszy brat - ten, którego tak bardzo kochał i próbował naśladować - nadziewał za niego przynętę.

To było naprawdę dziwne. Nie wracał myślami do tamtej chwili od wielu lat, a mimo to wciąż doskonale ją pamiętał. Gorąco rozlewające się po jego plecach, gdy patrzył na zręczne palce Samyla, marząc o tym, by należały do niego samego. Radosną paplaninę, która odeszła w niepamięć podobnie jak długie wędkarskie wyprawy. Chłód bijący od wody i dna łodzi, na którym stawiali bosc stopy, drewno ławek rozgrzane do tego stopnia, że trudno było na nim usiedzieć. Gęsty jak miód żar lejący się z nieba. Wiatr unoszący kurz oraz ostry zapach igłocierni, który drażnił ich nozdrza nawet daleko na wodzie.

Niewiele ryb wtedy złowili, z tego co pamiętał. Na pewno nie wystarczyło ich na obiad dla wszystkich, mimo że matka starannie wypatroszyła ich skromną zdobycz, a potem podzieliła na trzy równe porcje, dla nich - łowców, którzy o nią dbali - i dla siebie, podczas gdy ojciec siedział z boku, robiąc wszystko, by nie wybuchnąć śmiechem.

Mimo że Hauwerd nie złowił tamtego dnia wystarczającej liczby ryb, wrócił o wiele bogatszy. Otrzymał bowiem ogromną nagrodę. Wielką jak waleniszczyciel. Jak lewiatan. Nagrodę, która całkowicie odmieniła jego życie. Gdy siadali na łodzi, by łowić, i gdy zwykłe rozmowy ulatywały, jakby rozmywał je wiatr, Samyl zaczynał opowiadać zasłyszane gdzieś

historie. Niesamowite historie o archaniołach i ich obowiązkach. O opiece, jaką Schueler roztoczył nad rodem Wylsynnów. O legendach głoszących, że mogli być jego potomkami. O cenie, jaką ich przodkowie musieli zapłacić, by służyć Kościołowi Matce, i jakże poważnym, choć zarazem radosnym jarzmie owej służby.

Nie pierwszy raz Samyl opowiadał mu tę historię, lecz tamtego dnia zrobił to inaczej. Wtedy Hauwerd tego nie zauważył. A w każdym razie nie do końca był świadom. Szczerze mówiąc, aż do dzisiaj nie zdawał sobie w pełni sprawy, jak wielkie były to różnice. Wtedy, patrząc w lśniące niezwykle oczy brata i czując, że jego własne emanują równie jasnym blaskiem, nie mógł wiedzieć, dokąd zaprowadzą ich obu te słowa.

Teraz już wiedział. Mało brakowało, by na jego usta wypełził gorzkawy uśmiezek, gdy w końcu to sobie uświadomił.

*Jakie to głupie*, pomyślał. Tylko to jedno słowo pasowało do ich sytuacji. Głupie, że dwaj chłopcy - chociaż Samyl był podówczas piętnastoletnim młodzieńcem - myśleli o tak poważnych sprawach. Że rozpoznali kapłańskie powołanie w otaczającej ich wodzie, w odorze bijącym ze słoja z przynętą, w zapachu rozgrzanej farby na burtach łodzi. Dopiero teraz, po latach, Hauwerd zrozumiał, że właśnie tego dnia zdecydowali o przyjęciu zadania, które Bóg zlecił ich rodowi przed stuleciami. To właśnie uczynili. Tamten słoneczny dzień był prawdziwym początkiem ich służby.

I tak dotarli do chwili obecnej, gdy radość z tego oddania została przyćmiona przerażającym lękiem. Goryczą wiedzy o własnej porażce. Perspektywą straszliwej śmierci w mękach, którą poniosą w imię archanioła, którego - jak wierzyli - byli potomkami. Ten strach zmieniał wszystko. Przekształcał radość w smutek, nadzieję w rozpacz. Rozpaczali nie z powodu losu, jaki czekał ich dusze, tylko przez gorycz porażki. Pismo twierdziło, że Bóg prosi człowieka tylko o to, by starał się z całych sił. A to z pewnością zrobili, choć nie zdołali doprowadzić misji do szczęśliwego końca. Ta świadomość zaczynała wyciskać łzy z oczu Hauwerda.

Gdy jednak spojrział tego ranka w oczy brata, zauważył w nich tę samą determinację. Tę samą pasję dla sprawy, której się poświęcili bez reszty. I tę samą miłość dla młodszego braciszka, który podążał za nim przez te wszystkie trudne lata, niosąc jarzmo zadania bez jednego słowa skargi. Bywały chwile, w których Hauwerd podejrzewał, że Samyl jest beznadziejnym idealistą. Wtedy modyfikował swoje plany, nie mówiąc o tym starszemu bratu. Nigdy jednak nie zwątpił w misję ani w braterską miłość.

Ich rodzice już nie żyli, chciałoby się powiedzieć, dzięki Bogu. Lysbet i dzieci także jakimś cudem zdołali zniknąć. A Hauwerd nie miał ani żony, ani potomstwa. Oprócz

dalekiego kuzynostwa nie mieli nikogo bliskiego - znów byli sami, jak wtedy na dryfującej łodzi. Bóg obdarzył ich choć tą łaską, pomimo poniesionej porażki, a oni nadal w Niego wierzyli i Jemu się oddawali. Nawet teraz. To było szalone, ale tak właśnie wyglądała prawda, ta sama prawda, której Hauwerd Wylsynn za nic by nie zmienił, gdyby nawet wiedział od pierwszego dnia, dokąd ich obu zaprowadzi.

Samyl też by tego nie uczynił.

W oczach człowieka siedzącego po drugiej stronie stołu widział to samo zdecydowanie, które próbował przełamać od pięciodni... dzisiaj już jednak wiedział, że tym razem nie będzie mu dane wygrać. Istniały bowiem kwestie, których nie mógł obalić, mimo że próbował, i to co najmniej kilkakrotnie. Na przykład fakt, że Zhaspyr Clyntahn przedstawi ich historię w innym świetle bez względu na fakty, byle pasowała do jego wersji zdarzeń. Albo to, że na mękach nawet tak niezłomny człowiek jak Samyl z pewnością przyzna się do zbrodni, których nigdy nie dokonał, i tym samym zaprzeczy swojej życiowej misji. A Clyntahn, powołując się później na ową „spowiedź”, zatriumfuje, gdyż jego przeciwnik będzie już martwy i nie zdoła zakwestionować kłamstw płynących z ust wielkiego inkwizytora, jakoby znowu pokonał mroczne siły Shan-wei.

*To nazbyt wiele, Samylu, pomyślał z płonącym spojrzeniem, gdy znów przypomniał sobie łódź. Nazbyt wiele. Bóg wymaga od nas, abyśmy zginęli za wiarę, ale ty zawsze upierałeś się, że On jest dobrem, że nas miłuje, i miałeś rację. A skoro tak, nie może żądać od nas niczego więcej. Tyle że nie mogłem cię przekonać do tej myśli. To jest prawdziwy powód mojego zaproszenia na to śniadanie.* - Poczul, jak kąciki ust drgają mu lekko, przywodząc na twarz zupełnie niespodziewany uśmiech, więc zaraz wziął się w garść. - *Wieczność to strasznie długi czas, powiedział do siebie. Być może zdążysz mi to wybaczyć.*

- Samylu... - zaczął, ale zamilkł, słysząc walenie w drzwi jego apartamentów, zdając sobie nagle sprawę, że stracił ostatnią okazję do przekonania brata.

Samyl także obejrzał się, słysząc łomot. Twarz mu stężała, oddychał głęboko, lecz dłoń nawet mu nie zadrżała, gdy odstawiał filiżankę z czekoladą.

- Obawiam się, że nadszedł nasz czas, Hauwerdzie - powiedział niesamowicie spokojnym głosem, nie odrywając wzroku od wejścia, do którego ktoś znów zaczął się dobijać. - Kocham c...

- I ja cię kocham, Samylu - wyszeptał przez łyż Hauwerd Wylsynn, gdy miecz ukryty wcześniej pod stolikiem przebijał kręgosłup jego starszego brata. Siła uderzenia zrzuciła ciało z fotela. To było już tylko ciało. Samyl Wylsynn zginął, zanim upadł na podłogę. Zadbało o to ramię niezrównanego szermierza, który bardzo go kochał.



- Wybacz - powiedział Hauwerd, spoglądając na zabitego, gdy zza drzwi dobiegł pisk różdżki inkwizytora. Nie musiał wsłuchiwać się w lamenty zamka, by wiedzieć, że ktoś go siłą otwiera. Wykorzystał ostatnią chwilę, by uklęknąć przy Samylu i zamknąć mu oczy. - Nie mogłem na to pozwolić - wyszeptał, wspominając wodę i promienie słońca, tamtą radość i zapach miłości Boga do stworzonego przez siebie świata, obecny w woni kwiecica igłocierni. - Jeśli to było morderstwo, odpowiem za nie przed Bogiem.

Uczył znak berła na czole martwego brata, otarł łzy dłonią zroszoną jego krwią i ruszył w kierunku wejścia, gdy pierwszy strażnik wkraczał do jego komnat.

- Hauwerdzie Wylsynn, aresztuję cię w... - Głos rozlegający się za plecami nadbiegającego strażnika zamilkł, gdy wikariusz zadał pierwsze mordercze pchnięcie, wbijając ostrze tuż nad napierśnikiem, posyłając w powietrze fontanny krwi z rozplatanego gardła.

- Pieprz się, Kahrnaikys! - wysyczał niemal radośnie, przestępując nad ciałem strażnika. - Zawsze byłeś durnym fiutem!

Drugi strażnik zarył obcasami w podłogę, starając się wyhamować pęd, gdy zrozumiał, że nie staje naprzeciw bezbronnego, spanikowanego wikariusza, tylko wytrenowanego szermierza dzierżącego miecz. Nie dane mu było jednak naprawić tego błędu.

- I pieprzyć Clyntahna! - zawołał Wylsynn, gdy jego miecz przeszedł pod uniesioną ręką zaskoczonego napastnika i wbił się czysto w jego prawe oko. Schludny do tej pory luksusowy przedsionek apartamentu wypełnił zapach krwi i smród opróżnianych wnętrzności. Gdy reszta napastników zaczęła wrzeszczeć, Hauwerd ruszył dalej. Kahrnaikys sprowadził ze sobą co najmniej dwa tuziny strażników, ale w tym ścisku tylko czterej mogli stawić czoło atakującemu ich przeciwnikowi. Hauwerd i to przewidział, gdy układał plany na ten ranek, i teraz szczyrzył zęby, rzucając się w kierunku strażników. Trzeci padł, zanim reszta zdążyła sięgnąć po broń. Stal uderzyła o stal i kolejny żołnierz poleciał do tyłu. Zaledwie ranny, lecz ten stan może szybko ulec zmianie, pomyślał wikariusz, widząc strugi krwi tryskające z uda leżącego mężczyzny. Zaraz jednak musiał skupić się na dwóch kolejnych, którzy zaatakowali jednocześnie.

Hauwerd cofnął się, przystając tylko na moment, by zabrać jednemu z zabitych sztylet. Stał w kolejnych drzwiach, gdzie nikt nie mógł go zająć z boku, i tam się zatrzymał z mieczem w jednej ręce, sztyletem w drugiej i zabójczym uśmiechem na ustach.

- Chodźcie, chłopcy! - zapraszał.

Obaj strażnicy zaatakowali naraz. Sztylet w lewej dłoni Hauwerda sparował pierwsze pchnięcie, kierując ostrze w bok i robiąc miejsce dla sztychu jego broni. Cienki pancerz nie

mógł powstrzymać tak doskonałej klingi i wikariusz mgnienie oka później stał już naprzeciw osamotnionego towarzysza swojej ofiary. Szybka finta, potem pchnięcie i ten strażnik Świątyni także padł martwy.

*Mogłem założyć zbroję*, pomyślał, przyciskając łokieć do głębokiej rany, jaką zdążył zadać mu ostatni z przeciwników, zanim zginął. Musiał potrząsnąć głową, by odzyskać ostrość widzenia, i zobaczył, że kolejny zbrojny pędzi prosto na niego. Ten nosił kapitańskie insygnia, Hauwerd zdołał jednak sparować jego pierwsze uderzenie.

- Poddaj się! - wrzasnął kapitan Phandys, zbijając klingę wikariusza.

- Pieprz się, draniu! - wysapał w odpowiedzi Hauwerd i stał znów zderzyła się ze stalą, gdy napierśnik kapitana przyjął na siebie sztych sztyletu trzymanego w lewej dłoni wikariusza. Starli się w wirze błyszczącego metalu. Miecze dźwięczały, nie jak dzwony, bardziej przypominało to kucie oręża na kowadłach należących do Shan-wei. Hauwerd był wyższy i silniejszy od Phandysa, ale też starszy, ranny i... nie miał na sobie pancerza.

Żaden z ludzi Kahrnaikysa nie widział nigdy podobnej walki. Ci ludzie nie przypuszczali nawet w najgorszych koszmarach, że będą świadkami pojedynku na miecze pomiędzy wikariuszem Kościoła Matki i członkiem ich formacji. I to na terenie Świątyni. Pomarańczowa sutanna Hauwerda ciemniała, nasączana tryskającą z rany krwią, ale to nie wpływało w żaden sposób na szybkość i siłę jego ciosów ani też na zimne skupienie widoczne w na wpół przymkniętych oczach. Zmusił Phandysa do cofnięcia się o krok, potem o następny i jeszcze jeden. Kapitan ustępował, by w końcu zatrzymać się i rozpocząć kontratak. W tym brutalnym starciu było coś niesamowitego i zarazem pięknego. Coś dzikiego, drapieżnego i... czystego.

Major Kahrnaikys wrzeszczał, ale nikt nie mógł go zrozumieć w tym hałasie. Nikt też specjalnie nie słuchał. Wszyscy patrzyli jak zauroczeni na walczących. Na krwawiącego wikariusza, który odrzucił wypaczenia Inkwizycji. Samotnego, rannego człowieka, który musiał wiedzieć, że jest skończony, że znieawidzony przez niego wróg wygrywa i lada moment zdławi wszelki opór we wnętrzu Kościoła, a mimo to podejmuje wyzwanie i staje naprzeciw wielu uzbrojonych strażników, i to... z uśmiechem na ustach.

Wiedzieli, że tego widoku nigdy nie zapomną, aczkolwiek Inkwizycja nie pozwoliła podzielić się tą wizją z innymi, nawet najbliższymi... choć oni i tak to zrobią, pokątnie, szepcząc tak cicho, by nawet Zhaspyr Clyntahn ich nie usłyszał. Hauwerd Wylsynn był bowiem jednym z nich, dowodził kiedyś niektórymi, jak na przykład szarżującym teraz na niego Khanstahnzo Phandysem. Obserwowali więc w milczeniu jego walkę, odmowę poddania się, wiedząc, że bez względu na treść nakazu wydanego przez Inkwizycję kiedyś

słuchali go bez szemrania.

Dzisiaj też wart był ich posłuszeństwa.

I wtedy, niespodziewanie, wikariusz Hauwerd stanął nagle na palcach, wygięty mocno w tył, z mieczem kapitana Phandysa wystającym z piersi. Trafienie nastąpiło w momencie natarcia, więc połączony impet sunącego do przodu ciała i mocy pchnięcia sprawiły, że klinga zagłębiła się aż po rękojeść.

Hauwerd jęknął, upuścił sztylet, chwycił dłonią za jelec i padł na kolana. Kapitan puścił rękojeść broni natychmiast po trafieniu, by śmiertelnie raniony Wylsynn mógł runąć do przodu. Wikariusz zdołał się jednak wyprostować. Znalazł jakimś cudem siłę, by po raz ostatni unieść głowę. Krew pieniała mu się na wargach, ale odszukał wzrokiem Phandysa. W jego spojrzeniu kapitan zauważył... wdzięczność?

Moment później oczy Hauwerda Wylsynna zamknęły się na zawsze. Padł na rękojeść miecza, który pozbawił go życia.

## **.XVII.**

### **SKŁADY BRUHSTAIRA I SYNÓW**

**ORAZ**

**ŚWIĄTYNIA SYJON**

**ORAZ**

**PÓŁNOCNY TRAKT GÓRSKI**

**ZIEMIE ŚWIĄTYNNE**

Podróż miała być dosyć... specyficzna.

Mężczyzna będący obecnie Ahbraimem Zhevonsem (i zaczynający myśleć, że potrzebuje programu zawierającego pełną listę cech każdej osoby, w którą się wcielał, aby przypadkiem czegoś nie pomylił) od dawna zastanawiał się, jak konkretnie Ahnzhelyka zamierza przetransportować dwadzieścia osób, ukrywających się przed Inkwizycją, z miasta uchodzącego za stolicę Kościoła Boga Oczekiwanego, i to w środku zimy, unikając wyśledzenia, zatrzymania i aresztowania wszystkich co do jednego. Zanim znalazł odpowiedź na to pytanie, dowiedział się, że w grę wchodzi nie dwadzieścia osób, lecz ponad dwakroć więcej.

Ogółem chodziło o pięćdziesięciu siedmiu ludzi.

Rozdziawił usta, kiedy mu o tym wspomniała po raz pierwszy. Zaraz jednak zrozumiał, że ponownie nie docenił zakresu jej działalności - tym razem wszakże nie mając żadnego wytłumaczenia. Udając się do Syjonu, wiedział, że Ahnzhelyka zamierza opuścić miasto, a nie tylko przesz muglować rodziny wysoko postawionych hierarchów Świątyni. Powinien był natychmiast skojarzyć, że będzie chciała zabrać ze sobą wszystkich tych, których wystawiła wcześniej na ryzyko bądź do których zapukaliby inkwizytorzy, spostrzegłszy jej zniknięcie. Usprawiedliwiał się przed samym sobą, że przegapił to, porażony skalą jej przedsięwzięcia. Trzeba było niemało czegoś, co na Starej Ziemi nazywano „charakterem”, żeby w ogóle brać pod uwagę ewakuację (i to za jednym zamachem) na taką skalę, jaką zamierzyła sobie Ahnzhelyka.

- Chyba żartujesz - powiedział teraz, stając przy niej w lodowatym, rozbrzmiewającym echem pustym wnętrzu składu.

Ahnzhelyka zrezygnowała z kosztownych, pięknie uszytych i niezwykle modnych strojów, jakie nosiła przez lata. Zrezygnowała również z długich włosów i skomplikowanych fryzur, drogich kosmetyków, biżuterii i nieskazitelnych dłoni. Stojąca obok Zhevonsa niewysoka kobieta, której oddech parował na zimnym powietrzu, miała na sobie watowane spodnie, wygodne zamszowe buty i gruby praktyczny, aczkolwiek dość nieciekawie wyglądający wełniany sweter. Nadal była szczupła i drobna, to prawda, lecz o dziwo zdawała się krępa i solidna, niepodobna do uwodzicielskiej, zjawiskowej, nieomal zwiewnej Madame Ahnzhelyki. W tym właśnie momencie miała zarzucony na ramiona płaszcz, który bardzo przypominał zimowe okrycia żołnierzy charisjańskiej marynarki wojennej. Ciuch ten ważył nie mniej niż zbroja Merlina Athrawesa, ale też będzie równie wytrzymały w zderzeniu ze śnieżną zamiecią przy kilkudziesięciostopniowym mrozie.

- Żartuję? - Ahnzhelyka przeniosła na niego spojrzenie i przyglądała obecnie krótko przystrzyżone włosy. - Dlaczego miałabym żartować, Ahbraimie?

- Chcesz mi powiedzieć, że przygotowałaś to wszystko - „Zhevons” zatoczył ręką koło, obejmując tym ruchem cały magazyn - pod samym nosem Clyntahna?

- Niezupełnie.

Ahnzhelyka również powiodła spojrzeniem po wnętrzu, w którym stali. Jak większość tego typu budynków w Syjonie przysadzista budowla została wypełniona aż po dach jeszcze przed zimą. Głównie artykułami spożywczymi w hurtowych ilościach, aczkolwiek w wypadku tego konkretnego magazynu jakaś jedna czwarta powierzchni była zajęta przez spakowany w worki węgiel z prowincji Glacierheart, podczas gdy niemal połowę placu składowego na zewnątrz pokrywał błyszcząco czarny urobek z głębokich kopalń położonych

w Górach Światła. O tej porze roku ponad dwie trzecie towarów zostało upłynnione (bez wątplenia generując zysk), a personel stosownie zredukowany.

- W gruncie rzeczy - podjęła, wracając spojrzeniem do gościa - większość przygotowań poczyniłam, zanim Clyntahn został wielkim inkwizytorem. - Na wspomnienie jego nazwiska skrzywiła się, a jej niesłychanie wyraziste oczy stały się zimniejsze od powietrza w tym magazynie. - Zawsze byłam zwolenniczką planowania z wyprzedzeniem, Ahbraimie. Nawet w czasach, gdy wciąż naiwnie wierzyłam, że Rada Wikariuszy nie może być tak zepsuta... tak głupia, aby mianować wielkim inkwizytorem kogoś takiego jak Clyntahn. A teraz...

Wzruszyła ramionami gwałtownie, gniewnie, a Zhevons zareagował krótkim skinieniem głowy. Wraz ze zniknięciem Ahnzhelyki przestała istnieć większość jej sieci informacyjnej, lecz nie potrzebowali szpiegów, aby wiedzieć, że ich przypuszczenia co do planów Clyntahna były przeraźliwie słuszne. Ani jeden członek Kręgu Samyla Wylsynna nie uszedł ze Świątyni. Garstka niższych rangą biskupów i arcybiskupów, którym udało się uciec z Syjonu przed zimą, mogła liczyć na uniknięcie szponów Inkwizycji, lecz nikt poza tym - z wyjątkiem rodzin, którymi zajęła się w porę Ahnzhelyka - nie miał tyle szczęścia.

Trzy dni trwało, zanim potwierdzono zgon Samyla i Hauwerda. Ahnzhelyka, słysząc o tym, schroniła się w tej lisiej norze, zastępując nią swój luksusowy dom. Zamknęła za sobą drzwi magazynu bardzo cicho i tylko wyczulony słuch CZA0 był w stanie wychwycić stłumione, ledwie słyszalne, pełne samokontroli i goryczy, łamiące serce szloch, które przez pewien czas były jej jedynymi towarzyszami w ciemnym obskurnym pomieszczeniu. Ale gdy wyłoniła się stamtąd po godzinie, oczy miała odrobinę napuchnięte, lecz nic innego nie wskazywało, że jest pogrążona w nieutulonym żalu.

A opłakiwała nie tylko Wylsynnów. Wprawdzie bracia byli jedynymi członkami Kręgu, którzy wiedzieli o prawdziwej działalności Ahnzhelyki, lecz wielu innych członków Kręgu znało „Madame” na zupełnie innej płaszczyźnie i przez lata stało się jej najbliższymi przyjaciółmi. Tylko nieliczni hierarchowie mieli jej za złe obraną profesję, a nawet oni z czasem dowiadawali się o jej dobroczynności i wspieraniu garkuchni i schronisk dających szansę przeżycia najuboższym. O ile bowiem utraciła bezpowrotnie Samyla i Hauwerda, ci dwaj przynajmniej byli martwi. Reszta jej drogich przyjaciół znajdowała się w mocy Clyntahna, a Ahnzhelyka nie miała złudzeń co do tego, czego doświadczają w momencie, kiedy o nich myśli.

W magazynie, w którym się znajdowali, przebywało sześć rodzin - i wszystkie musiały żyć z tą samą świadomością.

*Tyle dobrego, że nie będą przebywać tu dłużej, pomyślał Zhevons. - I dzięki Bogu. To miasto było wystarczające złe, gdy się tu pojawiłem. Teraz jest po dziesięciokroć gorsze.*

Więść o aresztowaniach spadła na Syjon niczym obuch. Członkowie Kręgu, tak jak Ahnzhelyka, udzielali się na niwie charytatywnej. Wielu należało do zakonu Bédard albo Pasquale i działało w schroniskach prowadzonych przez te zakony. Schroniska owe, choć pozostawiały wiele do życzenia, choć były niedofinansowane, choć brakowało w nich personelu i choć najczęściej założycielskie zakony zwyczajnie je ignorowały, stanowiły - w dosłownym znaczeniu - o życiu albo śmierci tysięcy ludzi. Dlatego ci z hierarchów, którzy raczyli je wspierać, a w niektórych wypadkach nawet pełnili w nich regularnie służbę - byli uwielbiani przez te same tysiące biednych mieszkańców Syjonu. Inni hierarchowie współpracowali z poszczególnymi parafiami, których proboszczowie poważnie podchodzili do obowiązku troszczenia się o tych bliźnich, którym powiodło się gorzej w życiu, i ci również byli kochani przez potrzebujących.

Pomijając osoby, którym szlachetni hierarchowie pomagali, byli oni znani także pośród niższego duchowieństwa i laikatu. Wiadomość, że zostali pojmani i oskarżeni o herezję i zdradę, że należy ich potępić - a w gruncie rzeczy, że już zostali potępieni jako skryci apostaci sprzyjający heretyckiemu Kościołowi Charisu i wyczyniający najgorsze plugastwa w życiu osobistym - wprowadziła w zdumienie dosłownie wszystkich. Coś takiego nie mieściło się w głowie, zakrawało na pomyłkę. A jednak plotki o aresztowaniu okazały się prawdą i wkrótce zaczęły się pojawiać „wyznania” oskarżonych, po tym jak inkwizytorzy zaczęli im „przemawiać do rozsądku”.

W Syjonie wszczął się zrazu spokojny, cichy tumult. Nikt nie śmiał wyrazić swoich myśli na głos, lecz wielu domyślało się, jakie są prawdziwe przyczyny tych aresztowań. Inni postrzegali zniszczenie Kręgu jako bezwzględny, zaplanowany i z premedytacją i na zimno przeprowadzony manewr mający na celu uciszenie każdego, kto podważał racje Grupy Czworoga. Było to równoznaczne z wyrwaniem tolerancji z korzeniami. Z potwierdzeniem, że należy być fanatycznie wiernym nie tylko Kościołowi Matce, ale przede wszystkim Radzie Wikariuszy, Zhaspyr Clyntahn zacisnął żelazną pięść na Świątyni, owym sercu Kościoła Boga Oczekiwanego, w czego efekcie cały Syjon wstrzymał oddech i z drzeniem czekał na objawienie kosztów jego triumfu.

*Niebawem zaczął się denuncjacje, przewidywał w duchu Zhevons. Inkwizycja zawsze miała sieć informatorów na całym Schronieniu. Nie bez powodu szczególnie gęstą tutaj, w Syjonie. Ale teraz ludzie zaczną zwracać się przeciwko każdemu - przeciwko byle komu - aby tylko udowodnić swoją prawomyślność, lojalność i spolegliwość. Wiele osób zostanie*

*rzucanych krakenowi na pożarcie, wiele innych dzięki temu przeżyje wraz z rodzinami.*

- Muszę przyznać - odezwała się Ahnzhelyka, a w jej tonie pobrzmiwała gorzka satysfakcja - że choć zaczęłam czynić przygotowania przed objęciem funkcji wielkiego inkwizytora przez Clyntahna, chętnie wykorzystam tego knura do przeprowadzenia mego planu do końca i przetrucenia zagrożonych osób poza Syjon.

Zhevons ponownie skinął głową, chociaż jej wyznanie zmusiło go do przyznania przed samym sobą, że zuchwałość planu Madame wywołuje w nim pewną nerwowość. Musiał sobie przypominać, że właśnie to zuchwalstwo jest rękojmią powodzenia planu.

Już wcześniej wiedział, że Ahnzhelyka Phonda jest niezwykle przebiegłą kobietą interesu oraz zdolną konspiratorką. Nie miał jednak pojęcia, jak przy tym jest bogata. Właściwie nie powinno go dziwić, że ktoś, kto z taką zręcznością ukrywał swoje działania przed Inkwizycją, był w stanie również skrywać swe różne przedsięwzięcia przed urzędnikami miasta i poborcami podatkowymi Kościoła. Chociaż z drugiej strony podejrzewał, że Ahnzhelyka płaciła Bogu co boskie i miastu co miejskie, a także uściła parę sowitych łapówek na boku. Tyle że nie robiła tego pod własnym nazwiskiem. Istotnie, gdy już się domyślił, gdzie szukać, znalazł aż dziewięć fałszywych tożsamości, które Ahnzhelyka skonstruowała i utrzymywała „przy życiu” - w jednym przypadku aż przez dwadzieścia sześć lat! - przy czym był więcej niż pewien, że ta dziewiątka to jeszcze nie wszystko. Madame działała w społeczności biznesowej Syjonu na długo przed tym, zanim na świat przyszedł Cayleb Ahrmahk, udzielając się na płaszczyźnie biznesowej i tej mniej legalnej, aczkolwiek niemal wszystkie jej firmy przynosiły dochód. Poziom tego dochodu wahał się od „krawędzi bankructwa” do „kopalni pieniędzy”, ale ogólnie zdecydowanie wychodziła na plus.

Jednym z jej przedsięwzięć były właśnie te magazyny - całkowicie legalny i przynoszący niebywałe zyski interes działający w branży hurtowniczej i przewozowej - teoretycznie prowadzone przez Bruhstair i Synów. Jak wiele podobnych firm, Bruhstair i Synowie działali na pograniczu legalności, a czasem wyłącznie w szarej strefie. Najstarszy pion firmy, dział zajmujący się przewozami, istniał od prawie stulecia, a w chwili wykupienia go przez Ahnzhelykę miał dokładnie pięćdziesiąt siedem lat i zatrudniał ponad dwieście osób. Oczywiście operacji przejęcia Madame dokonała za pośrednictwem podstawionych osób, po części o fikcyjnych tożsamościach. Choć wykupiła firmę od ostatniego z „Synów” widniejących w nazwie, interes bynajmniej nie podupadał, a pod jej kierownictwem zaczął wręcz prosperować. Firma przewozowa tej wielkości i tej zyskowności (dochód netto za miniony rok wyniósł prawie osiemdziesiąt tysięcy marek, co było niesamowitym wynikiem jak na tę branżę, na przykład w porównaniu z przewozami morskimi) nie mogłaby istnieć bez

swoistego „porozumienia” z członkami wikariatu i wieloma hierarchami Kościoła. Czego dowodem było choćby to, jak mało opłat celnych odprowadzała za towary przeznaczone dla ludzi takich jak Zhaspyr Clyntahn.

Tak to wyglądało od dawna, aczkolwiek w ostatnich stu latach sytuacja jeszcze się pogorszyła. Obecnie nikt nie dbał o to, by papiery były należycie sfalszowane. Agenci celni i poborcy podatkowi nauczyli się nie przyglądać zbyt dokładnie niczemu, co miało trafić do wikariuszy Kościoła, a Langhorne miał w opiece tych rzadkich - bardzo rzadkich! - młodych bądź naiwnych (by nie powiedzieć: głupich) agentów czy poborców, którzy popełniali ten błąd i dostrzegali coś, czego nie powinni zobaczyć.

Ale takich wypadków było niewiele. Zhevons usłyszał od Ahnzhelyki, że ostatniego uczciwego agenta celnego widziano w Syjonie trzydzieści siedem lat temu. Nie chodziło o to, że współcześni urzędnicy byli mniej zdolni czy mniej wydajni; raczej doskonale rozumieli, że znaczna część (w ocenie Zhevonsa jedna czwarta, aczkolwiek te szacunki mogły być zaniżone) miejskiego handlu - szczególnie obrotu towarami luksusowymi - odbywała się w imieniu albo dla arcybiskupów i biskupów, którzy i tak byli praktycznie zwolnieni z podatków. A jako że nigdy tych zwolnień podatkowych nie usankcjonowano prawnie, nawet najzagorzalszy pracownik agencji celnej wiedział, że musi przemykać oczy.

*A kiedy człowiek uświadomi sobie, co robi, zaraz zaczyna się zastanawiać, jak by tu uwić własne gniazdko,* pomyślał gorzko Zhevons, porównując lokalny koloryt i rozpasaną korupcję z warunkami panującymi w Imperium Charisu, gdzie czegoś podobnego nie tolerowano by nawet przez moment.

Nie miał jednak zamiaru narzekać. Szczególnie że Ahnzhelyka Phonda była uzdolniona na obu frontach i potrafiła obrócić nieciekawą sytuację na swoją korzyść... a nawet miała wystarczająco silne nerwy, by zatrudnić jednego z zarządców Clyntahna jako cichego wspólnika firmy Bruhstair i Synowie.

Niezmierna zuchwałość Madame porażała *seijina* Zhevonsa. Jakież agent celny, jakież poborca podatkowy chciałby zadzierać z Zhaspyrem Clyntahnem, parającym się nielegalnym handlem, nawet w czas pokoju? Sam pomysł napawał śmiechem! A obecnie, gdy Clyntahn rozciągał swoje panowanie i siał postrach w całym mieście, każdy kto mógł unikał zwracania na siebie uwagi groźnego wielkiego inkwizytora. Co sprawiło, że stał się on najskuteczniejszą obroną przed własną mściwością w stosunku do osób, które Ahnzhelyka chciała chronić.

Zhevons uznał, że wyjątkowa ironia tego faktu zasługuje na podziw pomimo elementu ryzyka.

- Możemy wyjechać z samego rana, Ahbraimie - obwieściła Ahnzhelyka. - Co



podpowiadają ci twoje zdolności *seijina* na temat pogody?

- Wszystko wskazuje na to, że przez resztę miesiąca będzie mroźno i bez opadów - odparł. - W połowie nadchodzącego pięciodnia może spaść trochę śniegu, ale nie będziemy mieli niczego w rodzaju poprzednich zamieci. Najwyżej parę cali, góra stopa świeżego śniegu w okolicy, przez którą będziecie podróżować.

Przyjrzała mu się z namysłem, na co odpowiedział szczerym uśmiechem. Nie miał wątpliwości, że jak tylko odstawi swoich podopiecznych do Starego Charisu, Ahnzhelyka Phonda dołączy do innego kręgu. Tymczasem pozwalał sobie na czerpanie przyjemności z wyrazu jej twarzy, znamionującego, że za tymi bystrymi oczami umysł pracuje na najwyższych obrotach, aby ustalić, jakim cudem udaje mu się przewidywać bez pudła pogodę.

Pomiędzy innymi rzeczami.

- To dobrze - stwierdziła po chwili. Następnie ponownie się rozejrzała po przestronnej hali magazynu i potrząsnęła głową. - Naprawdę będę tęsknić za tym miejscem... - westchnęła.

- Czy mogę zapytać, co stanie się z twoimi... eee... przedsięwzięciami po twoim wyjeździe z Syjonu?

Wzruszyła ramionami.

- Zamierzałam je sobie zostawić - wyznała. - Tyle czasu poświęciłam na ich zakładanie i pilnowanie, by działały jak trzeba, że pożegnanie się z nimi jest dla mnie niemal jak amputacja kończyny. Nie sądziłam, że powiem coś takiego, a jednak mówię. Kiedy to sobie uzmysłowiłam, pomyślałam, że utrzymanie ich na dłuższą metę może się przydać kiedyś w przyszłości, aby stanowiły bazę dla moich poczynań tutaj, w Syjonie... gdyby na przykład trzeba było splotać Clyntahnowi i jego kumplom figla.

Pokręciła głową i zacisnęła szczęki, a Zhevons dostrzegł, że w jej oczach pobłyskuje nienawiść, kiedy patrzyła na coś, co tylko ona mogła zobaczyć.

- Ale... - odpowiedział, gdy milczenie się przeciągało.

- Słucham? - Wzdrygnęła się, zamrugała i ponownie skupiła spojrzenie na nim. - A. Wybacz. Zamyśliłam się...

- Właśnie widzę... Z tego, co powiedziałaś, wnoszę, że jednak postanowiłaś je wszystkie zamknąć?

- Tak. - Wzruszyła ramionami. - Zorganizowałam wszystko tak, aby po moim wyjeździe firmy uległy płynnej likwidacji bądź przeszły na własność osób, które je dla mnie prowadziły przez tyle czasu. Uznałam, że lepiej pozbierać swoje zabawki, nie zostawiając ani śladu, niż dać komuś do myślenia, dlaczego nagle wszystkie firmy, z którymi niejaka

Ahnhelyka Phonda miała coś wspólnego, w tajemniczy sposób zniknęły. Poza tym ludzie, którzy dla mnie pracowali, nie wiedząc, że to robią... jeśli wyrażam się dla ciebie dość jasno... wykonali kawał dobrej roboty. - Znowu wzruszyła ramionami. - Myślę o tym jak o ich zabezpieczeniu emerytalnym.

- Rozumiem - pokiwał głową. - Chociaż podejrzewam, że chodzi ci nie tylko o wynagrodzenie ich za lojalność i ciężką pracę?

- Nie. - Popatrzyła prosto na niego. - Jeśli cokolwiek na tym świecie jest pewne, Ahbraimie, to że Clyntahn zaciśnie pięść na wszystkich lądowych domenach. Ale raczej nie uda mu się złapać za gardło Republiki Siddarmarku tak mocno, jak by chciał. Przynajmniej do czasu. Jednakże pozostałe księstwa, królestwa, nawet cesarstwa... tymi będzie rządził żelazną ręką w imieniu Kościoła Matki. Jak się domyślasz, jego kontrola będzie najpełniejsza tutaj, w Syjonie. Dlatego, choć perspektywa zostawienia sobie firm na wszelki wypadek była kusząca, nie mam prawa narażać tych wszystkich osób na posądzenie o korszachy z Shanwei. Bardzo uważałam, aby nic nie wskazywało na moją współpracę z Kręgiem. Nie zamierzam mieszać swoich współpracowników w rozgrywkę ze Świątynią, szczególnie że Clyntahn pała żądzą krwi.

- No tak... - Zhevons uśmiechnął się do niej blado. - Twoje słowa sugerują, że nie zamierzasz również zaprzestać owej, jak ją nazywasz, rozgrywki ze Świątynią...

- O, na to możesz liczyć, Ahbraimie - rzekła cicho. Chyba nikt nie pomyliłby grymasu, w którym odsłoniła białe zęby, z uśmiechem. - Jestem bardzo bogata, wiesz... - kontynuowała. - Nawet pozbywając się tutejszych firm, nie będę biedować. Zdziwiłoby cię... no, może ciebie akurat nie, lecz innych ludzi z pewnością... ile udałoby mi się uciulać na kontaktach w Tellesbergu czy na dworze Qwentyna w Siddarmarku. Z tego co mówiliście o Adorai, mogę liczyć także na poparcie cesarza Cayleba i cesarzowej Sharleyan. Kiedy już dostanę od nich dach nad głową, całe swoje bogactwo będę mogła przeznaczyć na jeden tylko cel: by uczynić życie Zhaspyra Clyntahna piekłem i skrócić je tak, jak się da.

\* \* \*

- Czy to już ostatnia, Rhobairze? - zapytał hrabia Corisu, przyglądając się, jak Seablanket kończy domykanie i opasywanie kolejnej z rzędu skrzyń.

- Tak, mój panie. - Seablanket położył dłoń na skrzyni, odwracając się, by spojrzeć na chlebobawcę, a choć ton głosu miał tak rzeczowy jak zwykle, trzeba by być znacznie głupszą i mniej spostrzegawczą osobą niż Phylip Ahzgood, aby nie zauważyć ulgi w oczach lokaja.

- W takim razie niech się już znajdą na *Szerszeniu*. - Hrabia Corisu uśmiechnął się bez wielkiej wesołości, za to z ulgą jeszcze większą niż ta w oczach Seablanketa. - Ojciec Hahlys

nas oczekuje, a ja wolałbym nie nadużywać jego cierpliwości.

- Oczywiście, mój panie - zgodził się z zapalem lokaj. - Będą na pokładzie w ciągu godziny.

- Świetnie, Rhobairze. Świetnie.

Hrabia Corisu poklepał sługę po ramieniu, po czym odwrócił się i przeszedł do okna, skąd rozciągał się widok na Syjon.

*Boże, nie mogę się doczekać, kiedy znów postawię nogę po drugiej stronie jeziora, pomyślał, kręcąc głową. Jadąc tutaj, sądziłem, że sprawy nie mogą wyglądać gorzej. Tymczasem...*

Spotkania z Zahmsynem Trynairem i Zhaspyrem Clyntahnem poszły wystarczająco źle. Hrabia Corisu doszedł nawet do wniosku, że nie doceniał cynizmu wielkiego inkwizytora... oraz jego okrucieństwa. Po prawdzie, z trudem przychodziło mu uwierzyć, że Clyntahn jest jeszcze bardziej cyniczny i okrutniejszy, niż zakładał, ale fakty mówiły same za siebie. Gdyby nawet z jakiegoś powodu koniecznie chciał się czepiać złudzeń w tej materii, czystki, których dokonał Clyntahn w szeregach wikariatu, otworzyłyby mu szeroko oczy.

Hrabia splótł dłonie na plecach, zaciskając palce. Nie znalazł osobiście Samyla ani Hauwerda Wylsynna, lecz miał przyjemność spotkać kiedyś wikariusza Chiyana Hysina - z tych Hysinów z Harchongu - i nie potrafił sobie wyobrazić kogoś mniej odpowiadającego opisowi „zaciekły heretyk molestujący małe dziewczynki”. A jednak Hysina oskarżono właśnie o te zbrodnie, do których - ku zdumieniu i odrazie inkwizytorów - sam się w końcu przyznał.

Hrabia Corisu nie miał nawet cienia wątpliwości, że prawdziwą zbrodnią Hysina - jak również wszystkich pozostałych aresztantów oraz ofiar zatrzymań, a także osób, które zginęły w tajemniczych okolicznościach w ostatnich trzech pięciodniach - było przeciwstawianie się Grupie Czworoga bądź ryzyko oporu albo nawet tylko podejrzenie o możliwy opór. Ponoć były jakieś prawdziwe dowody na podejmowane przez Hysina sekretne działania. Hrabia nie przeczył temu. Choć nie był w stanie zorganizować sieci szpiegowskiej tak jak gdzie indziej i w bardziej sprzyjających okolicznościach, zdołał umieścić paru informatorów w murach Świątyni i w mieście. I wszyscy oni przyznawali - skrycie, z wielką ostrożnością, szeptem nie przeznaczonym dla uszu postronnych - że owe „działania podejmowane w sekrecie” przez Hysina i resztę wikariuszy i prałatów, których ochrzczono mianem „Kręgu Charisjańskiego”, były w rzeczywistości wymierzone w Grupę Czworoga i wołające o pomstę nadużycia duchowieństwa, bynajmniej zaś nie miały na celu zdrady Kościoła Matki i Boga i wydania ich na pastwę apostatów.

*Oczywiście, że tak, myślał hrabia Corisu na zimno. Głupcy! Jacyż straszni z nich byli głupcy! Jak w ogóle mogli... Potrząsnął głową. Oddaj im sprawiedliwość, Phylipie. Zanim zaczęła się ta cała sprawa z Charisem, stawianie oporu Clyntahnowi było ryzykownym szaleństwem, lecz nie równało się samobójstwu. A oni przecież nie zaczęli swojej działalności przedwczoraj. To przykład, jak można upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. I czerpać z tego wielką przyjemność.*

Przymknął na moment oczy, przytykając czoło do lodowatej szyby w krótkiej milczącej modlitwie za ludzi, którzy w tej właśnie chwili bez wątpienia cierpieli niewysłowione tortury w lochach Inkwizycji. Którzy mieli zginąć męczeńską śmiercią Erayka Dynnysa... chyba że Zhaspyr Clyntahn wpadnie na jeszcze straszniejszy sposób pozbawienia ich życia.

I w dodatku których rodziny zostały aresztowane razem z nimi.

*Musisz wracać do Talkyry, rozkazał sobie w duchu, ulegając rozpacz. - Musisz wrócić do Irys i Daivyna. Ponownie potrząsnął głową, nie otwierając oczu. Skoro Clyntahn jest na to gotowy, skoro jest gotowy pojmać i osadzić w lochu jedną dziesiątą wikariuszy i skazać ich na śmierć tylko po to, by umocnić swoją pozycję, nie można mieć wątpliwości, że bez wahania poświęci także Daivyna.*

Potrząsnął głową po raz trzeci. Jedynym członkiem Grupy Czwoorga, który zdawał się szczerze troszczyć o dobro Daivyna, był Rhobair Duchairn. Spotkał się ze skarbnikiem Świątyni dwukrotnie, chociaż nie musiał się z nim w ogóle widzieć. Spotkania te - oficjalnie poświęcone potrzebom finansowym Daivyna i ustaleniu wysokości wsparcia Kościoła dla jego dworu na wygnaniu - zostały zaaranżowane przez drugą stronę i coś mówiło hrabiemu, że Duchairn zorganizował je osobiście, aby mieć pewność, że spotkają się w cztery oczy.

Hrabia Corisu doceniał ten gest, aczkolwiek uważał, aby tego po sobie nie okazać. Był prawie pewien - niestety, tylko prawie - że troska Duchairna jest szczerą. Pasowałoby to do jego wcześniejszej oceny stanowiska wikariusza Rhobaira, poza tym smutek bijący z oczu skarbnika nie mógł być udawany. Wszelako hrabia nie miał całkowitej pewności i nie mógł wykluczyć, że Duchairn tylko go bada, sprawdzając jego przydatność jako narzędzia dla Grupy Czwoorga w sposób subtelniejszy niż w wykonaniu Clyntahna. Stąpienie po linie rozciągniętej między staraniami o jak najlepszą przyszłość dla Daivyna i udawaniem przekupnego sługi nie było najłatwiejszą rzeczą, jaką przyszło zrobić w życiu hrabiemu Corisu, ale na szczęście dopomogła mu wieloletnia kariera agenta.

Na ile prawdziwa (lub nie) była troska Duchairna, to jedno. Natomiast stanowisko pozostałych członków Grupy Czwoorga było bardziej niż przejryste. Hrabia Corisu miał

obecnie ograniczoną możliwość śledzenia wieści na temat tego, co dzieje się w Corisandzie, szczególnie że pozostawał w takiej odległości, lecz jego źródła w Syjonie, takie, jakie były, donosiły, że sprawy nie toczą się tam po myśli Świątyni. Ton ostatniej rozmowy z Trynarem sugerował to samo. Mimo że kanclerz starał się zbagatelizować swoje obawy, wszystko wskazywało na to, że szala w stolicy Corisandu przechyla się na korzyść Cayleba i Sharleyan - a przynajmniej Kościoła Charisu. A kiedy Zhaspyr Clyntahn uzna, że Corisandczykom potrzebny jest następny kopniak, aby wzbudzić w nich od nowa ogień, to kolejne skrytobójstwo być może sprawi, że Manchyr opowie się po stronie...

*Tak, muszę natychmiast wracać do Talkyry.*

\* \* \*

*Udało jej się!* - pomyślał Ahbraim Zhevons. *Mój Boże, naprawdę jej się udało!*

- Przynajmniej na razie - dodał po chwili półgłosem.

Nadal istniało ryzyko, że koła tego rozpedzonego wozu odpadną, lecz kiedy się przyglądał karawanie złożonej z masywnych sań ciągnionych przez białe jaszczury po oblodzonym górskim trakcie, zaczynało stawać się dla niego jasne, że jego obawy o bezpieczeństwo Ahnzhelyki Phondy były nieco przedwczesne.

Pod wieloma względami zgranie jej ucieczki z Syjonu w czasie z innymi wydarzeniami było idealne. W środku zimy, gdy drogi i trakty są zamarznęte na kość, łatwiej jest przemieszczać ciężki ładunek po śniegu i lodzie, wykorzystując specjalnie zaprojektowane sanie (zakładając, że ma się do dyspozycji zwierzęta pociągowe tak wytrzymałe jak białe jaszczury znane tylko na Schronieniu), aniżeli na wozach z kołami po grząskim gruncie późną jesienią czy wczesną zimą, a już na pewno o wiele łatwiej niż wiosną, gdy zaczynają się roztopy, co miało nastąpić za niecały miesiąc. W istocie było to nawet znacznie łatwiejsze niż latem. I chwała Bogu za to. Pomimo dużej liczby magazynów, spichrzów i hurtowni w Syjonie w samym środku zimy miasto rozpaczliwie potrzebowało odnowienia zapasów. Do Ziemi Świątynnych wszelkimi drogami napływały nowe dostawy przez okrągły rok - z wyjątkiem mniej więcej miesiąca, kiedy warunki pogodowe uniemożliwiały wszelki transport. Gdy jednak pogoda się stabilizowała, tak jak teraz, handel wznowiano na parę pięciodni, nawet pomimo zamieci i zawiei śnieżnych, jakie szalały na północy.

Kupcy ruszali w stronę Syjonu, ale i w kierunku przeciwnym, tak jak uczyniła to karawana wysłana przez firmę Bruhstaira i Synów. Na saniach znalazła się cała gama

towarów, w tym kilkaset butelek przedniej brandy i whiskey. Zhevons gustował raczej w chisholmskich trunkach, nie mając w wielkim poważaniu tego, co produkowano w Syjonie, ale nie mógł zaprzeczyć, że gorzelnie Ziem Świątynnych cieszą się sporym prestiżem. Abstrahując od tego, czy alkohole świątynne zasługiwały na renomę czy nie (skromnym zdaniem Zhevonsa, nie zasługiwały), liczone sobie za nie słono tylko na podstawie samych nalepek.

Obok trunków znalazły się jednak także paki z książkami opublikowanymi przez domy wydawnicze Syjonu, warte pół miliona dzieła sztuki religijnej i nie mniej cenny zbiór biżuterii. Na resztę ładunku składały się raczej lekkie, aczkolwiek zajmujące sporo miejsca artykuły, takie jak bogata kolekcja tapiserii, kobierców i innych przedmiotów utkanych z runa owiec i górskich jaszczurów ze stad Kościoła, z pozoru powszednie, lecz niejednokrotnie również bardzo wartościowe, dlatego wymagały specjalnej troski podczas przewożenia. To ostatnie mogło być wytłumaczeniem, dlaczego wiele sań Brushtaira i Synów miało spore ładownie przypominające z wyglądu i rozmiarów kontenery, jakie Nimue Alban pamiętała ze Starej Ziemi. Oczywiście przed opuszczeniem Syjonu wszystkie zostały zamknięte i zapieczętowane przez bystrookich agentów celnych. Każda rzecz trafiająca na sanie przeszła... przynajmniej na papierze... drobiazgową kontrolę. To znaczy równie skrupulatną jak zawsze. Agenci celni zapoznali się z dokumentami, spostrzegli na nich nazwisko jednego z zarządców Clyntahna, po czym sumiennie je opieczętowali.

Wszakże za sprawą ich niewątpliwie godnego pochwały entuzjazmu, z jakim chcieli wyekspediować własność wielkiego inkwizytora w dalszą drogę, doszło do paru... nieprawidłowości. To i owo umknęło uwagi niezwykle czujnych urzędników. Mianowicie przegapili oni między innymi fakt, że sześć największych sań wiozło - oprócz starannie zamkniętych i opieczętowanych głównych ładowni z cennym towarem - nierzucające się w oczy mniejsze kontenery. Do których dostęp - z dziwnego, lecz bez wątpienia słusznego powodu - miało się po zejściu do parteru, a jeszcze lepiej: po wpełznieniu pod sanie między ogromnymi płozami.

W kontenerach tych przewożono ponad pięćdziesięciu uciekinierów z Syjonu.

Nie był to najwygodniejszy sposób podróżowania, ale przynajmniej ściany kontenerów były grube i nieprzemakalne. Przedziały osobowe w ich wnętrzu zaprojektowano na tyle duże, by pomieściły materace i śpiwory i jeszcze umożliwiały swobodę ruchów, i otoczono belami materii, różnorodnych, lecz zawsze drogich, bo syjońskiej roboty tkanin i innych wyrobów luksusowych. Tak więc ludziom ukrytym w środku kontenerów było cieplej niż komukolwiek na zewnątrz. A kiedy karawana znalazła się o parę dni drogi od Syjonu,

sekretni pasażerowie mogli opuścić swoją kryjówkę, gdy sanie stawały na noc, i wmieszać się dyskretnie - bardzo dyskretnie - w tłum woźniców i poganiaczy. Którzy, co należy zauważyć, byli przyzwyczajeni do tego, że czasem w trakcie podróży ni stąd, ni zowąd pojawia się nieznajoma twarz.

Ta konkretna podróż zapowiadała się na dość długą. Sanie miały posuwać się wzdłuż południowego brzegu Przesmyku Hsing-wu - od Syjonu aż do Morza Lodowatych Wichrów. Po drodze przy okazji przystanków w kolejnych miastach zamierzano pozbyć się części ładunku, aczkolwiek tak naprawdę wybrano tę trasę dlatego, że w przeciwnym razie konieczne byłoby pokonanie Gór Światła.

Jako że Góry Światła były nieomalże nie do przebycia, przez setki lat Kościół Matka, Ziemia Świątynne i Republika Siddarmarku wspólnymi siłami zbudowały trakt wiodący wzdłuż przesmyku. W miesiącach, w których żegluga morska była możliwa, trakt zarastał mchem, i to dosłownie; natomiast zimą, kiedy Przesmyk Hsing-wu skuwały lody, trakt ożywał. W chwili obecnej Ahnzhelyka i jej podopieczni znajdowali się mniej więcej w jednej trzeciej drogi do Siddarmarku, a co za tym idzie do galeonów, które miały ich powieźć do Tellesbergu oraz - oby - do wolności. O ile nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, staną na pokładzie już za dwa miesiące, a w Tellesbergu znajdą się siedem albo osiem pięciodni później.

Czyli najpóźniej pod koniec czerwca. Wciąż nie mogę uwierzyć, jak łatwo jej poszło, *pomyślał Zhevons, kręcąc głową*, i ruszył w stronę sań przypisanych niejkiej Frahncyn Tahlbaht, która o dziwo w niczym nie przypominała filigranowej i uroczej Ahnzhelyki Phondy. Pani Tahlbaht była miła dla oka, ale też w każdym calu wyglądała na doświadczoną, pełną profesjonalizmu pracownicę firmy Bruhstair i Synowie, którą oddelegowano do konwojowania co wartościowszych towarów. Widać to było choćby po ubiorze.

Zapukał delikatnie do bocznych drzwiczek sań, po czym otworzył je i wstąpił na wąski próg, kiedy usłyszał zaproszenie.

- Dzień dobry, Ahbraimie - przywitała go uśmiechem pani Tahlbaht. - Co mogę dla ciebie zrobić tego pięknego dnia?

- Właściwie przyszedłem się pożegnać - odparł. Opadł na krzesło za małym, przymocowanym do podłogi sań biurkiem. Widząc, że kobieta unosi pytająco brwi, Zhevons wzruszył ramionami. - Z tego co widzę, udało ci się - rzekł. - Oczywiście oboje możemy się mylić w tym względzie, nie sądzę jednak, by tak było. Teraz, gdy już znam waszą trasę, będę mógł nakłonić i innych przyjaciół *seijina*. Merlina, aby mieli was na oku. - Zaśmiał się nagle. - Wiesz chyba, że Góry Światła to tradycyjna siedziba szkolących się *seijinów*?

- Tak słyszałam - potwierdziła, a następnie okręciła się na przymocowanym do podłogi obrotowym krześle i wstała. - Będzie mi ciebie brakować, wiesz... - powiedziała, po czym postąpiła dwa kroki w przód, co wystarczyło, by pokonać dzielącą ich odległość na niewielkiej przestrzeni jej biura. Wyciągnęła rękę, a Zhevons ujął ją, nie składając jednak pocałunku. Uśmiechnęła się. - Zobaczymy się jeszcze?

Dosłyszał dziwną nutę w jej głosie. Naprawdę dziwną... Jakby kapryśną albo nawet tęskną. Znali się od niecałego miesiąca, lecz chyba tak jak on zdążyła zrozumieć, że są pokrewnymi duszami.

*To jeszcze jedna z tych zdolnych, nie bojących się niczego kobiet, zauważył w myślach. Przypadną sobie do gustu z Sharleyan. Tak na marginesie, ja chyba też wciąż podpadam pod kategorię „zdolnych, nie bojących się niczego kobiet”, aczkolwiek może w nieco wypaczonym rozumieniu tego określenia...*

- Och, z pewnością - odpowiedział. - Niektórzy mówią, że jestem jak rzep czepiający się ogona. - Jej brwi powędrowały jeszcze wyżej, a on zaśmiał się ponownie. - Chodzi mi o to, że nie sposób się ode mnie odczepić.

- To dobrze. - Uśmiechnęła się i uściśnęła jego dłoń. - Będę wyczekiwać naszego następnego spotkania.

- Ja również - zapewnił ją. - Ja również.

## **.XVIII.**

### **PAŁAC KRÓLEWSKI**

#### **TRANJYR**

#### **TAROT**

Król Gorjah III był w podłym nastroju.

Ostatnimi czasy miał do tego coraz więcej powodów.

Zły humor nie opuszczał go od momentu rozgromienia jego floty w bitwie pod Skalistym Klifem, która miała miejsce równo dwa lata temu, o czym ludzie pamiętaliby, gdyby mieli na tyle odwagi, żeby zaznaczyć tę datę w kalendarzu.

Gorjah nie musiał niczego zaznaczać, ten dzień wrył mu się bowiem w pamięć. I to bardzo głęboko.

W tym momencie stał przy pałacowym oknie, spoglądając na północny zachód i



rozciągające się tam wody zatoki Thol. Akwen ten, liczący ponad siedemset mil długości, zaczynał się w okolicach miasta Tranjyr i sięgał po przylądki Thol i Północny. Za nim znajdowała się Zatoka Tarota i kontynent Wschodnie Haven. Zatoka była niesamowita, może miejscami nieco za płytka, z wieloma zdradzieckimi mieliznami, ale dzięki niej Tranjyr miał szeroki dostęp do światowych mórz i oceanów. Natomiast rozległy pas magazynów otaczających nabrzeża był widowym dowodem na to, że Tarot potrafił z niego korzystać, stając się potęgą światowego handlu.

*Ale to już przeszłość, pomyślał z zawiścią król.*

Przesunął dłonią po chuście, tradycyjnym kolorowym nakryciu głowy w tej domenie, smucąc się jeszcze bardziej, gdy zauważył brak jednostek kupieckich na redzie. Po wodach od dawna nie krążyły barki, zwyczajowo dostarczające na brzeg towary wyladowywane z pękających frachtowców. Robotnicy portowi i dokerzy biedowali, nie mając od miesięcy żadnej roboty, jako że gigantyczne składy świeciły pustkami.

Cała ta bieda i niedostatki nie były winą przypadku. Ich przyczyną była eskadra charisjańskiej marynarki wojennej - garstka szkunerów mających wsparcie kilku galeonów - które wybrały sobie za bazę wody cieśniny Holme, w pobliżu przylądków strzegących wejścia do zatoki. Charisjanie nie ograniczali się jednak do zwykłego postoju, co rusz wysyłając desant na pobliską wyspę, zwaną Klepsydrą, by okradać tamtejsze plantacje z owoców i warzyw. Z jakiegoś powodu, choć Gorjah nie był w stanie powiedzieć dlaczego, ta właśnie działalność Charisjan działała mu na nerwy najbardziej.

Może dlatego, że sam sobie ściągnął to nieszczęście na głowę? W pewnym sensie, rzecz jasna, jako że nie miał przecież szans na odrzucenie złożonej mu „propozycji”.

*Aczkolwiek nie zrobiłem też niczego, by się postawić, pomyślał, markotniejąc jeszcze bardziej. Wtedy wydawało się to całkiem sensownym pomysłem. A powinieneś wiedzieć, że to, co wydaje się zbyt dobre, by było prawdziwe, w rzeczywistości nie istnieje. Edmynd ostrzegł cię, bo do niego ta prawda docierała już wtedy.*

Król skrzywił się na wspomnienie dyplomatycznego języka, jakim Edmynd Rustmyn, baron Kamiennej Warowni, nalegał, aby nie łykał tak oczywistej przynęty, jaką rzucili mu Charisjanie.

Gorjah skrzywił się jeszcze mocniej.

*Powiniennem powiedzieć, że to wszystko wina Kościoła, a w każdym razie Grupy Czworoga. Bo to prawda. Ale bądź choć raz szczery ze sobą, Gorjahu. Edmynd miał rację, hamując twój entuzjazm. A ty go nie posłuchałeś. Dlatego, że Charisjanie doskonale wiedzieli, jak mogą cię omotać. Miałeś gdzieś te ich traktaty, mimo że nie brakowało im*

*dobrych stron, niemniej ty chciałeś przede wszystkim chronić tylek. A dlaczego sądziłeś, że to ci się uda? Ponieważ jesteś zwykłym durniem, ot co!*

Grymas na jego twarzy zmienił się na moment w krzywy uśmiech, ten jednak zaraz zniknął, gdy król złożył dłonie za plecami i odwrócił się od okna, by podejść do masywnego, bogato rzeźbionego fotela, któremu wszelako trochę brakowało do miana tronu. Blask słońca odbijał się w niedoskonałym blacie, rzucając jasne refleksy na sklepienie komnaty. Siedzisko to wykonał własnoręcznie jego ojciec, człek o wiele wyższy i masywniej zbudowany od raczej drobnego ciemnowłosego Gorjaha. Obecny władca o wiele bardziej wdał się w matkę, więc po raz kolejny zaczął się zastanawiać, czy nie zamówić nowego fotela, takiego, na którym nie wyglądałby jak dziecko zajmujące miejsce rodzica. Dzięki jego wrodzonym zdolnościom do dominowania nad rozmówcami rada z pewnością nie sprzeciwiłaby się takiej propozycji. Z drugiej jednak strony ten fotel był tak... wygodny. Poza tym Gorjah jeszcze jako dziecko spędził na nim wiele godzin, siedząc na kolanach ojca. Wspomnienia tych chwil wracały za każdym razem, gdy zajmował to miejsce, zwłaszcza ostatnio, kiedy kładł na kolana własnego syna.

*Ciekawe, czy on także zasiądzie kiedyś na tym fotelu? - zastanawiał się król. Chociaż powinienem się raczej martwić tym, jak długo ja się na nim utrzymam!*

To były naprawdę ważne pytania, ale starał się nie przejmować odpowiedziami na nie, choć te wydawały się boleśnie oczywiste.

Cayleb z Charisu miał powody, by łąknąć jego krwi, zważywszy na zdradzieckie wymówienie traktatów przez Tarot. Samo oddanie floty do dyspozycji Świątyni, by wspomagała siły mające zniszczyć Koronę, byłoby wystarczającym powodem do zemsty, ale Gorjah na tym nie poprzestał. O, nie! Wykonał posłusznie każdy rozkaz kanclerza Trynaira i okłamywał króla Haarahlda do samego końca. Obiecywał dotrzymanie zobowiązań wobec sojusznika nawet wtedy, gdy wydał już rozkaz baronowi Białego Brodu, by ten dołączył do floty Dohlaru. A fakt, że Haarahld został zabity podczas tej wojny, tylko pogarszał sprawę, aczkolwiek Gorjah mógł się usprawiedliwiać tym, że żaden z jego okrętów nie brał udziału w bitwie w cieśninie Darcos. Mógł argumentować, że nie jest winien śmierci starego króla... aczkolwiek był też pewien, że to nie pomoże w przełamaniu lodów pomiędzy nim a Caylebem.

Niestety syn Haarahlda nie był dzisiaj jego jedynym zmartwieniem. Szczerze powiedziawszy, gdyby chodziło tylko o niego, Gorjah byłby całkiem szczęśliwym człowiekiem. Miał jednak na karku jeszcze Grupę Czworka, która najwyraźniej uważała go za drania i zdrajcę wbijającego sztylet w plecy Świątyni. A on nie mógł nawet temu zaprzeczyć!

Starał się, i to nawet bardzo, ale ktoś z jego dworu przekazał Haarahldowi tajne plany Rycerzy Ziemi Świętych, które doprowadziły do ich nieomal całkowitej klęski.

Nadal nie udało mu się dowiedzieć, kim był człowiek, który to uczynił, a próbował go znaleźć, oj, próbował.

Bezlitosne dochodzenia ujawniły wiele nieprawidłowości - I od pomniejszych przewinień przez łapówki aż do wymuszeń - jakich dopuszczali się jego urzędnicy i szlachta. Sporo na tym zyskał, nie przeczyl. Tak docisnął śrubę arystokracji i biurokratom, że ci, którzy przetrwali czystki, dawali z siebie wszystko, i to w sposób, jakiego Tarot nie widział od dziesięcioleci. A może nawet pokoleń. Niemniej wszystkie jego wysiłki spęzły na niczym. Nadał nie miał bladego pojęcia, w jaki sposób plany Grupy Czworka dostały się w ręce Charisjan.

Gorjah zaznaczył w korespondencji kierowanej na ręce wikariusza Zhasyna, że wszystkie śledztwa były nadzorowane osobiście przez biskupa egzekutora Tyrnyra oraz ojca Frahnklyna Sumyra, jego intendenta. Skoro już o tym mowa, gdyby Gorjah znalazł się na miejscu kanclerza Świątyni, zapewne nie posunąłby się aż tak daleko w represjach. Niemniej to ktoś z tego dworu musiał być zdrajcą i donosicielem, więc młody król postawił jego znalezienie za punkt honoru. Wiedział bowiem, że wieści z innych domen nie dotarłyby na czas do Korony.

Zważywszy na totalną porażkę, jaką floty Kościoła poniosły za Rafą Armagedonu, gdy wpadły w pułapki zastawione przez Charisjan, nie zdziwiło go specjalnie, że Trynair potrzebował ponad roku, aby dojść do tych samych wniosków co wcześniej Gorjah. Niestety ten rok wystarczył, by cały Tarot popadł w niełaskę Świątyni. Dla przykładu: jego stocznie zostały rozmyślnie pominięte i wykluczone z programu odbudowy floty Kościoła Matki. To, biorąc pod uwagę fakt niemal całkowitego zniszczenia królewskiej marynarki wojennej, doprowadziło Gorjaha na skraj załamania. Potrzebował nowych okrętów, a jeszcze bardziej potrzebne mu były strumienie złota pompowane w nowe galery.

Szczerze mówiąc, łaknął tych pieniędzy bardziej, niż mogło się wydawać, jako że decyzja o zdradzie Charisu kosztowała go krocie i doprowadziła do zapaści ekonomicznej królestwa. Z początku wszystko wydawało się takie proste. Grupa Czworka zarządziła likwidację Charisu, co oznaczało, że Korona musi zniknąć z powierzchni Schronienia. Nie wyobrażał sobie nawet, że Kościół może nie zrealizować swoich planów. Dlaczego miałby o czymś takim myśleć? Nikt... no, niech będzie: zapewne nikt prócz Haarahlda... nie potrafił uwierzyć, że Świątyni można się przeciwstawić siłą. A po upadku największej morskiej potęgi Tarotowi przypadłby w udziale spory kawałek zwolnionego tak niespodziewanie

rynku.

Na tym usłanym różami szlaku wiodącym Gorjaha ku świetlistej przyszłości ktoś jednak wykopał wilcze doły. Charis odmówił współpracy przy własnej likwidacji. To zapowietrzone królestwo nie tylko przetrwało atak, ale jego flota stała się potężniejsza niż kiedykolwiek, a korsarze pływający pod banderą heretyków dobili morski handel dla zabawy i zysku. Frachtowce Tarota zostały otoczone specjalną troską apostatów, a nieustannym atakom korsarzy coraz częściej towarzyszyły wypadki oddziałów desantowych na suchy ląd. Piechota morska łupiła wybrzeża, mając osłonę pod postacią potężnych galeonów. Jakby tego było mało, Sharleyan zarządziła oficjalną blokadę zatoki Thol.

Flota handlowa Tarota, zamiast umocnić swoją pozycję, popadła w kompletną ruinę, co niosło za sobą katastrofalne konsekwencje dla dochodów całego królestwa. Na szczęście wciąż napływały spore dostawy charisjańskich towarów, choć Gorjah, gdyby go ktoś zapytał, mógłby nawet przysiąc, że nic o tym nie wie. To był całkowicie nielegalny handel. Charis ogłosił blokadę, a Kościół Matka ustami wielkiego inkwizytora oficjalnie zamknął wszystkie porty przed jednostkami noszącymi bandery heretyków. Nie było więc szans na to, żeby do Tarota docierały zakazane produkty z charisjańskich manufaktur!

A królestwo potrzebowało ich, i to bardzo. Na miejscu bowiem nikt nie potrafił wyprodukować odpowiedniej ich ilości - w tak niskiej cenie - aby poddanych Gorjaha było na nie stać. Bunt z powodu biedy był akurat najmniej potrzebny młodemu władcy, obwinianemu o to, że dopuszcza do katastrofy, przejmując się idiotycznymi blokadami i zakazami. Gorjah musiał więc przymknąć oko na rozkwitający w błyskawicznym tempie przemysł, który zalewał południowo-wschodnie wybrzeże księstwa Tranjyr.

Niestety szmugiel tylko pogarszał sytuację w kraju. Przemysłowcy nie prowadzili działalności charytatywnej. Za oferowane towary żądali żywej gotówki i otrzymywali ją. A to znaczyło, że niewielkie i topniejące w oczach zasoby złota płynęły nieprzerwanym strumieniem do kieszeni wrogów. Jednakże to brak szczodrości Kościoła Matki był chyba najboleśniejszym ciosem, zważywszy na okoliczności.

A teraz wcale nam się nie polepszy, pomyślał władca. Ale za to nie mogę winić tylko Grupy Czworga.

Po tym jak Trynair oficjalnie oczyścił Gorjaha z zarzutu zdrady planów Świątyni, Tarot w końcu dostał się, choć nie bez oporów, na listę domen otrzymujących fundusze na budowę nowej floty. Aczkolwiek ta nagła abolicja była raczej wynikiem zapóźnień. Jakże powstały w związku z nagłą rewizją planów, po tym jak niezrównany geniusz strategiczny, wikariusz Allayn, zrozumiał w końcu, że powinien budować galeony zamiast galer. Gahvyn

Mahrtyń, baron Białego Brodu, taki właśnie wniosek zawarł w swoim raporcie, spisany tuż po bitwie za Rafą Armagedonu. Tym, który zgodnie zignorowano. Chociaż nie... czyż Świątynia nie skomentowała go jako nieudolnej próby wybielenia się niekompetentnych admirałów po kompletnej klęsce? Widząc rehabilitację barona, Gorjah odczuwał gorzką satysfakcję, aczkolwiek nie dziwiło go, że wikariusze nie uczynili oficjalnie nic, by zadośćuczynić sponiewieranemu wcześniej admirałowi. Nie miał również wątpliwości, że składanie zamówień w stoczniach Tarota było wynikiem naglącej potrzeby Świątyni, a nie powrotu do łask.

Niechęć, jaką wikariusze żywili do domeny Gorjaha, przejawiała się choćby w liczbie zleconych mu prac. Spośród ponad dwustu czterdziestu galeonów wojennych, które Kościół nakazał wybudować, tylko dwadzieścia dwa miały powstać w Tarocie, mimo że w samym Tranjyrze mogło powstać dwa razy tyle jednostek. Królestwo miało też konwertować mniej niż dwadzieścia jednostek kupieckich. A taki Desnair, który nigdy nie posiadał floty, otrzymał dwukrotnie większe zlecenia... i to mimo absurdalnych cen, jakich zażądały tamtejsze stocznie. Zamówione tam okręty byłyby tańsze nawet w wypadku, gdyby Świątynia musiała zbudować własne stocznie!

Niestety Gorjah nie mógł udawać, że tak mały kawałek tego tortu przypadł mu li tylko z powodu żywionej urazy. Problem polegał też na tym, że stocznie Tarota były jedynymi z wybranych, które nie miały lądowych połączeń z oboma głównymi kontynentami. Charisjańscy korsarze panoszyli się na wodach przybrzeżnych, przejmując i łupiąc każdy transport budulca zmierzającego w kierunku kontynentalnych stocznii. Opanowali kanał oddzielający królestwo Gorjaha od Windmooru, prowincji Siddarmarku, do tego stopnia, że zatrzymali wszelkie dostawy do Tranjyru. Tak więc, choć tutejsi rzemieślnicy dysponowali drewnem pozyskanym z ogromnym trudem na wyspie i byli w stanie zbudować solidne kadłuby, a nawet wyposażyć je w kompletne ożaglowanie i olinowanie, Tarotowi brakowało odlewni zdolnych do dostarczenia nowoczesnych dział. Niemal cała przedwojenna artyleria tutejszej floty pochodziła z Charisu - a ten, ze zrozumiałych zresztą powodów, ostatnimi czasy nie dostarczał do Tranjyru żadnych towarów.

Korona była niekwestionowanym mistrzem świata w odlewnictwie. Nawet Harchong i Siddarmark nie były w stanie z nią rywalizować. Dlatego wszyscy woleli kupować tańsze gotowe charisjańskie wyroby - w tym działa - jednak myśl techniczna oraz odlewnie znajdowały się głównie na terytorium dzisiejszego wroga. Gdyby więc nawet Gorjah posiadał nieograniczone zasoby finansowe (a tych, jak wiemy, nie miał), to i tak zabrakłoby mu doświadczonych odlewników, którzy byliby w stanie wyprodukować armatę z gwarancją, że

nie zostanie rozsadzona przy oddawaniu drugiego albo trzeciego strzału. Kilka niewielkich manufaktur czyniło postępy na tym polu, lecz wciąż były one zbyt wolne i frustrująco małe.

*Baron Białego Brodu miał rację, mówiąc, że nie skompletujemy wystarczającej liczby załóg, jeśli nie zaopatrzymy okrętów w armaty, które nie dziesiątkują kanonierów przy każdej salwie, pomyślał król z przekąsem.*

Cóż, dzisiejsze spotkanie może przynieść rozwiązanie i tej sytuacji. Nie było to zbyt prawdopodobne, ale kto zabroni człowiekowi żywić takie nadzieje?

- Dobrze - mruknął, sadowiac się w fotelu wykonanym przez ojca, po czym spojrzał na czekającego przy drzwiach szambelana i dodał: - Powiedz sir Rykowi, że może wejść.

- Oczywiście, wasza wysokość.

Sługa pokłonił się głęboko, otworzył drzwi i zniknął w korytarzu. Chwilę później do komnaty wkroczył przysadzisty mężczyzna po sześćdziesiątce. Był niemal łysy, a te nieliczne włosy, które mu jeszcze pozostały, lśniły srebrem. Brwi jednak miał krzaczaste i czarne jak węgiel, a obfitą brodę zdobiło tylko kilka pasemek siwizny. Pomiędzy oczami o barwie ołowiu sterczał krzywy nos, złamany podczas bijatyki na pokładzie w jakże odległej już młodości. Idąc, mężczyzna ten utykał mocno; był to widomy ślad po upadku z masztu, który zakończył jego karierę na morzu i sprawił, że sir Ryk udał się do Charisu, by zostać czeladnikiem w jednej z tamtejszych odlewni. Przez kolejne dziesiątki lat pracował ciężko, by zostać jednym z najbogatszych ludzi w Tarocie i właścicielem własnych manufaktur w branży metalurgicznej... a potem, na skutek blokady zarządzanej przez Charisjan, utracił sporą część swojego majątku - podobnie jak kilku innych wpływowych poddanych Gorjaha.

Fahrmyn trzymał się jednak znacznie lepiej od nich. Szczerze mówiąc, miał spore szanse na odzyskanie niemal wszystkiego, co mu odebrano, jako że był jednym z naprawdę nielicznych ludzi w królestwie, którzy znali się na odlewaniu dział.

- Wasza wysokość - przywitał się właściciel odlewni, składając pełen szacunku ukłon.

- Sir Ryku... - Gorjah odpowiedział na tę uprzejmość zdawkowym skinieniem, po czym machnął dłonią, pozwalając gościowi na wyprostowanie pleców. Fahrmyn natychmiast go posłuchał, więc władca mógł się wygodniej rozsiąść w fotelu. - Powiedz mi - poprosił król - czemu zawdzięczam przyjemność tego porannego spotkania?

- Najpierw, wasza wysokość, pozwól, że podziękuję ci za przyjęcie mnie o tak wczesnej porze. Wiem, że wystąpiłem z prośbą o audiencję dosłownie w ostatniej chwili. - Gorjah zbył te słowa lekceważącym gestem, na co Fahrmyn zareagował szybkim, choć płytkim ukłonem mającym świadczyć o jego wdzięczności. - Po drugie, wasza wysokość - kontynuował - chciałbym, abys za kilka dni... zdaje się, że we wtorek... dołączył do barona

Białego Brodu w mojej odlewni, na pokazowym strzelaniu naszej nowej trzydziestosześcioletniej. - Na ustach odlewnika pojawił się bledy uśmiech. - Mniemam, że ten model sprawi się nieco lepiej od poprzedniego. Aczkolwiek za nic nie pozwolę, by choć jeden z was znalazł się w pobliżu tego monstrum, gdy już zostanie załadowane.

- Jestem pewien, że moja małżonka doceni twoją troskę - wymamrotał Gorjah, uśmiechając się pod nosem.

- Zawsze staram się pokazać królowej Maiyl z lepszej strony, wasza wysokość - zapewnił go Fahrmyrn, a w jego oczach pojawiły się wesołe ogniki.

- To bardzo dobre podejście, możesz mi zaufać - odparł Gorjah i zaraz przekrzywił głowę. - Czy to jedyny powód naszego dzisiejszego spotkania?

Przemawiał przyjaznym tonem, aczkolwiek można w nim było wyczuć twardsze nuty. Nie chodziło o gniew, raczej o pewność, że to nie mógł być jedyny powód poproszenia o audiencję... i sugestia, że władca wie o innych, kto wie, czy nie ważniejszych motywach postępowania odlewnika.

- Nie, wasza wysokość - przyznał Fahrmyrn także nieco innym tonem. Ku zaskoczenia Gorjaha było z niego... coś na kształt braku pewności siebie. Aczkolwiek to nie było najwłaściwsze słowo na określenie jego stanu. Gorjah przez moment szukał lepszego, ale go nie znalazł.

Odlewnik zamilkł - ktoś znający go lepiej mógłby nawet powiedzieć, że się zawahał - a potem jakby się wzdrygnął. Lekko, ale zauważalnie.

- Jak zapewne wasza wysokość wie - powiedział wymijająco - szkoliłem się w Charisie, a potem przez wiele lat robiłem interesy z tamtejszymi manufakturami. To znaczy kooperowałem z nimi, dopóki nie doszło do ostatnich... niesnasek. - Zamilkł raz jeszcze, sprawdzając reakcję króla, a ten tylko skinął głową.

- Jestem tego świadomy, sir Ryku - rzucił Gorjah, okazując nieco zniecierpliwienia. - Nie ty jeden miałeś finansowe i osobiste powiązania z Charisem! Chyba wszyscy, którzy pracują nad nowym programem, mają podobne rozterki jak ty.

- Szczerze mówiąc, nie przeżywam żadnych rozterek, wasza wysokość, i właśnie dlatego poprosiłem cię o dzisiejsze spotkanie. - Fahrmyrn spojrział królowi w oczy. - Tak się składa, że niedawno trafił w moje ręce list, który jak podejrzewam, został dostarczony przez jednego z charisjańskich przemysłowców.

Gorjah uniósł - brew, a odlewnik, widząc jego reakcję, odkaslnął delikatnie w uniesioną do ust dłoń.

- Nie twierdzą bynajmniej, wasza wysokość, że otrzymałem go z rąk owego

przemysłownika - dodał szybko. - Mówię tylko, że podejrzewam, jakim sposobem znalazł się na terytorium królestwa. Niemniej został wysłany na mój adres, co jak wasza wysokość zapewne rozumie, wprawilo mnie w olbrzymie zakłopotanie. Moja pierwsza myśl była taka, że powinienem dostarczyć go bezzwłocznie ojcu Frahnklynowi, aczkolwiek gotów jestem wyjawic waszej wysokości, iż wolałbym nie zwracać uwagi inkwizytorów na człowieka, który dostarczył mi wspomnianą przesyłkę.

*Co wcale mnie nie dziwi, sir Ryku, pomyślał Gorjah. I to wcale nie dlatego, że takim donosem narobilbyś kłopotów swojemu znajomemu, kimkolwiek on jest. Nie wątpię, że mogłeś pomyśleć o podobnym rozwiązaniu, ale jak cię znam wolałeś nie zwracać uwagi naszego intendenta na swoje interesy!*

Fahrmyn jednak nie skończył jeszcze mówić.

- Nie zamierzałem również zwracać uwagi Inkwizycji na adresata koperty znajdującej się w liście do mnie - kontynuował odlewnik - czyli na waszą wysokość.

Gorjah zrobił wielkie oczy i natychmiast pochylił się w fotelu.

- Co takiego? - zapytał bardzo opanowanym głosem, na co Fahrmyn uśmiechnął się ponuro.

- Tak samo zareagowałem na jej widok, wasza wysokość. Otworzyłem list do mnie, ponieważ znam od wielu lat jego nadawcę, a poza tym, jeśli mam być szczery, chciałem poznać treść, którą zamierzał mnie zdyskredytować w oczach Inkwizycji. - On także przemawiał z pełnym spokojem. - Z tego co wiem, do tej pory nie powiedziałem ani nie uczyniłem niczego, co mogłoby mi zaszkodzić, ale w tak niebezpiecznych czasach człowiek nigdy nie może być pewien swego. - Spoglądał śmiało w oczy władcy, który kiwał wolno głową, przyjmując do wiadomości kolejne rewelacje. Jego los zostałby przypieczętowany, gdyby ktoś z Inkwizycji dowiedział się o skierowanym na jego ręce liście od heretyków. Jednego był pewien, w żadnym wypadku nie mógł spodziewać się litości.

- Gdy znalazłem w liście drugą kopertę - wyznał Fahrmyn - zrazu chciałem wszystko spalić. Po zastanowieniu doszedłem jednak do wniosku, że ktokolwiek stał za wysłaniem listu, z pewnością nie poprzestanie nas nękać, dopóki nie dopnie swego. Drżałem z obawy na samą myśl o tym, że po całym kraju będą krążyć kolejne przesyłki zaadresowane do mnie i zarazem do waszej wysokości. Co gorsza, nadawca mógłby też spróbować innych kanałów, a kto waszej wysokości zagwarantuje, że któryś z moich następców nie ugiąłby się pod brzemieniem tej tajemnicy i nie wyjawił jej Inkwizycji?

Właściciel odlewni nie musiał nadmieniać, że ów „następca” nie musiał wiedzieć o jego udziale w tym procesie, a co za tym idzie, Inkwizycja nie ustaliłaby nigdy, że ktoś taki



jak Fahrmyrn otrzymał kiedykolwiek list przeznaczony dla tutejszego władcy. Gorjah mógł wywnioskować z owego przemilczenia co najmniej kilka ciekawych rzeczy.

- Czy mam rozumieć, sir Ryku, że masz przy sobie ów list? - zapytał ostrożnie po chwili zastanowienia.

- Tak, wasza wysokość.

Fahrmyrn pokłonił się nisko, potem wyjął spod tuniki wielką kopertę. Gorjah wyciągnął rękę, gdy tylko ją ujrzał. Chromy odlewnik pokuśtykał wokół stołu, by mu ją podać. Zatrzymał się jednak, nim dotarł do władcy.

- Wasza wysokość, przyniosłem ci obie koperty - powiedział, spoglądając królowi prosto w oczy. - Rzecz jasna nie otwierałem tej, którą zaadresowano do ciebie. Nie mam pojęcia, co zawiera. Jeśli więc uznasz, że powinniśmy oddać ją Inkwizycji, w pełni poprzę twoje zamiary. Mogę też od razu udać się z listami do ojca Frahnklyna, nie wspominając mu o naszym dzisiejszym spotkaniu.

- Doceniam szczodrość twojej oferty, sir Ryku - odparł szczerze król - niemniej uważam, że brzemień władzy wymaga ode mnie, abym najpierw zapoznał się z treścią owego listu. - Uśmiechnął się szeroko, choć tylko na moment, a w jego oczach pojawił się przeblysłk świadczący o ironii, jeśli nie rozbawieniu. - Znam co najmniej kilka powodów, dla których ktoś mógłby chcieć zdyskredytować mnie takim listem.

- Też się nad tym zastanawiałem, wasza wysokość - przyznał Fahrmyrn. - Uznałem jednak, że jeśli chodziło o rzucenie fałszywych oskarżeń, hrabia Szarej Zatoki i baron Gromu zadbaliby po prostu, aby korespondencja od nich „przypadkowo” trafiła w ręce tutejszej Inkwizycji.

Gorjah pogрузzył się w głębszym zamyśleniu. Odlewnik nie musiał dodawać tej ostatniej uwagi. Pytanie więc, dlaczego to zrobił...

*Czyżbyś dawał mi tym sposobem do zrozumienia, że ten pieprzony list nie jest pułapką? A może sugerujesz, że powinienem go przeczytać... i poważnie rozważyć zawarte tam treści?*

Zastanawiał się, czy nie zadać tych pytań na głos, ale szybko z tego zrezygnował. To nie miało najmniejszego znaczenia, w obu przypadkach odlewnikowi chodziłoby przecież o to samo, czyli o zapoznanie się z dostarczoną wiadomością.

- Celne spostrzeżenie - rzucił, wyciągając nieco mocniej dłoń.

Fahrmyrn zrozumiał dyskretną aluzję i złożył kopertę w ręce króla. Gorjah trzymał ją tak przez dłuższą chwilę, ważąc w dłoni i zastanawiając się nad treścią, którą kryła. W końcu przeniósł wzrok na odlewnika.

- Wiem, sir Ryku, że podjęcie decyzji, co zrobić z tak niecodzienną przesyłką, nie było dla ciebie łatwe. Doceniam odwagę, która pozwoliła ci przyjść do mnie, i szczerosc twoich wyjaśnień. Oraz mądrość przedstawionej mi analizy. Sądzę jednak, że najrozsądniej będzie, jeśli wrócisz teraz do domu i pozwolisz mi zapoznać się z treścią listu.

- Oczywiście, wasza wysokość. - Fahrmyń zaczął się cofać, nie chcąc popełnić jakże częstego błędu osób stanu niskiego, które odwracały się plecami do władcy, lecz zamarł, gdy Gorjah uniósł palec wskazujący wolnej dłoni.

- Jeśli uznam, że Inkwizycja powinna zainteresować się jego treścią - powiedział król - powiadomię cię ze stosownym wyprzedzeniem. Uczynię to, zanim porozmawiam z ojcem Frahnklynem. - Zauważył, że twarz odlewnika stężała na moment. - Jestem ci to winien, sir Ryku. Możesz też być pewien, że bez względu na dalszy rozwój sytuacji, nigdy nie zapomnę, że zdecydowałeś przyjść z tym listem do mnie.

Zaakcentował ostatnie słowo tylko nieznacznie, ale za to z pełnym rozmysłem.

- Dziękuję, wasza wysokość. Czy teraz pozwolisz...? - Wskazał głową drzwi i uzyskał zgodę.

- Ależ oczywiście, sir Ryku - rzucił władca, a potem odprowadził wzrokiem właściciela odlewni opuszczającego salę audiencyjną.

Gdy drzwi zamknęły się za wychodzącym, król Tarota nie drgnął jeszcze przez dłuższy czas. Siedział na fotelu-tronie, wpatrując się w złote klamki, a potem położył kopertę na stole, otworzył ją i wyjął zawartość. Nie zwrócił przy tym najmniejszej uwagi na list skierowany do Fahrmyńa. Od razu sięgnął po drugą kopertę, nieco mniejszą, robiąc przy okazji wielkie oczy, gdy zobaczył zdobiący ją charakter pisma. Zawahał się, potem położył list na stole i przycisnął obiema rękami, jakby to nie był papier, tylko nieznanne mu zwierzę mogące boleśnie ukąsić.

*Cóż, to chyba nie powinno być dla mnie niespodzianką, pomyślał, spoglądając na równo skreślone słowa. A może jednak? Przecież on musi mieć zaufanych sekretarzy, gotowych do spisywania podobnej korespondencji. Z drugiej jednak strony, czyż to nie najlepszy sposób na zwrócenie mojej uwagi? Król zdumiał sam siebie tak ironicznym podejściem do tego tematu. Nie wystarczył mu tak spektakularny sposób dostarczenia wiadomości?*

Gorjah pokręcił głową, spoglądając na kopertę zaadresowaną ręką niezwykle zapracowanego i potężnego człowieka. Nie ulegało wątpliwości, że nadawca zrobił to, aby król Tarota zyskał całkowitą pewność, kto stoi za tą korespondencją.

Teraz pozostawało już tylko sprawdzenie, co chciał przekazać Rayjhis Yowance,

hrabia Szarej Zatoki i pierwszy doradca Imperium Charisu.

**MARZEC**

**ROKU PAŃSKIEGO 894**

**HMS TANCERZ**  
**ZA PÓLWYSEPM THAIRMAHNA**  
**OCEAN POŁUDNIOWY**

Na pokładzie mimo jasno świecącego słońca panował przyjemny chłód, gdy łagodny wiatr z baksztagu popychał *Tancerza* na zachód. Dla galeonu były to optymalne warunki do żeglowania; załoga mogła postawić wszystkie żagle z bombramsłami włącznie, dzięki czemu okręt osiągał prędkość prawie dziesięciu węzłów. To był niezwykle wyczyn jak na jednostki tego typu, nawet te, które opuściły pochylnię dopiero dwa miesiące temu. Jego kadłub, jak to miało miejsce w przypadku wszystkich pozostałych jednostek charisjańskiej marynarki wojennej, został pokryty miedzianą blachą poniżej linii zanurzenia. Chroniło go to przed wiertaczami, które miały przykry zwyczaj skrytego perforowania kadłubów (co kończyło się nieodmiennie wielkim zdziwieniem załogi gdy poszycie w czasie rejsu szło w drzazgi), oraz porostów, które potrafiły z czasem spowolnić każdy zbyt długo znajdujący się na morzu okręt. Tego drugiego procesu nie dało się wyeliminować, niemniej nowy rodzaj obić minimalizował w znacznym stopniu straty. HMS *Tancerz* był szybszy od większości okrętów, które mógł spotkać, nawet tak daleko od domu, na wodach Dohlaru.

*Aczkolwiek można by wykrzesać z tej krypy jeszcze więcej, gdyby dać jej szansę i postawić resztę żagli,* pomyślał admirał, sir Gwylym Manthyr, przechadzając się wolnym krokiem tam i z powrotem po wąskim pomoście rufowym. Okręty płynące w formacji zawsze były wolniejsze niż samotnicy, ponieważ każdy z nich był inny, unikatowy, a przez to różnił się osiągam. Nawet pochodzące z tej samej stoczni bliźniacze jednostki, nierozróżnialne okiem laika, bardzo odmiennie reagowały na wiatr i fale, przez co osiągały maksymalne prędkości w zupełnie innych warunkach. Kapitan, znający swoją jednostkę tak dobrze jak Raif Mahgail *Tancerza*, potrafił wycisnąć z niej maksymalne osiągi - jak na aktualnie panujące warunki atmosferyczne - ale gdy płynął w konwoju, musiał dostosować prędkość swojego okrętu do najwolniejszej jednostki.

Ta myśl wydawała się czysto akademicka, gdy Manthyr obejmował dowodzenie HMS *Dreadnought*, mając na pokładzie księcia Cayleba. Podówczas, mimo że dowodził okrętem flagowym floty, nie do niego należało ustalanie kolejnych celów podróży, nie musiał się także

przejmować, jak szybko uda im się dotrzeć do miejsca przeznaczenia.

Tyle że dzisiaj nie był już zwykłym kapitanem.

Stracił *Dreadnoughta* w cieśninie Darcos. Na myśl o tym znów poczuł wielki ból. Nie tylko dlatego, że ukochał tamtą jednostkę. Jego okręt zatonął, ponieważ z rozmysłem zdecydował o staranowaniu corisandzkiej galery, idąc na nią pod pełnymi żaglami. Mimo że doszło do czołowego zderzenia, po którym okręty starły się dziobami, doszło do naruszenia wręg i rozdarcia poszycia długości ponad dwudziestu stóp, głównie poniżej linii zanurzenia. Załoga, choć robiła wszystko co w jej mocy, nie dała rady uratować swojego flagowca. On wiedział, czym może grozić ta szarża na długo przed zderzeniem. Ale te wspomnienia były dla niego bolesne z zupełnie innego powodu. Bolało go to, że i tak przybył za późno. Że mimo gigantycznego poświęcenia załogi - a miał pewność, iż jego ludzie dali z siebie wszystko - spóźnili się o całe dziesięć minut i nie zdołali ocalić życia swojego króla.

Gwylym Manthyr pozwoliłby zatopić tuzin kolejnych galeonów, gdyby dzięki temu mógł cofnąć czas o te kilka minut.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że już nie chodzi, tylko stoi, oparty obiema rękami o reling na rufie, spoglądając na kilwater *Tancerza*. Miał przed sobą granatowy ogrom Oceanu Południowego. Zadrżał na myśl o tym, że jedynym człowiekiem na Schronieniu, który winił go za to spóźnienie, był on sam. Tytuł rycerski, a potem szybki awans z kapitana na admirała były tego dowodami.

Dzisiaj dowodził najdalej wysuniętą eskadrą charisjańskiej marynarki wojennej. Dwa miesiące rejsu od wielkiej bazy na wyspie Zamek miał pod rozkazami osiemnaście galeonów wojennych, sześć szkunerów oraz trzydzieści transportowców. Wiatr i pogoda także zdawały się sprzyjać mu od samego początku tej podróży. Szczerze mówiąc, wyprzedzał założenia harmonogramu o całe dwa pięciodnie i znajdował się jakieś sto mil na południe od Półwyspu Thairmahna, opływając krańce Howardu, aby wejść w Przesmyk Gosseta pomiędzy Wyspą Zachodnią oraz znacznie większym od niej lądem zwanym Gołymi Ziemiemi, leżącym w głębi Morza Harthiańskiego. Znalazł się dziewięć tysięcy mil w linii prostej od wyspy Zamek, a jak wiadomo, okręty to nie wyverny i nie mogą podróżować w linii prostej. Aby tu dotrzeć, jego eskadra musiała pokonać niemal piętnaście tysięcy mil, a od celu podróży dzieliło ją jeszcze pięć. Znajdując się tak daleko od przełożonych, Manthyr zdany był wyłącznie na siebie, co było kolejnym dowodem na ogrom zaufania, jakim obdarzało go naczelne dowództwo. W tej misji może liczyć wyłącznie na siły swojej eskadry oraz tych, których zdoła „wyzwolić”. Nikt też nie wyda mu rozkazu ani nie udzieli wskazówek.

W pewnym sensie nie różnił się od pozostałych kapitanów wysyłanych z niezależnymi

misjami. Przecież każdy z nich zdany był tylko na siebie, gdy przychodziło do podejmowania decyzji. A cokolwiek uczynił, i tak inni oceniali później - i to głośno - czy zrobił coś dobrze, czy też źle. Taka jednak była cena dowodzenia królewskimi (a teraz cesarskimi) okrętami.

*Aczkolwiek, pomyślał, spoglądając na ogromny przestwór oceanu, muszę przyznać, że będąc zwykłym kapitanem, nie rozumiałem, iż dowódcy wyższego stopnia mogą mieć bardziej przerąbane.*

Zaśmiał się pod nosem. Już dawno nauczył się jednego: perspektywa zależy od punktu widzenia. Dla kadeta kapitan jest Bogiem, a pozostali oficerowie archaniołami. Porucznik zaczyna rozumieć, że kapitanowie to tylko ludzie, choć ogrom władzy czyni z nich istoty równe archaniołom. Dopiero zostając kapitanem, człowiek pojmuje - w pełni pojmuje - jak wielkie brzemie niesie owa ulotna władza. Teraz, gdy został admirałem, dotarło do niego, że głównodowodzący mają najbardziej przesrane. Dane im jest wydawanie rozkazów nie pojedynczym jednostkom, ale całym eskadrom, a nawet flotom. Kierują nimi, zarządzają, ustalają strategię, ciężar porażki albo sukcesu spoczywa wyłącznie na ich barkach, ale muszą polegać na pozostałych oficerach, bo to tamci wykonują zlecone im zadania i wydane rozkazy. Głównodowodzący kierują ruchem podległych im okrętów do momentu, w którym te przystępują do walki, potem mogą tylko biernie obserwować poczynania podwładnych. A mając władzę nad wszystkimi pozostałymi jednostkami, nigdy nie kierują flagowcem, na którym się znajdują, i to chyba boli ich najbardziej.

*Dajże spokój, Gwylymie! - zaśmiał się w duchu. Skoro tak cię to uwiera, zawsze możesz poprosić, by odebrano ci admiralskie lampasy! Nie mówiąc już o tym, że nikt ci nie kazał przyjmować awansu. Wszystko ma swoją cenę, o czym dowiedziałeś się na długo przed tym, nim zrobiono z ciebie kapitana. Naprawdę uważasz, że możesz przekonać kogokolwiek, w tym samego siebie, że nie chcesz być tutaj i wykonywać misji, którą ci zlecono?*

*Raczej nie, uznał, a zaraz potem, odpowiadając na burczenie dochodzące z głębi żołądka, sięgnął do kieszeni po zegarek.*

Nic dziwnego, że odczuwał aż takie sensacje. Lunch podano ponad dziesięć minut temu. Kapitan Mahgail i pozostali oficerowie z pewnością zasiedli już przy długim stole w mesie i czekają tam tylko na niego.

*Oto kolejny z admiralskich przywilejów, pomyślał z przekąsem, zamykając zegarek. Wyprostował plecy i wciągnął głęboko do płuc czyste, pachnące oceanem powietrze. Siedzą tam i czekają na mnie, podczas gdy ja rozmyślam w samotności jak jakiś lord. Ciekaw jestem, ile jeszcze czasu minie, zanim poślą Dahnylda, by sprawdził, czemu nie przychodzę...*

Musiał przyznać, że część jego przekornej duszy z chęcią pozostałaby na rufie, by

sprawdzić, kiedy pojawi się Dahnyld Rahzmahn, jego niezwykle pomocny adiutant, aby taktownie, by nie powiedzieć: dyplomatycznie dać do zrozumienia, że wszyscy już czekają przed stygnącym lunchem na jego przybycie. Jak wielka to była część, nie potrafił zdecydować. *Może połowa, nie, raczej ćwierć*, uznał po chwili zastanowienia. *A może bliżej jej jest do jednej trzeciej*. Tak wyglądała ostateczna ocena, która chyba nie świadczyła najlepiej o jego charakterze.

Uśmiechnął się szeroko i potrząsnął głową.

*Dobrze być admirałem, Gwylymie, zapewnił sam siebie. Aczkolwiek nie przyzwyczajaj się zbytnio do tej myśli. Zdaje się, że admirał Wyspy Zamek powiedział coś w tym sensie, gdy wysyłał cię w tę misję. Oczywiście w charakterystyczny dla niego i bardziej zawoalowany sposób.*

Ta myśl skłoniła go do wybuchnięcia szczerym gromkim śmiechem. Znów musiał pokręcić głową, a potem zszedł z pokładu rufowego, kierując się do swojej kajuty.

## .II.

### CHATA NA SZCZYCIE

#### GLACIERHEART

#### SIDDARMARK

- Eminencjo, jak długo jestem twoim lokajem?

Zhasyn Cahnyr odwrócił się, by spojrzeć na Fraidmya Tohmysa. Aż za dobrze znał ten ton.

- Dosyć długo - odparł łagodnie, na co Tohmys skrzyżował ręce na piersi i obdarzył swego chlebobawcę surowym spojrzeniem.

Arcybiskup Glacierheart siedział przed huczącym kominkiem. Chata na Szczycie - jak ochrzcił swą letnią rezydencję jakiś dawno zapomniany hierarcha - leżała wysoko w górach, a przy tym dzieliła ją spora odległość od miasta. Co więcej, budynek ten - choć był wyposażony w stromy dach umożliwiający łatwe pozbywanie się śniegu - został pomyślany jako letnia rezydencja. Jako miejsce, do którego arcybiskup mógłby się udać ze swymi gośćmi w celu wytchnienia i relaksu. (Aczkolwiek Cahnyr podejrzewał, że co najmniej jeden z jego poprzedników wykorzystywał Chatę na Szczycie jako scenę popijaw i sporadycznych orgii z dala od oczu parafian, dzięki czemu zapobiegł niejednemu skandalowi). Jako że budynek ten



wzniesiono z myślą o letnich pobytach, niestety nie nadawał się on do użytku w środku zimy, jaka zwykle nawiedzała Wschodnie Haven. Pomimo sterty węgla w kominku temperatura w salonie pozostawiała wiele do życzenia. Właśnie dlatego Cahnyr włożył gruby sweter na ciężką wełnianą sutannę.

A mimo to nadal czuł współczucie dla polci mięsa wiszących w chłodni.

- Dokładnie czterdzieści trzy lata, eminencjo - poinformował go Tohmys. - Oto jak długo jestem twoim lokajem.

- Naprawdę? - Cahnyr przekrzywił głowę na bok. - Cóż, chyba masz rację. Dziwne... Mnie wydawało się, że znacznie dłużej.

W oczach Tohmysa pojawił się jakiś błysk, a jego zaciśnięte wargi drgnęły leciutko. W każdym razie takie wrażenie odniósł arcybiskup.

- No więc, eminencjo, za pozwoleniem i tak dalej, mam nadzieję, że nie zrozumiesz mnie źle, jeśli powiem, że ze wszystkich kabał, w jakie się wpakowałeś... i owszem, pamiętam wciąż tamto „przyjęcie”, przez które o mało nie wyleciałeś z seminarium... ta jest najgorsza.

- Tym razem nie miałem wielkiego wyboru, Fraidmynie - odrzekł Cahnyr poważniejszym tonem. - I bardzo żałuję, że cię w to wciągnąłem. Ale... - Wzruszył ramionami.

Tohmys sarknął.

- O ile sobie przypominam, eminencjo, byłem do tej przygody nie mniej entuzjastycznie nastawiony niż ty, więc nie przypisuj sobie całej chwały.

- No tak, znowu masz rację... Tylko że to ja jestem z nas dwóch arcybiskupem. Nie powinieś zbierać cięgów za moje czyny. Ani siedzieć tu i marznąć, choć nie wiemy, czy ten, kto napisał ów list, miał szczerą intencję.

- A gdzie niby powinienem być? - zapytał Tohmys. - Mam tak samo liczną rodzinę jak ty, eminencjo. W dodatku ktoś musi się tobą zajmować. A mnie weszło to już w krew... - Wzruszył ramionami. - Mów sobie, co chcesz, ale moim zdaniem nie ma sensu teraz narzekać ani tym bardziej próbować zwracać rzeki kijem.

- Skoro tak uważasz - uśmiechnął się Cahnyr, czując, że oczy go trochę pieką - skąd ta nagła krytyka moich planów?

- No, gdybyś miał w ogóle jakieś plany, siedziałbym cicho! - Z jakiegoś powodu Cahnyr nie bardzo w to wierzył. - Jednakowoż tak się składa, że cały twój plan sprowadzał się do tego, by pojawić się w środku nocy, w środku gór, i to w samym środku zimy, mając na grzbiecie jedną sutannę i licząc na to, że ktoś, kogo w życiu nie widziałeś ani kogo imienia

nawet nie znasz, będzie tam na ciebie czekał. Czy coś pominąłem, eminencjo?

- Cóż, to raczej dobre podsumowanie sytuacji - przyznał arcybiskup.

- Nadal uważasz, że to był taki świetny pomysł? - dopytywał Tohmys.

- Nie. Ale sądzę, że nie mieliśmy innego wyjścia - odparł Cahnyr. - A co? Może ty wpadłeś na lepsze rozwiązanie?

- Nie. Nie płacisz mi za wpadanie na lepsze pomysły. - Jeśli nawet wyzwanie rzucone przez Cahnyra go ubodło, nie dał niczego po sobie poznać. Zresztą tradycja wymagała, aby pozostał ponurakiem i zrzędą, a nie wynalazcą sposobów, jak uniknąć wieszczonych przezeń czarnowidztw. - Po prostu chciałem sobie wszystko ułożyć w głowie.

- Właśnie widzę - skwitował Cahnyr krótko.

- W takim razie, skoro obstajesz przy swoim, chyba powinienem dokończyć pakowanie.

\* \* \*

Znacznie później tego samego dnia Zhasyn Cahnyr stał w sypialni Chaty na Szczycie, wyglądając przez okno. O tej porze, zwłaszcza po wschodniej stronie góry Tairys - najwyższego szczytu łańcucha górskiego o tej samej nazwie - wieczór powoli przechodził w noc nawet przy najlepszej pogodzie. W obecnych warunkach atmosferycznych arcybiskup dostrzegał co najwyżej padające gęsto płatki śniegu rozjaśniane słabym światłem dochodzącym z wnętrza komnaty.

Wicher świszczał, omiatając dach budynku, a oddech arcybiskupa zamieniał się w mgielkę zaraz po opuszczeniu ust czy nosa, i to pomimo rozpalonych wszystkich kominków.

Cahnyr odwrócił się, aby obrzucić wzrokiem komnatę, w której jednak nie spędzi najbliższej nocy. Rozumiał, dlaczego jego decyzja, aby zrobić sobie tę wycieczkę, tak rozżłościła Ghartha Gorjaha. Brak wygod, znaczne oddalenie od ludzkich siedzib i możliwość dalszego załamania pogody wystarczyły, aby wzbudzić troskę sekretarza o jego dobrostan. W istocie Cahnyr był skłonny przyznać nieco racji Gharthowi. Z drugiej strony jednak wątpił, aby Gorjah wiedział o Chacie na Szczycie to, co on, a co przeraziłoby sekretarza nie na żarty. Gharth nie mógł jednak tego wiedzieć, ponieważ arcybiskup chronił młodego duchownego przed problemami, które zaczęły mu się walić na głowę. Natomiast to, co martwiło Gorjaha, gdy myślał o swym przełożonym odcięty od świata przez parę pięciodni wysoko w górach, zarazem uspokajało Bryahna Teagmahna... który zdecydowanie nie znał wszystkich tajemnic Chaty na Szczycie.

Nie dało się wykluczyć, że biskup egzekutor Wyllys znał wspomniane aspekty Chaty na Szczycie, które czyniły to miejsce przydatnym dla bieżących celów Cahnyra nawet

pomimo pory roku i pogody. Służył poprzedniemu arcybiskupowi Glacierheart przez ponad osiem lat, zanim Cahnyr zastąpił go na tym stanowisku, więc nieraz wypoczywał w rezydencji latem, podczas najgorętszych pięciodni roku. Było więc możliwe, że uczynił to samo odkrycie co Cahnyr. Ale nawet jeśli tak, nie przyszło mu pewnie do głowy, że powinien się tym teraz martwić.

Prawdopodobnie.

Cahnyr nie miał pojęcia, czy biskup egzekutor został zwerbowany przez Inkwizycję. Wątpił w to, ale też zdawał sobie sprawę, że jego zwątpienie wynika z sympatii, którą żywił dla Wyllysa Haimltahna. Był to pracowity, oddany arcybiskupstwu i wierny człowiek, w dodatku unikający brania łapówek jak ognia. Nie był oczywiście całkowicie odporny na zło szerzące się w Kościele Matce, co nikogo nie dziwiło. Gdyby sporadycznie nie wsuwał do swej sakiewki paru niezbyt legalnych marek, wzbudzałby podejrzenia wielu osób. Jakkolwiek smuciło to Cahnyra, wiedział on, że podobne praktyki są na tyle rozpowszechnione w łonie Kościoła, że skarbnik Świątyni bierze je pod uwagę, ustalając wynagrodzenie na poszczególnych stanowiskach.

Ale to, że Haimltahn był częścią systemu, stanowiło jedyny zarzut, jaki mógł mu postawić Cahnyr. Niestety biskup egzekutor nigdy nie okazywał, że jest świadomy znacznie poważniejszej i ohydniejszej korupcji w sercu Świątyni, ani też nie przejawiał gotowości do jej zwalczania. Nie robił również nic, co by wskazywało, że ją popiera - Cahnyr był tego więcej niż pewien. Wszelako Wyllys Haimltahn był tylko prowincjonalnym biskupem egzekutorem oddelegowanym do najbiedniejszego arcybiskupstwa Wschodniego Haven. Nie miał szans na dołączenie do szeregów hierarchii Syjonu czy Świątyni, z czym się pogodził, i dlatego tym bardziej skoncentrował się na swoim wycinku frontu, pozostawiając wielkie sprawy dla wielkich.

Cahnyr nie mógł go za to winić, ale też z tego samego powodu nie mógł się przed nim ujawnić ze swoją działalnością. A zatem trudno było oczekiwać, by spytał Haimltahna wprost, czy zna prawdziwą przyczynę, dla której wybrał się do Chaty na Szczycie.

*Och, przestańże, skarcił się w duchu. Po pierwsze, prawdopodobnie jesteś bardzo niesprawiedliwy dla Wyllysa, podejrzewając go o to, że współpracuje z Teagmahnem. Po drugie - nawet jeśli tak jest - Teagmahn najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, byś tu przyjechał. Czyli albo nie wie o twoim małym sekrecie, albo jego zdaniem zupełnie się on nie liczy w obecnej sytuacji.*

Mimo powagi chwili Cahnyr prychnął z rozbawienia. Przypomniał sobie, jak zareagował Teagmahn na jego decyzję o spędzeniu paru dni w Chacie na Szczycie. Intendent

pomyślał dokładnie to, co przewidział Cahnyr, mianowicie że wyjazd arcybiskupa do leżącej w głuszy posiadłości, do której można dojechać jedną jedyną drogą (przechodzącą miejscami w zwykły leśny szlak) służy interesom Inkwizycji. Nie było bowiem sposobu, aby Cahnyr bez jego wiedzy wyslizgnął się z Chaty na Szczycie i zakradł z powrotem do Tairysu.

Co w gruncie rzeczy nie mijало się z prawdą, tyle że miało się nijak do planów Cahnyra.

Rozległo się pukanie do drzwi jego sypialni, ledwo słyszalne wśród szumu burzy śnieżnej na zewnątrz Chaty na Szczycie. Cahnyr odwrócił się od okna w chwili, gdy ktoś wchodził do środka.

- Już czas, eminencjo - rzekł Fraidmyn Tohmys, podając chlebobdawcy ciężkie wierzchnie okrycie.

\* \* \*

Glacierheart było od zawsze krainą górniczą. Żaden z mieszkańców prowincji nie miał jednak pełnego rozeznania w systemie szybów, galerii i wyrobisk, które sięgały coraz bardziej w głąb ziemi za sprawą mozołu kolejnych pokoleń górników. Istniały oczywiście szkice i mapy, ale powszechnie uważano je za dające tylko ogólne pojęcie na ten temat. I często mylące.

Kopalnia, którą wykuto w skale w miejscu, gdzie później stanęła Chata na Szczycie, nie została ujęta na żadnej z map. Korytarze były bardzo stare i Cahnyr nieraz się zastanawiał, kto też i kiedy je wyrył. Najwyraźniej eksploatowano w niej bogate złoża węgla, aczkolwiek wszystko wskazywało na to, że bogactwa naturalnego zabrakło akurat wtedy, gdy korytarze zaczęły się zbliżać do obecnej lokalizacji Chaty na Szczycie. A budynek stał dosłownie parę mil od Graywater i kanału Tairys. Cahnyr przypuszczał, że kopalnię porzucono na długo przed tym, zanim przekopano kanał i zbudowano tamy na rzece. Z tego względu nawet w czasach świetności transportowanie urobku na targi musiało być męczarnią.

W obecnej chwili wszakże liczyło się tylko to, iż pewnego lata Zhasyn Cahnyr wpadł przez przegniłe deski do jednego z szybów ewakuacyjnych nieczynnej kopalni.

Szyb ten wydrążono w pobliżu końca galerii biegnącej pod chatą, przez co miał głębokość zaledwie trzydziestu czy czterdziestu stóp. I co jeszcze ważniejsze, był stromy, lecz nie pionowy. Cahnyr posiniaczył się przy tamtym upadku i na parę chwil stracił oddech, ale że był wtedy znacznie młodszy, ciekawość szybko wyparła chęć pocierania obolałej łydki w ciemnościach i mamrotania słów, jakich by nie pochwalił Kościół Matka. Zerwał się więc na nogi, wrócił do Chaty na Szczycie, po czym zażądał od Ghartha Gorjaha i Fraidmyrna Tohmysa (którzy zdążyli już poznać jego zamiłowanie do grotłażenia) worka świec, kawałka

krety i kłęбка sznurka.

Nadal nie miał pojęcia, czemu nikomu nie powiedział o swoim odkryciu. Przecież nie podjął świadomie decyzji o zatajeniu go na wypadek, gdyby musiał ratować się przed wyciągającą po niego ręce Inkwizycją. W gruncie rzeczy powinien był kogoś poinformować, skoro wybierał się na badanie wnętrza góry. Wprawdzie nie dorastał w Glacierheart, lecz był doświadczonym grotolazem i dostatecznie dobrze zdawał sobie sprawę z zagrożenia zawalem, trującymi wyziewami czy zwyczajnym nieszczęśliwym wypadkiem - świat znał mnóstwo sposobów na wyciśnięcie życia z człowieka, który był dość śmiały, by poważić się na jego skarby. Dlatego Cahnyr zawsze zachowywał najdalej idącą ostrożność i nigdy nie popisывał się brawurą (może dlatego, że nawet w młodości nie można go było nazwać nadmiernie dziarskim). Tak czy owak nie zdradził się z odkryciem przed nikim.

Po części chyba dlatego, że odnalazł tam w dole wyjątkowy spokój. Ciszę. Błogość. Stara kopalnia nie umywała się do prawdziwych jaskiń i pieczar, które przyciągnęły go do grotolazenia. Nie była nawet specjalnie interesująca, gdy się nad tym zastanowić. Ot, po prostu bardzo głęboka, bardzo rozległa i bardzo czarna dziura w ziemi.

Zarazem jednak bardzo dziwna, a przy tym dzieło ludzkich rąk, a nie cierpliwego drażenia skały przez wodę. Wchodząc do niej, człowiek miał wrażenie, że cofa się w przeszłość, nawiązuje kontakt z górnikami, którzy pracowali tu dziesiątki - a może nawet setki - lat przed narodzinami Cahnyra. W pewnym sensie była to katedra. Wyciszone, zdające się słuchać wnętrza stanowiło doskonałą scenerię dla jego medytacji; tam naprawdę czuł obecność Boga. Uciekał w głąb kopalni, ilekroć potrzebował wzmocnić ducha. Wiedzieli o tym jedynie sekretarz, lokaj i jego Bóg. Chociaż nigdy nie zabroni pierwszym dwóm wspominać o swoim odkryciu, wiedział, że uszanowali jego pragnienie zachowania tego cudu dla siebie.

Wszakże czas spędzony w trzewiach kopalni poświęcał nie tylko na medytacji. W rzeczywistości przez wiele godzin badał podziemne korytarze, galerie i szyby. We wnętrzu góry panowała wilgotność przyjazna dla drewna, toteż nie znalazł wielu pułapek stworzonych przez czas i gnijące deski. Jednakże unikał pewnej galerii po przyjrzeniu się jej sklepieniu, a także natknął się na parę ślepych korytarzy kończących się podziemnymi stawami. Mimo to pokonał odcinek dłuższy niż kilka mil, robiąc znaki na ścianach i zawsze rozplątując sznurek na wypadek katastrofy.

Teraz przystanął, ledwie zagłębiwszy się w szyb, który odkrył przed tyłoma już laty. Strzepnął śnieg z piersi dłońmi w rękawiczkach z jednym palcem. Krótka wędrówka z Chaty na Szczycie do tego szybu okazała się trudniejszą przeprawą, niż mógł się spodziewać. Wiatr

znów przybrał na sile i dął mocniej niż wtedy, gdy Cahnyr przysłuchiwał się jego wyciu, siedząc w chacie. Temperatura nieustannie spadała. Wraz z Tohmymsem przenieśli mały zapas najniezbędniejszych artykułów dzień po przybyciu na miejsce - i szczęście, że z tym nie zwlekali. Dziś plecaki, które ze sobą targali, były wystarczającym obciążeniem.

Skończył strzepywać grubą warstwę śniegu, po czym ściągnął jedną z rękawiczek i wyjął krzesiwo. Było niezwykle zimno, dłoń mu drżała, toteż zapalenie knota przenośnej latarni trwało dłużej niż w bardziej sprzyjających okolicznościach, lecz wąty płomyk, gdy już mu się udało ta sztuka, wynagrodził wszelkie trudy. Przeciętny człowiek nie uważa, aby wyziębione, gołe skały szybu ewakuacyjnego nieczynnej kopalni mogły stanowić oazę, niemniej Zhasyn Cahnyr nie był przeciętnym człowiekiem, a poza tym wiedział, że Inkwizycja tylko czeka na sposobny moment, aby wykonać swój ruch.

- No, jak na razie dobrze nam idzie - oznajmił radośnie.

- Czyżby? - Tohmys obdarzył go sceptycznym spojrzeniem, korzystając ze światła rzucanego przez latarnię. - Ciekawe, czy dalej też nam pójdzie dobrze. Jak sądzisz, eminencjo?

- Pismo powiada, że nawet najdłuższą podróż trzeba zacząć od małego kroku - odparł sentencjonalnie Cahnyr.

- Prawda, eminencjo... szczególnie że nie zamierzam podważać słów archaniołów. Z tym że coś mi się wydaje, iż czeka nas jeszcze parę, i to wcale niemałych, kroków!

- To bardzo słuszna uwaga, Fraidmynie... - Cahnyr ujął pewniej latarnię i złapał za drąg dwukółki, na której spoczywały ich zapasy. - Ale czy możemy już ruszać w drogę?

\* \* \*

Parę godzin później Cahnyr padał z nóg.

Trochę czasu minęło, odkąd zagłębiał się w kopalnię aż tak daleko, i zwyczajnie zapomniał, jak bardzo jest ona rozległa. A może raczej zapomniał, ile ma lat, bo choć ostatnio był tu dość dawno temu, nie sądził, aby kopalnia od tamtej pory się powiększyła... Niestety tak czy siak czekała ich jeszcze długa droga, zanim wyjdą na powierzchnię po przeciwnej stronie góry. Być może nawet cała doba.

Uśmiechał się pomimo zmęczenia, opierając o wózek i pogryzając kanapkę, którą mu podał Tohmys. Kromki pieczywa były grube, a włożone między nie kawałki mięsa, sera i cebuli - wysmienite. Żałował tylko, że zabrakło odrobiny sałaty, no ale warzywa nie były zbyt częstym widokiem w Glacierehart w środku zimy. Od dawna zastanawiał się nad dobudowaniem szklarni przy pałacu arcybiskupim, ale jakoś nigdy się nie złożyło, teraz zaś...

Przegonił ponure myśli, wygrzebał z kieszeni zegarek i przechylił tak, by światło

latarni padło na jego tarczę. Pod ziemią bardzo łatwo stracić rachubę czasu. Kiedy człowiek nie widział słońca ani nieba i nie czuł zmieniającej się wraz z porami dnia temperatury, odliczanie upływających godzin przychodziło mu z większym trudem, niż mógłby myśleć ktoś, kto nigdy nie znalazł się w takich warunkach. Tyle dobrego, że tutaj, na dole, panowała w miarę stała temperatura i choć daleko jej było do przyjemnej, poruszali się w znacznie szybszym tempie, niżby mogli to robić na powierzchni w szalejącej zamieci śnieżnej. A jednak musieli się pośpieszyć, jeśli chcieli dotrzeć do celu swej wędrówki w określonym przedziale czasu, który wyznaczył tajemniczy autor listu.

- Powinniśmy ruszać dalej - rzekł, przełknąwszy kolejny kęs kanapki.

- Bez wątpienia - zgodził się z nim Tohmys, podając mu kufel pełen piwa. - Jak tylko skończysz tę kanapkę, ruszymy bezzwłocznie.

- Mogę żuć, idąc - zaprotestował bez przekonania Cahnyr, odkładając zegarek do kieszeni, aby wolną ręką sięgnąć po kufel. - Ba, myślę nawet, że jestem w stanie przełykać, idąc. Pod warunkiem, że się skupię.

- Fakt, że potrafisz coś zrobić, nie znaczy jeszcze, że wyjdzie ci to na zdrowie, eminencjo - rzucił lokaj, na którym wcześniejsze słowa arcybiskupa nie zrobiły większego wrażenia. - No dalej, jedz.

Cahnyr popatrzył na niego, po czym delikatnie, naprawdę delikatnie potrząsnął głową - i zaczął posłusznie jeść.

\* \* \*

- Powiedz, eminencjo, czy przerwa na posiłek spowodowała opóźnienie w stosunku do naszego harmonogramu? - Jak na Fraidmyna Tohmysa w pytaniu tym kryła się tylko odrobina skrywanej satysfakcji.

Cahnyr w odpowiedzi pokręcił z rezygnacją głową. Wiedział jednak, że jeszcze gorsze od sytuacji, gdy jego lokaj ma rację, są te niezwykle rzadkie chwile, kiedy się myli. Wtedy stawał się niemal nie do zniesienia, przynajmniej zdaniem skromnego arcybiskupa.

- Nie, Fraidmynie, nie spowodowała. Właściwie jesteście nawet przed czasem.

- Coś takiego - mruknął Tohmys. Cahnyr udał, że tego nie słyszy. - I co teraz, eminencjo? - zapytał go lokaj po chwili milczenia.

- Wyjrzymy na zewnątrz, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda - odparł Cahnyr, podnosząc latarnię i ruszając przed siebie.

Musiał przykucnąć, zbliżając się do wylotu tunelu. Z tego, co wiedział dzięki wcześniejszej eksploracji kopalni, ten korytarz został wydrążony już po tym, jak ją zamknięto. Wykopano go od zewnątrz, co zmusiło Cahnyra do zastanowienia, jak się czuli

ludzie, którzy napracowali się tylko po to, by stwierdzić, że ktoś przed nimi wybrał węgiel z drugiej strony.

Na szczęście dla nich nie musieli kopać bardzo głęboko. Korytarz miał może sto jardów i w najlepszym razie można go było określić mianem nierównego szybu. Dlatego teraz Cahnyr musiał się posuwać do przodu ostrożnie, szczególnie że wolał nie pokazać się u wylotu tunelu z zapaloną latarnią. Jakieś piętnaście jardów od końca korytarza zamknął więc wieczko i stąpał dalej powoli i uważnie, nie odrywając jednej dłoni od ściany.

W miarę zbliżania się do otworu czuł wzmagający się chłód i ponownie zastanawiał się w duchu, co też skłoniło autora listu do wybrania właśnie tego miejsca, do którego zmierzał teraz z Tohmysem. Pod pewnymi względami wybór był bardzo rozsądny: skromny wiejski zajazd. Nie na głównym trakcie, lecz tam, gdzie przecinały się dwie wiejskie - a właściwie górskie - drogi, pozdrawiając się wzajemnie przed ruszeniem dalej w swoją stronę. Jedna z nich - bardzo rzadko używana zimową porą - łączyła dwa pomniejsze miasta oddalone od siebie o nieco ponad sto mil. Często gęsto występujące na niej zakręty, przepaście i przeszkody stanowiły wytłumaczenie, dlaczego wszyscy woleli korzystać z traktu, który omijał główny masyw Tairysu, za cenę wydłużonej podróży pokonując to, co w Glacierheart uchodziło za teren równinny.

Druga z dróg była nawet rzadziej używana zimą niż pierwsza. Biegła mniej więcej na południowy zachód, w stronę południowej części łańcucha Tairysu i miasta o nazwie Jeziorno Górskie leżącego na brzegu jeziora Glacierborn.

O tej porze roku wspomniany zajazd nie miał wielu klientów. Właściciele powitają więc z otwartymi ramionami każdego klienta, jaki się napatoczy, a wieść o tym, że w górach pojawił się ktoś obcy, nie zdąży dotrzeć do Tairysu przed tym, zanim upłynie przewidziany czas i arcybiskup będzie bezpieczny. Z drugiej strony jego położenie nie było korzystne, zważywszy na lokalizację pałacu arcybiskupiego. W istocie te dwa budynki dzieliło osiemdziesiąt mil w linii prostej, lotem wyverny, natomiast aż trzysta drogą lądową. Zakładając, że jakaś droga wiodłaby z Chaty na Szczycie do tych rozstajów, Cahnyr i tak musiałby pokonać co najmniej czterdzieści pięć mil wiodących przez góry. Zimą. Dzięki istnieniu nieczynnej kopalni mogli skrócić ten dystans do piętnastu mil, aczkolwiek autor tajemniczego listu, najprawdopodobniej mieszkaniec Syjonu, nie mógł o tym wiedzieć. Z perspektywy piszącego miejsce to było najgorszym z trzech zaproponowanych w liście i arcybiskup podejrzewał nawet, że znalazło się w nim jako rezerwowe. Któż by bowiem mógł oczekiwać, że uda mu się przebyć taką trasę.

*A w dodatku, pomyślał Cahnyr, stąpając ostrożnie w kompletnych ciemnościach,*



*mimo że jestem już prawie na miejscu, nie mam pojęcia, jak nawiązać kontakt w zajeździe. Trudno mnie nazwać szarym obywatelem Glacierheart! Mogę oczywiście łudzić się, że nikt mnie nie rozpozna tak daleko od miasta, ale chyba lepiej nie popuszczać wodzy fantazji. Zatem jak mam dyskretnie i...*

Urwał nagle te rozmyślania i zamarł, gdy jego przyzwyczajone do mroku oczy się rozszerzyły. Światło! Tam z przodu było światło, a...

- Szczerze mówiąc, eminencjo - odezwał się ktoś przed nim - spodziewałem się was wczorajszego wieczoru.

Oczy Cahnyra były okrągłe jak spodki. To niemożliwe!

- Gharth? - usłyszał swój własny, ochryply głos.

- No cóż - odparł jego sekretarz, wyłaniając się zza załomu korytarza z własną latarnią i szerokim uśmiechem na twarzy - to, że chodziło o mnie, wyjaśnia chyba, skąd tamten list, nieprawdaż, eminencjo?

\* \* \*

- Jesteś szalony, Gharth! - powiedział Zhasyn Cahnyr parę minut później z lekką, lecz wyraźną emfazą. - Bóg mi świadkiem, że latami starałem się cię chronić! A twój ojciec... do tego Sahmantha jest w ciąży, na litość Pasquale!

- Tak - przyznał Gharth Gorjah z zadziwiającym spokojem. - Clyntahn mógł to wszystko wziąć pod uwagę, układając swoje plany. - Obdarzył swego przełożonego poważnym spojrzeniem, zdając się starszy w słabym świetle rzucanym przez latarnię. - Jeżeli naprawdę sądziłeś, że o niczym nie wiem, tym bardziej się dziwię, jak takiemu kiepskiemu konspiratorowi udawało się umykać uwagi Inkwizycji, i to tak długo.

- Ale... - zaczął Cahnyr.

Sekretarz mu przerwał.

- Eminencjo, możemy się sprzeczać do woli. Ale powinniśmy już być w drodze. Chyba że wolisz zawrócić, przedrzeć się przez tę górę jeszcze raz i o wszystkim zapomnieć. Odradzałbym to jednak. Jestem pewien, że ten gad Teagmahn lada dzień otrzyma rozkaz, aby cię aresztować. - Cahnyr zamknął usta, natomiast Gorjah lekko dotknął jego ramienia. - Eminencjo, nie ty mnie zwerbowałeś. Robię to, co robię, ponieważ tak zdecydowałem, a Sahmantha doskonale wiedziała, jakie mam poglądy i w co wierzę, kiedy za mnie wychodziła. Nie uczyniłem niczego, nie skonsultowałem się z nią najpierw, a ona zawsze mnie wspierała. Zaufaj mi, też ma żal do Clyntahna, że nie mógł z tym zaczekać, i oboje martwimy się na myśl, czym to się może skończyć dla nas i co najgorsze, dla naszych dzieci. Lecz z drugiej strony wiedzieliśmy, na co się piszemy.

- Ale czym ty się właściwie zajmujesz? - dociekał Cahnyr. - Bo chyba nie siedziałeś przez cały ten czas z założonymi rękami, czekając, aż wpadnę w tarapaty? Najwyraźniej nie byłeś zaangażowany w tę samą działalność co ja. Zatem w co?

- W rzeczywistości, eminencjo, faktycznie siedziałem z założonymi rękami, mając cię na oku, by tak rzec - wzruszył ramionami Gorjah. - Opowiem ci o wszystkim, jak tylko będę mógł... jak tylko otrzymam pozwolenie. Na razie wiedz, że ktoś jeszcze był świadom istnienia twojej osoby i twych przyjaciół ze Świątyni. Ja nie znam ich nazwisk ani nawet nie mam pojęcia, co razem kombinowaliście. Teraz jednak zaczynam rozumieć, czemu kazałeś mi grzebać w archiwach arcybiskupstwa. Czemu szukałeś dowodów korupcji i rozkazów Rady Wikariuszy, które... nie przystawały hierarchom, tak to ujmijmy. Rozumiem też, dlaczego sformułowałeś parę niepopularnych opinii, wiedząc, że zniechęcisz tym do siebie członków wikariatu. Przyznaję, z początku czułem się urażony, widząc, że angażujesz się w coś tak niebezpiecznego, nie mówiąc mi ani słowa. Myślałem nawet, że mi nie ufasz. Albo co gorsza, że twoim zdaniem mam inne niż ty poglądy na temat tego, co wyprawia się w Kościele Matce. Dopiero później uświadomiłem sobie, że nic mi nie mówisz dla mojego dobra, aby chronić mnie, Sahmanthę i dzieci. Tym bardziej cię wszyscy za to pokochaliśmy. - Wzmocnił uścisk dłoni na ramieniu Cahnyra na moment, robiąc pauzę, aby ukryć wzruszenie we własnym głosie. Odczekał chwilę, odchrząknął i podjął: - Tak, kochałem cię i popierałem. Ale musiałem troszczyć się o innych... zakładników losu, jak mogłaby powiedzieć Bédard. I pozwoliłem ci działać samemu, wykluczając mnie. Ale gdy skontaktował się ze mną ktoś, kto wiedział o tym, co robisz, i gdy ów ktoś przekonał mnie, że nie jest szpiegiem Inkwizycji, i namówił, abym pozostał na miejscu, tutaj w Glacierheart, i w razie potrzeby koordynował twoją ucieczkę, byłem zachwycony. Zachwycony, eminencjo. Twój przyjaciel z Syjonu, kimkolwiek był, wiele miesięcy temu przesłał mi wiadomość, co się szykuje. Od tamtej pory czyniłem przygotowania. Teagmahn nawet się nie zorientował. Gwoli szczerości, od paru lat jestem jednym z jego informatorów. - Sekretarz uśmiechnął się paskudnie. - Odpowiedział mi to twój przyjaciel z Syjonu, jako sposób na odwrócenie ode mnie podejrzeń. Nie powiem, że sprawiało mi przyjemność udawanie, iż myślę tak jak on, ale twój przyjaciel miał co do jednego rację: stanowiło to idealną przykrywkę. Co więcej, musiał mnie uważać za bardzo rzetelnego informatora, bo donosiłem mu wyłącznie prawdę. A poza tym tak był zajęty obserwowaniem ciebie, że na mnie prawie nie zwracał uwagi.

Młodszy duchowny wzruszył ramionami.

- Rzecz w tym, eminencjo, że Sahmantha z dziećmi czeka w zajeździe, którego właścicielem, tak się składa, jest jeden z jej kuzynów. Nie wtajemniczyliśmy go we wszystko,

ale wie, że masz kłopoty, i podobnie jak naprawdę wielu mieszkańców Glacierheart szczerze cię kocha. Całe jego zadanie polega na tym, żeby nie wspomnieć o twojej obecności tutaj, bo nie wydaje mi się, żeby Inkwizycja mogła podejrzewać, że dostałeś się na drugą stronę masywu Tairys podczas najgorszej od trzydziestu lat śnieżycy. Nie sądzę też, aby ludzie Clyntahna uwierzyli, że wróciłeś do miasta i dopiero stamtąd zniknąłeś, ale to jednak wyda im się z pewnością bardziej prawdopodobne. Dlatego moim zdaniem skupią swoje wysiłki na podróży opuszczających Tairys. Zważywszy na porę roku, będą musieli się skoncentrować na Graywater i wodnym szlaku do Jeziora Górskiego, a stamtąd do Siddaru. My tymczasem będziemy się przemieszczać na zachód Szczytami Klifowymi, a potem na południe, aż do Silkiahu.

Cahnyr tylko się na niego gapił. Nie miał pojęcia, kim jest ów przyjaciel z Syjonu, tajemniczy dobroczyńca, ani tym bardziej jak ktokolwiek mógł przewidzieć to wszystko z takim wyprzedzeniem. Poza tym - wbrew wszystkiemu, co usłyszał właśnie od Ghartha - jakąś częścią siebie nadal się burzył przeciwko angażowaniu sekretarza i jego najbliższych w tę ucieczkę. Niestety wszystko wskazywało na to, że przynajmniej przejściowo sprawy wymknęły mu się z rąk.

*Pismo powiada, że niezbadane są ścieżki Pana. Zhasynie, przypomniał sobie w duchu. Nie zapominaj też, co sobie pomyślałeś, jak dostałeś tamten list: że są też inni, którzy dostrzegli to co ty i mają na ten temat takie samo zdanie jak ty i pozostali członkowie Kręgu... Wargi drgnęły mu mimowolnie. I którym najwyraźniej udało się lepiej zorganizować niż wam. A skoro są ludzie zdolni do zrobienia czegoś takiego, i to tuż pod twoim nosem, ale bez twojej wiedzy, i do tego z sukcesem, wygląda na to, że domek Clyntahna i Trynaira może mieć w fundamentach więcej pająkoszczurów, niż mi się zawsze wydawało... Samyl miał chyba rację, prawdziwe zmiany, prawdziwe reformy będą zależały od zewnętrznego zagrożenia, jakim jest dzisiaj Kościół Charisu. Aczkolwiek może są też osoby w łonie Kościoła Matki gotowe działać zgoła inaczej, niż Clyntahn zawsze zakładał, a ja miałem nadzieję.*

Na tę ostatnią myśl poczuł palący wstyd. Wstyd za własną arogancję, przez którą nawet się nie domyślał, że podobne osoby istnieją. Za wykluczenie Ghartha Gorjaha, cóż z tego, że ze szlachetnych pobudek, z czegoś, w czym młody duchowny najwyraźniej bardzo chciał uczestniczyć. Za zwątpienie w to, że Bóg potrafi znaleźć drogę do serc i dusz swoich dzieci, kiedykolwiek zechce.

Wyciągnął rękę i przyłożył dłoń do głowy młodego mężczyzny, ujmując go za policzki i uśmiechając się w blasku latarni.

- Nadal uważam, że jesteś szalony - powiedział miękko. - Podobnie jak ja. Czasami

jednak Bóg potrzebuje szaleńców.

### .III.

#### **HMS CHIHIRO** **ZATOKA GORATH** **DOHLAR**

- Mój panie, biskup Staiphan i admirał Hahlynd przybywają razem.

Hrabia Thirsku oderwał wzrok od raportów leżących przed nim na biurku, by spojrzeć na zdyszanego młodzieńca o kruczoczarnych włosach, zagląającego z szacunkiem zza uchylonych drzwi. Porucznik Ahbail Bahrdailahn - oficjalnie sir Ahbail Bahrdailahn - był najmłodszym bratem barona Westbar. Jego baronia znajdowała się na południowo-zachodnich krańcach księstwa Windborne i nie miała dostępu do morza. Mimo to Ahbail od młodzieńczych lat pragnął służyć w marynarce. Jeśli wierzyć jego bratu, pierwsze zdanie, jakie poprawnie wymówił, brzmiało mniej więcej tak: „Na pokład, nianiu!”. Wielu ludzi uważało, że to zwykła bujda, niemniej jego rodzina, która od niepamiętnych czasów dostarczała królewskiej armii znakomitych oficerów, nie była w stanie odwieść go od tego nienaturalnego wyboru, mimo że bardzo się starała. Młodego Bahrdailahna charakteryzował jednakowoż ogromny upór, więc jego wujowie, ciocie, kuzyni oraz rodzeństwo dali sobie spokój z przekonywaniem, zanim świętował dwudzieste urodziny (rodzice mieli na tyle oleju w głowie, że zrezygnowali o wiele wcześniej).

Teraz, niecałe pięć lat później, młody Ahbail był już oficerem na flagowcu admirała Thirsku. Wprawdzie ta nominacja nie uradowała go nadmiernie, ponieważ widział się raczej na stanowisku dowodzenia jednego z nowych brygów floty albo przynajmniej pierwszego oficera na którymś z nowych galeonów. Szczerze mówiąc, posiadał kwalifikacje na każde z tych stanowisk. Nie był jednak żeglarzem z dziada pradiada, jak miało to miejsce w przypadku wielu jego kolegów, aczkolwiek robił co mógł, by zniwelować tę różnicę, i znacznie bardziej przykładał się do nauki nowego fachu. Nikt też nie mógł powiedzieć złego słowa na temat jego odwagi czy woli walki.

Mimo to zgodził się na przyjęcie proponowanego mu stanowiska i uczynił to bez większego kręcenia nosem. Przyznał potem przełożonemu, że zamierzał udawać przed nim typowego szlachetnie urodzonego głąba, by admirał kazał go jak najprędzej wymienić na

kogoś bardziej kompetentnego, lecz szybko wciągnął się w ogrom prac nad stworzeniem od podstaw nowej floty - wzorowanej rzecz jasna na najlepszym charisjańskim modelu. W odróżnieniu od większości „starych” oficerów nie tylko pojmował zamiary hrabiego Thirsku, ale również popierał je z całego serca. Był też na tyle rozgarnięty, że potrafił rozpoznać wrogów, których admirał narobił sobie po drodze. Prawdę powiedziawszy, nieustępliwość starego admirała w dążeniu do założonego celu bardzo szybko kupiła mu podziw młodego porucznika. A ten z kolei ostatnimi czasy wzrósł tak bardzo, że można było mówić już o swoistym uwielbieniu.

To do pewnego stopnia tłumaczyło niepokój kryjący się w jego oczach. Obawa ta nie była zbyt widoczna, niemniej hrabia znał go zbyt dobrze, by jej nie zauważyć.

- Dzięki za ostrzeżenie, Ahbailu - rzucił hrabia, zanim do jego uszu dotarły piskliwe dźwięki gwizdków bosmanów i tupot stóp o pokład. Kapitan Baiket także musiał otrzymać wiadomość o zbliżającej się barce i organizował właśnie odpowiednią oprawę do ceremonii powitania. - Zadbaj, proszę, aby Mahrtyń był gotów na czas - dodał. - I każ Paiairowi otworzyć butelkę mojej najlepszej whiskey. Potem możesz iść na pokład, by przyprzewodzić tutaj szanownych gości.

- Tak, mój panie. - Bahrdailahn zaczął się wycofywać, ale zamarł, widząc unoszący się palec admirała. - Tak, mój panie?

- Znam admirała Hahlynda od wielu lat, słyszałem także, że biskup Staiphan należy do ludzi rozsądnych. Nie sądzę więc, bym musiał w najbliższym czasie walczyć o życie - uśmiechnął się pod nosem. - Mam nadzieję, że wyraziłem się wystarczająco jasno.

- Tak, mój panie. Oczywiście! - Ahbail poczerwieniał lekko na twarzy, aczkolwiek przy jego cerze trudno było to zauważyć. Zaraz też uśmiechnął się, może nieco zbyt służalczo. - Wybacz, mój panie - dodał nieco bardziej naturalnym tonem. - Ja tylko... - przerwał, potrząsając zdecydowanie głową, co hrabia Thirsku skwitował jeszcze szerszym uśmiechem.

- Uwierz mi, Ahbailu, wiem doskonale, o co ci chodziło. Dlatego dziękuję ci za... nazwijmy to, lojalność i wsparcie. - Oczy admirała załśniły dziwnie, gdy unosił rękę do gestu, którym zamierzał pokazać, jak bardzo jest wzruszony. - Nie wydaje mi się, aby ktoś inny wycisnął z tych stoczni więcej niż my - kontynuował hrabia, od rozbawienia przechodząc płynnie do zatroskanej miny. - Wygląda jednak na to, że księżę Thorastu i jego przyjaciel zamierzają poprzeć mój pomysł misji szkoleniowych.

Bahrdailahn miał taką minę, jakby chciał zaprotestować przeciw temu ostatniemu zdaniu. Chociaż pochodził z rodziny zwykłych baronów, był także dalekim kuzynem księcia

Windborne i wyszał z mlekiem matki całą wiedzę na temat dohlariańskich arystokratycznych waśni. Wiedział więc, że księżę Thorastu i jego sojusznicy mogą deklarować publicznie ogromne poparcie dla hrabiego, ale gdy tylko znajdą pierwszą okazję, od razu wrażą mu sztylet w plecy. W tym momencie skupiali się głównie na piętnowaniu „hańbiącej opieszałości”, z jaką budowano nową flotę, oraz na „nieprzemysłanym i niebezpiecznym systemie szkoleń” forsowanych przez hrabiego Thirsku. Obie te sprawy (do czego admirał, jak widać, nie zamierzał się przyznawać) musiały mieć wiele wspólnego z dzisiejszą wizytą.

- Idź już. - Hrabia odpędził go machnięciem dłoni.

Bahrdailahn uśmiechnął się, skinął głową i zniknął za drzwiami. Admirał zaś zebrał kartki, na których spisano ostatnie raporty, i ułożył je w równy stosik. Trafiły wszystkie do kartonowej teczki, a ta legła w jednej z szuflad biurka. Gdy papiery zniknęły, hrabia wstał, rozprostował kości, po czym podszedł wolnym krokiem do wysokich okien rufowych.

Złożył dłonie za plecami i spojrzał przez zabrudzone solą szyby na wody zatoki. Na zewnątrz było chłodno, wiatr nasilił się, a z nim fala. Hrabia miał nadzieję, że biskup Staiphan Maik i admirał Pawal Hahlynd nie przemokli podczas długiej przeprawy na pokład *Chihiro*. Bez względu na to, czy udała im się ta sztuka czy też nie, i tak będą z pewnością zziębnięci. Mając ten fakt w pamięci, admirał wypatrywał swojego wiernego sługi, Paaira Sahbrahana, którego wezwał do kajuty.

Sahbrahan był wątłym człowiekiem - niższym nawet od hrabiego Thirsku - ale za to o niezwykle szybkich i zręcznych dłoniach. Nie miał żadnych oporów przed przypominaniem swojemu panu o jedzeniu czy potrzebie snu. Był też wyśmienitym kucharzem, kto wie, czy nie zostałby szefem jakiejś znanej kuchni, gdyby nie wybrał służby u admirała. Ta ostatnia cecha czyniła go także znakomitym zarządcą piwnicy z winami i spirytualiami.

Mimo to osobisty lokaj hrabiego nigdy nie spoufalął się z resztą otoczenia swojego pana, czy to na lądzie czy na morzu. Współpracownicy admirała podziwiali jego liczne talenty, aczkolwiek mieli też dobre - można nawet powiedzieć boleśnie dobre - pojęcie o jego próżności i arogancji. Sahbrahan dbał o należyte traktowanie hrabiego Thirsku bardziej, niż ten sobie życzył. Doprowadzał na przykład do pasji obsługę licznych zajazdów, żądając bez przerwy wymiany pościeli, ręczników, natychmiastowego dostarczenia gorącej wody, nie słuchając przy okazji żadnych tłumaczeń. Tego samego próbował również na pokładzie okrętu - znany był na przykład z tego, że poganiał bez litości lokajów pracujących dla zwykłych kapitanów. Nie wspominając już o legendarnych awanturach z kucharzami i płatnikami kolejnych flagowców hrabiego.

Admirał był świadom tych jego przywar jak nikt inny, więc Sahbrahan nie próbował

nawet dokazywać w jego obecności. Z drugiej jednak strony hrabia wiedział, że znalezienie równie kompetentnego lokaja było w tych czasach niemal niemożliwe. Dlatego spędzili razem ostatnie osiem lat.

Sługa przemierzył szybko wyłożoną dywanami podłogę kajuty, ustawił na stoliku srebrną tacę, na której znajdowały się dwie karafki whiskey oraz jedna brandy, a na koniec spojrzał w kierunku swojego pana.

- Przyniosłem Stahlmyrna, Waykhana i Tharistana, mój panie - powiedział, wskazując głową karafki. - Czy to wystarczy?

- Jak najbardziej - odparł hrabia Thirsku.

- Poinformowałem także kambuz, że życzysz sobie, panie, gorącej czekolady dla gości - kontynuował Sahbrahan. - Lunch zostanie podany zgodnie z twoimi instrukcjami, panie, dokładnie o czternastej.

- Świetnie. - Hrabia podniósł głowę, by spojrzeć za plecy sługi, na wchodzącego właśnie Mahrtyna Vahnwyka, osobistego sekretarza i starszego skrybę.

Ten był o wiele wyższy od Sahbrahana, mimo że garbił się mocno za sprawą męczącej go krótkowzroczności. Mimo tej wady był jednym z najlepszych sekretarzy, jakich hrabia miał okazję zatrudniać... Niestety on i Sahbrahan nie pałali do siebie miłością.

*Bądźmy sprawiedliwi*, pomyślał hrabia, spoglądając na obu, gdy stanęli obok, ale tak, by nie patrzeć na siebie. *Chyba nie ma na tym okręcie człowieka, który lubiłby Paaira. I muszę przyznać, że sporo jest w tym jego winy.*

- Jeśli to już wszystko, mój panie, pójdę już, by dopilnować twoich pozostałych poleceń - zaproponował lokaj.

Hrabia skinął głową przyzwalająco i Sahbrahan, pokłoniwszy się głęboko, opuścił kajutę, całkowicie ignorując obecnego w niej Vahnwyka.

*Na rany Langhorne'a!* - jęknął w duszy admirał. *A ja myślałem, że między mną i księciem Thorastu panuje wielka nienawiść.*

Nadal chichotał z tej myśli, gdy usłyszał ponowne pukanie porucznika Bahrdailahna.

- Wejść! - zawołał i ruszył w stronę drzwi, by powitać gości.

Pawal Hahlynd był człowiekiem w jego wieku, wyższym o stopę, a może nawet więcej, i znacznie lepiej wyglądającym. Biskup pomocniczy Staiphana Maik mieścił się wzrostem gdzieś pomiędzy oboma admirałami. Jego włosy przyprószyła już siwizna, ale piwne oczy wciąż miał lśniące i żywe. Był żwawym mężczyzną, emanującym energią, aczkolwiek hrabia Thirsku słyszał od zaufanej osoby, że ma on ogromną słabość do słodczy. Jeśli wierzyć tym samym źródłom, przypadłość owa zmuszała go do fanatycznego wręcz

uprawiania gimnastyki. Ponoć robił co mógł, by pogłoski o jego łakomstwie nie dotarły do niepowołanych uszu, uważając zapewne, że źle by się to odbiło na jego opinii. Wszak schuelerycy znani byli z ogromnej pobożności i samokontroli. Hrabia uważał, że taka słabość oznacza jedynie, że intendent floty i biskup zarazem jest także normalnym człowiekiem.

- Eminencjo... - Hrabia najpierw powitał biskupa, pochylając się, by ucałować pierścień, a dopiero później wyciągnął prawicę ku Hahlyndowi, który przyjął ją zaraz, uśmiechając się szeroko. - Pawalu.

- Admirale - odparł równie radosny intendent. - Dobrze cię widzieć, aczkolwiek muszę przyznać, że przeprawa przez redę była bardziej... orzeźwiająca, niż sobie tego życzyłem.

- Przykro mi to słyszeć, eminencjo. Jak zapewne wiesz...

- Proszę, mój panie! - przerwał mu biskup, unosząc lewą dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym. - Wiem doskonale, jakie są powody, to znaczy, jakie są oficjalne powody naszego spotkania w takim miejscu.

- Słucham? - zapytał hrabia, okazując nieco zdziwienia, na co biskup zareagował kolejnym wybuchem śmiechu. Nie był to jednak zbyt radośnie brzmiący dźwięk, a jego oczy natychmiast zwęziły się w szparki.

- Powiedziałem, że wiem, jakie są oficjalne powody tego, że spotykamy się na pokładzie flagowca, a nie w zacisznym gabinecie na brzegu - dodał. - Znam wszakże i te nieoficjalne. Na przykład wiem, kto jeszcze chciałby być świadkiem naszej rozmowy, gdyby miała ona mieć miejsce we wspomnianym wcześniej pomieszczeniu.

- Rozumiem. - Hrabia Thirsku spoglądał intendentowi w oczy na tyle długo, że ten mógł dokładnie przestudiować jego minę. Po chwili jednak biskup uśmiechnął się po raz kolejny, tym razem bardziej krzywo.

- Dziwnym zrządzeniem losu, admirale, zgadzam się z proponowaną przez ciebie strategią działania, chociaż wiem, że nie powinienem ci tego mówić. Tak samo jak tego, że wiem, ile złej krwi jest dzisiaj między tobą a księciem Thorastu. Niestety, nie stać mnie na tego typu niedopowiedzenia.

- Eminencjo, ubolewam nad ową... złą krwią, o której wspomniałeś, niemniej nie mam zamiaru ukrywać, że ona istnieje. Obawiam się również, że nasze stosunki z księciem pogorszą się w jeszcze większym stopniu po tym, jak wymusiłem kolejne decyzje, których on, czego mam pełną świadomość, nie popiera.

- Prawda wygląda tak, panie hrabio - stwierdził Maik, idąc w głąb kajuty, by usiąść w jednym z foteli stojących przed biurkiem admirała - że księżę Thorastu pała do ciebie



ogromną nienawiścią. Nie ma nic przeciw ideom, które nam proponujesz. Utrąca jednak twoje propozycje, ponieważ to ty za nimi stoisz. Wątpię, aby zastanawiał się choć przez chwilę nad jakimkolwiek z twoich pomysłów. - Hrabia, wbrew woli, zmrużył oczy, słysząc tak obcesowe uwagi wygłaszane przez biskupa. Widząc to, Maik wybuchnął śmiechem, tym razem z czystego rozbawienia. Był to gorzki śmiech, ale przynajmniej szczery. - Od początku wiedziałem, jak wygląda sytuacja - dodał. - Byłbym marnym intendentem floty, gdyby mi umykały tak ważne sprawy! Niestety, nie widzę łatwego rozwiązania waszej sytuacji... - zamilkł na moment, wskazując ręką pozostałe, wolne wciąż fotele. - Siadajcie, panowie, proszę.

Obaj admirałowie usłuchali, ale tylko hrabia Thirsku pozwolił sobie na skryty uśmiech, komplementujący łatwość, z jaką biskup podporządkował sobie jego kajutę. Intendent zerknął tymczasem w stronę Vahnwyka, taksując go wzrokiem, ale zaraz przestał się nim interesować.

- Problem polega na tym, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby księcia do zmiany zdania, ponieważ to ty miałeś rację przed wydarzeniami za Rafą Armagedonu, a nie jego szwagier. Nigdy nie wybaczy ci też udowodnienia ludziom, że księżę Malikai był niekompetentnym durniem. - Hrabia oparł się wygodniej, a biskup obdarzył go kolejnym szerokim uśmiechem. - Istnieją jednak granice oporu, jaki gotów jest stawić księżę Thorastu - dodał duchowny bardzo poważnym tonem. - Król Rahnyld dał mu niedawno do zrozumienia, że zbyt otwarte ataki na twoją osobę mogą być... źle odebrane. Ja także mu to uzmysławiałem, rzecz jasna w nieco bardziej subtelny sposób. I biskup egzekutor Ahrain dorzucił swoje trzy marki. Tak więc, przynajmniej chwilowo, jego narzekania są tak ciche, że nawet Inkwizycja miałaby problem z namierzeniem ich źródła. Księżę wykona każdy rozkaz, jaki mu wydasz, lecz... czego zapewne jesteś świadomy... nie omieszka skrytykować większości z nich w raportach, które będzie mi składał. - Maik skrzywił się. - Ale to jego prawo, a nawet obowiązek.

- Eminencjo - odezwał się hrabia Thirsku. - Nie będę udawał, że nie wiedziałem o sprawach, które poruszyłeś. Nie przypuszczałem jednak nigdy, że podejdziesz do tych kwestii z taką... otwartością.

- Problem w tym, admirał - oświadczył biskup z poważną miną - że księżę Thorastu ma silniejszych stronników, a jego koneksje sięgają wyżej niż twoje. W dodatku tego typu rozgrywki to jego specjalność. Ty masz po swojej stronie wielką inteligencję, odwagę oraz doświadczenie, które liczą się na polu bitwy o wiele bardziej niż wszystkie salonowe podchody razem wzięte. Niestety, jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, księżę

zwycięży w tym starciu i zniszczy twoją karierę. A fakt, że to ty miałeś rację, kiedy wszyscy jego poplecznicy się mylili, tylko ułatwi mu zadanie ostatecznego ciosu, gdy minie obecne zagrożenie. - Hrabia po prostu spojrzał na niego zza biurka, a potem skinął wolno głową. - Widzę, że nie powiem dzisiaj niczego, co mogłoby cię zaskoczyć, admirale. To tylko wzmacnia mój podziw dla ciebie. Mogę ręczyć, że dopóki będę intendentem floty, nie zapomnę o nastawieniu księcia Thorastu ani powodach, które za nim stoją. Od tej pory masz moje pełne poparcie i szczerze powiedziawszy, nie dostrzegam okoliczności, które mogłyby mnie zmusić do zmiany zdania. Wiesz także, czego nie powinienem tutaj przyznawać, mianowicie że i Kościół Matka nie jest wolny od rozgrywek politycznych i rozmaitych klik. A księżę Thorastu ma kilku wielkich przyjaciół wśród najpotężniejszych kapłanów. Jest więc możliwe, nie, bądźmy szczerzy... Jest całkowicie pewne, że wykorzysta wspomniane znajomości do osłabienia mojej pozycji i twojej także, gdy tylko zauważy, iż nie mam zamiaru popierać go w walce z tobą. Wspominam o tym, ponieważ tylko my dwaj możemy doprowadzić to zbożne dzieło do szczęśliwego końca, jeśli pozostaniemy na swoich stanowiskach i będziemy robić swoje. Cała reszta naszych wielmożów zamiast przejmować się sytuacją, kombinuje tylko, jak by tu skrócić nas, a raczej ciebie, o głowę. Nikomu nie chodzi o wybudowanie tej floty. Dlatego musimy zatkać im jadaczki, udowadniając, że nasza strategia prowadzi do zwycięstw. Miałeś rację przed wszystkimi bitwami, ale i tak je przegraliśmy. Dlatego dzisiaj musisz nie tylko udowodnić, że wiesz, co robisz, lecz także poprowadzić nas do zwycięstwa.

W kajucie przez kilka długich chwil panowała kompletna cisza, dopiero potem hrabia Thirsku westchnął ciężko.

- Nie mogę obiecać zwycięstwa - oświadczył półgłosem. - Po pierwsze dlatego, że żaden człowiek nie zna przyszłości, a po drugie, jakkolwiek wiele mielibyśmy okrętów, i tak musimy zmierzyć się z Charisjanami. Bez względu na to, czy ich marynarka wojenna jest cesarska czy królewska, to wciąż ta sama flota, z tymi samymi admirałami, kapitanami i załogami. To żadni nadludzie. Możemy ich pokonać. Niemniej w tej akurat chwili są najlepiej wyszkolonymi i najbardziej doświadczonymi marynarzami na Schronieniu. Niewykluczone, że staniemy do boju z najlepszą flotą, jaka żeglowała po tych morzach. Nie twierdzą jednak, że nie możemy się z nimi równać, i nie odmówię walki. Musimy się jednak uzbroić w wiele cierpliwości, zanim zaczniemy osiągać liczące się zwycięstwa. Dopiero zaczynamy szkolić naszych ludzi i chociaż przyznanie tego przychodzi mi z trudem, nie mam zamiaru kryć, że większość marynarzy i oficerów wciąż panicznie boi się reputacji Charisjan. Całkiem słusznie zresztą, albowiem wróg zasłużył sobie na nią na długo przed bitwami pod Skalistym Klifem i

w cieśninie Darcos. Musimy najpierw udowodnić naszym ludziom, że zwycięstwa nad Charisjanami są możliwe, zanim naprawdę zaczniemy je odnosić.

Zamyślony biskup spojrział mu w oczy.

- Cóż, to naprawdę szczerą wypowiedź - mruknął.

- Innych ode mnie nie możesz oczekiwać, eminencjo - odparł hrabia Thirsku.

- Zauważyłem. - Maik także rozsiadł się wygodniej, splatając palce na wysokości klatki piersiowej i wydymając usta. - Jeśli się nie mylę, admirale, powiedziałeś przed momentem, że możesz wybudować nam flotę, która dorówna Charisjanom, ale uważasz, iż najpierw musimy zapłacić daninę krwi... Czy to oznacza, że poniesiemy kilka porażek?

- Jestem niemal pewien, że dojdzie do nich w pierwszej fazie operacji - przyznał hrabia Thirsku. - Mogę się jednak mylić i wiele bym dał, żeby tak było. Istnieje bowiem szansa na to, że uzyskamy pełną gotowość bojową, i to znacznie szybciej, niż przypuszczałem. Zapewniam cię jednocześnie, eminencjo, że każda eskadra, którą pošlę do boju, będzie miała na celu tylko jedno: odniesienie zwycięstwa. Aż do oddania pierwszego strzału nikt nie będzie wierzył, że porażka jest możliwa. Jak wiesz, mórz i oceanów jest wiele, a siły Charisjan są rozśrodkowane do granic możliwości. Nie mogą być jednakowo silne w każdym miejscu Schronienia. Jeśli więc podzielimy nasze siły na kilka zespołów i doprowadzimy do kilku starć na mniejszą skalę, zanim wydamy wrogowi walną bitwę, możemy odnieść znaczące sukcesy. Nie mogę ci jednak obiecać, że tak właśnie się stanie, przyjmuję więc za pewnik wariant, w którym musimy ponieść sporo strat, zanim zaczniemy odpłacać wrogowi tym samym. Jeśli zdołam dokończyć wszystkie programy szkoleniowe, jeśli uda mi się zmusić dawnych kapitanów galer do myślenia kategoriami taktyki i strategii galeonów, wtedy zyskamy spore szanse na odnoszenie zwycięstw. Mamy przewagę liczebną w ludziach i sprzęcie. Nie dorównujemy im sprawnością i nie dorównamy, przynajmniej do momentu aż wybudujemy jednostki tak dobre jak te, którymi dysponują. A tyle na pewno możemy osiągnąć... bez względu na to, kto wtedy będzie głównodowodzącym.

W kajucie zapanowała jeszcze głębsza cisza, gdy hrabia Thirsku przedstawił sytuację tak, jak ją widział. Maik zmierzył go długim, uważnym spojrzeniem.

- Rozumiem - powiedział w końcu - i przyznaję, że mój szacunek dla ciebie wzrósł jeszcze bardziej. Mam jednak nadzieję, że się mylisz, że dane ci będzie odnieść zwycięstwa w naszym imieniu, że staniesz na czele floty, którą budujesz. Przyznaję też, że teraz rozumiem znacznie lepiej, co próbujesz osiągnąć. Dlaczego tak się upierasz przy budowaniu całych eskadr, a nie pojedynczych jednostek, i na posyłaniu ich na ćwiczenia bez względu na warunki pogodowe.

Maik zerknął na Hahlynda, który nadal nie wypowiedział ani słowa. Z wyrazu jego twarzy można było jednak wyczytać, że milczy nie dlatego, iż nie zgadza się z poglądami przedstawionymi przez hrabiego Thirsku. Biskup przyjął więc tę cichą aprobatę, kiwając głową.

- Zdajesz sobie sprawę, mój panie - rzekł, odwracając się do gospodarza - że książe Thorastu krytykował tę operację na całej linii. Nie mógł jednak zżymać się na przyśpieszenie budowy jednostek, nie wspominając już o kompletowaniu załóg, dlatego skupił się ostatnio na organizacji okrętów wprowadzanych do służby... oraz na wyciskaniu ostatnich potów z ich załóg. Jego zdaniem do ukończenia floty pozostało jeszcze sporo czasu, więc posyłanie tak małych sił na morze nie ma sensu, zwłaszcza teraz, zimą, ponieważ po każdym takim rejsie szkutnicy muszą dokonywać stosownych napraw, co odciąga ich od pracy nad nowymi galeonami. Lepiej więc trzymać wszystkie siły w portach, gdzie też można prowadzić ćwiczenia załóg, choć w znacznie bezpieczniejszych warunkach, aż do osiągnięcia pełnej sprawności bojowej. Po co tracić maszty i żagle podczas zimowych burz, skoro w promieniu dwóch tysięcy mil od zatoki Gorath nie ma nawet jednego okrętu wroga.

- My nie tracimy tylko masztów i żagli, eminencjo. W trakcie tych manewrów giną także ludzie - wpadł mu w słowo hrabia Thirsku. - Na swoje usprawiedliwienie mam tylko jedno: w portach nie można nauczyć się walki na morzu. Morze to surowy nauczyciel, ale jedyny prawdziwy. Czy chcemy to przyznać czy nie, Charisjanie są najlepszymi żeglarzami świata, a Korona dysponuje znacznymi ich rezerwami. Spora część naszych załóg to zwykle szczury lądowe, więc jeśli nie nauczymy ich życia na morzu, zanim dojdzie do starć z wrogiem, możemy równie dobrze od razu opuścić bandery i poddać nasze eskadry. - Hrabia skrzywił się i pokręcił głową. - Zdaję sobie sprawę z tego, że książe krytykuje mnie za wysyłanie okrętów w morze i koszty ich późniejszych napraw. Domyślam się również, że miota gromy za każdym razem, gdy donosimy o poległych marynarzach. Gdybym miał czas na przeprowadzenie tych szkoleń w innych warunkach, możecie być pewni, że przystałbym na jego propozycje bez sekundy wahania. Niestety moim zdaniem nie ma na to czasu. Charisjanie wiedzą, że budujemy nową flotę, więc lada moment zaczną wysyłać na nasze wody eskadry, by coś z tym fantem zrobić. Wiem, że dzielą nas tysiące mil oceanu i istnieje wiele innych znacznie nam bliższych zagrożeń, którymi powinniśmy się teraz martwić. Mielśmy już jednak przykład, do czego ci heretycy są zdolni. Wysłali całą swoją flotę, do ostatniego galeonu, aż za Rafę Armagedonu, nie mając nawet pewności, że nasze okręty tam będą. Istnieje więc spore prawdopodobieństwo, że już wkrótce wyślą część swojej dzisiaj już znacznie większej floty w kierunku naszych wybrzeży, ponieważ wiedzą dokładnie, gdzie

jesteśmy, a zatoka Gorath wcale nie jest tak wielka, jak nam się wydaje. Gdy do tego dojdzie, będę potrzebował co najmniej kilku eskadr, które sprawdzą się w warunkach bojowych. Nawet największa flota na nic nam się nie zda, jeśli nie będzie w pełni sprawna, mieliśmy tego widome przykłady pod Skalistym Klifem i w cieśninie Darcos. Musimy dysponować choć niewielką częścią jednostek w pełni gotowych do walki, jeśli chcemy przeciwstawić się tym rajdom Charisjan.

- Rozumiem, admirale - rzucił półgłosem Maik. - I w pełni się z panem zgadzam. Zrobię wszystko co w mojej mocy, by poprzeć pańskie stanowisko przed Kościołem Matką i jego wysokością. Rzecz jasna, nie zawsze będę mógł to robić otwarcie. Jak już wspomniałem, książę Thorastu ma potężnych sprzymierzeńców. Im dłużej uda mi się trzymać w sekrecie fakt poparcia, tym później będzie mógł skorzystać z ich pomocy. - Hrabia skinął głową, co biskup skwitował bladym uśmiechem. - Mam już kilka pomysłów, jak zbić niektóre z jego argumentów, przynajmniej tymczasowo, ale za to tak, by nie domyślił się, że robię to celowo. Sądzę też, że powinniśmy zadbać o to, admirale, aby mieć ze sobą stały kontakt, aczkolwiek poza oficjalnymi kanałami łączności. - Pokręcił głową. - Dlaczego obrońcy Kościoła Matki muszą kryć się po kątach, aby móc działać efektywniej? Niestety Bóg dał ludziom wolną wolę, ale nie wszyscy umieją z niej korzystać rozumnie. Poniektórzy są w tej materii kompletnymi baranami. - Hrabia, ku swojemu zaskoczeniu, wybuchnął gromkim śmiechem. Biskup natychmiast poszedł w jego ślady. - Nie ma co udawać, że z cebuli będzie pachnidło. Aczkolwiek w odniesieniu do arystokraty, o którym rozmawiamy dzisiejszego ranka, bardziej stosowne byłoby porównanie szamba z perfumierią. Dlatego zrobię co w mojej mocy, aby jak najmniej tego smrodu snuło się na twojej drodze, hrabio. Reszta zależy wyłącznie od ciebie - w tym momencie intendent spojrzął gospodarzowi prosto w oczy, natychmiast poważniejąc: - i admirała Hahlynda.

## **.IV.**

**WIĘZIENIE KAHSIMHR**

**MANCHYR**

**ORAZ**

**REZYDENCJA HRABIEGO**

**VAHLAINAH**

**HRABSTWO STROMEHO WZGÓRZA**

Ojciec Aidryn Waymyn przyglądał się przez zakratowane okno szubienicom ustawionym na więziennym dziedzińcu. Wielu ludzi zawisło na nich w ciągu minionych pięciodni. Patrzył, jak wstępują po drewnianych schodach na szafot, by stanąć przed przygotowanymi pętlami. Mniej więcej co czwarty z nich miał znajomą twarz.

*Chyba chcę, abym był im wdzięczny za to, że zostawili mnie na sam koniec, pomyślał.*

*Dranie!*

Twarz mu stężała, a nozdrza rozděły się, gdy pogładził dłonią zgrzebną więzienną tunikę, którą zastąpiono jedwabną sutannę. Łaskawie pozostawiono mu berło, dlatego mógł teraz poczuć pod palcami jego znajomy kojący chłód. Niestety to było jedyne ustępstwo, na jakie poszli. Zacisnął dłoń na berle, opierając czoło o kraty, i przypomniał sobie furię oraz... przerażenie, do którego za nic by się nie przyznał, jakie ogarnęło go wtedy w klasztorze.

Nadal nie wiedział, kto go zdradził. A ktoś musiał to zrobić. Co gorsza, był to z pewnością członek jego zakonu. Na tę myśl poczuł jeszcze większą gorycz. Niestety, choć było to trudne do uwierzenia, tylko tym sposobem sir Koryn mógł dowiedzieć się o jego kryjówce w Świętym Zhustynie. Tylko zakon Schuelera wiedział o tajnych komnatach i sekretnym wejściu na końcu dobrze zamaskowanego tunelu. To musiał być ktoś bliski, ktoś, komu zaufał, ponieważ ten przeklęty na wieki bękart Gahrvai wiedział dokładnie, gdzie go szukać. Tamtej nocy on i jego pomagierzy z rady regencyjnej zdziesiątkowali... nie, zlikwidowali ruch oporu budowany z takim mozołem przez Waimyna. Poczul, jak żołądek wywraca mu się na drugą stronę - dosłownie, nawet w tej chwili miał potworną gorycz w przełyku - na myśl o tym, że rodowici Corisandczycy, którzy głosili publicznie miłość do Boga, celowo i z rozmysłem zlikwidowali na terenie Manchyru jedyne komórki ruchu oporu przed sączącym się jadem apostatów i heretyków zwących się „Kościołem Charisu”.

Przelknął gorzką ślinę, zmusił się do wzięcia kilku głębokich wdechów, a potem spojrział raz jeszcze w kierunku szubienic.

Jutro to on będzie wspinał się na te schody. Na tę myśl ogarnął go strach, ściskający mocno krtań, ale moment później znów poczuł o wiele mocniejszy gniew. Był gotów oddać życie za Boga i nie miał zamiaru nikogo przeproszać za to, co uczynił w obronie Jego świętego planu, obejmującego wszystkich ludzi żyjących na Schronieniu, przeciw bezbożnym łgarstwom i zepsuciu wrogów. Był jednak wyświęconym kapłanem. Nie jakimś tam opryskiem czy bandziorem, który podlega świeckiej władzy! W Piśmie stoi jak wół, że tylko Kościół Matka ma prawo do karania księży. Tylko jedyne prawdziwy Kościół może wydać prawowity wyrok i tylko on może go wykonać.

*Ale oni znaleźli odpowiedź i na to... Usta same ułożyły mu się w drwiący uśmiech, a*

dłoń na berle zacisnęła się tak mocno, że kostki na niej pobieleły. *Władza świecka nie może karać kapłanów? Nie ma problemu, wystarczy odebrać im święcenia!*

To właśnie z nim zrobili. Ekskomunikowani zdrajcy śmieli pozbawić kapłaństwa biskupa konsekrowanego w Świątyni rękami samego wielkiego wikariusza! Zwodzeni klątwą Shan-wei postawili własną dumę nad wolę archaniołów, a nawet Boga Jedynego, oświadczając wszem wobec, że przestał być kapłanem. I oskarżyli go nie tylko o złamanie prawa narzuconego przez Charis, ale także tego, które pochodzi od Stwórcy. Obwieścili, że egzekucja zdrajcy Haskansa nie była czynem sprawiedliwym Inkwizycji, tylko zwykłym morderstwem. Nawet ten największy zdrajca ze wszystkich, Gairlyng, „arcybiskup” Klairmant, podpisał się pod tym wyrokiem, stwierdzając, że Waimyn, jako zleceniodawca zbrodni, pohańbił swoimi czynami świętość kapłańskiego stanu. Gairlyng, zaprzysięgły ekskomunikowany apostata, miał czelność osądzać legalnego intendenta Corisandu, po czym profanując wszystkie eklezjastyczne prawa, wydalil go z szeregów kapłanów Kościoła za „tortuowanie i zamordowanie innego księdza, brata i niewinnego bożego dziecięcia”.

Waimyn nie potrafił uwierzyć, że ktoś tak skompromitowany w oczach Boga może uważać, iż posiada autorytet pozwalający mu na wydawanie podobnych wyroków. Mimo to „arcybiskup” wydał orędzie tej treści, a świeckie władze przyjęły je, i to z wielką radością.

Nagle Waimyn zdał sobie sprawę z tego, że zgrzyta zębami. Musiał się uspokoić. Ale to nie było łatwe. Siedząc tutaj od wielu pięciodni, powoli wpadał w nawyk. Uśmiechnął się pod nosem beznamiętnie, gdy dotarło do niego, że nie musi się aż tak bardzo przejmować stanem uzębienia.

Odepchnął się od okna i zaczął krążyć po celi. Była większa i bardziej komfortowa od innych lochów tego więzienia, ale i tak mieli w niej siedzieć pospolici przestępcy. Dziesięć stóp od ściany do ściany, w rogu wąskie posłanie, obok stół, krzesło, dzban wody, misa, poobijany kubek i nocnik. Prócz wymienionych przedmiotów miał do dyspozycji egzemplarz Pisma, który, och, łaskawcy zgodzili się dostarczyć do więzienia. Prostota tego miejsca była kolejną szykaną, sposobem okazania pogardy człowiekowi, który został czempionem Kościoła Matki.

Jak się okazało, oprawcy nie mieli odwagi, a może jedynie zuchwałości, by zastosować wobec więźnia środki przewidziane przez religię, którą ponoć wyznawali. Aidryn Waimyn wiedział doskonale, jaką karę rezerwowała Księga Schuelera dla tych, których oskarżano o czyny jemu zarzucane. To, co kazał zrobić z Hahskansem, było zaledwie namiastką pełnej kary: zdrajca uniknął mąk tylko dlatego, że członkowie ruchu oporu nie mieli czasu i odpowiednich narzędzi pod ręką.

Waimyn był schuelerytą. Z tego też powodu nie zamierzał udawać przed sobą, że jest wdzięczny losowi za to, iż odszczepieńcy stchórzyli i zrezygnowali z wysłania go na klasyczne przesłuchanie, a potem odstąpili od zastosowania kary przewidzianej w Księdze Schuelera. Na samą myśl o łamaniu kołem, rozpalonym do białości żelazie, kastracji, oślepieniu, powolnym wypruwaniu wnętrzości i spaleniu każdy człowiek musiał odczuwać wielkie przerażenie i miał ku temu powody. Schuelerowi nie chodziło o wyżycie się na przestępcy, postulował tak surowe traktowanie tylko dlatego, że chciał powstrzymać ludzi przed popełnianiem zbrodni. Gdyby więc „arcybiskup” Klairmant i jego posłuszne marionetki z rady naprawdę wierzyli w to, co głoszą, z pewnością kazaliby zastosować pełny zestaw kar, a nie ograniczaliby się do zwykłego wieszania.

Prychnął z pogardą, gdy przypomniał sobie, co Kościół Charisu uważa za przesłuchanie. Ci durnie nie stosowali nawet najłagodniejszych metod Inkwizycji. Pozbawienie więźnia snu, i owszem. Niekończące się pytania zamiast bicia, bicia i jeszcze raz bicia. Musiał jednak przyznać, że wyciągnęli z niego więcej, niż powinni. Mówił, ale tylko dlatego, że i tak już wiedzieli. Okazało się, że trudno jest odmówić pełnej odpowiedzi na pytanie, kiedy oprawca udowadnia, iż zna dwie trzecie prawdy, i to jeszcze przed rozpoczęciem przesłuchania. A w miarę narastania zmęczenia człowiek coraz słabiej kontroluje umysł i coraz częściej wymyka mu się to i owo.

*Ale za wiele pożytku ze mnie nie mieli, pomyślał. Zbliżyli się do sedna prawdy kilkakrotnie, bardziej niż przypuszczali, ale jej ze mnie nie wyciągnęli. Przynajmniej ten sekret zdołałem zatrzymać dla siebie. Może i wiedzą, a z pewnością podejrzewają, kto wydał rozkaz, lecz nie mają na to żadnych dowodów, a Cahmmyng na szczęście zdążył się im wywinąć. Ten drań zdradziłby w okamgnieniu, gdyby otrzymał odpowiednią zachętę, ale ode mnie się tego nie dowiedzą. Nigdy, przenigdy!* W jego ponurych oczach pojawiły się błyski tryumfu i zarazem pogardy dla wrogów. *Głupcy. Każdy przyzna się do wszystkiego, jeśli go odpowiednio urobić, a Inkwizycja wie, jak tego dokonać. Gdyby poddali mnie przesłuchaniu w naszym stylu, wyśpiewałbym wszystko bez względu na to, jak bardzo bym tego nie chciał, ale te ofiary nie poważą się na taki krok.*

Świeckie władze były o wiele chętniejsze do stosowania przewidzianych prawem technik. Szczerze mówiąc, Waimyn nie potrafił zrozumieć, dlaczego zwykli żołnierze pałają tak ogromną chęcią wzięcia go w obroty. Zdaje się, że ten zdrajca Hahskans był równie popularny w garnizonie, jak wśród pospólstwa Manchyru. Czysta nienawiść bijąca z ich oczu, gdy dowiedzieli się o tym, że to Waimyn kazał porwać, a potem stracić prawiącego herezje kapłana, zaskoczyła intendenta Inkwizycji, a smak ich pięści i buciorów, który poczuł



moment później, był jeszcze trudniejszy do zniesienia. Ledwie zipsał, gdy kapitan, dwaj porucznicy i czterej sierżanci zdołali go wyrwać z łap oprawców, posiniaczonego, zakrwawionego i półnagięgo. Tutaj, w więzieniu, strażnicy już kilkakrotnie „pomagali” mu w upadku ze schodów, a dwóch z nich wybrało go sobie na ofiarę. Przychodzili nocami i lali go do nieprzytomności. Byli jednak tak wprawieni w swojej robocie, że nie zostawiali żadnych widocznych śladów.

Z początku uważał, że ci żołnierze robią, co im kazano. Że takie jest prawdziwe oblicze Kościoła Charisu, który wszem wobec rozpowiada, jak to się brzydzi metodami stosowanymi przez Inkwizycję. Z czasem jednak dotarło do niego, że się myli. Po pierwsze dlatego, że zdarzenia te miały zbyt przypadkowy charakter, w dodatku były nieskoordynowane, a przez to mniej wydajne. Najgorszy inkwizytor potrafiłby zadać ofierze znacznie więcej cierpienia, i to bez wzywania jej na oficjalne przesłuchanie. Waimyn robił to dziesiątki razy, jeszcze podczas nowicjatu.

Po drugie co najmniej trzech strażnicy, którzy wyżywali się na nim nocami, mieli potem problemy z tego powodu i zostali surowo skarceni przez przełożonych. To nie powstrzymało fali przemocy wobec więźnia, mimo że kary nie wyglądały na sfinansowane.

Gdy w końcu zaakceptował prawdę, zareagował dwojako. Jego pogarda dla oprawców uległa kolejnemu pogłębieniu, za to, że nie potrafili przesłuchać więźnia jak trzeba, nawet pod przykrywką, posyłając do niego zwyrodniałców w mundurach. Z drugiej jednak strony szokowało go, że żołnierze robili mu krzywdę na własną rękę. Że byli tak wkurzeni śmiercią Hahskansa, iż ryzykowali złamanie rozkazów, by obić konsekrowanego kapłana.

Co gorsza, dotarło do niego, że nie tylko zwykli żołnierze są gotowi to zrobić.

Oprawcy nie zabronili mu całkowicie kontaktów z miejscowym duchowieństwem. Zdawał sobie sprawę, że to także tylko część ich wyrafinowanej, cynicznej gry, jak wszystko inne, co go tutaj spotykało, aczkolwiek nie krył, iż jest im wdzięczny. Zapewnili mu nawet prawdziwego kapłana, księdza, który znalazł w sobie tyle siły, by pozostać jawnym lojalistą Świątyni i odrzucić proponowane mu stanowiska w heretyckim Kościele. Pozwolono mu na wyspowiadanie intendenta, ale prawo stanowiło, że więzień oskarżony o morderstwo nie może rozmawiać z nikim na osobności, nawet z własnym księdzem. Dlatego każdej spowiedzi przysłuchiwał się kapłan tak zwanego Kościoła Charisu, rzecz jasna mający respektować tajemnicę spowiedzi (w co Waimyn nawet przez sekundę nie wierzył). Chodziło o to, by więzień nie mógł przekazać wiadomości na zewnątrz. Ale komu miałby wysyłać te grypsy, skoro Gahrvai tak dokładnie wymiółł miasto z jego ludzi?

Niemniej przyjmował spowiednika trzy razy w każdym pięciodniu, dzięki czemu

zyskiwał możliwość kontaktu z kimś, kto przebywa za murami więzienia, i dzięki jego obecności zdołał się dowiedzieć, że oprawcy nie kłamali, opisując mu sytuację w mieście. Księżulo nie powiedział tego wprost, zapewne współczując uwięzionemu bratu. Nie chciał, by intendent dowiedział się, jak kompletną poniósł porażkę. Ale i z tych nielicznych uwag, które rzucił, gdy się zapomniał, Waimyn zdołał wyciągnąć wnioski i potwierdzić opowieści snute przez przesłuchujących go oficerów, kpiących strażników i nienawistnych żołdaków.

A teraz miał zawisnąć na szubienicy, jego dzieło zaś - czynione w imieniu Boga - zostanie zaprzepaszczone z powodu łatwowierności i sentymentalności kretyńców łkających za prowincjonalnym klechą, który sam sobie zgotował taki los, łamiąc dane Kościołowi śluby.

Aidryn Waimyn zamknął oczy raz jeszcze. Chodził w kółko i chodził, pozwalając, by płonąca lawa nienawiści, porażki i rozpacz wypełniła jego duszę.

\* \* \*

- To potwierdzone, eminencjo - stwierdził Wahlys Hillkeeper, hrabia Stromeego Wzgórza, robiąc ponurą minę. - Właśnie przybył goniec ze stacji semaforowej. Powiesili go tego ranka.

- Oby Bóg i archaniołowie powitali go jak jednego ze swoich - wymamrotał biskup egzekutor Thomys Shylair, robiąc znak berła.

W luksusowych apartamentach na moment zapadła cisza, zapanował bezruch. Było tak spokojnie, że przez grube mury pałacowej rezydencji hrabiego docierały stłumione odgłosy ulic Vahlainah. Domostwo to było raczej dworkiem niż zamkiem, ale i tak otaczał je mur wysokości niemal dwudziestu stóp. Było też wystarczająco duże, by posiadać kilka dyskretnych wejść i wyjść, dzięki którym Shylair czuł się względnie bezpiecznie podczas licznych wizyt. Nie było to tak odizolowane i strzeżone miejsce jak klasztor za rogatkami Seraboru, gdzie przebywał w gościnie u Amilaina Gahrnahta, prawowitego biskupa Larchrosu, ale i to mu wystarczało. Zwłaszcza teraz, gdy hrabia Stromeego Wzgórza, wzorem swojego odpowiednika z Burzowej Warowni i barona Larchrosu, wzmocnił dyskretnie swoje wojska.

*Szczerze mówiąc, uznał właśnie Shylair, czuję się tutaj bezpieczniej niż za murami Sardoru.*

Próżno by jednak szukać na wyćwiczonej twarzy biskupa egzekutora jakiegokolwiek śladu tej myśli. On i Mahrak Hahlynd, jego sekretarz i pomocnik, gościli u Mailvyna Nohrcrossa, biskupa Barcoru, przez niemal miesiąc, zanim przenieśli się do Larchrosu. Nohrcross był jednym z hierarchów, którzy poprzysięgli wierność tak zwanemu Kościołowi Charisu, aby mieć oko na heretyków. Jego pałac wydawał się więc idealną przystanią na

przeczekanie burzy, gdy Shylair musiał uciekać z Manchyru. Niestety pałac Nohrcrossa w Sardorze, stolicy baronii Barcor, okazał się znacznie mniej wygodny niż trzeba.

Ani Shylair, ani jego gospodarz nie przejmowali się zbytnio faktem, że ten drugi złożył przysięgę posłuszeństwa i obiecał słuchać „arcybiskupa” Klairmanta, jako że słowo dane ekskomunikowanemu heretykowi było nieważne z punktu widzenia Kościoła Matki. Biskup egzekutor był przekonany o bezgranicznej wierności Nohrcrossa. Jego wściekłość powodowana herezjami tak zwanego Kościoła Charisu wydawała się szczerą, mimo że po złożeniu przysięgi musiał zważać na to, co i gdzie mówi. Niestety biskup Barcoru zbyt daleko się posunął, by mieć drogę odwrotu. A Shylair czuł się nieswojo, wiedząc, że jego bezpieczeństwo zależy od niepewnej wciąż postawy tamtejszego barona.

Dość szybko doszedł do wniosku, że aktualny władca, sir Zher Sumyrs, jest mocniejszy w gębie niż w czynach. Jego usiłowania na polu zwiększenia liczebności wojsk wypadały boleśnie blado, zwłaszcza w porównaniu z hrabią Stromego Wzgórza czy baronem Larchrosu. O wiele chętniej udzielał też gwarancji podczas rozmów w cztery oczy, niż później się z nich wywiązywał, jeśli tylko pojawiał się cień ryzyka. Shylair pojął, że niewątpliwa i szczerą nienawiść, jaką baron Barcoru żywił do sir Koryna Gahrvaia oraz rady regencyjnej, nie przełoży się na żadne czyny. Sumyrs wolał nie zwracać na siebie uwagi wrogów. Mógł obiecywać cuda, nawet wspomagać ruch oporu znacznymi sumami, ale nie poważył się za nic stanąć po ich stronie.

*On po prostu chroni własną dupę, pomyślał chłodno Shylair. Jeśli zwyciężymy, a raczej kiedy zwyciężymy, przypomni, że popierał nas od początku, i zażąda odpowiedniej części łupów, które Kościół Matka zacznie rozdawać swoim wiernym synom. A jeśli zdarzy się tak, że nie wygramy, pozostanie w ukryciu i będzie udawał, że nic o nas nie wiedział. Nie, nie, ależ skąd! Przecież był lojalnym sługą księcia Daivyna. W życiu by nie pomyślał o podważaniu władzy jego regentów! I cóż on tam wie? Gdzież mu do oceniania konsekrowanego arcybiskupa Manchyru? Do głowy by mu to nie przyszło.*

Na samo wspomnienie barona Barcoru biskup poczuł w ustach niesmak, a po okropnych wieściach, jakie przyniósł hrabia, nie trzeba mu było kolejnych czarnych myśli. Wygnał więc nieobecnego szlachcica ze swojej głowy i skupił się na ludziach siedzących przy tym samym stole.

Hrabia Stromego Wzgórza zasiadał na najbardziej eksponowanym miejscu, jako gospodarz i najważniejszy członek tego gremium. Do goszczącego u niego biskupa egzekutora dołączyli: hrabia Burzowej Warowni, baron Larchrosu, biskup Amilain oraz kapelan Larchrosu, ojciec Airwain Yair. Bryahn Selkyr, hrabia Głębokiej Doliny, i sir Adulfo

Lynjkyn, księżę Czarnej Wody, nie mogli niestety przybyć na to spotkanie i właśnie dla nich Hahlynd musiał robić notatki z przebiegu rozmów. Nie zastąpią one wprawdzie obecności podczas dyskusji, ale pozwolą na zapoznanie się z jej tezami i decyzjami, jakie rada podejmie tego dnia.

Był to jedyny sposób koordynowania działań, czy im się to podobało czy nie. Nikt więc nie oponował, gdy przelewano ich myśli i plany na papier, stosując najbardziej skomplikowane szyfry, jakie znał Kościół Matka. To i tak było bezpieczniejsze niż zgromadzenie wszystkich spiskowców w jednym miejscu i wystawienie ich na żer informatorów hrabiego Skalnego Kowadła i jego syna, którzy z pewnością już kręcili się po okolicy. Hrabia Windshare na przykład wysłał niedawno trzydziestu swoich konnych konstabli, by utworzyli posterunek w Vahlainah. Ludność hrabstwa nie była skłonna do współpracy z nimi, jako że większość tutejszego pospólstwa wołała popierać swojego pana, ale obecność obcych zaczynała sprawiać spore problemy, zwłaszcza gdy chodziło o ukrywanie rosnącej liczby zbrojnych. W tej chwili rozmieszczono ich w kilku dworach leżących z dala od miasta, gdzie istniało niewielkie ryzyko na odkrycie, że stanowią część większej całości. Łatwiej było ukryć kilkudziesięciu, a nawet kilkuset zbrojnych na wsi, niż zachować w tajemnicy podróże najmożniejszych arystokratów tych ziem.

- Czy w Manchyrze doszło do poważniejszych niepokojów po straceniu ojca Aidryna?  
- zapytał Shylair, spoglądając na siedzącego po drugiej stronie stołu hrabiego Stromeego Wzgórza.

- Nic mi o tym nie wiadomo, eminencjo - odparł bez wahania wysoki, potężnie zbudowany wielmoża.

- Co wcale nie znaczy, eminencjo, że takich ruchawek nie było - wtrącił nieśmiało Hahlynd, odrywając wzrok od notatek. Sekretarz Shylaira należał do przyjaciół Waimyna, nie więc dziwnego, że bronił tego punktu widzenia. - Wiadomość przyszła oficjalną pocztą semaforową - przypomniał przełożonemu. - Sądysz, że hrabia Skalnego Kowadła, sir Koryn, a zwłaszcza Gairlyng przyznałoby w oficjalnym komunikacie, że lud się przeciw nim burzy?

- Chciałbym wierzyć, że masz rację, ojcie Mahraku - rzucił hrabia Stromeego Wzgórza, zanim Shylair zdążył się odezwać. - To nie była jednak wiadomość przeznaczona do szerokiego rozpowszechniania - wyjaśnił uprzejmym tonem. - Wysłano ją do mnie, jako do członka rady regencyjnej. Zaznaczono, że po egzekucji w stolicy panował kompletny spokój.

Twarz Hahlynda stężała. Biskup także poczuł, że zaczyna zaciskać zęby.

- Wygląda zatem na to - wtrącił po chwili milczenia hrabia Burzowej Warowni - że

zdołali opanować sytuację, przynajmniej na terenie Manchyrzu.

- Obawiam się, że to prawda - poparł go hrabia Stromeo Wzgórza. Był jedynym członkiem rady regencyjnej, który jednocześnie należał do aktywnego ruchu oporu. Z tego też powodu pozostali uczestnicy spotkania obserwowali go czujnym wzrokiem. - Wątpię, aby hrabiowie Skalnego Kowadła i Tartarianu darzyli mnie zaufaniem - dodał. - Jestem też całkowicie pewien, że ten bękart Gahrvai i jego przydupas Doyal podejrzewają mnie o nielojalność. Nie mają jednak żadnych dowodów, w przeciwnym razie już dawno wystąpiliby przeciwko mnie. Cokolwiek by jednak mówić o dwóch pierwszych, odwalają kawał dobrej roboty, informując o wszystkim członków rady, którzy nie mogą przebywać osobiście w Manchyrze. - Skrzywił się. - Nie mają wielkiego wyboru, zważywszy na warunki, jakie narzucił im parlament, aczkolwiek muszę przyznać, że ich raporty zawierają znacznie więcej treści, niż powinny. Z tego też powodu jestem pewien, że nie kłamali ani też nie przemilczeli faktów, które mogłyby wpłynąć na zniekształcenie obrazu sytuacji w stolicy. Aresztowanie ojca Aidryna i jego współników naprawdę przetrząsało grzbiet ruchowi oporu w Manchyrze. - Hrabia zamilkł na moment, posyłając dziwne tępe spojrzenie w kierunku Shylaira, a potem wzruszył ramionami. - Prawda jest taka, eminencjo, że ojciec Aidryn srodze się pomylił w ocenie popularności ojca Tymahna. Wiedzieliśmy, że jego kazań słuchały tłumy biedoty, ale okazało się, że miał wielu wielbicieli także wśród bogatszych mieszkańców Manchyrzu. Nie twierdzą, że wszyscy zgadzali się z głoszonymi przez niego tezami, niemniej jego... egzekucja doprowadziła ludzi do wściekłości. A gdy Gahrvai doprowadził do ujęcia ojca Aidryna i niemal wszystkich przywódców ruchu i dostarczył tak wiele dowodów ich winy, nie posuwając się nawet do tortur, przelała się czara goryczy.

- Obawiam się, że Wahlys ma rację, eminencjo - oświadczył grobowym tonem baron Burzowej Warowni, a gdy biskup egzekutor spojrział na niego, unosząc brew, pokręcił zdecydowanie głową. - Tak szybkie aresztowanie sprawców zabójstwa Hahskansa, zwłaszcza w świetle niewielkiej ilości wcześniejszych represji, sprawiło, że ludzie zaczęli widzieć w Gahrvaiu nie tylko sprawiedliwego, ale i efektywnego stróża prawa. Największa część społeczeństwa nie była do tej pory pewna, komu sprzyjać, ponieważ nikt nie miał pewności, czy rada regencyjna zdoła zaprowadzić nowy porządek. Gdziekolwiek sięga jej władza. Teraz - hrabia uniósł prawą rękę - nowi zarządcy księstwa udowodnili, że potrafią rządzić. A w każdym razie, że kontrolują sytuację w Manchyrze. Brutalnie rzecz ujmując, wstrzemięźliwość Gairlynga także wpłynęła korzystnie na generalną akceptację rady regencyjnej i Kościoła Charisu.

- Wstrzemięźliwość! - powtórzył Amilain Gahrnaht, spoglądając z niedowierzaniem

na barona Burzowej Warowni. - Kazał powiesić pięciu kapłanów Kościoła Matki, wliczając w to prawowitego intendenta arcybiskupstwa, nie wspominając o kolejnych dwudziestu jeden braciach z klasztoru Świętego Zhustyna. Straciły ich świeckie władze, pogwałcając zapisy Pisma! Kolejnych dwudziestu pięciu czy nawet trzydziestu naszych braci wciąż przebywa w lochach, w świeckich lochach, wszyscy skazani na wieloletnie wyroki. Do świeckich więzień wtrąca się konsekrowanych kapłanów Boga!

- To prawda, biskupie Amilainie. - Baron odpowiedział nieco ostrzejszym tonem niż zwykle. - Z drugiej jednak strony, jeśli Gairlyng naprawdę objął władzę w imieniu Kościoła Corisandu, mógł bez problemu wysłać ich wszystkich na męki i skazać na pełną karę Schuelera. A jednak nie mamy żadnego dowodu na to, by ich przesłuchiowano. Nie posunięto się do tego nawet wobec ojca Aidryna. Obaj wiemy dobrze, jaką obrazą dla Kościoła Matki i Boga jest Gairlyng - z tonu Shylair wywnioskował, że baron nie bierze tej obrazę do siebie tak bardzo jak Gahrnaht - ale zwykli ludzie nie mają o tym bladego pojęcia. Według nich Kościół powinien zajmować się przestrzeganiem ustanawianych przez siebie praw. Zatem nie mieliby za złe „arcybiskupowi” Klairmantowi, gdyby kazał torturować wszystkich podejrzanych o zamordowanie ojca Hahskansa przed skazaniem ich na śmierć. Oni mogą nie wiedzieć, jaką obrazą dla Kościoła jest pominięcie zapisów Księgi Schuelera, ale widzą, że nowy pasterz powstrzymał się od torturowania więźniów. Za to wszyscy kapłani zdają sobie sprawę z tego, co archanioł Schueler napisał na temat karania winnych zabicia kapłana. Dlatego w oczach wszystkich tych ludzi działanie Gairlynga może być uznane za wstrzemięźliwe, czemu nie ma sensu zaprzeczać. Musimy widzieć sprawy takimi, jakie są, a nie jak byśmy sobie tego życzyli. Oszukiwanie samych siebie to najlepszy sposób na poniesienie porażki w walce z tym gigantycznym wynaturzeniem.

Gahrnaht otworzył usta, by gorąco zaprotestować, ale umilkł, widząc ostrzegawczo uniesioną dłoń Shylaira.

- Uspokój się. Amilainie - powiedział spokojnym, ale też dobitnym tonem. - Obawiam się, że hrabia Burzowej Warowni powiedział czystą prawdę. Ma rację, mówiąc, że lud pozostawia sprawy Kościoła kapłanom. I tak powinno być. Problem jednak w tym, że dzisiaj ludzie przemawiający w imieniu Kościoła tak naprawdę służą Shan-wei.

Gahrnaht miał nieszczęśliwą minę, lecz opadł ciężko na fotel, podporządkowując się gestowi Shylaira. Biskup egzekutor patrzył na niego przez chwilę, a potem przeniósł spojrzenie na barona Stromeego Wzgórza.

- Z tego co powiedziałaś ty i wcześniej Sahlahmn - wskazał głową w kierunku władcy Burzowej Warowni - wynika niezbitcie, że nie mamy co marzyć o zdobyciu popularności na

terenie Manchyru.

- Obawiam się, że to prawda, eminencjo. - Baron oparł się wygodniej, skubiąc palcami koniuszek ucha. - I tak mieliśmy problemy ze skoordynowaniem działań ojca Aidryna z naszymi. Szczerze mówiąc, południowo-wschodnia część księstwa przejawia silne skłonności do pójścia śladem stolicy. Próbowałem nakłonić hrabiego Skalnego Kowadła i innych członków rady, by skoncentrowali się na terenach leżących dalej na południe od Barcosu, ale nie mogłem nalegać za mocno, a oni, niestety, okazali się zbyt cwani i nie poszli na rozsądkowanie sił, choć bardzo mi na tym zależało. Co więcej, udało im się stworzyć względnie bezpieczny pas ziem wokół stolicy. Nie twierdzą, że opanowali go całkowicie, ale mają dzisiaj w kieszeni większość terytoriów Rochairu, Tartarianu, Airythu, Corisu, Dairwynu i Manchyru. Na północnym zachodzie i zachodzie mamy bardziej patową sytuację, ale i tam zaczynają wygrywać. Córa Wiatrów lada moment może przeciwstawić się radzie, lecz wyspiarze są nieliczni. Zostajemy więc tylko my, tutaj na północy, gdzie baron Skalnego Kowadła i hrabia Tartarianu nie mają jeszcze ugruntowanych wpływów.

- Co twoim zdaniem planują, mój panie? - zapytał Shylair.

- Wiem dokładnie, co planują, eminencjo. Odbyłem wystarczająco wiele spotkań z nimi. Ich celem jest stopniowe poszerzanie kontrolowanych terenów wokół Manchyru. To potrwa, niemniej uznali, że spokojne działanie będzie lepsze niż szybkie ruchy. Ci ludzie wolą dmuchać na zimne.

- Dzięki czemu zyskamy sporo czasu - zauważył baron Larchrosu.

- Owszem, ale nie możemy go trwonić - rzucił zdecydowanym tonem baron Burzowej Warowni.

Siedzący wokół stołu potaknęli, zgadzając się z jego słowami. Mimo ich wysiłków prace nad tworzeniem ruchu oporu wlekły się niemiłosiernie, wszyscy więc czuli, jak kolejne godziny i dni przemykają im między palcami.

- Cóż, najważniejsze, że będziemy w stanie wykonać pierwszy ruch - powiedział baron Stromege Wzgórza. Gdy pozostali spojrzeli na niego, uśmiechnął się gorzko. - Władca Zebediahu w końcu przestał siedzieć okrakiem na barykadzie. Wprawdzie nadal upiera się przy tym, byśmy zadeklarowali pełną niezależność jego domeny i jego prawo do tronu, ale moim zdaniem to już tylko kwestia formalna. Jest pewne, że dostarczy nam muszkiety nowego typu. Może nie będzie ich wiele, ale to i tak lepsze niż nic.

- Zrobi to? - Shylair wyprostował się w fotelu, oczy mu załśniły.

Mimo że jego świeccy współpracownicy nieustannie zwiększali liczbę żołnierzy, nadal brakowało im odpowiedniej broni. Nie posiadali wystarczającej ilości sprzętu, by

wyposażyc oddziały, nawet jeśli chodzi o tak prostą broń, jak piki czy miecze. Wszyscy razem dysponowali niespełna czterystu gładkolufowymi muszkietami, i to wyłącznie starego typu. Nie mogli się równać nawet z oddziałami Gahrvaia. A gdy wicekról generał Chermyn skieruje do akcji piechotę morską, z karabinami i armatami, zbrojny opór stanie się bezcelowy. Biskup wiedział, że efektem starć może być wyłącznie masakra buntowników, zwłaszcza teraz, gdy południowo-wschodnia część księstwa uznała rządy rady regencyjnej.

Ale w takim razie...

- Chodzi tylko o karabiny, Wahlysie? - zapytał baron Burzowej Warowni.

- To nie byle jakie karabiny, Sahlahmnie - odparł baron Stromeego Wzgórza, uśmiechając się krzywo. - Ale tak, na razie obiecuje nam tylko taką broń. Twierdzi, że dostarczy pierwsze czterysta albo pięćset sztuk do miesiąca od podpisania porozumienia. Wyciągnięcie od niego dział może być trudniejsze, ponieważ Cayleb dość skromnie obdzielił nimi Wielkie Księstwo. Z jakiegoś powodu nie ufa tamtejszemu władcy.

Sądząc po minach pozostałych spiskowców, nie była to zbyt zaskakująca wiadomość.

- To rodzi bardzo ciekawe pytanie, mój panie - zauważył Gahrnaht. - Czy wielki książę Zebediahu będzie w stanie przekazać nam dość karabinów, skoro Cayleb tak bacznie go obserwuje?

- Tego nie wiem - przyznał szczerze baron Stromeego Wzgórza. - Wiem za to od jego wysłannika, że zdążył już „zgubić” ponad dwieście muszkietów, które miały przejechać przez jego terytorium. Na razie nikt w charisjańskim korpusie tego nie zauważył. Aczkolwiek większa część oferowanej nam broni oficjalnie nigdy nie przekroczy granic wielkiego księstwa.

- Słucham? - Gahrnaht. uniósł brew ze zdziwienia, a baron Stromeego Wzgórza parsknął gniewnie.

- Nie wiem, co on planuje, biskupie Amilainie, niemniej jego wysłannik wydawał się pewien swego. Z tego co widzę, wielki książę Zebediahu nie stracił wielkiego talentu do mącenia. Jego wysłannik pozwolił sobie na kilka uwag, z których wywnioskowałem, że transporty mają pochodzić z Chisholmu, który współtworzy nową armię imperialną. A ta rozwija się w tak szybkim tempie z obawy przed kontratakiem sił Świątyni, że człowiek z jajami, wybaczone mi tę rubasność, może zachachnąć kilka karabinów, a nawet dział, jeśli znajdzie się tam gdzie trzeba. A z tego, co mówił wysłannik wielkiego księcia, jego kontakty w Chisholmie wiedzą, co robią.

Raz jeszcze zebrani przytaknęli zgodnie, tym razem okazując rozmaity poziom satysfakcji. Jeśli baron Stromeego Wzgórza miał rację, będą mogli rozpocząć konkretne



przygotowania. Gdy zdobędą broń, pozwalającą im na stawienie dłuższego oporu siłom Gahrvaia, lojaliści Świątyni tłumnie ruszą pod ich sztandary. Na tę myśl, po raz pierwszy od bardzo dawna poczuli się pewniej.

Żaden z nich nie zdawał sobie jednak sprawy, że do jednej z belek powały przyczepiony jest maleńki, by nie powiedzieć: mikroskopijny sensor rejestrujący przebieg całego spotkania.

## **.V.**

### **PAŁAC KRÓLEWSKI**

#### **CHERAYTH**

#### **CHISHOLM**

- Merlinie!

Cesarzowa Sharleyan, której stan odmienny właśnie zaczynał być widoczny, zerwała się na równe nogi, kiedy wysoki, czarnowłosy gwardzista przekroczył próg. Nie każda koronowana głowa witała w ten sposób zwykłego kapitana straży, lecz nikt z obecnych w komnacie rady zdawał się nie zauważać tego odstępstwa od protokołu.

Edwyrd Seahamper, osobisty gwardzista Sharleyan, który pełnił wartę w środku, nieomal przeciął sobie twarz na dwoje szerokim uśmiechem. Cesarz Cayleb stojący zaledwie krok czy dwa za plecami żony także ruszył w kierunku przybyłego kapitana Athrawesa. Książę Nahrmahn ze Szmaragdu siedział wygodnie rozparty na swym fotelu, uśmiechając się przyjaźnie, co jeszcze przed paroma miesiącami zdumiałoby jego samego w podobnej sytuacji, natomiast uśmiech arcybiskupa Maikela zdawał się konkurować z wyszczerzoną gębą Seahampera.

- Wasza łaskawość - odparł Merlin, gdy Sharleyan zarzuciła mu ramiona na szyję i uścisnęła tak mocno, że gdyby był człowiekiem z krwi i kości, miałby już zmiażdżoną klatkę piersiową, nawet gdyby nosił zbroję. Przemówił tonem rzeczowym, niemal zaczepnym, lecz nikogo tym nie zwiódł, zwłaszcza że odwzajemnił uścisk nie mniej serdecznie.

- Długo to trwało - zauważył Cayleb, wyciągając rękę, by wymienić uścisk przedramion z Merlinem, podczas gdy Sharleyan odstępowała na bok, aby zrobić mężowi miejsce.

- Rzeczywiście, trwało to dłużej, niż przewidywałem - przyznał Merlin. - Ale też

Ahnzhelyka zrobiła na mnie znacznie większe wrażenie, niż przypuszczałem.

- Musisz nam o wszystkim opowiedzieć - zażądała Sharleyan.

Plan Merlina, aby pozostać niewykrytym, uniemożliwiał codzienną komunikację, do której przywykli. *Seijin* przekazywał dość informacji, aby czuli się na bieżąco, jednakże szczegóły operacji pozostawały dla nich tajemnicą.

- Musisz nam o wszystkim opowiedzieć! - powtórzyła Sharleyan stanowczo. - Aczkolwiek w tej chwili nie mamy czasu na pełen raport. Lada moment dołączą do nas moja matka i Mahrak. Dlatego to, czego nie powinni usłyszeć, jako osoby nie do końca wtajemniczone, będzie musiało poczekać na sposobniejszą okazję. Chyba że zdążysz wydusić coś z siebie, zanim przyjdą.

- Oczywiście, wasza łaskawość - rzekł Merlin z ukłonem.

Baron Zielonego Wzgórza i królowa matka Alahnah byli nie mniej zaskoczeni od innych osób, kiedy ogłoszono, że kapitan Athrawes oddali się z dworu cesarskiego, aby oddać się dłuższej medytacji. Zmartwiło ich to nawet bardziej niż innych, zważywszy na to, jaką skuteczną ochroną przed zamachami się okazał. Rozumieli jednak, że przymusowy pobyt Cayleba i Sharleyan w murach pałacu - spowodowany przez warunki pogodowe, jeśli już przez nic innego - otwiera okienko, w którym może zaspokoić swoją zachciankę, nie narażając pary cesarskiej na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Wiedzieli także, i to lepiej od innych, w jakiej zażyłości Merlin pozostaje z obojgiem. Można więc było założyć, że z okazji powrotu pozwolą spędzić Caylebowi i Sharleyan nieco czasu sam na sam z właśnie przybyłym kapitanem. Z drugiej strony wszakże miało to być robocze spotkanie, na którym trzeba było ustalić masę szczegółów, zanim Cayleb i Sharleyan wyruszą w zaplanowaną na koniec miesiąca podróż powrotną do Tellesbergu.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, Merlin był pewien, że Mahrak i Alahnah pojawią się już niebawem. Na szczęście porucznik Franz Ahstyn, zastępca Merlina na stanowisku osobistego przybocznego Cayleba, pełnił wartę przed komnatą rady. Ahstyn wiedział o „wizjach” Merlina, jak również o tym, że baron Zielonego Wzgórza i królowa matka nie mają o nich pojęcia. Można więc było mieć pewność, że zapuka do drzwi i zaanonsuje ich, zamiast zwyczajnie otworzyć oba skrzydła na widok pierwszego doradcy oraz królowej matki i wpuścić ich do środka bez zapowiedzi.

Tymczasem...

- W skrócie raport przedstawia się tak, że jeśli nie wydarzy się nic nieoczekiwanego, Ahnzhelyka wydostanie się razem z uratowanymi osobami... a jest ich więcej, niż można by przypuszczać... z Ziemi Świątynnych do Siddaru. Zdołałem się domyślić, jak zamierza ich

przerzucić stamtąd do Tellesbergu, i uważam, że to również powinno się udać. Sprawa będzie dosyć delikatna, lecz Ahnzhelyka utrzymuje doskonale stosunki z dynastią Qwentynów i już nawet zarezerwowała miejsca na pokładzie jednego z „miejscowych” statków z charisjańską załogą, które Qwentyn najwyraźniej zakupił.

Uśmiechnął się szeroko na wspomnienie podziwu, który odczuwał dla tej kobiety, zaraz jednak spowaźniał.

- Druga dobra wiadomość jest taka, że dokonała niemożliwego. Udało jej się ocalić rodzinę Samyla Wylsynna oraz krewnych czterech innych hierarchów, którzy razem z nią należeli do Kręgu Wylsynna. Już samo to byłoby niebywałym osiągnięciem, wszelako ona ma ze sobą dodatkowe trzynaście rodzin, wszystkie z Ziemi Świątynnych. Ponadto zdołała wydostać z Glaciarheart arcybiskupa Zhasyna i szesnastu innych członków Kręgu, w tym biskupów i biskupów egzekutorów... z rodzinami! - Potrząsnął głową. - Ogółem daje to liczbę ponad dwustu osób, których Clyntahn i jego Inkwizycja szukają dosłownie wszędzie. Gdy rozniesie się wieść, że ponieśli klęskę na taką skalę, wielki inkwizytor powinien utracić opinię wszechmogącego.

- Mój Boże... - Cayleb także był pełen szacunku. - Jak w imię wszystkiego co święte jej się to udało?

- Nie miałem możliwości wypytać jej o szczegóły, zwłaszcza że do ostatniej chwili sam nie wiedziałem, co szykuje w sekrecie. Nie wykluczam, że nawet teraz nie znam prawdziwych rozmiarów jej przedsięwzięcia. Wiem natomiast z całą pewnością, że użyła do tego mniejszej liczby pomocników, niż założył Clyntahn. Podejrzewam, że była jedyną osobą spoza Kręgu, której Wylsynn powierzył nazwiska wszystkich członków grupy. Niemniej jej największym atutem jest to, że planuje wszystko z wielkim wyprzedzeniem, a napędza ją pragnienie zemsty, tym gorzej więc dla Clyntahna i jego spółki. Sprawę Cahnyra nadzorowałem osobiście, więc mam niezłe rozeznanie, jakie kroki zostały poczynione w jego wypadku, a coś mi mówi, że w reszcie przypadków model działania był podobny. Z pewnymi odstępstwami, oczywiście. Upraszczając, można powiedzieć, że Ahnzhelyka wytypowała najbardziej zagrożone osoby współpracujące z Kręgiem i postarała się... czasem przed wielu laty... o sieć osób, które ułatwią im ucieczkę w razie potrzeby. Jej wyobrażenie o tajności przechodzi wszystkich ludzi, których widzieliśmy w akcji... nie wyłączając ciebie, wasza dostojność - zwrócił się do księcia Nahrmahna. - My wszyscy jesteśmy przy niej nieopanowanymi gadułami. Gwarantuję, że nikt z ocalonych nie miał więcej pojęcia o tym, co go czeka, od Cahnyra. Dzięki temu, nawet gdyby komuś powinęła się noga, nie pociągnąłby za sobą następnych ofiar. Nie mam wątpliwości, że jej pomocnicy nie wiedzieli, kto zleca im

zadania, i że nawet nie domyślają się jej udziału w tym masowym przedsięwzięciu. To system komórkowy... na Starej Ziemi nazywaliśmy taką organizację „uśpionymi komórkami”, który został ustanowiony na długo przed tym, zanim Clyntahn odkrył istnienie Kręgu. Ahnzhelyka musiała tylko w odpowiednim momencie wydać rozkazy wykonawcze swoim... zespołom ewakuacyjnym.

- Wygląda na to, że powinieneś ją zatrudnić, Nahrmanie - odezwał się Cayleb, spoglądając na krępego księcia z błyskiem uśmiechu w oczach.

- A mnie się wydaje, wasza wysokość, że powinniśmy założyć dla niej specjalną komórkę i postawić na czele tajnych operacji - odparł Nahrman z całkowitą powagą. - Ja nigdy nie podjąłem się czegoś na podobną skalę, jeśli wierzyć słowom Merlina. a już na pewno nie tuż pod nosem Inkwizycji. Tym bardziej więc jestem w stanie docenić trud i ogrom koniecznych przygotowań. Zdaję sobie sprawę, że Ahnzhelyka miała lata, a nawet dekady, by dopiąć wszystko na ostatni guzik, niemniej i tak jestem pod wielkim wrażeniem.

- Cóż - o ile Merlin też był dotąd poważny, o tyle teraz nagle spochmurniał - podobnie jak ty, wasza dostojność, jestem pod wielkim wrażeniem, aczkolwiek nie sądzę, by Ahnzhelyka podzielała nasze odczucia. - Zaczerpnął głęboko tchu. - Udało jej się wprawdzie uratować dwieście osób, lecz z tego co donosi Sowa, Clyntahn ma w swoim ręku dziesięć razy tyle.

- Dwa tysiące osób? - Sharleyan wypowiedziała te słowa bardzo cicho, niedowierzająco nawet, i Merlin skinął potakująco głową.

- Krąg Wylsynna liczył więcej członków, niż sądziliśmy - rzekł z westchnieniem. - Poza nim i jego bratem należało doń jeszcze około dwudziestu hierarchów, a prawdopodobnie nawet więcej. Na tę chwilę, jeśli wierzyć czujnikom Sowy z Syjonu, Clyntahn pojmał ponad trzydziestu hierarchów. Do tego dochodzą rodziny wszystkich aresztowanych wikariuszy, oprócz tych, które ewakuowała Ahnzhelyka, oraz współpracownicy tychże razem z bliskimi. Oraz pięćdziesięciu biskupów, arcybiskupów i ich krewnych.

- Trzydziestu wikariuszy? - Staynair potrząsnął głową, robiąc najbardziej zszokowaną minę, jaką widział u niego Merlin. - Przecież to jedna dziesiąta całego wikariatu!

- Jestem tego świadom, eminencjo. Ale nie sądzę, aby Clyntahn miał na tym poprzestać. Najwyraźniej korzysta z okazji, aby oczyścić szeregi wikariatu ze wszystkich, którzy mogliby mu się kiedykolwiek sprzeciwić. W dodatku - twarz CZAOS dosłownie skamieniała - Inkwizycja już ogłosiła, że zamierza w pełni zastosować się do zaleceń Księgi Schuelera w stosunku do „podłych krzywoprzysięzców i przeklętych zdrajców, którzy nie dotrzymali słowa danego Bogu, Archaniołom i Kościołowi Matce, bez względu na pełnioną

funkcję, oraz wszystkich ich najbliższych”.

Sharleyan zakryła usta dłonią, a Cayleb paskudnie zaklął pod nosem. Wyraz twarzy Nahrmahna nie zmienił się ani o jotę, lecz w jego oczach pojawił się twardy, niemal lodowaty błysk, który tyleż się widziało, co wyczuwało. Mina Seahampera wskazywała, że podziela wściekłość cesarza. Jednakże to widok Staynaira był najbardziej przerażający.

Maikel Staynair był łagodnym, pełnym współczucia i miłości człowiekiem. Wiedział to każdy, kto go znał. Wszelako obok łagodności i współczucia najważniejszą cechą jego charakteru była także opiekuńczość. Właśnie dzięki niej był takim dobrym księdzem. W tej chwili natomiast, na oczach Merlina, zamienił się z dobrotliwego arcybiskupa Charisu w pasterza stojącego między swoją trzódką a jednym z żyjących na Schronieniu sześcionogich drapieżców. W jego oczach płonął mord, a w ręku straszyla włócznia.

- Myślisz, że naprawdę to zrobią, Merlinie? - Obojętny ton głosu Nahrmahna nie zwiódł nikogo. Wszyscy jak jeden mąż przenieśli spojrzenie na księcia Szmaragdu. - Chodzi mi o to, czy Trynair, Magwair i Duchairn pozwolą Clyntahnowi zrobić coś takiego?

- Nie wiem - odparł Merlin zgodnie z prawdą. - Ahnzhelyka ma lepsze rozeznanie w kwestii tego, co dzieje się w szeregach wikariatu i grupy Czworoga, niż ktokolwiek z nas. Z tego co mówiła, wynika, że Duchairn powstrzymałby Clyntahna, gdyby mógł, jednakże Magwair nie ma własnego zdania. Co gorsza, zdaje się zgadzać z Clyntahnem, że trzeba zgnieść wszelką opozycję. Zresztą wątpię, że gdyby nawet chciał zgłosić weto, wystarczyłoby mu odwagi czy szacunku w gronie Grupy Czworoga. Trynair jest dość bystry, by przewidzieć konsekwencje skrajnych działań, niemniej bardziej mu zależy na korzyściach, jakie może odnieść na krótszą metę. Dlatego najważniejsze wydaje mi się pytanie, czy Duchairn zdecyduje się powstrzymać Clyntahna... czy raczej dojdzie do wniosku, że nie może tego zrobić, gdyż co najwyżej dodałby jeszcze jedną ofiarę, tym razem spośród Grupy Czworoga, do długiej listy.

- Choć przyznaję to z bólem, Nahrmahnie - wtrącił Cayleb - z ich punktu widzenia to może być całkiem rozsądne działanie. Flota Kościoła Matki jest na ukończeniu i niebawem będzie mogła podjąć kontrnatarcie. Prestiż i autorytet Grupy Czworoga bardzo dotąd ucierpiały; większość wikariatu wie przecież, że cała wojna wybuchła dlatego, że Grupa Czworoga spieprzyła sprawę. Nie mam pewności co do Duchairna, niemniej uważam, że Clyntahn, Trynair i Magwair dostrzegli możliwość pochwylenia reszty wikariuszy żelazną pięścią. Zatem stłamszą każdy rodzący się w ich szeregach głos protestu, a zwłaszcza głos nawołujący do opamiętania, zanim wystawią przeciwko nam swoją nową flotę. A gdy wygrają, to samo uczynią z nami. Chcą się przerażenia, aby nikt w przyszłości nie podważył

ich interpretacji woli boskiej i ich władzy.

Brązowe oczy Cayleba pociemniały jeszcze bardziej, gdy wyobraził sobie, jaką potwornością stanie się Kościół Boga Oczekiwanego, jeśli Grupa Czworoga zwycięży.

- W dłuższej perspektywie czasu - ciągnął z goryczą - to ich być może zniszczy i doprowadzi do upadku Kościoła. Podobne okrucieństwa popełnione na tyłu mężczyznach, kobietach i nawet dzieciach... oby ich czarne serca gniły w piekle!... znanych rzeszom wikariatu... Ba, będącym krewnymi i pociotkami wikariuszy... - Potrząsnął głową z ponurą pewnością proroka. - Koniec końców nawet ci, którzy teraz są przerażeni do szpiku, wszystko sobie przypomną. Być może dzisiaj żaden nie ma dość odwagi cywilnej, żeby się przeciwstawić, ale kiedyś któryś zda sobie sprawę, że nawet jaszczury pociągowe potrafią pokonać wielkiego smoka... o ile jest ich wystarczająco dużo, a on ma odwróconą uwagę. Zatem masz rację, Nahrmahnie. Na dłuższą metę to nieroztropne działanie. Tylko że oni nie myślą perspektywicznie. Myślą wyłącznie o teraźniejszości, o dniu dzisiejszym, może nadchodzącym miesiącu, góra roku. Tylko tak daleko sięgają w przyszłość. Dlatego jestem równie pewien jak tego, że stoję tutaj z wami... tak, naprawdę to zrobią. Boże, ratuj - dodał szeptem - ponieważ oni naprawdę to zrobią.

## .VI.

### PRYWATNA KAPLICA RHOBAIRA DUCHAIRNA

#### ŚWIĄTYNIA

#### SYJON

#### ZIEMIE ŚWIĄTYNNE

Rhobair Duchairn klęczał przed niewielkim ołtarzem, dłonie zaciskając na prostym drewnianym berle i wbijając wzrok w podobiznę Langhorne'a z uniesionym złotym berłem będącym wzorem dla przedmiotu, który trzymał rękoma śmiertelnika. Płakał.

*Pomóż mi, modlił się. Boże, pomóż! Nie mogę pozwolić, aby do tego doszło. Po prostu nie mogę! Niemożliwe, abys chciał, by to uczyniono w Twoim, imieniu. Powiedz mi, jak mam temu zapobiec. Wskaż mi drogę...*

Podobizna milczała. W kaplicy panowała kompletna cisza. I mimo że Duchairn wyczuwał słuch z całych sił, do jego duszy nie docierał nawet szept Boga.

Przymknął powieki, wykrzywił boleśnie twarz, zacisnął palce mocniej, dziwiąc się, że

miażdżone z taką siłą drewno nie pękło. Wydawało mu się, że wie, co zamierza Clyntahn, i czuł przerażenie; rozpaczliwie pragnął wymyślić sposób na powstrzymanie wielkiego inkwizytora, a nawet ostrzegł potencjalne ofiary. Jednakże wyobraźnia go zawiodła. Najgorsze koszmary nie przygotowały go na to, co działo się w rzeczywistości.

Duchairn był jedynym członkiem Grupy Czworka, do którego śmiał się zwrócić osobiście Samyl Wylsynn. Dlatego gdy Clyntahn zaczął rzucać cienkie aluzje minionej jesieni, Duchairn nie miał wątpliwości, kto znajdzie się na jego celowniku. Wszelako ani Trynair, ani Magwair nie wyczuli pisma nosem. Wiedzieli, że coś się szykuje, jak wszyscy, lecz kiedy Clyntahn ostatecznie uderzył, byli tak samo zaskoczeni jak reszta wikariuszy. Z początku okazywali nawet niedowierzanie, tłumaczyli postępowanie Clyntahna przewrażliwieniem i pochopnością. Wielki Inkwizytor bowiem nigdy nie był znany z umiaru. Ów wszakże przygotował się na taką ewentualność... Duchairn znów zaczął miażdżyć berło, gdy przed oczami stanęła mu tamta scena...

\* \* \*

- Co to ma znaczyć, Zhaspyrze? - zapytał Zahmsyn Trynair. Zazwyczaj greczny i opanowany, ton głosu kanclerza tym razem był ostry, a napięte rysy jego twarzy świadczyły o mieszaninie gniewu i niezaprzeczalnie strachu, kiedy spoglądał ponad stołem na wielkiego inkwizytora, rzuciwszy mu wyzwanie.

- To chyba jasne - odparł Clyntahn zimnym i niebezpiecznie spokojnym tonem. - Już od jakiegoś czasu mówiłem wam, że w gronie wikariuszy mamy zdrajców. Jak rozumiem, wszyscy trzej zbagatelizowaliście moje ostrzeżenia. Z wygody założyliście, że ponownie dopatruję się wroga w każdym cieniu. Cóż, nie będę przeczył, że w przeszłości parę razy się pomyliłem. Ale też nie mam zamiaru za to przepraszać. Uważam, że lepiej być przesadnie ostrożnym aniżeli ślepym, zwłaszcza gdy służy się Bogu i Schuelerowi. Tym razem jednak się nie mylę! Nie mylę się, o nie! Ci skurwiele spiskowali przeciwko Kościołowi Matce, przeciwko autorytetowi wielkiego wikariusza, przeciwko naszej walce z herezją Charisu, nawet przeciwko samemu Bogu! Mogą to nazywać po swojemu, wynajdywać jakie chcą usprawiedliwienia, ale prawda jest czytelna. Prawda zawsze wychodzi na jaw!

Rhobair Duchairn nigdy jeszcze nie widział w minie Clyntahna takiej pewności, takiej żelaznej woli. Wielki inkwizytor dosłownie emanował przerażającą mocą, kiedy tak patrzył z góry na swoich kolegów, pochylony niczym opasy, błyszczącooki, rozwścieczony wielki smok przymierzający się do rozwarcia potężnych szczęk i wydania z siebie ogłuszającego ryku, ogłaszającego zew krwi.

Skarbnik zaczął otwierać usta, choć nie miał zielonego pojęcia, co mógłby

powiedzieć. Gdy szukał właściwych słów, Trynair odchylił się na oparcie krzesła i z pałającym wzrokiem zapytał:

- Jaka prawda, Zhaspyrze? Wiem, że Wylsynnowie od zawsze byli krytykantami, wiecznie zachodzili nam za skórę. Wiem też, że stanowili zagrożenie... przynajmniej dla naszej pozycji. Ale między tym, co powiedziałem, a rzucanymi przez ciebie oskarżeniami rozciąga się olbrzymia przepaść. W dodatku te aresztowania, nocne wyłapywanie kobiet i dzieci... Na Langhorne'a, człowieku! Naprawdę nie widzisz, do czego to może doprowadzić? Sądzisz, że ci ludzie nie mają krewnych na Ziemiach Świątynnych? Na miłość Boga, niektórzy z nich są spokrewnieni nawet ze mną! Jak twoim zdaniem zareaguje reszta wikariatu, wiedząc, że coś podobnego grozi także ich bliskim w razie, jeśli uznamy, że są przeciwni prowadzonej przez nas polityce?

- Zatem tak to widzisz? - Clyntahn zapatrzył się na Trynaira z niedowierzaniem. - Owszem, miałbym wiele uciechy, przywodząc do upadku tego świętokradczego skurwiela i jego brata. Nie wątp w to nawet przez moment. Ale nie zaaranżowałem tego wszystkiego po to, by zgnieść jakąś gnidę, Zahmsynie. Spisek rozciągał się znacznie poza strefę wpływów Wylsynna i Hauwerda i tylko boskie miłosierdzie pozwoliło mi go przejrzeć w porę.

- O jakim spisku mówisz? I w jaki sposób go przejrziałeś? - dopytywał Trynair głosem pełnym sceptycyzmu, stanowiącym jawny kontrast dla pewności żywionej przez Clyntahna.

- Spiskowali, aby pozbyć się Inkwizycji i jej władzy nadanej przez Boga, celem zapoczątkowania realizacji planu, mającego w końcu doprowadzić do uznania Kościoła Charisu - rzekł głucho Clyntahn. - Gromadzili materiały, dzięki którym w swoim mniemaniu byłiby w stanie szantażować pozostałych wikariuszy, wypowiedzieć posłuszeństwo nam i wielkiemu wikariuszowi. Podkopywali autorytet Kościoła, kwestionowali doktrynę, w tym o nieomylności wielkiego wikariusza przemawiającego w imieniu Langhorne'a, i opowiadali się za osobami pokroju Maikela Staynaira, tak zwanymi „reformatorami” aspirującymi do stanowisk lokalnych biskupów. Jak sądzę, coś takiego zakrawa na zagrożenie dla Kościoła Matki i boskiego planu pomyślanego dla Schronienia, Zahmsynie. A nie usłyszałeś jeszcze ode mnie o degrengoladzie tych zdrajców przejawiającej się w ich życiu prywatnym.

Duchairn poczuł nagle mdłości, słysząc, że ktoś taki jak Clyntahn oskarża innych o upadek moralny. Jednakże nawet on był pod wrażeniem reszty oskarżeń rzuconych przez wielkiego inkwizytora. Nie wątpił, że Clyntahn wypaczył wszystkie dążenia Wylsynnów - był przecież w posiadaniu liściku, który wsunął mu Hauwerd - lecz miał również świadomość, że Clyntahn może odnieść sukces, rozpowszechniając swoje oskarżenia pod ich adresem wśród ogółu wikariuszy. Owi wikariusze bowiem byli już dostatecznie przerażeni tym, co działo się



w łonie Kościoła i na froncie walk z Charisem, natomiast przechodzenie coraz liczniejszych księży na stronę Kościoła Charisu w miejscach takich, jak Corisand czy Szmaragd, napawało ich niewątpliwie obawą, że zdrada może się również zacząć szerzyć w Świątyni.

- To poważne oskarżenia - stwierdził Trynair, sprawiając wrażenie wstrząśniętego, nawet z lekka przestraszonego. - Wciąż jednak nie poinformowałeś nas, jak do tego wszystkiego doszedłeś. Ani dlaczego nie uprzedziłeś nas wcześniej?

- Nie mówiłem nic dotychczas, ponieważ po pierwsze była to sprawa Inkwizycji, a nie wasza - odrzekł grubiańsko Clyntahn. - Langhorne pospołu z Schuelerem założyli Inkwizycję właśnie po to, by radziła sobie z toczącą Kościół od wewnątrz zgnilizną. Nie musiałem więc się nikomu zwierzać z działań, do których zobowiązywała mnie złożona przysięga. Po drugie milczałem przed wszystkimi... z wyjątkiem może Wyllyma Rayno i garstki inkwizytorów, do których mam absolutne zaufanie... ponieważ spiskowcy nie mogli się dowiedzieć, że jestem świadom ich planów, do czasu, aż zima uwięziła ich co do jednego w Syjonie, a ja zdążyłem wdrożyć dochodzenie i przygotować skoordynowane zatrzymania. Nie twierdzę, że którykolwiek z was byłby się wygadał przed osobami zdolnymi do tak potwornej zdrady - strzelił oczami w stronę Rhobaira Duchairna i na moment zapłonął w nich blask lodu, nie ognia - ale wystarczyłoby jedno nieostrożnie rzucone słowo, aby przestrzec winnych, zanim byłem gotów się z nimi zmierzyć. Nie macie pojęcia, jak rozległe upletli sieci, jak dalece sięgnęła ich korupcja pośród zwykłych hierarchów i ich personelu... Co zaś do sposobu, w jaki się o wszystkim dowiedziałem, bardzo bym chciał przypisać sobie całą zasługę, lecz niestety nie mogę tego zrobić. - Nie tylko oczy Duchairna powiększyły się na wieść, że Clyntahn nie będzie zbierał laurów za rozpracowanie spisku na tak ogromną skalę. - Tak się składa - kontynuował wielki inkwizytor - że ktoś zwerbowany przez spiskowców, kto czujnie zrozumiał, do czego oni zmierzają, zwrócił na to moją uwagę...

- Kto? - Duchairn odezwał się, zanim zdążył pomyśleć.

Clyntahn przez moment przyglądał mu się w milczeniu, z namysłem, po czym skinął głową krótko. Odepchnął krzesło od stołu z cichym stęknieniem, podszedł ciężko do drzwi komnaty i otworzył je na oścież.

- Tak, wasza dostojność? - zapytał zza progu odziany w purpurową sutannę inkwizytor.

- Przyrowadź go - polecił Clyntahn.

- Tak jest.

Inkwizytor skłonił się, odwrócił i odszedł nieśpiesznie korytarzem, podczas gdy Clyntahn zajmował znów swoje miejsce za stołem. Usiadł na krześle, skrzyżował ramiona na

piersi i zamarł w oczekiwaniu.

Nie trwało ono tak długo, jak mogło się wydawać - Duchairn był tego pewien - niemniej czas upływał niemiłosiernie wolno, zanim drzwi ponownie się otworzyły wraz z powrotem inkwizytora. Towarzyszył mu inny mężczyzna, odziany w lamowaną pomarańczem sutannę arcybiskupa.

- Jak sądzę, wszyscy znacie arcybiskupa Hankey - stwierdził Clyntahn.

Duchairn zmrużył oczy. W rzeczy samej, znał Nyklasa Stantyna, arcybiskupa Hankey, aczkolwiek niezbyt dobrze. Ich drogi przecięły się przy paru okazjach, szczególnie wtedy, gdy w grę wchodziły finanse arcybiskupstwa Hankey, lecz mimo to skarbnik nie nawiązał bliższych kontaktów ze Stantynem.

Teraz przyglądał się wyraźnie wystraszonemu mężczyźnie, który przed nimi stanął, zastanawiając się, co też skrywa jego nieprzenikniona mina. W oczach zdawało się czaić coś mrocznego, a ręce mu drżały, choć starał się je ukryć w rękawach sutanny.

- Nyklas przyszedł do mnie w maju minionego roku - ciągnął Clyntahn. - Zwrócił się do Inkwizycji, ponieważ dowiedział się o straszliwym spisku osób mieniących się sługami Boga, tutaj, w wikariacie. Wcześniej to oni go podeszli, a on... jak sam przyznaje... dał się nabrać i przez jakiś czas wierzył w ich kłamstwa. Przekonali go, że ich celem jest tylko naprawa pewnych „błędów” w łonie Kościoła Matki. - Wielki inkwizytor uśmiechnął się blade. - Czyż nie to samo mówią „reformatorzy” z innych krain, jeden przez drugiego pchający się, aby zdradzić Kościół Matkę i przyłączyć się do Staynaira i reszty heretyków?

Duchairn poczuł, że serce mu staje na myśl, jak te słowa zostaną odebrane przez i tak dostatecznie nastraszonych pozostałych członków Grupy Czworga. Z błysku w oczach Trynaira i z miny Magwaira jasno odczytał, że obaj są skłonni uczynić wszystko, byle zdławić rodzący się opór reformatorów wewnątrz Świątyni.

- Z początku Nyklas był pod tak wielkim wrażeniem szczerości ich intencji i oddania Kościołowi, że do nich przystąpił. - Clyntahn podjął opowieść po dłuższej chwili, gdy uznał, że jego poprzednie słowa zapadły im dobrze w pamięć. - Wkrótce jednak zdał sobie sprawę, że prawdziwe cele tej grupy są znacznie mniej szlachetne. Potem wybuchła ta sprawa z Charisem. Z czystego entuzjazmu posunęli się o krok za daleko i zbyt się odsłonili, dzięki czemu Nyklas zaczął dostrzegać sprawy, których nie widział wcześniej, w tym dowody na zepsucie tamtych osób. Jak sądzę, poczuł niezłego stracha, i to zarówno z powodu odkryć, które poczynił, jak i na myśl o tym, jak zareaguje Kościół Matka, a zwłaszcza Inkwizycja, kiedy dowie się o jego współudziale. Zabrało mu nieco czasu spędzonego na modlitwie, zanim zrozumiał, że jego obowiązkiem jest poinformowanie mnie o wszystkim. Wyłożenie

mi wszystkiego, aby Kościół Matka mógł się obronić przed niespodziewanym atakiem. Oczywiście zdawał sobie sprawę z ryzyka, lecz mimo to nie zawahał się przed spełnieniem obowiązku.

*Chcesz powiedzieć, sprostował w myślach Duchairn, że tak się bał tego, co im wszystkim uczynisz, kiedy sam się dowiesz, że postanowił wydać tamtych i ubić z tobą interes, ratując własną skórę.*

- Czy możemy usłyszeć to od arcybiskupa? - zapytał Trynair obojętnym tonem.

- Naturalnie. - Clyntahn zdawał się rozdrażniony tym, że Trynair może żywić wątpliwości, ale spojrzał w stronę stojącego cicho arcybiskupa. - Powiedz im, Nyklasie.

- Dobrze, wasza dostojność - odrzekł Stantyn.

Powiódł wzrokiem po wszystkich wikariuszach, odchrząknął i przełknął ciężko. Następnie wziął głęboki oddech.

- Było tak, jak wielki inkwizytor powiedział przed chwilą. - Mówił lekko drżącym głosem, lecz patrzył im wszystkim prosto w oczy. - Z początku uwierzyłem wikariuszowi Samylowi i wikariuszowi Hauwerdowi i sądziłem, że leży im na sercu dobro Kościoła Matki. Jeśli mam być całkowicie szczery, wierzyłem im przez kilka lat. Dopiero z czasem to, co mówili, przestało w moich uszach brzmieć spójnie, a jednak nawet wtedy przekonywałem się, że zaszło jakieś nieporozumienie. Ale oni... kazali mi robić dziwne rzeczy. Musiałem szpiegować kolegów biskupów i arcybiskupów. Zbierać informacje na temat członków wikariatu... nie wyłączając wielkiego wikariusza. A szczególnie gromadzić dowody, jakich można by użyć do szantażowania czy wywierania nacisków na członków Inkwizycji. Oraz wszystko to, co można by wykorzystać jako broń przeciwko kanclerzowi, wielkiemu inkwizytorowi i skarbnikowi.

Urwał, jakby dla zebrania myśli, po czym kontynuował:

- Zrozumiałem, że tak naprawdę żądają materiałów, dzięki którym będą mogli zniszczyć osobistych wrogów w szeregach wikariatu. To głęboko mnie zaniepokoiło, zwłaszcza że równocześnie zacząłem odkrywać różne nieprzyjemne aspekty ich życia prywatnego. - Wygiął wargi w grymasie niesmaku... albo strachu. - Okazało się bowiem, że za fasadą, którą prezentowali światu, kryje się wyuzdanie, i to takie, jakie wprawilo mnie w osłupienie. Nie jestem pruderyjny ani oderwany od rzeczywistości. Wiem, że hierarchowie, także ci najwyżsi, pozostają ludźmi, że wszyscy odczuwamy pokusy, również cielesne, i że nierzadko im ulegamy. Nie jestem gotów potępić żadnego z moich braci w wierze za słabość, ponieważ wszystkie dzieci Boga są słabe i omylne. Jednakże są perwersje, dla których nie może być zgody. Zaspokajanie nienaturalnych żądz i wykorzystywanie dzieci to więcej, niż

mogłem znieść.

Duchairn zrobił wielkie oczy. Czyżby Clyntahn naprawdę myślał, że może im wcisnąć coś takiego? I to w odniesieniu do braci Wylsynnów?

Mimo własnych przekonań zdawał sobie sprawę, jak szczerze i przekonująco wypadło zeznanie Stantyna. Nie mówiąc już o tym, że ci, którzy z jakichś powodów postanowili doprowadzić do upadku bliźniego, chętnie się łapią wszelkich dodatkowych oskarżeń oczerniających ofiary w ich oczach.

*No to teraz już wiem, na jakich warunkach sprzedałeś swoją duszę, Nyklasio,* pomyślał zimno.

- W miarę jak otwierały mi się oczy - ciągnął Stantyn - zacząłem widzieć wszystko to, na co wcześniej pozostawałem ślepy. A potem wybuchła wojna z Charisem i oni wszyscy skakali z radości, że nareszcie otwierają się przed nimi możliwości, jakie zapewniało wstępne zwycięstwo nad nami. Uświadomiłem sobie, że nie dbają o to, że Kościół Matka się chwieje, tylko cieszą się, że będą mogli przejąć kontrolę nad jego ruinami. Byli gotowi pozwolić Kościołowi Charisu działać i bogacić się, byle mogli wprowadzić swoje „reformy” w Świątyni i ogłosić się władcami Kościoła Matki w Syjonie.

Arcybiskup Hankey potrząsnął ze smutkiem głową. Wyglądał jak człowiek ubolewający, że zdradzili go ci, którym zaufał... anizeli raczej jak ktoś, kto sam jest zajęty zdradzaniem tych, którzy zaufali jemu.

- Gdy zrozumiałem to wszystko, uznałem, że muszę podzielić się swą wiedzą i swymi podejrzeniami z wielkim inkwizytorem. Co też uczyniłem. A kiedy wysłuchał mojej spowiedzi, rzekł mi...

\* \* \*

Rhobair Duchairn powrócił do chwili obecnej, otworzył oczy i raz jeszcze zapatrzył się na podobiznę na ołtarzu. Ta jednak w dalszym ciągu nie odpowiadała na jego milczące pytanie.

*Stantynowi udało się sztuczka,* pomyślał z rozpaczą.

Duchairn nie miał pojęcia, czy Trynair uwierzył w bajki o „perwersjach” braci Wylsynnów i członków ich Kręgu, ale przypuszczał, że Magwair przełknął je bez trudu. Jednakże nie wątpił w to, iż Trynair uwierzył, że Samyl i Hauwerd Wylsynn ze swymi... poplecznikami za wszelką cenę pragnęli wyrwać władzę nad Świątynią z rąk członków Grupy Czworoga. Jak również że Wylsynnowie byli skłonni negocjować porozumienie z Kościołem Charisu. I to takie, które dawałoby heretyckiemu Kościołowi prawo do istnienia. Rhobair nie potrafił ocenić, co według kanclerza stanowiło większą zdradę, wszelako sądził, że tylko

jedna z nich by wystarczyła, aby Zhamsyn Trynair zaczął się skłaniać do wzięcia strony Clyntahna. Dwie naraz przekonały go do tego natychmiast.

Tak więc Rhobair Duchairn był ostatnim członkiem Grupy Czworoga, który rozumiał - i miał odwagę przyznać to przed sobą samym - co naprawdę zamierza Zhaspyr Clyntahn. Tylko on mógł wystąpić przeciwko temu szaleństwu. Z drugiej strony jego głos byłby osamotniony, i to nie tylko w ramach Grupy Czworoga. Wszyscy wikariusze mieli świadomość, że ostatnimi czasy skupił się na sprawach wiary i obracał w kręgach zbliżonych do braci Wylsynnów. Tych samych, z których wywodzili się niektórzy - a może nawet wszyscy - aresztowani przez wielkiego inkwizytora konspiratorzy.

Wikariat nadal był zaszokowany losami Samyla i Hauwerda Wylsynnów. Jeden wikariusz zabija drugiego - w dodatku własnego brata - aby uchronić go przed aresztowaniem? I sam ginie w równej walce ze strażnikami Świątyni? Ale dlaczego właściwie Hauwerd zamordował Samyla? Aby go uchronić przed przesłuchaniami i karami? A może raczej aby uciszyć osobę, która mogła go pogrążyć zeznaniami?

Duchairn poczuł pieczenie pod powiekami. Doskonale wiedział, czemu Hauwerd uczynił to, co uczynił. Doskonale pamiętał spojrzenie jego oczu tamtego dnia, gdy przekazał mu liścik. Domyślał się, czego Hauwerd od niego oczekiwał. Ale też był świadom motłochu stojącego murem za Clyntahnem, słyszał głosy spanikowanych ludzi obciążających bliźnich, zapewniających o własnej lojalności, domagających się pomsty na tych, którzy zdradzili Kościół Matkę - robiących wszystko, byle odwrócić uwagę Clyntahna i jego Inkwizycji od nich samych i ich rodzin.

Nie był w stanie temu zapobiec.

Ta myśl zrodziła się w nim nagle, zimna i czysta, kiedy patrzył na podobiznę Langhorne'a.

Nie był w stanie temu zapobiec. Już nie. Teraz nikt nie był w stanie temu zapobiec. Gdyby nawet spróbował, tylko by dołączył do ofiar, a razem z nim jego krewni i ich bliscy. Wszyscy trafiliby w ręce Inkwizycji. Duchairn aż się skurczył na myśl, jaki los by ich później spotkał. I na myśl o oskarżeniu w ich oczach, kiedy cierpieliby potworności, które Schueler przewidział dla zdrajców, wiedząc, że poświęcił ich w imię skazanej na niepowodzenie próby oczyszczenia własnego sumienia.

*Choć wcale by tak nie było, ciągnął w duchu nieprzyjemne rozmyślania, nie mogąc się pozbyć przed oczu widoku słusznie oburzonych twarzy jego siostrzenic i bratanków, oni by tak właśnie myśleli, tak by czuli... cierpiąc katusze zadawane ręką inkwizytorów. Mam prawo doprowadzić do zguby siebie, ale czy wolno mi kłaść na szalę życie innych?*

Nawet gdyby uznał, że jednak mu wolno, niczego by swoim postępkami nie osiągnął. Z wyjątkiem ukrócenia ostatniego głosu sprzeciwu wobec Clyntahna w ramach Grupy Czworoga.

*To nie ma znaczenia. To nie powinno mieć znaczenia. Może nie zawsze wiem, co jest właściwe, z pewnością jednak wiem, co jest niewłaściwe. Jestem księdzem. Nie tylko wikariuszem. Jestem zwykłym pasterzem. A Langhorne powiada: „Dobry pasterz oddaje życie za swoją trzodę”. Czy można dostać jaśniejsze wytyczne? A jednak... a jednak...*

Opuścił powieki, raz jeszcze wracając myślami do wiadomości, którą przekazał mu Hauwerd Wylsynn. I żądania, które w niej zawarł. Nadziei, którą obiecywał. Obietnicy, którą wymusił. Jeśli poświęci się teraz, czego wymagał od niego stan duchowny, ta nadzieja umrze razem z nim, a obietnica pozostanie niespełniona.

Pamiętał pasję w oczach Hauwerda tamtego ranka, pamiętał łagodny uśmiech Samyla Wylsynna i jego radość z wypełniania woli bożej, pamiętał, jaką miłością człowiek ten darzył swoją rodzinę, i pamiętał także ogary zbierające się przy nogach Clyntahna.

Rhobair Duchairn przyłożył czoło do berła, które trzymał w zdrętwiałych rękach.

**KWIECIEŃ**

**ROKU PAŃSKIEGO 894**

**PAŁAC KRÓLEWSKI**

**TALKYRA**

**DELFERAHK**

- Czy naprawdę jest tak źle, jak przedstawiają to raporty, Phylypie? - zapytała Irys Daykyn z niezwykłą powagą w głosie.

Stała z hrabią Corisu w jednym ze swoich ulubionych miejsc, wyglądając na jezioro Erdan z okna małej narożnej wieży. Lubiła to konkretne miejsce dlatego, że rozciągał się stąd widok na ogromne jezioro, szczególnie piękny o tej porze dnia, gdy promienie słońca kładły się czerwienią i złotem za jego przeciwległym brzegiem. Innym powodem była wygoda, gdyż można stąd było przejść bezpośrednio do niewielkiego apartamentu, który przydzielono jej w pałacu króla Zhamesa. Wszelako najistotniejsze ze wszystkiego było to, że tutaj nikt nie mógł podsłuchać ich rozmowy.

Żałowała, że jest to jedyne takie miejsce w całym pałacu.

W tej chwili łysy mężczyzna po czterdziestce, z resztkami czegoś, co kiedyś na Starej Ziemi nazywano „sumiastym wąsem”, i nosem, który widocznie został złamany więcej niż raz, pełnił straż na zewnątrz, pilnując, aby nie przeszkadzano księżniczce i jej opiekunowi. Strażnik nazywał się Tobys Raimair - sierżant Tobys Raimair - i niedawno przeszedł na emeryturę (do pewnego stopnia), odsłużywszy swoje w corisandzkiej armii. Nie zaliczał się do dawnej gwardii księżniczki Irys, lecz jego przełożony, kapitan Zhoel Harys, któremu udało się wywieźć rodzeństwo z Corisandu, zarekomendował go hrabiemu Corisu. Wedle słów kapitana, Raimair był nie tylko lojalny i uparty, lecz także „zręczny”, więc może przyda się jej wysokości podczas wizyty w Delferahku...

Od tamtej pory zarówno hrabia Corisu, jak i sama księżniczka nieraz się przekonali, że dowódca gwardii wiedział, o czym mówi. Raimair zdołał po cichu zebrać niewielką, acz kompetentną, choć całkowicie nieoficjalną, gwardię książęcą w imieniu dziewięcioletniego monarchy. Tylko jeden z gwardzistów wywodził się z Delferahku, wszystkich zaś opłacała Irys, korzystając ze środków „pozostających w jej gestii”, które hrabia Corisu umieścił na rozmaitych kontach lądowych domen z myślą o siatce szpiegowskiej jej ojca. W konsekwencji gwardia ta był winna lojalność przede wszystkim Irys - i Daivynowi - a nie



królowi Zhamesowi. Ten ostatni nie zgłaszał jak na razie sprzeciwu, prawdopodobnie dlatego, że straż nie była liczna (a może raczej dlatego, że jeszcze nawet nie odkrył jej istnienia). Gwardzistów było dwunastu.

Hrabia Corisu żałował, że nie jest ich tysiąc dwunastu.

Przyglądał się księżniczce, zastanawiając nad odpowiedzią. Irys kończyła osiemnaście lat za dwa miesiące, ale wydawała się dobiegać trzydziestki. Piwnozielone oczy miała pociemniałe od trosk, z którymi nie zdradzała się przed każdym. Hrabia Corisu pomyślał ze smutkiem, że nie takie oczy powinna mieć młoda dziewczyna. Westchnął, zdawszy sobie sprawę, że jest winien Irys nie tylko lojalność, lecz i szczerść.

- Szczerze mówiąc, jest nawet gorzej, niż przedstawiają to raporty - rzekł cicho. Odwrócił na moment wzrok, prześlizgując się spojrzeniem po karmazynowej powierzchni jeziora. - Na razie przejrzelśmy oficjalne dokumenty - kontynuował. - Wstępne raporty. Obawiam się, że one tylko nakreślają ogólny obraz sytuacji. - Zaciśnął wargi. - Clyntahn dopiero przygotowuje scenę. Kiedy zaczniesz na niej grać, sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót.

- Niech Bóg i Langhorne zlitują się nad duszami ich wszystkich - wymruczała Irys. I, podobnie jak hrabia przed chwilą, zapatrzyła się niewidzącym spojrzeniem na wody jeziora. Po chwili zapytała: - Ile twoim zdaniem jest prawdy w tych oskarżeniach?

Było to ryzykowne pytanie. Nie chodziło tylko o to, że zadała je na głos - hrabia Corisu był niemal zupełnie pewien, że tutaj nie usłyszą ich nawet najczulsze nieprzyjazne uszy - lecz o to, że w ogóle o tym pomyślała.

*Naprawdę, Phylipie,* zapytał się w myślach, *naprawdę, sądzisz, że jest aż tak naiwna?*

- Oczekujesz ode mnie szczerzej odpowiedzi? - spytał cicho. Popatrzyła mu prosto w oczy i skinęła głową. - Zatem dobrze... Oczywiście nie możemy być niczego pewni, pozostając w tak dużej odległości, niemniej w moim odczuciu dziewięć dziesiątych oskarżeń rzucanych przez Clyntahna mija się z prawdą. Może nawet całość.

- W takim razie dlaczego? - przybrała błagalny ton. - Skoro to wszystko nieprawda, dlaczego ich aresztował? Dlaczego oskarżył ich o zbrodnie, za które czeka ich taka straszliwa kara?

- Dlatego, że... - Hrabia Corisu urwał po pierwszych dwóch słowach.

Irys Daykyn była wysoce inteligentną młodą kobietą, w dodatku mającą wycucie polityki. Skoro nie potrafiła sobie odpowiedzieć na te pytania sama, wołałby - wołałby bardziej niż cokolwiek innego na świecie - pozostawić ją w tym stanie ignorancji.

*Z tym że ona już zna odpowiedzi, powiedział sobie w duchu. Po prostu jeszcze nie wierzy w nie, ale już je zna. Może nawet tak bardzo nie chce w nie uwierzyć, że łudzi się, że zaraz wyprowadzę ją z błędu i zaprzeczę jej przypuszczeniom. Ale tylko się łudzi...*

- Wasza wysokość... Irys... - zaczął ponownie. - Nie wątpię, że Samyl i Hauwerd Wylsynnowie byli zaangażowani w coś, co Clyntahn uznał za zdradę. Prawda jest jednak taka - patrzył jej w oczy bez mrugnięcia - że to, co Clyntahn uważa dziś za zdradę, niewiele ma wspólnego z działaniami przeciwko Kościołowi Matce czy Bogu, za to bardzo dużo z przeciwstawianiem się jemu osobiście. Moja wiedza na temat polityki wewnętrznej Rady Wikariuszy pozwala mi zakładać, że Samyl Wylsynn był jedynym rywalem Clyntahna, gdy idzie o stanowisko wielkiego inkwizytora, a przy tym miał zupełnie inną osobowość. Nie wątpię, że od lat przerażało go to, co wyczyniała Grupa Czworoga. Mam podstawy przypuszczać, że podjął pewne działania mające na celu... stonowanie wybryków Clyntahna. A to stanowiło wystarczające... zdaniem Clyntahna... usprawiedliwienie dla aresztowań, o które pytałaś.

Irys skrzywiła się ledwie zauważalnie, gdy hrabia wypowiedział słowo „wybryki”. Użył go przy niej po raz pierwszy, przynajmniej w odniesieniu do człowieka będącego praktycznie głową Kościoła Matki, zarazem jasno mówiąc, że pozostaje w stosunku do niego w opozycji. Wszelako zdziwienie Irys wynikało wyłącznie z tego, że nareszcie przyznał to na głos.

- Ale rozkazać aresztowanie, i to takich osób, na podstawie tego typu zarzutów... - rzekła. - Przecież one skazują ich na niewysłowione męki. I nie tylko ich, ale też ich całe rodziny. - Potrząsnęła głową, a hrabia Corisu się skrzywił.

- Irys - odezwał się tak łagodnie, jak potrafił. - Clyntahn rzucił te oskarżenia właśnie po to, by dosięgła ich straszliwa kara. Owszem, były mu potrzebne przewiny wystarczająco poważne, aby uzasadnić aresztowania i eliminację pewnych członków wikariatu, ale jego prawdziwe motywy ograniczają się do chęci pozbycia się raz na zawsze opozycji czy choćby krytyki, i to tak spektakularnie, że nikt nigdy nie poważy się pójść w ślady straconych. Zapewnia sobie i swoim kompanom z Grupy Czworoga jedynowładztwo, dając do zrozumienia wszem wobec, a już zwłaszcza potencjalnym oponentom, jak bardzo nieroztropne z ich strony byłoby krytykowanie jego działań w przeszłości.

Spostrzegł w jej oczach jakiś błysk. Przez moment nie rozumiał, skąd się tam wziął, zaraz jednak spłynęło na niego olśnienie.

*Pomyślałaś o swoim ojcu, prawda? O tym, że czasami karał kogoś bardzo ostro, aby tym samym odwieść innych od popełnienia tego samego przestępstwa. Bystra jesteś, Irys. I*

*choć nie chcesz przyznać tego sama przed sobą, wiesz, że twój ojciec robił rzeczy, o których nigdy z tobą nie rozmawiał, a które miały równie mało wspólnego ze sprawiedliwością co czyny Clyntahna (tak samo jak one służyły zastraszaniu ludzi i zmuszaniu ich do uległości.*

- Zatem twoim zdaniem skaże ich na Kary Schuelera?

- Myślę, że w tej chwili jedyną niewiadomą pozostaje, czy skaże na nią również ich rodziny - odrzekł ze smutkiem w głosie hrabia Corisu.

Irys wciągnęła ostro powietrze, a oczy pociemniały jej jeszcze bardziej. Phylip Ahzgood wyciągnął rękę i delikatnie dotknął policzka dziewczyny. Nigdy wcześniej nie zrobił czegoś podobnego.

- Przecież chodzi o dzieci, Phylipie... - powiedziała błagalnie, unosząc rękę i obejmując dłonią jego palce przytknięte wciąż do jej policzka. Mówiła szeptem. - Chyba je oszczędzi... - urwała, widząc, że hrabia Corisu kręci głową łagodnie, smutno.

- On nie widzi w nich dzieci, Irys. Już nie. W najlepszym razie są dla niego „pomiotem zdrajców i heretyków”. A co gorsza, są pionkami w jego rękach. Przydadzą się bardziej Kościołowi Matce... i jemu samemu... użyte jako przestroga dla ewentualnych przyszłych zdrajców i heretyków. - Ponownie pokręcił głową. - Dlatego uważam, że możemy co najwyżej liczyć na to, że wyda rozkaz egzekucji dzieci, zamiast je także poddawać Karom Schuelera.

Irys zzieleniała, za co hrabia nie mógł jej winić. Część tych dzieci nie wyszła jeszcze z wieku niemowlęcego, niektóre dopiero co się urodziły. Ale dla Zhaspyra Clyntahna nie miało to znaczenia. A już na pewno nie większe niż...

Prędko uciał tę myśl. Wiedział, że zdaniem Irys to Cayleb Ahrmahk wydał rozkaz zamordowania jej ojca i brata. Z wielu powodów życzyłby sobie, aby miała umysł otwarty na inne możliwości, zwłaszcza te, które jemu wydawały się z każdą chwilą bardziej prawdopodobne, gdy w grę wchodził Zhaspyr Clyntahn. Jednakże na widok troski i bólu w tych tak dobrze mu znanych oczach poczuł wahanie.

I tak wystarczająco się martwiła o bezpieczeństwo młodszego brata. Miałby dołożyć jej trosk? Napełnić jej serce obawą i strachem? Poza tym jej najlepszą obroną przed Clyntahnem była nieświadomość tego, co hrabia Corisu właśnie odkrył w związku z zabójstwem księcia Hektora i jego syna. Dopóki Irys będzie szczerze i głęboko przekonana o winie Cayleba, dopóty pozostanie przydatna dla Clyntahna - w jego chórze przeciwko Charisowi będzie pobrzmiwał jeszcze jeden, i to bardzo wyraźny głos, potępiający za tę zbrodnię parę cesarską Imperium Charisu. Głos będący przestroga dla każdego Corisandczyka, któremu przyszyłoby do głowy pogodzić się z najazdem Charisjan na księstwo.

Gdyby jednak księżniczka Irys publicznie zwątpiła w winę Cayleba, natychmiast zostałaby przeniesiona z kategorii „w miarę przydatna” do kategorii „obciążenie”. Gdyby zaś Clyntahn zaczął ją mieć za ciężar...

- Nadepnęli mu na odcisk - powiedział więc hrabia Corisu, w porę ugryzłszy się w język. - Wielu z nich jest rodzicami, co nie uszło uwagi wielkiego inkwizytora. Czy jest skuteczniejsza groźba?

Ostatnie pytanie zadał cichym głosem i Irys przez moment nie odpowiadała, jakby go w ogóle nie dosłyszała. W końcu jednak skinęła głową w milczącym potwierdzeniu.

- Oczywiście, że nie ma. - Hrabia Corisu przełknął jak człowiek, w którego ustach zbiera się żółć. Znowu wyrzął przez okno na jezioro. Na czystą, zimną wodę. - Oczywiście, że nie ma... - powtórzył ciszej. - Zhaspyr Clyntahn dobrze o tym wie. I dlatego przeprowadzi rzecz do końca, Irys. Nie wątp w to ani przez sekundę. Zrobi to, co zamierzył.

## .II.

### GABINET RHOBAIRA DUCHAIRNA

#### ŚWIĄTYNIA

#### SYJON ZIEMIE

#### ŚWIĄTYNNE

- Rhobairze, nie możesz tego ciągnąć - stwierdził głucho Zahmsyn Trynair.

- Czego nie mogę ciągnąć? - zapytał Rhobair Duchairn spokojnie, niemal oziębłe, odrywając wzrok od morza papierów, które codziennie zalewało jego biurko.

- Doskonale wiesz, o czym mówię.

Trynair zamknął za sobą drzwi prywatnego gabinetu Duchairna i zrobił parę kroków, by zatrzymać się naprzeciwko biurka skarbnika.

- Myślałeś, że tylko Zhaspyr zauważył, co robisz... czy też czego nie robisz? - rzucił pytanie.

Duchairn odchylił się na oparcie krzesła, ułożył przedramiona na podłokietnikach, po czym wpatrzył się w kanclerza Kościoła Boga Oczekiwanego. Jego gabinet był jak zwykle idealnie, kojąco oświetlony i panowała w nim przyjemna temperatura. Krzesło, tak jak zawsze, wydawało mu się niezwykle wygodne. Ściany, nieodmiennie, przedstawiały ledwie dostrzegalny krajobraz ułożony z mozaiki i ukazujący zielone drzewa na tle odległych

sinawych gór. W powietrzu zaś - tak jak co dzień - unosiły się delikatne dźwięki muzyki.

Wszystko to stanowiło drażniący, niemalże - nie, nie niemalże! - obsceniczny kontrast z potwornościami, które fundował nawet w tej chwili Zhaspyr Clyntahn i jego Inkwizycja mężczyznom, kobietom i dzieciom.

- A czegoż to, jeśli łaska, nie robię, Zahmsynie? - zainteresował się Duchairn. - Oświeć mnie. Zaniedbuję udziału w sądowniczym morderstwie współwikariuszy? Nie dość głośno biję brawo tym, co torturują kobiety, żony, które najprawdopodobniej nawet nie wiedziały, co robią ich mężowie... zakładając, że cokolwiek robili. Odmawiam przyklaskiwania decyzjom o posłaniu na stos szesnastoletnich dziewcząt tylko dlatego, że ich ojcowie nadepnęli Zhaspyrowi na odcisk? Tego właśnie nie robię, Zahmsynie?

Trynair rozszerzył oczy ze zdziwienia, słysząc w głosie Duchairna zjadliwą pogardę. Spoglądał na skarbnika Świątyni przez naprawdę długą chwilę, po czym spuścił wzrok i stał tak po drugiej stronie biurka, aż w końcu ponownie spojrzął na rozmówcę.

- To nie takie proste, Rhobairze, i dobrze o tym wiesz - rzekł.

- Przeciwnie, Zahmsynie, to jest właśnie takie proste - skontrował Duchairn. - Oczywiście możesz się upierać, że wchodzi w grę inne czynniki, że trzeba brać pod uwagę to czy tamto, lecz nic nie zmienia tego, co powiedziałem przed chwilą. Jeśli chcesz, możesz się okłamywać, ja jednak nie mam takiego zamiaru. Już nie.

- Nie rozumiesz, w jaki sposób zareaguje Zhaspyr, kiedy zaczniesz mówić podobne rzeczy w obecności innych osób? - Trynair patrzył na niego nieomal błagalnie. - Wystarczy, że poweźmie podejrzenie co do twego sprzeciwu wobec Inkwizycji... - Kanclerz nie dokończył, a Duchairn tylko wzruszył ramionami.

- Z wielkim wstydem muszę przyznać - odezwał się bezbarwnym tonem - że nic mi raczej nie grozi. Trzymam usta zamknięte na kłódkę... i niech Bóg mi to wybaczy. Gdybym miał choć cień nadziei, że mój sprzeciw coś da, że jestem w stanie położyć kres tym okropieństwom, nie wahałbym się ani chwili, możesz mi wierzyć, Zahmsynie. Nie wahałbym się, nawet wiedząc, że jutro zginę!

Patrzył Trynairowi prosto w oczy, a napięcie między nimi wzbudzało brzęczenie powietrza, cichy śpiew rozbrzmiewający w głębokiej ciszy gabinetu.

Zahmsyn Trynair w głębi duszy zadrżał pod spojrzeniem Duchairna; jakąś częścią siebie wciąż pamiętał powołanie, które niegdyś czuł do służenia Bogu.

Od dawna uważał, że Rhobair Duchairn jest najsłabszym ogniwem Grupy Czwojga. Być może bystrzejszym i bardziej zasadniczym niż Allayn Magwair, lecz zarazem zdecydowanie kalekim. Niezdolnym dostrzec konieczności wymuszonej przez sytuację,

konieczności działań na rzecz zachowania autorytetu Kościoła Matki. A z całą pewnością niezdolnym jej przyznać. Był gotów odwracać głowę, patrzeć w inną stronę, pozwalać pozostałym na działanie, byle tylko sam nie musiał nic robić.

Znaczna część Zahmsyna Trynaira nie zmieniła zdania na temat skarbnika. Znaczna część, ale nie całość... Wszystko z wyjątkiem owej jego części, która też kiedyś była przepełniona wiarą i ideałami.

*Może wcale się nie zmienił, pomyślał nagle. Może ta jego „odzyskana wiara” to tylko inny sposób na uniknięcie nieprzyjemności... Chociaż nie, nie wydaje mi się. Gdyby tak było, nie szedłby na noże z Zhaspyrem. A już na pewno nie szedłby na noże ze mną, wiedząc, że tylko ja mogę uchronić go przed gniewem wielkiego inkwizytora.*

- Kiedy Zhaspyr usłyszy twoje nowe poglądy - Trynair ku własnemu zdumieniu odezwał się takim tonem, jakby prowadzili zwykłą pogawędkę - nie uratuje cię to, że jesteś członkiem Grupy Czworoga. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Równie dobrze więc możesz się z nimi nie kryć i wygarnąć wszystko otwarcie.

- Potrafię sobie wyobrazić gorsze towarzystwo - zauważył sucho Duchairn.

- Ale z pewnością nie bardziej martwe.

- Zapewne... Dlatego na razie otworzyłem się tylko przed tobą. Oczywiście w każdej chwili możesz mu przekazać moje słowa, prawda? Tylko że wtedy, jak już zrobi mi to samo, co uczynił innym ludziom, których znaliśmy od lat, zostaniesz sam na sam z nim i z Magwairem, zgadza się? Jak sądzisz, ile zdołasz przetrwać?... Szczególnie że masz posłuch u wielkiego wikariusza, a zatem jesteś jedynym potencjalnym konkurentem dla Inkwizycji? Jak długo przetrwasz, jeśli Clyntahn nie przestanie tropić zdrajców w swoich szeregach?

Trynair poczuł, jak opada mu szczeka. Opanował się tylko dzięki doświadczeniu nabytemu podczas trwającej od dekad wojny podjazdowej w wikariacie, niemniej celność ostatniej uwagi Duchairna zaszokowała go.

*Ma przekłety rację, pomyślał. Nie mogę pozwolić, aby Zhaspyr zaczął we mnie widzieć głównego wroga. Dlatego nie wolno mi doprowadzić do upadku Rhobaira. Dopóki bowiem go mam, dopóty mogę na niego skierować uwagę Clyntahna. Gdy go natomiast zabraknie...*

- No dobrze. Nie będę zaprzeczał słuszności twoich słów. Nie mogę tego zrobić - przyznał Trynair na głos - ponieważ faktycznie nie chcę się okazać jedynym przeciwnikiem Zhaspyra, skoro tak się zacietrzewił. Nawet to jednak nie utrzyma cię przy życiu, jeśli dalej go będziesz drażnił. Z czysto egoistycznych pobudek postaram się ciebie chronić, ale nawet moja ochrona niewiele ci da, jeżeli sam pójdziesz na dno... czego nie zamierzam robić.

Tym razem Duchairn przyjrzał się kanclerzowi z natężeniem. Nigdy wcześniej nie usłyszał z jego ust tak jednoznacznej deklaracji.

- Powiedz mi coś, Zahmsynie... - odezwał się w końcu. - Czy ty wierzysz chociaż w część przedstawianych oskarżeń? Tylko szczerze, w mojej obecności możesz sobie na to pozwolić. Obaj jesteśmy świadomi, w jaki sposób Inkwizycja zdobywa zeznania, więc śmiało, nie krępuj się. Naprawdę uważasz, że Samyl i Hauwerd... Samyl i Hauwerd, na Boga!... wykorzystywali dzieci? Że oddawali cześć Shan-wei tutaj, w Świątyni? Że po kryjomu sprzyjali Kościołowi Charisu? Że zamierzali współpracować z Charisjanami, uznać schizmę w zamian za poparcie Imperium w osadzeniu jednego z nich na tronie wielkiego wikariusza w Syjonie?

Trynair odwrócił wzrok. Stał zapałtrony w ścienne mozaiki przez niemal minutę, po czym zaczerpnął głęboko tchu i przeniósł wzrok na Duchairna.

- Nie - odparł cicho. - Nie, nie wierzę w nic z tego. Wierzę za to, że spiskowali przeciwko Zhaspyrowi. A zatem także przeciwko tobie i mnie. Być może tobie głęboka wiara pozwala przyjąć coś takiego ze spokojem. Ja tak nie potrafię. Przyznaję się: nie potrafię. Ale też nie chodzi mi wyłącznie o własne bezpieczeństwo, własną władzę i wygodę. To, czy ci dwaj spiskowali przeciwko nam z Charisem, nie ma znaczenia tylko z jednego względu. Gdyby udało im się pokonać Zhaspyra, powstałaby próżnia w Świątyni, w całym wikariacie. Bóg raczy wiedzieć, jak by się to skończyło dla Kościoła Matki w tym konkretnym momencie historii. Niestety mogli także czynić wysiłki w tym kierunku i... przegrać. Sądziś, że to, co dzieje się teraz, jest straszne? Cóż, to prawda. Ale wyobraź sobie, co by się działo, gdyby Wylsynnowie wywołali bunt przeciwko Clyntahnowi. Gdyby poderwali za sobą większość wikariuszy. Gdyby dokonali rozłamu w Kościele Matce, gdyby podzielili hierarchów, wszczynając zamęt w duszach i umysłach zwykłych ludzi. Sądziś, że to by nie otworzyło bram dla Charisjan, bez względu na pierwotne intencje Wylsynnów? Sądziś, że Rayno i inni osobiście mianowani przez Clyntahna ludzie z Inkwizycji nie pozostaliby lojalni? Jak twoim zdaniem skończyłaby się otwarta wojna między najwyższymi wikariuszami Kościoła? Twierdziś, że nie byłoby to znacznie gorsze od tego, co wyprawia się teraz?

- Też się nad tym zastanawiałem - przyznał Duchairn. - I nie jestem pewien, czy byłoby to znacznie gorsze. Nie jestem nawet pewien, czy byłoby to w ogóle gorsze. Oczywiście nie mogę mieć pewności... I przyznaję, że nie ma nikogo, kto by przeciwstawił się Inkwizycji i histerii, którą wywołał Zhaspyr. Nie mając realnych szans na powstrzymanie go... a obaj wiemy, że w chwili obecnej wchodzi w grę wyłącznie rozwiązanie siłowe... podjęcie nieudanej próby jego powstrzymania tylko pogorszyłoby sprawę. Wiem o tym.

Właśnie dlatego nic nie robiłem. I nadal nie zamierzam nic robić.

- Ale... - wtrącił Trynair.

- Nie powstrzymuję go, lecz zarazem nie udzielam mu swego poparcia. Może to hipokryzja z mojej strony, jednakże nie chcę brać udziału w tym jego święcie mordu. Nie podpiszę żadnego nakazu egzekucji. Nie dam swojej zgody na zabicie żadnego dziecka. Nie będzie usprawiedliwiał swoich czynów moim poparciem. To on jest wielkim inkwizytorem. Potrafisz zliczyć wszystkie sytuacje, w których nam o tym przypominał? Zatem proszę bardzo, niech nim będzie. Niech weźmie całą odpowiedzialność na siebie. Niech sobie przypisze całą zasługę... w razie wygranej... za zniweczenie próby zdradzenia Kościoła Matki.

Trynair zmarszczył czoło, słysząc w głosie skarbnika palącą ironię.

- A ty co wtedy zrobisz, Rhobairze? - zapytał po chwili. - Skoro ani go nie popierasz, ani mu się nie przeciwstawiasz... Zamierzasz ukryć się w jakimś klasztorze?

- Och, rozważałem taką możliwość - odparł Duchairn niezwykle cichym głosem. - Wierz mi, Zahmsynie, że rozważałem.. Jednakże nie uczynię tego. Nie ukryję się w klasztorze. Albowiem to byłoby zwykłe tchórzostwo, uciekanie przed odpowiedzialnością...

- W takim razie co zrobisz? Mów! - rzekł ostrzej Trynair. Wydawał się bardzo zdenerwowany, co Duchairn ku zdziwieniu obydwóch skwitował bladym uśmiechem.

- Dobrze, powiem. - Nachylił się do przodu, opierając łokcie na blacie i przenosząc na nie ciężar swego ciała, kiedy wpatrywał się intensywnie w kanclerza. - Będę wykonywał swoje obowiązki skarbnika Świątyni. Będę dbał o zdrowie fiskalne Kościoła Matki, na tyle, na ile się da pośród tego szaleństwa kosztownej wojny. Dopilnuję, by zakon Bédard i zakon Pasquale oraz wszystkie inne zakony skupiające się na dobroczynności otrzymywały odpowiednie fundusze. Następnej zimy postaram się o to, by w całym Syjonie otworzono darmowe jadalnie dla ubogich, Zahmsynie. Każę wybudować baraki, żeby mogli przeżyć mróz i śniegi. Sprawię, że przybędzie szpitali, w których udzieli się pomocy ofiarom tej wojny, i sierocińców z myślą o spowodowanych przez nią sierotach. Mówiąc w skrócie, wykorzystam swoją pozycję wikariusza Boga Oczekiwanego i zrobię wszystko to, o czego zaniechanie... słusznie!... oskarżali nas Maikel Staynair i Cayleb z Sharleyan.

Trynair gapił się na niego przez chwilę. A potem wybuchnął głośnym, skrzekliwym śmiechem.

- Cóż to, Rhobairze? Próbujesz sobie kupić przychylność archaniołów? I to jest twoja łapówka? Tyle proponujesz Bogu jako rekompensatę za to, że nie sprzeciwiłeś się Zhaspyrowi otwarcie, kiedy uprawiał swoje ekscesy?

- Do pewnego stopnia tak - przyznał Duchairn bez mrugnięcia. - Można tak na to



patrzeć. Ale można też i tak, że osiągnę to wszystko pomimo ekscesów Zhaspyra, prawda? A w związku z tym, że moje zniknięcie byłoby raczej... niekorzystne dla twojej osoby, zechciej przedstawić Clyntahnowi wymienione przeze mnie warunki słowo w słowo. Twoja wola, jeśli uznasz je za pakt podpisany z Shan-wei.

- Jak to? - Trynair ściągnął brwi, na co w oczach Duchairna pojawił się błysk.

- Czy to nie jasne? - Ponownie odchylił się na oparcie, krzyżując nogi. - Śmiało, powiedz Zhaspyrowi, że rozmawialiśmy o tym. Powiedz mu, że choć nie zgadzam się z jego decyzjami, uznaję w nim wielkiego inkwizytora i nie odmawiam mu prawa do podejmowania decyzji. Że nie sprzeciwię mu się otwarcie, ale w zamian żądam, aby nie przeszkadzał mi, kiedy będę wspierał wspomniane zakony... co nawiasem mówiąc, należy do obowiązków skarbnika Świątyni. Powiedz nawet, że w ten sposób pragnę ocalić własne sumienie. Na Langhorne'a, może wcale się co do tego nie mylisz! Nie zapomnij jednak przypomnieć Clyntahnowi o przypadku woźnicy, który stosował metodę kija i marchewki. Niech tylko pozostawi śladzenie masom mnie! Bóg świadkiem, że lepiej mi to wychodzi niż jemu. A dopóki jestem członkiem Grupy Czworka, wszystkie moje zasługi będą jej przypisywane, nie wyłączając osoby Zhaspyra Clyntahna. Dowiodł, że potrafi przywieść ludzi do posłuszeństwa za pomocą strachu. Teraz niech mi pozwoli kupić posłuszeństwo innych. On będzie zadowolony, ja będę... spełniony, a w efekcie jego pozycja tylko się umocni.

Trynair nie przestawał marszczyć brwi. Raz jeszcze zadziwiła go polityczna przenikliwość Duchairna. Właśnie tak należało przedstawić argumenty skarbnika wielkiemu inkwizytorowi. Co więcej, jego słowa miały głęboki sens.

Przyglądał się siedzącemu naprzeciwko niego mężczyźnie zmrużonymi oczami, zastanawiając się, jakaż to zmiana zaszła w Rhobairze Duchairnie. Bo że jakaś zaszła - był pewien. Nie potrafił jej tylko ustalić. Nie chodziło o to, że nagle zniknęła odzyskana niedawno wiara skarbnika. Ani że nagle przestała mu przeszkadzać brutalność Clyntahna. Ani tym bardziej, że się z nią pogodził. Nie... Chodziło o coś zupełnie innego.

*Może, pomyślał kanclerz, Duchairn zrozumiał, że Zhaspyr jest nie do opanowania. Może chodzi o pewną dawkę realizmu i tolerancję, która stępiła jego idealizm. A może wcale nie o to... Może o coś jeszcze innego... Tak czy owak Rhobair nie myli się co do sposobu, w jaki należy się przedstawić wielkiemu inkwizytorowi. Ani co do tego, że niezmiernie się przyda marchewka zamiast kija! Zhaspyr zawsze zdawał się o tym zapominać. Jeśli zdołam namówić Zhaspyra, aby pozwolił Duchairnowi być naszą łagodniejszą, przyjaźniejszą twarzą, może uda mi się też zapobiec części szkód, jakie wyrządza...*

Nie odrywając spojrzenia od oczu skarbnika, wzruszył ramionami.

- W porządku, Rhobairze. Skoro chcesz, abym mediował między tobą i Zhaspyrem, i skoro obiecujesz, że pozostawisz jemu sprawy Inkwizycji w zamian za wolną rękę w sprawach działalności dobroczynnej, podejmę się tego zadania. Sądzę, że powinienem odnieść sukces. Tylko mi powiedz, że mówiłeś poważnie. I ani się waż kłamać w tej sprawie. Jeżeli to dla ciebie naprawdę satysfakcjonujący układ, stanę na głowie, aby Zhaspyr go przełknął. Ale jeżeli w przyszłości nie dotrzymasz swojej strony umowy, będę się czuł zwolniony z odpowiedzialności za to, co się z tobą stanie, rozumiesz?

- Oczywiście - potaknął Duchairn, ponownie zadziwiając Trynaira uśmiechem. - Wiesz, pod wieloma względami Zhaspyr jest swoim najgorszym wrogiem. A to dlatego, że zapomniał... podobnie jak ja na chwilę, przyznaję... że czasami dobroć i łagodność są równie potężną bronią jak strach i terror. Fakt, że nie jest to broń, którą przypisuje się do jego urzędu... Tym bardziej więc powinien dla naszego dobra... naszego wspólnego dobra... pozwolić, abym to ja zajął się tymi sprawami za niego.

### .III.

**GABINET OJCA PAITYRA WYLSYNNA**  
**ULICA ŻŁOTEJ MARKI**  
**TELLESBERG**  
**KRÓLESTWO STAREGO CHARISU**

Ojciec Paityr Wylsynn wyglądał niewidzącym wzrokiem za okno swego gabinetu.

Słońce w Tellesbergu świeciło jasno, oświetlając szeroką ulicę biegnącą za rzędem wysokich cienistych drzew otaczających siedzibę byłego ministra finansów, w której mieściło się jego biuro. Choć było wciąż rano, Tellesberg tętnił życiem. Gabinet Wylsynna znajdował się dostatecznie daleko od zatoki i dzielnicy magazynów, aby nie przeszkadzał mu hurgot przejeżdżających pod oknami ciężkich pojazdów wiozących towary, co było na porządku dziennym w większej części miasta. W tej okolicy skupiały się instytucje finansowe, banki i kancelarie prawne, firmy maklerskie i kantory, a jeśli nie liczyć sporadycznie toczącego się ulicami wozu ciągniętego przez smoki, główny ruch ograniczał się do pieszych, wśród których tylko z rzadka pojawiał się jeździec wierzchem. Tu i ówdzie stali straganiarze, którzy osłonili swoje wozy kolorowymi markizami, zamieniając je w kramy. Na ogół handlowali jedzeniem, które kupowali u nich pracownicy pobliskich firm; od czasu do czasu przez

otwarte okna wpadał do środka mile drażniący nozdrza zapach jakiejś potrawy.

Wylsynn tego jednak nie zauważał. Podobnie jak nie widział przyjemnego kontrastu między rażącym blaskiem i zielonym cieniem ani nie słyszał podniesionych głosów kupców, ani nie dostrzegał przechodzących w dole pieszych. Jego uwaga była w całości skupiona na czymś innym. Na zapamiętanych słowach listu, który leżał złożony na jego biurku.

*Zatem stało się...* - pomyślał. Pod powiekami skrywającymi błękitne oczy poczuł znowu pieczenie. *Po wszystkich tych latach.*

Nie wiedział, jak trafił do niego ten list. Och, zdołałby pewnie prześledzić jego wędrówkę do drugiej czy trzeciej pary rąk, licząc od niego, niemniej później historia wiadomości rozmyłaby się w anonimowości pożądanej przez nadawcę. Niespecjalnie to martwiło Wylsynna.

Usiadł na krześle i odchylił głowę na wysokie oparcie, zamykając oczy. Wspominał poszczególne etapy drogi, która go doprowadziła na to stanowisko, na tę ulicę. Pamiętał chwilę, gdy uświadomił sobie swoje powołanie do stanu duchownego. Pamiętał decyzję, by wstąpić - śladem ojca - do zakonu Schuelera, ponieważ tak robili wszyscy Wylsynnowie oraz dlatego, że podzielał pragnienie ojca, by wprowadzić reformatorskie zmiany w zakonie. Pamiętał również dzień, kiedy jego ojciec namówił go, aby przyjął propozycję arcybiskupa Erayka Dynnysa i został jego intendentem.

- Clyntahn dostaje obsesji na punkcie Charisjan - powiedział mu wtedy ojciec z poważną miną, przemawiając jako wikariusz do młodego księdza, któremu ufał tak, jak tylko ojciec może ufać synowi. - Rozpaczliwie potrzebują uczciwego intendenta, kogoś, kto będzie pilnował przestrzegania Zakazów sprawiedliwie, nie ulegając paranoi Clyntahna. Poza tym - dodał - chcę, abyś zniknął z Syjonu. Nie podoba mi się kierunek, w jakim toczą się tutaj sprawy, a ty już jesteś nazbyt widoczny jak na mój gust. - Paityr poczuł, jak brwi podjeżdżają mu do góry, na co jego ojciec tylko prychnął. - Och, wiem. Niedaleko pada jabłko i przyganiał kocioł... Wiem, wiem! Ale ja przynajmniej jestem wikariuszem, a nie zwykłym księdzem! Zresztą...

Urwał i potrząsnął głową. Paityr jednak wiedział, co jego ojciec chciał powiedzieć. Skoro Samylowi Wylsynnowi nie podobał się „kierunek, w jakim toczą się sprawy tutaj”, to znaczy w Syjonie, chciał umieścić syna w Tellesbergu po to, by znalazł się tak daleko poza zasięgiem rąk Zhaspyra Clyntahna jak to tylko możliwe.

Na dłuższą metę nie miało to większego znaczenia. W gruncie rzeczy każde miejsce na Schronieniu znajdowało się w zasięgu rąk wielkiego inkwizytora, który przecież reprezentował Kościół Matkę. Mimo to Paityr rozumiał logikę kryjącą się za tą decyzją i

jakkolwiek niechętnie myślał o opuszczeniu ojca i reszty Samyłowego kręgu reformatorów, zgadzał się z tym, że Charisjanom przyda się uczciwy intendent. A kandydatów, którzy by zasługiwali na to miano, było naprawdę niewiele.

Właśnie dlatego posłuchał ojcowskiej rady i objął to stanowisko.

Następne lata tylko go utwierdziły w przekonaniu, że podjął słuszną decyzję. Pojmował, z jakich powodów Charisjanie wzbudzają niepokój i gniew kogoś takiego jak Zhaspyr Clyntahn, lecz im lepiej ich poznawał, tym bardziej był przeświadczony, że obawy Clyntahna są bezpodstawne. Być może Charisjanie byli zanadto innowacyjni, lecz z pewnością nie emanowało od nich Zło. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. W dodatku żadna z ich innowacji, do których zbadania został powołany, nawet nie ocierała się o złamanie któregoś z Zakazów. Clyntahn wszakże ani myślał pogodzić się z wnioskami - bynajmniej nie dlatego, że dysponował niezbitymi dowodami na coś wręcz przeciwnego, lecz dlatego, że choćby cień „nieortodoksyjności” pośród mieszkańców Charisu podważał jego władzę jako wykonawcy woli Boga na Schronieniu. A co gorsza, zagrażał istnieniu przytulnego imperium Inkwizycji.

Pomimo wszystko nic nie przygotowało Paityra na wybuch otwartej wojny między królestwem Charisu i Rycerzami Ziemi Świątynnych. Nagła eskalacja konfliktu zaskoczyła go nie mniej niż innych, z tym że on był zmuszony wybierać pomiędzy dotrzymaniem wierności ślubom posłuszeństwa złożonym wielkiemu inkwizytorowi, który był głową zakonu Schuelera, i jego prywatnym ślubom złożonym Bogu.

Koniec końców nie miał wyboru. Nie zamierzał udawać, że go to nie boli - nawet teraz nie czuł się z tym wszystkim dobrze - jednakże postanowił przejść na służbę u Maikela Staynaira jako jego intendent. Nigdy wszakże się nie spodziewał, że zostanie nowym szefem królewskiego, a następnie cesarskiego Biura Patentowego! Teraz już nie tylko pilnował, aby drobne wynalazki nie naruszały Zakazów, o nie! Teraz był zaangażowany w proces wynalazczości... zachęcał ludzi do innowacyjności... pod warunkiem, że ich pomysły nie stały w sprzeczności z Zakazami.

Tak jak się obawiał od samego początku, ta dwoistość jego obecnych obowiązków popychała go coraz bardziej ku charisjańskiemu światopoglądowi. Przeszedł od przyznania, że muszą być innowacyjni, jeśli chcą przeżyć szykowany na nich atak, do myśli, że innowacja sama w sobie jest dobra. Takie myśli stanowiły zagrożenie dla każdego człowieka, a już zwłaszcza dla księdza, którego wyznaczono do przestrzegania Zakazów. Jakoś jednak z tym żył... jak dotąd przynajmniej. Z pewnością miało z tym coś wspólnego to, że szczerze polubił cesarza Cayleba i cesarżową Sharleyan, a szczególnie Maikela Staynaira. „Heretycki”

arcybiskup Charisu był najpobożniejszym człowiekiem, jakiego znał Paityr Wylsynn, nie wyłączaając przyjaciół ojca, nic więc dziwnego, że młody intendent dostał się pod jego urok.

A teraz to.

Wrócił myślami do listu. Wiadomość została napisana szyfrem obmyślonym przez niego wspólnie z ojcem jeszcze przed jego podróżą do Tellesbergu, tak więc nawet przez moment nie wątpił, że faktycznie pochodzi od osoby, która go podpisała.

*...dlatego Twój ojciec chciał, abym razem z dziećmi została w domu. Boję się o niego, Paityrze, nie zostaną więc w domu. Nie wiem, jakie wieści dosięgną Cię ze Świątyni i Syjonu w najbliższych miesiącach, nie sądzę jednak, aby były dobre. O ile wszystko pójdzie zgodnie z planem, nas tam nie będzie. Ktoś, kogo znam i komu ufam, zaaranżuje wszystko - także w wypadku Eras, Fraihmana i małego Samyla, którzy później również do nas dołączą. Wiedz, że uczynię wszystko - dosłownie wszystko co w mojej mocy - aby zapewnić bezpieczeństwo Twoim braciom i siostram i sprowadzić ich całych do Ciebie. Wiedz też, że Twój ojciec bardzo Cię kocha i jest z Ciebie niesłychanie dumny.*

*Lysbet*

Wiedział, co oznacza ten list. Stało się. Nie miał tylko pojęcia, czy już do tego doszło. Nie wątpił jednak, co spotkało jego ojca, stryja i wszystkich innych, którzy wspólnie z nimi chcieli odkupić winy zakonu Schuelera i Kościoła Matki.

Rozpłakał się, przeczytawszy ten list minionego wieczoru. Płakał po ojcu i jego przyjaciółach, płakał z powodu Kościoła Matki... i samego siebie. Nie opłakiwał śmierci ojca - każdy człowiek musiał kiedyś umrzeć - lecz ubolewał nad sposobem, w jaki przyszło mu odejść z tego świata. A także nad tym, że ojciec zginął, nie ukończywszy największego dzieła swego życia.

Wraz z jego śmiercią to zadanie spadało na barki Paityra Wylsynna, skazanego na wygnanie z Ziemi Świątynnych na zawsze. Paityr Wylsynn bowiem był - albo będzie niebawem - jedynym człowiekiem na Schronieniu, który dzierżył Klucz i który nie miał możliwości jego użycia, chyba że jakimś cudem Kościół Charisu pokona Kościół Matkę i przejmie władzę nad światem.

Przez całą noc nie spał, tylko modlił się i medytował. Błagał Boga, aby wskazał mu drogę, poprowadził go tam, dokąd musiał się udać. Nie mniej czasu poświęcił na modlitwę za kobietę, która napisała do niego list.

*Nie pozwalając mi mówić do siebie „mamo”, Lysbet, rozmyślał w duchu. Nalegałaś,*

*abym pamiętał swoją prawdziwą matkę. Pamiętam ją i jestem Ci za to wdzięczny, ale ona umarła, wydając na świat Erays, kiedy miałem cztery latka, i to Ty - jakkolwiek bym Cię nazywał - byłaś mi matką...*

Nie zawsze czuł w ten sposób. Szczerze mówiąc, pamiętał doskonale - i z niejakim wstydem - jak zareagowało jego czternastoletnie zaborcze ego, gdy starzejący się ojciec (Samyl miał podówczas aż czterdzieści jeden lat!) sprowadził do domu nową „żonę”, zaledwie siedem lat starszą od jego osieroconego syna! Zaledwie jedenaście lat starszą od jego córki! Hańba! Co też sobie myślał, wybierając kogoś tak młodego? Po prostu zwariował na jej punkcie, omamiła go urodą i młodzieńczym wdziękiem, ot co!

Prawie rok zajęło jej ugłaskiwanie nastroszonego Paityra. Który po dziś dzień był przekonany (aczkolwiek przybyło mu lat, a wraz z nimi - miał nadzieję - również mądrości), że ojca przyciągnęła do niej nadzwyczajna uroda. Oras to, że jako szczupła brunetka bardzo się różniła od jego pierwszej, rudej i niebieskookiej, żony. A jednak, choć to jej wygląd zewnętrzny musiał zwrócić uwagę Samyla, nie z powodu piękna i młodości ożenił się z Lysbet. Nawet Paityr musiał to przyznać, gdy już położył uszy po sobie i sam szczerze pokochał macochę, jak również młodsze rodzeństwo, którym go obdarzyła.

A teraz ukrywała się gdzieś... o ile dopisało jej szczęście. Zarówno ona, jak i jego bracia, i siostra, których pokochał całym sercem, ucieczką ratowali życie, rozpaczliwie ukrywając się przed członkami tego samego zakonu, którego barwy Paityr nosił do tej pory. Gdyby ich znaleziono, gdyby ich złapano, Lysbet musiałaby patrzeć nie tylko na męki męża, ale także własnych dzieci podczas przesłuchań. A jednak, mimo strachu i przerażenia, znalazła chwilę, aby przypomnieć mu o ojcowskiej miłości. Aby zanieść mu otuchę.

*Boże, błagam... - modlił się ojciec Paityr Wylsynn. Uchowaj ich w zdrowiu. Chroń ich. Roztocz nad nimi opiekę i doprowadź tutaj bezpiecznych.*

## **.IV.**

**ZAMEK**

**WYSPA ZAMEK**

**GARDZIEL**

**STARY CHARIS**

- Jak źle jest tym razem? - zapytał zaniepokojony Bryahn, wielki admirał i hrabia

Wyspy Zamek.

Znajdował się akurat na żelaznym balkoniku przytwierdzonym do ściany najwyższej wieży miasta-fortecy znanego jako Zamek. Jemu ta nazwa wydawała się zbyt prozaiczna, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że ten bogaty gród gości najpotężniejszą bazę marynarki wojennej Starego Charisu, mieszczącą się na położonej w strategicznym miejscu wyspie będącej jednocześnie jego hrabstwem. Bez wątpienia była bardzo opisowa, jako że wyspa leżała na samym środku przesmyku zwanego Gardzielą, jedyne szlaku wodnego, którym najeżdźca mógł dostać się na wody Zatoki Howella, czyli do bijącego serca Starego Charisu. Dopóki Korona kontrolowała Wyspę Zamek, dopóty jej panowanie nad tym akwenem było niekwestionowane. W przeciwnym razie droga do dawnego królestwa stanęłaby otworem.

Spoglądając na wody Gardzieli, błyszczące w porannym słońcu i upstrzone grzywami fal, hrabia rozważał wielką wartość oraz słabości Wyspy Zamek.

W ciągu minionych stuleci władcy Charisu wpompowali ogromne fortuny w tutejsze fortyfikacje i dwie twierdze leżące na brzegach Gardzieli, zwane Kluczami. Jednakże to nie one, mimo tysięcy ton kamienia i setek katapult, a potem dział, ustanowiły prawdziwą linię obrony królestwa. Fortyfikacje były tarczą, lecz mieczem Korony była flota.

- Murami obronnymi Charisu są drewniane burty jego okrętów.

Tak powiedział ponad sto pięćdziesiąt lat temu król Zhan II. Wtedy było to raczej marzenie niż fakt. W tamtych czasach królewska marynarka wojenna dopiero zaczynała powstawać. Ale Zhan dobrze wiedział, co mówi, a jego następcy pracowali z równie wielkim zapalem, by stworzyć największą potęgę morską w historii Schronienia. Dopóki flota stała na straży Korony, dopóty forteca była nie do zdobycia.

- Forteca stworzona przez samego Boga, czyli Charis.

*To także słowa Zhana II, przypomniał sobie hrabia. Szczerze mówiąc, zawsze bawiło go wizjonerstwo tego starego dziwaka planującego bez przerwy stawianie nowych fortyfikacji, aczkolwiek trudno było mu odmówić racji, jako że domena za jego dynastii nie stała jeszcze na solidnych fundamentach.*

Zdaniem hrabiego Wyspy Zamek, to właśnie Zhan II stworzył warunki do powstania jednolitego narodu, spajającego ludność zamieszkującą ogromną wyspę.

*Ciekawe, jak zachowałby się, gdyby przyszło mu żyć w naszych czasach, zastanawiał się wielki admirał, stając plecami do błyszczącego w słońcu morza. Oparł się o sięgającą mu pasa poręcz, po czym położywszy na niej obie dłonie, spojrzał na trzech „gości”.*

Rayjhis Yowance, hrabia Szarej Zatoki, był niewysokim, ale za to szykownym mężczyzną. Niższy od gospodarza, sprawiał wrażenie człowieka dysponującego raczej

szybkością i wytrzymałością niż brutalną siłą. Zawsze nosił najmodniejszą fryzurę i najelegantsze szaty, przez co wielu miało go za dandysa. Aczkolwiek mało kto popełniał ten błąd po raz drugi, jeśli dane mu było spotkać się ponownie z pierwszym doradcą dworu. Wielki admirał musiał jednak przyznać, że w jego dzisiejszym wyglądzie faktycznie można dostrzec ślady dandyzmu, nie zapominając przy tym, że hrabia Szarej Zatoki był za młodu oficerem w armii króla, i to niezgorzszym. Należał także do ścisłego grona najlepszych doradców w całej historii Starego Charisu. Był też spowinowacony z rodem młodego cesarza, a co za tym idzie i samego wielkiego admirała.

Natomiast sir Domyńka Staynaira, barona Skalistego Klifu, nie sposób było pomylić z kimś innym. Człowiek ten wyglądał jak rasowy oficer floty. Wielbił swojego brata, arcybiskupa, a jako człek o wiele młodszy od niego wciąż miał ogromne powodzenie wśród niewiast. *Nawet utrata nogi w bitwie w cieśninie Darcos niewiele zmieniła w tym ostatnim temacie*, zauważył hrabia.

Trzecim z przybyłych był Bynzhamyn Raice, baron Gromu, niemal idealny archetyp Charisjanina. Łysiejący, o ogorzalej cerze, prosto (ale gustownie) odziany, emanujący ekstrawagancją w takim samym stopniu, jak nie przymierzając kamień przy drodze.

- No więc, Bynzhamynie? - zachęcił go hrabia Wyspy Zamek, - Jak bardzo jest źle?

- Zapewne tak, jak myślisz - odparł ze spokojem baron Gromu. - Ale sam wiesz lepiej ode mnie, Bryahnie, że nie da się cudownie skrócić czasu budowy okrętów. Nie zobaczymy jutro w pełni uzbrojonej i wyposażonej floty z doskonale wyszkolonymi załogami.

- To bardzo krzepiące, doprawdy - powiedział hrabia z wyczuwalną goryczą w głosie.

- Mam nadzieję, że rozumiesz moją sytuację. Jako osoba odpowiedzialna za flotę pod nieobecność Cayleba i Sharleyan, chciałbym otrzymywać bardziej szczegółowe raporty o postępach prac.

*Wielki admirał*, pomyślał w tym momencie baron Skalistego Klifu, jest *bardziej zaniepokojony, niż chce to pokazać*. Miał powody do obaw, zważywszy na okoliczności, ale sposób, w jaki je okazywał, świadczył jednoznacznie o powadze sytuacji.

Niektórzy z dalszych współpracowników - widząc wiecznie uśmiechniętego i sypiącego żartami hrabiego Wyspy Zamek - mogli brać go za bufona. Nawet ci, z którymi miał częściej do czynienia, nieraz sądzili mylnie, że człowiek tak bogaty jak on traktuje swoje stanowisko wyłącznie jako źródło dodatkowych marek. Wyspa Zamek nie należała do największych hrabstw, lecz każdy statek, który przepływał przez Gardziel, musiał płacić myto jej zarządcy. Nie było ono wysokie, więc płacili wszyscy, co przy tak ogromnym ruchu przez cieśninę dawało spore wpływy do skarbcza. Z drugiej jednak strony zadaniem hrabiego było



pilnowanie, aby szlaki żeglugowe nie zostały zablokowane, z czego do tej pory wywiązywał się bez zarzutu, nikt więc nie narzekał na pobierane przez niego opłaty.

Wiele wskazywało na to, że ludzie biorący hrabiego Wyspy Zamek za lekkoducha powinni się dobrze zastanowić. Wielki admirał Bryahn był bowiem tytanem intelektu, a za jego jowialną powierzchownością kryły się niespożyte siły i ogromne poczucie obowiązku. Jeśli okazywał zniecierpliwienie i irytację, znaczyło to... że sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli.

- Jestem skłonny zgodzić się z Bryahnem, Bynzhamynie - wtrącił hrabia Szarej Zatoki, nie podnosząc głosu. - To wprawdzie nie zmieni sytuacji, niemniej każdy dowódca floty powinien dysponować najlepszymi informacjami, jakie można zdobyć. I to jak najszybciej. Im prędzej je zdobędziesz, tym rychlej będziesz mógł opracować środki zaradcze.

Jego oczy pociemniały na moment, gdy wszyscy obecni na balkonie przypomnieli sobie, co król Haarahld VII zrobił dzięki uzyskanym w porę informacjom o planowanym przez Grupę Czwoorga ataku na Charis.

- Rozumiem i zgadzam się w pełni - odparł baron Gromu, po czym spojrzał na hrabiego Wyspy Zamek. - Teraz, gdy Merlin przebywa poza granicami Korony, musieliśmy wrócić do starych metod działania - poinformował wielkiego admirała. Wszyscy czterej wiedzieli o wizjach *seijina*, aczkolwiek tylko baronowie Skalistego Klifu i Gromu znali całą prawdę o nich. Przynajmniej na razie. - Zastrzegając, że moje informacje są starsze, niż mogłyby być... - *to akurat nie do końca jest zgodne z prawdą*, pomyślał Staynair, wiedząc, że szef wywiadu ma dostęp do banków danych Sowy, o czym, rzecz jasna, nie zamierzali informować swoich rozmówców - stwierdzam, iż hrabia Thirsku poczynił ogromne postępy przy tworzeniu floty Dohlaru. Nie mam jeszcze całkowitej pewności, ale jest bardzo prawdopodobne, że prace zostaną zakończone przed terminem. Tamtejsze odlewnie także czynią znacznie większe postępy niż ich odpowiedniki w innych domenach. Nie produkują wprawdzie aż tak dobrych dział jak nasze, ale na pewno o wiele lepsze niż reszta najemników Grupy Czwoorga. Nie zdziwiłbym się - w tym momencie zerknął przelotnie na barona Skalistego Klifu - gdyby większość przerobionych frachtowców już była gotowa do wyjścia w morze, niemniej stocznie Dohlaru, podobnie jak innych domen, nie osiągnęły jeszcze pełnych mocy przerobowych po zmianie planów i rozpoczęciu budowy galeonów zamiast galer. Sytuacja w Desnairze jest za to zgodna z naszymi wcześniejszymi ocenami. Tam, podobnie jak w Dohlarze, prace w stoczniach mogą trwać cały rok, tyle że Desnairianie nie pojęli jeszcze wszystkich tajników budowy nowych jednostek. Nie mają zbyt wielu dobrych

szkutników, a gwoźli szczerości, „eksperci”, których wysłał im z Harchongu Magwair, tylko pogorszyli sytuację. Desnairianie nie są Charisjanami, ale też daleko im do Harchończyków, więc nie lubią być traktowani jak niewolnicy. - Baron Gromu wyszczerzył białe zęby w pozbawionym humoru uśmiechu. - Według moich szacunków dysponują dziewięćdziesięcioma galerami zbudowanymi po pierwszym zamówieniu Magwaira i pomiędzy czterdziestoma pięcioma a sześćdziesięcioma pięcioma galeonami, za których budowę są odpowiedzialni, co daje mniej więcej dwie trzecie całości. Wątpię jednak, by chociaż połowa z nich była już wyposażona. Mają zatopy nie tylko na odcinku zaopatrzenia w armaty, ale i kompletowania załóg. Dlatego uważam, że budowane tam okręty będą gotowe dopiero za kilka miesięcy.

- Czy mogą skrócić ten okres, przenosząc przeszkolonych ludzi z galer? - zapytał hrabia Szarej Zatoki.

- Na razie nie chcą porzucać swoich galer - odparł szef wywiadu. - Trudno powiedzieć, ilu marynarzy zaakceptowało przewagę galeonów, to znaczy tak naprawdę, w głębi duszy. Gdy Yairley pojmał w listopadzie komandora Wailahra, wrzucił im spory głaz w tryby maszyny wojennej.

- Dunkyn jest dobry w takiej robocie - przyznał hrabia Wyspy Zamek, uśmiechając się pod nosem, na co baron Skalistego Klifu zareagował prychnięciem.

- Też tak myślę - przyznał baron Gromu. - Chodziło mi jednak raczej o to, że Wailahr, mimo że był oficerem armii, okazał się bardzo elastyczny i dość szybko zrozumiał, jakie zmiany zaszły na morzu. A co chyba ważniejsze, był jednym z niewielu flagowych oficerów desnairiańskiej floty, który potrafił myśleć w kategoriach ofensywnych. Z raportów moich agentów oraz ostatniej wiadomości Merlina wynika, że reszta tamtejszych admirałów... nie pali się wcale do walki z nami na otwartym morzu. Po tym, co stało się z Wailahrem, z pewnością zastanowią się dwa razy, zanim pójdą w jego ślady.

- Mówisz o Harchończykach i Rycerzach Ziemi Świątynnych? - To pytanie hrabia Wyspy Zamek skwitował chichotem.

- Nie mając dostępu do wizji Merlina, nie jestem w stanie powiedzieć, co dzieje się tak daleko od naszych ziem - stwierdził. - Z większości raportów, jakie do nas docierają, wynika niezbiec, że panuje tam teraz bardzo surowa zima. Te domeny już wcześniej nie nadążały za harmonogramem prac, więc nie sądzę, by lód i śnieg pomogły nadgonić zaistniałe opóźnienia. I chociaż Harchong nie ma aż tak wielkich kłopotów z brakiem odlewni jak Desnair, to jednak i tam produkuje się mniej dzieł niż u nas, zwłaszcza teraz, gdy Ehdvyrd Howsmyn rozruszał Delthak. Zatem jeśli nawet zbudowali wszystkie dwieście okrętów, będą

potrzebowali sporo czasu na ich uzbrojenie. Wątpię więc, aby mogli być gotowi przed końcem wiosny, a nawet lata.

- A Tarot? - zapytał baron Skalistego Klifu.

- A Tarot i nasz przyjaciel król Gorjah nadal siedzą w łodzi pozbawionej wiosł w środku zatoki pełnej krakenów - odparł baron Gromu z wilczym uśmiechem. - Budowa okrętów idzie im nadspodziewanie dobrze, ale mają ogromne problemy z ich wyposażaniem. Nawet przy wykorzystaniu wszystkich subsydiów Świątyni nie potrafią znaleźć funduszy na rozbudowę odlewni potrzebnych do produkcji artylerii.

- To dobra wiadomość - przyznał z nieskrywaną satysfakcją hrabia Wyspy Zamek.

- Szczerze powiedziawszy, Bryahnie, doskonała - poprawił go hrabia Szarej Zatoki, wybuchając śmiechem. - Chyba mogę ci powiedzieć... bo jeśli nie tobie, to komu miałbym o tym mówić... że udało mi się nawiązać kontakt z Gorjahem. Jego wysokość miał rację, król wie, że znalazł się w wodzie pomiędzy waleniszczycielem a krakenem, i wcale mu się to nie podoba. Dlatego nie wykonuje żadnych zdecydowanych ruchów. Szczerze mówiąc, w jego odpowiedzi na mój list znalazło się tylko jedno pytanie: co sobie myślimy, wystawiając na próbę jego wieczną lojalność wobec Kościoła Matki. Domyślam się, że chodzi mu o to, by chronić tyłek na wypadek przejęcia jego korespondencji przez Inkwizycję... aczkolwiek to chyba niewiele by mu pomogło. Ale nawet ten fakt mówi wiele o jego obecnej desperacji i frustracji.

- Naprawdę wierzysz w to, że znowu zmieni strony, ale tym razem na stałe? - hrabia Wyspy Zamek nie krył sceptycyzmu.

- Wszystkie dowody, w tym wizje Merlina, wskazują, że Gorjah był raczej oportunistą i wykonawcą rozkazów Grupy Czworoga niż naszym wrogiem, jak choćby Hektor. Przecież od dawna wiedzieliśmy, że nie pochwała traktatu podpisanego przez jego ojca, dlatego jestem pewien, że nie był aż tak niechętny wojnie jak nasz cesarz. Co więcej, mógł chcieć w niej uczestniczyć, zważywszy na nagrody, jakie oferowała mu Świątynia. Wątpię jednak, byśmy mieli do czynienia z tak złym człowiekiem jak Hektor. Albo król Rahnyld. A dzisiaj bez względu na to, co myślał wtedy, jest znacznie poważniejszym i mądrzejszym człowiekiem.

- Drugim Nahrmanem? - W głosie hrabiego Wyspy Zamek pobrzmiwał jeszcze większy sceptycyzm.

- Nie. - Doradca cesarza pokręcił głową. - Wydaje mi się, że nie doceniamy oddania, z jakim Nahrman troszczył się o sprawy Szmaragdu. Wątpię, aby Gorjah mógł równać się z nim bezinteresownością. Nie widzę też szans, by wysłał do nas hrabiego Sosnowej Doliny w roli negocjatora, wiedząc, że Cayleb może zażądać jego głowy jako ceny za pokój. Na pewno

nie jest też tak frywolny, jak Rahnyld czy cesarz Waisu. Albo, Boże miej nas w opiece, wielki księżę Zebediahu! - Przez moment mogło się wydawać, że fircykowaty doradca chce splunąć na podłogę balkonu. Zamiast tego z jego krtani wydobył się dźwięk będący na poły warknięciem. - Chodzi mi o to, że on musiał już dawno zrozumieć, że znajdzie się w beznadziejnej sytuacji, jeśli ruszymy na Tarot. Zanim Cayleb i Sharleyan wrócą do Tellesbergu, Gorjah powinien nabrać ochoty do negocjacji.

- Zanim do tego dojdzie, chcesz zapewne, abyśmy z Domynykiem wywarli na niego pewien nacisk.

- Oczywiście. - Hrabia Szarej Zatoki pokiwał zdecydowanie głową. - Musimy nie tylko blokować zatokę Thol, ale i zamknąć na dłużej Kanał Tarota. Nie chcę, by cesarz Mahrys przesyłał tą drogą posiłki dla wojsk Gorjaha.

- Sądysz, że Gorjah mógłby o to poprosić? - Baron Skalistego Klifu zadał to pytanie bardzo wątpięcym tonem. Hrabia odpowiedział mu gestem dłoni oznaczającym niepewność.

- Wątpię, aby wystąpił z takim żądaniem z własnej woli, zwłaszcza że on najlepiej wie, ile wysiłków włożyli poprzedni desnairiańscy cesarze, by włączyć Tarota do swojego imperium. Z drugiej jednak strony może uznać, że nie ma innego wyjścia, zwłaszcza gdy na karku siądzie mu ktoś z Grupy Czwojga. A oni lada moment mogą mu zaproponować podobne rozwiązanie. Dlatego chciałbym zwiększyć nacisk na Gorjaha. Chcę, by zrozumiał, że jeśli nawet zapragnie wezwać pomoc, to i tak jej nie otrzyma. Kanał ma mniej niż czterysta mil szerokości. Gorjah musi wiedzieć, że Desnair nie jest w stanie wysłać swoich transportowców nawet na tak niewielką odległość.

- Chcesz, żeby poczuł się jeszcze bardziej odizolowany - mruknął baron Skalistego Klifu, a hrabia przytaknął.

- Tak. Nie chcę jednak, by jakiś cwaniaczek z Siddarmarku uznał, że może wysłać szybkie przybrzeżne jednostki, które złamią naszą blokadę i dostarczą do Tarota potrzebne tam towary. Blokada ma zablokować Gorjaha, nie przeciekać.

- Z tego co mówisz - wtrącił wielki admirał - wynika, że wystarczą tylko niewielkie poprawki do naszych starych planów. - Spoglądał przez kilka chwil w głąb Gardzieli, a potem przeniósł wzrok na Staynaira. - Co byś powiedział na przeniesienie kotwiczowiska swoich okrętów z Hanth do cieśniny Holme?

Baron odpowiedział uniesieniem brwi. Otworzył usta do odpowiedzi, ale zamknął je, by przemyśleć dokładniej nowe możliwości.

- Nie zastanawiałem się nad takim posunięciem - przyznał, wolno cedząc słowa. - Ale skoro pytasz, nie powiem, aby mi to przeszkadzało. Yairley już tam stacjonuje i jak na razie

Gorjah ani baron Białego Brodu nie byli w stanie nic z tym zrobić. Aczkolwiek taki ruch zakrawa na... sporą bezczelność. A może raczej powinienem powiedzieć: zuchwałość.

- Świetnie! - ucieszył się hrabia Szarej Zatoki. - To naprawdę świetnie, Bryahnie! Gorjaha szlag trafi! A gdy Clyntahn o tym usłyszy...

Baron Skalistego Klifu rozumiał, z czego wynika radość pierwszego doradcy. Niewielka eskadra wpływająca na twoje wody bez zaproszenia to jedno, ale cała flota wążąca się na to samo to zupełnie co innego. Gorjah faktycznie może dostać wylewu, gdy o czymś takim usłyszy.

*Nic jednak z tym nie będzie mógł zrobić*, pomyślał admirał. Cieśnina Holme miała sto sześćdziesiąt mil szerokości, licząc z północy na południe, i niemal sto ze wschodu na zachód. Wody w pobliżu wyspy Klepsydra były na tyle płytkie, a dno tak piaszczyste, że z powodzeniem nadawały się na kotwicowisko. Miejsce to znajdowało się w sporej odległości od wybrzeży Tarota, więc tylko inna flota mogła mu zagrozić, a król Gorjah nie dysponował już większą liczbą okrętów wojennych.

Nie będzie to idealna baza, aczkolwiek wyspa Klepsydra oferowała osłonę przed rzadkimi zachodnimi wiatrami, które mogły zamienić wody cieśniny w jeden z najbardziej zdradzieckich akwenów Schronienia. Jedynym minusem tej lokalizacji, prócz faktu, że wybrzeża cieśniny były kontrolowane w całości przez armię Tarota - było zagrożenie płynące ze strony groźnych wiatrów. Każda jednostka znajdująca się w cieśninie mogła znaleźć schronienie za wyspą Klepsydra albo Wyspą Sprouta przy zerowym wietrze z południowego zachodu, ale gdy zawieje z tamtej strony, nawet galeony mogą mieć problem z przemieszczaniem się po tym akwenie. Aczkolwiek admirał nie przypuszczał, by mogło mu grozić uwięzienie w cieśninie.

*Zwłaszcza że w odróżnieniu od Yairleya mam Sowę do dyspozycji*, pomyślał, *a także jej zwiadowców i prognozy meteorologiczne.*

- Nie zasugerowałbym takiego rozwiązania, gdyby Gorjah nadal dysponował flotą - stwierdził wielki admirał, najwyraźniej podążający tym samym (a w każdym razie podobnym) tokiem myśli co baron Skalistego Klifu. - Na tych wodach nawet galery mogą uprzykrzyć wam życie. Jestem jednak pewien, że dzisiaj nie dysponuje siłą ognia, która mogłaby wam zagrozić.

- Racja - przyznał Staynair, potakując. - Dzięki temu będę miał o wiele lepszą pozycję do kontrolowania ruchu w kanale. Na przykład do wyruszenia przeciw eskadrom próbującym dotrzeć do Tarota z zatoki Jahras. Może to nie będzie idealna pozycja, ale i tak znajdę się trzy tysiące mil bliżej celu niż teraz. Być może uda mi się także zapobiec połączeniu sił Desnairu i

Ziem Świątynnych, jeśli ich eskadry spróbują przekradania się wzdłuż wybrzeży Haven.

- Znajdziesz się jednak o wiele dalej od zatoki Margaret - zauważył baron Gromu.

- Dopóki stocznie Ziem Świątynnych nie nadgonią opóźnień, o których mówią twoje raporty, to nie powinno być dla nas wielkim problemem - odparł hrabia Wyspy Zamek. - Teraz mówimy o siłach Desnairu i Tarota, Domynuk powinien poradzić sobie z obiema tymi flotami, nawet jeśli się połączą, o ile będzie musiał. A my potrzebujemy bazy znajdującej się bliżej Tranjyru, jeśli mamy wpłynąć na Gorjaha, jak chce tego Rayjhis.

- Potrzebujemy - powtórzył za nim pierwszy doradca cesarza. - Zatem dobrze, Domynuku. Gdy zakończysz spotkanie z Ahlfrydem i doktorem Mahklynem, zajmiesz się przygotowaniem do rejsu. Dam ci do dyspozycji parę batalionów piechoty morskiej i trochę dział. Skoro mamy tam zakładać bazę, umocnijcie wybrzeża wyspy i zajmijcie na stałe te farmy, z których Dunkyn rekwiruje żywność. - Uśmiechnął się krzywo. - To powinno wkurzyć Gorjaha do białości.

## **.V.**

### **CYTADELA W PORCIE KRÓLEWSKIM**

#### **WYSPA HELENA**

#### **ZATOKA HOWELLA**

#### **STARY CHARIS**

Stojący na kotwicowisku flagowiec admirała Skalistego Klifu wyglądał jak zabawka, gdy patrzyło się na niego z okna gabinetu barona Morskiego Szczytu. Albo jak wykonana z niezwykłą dbałością o detale miniatura. HMS *Niszczyciel* rzucił kotwicę, nad jego pokładami rozpostarto zasłony chroniące ludzi przed słonecznym żarem, a wokół kadłuba krążyła popychana wiosłami samotna szalupa. Admirał rozpoznał w niej łódź kapitana Tymothy'ego Darysa i uśmiechnął się pod nosem. Darys kochał swój galeon, ale nigdy nie był zadowolony z jego trymowania. Dlatego wykorzystywał każdą nadarżającą się okazję - na przykład wizyty w portach - by zrobić dokładny obchód i sprawdzić, gdzie by tu dołożyć balastu, a gdzie go ująć, aby „uzyskać optymalne przegłębienie dla jak najskuteczniejszej pracy żagli”.

Admirał pokręcił głową, po czym odwrócił się od okna, by stanąć twarzą w twarz z sir Ahlfrydem Hyndrykiem. Komandor siedział za biurkiem ustawionym pod długą zapisaną tablicą, która zakrywała ścianę jego gabinetu. Jak zwykle roilo się na niej od wykresów i

wyliczeń. Ta tablica - a notował na niej wszystko, co jego zdaniem warte było zapamiętania - sama w sobie była fascynującym obiektem, niemniej admirał Skalistego Klifu wołał skupić uwagę na baronie Morskiego Szczytu.

W tym właśnie momencie po przeciwnej stronie biurka stał oficer cesarskiej floty. Komandor Urvyn Mahndrayn był osiem lat młodszy od admirała i szczupły jak fretka. Mimo że miał tylko cztery kończyny, a nie sześć, i czarne włosy na głowie zamiast łuskowatej skóry, i tak kojarzył się wszystkim z tym dzikim zwierzęciem. Dysponował bowiem ogromnym zapasem sił i był niezrównanym łowcą. Co prawda jego ofiarami były idee, nie pajęczoszczury, ale gdy już wgrzył się w jakiś temat, nie odpuszczał, dopóki nie osiągnął całkowitego sukcesu.

To czyniło z niego niemal idealnego kandydata na asystenta barona Morskiego Szczytu. Niestety, był tak samo entuzjastycznie nastawiony do wprowadzania pomysłów komodora w życie jak ten drugi, co znaczyło...

Bryahnie, ty tchórze, *pomyślał baron Skalistego Klifu*, o nieobecny wielkim admirał. „*Sprawy floty nie pozostawiają ci czasu*”, *akurat! Kazaleś mi wysadzić Rayjhisa w Tellesbergu, zamiast odwieźć go tam osobiście, ponieważ nie chciałeś stanąć twarzą w twarz z Ahlfrydem. Wolaleś zostawić to na mojej głowie, prychnął. Czekał, kiedyś ci za to odpłacę. Możesz być pewien, że to zrobię!*

- Wielki admirał i ja przeczytaliśmy z wielką uwagą twoje ostatnie raporty, Ahlfrydzie - powiedział Staynair. - I jak zawsze byliśmy pod wrażeniem. Doceniłiśmy także - tutaj spojrzął w kierunku Mahndrayna - wkład komandora.

- Świetnie! Miło mi to słyszeć - rozpromienił się baron Morskiego Szczytu, ale admirał Skalistego Klifu odniósł wrażenie, że większą radość sprawiło mu wspomnienie o Mahndraynie.

- Doktor Mahklyn - Staynair zerknął w kierunku rektora Akademii Królewskiej, który towarzyszył mu w rejsie na wyspę Helenę - także dostarczył nam aktualne oceny waszych prac. Rzecz jasna, skupił się raczej na szerszym kontekście ich wykorzystania, co w kilku przypadkach okazało się bardzo przydatne. - Tym razem baron Morskiego Szczytu tylko przytaknął, więc admirał, uśmiechnąwszy się pod nosem, skupił uwagę na Mahndraynie. - Największą uwagę zwróciłem na wyniki testów artyleryjskich, które pan przeprowadził, komandorze. Muszę powiedzieć, że gdy baron Morskiego Szczytu opisał nam je po raz pierwszy, nie przypuszczaliśmy, że będą aż tak wyczerpujące.

To było spore niedopowiedzenie z jego strony. Nie miał pojęcia, ile pocisków kazał wystrzelić Mahndrayn przy okazji rozmaitych testów, ale zdawał sobie sprawę, że w grę

wchodziły tysiące kul starego typu i setki łusek, które baron Morskiego Szczytu zamierzał wprowadzić do produkcji. W badaniach komandora chodziło o balistykę, różnice jakości ładunków prochowych, porównanie efektywności ciężkich, masywniejszych pocisków z ich odpowiednikami mniejszego kalibru, ale za to osiągającymi większą prędkość wylotową, wpływ wilgotności powietrza, ulepszenie lawet, zwiększenie szybkostrzelności, obliczenie, ile razy dane działo może wystrzelić pocisk określonego kalibru, zanim lufa przestanie się nadawać do dalszego użytku, jak chronić kule przed rdzewieniem, jak magazynować ładunki podczas rejsu, jak dokładne mogą być poprawki na wiatr, zanim zaczną wpływać na szybkość oddawania strzałów... Zażądał nawet, by wybudowano na poligonie sekcje kadłubów naturalnej wielkości - od wycofanych ze służby galer po najnowsze szkunery, od klasycznych frachtowców po najcięższe galeony - które następnie rozwałował na kawałki, aby sprawdzać po każdym oddanym strzale stopień i zasięg zniszczeń. Zamiast wypchanych słomą manekinów, które stosowano podczas pierwszych pokazów broni palnej barona Morskiego Szczytu, Mahndrayn kazał porozwieszać wewnątrz celów wołowe tusze, na których badał wielkość obrażeń powodowanych każdym rodzajem amunicji.

Jeśli wierzyć Merlinowi, na Starej Ziemi nikt nie podchodził do testów broni palnej z tak wielką starannością. Dzięki tym wysiłkom komandor zdołał zebrać większą ilość informacji niż jego ziemscy odpowiednicy przez kilka pierwszych stuleci używania armat.

- Muszę przyznać, że sam zaczynałem podejrzewać, iż przesadzamy z kalibrem produkowanych dział - stwierdził - dlatego cieszę się, że uzyskałem potwierdzenie tej opinii z tak wiarygodnego źródła. - Skrzywił się. - Aczkolwiek cieszyłbym się jeszcze bardziej, gdybym otrzymał receptę, jak naprawić tę sytuację.

- Rozumiem, sir - odparł melodyjnym tenorem Mahndrayn. - Powinniśmy zwiększyć dzielącą je przestrzeń o co najmniej jedną stopę. Teraz są zbyt ściśnięte, by uzyskać maksymalną szybkostrzelność. Ludzie zbyt często wchodzą sobie w drogę. Jedna stopa przestrzeni wystarczy. Wiem jak to brzmi, lecz...

- Ależ wierzę panu, komandorze! - Admirał Skalistego Klifu machnął ręką. - Jak pan wie, *Huragan*, mimo zaledwie trzydziestu sześciu dział na pokładzie, był moim okrętem flagowym przez całą kampanię za Rafą Armagedonu, aż do bitwy w cieśninie Darcos. Zostałem na nim, ponieważ zauważyłem podczas ćwiczeń, że jego załoga radzi sobie z działami znacznie sprawniej niż inni kanonierzy floty. Pański raport tłumaczy ten fenomen, mieliśmy na pokładach trzynaście stóp przestrzeni wokół dział zamiast dziesięciu i pół, którymi dysponujemy na *Niszczycielu*.

- Zgadza się, sir! - Mahndrayn wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Dawniej było sporo



wolnej przestrzeni, ale potem zaczęliśmy upychać na pokładach maksymalną liczbę dział. - Jego uśmiech zamienił się w coś na kształt grymasu. - Założenie, że przy tak gruntownych zmianach w uzbrojeniu wszystko pójdzie dobrze, byłoby głupotą.

- Pełna zgoda - poparł go baron Skalistego Klifu - dlatego sir Dustyn zmienił już plany *Miecza Charisu* i bliźniaczych jednostek. Szkoda tylko, że zmiana tej przestrzeni jest tak prosta tylko w przypadku jednostek jeszcze nie zbudowanych. Na wprowadzonych do służby będzie z tym o wiele więcej roboty. - Zamyślił się. - Nie odniósł się pan tylko do jednego aspektu tej sprawy, komandorze, mianowicie do kwestii, czy zmniejszenie kalibru dział może być pomocne w tej sytuacji. Czy zmniejszenie rozmiarów dział da ten sam albo podobny efekt, co zwiększenie odstępów między nimi?

- Zastanawialiśmy się i nad tym aspektem, sir - wtrącił baron Morskiego Szczytu. - Problem w tym, że rozmiary lawet będą bardzo zbliżone, chyba że przejdziemy na stosowanie naprawdę małych armat. Badania nad efektywnością amunicji wskazują, że lepiej poświęcić szybkostrzelność, niż zmniejszać zbyt mocno kaliber pocisków. Różnice będą spore, zwłaszcza przy prowadzeniu ognia ciągłego, ale nie aż tak duże, by zrównoważyć utratę siły ognia w przypadku zastosowania amunicji znacznie mniejszego kalibru.

Admirał Skalistego Klifu skinął głową. Wiedział dobrze, jaka będzie odpowiedź, zanim zadał to pytanie, dlatego od razu przeszedł do następnego tematu.

- Zaskoczyło mnie też stwierdzenie, że jednolite uzbrojenie w działa wystrzeliwujące pociski typu łuskowego będzie o wiele bardziej efektywne niż zastosowanie mieszanych baterii, strzelających kulami i nową amunicją.

Spojrzał na Mahndrayna, unosząc pytająco brew, jakby chciał zachęcić go do rozwinięcia tego punktu.

- Napisaaliśmy w raporcie, sir, że już we wstępnej fazie testów odkryliśmy, iż najbardziej efektywną kombinacją wagi i prędkości pocisku jest ta, która pozwala tylko na przebicie poszycia. Domyślam się, iż wie pan z doświadczenia, że zatopienie okrętu jest o wiele trudniejsze, niż byśmy sobie tego życzyli. I nic dziwnego. Nie mieliśmy bowiem żadnych doświadczeń na tym polu. Nikt przed nami nie dysponował tak silną artylerią, by uczynić z niej główną broń i zatapiać całe okręty. Teraz jednak, gdy mamy do dyspozycji raporty z pola walki i przeprowadziliśmy serię własnych testów, stało się jasne, że kule wybijają stosunkowo małe otwory w poszyciu. Szczerze mówiąc, mogliśmy dojść do tego wniosku znacznie szybciej, gdybyśmy tylko zastanowili się głębiej nad tym problemem. Jest jednak coś jeszcze... drewno to elastyczny materiał. Pocisk, przechodząc przez poszycie, rozpycha je. Otwory są nieco mniejsze od kalibru kuli, ponieważ drewno ma tendencję do

powrotu do dawnego kształtu, więc cieśle pokładowi bez problemu radzą sobie z załataniami takich uszkodzeń. Co gorsze, oczywiście z perspektywy tych, którzy chcą zatopić przeciwnika, większość otworów znajduje się ponad linią zanurzenia, ponieważ w tę część kadłuba zazwyczaj celujemy. Pod Skalistym Klifem udało nam się zatopić kilka galer ogień artyleryjskim, ale trzeba było do tego salw z niemal tuzina galeonów, a mówimy tutaj o dohlariańskich konstrukcjach, które są o wiele lżejsze niż nasze czy Tarota. Z moich wyliczeń wynika, że nasz ogień zdołał uszkodzić elementy szkieletu kadłuba, wrywając w nim spore otwory. Jeśli jednak prześledzić dokładnie raporty naszych kapitanów, zauważymy, że pokonanie jednostki wroga zależy raczej od wybicia jej załogi niż zniszczenia okrętu. - Mahndrayn mówił zdecydowanym tonem, pochylając się lekko i poruszając elokwentnie (aczkolwiek raczej nieświadomie) rękoma. - To wysokość strat wśród marynarzy jest najważniejszym czynnikiem zmuszającym przeciwnika do zaprzestania walki. Przy czym galeony są o wiele bardziej narażone na uszkodzenia niż galery, niemniej te drugie zapewniają znacznie słabszą osłonę swoim załogom, co czyni je bardziej podatnymi na zniszczenie. Żaden jednak rodzaj okrętu nie może walczyć efektywnie, jeśli straci zbyt dużą część załogi. To był decydujący czynnik zwycięstwa w niemal każdym raporcie, jaki do tej pory czytaliśmy. Doszliśmy zatem do wniosku, że zamiast skupiać się na próbach zatopienia wrogich jednostek, powinniśmy skoncentrować się na takim rozbijaniu poszycia, które spowoduje maksymalną liczbę ofiar. - Uniósł wysoko obie ręce. - Nasze testy wykazały, że duże i ciężkie pociski poruszające się wystarczająco szybko, by przebić poszycie, ale zbyt wolne, by przejść przez kolejne przeszkody i przebić kadłub na wylot, dokonają największych szkód w sile żywej. One są powodem mnóstwa drzazg, a te, rozlatując się na wszystkie strony, mogą wyeliminować ogromną liczbę ludzi. Sam pocisk, jeśli nie przebije kadłuba na wylot albo nie ugrzęźnie w grodzi, może rykoszetować, dodatkowo powiększając liczbę ofiar.

Admirał Skalistego Klifu kiwał wolno głową. Po części nie potrafił zrozumieć, jak Mahndrayn może rozprawiać w tak zimny sposób o wyeliminowaniu maksymalnej liczby wrogów, czyli o zabiciu bądź okaleczeniu ludzi. Jednocześnie docierało do niego, że jego opór jest po prostu głupi. Większości dowódców zależy tylko na tym, by ich podwładni zabili jak najwięcej przeciwników, przy okazji tracąc jak najmniej swoich.

- Bazując na naszych testach - kontynuował tymczasem Mahndrayn - najsensowniejsze wydaje się montowanie możliwie najcięższych dział, biorąc rzecz jasna pod uwagę takie czynniki, jak szybkość ich obsługi i wpływ wagi na strukturę szkieletu kadłuba. Tym sposobem spadnie liczba trafień, ale każde będzie o wiele bardziej niszczycielskie. Ta zasada dotyczy nie tylko kul armatnich, lecz także, aczkolwiek w ograniczonym stopniu,

pocisków łuskowych. - Komandor pokręcił głową, wzrok miał skupiony, jakby dostrzegał coś, czego admirał nie mógł widzieć. - Nie mieliśmy zbyt wielkiej ilości tego typu amunicji do testów. Szczerze mówiąc, musieliśmy je sobie sami robić, ponieważ mistrz Howsmyn poinformował nas, że od rozpoczęcia seryjnej produkcji dzieli nas jeszcze kilka miesięcy. Ale nawet na tych nielicznych przykładach byliśmy w stanie sprawdzić, że różnice pomiędzy pojedynczym trafieniem z trzydziestofuntówki strzelającej litą kulą i pociskiem łuskowym tego samego kalibru są... zasadnicze. Jak już wspomniałem, kula wybija relatywnie mały otwór w poszyciu, natomiast pocisk łuskowy, zwłaszcza jeśli trafi w element szkieletu, potrafi narobić ogromnych szkód. Według naszych pomiarów, kula z trzydziestofuntówki robi otwór o średnicy pięciu cali, a nawet nieco mniejszy, zważywszy na elastyczność drewna. Natomiast otwory po pociskach tego samego kalibru zostawiają dziury wielkości od trzech do nawet sześciu stóp. Jeden taki otwór poniżej linii zanurzenia albo nawet na niej może być szkodą nie do naprawy. Jednostka przetrzyma jedno albo dwa takie trafienia, jeśli załoga odpowiednio szybko zatka otwory płótnem żaglowym, lecz kilka podobnych otworów może posłać na dno nawet największy galeon świata. Co więcej, amunicja łuskowa robi także znacznie większe spustoszenia w konstrukcjach nawodnych. Nie tylko wyrywa dziury w poszyciu, ale też produkuje znacznie więcej drzazg i niszczy elementy szkieletu o wiele szybciej niż tradycyjne kule. Nie mówiąc o tym, że ma niesamowitą moc zapalającą. - Komandor raz jeszcze pokręcił głową. - Amunicja nowego typu jest o wiele bardziej niszczycielska niż tradycyjna, admirale. I to pod każdym względem.

- Rozumiem. - Baron Skalistego Klifu zmierzył wzrokiem Mahndrayna, a potem podszedł do okna i spojrzał raz jeszcze na swój flagowiec. - A co z problemami produkcyjnymi, o których wspominaliście w raporcie?

- Pracujemy nad ich usunięciem, sir - odparł baron Morskiego Szczytu. - Jak już wspominał Urvyn, mistrz Howsmyn czyni dalsze postępy, szczerze mówiąc, wybudował zupełnie nowy wydział w swojej odlewni, na którym ma być produkowana amunicja łuskowa. Nie chcieliśmy zakłócać prac na istniejących liniach, ponieważ produkcja wydrążonych kul jest nie tylko trudniejsza, ale i bardziej pracochłonna niż w przypadku tradycyjnej litej amunicji. A to oznacza, że nie będziemy w stanie robić pocisków łuskowych tak szybko jak litych nawet po otwarciu nowego wydziału, zwłaszcza że do każdego potrzebny będzie zapalnik. Pociski zamawiane przez komandora Mahndrayna były robione na specjalne zamówienie. Jeśli mamy rozpocząć ich produkcję seryjną, musimy dopracować cały proces tak, aby trwał dwa razy dłużej niż w przypadku odlewania litej kuli, ale od tego dzieli nas jeszcze długa droga. Jak już wspomniałem, mistrz Howsmyn robi postępy, więc są spore

szanse na rozpoczęcie produkcji w październiku, aczkolwiek nie tak masowej, jak byśmy tego chcieli. Od tego momentu trzeba będzie kolejnych kilku miesięcy, powiedzmy pół roku, by wyprodukować wystarczającą ilość i zastąpić istniejące zapasy litych kul w skali jeden do jednego.

- Rozumiem - powtórzył baron Skalistego Klifu, nie odrywając wzroku od *Niszczyciela*. Próbował sobie wyobrazić, co salwa takich eksplodujących pocisków zrobiłaby z flagowcem i jego załogą. Uznał jednak, że wolałby nie oglądać tego widoku.

Otrząsnął się z zamyślenia, zerknął na Mahklyna kątem oka, a potem obrócił się twarzą do barona Morskiego Szczytu i Mahndrayna.

- Masz pozwolenie na kontynuowanie tych prac, Ahlfrydzie. Jestem pewien, że nie musimy przypominać tobie i twoim ludziom o konieczności zachowania ich w ścisłej tajemnicy. Oceniamy, że późną jesienią albo latem przyszłego roku nowa flota Grupy Czwojga będzie gotowa albo bardzo bliska gotowości bojowej. Jeśli ruszy na nas, będziemy potrzebowali każdej przewagi, aby poprawić nasze szanse. Nawet tych waszych piekielnych wybuchających pocisków. Ale by zaskoczyć wroga, musimy utrzymać nasze plany w ścisłej tajemnicy.

- Wiemy, sir. Oczywiście. - Baron Morskiego szczytu pokiwał głową, a admirał odpowiedział mu podobnym gestem, a potem westchnął głośno.

- I tak dochodzimy do kwestii artylerii gwintowanej.

- Oczywiście! - Oczy komodora rozbłysły.

- Ahlfryd i komandor Mahndrayn osiągnęli niesamowitą celność, sir Domynyku - wtrącił usłużnie Rahzhyr Mahklyn.

- To prawda, admirale! - Baron Morskiego Szczytu rozpromienił się. - Szczerze mówiąc, artylerzyści Urvyna, strzelając z trzydziestofuntówki, byli w stanie trafić regularnie w cele oddalone o sześć tysięcy jardów. Podczas jednego z testów ulokowali pocisk w obiekcie wielkości naszego szkunera z odległości przekraczającej sześć i pół tysiąca jardów!

Admirał Skalistego Klifu przytaknął, był tak zaskoczony tą informacją, jak na to wyglądał. Jeden z nowych modeli działa gładkolufowego był w stanie wystrzelić pocisk na odległość sześciu tysięcy jardów, ale mówienie o celności takiego ognia byłoby grubą przesadą. I to nawet podczas odpalania pocisków ze stałego lądu, czyli w warunkach opisywanych właśnie przez komodora.

*I o to chodzi*, pomyślał admirał.

- Jestem pewien, że uda nam się wydłużyć ten dystans, gdy mistrz Howsmyn wprowadzi do produkcji drutowane armaty - kontynuował rozentuzjasmowany baron

Morskiego Szczytu. - Aczkolwiek to też będzie wymagało sporo czasu. Choć nie tak wiele, jak się obawiałem. Projekty dział zostały już ukończone i są już w fazie testowania. W chwili obecnej najbardziej czasochłonna jest technologia precyzyjnego owijania luf drutem. No i konieczność wyprodukowania odpowiednich maszyn. Widzisz...

- Ahlfrydzie.

Baron Morskiego Szczytu zamknął usta i zmrużył oczy, wyczuwszy w tonie admirała cień żalu.

- Tak, admirale?

- Popraw mnie, jeśli się mylę... Czy powiedziałeś przed chwilą, że kanonierzy komandora Mahndrayna osiągnęli osiemdziesięcioprocentową celność na dystansie ponad trzech mil?

- Tak, sir - przyznał zaniepokojony komodor.

- Mówimy tutaj oczywiście o sprzyjających warunkach. To znaczy przy bezwietrznej pogodzie i przy bardzo dobrej widoczności.

- Tak, sir. Naturalnie. Ale nawet w gorszych warunkach celność została poprawiona w sposób zdecydowany i...

- Zdaję sobie z tego sprawę - przerwał mu admirał Skalistego Klifu. - Ale jest jeszcze jedna sprawa, Ahlfrydzie. Na morzu nigdy nie mamy idealnych warunków. Nawet przy minimalnej fali działa i cel poruszają się nieustannie w kilku kierunkach naraz.

- Wiem o tym, sir. Ale jak już wspomniałem, nawet w nieco gorszych warunkach osiągamy...

- Powiedz mi, Ahlfrydzie, gdzie sprawdzą się lepiej działa, które teraz projektujesz, na pokładach naszych okrętów pływających po morzach czy na murach fortec Grupy Czworoga, które będziemy musieli w którymś momencie zaatakować?

Baron Morskiego Szczytu siedział przez chwilę nieruchomo, potem zwiesił mocno ramiona. Pokręcił głową, potarł oko wierzchem dłoni. Stojący po drugiej stronie biurka komandor Mahndrayn wyglądał na równie zdruzgotanego. Gdyby nie okoliczności, admirał Skalistego Klifu wybuchnąłby gromkim śmiechem na widok ich min.

- Powinniśmy o tym pomyśleć - mruknął w końcu komodor. - To raczej defensywna broń.

- Nie byłbym tego taki pewny - sprzeciwił się admirał. - Jak słusznie zauważyłeś, i jak potwierdził to doktor Mahklyn, gdy rozmawialiśmy na ten temat z hrabią Wyspy Zamek, wasze gwintowane działa są celniejsze na każdym dystansie, nawet na tym, na którym aktualnie walczymy na morzu. To rzecz warta zastanowienia. Problem polega na tym, że w

zbliżającym się starciu to my będziemy atakowali ich kotwiczowiska, a nie oni nasze. Albo ujmując to w inny sposób, jeśli oni będą mieli okazję zaatakować nasze kotwiczowiska, będzie to oznaczało, że przegraliśmy na całej linii. Musimy więc pracować nad tym rozwiązaniem, choć nie mamy zamiaru umieszczać podobnych armat na pokładach naszych jednostek. Przynajmniej w najbliższym czasie.

- Rozumiem. - Zawód barona Morskiego Szczytu był wciąż widoczny. Na szczęście komodor wziął się dość szybko w garść i nawet uśmiechnął. - Co zatem mamy zrobić z tym problemem, admirale?

- Kontynuujcie prace nad nim - odparł zwięźle baron Skalistego Klifu. - Z tego co pan mówił, wynika, że nie zdołamy wprowadzić tych armat do produkcji w najbliższym czasie. Już prędzej dopracujecie amunicję łuskową do dział gładkolufowych. Dlatego uważam, że powinniście skupić całą uwagę na tym właśnie problemie i przyspieszyć prace. Komandor Mahndrayn postuluje wprowadzenie ciężkich dział wykorzystujących nowy rodzaj amunicji, o kalibrze ośmiu, a nawet dziewięciu cali, ponieważ to jest najbardziej niszczycielska opcja. Dzięki nim uzyskamy strategiczną przewagę na morzach, nawet bez przezbierania się na artylerię gwintowaną. W tym samym czasie, z zachowaniem ścisłej tajemnicy, będziecie pracowali nad projektem mistrza Howsmyna. Przeprowadźcie testy tych gwintowanych luf tutaj, w Zatoce Królewskiej, z dala od niepożądanych oczu. Gdy osiągniecie satysfakcjonujące wyniki, wprowadzimy te armaty do masowej produkcji jako wyposażenie dla baterii obrony wybrzeża. Jeśli wasz wynalazek okaże się przydatny także na morzu, zajmiecie się stworzeniem nowego rodzaju lawety, ale pamiętajcie, będziemy trzymali te działa w rezerwie i użyjemy ich tylko w razie, gdyby zmuszono nas do obrony albo zapewniono nam tak dużą przewagę, że przejście ich przez wroga nie mogłoby już zmienić układu sił.

- Dobrze, sir.

- A tymczasem, komandorze. - Admirał Skalistego Klifu uśmiechnął się szeroko, przenosząc wzrok na Mahndrayna - hrabia Wyspy Zamek ma dla ciebie i twoich dostawców zniszczenia kolejne wyzwanie.

- Słucham, admirale.

Jeśli w głosie barona Morskiego Szczytu dało się wychwycić lekkie zaniepokojenie, to z jego pomocnika biła poważna obawa.

- To nie będzie nic wielkiego, komandorze - admirał zapewnił go, uśmiechając się jeszcze szerzej. - Chodzi o to, że przeprowadzane przez ciebie testy pokazały, iż amunicja łuskowa jest niesamowicie niszczycielska. A skoro masz ten etap prac za sobą, pomyśleliśmy,

że mógłbyś zająć się teraz inną sprawą, mianowicie sposobem zabezpieczenia poszycia przed skutkami użycia twojej amunicji. Jestem pewien, że to dla ciebie żaden problem.

## .VI.

### KATEDRA W MANCHYZE

#### CORISAND

Gdy organowe preludium wypełniło wnętrze ogromnej świątyni niczym szum anielskich skrzydeł, sir Koryn Gahrvai wstał i spojrzał w kierunku rozsuwających się wrót. Procesja kroczyła główną nawą za dzierżącym berło Langhorne'a chorążym i towarzyszącym mu ministrantem. Kołysana na złotym łańcuchu, lśniąca od klejnotów kadzielnica zostawiała za sobą pasemka wonnego dymu. Za wspomnianą parą szło pół tuzina mnichów z gromnicami prowadzących zwarte szeregi akolitów i młodych kapłanów. Dopiero za ich plecami znajdował się ten, dla którego tłumy wiernych tak szczelnie wypełniły wnętrze katedry.

Za akolitami i nowicjuszami kroczył dostojnie Maikel Staynair, prymas Kościoła Charisu. Gdy katedralny chór rozpoczął podniosłą pieśń, ci, którzy stali w pobliżu nawy, mogli zobaczyć, że usta arcybiskupa poruszają się nieznacznie. On także dołączył do śpiewających. Rubiny w jego tiarze, opromieniane porannym słońcem przesączającym się przez witraże, błyszczały jak krople świeżej krwi. On sam przewyższał o głowę idącego tuż obok Klairmanta Gairlynga.

Hierarchowie szli spokojnym krokiem pomimo ataków przytłaczającej, głośnej muzyki i śpiewów. Widząc ich opanowanie, sir Gahrvai zaczął się zastanawiać, jak mocne nerwy trzeba mieć, by nie okazać lęku w takim momencie. Arcybiskup mimo spokoju emanującego z twarzy musiał przecież pamiętać o lojalistach Świątyni, którzy próbowali zabić go w jego własnej katedrze, i o smutnym losie ojca Tymahna Hahskansa.

Jeśli tak było, Staynair nie dał tego po sobie poznać, a sir Koryn ze zdumieniem odkrył, że wcale go to nie dziwi.

Uśmiechnął się pod nosem, gdy przypomniał sobie pierwsze spotkanie prymasa z jego ojcem i resztą członków rady regencyjnej - z wyjątkiem hrabiego Stromego Wzgórza, który znalazł wygodną (zdaniem Gahrvaia) wymówkę i musiał udać się do Vahlainah, by załatwić jakąś niezwykle ważną sprawę. Choć było to bardzo nielojalne z jego strony, zauważył, że

jego ojciec zeszywniał na widok arcybiskupa niczym ogar, który wyczuwa czającego się w pobliżu jaszczurodrapa. Nawet hrabia Tartarianu okazał się swobodniejszy, aczkolwiek i w jego postawie można było wyczuć pewną rezerwę. Pozostali członkowie rady okazywali nieco mniejsze uprzedzenia względem gościa.

A jednak w Maikelu Staynairze było coś takiego...

Sir Koryn nie potrafił znaleźć właściwego określenia na to coś, niemniej był pewien, że to bardzo potężny oręż arcybiskupa. *Bardziej liczy się to, jak mówi, niż to, co powiedział*, uznał w końcu Gahrvai. Prymas Charisu przyjął założenie, że członkowie rady są ludźmi dobrej woli. Że mimo ekskomuniki Cayleba - i jego własnej - złożyli przysięgę na wierność Koronie przez nikogo nie przymuszani. Że troszczą się przede wszystkim o dobro Corisandczyków, których powinni chronić. I że rozwiążą każdy problem, który dostrzegą.

Równie ewidentne było, że jeśli pod tą maską kryje się bigoteria albo nietolerancja, potrafił je ukryć z niezrównanym mistrzostwem.

To jego tajna broń, pomyślał Gahrvai. Jest szczerym sługą Boga. Nie ma w nim nawet uncji słabości, dlatego jasne jest, przynajmniej dla mnie, że Maikel Staynair jest uosobieniem łagodności. Nie ma chyba człowieka, który spędził w jego obecności kwadrans i nie pojął tej oczywistej prawdy. Nie ulega wątpliwości, że arcybiskup kieruje się szczerą miłością do Boga i bliźniego. A jego „sekretna broń” jest tak efektywna tylko dlatego, że nie traktuje jej jak oręża. On po prostu taki jest...

Wzrok generała powędrował w kierunku łoży królewskiej. Jak w każdej katedrze, także tu znajdowała się ona w bezpośrednim sąsiedztwie ołtarza, by koronowanym głowom nie umknął żaden szczegół uroczystości. Teraz, gdy księżę Daivyn i księżniczka Irys przebywali na wygnaniu w Delferahku, miejsce to świeciło zazwyczaj pustkami. Z tego też powodu pilnujący zamkniętych drzwi samotny cesarski gwardzista tak bardzo rzucał się w oczy.

Człowiek ten miał na sobie czarny pancerz, zdobiony złoto-niebiesko-srebrnym godłem Imperium Charisu, ale najbardziej przykuwały wzrok jego niesamowite szafirowe oczy. W odróżnieniu od większości Corisandczyków sir Koryn spotkał wcześniej *seijina* Merlina. Szczerze mówiąc, wszyscy członkowie rady dostąpili tego zaszczytu - nawet jeśli chodziło o zwykłe minięcie się z nim w korytarzu - aczkolwiek hrabiowie Skalnego Kowadła i Tartarianu spędzili w jego towarzystwie sporo czasu, jako że był jedynym gwardzistą, jaki towarzyszył Caylebowi podczas negocjowania warunków kapitulacji księstwa. Sir Alyk Ahrthyr poznał go jeszcze lepiej, a może raczej należało powiedzieć, że miał okazję zapoznać się z umiejętnościami *seijina*, jako że to właśnie one ocaliły mu życie podczas bitwy w



Zielonej Dolinie.

Wszyscy obywatele księstwa znali jednak jego reputację. Wiedzieli, że to najniebezpieczniejszy wojownik na całym Schronieniu... i że to on właśnie, w pojedynkę, zabił całą trójkę zamachowców atakujących Staynaira w katedrze w Tellesbergu. To, że dzisiaj stał w łoży, lustrując uważnym wzrokiem zebrane tłumy, mogło po części tłumaczyć spokój emanujący z twarzy arcybiskupa.

Dźwięki hymnu powitalnego odprowadziły Staynaira i Gairlynga aż do ołtarza. Gahrvai zasiadł na ławie, gdy obaj hierarchowie umościli się na przygotowanych tronach, dając znak wiernym, że mogą uczynić to samo.

Msza przebiegła sprawnie. Sir Koryn nie zauważył wielu odstępstw od dobrze znanej i tak uwielbianej przez ludzi liturgii. Jedyną dającą się wychwycić różnicą było pominięcie przysięgi na wierność wielkiemu wikariuszowi jako głowie Kościoła całego Schronienia. Dla Grupy Czworoga musiała to być zmiana o fundamentalnym znaczeniu.

W końcu nadszedł moment, na który czekali chyba wszyscy zgromadzeni w katedrze. Tłumy zamarły, a wewnątrz świątyni zapanowała taka cisza, że nawet na jej krańcach słychać było stukot kroków, gdy Staynair podchodził do pulpitu.

Stał tam przez moment, spoglądając na wiernych, a potem uczynił znak berła nad opasłym tomem Pisma i otworzył jego okładkę. Szelest przewracanych stron zakłócił ciszę, a gdy arcybiskup odchrząknął, by oczyścić gardło, dźwięk ten zabrzmiał szokująco głośno w uszach zebranych.

- Dzisiejszy cytat - powiedział Staynair głębokim głosem - został zaczerpnięty z Księgi Chihiro, rozdział dziewiąty, wersy od jedenastego do czternastego. „I rzekł Pan do archanioła Langhorne’a: «Spójrz, oto stworzyłem Święty Kościół, aby był matką wszystkich ludzi zamieszkujących świat, który im dałem. Zadbaj o to, by służył wszystkim Moim dzieciom. Aby nauczał młodych, wspierał czynem i wiedzą tych, którzy dorastają, dbał o starców. A ponad wszystko, by wskazywał wszystkim drogę, którą mają podążać. Znajdź pomiędzy kapłanami ludzi, którzy poniosą to brzemie. Poinstruuuj ich, co mają czynić, wejrzyj w ich ciała i dusze, zważ ich na szalach Mejej wagi, wypal ich w ogniu Mejej dyscypliny, wykuj na kowadle Mejej miłości. A gdy dokonasz tego wszystkiego, gdy upewnisz się, że stworzyłeś kapłanów godnych bycia pasterzami Mejej trzódki, daj im władzę nad Kościołem. Daj im prawo stanowienia Mejej woli i przypomnij, że oni, ich następcy i wszyscy ci, którzy przyjdą po nich, pełnią swoje funkcje w Mym imieniu, zawsze, wszędzie i w każdy możliwy sposób służąc Memu ludowi». Archanioł Langhorne wysłuchał instrukcji Najwyższego i Najświętszego Stwórcy, a potem pokłonił się nisko, przypadając twarzą do ziemi, i tak rzekł

do Pana: «Będzie, jak rozkazałeś». - Arcybiskup położył dłoń na otwartej księdze, spoglądając na tłumy zebrane we wnętrzu katedry. - Oto słowo boże - zakończył.

- Bogu i sługom Jego, archaniołom, niech będą dzięki - odpowiedzieli wierni. W ich głosach dało się wyczuć pewne napięcie. Oczekiwanie, jak Staynair ma zamiar rozwinąć te wersety.

- Usiądźcie, moje dzieci - poprosił arcybiskup. W odpowiedzi usłyszał szuranie butów, szelest szat i ciche westchnienia, gdy ludzie posłusznie zajmowali swoje miejsca.

Odczekał prawie pełną minutę, stojąc z dłońmi opartymi o otwarte Pismo. Przyglądał się zebranym, wodząc wzrokiem po kolejnych rzędach. Czynił to otwarcie, pozwalając, aby odpowiadali mu podobnym, taksującym spojrzeniem. Nie miał przy sobie żadnych notatek, nawet jednej kartki, tylko uśmiech na twarzy.

To był kolejny z jego cudów. Miły, ciepły, a nade wszystko szczery uśmiech. Nie wyuczony gest, tylko reakcja pochodząca z głębi duszy. Sir Koryn raczej wyczuł, niż usłyszał, poruszenie, jakie zapanowało w ławach, gdy wierni to zobaczyli, a potem pojęli.

- Nieprzypadkowo wybrałem cytat do dzisiejszego kazania - zagaił po chwili arcybiskup - aczkolwiek jestem pewien, że większość z was sama się tego domyśliła - dodał z doskonałym wyczuciem czasu, a uśmiech na jego ustach stał się jakby bardziej figlarny.

Cichy szmer śmiechów - dość zaskakujących zresztą przetoczył się przez katedrę. Prymas Charisu zareagował na tę odpowiedź, rozpromieniając się jeszcze bardziej.

- To chyba oczywiste, że musiałem dobrać odpowiednie wersy Pisma. - Uśmiech zniknął z jego twarzy, a głos po znizeniu zabrzmiał znacznie poważniej. Wierni musieli teraz nadstawiać uszu, by dobrze usłyszeć kazanie. - Znacze te słowa. Mają nawet swoją nazwę. Mówimy „Wielkie objawienie” dlatego, że tego określenia używali archaniołowie, i dlatego, że to naprawdę największe z objawień. Ten cytat to najgłębszy fundament Kościoła Matki, słowa Stwórcy wypowiedziane w chwili tworzenia wiary. Instrukcje dane Langhorne’owi dotyczyły nie tylko założenia Kościoła Matki, ale także opisu jego obowiązków. Tych, które były powodem takiej, a nie innej decyzji Stwórcy. Słowa Pana były bardzo proste... - Zamilkł na moment, by przekaz dotarł do umysłów wszystkich wiernych. - Proste, nie znaczy jednak łatwe. Tak wielkie zadanie, jakkolwiek prosto brzmiałby jego opis, nie może być łatwe. A czyż może być większa misja niż ta, którą Bóg zlecił Kościołowi Matce? Jakaż instytucja na Schronieniu nadawałaby się bardziej do pilnowania wiary, miłości i szacunku wszystkich dzieci Bożych? W każdej księdze Pisma znajdujemy przecież treści nakazujące nam kochać Boga, przestrzegać Jego praw i woli, żyć tak, aby wypełnił się Jego plan, a także słuchać Jego Kościoła.

W katedrze zapanowały jeszcze większa cisza i bezruch. Ludzie słuchali kazania w skupieniu, a arcybiskup uśmiechał się ze smutkiem, jakby poczuł fizyczną presję.

- To były słowa wypowiedziane przez Boga - dodał spokojnym głosem schizmatyk z Charisu. - Nie można ich mylnie zinterpretować, moje dzieci. Nie ma tu niejasności natury teologicznej, które zgłębiać mogą jedynie uczeni, kłócąc się i debatując nad interpretacją poszczególnych zwrotów. Nie ma sugestii, propozycji, tylko proste polecenie. Rozkaz płynący z ust Boga, tak samo jasny i precyzyjny jak ten, który każe nam święcić środę i kochać bliźniego jak siebie samego. - Potrzęsął głową. - A mimo to fakt, że stoję tutaj przed wami dzisiaj, oznacza, iż Kościół Charisu nie słucha już dekretów Świątyni. - Teraz przemawiał hardziej, ale bez gniewu, tonu potępienia, nawet nie wyzywająco. Po prostu twardo. - Zostałem ekskomunikowany przez wielkiego wikariusza - kontynuował, wyczuwając napięcie wiernych. - Zostałem odarty przez niego ze wszystkich kapłańskich godności. Skazano mnie, in absentia, za herezję, apostazję i zdradę. Skazano na karę Schuelera za liczne zbrodnie i grzechy, których miałem się dopuścić. Kościół Charisu powstał jako forma sprzeciwu wobec hierarchów Świątyni, wielkiego inkwizytora i wielkiego wikariusza. Odrzuciliśmy zalecenia płynące z Syjonu. Pojmaliśmy i kazaliśmy stracić księży działających w imieniu wielkiego inkwizytora. Mianowaliśmy własnych biskupów, arcybiskupów i zwykłych księży. W każdym zakątku Imperium Charisu przeciwstawiliśmy się wypaczeniom Kościoła Matki. Starliśmy się z jego sługusami w otwartej walce i podbiliśmy sąsiednie domeny, w tym księstwo Corisandu, pomimo sprzeciwu Świątyni. Dzisiaj mogę śmiało powiedzieć, że już tylko chwile dzielą nas od wypowiedzenia świętej wojny Kościołowi Charisu, Imperium Charisu i każdej istocie ludzkiej, która wbrew woli Kościoła Matki wspierała jego wrogów. Nie przyszliśmy do was w pokoju, moje dzieci. Nie mamy zamiaru tego udawać. Przybyliśmy tutaj z mieczami w dłoniach, dzierżąc broń tak pewnie, jak każe nam niezachwiana wiara.

Bezruch w katedrze był tak absolutny, że nawet sir Koryn zdziwił się, że niemal namacalna cisza nie pęka, gdy odważył się w końcu odetchnąć. Staynair pozwolił tej chwili trwać, wypełniać uszy wiernym. Stał w świetle sączącym się z witraży, otoczony niemi dymu wonnych kadzideł, niczym głaz na dnie głębokiej studni ciszy.

- Tak - odezwał się w końcu. - Odmówiliśmy posłuszeństwa Kościołowi Matce, mimo że rozkaz Boga był jasny. Mieliśmy jednak powód, aby to uczynić, moje dzieci. Bez względu na to, co słyszeliście do tej pory, to nie królestwo Charisu i jego Kościół wypowiedziały wojnę Świątyni. - Ludzie poruszyli się w niemym proteście, ale gdy potrzęsął zdecydowanie głową, szmery natychmiast ucichły. - To Kościół Matka wypowiedział wojnę nam. Zarządził

zniszczenie Charisu i użył do urzeczywistnienia swoich wizji waszego księcia, waszej floty i waszych krewnych, którzy w niej służyli. Rozkazał zaatakować nas bez jednego ostrzeżenia, nie wypowiadając oficjalnie wojny. Nie chciał nas nawracać, nigdy nie usłyszeliśmy, że popełniamy doktrynalny błąd, nikt nam nie pokazał, jak go naprawić. Po prostu kazano nas wybić. Do cna, abyśmy raz na zawsze zniknęli z powierzchni Schronienia i z jego historii. Padł rozkaz wymordowania poddanych Korony w ich domach, spalenia budynków, by nie pozostał kamień na kamieniu. Musieliśmy się bronić, strzec naszych domostw i rodzin przed zagładą... i za to właśnie obwołano nas heretykami i ekskomunikowano. - Potrząsnął głową raz jeszcze, tym razem z ponurą miną. - A w trzynastym wersie dzisiejszego cytatu znajdziecie słowo na naszą obronę. „Pan powiedział do Langhorne’a: «A gdy dokonasz tego wszystkiego, gdy upewnisz się, że stworzyłeś kapłanów godnych bycia pasterzami Mej trzódki, daj im władzę nad Kościołem»”, ale dodał też: „Daj im prawo stanowienia Mej woli i przypomnij, że oni, ich następcy i wszyscy ci, którzy przyjdą po nich, pełnią swoje funkcje w Mym imieniu, zawsze, wszędzie i w każdy możliwy sposób służąc Memu ludowi”. Poinstruował Langhorne’a, że wikariat został powołany, by nauczać i kierować, by chronić dzieci boże i służyć im. Hierarchowie nie mogą mieć innych celów. Żaden obowiązek nie jest tak ważny i święty. Kościół Matka zawiódł jednak Pana, ignorując swoje obowiązki. Kościół Matka, moje dzieci, jest kierowany przez ludzi, którym tak bardzo spodobało się kierowanie Świątynią, że uczynili z majestatu wielkiego wikariusza swoją marionetkę i tubę, a mówię tutaj o wikariuszach Allaynie Magwairze, Rhobairze Duchairnie, Zahmsynie Trynairze, a nade wszystko o Zhaspyrze Clyntahnie. O ludziach bardziej skorumpowanych i złych niż jakikolwiek inny człowiek, który stąpał po Schronieniu. - W tym momencie ugrzeczniony ton arcybiskupa stał się ostry jak klingi najbardziej morderczych mieczy świata, tych, które przywiodły Kościół Charisu aż do Corisandu. - Naszym obowiązkiem jest posłuszeństwo wobec Kościoła Matki, ale musimy także wiedzieć, kiedy polecenia płynące od jego kapłanów nie pochodzą od archaniołów ani od Boga, tylko od skorumpowanych sprzedawczyków, którzy uczynią wszystko dla zachowania władzy. Od ludzi, którzy uczynili z najświętszego Kościoła Matki ladacznicę. Którzy oddali świętość za władzę. Którzy sprzedali nawet Kościół Matkę. Którzy nakazują niszczenie całych królestw. Którzy wykorzystują instytucję Inkwizycji, by tępić każdą myśl o sprzeciwie nawet we własnych szeregach. Którzy torturują i zabijają kapłanów na progach ich świątyń tylko za to, że nie byli wystarczająco zepsuci. Słowa Boga o posłuszeństwie wobec Kościoła Matki były proste, co sami słyszeliście, gdy je dzisiaj cytowałem, ale i te dotyczące obowiązków nakładanych na kapłanów są równie czytelne i jasne. Na ludzi powołanych do noszenia pomarańczowych

barw wikariatu. Na wielkiego wikariusza i wielkiego inkwizytora. Ale ludzie... rządzący dzisiaj... Syjonem... zawiedli...

To ostatnie zdanie zadudniło w uszach wiernych jak uderzenia okutej stalą rękawicy w kamienną ścianę.

- Wykonanie rozkazu, który jest grzeszny, skutkuje popełnieniem grzechu bez względu na to, z jakiego źródła pochodzi wydane polecenie. Schueler mówi nam to wyraźnie w swojej księdze: „Nie liczy się źródło rozkazu”. Moje dzieci, to są słowa samego archanioła Schuelera! Wiem, że słyszycie lojalistów Świątyni cytujących tutaj, w Manchyrze, te same wersety. Ale my, Kościół Charisu, nie będziemy ich uciszać. Nie będziemy im dyktować, co mają myśleć w głębi duszy. My jednak, w odróżnieniu od nich, nie wierzymy, że można służyć Bogu, pozostając jednocześnie posłusznym grzesznikom uzurpującym sobie prawo przemawiania w Jego przenaświętym imieniu. - Wyprostował plecy i spojrzał dumnie na ławy przepelnionej katedry w Manchyrze. - Nie możemy i nie będziemy tego robili - dodał. - Nie będziemy nikomu dyktowali, w co ma wierzyć i co robić. Nie będziemy nikogo przymuszać. Nie zamierzamy torturować i zabijać tych, którzy się z nami nie zgadzają. Ale też nie zamierzamy im ustępować. Nie wszyscy w Corisandzie usłyszą, że powitamy z otwartymi ramionami każdego, kto zechce się przyłączyć do Kościoła Charisu w jego słusznej krucjacie o przywrócenie świętości Kościołowi Matce. Że powitamy każdego serdecznie, jak brata albo siostrę, jak dziecię boże. I wspólnie pomaszujemy na wroga, by zakończyć dzieło naprawy, do którego zostaliśmy powołani. Nie cofniemy się, nie ugniemy i nigdy, przenigdy, nie poddamy. Niech Clyntahn, Trynair i ich sługusy to wiedzą. Przyjdzie taki czas, że Kościół Charisu dopadnie i ich. A stanie się to tego dnia, gdy wyzwolimy Kościół Matkę z rąk sług Ciemności profanujących go od tak wielu lat.

## **.VII.**

**SIEDZIBA HRABIEGO VAHLAINAH**

**HRABSTWO STROMEGO WZGÓRZA**

**CORISAND**

Biskup egzekutor Thomys Shylair przerwał rozmowę z Mahrakiem Hahlyndem, gdy ktoś zastukał nerwowo w drzwi jego komnaty. Hierarcha mimo wiedzy, że w siedzibie hrabiego Stromego Wzgórza nic mu nie może grozić, czuł przez moment mocne

zaniepokojenie. Nie planował żadnych spotkań ani rozmów na to przedpołudnie, a każde „nieoczekiwane” wydarzenie w języku uchodźcy (a nim właśnie był, choćby jako bezpośredni przełożony bezbożnie zamordowanego intendenta) oznaczało „zagrożenie”.

Dajże spokój, Thomysie! - zganiał się w myślach. Przecież sługusi rady regencyjnej nie zdołaliby dotrzeć tak daleko w głąb siedziby hrabiego, nie wywołując alarmu. Nie mówiąc już o tym, że przedstawiciele nowych władz nie pukaliby grzecznie do drzwi! Los Aidryna najlepszym tego dowodem.

Twarz mu stężała na moment, a potem odchrząknął głośno.

- Wejść! - zawołał i zobaczył w progu hrabiego Stromego Wzgórza. - Witaj, mój panie  
- Shylair usłyszał zaskoczenie we własnym głosie. - Nie spodziewałem się ciebie tego ranka.  
- Ja też nie wiedziałem, że tu dzisiaj będę, eminencjo.

W postawie hrabiego, a zwłaszcza w jego piwnych oczach było coś, co kazało biskupowi usiąść prościej w fotelu. Gdy zerknął na Hahlynda, dostrzegł na jego twarzy podobne zdziwienie i zaciekawienie, zaraz jednak ponownie skupił uwagę na gościu.

- Pozwól, że zapytam, mój panie, co zmusiło cię do zmiany planów? - zagaił biskup egzekutor, wskazując z uśmiechem wygodny fotel stojący po drugiej stronie biurka. Hahlynd zaczął się z niego podnosić, by ustąpić miejsca, ale hrabia gestem dłoni kazał mu tam zostać.

- Nie trzeba, ojciec - stwierdził. - Jestem pewien, że otrzymacie sporo korespondencji na ten temat w najbliższych pięciodniach, ale pozwólcie, że przekażę wam te wieści pierwszy.

- Mów zatem, mój panie - wymamrotał pod nosem Hahlynd, aczkolwiek usiadł dopiero po tym, jak przełożony dał mu pozwolenie. Hrabia w tym czasie podszedł bliżej biskupa.

- Domyślam się, że raporty napływające z Manchuru są dla was bardzo rozczarowujące, zwłaszcza od momentu przybycia Staynaira. - To stwierdzenie Shylair odrzucił od razu, kręcąc głową. Słowa hrabiego były w najlepszym razie największym niedomówieniem, jakie usłyszał w ciągu ostatnich kilku lat. Nazwanie raportów nadchodzących z Manchuru pocztą semaforową rozczarowującymi było równie trafne, jak określenie Oceanu Cartera mianem „płycizny”.

Biskup egzekutor musiał przyznać, aczkolwiek niechętnie, że nie tylko miasto, ale i całe księstwo Manchuru jest dla niego stracone. Rozkaz Waimyna, by stracić ojca Hahskansa, okazał się brzemienny w skutki. Shylair nie potrafił pojąć, jakim cudem w pełni usprawiedliwiona śmierć pojedynczego kapłana mogła spowodować tak ogromną negatywną reakcję i gniew ludu. Wydawać się mogło, że mieszkańcy stolicy z rozmysłem zdecydowali nie dostrzegać deprawujących ataków Hahskansa na Kościół Matkę. Jakby sympatyzowali z

nim tylko dlatego, że od czasu do czasu trafiał do ich serc, choć tak naprawdę sączył w niejad, służąc wrogom Boga.

Głupotą byłoby jednak niedocenianie potęgi tego gniewu... albo powagi konsekwencji, jakie ze sobą niósł. Staynair z pewnością nie popełnił tego błędu. Już w pierwszym kazaniu wygłoszonym z ambony zawłaszczonej stołecznej katedry odwołał się do powszechnego oburzenia, aby usprawiedliwić własną zdradę ideałów Kościoła Matki i stworzenie tak zwanego Kościoła Charisu. Nic nie mogło usprawiedliwić tych czynów, a jednak otępione gniewem umysły wiernych nie potrafiły jasno rozumować i ziarno zasiane przez prymasa Kościoła Charisu trafiło na żyzny grunt. Wielu z tych, którzy nadal byli niechętni najeźdźcy, nie miało już takich oporów przed narzuconym im Kościołem. Nawet gniew za to, w jaki sposób został potraktowany Aidryn Waimyn i pozostali zamęczeni kapłani, kierowano teraz raczej w stronę świeckich władz niż Staynaira i Gairlynga. A przecież nawet największy głupiec powinien zrozumieć, że rada regencyjna ani nawet wicekról, generał Chermyn, nie kiwnęliby w tej sprawie palcem bez wyraźnego przyzwolenia ze strony episkopatu. A jednak wielu poddanych rozgraniczało w wyraźny sposób wpływy Korony i Kościoła. Pozostałe kazania Staynaira, w których podkreślał tak zwaną wolność sumienia, wyrzeczenie się przesłuchań i kary Schuelera, a także dawał lojalistom Świątyni gwarancję uczestniczenia w mszach swojego obrządku, a nawet wybierania własnych kapłanów, zjednywały mu dalsze poparcie. Co gorsza, nawet ci, którzy uważali, że winni są posłuszeństwo Kościołowi Matce, dochodzili do wniosku, że można i należy tolerować schizmatyków. Raporty donosiły, że wielu lojalistów Świątyni przyznaje z niechęcią, iż darzy Staynaira szacunkiem za, jak twierdzili, prawość.

Ta erozja wiary martwiła Shylaira najbardziej, gdy jego świeccy sprzymierzeńcy - w tym hrabia Stromeo Wzgórza - przejmowali się tym, że mimo wyraźnych prób rozdzielania Imperium Charisu od jego Kościoła rosnąca akceptacja tego drugiego prowadziła do powolnego zmniejszenia wrogości, a co za tym idzie chęci do stawiania oporu. Ludzie pozostawali wierni księciu Daivynowi, wielu dostrzegało różnicę między pozostającym na wygnaniu władcą a działającą w jego imieniu radą regencyjną, obywatele Corisandu dalecy byli też od wybaczenia Caylebowi zamachu na Hektora. Istniała jednak spora różnica pomiędzy odrzuceniem nowej władzy a czynną walką z nią. I właśnie dlatego rosnąca akceptacja dla Kościoła Charisu podkopywała fundamenty świeckiego ruchu oporu.

Najgorsze było jednak to, że mieszkańcy stolicy zaczęli postrzegać ruch oporu - będący w istocie ostatnią nadzieją na wyzwolenie - jako prawdziwego wroga. Shylair był w stanie zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, ale za nic nie zmuszono by go do dzielenia takich

poglądów. Aby pojąć tych ludzi, trzeba by odrzucić, i to całkowicie, boski plan, a na coś takiego nie mogło być przyzwolenia ze strony hierarchii.

Bez względu jednak na charakter swoich przemyśleń musiał przyznać, że taki czynnik istnieje, i ujmować go w swoich coraz bardziej pesymistycznych planach.

Chronione przez Charisjan szlaki handlowe na południowym wschodzie ponownie przeżywały rozkwit. Towary napływały do portów, firmy otwierały ponownie swoje podwoje, unieważniono dotychczas obowiązujące drakońskie cła ustanowione przez księcia Hektora, w czasach gdy podporządkowywał wszystko nadchodzącej wojnie. Inwestorzy z cesarstwa szukali okazji do wyłożenia pieniędzy na nowe przedsięwzięcia. Gospodarka stolicy nie tylko podniosła się z upadku, ale zaczęła szybko odrabiać straty, zbliżając się do poziomu sprzed inwazji. Niektóre wskaźniki zdawały się sugerować, że wkrótce przebiję je, i to znacznie.

W tym samym czasie zdecydowany i precyzyjny cios, jaki siły Gahrvaia zadały organizacji Waimyna, doprowadził zorganizowany i scentralizowany ruch oporu do całkowitego upadku. Garstka bojowników umknęła, ale byli zbyt rozrzucony i za bardzo ukryci, by prowadzić jakiegokolwiek skuteczne działania. Nagle skończyły się spontaniczne akty przemocy, którymi sterował z tak wielką ostrożnością stracony intendent. Shylair z niechęcią przyznawał, że te, które jeszcze się zdarzały, miały coraz częściej czysto kryminalne podłoże. Nie atakowano już konkretnych celów. Pozbawione kontroli bandy napadały na przypadkowe osoby. Nie mając wytycznych, szkodziły w takim samym stopniu lojalistom, jak i zdrajcom. To zniechęcało tych pierwszych i zwracało ich przeciw winnym napaści. Bandytów tropiły także bezwzględne siły porządkowe. W efekcie ludzie stawiający najeźdźcy czynny opór coraz częściej byli postrzegani jako siewcy przemocy i zniszczenia, a okupanci pełnili rolę obrońców społeczeństwa.

Trzeba bedardysty, aby wytłumaczyć zawilości tej sytuacji Shylairowi. Przecież każdy człowiek przy zdrowych zmysłach powinien wiedzieć, że jedyną przyczyną tych aktów przemocy była obecność okupanta. Członków ruchu oporu trzeba było chwalić za ich walkę, a nie tępić jak pospolitych opryszków, oskarżając o sianie niepokoju.

Shylair nie mógł jednak zaprzeczyć, że tak właśnie się dzieje. Co więcej, rada regencyjna zdobywała coraz większy szacunek nawet wśród lojalistów zamieszkujących w stolicy, głównie za powściągliwość, z jaką traktowała przeciwników. Dzisiaj nie łapano ludzi i nie wtrącano ich do więzień „na wszelki wypadek”. Strażnicy Gahrvaia nie byli łagodni wobec osób opierających się aresztowaniom, ale jedno było pewne, zamknięcie w lochu równało się późniejszym oskarżeniom. Nikogo z zatrzymanych nie ukarano też bez uprzedniego procesu. A ci, którzy siedzieli, czekając na swoją kolej, mieli dostęp do księży



lojalnych wobec Świątyni i swoich rodzin... dzięki czemu skończyły się plotki o stosowanych w tajemnicy torturach.

Ekzekucji nie było zbyt wiele, aczkolwiek wszyscy w Manchyrze zdawali sobie sprawę, że będą kolejne. Rada regencyjna robiła jednak co mogła, by zachować pozory sprawiedliwości.

Stawało się więc jasne, że nie ma szans na masowe powstanie ludności południowo-wschodniej części księstwa - a w każdym razie, że nie przybierze ono oczekiwanych rozmiarów. Bojownicy z pewnością otrzymają wsparcie, pojawią się kolejne węzły oporu, a spora część społeczeństwa przyjmie co najmniej pasywną postawę wobec najeźdźcy, gdy nadejdzie ta chwila. To wszystko nie mogło jednak ukryć faktu, że gdy bojownicy z północy dadzą sygnał do ataku, nie dojdzie do masowych buntów przeciw Charisjanom, tylko do wojny domowej pomiędzy tymi, którzy mają ochotę lizać tyłki najeźdźców, i lojalnymi poddanymi księcia Daivyna oraz Kościoła Matki.

A z każdym dniem nasze szanse na zwycięstwo maleją, pomyślał Shylair z goryczą. Hrabiowie Skalnego Kowadła i Tartarianu przystąpili już do poszerzania strefy swoich wpływów, jeśli zaś wierzyć plotkom, baron Czarnego Klifu gotów jest zaprzedać duszę i poprzeć ich sprawę.

Biskup otrząsnął się z tych ponurych rozmyślań i skinął głową hrabiemu Stromeego Wzgórza.

- Cóż, myślę, że można nazwać te raporty rozczarowującymi, mój panie - odparł zwięźle.

- Jak sądzę, przynoszę dzisiaj znacznie bardziej krzepiące wieści - zapewnił go hrabia.

- Aczkolwiek nie mają one nic wspólnego z tym, co dzieje się na południu. Właśnie się dowiedziałem, że wielki książę podjął w końcu decyzję.

- Doprawdy? - Shylair wyprostował się w fotelu. Na jego twarzy pojawiło się tak wyraźne wyczekiwanie, że hrabia uśmiechnął się mimowolnie.

- O tak, eminencjo. Szczerze mówiąc, ta decyzja może być bardziej brzemienna w skutki, niż przypuszcza.

- Co przez to rozumiesz?

- Na razie odpowiadał tylko werbalnie, poprzez najbardziej zaufanych posłańców - wyjaśnił hrabia Stromeego Wzgórza. - Co prawda korespondowałem z nim, ale w naszych listach nie było żadnej wzmianki na te tematy. Obaj mieliśmy dobre powody, by ich unikać.

Gdy hrabia skrzywił się nieznacznie, biskup prychnął lekceważąco. Zdrada była dla Tohmysa Symmynsa, wielkiego księcia Zebediahu, czymś tak naturalnym jak oddychanie.

Gdyby hrabia umieścił w którymkolwiek ze swoich pism choćby wzmiankę o spisku, z pewnością zostałby sprzedany Caylebowi i Sharleyan, gdy tylko pojawiłaby się pierwsza okazja do ubicia na tym interesu.

- W końcu jednak - kontynuował hrabia - udało nam się ustalić ostateczny harmonogram dostaw nowych muszkietów. I to także na piśmie.

- Żartujesz!

- Nie. - Hrabia Stromego Wzgórza uśmiechnął się bladziej niż wcześniej. - Nie miał rzecz jasna pojęcia, że to pismo trafi w moje ręce. Jego oficjalna korespondencja nadal pozostaje idealnie czysta... natomiast polecenia wydawane pośrednikom stały się... jak by to powiedzieć... bardziej konkretne. Byłem tego świadom od jakiegoś czasu, dlatego ostatniej nocy kazałem napaść kuriera i obrabować go ze wszystkiego. - Hrabia złożył dłonie przed sobą i wznosił oczy ku niebu. - Jak się domyślacie, objąłem dochodzenie w tej sprawie osobistą kontrolą, a kurier, który notabene doznał tylko pomniejszych obrażeń, ale stracił za to całe złoto i klejnoty, wciąż nie potrafi zdecydować, czy wspomnieć nam, że w pasie posiadał prócz monet ostatnie instrukcje od swojego pana, czy raczej modlić się do Boga, byśmy nigdy nie znaleźli złodziei.

- Sądysz, że on nie wie o tym, iż te papiery trafiły do ciebie? - zapytał Shylair, mrużąc oczy.

- Zapewne bierze to pod uwagę, eminencjo, jako jedną z możliwości. Ale muszę przyznać, że napad wyglądał bardzo autentycznie. A złodzieje mieli szczerą chęć poderżnąć mu gardło, gdyby w ostatniej chwili nie zdołał „cudem” zbiec z traktu. To powinno go przekonać, że nie miałem nic wspólnego z atakiem. Gdyby zginął, wielki książę natychmiast zaczęłyby nas podejrzewać o spiskowanie i wycofały się z interesu. Nie domyśla się też tego, że wiedziałem, a raczej przypuszczałem, iż ma te instrukcje przy sobie, tak samo jak nie wie, że moi agenci zidentyfikowali jego pośrednika tutaj w Vahlainah. Człowieka odbierającego i wysyłającego tajne wiadomości do Zebediahu. Nie domyśla się więc, że „złodzieje” śledzili go od miejsca, w którym odebrał ostatnią korespondencję. Nie wiem nawet, czy zdążył ją przeczytać przed napadem, aczkolwiek z jego słów wynika, że orientuje się w temacie. Zważywszy na to wszystko, nie powinien podejrzewać mojego udziału, ale też nie może być pewien, czy naprawdę nie maczałem palców w tym ataku. Dlatego sędzę, że będzie skłonny przychylić się do wersji, iż to zwykli złodzieje, którzy połakomili się na jego pieniądze i kosztowności, a całą resztę ukradzionych rzeczy wyrzucili albo jeśli byli wystarczająco bystrzy i zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie może im grozić, spalili list, aby nikt ich za jego posiadanie nie zabił. Myślę też, że nie zależy mu na tym, by moi gwardziści

dopadli tych drani, znaleźli list od wielkiego księcia i oddali go mnie. Ale najważniejsze jest to, że jeśli nawet wielki książę uzna, iż ja osobiście odpowiadam za napad na kuriera, nie będzie już mógł wycofać się z interesu. Posiadamy list spisany jego ręką, w którym stoi jak byk: „Powiedz naszym przyjaciółom w Corisandzie, że gotów jestem przekazać im broń do walki z charisjańskim okupantem, a zwłaszcza muszkiety wykradzione z magazynów armii cesarstwa w Chisholmie”. Wprawdzie nie wymienił nikogo z nas po nazwisku, ale jego intencje zawarte w tekście nad podpisem są bardziej niż czytelne. Ten list trafił do mojego osobistego skarbcza, eminencjo - dokończył hrabia, nie kryjąc satysfakcji. - A jeśli wielki książę zechce robić nam jakieś wstręty, zawsze mogę go poinformować o tym, że posiadam ów dokument. A gdyby i to nie wystarczyło, znajdzie się jakiś sposób, by przekazać go w ręce Gahrvaia albo Chermyna.

Shylair rozparł się wygodnie w fotelu. Uśmiech zniknął z jego twarzy, zastąpiony wyrazem wdzięczności.

*Dzięki ci, Panie, pomyślał. Wybacz, że wątpilem, że pozwoliłem sobie na rozpacz. W Piśmie stoi, że przywiedziesz swoich wrogów przed oblicze sprawiedliwości, wykorzystując w tym celu nawet niegodne ręce. Nie zamierzam udawać, że mam wielkiego księcia za pobożnego człowieka, ale to Ty oddałeś ten dokument w nasze ręce, a my już zadbamy, aby posłużył do postawienia przed sądem Twych wrogów.*

Przymknął na moment oczy, składając tę obietnicę. Ale gdyby nawet miał je szeroko otwarte, i tak nie dostrzegłby miniaturowego urządzenia wiszącego pod powalą komnaty, które transmitowało każde słowo z tej rozmowy znajdującemu się na innym kontynencie komputerowi zwanemu Sową.

**MAJ**

**ROKU PAŃSKIEGO 894**

.I.

**HMS CHIHIRO**  
**ZATOKA GORATH**  
**KRÓLESTWO DOHLARU**

- Wybacz mi, mój panie, ale chyba powinienes to zobaczyć.

Hrabia Thirsku odwrócił się od okien rufowych HMS *Chihiro*, przerywając obserwację rozbudowywanej wolno floty. Komandor, który stał w progu jego kajuty, miał około trzydziestu lat, piwne oczy, ciemną karnację i kasztanowe włosy. Pod jego nosem pysznił się wytworny wąsik.

- Cóż takiego mam oglądać, Ahlvynie? - zapytał hrabia, nie podnosząc głosu.

- Wybacz, mój panie. - Komandor Khapahr uśmiechnął się krzywo. - To wiadomość od gubernatora Queirozu. Została oznaczona jako pilna przez operatora stacji semaforowej, więc dostarczono ją pierwszą łodzią, zamiast zwyczajowo popołudniowym transportem.

- Od gubernatora Queirozu? - Hrabia Thirsku zmarszczył brwi. Znał co najmniej kilka powodów, dla których zarządca harchońskiej prowincji mógł mu przesłać pilną wiadomość, ale tylko jeden z nich wydawał mu się w tej sytuacji prawdopodobny. Na tę myśl poczuł, jak tężej mu wszystkie mięśnie twarzy. - Daj mi ją, Ahlvynie.

Hrabia wyciągnął dłoń, a Khapahr złożył na niej ciężką kopertę. Potem pokłonił się płytko i wycofał za drzwi admiralskiej kajuty.

Hrabia obserwował jego odejście z uśmiechem na twarzy. Już niedługo zrobi z tego człowieka doskonałego kapitana galeonu. Teraz jednak musiał go przysposobić do pracy na stanowisku, które było kompletną nowością w królewskiej flocie Dohlaru. Hrabia Thirsku nie wymyślił jeszcze stosownej nazwy, ale na Starej Ziemi ludzi pełniących tę funkcję nazywano „szefami sztabu”. Jedną z pierwszych decyzji admirała było stworzenie grupy oficerów, którzy mieli mu pomóc w odbudowie floty rozgromionej za Rafą Armagedonu. Khapahr był jednym z nich i doskonale wywiązał się z powierzonych mu zadań.

Jest w tym równie dobry, jak w usidlaniu młodych dam, w których towarzystwie spędza większość wolnego czasu, pomyślał hrabia, kręcąc głową. Ten młody człowiek może zejść bardzo wysoko... o ile nie da się wcześniej zabić w jakimś idiotycznym pojedynku!

Szybko odsunął od siebie te myśli i zajął się otwieraniem koperty. Przebiegł wzrokiem

tekst wiadomości i uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy.

Złożył ponownie pojedynczą kartkę i obrócił się znów w stronę okien i rozciągającej się za nimi zatoki, której jednak tak naprawdę nie widział. Całą uwagę skupił bowiem na przywoływaniu wszystkich zapamiętanych map i gorączkowym poszukiwaniu rozwiązania.

Stał tak przez kilka długich minut, potem otrząsnął się, podszedł do drzwi kajuty i wyjrzał na zewnątrz.

- Mój panie? - powitał go strażnik pilnujący wejścia (zwykły kapral armii lądowej przydzielony do służby w marynarce, jako że hrabia nie zdołał wciąż przekonać księcia Thorastu do stworzenia korpusu piechoty morskiej na wzór Charisjan), stając natychmiast na baczność.

- Przekaż porucznikowi Bahrdailahnowi i panu Vahnwykowi, że mają się natychmiast zameldować u mnie - rozkazał mu admirał.

- Już się robi, mój panie!

Hrabia Thirsku skinął głową. Zanim zdążył wrócić do kajuty, usłyszał, jak jego rozkazy są przekazywane dalej. Porucznik Ahbail Bahrdailahn i pan Mahrtyń Vahnwyk pojawili się, gdy znów skupił wzrok na widoku za oknami.

- Wzywałeś nas, mój panie? - zapytał porucznik.

- Uczyliem to, Ahbailu. - Admirał przyglądał się zatoce jeszcze przez moment, potem spojrzał prosto na nich. - Musimy wysłać kilka wiadomości - oświadczył zwięźle. - Będą to listy dla książąt Fernu i Thorastu, Mahrtyń, ze stosownymi kopiami dla biskupa Staiphana i admirała Hahlynda.

- Oczywiście, mój panie. - Sekretarz podszedł do pulpitu, przysunął kartkę papieru i zamoczył pióro w kałamarzu. - Jestem gotowy, mój panie.

- Świetnie. - Hrabia Thirsku uśmiechnął się aprobująco, a potem spojrzał na Bahrdailahna. - Gdy wyekspediujecie te listy, masz zebrać wszystkich oficerów, w tym komandora Khapahra i kapitana Baiketa, na odprawę w mojej kajucie, Ahbailu. - Admirał wskazał dywan znajdujący się pod jego stopami, a porucznik posłusznie skinął głową.

- Dopilnuję tego, mój panie.

- Świetnie - powtórzył hrabia Thirsku, zaczerpnął tchu i odwrócił się do Vahnwyka, by zacząć dyktować.

- Moi... tu wstaw wszystkie odpowiednie pozdrowienia i tytuły, Mahrtyń... Czuję się w obowiązku poinformować was, że otrzymałem właśnie pilną wiadomość od gubernatora Queirozu, w której donosi mi, iż jedna z łodzi patrolowych dostrzegła charisjańskie okręty wojenne i transportowce płynące cieśninami Queiroz w kierunku północnym. Gubernator

zaznacza, że oficer, który składał ten raport, jest jednym z jego najbardziej zaufanych i doświadczonych dowódców, ale nawet on nie był w stanie ocenić liczebności sił przeciwnika, ponieważ został odgoniony od charisjańskiej armady przez jeden ze szkunerów. Ścigający go okręt był krążownikiem cesarskiej floty i na pewno nie nosił korsarskiej bandery. Podkreśl, Mahrtynie, wyrażenia „na pewno” i „nie był”.

- Oczywiście, mój panie.

Jeśli sekretarz czuł przerażenie treścią dyktowanego listu, nie dało się tego wyczuć w jego głosie, co hrabia Thirsku skwitował pełnym zadowolenia uśmiechem, zanim zaczął dyktować dalej.

- Harchoński dowódca łodzi kurierskiej zameldował, że udało mu się doliczyć co najmniej ośmiu charisjańskich galeonów wojennych i drugie tyle transportowców albo frachtowców. Nie wydaje mi się, aby heretycy wysyłali tyle okrętów wojennych do eskortowania swoich konwojów, nawet tutaj, u naszych wybrzeży. Stąd moje przypuszczenie, że frachtowce, które zauważył harchoński kapitan, to w rzeczywistości transportowce marynarki wojennej Charisu, a co za tym idzie, mamy do czynienia z wrogą operacją wymierzoną przeciw nam albo przeciw Imperium Harchongu. Zważywszy na zaawansowanie prac nad odbudową floty, uważam, iż nasze królestwo wydaje się bardziej prawdopodobnym celem, nie wykluczam jednak, że przeciwnik zaatakuje obie nasze domeny równocześnie. Obecność transportowców sugeruje również, że Charisjanie zamierzają uchwycić jakiś przyczółek na Morzu Harchońskim albo w Zatoce Dohlariańskiej. W tym momencie nie jesteśmy w stanie przewidzieć, którą z tych możliwości wybrali, niemniej skłaniam się ku stwierdzeniu, że celem armady jest wyspa Szpon. To niemal bezludny kawałek lądu, znajdujący się na tyle daleko od naszych i imperialnych baz, by wróg nie musiał się obawiać szybkich kontrataków, a sam mógł zagrażać wybrzeżom Queirozu, Kuzniecowa, Tiegelkampu, Stene i zatoki Shwei, a jednocześnie stłumić wszelki ruch handlowy w Zatoce Dohlariańskiej. Wyspę Szpon dzieli od Gorathu cztery tysiące mil w linii prostej, niemniej po zajęciu i ufortyfikowaniu pozycji na niej śmiało poczynający sobie dowódca Charisjan może pomyśleć o uchwyceniu innych kotwicowisk, znajdujących się znacznie bliżej naszych ziem, i używać ich jako baz wypadowych. Wskazywałem wcześniej na potrzebę ufortyfikowania archipelagów leżących w pobliżu naszych wybrzeży... - Hrabia wiedział, że ostatnie słowa z pewnością wkurzą księcia Thorastu, który nieodmiennie sprzeciwiał się tym propozycjom, ale musiał zawrzeć je w przesyłanej wiadomości. - W obecnej sytuacji nie mogę zagwarantować, że nasza flota zdoła zapobiec przejściu przez tak silną armadę wroga kotwicowisk przy wyspie Trove albo archipelagu Trio. Mamy jeszcze sporo czasu, zanim okręty znajdujące się

teraz w cieśninach Queirozu zaatakują nasze wybrzeża. Dlatego proponuję, abyśmy zaczęli się niezwłocznie przygotowywać na taką ewentualność. Sugeruję także, aby podjęto rozmowy z ambasadorem Harchongu dotyczące możliwej koordynacji naszych wysiłków zmierzających do odparcia ataku. W tym samym czasie skonsultuję się z biskupem Staiphanem, aby ustalić najefektywniejszy sposób przygotowania naszych własnych sił. Raport na ten temat prześlę, jak tylko biskup, admirał Hahlynd i ja dokonamy wstępnej oceny zdolności bojowej floty oraz sposobów jej użycia w przewidywanym przeze mnie konflikcie. Mam zaszczyt i tak dalej... - Hrabia spojrział w zamyśleniu za okno, a potem zwrócił się ponownie do sekretarza. - Odczytaj mi to wszystko, Mahrtynie.

- Oczywiście, mój panie. - Sekretarz odchrząknął cicho, zanim zaczął czytać. - Moi panowie. Czuję się w obowiązku poinformować was, że otrzymałem właśnie...

## .II.

### **HMS TANCERZ**

#### **POBLIŻE WYSPY SZPON**

#### **MORZE HARCHOŃSKIE**

Sir Gwylym Manthyr obserwował topsle szkunera *Posłaniec*, gdy ten wpływał do Kanału Węża, zmieniając kurs. Z tego miejsca nie mógł dostrzec kadłuba, ale nie przeszkadzało mu to w śledzeniu ruchów jednostki, jako że jej jasne żagle odcinały się wyraźnie od brązowej masy gór piętrzących się na pobliskim lądzie. Patrzący na ruchy szkunera sir Gwylym miał bardzo poważną minę.

Jego największym zmartwieniem były wschodnie wiatry, a raczej to, co mogły zrobić z kotwicowiskiem umiejscowionym w zatoce Hardship. Nawet szkunery będą miały spory problem z dotarciem na nie w niekorzystnych warunkach pogodowych. Kanał Węża, południowe wejście do zatoki, nadawał się do żeglugi tylko wtedy, gdy wiatry wiały z północy albo północnego wschodu, a Kanał Północny, gdy miały kierunek południowo-wschodni, ale spore galeony mogły mieć problem z przebyciem tych szlaków nawet przy względnie dobrych warunkach pogodowych. W tym momencie jednak pogoda sprzyjała Charisjanom i *Posłaniec* w drodze powrotnej do flagowca eskadry szedł spokojnie fordewindem.

Wszystkie pozostałe jednostki sir Gwylyma - czyli pięćdziesiąt trzy okręty - czekały



spokojnie w Cieśninie Muszli, dość szerokim akwenu znajdującym się pomiędzy Wyspą Zieloną a mielizną Hardship. Panował w niej straszliwy upał, nawet jak na charisjańskie standardy. Sir Gwylym zostawił tunikę w kajucie, a mimo to przepocona koszula lepiała mu się do ciała, a gdy unosił dłoń o cal nad lufami pomalowanych na czarno rufowych karonad, czuł bijący od nich żar, jakby zbliżał palce do rozgrzanego pieca. Rozciągnięte nad pokładem płótno dawało ludziom odrobinę wytchnienia, aczkolwiek gdyby ktoś zapytał o to Manthyr, różnica polegała mniej więcej na tym, że zamiast smażyć się na rożnie, marynarze dusili się we własnym sosie.

Oczekiwał upałów, ale nie był przygotowany na aż takie piekło. Do tego wiatr ucichł niemal całkowicie, dodatkowo pogarszając sytuację. W najbliższym czasie ani *Tancerz*, ani *Posłaniec* nie przyśpieszą znacznie. W taką pogodę najszybsze szkunery floty mogły wyciągać dwa, może trzy węzły, i to tylko pod pełnymi żaglami, a obie jednostki dzielił w tym momencie dystans około piętnastu mil.

Manthyr spojrział na słońce i wyduł wargi. Potrzebowali pięciu, a nawet sześciu godzin, tymczasem już minęła jedenasta. Skrzywił się i cofnął w cień rozpiętego nad pokładem rufowym płótna. Nie dawało ono zbyt głębokiego cienia, ale człowiek schodzący z palącego słońca czuł się pod nim jak w mrocznej jaskini.

Bardzo gorącej mrocznej jaskini.

- Dahnyldzie? - powiedział, odwracając głowę i mrużąc oczy.

- Słucham, sir - odpowiedział porucznik Rahzmahn gdzieś za jego plecami, więc sir Gwylym ponownie się obrócił.

- A, tu jesteś! - Admirał pokręcił głową, uśmiechając się przyjaźnie. - Już myślałem, że upiekłeś się na tym upale.

- Niewiele brakowało, sir. - Rahzmahn odpowiedział przełożonemu uśmiechem, chociaż admirał naprawdę niewiele się mylił.

Porucznik pochodził z Chisholmu i należał do rosnącego wciąż kontyngentu poddanych Sharleyan, których wcielano do cesarskiej marynarki. Charakteryzowały go egzotycznie wyglądające (oczywiście z charisjańskiego punktu widzenia) kasztanowe włosy i szare oczy... a jego blada karnacja miała zadziwiającą tendencję do zmiany w ognistą czerwień i pokrywania się bolesnymi bąblami zamiast opalania na zwyczajowy brąz.

- Cóż, będziesz miał na to jeszcze sporo czasu, jak widzę - zachichotał Manthyr. Współczuł biednemu porucznikowi, ale podobnie jak on nie mógł nic na to poradzić, tak więc pozostało im jedynie wyśmiewanie bolesnej przypadłości Chisholmianina.

- Obawiam się, że nic z tego, sir - zaprzeczył Rahzmahn. - Zdaje się, że chciał pan

czegoś ode mnie?

- A tak, rzeczywiście. - Manthyr wyciągnął rękę w kierunku *Posłańca*. - Trzeba jeszcze pięciu albo nawet sześciu godzin, zanim dotrze do nas. Skoro tak, pomyślałem, że możemy przyspieszyć nieco czas wieczornego posiłku i zaprosić komandora Grahzaiala, aby zjadł z nami dzisiaj. Chociaż tyle możemy dla niego zrobić, skoro już posłaliśmy go aż na ląd, by porozmawiał z miejscowymi.

- Oczywiście, sir. Czy kapitan Mahgail także będzie obecny?

- Kapitan, pan Seasmoke i porucznik Krughair, chociaż nie, on akurat powinien mieć wachtę, jeśli się nie mylę. - Manthyr zamyślił się na moment. - Wezmę zamiast niego porucznika Wahldaira i młodego Svairsmahna. I ciebie, rzecz jasna.

- Zatem będzie sześciu gości razem ze mną? - upewnił się Rahzmahn, zliczając w pamięci wymienione nazwiska. - Zawiadomię Naiklosa, sir. - Porucznik flagowy uśmiechnął się pod nosem. - Ale i tak będzie się zżymał, że nie poinformowaliśmy go z odpowiednim wyprzedzeniem..

- To raczej pewne. Zawsze to robi.

W zabawnym tonie, jakim admirał odpowiedział porucznikowi, dało się wyczuć nutkę rezygnacji. Raiyhan Hahlmyn, jego wieloletni sługa, został zabity w cieśninie Darcos. Manthyr bardzo tego żałował. Nie tylko z powodu wielu lat, które razem spędzili, aczkolwiek to z pewnością był jeden z głównych elementów jego tęsknoty za Raiyhanem. O wiele ważniejsze było jednak wyczucie, z jakim stary sługa potrafił dogodzić swemu panu. Admirał urodził się jako prosty człowiek, jak wielu podobnych mu oficerów charisjańskiej marynarki, natomiast Hahlmyn przed zaciągnięciem się do floty był zwykłym rybakiem. Zdaje się, że imię i nazwisko, pod którymi był w niej znany, zostały zmienione. Wielu marynarzy zaciągało się, podając zmyślane dane. Nawet dzisiaj, po ukonstytuowaniu cesarstwa, niewiele zmieniło się pod tym względem. Dopóki człowiek nie sprawiał kłopotów i wywiązywał się z obowiązków, admiralicja nie przyglądała się jego wcześniejszemu życiu. Manthyr zauważył jednak, że Hahlmyn nigdy nie schodził na ląd, gdy zawijali do Tellesbergu.

Cokolwiek kryła przeszłość starego sługi, na okręcie był idealnym pomocnikiem młodego porucznika i niezrównanym sternikiem. Gdy komandor porucznik Manthyr otrzymał pierwsze stanowisko dowodzenia, zabrał go ze sobą najpierw jako sternika, a potem po latach uczynił z niego osobistego sługę. Aczkolwiek w życiu nie nazwałby go lokajem, jako że ich związek miał nieco inny charakter. Hahlmyn był lojalnym kompanem, pracowitym i zręcznie obracającym kordelasem.

Niestety, należał już tylko do wspomnień, więc sir Gwylym Manthyr musiał znaleźć

jego zastępcę. I tak pojawił się Naiklos Vahlain, traktujący pracę u admirała jako kolejny szczebel kariery. Elegancki ciemnowłosy lokaj był o dziesięć lat starszy od admirała, a trafił do niego z polecenia Domyńka Staynaira.

- Zakrzyczy cię i zadreńczy na śmierć - mówił Staynair - ale poda ci też gorącą strawę nawet w środku szalejącego huraganu. Bez względu na to, ile mu dasz czasu na przygotowanie posiłku, i tak będzie zrzędził, że to za mało... a potem poda ci pięciodaniowy obiad i wykombinowane skądś świeże warzywa, nieważne, że utknąłeś na dobre w samym środku Kowadła. Szczerze mówiąc, to idealny kandydat dla ciebie, Gwylymie, zwłaszcza teraz, gdy masz dowodzić całą eskadrą.

Manthyr doskonale wiedział, do czego zmierzał baron Skalistego Klifu. Zwykły kapitan nie musiał dbać zbytnio o wygląd i zachowanie, ale bycie admirałem nakładało na człowieka masę ograniczeń i obowiązków. A prawda wyglądała tak, że dotychczasowe życie uczyniło z Gwylyma świetnie wykształconego zawodowca, lecz nie dało mu zbyt wielu okazji do poznania etykiety. Nie znał się na doborze win oraz całej masie podobnych pierdółek, których znajomości wymagano od admirałów.

Vahlain zarządził temu problemowi, choć nieraz potrafił doprowadzić swojego pana do białej gorączki. Manthyr był mu wdzięczny za to pierwsze, aczkolwiek miał sporo zastrzeżeń do sposobu, w jaki jego lokaj pełni swoje obowiązki. Baron Skalistego Klifu nie kłamał, kiedy zapewniał, że będzie to najbardziej marudny i kręcący nosem sługa, jakiego nosiła ta ziemia.

I właśnie dlatego posłał dzisiaj do Vahlaina swojego młodego porucznika, którego głowa właśnie znikła pod pokładem. Bycie admirałem dawało człowiekowi także kilka przywilejów.

\* \* \*

Jak się okazało, nie musieli zmieniać terminu wieczery... ale Vahlain i tak okazał swoje niezadowolenie (choć trzeba przyznać, że nie powiedział nawet słowa na ten temat). Wiatr słabł dalej, a gdy *Posłaniec* zbliżył się na odległość dwóch mil, nad morzem zapanowała kompletna cisza. Porucznik Grahzaiał musiał pokonać ostatni fragment drogi szalupą, na wiosłach. W tej chwili marynarze z obsady łodzi zażywali zasłużonego odpoczynku w głównej mesie *Tancerza*, podczas gdy ich dowódca usprawiedliwiał się ze spóźnienia przed admirałem.

Grahzaiał, podobnie jak Rahzmahn, był Chisholmianinem, chociaż z wyglądu przypominał rodowitego ciemnowłosego i piwnookiego Charisjanina. Był także o wiele lepiej opalony niż jego krajan porucznik, zauważył z rozbawieniem admirał, mając doskonale

porównanie, jako że obaj stali teraz obok siebie. Szczerze powiedziawszy, skóra Grahzaiała nabrała zdrowego miedzianego połysku, który w połączeniu z wyblakłym błękitem podniszczonej tuniki (młodzi oficerowie floty nie mieli zwyczaju wydawania na siebie zbyt wielkich sum) nadawał mu piracki wygląd. A może należało raczej powiedzieć: wygląd pirata z naprawdę złych powieści. Manthyr przeczytał kiedyś jedną. Była pierwszą i ostatnią zarazem książką o piratach, jaką wziął do ręki. Miał bowiem okazję spotykać prawdziwych piratów, a ci w niczym nie przypominali wesołych, z natury dobrych, tylko przez nikogo nie rozumianych poczciwców z książki.

Odrzucił zaraz tę myśl, a chwilę potem przerwał tłumaczenia Grahzaiała.

- Nie przejmuj się tym spóźnieniem, komandorze. Nikt z nas nie może rozkazywać wiatrom, a w każdym razie nie potrafimy ich zmusić do posłuszeństwa. Szczerze mówiąc, spisałeś się dzielnie, docierając do nas w tak trudny sposób. Z miny mojego lokaja wyczytuję - dodał, nie spoglądając nawet w kierunku nachmurzonego Naiklosa Vahlaina - że wieczerza jest już gotowa. Sugeruję, abyśmy zasiedli do stołu, zanim całkiem wystygnie. O szczegółach twojego raportu porozmawiamy, jak już napelnimy żołądki.

Nie był tego pewien, ale chyba usłyszał ciche, choć pełne satysfakcji sapnięcie od strony spiżarni, przy której stał Vahlain.

\* \* \*

Jakiś czas później, gdy Vahlain i steward wypożyczony przez niego z mesy oficerskiej sprzątnęli stół, nalali wszystkim wina i ustawili humidor admirała na samym środku blatu, Manthyr odchylił się w swoim fotelu i westchnął z ukontentowania.

Wiatr znów zaczął wiać, co dało się odczuć nawet w kajucie dzięki systemowi płóciennych napowietrzaczy przymocowanych do świetlików. Dzięki lekkiej bryzie wpadającej od góry i uchodzącej oknami rufowymi w jadalni zrobiło się nieco chłodniej i bardziej rześko. Vahlain mimo zwyczajowych fochów spisał się wyśmienicie, a dwie z wyvern pozyskanych przez niego podczas ostatniej wizyty na wyspie Westbreak, gdzie eskadra uzupełniała zapasy wody i świeżych warzyw, uświetniły dzisiejszą ucztę. Większości warzyw, które wtedy trafiły na pokład, już nie było, ale kury nosły się świetnie, więc lokaj nie miał problemu ze zrobieniem majonezu, którym przystroił salatkę z pomidorów, pełną marynaty i cebuli, niestety tylko z odrobiną selera i szczyptą pieprzu, ale mimo to całkiem smaczną. Była znakomitym dodatkiem do pieczonych i nadziewanych ryżem wyvern. Do tego podał świeżutki chleb i masło (to niestety musiało być nieco mniej świeże) oraz korzenny pudding na deser.

Teraz admirał zapalił fajkę i poczekał, aż wszyscy obecni - prócz młodego pana

Svairsmahna, kadeta sygnałowego - pójdą za jego przykładem. Gdy we wszystkich cybuchach tytoń żarzył się aż miło, Manthyr spojrział uważnie w kierunku Mahshala Grahzaiala.

- A teraz, komandorze, gdy mamy już z głowy najpoważniejszy punkt dzisiejszego wieczoru - powiedział pomiędzy pyknięciami z fajeczki - może powie nam pan, jak poszła pańska misja na wybrzeżu?

- Oczywiście, sir. - Komandor wyprostował plecy i odchrząknął dyskretnie. - Dostarczyłem wiadomość do warowni Szpon, jak pan kazał. - Skrzywił się w tym miejscu. - Moim skromnym zdaniem, nazywanie tej dziury warownią to wielka przesada, sir Gwylymie. Wprawdzie są tam mury obronne, ale mam wrażenie, że zrównalibyśmy je z ziemią w jedno popołudnie, i to zwykłymi czternastofuntówkami. Za murem nie ma żadnej twierdzy, tylko kilkadziesiąt zwykłych budynków, głównie domów mieszkalnych, choć naliczyłem też co najmniej trzy gospody.

- To akurat nic zaskakującego, sir - wtrącił kapitan Raif Mahgail. Dowódca okrętu flagowego Manthya był żyłastym czarnowłosym mężczyzną z niesamowicie ciemnymi oczyma. Miał osiem lat mniej niż admirał, dopiero niedawno mianowano go kapitanem (ostatnimi czasy wielu ludzi załapało się na szybszy awans), ale na morzu przebywał od chwili, gdy ukończył dwanaście lat, i nie było chyba na spienionych wodach rzeczy, której by jeszcze nie widział. - Mur, o którym wspominał Mahshal, powstał zapewne, by odstraszać i zniechęcać piratów, choć powinienem chyba powiedzieć, innych piratów, i nie stanowi poważnej linii obrony. - Kapitan flagowca prychnął z pogardą. - Nie mam zbyt wielkiego mniemania o flocie Harchongu, ale gdyby ci ludzie mieli czelność zadrzeć z Imperium Charisu, przed karzącą ręką cesarza nie ochroniłyby ich wszystkie mury świata, o czym dobrze wiedzą.

- Też tak myślę, kapitanie - przyznał Grahzaial, kiwając głową. - Wracając do tematu, admirał - dodał, przenosząc wzrok na Manthya. - Mają tam całkiem sporo kutrów rybackich, jak na tak małą miejscowość. Niektóre z nich były prawie tak duże jak *Posłaniec*. Widziałem na nich furty, za którymi mogły być wilki. Kapitan Lahfat, czyli tamtejszy dowódca, próbował odwracać moją uwagę, gdy zorientował się, że to widzę.

- Rozumiem, panie Grahzaial - mruknął admirał.

Wilkiem nazywano działa pokładowe o kalibrze mniejszym niż dwa cale. Można było z nich odpalać pociski ważące maksymalnie około jednego funta. A obrotowe ich wersje można było uznać albo za najcięższe modele muszkietu, albo za najłżejsze działa, jak komu akurat pasowało. Nie dało się przebić za ich pomocą poszycia okrętu, lecz były wyjątkowo lekkie i łatwo dawały się montować i zdejmować, gdy na przykład trafiało się na jakiś

krążownik... Była to znakomita broń przeciw sile żywej... w sam raz nadająca się dla piratów atakujących niewielkie i słabo uzbrojone statki kupieckie.

- Zatem uważa pan, że ten, jak mu tam, Lahfat, łowi czasem coś więcej niż tylko łososie albo dorsze? - zapytał, a komandor natychmiast skinął głową.

- Powiedziałbym, że dokładnie tym się zajmuje, sir - przyznał. - Z tego co wiemy, na takich placówkach ludzi nie oplaca się zbyt dobrze. - Manthyr prychnął z odrazą. Jeszcze nie spotkał pirata, który nie chciał mieć więcej, niż mógł zarobić uczciwą pracą. Chociaż ta pozwoliłaby mu dożyć znacznie późniejszej starości. - Odniosłem także wrażenie, że ten cały Lahfat sam sobie nadał tytuł kapitana. Nie potrafię go umiejscowić, ale na pewno nie pochodzi z Harchongu. Jest na przykład za wysoki na tutejszego. No i wcale się nie ucieszył na wieść, że przyplływamy.

- Ciekawe dlaczego? - mruknął Yairman Seasmoke, pierwszy oficer *Tancerza*, co admirał skwitował jeszcze bardziej pogardliwym prychnięciem.

- Czy mam rozumieć, komandorze, że kazał ci spieprzać w podskokach? - zapytał oschle admirał, a Grahzaiał wybuchnął śmiechem.

- Sądzę, że takie właśnie słowa cisnęły mu się na usta, sir. Niestety, jeden z jego kutrów chyba mnie uprzedził i podał mu dokładną ocenę naszej liczebności. Wątpię, aby kapitan Lahfat był aż tak głupi, by uznać, że eskortujemy puste transportowce. - Tym razem śmiech dobiegł ze wszystkich stron stołu. - Uznał więc, że nie będzie się z tobą mocował, sir Gwylymie - kontynuował komandor. - Upierał się tylko przy tym, że studnie na wyspie nie są w stanie dostarczyć tyle wody, by jej wystarczyło dla wszystkich nowo przybyłych. Sądzę, że przesadzał, aczkolwiek możemy mieć z tym niewielkie problemy. W końcu zgodził się wpuścić nas do warowni. Domyślałem się, że teraz wszyscy mieszkańcy robią co mogą, by ukryć dowody nielegalnej działalności, zanim wylądują tam pierwsze oddziały piechoty morskiej.

- To nawet pewne - zgodził się Manthyr. - Nie mówiąc o wysłaniu kuriera, by powiadomił o naszym przybyciu gubernatora Queiroz albo władze Tiegelkampu, w zależności od wiatrów. Nie pomyłę się wiele, jeśli powiem, że z pewnością zarzekał się, iż niczego takiego nie uczyni?

- Owszem, wspominał coś o tym, admirale.

- Świetnie. - Manthyr uśmiechnął się krzywo. - Harchong i tak szybko dowie się o naszej obecności, o ile już nie wie, dokąd zmierzamy. Ale gdy kurier kapitana wpadnie na *Lancę*, patrolującą środek Kanału Północnego, będziemy mieli haka na niego. A w każdym razie coś, czego będziemy mogli użyć przeciw niemu. - Admirał zastanawiał się nad czymś

przez kilka sekund, potem skinął do siebie głową. - Dobrze się pan sprawił, komandorze - dodał. - Postaram się to podkreślić w moim raporcie. - Młody Chisholmianin uśmiechnął się z nieskrywanym zadowoleniem, ale nic nie powiedział, a Manthyr obrócił się do kapitana flagowca. - Przy odrobinie szczęścia jutro rano powinniśmy mieć wschodni albo południowo-wschodni wiatr, Raif. Jeśli warunki będą sprzyjające, chcę, aby cała eskadra znalazła się w zatoce jeszcze przed zmierzchem. Wątpię, aby kapitan Lahfat był na tyle głupi, by zastawiać na nas pułapkę, ale lepiej nie dajmy mu na to żadnych szans. Poślemy przodem kilka szkunerów. Przekaż też brygadierowi Tyotaynowi, że chcę, aby trzy kompanie piechoty morskiej zeszły na brzeg i zabezpieczyły warownię, zanim rzucimy przy niej kotwice.

- Tak, sir.

- W takim razie, panowie - powiedział admirał, sięgając po karafkę whiskey - sądzę, że możemy wypić jedną szklaneczkę za dobrą robotę komandora Grahzaiala.

### .III.

#### **HMS TANCERZ POBLIŻE WYSPY TROVE ZATOKA DOHLARIAŃSKA**

*Zieleń*, pomyślał sir Gwylym Manthyr, *to naprawdę piękny kolor*. Po dwóch pięciodniach spędzonych na skalistej, wypalanej i burej wyspie Szpon barwa ta stanowiła naprawdę miłą odmianę.

Soczysta zieleń, o której właśnie myślał, porastała wyspę Trove leżącą w pobliżu wybrzeży Dohlaru. Z technicznego punktu widzenia tubylcy - których na szczęście nie mieszkało tutaj zbyt wielu - byli poddanymi króla Rahnylda. Sama wyspa nie należała jednak do niego. Ministrowie cesarza Waisu VI stawiali tę sprawę wystarczająco jasno. Ojciec miłościwie panującego władcy Harchongu (który, nawiasem mówiąc, także miał na imię Waisu) ustalił to z ojcem Rahnylda (także noszącego to samo imię co syn). A skoro nikt nie wnosił o zmianę statusu spornego terytorium, aktualnych władców nadal obowiązywały stare umowy.

Rahnyld nie dbał jednak o to, jako że planował wzięcie w swoje posiadanie całej Zatoki Dohlariańskiej. Niestety flota, która miała zapewnić mu dominację nad całym akwenem, została rozgromiona pod Skalistym Klifem i nigdy nie zdobył przewagi

pozwalającej mu na przetrwanie konfliktu zbrojnego z Imperium Harchongu. Wprawdzie cesarstwo nie musiało reagować na każdą szaloną deklarację buńczucznego sąsiada, ponieważ to wiązałoby się z ogromnymi kosztami wojny i stratami, ale „nie musiało” nie wykluczało definitywnie zdecydowanych posunięć ze strony Waisu, a zadzieranie z Harchongiem było błędem, który władca może popełnić tylko raz.

Z drugiej jednak strony Rahnyld zdołał przekonać cesarza do uznania, że wyspy znajdujące się pomiędzy wybrzeżem Dohlaru a Mielizną Waleniszczycieli pozostaną terytorium nie należącym do żadnej ze zwaśnionych domen. Waisu - a raczej jego ministrowie, jako że cesarz nie podjął chyba ani jednej decyzji o znaczeniu politycznym w trakcie niemal dwudziestoletniego zasiadania na tronie Harchongu - nie protestował przeciw tej propozycji. Imperium zażądało jedynie gwarancji, że Rahnyld nie zacznie budować umocnień wokół portów znajdujących się na spornych terytoriach, dzięki czemu ekspansjonistyczne zapędy Dohlaru zostaną utrzymane w ryzach. Urzędników bardziej bowiem interesowało utrzymanie kanałów przerzutowych dla szmuglowanych dóbr, z których mieli spore wpływy do prywatnych kies.

Manthyr z wielkim zadowoleniem odkrył, że stan taki trwa po dziś dzień. Spodziewał się, że Dohlarianie i Harchończycy musieli zawrzeć jakieś porozumienie po tym, jak Grupa Czworka postanowiła pogodzić ich siłą. Z charisjańskiego punktu widzenia pozostawienie okupantowi idealnych miejsc na bazy wypadowe niespełna pięćset mil od wybrzeży Dohlaru (i jeszcze bliżej od cesarskiej prowincji Erech) było aktem szaleństwa. Cayleb prędzej skoczyłby do wody pełnej krakenów ze świeżym pościem krwistego mięsa przywiązany do pasa, niż pozwolił na coś takiego. Jeśli Manthyr wątpił w to, że strategowie obu wspomnianych domen nie mają bladego pojęcia o walce na morzu, teraz zyskał na to widome dowody.

Spojrzał na płynące ku brzegowi wyspy łodzie wypełnione żołnierzami piechoty morskiej i pokręcił z niedowierzaniem głową. Oprócz zniesmaczenia czuł także wdzięczność. Zatoka Chełm, znajdująca się na północno-wschodnim wybrzeżu wyspy Trove, zdawała się za mała jak na bazę dla całej eskadry. Miała niespełna osiem mil szerokości i była całkowicie otwarta na północne wiatry. Woda w niej była jednak relatywnie głęboka, a na dnie znajdowało się wiele miejsc, o które można było zaczepić kotwicę. Wysokie skały okolicznych grani chroniły ją też przed wiatrami wiejącymi z innych kierunków. Powinna więc nadać się jako zapasowe kotwicowisko albo miejsce, gdzie eskadra będzie dokonywać bieżących napraw. Tak czy owak było to jedyne miejsce na wyspie nadające się na kotwicowisko dla galeonów, więc odbicie go z rąk batalionu majora Brainahka Wyndayla,



należącego do czternastego regimentu pułkownika Vahsaga Pahraiha, nie będzie należało do najłatwiejszych zadań. Zwłaszcza gdy na brzegu staną baterie trzydziestofuntówek, przywiezionych tutaj specjalnie w celu uprzykrzenia życia Rahnyldowi i Waisu.

Sir Gwylym cieszył się także z tego, że Chelmsport, największa miejscowość na wyspie, liczy niespełna dwustu mieszkańców. Dzięki temu miał pewność, że żadnemu z nich nie wpadnie nic głupiego do głowy, aczkolwiek nie wykluczał całkowicie zagrożenia z ich strony, zwłaszcza że musiał pamiętać o wciąż aktywnych wpływach religijnych. Ryzyko było jednak znikome, a w Chelmsport znajdowały się liczne studnie ze słodką wodą, której tak bardzo brakowało na okrętach. Jeśli tubylcy okażą się rozsądni, mogą także zarobić, dostarczając eskadrze świeżej żywności, którą nie pogardzi żaden szanujący się marynarz.

Na wyspie Szpon piąta brygada Tyotayna (i drugi batalion niezależnego regimentu pułkownika Pahraiha) zajęły się planowym oczyszczaniem gruntów pod nowe uprawy. Źródła wody pitnej okazały się też wcale nie tak skromne, jak to sugerował „kapitan” Lahfat. Wystarczyło zbudować akwedukty i napędzane wiatrem pompy, aby zapewnić odpowiednią irygację nowych pól, które nawożono powszechnym na wyspie wyvernim guanem. To wystarczyło do stworzenia upraw, jako że niemal połowa chłopaków Tyotayna pochodziła z wiosek Korony i znała się na uprawianiu roli. Niestety uzyskanie odpowiedniej ilości plonów było trudnym zadaniem nawet dla nich. Dlatego sir Gwylym liczył na to, że uda się zdobyć dodatkowe zapasy z przyzów, na które trafią od czasu do czasu, ale nie gardził też możliwością zyskania bardziej przewidywalnego źródła dostaw.

Jeśli mieszkańcy Trove zaczną nam sprzedawać żywność, być może uda się przekonać tubylców z całego archipelagu, by robili to samo, aczkolwiek bez rozgłosu. To kolejna sprawa, o której strategiczni geniusze z lądu nawet nie pomyśleli.

Po raz kolejny pokręcił głową, zastanawiając się nad bezmiarem głupoty swoich wrogów, a potem odwrócił się od relingu. Czas, by zagonił wszystkich podległych mu kapitanów do roboty i zaczął uprzykrzać życie drugiej stronie konfliktu.

To ich nauczy nieco rozumu, uznał z satysfakcją.

## **.IV.**

**HMS CHIHIRO**

**ZATOKA GORATH**

**KRÓLESTWO DOHLARU**

- Synu, usiądź i policz wolno do tysiąca. To ci pomoże osiągnąć duchowy spokój, a już na pewno uniknąć apopleksji.

Hrabia obejrzał się gwałtownie. Gdyby słowa te nie padły z usta biskupa Staiphana, jego odpowiedź z pewnością byłaby ostra i bluźniercza. W tej sytuacji musiał się jednak powstrzymać od obu form wyrażenia wściekłości, aczkolwiek nie zdołał uniknąć groźby w spojrzeniu.

Maik jednak patrzył na niego z absolutnym spokojem i hrabia Thirsku poczuł po chwili, że kąciki ust unoszą mu się mimowolnie. W końcu biskup miał rację.

- Mówię poważnie, Lywysie - dodał Staiphan, wskazując ręką krzesło za biurkiem. - Przestań się kręcić w kółko jak jaszczurodrap, któremu ktoś obciął ogon. Wiem, dlaczego jesteś tak wkurzony. Ale to, na dłuższą metę, może obrócić się na naszą korzyść.

Hrabia Thirsku aż zamrugał z zaskoczenia. Spoglądał na biskupa przez parę chwil, potem podszedł wolno do biurka, usiadł, jak mu kazano, i przechylił lekko głowę.

- Byłbym rad, gdyby eminencja wyjaśnił mi, jak doszedł do tego wniosku - powiedział spokojnie.

- Sam pomyśl - odparł Maik. - Zrobili dokładnie to, co przewidywałeś. Mają problem, ponieważ książę Thorastu i Harchończycy nie zastosowali się do twoich wcześniejszych wskazówek. Dzięki temu Charisjanie zdobyli wysunięte bazy tam, gdzie sugerowałeś. Po otrzymaniu wieści od gubernatora Queirozu powiadomiłeś księcia, że mogą wybrać za cel wyspę Szpon, i zrobili to! Nie wątpię, że teraz dadzą nam się we znaki. Co z kolei wzmocze presję na ciebie i na mnie, gdy kanclerz Trynair i jego koledzy - Maik był zbyt ostrożny, by użyć określenia Grupa Czworka nawet wobec kogoś tak zaufanego jak hrabia Thirsku - dowiedzą się o tej sytuacji. Zgodzisz się chyba ze mną?

- Obawiam się, że nie mam innej opcji - przyznał admirał.

- Gdy zaczną wydzierać się na ciebie, byś coś z tym zrobił, cokolwiek, mam szczerzy zamiar wykazać im, i to naprawdę stanowczo, że gdyby słuchali cię od początku, nie musiałbyś ratować im dzisiaj tyłków z potrzasku, w który sami wleźli.

Hrabia uniósł brwi ze zdziwienia. Zacieśniał współpracę z Maikiem coraz bardziej. Rósł też szacunek, jakim darzył tego schuelerytę. Aczkolwiek musiał przyznać, że w miarę napływania kolejnych raportów ze Świątyni jego zaufanie do hierarchy zaczęło maleć. Zdawał sobie sprawę, że Maik nie ma nic wspólnego z tym... szaleństwem, lecz przecież należał do tego samego, zakonu co Clyntahn, o czym trudno było zapomnieć.

*Może jestem tak podejrzliwy dlatego, że na zbyt długo popadłem w nielaskę po klęsce mojej floty w Cieśninie Skalistej, pomyślał. Przez długi czas myślałem, że książę Fernu uczyni*

*ze mnie kozła ofiarnego i wyda w ręce księcia Thorastu albo Inkwizycji. Nigdy bym jednak nie przypuszczał, że Clyntahn posunie się do czegoś takiego... Zamordowanie tylu wikariuszy, nie mówiąc już o arcybiskupach i biskupach, i to w tak potworny sposób, było okropieństwem. Ale żeby tak samo potraktować ich bliskich? Toż to czyste szaleństwo!*

Miał świadomość, że nie jest jedynym Dohlarianinem, który myśli w ten sposób, chociaż tylko nieliczni byli tak głupi, by mówić o tym na głos. Podejrzał, że biskup Staiphan ma podobne poglądy. Z drugiej jednak strony wielki inkwizytor wyraził się bardzo jasno. Zdrada będzie karana z równą surowością jak herezja... a niewykonanie zadania z pewnością zostanie uznane za totalną nielojalność, czyli zdradę.

*Także klęski militarne zostaną podciągnięte pod tę kategorię, co do tego nie mam żadnych wątpliwości, pomyślał ze smutkiem. Zwłaszcza jeśli dowódca miał tego pecha i został już raz pokonany. Chyba powinienem traktować tę myśl jako dodatkową zachętę do odniesienia zwycięstwa.*

Ta konstatacja rozbawiła go nieco, za co od razu podziękował Bogu. Ostatnimi czasy nie miał zbyt wielu powodów do radości.

- Nie rozpatrywałem naszego problemu z takiej perspektywy, eminencjo - przyznał, siląc się na chłodny uśmiech. - Moje wcześniejsze doświadczenia z posiadaniem racji, gdy wszyscy inni się mylą, utwierdziły mnie w przekonaniu, że ich reakcje pozostaną niezmiennie, gdy dojdzie do powtórki sytuacji. A zaobserwowałem, że możni tego świata pałają większą żądzą zemsty, gdy człowiek im udowodni, że zawsze się mylą.

- Tak, ale tym razem będziesz milczał jak zakłęty. Nie powiesz nawet słowa o wyspach Szpon czy Trove. Zajmiesz się przedstawianiem kolejnych rzeczowych argumentów dotyczących możliwych odpowiedzi na atak. To ja zajmę się wcieraniem soli w rany. Może tyle dobrego wyniknie z... - Biskup nagle zamilkł. Zacisnął na moment wargi, a potem wrzucił ramionami. - Może tyle dobrego wyniknie z faktu, że znowu masz rację - dokończył.

Hrabia Thirsku kiwał tylko głową, nie mówiąc ani słowa. Za to w jego oczach widać było ogniki. Wiedział, co chciał powiedzieć Maik. Ta jego wypowiedź była chyba najbardziej krytycznym podejściem do głowy zakonu, który reprezentował. I nie bez racji, pomyślał ponuro hrabia Thirsku. Po tak brutalnej demonstracji ze świecą szukać arcybiskupa, który zechce spierać się z schuelerytą.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, eminencjo - powiedział admirał, odnosząc się raczej do tego, co zostało powiedziane, a nie przemilczane. Ich spojrzenia się spotkały, więc zauważył akceptację w oczach Maika. Biskup zaraz jednak odwrócił głowę.

- Tak... Co zatem radzisz? - zapytał.

- Szczerze mówiąc, mój panie, jeśli dadzą mi tyle swobody, ile mówisz, równie dobrze możemy osiągnąć sukces, jak i ponieść sromotną porażkę.

- Doprawdy? - Maik zmrużył oczy. - Dlaczego tak uważasz?

- Domyślam się, że Charisjanie zamierzają zamienić nasz przybrzeżny handel w piekło godne Shan-wei - wyznał z całkowitą szczerością hrabia. - Eskorta, którą przydzielałem lokalnym kupcom, wystarczała do odstraszenia korsarzy, nawet charisjańskich. Nie przeczę jednak, że nacisk Świątyni na gubernatora Shwei nie poprawił sytuacji. - Hrabia skrzywił się. - Naszą najlepszą obroną przed atakami była ogromna odległość od Korony i brak portów, w których korsarze mogli spieniężać zagarnięte dobra. Teraz jednak mamy do czynienia ze sporą eskadrą galeonów marynarki wojennej. Ci ludzie, o ile nie trafią na coś niezwykle cennego z ich punktu widzenia, nie będą się trudzić sprzedawaniem zdobytych dóbr. Zatopią i spalą każdą jednostkę, która wpadnie w ich ręce. Te okręty dysponują wystarczającą siłą ognia, by pokonać eskortę konwojów. A może raczej powinienem powiedzieć, aktualną eskortę... - przerwał, spoglądając wyczekująco na zamyślonego biskupa. Ten po chwili zrobił wielkie oczy.

- Widzisz w tym doskonałą okazję do szkolenia ludzi, mój panie? - W jego głosie dało się wychwycić nutkę szacunku.

- Gdybym to ja otrzymał stanowisko dowódcy charisjańskiej ekspedycji - odparł - miałbym kilka różnych celów na oku. Na pewno starałbym się przeszkodzić w ukończeniu budowanej floty, a to musiałoby oznaczać podejście aż do wybrzeży, by zdławić cały ruch przy nich. Chciałbym narobić takich szkód, aby przeciwnik dwa razy pomyślał, zanim ruszy walczyć z moimi towarzyszami broni na innych frontach. No i robiłbym co w mojej mocy, by zredukować już istniejące siły przeciwnika. Wciągałbym dohlariańskie i harchońskie okręty do walki z moimi galeonami, na moich warunkach, aby pokonywać je kolejno. I nade wszystko robiłbym to w takim stylu, by przekonać neutralne rządy obu domen, że naprawdę nie chcą spotykać się na otwartym morzu z charisjańskimi marynarzami. - Maik kiwał tylko głową. - Cóż, nie jestem jeszcze gotowy do wysłania okrętów na wyspę Trove czy Szpon, by je odbijać. Według naszych najlepszych ocen wróg dysponuje piętnastoma, a może nawet dwudziestoma galeonami, natomiast my nie zdołaliśmy wprowadzić do służby nawet połowy planowanych jednostek. Co prawda mamy już czterdzieści trzy galeony teoretycznie gotowe do wyjścia w morze, lecz tylko na trzydziestu z nich są załogi, które uważam za w pełni przeszkolone. Ale bądźmy szczerzy, nawet najlepsze szkolenia nie sprawią, że ci ludzie dorównają Charisjanom. Na to trzeba czasu. Tak więc nawet te dwadzieścia galeonów,

którymi dysponuje wróg, może być o wiele bardziej niebezpiecznych niż trzydzieści naszych. Nie zdziwiłbym się więc, gdyby zajęcie wysp było częścią planu wyciągnięcia nas teraz w morze.

- O tym nie pomyślałem - przyznał biskup. - Zabrali coś, co należało do nas, i czekają, aż po to przyjdziemy, by walczyć na własnych warunkach, nie naszych? O tym mówisz, mój panie?

- O czymś w tym stylu, tak. - Hrabia Thirsku skinął głową. - Jeśli im odmówimy, uczynią kolejny ruch i zaczną grasować po naszym wybrzeżu, niszcząc cały handel. Na pewno już wiedzą, że tworzymy konwoje, a tych nie da się łatwo namierzyć, jeśli nie podzieli się sił. Wątpię jednak, by charisjański admirał był skłonny wysłać w morze mniejsze zespoły niż powiedzmy, pięć, góra cztery galeony i ze dwa towarzyszące im zwiadowcze szkunery. Bardzo bym pragnął, by okazał się tak szalony i podsuwał nam swoją eskadrę po odrobinie, ale nie robię sobie wielkich nadziei. Z drugiej jednak strony on musi podejść do wybrzeży, by zaatakować. A najbardziej będzie polował właśnie na konwoje. To one przyciągnęły Charisjan tak daleko od ich domów. Jestem też pewien, że przywieźli ze sobą mnóstwo zapasów, drewna do łatania wyrw w poszyciu, płótna żaglowego i tym podobnych rzeczy, ale to przecież nie to samo, co mieć wsparcie własnych stoczni. Ta sama prawda dotyczy siły żywej, oni dysponują określoną liczbą marynarzy i znikąd nie dostaną uzupełnień. Zatem jeśli nawet będziemy ponosili w starciach większe straty, i tak wygramy, mając bliskie i rozległe zaplecze. Spójrzmy na to z szerszej perspektywy. Utrata okrętu zaboli Charisjan o wiele bardziej niż nas, ponieważ mamy o wiele większe możliwości uzupełniania strat niż oni.

- Zatem uważasz, mój panie, że to dobra okazja, by ich wykrwawić?

- Owszem. A co ważniejsze, jeśli podejmiemy do tej sprawy we właściwy sposób, zyskamy także wiele okazji do zaprawienia w boju naszych załóg. Jeśli eskorty konwojów okażą się wystarczająco liczne, by odeprzeć kilka kolejnych ataków, nawet za cenę utraty części frachtowców bądź jednego czy dwóch naszych galeonów, załogi pozostałych okrętów zyskają sporo doświadczenia. I pewności siebie. O ile, rzecz jasna, wróg nie spierze nas tak, że będziemy srali zębami.

- No tak... - Maik uśmiechnął się, a potem opadł na oparcie fotela, marszcząc czoło w zamyśleniu. Trwał w tej pozycji przez dłuższą chwilę, a potem nagle westchnął głośno i skinął głową. - Rozumiem twój punkt widzenia, Lywysie, i uważam, że masz rację. Stanę po twojej stronie w sporze z księciem Thorastu i jeśli okaże się to niezbędne, księciem Fernu. Gdyby jednak to nie wystarczyło do zyskania ich poparcia dla twoich planów, będziemy musieli pomyśleć o innym rozwiązaniu. - Skrzywił się. - Powstrzymanie się od działania nie

wchodzi niestety w grę.

- I nie powinno - przyznał hrabia Thirsku. - Niestety taka możliwość istnieje. Zatem, w razie gdyby odmówili poparcia mojego planu, przedstawię im propozycję, która całkowicie zmieni ich nastawienie.

## **.V.**

### **HMS SZKWAŁ CIEŚNINA HANKEY KRÓLESTWO DOHLARU**

- Przygotować baterie na sterburcie!

Kapitan Ahrnahld Stywyrnt obserwował topniejącą w oczach odległość dzielącą HMS *Szkwał* od ściganej harchońskiej jednostki. Niewielki, ociążały zbieg robił co mógł, by oddalić się od prześladowcy, gdy ten w towarzystwie podobnych mu okrętów wpadł na bezładną zbieraninę brygów i słupów. Nie miał jednak na to żadnych szans. Przybrzeżny stateczek był ponaddwukrotnie mniejszy od *Szkwału*, na jego masztach mieściło się więc tylko kilka niewielkich żagli, które podczas tak wietrznej pogody były praktycznie bezużyteczne.

*A pogoda dzisiaj jest naprawdę wietrzna*, pomyślał Stywyrnt.

On jednak nie miał powodów do narzekań. Wiatr tężał już od świtu; teraz wiał z południowego zachodu, sięgając w porywach trzydziestu mil na godzinę, a fala wzrosła do dziesięciu stóp. Idący bajdewindem *Szkwał* kładł się mocno na sterburtę, pędząc z prędkością prawie dziesięciu węzłów. Małeńki bryg wyciągał co najwyżej sześć, w dodatku zbyt późno skręcił w kierunku nieodległych płycizn. Poza tym *Szkwał* był jedną z konwertowanych jednostek marynarki wojennej Charisu, miał więc o wiele mniejsze zanurzenie niż potężne galeony, jak choćby ten, z którego dowodził admirał Manthyr.

Stywyrnt widział sylwetkę kapitana ściganego frachtowca. Mężczyzna stał na rufie, spoglądając bezradnie na zbliżający się szkuner. *Ciekawe, o czym myśli w tej chwili...* Tego typu jednostki przybrzeżne należały zazwyczaj do rodzinnych firm, a na ich pokładach często służyli krewni właścicieli. Na tym brygu było dziesięciu, może dwunastu członków załogi - najwyżej piętnastu - a jedna celna salwa burtowa *Szkwału* mogła zamienić ich w krwawą miazgę. Szyper brygu także musiał o tym wiedzieć, dlatego Stywyrnt był zdziwiony, że nie

kazał jeszcze opuścić bandery Świątyni i nie poddał swojego statku.

*To prawdopodobnie ma coś wspólnego z raportami nadchodzącymi z Syjonu, pomyślał z goryczą. Jeśli Clyntahn był w stanie robić tak potworne rzeczy wikariuszom i arcybiskupom, Bóg jeden wie, co spotkałoby zwykłego szypra takiej krypy, który poddał się zbyt szybko!*

Ahrnahld Stywyrt nie był człowiekiem, który lituje się nad wrogami Imperium i Kościoła Charisu, nie mógł się jednak powstrzymać przed okazaniem szczątkowego choćby współczucia dowódcy ściganej jednostki. Niesmak, jaki czuł, nie dotyczył bynajmniej tego bezradnego żeglarza.

*Mogę współczuć mu do samego wieczora, ale to i tak nie zmieni faktu, że muszę posłać na żer krakenów jego żalosne dupsko oraz wszystkich krewnych i znajomych, których ma na pokładzie, jeśli zaraz nie opuści bandery, dodał pośpiesznie w myślach i uniósł skórzaną tubę do ust.*

- Panie Mahldyn!

- Aye, sir?

Porucznik Zhames Mahldyn, wysoki i szczupły pierwszy oficer Szkwału, stał na dziobie obok jednego z dział. Jego rude włosy powiewały na wietrze. Gdy spojrzał w stronę nawołującego go dowódcy, Stywyrt wskazał wolną ręką w kierunku brygu.

- Wbijcie mu trochę rozumu do głowy, panie Mahldyn!

- Aye, aye, sir!

Stojący na rufie kapitan nie mógł widzieć szerokiego uśmiechu porucznika, gdy ten pochylał się nad tyłem czternastofuntówki. Gmerał tam przez chwilę, wymachując co rusz rękami, podczas gdy rozbawiony dowódca obsady stał spokojnie z boku, obserwując jego zmagania z ramionami założonymi na piersi. Mimo że Mahldyn był oficerem odpowiedzialnym za dyscyplinę wśród załogi (i zawsze karał surowo winnych), ludzie go lubili. Może dlatego, że sam również często zbierał nagany i kary. Wszyscy też wiedzieli, że porucznik od dziecka marzył o tym, by zostać kanonierem. Uczestniczył więc we wszystkich szkoleniach, jakie dowódcy obsad urządzali swoim ludziom, i przy każdej okazji starał się zastępować ich przy dziale.

Dlatego dowódca baterii dziobowej stał teraz z boku, przyglądając się ze spokojem jego krzątaniu.

W końcu Mahldyn spojrzał raz jeszcze na koniec lufy, dał reszcie obsady sygnał do cofnięcia się w bezpieczne miejsce, chwycił koniec sznura spustowego, wyczekał na stosowny moment i pociągnął mocno.

Czternastofuntówka zagrzmiała, koła jej lawety zaskrzypiały, sunąc po deskach pokładu do chwili, aż liny napinaczy wytłumiły impet. Z lufy wydobyły się języki ognia i kłęby gęstego dymu. Stywyrnt zrobił wielkie oczy, gdy zobaczył, że pierwsza kula trafiła dokładnie w cel. Kula przebiła wysokie nadburcie brygu, roztrzaskała szalupę znajdującą się nad głównym lukiem, rozrywając ją na pół, i przebiwszy poszycie drugiej burty, wpadła do morza daleko za frachtowcem. Co najmniej jeden z członków harchońskiej jednostki został raniony. Leżał teraz na pokładzie, trzymając się obiema rękami za prawe udo. *Rana od drzazgi*, pomyślał Stywyrnt. *Takie potrafią być o wiele paskudniejsze, niż się wydaje na pierwszy rzut oka, zwłaszcza że bardzo często dochodzi do infekcji.*

Nie spodziewał się, że Mahldyn zdoła trafić w cel za pierwszym razem. Szczerze mówiąc, miał nadzieję, że porucznik pośle kulę przed dziób uciekającej jednostki. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zaraz zrezygnował i raz jeszcze zebrał myśli.

A niech mnie, nie powiedziałem nic o strzelaniu przed dziób. A przecież wiem, jak entuzjastycznie Zhames podchodzi do tej roboty...

Skrzywił się, lecz ten pojedynczy strzał przyniósł spodziewany efekt. Ścigany bryg opuścił banderę i zrzucił żagle na znak, że chce się poddać. Stywyrnt natychmiast zerknął na własne ożaglowanie.

- Opuścić bramsel! - rozkazał i natychmiast usłyszał dudnienie stóp o pokład.

Fokbramreja zjechała w dół, a podciągnięte gordingami płótno przywarło do niej kilkoma brzuchatymi fałdami. Okręt wyraźnie zwolnił, dryfując mocniej na zawietrzną i z wolna skręcając ku zdobyczy. Gdy prędkości obu jednostek się wyrównały, bosman polecił opuścić szalupę, a Stywyrnt obrócił się do kapitana Bahrnabaia Kaitsa, dowódcy oddziału piechoty morskiej stacjonującego na pokładzie *Szkwału*.

- Nie baw się z nimi, Bahrnabaiau. Jesteśmy bliżej wybrzeży, niżbym sobie tego życzył. Przewieźcie tego ich rannego pierwszą łodzią, potem zabierzcie pozostałych razem z dokumentami, jeśli takowe posiadają, i spalcie tę krypę.

- Aye, sir! - Kaits walnął się pięścią w pierś, oddając salut, potem skinął głową na starszego sierżanta. - Słyszeliście, co kapitan powiedział?

- Aye, aye, sir!

Stywyrnt przyglądał się sześciu żołnierzom piechoty morskiej, gdy ci wspinali się na szalupę razem z kadetem dowodzącym wiosłarzami wybranymi spośród załogi. Wyciągi były kolejnym wynalazkiem sir Dustyna Olyvyra, jednym z ciekawszych, zdaniem Stywyrnta. Dzięki nim można byto szybciej i bezpieczniej opuszczać łodzie, które w dodatku wisiwały teraz nad pokładem, oszczędzając masę cennego miejsca.



Szalupa opadła na wodę po zawietrznej szkunera, wiosła natychmiast trafiły w dulki, kierując ją prosto na wysokie fale, które musiała pokonywać w asyście rozbryzgiwanej piany. Stywyrt, patrząc na nią, przypomniał sobie czasy, gdy sam był kadetem i uprawiał takie szalone rejsy szalupami, aczkolwiek jemu dane było to robić jeszcze w czasach pokoju.

*Cóż, lepiej, żebyś przywykł do tego, chłopcze, pomyślał kapitan, poważniejąc, a potem spojrzał na południe, gdzie dwie wysokie kolumny dymu świadczyły o zniszczeniu innych przybrzeżnych jednostek. Jeśli się nie mylę, zdążysz wydorośleć, zanim ta wojna dobiegnie końca. Na razie jednak...*

Znów skupił uwagę na swoim przyzie - kręcąc głową, obserwował, jak szalupa zbliża się do niego. Cieszyło go, że Grupa Czworka straci towary przewożone na pokładzie tej jednostki, ale nie czuł zadowolenia z niszczenia statku, który był źródłem utrzymania jakiejś rodziny.

*Na to jednak nie mogą nic poradzić, prócz zadbania, abyście byli traktowani porządnie, zanim wysadzimy was gdzieś na wybrzeżu, pomyślał.*

Zaczerpnął głęboko tchu, złożył dłonie za plecami i zaczął krążyć po nawietrznej stronie pokładu rufowego.

**CZERWIEC**

**ROKU PAŃSKIEGO 894**

.I.

**PAŁAC KRÓLEWSKI**

**MANCHYR**

**CORISAND**

- A zatem, Korynie, o co twoim zdaniem chodzi w tym wszystkim?

- Ojczy, gdybym to wiedział, potrafiłbym także czytać w myślach, przepowiadać pogodę, odgadywać wyniki wyścigów i znaleźć moją zagubioną lewą skarpetkę - odparł sir Koryn Gahrvai, na co hrabia Skalnego Kowadła się roześmiał.

- Sądzę, że możemy sobie pozwolić na wysunięcie kilku przypuszczeń, Ryselu - odezwał się sir Taryl.

Hrabia Tartarianu, siedzący u szczytu stołu konferencyjnego, czyścił sobie paznokcie czubkiem nożyka do listów, odchylony wygodnie na oparcie krzesła i ze stopami wyciągniętymi na siedzisku miejsca przeznaczonego normalnie dla hrabiego Stromeego Wzgórza. Zdaniem Gahrvaia, Taryl nie wybrał tego właśnie siedziska całkiem przypadkowo.

- Cóż, skoro tak, Tarylu, wysuwaj, co tam masz - zgodził się łaskawie hrabia Skalnego Kowadła.

- Po pierwsze - zaczął hrabia Tartarianu - kapitan Athrawes zażyczył sobie rozmowy z naszą czwórką, nie z całą radą. Po drugie wszyscy wiemy, w jakiej zażyłości pozostaje *seijin* z cesarzem Caylebem oraz jak mi się wydaje, z cesarzową. Po trzecie arcybiskup Maikel nie będzie obecny... - Urwał i uniósł lewą rękę, aby przyjrzeć się swemu dziełu. Hrabia Skalnego Kowadła skwitował to parsknięciem.

- I te trzy wymienione przez ciebie punkty świadczą o czym dokładnie, mój ty mędrze?

- Uważam, że dobry kapitan dostarczy nam jakąś wiadomość - odparł hrabia Tartarianu, spoglądając na starego przyjaciela przez rozczapierzone palce. - A że nie będzie przy tym arcybiskupa, stawiałbym na to, że wiadomość ta będzie dotyczyła spraw świeckich. Być może nawet takich, o jakich Kościół woli nie wiedzieć.

- A dlaczego twoim zdaniem zwlekał z jej przekazaniem aż do tej chwili?

- To nieco trudniejsze pytanie - przyznał hrabia Tartarianu. - Chociaż jak wiadomo, krąży między nimi korespondencja. Można więc założyć, że kapitan Athrawes sam

dowiedział się o tym dopiero z listu od Cayleba.

- Tylko że - wtrącił z szacunkiem sir Charlz Doyal ze swego miejsca za Gahrvaiem - Cayleb i Sharleyan wyjechali do Tellesbergu ponad miesiąc temu. Co by znaczyło, że w chwili obecnej przebywają na morzu, a to jak wiadomo, utrudnia nieco przesyłanie wiadomości.

- Zapalczywi młodzieńcy, którzy wytykają luki w rozumowaniu starszych od siebie, często źle kończą - zauważył sentencjonalnie hrabia Tartarianu, nie zwracając się do nikogo w szczególności, natomiast Doyal, niewiele młodszy od hrabiego, tylko zaśmiał się pod nosem.

- A jednak, Tarylu, musisz przyznać, że jego uwaga nie była głupia - skomentował hrabia Skalnego Kowadła.

- Oczywiście, że nie. Gdyby była głupia, starłbym go na proch śmiertelną siłą swoich argumentów, i już. A tak muszę przyznać, że nie mam pojęcia, dlaczego *seijin* zwlekał aż do tej pory z przekazaniem nam owej wiadomości, jakakolwiek ona jest. No! - Zaczął czyścić sobie paznokcie u drugiej ręki. - Słowo się rzekło. Też jestem omylny!

- Ziemia zadrżała mi pod stopami - rzekł cierpko hrabia Skalnego Kowadła i tym razem to Gahrvai się roześmiał.

W rzeczywistości żaden z nich nie miał pojęcia, z jakiego powodu kapitan Athrawes chce z nimi rozmawiać. Z tym wyjątkiem, że - jak słusznie zauważył Taryl - było niemal pewne, w czyim imieniu będzie przemawiał. Mimo to atmosfera panująca w komnacie rady była znacznie bardziej rozluźniona niż jeszcze przed paroma miesiącami.

Gahrvai nadal gorzko żałował tego, co spotkało ojca Tymahna, ale nie dało się ukryć, że decyzja Waimyna, aby go zamordować, stanowiła punkt zwrotny tutaj, w Manchyrze. Młody Gahrvai nie zamierzał ogłaszać przedwcześnie zwycięstwa, lecz nie dało się ukryć, że ten akt przemocy pociągnął za sobą aresztowanie Waimyna, a egzekucja byłego intendenta wywołała nie protesty i bunty, tylko coś znacznie bardziej przypominającego ogólne westchnienie ulgi. Pamflety antycharisjańskie nadal pojawiały się na progach domów w całym mieście. Lojaliści Świątyni nadal gromadzili się w swoich kościołach, wysłuchując kazań własnych księży. Żołnierze piechoty morskiej Charisu nadal ściągali nieprzychylnie spojrzenia, a czasem nawet słyszeli gwizdy, lecz nikt już nie podkładał im martwych jaszczurkotów. Ani nawet nie rzucał w nich zgnitymi pomidorami.

Na okupanta wciąż patrzono niechętnie, jednakże większość Corisandczyków - przynajmniej tych z południowego wschodu - niechętnie, bo niechętnie, ale przyznawała, że Charisjanie naprawdę starają się ich nie pognać do reszty.

A fakt, że wicekról, generał Chermyn, bardzo skrupulatnie przestrzegał lokalnych praw i zwyczajów, także nie przynosił okupantom ujmy. Corisandczycy zauważali też, że Charisjanie zaufali siłom porządkowym sir Gahrvaia i pozostawili im dbanie o ład w księstwie. Świetnym testem na działanie tego systemu był moment gwałtu popełnionego na młodej wieśniaczce przez trzech żołnierzy cesarskiej piechoty morskiej. Gahrvai poszedł z tą sprawą prosto do Chermyna, a odpowiedź była natychmiastowa i zdecydowana. Wicekról nakazał aresztowanie podejrzanych, postawienie ich przed sądem polowym i dopuszczenie corisandzkich świadków znalezionych przez sir Gahrvaia. Obrońcy wymagowali ich ostro, ale żadnemu nie udało się zarzucić kłamstwa, więc werdykt sądu był jednoznaczny. Konwencje wojenne przewidywały tylko jedną karę za zbiorowy gwałt. Winni pomaszzerowali więc na farmę, gdzie doszło do przestępstwa i gdzie miała się odbyć ich egzekucja.

To nie był jedyny przykład wspólnego przestrzegania prawa, aczkolwiek Charisjanie dopuszczali się znacznie mniejszej liczby przestępstw, niż przypuszczał sir Koryn. Ku swojemu przerażeniu odkrył, że jego własna armia, czekając na inwazję Charisu, popełniła znacznie więcej wykroczeń przeciw zdrowiu i mieniu poddanych księcia Hektora niż wojska okupacyjne od chwili zajęcia Manchyru. Sytuacja daleka była jednak od idealnej - Charisjanie zachowywali się porządnie, ale daleko im było do świętości. Kradli, łupili, czasami sprali kogoś po pysku. Do tej pory zginęło jednak tylko dwóch Corisandczyków, z czego jeden został zabity w samoobronie, co zostało potwierdzone w trakcie śledztwa. Obywatele księstwa, choć niechętnie, przyznawali w rozmowach, że okupant dba bardziej o poczucie sprawiedliwości niż o własne korzyści.

*I jeszcze ten Staynair, pomyślał Gahrvai. Ten człowiek jest straszny. To naprawdę nienormalne. Charisjanin, czyli heretyk... ale samym gadaniem skłoniłby jaszczurodrapa, by mu z ręki jadł.*

Uśmiechnął się pod nosem, aczkolwiek nie był do końca przekonany, czy to naprawdę była hiperbola. Maikel Staynair nigdy nie przeprosił za schizmatyczne zapędy Kościoła Charisu. W każdym ze swoich kazań kreślił wyraźną granicę pomiędzy Kościołem Charisu a lojalistami Świątyni, nikt więc spośród tych, którzy widzieli go i słyszeli podczas mszy, nie mógł mieć wątpliwości, komu służy. Mimo to jednak, mimo niezachwianej wiary i wyzwzań rzuconych wikariatowi oraz Grupie Czwojga, arcybiskup emanował dobrocią i łagodnością, której zaprzeczyć mogli wyłącznie najbardziej zagorzali przeciwnicy Charisu.

Wielu z nich próbowało to robić, ale Gahrvai obserwował uważnie Staynaira kroczącego nawami katedr i kościołów stolicy. Widział, jak „zagraniczny arcybiskup”, „heretyk i apostata” i „sługa Shan-wei” przystaje przy ławach, by położyć dłoń na głowce

dziecka, porozmawiać z jego rodzicami, zatrzymując całą procesję na czas udzielania im błogosławieństw. To musiał być koszmar dla agentów odpowiadających za jego życie, ponieważ nikt nie mógł zagwarantować, że w domu bożym nie znajdzie się szaleniec z dobrze ukrytym sztyletem.

Nikt go jednak nie zaatakował. Docierał do celu, obejmowany przez ludzi, uwielbiany. A wszyscy słyszeli przecież, co wydarzyło się w Tellesbergu. Wiedzieli też, że Staynair musi mieć pełną świadomość - na podstawie osobistego doświadczenia - co mu grozi, jeśli ktoś zaryzykuje powtórzenie takiego ataku. A mimo to nadal podchodził do wiernych, ryzykując utratę życia.

Arcybiskupi nie mogli zachowywać się w taki sposób. Powinni być majestatyczni. Odwiedzać swoje arcybiskupstwa raz do roku. Koncelebrować msze w kaplicach przylegających do ich pałaców, a nie w niewielkich kościółkach, jak u świętej Kathryn czy u Archaniołów Tryumfujących. Powinni maszerować pośród wiernych jak książęta Kościoła, którymi przecież byli, nie zatrzymując się, by brać niemowlęta w ramiona czy pogłodzić po głowie kolejnego brzdąca albo pocieszyć strapioną wdowę. Reprezentowali potęgę i sprawiedliwość Kościoła Matki, rządili nim, lecz nigdy nie ściskali sześćioletnich urwisów, łaskocząc ich i przytulając do bezcennej sutanny, gdy odwiedzali któryś z sierocińców Kościoła Matki.

Corisand nie miał pojęcia, jak traktować tego człowieka. Nawet Gahrvai bił się z myślami. Nie przywykł do spotykania świętych... zwłaszcza noszących szaty arcybiskupie.

Tylko że on nie jest świętym. Obawiam się, że pierwszy zaprotestowałby przed tym określeniem. Ale póki nie znajdę lepszego słowa na...

Dźwięk otwieranych drzwi wyrwał go z zamyślenia.. Zmrużył oczy, gdy do komnaty rady wszedł kapitan Athrawes.

*Seijin* zbliżył się do stołu i złożył stosowny ukłon.

- Moi panowie, dziękuję za sposobność rozmowy z wami - powiedział.

- Obawiam się, że raczej nie mogliśmy ci odmówić - odparł oschłym tonem hrabia Skalnego Kowadła.

- Zapewne nie. - Merlin uśmiechnął się. - Niemniej wolałbym, abyśmy zachowywali pozory.

- Skoro tak mówisz. - Hrabia Skalnego Kowadła przechylił głowę. - Nie zdziwisz się, jeśli powiem, że zastanawialiśmy się przed momentem, dlaczego wybrałeś właśnie nas, *seijinie* Merlinie. Czy mogę zakładać, że przybywasz do nas z polecenia cesarza i cesarzowej?

- Możesz.

- W takim razie powinienem poprosić, byś usiadł - mruknął hrabia, wskazując wolne krzesło naprzeciw swojego syna i Doyala.

- Dziękuję, mój panie.

Merlin odczepił pochwę katany i położył ją na blacie przed sobą. Potem usiadł, składając dłonie na stole.

- Zatem, *seijinie* - zagaił hrabia. - Oddajemy się do twojej dyspozycji.

- Dziękuję - powtórzył Merlin, uśmiechając się pod nosem. - Moi panowie - zaczął - sędzę, że dzisiaj cały świat już wie, iż cesarz ma *seijina* za przybocznego. Słyszeliście też zapewne, że nigdy nie utrzymywałem, jakobym był *seijinem*. Prawda jest taka, że na świecie nie ma kogoś takiego jak *sejिनowie* z dawnych podań i legend. - Mówił to z takim spokojem, że słuchający go ludzie poruszyli się niezręcznie. Hrabia Skalnego Kowadła pochylił się do przodu, opierając rękę na podłokietniku, a hrabia Tartarianu zmarszczył mocno brwi. - Weźmy dla przykładu opowieści o *seijinie* Kohdym - kontynuował tymczasem Athrawes. - Mamy w nich każdy rodzaj magii, od czytania w myślach, poprzez lewitację, aż po rozmowy z jaszczurodrapami. Nie zapomnijmy także o magicznym mieczu i zdolności przenikania przez ściany. - Uśmiechnął się krzywo. - Uwierzcie mi, moi panowie, nieraz pragnąłem osiąść moc pozwalającą na takie wyczyny. Niestety nadal nie potrafię przechodzić przez ściany. Nie powiem jednak, że te wszystkie opowieści nie kryją w sobie ziarna prawdy. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Chociaż nigdy nie twierdziłem, że jestem *seijinem*, posiadałem kilka umiejętności przypisywanych tym legendarnym postaciom. Nie protestowałem więc, gdy przypinano mi tę łatkę... jako że było to pomocne na pewnym etapie... - przerwał na moment, przyglądając się słuchaczom, a potem wzruszył ramionami. - Powodem naszego tutaj spotkania, moi panowie, jest to, że mogę nie być aż tak unikatowy, jak przypuszczaliście. Albo, inaczej mówiąc, że na tym świecie jest więcej *sejिनów*, niż myślicie.

W tym momencie wszyscy zeszywnieli. Spojrzeli po sobie szybko, potem pochylili się ku niemu jak jeden mąż. Uśmiechnął się na ten widok, bładziej i krzywiej niż przed chwilą.

- Gdy oferowałem swoje usługi królowi Haarahldowi, a potem jego synowi cesarzowi Caylebowi, nie robiłem tego bez powodu - zapewnił ich obojętnym tonem. - Nie będę udawał, że przewidziałem wszystko, co miało miejsce później, ale możecie mi wierzyć, wiem, skąd wieje wiatr przemian i do czego doprowadzi. Dlatego ofiarowałem Charisowi nie tylko mój miecz, gdy przybyłem do Tellesbergu, i nie pojawiłem się tam w pojedynkę. Jeśli można mnie nazwać *seijinem* ze względu na moje niezwykle umiejętności, możecie być pewni, że nie

jestem jedynym *seijinem* na Schronieniu.

- Jest was więcej? - zapytał hrabia Skalnego Kowadła, zniżając głos, gdy Merlin zamilkł po raz kolejny.

- Oczywiście, mój panie. - Athrawes pokiwał głową. - Ale jak zapewne wiecie, nawet w baśniach nie wszyscy *sejिनowie* są wojownikami. Często pełnią też rolę doradców, nauczycieli, mentorów, a nawet szpiegów.

- Owszem, to też - przyznał Doyal, wolno cedząc słowa, a Merlin uśmiechnął się do niego.

- Właśnie, sir Doyalu. A tak się składa, że teraz w Corisandzie działa kilku takich *sejिनów*.

- U nas? - Hrabia Skalnego Kowadła wyprostował się w fotelu, gdy Merlin skinął głową.

- Tak, mój panie. Sir Koryn ma tego dowody.

- Ja? - Gahrvai spojrział na Merlina ponad stołem.

- Owszem. - *Seijin* wyszczerzył się w uśmiechu. - Dotarli do ciebie z kamieniem ciśniętym w okno.

- To zrobił *seijin*? - Gdy sir Koryn otworzył szeroko oczy, Merlin zaśmiał się pod nosem.

- Skoro ja jestem *seijinem*, on z pewnością musiał nim być, generale. Całe księstwo jest pod ich nieustanną obserwacją. Moi panowie, oni tu byli, zanim cesarz dokonał inwazji. - Wzruszył ramionami, widząc na ich twarzach niedowierzanie. - Ale nawet nasza siatka nie może zauważyć wszystkiego. Gdyby tak było, mielibyśmy człowieka, który nakazał zabić księcia Hektora, a jak widać, nie potrafimy go znaleźć. - Spojrzenie jego niesamowitych szafirowych oczu stwardniało, gdy wypowiadał to zdanie. Musiał też wziąć głębszy wdech. - Nie możemy zobaczyć wszystkiego, ale naprawdę niewiele nam umyka, o czym sir Koryn może zaświadczyć. Umiemy także dostarczyć konkretne informacje władzom, gdy jest to konieczne. Właśnie z tego powodu poprosiłem was dzisiaj o spotkanie. Otrzymałem kilka raportów potwierdzających coś, czego ich cesarskie moście spodziewały się od jakiegoś czasu. A skoro arcybiskup Maikel ma opuścić Corisand już w przyszłym pięciodniu, ja zaś muszę udać się w podróż razem z nim, zajdzie konieczność, by moi informatorzy dostarczali kolejne informacje bezpośrednio do waszych rąk. Dokładniej rzecz ujmując, do rąk sir Doyala i sir Koryna. Ponieważ skuteczność moich agentów wymaga ich całkowitej anonimowości, raporty te będziecie otrzymywali w formie pisemnej.

- Będą wpadać przez okna? - zapytał z ironią w głosie sir Gahrvai.



- Postaram się, aby był to mniej destrukcyjny sposób - obiecał uśmiechnięty Merlin.

- Mam nadzieję, że twoi kompani nie nadzieją się na naszych strażników. Mogliby tego potem żałować - dodał zgryźliwym tonem hrabia Skalnego Kowadła. Wizja zakapturzonych i wszystkowiedzących szpiegów nie wydała mu się wcale taka zabawna.

- Sądzę, że nigdy nie dojdzie do czegoś takiego, mój panie.

- Wspomniałeś przed chwilą, *sejjinie*, że otrzymałeś raport o czymś, czego ich cesarskie moście się spodziewały - Doyal zmienił temat, a Merlin natychmiast spoważniał i skinął głową.

- Owszem - odparł. - A konkretnie otrzymałem to... - Wyjął kopertę i położył ją na blacie przed sobą. - Żarty na bok, moi panowie. Agenci ustalili ponad wszelką wątpliwość, że hrabia Stromeo Wzgórza jest zamieszany w spisek przeciw cesarstwu i tej radzie.

Twarze wszystkich Corisandczyków natychmiast stężały, ale nie ze zdumienia, lecz ze strachu.

- To poważny zarzut, Merlinie - rzucił hrabia Tartarianu po dłuższej chwili. - W wypadku każdego człowieka, aczkolwiek gdy chodzi o kogoś tak znacznego jak hrabia Stromeo Wzgórza, który, nie zapominajmy, jest także członkiem tej rady, staje się niezwykle poważny.

- Zaufajcie mi, moi panowie. Ich cesarskie moście już o wszystkim wiedzą. Tak samo jak o tym, że hrabia Stromeo Wzgórza nie działa w pojedynkę. Jego współnikami są hrabiowie Burzowej Warowni i Głębokiej Doliny, książę Czarnej Wody oraz baronowie Larchrosu i Barcoru. Poza nimi do spisku należy ponad dziesięciu pomniejszych rycerzy i właścicieli ziemskich, nie wspominając o garstce bankierów i kupców z północy. - Wszyscy wpatrywali się teraz w niego intensywnie, ale każdy miał inną minę. - Mówię też o biskupie Mailvynie z Barcoru, biskupie egzekutorze Thomysie, Amilainie Gahrnahtcie, byłym biskupie Larchrosu, oraz wielu dziesiątkach kapłanów lojalnych wobec Świątyni... o większości z tych, którzy odmówili złożenia ślubów wierności arcybiskupowi Klairmantowi.

Członkowie rady wysłuchali go, a potem zaczęli zerkać na siebie.

- Nie ukrywam, że żywiłem podejrzenia wobec kilku osób, które wymieniłeś przed chwilą, Merlinie - przyznał hrabia Tartarianu. - Ale wszyscy oni razem.... - Pokręcił głową. - To może być trudne do przełknięcia. Mówiąc wprost, będę potrzebował naprawdę solidnych dowodów, by w to uwierzyć.

- Jestem pewien, że je otrzymasz, mój panie. I szczerze mówiąc, poczuję ulgę, gdy to się stanie.

- Poczujesz ulgę? - W spojrzeniu hrabiego Skalnego Kowadła kryło się sporo

podejrzliwości. - A to dlaczego, *sejinnie*? Sądziłem, że będziesz chciał, abyśmy jak najszybciej zajęli się tak poważnym spiskiem.

- Mój panie, ich cesarskie moście wiedzą o knowaniach tych ludzi już od miesiący. Ich agenci zebrali w tym czasie całą masę dowodów winy spiskowców i wszystkie one trafiają w twoje ręce. Zaznaczę jednak, że ich cesarskie moście nie chcą, abyś działał pośpiesznie.

- Nie chcą? - Hrabia zmrużył oczy.

- Prawdę powiedziawszy, mój panie, ich cesarskie moście pozwoliły działać spiskowcom bez zwracania na nich waszej uwagi. Po pierwsze z obawy o waszą szybką i przesadną reakcję. W normalnej sytuacji byłaby ona nawet pożądana. Teraz jednak, za radą księcia Nahrmahna, oboje postanowili poczekać, aż czyny spiskowców będą niepodważalnymi dowodami ich winy. Nie chcieli bowiem, by ktokolwiek miał powody sądzić, że ich cesarskie moście, a nade wszystko członkowie tej rady, załatwiają przy okazji swoje prywatne porachunki. Po drugie jest jeszcze jeden gracz na tej scenie, jeszcze jeden zdrajca, na którego ujawnienie czekaliśmy.

- Rozumiem, że rzeczony właśnie się ujawnił? - zapytał sir Doyal.

- Słusznie prawisz, sir Charlzie - odparł ze spokojem Merlin. - Zgodnie z raportami naszych agentów wielki książę Zebediahu obiecał spiskowcom transport nowoczesnych muszkietów. Co więcej, mamy dowody na to, że ową broń dostarczy mu zdrajca z kwatery głównej księcia Eastshare.

O ile wcześniej na twarzach zebranych pojawiło się zaskoczenie, o tyle teraz wszystkie wyrażały bezgraniczne niedowierzanie i szok zarazem.

- Nowoczesne muszkiety? - wymamrotał hrabia Skalnego Kowadła zduszonym głosem, opadając z wrażenia na oparcie fotela. - Z kwatery głównej księcia Eastshare? Chcesz powiedzieć, *sejinnie*, że sam książę jest w to...

- Ależ skąd, moi panowie! - Merlin uniósł znacząco dłoń. - Osobiście rozmawiałem z księciem w tej sprawie, z polecenia ich cesarskich mości. Jego pierwszym odruchem była chęć natychmiastowego aresztowania zdrajcy. Na szczęście zdołałem mu to wyperswadować.

- Zdołałeś... - zaczął Gahrvai, lecz nagle zamilkł, tylko w oczach załśniło mu podejrzenie. Merlin spoglądał Korynowi prosto w twarz przez kilka sekund, dopóki ten nie pokręcił głową i nie opadł na oparcie fotela.

- Zatem uważasz, że oni są już gotowi do uderzenia? - zapytał, zniżając głos.

- Mniej więcej - przyznał Merlin, skinąwszy lekko głową.

Pozostali Corisandczycy wpatrywali się w Gahrvaia, a potem hrabia Tartarianu zaczął wolno kiwać głową.

- Zatem cesarz i cesarzowa zdecydowali się w końcu na ucięcie łba temu krakenowi? - zapytał, a w jego głosie dało się wychwycić nikłą, ale mimo to zauważalną nutę podziwu.

- Owszem, mój panie. Agent wielkiego księcia Zebediahu z kwatery głównej księcia Eastshare nie ma bladego pojęcia, że śledzimy losy muszkietów, które jego zdaniem skutecznie „zagięły”. Lecz my mamy je na oku od momentu opuszczenia manufaktury w Starym Charisie, więc możemy dostarczyć dowodów na piśmie i świadków, że człowiek ten doprowadził do ich błędnego przekierowania, dzięki czemu nie trafiły, jak powinny, do magazynów armii cesarskiej w Chisholmie. Inni nasi agenci śledzili korespondencję wielkiego księcia Zebediahu, stąd wiemy, że hrabia Stromeo Wzgórza wszedł w posiadanie dokumentu świadczącego o zdradzie waszego sąsiada, a naszego sojusznika. Ich wysokości chcą, by wspomniane wcześniej muszkiety trafiły na terytorium Corisandu. Gdy to się stanie, zostaniecie powiadomieni, podobnie jak wicekról, generał Chermyn. Wtedy zostaniecie też poproszeni przez niego, w imieniu ich cesarskich mości, o pomoc w ujęciu spiskowców. Flota Charisu zapewni transport waszym oddziałom, a generał wsparcie ze strony piechoty morskiej. Aresztujecie wszystkich spiskowców i przejmiecie ich broń oraz wszystkie inne dowody zdrady.

- Na rany Langhorne’a - jęknął hrabia Skalnego Kowadła. Wyglądał na mocno wstrząśniętego. Za to na twarzy hrabiego Tartarianu pojawił się wyjątkowo złośliwy uśmiech.

- Nigdy nie lubiłem wielkiego księcia - wtrącił. - A hrabia Stromeo Wzgórza zaraz po zamachu na księcia Hektora stał się uciążliwy jak przysłowiowy cierń w dupie.

- Jakoś nie czuję wielkiego żalu, słysząc, że baron Barcoru umoczył w tym spisku swój żaloszny tyłek - dodał Gahrvai z rozmarzoną miną.

- Ze mną jest podobnie - poparł go Doyal, tyle że znacznie poważniejszym tonem, rozmasowując jednocześnie nogę, w którą został ranny podczas bitwy przy Rozstajach Haryla.

Czwórka Corisandczyków spojrziała po sobie, a Merlin oparł się wygodniej, dając im czas na myślenie. Po kilku minutach rozważań zaczęli kolejno spoglądać w jego kierunku.

- Mogę zapytać, od jakiego czasu ich cesarskie moście z księciem Nahrmanem pozwalali naszym spiskowcom na kontrolowane działania? - zapytał w końcu hrabia Tartarianu.

- Od chwili, gdy się o wszystkim dowiedzieli - odparł Merlin. - Nie omieszkam też dodać, że od samego początku mieliśmy oko na nowego wielkiego księcia Zebediahu.

- Wcale się nie dziwię! - stwierdził hrabia Skalnego Kowadła. - Każdy ślepy głupek, a cesarz niejednokrotnie udowodnił nam, że nie należy do tej kategorii ludzi, miałby go na oku!

- Powiedz mi, *sejjinie*, dlaczego odnoszę wrażenie, że dowód na zdradę wielkiego księcia Zebediahu nie pogrążył ich cesarskich mości w rozpacz? - zapytał znowu hrabia Tartarianu.

- Może dlatego, że nie był on dla nich żadnym zaskoczeniem? - odparł Athrawes. - A może chodziło raczej o to, że czekali tylko na odpowiedni powód, by się go wreszcie pozbyć? - Wzruszył ramionami. - Szczerze mówiąc, cesarz nie zastanawiał się nigdy, czy wielki książę może nas zdradzić, tylko kiedy to zrobi. Z tego też powodu z wielkim zadowoleniem przyjął do wiadomości istnienie niepodważalnego dowodu na jego udział w spisku.

- To samo dotyczyło spraw w Corisandzie, jeśli się nie mylę? - Oczy hrabiego Skalnego Kowadła zrobiły się nagle bardzo przenikliwe.

- Owszem, mój panie, to samo dotyczyło spraw w Corisandzie. - Merlin nie spuścił wzroku. - Wiem, że wielu ludzi uczestniczących w tym spisku ma się za prawdziwych patriotów. Będąc na ich miejscu, pewnie czułbym to samo. Niestety nie dotyczy to wszystkich i dlatego cesarz z cesarżową proponują, by najsurowsze kary spotkały tych, którzy złamali daną nam przysięgę. Nie sugerują oni bynajmniej, że powinniście puścić wolno pozostałych. Zauważyliście jednak, jak mniemam, że podejście generała Chermyna do zajęć w Manchyrze wskazuje na chęć uniknięcia większego rozlewu krwi. Trzeba ukarać wszystkich winnych zgodnie z obowiązującym prawem, aczkolwiek wyroki powinny wskazywać na wielkoduszność nowej władzy. Na szczęście już wkrótce będziemy w stanie, jak to obrazowo określił hrabia Tartarianu, odciąć łeb krakenowi, i to jednym ciosem, unikając wielkiej bitwy i minimalizując straty. Ich cesarskie moście pragną dopaść wszystkich spiskowców, ale tylko dlatego, by nie powtarzać podobnych działań w nieskończoność. - Merlin spoglądał ze spokojem na otaczających go Corisandczyków. - Cayleb i Sharleyan nie są tacy jak Zhaspyr Clyntahn. Nie znajdują przyjemności w sianiu terroru i rozlewie krwi. Są jednak zdeterminowani, by zakończyć tę sprawę raz na zawsze, gdyż ludzie pokroju hrabiego Stromeego Wzgórza, wielkiego księcia Zebediahu i barona Barcoru wcale nie planują tej walki w imię niepodległości Corisandu. Chcą przelewać cudzą krew dla osiągnięcia osobistych korzyści, a na to nigdy nie będzie przyzwolenia.

## .II.

### U WYBRZEŻY WYSPY SMOKA

#### CIEŚNINA HANKEY

## KRÓLESTWO DOHLARU

*W końcu ich znaleźliśmy, pomyślał kapitan Ahrnahld Stywyrt. Teraz musimy wymyślić, co z nimi zrobić.*

Uśmiechnął się blado i zaraz skrzywił, gdy pierwszy z dohlariańskich galeonów odpalił kolejną salwę burtową. *Szkwał* znajdował się na samym końcu nierównej - i bardzo rozciągniętej - charisjańskiej linii, więc na razie nie brał jeszcze udziału w wymianie ognia. I przez dłuższą chwilę nie weźmie, ku rozczarowaniu jego kapitana.

Poranne słońce prażyło mocno, lejąc strugi żaru na wody cieśniny Hankey, południowe wejście do Zatoki Dohlariańskiej i zielone zbocza gór pokrywających Wyspę Smoka, leżącą nieco dalej na wschód. Na szczęście ochłodę przynosił solidny północno-zachodni wiatr. Wzdymał już dziesięciostopowe fale, lecz obity miedzią kadłub szkunera ciął je bez trudu z prędkością siedmiu węzłów. Dohlariańskie galeony szły niemal równolegle prawym halsem, kładąc się w ostrym bajdewindzie. Mimo wytężonej pracy załóg i postawionego kompletu żagli wyciągały jednak najwyżej sześć węzłów i dzieląca je od Charisjan odległość z wolna malała. Tylko te pięć jednostek zagradzało eskadrze Korony drogę do ofiar.

Trzy z dohlariańskich galeonów zaczęły już strzelać, prowadząc wymianę ognia z HMS *Rzutką*, wiodącą jednostką w charisjańskiej formacji. Kapitan Zhon Pawal, jej dowódca i najstarszy z oficerów, był weteranem kampanii przy Rafie Armagedonu. Jemu więc przypadł w udziale najnowszy okręt przydzielony do eskadry sir Gwylyma. *Rzutka* była o pięć i pół stopy dłuższa od *Cesarzowej Charisu*, czyli ulubionego flagowca Cayleba, ale na jej pokładzie umieszczono o dziesięć dział mniej. Sir Dustyn Olyvyr doszedł bowiem do wniosku - zanim zwodowano *Cesarzową Charisu* - że gigantyczne jednostki mają na pokładach zbyt wiele broni. Wtedy jednak nie było już czasu na zmniejszenie liczby armat stłoczonych na pokładach artyleryjskich. Dość szybko okazało się jednak, że jego obawy były uzasadnione: kadłuby wyraźnie się uginały na śródokręciu, co jednoznacznie świadczyło o przeciążeniu konstrukcji. Na szczęście wyszło to na jaw na tyle wcześnie, że można było jeszcze wprowadzić stosowne zmiany w planach powstającego okrętu klasy *Miecz Charisu*. Konstruktor nie tylko zmniejszył liczbę dział i ich rozmieszczenie, ale też zastosował po raz pierwszy skośne ułożenie desek poszycia, dzięki czemu udało mu się wzmocnić i uelastyczyć tak długi kadłub.

W rezultacie tych zmian HMS *Rzutka* bez trudu radził sobie z przenoszeniem i tak sporej liczby armat. Miał na pokładzie tyle samo trzydziestofuntówek co *Cesarzowa Charisu*,

lecz tylko dwadzieścia karonad, przez co dzięki uzyskaniu dodatkowej przestrzeni na pokładach artyleryjskich znacznie wzrosła szybkostrzelność zainstalowanych tam armat. Natomiast karonady, mimo że było ich mniej, mogły wystrzeliwać pięćdziesięciosiedmofuntowe kule zamiast trzydziestofuntowych, co w efekcie zwiększało masę pocisków odpalanych w każdej salwie. Działa znajdowały się także nieco wyżej niż na innych jednostkach, a osłony burt były wokół nich grubsze. Dzięki temu jednostka ta nadawała się idealnie do prowadzenia formacji w takich momentach jak ten, co jednak nie zmieniało faktu, że w chwili obecnej prowadziła wymianę ognia aż z trzema przeciwnikami naraz.

HMS *Tarcza* płynący jako drugi w linii, tuż za rufą *Rzutki*, wesprze ją ogniem za jakieś dziesięć do piętnastu minut. *Szkwał*, niestety, odszedł zbyt daleko na nawietrzną, zanim dostrzeżono formację wroga. Stywyrnt z żalem musiał przyznać, że jego konwertowany szkuner nie jest tak szybki jak pozostałe dwie jednostki eskadry. Z tego też powodu ciągnął się daleko za nimi, odpadając coraz bardziej podczas pościgu. Wprawdzie udało mu się wyciągać więcej niż Dohlarianom, ale i tak miał przed sobą jeszcze czterdzieści minut, a raczej całą godzinę do chwili, gdy dotrze do nich na odległość efektywnego strzału. Na jego szczęście dwie ostatnie jednostki w linii wroga wlekły się jeszcze bardziej.

*Oni nie powinni płynąć w tak idealnym szyku.* Stywyrnt nagle zdał sobie sprawę, że jego myśl brzmi niemal płaczliwie. *Sir Gwylym mówił nam, że hrabia Thirsku jest najniebezpieczniejszym człowiekiem po stronie wroga, ale to przecież jakaś kpina!*

Po pierwsze, natknęli się na ten konwój zupełnym przypadkiem. Zespół bojowy kapitana Pawala patrolował wody wokół północno-wschodnich wybrzeży Półwyspu Harrisa należącego do prowincji Shwei, wypatrując śladów jednostek pływających pomiędzy Przylądkiem Papugi na północy a Piaszczystą Łachą na południu. Charisjanie dysponowali raportami mówiącymi, że tą właśnie drogą wędrują transporty dział odlewanych w Shwei na potrzeby stoczni w Gorath. Kapitan Pawal otrzymał więc od sir Gwylyma zadanie przechwycenia tych transportów.

Udało im się przechwycić pięć niewielkich brygów, które przewoziły odlane z brązu harchońskie działa. Kapitan wysłał na nie obsady przyzowe i kazał odstawić cenny ładunek na wyspę Szpon. Nie podobało mu się, że traci tylu ludzi z załóg, ale ładunek był zbyt cenny, by ryzykować jego utratę. Potem nie mieli nic do roboty przez niemal cały pięćdziesiąt, zanim komandor porucznik Showail z dziesięciodziałowego szkunera *Błysk*, pilnującego lewej flanki formacji kapitana Pawala, dostrzegł żagle na horyzoncie. To wydarzenie miało miejsce wczoraj. Całą noc ścigali przeciwnika, wykorzystując blask pełni księżyca... przez co *Szkwał*

został nieco z tyłu. A teraz, niemal trzydzieści godzin żeglugi później, zespół dopadł w końcu uciekający konwój i dohlariańskie galeony z jego eskorty utworzyły linię pomiędzy frachtowcami a atakującymi jednostkami.

*Showail nigdy by ich nie zauważył, gdyby nie ta eskorta, pomyślał Stywyrta. Maszty frachtowców są bardzo niskie... nie sposób ich dostrzec z tak dużej odległości.*

Fakt, że obecność galeonów zdradziła pozycję konwoju, nie cieszył go jednak do końca. Wszystkie dohlariańskie okręty wojenne były większe od *Szkwału*. Może nie aż tak wielkie jak *Rzutka* czy *Tarcza*, ale zdaniem Stywyrta miały na pokładach ponad dwieście dział, podczas gdy niewielka formacja Charisjan dysponowała tylko stu czterdziestoma czterema lufami. Armaty wroga z pewnością miały mniejszy kaliber, ale i tak stanowiły pokaźną siłę ognia.

W tym momencie *Błysk* i drugi, nieco większy szkuner *Maczuga* opływały od tyłu linię galeonów wroga. Galery, które miały za zadanie chronić frachtowce, były większe, nowocześniejsze i lepiej uzbrojone niż wszystko, czym dysponowali Dohlarianie w bitwach przy Rafie Armagedonu, niemniej Stywyrta wątpił, by któraś z nich mogła nawiązać równorzędną walkę ze znacznie smuklejszymi i zwrotniejszymi szkunerami, a zwłaszcza z ich licznymi karonadami. Niestety opóźnienie spowodowane koniecznością walki z jednostkami eskorty mogło oznaczać, że większość frachtowców zdoła umknąć pogoni, jeśli dowódca konwoju wyda szybko rozkaz rozproszenia. Szkunery mogą dopaść po dwa, może nawet trzy statki, jeśli szybko rozprawią się z galerami, lecz konwój składał się z czternastu frachtowców. Gdyby *Szkwał* i pozostałe galeony zespołu dołączyły do nich w tym momencie, cały zostałby zatopiony.

Niestety wszystko wskazywało, że do tego nie dojdzie.

\* \* \*

Kapitan Caitahno Raisahndo uśmiechnął się z dziką satysfakcją, gdy HMS *Rakurai* odpalił kolejną salwę burtową. Jego kanonierzy nie byli może tak celni, jak by sobie tego życzył, ale osiągnęli zadziwiającą szybkostrzelność, zwłaszcza jak na załogę, która nigdy wcześniej nie brała udziału w prawdziwej walce.

Szkoda tylko, że pogoda im nie sprzyjała i musieli ostro halsować. Tyle w tym dobrego, że znajdowali się teraz po zawietrznej stronie konwoju. Kusilo go, by wysłać HMS *Księżę Dohlaru* do pomocy galerom eskortującym frachtowce. Niestety ostatni okręt w linii nie zdołałby dotrzeć tam przed piekielnie szybkimi szkunerami przeklętych Charisjan. Na szczęście wszystkie pięć galeonów jego eskadry znajdowało się teraz pomiędzy frachtowcami a większymi jednostkami Charisjan, miał więc pewność, że żaden z nich nie dołączy do

masakrowania statków handlowych. Chyba że wcześniej przebiją się przez jego galeony.

*Aczkolwiek, chociaż nie przyznałbym się do tego nawet na mękach, jestem pewien, że możliwość postania na dno dwóch albo i trzech charisjańskich galeonów warta byłaby utraty całego konwoju.*

HMS *Rakurai* był konwertowanym okrętem, brakowało mu więc podniesionego pokładu rufowego, tak charakterystycznego dla nowo budowanych jednostek floty Dohlaru. W rezultacie jego ster, działa pokładowe i oficerowie byli wystawieni na ogień przeciwnika. Z drugiej jednak strony oznaczało to, że stojąc przy relingu, Raisahndo miał (przynajmniej w teorii) doskonały widok na całe pole bitwy. Tak się jednak składało, że teraz spoglądał prosto na ścianę gęstego, cuchnącego i gryzącego dymu prochowego, nawiewanego prosto na pokład. To było nieuniknione utrudnienie, kiedy płynęło się po zawietrznej. Kanonierzy musieli radzić sobie nie tylko z własnym dymem bijącym im prosto w oczy, ale też z chmurami nadciągającymi od strony charisjańskich galeonów. Widzieli jedynie szczyty masztów kołyszące się za ścianą cuchnącej szarej zawiesiny, nie mogli więc nawet stwierdzić, na ile celny jest ich ogień.

A właśnie nadeszła kolejna druzgocząca odpowiedź. Charisjanie strzelali nieco wolniej, za to o wiele celniej. A każde z trafień czyniło zdaniem Raisahndo znacznie większe zniszczenia niż posiadające mniejszy kaliber działa HMS *Rakurai*. Spodziewał się ognia trzydziestofuntówek, co najwyżej czterdziestopięcioletników, o których wspominał w raporcie z Rify Armagedonu admirał Thirsku, ale na pewno niczego większego. Niestety przynajmniej część dział wroga była o wiele potężniejsza, niż szacował. Jeden z takich pocisków właśnie zmiotł z pokładu masywną dwudziestofuntówkę.

Kula przebiła ze świstem nadburcie akurat pod takim kątem, by wybić w otwartej furcie działowej otwór w kształcie półkola. Trafiła w lawetę działa i idąc dalej w górę, wbiła się w spodnią część odlewu lufy. Półtonowe działo z brązu poleciało w górę w asyście chmury drzazg z rozbitej lawety i wyrwanych bolców, które przecinały powietrze, wyjąc jak raniony waleniszczyciel. Połowa ośmioosobowej obsady zginęła na miejscu zmieciona przez gigantyczny pocisk, dwóch następnych kanonierów zmiotła wyrzucona w górę lufa.

Coś - najprawdopodobniej drzazga albo wyrwany bolec - świsnęło tuż obok prawego ucha Raisahndo. Głowa zachwiała mu się od fali uderzeniowej, jakby ktoś go właśnie spoliczkował.

*Cal albo dwa bliżej i nie musiałbym się już o nic martwić*, pomyślał i zaraz odgonił od siebie tę ponurą wizję, by sprawdzić, jak wielkie zniszczenia spowodowało trafienie. *To pewnie była jedna z tych ich przeklętych karonad, uznał, pochmurniejąc.*



Wiedział już, do czego zdolne są te przysadziste działa nazywane przez Charisjan karonadami, ale cóż z tego, skoro Świątynia zdecydowała, że wszystkie galeony Kościoła Matki zostaną wyposażone wyłącznie w długolufowe armaty.

Kapitan Raisahndo zgadzał się do pewnego stopnia z logiką przyjętą przez wikariusza Allayna. Karonady miały o wiele mniejszy zasięg niż działa tego samego kalibru o długich lufach, a w tej wojnie najbardziej liczyła się możliwość zabicia wroga, zanim on zyska okazję do siania spustoszenia. To zapewne przeważało szalę, choć logika wikariusza miała także parę luk.

Hrabia Thirsku nie mylił się, twierdząc, że wróg dysponuje o wiele lepiej wyszkolonymi załogami. Choć Raisahndo nie przyznałby tego za żadne skarby, charisjański admirał miał o wiele większe szanse na osiągnięcie satysfakcjonującego go dystansu niż Dohlarianin na powstrzymanie jego zapędów. Gdyby nawet pominąć ten fakt, i tak dało się zauważyć, że wikariusz Allayn nadal myśli starymi kategoriami, takimi jak doprowadzenie do jak najszybszego abordażu, co stało w ogromnej sprzeczności z zamawianiem długich dział skutecznych na większym dystansie. Z tego powodu stawiał na dużą liczbę lżejszych armat, nadających się do masakrowania wroga na pokładzie jego jednostki, tuż przed dokonaniem abordażu, a nie wielkich armat, które mogą wybijać dziury w poszyciu z dużej odległości. Zdaniem kapitana Raisahndo zabijanie marynarzy wroga było jak najbardziej pożądane, lecz operacje abordażowe z pewnością będą w tej wojnie odgrywały rolę drugoplanową (jeśli nie jeszcze dalszą), a na pierwszy plan wysuną się pojedynki artyleryjskie. A podczas nich, jeśli kanonierzy wroga będą ukryci za grubym poszyciem, którego małe kule nie zdołają przebić, prędzej straci się własnych ludzi, niż zabije przeciwnika.

*Przestańże narzekać, Caitahno! - napomniał się w myślach. Masz przecież więcej dział niż oni i więcej okrętów, skoncentruj się zatem na tym, co sam możesz im zrobić, zamiast zastanawiać się, co oni uczynią tobie!*

- Oddalmy się od nich nieco, moi panowie! - zawołał w kierunku sterników.

\* \* \*

Kapitan Zhon Pawal obserwował szczyty masztów wiodącej dohlariańskiej jednostki, gdy ta nagle wykonała lekki zwrot. Oddaliła się nieco, co zdaniem Pawala mogło oznaczać, że ma już dość tej wymiany ognia. Niestety...

*Po prostu robi więcej miejsca dla kolegów, którzy już się zbliżają, uznał z przekąsem. Nie tego oczekiwałem. Powinni albo uciec, albo rzucić się na nas hurmem, jak to zrobili pod Skalistym Klifem i w cieśninie Darcos.*

Zaczął krążyć wolnym krokiem z dala od stanowisk karonad. Odległość między

okrętami wynosiła teraz nieco ponad dwieście jardów, co znaczyło, że przeciwnik jest w polu rażenia najcięższych pięćdziesięciosiedmiofuntowych karonad. Pawał wyszczerzył zęby, gdy wyobraźnia podpowiedziała mu, jak wielkie zniszczenia czynią pociski.

Uśmiech zaraz jednak zniknął z jego twarzy, gdy wróg odpowiedział ogniem. Dohlariańscy kanonierzy nie należeli do najbardziej precyzyjnych, ale uporem nadrabiali wszelkie niedostatki. Pawał po raz pierwszy znalazł się pod ostrzałem burtowym i musiał przyznać, że zadziwił go spokój Dohlarian. Siła ognia charisjańskich galeonów łamała ducha walki każdej załogi pod Skalistym Klifem i w cieśninie Darcos. Tym razem jednak sprawy miały się zupełnie inaczej.

*A może raczej nie obawiają się nas z tej odległości,* pomyślał, spoglądając za rufę w kierunku nadpływającej *Tarczy* Harysa Aiwaina. Przez zasłonę dymu spowijającego cały pokład nie widział już żagli *Szkwału*, ale wiedział, że tamta jednostka jest gdzieś za drugim galeonem. Taką miał przynajmniej nadzieję! Dwa pierwsze dohlariańskie galeony kontynuowały pojedynek artyleryjski z *Rzutką*, a trzeci i czwarty otwierały właśnie ogień do *Tarczy*. A Aiwain nadal im nie odpowiedział. Czekał z oddaniem pierwszej salwy na moment, w którym osiągnie optymalny dystans... o ile będzie mu to dane.

- Zwrot na bakburtę! - rozkazał kapitan Pawał.

\* \* \*

Kapitan Stywyrzt przyglądał się szczytom masztów sterczących z chmury dymu, gdy *Rzutka* skręcała lekko na północ, by dohlariańska jednostka nie zdołała zwiększyć dystansu. To mu pasowało, żałował tylko, że dowódca przeciwnika nie wykonał tego manewru nieco później, gdy *Szkwał* znajdzie się bliżej.

*Tarcza* sunęła za pierwszą jednostką w szyku. Jej pokład mógł jeszcze widzieć wyraźnie, gdy korzystał z lunety. Tak samo jak pióropusze piany w miejscach, gdzie spadały kule wystrzeliwane z kolejnych dohlariańskich galeonów. Sądząc po ogromnym rozrzucie, kanonierzy na tych jednostkach nie należeli do elity swojego zawodu, za to musiało ich tam być naprawdę wielu. Gdy ta myśl przemknęła Stywyrtwi przez głowę, w jednym z trumli *Tarczy* pojawiła się nagle spora dziura. Odległość pomiędzy najbliższym Dohlarianinem a *Tarczą* wynosiła w tym momencie niespełna dwieście jardów, uznał Stywyrzt, zastanawiając się jednocześnie, jak długo jeszcze Aiwain zamierza czekać.

\* \* \*

Harys Aiwain spojrział w górę na przestrelony żagiel. Kula przeszła przez niego, wydając dźwięk przypominający uderzenie pięścią. *Tarcza* została trafiona już trzykrotnie, ale na razie nie meldowano o żadnych stratach wśród załogi. *Tarcza*, krótsza i szersza od *Rzutki*,

była bliźniaczą jednostką HMS *Dreadnought*, pierwszego galeonu wojennego zbudowanego od stępki. Miała na pokładzie tyle samo dział co okręt Pawala, aczkolwiek jej baterie były bardziej ścięśnione niż te na okrętach nowszej konstrukcji. Dysponowała też tylko trzydziestofuntowymi karonadami i była nieco wolniejsza niemal w każdych warunkach pogodowych. Za to miała mocniejszy szkielet i grubsze poszycie niż konwertowane jednostki, więc nie została uszkodzona mimo furtu dohlariańskich kanonierów.

*Wygląda na to, że komandor Morskiego Szczytu miał rację, gdy mówił, iż dysponują słabszym prochem niż my, pomyślał Aiwain. Nie pomaga im też to, że strzelają z armat mniejszego kalibru!*

Wiedział już, że przynajmniej część dohlariańskich dział musi mieć mały kaliber. Wystarczyło wychylić się za burtę, by zobaczyć kulę z dwunastofuntówki wbitą do połowy w poszycie tuż obok furty działowej numer dwadzieścia siedem. Wątpił, aby którykolwiek z jego trzydziestofuntowych pocisków zawiódł w podobny sposób, gdy przyjdzie czas na ich odpalenie.

*Jak podejmiemy bliżej, te maluchy zaczną wchodzić w nas jak w masło, przypomniał sobie. A to nie będzie już takie przyjemne.*

Spojrzał na najbliższego Dohlarianina. Dystans pomiędzy nimi spadł już do mniej niż dwustu jardów. Moment później z dolnych pokładów dobiegł głośny krzyk, widomy dowód na to, że kule wroga zaczynają przebijać poszycie. Nie miał jednak pojęcia, czy pocisk przebił burtę, czy też wpadł przez otwartą furtę działową, lecz zdał sobie sprawę, że właśnie zaczyna tracić ludzi.

- Przygotować baterie na bakburcie! - zawołał w kierunku Mohtohkaia Daikhara, pierwszego oficera *Tarczy*.

\* \* \*

Sir Dahrand Rohsail próbował przebić wzrokiem oślepiający dym piętrzący się nad pokładem HMS *Wielki Wikariusz Mahrys*. Stał przy prawej zejściówce prowadzącej na wyższy pokład rufowy, próbując wyrzeć ponad zrolowanymi hamakami, z których zrobiono - oby sprawną - osłonę przed kulami muszkietowymi. Na razie chmury gęstego cuchnącego dymu, który otaczał okręty po oddaniu każdej salwy, uniemożliwiały mu dostrzeżenie czegokolwiek.

Pięćdziesięciodziałowa jednostka Rohsaila była jednym z pierwszych galeonów nowej generacji, które wybudowano na zamówienie dohlariańskiej floty, dlatego mocno się zdziwił, gdy zaproponowano mu funkcję jej kapitana. Nigdy nie ukrywał swojego pokrewieństwa z księciem Thorastu i podobnie jak on nie cierpiał hrabiego Thirsku, z tych samych powodów

zresztą. Nie zapominał jednak, ile zawdzięcza patronatowi starego admirała. Nie mógł też zaprzeczyć - zwłaszcza przed samym sobą - że hrabia Thirsku miał rację, a księżę Malikai mylił się podczas bitwy pod Skalistym Klifem. Ale każdy, kto miał choćby blade pojęcie na temat funkcjonowania dworu i jego intryg, musiał wiedzieć, że księżę Thorastu nigdy nie przyzna, iż jego szwagier był zwykłym głupcem i to z jego winy utracono niemal całą flotę, choć musiał zdawać sobie sprawę, że to czysta prawda. A Rohsail akurat miał rozległą wiedzę na temat dworu.

Był jednak skłonny przyznać, że system flag sygnałowych, skopiowany przez admirała z charisjańskich rozwiązań, jest bardzo przydatny. Stopień kontroli i wymiany informacji pomiędzy jednostkami był niesamowity. Zrobiło mu się zimno na samą myśl, jaką wróg miałby przewagę, gdyby jako jedyny korzystał z tak nowoczesnych rozwiązań. Kapitan wiedział, że hrabia Thirsku ma znacznie bardziej realistyczne pojęcie o sytuacji niż jego krewniak, księżę Thorastu, i to pod każdym niemal względem, od rodzajów potrzebnych okrętów po strategię mogącą doprowadzić do pokonania tych przeklętych Charisjan.

Tak wyglądała prawda i Rohsail o tym wiedział. Zdawał sobie jednocześnie sprawę z tego, że hrabia niszczy starą dobrą marynarkę wojenną. Stawiał oficerów z gminu nad ludźmi szlachetnie urodzonymi. Upierał się, by szlachta pobierała nauki u prostaków, których jedyną zasługą była długoletnia służba we flocie handlowej, takich jak choćby Ahndair Krahl, dowodzący *Bédard*. Podważał dyscyplinę, ustalając regulaminowe ograniczenia dotyczące sposobów karania ludzi. I jeszcze to szalone żądanie, by żołd wypłacano rodzinom marynarzy, którzy wychodzą w morze, oczywiście za ich wiedzą i zgodą. No i zawsze na czas!

Rohsail nie miał nic przeciw temu, by płacić ludziom... od czasu do czasu. Ale skarbiec nie jest z gumy. Czasami trzeba było podjąć decyzję, komu obciąć zarobki, a najłatwiej to zrobić z marynarzami, którzy podczas rejsu nie mają na co wydawać zarobionych pieniędzy. Gdy przykręcało się im kurek, zawsze można było oszczędzić spore sumki, dopóki nie wracali. Czasami bywało jednak tak, że nie wypłacano należności natychmiast po wymustrowaniu delikwenta, ale od czego są lombardy, które pożyczają pieniądze na dwadzieścia procent, chętnie przejmując tego rodzaju długi. A jeśli człowiek zginął na morzu - co zdarzało się nader często - flota nikomu nie musiała płacić, bo i za co? Teraz to się zmieniło, przez hrabiego Thirsku!

Finanse floty pójdą wkrótce w diabły, ponieważ nie tylko wypłacano żołd na czas, ale i gwarantowano wdowom oraz sierotom po poległych dożywotnie renty. Może Kościół Matkę stać na takie brewerie, ale na pewno nie królestwo Dohlaru, istniały więc spore szanse, że ta

tradycja zostanie zapomniana, gdy tylko uda się rozbić charisjańską zarazę. A kogo będą za to nienawidzić wszystkie mendy i szumowiny z dolnych pokładów? Na pewno nie hrabiego Thirsku! To książę Thorastu będzie musiał posprzątać ten bajzel i będzie miał szczęście, jeśli w trakcie tej misji uniknie buntów na szeroką skalę.

*A jeśli dojdzie do takiej sytuacji, rozluźnienie dyscypliny przez admirała Thirsku także nie polepszy sprawy, pomyślał z rozdrażnieniem Rohsail. Biczem nie zrobisz ze złego marynarza dobrego, ale możesz go zepsuć, oj tak! A przecież ci ludzie rozumieją tylko mowę bata! Ta koncentracja hrabiego na ich dobru pogorszy sprawę, gdy przyjdzie do robienia porządków.*

Nie czas jednak walczyć z ludźmi, których wikariusze Allayn i Zhaspyr wybrali na dowódców marynarki wojennej Dohlaru. Na to przyjdzie pora, gdy więcej osób dostrzeże niszczycielskie skutki decyzji podejmowanych przez hrabiego. Rohsail z niecierpliwością wyczekiwał tego dnia. Na razie jednak miał wojnę do wygrania, a rzeczony hrabia był chyba jedynym admirałem, który wiedział, co robić, by zapewnić swoim ludziom zwycięstwo.

*Wielki Wikariusz Mahrys zachwiał się, gdy jego działa oddały kolejną salwę burtową, zasnuwając pokład chmurami gryzącego dymu. Rohsail uśmiechnął się pod nosem, gdy oczami wyobraźni ujrzał, co grad stalowych pocisków musiał zrobić z tak bliskim celem.*

*Wiele bym dał, żeby to zobaczyć, przyznał w myślach. Na razie mogę patrzeć tylko na szczyty masztów, cała reszta kryje się w tym dymie!*

Prychnął z rozbawienia i wspiał się na pokład rufowy, przystając na ostatnim stopniu zejściówki. Tam wprawdzie będzie bardziej odsłonięty, ale może przynajmniej zobaczy coś więcej.

\* \* \*

Kolejna salwa z dohlarlańskiego okrętu przemknęła z wyciem nad pokładem. Ta była już celniejsza. Na oczach Harysa Aiwaina jeden z pocisków przebił nadburcie w okolicach śródokręcia. Drzazgi i odłamki desek - niektóre miały długość ponad trzech stóp - poleciały ze świstem na wszystkie strony. W kilku miejscach załopotał rozdzierany materiał, gdy inne kule przeszły przez osłony ze zrolowanego płótna i hamaków wypełniających przestrzeń pod relingami. Rany odniosło dwóch kanonierów z obsady karonady numer pięć. Jeden padł jak kłoda na posypane piaskiem deski pokładu, a drugi zaczął nieludzko wrzeszczeć, trzymając się za prawe ramię, z którego wystawał spory ułomek drewna. Sanitariusze szybko ściągnęli ich obu z pokładu, a dwaj kanonierzy z baterii sterburtowej zajęli ich miejsca, jeden z obsady karonady numer sześć, drugi z ósemki.

Kapitan widział wszystko, nawet nowe dziury w żaglach i pasy płótna powiewającego

przy każdym podmuchu wiatru, jakby przelatywały tamtędy kolejne pociski. Absorbował jednak te widoki kątem oka, skupiając całą uwagę na zbliżającej się coraz bardziej dohlariańskiej jednostce. Znajdowała się już niemal burta w burtę z *Tarczą*. Dzieliło je niespełna pięćdziesiąt jardów. Kapitan odczekał jeszcze moment i wydał rozkaz.

- Ognia!

\* \* \*

Bateria bakburtowa wypaliła, gdy *Tarcza* zaczęła opadać na fali.

Gwoli ścisłości szacunki kapitana Aiwaina były lekko nieprecyzyjne. W momencie odpalania salwy HMS *Wielki Wikariusz Mahrys* znajdował się w odległości niespełna czterdziestu jardów, więc lawina stali wystrzelona z dział *Tarczy* spadała na jego burtę z niszczycielską mocą. Mimo że dohlariańska jednostka była rasowym galeonem wojennym i miała równie mocny szkielet i grube poszycie jak jej charisjańskie odpowiedniki, trzydziestofuntowe kule przechodziły przez jej kadłub jak nóż przez masło, zasypując pokłady artyleryjskie miriadami drzazg i odłamków.

Kanonierzy Aiwaina byli o wiele bardziej doświadczeni niż ludzie Rohsaila. Widzieli też cel i dzięki temu potrafili precyzyjniej obliczyć moment oddania strzału. Salwa została więc odpalona w idealnym momencie. A jednak, mimo tej biegłości i naprawdę niewielkiej odległości, wiele pocisków chybiło. Tylko człowiek, który obsługiwał gładkolufowe działo w samym środku starcia, gdy wokół świszczały kule i odłamki, a widok przesłania gęsty dym, byłby w stanie zrozumieć, jak trudno jest trafić w cel, nawet tak wielki jak nieprzyjacielski okręt. I nawet z tak bliska. Z drugiej jednak strony o wiele mniej obsad chybiło, a wszystkie z kul ulokowanych w celu weszły bardzo nisko. Każde trafienie oznaczało przebicie kadłuba, a z tej odległości nawet pod pokładami *Tarczy* słychać było krzyki rannych i konających Dohlarian.

\* \* \*

Kapitan Raisahndo skrzywił się, gdy drugi z charisjańskich okrętów wkroczył do akcji. Huku zmasowanej salwy burtowej nie można było z niczym pomylić, tak samo jak nagłej erupcji ogromnych chmur świeżego dymu. Spojrzał za rufę, starając się ocenić, która z jego jednostek stała się celem wroga. Trudno było jednak dostrzec jakieś szczegóły. Szczerze mówiąc, z trudem dostrzegał zarysy żagli *Bédard*, a ta płynęła przecież tuż za *Rakurai*. Nic nie wskazywało na to, by okręt Ahndaira Krahla został trafiony, lecz Raisahndo z jakiegoś powodu wątpił, by Charisjanie, strzelając z tak niewielkiego dystansu, całkowicie chybili.

*Zatem to musiał być Wielki Wikariusz Mahrys, uznał.*

Na tę myśl ogarnęły go mieszane uczucia. Prawdę mówiąc, nie cierpiał sir Uahrandu

Rohsaila, głównie za sprawą jego szlacheckiego wywyższania się. Ten człowiek był aroganckim arystokratycznym fiutem, który nie krył, że należy do ścisłego grona przydupasów księcia Thorastu. Tak samo jak nie udawał, iż zgadza się z hrabią Thirsku w kwestiach dotyczących utrzymywania dyscypliny na pokładach okrętów. Z drugiej jednak strony musiał mieć jaja, żeby postawić się admirałowi w sporze o batożenie skazanych marynarzy. I miał na tyle przyzwoitości, że nauczył się chociaż podstaw żeglowania (aczkolwiek narzekał otwarcie, że musi brać lekcje od prostaków). Nikt też nie mógł odmówić mu odwagi, jeśli chodzi o chęć starcia się z wrogiem.

*Mogę nienawidzić drania, ale w tym właśnie momencie jest tam gdzie trzeba!*

\* \* \*

Rohsail zachwiał się, gdy część relingu po lewej, pięć stóp od niego, przestała istnieć. Coś uderzyło go w ramię z niesamowitą siłą, nieomal powalając na kolana. Spod pokładu na śródokręciu, gdzie trafiło najwięcej pocisków, usłyszał nieludzkie wrzaski. Prawa dłoń kapitana zaciskała się spazmatycznie na szczątkach poręczy, dzięki czemu zdołał się utrzymać na nogach, a potem obrócić.

Miał chyba strzaskaną kość ramienną, lewa ręka zwisała mu bezwładnie, ale nie widział na niej śladów krwi. Zaczął się nawet zastanawiać, co go mogło trafić. Nie miał jednak czasu, by się tym przejmować, i pochylony, nadal trzymając się relingu, spojrzął w kierunku dziobu.

Większość salwy wroga przeszła dołem, trafiając w pokład działowy *Wielkiego Wikariusza Mahrysa*. Sądząc po dochodzących stamtąd wrzaskach, kule musiały tam narobić wielkich szkód, uznał, ale zaraz napomniał się, by nie dramatyzować. Tyle wrzasku potrafi narobić nawet dwóch albo trzech rannych ludzi.

Kilka pocisków trafiło też w górny pokład. W odróżnieniu od charisjańskiej jednostki *Wielki Wikariusz Mahrys* nie miał dział na forkaasztelu, wszystkie dziesięć armat rozmieszczono na śródokręciu w dwóch bateriach burtowych po pięć luf każda.

Po tej salwie na sterburcie pozostały jednak już tylko dwa sprawne działa.

Rohsail zacisnął zęby. Jedna z uszkodzonych dwudziestofuntówek została wyłączona na dobre, bezpośrednie trafienie wyrwało ją z lawety, dwie pozostałe wydawały się nietknięte, ale zdecydowana większość z szesnastu ludzi, którzy je obsługiwali, nie żyła bądź wiła się z bólu na pokładzie. Z czterdziestu kanonierów na nogach został może tuzin. Wszyscy zajmowali się teraz odciąganiem zabitych i rannych towarzyszy broni od stanowisk wciąż sprawnych dział.

*Wielki Wikariusz Mahrys* miał niespełna sto sześćdziesiąt stóp długości, lecz chmury

gęstego dymu, tym razem nadciągającego od strony okrętu wroga, uniemożliwiały dostrzeżenie większości szczegółów. Z tego jednak, co kapitan widział, zginęło też co najmniej sześciu marynarzy i żołnierzy służących w oddziale piechoty pokładowej. A straty te dotyczyły wyłącznie pokładu głównego, nie sposób było sprawdzić, ile ofiar pochłonęła salwa penetrująca pokład działowy.

A jednak, pomimo wrzasków i skowytów dobiegających z dołu, artylerzyści Rohsaila nie zrezygnowali z dalszej walki. Strzelali teraz na własną rękę, tak szybko, jak tylko się dało, rezygnując z oddawania skoordynowanych salw burtowych. Huk dział przypominał piekielną kakofonię, gdy kolejne działa odpalano niemal bez przerwy. O celności nie mogło być mowy, ponieważ dowódcy obsad nie widzieli niczego w tak gęstym dymie, ale nie powstrzymało to ich od pociągania za sznury spustowe. Kapitan nawet w tym ryku wciąż słyszał okrzyki, którymi oficerowie i podoficerowie zagrzewali swoich podwładnych do dalszej walki, i gniewne zawołania zwykłych marynarzy.

Rohsail spojrzał w górę. W kilku żaglach ziały spore dziury. Tu i tam luźne płótno łopotało na wietrze. Z gniazd strzeleckich na marsach i salingach zwisało kilka bezwładnych ciał, były to ofiary prowadzonego równoległe ostrzału z muszkietów piechoty morskiej. Na razie jednak nie widział niczego, co świadczyłoby o krytycznych uszkodzeniach jego galeonu. Wachtowi śpieszyli po wantach w górę, nie dbając o świszczące wokół kule, by usuwać pomniejsze uszkodzenia i naprawiać takielunek.

*To tylko urodzone w rynsztoku śmieci*, myślał zawsze Rohsail, *w zaułkach Gorathu roi się od im podobnych*. A jednak, gdy przyglądał się, jak ściągają rannych i zabitych towarzyszy broni na środek pokładu, jak dokonują napraw pod ostrzałem wroga, jak zrzucają fragmenty nadburcia i inne odłamki ze swoich armat, przeładowują je, a potem strzelają i strzelają, i strzelają, nagle poczuł dumę, że dowodzi tak zacnymi ludźmi.

- Dajcie im popalić, chłopcy! - usłyszał własny głos. - Dajcie im popalić!

\* \* \*

Kapitan Stywyrz zaklął pod nosem, hamując się w ostatniej chwili przed walnięciem pięścią w naktuz, gdy wymiana ogniowa, miast słabnąć, uległa dalszemu wzmocnieniu. Z miejsca, w którym stał, widział wyraźnie szczyty masztów *Rzutki* i *Tarczy* idących równoległe do Dohlarian, Dwa galeony Charisu prowadziły wymianę ognia z trzema jednostkami wroga, ale lada moment do akcji włączy się czwarty z nich.

Jak na razie takielunek *Rzutki* i *Tarczy* wyglądał na nietknięty, obie jednostki nadal znajdowały się pod pełną kontrolą sterników, a ich kanonierzy, w odróżnieniu od Dohlarian, strzelali równymi salwami. To wiele mówiło o aktualnej sytuacji. Mimo furii tego starcia,



mimo faktu, że wróg ma przewagę w stosunku dwa do jednego, Pawal i Aiwain nadal byli w stanie odpalać pełne, równe salwy burtowe. Stywyrnt zakładał, że każdy z nich zajmuje się tylko jednym z okrętów wroga, woląc metodyczne masakrowanie celu zamiast męczącego przekierowywania ognia to tu, to tam, co by doprowadziło do zmniejszenia powodowanych szkód. Do tego trzeba jednak mieć nerwy ze stali, ponieważ taka taktyka oznaczała, że jedna z atakujących jednostek pozostanie przez dłuższy czas nietknięta, a jej kanonierzy będą mogli spokojnie mierzyć, zdając sobie sprawę, że nad ich głowami nie będą latać kule i wyjące potępieńczo kartacze. Tym samym zyskiwali szanse na szybsze wyłączenie z walki samotnego przeciwnika.

Stywyrnt przeniósł spojrzenie na ostatni galeon w dohlariańskiej linii. Ten wydawał się mniejszy od pozostałych. Nie był wiele dłuższy od jego *Szkwału*. Mimo to kapitan rzeczonyj jednostki kazał stawiać kolejne żagle, nawet teraz, na oczach obserwującego go Charisjanina, aby zwiększyć prędkość. Wyglądało na to, że chce jak najszybciej dołączyć do towarzyszy broni atakujących *Rzutkę* i *Tarczę*.

*Jest bardziej zdeterminowany niż rozsądny, uznał Stywyrnt. Nasze jednostki są szybsze niż te ich galeony. Po postawieniu wszystkich żagli może je dogonić, tyle że wpadnie najpierw na swoich. Na pewno nie uda mu się wyjść na nawietrzną Zhona i Harysa! Albo będzie musiał wypaść z szyku, albo staranuje któregoś ze swoich!*

To był błąd, i to taki, na którym ktoś inny może sporo skorzystać. Z drugiej jednak strony kapitan ostatniego galeonu pragnął włączyć się do walki, zamiast spokojnie ją przeczekać, skoro nikt od niego nie oczekiwał heroiczych czynów. A to mogło świadczyć o tym, że marynarka wojenna odzyskała w pełni morale po klęskach pod Skalistym Klifem i w Cieśninie Skalistej.

*Zobaczmy, czy nie da się tego zmienić, Ahrnahldzie, pomyślał.*

\* \* \*

Kapitan Raisahndo nie mógł widzieć ostatnich manewrów kapitana Mahrtyna Zhermaina z *Księcia Dohlaru*. Gęsty dym uniemożliwiał dostrzeżenie czegokolwiek za rufą okrętu, a ludzie, którzy mieli jakie takie rozeznanie w sytuacji (na przykład obserwatorzy z bocianich gniazd), koncentrowali teraz całą uwagę na Charisjanach, a nie na własnych towarzyszach broni. Gdyby jednak Raisahndo widział manewry *Księcia Dohlaru*, z pewnością podzieliliby zdanie Ahrnahlda Stywyrnta na temat postępowania Zhermaina. Jednakże, mimo iż ostatnie ruchy ostatniego galeonu w linii z pewnością by mu się nie spodobały, uznałby, że obawy Charisjanina są w pełni uzasadnione: agresywność jego podwładnych sprawi większy problem wrogowi niż ich bojaźliwość.

W tym jednak momencie Raisahndo miał bardziej naglące sprawy na głowie. Wiodący galeon Charisjan zbliżał się nieustannie, mimo kolejnych prób odejścia, a jego ogień był tyleż ciężki co celny. Równomierny, jednoczesny huk jego dział - jak widać wróg potrafił wciąż kontrolować sytuację pod pokładem działowym - wstrząsał pokładem *Rakurai*, jakby stąpały po nim gigantyczne stopy niewidzialnego olbrzyma. Raisahndo był pewien, że jego ludzie także trafiają częściej, skoro dystans od celu był teraz o wiele mniejszy, lecz musiał także przyznać, iż wielkokalibrowe kule Charisjan rozbijają poszycie na burtach, jakby wspomniany przed momentem olbrzym okładał je swoją maczugą.

Sześć armat *Rakurai*, czyli niemal czwarta część jego baterii sterburtowej, zostało zniszczonych, a sterta trupów w środkowej części pokładu wciąż rosła. Rannych znoszono od razu pod pokład, do uzdrowicieli i chirurgów, trudno więc ocenić, ilu ich było, Raisahndo podejrzewał jednak, że stracił co najmniej pięćdziesięciu ludzi. To dawało niemal ósmą część załogi, a mimo to pozostali - doświadczone wilki morskie i zamustrowane ostatnio szczury lądowe - nadal stali przy działach, strzelając tak szybko, jak tylko się dało.

A Charisjanie oddawali kolejne salwy nisko, lokując je w dolnej części kadłuba *Rakurai*, masakrując systematycznie ocalałych, ich strzelcy wyborowi natomiast ostrzeliwali z masztów obsady z pokładu górnego i swoich dohlariańskich odpowiedników. W końcu któraś z salw Rzutki przeniosła nieco i na pokład posypały się bloki i splątane liny. Raisahndo dostrzegł też kilku ludzi spadających z uszkodzonym takielunkiem i znów pomyślał o sieciach ochronnych, jakie zauważył nad pokładem charisjańskiego galeonu tuż przed rozpoczęciem bitwy. Rozpięto je na pewnej wysokości, by wychwytywały fragmenty osprzętu i ciała spadające z masztów. Pomysł wydał mu się dobry, więc zanotował w pamięci, że powinien zasugerować hrabiemu Thirsku, aby przejąć te rozwiązania.

Ale żeby złożyć ten raport, musi najpierw wrócić cało do portu.

\* \* \*

Zhon Pawal zerknął w górę, gdy coś trzasnęło ostrzegawczo nad jego głową. Przez moment nic się nie działo, a potem zauważył ze zgrozą, że cała górna część głównego masztu zaczyna się przechylać.

*A niech to*, usłyszał spokojny głos w swojej głowie i uskokzył przed spadającymi z góry odłamkami.

\* \* \*

- Tak!

Kapitan Ahndair Krahl z HMS *Bédard* zdał sobie nagle sprawę, że nieświadomie wykrzyknął to pojedyncze słowo. Nie był to z pewnością heroiczny gest, godzien kapitana

okrętu jego królewskiej mości, lecz w tym akurat momencie miał to gdzieś. W jego mniemaniu kanonierzy ostrzeliwali pierwszy z charisjańskich galeonów od zarania dziejów niemalże - mimo iż kieszonkowy zegarek pokazywał coś zupełnie innego - ale wciąż nie było widać skutków. Wciąż też nie udawało się nakłonić heretyków do przekierowania ognia na *Bédard*. Charisjanin skupił się na masakrowaniu *Rakurai*. Krahl nie widział zbyt dobrze zasnutego dymem kadłuba flagowca, ale jego unoszące się nad zasłoną dymu żagle miały coraz więcej dziur. Co więcej, choć nie mógł mieć całkowitej pewności w tym chaosie, wydawało mu się, że ogień ze strony ludzi kapitana Raisahndo słabnie z każdą chwilą.

Teraz jednak zobaczył, że na wrogim okręcie grotbramstenga zaczyna się chylić wolno na bakburtę, jak ścinane siekierami drwali prawieczne drzewo. Padając, zerwała część ożaglowania bezanmasztu. Krahl miał przez moment nadzieję, że ucierpią też żagle fokmasztu. Tak się jednak nie stało, ku jego wielkiemu niezadowoleniu, chociaż charisjański galeon i tak zachwiał się i zwolnił, straciwszy ponad połowę ożaglowania, i przechylił się mocno na burtę.

*I co teraz powiecie, bękarty? - pomyślał.*

\* \* \*

*Rzutka* szybko zwalniała, straciwszy sporą część napędzających ją żagli. Kapitan Pawal nie mógł wyjść z podziwu, że fokmaszt pozostał nienaruszony; moment później jego uwagę odwrócił nagły wstrząs. To złamane drzewce wpadło do wody, uderzając o burtę. Sieci rozpięte nad pokładem przetrwały w stanie niemal nienaruszonym, aczkolwiek zostały kompletnie rozerwane w miejscu, w które uderzyła podstawa zdruzgotanej bombramstengi, opartej teraz jednym końcem na nadburciu i uwięzionej w płątaninie lin.

Sternicy zdołali się jednak utrzymać na kursie. W gąszczu uszkodzonego takielunku połyskiwały już ostrza toporów i kordelasów, gdy bosmani poprowadzili swoich podwładnych, by uwolnić okręt od tego balastu. Zanim jednak do tego dojdzie, niemal połowa bakburtowej baterii zostanie wyłączona z akcji. To, samo w sobie, było już wystarczającym nieszczęściem, ale Dohlarianie mogli się w końcu wysforować naprzód. Teraz wszystkie pięć jednostek będzie miało okazję otwarcia ognia do dwóch galeonów Pawala.

A on stracił w tym zamieszaniu tubę, musiał więc przyłożyć dłonie do ust, by ją czymś zastąpić.

- Panie Daikhar!

Pierwszy oficer *Rzutki* usłyszał jego wołanie mimo panującego wokół harmideru i Pawal mógł mu wskazać palcem okaleczony maszt.

- Stawiać grot! - wrzasnął.

Daikhar przyglądał mu się przez chwilę, potem skinął głową, dając znak, że zrozumiał. Tego żagla nie używano zazwyczaj podczas walki, był zbyt wielki, zbyt ciężki i znajdował się zbyt blisko pokładu. Mimo to utrata trumli i bramsli musiała być jakoś skompensowana, więc pierwszy zebrał ludzi z drużyn oczyszczających pokład i z obsad zasłoniętych dział, by wysłać ich do rozmocowania grotżagla i obsadzenia szotów.

Pawał zostawił mu dowodzenie tą operacją, sam skupił wzrok na masztach dohlariańskiej jednostki, która zgodnie z jego obawami zaczęła się wysuwać przed dziób *Rzutki*.

\* \* \*

Harys Aiwain zaklął szpetnie, gdy *Rzutka* zwolniła. Nie miał wyboru, sam musiał zrefować żagle, jeśli chciał zachować pozycję w szyku. Po części chętnie wyprzedziłby okręt Pawala i zajął miejsce na czele szyku, wiedział jednak, że przechodząc za uszkodzonym okrętem, straciłby okazję do odpalania kolejnych salw. Przynajmniej do momentu minięcia *Rzutki*.

Zastanawiał się gorączkowo, rozważając dostępne alternatywy. Nie wiedział, co zamierzają zrobić Dohlarianie. Gdyby chcieli zakończyć to starcie, uznając, że uszkodzenie galeonu wroga jest wystarczającym sukcesem - nie mówiąc już o obronieniu konwoju - mieliby doskonałą okazję do odplynięcia. Z drugiej jednak strony, gdyby ich celem była dalsza walka, spowolniony galeon dawał im ogromną przewagę manewrową.

Aiwain nie miał żadnych wątpliwości, co zrobiłaby w takiej sytuacji charisjańska eskadra, ale Dohlarianie nie byli jego krajanami. Mogli więc równie dobrze odstąpić, przekonani, że spisali się w walce z Charisjanami lepiej niż ktokolwiek przed nimi, mając na uwadze dobro konwoju, który atakowały w tej chwili szkunery wroga.

*Lepiej będzie, jeśli zostaną na pozycji, nadal ostrzeliwując ich galeony, uznał, jednocześnie przywołując gestem dłoni jednego z kadetów.*

- Właż pan na górę, panie Walkyr - powiedział do dwunastolatka o pobladłej twarzy. - Masz pan stanąć na salingu foka. Skupisz pan całą uwagę na naszym flagowcu i nie waż się pan oderwać od niego oczu! Jeśli zauważysz pan, że zmienia kurs albo że któryś z tych drani chce go opłynąć, bierzesz pan dupę w troki i meldujesz mi pan o tym! Zrozumiano?

- Aye, aye, sir! - odparł chłopak i natychmiast pognał w kłęby dymu.

\* \* \*

Okręt Ahndaira Krahla powoli wysuwał się do przodu, sunął teraz burta w burtę z

większym i potężniejszym galeonem Charisjan. Kule śmigwały tam i z powrotem, ale wróg mimo mnożących się dziur w burcie nadal sprawiał się równie dobrze jak na początku bitwy.

A jego działa miały pociski większe, niż jakakolwiek armata, którą Krahl miał na pokładzie. Właśnie kolejny przebił poszycie HMS *Bédard*, zabijając tuzin kanonierów i rozwalając w drzazgi lawetę pod dwudziestopięcioletnią.

Spojrzał za rufę, na *Wielkiego Wikariusza Mahrysa*, który w końcu uwolnił się od walczącego z nim drugiego Charisjanina. Krahl żywił takie same uczucia do sir Dahranda Rohsaila, jak ten do niego. Mimo to musiał przyznać, że ten arystokratyczny fiut nie jest ofiarą. *Wielki Wikariusz Mahrys* otrzymał wiele trafień z o wiele potężniejszych dział przeciwnika. Wprawdzie Krahl nie mógł mieć całkowitej pewności, ale sądził, że widzi krew ściekającą ze szpigatów jednostki Rohsaila. Mimo to jej działa wciąż grzmiały, właśnie zmieniły cel i zaczęły ostrzeliwać wspólnie z *Bédard* pierwszy uszkodzony galeon Charisjan, ustępując miejsca przy drugim czwartemu w linii okrętowi, którym był *Strażnik Mahrdaia Saigahna*.

\* \* \*

Ahrnahld Stywyrnt znieruchomiał z rękami złożonymi za plecami, twarzą pozbawioną wyrazu, widząc, jak Dohlarianie tłoczą się wokół *Rzutki* i *Tarczy*. Dym wokół walczących był już tak gęsty, że kapitan widział tylko szczyty masztów wrogich galeonów, lecz nie miał cienia wątpliwości, co dzieje się na wodach przed nim. Gdy *Rzutka* zwolniła, *Tarcza* musiała zrobić to samo i pierwszy okręt w linii wroga wyszedł przed oba charisjańskie galeony. Jeszcze chwila i znajdzie się na pozycji pozwalającej Dohlarianom na odpędzenie atakujących od konwoju, a nawet do zaatakowania *Rzutki* od dziobu.

*A ja wciąż nie mogę wziąć udziału w tej bitwie!* - pomyślał rozeźlony Stywyrnt.

Spojrzał w górę na własne żagle i podjął decyzję.

- Stawiajcie grotsztaksel, panie Mahldyn, jeśli łaska - rzucił zwięźle.

\* \* \*

*Wy gnoje*, pomyślał wkurzony Pawal.

Pokład *Rzutki* zapelniali ranni i zabici. Szczątki salingu zostały odcięte i zrzucone do morza, podobnie jak reszta śmiecia. W końcu udało się odzyskać pełną kontrolę nad okrętem, ale nawet po rozwinięciu grota *Rzutka* nie mogła dotrzymać kroku Dohlarianom. Pierwszy galeon w linii wyprzedził ją już o dwie długości, a drugi właśnie wysuwał się na prowadzenie. Zaraz trzeci rozpoczął ostrzał uszkodzonej jednostki, mimo że sam wyglądał na nieźle pokiereszowany. *Tarcza* wdała się w dziką wymianę ognia z czwartym okrętem dohlariańskiej linii, a teraz, na oczach Pawala, czołowa jednostka zaczęła wykonywać zwrot.

Zamierzała przeciąć kurs *Rzutki*.

Kapitan natychmiast spojrział na sterników.

- Dwa rumby na sterburtę, proszę! - rozkazał.

\* \* \*

- Sir, sir!

Harys Aiwain spojrział w kierunku, z którego dobiegał piskliwy głos. Kadet Walkyr biegł ku niemu, mijając właśnie chwiejącego się rannego marynarza. Mężczyzna ów trzymał się obiema dłońmi za zakrwawioną twarz, a potem padł jak kłoda, prosto pod nogi przerażonego kadeta. Chłopak przeskoczył nad ciałem i dysząc ciężko, z trudem wyhamował przed dowódcą.

- Słucham - burknął Aiwain.

- Sir - wydyszał Walkyr. - *Rzutka* wykonała zwrot na sterburtę! Na moje oko o dwa rumby. Wydaje mi się... nie jestem pewien, ale chyba dlatego, że wróg próbował przejść przed nią.

- Dobrze się spisałeś, chłopcze!

Aiwain poklepał go po ramieniu i natychmiast odwrócił się do sterników.

- Trzy rumby na sterburtę! - rozkazał, unosząc tubę do ust. - Na maszty, panowie. Przygotować się do stawiania głównych żagli!

\* \* \*

*Rzutka* odpadła w prawo i ponownie złapała wiatr w żagle, gdy *Rakurai* spróbował ją obejść. Charisjański galeon miał o wiele prostsze zadanie, gdyż jego promień zwrotu był mniejszy, ale *Rakurai* nadrabiał większą prędkością, pojedynek był więc bardzo zacięty. *Bédard*, płynąca tuż za pierwszą jednostką w linii, nadal prowadziła szaleńczy ostrzał skierowany na część rufową uszkodzonego galeonu, a Pawal dziękował Bogu za to, że celność Dohlarian znacznie ustępuje ich determinacji i dyscyplinie.

Wiedział jednak, że mimo tych niedostatków jego okręt zbiera ostre cięgi. Stracił już pięć dział z baterii na bakburcie, a obsady ze sterburty zostały mocno przerzedzone z powodu uzupełniania strat walczącej baterii. Od początku tego starcia nie miał dość licznej załogi, by obsadzić działa na obu burtach, teraz z trudem wystarczało mu ludzi do zapewnienia maksymalnego ostrzału z jednej tylko strony.

Ktoś wzniósł triumfalny okrzyk, więc Pawal obrócił się na pięcie w samą porę, by zobaczyć chylący się na bok bezanmaszt *Wielkiego Wikariusza Mahrysa*. Dohlariański galeon zwolnił raptownie, widać było wyraźnie, że wleczone przy burcie drzewce pozbawiło go sterowności. Na oczach Pawala grotmaszt poszedł w ślady bezana i uszkodzona jednostka

zaczęła dryfować, skręcając ostro na zawietrzną.

Kątem oka kapitan dostrzegł coś jeszcze. Obracając głowę, zobaczył, że *Tarcza*, idąc na głównych żaglach, kładzie się na sterburtę, próbując obejść go z drugiej strony. Jej dolne furty działowe znajdowały się ledwie dwie stopy nad szczytami fal. Pawal od razu zrozumiał, co chodzi po głowie Aiwainowi.

Chwycił kapelusz w dłoń i pomachał w kierunku bliźniaczej jednostki.

- Spójrzcie tam, chłopcy! - zawołał. - *Tarcza* zaraz utrze nosa tym cholernym bękartom!

Część ludzi usłyszała jego wołanie i natychmiast zaczęła wiwatować. Słabe to były okrzyki, albowiem niewielu marynarzy je wznosiło, ale ci, co przetrwali, dalecy byli od uznania się za pokonanych. Ich kapitan także wyszczerzył zęby w uśmiechu.

*Mamy tam jeszcze tych dwóch drani, z którymi wcześniej walczył Aiwain, pomyślał. Niedługo zrównają się z nami. Ale to nie powód, by odbierać ludziom okazję do okazania radości.*

\* \* \*

Nawet pod największymi żaglami *Tarcza* potrzebowała prawie kwadransa, by minąć *Rzutkę*. Cały ten czas była wyłączona z akcji, a Harys Aiwain zacisnął zęby do bólu, gdy ponownie usłyszał dudnienie dział za swoimi plecami. Wiedział, że czwarta i piąta jednostka z dohłariańskiej linii zwolnią i rozpoczną zmasowany ostrzał i tak już uszkodzonego galeonu, lecz nie mógł im w tym przeszkodzić. Pawal musi poczekać do chwili, gdy *Tarcza* upora się z *Rakurai* i *Bédard*.

Przerwa w działaniach bojowych pozwoliła Aiwainowi na przeorganizowanie kanonierów, spokojne przeładowanie dział i przeprowadzenie najpilniejszych napraw takielunku. Okręt w tym czasie szedł naprzód pod pełnymi żaglami, a gdy wyprzedził *Rzutkę*, jego kapitan natychmiast zaczął planować dalsze działania, obliczając z szybkością i precyzją abakusa wszystkie odległości i czasy.

- Załoga do brasowania - rozkazał, zakończywszy obliczenia w tym samym momencie, gdy z rzedniejącego dymu wychynęły jabłka masztów wrogiego okrętu. Ludzie rzucili się do szotów i brasów, a poruszane niewidzialnymi rękami reje zaczęły się obracać do nowego położenia.

Dym nadal rzedł. *Tarcza* była już przed *Rzutką* i nadal poruszała się bardzo szybko...

Tam!

- Wytoczyć działa! - warknął i zaraz dodał: - Strzelajcie, gdy wróg znajdzie się w polu widzenia.

\* \* \*

Caitahno Raisahndo bębnił palcami prawej dłoni o naktuz, próbując jednocześnie przebić wzrokiem duszące dymy zasnuwające pokład HMS *Rakurai*. Jeszcze dziesięć, piętnaście minut i znajdzie się na tyle daleko, by zrobić kolejny zwrot. Teraz, gdy charisjańska jednostka straciła część żagli, Raisahndo był pewien, że uda mu się przejść na zawietrzną. A jeśli będzie miał odrobinę szczęścia, przepłynie tuż przed dziobem *Rzutki* i...

Nagle z dymu wyłonił się bukszpryt, a po nim zarys kadłuba innego okrętu. Kapitan Raisahndo otworzył szeroko zmrużone do tej pory oczy. To był drugi z charisjańskich galeonów. W tym dymie i zamieszaniu nie zauważył wcześniej, że tamten stawia wszystkie żagle.

*Przegapiłem go, ponieważ skupiłem się na ich flagowcu*, przyznał i sklął się w myślach za to zaniedbanie. Nie powinien skupiać uwagi na jednym szczególe, ale teraz za późno już było na reakcję.

Charisjański kapitan ryzykował wiele, stawiając wszystkie żagle w samym środku bitwy. Taka masa płótna przenosiła na maszty i takielunek potężne obciążenie, więc nawet z pozoru niegroźne trafienie mogło narobić sporo strat w ożaglowaniu, a ciasny zwrot czy silniejszy podmuch wiatru mógł nawet doprowadzić do zalania niższych furt działowych. Niemniej sztuczka przyniosła zamierzony skutek i okręt spokojnie zrównał się z flagowcem dohlariańskiej eskadry.

Raisahndo nie miał zbyt wiele czasu na kontemplowanie tego urokliwego widoku. Zanim otworzył usta, by wydać pierwszy rozkaz, furty działowe *Tarczy* otworzyły się i jej działa bluznęły ogniem.

\* \* \*

Odległość wynosiła mniej niż dwieście jardów. Była całkiem spora jak na bitwę morską, ale kanonierzy *Tarczy* mieli sporo czasu, by przygotować się do tej salwy, i po raz pierwszy odpalili działa, gdy okręt znalazł się na grzbiecie fali. Dokładnie wymierzona salwa pomknęła łukiem nad pokład wrogiej jednostki i ścięła jej przedni maszt.

\* \* \*

- A niech ich diabli! - zaklął wściekle Raisahndo, widząc, jak fokmaszt chylił się na bok. Górna część grotmasztu poszła za nim i *Rakurai* zachwiało się mocno, utraciłszy ponad połowę powierzchni żagli. Nagłe przemieszczenie środka ożaglowania ku rufie jednostki miało jeszcze jeden fatalny skutek. Zadaniem żagli z fokmasztu było równoważenie naporu wiatru na bezanmaszt, więc teraz, gdy ich nie było, galeon samoistnie wyostrzył do linii wiatru, tracąc całkowicie ciąg w żaglach jeszcze szybciej niż *Wielki Wikariusz Mahrys*.



*Tarcza* także zmieniła kurs, zwalniając, by dobić unieruchomiony żaglowiec, ale kapitan Krahl nie pozwolił na to, wpływając zdecydowanie pomiędzy *Charisjanina* i swój uszkodzony okręt flagowy.

\* \* \*

Zhon Pawał zachwiał się, gdy wpadł na niego z impetem jeden z kaprali piechoty morskiej. Przez moment kapitan myślał, że podoficer został trafiony, ale zaraz zrozumiał, jak bardzo się myli. Żołnierz odciągnął go z miejsca, w którym mgnienie oka później wylądowały resztki odstrzelonego *bezanmasztu*.

Złamany maszt pozbawił życia co najmniej trzech marynarzy z załogi *Rzutki*, a sam galeon zatoczył się po tym ciosie równie mocno jak jego dowódca. *Bezan*, podobnie jak poprzednio *fok*, przechylił się na bok i raz jeszcze marynarze musieli wziąć się do roboty, by toporami i kordelasami pozbyć się hamującego okręt balastu.

Pawał klepnął żołnierza w ramię, dziękując za uratowanie życia, i zaraz wrócił do wydawania rozkazów, gdyż HMS *Strażnik* i HMS *Księżę Dohlaru*, już szykowały się do dobiecia jego mocno uszkodzonego okrętu.

\* \* \*

Kapitan Mahrtyń Zhermain nie mógł zobaczyć, co stało się z dohlariańskim flagowcem. Szczerze powiedziawszy, w ogóle niewiele widział przez gęsty duszący dym. A ten był wszędzie, wciskał się do załzawionych oczu, kręcił w nosie, gryzł w płucach. Mimo odbicia wielu ćwiczebnych strzelań kapitan dopiero teraz w pełni zrozumiał, jak gęsty i oślepiający może być efekt pełnej salwy burtowej. Nadal jednak miał przed oczami widmowy kształt wrogiej jednostki, którą ścigał od tak długiego czasu.

- Ognia! - zawołał i pierwsza salwa burtowa z *Księcia Dohlaru* pomknęła w kierunku *Rzutki*.

\* \* \*

Cała sekcja nadburcia na śródokręciu zniknęła w jednej chwili. Dwie znajdujące się tam karonady zostały zrzucane z lawet, a dwudziestu trzech kolejnych członków załogi postradało życie bądź odniosło rany. Kapitan Pawał wbiegł w sam środek tej rzeźni, wydając rozkazy mimo palącego bólu w krtani.

*Nie wytrzymamy wiele więcej*, pomyślał, pomagając oczyścić pokład. *Po prostu nie wytrzymamy*.

- Wracać do dział, chłopcy! - usłyszał własne słowa. - Rozpieprzcie tych drani!

\* \* \*

*Ogień wroga zaczyna w końcu słabnąć*, pomyślał Mahrtdai Saigahn. *W samą porę*.

Teraz, gdy do walki włączyły się *Strażnik* i *Księżę Dohlaru*, charisjański galeon wszedł w kontakt bojowy z wszystkimi pięcioma jednostkami dohlariańskiej eskadry... i wszystkim odplacił pięknym za nadobne.

Może to i pieprzeni heretycy, pomyślał Saigahn, ale mają charakter godny samego Chihiro! Jednakże to im wiele nie pomoże.

- Zatopić drani! - wrzasnął. - Walić w nich jak w bęben!

\* \* \*

Zhermain obserwował upadek bezanmasztu *Rzutki* i podobnie jak Saigahn doszedł do wniosku, że jej zatopienie jest już tylko kwestią czasu. On też nie miał pojęcia, jak się sprawy mają na czele linii, ale teraz, gdy trzy dohlariańskie galeony ostrzeliwały osamotnionego Charisjanina, niewiele go to obchodziło. Niech się tym martwią Raisahndo i Krahl, może nawet Rohsail. On i Saigahn mają własnego krakena do upolowania i...

\* \* \*

- Strzelać bez rozkazu!

Trochę to trwało, ale Ahrnahld Stywyrnt poczuł w końcu, że na jego usta wpełza tryumfalny uśmiech godny polującego wielkiego smoka. Dym i uwaga Dohliarian skoncentrowana na *Rzutce* i *Tarczy*, pozwoliły *Szkwałowi* na niezauważone podejście. Wprawdzie z jego pokładu widać było tyle samo, co z dohlariańskich jednostek (gdymby, rzecz jasna, ktoś z nich spoglądał w przeciwną stronę), lecz kierował się na ciemne plamy, które powinny być szczytami masztów. Teraz, idąc pod pełnymi żaglami w sporym przechyle, *Szkwał* wychynął z dymu tuż za rufą *Księcia Dohlaru*, mając go zaledwie trzydzieści jardów po prawej burcie.

Furta za furta kanonierzy odpalali kolejno nowusieńkie dwukulowe krakeny i trzydziestofuntowe karonady. *Szkwał* miał na każdej burcie po osiemnaście dział, które wystrzeliwały za jednym zamachem trzydzieści sześć dokładnie wymierzonych żelaznych kul o średnicy sześciu cali, zdolnych przebić na wylot kadłub *Księcia Dohlaru*. Okna na rufie królewskiego galeonu zniknęły w jednym momencie, a pociski odpowiadające za ich zniszczenie pomknęły przez pokład działowy, zabijając kanonierów i strącając lufy z lawet. Mahrtyń Zhermain nawet się nie spostrzegł, gdy jeden z pocisków przeszedł przez jego ciało, zamieniając je w krwawą miazgę. Inny rozwalił trzy działa ustawione na pokładzie rufowym. Ta jedna salwa zabiła bądź raniła jedną trzecią załogi *Księcia Dohlaru*, a co gorsza uszkodziła ster, pozbawiając pękaty galeon zdolności manewrowania. Okręt zdany był teraz na łaskę wiatru.

\* \* \*

- Prawo na burtę! - wrzasnął Stywyr. - Wybierać szoty!

Sternicy natychmiast zakręcili szturwałem, a marynarze pospieszyli do lin.

Okręt wykonał ostry zwrot na sterburtę i przesunął się w pędzie wzdłuż burty Księcia Dohlaru aż przed jego dziób. Tam kapitan zarządził ponowną korektę kursu, wracając na południowo-zachodni.

Teraz, gdy tak wielu ludzi zajmowało się żaglami, na stanowiskach pozostały tylko obsady dział na bakburcie. *Szkwał*, po zwrocie przez sztag mocno wytracił prędkość, ale miał teraz dziób dryfującego galeonu właśnie po lewej.

- Ognia!

Kolejny grad kul przeszył chwiejący się kadłub Dohlarianina. Stywyr nie mógł jednak wiedzieć, jak niszczycielskie okazały się te dwie salwy. *Księżę Dohlaru* został poważnie uszkodzony, lecz nie było czasu na jego dobijanie. *Strażnik* wciąż prowadził ostrzał *Rzutki* - Stywyr nie potrafił jednak powiedzieć, czy ktokolwiek na tamtym pokładzie zauważył, jaki los spotkał jego towarzysza broni - a ta odpowiadała mu coraz słabiej.

- Prawo na burtę! - rozkazał raz jeszcze i *Szkwał* posłusznie zatoczył szeroki łuk, znów zbliżając się do linii wiatru. - Do zwrotu przez sztag, panie Mahldyn! Obsady dział na sterburtę!

\* \* \*

Mahrdai Saigahn obrócił się na pięcie zaskoczony hukiem dział dochodzącym gdzieś zza jego pleców. Przez moment nic z tego nie rozumiał. Potem drgnął, jakby raził go prawdziwy *rakurai*, i zaklął szpetnie pod nosem.

*A niech to! Szlag!* Przecież było ich tu trzech, a on o tym zupełnie zapomniał. Tak się skupił na ofierze i tym drugim, że kompletnie zignorował zagrożenie ze strony ostatniej jednostki Charisjan!

Nawet przez chmury dymu dostrzegł, jak *Księżę Dohlaru* raptownie odpada od wiatru. Widać było jak na dłoni, że mimo nienaruszonego ożaglowania okręt wymknął się spod kontroli, co oznaczało, że utracił albo koło sterowe, albo płetwę. W obu przypadkach *Księżę Dohlaru* był już bezużytecznym wrakiem, więc Saigahn zaklął po raz wtóry, widząc, że Charisjanin zrzuca żagle, by wytracić prędkość, i posyła drugą salwę z niewielkiej odległości w dziób niemal nieruchomego celu.

Na jego oczach trzeci okręt wroga zmienił kurs, próbując wejść pomiędzy uszkodzoną *Rzutkę* a ostrzeliwujący ją galeon. Dohlarianin poczuł zimny ucisk na dnie żołądka, gdy zrozumiał, że teraz będzie musiał walczyć z dwoma przeciwnikami naraz. Co gorsza, jednym z nich będzie całkowicie sprawna jednostka, która wyeliminowała *Księcia Dohlaru* tylko

dwiema salwami.

- Zwrot na sterburtę! - rozkazał i *Strażnik* odbił szybko w przeciwnym kierunku, ustawiając się rufą do idącego przeciwnym halsem *Szkwału*.

\* \* \*

Teraz to Ahrnahld Stywyrta musiał zakląć.

*Szkwał* poruszał się szybciej niż *Rzutka* i *Strażnik*, ponieważ chciał wejść na pełnej prędkości pomiędzy oba walczące okręty. Ale nawet jego doskonale wyszkoleni kanonierzy wpadli w lekką panikę, gdy znów kazał im zmienić burtę po nagłym zwrocie Dohlarianina, który odwracając się rufą, stworzył idealną okazję do oddania kolejnej niszczycielskiej salwy... Niestety nie mógł strzelać, gdyż prędkość i aktualny kurs *Szkwału* uniemożliwiały to. Bateria na bakburcie została przygotowana, ale ludzie przeniesieni na sterburtę nie mieli wystarczającej ilości czasu, by nabić ponownie działa, zanim *Strażnik* znalazł się poza polem rażenia. Zamiast więc do morderczego starcia, doszło do tego, że oba okręty rozeszły się pod ostrym kątem, by chwilę później znaleźć się na przeciwległych kursach. Kanonierzy Stywyrta byli równie rozczarowani takim obrotem sprawy jak on sam, ale szybko odzyskali rezon i odpalili salwę, gdy obie jednostki mijały się po wykonaniu zwrotów.

Tym razem odległość była o wiele większa niż w przypadku salwy, która unieruchomiła *Księcia*, *Dohlaru*, a działa strzelające dwiema kulami znane były z małej celności na dystansie większym od strzału z pistoletu. Z drugiej jednak strony artylerzyści *Szkwału* należeli do elity tej profesji i sprawili, że nad pokładem *Strażnika* rozległ się dziki wrzask, gdy nawała żelaza pokonała grube poszycie.

\* \* \*

Mahrdai Saigahn nie był tchórzem, hrabia nigdy nie wybrałby strachliwego oficera na jednego z pierwszych dowódców galeonów. Z drugiej jednak strony można go było zaskoczyć, jak chyba każdego człowieka na świecie, więc poczuł coś w rodzaju paniki, gdy charisjańska salwa burtowa dotarła do jego okrętu.

*Przestań!* - zganiał się w myślach. *Tak, dałeś się podejść temu draniowi. Zaakceptuj ten fakt i załatw sprawę do końca!*

Pokręcił głową jak bokser otrząsający się po ciosie w szczękę, potem zaczerpnął głęboko tchu i rozejrzał się, by ocenić sytuację.

*Jakim cudem spieprzyliśmy tę bitwę w tak krótkim czasie?* - zastanawiał się moment później.

*Księżę Dohlaru* dryfował z wiatrem, kompletnie pozbawiony sterowności. Zdażył się już wydostać z najgęstszego dymu, podobnie jak odpływający *Strażnik*, więc Saigahn widział

go teraz bardzo wyraźnie. To go jednak wcale nie uspokoiło. Zważywszy na ilość zniszczeń i ciał zalegających pokład, te dwie salwy musiały rozpętać prawdziwe piekło. Co gorsza, nie widział żadnych oznak zorganizowanej naprawy szkód, a przecież kapitan Zhermain był zbyt dobry, zbyt kompetentny, by nie zadbać o to od razu... Ten okręt już by nie dryfował, gdyby Zhermain wciąż stał o własnych siłach.

Nie było najlepiej, zwłaszcza że *Wielki Wikariusz Mahrys* zdryfował jeszcze dalej niż *Księżę Dohlaru* albo *Strażnik*. A Rohsail w odróżnieniu od Zhermaina nadal miał swoją jednostkę pod pełną kontrolą, mimo że stracił tak wiele żagli. Czyżby Rohsail tracił ducha? Gdy moment później Saigahn dostrzegł czerwone zacieki na burtach i zrozumiał, że ze szpigatów *Wielkiego Wikariusza Mahrysa* ściekają potoki ludzkiej krwi, przestał go o to winić. Jakby tego jeszcze było mało. *Rakurai* wykonał właśnie chybotliwy zwrot na bakburcie, ratując się po utracie fokmasztu i części grotmasztu.

To oznaczało, że teraz tylko *Strażnik* i *Bédard* Krahla mogą walczyć z Charisjanami.

Spojrzał za rufę, na zmieniający kurs *Szkwał*, który dołączył właśnie do *Rzutki*. W tym momencie otoczony chmurami dymu flagowiec Charisjan pochylał się - a w każdym razie bombramstengi jego dwóch ocalałych masztów wyglądały, jakby zaraz miały runąć - a ponieważ nikt akurat do niego nie strzelał, zapewne był to efekt poprzednich uszkodzeń.

Kolejna salwa rozległa się gdzieś na południowym wschodzie. Gdy Saigahn spojrzał w tamtym kierunku, zobaczył, że *Bédard* także odrywa się od wroga. Ahndair Krahl wystawiał się na silny ostrzał ze strony największego Charisjanina, ale nie robił tego z brawury, tylko po to, by osłonić wycofujący się flagowiec.

*I co ja mam teraz zrobić, u licha?* - zapytał sam siebie poirytowany Mahr dai Saigahn.

\* \* \*

Harys Aiwain obserwował oddalającą się *Bédard*. Instynkt nakazywał mu ruszyć w pogoń za znacznie mniejszą jednostką i rozwalić ją w drzazgi albo przynajmniej unieruchomić do czasu zakończenia rozprawy z dohlariańskim flagowcem.

Niestety nadal nie wiedział, co dzieje się na dalszym odcinku linii. Jedyne, co zauważył w tym dymie, to chylące się na bok maszty *Rzutki*. Zważywszy na ciężkie straty, jakie poniosła załoga Pawala na wcześniejszym etapie bitwy, charisjański flagowiec mógł być teraz niemal bezbronny wobec ataków ze strony pozostałych wrogów. Aiwain nie wiedział także, jak bardzo oberwał *Księżę Dohlaru* i *Strażnik*, choć zdawał sobie sprawę z tego, że Stywyrt zdołał w końcu pojawić się na polu bitwy i włączyć do walki.

Spojrzał w kierunku bakburty i dostrzegł kilka kolumn dymu unoszących się nad powierzchnią morza. Wyglądało na to, że *Błysk* i *Maczuga* zdołały mimo wszystko dopaść

konwój. Zdawał sobie sprawę, że szkunery zniszczą tylko kilka z kilkunastu frachtowców, zanim te pójda w rozsypkę, ale to i tak lepsze niż nic.

*O tak, pomyślał. Naprawdę chcę wykończyć choć jednego z tych drani, tylko że Rzutka oberwała naprawdę mocno, a ja mam na pokładzie więcej rannych i zabitych niż ludzi zdolnych do dalszej walki, no i znajdujemy się o tysiąc mil od wyspy Trove i nie mamy pojęcia, czy w pobliżu nie kręci się kolejna wroga eskadra...*

Skrzywił się, gdy dotarła do niego nieunikniona konkluzja.

Niestety logika okazała się silniejsza od jego chęci.

\* \* \*

Stywirt widział, że *Strażnik* stawia kolejne żagle.

Nie ulegało wątpliwości, że dohlariański galeon ucieka, a zważywszy na wszystkie okoliczności, nawet Stywirt nie winił go za ten akt rozwagi. W tym momencie oddalenie się na chwilę, by ogarnąć sytuację, było najrozsądniejszym rozwiązaniem, jakie mogło przyjść do głowy dobrego dowódcy.

*A gdy już się oderwie od nas, na pewno nie wróci*, uznał po chwili zastanowienia.

Dwa z dohlariańskich galeonów zostały poważnie uszkodzone, lecz takielunek *Szkwału* i *Tarczy* wydawał się wciąż nietknięty. W takiej sytuacji wróg powinien osłaniać pozbawione sterowności okręty, zamiast się wycofywać, ale jeśli spojrzeć na to z drugiej strony, gdzieś w pobliżu mogła czaić się druga eskadra, idąca z odsieczą. Istniało spore prawdopodobieństwo, że hrabia Thirsku wysłał w morze kilka zespołów eskorty zamiast jednego, więc „uciekający” w popłochu przeciwnicy mogli ich „przypadkowo” zaprowadzić prosto w pułapkę.

W tej sytuacji uznał, że lepiej będzie, jeśli odpuści, skoro tak bardzo chcą odpłynąć. Miał przecież *Rzutkę* i *Księcia Dohlaru* do dobiecia. Pozbawiony steru galeon nie został wciąż naprawiony, co sugerowało, że salwy *Szkwału* okazały się bardziej niszczycielskie, niż przypuszczał Stywirt. Nie oznaczało to jednak, że Dohlarianie lada moment nie dojdą do siebie, a wtedy, uszkodzeni czy nie, mogą narobić kolejnych szkód na unieruchomionym flagowcu Charisjan.

*Lepiej więc będzie, jeśli zajmę się dokończeniem roboty*, uznał. *W końcu to moja zdobycz!*

Uśmiechnął się na tę myśl, ale zaraz spoważniał.

- Dobrze, panie Mahldyn - powiedział. - Proszę przygotować okręt do wykonania zwrotu. - Wskazał głową w kierunku *Księcia Dohlaru*. - Zdaje się, że mamy nagrodę do odebrania.

### .III.

**HMS *CESARZOWA CHARISU***  
**TELLESBERG**  
**KRÓLESTWO STAREGO CHARISU**

HMS *Cesarzowa Charisu* nie był już najpotężniejszym okrętem wojennym świata. Za osiemnastoma z jego sześćdziesięciu ośmiu furt działowych nie było armat. Przez co na jego pokładach działowych pozostało tylko dwadzieścia osiem długolufowych trzydziestofuntówek, cztery długie czternastki i osiemnaście trzydziestofuntowych karonad na pokładzie głównym. Ale nawet po tak znacznym ograniczeniu uzbrojenia galeon ten wciąż należał do czołówki wojennych gigantów i był ulubionym flagowcem cesarza Cayleba.

I dlatego płynął teraz w kierunku galer czekających u wejścia do portu. Przy tak słabym wietrze masywna jednostka nawet pod pełnymi żaglami mogła osiągnąć najwyżej dwa węzły. Podniesiony na topie bezanmasztu cesarski proporzec ledwo się poruszał, ale dość, by ludzie widzieli zdobiącego go złotego krakena Ahrmahków płynącego na tle srebrno-niebiesko-czarnej szachownicy Chisholmu i Charisu. Ta bandera różniła się jednak od pozostałych proporców cesarstwa, jako że nad krakenem znajdowały się dwie korony, złota i srebrna, głoszące wszem wobec, że na pokładzie jednostki znajduje się para władców cesarstwa Charisu.

To z pewnością był główny czynnik pojawienia się na wodach portu gigantycznej flotyli małych łodzi i tłumów wiwatujących z ich pokładów. Od chwili wypłynięcia cesarzowej Sharleyan do Chisholmu upłynął niemal rok, a od wyruszenia cesarza Cayleba na Corisand ponad półtora roku. Szczerze mówiąc, oboje mieli wrócić do Tellesbergu miesiąc wcześniej. Nic więc dziwnego, że wielu obywateli Starego Charisu narzekało głośno - i czasem bardzo elokwentnie - na ich spóźnienie.

Wina za ten stan rzeczy spadała po części na przeciwne wiatry, a tym nie mogli rozkazywać nawet tak potężni władcy, jak cesarz i cesarzowa. Z drugiej jednak strony ich cesarskie moście miały opuścić Cherayth prawie trzy pięciodni wcześniej, niż to miało miejsce, więc nie było sensu zaprzeczać temu, że pomiędzy obiema stolicami cesarstwa trwa zacięta rywalizacja o ich osoby. Bardzo uczciwa i przyjazna, trzeba dodać, ale nie czyniło jej to bynajmniej mniej realną, dlatego też bardziej wrażliwi mieszkańcy Starego Charisu zżymali się strasznie na wieść o przedłużonym pobycie władców na dalekiej i obcej ziemi.

Narzekania te jednak nie były specjalnie głośne. Po pierwsze, młodzi władcy byli niezwykle popularni wśród ludu (poza nielicznymi lojalistami Świątyni, którzy życzyli im śmierci, ale na razie niewiele mogli w tej sprawie zrobić). Po drugie, obywatele Imperium Charisu zdawali sobie sprawę, że ich ojczyzna walczy z niemal osiemdziesięcioma procentami mieszkańców Schronienia, więc takie nieplanowane zmiany harmonogramu podróży cesarskiej pary mogą się zdarzać i nie będą niczym niezwykłym. I wreszcie po trzecie, zanim Sharleyan wyruszyła do Cherayth, spędziła trzy dodatkowe miesiące w Tellesbergu.

Jednakże najważniejszym powodem, dla którego ludzie kazali się zamknąć malkontentom, była wiadomość, że cesarzowa nie tylko jest brzemienna, ale ma zamiar wydać na świat potomka właśnie tutaj, w Tellesbergu, zatem następca tronu będzie nie tylko Charisjaninem, ale też Starym Charisjaninem z urodzenia. Rzecz jasna, rodzina cesarska była zbyt taktowna, by to podkreślać, ale ulica i tak wiedziała swoje. Wreszcie, witana przez tłumy wiwatujące z setek łodzi, *Cesarzowa Charisu* zwinęła żagle, podpływając do galer, które miały ją podprowadzić do nabrzeża.

Obejdź się smakiem, Cherayth!

\* \* \*

- Wiecie, jeśli te nasze marudy nie zamkną w końcu pysków, jak nic dojdzie do wojny domowej - rzucił z przekąsem Rayjhis Yowance.

Hrabia Szarej Zatoki siedział przy końcu stołu, spoglądając nad białym na Cayleba. Sharleyan zajmowała miejsce po prawicy męża, na wprost biskupa Hainryka Waignaira, obok którego zasiadał z kolei Bynzhamyn Raice. Fotel po lewej od cesarzowej należał do Rahzyra Mahklyna, który zamykał listę gości zaproszonych na to spotkanie.

Z powodu nieobecności Merlina, stojącego zazwyczaj za plecami cesarza, było to - przynajmniej zdaniem barona Gromu i hrabiego Szarej Zatoki - bardzo niekompletne grono.

- Nie przesadzaj, Rayjhisie - zaoponował z całą powagą biskup Waignair. Zbliżał się już do osiemdziesiątki, miał całkowicie białe włosy i ciemne oczy otoczone głębokimi zmarszczkami. Był szczupły i przygarbiony, a wydatne żyły na jego wymizerowanych dłoniach nadawały mu wyraz wyjątkowej kruchości. Mimo to był w znakomitej formie, zdrowy na ciele i na umyśle.

- Tak powiadasz, ekscelencjo? - Hrabia Szarej Zatoki uśmiechnął się do niego. - Może nie słyszałeś tego, co mnie dane było słyszeć.

- Nasłuchałem się więcej narzekań niż ty, jeśli wybaczysz mi tę niezbyt elokwentną odpowiedź - odparł Waignair. - Jestem jednak pewien, że poddani jej łaskawości nie wezmą



sobie tego do serca. Nasi powiadają - teraz on mógł się uśmiechnąć - że dziedzic tronu urodzi się tutaj, w Tellesbergu, ale zadaj sobie pytanie: gdzie został poczęty?

Hrabia Szarej Zatoki zrobił wielkie oczy i opadł ciężko na oparcie fotela, gapiąc się na biskupa przez dłuższą chwilę. W końcu pokręcił głową.

- A wiesz, że nigdy bym o czymś takim nie pomyślał. - Znowu pokręcił głową, jakby był oszołomiony. - A niech mnie! Na ten temat też będą marudzili?

- Szczerze mówiąc, już to robią - wtrącił Cayleb zrezygnowanym tonem. - To znaczy marudzą. I rozprawiają o jakichś cudownych właściwościach chisholmskiej wody albo powietrza. - Uśmiechnął się krzywo. - Zdaję sobie sprawę, że wszyscy mieszkańcy Imperium Charisu są żywo zainteresowani przedłużeniem naszej dynastii. I rozumiem ich. A nawet popieram. Tyle że zaczynam się czuć jak jakiś rasowy ogier albo smok rozplodowy.

- Co czyni ze mnie?... - zapytała Sharleyan, opierając dłoń na zaokrąglonym brzuchu.

- Drugą połowę tego porównania? - zasugerował Cayleb niewinnym głosem i zaraz dostał klapsa w wierzch dłoni.

- Sami widzicie, co ja z nim mam - rzuciła w kierunku zebranych przy stole i usłyszała w odpowiedzi gromki śmiech.

- Szczerze mówiąc, wasza łaskawość - powiedział hrabia Szarej Zatoki moment później, już znacznie poważniejszym tonem - poczęcie dziecka w Chisholmie i urodzenie go w Starym Charisie jest najlepszym wyjściem z tej sytuacji. Z całym szacunkiem dla delikatnych uczuć jego wysokości i twoich, rzecz jasna, to będzie najszerzej komentowana ciąża w historii obu naszych domen. A - tu znów się uśmiechnął - ogromne rzesze naszych poddanych cieszą się z tego powodu.

- To, wasza łaskawość, całkowita prawda - dodał Waignair łagodnym tonem. - Odprawiamy w katedrze mszę dziękczynną w każdą środę wieczorem, od chwili, gdy otrzymaliśmy wiadomość, że jesteś w błogosławionym stanie. Przychodzą prawdziwe tłumy. A wielu twoich poddanych składa ukradkiem niewielkie wota, rozrzucają monety, sypią płatki kwiatów albo wtykają pod ławki kartki z modlitwami za ciebie i dzieciątko. - Pokręcił głową.  
- Nie sądzę, aby za jakąkolwiek kobietę w ciąży, i to w całej historii Charisu, składano tyle wotów i zanoszono tyle modlitw.

Sharleyan zaczerwieniła się lekko, ale nie spuściła wzroku nawet na moment, a nawet skinęła głową w kierunku biskupa.

- Jedyne, co wydaje mi się teraz niewłaściwe - dodał szybko baron Gromu, jakby chciał sprowadzić pozostałych na właściwe tory - to fakt, że nie ma tu z nami Merlina i arcybiskupa Maikela.

Zebrani pokiwali głowami. W końcu ktoś wypowiedział te słowa na głos. Hrabia Szarej Zatoki był jedynym człowiekiem w tym gronie, który nie znał całej prawdy o młodej kobiecie nazwiskiem Nimue Alban, ale i jemu było wiadome, że *seijin* miewa wizje. Zdawał sobie również sprawę z tego, że kapitan Athrawes jest bardzo bliskim przyjacielem obojga małżonków. Dlatego nie dziwiło go wymienienie go jednym tchem z arcybiskupem Maikelem.

- To prawda - przyznała Sharleyan po dłuższym milczeniu. - To prawda, ale wszyscy wiedzieliśmy, że arcybiskup Maikel nie ma szans na powrót z Corisandu przed terminem rozwiązania, a nie mogliśmy go tam puścić bez Merlina. Nie po tym, co przydarzyło się ojcu Tymahnowi.

- Zabójstwo każdego dziecka bożego to straszna rzecz - wymamrotał Waignair, pochmurniejąc. - A zabicie kapłana, i to w tak okrutny sposób, żeby zniechęcić innych, jest czymś więcej, bo wynaturzeniem.

Teraz już nikt się nie uśmiechał, jako że biskup poruszył bardzo ponury temat. Raporty mówiły wyraźnie, jaki los spotkał przeciwników Zhaspyra Clyntahna w Świątyni i Syjonie. Jak słusznie zauważył biskup, zamordowanie tych ludzi było prawdziwym wynaturzeniem.

Aresztowano trzydziestu jeden wikariuszy, którzy potem trafili na przesłuchania i zostali skazani na karę Schuelera. Zabito trzydziestu trzech - jeśli liczyć także braci Wylsynnów - najważniejszych hierarchów Kościoła Boga Oczekiwanego spośród trzystu, jacy żyli aktualnie na Schronieniu. Ośmiu z nich miało tyle szczęścia, że zmarło jeszcze w trakcie przesłuchań, pozostałym dwudziestu trzem zaaplikowano cały katalog kar przewidzianych barbarzyńskim prawem, a na koniec spalono na stosie. Tylko szesnastu dotrwało do autodafe, co świadczyło o braku jakiegokolwiek litości dla ofiar.

Do wikariuszy dołączyli biskupi i arcybiskupi w liczbie pięćdziesięciu jeden oraz pracownicy i krewni wszystkich skazanych wcześniej prałatów. Wdowy po nich także poddano przesłuchaniom, a potem wszystkie stracono, aczkolwiek Clyntahn okazał im swą łaskę, posyłając prosto na szubienicę. Dzieci do dwunastego roku życia stanęły przed sądami inkwizycyjnymi, te, które miały piętnaście lat i więcej, podzieliły los rodziców. Cały proces trwał ponad dwa miesiące, doprowadzając ludność Syjonu na skraj załamania nerwowego.

W trakcie tej czystki aresztowano ponad dwa i pół tysiąca mężczyzn, kobiet i dzieci, a tysiąc czterysta osób zabito. Oseski zostały łaskawie oszczędzone przez Kościół Matkę i oddane na wychowanie innym członkom wikariatu. Dzieci powyżej lat czterech - te, którym udało się przeżyć śledztwa Inkwizycji - wysłano do klasztorów o najsurowszej dyscyplinie,

głównie na terytorium Harchongu będącego cytadelą ortodoksji.

Przy okazji Clyntahn pozbył się garstki Charisjan ocalałych z masakry w Feraydzie. Nie było ich wielu - dokładnie biorąc, siedem osób - ale wielomiesięczne więzienie złamało ich już dawno i każdy z największą ochotą przyznałby się do każdej zbrodni, byle tylko zakończono ich niewysłowione męki. I to uczynili, przyznawali się do każdej perwersji i herezji. Twierdzili, że czczą nienawidzącą Boga Shan-wei, z którą weszli w pakt, zaprzędając swoje dusze Ciemności.

Po tak czytelnym dowodzie na rozmiary charisjańskiej apostazji i moralnego zepsucia drążącego tak zwany Kościół Charisu nie trzeba było długo czekać na ogłoszenie przez wielkiego wikariusza świętej wojny. Nikt jej nie zakwestionował, nikt na Ziemiach Świątynnych nie sprzeciwił się czynom Clyntahna i Grupy Czworoga. Nie było tam już nikogo, kto mógłby to zrobić.

A jednak, mimo uciszenia głosów rozsądku, wśród ludu zaczęły krążyć pogłoski, że miotła wielkiego inkwizytora nie zamiatała tak dokładnie, jak by tego chciał. Kilka rodzin oskarżonych wikariuszy zniknęło w tajemniczych okolicznościach, podobnie jak dziesiątki rodzin arcybiskupów i pomniejszych hierarchów Kościoła Matki. Nikt nie wiedział, jak wielu ludzi zdołało wymknąć się z żelaznego chwytu Inkwizycji, ale gdyby nawet jednej osobie udało się ta sztuka, rzuciłoby to spory cień na omnipotencję Zhaspyra Clyntahna.

Natychmiast pojawiły się więc inne plotki, sprzeczne z tymi pierwszymi, których autorzy twierdzili, że ucieczka rodzin musiała być dowodem na wpływy Shan-wei, a więc potwierdzała winę jej sługusów. Bo przecież tylko Matka Mroku mogła wyrwać kogokolwiek ze szponów Inkwizycji. Ludzie zgromadzeni wokół Cayleba i Sharleyan nie mieli najmniejszych wątpliwości, kto rozsiewa te plotki. Wszyscy wiedzieli też, że chodzi wyłącznie o to, by zdyskredytować ewentualne głosy ocalałych, gdyby zechcieli przemówić z terytorium Imperium Charisu.

- Wybaczcie - wymamrotał Wagnair po dłuższej chwili. - Ta wieczerza powinna być świętem radosnym, a ja wszystko zepsułem.

- To nie ty, ekscelencjo, ją zepsułeś - zapewniła go Sharleyan. - Wszyscy dobrze wiemy, kto jest za wszystko odpowiedzialny, i obawiam się, że żal z powodu tego, co wydarzyło się w Syjonie, nigdy nie zniknie z naszych serc.

- I nie powinien - dodał ostrym tonem Cayleb, a gdy wszyscy spojrzeli na niego, pokręcił dziko głową. - Te bękarty odpowiedzą za to, a my będziemy mieli w pamięci wszystkie ich ofiary, ponieważ ci ludzie zginęli nie za to, co zrobili albo próbowali zrobić dla naszej sprawy. Zabito ich, ponieważ mieli czelność stanąć na drodze mordercom!

- Tak, wasza wysokość, to prawda. - Waignair pochylał głowę ze smutkiem. - Wielu moich proboszczów mówiło mi, że przychodzili do nich parafianie, pragnący zrozumieć, jak Grupa Czworoga mogła popełnić tak okropną zbrodnię w imieniu Boga. Księża próbowali ich uspokoić, ale prawda jest taka, że i oni nie potrafili tego ogarnąć. To znaczy, rozumieliśmy, czym kierowała się Grupa Czworoga, ale w głębi duszy, z perspektywy wiary, nie byliśmy w stanie tego pojąć.

- Może dlatego, że wy wierzycie w miłującego nas dobrego Boga - wtrącił hrabia Szarej Zatoki. - Nie mam pojęcia, czy Trynair albo Magwair wierzą w cokolwiek, ale wydaje mi się, że wszyscy widzieliśmy dowody wiary Clyntahna. On wierzy wyłącznie w swoją potęgę i co gorsza, chce upodobnić do siebie naszego Boga. I zrobi wszystko co w jego mocy, by dopiąć swego.

- Obawiam się, że masz rację. - Waignair westchnął ciężko. - Ale te słowa nie dadzą wielkiego ukojenia wylęknionym i zagubionym. Możemy im tylko zalecać, aby modlili się gorliwiej, ufali Bogu i pamiętali o obowiązku przeciwstawiania się złu, gdziekolwiek się pojawi... nawet jeśli to będzie pomarańczowa sutanna wikariusza. Obawiam się jednak, że to marne pocieszenie bez względu na to, jak wielką ktoś żywi wiarę. Zwłaszcza gdy pozostaje niepewny losu swoich bliskich, jak choćby ojciec Paityr.

Spojrzał na Sharleyan, w oczach mając smutek. Cesarzowa pokiwała lekko głową, jakby dawała znak, że rozumie. Wiedziała, jak podle musi się czuć Waignair, nie mogąc poinformować Paityra Wylsynna o domniemanej ucieczce jego macochy i rodzeństwa. Była też bardzo zaskoczona, widząc, że młody intendent nie zrezygnował z pełnienia obowiązków, chociaż wiedział już, iż jego ojciec i wuj nie żyją... a reszta rodziny przepadła gdzieś bez wieści. Zdawała sobie jednak sprawę, że nikt nie ceni i nie szanuje młodego schueleryty bardziej niż biskup Waignair. Wydawać się mogło, że ten staruszek ukochał go jak własnego syna, więc patrzenie na żal i strach młodego kapłana musiało być dla niego straszliwym przeżyciem. A przyglądanie się mękom Paityra, przy wiedzy, że część rodziny powinna dotrzeć za jakiś czas do Tellesbergu, tylko pogarszało sytuację.

*Na szczęście to ostatnie akurat jest prawdą. Wylsynnowie dotrą do Charisu za dwa, trzy pięćdziesiąt dni, pomyślała Sharleyan. Ich statek pokonał już połowę drogi i płynie przez Kowadło. Paityr niedługo się dowie, Boże pobłogosław jemu... i im.*

- Wiem, o czym mówisz, Hainryku - odparła na głos, patrząc mu prosto w smutne oczy. - I zgadzam się z tobą. Też chciałabym znać sposób ukojenia takich lęków i obaw.

- Wybacz, wasza łaskawość - wtrącił hrabia Szarej Zatoki - ale sądzę, że ty jesteś lekiem na całe zło, przynajmniej w opinii sporej części poddanych. - Zerknęła w jego stronę,

a on popatrzył na Waignaira i dodał: - Przepraszałeś nas za podniesienie tego tematu, Hainryku, niemniej prawdą jest, że wydarzenia w Syjonie mogą się obrócić na naszą korzyść, zwłaszcza w takich momentach jak ten. Myślę, że to pomoże ludziom w całym Imperium zrozumieć, jak wielkie błogosławieństwo nas spotkało. My przynajmniej wiemy, o co walczymy. Sam Bóg dał nam okazję do zakończenia rządów rzeźników pokroju Clyntahna. Ile razy w naszej historii ludzie mogli dokonać równie znaczącego czynu? Sądzę, że wszyscy, a zwłaszcza ci najbardziej wylęknieni szukają tylko wytchnienia i spokoju, o których niedawno wspominałeś. I właśnie dlatego, wasza łaskawość - przeniósł wzrok na Sharleyan - narodziny twojego potomka mają dla nich tak wielką wagę. Oni naprawdę kochają ciebie i Cayleba. Podobnie jak ja. Jednakże to dziecko reprezentuje sobą coś więcej niż tylko przedłużenie cesarskiego rodu. Twój syn albo córka będzie symbolem walki, która legła u podstaw naszego Imperium Charisu.

## **.IV.**

### **HMS *CHIHIRO***

#### **ZATOKA GORATH**

#### **KRÓLESTWO DOHLARU**

Hrabia Thirsku odwrócił się od okien rufowych, gdy porucznik Bahrdaillahn wprowadził gości do kajuty admirałkiej.

- Panowie - powitał ich admirał.

- Mój panie - odpowiedział Caitahno Raisahndo jako najstarszy z czwórki przybyłych oficerów.

- Siadajcie, proszę. - Hrabia Thirsku wskazał im fotele ustawione przed jego biurkiem.

Posłuchali uprzejmie wydanego polecenia, a on poczekał, aż zajmą miejsca, przyglądając im się uważnie, zanim przeszedł za biurko.

Wszyscy - a najbardziej Raisahndo i Rohsail - wyglądali na wycieńczonych. Temu drugiemu coś dolegało, choć starał się to ukryć przed zwierzchnikiem. Gdy jego lewa ręka dotknęła podłokietnika fotela, palce dłoni zacisnęły się kurczowo, jakby poczuł trudny do wytrzymania ból.

W oczach utkwionych w admirał kryło się jednak coś więcej niż tylko zmęczenie czy ból. Usiadł więc wygodniej, kładąc dłonie na blacie, gotów do poznania prawdy.

- Czytałem wasze raporty i te, które sporządzili wasi pierwsi oficerowie... w pańskim przypadku, kapitanie Krahl, był to następca poległego pierwszego oficera... i znalazłem w nich cały szereg nieścisłości. Nie dziwi mnie jednak, że w ferworze walki na otwartym morzu widzieliście pewne zdarzenia w zupełnie odmienny sposób. Mimo to wierzę, że uda nam się ustalić spójną wersję zdarzeń, i to też przekazałem biskupowi Staiphanowi i księciu Thorastu... - Zamilkł na moment, czując, że napięcie w kajucie rośnie z każdą sekundą. - Zapewniłem ich również - dodał po chwili równie spokojnym głosem - że w pełni popieram wasze działania. W moim mniemaniu świadczą one doskonale o was i waszych załogach.

Żaden nawet nie drgnął, ale wydawać się mogło, że cztery pary płuc jednocześnie wypuściły powietrze. Hrabia, zauważając to, uśmiechnął się pod nosem, a potem pochylił nad blatem.

- Nie przeceniajcie jednak mojego wsparcia, panowie.

*O wiele bardziej cieszyłbym się, gdybyście zatopili choć jeden charisjański galeon. Albo gdybyśmy nie stracili pięciu frachtowców z konwoju i obu galer, które je chroniły. - Uśmiechnął się raz jeszcze, ale znacznie bladziej. - Nie wspominając już o Księciu Dohlaru.*

Żaden z siedzących przed nim kapitanów nie ważył się odezwać. Wcale go to nie zdziwiło.

- Chyba nie jesteście zaskoczeni takim podejściem przełożonego? - dodał. - Aczkolwiek jeśli spojrzeć na tę bitwę z drugiej strony, nie ma na tym świecie człowieka, który potrafiłby wyczarować zwycięstwo. Mielicie przewagę liczebną nad wrogiem, na co już kilka osób zwracało mi uwagę, mowa tutaj rzecz jasna o ludziach, którzy nie byli z wami na morzu podczas tego starcia. Wszystkim im wyjaśniałem, że wasze jednostki były mniejsze, działa lżejsze, a Cayleb z pewnością wybrał najlepszych ze swoich kapitanów, by operowali tak daleko od granic jego Imperium. Innymi słowy, panowie, spisaliście się na medal w czasie waszej pierwszej bitwy na morzu, co jednak nie powinno was przyzwyczajając do myśli, że zawsze będziecie mieli przewagę dwa do jednego. To mógł być wyjątek, który już nigdy się nie powtórzy. Wracając jednak do tematu, mając w pamięci brak doświadczenia załóg i oficerów oraz obycia z nowymi taktykami pola walki, uważam, że spisaliście się całkiem dobrze. Po raz pierwszy charisjańska eskadra nie osiągnęła zakładanego celu. Owszem, straciliście jeden okręt, a straty wśród waszych ludzi, mówię tu zwłaszcza o sir Dahrandzie, były bardzo wysokie, lecz nie dopuściliście do rozgromienia waszych okrętów, a wasze załogi walczyły zdyscyplinowanie i zawzięcie od początku do samego końca. Nie zauważyłem żadnych oznak defetyzmu w oczach marynarzy, jak to miało miejsce po sromotnej klęsce, jaką ponieśliśmy po pierwszym spotkaniu z charisjańskimi galeonami, kiedy morale we flocie

upadło całkowicie. - Gdy wyszczerzył zęby, nie wyglądało to na uśmiech. - Zaufajcie mi, panowie. Kiedy Cayleb nadciągnął na skrzydłach burzy, pośrodku nocy widziałem kompletne załamanie moich ludzi. Kapitanowie kierowali swoje okręty prosto na skały, podpalali je, woląc taki los niż spotkanie twarzą w twarz z Charisjanami. Wiem, dlaczego to robili, szok, jakim było zobaczenie na własne oczy takiej nawały ogniowej, dotknął także mnie. I dlatego od razu zwróciłem uwagę, że podczas waszego starcia nikt nie spanikował. Ani wy, ani wasi oficerowie i marynarze. Jestem więc pewien, że ta bitwa nauczyła was wiele. Waszą postawę należy rozpropagować w całej marynarce, więc proszę was o to, byście podzielili się swoimi wrażeniami z innymi kapitanami. W szerszej perspektywie czasowej to może być nasz największy atut. A co do strat... jak wszyscy żałuję zatopienia *Księcia Dohlaru*. Wszakże pamiętajcie o jednym: Charisjanie są bardzo daleko od domu. Z raportów wynika, że co najmniej jeden z ich galeonów został poważnie uszkodzony. Być może zginęło na nim tak wielu ludzi jak na waszych okrętach, lecz wróg, w odróżnieniu od nas, nie może sięgnąć po uzupełnienia, ponieważ jego bazy znajdują się w odległości tysięcy mil. Co więcej, my dysponujemy w pełni wyposażonymi stoczniami, w których możemy naprawić wszystkie uszkodzenia, a oni nie mają nic. Co najwyżej mogą wrócić na wyspę Szpon, aczkolwiek zatoka Hardship nie nadaje się za bardzo na miejsce do naprawiania okrętów. Nie wspominając już o tym, że najpierw muszą tam dopłynąć. Mając to wszystko na uwadze, sądzę, że każdy sędzia analizujący waszą walkę doszedłby do wniosku, iż osiągnęliście co najmniej remis. W mojej opinii, ze strategicznego punktu widzenia było to czyste zwycięstwo. - Pokręcił głową. - Wiem, niektórzy krytycy powiedzą, że szukam jaśniejszych stron. Ale zapewniam was, że każdy kto tak myśli, jest w błędzie. Nie twierdzą jednak, że wszystkie wasze decyzje były idealne, ponieważ to nieprawda, i zaraz powiem wam, na czym polegały wasze błędy, abyście nie popełnili ich w przyszłości. Niemniej walczyliście tam, i to ostro, zupełnie nie zważając na straty i uszkodzenia. Jestem więc pewien, że nasz wróg zastanowi się dwa albo i trzy razy, zanim wyśle kolejny tak mały zespół bojowy na nasze wody. A to oznacza olbrzymie ułatwienia w żegludze przybrzeżnej i handlu. To właśnie przekazałem biskupowi Staiphanowi, książętom Thorastu oraz Fernu i jego wysokości w raporcie na piśmie. Zwróciłem im też uwagę na fakt, że siły naszej floty nieustannie rosną. Już niedługo, moi panowie, zamierzam rozpocząć ofensywę, a gdy do tego dojdzie - spojrzał im prosto w oczy - wy będziecie na pierwszej linii.

Cała czwórka, nie wyłączając Rohsaila, siedziała teraz sztywno, jakby połknęła kije. Wciąż byli zmęczeni i zaniepokojeni, ale oczy im błyszczały, co admirał natychmiast skwitował skinieniem głowy. Powiedział im samą prawdę. Może trochę podkoloryzował,

uwypuklił ten czy inny szczegół, ale ogólnie biorąc, był z nimi absolutnie szczerzy.

*Oni naprawdę dobrze się sprawili, powiedziałbym nawet, nadspodziewanie dobrze, pomyślał. Nawet biorąc pod uwagę wszystkie niedociągnięcia, u licha, nawet przyjmując za pewnik przesadę, z jaką opisali swe czyny! Udało im się rozpieprzyć charisjański galeon. I heretycy wiedzą o tym równie dobrze jak ja. Będą więc musieli zmienić podejście. To samo dotyczy zresztą naszych załóg. W ciągu jednej nocy nie da się zamienić masy rekrutów w doświadczone wilki morskie, lecz ta bitwa była pierwszym krokiem na długiej drodze do udowodnienia nam i Caylebowi, że charisjańska flota nie jest niezwyciężona. A to, moi panowie warte było wszystkich ludzi, których straciliście. Tak, i Księcia Dohlaru też.*

- A teraz, panowie - powiedział, uśmiechając się szczerze - skoro już was pochwaliłem za postawę, zajmijmy się analizą waszych błędów. Ale bez obaw - jego uśmiech stał się szerszy - obiecuję, że będę uprzejmy.

## **.V.**

### **HMS TANCERZ**

### **WYSPA TROVE**

### **ZATOKA DOHLARIAŃSKA**

Sir Gwylym Manthyr spoglądał na posępną ciemnogrnatową powierzchnię zatoki. Słońce kryło się za garbem wyspy Trove, którą miał teraz za swoimi plecami, rzucając wyjątkowo długie cienie na okoliczne wody, nadając im przy okazji barwę atramentu, lecz szczyty masztów *Szkwału* i *Tarczy* wciąż jaśniały w promieniach, które docierały do tego miejsca znad wzgórz.

Tylko *Rzutka* kryła się już w półmroku, jako że nie miała tak wysoko umieszczonych rei.

Ekipy remontowe pracowały na jednostce kapitana Pawala nieustannie. Udało się już postawić nowy bezan i grotmaszt, wszystko wskazywało więc na to, że naprawy prowadzone przez znakomitych charisjańskich szkutników dobiegną końca, zanim hrabia Thirsku zdoła zareagować i wyśle potężną eskadrę przeciw nowym mieszkańcom tej wysepki.

*Z drugiej jednak strony możemy brać za pewnik, że admirał prędzej czy później zdecyduje się na wysłanie tutaj swoich okrętów. Manthyr pokręcił wolno głową. Zanim do tego dojdzie, muszą dokonać ponownej oceny jego zdolności bojowej.*



Zatrzymał wzrok na czwartym galeonie stojącym na kotwicy w tej niewielkiej zatoczce. Naprawy *Księcia Dohlaru* były łatwiejsze, przebiegały więc szybciej i mimo że na jego pokładzie wciąż przebywali skutnicy, w zasadzie był już gotowy do wyjścia w morze. Manthyr cieszył się z tej zdobyczy, i to z kilku powodów. Działa dohlariańskiego galeonu były o wiele gorsze od tych, którymi dysponowały jego okręty, dysponował więc naprawdę niewielkim zapasem amunicji - faktycznie miał tyle kul, ile zostało w przepastnych ładowniach *Księcia Dohlaru* - niemniej przejście wrogiej jednostki stanowiło znaczne wzmocnienie sił i co więcej, było dowodem na to, czego potrafią dokonać kapitanowie i załogi Manthryra nawet wtedy, gdy walczą w trójkę przeciw piętnastu wrogów.

To samo dotyczyło pięćdziesięcioprocentowych strat wśród załogi *Księcia Dohlaru* po tylko dwóch salwach kapitana Stywyrta.

Manthyr skrzywił się. Myśl o stratach przypomniła mu o zabitych Charisjanach... i smutku, którego nie załagodziło nawet zdobycie wrogiej jednostki. Gdy wrócił wzrokiem do *Rzutki*, wyraz goryczy na jego twarzy jeszcze się pogłębił.

Osiemdziesięciu czterech ludzi z załogi Pawala zostało zabitych albo rannych podczas tej bitwy. *Szkwał* wyszedł z niej z tylko trzema rannymi na pokładzie, ale *Tarcza* nie miała już tyle szczęścia i straciła trzydziestu dwóch marynarzy. To dawało łączną liczbę stu dziewiętnastu ludzi wyłączonych z walki (razem z żołnierzami piechoty morskiej), w tym aż siedemdziesięciu jeden poległych. Prawie jedna trzecia rannych już nigdy nie weźmie udziału w akcji, a pozostali będą potrzebowali długiego czasu, by wrócić na pokłady swoich jednostek. Najgorsze było jednak to, że bitwa ta kosztowała Manthryra jedną trzecią załogi przykładowego okrętu, a miał ograniczone źródła uzupełniania strat.

Bardzo ograniczone.

Admirał złożył ręce na piersi i oparł się ramieniem o framugę okna, zastanawiając się nad tym faktem.

Spodziewał się strat w ludziach. Marynarze ginęli nawet na pokładach charisjańskich okrętów. Spadali z reji, zdarzały się wypadki podczas ćwiczeń artyleryjskich, łamano nogi i ręce podczas przenoszenia ciężkich ładunków... tyle dobrego, że w marynarce wojennej Charisu picie alkoholu należało do rzadkości. W innych flotach, takich jak corisandzka (sprzed inwazji) czy harchońska (co jest chyba lepszym przykładem), wydawanie marynarzom dziennych porcji rumu było normą i tradycją. Ludzie wyczekiwali z utęsknieniem tych „darów”, dzięki którym mogli zabić nudę, zapomnieć o zmęczeniu albo nieznosnych warunkach życia (to ostatnie dotyczyło zwłaszcza floty Harchongu). Wielu z nich starało się utrzymać stan upojenia jak najdłużej.

Manthyr był abstynentem, ale nie miał nic przeciw picciu alkoholu przez innych. Dlatego nie ganił swoich podwładnych, jeśli nachlali się przy rzadkich okazjach do świętowania. Jednakże tradycją floty Charisu, i to już od ponad wieku, był całkowity zakaz picia podczas służby. Było to jedno z nielicznych wykroczeń, za które marynarzowi groziła bezwzględna kara chłosty, natomiast oficerowie przyłapani na gacie byli natychmiast degradowani. Na szczęście warunki panujące na charisjańskich okrętach odbiegały, i to daleko, od standardów innych marynarek wojennych. Stąd też niewielu marynarzy czuło potrzebę uciekania w pijaństwo, a jeśli nawet, to niezwykle rzadko. Nie oznaczało to jednak, że wnoszenie alkoholu na pokłady okrętów wojennych było zakazane. Załogi otrzymywały codziennie piwo (i to naprawdę dobre), zazwyczaj do głównego posiłku albo rzadziej do wieczery. Podawano też rum, ale tylko na wyraźne wskazanie medyków bądź podczas świąt. Zapasy tych trunków trzymane były jednak pod kluczem i nikt nie miał do nich swobodnego dostępu, jak w innych flotach.

W rezultacie liczba wypadków na pokładach charisjańskich okrętów spadła znacznie, było ich teraz niemal dziesięciokrotnie mniej niż na galerach należących do Harchongu.

Niemniej, jak powiadają, wypadki chodzą po ludziach, a życie w wiecznym ścisku, wilgoci i brudzie, których nie da się uniknąć na odizolowanym obiekcie, groziło wybuchem wielu chorób nawet mimo rygorystycznego przestrzegania zaleceń zakonu Pasquale dotyczących diety i higieny osobistej. Tak więc dobry dowódca musiał się liczyć z pewnymi stratami nawet wtedy, gdy nie walczył z wrogiem.

Niestety wszystko wskazywało na to, że Manthyr przeliczył się w swych kalkulacjach, i to bardzo. Bitwa przy Wyspie Smoka pokazała dobitnie, czego powinien się spodziewać, gdy flota Charisu stanie do walki z równie zdeterminowanym przeciwnikiem wyposażonym w nowoczesne galeony. Udowodniła mu również, że był zbyt pewny siebie. Niewielka eskadra Pawala odniosła zwycięstwo pomimo przewagi liczebnej wroga. Admirał podejrzewał, że ocalałe jednostki przeciwnika zostały znacznie poważniej uszkodzone niż jego okręty. Czytając raporty, zaczął jednak podejrzewać, że Dohlarianie zaczną stosować taktykę szybkich odwrotów, by usuwać uszkodzenia i po pewnym czasie wracać do akcji, czym postawią go w bardzo nieciekawej sytuacji.

Po tej bitwie mam już niedobory sięgające połowy załogi galeonu, jeśli wliczyć wszystkich chorych i rannych w wyniku nieszczęśliwych wypadków, a właśnie zdobyłem dodatkowy okręt. Ciekawe, skąd wezmę ludzi do jego obsadzenia...

To było naprawdę ważne zagadnienie, ale w tym akurat momencie miał istotniejsze kwestie na głowie. Hrabia Thirsku okazał się świetnym fachowcem. Musiał więc już dojść do

tych samych wniosków co Manthyr. I w odróżnieniu od Charisjan miał tę przewagę, że wciąż rozbudowywał swoją flotę. Wydawało się więc logiczne, że człowiek jego pokroju, widząc, jak dobrze spisali się jego podwładni podczas bitwy przy Wyspie Smoka, zacznie szukać sposobu na wykorzystanie wszystkich sił.

Powinniśmy zabrać więcej szkunerów, pomyślał Manthyr. Przydałoby mi się tutaj kilka tuzinów takich jednostek. Wysłałbym je na okoliczne wody, by działały niezależnie, robiąc zamieszanie godne Shan-wei. Uderzałyby na frachtowce Dohlaru i Harchongu w wielu miejscach na raz, zmuszając hrabiego Thirsku do rozśrodkowania galeonów, a te są zbyt powolne i za diabła nie dogoniłyby szkunerów. Niestety mam ich za mało, by mogły być wszędzie tam gdzie trzeba, a to oznacza, że wróg zdoła ochronić najważniejsze szlaki transportowe, organizując się w konwoje, jak zrobił to przy Wyspie Smoka, i nadal będzie rósł w siłę, aby - jeśli nie teraz, to wkrótce - rozpocząć ofensywę przeciw nam. A jedynym sposobem na jego powstrzymanie może być koncentracja moich galeonów.

Nie zamierzał zastosować się do własnej dobrej rady. Jego zadaniem było nękanie sił morskich Kościoła Matki, a odkryta dopiero co wysoka wartość bojowa floty Dohlaru stanowiła kolejne utrudnienie na drodze do osiągnięcia tego celu. Zdawał sobie sprawę z tego, że już udało mu się doprowadzić do opóźnień, i to znacznych, w programie budowy okrętów. Przechwyił i zatopił wiele frachtowców przewożących działa, terpentynę, smołę, części zapasowe oraz całą masę innych elementów potrzebnych w stoczniach Dohlaru. Wierzył, że ma spore szanse na zwiększenie tych opóźnień, zarazem zdając sobie też sprawę, że od tej chwili musi działać bardziej defensywnie. Niestety zasada tej misji była prosta: im mniej agresji w działaniach, tym mniejsza efektywność tychże.

A jeśli hrabia Thirsku jest już gotowy przejść do ofensywy, wyspa Trove będzie pierwsza na długiej liście celów. Gdyby piechota morska majora Wyndayla dysponowała dostateczną liczbą ciężkich dział, a nie dysponuje, o czym dobrze wiem, mogłaby bronić się w nieskończoność, lecz to i tak nic by nie dało. Hrabia, gromadząc na tym akwenu sporą część swojej floty, zmusiłby nasze eskadry do odwrotu i wtedy wystarczyłoby kilka galer, by odizolować wyspę. Nie mając odpowiednich sił do przebicia blokady, nie moglibyśmy ewakuować ludzi Wyndayla i hrabia wziąłby ich głodem.. Poddaliby się mimo możliwości dalszej obrony.

Westchnął, gdy doszedł do tego wniosku.

*To jeszcze nie koniec świata, Gwylymie, zapewnił się w myślach niemal filozoficznie. Trove to dobrze położona i bardzo wygodna baza, ale nie stanowi o naszym sukcesie. Dysponujesz transportowcami, którymi przewiozłeś tutaj oddziały Wyndayla, więc masz czas*

na ich wycofanie tą samą drogą i przeniesienie na wyspę Szpon, która bardziej nadaje się do obrony, a jeśli hrabia Thirsku zapragnie ją zdobyć, także będzie musiał oddalić się od swoich portów. Na razie jednak zacznij gnębić Harchończyków...

Skinął głową, obrócił się i podszedł do drzwi kajuty. Otworzył je i wyjrzał na zewnątrz.

- Słucham, sir? - zapytał porucznik Rahzmahn, podnosząc głowę, i zaraz zerwał się z fotela stojącego przy biurku Manthya, gdzie pracował nad oceną aktualnego stanu eskadry.

- Zorganizuj na dzisiejszy wieczór, po kolacji, naradę z Pawalem, Aiwinem, Stywyrtem i kapitanem Mahgailem - powiedział admirał. - Dopilnuj też, żeby wszyscy zostali o niej poinformowani. No i powiedz o tym Naiklosowi.

## .VI.

**HMS *AHRMAHK***  
**MORZE CHARISJAŃSKIE**  
**ORAZ**  
**HMS *PORANNY WIATR***  
**OCEAN CARTERA**

- Powiedz lepiej, Merlinie, co sądzisz o nowym planie Gwylyma? - zapytał szeptem hrabia Wyspy Zamek.

W tym momencie wielki admirał leżał wygodnie na swojej koi w kajucie HMS *Ahrmahk*, swojego pięćdziesięcioosmiodziałowego flagowca. Zważywszy na dźwięki, jakie wydawał okręt płynący po wzburzonym morzu, nikt nie powinien usłyszeć słów wypowiedzianych konwersacyjnym tonem. Hrabia wolał jednak nie ryzykować.

Merlin Athrawes nie miał podobnych problemów. Siedział na rufowym relingu HMS *Poranny Wiatr*, spoglądając na słońce, które tutaj, kilka tysięcy mil na wschód od Charisu, dopiero wstawało. Był wdzięczny Caylebowi za to, że ten włączył wielkiego admirała do Kręgu zaraz po powrocie do Tellesbergu, by mieć z nim łączność, gdy Bryahn powróci do swojej floty. Hrabia Wyspy Zamek - jak każdy dopuszczony niedawno do tajemnicy - był nadmiernie ostrożny w korzystaniu z nowinek technologicznych, co cieszyło Merlina.

- Sądzę, że są bardzo sensowne, biorąc pod uwagę nowe okoliczności - rzucił *seijin*, odpowiadając na pytanie Bryahna. - Muszę przyznać, że i ja byłem nieco zaskoczony, widząc,

jak dobrze radzi sobie eskadra tego Raisahndo - dodał. - Nie powinienem zapominać, że hrabia Thirsku jest niebezpiecznym przeciwnikiem, ale stało się. - Uśmiechnął się pod nosem. - Może dlatego, że będąc od tak dawna Charisjaninem, nabrałem zbytnej pewności siebie, to jest cechy, za którą uwielbiają was wszystkie inne marynarki wojenne tego świata.

- Zbytnej pewności siebie, powiadasz? - mruknął hrabia Wyspy Zamek.

- To chyba najbardziej pasujące określenie - upierał się Merlin, szczerząc zęby do słońca. - Zauważ, że nigdy nie uważałem go za przesadę. Aż do dzisiaj.

- Gdybym tylko mógł porozmawiać z Gwylymem w ten sam sposób... - W tych słowach wielkiego admirała dało się wychwycić nutkę żalu. - Zaczynam się domyślać, jak irytująca musiała być dla Domynyka możliwość rozmawiania z tobą i z Caylebem, oglądanie transmisji Sowy - obcą mu wciąż nazwę wymówił bardzo ostrożnie - gdy wiedział, że nie skomunikuje się ze mną w ten sam sposób. Ale teraz, mając Gwylyma na drugim końcu świata... - pokręcił głową, a Merlin natychmiast spowaźniał.

- Wiem - westchnął. - Rozmawiałem na ten temat z Domynkiem jeszcze przed odpłynięciem Gwylyma. Niestety nie mamy przyzwolenia na szybsze włączanie ludzi do wewnętrznego kręgu i... - przerwał w tym momencie i teraz to wielki admirał pokiwał głową.

- Przyznaję, że nie byłem nieszczęśliwy, gdy odkryłem, jak długo trwało ustalanie, że jestem gotów i godzien przyjęcia do bractwa. - Na usta hrabiego wpadł krzywy uśmiezek. - i Z drugiej jednak strony wcale się nie dziwię, że nie chcecie, by ludzie zaczęli biegać po ulicy, rozprowadzając wszem wobec o statkach kosmicznych i fałszywej religii. I szczerze mówiąc, uważam, że dobrze zrobiliście, czekając z przyjęciem mnie do Kręgu do powrotu Cayleba. - Prychnął raz jeszcze, tym razem nieco głośniej. - Przynajmniej miał kto na mnie wsiąść, kiedy zacząłem latać w kółko, jak wyverna z obciętym łebkiem.

- To też mieliśmy na myśli, podejmując decyzję - przyznał rozbawiony jego słowami Merlin.

- No myślę - powiedział wielki admirał, a potem zamilkł na moment, marszcząc czoło w zamyśleniu. - A skoro mowa o tego typu decyzjach - dodał - myślałem o Ahlfrydzie.

- Spokojnie. - Merlin zaśmiał się pod nosem. - Zamierzają wyznać mu prawdę, gdy tylko pojawi się w Tellesbergu. Uzdrowiciele nie pozwolą Sharleyan wytknąć nosa z pałacu, dopóki dziecko się nie urodzi, a ona upiera się, że tylko z jej ust może poznać prawdę!

- Nie o to mi chodziło - powiedział hrabia Wyspy Zamek jeszcze wolniej, a potem zawahał się, jakby miał oznajmić coś, czego nie chce powiedzieć. Po chwili milczenia dodał jednak: - Chodziło mi o to, że nie jestem pewien, czy powinniśmy mu o tym mówić.

Merlin zmrużył oczy ze zdziwienia. Mimo różnic stanu baron Morskiego Szczytu był

bliskim przyjacielem wielkiego admirała. Bryahn cenił go też bardziej niż inni, głównie za niesamowitą elastyczność umysłu. On przecież najlepiej rozumiał, jak ważne dla Charisu są wszystkie wynalazki sir Ahlfryda Hyndryka. Dlaczego więc?...

- Obawiasz się, że nie zdoła zaakceptować prawdy o Langhornie i Bédard? - zapytał Merlin po chwili zastanowienia.

- Jak Rayjhis i baron Zielonego Wzgórza? - Wielki admirał pokręcił głową. - Nie. W przypadku Ahlfryda to najmniejszy powód do zmartwień!

- Czy mogę zatem zapytać, dlaczego masz wątpliwości co do jego kandydatury?

- Ja tylko... - Hrabia Wyspy Zamek zamilkł na dłuższą chwilę, najwyraźniej, by zebrać myśli. - Posłuchaj, Merlinie... - odezwał się wreszcie. - Znam Ahlfryda już od niemal trzydziestu lat. I nie ma na Schronieniu człowieka, któremu bardziej bym ufał. Jeden Bóg wie, że nie spotkałem nikogo bystrzejszego od niego. Mam jednak trzy zastrzeżenia, którymi chciałbym się z tobą podzielić. Po pierwsze, on sypie nowymi pomysłami szybciej, niż jesteśmy w stanie je realizować. Ale tego mu było jeszcze za mało. W tej chwili cała rada robi to samo, i to nie wiedząc, jak wygląda prawda, i nie mając dostępu do tych tam... komputerowych baz danych, o których mówiłeś. Przyznaję, że sam jeszcze niewiele rozumiem z tego wszystkiego, ale Ahlfryd to co innego, zobacz, ile osiągnął, dysponując jedynie strzępkami informacji. Z tego co zauważyłem, zależy ci na tym, aby ludzie sami wpadali na konkretne pomysły i tak budowali dalszy rozwój. Mój przyjaciel właśnie to robi. Naprawdę chcesz, by porzucił rozważania i razem z komandorem Mahndraynem zajął się kopiowaniem cudzych rozwiązań? Po drugie, znam Ahlfryda. Gdy tylko się dowie, że ma dostęp do tak ogromnej wiedzy, zanurzy się w niej głęboko i nie zobaczymy go przez całe miesiące. Nie będzie umiał się temu oprzeć, jak alkoholik najprzedniejszej whiskey. Merlinie, przecież ty też musisz to wiedzieć. Pewnie zdołalibyśmy wytłumaczyć jakoś jego nagłe zniknięcie, ale to by tylko skomplikowało nam sprawy. A poza tym, gdy dowie się, co można zrobić, poruszy niebo i ziemię, by dokonać niemożliwego. Jestem pewien, że optowałby za jak największym przyspieszeniem. Ty starałeś się tak kierować naszymi pracami, abyśmy nie naruszyli Zakazów, ale powstrzymanie przed tym Ahlfryda, gdy już się rozkręci, może być trudniejsze, niż ci się wydaje. A jeśli jakimś cudem go okiełznamy, będzie chodził nieszczęśliwy, że taka wiedza i możliwości leżą odłogiem. A teraz trzeci powód, kto wie, czy nie najważniejszy z nich wszystkich. Czy wiesz, jak on zareaguje, kiedy się dowie, że mógłby od wielu lat poznawać świat i dokonywać wynalazków w nieskrępowany sposób, ponieważ Zakazy Jwo-jeng są kolosalnym kłamstwem? Cayleb mówił mi, że Bractwo miało wiele oporów co do jego kandydatury ze względu na... jak to określono... „młodzieńczą

porywczosć”. Cóż, Ahlfryd nie jest już porywczym młodzieńcem, ale nie będę udawał, że wiem, jak zareaguje.

- Hmm.

Merlin zmrużył oczy, spoglądając prosto na wschodzące słońce. Sam nie podzielał obaw wielkiego admirała, ale zdawał sobie sprawę, że słyszy tę opinię z ust człowieka, który od niemal trzydziestu lat zna sir Ahlfryda Hyndryka. Szczerze mówiąc, Bryahn znał go lepiej od wszystkich pozostałych członków wewnętrznego kręgu Cayleba.

- Nie zastanawiałem się nad jego inicjacją pod takim kątem - przyznał w końcu, cedząc słowa równie wolno jak hrabia. - Nie wiem jeszcze, czy zgadzam się z twoim zdaniem, ale nie twierdzę też, że je odrzucam. Muszę się nad tym wszystkim jeszcze raz zastanowić, lecz już teraz widzę, że trzeba będzie powiedzieć o twoich zastrzeżeniach Caylebowi i Sharleyan, zanim podejmą ostateczną decyzję. - Skrzywił się. - Zdajesz sobie sprawę z tego, że cesarzowa nie będzie zadowolona, jeśli opowiemy się przeciw wtajemniczeniu Ahlfryda?

- Możesz mi wierzyć, że wiem, o czym mówisz. - Teraz to wielki admirał się skrzywił. - I szczerze mówiąc, nie będę czuł wielkiego żalu, jeśli zostanę przegłosowany w tej sprawie. Będzie mnie to gryzło, ale co tam, Ahlfryd to w końcu mój przyjaciel. Chciałbym, aby poznał prawdę. Tylko uważam, że powinniśmy podejść do jej ujawnienia z wielką ostrożnością.

- Co do tego, pełna zgoda. - Merlin westchnął.

- Zatem powiesz o wszystkim Caylebowi i Sharleyan?

- Zamiast ciebie?

- No... tak - przyznał wielki admirał.

- Tchórzysz.

- Prawda. - Hrabia nawet nie próbował oponować, co rozbawiło Merlina.

- Dobrze. Zrobię to. Maikel i ja i tak musimy porozmawiać z Caylebem o korespondencji od Gorjaha. Wydaje nam się, że nadeszła odpowiednia pora, by popchnąć sprawę na tamtym froncie. Może uda mi się podrzucić twoje wątpliwości... w trakcie dyskusji, rzecz jasna, w bardzo dyplomatyczny sposób. Z drugiej jednak strony Sharleyan jest w ciąży, co oznacza, że może być bardzo irytująca w najbliższych miesiącach. Dlatego nie jestem pewien, czy się nie wkurzy, mimo taktu, z jakim zamierzam podejść do tej sprawy. Na szczęście jestem - tu znów się roześmiał, tym razem głośniej - tysiące mil od Tellesbergu. Zatem jeśli przyjmie moje słowa... gorzej, niż oczekiwałem, wiesz, którego z nas dopadnie prędzej?

## .VII.

PAŁAC ARCYBISKUPI  
TELLESBERG  
KRÓLESTWO STAREGO CHARISU

- Biskup zaraz cię przyjmie, ojcze.

Ksiądz Paityr Wylsynn uniósł wzrok znad poręcznego egzemplarza Świadectw, które czytał w oczekiwaniu na chwilę, gdy wyjaśni się, czemu biskup Hainryk wezwał go do pałacu arcybiskupiego. To, że kazano mu przyjść tutaj, a nie do rezydencji biskupa, świadczyło, iż okazja była raczej oficjalna i miała coś wspólnego z Kościołem Charisu, ponieważ biskup zastępował arcybiskupa Maikela pod jego nieobecność, bądź też z radą królewską Starego Charisu, w której biskup również teraz zasiadał w zastępstwie Staynaira. Poza tym Paityr nie był w stanie nic więcej wymyślić, nakazywał więc sobie cierpliwość w trakcie oczekiwania.

Usłyszawszy powyższe słowa, wstał i podążył śladem młodego duchownego do gabinetu arcybiskupa.

Na jego widok biskup Hainryk podniósł się zza biurka, na powitanie wyciągając nad białym rękę. Intendent pochylił się nad nią i ucałował pierścień Waignaira, następnie zaś znowu się wyprostował. Lubił biskupa i szanował go, lecz i tak dziwnie się czuł, widząc go zajmującego miejsce arcybiskupa Maikela - nieważne, że tylko tymczasowo.

*Aż taki Charisjanin się ze mnie zrobił?* - pomyślał sucho, zaraz jednak skoncentrował się na chwili obecnej, schował dłonie w rękawach sutanny i spojrzał na twarz Waignaira z wyrazem uprzejmego zainteresowania.

- Wzywałeś mnie, wasza dostojność?

- Tak. Tak, zaiste cię wezwałem, ojcze... - odparł Waignair, a następnie wskazał stojącemu księdzu krzesło. - Usiądź, proszę.

- Dziękuję, wasza dostojność.

Wylsynn zajął wskazane miejsce, nie odrywając wzroku od Waignaira, który uśmiechnął się lekko. Moment później biskup odchylił się na oparcie, przybierając poważniejszy wyraz twarzy. Palcami prawej dłoni bawił się cały czas symbolem berła zawieszonym na szyi.

- Jestem pewien, że ciekawi cię, dlaczego wezwałem cię dzisiaj do siebie, ojcze... - zaczął.



- Przyznaję, że w pewnym stopniu tak, wasza dostojność - zgodził się z przedmówcą Paityr.

- Właściwie uczyniłem to z dwóch powodów, ojcze. - Ton głosu biskupa także spoważniał i Wylsynn poczuł, że mimowolnie mruży oczy. - Zanim jednak przejdę do spraw, które chciałem z tobą omówić, ojcze, zechciej przyjąć moje wyrazy współczucia z powodu śmierci... egzekucji twego ojca i stryja. Nie chcę rozdrapywać ran, które ich odejście ci zadało, wspominam o nim tylko dlatego, że obie sprawy, o których pragnę z tobą pomówić, wiążą się ze stratą, jakiej doznałeś.

Rysy Wylsynna stężały. Nie tylko z powodu minionego żalu, ale także z powodu jak najbardziej aktualnej troski. Nie miał żadnych wiadomości od Lysbet Wylsynn od otrzymania tamtego listu. Wprawdzie nie słyszał również, aby pojmano ją czy jej dzieci, lecz to stanowiło wątpliwą pociechę w sytuacji, kiedy nie wiedział, gdzie przebywają, jak im się żyje i czy w ogóle jeszcze żyją. W ostatnich dniach nawet pomimo całej swojej wiary zaczął szaleć ze zmartwienia.

- Po pierwsze chciałem powiedzieć - kontynuował Waignair - że sposób, w jaki zareagowałeś na tę nowinę, tylko wzmógł mój szacunek do ciebie jako człowieka, syna bożego i księdza. - Biskup nie spuszczał oczu z młodego Wylsynna. - Na taką wieść bardzo łatwo wpaść w rozpacz, zwłaszcza gdy nie nadchodzą uspokajające wiadomości na temat reszty rodziny. Gdy zewsząd nadciągają potwierdzenia śmierci wszystkich przyjaciół twego ojca, a także ich najbliższych, łatwo by było zwrócić się przeciwko Bogu za to, że pozwolił na podobne okropieństwa, i to w Jego imieniu. Ty nie uczyniłeś ani jednego, ani drugiego. Co więcej, pomimo żałoby i niepewności co do losów macochy i przyrodniego rodzeństwa, ani na moment nie zszedłeś z posterunku, nie porzuciłeś obowiązków wynikających ze stanu duchownego. Nieraz w przeszłości słyszałem od arcybiskupa Maikela bardzo pochlebne opinie na twój temat. Pragnę powiedzieć ci dzisiaj, ojcze, że dopiero teraz rozumiem w pełni, z czego wynika jego szacunek do ciebie.

Paityr zastanawiał się, co powinien odpowiedzieć. Jakkolwiek przedstawiał go biskup Hainryk Waignair, Paityr Wylsynn znał siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że daleki jest od portretu świętego, który właśnie nakreślił w rozmowie hierarcha. Jego słowa wprawiły go w wielkie zażenowanie, ale paradoksalnie przyniosły mu także ukojenie. Nie dlatego, że nagle zaczął wierzyć w swoją wyższość nad innymi ludźmi czy szczególne łaski Boga, lecz po prostu dlatego, że to znaczyło, iż biskup i arcybiskup dostrzegli jego starania. Jeszcze ważniejsze było dlań, że osoby, które szczerze szanował, uważały te wysiłki za wystarczające w zaistniałej sytuacji.

Wagnair przyglądał się młodemu księdzu zza biurka, doskonale wiedząc, jakie myśli przelatują mu przez głowę. Będąc tym, kim był, nie mógł w tej chwili myśleć o niczym innym. Z tego samego powodu biskup ani przez moment nie wątpił, że wprowadził Paityra w zażenowanie. Bywały jednak takie chwile, gdy należało człowieka pochwalić i już. Dać mu do zrozumienia, że jest ceniony i że naprawdę się liczy jako jednostka. Coś takiego często miało zbawienne skutki na duszę bożych dzieci. A w wypadku, gdy ktoś oddał - stracił - tyle co ten młodzieniec przed nim w służbie Bogu, równie ważne jak przyłożenie balsamu do duszy intendenta było wypowiedzenie tych słów przez biskupa.

- Ja... - zaczął Paityr i zawahał się. Zamknął usta, po czym otworzył je ponownie, lecz Wagnair zdążył już unieść dłoń w powstrzymującym geście.

- Ojczy, jesteś młodym mężczyzną. A ja wprowadziłem cię w zażenowanie, mam rację?

Uśmiech biskupa stał się szerszy, w jego brązowych oczach pojawiły się ogniki, a Wylsynn nagle poczuł, że wbrew żalobie, która spowija go wciąż niczym kokon, odpowiada hierarsze uśmiechem.

- Cóż, prawdę powiedziałem... tak, wasza dostojność.

- To rozumiałe. Wszelako Pismo powiada, że naszym obowiązkiem jest tyleż chwaleń zalet co wytykanie wad. Czy też, jak ujęła to archanioł Bédard, poznanie grzechu to nie dość, trzeba także zobaczyć, co jest właściwe. W tym sensie możesz postrzegać moje wcześniejsze słowa jako dopełnienie duszpasterskiego obowiązku i spełnienie obu tych świętych nakazów. A także jako lekcję, abyś w przyszłej pracy duszpasterskiej nie przeoczył tego istotnego momentu, gdy należy kogoś pochwalić.

- Ja... ja postaram się to zapamiętać, wasza dostojność.

- Jestem pewien, że tak będzie, ojczy. Przejdźmy teraz do tej drugiej sprawy...

- Słucham, wasza dostojność - rzekł Wylsynn, kiedy biskup ponownie zrobił pauzę.

- A może - odezwał się po chwili hierarcha tonem człowieka, który właśnie wpadł na świetny pomysł - może będzie prościej... czy też lepiej... jeśli zamiast mnie powie ci to ktoś inny, ojczy.

Wylsynn zmarszczył brwi, osłupiał nagłym zwrotem rozmowy i tajemniczym uśmiechem biskupa. Ten jednak jakby tego nie dostrzegając, wstał, podszedł do drzwi i otworzył je.

- Zechcesz poprosić ich już do środka? - powiedział do młodego duchownego, który wcześniej wprowadził Wylsynna do gabinetu. Paityr nie dosłyszał odpowiedzi, lecz obrócił się lekko na krześle, aby spojrzeć w stronę drzwi, przy których cierpliwie czekał gospodarz.

A potem ktoś przekroczył próg.

Paityr Wylsynn nie wiedział - ani wtedy, ani nigdy później - jak wstał z krzesła. Nie wiedział, jak pokonał dystans dzielący go od drzwi. Nie wiedział, co - o ile w ogóle coś - rzekł.

Jedyne, co zapamiętał, to dotyk swoich ramion na plecach Lysbet i dotyk jej ramion na jego plecach; widok sióstr, braci, szwagra, najmłodszego siostrzeńca w beciku - ich wszystkich... ich wszystkich!... - tłoczących się z zapłakanymi oczami w gabinecie arcybiskupa Maikela. Sam także czuł na policzkach łzy.

\* \* \*

Biskup Hainryk Waignair przyglądał się tej scenie z uśmiechem, chłonąc łzy, radość, smutek i... miłość. Przysłuchując się nieskładnej paplaninie, okrzykom niedowierzania. A potem cichutko wycofał się na korytarz i zamknął drzwi za sobą.

Kiedy się obrócił, stanął oko w oko ze swoim sekretarzem, który także szczyrzył się od ucha do ucha.

- W niektóre dni - powiedział doń cicho - łatwiej niż w inne przychodzi wierzyć, że Bóg jest prawdziwie dobry.

**LIPIEC**

**ROKU PAŃSKIEGO 894**

.I.

## KOMNATA SYPIALNA KRÓLA GORJAHA

### PAŁAC KRÓLEWSKI

### TRANJYR

### TAROT

Król Gorjah przebudził się dość raptownie.

Do tego często prowadzi czyjaś ręka zniecka zakrywająca usta śpiącej osoby. Szczególnie jeśli tą osobą jest król, którego komnata sypialna znajduje się w najpilniej strzeżonym skrzydle staromodnego warownego zamku.

Otworzył oczy szeroko i zaczął walczyć z przeciwnikiem, zaraz jednak przestał. Z dwóch powodów. Po pierwsze, dłoń zakrywająca mu usta przypominała mocarną stalową obejmę. Po drugie, właśnie poczuł czubek niezwykle ostrego sztyletu przytknięty do grdyki.

Pomyślał, że ta noc zaczęła się kiepsko i może się skończyć jeszcze gorzej.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś zachował spokój, wasza wysokość - rozległ się tenor, który Gorjah słyszał po raz pierwszy w życiu. - Żeby poderznąć ci gardło, nie musiałem cię wprawdzie budzić.

Miły głos i w dodatku całkiem rozsądne słowa - całkiem jakby ktoś stwierdzał, że ciemne chmury oznaczają rychły deszcz.

Gorjah, ledwie wyławiając zarys głowy mężczyzny na tle półprzezroczystych, oświetlonych blaskiem księżyca kotar, poczuł wielką ulgę na myśl, że Rholynd nie chciał wieczorem zasnąć i Maiyl uparła się, by spędzić noc na łóżku w komnacie dziecinnej. W tamtej chwili uznał za rozczulające, że jego żona pragnie osobiście utulić syna do snu; teraz natomiast był głęboko wdzięczny za to, że oboje są gdzie indziej.

- Z drugiej strony - ciągnął nieznajomy mężczyzna konwersacyjnym tonem - jestem pewien, że jeśli jednak postanowię poderznąć ci gardło, zdążę to zrobić, zanim którykolwiek z twoich gwardzistów przybiegnie ci na pomoc. Czy zatem możesz mieć to na uwadze, kiedy odkryję ci usta, abyśmy mogli porozmawiać jak cywilizowani ludzie? Znaczący, że jestem w stanie pozbawić cię życia, zanim ktokolwiek mrugnie okiem.

Gorjah uznał, że mężczyzna jest obłąkany. Jako że jednak bardzo nie chciał, by podcięto mu gardło, skinął delikatnie głową.

- Doskonale!

Ręka oderwała się od jego ust, a jej właściciel skłonił się lekko. Teraz, kiedy Gorjah potrafił dostrzec więcej szczegółów, stwierdził, że jego oponent jest nieco wyższy i szerszy w barkach od niego. A do tego gładko ogolony. Sądząc z akcentu, pochodził z Silkiahu.

- Wybacz mi moje... niekonwencjonalne metody, wasza wysokość. Ale naprawdę muszę z tobą porozmawiać, a chyba obaj jesteśmy zdania, że ani twoi gwardziści, ani dworzanie, ani już na pewno Zhaspyr Clyntahn... w skrócie: nikt nie powinien wiedzieć o tej rozmowie.

Gorjah odniósł wrażenie, że jego żołądek ścina się jak kurze białko. Nie mógł mieć pewności w tych ciemnościach, ale wydało mu się, że mężczyzna uśmiechnął się.

- Chodzi o to, wasza wysokość - ciągnął niezrażony gość - że moim zdaniem trzeba przyspieszyć twój następny list do hrabiego Szarej Zatoki. Ty możesz być nieświadom faktu, że ich cesarskie moście zdążyły wrócić do Tellesbergu, ale ja wiem, że dość leniwa korespondencja nabierze tempa w najbliższym czasie.

Teraz Gorjah poczuł się tak, jakby ktoś go walnął w żołądek. Nikt w całym Tranjyrze - nikt oprócz sir Ryka Fharmyna - nie miał pojęcia o tym, że z zachowaniem największej ostrożności wymienia liściki z pierwszym doradcą cesarza Charisu. Nie wspomniał na ten temat słówkiem nawet baronowi Kamiennej Warowni! Jak zatem ten... ten... ktokolwiek to był... mógł...

- N... nie wiem, o czym mówisz - wystękał. Nawet w jego uszach zabrzmiało to bardzo nieprzekonująco; jak słowo kogoś, kto zaprzecza prawdzie instynktownie, mechanicznie.

- Wasza wysokość! - uniósł się tajemniczy obywatel Silkiahu i zacmokał, nie przejmując się w ogóle, że ma do czynienia z monarchą. - Oczywiście, że wiesz, o czym mówię! - kontynuował tym samym urażonym tonem. - Obawiam się, że nie mamy całej nocy na pogawędkę. I uprzedzając twoje pytanie: nie, nie usłyszałem o tym od sir Ryka.

Wymienione mimochodem miano Fharmyna przelało czarę. Najwyraźniej ten obłąkaniec wiedział o wszystkim!

- No dobrze - westchnął Gorjah. - Wiem, o czym mówisz. Ale kim, na Shan-wei, w ogóle jesteś? I co robisz w mojej komnacie sypialnej?!

- No, tak lepiej, wasza wysokość - odrzekł z aprobatą zapytany. - Skoro chcesz, abym się przedstawił, proszę bardzo... Nazywam się Ahbraim Zhevons. Wiem, że nic ci to nie mówi, ale dla wygody możesz o mnie myśleć jako o bliskim przyjacielu Merlina Athrawesa. Z pewnością o nim słyszałeś.

- Oczywiście, że o nim słyszałem - potaknął Gorjah, cedząc słowa i mrużąc oczy. Wszyscy na Schronieniu słyszeli o *seijinie* Merlinie. Skoro ten mężczyzna... ten cały Zhevons był jego bliskim przyjacielem, mogło to wyjaśniać, jak dostał się w środku nocy do sypialni królewskiej. Rozważając praktyczną stronę zagadnienia, równocześnie ubolewał nad pewną niesprawiedliwością. Jak to możliwe, że po tylu stuleciach, gdy nie natknięto się na dowody istnienia żadnego *seijina*, ni stąd, ni zowąd Cayleb z Charisu ma ich całe naręcza, podczas gdy Gorjah musi obejść się smakiem?

- Czy zatem - zapytał gościa - mam zakładać, że ty również jesteś *sejinem*?

- Powiedzmy, że podobnie jak Merlin dysponuję pewnymi zdolnościami i atrybutami przypisywanymi *sejinom* - potwierdził nie wprost Zhevons. - A że niestety Merlin w chwili obecnej płynie z Corisandu do Tellesbergu, co zajmie mu jeszcze parę pięciodni, załóżmy po prostu, że... zastępuję go w tym czasie.

- Ach tak. - Przez parę chwil Gorjah wyteżał wzrok w ciemnościach, próbując przeniknąć niewyraźny profil. W końcu tylko wzruszył ramionami. - Skoro więc przybywasz w charakterze posłańca, może mógłbym przyjąć bardziej godną, wyprostowaną pozycję? Nie ginąc przy tym?

- Ależ naturalnie, wasza wysokość - zgodził się szarmancko Zhevons.

- Dziękuję.

Gorjah najchętniej by wstał, aby rozsiewać choć złudzenie, że panuje nad sytuacją. Nie sądził jednak, aby w koszuli nocnej prezentował się jakoś szczególnie władczo. Dlatego ostatecznie tylko usiadł prosto na łóżku, opierając się o podłożone z tyłu poduszki. Następnie przechylił lekko głowę.

- Słucham, *sejinnie* Ahbraimie. O czym to chciałeś ze mną mówić?

- Właściwie chciałem tylko wpaść i przedstawić ci się. - W mroku błysnęły zęby pokazane w przelotnym uśmiechu. - Jestem pewien, że w swoim czasie twoja korespondencja z hrabią Szarej Zatoki przyniesie skutki, które zadowolą wszystkich zainteresowanych. Tymczasem zaś, zapoznając się z tobą, rozumiesz, mogę ci napomknąć, że admirał Skalistego Klifu, to jest Domynek Staynair, otrzymał właśnie posiłki, których celem jest zwiększenie presji, jaką na tobie wywiera.

- Co proszę? - spytał dość ostro Gorjah.

Wiedział doskonale, jakimi siłami dysponuje admirał Skalistego Klifu, jako że ten nie krył się wcale i za bazę obrał sobie cieśninę Holme. Rzecz jasna większość jego galeonów krążyła cały czas po okolicznych wodach, blokując całe wybrzeża Tarota albo robiąc szybkie wypady do pomniejszych desnairiańskich portów znajdujących się na drugim końcu Kanału

Tarockiego. Ostatnio jednak każdy z nich pojawił się co najmniej raz w okolicach kotwicowiska u wybrzeży Klepsydry. Szpiedzy mieli więc sporo okazji, by zidentyfikować i zliczyć siły Charisu.

Aczkolwiek to była jedyna rzecz, jaką mogli zrobić w sprawie panoszenia się wroga na wodach terytorialnych Tarota.

- Powiedziałem, że admirał Skalistego Klifu otrzyma w najbliższym czasie posiłki - powtórzył uprzejmie Zhevons. - Z tego co wiem, powinien dysponować czterdziestoma galeonami. - Gorjah z trudem powstrzymał się od nerwowego przełknięcia śliny. - Dziwnym zrządzeniem losu, w portach Charisu czeka też dwadzieścia tysięcy żołnierzy piechoty morskiej gotowych wsiąść na transportowce, jeśli ktoś od nich tego zażąda.

Tym razem Gorjah nie zdołał się opanować i głośno przełknął ślinę. Dwadzieścia tysięcy żołnierzy? Z nowoczesnymi muszkietami i działami? Także tymi obleźniczymi, które poradzą sobie z każdym murem? Przecież taka siła przejdzie przez jego armię jak nóż przez masło!

- Chcesz powiedzieć, że Cayleb zamierza dokonać inwazji na moje królestwo?

- Mówię tylko, że Cayleb i Sharleyan bardzo by nie chcieli dokonywać inwazji na twoje królestwo - zaprzeczył niezwykle uprzejmym tonem Zhevons. - Co przywodzi nas ponownie do sprawy twojej korespondencji z hrabią Szarej Zatoki. Myślę, że wszyscy będziemy bardzo zadowoleni, jeśli przyjmiesz proponowane przez niego rozwiązania bez... niepotrzebnych komplikacji.

Gorjah spoglądał na ukrytego w mroku rozmówcę przez dłuższą chwilę, a potem sam zaskoczył siebie, wybuchając gromkim śmiechem.

- Muszę przyznać, *sejinnie* Ahbraimie, że masz dziwny styl negocjacji.

- Ja nie negocjuję z tobą, wasza wysokość. Zachęcam cię jedynie do szybszego zakończenia rozmów z hrabią Szarej Zatoki.

- Rozumiem. - Gorjah nie spuszczał wzroku z gościa jeszcze przez kilka sekund. - Pozwól zatem, że zapytam... Czy Cayleb i Sharleyan są naprawdę gotowi do zawarcia tak rozsądnego układu, jak twierdzi hrabia?

- Myślę, że mógłbyś wziąć Nahrmahna za przykład - rzucił Zhevons poważniejszym tonem. - Nie jestem upoważniony do składania obietnic w imieniu ich cesarskich mości, niemniej mogę ci powiedzieć, że złamanie traktatu podpisanego ze Starym Charisem uczyniło mniej szkód niż podchody ze Szmaragdem, a mimo to cesarz dobił targu z Nahrmahnem. Szczerze mówiąc, jeśli spojrzeć na położenie geograficzne Tarota, masz znacznie więcej do zaoferowania niż on, więc... - zawiesił głos i wzruszył ramionami, a Gorjah poczuł, że kąciki



ust drgają mu, jakby chciały ułożyć się do uśmiechu.

- Muszę przyznać, *seijinie* Ahbraimie, że masz dziwny styl negocjacji - powtórzył - ale już rozumiem, o co chodzi. Czy mogę liczyć na to, że jeśli dam ci odpowiedź dla hrabiego, a raczej dla ich cesarskich mości, zadbasz o to, by ją otrzymali?

- Nie od razu - odparł *seijin*, budząc zdziwienie króla. - Czekaj mnie jeszcze kilka misji do wykonania, zanim wrócę na terytorium Starego Charisu - wyjaśnił. - A mam już ustalony harmonogram dalszej podróży. Lepiej więc wyślij tę wiadomość tradycyjną drogą, przez sir Ryka. Tym sposobem dotrze do Tellesbergu szybciej niż ja.

- Rozumiem.

Mózg Gorjaha pracował na najwyższych obrotach, gdy władca próbował wykoncypować, jakież to kolejne misje Cayleb mógł zlecić swojemu *sejinowi*. Wołał jednak o to nie pytać.

- Jeśli pozwolisz na tycią, tyciuteńką uwagę, wasza wysokość - ciągnął tymczasem Zhevons, rozsuwając kciuk i palec wskazujący na pół cala. - Na twoim miejscu poszedłbym dalej i zaadresował ten list wprost do Cayleba i Sharleyan. Jeśli nie ma ich jeszcze w Tellesbergu, z pewnością tam się pojawią, zanim ta korespondencja dotrze do hrabiego.

- Rozumiem - powtórzył Gorjah i potrząsnął głową. - Chyba przyjmę twoją radę, *seijinie*.

- Świetnie. W takim razie, wasza wysokość, czas już na mnie. - *Seijin* podszedł do otwartego okna, choć komnata znajdowała się na czwartym piętrze. - To była naprawdę urocza pogawędka - dodał, rozsuwając zasłony, a potem usiadł na parapecie i przełożył obie nogi na zewnątrz. - Niestety, obowiązki wzywają, że tak powiem. Dobranoc, wasza wysokość.

Obrócił się szybko, przeskoczył za parapet, chwytając go na moment palcami, a potem pomachał jedną dłonią na pożegnanie i zniknął.

Gorjah siedział bez ruchu przez dłuższą chwilę, nie spuszczać wzroku z otwartego na oścież okna. Potem wyskoczył z łóżka jak oparzony, podbiegł do wykusza i spojrział w dół.

Wbrew sobie nie był specjalnie zaskoczony, gdy nie zobaczył ciała *seijina* rozsmarowanego na płytach dziedzińca. Nadal jednak nie miał bladego pojęcia, jak jego gość zdołał się dostać do sypialni (i opuścić ją).

Cóż, pomyślał, *przynajmniej wiem teraz, że wszystkie te bzdurne opowieści o czynach sejinów są prawdziwe.*

## .II.

### SKIMMER ZWIADOWCZY MERLINA ATHRAWESA

#### GDZIEŚ NAD ZATOKĄ HOWELLA

#### STARY CHARIS

- Za bardzo ci się to spodobało, Merlinie Athrawesie! - mruknęła Sharleyan.

- Nonsens - odparł rozpromieniony *seijin*.

Siedział wygodnie rozparty w fotelu pilota, spoglądając w dół na mroczną masę wyspy zwanej Charisem. Z tego miejsca widać było nawet światła Tellesbergu, w tym bez wątpienia okno sypialni cesarzowej. - Staralem się jedynie stworzyć odpowiednią kolegiąną atmosferę...

- Zatem tak wygląda kolegiąna atmosfera... - prychnął Cayleb do swojego komunikatora. - „Czy zatem możesz mieć to na uwadze, kiedy odkryję ci usta, abyśmy mogli porozmawiać jak cywilizowani ludzie? Znaczy, że jestem w stanie pozbawić cię życia, zanim ktokolwiek mrugnie okiem”. Dokładnie tak powiedziałeś, jeśli się nie mylę.

- Owszem. To było bardzo sprytnie z mojej strony, nie sądzicie? - zauważył Merlin zadowolonym tonem. - Od razu skupił na mnie całą uwagę.

- Merlinie, dyplomacja to nie zabawa - pouczył go Nahrman.

- Wiem o tym, książę. Ale powiedz, i to z kamienną twarzą, że na moim miejscu zachowałbyś się inaczej.

- Pewnie nie. I właśnie dlatego uważam, że to grubiaństwo z twojej strony. Wiedziałeś bowiem, że żadne z nas nigdy nie pozwoli sobie na podobne wtręty!

- Nie wątpię, że wszyscy świetnie się bawicie - do rozmowy włączył się Maikel Staynair. - Jeśli jednak pozwolicie wtrącić słówko, za dwie godziny nad naszym okrętem zacznie wstawać słońce. Czy zdążysz, Merlinie, wrócić na pokład, i to pod starą postacią, zanim ktokolwiek zauważy twoją nieobecność?

- Tak, eminencjo. Będę na czas - odparł Merlin, sprawdzając palcami, czy wąs i broda prawidłowo mu odrastają. - Natomiast nie mam pewności co do postaci... Być może będziesz musiał kryć mnie przez godzinkę albo dwie.

- Wiesz, *seijinie* - mruknął Staynair - zanim cię poznałem, nie zdarzało mi się kłamać z własnej woli.

- Może dlatego, że nikt nie pytał o to, o co powinien - wypalił w odpowiedzi Merlin. -

Poza tym wcale nie musisz kłamać. Będę na pokładzie i pogrążę się w medytacjach. A w każdym razie zajmę się przeglądaniem danych Sowy, a to przecież prawie to samo. Jesteś arcybiskupem czy nie jesteś? Jeśli ktoś będzie chciał wejść do mojej kajuty, możesz mu powiedzieć: nie włącz tam, bo ja tak mówię! I już.

- Jesteś w znakomitym nastroju, jak widzę - zauważył Cayleb.

- Szczerze mówiąc, tak. - Merlin opuścił dłoń i zapatrzył się w niebo Schronienia upstrzone milionami gwiazd. - Ale żarty na bok. Wydaje mi się, że moje spotkanie przebiegło jak trzeba. Jestem pewien, że gdy Gorjah zacznie pisać do ciebie, Caylebie, powinieneś mu przypomnieć, iż *seijin* w każdej chwili może stanąć w oknie jego sypialni. Ten człowiek nie wyglądał mi na tak zdradziecką duszę, jak wielki książę Zebediahu, lecz taka niewinna uwaga pomoże mu z pewnością dotrzymać słowa.

- Na pewno mu to nie zaszkodzi - przyznał Cayleb. - Poza tym coraz bardziej podoba mi się ten *seijin* Ahbraim. Okazał się bardzo użytecznym facetem.

- To prawda - poparła go Sharleyan. - Dzięki niemu możemy być przez cały czas w bezpośrednim kontakcie, nawet w takich momentach. Gdy na przykład wysyłamy cię z Maikalem do Corisandu. Przecież nawet Merlin nie mógłby być w dwóch miejscach naraz. Wprawdzie Clyntahn, a raczej Trynair niedługo zacznie się interesować, skąd nagle taki wysyp *sejinów*, jednakże informacja, że jest was więcej, i to równie tajemniczych jak oryginalny Merlin, może dać nam większą swobodę ruchu.

- Otóż to. - Merlin skinął głową, a potem westchnął ciężko.

- Co znowu? - zainteresował się Cayleb.

- Tak sobie pomyślałem, że fajnie byłoby podrzucić kolejnego *seijina* Gwylymowi - wyjaśnił Athrawes, poważniejąc w jednej chwili.

- Też racja, aczkolwiek całkiem nieźle sobie radził do tej pory - odparł Cayleb, a Sharleyan zdecydowanie pokiwała głową.

- Przyznaję, nieco się zdenerwowałam, kiedy oznajmiłeś, że zamierza popłynąć prosto do Zatoki Shwei - dodała. - Bałam się, że to oznaka przesadnej... hucpy, jeśli nie myślę słowa.

- Nie byłaś jedyna - zapewnił ją Merlin.

Gwylym Manthyr miał dar do podejmowania działań, które wojskowi zwykli nazywać „kalkulowanym ryzykiem”... jeśli odnosili sukces. Gdy przegrywali, używali zupełnie innego określenia. *Tylko że ten człowiek był przedtem kapitanem cesarskiego flagowca*, przypomniał sobie Merlin. A skoro naoglądał się, jak jego władca każe całej eskadrze wpłynąć w wąski kanał przy zerowej widoczności w samym środku ciemnej nocy, i to podczas szalejącej wichury, musiał zmienić zdanie na temat akceptowalnego poziomu ryzyka.

Z drugiej jednak strony wprowadzenie całej eskadry w Cieśninę Shwei, a potem podejście aż do Yu-Shai było zbyt szalone, gdyby ktoś mnie pytał.

Merlin musiał jednak przyznać, że ten ruch okazał się trafiony. Manthyr podszedł do miasta pod osłoną nocy, używając lokalnych rybaków jako pilotów. Garnizon Yu-Shai spodziewał się jego pojawienia najwcześniej przed południem, dlatego wszyscy byli zaskoczeni, gdy galeony uderzyły na port już o świcie.

Lokalne baterie brzegowe były dzisiaj o wiele niebezpieczniejsze niż jeszcze przed rokiem, ponieważ Harchong postawił na działa forteczne, żeby chronić swoje stocznie, tymczasem Manthyr podpłynął do nich pod osłoną nocy, rzucił kotwice i odpalił kilka salw w fortyfikacje ze wszystkich dziesięciu galeonów naraz. Miał przy tym wielkie szczęście, gdyż nawet wiatr sprzyjał mu podczas ataku. Lekka bryza wiała ze wschodu-północnego wschodu, gdy dziewięć charisjańskich jednostek (w tym zdobyczny *Księżę Dohlaru*) zmierzyło się z galerami broniącymi kotwicowiska nowo budowanej floty. Nie były to idealne warunki dla galeonów, ale niemal nieruchome powietrze utrzymało przez dłuższy czas ścianę dymu pomiędzy ostrzelanymi fortyfikacjami a okrętami Gwylyma. Ten dym bardziej mu się przysłużył niż wszystkie kartacze i kule, którymi zasypał forty.

HMS *Zatoka Północna* stracił mimo to grotmaszt, a na HMS *Skalisty Klif* zginęło sześćdziesięciu ludzi, gdy dwie największe z nowo wybudowanych galer przedarły się pod ostrzałem i zaatakowały formację. Na całe szczęście był to najpoważniejszy atak ze strony obrońców portu. Nikt nie mógł im odmówić odwagi i determinacji, niemniej zaskoczenie zrobiło swoje i Harchończycy nie zdołali się w pełni zorganizować. Kolejne jednostki wypływające z niewielkiej zatoki były masakrowane przez salwy niemal nieruchomych galeonów Manthya. W dość krótkim czasie eskadra zatopiła dwie i uszkodziła siedemnaście innych. Reszta przerażonych obrońców uciekła w popłochu.

Wszystkie uszkodzone jednostki spalono natychmiast po ewakuowaniu załóg, co groziło wydłużeniem czasu trwania całej operacji. Manthyr przerobił jednak sześć zdobycznych frachtowców w pływające pochodnie, korzystając z tego, że ich ładownie pełne były terpentyny, lepiku i innych łatwopalnych materiałów. Jedna wymknęła się spod kontroli, gdy przepalone liny puściły zbyt szybko. Drugą przechwycił jakiś odważny kapitan galery i odholował w bezpieczne miejsce. Cztery pozostałe spełniły jednak swoje zadanie. Marynarze znajdujący się na ich pokładach podłożyli ogień w odpowiednim momencie i wrócili na swoje jednostki, zanim rozpętało się piekło, jakim było wysłanie płonących statków prosto na kadłuby piętnastu nowiusieńkich galeonów harchońskiej marynarki wojennej, które właśnie wykańczano na wodach stoczni.

Dwanaście z nich zostało całkowicie zniszczonych, a jeden z trzech ocalałych poważnie uszkodzony. Dwa przetrwały to piekło tylko dlatego, że znajdowały się pod wiatr od pożaru, a ich załogi miały tyle oleju w głowie i czasu, by je zatopić, zanim pożoga pochłaniająca inne okręty dotarła do ich stanowisk. Okręty osiadły na dnie, tak że nad powierzchnię wystawały tylko ich górne pokłady, ale marynarzom udało się je ocalić przed zapaleniem. Mimo to jednostki te będą mogły wrócić do służby dopiero za wiele miesięcy, gdy zostaną wydobyte, osuszone i wyremontowane.

Akcja ta zakończyłaby się o wiele większym sukcesem, gdyby Manthyr zdołał zaaplikować podobną kurację stoczniom w zatoce Gorath, ale niestety nic nie wskazywało na to, że jest aż tak szalony.

- Tak, faktycznie poradził sobie nieźle, a nawet znakomicie, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że nie dysponował danymi z SAPK-ów - powiedział Merlin. - Zniszczenia, których dokonał, opłaciły się, i to bardzo. Jeśli nawet Dohlarianie poczuli się pewniej po starciu z nim, to Harchong na pewno dostał po nosie. Szkoda tylko, że nie mogliśmy dać mu dostępu do danych. - *Seijin* pokręcił głową. - Gwylym po prostu nie wiedział, jak szybko rośnie siła floty hrabiego Thirsku.

- Racja - przyznał Cayleb. - Niestety, jak to słusznie zauważyłeś przed bitwą przy Rozstajach Haryła, bardzo często będzie tak, że pozyskamy ważne informacje, lecz nie zdołamy ich przekazać właściwym ludziom. Gwylym wiedział, że wróg może mieć przewagę liczebną, ale nie zdawał sobie sprawy, jak wielką. Jak się nad tym zastanowić, moglibyśmy mu tylko podpowiedzieć, gdzie w danym momencie znajdują się siły hrabiego Thirsku.

- Wiem, wiem - mruknął Merlin. - Ja tylko...

- Ty tylko martwisz się o przyjaciół, Merlinie. - Cayleb wpadł mu w słowo, chichocząc pod nosem. - Wiemy o tym. Uwierz mi, że wiemy.

### .III.

#### PAŁAC KRÓLEWSKI

#### TEILESBERG

#### STARY CHARIS

- Jestem pewna, że ojciec Ohmahr już tu idzie, wasza wysokość!

Przejęzyczenie Sairah Hahlmyn było oznaką zdenerwowania, z którego powodu

zapomniała o protokole obowiązującym w królestwie Starego Charisu i użyła dawnej formy grzecznościowej, niepomna na fakt, że w obecności męża cesarzową Sharleyan należało tytułować „jej łaskawością”, a nie „jej wysokością”.

Jednakże Sharleyan nie była w odpowiednim nastroju, aby zwracać uwagę na podobne drobnostki. Nazbyt ją zajmowało zaciskanie warg pomiędzy kolejnymi oddechami, podczas gdy wbijała paznokcie w dłoń Cayleba. W końcu skurcz przeminął i cesarzowa opadła na poduszki, ciężko dysząc.

- Lepiej, żeby wreszcie przyszedł! - powiedziała z sapaniem. - Bo ktoś inny zaraz się pojawi, czy on tu będzie czy nie!

- Nie do wiary! - wymamrotał Cayleb, odbierając z rąk Sairah czystą szmatkę i ocierając pot z czoła żony. - Jesteś cesarzową, u licha! Powinien czekać za drzwiami, aż zaczniesz rodzić!

Byłby zdolny udusić ojca Ohmahra Arthmyna, mimo iż normalnie nic nie miał do wiodącego położnika Tellesbergu.

*Począwszy od jutra, zapowiedział w myślach stanowczo, ojciec Ohmahr będzie mieszkał w pałacu! Nie pozwolę, by ta sytuacja się powtórzyła przy kolejnym dziecku. Jako cesarz nie powinienem być zmuszony posyłać sześć przecznic dalej, do zakonnego szpitala, kiedy moja żona rodzi!*

- Nie panikuj - rzekła Sharleyan, klepiąc dłoń, którą kurczowo trzymała drugą ręką. - To jeszcze trochę zajmie, jak dotąd nawet nie odeszły mi wody. Mamy mnóstwo czasu. - Cayleb może by w to uwierzył, gdyby mówiła z większym przekonaniem i nieco mniej... błagalnie. - Zresztą spodziewał się pewnie, że siostra Frahcys na początek wystarczy. To nie jego wina, że zaczęłam rodzić w środku nocy!

- Nie, ale...

- Sza! - rozkazała mu i znów zaczęła głęboko oddychać przez usta.

Skurcze następowały po sobie coraz szybciej, co ani trochę nie podobało się Sharleyan. Z drugiej jednak strony nie były aż takie straszne, jak się obawiała. Przynajmniej na razie. W dodatku matka zapewniała ją, że wszystkie kobiety w ich rodzinie wydawały dzieci na świat szybko i łatwo. Oczywiście, ona mogła się okazać wyjątkiem potwierdzającym tę regułę... Dotąd nie zapomniała potwornych porannych nudności.

- Skoro już o tym mowa, gdzie jest siostra Frahcys? - zreflektował się cesarz.

- W Małym Tirianie - wydyszała w odpowiedzi jego żona, gdy minął następny skurcz.

- Co takiego?!... - wybuchnął Cayleb i zamilkł, wpatrując się w nią tępo.

Siostra Frahcys Sawyair, zakonnica ze zgromadzenia Pasquale, która towarzyszyła

im w drodze powrotnej na pokładzie *Cesarzowej Charisu*, wywodziła się z klasztoru Błogosławionej Dłoni, znanego z dobrej ręki do ciąży. Co znaczyło (wbrew naukom powtarzanym w Księdze Pasquale), że jest sprawną akuszerką.

- A co ona tam, u diabła, robi? - na wpół warknął Cayleb.

- To wszystko moja wina... - uśmiechnęła się przepaszająco Sharleyan, podczas gdy on znów ocierał jej czoło. - Chciała złożyć wizytę w tamtejszym zakonie. Pomyślałam, że skoro ojciec Ohmahr jest na miejscu, nic nie stoi na przeszkodzie... Właściwie wręcz nalegałam, żeby pojechała.

- Naleg...? - zaczął Cayleb, lecz nie skończył. Zamiast tego wziął głęboki oddech, jakby sam szykował się na nadchodzący skurcz. - Przez „nalegałaś” mam rozumieć, że „nalegałaś”?

- Oczywiście, że nalegała! - wykrzyknęła Sairah ze zdenerwowaniem zrozumiałym u osoby, która służyła Sharleyan, odkąd ta była małą dziewczynką. Służąca pokręciła głową, odbierając od Cayleba szmatkę i wręczając mu świeżo zwilżoną. - Czyżby wasza wysokość jej nie znał? Jest uparta, wszystko zawsze wie najlepiej, nigdy nikogo nie słucha, martwi się nie o siebie, tylko o innych, stawia na swoim i jeszcze...

- Jestem pewna, że mój mąż zna całą tę litanię, Sairah - rzekła sucho Sharleyan. - Aczkolwiek macie rację. Siostra Frahcys sprzeciwiała się, ale ja nalegałam. - Uśmiechnęła się krzywo do męża. - Właśnie sobie przypomniałam, że miałam poinformować ojca Ohmahra o jej wyjeździe. Tylko jakoś wypadło mi to z głowy...

- Ach tak. - Cayleb przewrócił oczami i wypuścił powietrze przez nos. Następnie obdarzył żonę uśmiechem, kręcąc głową. - Zdajesz sobie sprawę, że najprawdopodobniej jesteś jedyną na świecie cesarżową, która przed swoim pierwszym porodem tak wszystko zaaranżowała, że nie ma przy sobie żadnej fachowej pomocy? A ja zawsze myślałem, że to mężowie latają wkoło z obłędem w oczach...

- Ja nie latam wkoło z obłędem w oczach - zapewniła go Sharleyan. - Po prostu... byłam trochę rozkojarzona w ostatnich dniach.

- Tak też można to ująć... - mruknął pod nosem.

- Sza! - uciszyła go ponownie. - Po prostu miałam nadzieję, że nic się nie wydarzy, zanim Maikel i...

Urwała z nieśmiałym uśmiechem, na co Cayleb poklepał ją po dłoni i skinął głową. HMS *Poranny Wiatr* znajdował się wciąż trzy dni drogi od Cieśniny Delfinów. Oboje mieli nadzieję, że galeon dopłynie do Tellesbergu, przywożąc Maikela Staynaira i Merlina Athrawesa, zanim przyjdzie na świat ich dziecko. Wiedzieli, że są na to marne szanse, odkąd

*Poranny Wiatr* zaczął się wlec z Corisandu, ale mimo to wciąż się łudzili. Tymczasem teraz...

- Caylebie? - przerwała milczenie Sharleyan.

- Tak?

- Pamiętasz, co mówiłam o moich wodach?

- Tak? - powtórzył zdławionym głosem.

- Cóż, obawiam się, że tamta informacja jest już nieaktualna.

- Cudownie. - Cayleb spojrział na Sairah. - Wyjdiesz przez te drzwi - wskazał na bogato zdobione skrzydła broniące wstępu do komnaty sypialnej pary cesarskiej - znajdziesz Ehdwyrda i powiesz mu, że jedno z was MA NATYCHMIAST SPROWADZIĆ ojca Ohmahra. Jasne?

Oczy Sairah Hahlmyn rozszerzyły się.

- Tak jest, wasza wysokość - pisnęła kobieta i zniknęła niczym zdmuchnięty płomień.

\* \* \*

Cayleb Ahrmahk spojrział na kłamliwy zegar. Sairah Hahlmyn wyszła przed ponad dwoma godzinami, czemu więc to przebrzydłe urządzenie twierdziło, że minęło dopiero dwadzieścia minut? Zakotował sobie, aby przy najbliższej okazji zlecić królewskiemu zegarmistrzowi zajrzenie do bebechów czasomierza.

Z wcześniejszych raportów sierżanta Seahampera wiedział, że spora grupka pałacowych służących zgromadziła się za drzwiami. Z pewnością znalazłoby się wśród nich parę doświadczonych akuserek, pomyślał. Ale przecież nie mógł pozwolić, aby byle kto...

Drzwi otwały się gwałtownie i cesarz zwrócił spojrzenie w tamtą stronę.

- No, nareszcie! - Zdawał sobie sprawę, że nie okazuje wdzięczności, ale w tym akurat momencie było mu to obojętne.

- Proszę o wybaczenie, wasza wysokość - rzekł ojciec Ohmahr Arthmyn, przekraczając próg. - Spodziewałem się wcześniejszego uprzedzenia przez siostrę Frahncys.

- To nie jej wina! - Głos Sharleyan z każdą chwilą przybierał wyższe tony. W końcu cesarzowej zabrakło tchu i musiała znów zrobić parę głębokich oddechów.

- Cieszę się, że Sairah cię znalazła, ojcie - powiedział Cayleb normalniejszym tonem, wpatrując się w żonę, która właśnie chwyciła go mocniej za rękę.

- Sairah? - powtórzył zdziwiony Arthmyn, na co Cayleb przeniósł spojrzenie na niego, unosząc przy tym brwi.

Całą uwagę od wielu minut poświęcał wyłącznie Sharleyan, czego dowodem było to, że dopiero teraz zauważył postać kroczącą za Arthmynem. Nie dało się ukryć, iż nie była to Sairah, tylko jakiś ksiądz. Podobnie jak Arthmyn miał na sobie zieloną sutannę i dzierzył



złoty kaduceusz świadczący, że jest wyższym duchownym zakonu Pasquale, jednakże nie był znany cesarzowi.

- Kto to? - zapytał Cayleb obcesowo, przyglądając się wysokiemu szatynowi z brązowymi oczami.

- Wybacz, wasza wysokość - odparł nieznajomy miłym dla ucha tenorem, kłaniając się głęboko. - Nazywam się ojciec Ahbraim.

Cayleb zrobił wielkie oczy, zanim „ojciec Ahbraim” zdążył się wyprostować.

- Ojciec Ahbraim był z wizytą u biskupa Hainryka, wasza wysokość - wyjaśnił Arthmyn. - Nie miałem pojęcia, że w ogóle jest w Tellesbergu, zanim biskup we własnej osobie przysłał go do mnie z informacją, że jej łaskawość zaczęła rodzić. Ja... ja nawet nie widziałem Sairah. Może minęliśmy się gdzieś po drodze?

- Aha! - potaknął Cayleb, kiwając głową. - Zapewne tak właśnie było. Witaj... ojcie Ahbraimie. Czy mam rozumieć, że znasz się trochę na tych sprawach?

- Jestem tu głównie, by służyć ojcu Ohmahrowi pomocą, gdyby jej potrzebował - odparł ojciec Ahbraim, wyciągając rękę i naturalnym gestem muskając prawe ucho. - Aczkolwiek mogę cię zapewnić, wasza wysokość, że zaiste mam spore doświadczenie w dziedzinie, o którą pytasz.

- Miło mi to słyszeć, ojcie - wtrąciła Sharleyan. Znowu oddychała normalnie i nawet uśmiechała się do przybysza. - Ufam ojcu Ohmahrowi całkowicie, lecz cieszy mnie, że biskup Hainryk zechciał cię tu przysłać.

- Dziękuję, wasza łaskawość - powiedział ojciec Ahbraim. - To dla mnie wielki zaszczyt... i przywilej... być tutaj.

\* \* \*

- Powinieneś był nas jakoś uprzedzić, Merlinie - mówił ściszym głosem Cayleb parę godzin później, siedząc przy łóżku Sharleyan i wpatrując się w niesłychanie piękną, czerwoną, pomarszczoną, ruchliwą twarzyczkę zaciskającej powieki z całych sił maleńkiej Alahnah Zhanayt Naimu Ahrmahk.

Cesarzowa Sharleyan spała jak kamień, a niemowlę tkwiło zawinięte w ciasny kokon z kocyków. Na miniaturowych, przypominających pączek róży usteczkach nadal błyszczały krople matczynego mleka. Cesarz Cayleb czuł, jak gdzieś w jego wnętrzu uruchamia się wbudowany program ojcostwa.

- Nie miałem pewności, czy zdążę - odpowiedział Merlin równie cicho, wprost do słuchawki w uchu cesarza, podczas gdy sam przyglądał się swej chrześniaczce za pomocą sensorów. - Znikanie z pokładu w biały dzień i pojawianie się na nim z powrotem zniecka

to coś, czego nie można zrobić na zawołanie, jak wiesz. Jednakże bardzo chciałem być obecny, i to nie tylko po to, by asystować przy narodzinach dziecka. Mam zaufanie do siostry Frahcys... pod warunkiem, że rozkojarzona Sharleyan nie odsyła jej Bóg wie gdzie!... oraz do ojca Ohmahra, lecz skłamałbym, mówiąc, że czułbym się spokojny, nie będąc na miejscu. Ci dwoje przyjęli na świat więcej dzieci niż ja, ale żadne nie ma dostępu do komputera medycznego w mojej jaskini. Na szczęście Sharleyan sprytnie postanowiła zacząć rodzić w środku nocy. A noce na Schronieniu są naprawdę długie.

- Wróciłeś na czas?

- Tak jak wspomniałem, noce na Schronieniu są długie. Mimo to *seijin* odda się medytacji aż do południa, jak myślę. - Cayleb nawet na odległość wyczuł lekkie drgnienie kącików warg Merlina. - Wprawdzie w dalszym ciągu nie muszę się odżywiać, ale przy tym tempie porostu i gubienia włosów, jak ostatnio, potrzebuję zwiększonej ilości składników organicznych, co z kolei wyrabia we mnie apetyt i nawyk jedzenia.

Cayleb prychnął, po czym wyciągnął rękę, aby opuszką palca z zachwytem prześledzić zarys usteczek córki.

- Jest taka maleńka - szepnął. - Można ją trzymać w jednej dłoni, Merlinie!

- Wiem. Urośnie jednak. A mając ciebie za ojca i Sharleyan za matkę, będzie wymagać, aby używać w stosunku do niej dłoni w całkiem innym celu... zwłaszcza kiedy już podrośnie! - zaśmiał się Merlin. Później jego głos znowu złagodniał. - Wszelako wiem, że zawsze będzie miała miejsce w twoim sercu, Caylebie.

- O, tak - potwierdził szeptem cesarz Cayleb Zhan Haarahld Bryahn Ahrmahk. - O, tak...

**SIERPIEŃ**

**ROKU PAŃSKIEGO 894**

**HMS TANCERZ**  
**MORZE HARCHOŃSKIE**

- Nie cierpię tego widoku, sir - powiedział cicho kapitan Raif Mahgail. To znaczy na tyle cicho, by było go słyszeć mimo wycia wiatru w takielunku *Tancerza* i huku fal rozbijających się o burty wokół kierującej się w stronę wyspy Szpon jednostki.

- Dlaczegoż to? - zapytał, nie kryjąc ironii, sir Gwylym.

Stali obaj na pokładzie rufowym *Tancerza*, spoglądając na zachodnią część nieba. Okręt szedł pod coraz mocniejszy wiatr od samego ranka, w dodatku późnym popołudniem wichura zaczęła zmieniać kierunek. Z siłą huraganu nadciągała od strony Morza Harchońskiego prosto do Zatoki Dohlariańskiej, przy czym o sterburtę *Tancerza* co rusz uderzały dwunastostopowe fale.

Było więc jasne, że nie dopłyną w najbliższym czasie do wyspy. Słońce już zachodziło, chociaż żaden z nich go nie widział. Gruba warstwa chmur zasnuwających zachodni horyzont miała barwę indygo, a ich szczyty mieniły się ognicie, odbijając krwistą barwę ukrytego za nimi nieba. Manthyrowi taka pogoda nie była obca i każdy jego instynkt, każdy nerw ciała starał się ostrzegać go przed nadciągającym żywiołem.

*To naprawdę paskudna sytuacja, uznał.*

Miał zaprowadzić jedenaście swoich galeonów do zatoki Hardship, gdzie czekała reszta eskadry, i tam dokonać przegrupowania oraz uzupełnić zapasy. Hrabia Thirsku mimo wysiłków Charisjan uczynił spore postępy na polu przygotowań floty, więc Manthyr zaczynał już poważnie rozważać myśl o powrocie na wody Korony. Choć bardzo tego nie chciał, musiał podjąć ostateczną decyzję w chwili, gdy wszystkie okręty jego zespołu znajdują się w jednym miejscu, co miało stać się niebawem. Na razie jednak wszystko wskazywało na to, że nie dotrze na miejsce spotkania tak szybko, jak się spodziewał. Jedenaście galeonów, którymi dowodził, znajdowało się wciąż sześćset mil od wyspy Szpon, na wodach Zatoki Dohlariańskiej gdzieś pomiędzy prowincjami Tiegelkamp i Queiroz. A przy tym wietrze i przy tak złej pogodzie będą musieli odbić na zachód, i to mocno.

Chyba że warunki pogodowe ulegną szybkiej poprawie.

Dobra wiadomość była taka, że mogli sobie pozwolić na przepłynięcie nawet tysiąca

siedmiuset mil na wschód, zanim dotrą w pobliże brzegów prowincji Shwei. Zła: wiatry mogły ich zagnać na wybrzeże Tiegelkampu, które leżało znacznie bliżej. Ale najgorsze było to, że płynąc tym kursem, będą się coraz bardziej oddalali od wyspy Szpon... i zbliżali do sił hrabiego Thirsku. Manthyr nie miał pojęcia, co knuje teraz dohlariański admirał, ale czuł, że nie będzie to nic, co mogłoby mu się spodobać. Harchońscy rybacy, których pojmał w zeszłym pięciodniu HMS *Błysk*, twierdzili, że hrabia Thirsku ma już pod swoimi rozkazami trzydzieści pięć w pełni sprawnych galeonów i wyprawia je w rejsy ćwiczebne nawet daleko za cieśninę Hankey.

*Pozyskiwane takim sposobem informacje zazwyczaj bywają mocno przesadzone, przypomniawszy sobie. Ludzie zdradzający swoich nie należą do najbardziej prawdomównych osób na świecie.*

To fakt. A zdobycz *Błyska* nie liczyła bynajmniej na zapłatę za skonfiskowane ryby. Szyper kutra zyskał znakomite wytłumaczenie, dlaczego wraca z morza z pustymi ładowniami, gdyby ktoś z Dohlaru albo Harchongu okazał się zbyt ciekawski i zaczął zadawać pytania. Nie miał przecież szans na ocalenie zdobyczy, gdy podszedł do niego dziesięciodziałowy szkuner Charisu i „zasugerował” oddanie połowu. Ale prawda była inna. Harchończycy wypłynęli w morze w nadziei, że spotkają *Błysk* albo inny z okrętów Manthyra i sprzedadzą im informacje. A to, zwłaszcza na tych wodach, powinno wydać się admirałowi wysoce podejrzane.

Ta łódź należała jednak do stałych gości u wybrzeży Dohlaru, a jej szyper sprzedał Charisjanom sporo ryb podczas licznych wizyt na Trove. Jako Harchończyk z krwi i kości modlił się o zdrowie oraz pomyślność dla wszystkich biurokratów imperium, a także o to, by znajdowali się jak najdalej od niego. Port Trove był więc jednym z jego ulubionych miejsc do prowadzenia szemranych interesów. Otrzymywał od Charisjan o wiele lepszą zapłatę za ryby, niż mógłby uzyskać na kontynencie, i nie musiał przy tym płacić łapówek kapitanowi portu oraz tuzinowi jego pomagierów.

W trakcie dobijania targów Manthyr rozmawiał z nim kilka razy na uboczu. Szczerze mówiąc, częstował go nawet swoją najlepszą whiskey i z czasem nawiązali bliższy kontakt, którego jednak na pewno nie można było nazwać przyjaźnią. Manthyr nie wątpił, że rybak podchodzi do niego z podobną ostrożnością. Musiał zdawać sobie sprawę, że admirał obcego mocarstwa zniża się do przesiadywania w towarzystwie zwykłego rybaka, ponieważ potrzebuje od niego cennych informacji. A mimo to z chęcią podtrzymywał tę znajomość. Po części można to było wytłumaczyć niechęcią, jaką darzył harchońską arystokrację i biurokrację, która jej służyła. Nikogo nie powinno dziwić, że kiedy mógł, to im szkodził. Ale

sprzeniewierzenie się Świątyni to zupełnie inna sprawa. Manthyr po dłuższym zastanowieniu doszedł do wniosku, że szyper kutra musi mieć jakieś osobiste powody.

Nie odrzucał więc informacji pozyskanych z tego źródła i wynikających z nich ostrzeżeń. Ale też nie przyjmował ich bezkrytycznie. Stanowiły dla niego cenne uzupełnienie całości obrazu, wyłaniającego się ze wszystkich danych, które gromadzili jego podwładni. A wskazywał on na to, że hrabia Thirsku faktycznie powinien zachowywać się w opisywany przez rybaków sposób.

*Przyszpiliłeś ich nieźle do muru w Yu-Shai, pomyślał, nie spuszczać wzroku ze złowieszczej ławy nadciągających od horyzontu purpurowo-czarnych chmur. Jeden Langhorne wie, ile dział i innych elementów wyposażenia posłałeś na dno. Jeśli jednak hrabia Thirsku ma aż tyle okrętów na morzu, chyba najwyższy czas wracać do domu. Zwłaszcza że nie chcesz wpłynąć w zatokę głębiej, niż musisz.*

Problem polegał jednak na tym, że musiał teraz płynąć tam, gdzie go pchała wichura.

- Dobrze, Raifie - powiedział. - Wątpię, aby pogoda się poprawiła, a obaj nie chcemy, by ktoś z naszych potracił maszty w nawałnicy, która stamtąd nadciąga, zwłaszcza że zbliża się noc.

- Jakoś bym to przeżył, sir.

- Akurat. - Manthyr wyszczerzył zęby w uśmiechu, a potem skrzywił się. - Obawiam się, że będzie naprawdę źle. Każ nadać sygnały, póki mamy jeszcze dobrą widoczność, niech chłopcy zwijają żagle i przygotowują się do sztormowania.

Mahgail nie krył zdziwienia: Manthyr spodziewał się dalszego pogorszenia pogody albo nagle zrobił się przesadnie ostrożny. Ale gdy spojrział ponownie na zachodni horyzont, uznał, że admirał ma rację.

- Tak jest. Zaraz się tym zajmę - powiedział.

## .II.

### **HMS RAKURAI** **ZATOKA DOHLARIAŃSKA**

Tysiąc osiemset mil na wschód od wyspy Szpon po morzu żeglował spokojnie HMS *Rakurai*. Noc już zapadła, lecz hrabia Thirsku wciąż stał na pokładzie rufowym swojego flagowca, trzymając fajkę w zaciśniętych zębach i spoglądając na czyste, pokryte gwiazdami

niebo.

Zaraz jednak przeniósł wzrok na światelka błyskające poniżej, czyli na latarnie swojej eskadry stanowiącej niemal połowę wkładu, jaki królewska marynarka wojenna Dohlaru ma wnieść do gigantycznej nowej floty Kościoła Matki. Dwadzieścia osiem jednostek z tych, które miał pod rozkazami, było przekonwertowanymi frachtowcami - w tej grupie mieścił się także HMS *Rakurai* - pozostałe czternaście zbudowano od podstaw jako okręty wojenne. Wszystkie były bliźniaczymi jednostkami *Wielkiego Wikariusza Mahrysa* dowodzonego przez sir Dahranda Rosaila. Galeon ten, zgodnie z obietnicą daną przez hrabiego, płynął dzisiaj na czele szyku pod banderą dowódcy eskadry. Admirał nadal uważał, że Rohsail jest aroganckim, wyniosłym, arystokratycznym chamem, ale nie mógł też zaprzeczyć, iż to jeden z jego najbardziej walecznych dowódców. Dlatego był w stanie wiele mu wybaczyć i zapomnieć, wiedząc, że na pewno nie zawiedzie się na nim podczas bitwy.

Z dotychczasowych raportów wywnioskował, że Charisjanie mogą dysponować co najwyżej dwudziestoma pięcioma galeonami. Szkunerów też nie dostali tyle, ile było im potrzebne do patrolowania całych wód przybrzeżnych. Hrabia podejrzewał, że ten niespodziewany brak lekkich krążowników musiał wynikać z czyjegoś niedopatrzenia podczas przygotowań do tej ekspedycji. To była bardzo pocieszająca myśl. Miło było wiedzieć, że nawet Charisjanie popełniają błędy.

*A naszym celem jest wykorzystywanie tychże błędów, pomyślał z satysfakcją.*

Usta same ułożyły mu się w uśmiech, gdy o tym pomyślał. Ostatnimi czasy bardzo często dochodził do tego właśnie wniosku.

Bitwa pod Wyspą Smoka dała biskupowi Staiphanowi do ręki amunicję, której potrzebował do stawienia czoła przeciwnikom planów hrabiego, z księciem Thorastu na czele. Może i flota straciła *Księcia Dohlaru*, dowodził zjadliwie, lecz jej okręty okazały się znacznie skuteczniejsze w walce z Charisjanami niż jakakolwiek inna siła. Dzięki jego uporowi władze Dohlaru, zamiast narzekać, że hrabia nie stara się wystarczająco mocno, zaczęły się prześcigać w dogadzaniu mu, aby mógł w końcu rozpocząć planowaną ofensywę. Admirał nie miał pojęcia, jaki opis zdarzeń biskup Staiphan zawarł w raportach semaforowych wysłanych do Świątyni, ale wiedział jedno - po ich przeczytaniu wikariusz Allayn stanął za nim murem.

I to wystarczyło. Przynajmniej na razie.

*Wszystko idzie jak z płatką, pomyślał hrabia. Nawet lepiej, niż myślałeś, po tym jak księżę Thorastu znów próbował cię uziemić... Teraz musisz tylko udowodnić biskupowi Staiphanowi, że dobrze zrobił, stając w twojej obronie. A to znaczy, że twoje okręty powinny znaleźć Charisjan i rozpieprzyć ich w drobny mak... I dlatego stoisz dzisiaj na tym pokładzie*

*trzy tysiące mil od domu, radując się tym pięknym wieczorem. Czego ci jeszcze brakuje do pełni szczęścia?*

Były takie chwile - choć nie przyznałby tego za żadne skarby - w których Lywys Gardynyr, hrabia Thirsku, zastanawiał się, czy Kościół Charisu nie jest bliższy Bogu niż Kościół Matka. A w każdym razie rządząca Świątynią Grupa Czworoga. Przekonanie to narastało w nim zwłaszcza ostatnio, gdy Zhaspyr Clyntahn przeprowadził czystkę w wikariacie i przeforsował formalne wypowiedzenie świętej wojny. Stawka, o którą walczone, wzrosła niebotycznie, a on nie chciał stać w tej wojnie po niewłaściwej stronie. Nie chciał żyć w poczuciu, że miecz w jego dłoni służy Ciemności, a nie Światłu. Ale był tym, kim był, wiernym synem Kościoła Matki, dohlariańskim arystokratą, wasalem króla Rahnylda i admirałem jego floty. A to znaczyło, że musi walczyć z Imperium Charisu.

Nie mógł tego zmienić, nawet gdyby chciał. A szczerze powiedziawszy - gdy wracał pamięcią do wydarzeń rozgrywających się podczas kampanii za Rafą Armagedonu i ultimatum, które padło z ust księcia Cayleba tego ranka w Cieśninie Skalistej - nie miał na to najmniejszej ochoty.

*Nie, pomyślał, wyjmując fajkę z ust i ubijając tytoń kciukiem. Czy mi się to podoba czy nie, muszę rozpieprzyć kilka charisjańskich galeonów, żeby utrzymać się na stanowisku.*

Włożył fajkę do ust, a potem wsunął koniec pokrytego żywicą patyczka pod osłonę lampy, która oświetlała sternikowi tarczę kompasu, i odpalił nią tytoń. Pykał fajeczkę, dopóki żar nie zapłonął jak trzeba, po czym wyrzucił niepotrzebne już drewnienko za reling. Ognik poszybował z pokładu do morza jak spadająca gwiazda, a stary admirał, przeniósłszy wzrok na światła swojej floty, zszedł do swojej kajuty.

### .III.

#### **HMS TANCERZ**

#### **ZATOKA DOHLARIAŃSKA**

Czasami Gwylym Manthyr uważał, że byłby szczęśliwszy, nie mając racji. Jego reputacja osoby umiejącej dokładnie przewidywać zmiany pogody ucierpiałaby niechybnie, lecz okręty nie musiałyby stawiać czoła najpotworniejszemu sztormowi, jaki ludzkie oczy widziały.

Purpurowo-czarne chmury, które obserwował przed zachodem słońca, nadciągnęły



bezlitośnie, a wiatr nasilił się do tego stopnia, że już nie świszczwał w olinowaniu ani nawet nie wył, tylko ryczał jak oszalały. Zgodnie z wcześniejszymi obawami admirała, sztorm uniemożliwił eskadrze utrzymanie kursu na wyspę Szpon. Załogi zostały zmuszone do zrefowania niemal wszystkich żagli prócz sztormowych. Manthyr, mając przecucie, kazał to zrobić, zanim żywioł się rozszalał, i teraz mógł być zadowolony z tej zapobiegliwości.

Przywarł do relingu na pokładzie rufowym, czując ucisk sztormliny na wysokości piersi, i spojrzał w niebo, mimo wielu lat spędzonych na morzu pełen podziwu dla otaczającej go furii. Błyskawice uderzały i znikwały całymi kaskadami niczym miotane przez Langhorne'a *rakurai*, jakby były szczelinami pomiędzy Schronieniem a Piekłem. Kanonada niebiańskich dział była tak głośna, że przedzierała się nawet przez potępieńczy ryk wichury i łoskot rozszalałego morza. Fale osiągnęły już wysokość trzydziestu stóp, a nawet większą. Całą powierzchnię morza pokrywały połączone porywanej z nich piany. Każdemu uderzeniu bałwana o burtę towarzyszył potężny wstrząs, jakby okręt wzdrygał się, a deszcz padał tak gęsty, że momentalnie zmywał z ust słony posmak pozostawiany przez rozbryzgi wody. Krople bębniły po natłuszczonej pelerynie admirała, barkach i plecach, przez co czuł się tak, jakby po plecach smagały go maleńkie dłonie. W błękitnobiałym blasku błyskawic widział tylko trzy płynące najbliżej jednostki, inne skrywały zasłony deszczu i spiętrzone, niebotyczne fale.

Choć była to chyba najstraszniejsza chwila w jego życiu, czuł, jak usta rozciągają mu się w radosnym uśmiechu, gdy okręt drżał pod nim, odpierając atak żywiołów.

Nie musiał być teraz na pokładzie i doskonale o tym wiedział. Był dowódcą eskadry, nie kapitanem okrętu, nie odpowiadał za nic, co było związane z prowadzeniem i... przetrwaniem *Tancerza*. Nigdy wcześniej nie miał tak wyraźnej świadomości bycia pasażerem tego galeonu, zastanawiał się nawet, czy kapitan Mahgail nie będzie na niego zły za to, że pojawił się na pokładzie. Mógłby pomyśleć, że to jedna z tych sytuacji, w której przewrażliwiony admirał woli mieć oko na dowódcę swojego flagowca.

Miał nadzieję, że tak nie jest, ponieważ w rzeczywistości ufał Raifowi Mahgailowi i wierzył w niego. Po prostu nie potrafił usiedzieć w zaciszu własnej kajuty, gdy wokół szalał potężny sztorm miotający nim po całej koi.

Był jednak jeszcze inny powód jego bytności na pokładzie. Jeśli zmysły go nie myliły, ten niesamowity szal natury osiągnął właśnie moment kulminacyjny. Gwyłym słyszał wielokrotnie, że sztormy zrodzone na Wielkim Oceanie Zachodnim nie mają sobie równych, ale zawsze podchodził do tych rewelacji z ogromnym sceptycyzmem. Tej nocy jednak zobaczył i uwierzył. Przeżył do tej pory dwa huragany, w obu przypadkach nie na pełnym morzu, dlatego patrząc wprost na szalejące serce żywiołu, wiedział, że lada moment nadejdzie

przesilenie. A tym razem nie przebywał na bezpiecznym lądzie.

*Tego nam tylko brakowało, pomyślał z przekąsem.*

Zdawał sobie sprawę, że z każdą godziną sztorm gna ich w głąb Zatoki Dohlariańskiej. Nie wiedział tylko, czy żywioł pozwoli im płynąć na ostatnich żaglach, czy raczej zmusi kapitana Mahgaila do pozostawienia gołych rei. Szczur lądowy nie uwierzyłby w opowieści mówiące, że okręt może płynąć do przodu, nie mając nad pokładem nawet skrawka żagla, lecz marynarze wiedzieli, że opór stawiany wichrowi przez kadłub, omasztowanie i zwinięte żagle jest wystarczający, by płynąć w takich warunkach jak te, kiedy postawienie jakiegokolwiek żagla - nawet trójwarstwowego sztaksła - mogło zakończyć się katastrofą i sporymi szkodami w olinowaniu.

W tej akurat chwili, mimo szalejącego żywiołu, doświadczone oko admirała nie widziało żadnego zagrożenia dla *Tancerza*. Galeon mógł się chwiać, jak nie przymierzając byle pijaczyna, gdy napierały na niego kolejne fale przelewające się spienioną furią przez pokłady. Mógł się zataczać, mógł jęczeć i trzeszczeć na całej długości kadłuba, zagłuszając nawet wycie wichury w takielunku. To nic nie znaczy, gdy pompy pracują bez ustanku, wybierając wodę wlewającą się przez najdokładniej uszczelnione luki i furty działowe. Niewątpliwie brali więcej wody, niż oddawali, ale tym też się nie przejmował. To był tylko kolejny dowód na odporność tej konstrukcji, na jej prawdziwą moc. Choćby żywioł ścisnął ją i skręcał, ona przetrwa i poniesie ich dalej.

Nie mogła tylko znieruchomieć w samym środku tego szaleństwa. A on, choć nie widział oddalonych o setki mil brzegów Zachodniego Haven i Howardu, wiedział jednak, że są gdzieś tam daleko, na północy i zachodzie.

*Zajmuj się jedną rzeczą naraz, Gwylymie, mówił do siebie w myślach. Zajmuj się jedną rzeczą naraz. Po pierwsze: musimy przetrwać... potem będziemy się przejmowali hrabią Thirsku. Po drugie - raz jeszcze wyszczerzył zęby w uśmiechu - w taką noc jak ta, mając na pokładach masę szczurów lądowych, na pewno nie będzie myślał o nas.*

## **.IV.**

**KATEDRA  
TELLESBERG  
STARY CHARIS**

Merlin Athrawes domyślał się, że cesarzowa Sharleyan powie mu parę mocniejszych słów, kiedy zrozumie, co uczynił. W gruncie rzeczy uważał, że zasługuje na celne spostrzeżenia cesarzowej na temat swojego charakteru, jeśli już nie inteligencji. Był jednak gotów przyjąć wszystkie uwagi jak prawdziwy mężczyzna.

*Poza tym Cayleb ma rację, pomyślał ponuro Merlin, podnosząc wzrok na wielobarwną jasność bijącą od witraży katedry oświetlonych przez wschodzące nad Tellesbergiem słońce. Ostatnie, czego dzisiaj jej trzeba, to tego typu wiadomości.*

W tej chwili arcybiskup Maikel Staynair, odziany w pyszne szaty hierarchy Kościoła Charisu, z pobłyskującą rubinami koroną na głowie, stał przed ołtarzem, uśmiechając się szeroko na widok zmierzającej w jego stronę Sharleyan Alannah Zhenyfy Ahlyssy Tayt Ahrmahk, która kroczyła po chodniku barwy karmazynu do wtóru śpiewów katedralnego chóru. Obok szedł jego cesarska mość, Cayleb Zhan Haarahld Bryahn Ahrmahk. Cesarzowa niosła na ręku donośnie protestującą przeciwko takiemu traktowaniu księżniczkę Alannah Zhanayat Naimu Ahrmahk.

Długie czarne włosy spływały cesarzowej na ramiona, trzymane w ryzach tylko przez cieniutką złotą obręcz zastępującą pełnowymiarową koronę. Suknię Sharleyan miała równie prostą, wolną od zbędnych zdobień i klejnotów, które płonęłyby własnym blaskiem, odbijając różnokolorowe promienie słońca kładące się smugami na posadzce katedry. Cayleb także był ubrany w zwyczajny strój. Na piersi nosił szmaragdowy naszyjnik, insygnium władzy królewskiej w Starym Charisie. Poza tym nie błyszczała na nim żadna biżuteria, jeśli nie liczyć obrączki identycznej jak ta, którą miała na palcu Sharleyan. Nie różnili się zbytnio od zwykłej pary Charisjan, którzy przynoszą do kościoła swe nowo narodzone dziecko, aby pobłogosławił je i ochrzcił wioskowy ksiądz. Oczywiście żadna wioskowa kapliczka nigdy nie była wypełniona po brzegi ani nie ucichła w wibrującym oczekiwaniu tak, jak teraz katedra w Tellesbergu.

*Nie, powtórzył w myślach Merlin. Sharleyan ma na głowie dość, a zresztą to, co się tu dzieje, jest zbyt ważne, żeby im przeszkadzać.*

Albowiem nie był to zwyczajny chrzest. Wszyscy w Tellesbergu już wiedzieli, jak nazywa się mała księżniczka. Tego ranka, w obliczu duchownych i świeckich panów cesarstwa, Alannah zyskiwała własną tożsamość nie tylko jako najmłodsza poddana Charisu, lecz także jako następczyni tronu połączonych królestw Starego Charisu, Chisholmu, Szmaragdu, Zebediahu, Corisandu i (choć nikt o tym jeszcze nie wiedział) Tarota. Była to formalność, zgoda, ale niezwykle istotna formalność, która nie zasługiwała na jakiegokolwiek zakłócenia.

*Co nie zmienia faktu, że Sharleyan będzie naprawdę wściekła, przyznał w duchu Merlin. Złościła się już o to, że baron Morskiego Szczytu nie został w pełni wtajemniczony. Kiedy się dowie, że kazałem Sowie zamknąć jej dostęp do przekazów z misji Gwylyma, zacznie żuć podkowy i pluć gwoździami.*

Jedynym pocieszeniem było to, że za namową Cayleba analogicznie postąpił w wypadku cesarza. W przeciwieństwie do Sharleyan jej mąż wiedział o potwornym sztormie, który zagroził galeonom Gwylyma Manthya, lecz i on stracił czasowo dostęp do danych z SAPK-ów wiszących na orbicie. Wiedział, że był sztorm - czyli wiedział więcej niż Sharleyan - ale nic poza tym. W dodatku ku zdziwieniu Merlina okazał się doskonałym aktorem.

*Nie, nie aktorem, poprawił się w myślach Merlin. To niewłaściwe określenie. Sugeruje ono swego rodzaju... fałsz, a przecież nie ma mowy o żadnym fałszu. Cayleb po prostu jest skupiony, skoncentrowany na tym doniosłym wydarzeniu, lecz zupełnie szczerze. Tak naprawdę więc jestem pełen podziwu dla niego za to, że potrafi się skupić na chwili obecnej, przez cały czas mając w głowie obraz tego, co może się stać na morzu.*

Późny ranek w Tellesbergu był środkiem nocy na wodach u wejścia do Zatoki Dohlariańskiej. Merlin dzięki podzielnej uwadze obserwował właśnie przekaz, na którym miniaturowe punkty oznaczające okręty Gwylyma wędrowały mozolnie po mapie, posuwając się w głąb akwenu.

*Dlaczego nie daliśmy mu komunikatora?* - pomyślał z goryczą, zachowując kamienną twarz. Ale już w chwili zadawania sobie tego pytania wiedział, że niewiele mogliby zrobić, nawet mając ze sobą stałą łączność. Wiedza o zbliżającym się huraganie bywała przydatna, ale człowiek stojący na pokładzie zbudowanego z drewna i napędzanego żaglami okrętu i tak nie może zejść z drogi żywiołu. Nawet Sowa wydawała się zaskoczona szybkością, z jaką tworzył się ten gigantyczny sztorm. Manthyr płynął już w kierunku wyspy Szpon, gdy sztuczna inteligencja zauważyła zagrożenie. Nie mając w pobliżu żadnego bezpiecznego portu, galeony musiały płynąć dalej.

Największym problemem nie było jednak to, co już się stało, tylko to, co dopiero może się zdarzyć. Wszystkie symulacje Sowy potwierdzały jedno: sztorm po dotarciu do wybrzeży Tiegelkampu osłabnie, może nawet istotnie, co samo w sobie było dobrą nowiną. Te same symulacje pokazywały jednak, że zanim do tego dojdzie, galeony Gwylyma będą musiały przetrwać najgorsze natężenie żywiołu, co zostanie oszczędzone znajdującej się dalej na północny wschód eskadrze hrabiego Thirsku. Dohlarianie trafią na strefę załamania pogody, ale tamta burza będzie niczym w porównaniu z furią oceanu uderzającą na okręty Manthya, ponieważ Tiegelkamp spowolni wcześniej huragan i odbierze mu siłę. Gorzej

nawet, jeśli hrabia Thirsku zareaguje wystarczająco wcześnie, a wszystko wskazywało na to, że jest wystarczająco rozsądny i doświadczony, by to zrobić, jego galeony zdążą schronić się w zatoce Saram u wybrzeży prowincji Stene.

A gdy to uczynią, eskadra Gwylyma będzie spychana powoli, lecz nieustannie prosto w ramiona wroga.

Merlin nie mógł zrobić dla tych ludzi więcej niż cesarzowa, o czym doskonale wiedział. Gdyby jednak Manthyr posiadał komunikator, można by go powiadomić o obecności hrabiego Thirsku. Uprzedzony o potencjalnym zagrożeniu...

*Co, Merlinie? - zadał sobie kolejne pytanie. Przecież Gwylym na pewno wie, że siły hrabiego znajdują się gdzieś w tamtym rejonie. Dlatego kieruje się na wyspę Szpon. Myślisz, że zwlekałby chociaż minutę, gdyby miał szansę uniknąć zepchnięcia tak daleko na wschód?*

Tak wyglądała prawda, o czym też wiedział. Dlatego najchętniej sam odciąłby sobie dostęp do kamer SAPK-ów i skupił się na ceremonii. Nie mógł jednak tego zrobić. Po prostu nie potrafił, dlatego ukrył myśli za niewzruszoną fasadą i pełnił obowiązki *seijina* Merlina, jednocześnie obserwując maleńkie punkciki przesuujące się wolno, lecz nieustannie na wschód.

## .V.

### NA WSCHÓD OD WYBRZEŻY HARCHONGU

#### ZATOKA DOHLARIAŃSKA

Gwylym Manthyr nie dziwił się ogromnemu zmęczeniu. Po trzech takich dniach byłby raczej zaskoczony, gdyby nie czuł łupania w kolanach i pieczenia oczu.

Stał na pokładzie rufowym *Tancerza* w blasku porannego słońca, przeciągnął się, ziewnął i rozejrzał wokół. Jego okręt flagowy wyszedł z tego sztormu niemal nietknięty, ale nie można było powiedzieć, że nic się nie stało. Mimo zwinięcia wszystkich żagli, stengi bezan- i grotmasztu zostały dosłownie zmiecione przez gigantyczną falę, która przechyliła galeon na burtę. *Tancerz* zdołał wstać - a nawet Gwylym nie postawiłby na to złamanego grosza - lecz za taką właśnie cenę. Stengi nie wytrzymały nacisku i złamały się jak patyczki.

Dobra wiadomość była taka, że wiatr tracił na mocy z chwili na chwilę. Obecnie jego południowe-południowo-wschodnie porywy pozwalały wrócić Charisjanom na pierwotny kurs. *Tancerz* wykonał zwrot i szedł teraz mocno przechylony, tylko na dolnych żaglach i z

postawionym foktrumslem. Był to dość dziwny i niezbalansowany plan żagli, ale kapitan Mahgail nie był w stanie wymyślić niczego lepszego, dopóki oba maszty nie zostaną naprawione, tym bardziej że łamiące się stengi uszkodziły też niższe drzewce, które również należało wymienić. Takie naprawy trwały zazwyczaj długo, ale w tym wypadku największym problemem był brak potrzebnych części zamiennych. Dlatego musieli dokonać prowizorycznych napraw i dopłynąć nie do końca sprawnym okrętem na wyspę Szpon, gdzie szkutnicy zajmą się remontem z prawdziwego zdarzenia.

*Wygląda na to, że ładunek jednego z frachtowców, których nie zatopiłem, tylko odesłałem na wyspę, może nas teraz uratować,* stwierdził nie bez satysfakcji. Pomysł, aby wykorzystać materiały wiezione do dohlarlańskich stoczni, wydał mu się arcyzabawny.

Spoważniał zaraz, ponieważ wiedział, że nie tylko *Tancerz* został uszkodzony. Potężny sztorm doprowadził do rozproszenia jego eskadry. W polu widzenia miał teraz tylko sześć jednostek, z czego u czterech dostrzegł braki w ożaglowaniu, takielunku lub omasztowaniu. HMS *Skalisty Klif* stracił cały fokmaszt, a na jego pokładzie roilo się od ludzi, którym kapitan zlecił wykonanie najpilniejszych napraw. Z tej odległości trudno było dostrzec szczegóły, ale wyglądało na to, że zamierzają wykorzystać do tego zapasową grotreję. To był całkiem ciekawy pomysł i powinien wystarczyć do czasu powrotu do zatoki Hardship, gdzie szkutnicy założą nowy maszt.

Na cud zakrawało, z tego co widział Manthyr, że najmniejsza jednostka w eskadrze, szkuner HMS *Posłaniec*, nie tylko przetrwała sztorm w dobrym stanie, ale i nie oddaliła się od flagowca. Admirał nie chciał nawet zgadywać, jak te dwie sztuki udały się komandorowi porucznikowi Grahaizalowi, wystarczało mu, że nie mylił się, wierząc w spore zdolności żeglarskie tego oficera.

*Jest już gotowy do wykonywania poważniejszych zadań,* uznał Manthyr i na jego ustach pojawił się uśmiech. *Aczkolwiek rezygnacja z tak świetnej jednostki jak Posłaniec na rzecz ociężałego galeonu niekoniecznie musi mu się wydać awansem. Przynajmniej na początku. Jestem jednak pewien, że jakoś to przelknie.*

W tym momencie *Posłaniec* znajdował się na wschód od flagowca, a jego załoga czujnie wpatrywała się w horyzont. Manthyr nadal nie wiedział, jak daleko zapędził go ten sztorm, przypuszczał jednak, że znajduje się gdzieś na wschód od Przesmyku Harchońskiego - liczącego czterysta pięćdziesiąt mil szerokości akwenu rozciągającego się pomiędzy Przylądkiem Samuela na północy a wybrzeżami prowincji Kuzniecowa na południu.. Gdyby jego obliczenia były dokładne, oznaczałoby to, że od wyspy Szpon dzieli go aż tysiąc dwieście mil w linii prostej. Przy takim stanie ożaglowania najbardziej uszkodzonych

jednostek dotarcie tam potrwa cholernie długo i będzie nie lada wyzwaniem. Do głowy mu jednak nie przyszło, że może trafić po drodze na całą flotę Dohlaru. Sztorm dał się solidnie we znaki jego znakomicie wyszkolonym załogom, nie chciał więc nawet myśleć, jak obszedł się z początkującymi żeglarzami, a tacy w większości służyli pod hrabią Thirsku. Jeśli flota wroga trafiła w ten żywioł, mogła utracić całe okręty, nie tylko maszty czy takielunek.

Odsunął się z drogi drużynie, która pod dowództwem pierwszego oficera, porucznika Yairmana Seasmoke'a, zabierała się do prowizorycznej naprawy stengi bezanmasztu. Mahgail zarządził, aby zastąpić ją zapasowym drzewcem z fokmasztu, które było nieco wyższe, lecz pasowało idealnie średnicą, dzięki czemu można je było bez problemów osadzić w jarzmie. Złamaną stengę opuszczono na pokład, uprzednio odpinając i naprawiając cały takielunek tej sekcji. Teraz marynarze napięli linę i zaczęli wciągać ciężką dłużycę, stabilizując ją z obu stron w dolnej części. Nowe drzewce było dłuższe od kolumny masztu, więc trzeba je było wciągać podstawą do góry i dopiero w powietrzu obracać, ale Seasmoke i bosman wiedzieli, co robią, więc Manthyr ze spokojem i zadowoleniem obserwował postępy ich pracy.

- Przepraszam, sir.

Admirał obrócił się do mówiącego te słowa i uśmiechnął, widząc przed sobą porucznika Rahzmahna. Chisholmianin o kasztanowych włosach wyglądał na nie mniej wycieńczonego.

- Naiklos kazał panu przekazać, że... śniadanie jest już gotowe. Chyba jest wkurzony, że nie będzie mógł podać panu świeżych jaj.

Rahzmahn miał wyjątkowo ponurą minę, ale kąciki ust drgały mu nerwowo, jakby powstrzymywał się od wybuchnięcia śmiechem. Manthyr parsknął na ten widok. Klatki kur i wyvern (nie można ich było trzymać w tej samej klatce, bo te drugie gustowały w mięsie pierwszych) zostały zmyte za burtę podczas sztormu. Admirał był wdzięczny losowi za to, że nie stracili niczego więcej, lecz Niklos Vahlain najwyraźniej nie mógł przeboleć, że pierwszy gorący posiłek, jaki poda swojemu panu, daleki będzie od ideału.

- Wyobrażam sobie - odparł admirał. - Rozumiem, że powinienem się pośpieszyć. Przyłączysz się do mnie, Dahnyldzie?

- Dziękuję, sir. Uczynię to z ochotą.

- Zatem chodźmy w paszczę smoka.

\* \* \*

Manthyr kończył właśnie trzecią filiżankę herbaty, czując sytość w żołądku (mimo braku jajek), gdy ktoś załomotał w drzwi jego kajuty.

Vahlain pośpiesznie wpuścił gościa, a gdy admirał uniósł wzrok, zobaczył w progu

kapitana Mahgaila.

- Przepraszam, sir Gwylymie, że przeszkadzam podczas śniadania. - Dowódca flagowca zagał bardzo spokojnie, lecz coś w jego postawie wzbudziło niepokój admirała.

- Nie szkodzi, Raifie - odparł Manthyr, odstawiając filiżankę na spodek. - Dahnyld i ja już skończyliśmy posiłek. Czym mogę ci służyć?

- Sir, właśnie odebraliśmy sygnał od *Posłańca*. Melduje o zauważeniu pięciu żagli na wschodzie. Galeony, sir. Komandor Grahzaial twierdzi, że to cztery jednostki... - kapitan spojrział admirałowi prosto w oczy - ścigające okręt płynący pod charisjańską banderą.

\* \* \*

Kapitan Caitahno Raisahndo stał na pokładzie rufowym HMS *Rakurai* z rękami złożonymi za plecami i przyglądał się, jak jego okręt powoli zbliża się do uciekającego Charisjanina, mając tuż za rufą idące na pełnych żaglach trzy pozostałe jednostki eskadry - w tym *Strażnika* kapitana Saigahna. W normalnych warunkach Charisjanin byłby szybszy od nich, ale sztorm, który zagnał go w głąb Zatoki Dohlariańskiej, doprowadził do sporych zniszczeń w jego osprzęcie. Wyglądało na to, że grotmaszt wrogiego galeonu nie wyszedł cało z tego żywiołu, więc jego załoga - mimo tragicznej sytuacji (miała na ogonie cztery dohlariańskie okręty) - nie mogła postawić wszystkich żagli.

Raisahndo miał jednak gdzieś problemy przeciwnika. Interesowało go tylko to, że marynarka wojenna Dohlaru weźmie odwet za bitwę przy Wyspie Smoka. A on osobiście poprowadzi ją do tego zwycięstwa, zgodnie z obietnicą daną przez hrabiego Thirsku.

Spojrzął za rufę swojego okrętu. Za HMS *Sejmitar*, ostatnią jednostką swojej eskadry, widział na horyzoncie szczyty masztów i żagle kilkunastu innych galeonów. Niektóre były całkiem blisko *Rakurai*, inne znajdowały się w sporej odległości, ale wszystkie odpowiedziały zgodnie na sygnał hrabiego Thirsku i ruszyły w pościg za wrogiem. Największe, zbudowane od podstaw galeony wojenne, takie jak choćby *Wielki Wikariusz Mahrys* sir Dahranda Rohsaila, zaczynały wychodzić na czoło dohlariańskiej formacji dzięki potężniejszemu ożaglowaniu, zostawiając w tyle konwertowane frachtowce. Żaden z nich jednak nie dogoni *Rakurai*, zanim ten dopadnie ściganego od świtu Charisjanina.

- Wybaczy pan, kapitanie.

Raisahndo obrócił się raptownie, stając twarzą w twarz z porucznikiem Mahnteem, pierwszym oficerem *Rakurai*.

- Słucham, Charlz?

- Obserwator z foka melduje, że Charisjanin nadaje sygnały.

- Sygnały? - Raisahndo zmarszczył brwi. - Czy nasz obserwator widzi, do kogo są



kierowane?

- Nie, sir. Jeszcze nie - odparł Mahntee.

Słowa podwładnego nie były wielkim zaskoczeniem. Jednostka, z którą komunikowali się Charisjanie, znajdowała się jeszcze za horyzontem i nie mogła być widziana z bocianich gniazd płynącego w pewnym oddaleniu *Rakurai*. Aczkolwiek odbiorca sygnałów uciekiniera musiał być gdzieś blisko, skoro potrafił je dostrzec.

Zacisnął mocniej dłonie złożone za plecami. Nadawanie sygnałów oznaczało, że w pobliżu jest jakiś inny okręt, a ostatnie raporty wywiadu hrabiego Thirsku mówiły, że charisjański admirał zdecydował się na wycofanie swoich sił, przynajmniej czasowo, aż na wyspę Szpon, co oznaczało, że wróg mógł trafić w sam środek sztormu. Tak, to mogło tłumaczyć, dlaczego ścigany przez Raisahndo galeon znajduje się tak daleko na wschód od reszty równie rozproszonej eskadry.

Z tego zaś wynikało, że mając tylko cztery okręty, płynął prosto na jakieś dwadzieścia jednostek wroga.

*Ta sytuacja zaczyna przypominać starą przypowieść o ogarach goniących jaszczurodrapa, pomyślał z przekąsem. No ale mam w odwodzie resztę floty admirała Thirsku, a ścigany okręt być może wysyła sygnały, mimo iż w zasięgu wzroku nie ma nikogo, w nadziei, że wystraszy nas tym blefem.*

- Doskonale, Charlz. Nie wiem, czy reszta floty znajduje się na tyle blisko naszej pozycji, by odebrać sygnały, więc nadaj wiadomość na *Sejmitara*, niech stamtąd przekażą na okręt flagowy komunikat następującej treści: „Nieustalona liczba żagli na horyzoncie. Uciekający okręt przesyła do nich sygnały”. Niech nadają, dopóki nie otrzymają odpowiedzi od naszych.

- Tak jest, sir.

Mahntee zasalutował i natychmiast przywołał do siebie najbliższego kadeta, a kapitan raz jeszcze spojrzął na brudne żagle doganianego okrętu.

\* \* \*

- Kolejny sygnał z *Posłańca*, sir Gwylymie.

Tym razem głos kapitana Mahgaila był ostrzejszy, więc admirał wziął się w garść, zanim na niego spojrzął. Komandor porucznik Grahzaial odplynął swoim niewielkim szkunerem dalej na wschód, by odebrać sygnały uciekającego galeonu, a to oznaczało, że zniknął z pola widzenia sygnalistów *Tancerza*. Teraz, niemal dwie godziny później, znów się zbliżył, by przekazać wiadomości.

- Tak, Raifie? - zapytał obojętnym tonem, a Mahgail zerknął na trzymaną w rękę

kartkę.

- Posłaniec melduje: „Uciekający okręt, zidentyfikowany jako HMS *Talizman*, płynie w kierunku północno-wschodnim, odległość od flagowca trzydzieści mil. Ma uszkodzony grotmaszt. Ścigają go cztery galeony wroga. Są dwanaście mil za nim. *Talizman* może płynąć z maksymalną prędkością około sześciu węzłów. Na horyzoncie widać też wiele innych żagli”.

- Rozumiem.

Manthyr odwrócił się do okien rufowych i zapatrzył przez nie, wsłuchując się w tupot marynarzy na pokładzie rufowym, gdzie jego ludzie zdwoili wysiłki, by przyspieszyć naprawy, mimo że teraz nie miało to już tak wielkiego znaczenia.

Trzydzieści mil do *Talizmana* kapitana Tymahna Klahrksaina. Kolejne dwanaście do ścigających go jednostek i powiedzmy, jeszcze dwadzieścia do owych „wielu innych żagli”. To razem nieco ponad pięćdziesiąt mil. Wiatr był teraz silniejszy, ale wiał nadal w kierunku wschodnim. Nie był na tyle mocny, by uniemożliwić pracę przy naprawach masztów, lecz i nie pomagał ekipom remontowym. HMS *Skalisty Klif* może mieć z nim większe problemy, jako że jego załoga musi wymienić cały maszt.

Liczyło się tylko to, że *Talizman* mimo uszkodzeń nadal może wyciągać około sześciu węzłów. *Tyle że nadal nie wiemy, jak poważnie jest uszkodzony*, pomyślał sir Gwylym. Jeśli mimo sporej prędkości ścigający zbliżają się do niego, muszą być szybsi i wyciągają co najmniej siedem węzłów. Do czasu usunięcia uszkodzeń *Tancerz* może wyciągnąć dwa, może trzy węzły, a *Skalisty Klif* jeszcze mniej, co znaczy, że Dohlarianie są od niego szybsi o cztery albo nawet pięć węzłów.

*Mamy maksymalnie dziesięć godzin*, obliczył w myślach. *Za pięć godzin, czyli jeszcze przed porą obiadową, ich obserwatorzy dostrzegą nasze maszty.*

Mieli przed sobą jeszcze niemal cały długi letni dzień. Do zachodu słońca zostało czternaście godzin, a na domiar złego była właśnie pełnia i nieba nie przesłaniała nawet jedna chmurka.

*Dośćgną nas*, uznał sir Gwylym. *To pewne. I co mam w tej sytuacji zrobić?*

\* \* \*

Lywys Gardynyr, hrabia Thirsku, studiował mapę zajmującą całą powierzchnię stołu w jego kajucie, rozmyślając nad treścią wiadomości nadanej z HMS *Rakurai*.

Jego zdaniem jednostka, do której nadawał sygnały uciekający Charisjanin, musiała znajdować się nie dalej niż szesnaście mil na zachód. W normalnej sytuacji dośćgnięcie Charisjan przy takich warunkach pogodowych nie byłoby łatwe. Mieli większe okręty i mogli

podnieść więcej żagli, które - mimo ostatnich modyfikacji dokonanych w Dohlarze - nadal były znacznie skuteczniejsze.

*To by się sprawdziło przy założeniu, że ich okręty są nieuszkodzone, a sądząc po stanie galeonu, który ucieka przed Raisahndo, raczej trudno w to uwierzyć. Czyli...*

Stłumił cisnący mu się na twarz wyraz satysfakcji. Ale było to wyjątkowo trudne, ponieważ wszystkie scenariusze, które kreślił w myślach, wydawały mu się bardzo prawdopodobne.

Jego galeony znalazły w porę schronienie w zatoce Saram dzięki temu, że w porę przewidział zmianę warunków pogodowych. Chronieni skalistym haczykowatym Przylądkiem Samuela mogli przeczekać ten potworny sztorm. Nawet tam dwa z jego okrętów zerwały się z kotwic, lecz ich załogi miały na szczęście dość czasu, by rzucić zapasowe, więc nikomu nic się nie stało.

Cieszyło go to, ponieważ zdawał sobie sprawę, że jego załogi - pomimo wielkich postępów w szkoleniu - na pewno nie dałyby sobie rady w takich warunkach i jego flota, gdyby sztorm zastał ją na otwartych wodach, utraciłaby co najmniej kilka jednostek. Nie można by za to nikogo winić - takie są skutki braku doświadczenia ludzi. To jedna z tych sytuacji, o których szczury lądowe nigdy nie pomyślą, gdy rozkazują wysłać okręty w morze. Zastanawiał się, czy któryś z okrętów wroga dał się złapać sztormowi, i tuż przed świtem otrzymał odpowiedź na swoje pytanie.

Kapitan Raisahndo nie był jedynym, który ścigał Charisjan tego ranka. Trzy inne galeony hrabiego znajdowały się teraz około trzydziestu mil na południe od głównego zgrupowania, ścigając inny okręt heretyków. Czy zdołają go doścignąć, to inna sprawa, ale na razie zapędzały go dalej na wschód, zmuszając do wejścia głębiej w zatokę. W odróżnieniu od celu Raisahndo tamten galeon wydawał się nietknięty przez żywioł i wciąż oddalał się od prześladowców, aczkolwiek wcale nie tak szybko, jak by chciał. Jeśli wyslizgnie się z tej pułapki, i tak będzie musiał przejść przez flotę hrabiego, gdy wpadnie mu do głowy opuścić te wody.

Co więcej, Charisjanie dysponowali na tym akwenie mniej więcej dwudziestoma jednostkami, co znaczy, że po odjęciu tych dwóch za horyzontem na zachód od *Rakurai* może się ich czaić co najwyżej osiemnaście.

A on, nawet po odliczeniu tych, które popłynęły na południe za uciekinierem, miał pod rozkazami trzydzieści dziewięć jednostek.

- Ahlvynie! - zawołał, nie odrywając oczu od mapy.

- Tak, mój panie? - odparł komandor Khapahr.

- Każ kapitanowi Baiketowi nadać następujący sygnał dla całej floty: „Prawdopodobny zamiar na osiemnaście kolejnych okrętów wroga, kierunek zachodni, odległość pięćdziesiąt mil. Stawiać wszystkie żagle. Przygotować się do bitwy”.

\* \* \*

Chwilę po południu z pokładu rufowego *Tancerza* dało się dostrzec pierwsze cztery galeony wroga. Dwa z nich przez godzinę prowadziły wymianę ognia z *Talizmanem*, zanim Manthyr zdołał je ujrzeć przez swoją lunetę. Długolufowe działa *Talizmana* nie były w stanie wyrządzić wielkich zniszczeń z tej odległości, a lekkie dwudziestofuntówki Dohlarian miały jeszcze mniejszą skuteczność. Zwłaszcza że ścigający mogli odpalać co najwyżej dwa działa naraz, podczas gdy *Talizman* odpowiadał czterema rufowymi. Zawsze jednak istniało niebezpieczeństwo przypadkowego trafienia, czego *Tancerz* był najlepszym przykładem. Jedna zabłąkana kula i okręt traci zdolność manewrowania. A przy takim wietrze jak dzisiaj nawet najmniejsze i z pozoru niegroźne rozdarcie żagla może mieć bardzo poważne konsekwencje.

Niestety *Talizmanowi* zabrakło szczęścia i nie uszkodził w istotny sposób żadnego z prześladowców, a gdy podpłynął bliżej, kapitan Khlarksain przekazał bardziej szczegółowe i niepokojące raporty.

W okolicy znajdowało się co najmniej trzydzieści dohlariańskich galeonów. Manthyr stojący na pokładzie rufowym *Tancerza* widział już maszty około dwudziestu jednostek. I wszystkie one, w odróżnieniu od jego okrętu, wydawały się całkowicie sprawne.

*Jakim cudem hrabia Thirsku uniknął wpłynięcia w sztorm?* zastanawiał się z pełnym spokojem sir Gwylym. *Gołym okiem widać, że nie musiał walczyć z tym piekielnym żywiołem. Ale jak...*

*Zatoka Saram*, zdecydował. To była jedyna odpowiedź, zważywszy na pozycje obu eskadr i obecny kierunek Dohlarian. Zdołali ukryć się w zatoce, przeczekali sztorm i kontynuowali łowy.

Tym razem to im dopisało szczęście.

Sir Gwylym Manthyr nie był defetystą. Zawsze miał się za człowieka realnie myślącego, więc i teraz, gdy zliczył swoje siły, wyszło mu, że dysponuje ośmioma jednostkami - wliczając w to *Talizmana* - z czego czterem daleko było do osiągnięcia gotowości manewrowej. *Skalisty Klif i Tancerz* na pewno nie osiągną jej na czas. *Dziewica*, jeden z jego konwertowanych frachtowców, straciła stengi foka i grotmasztu. Była w nieco lepszym stanie niż *Tancerz*, ale naprawy na niej przebiegały w znacznie wolniejszym tempie. *Lawinę*, kolejny przebudowany frachtowiec, zarycie dziobem w wyjątkowo stromą falę

kosztowało utratę całego bukszprytu. Nie straciła przez to zbyt wielu żagli, ale te dziobowe były najistotniejsze przy manewrowaniu. Co gorsza, wraz z bukszprytem diabli wzięli wszystkie cztery sztagi fokmasztu, które zarazem stabilizowały cały układ omasztowania okrętu. Załoga dokonała prowizorycznej naprawy z użyciem zapasowej rei, ta jednak, dwukrotnie krótsza od oryginału, mogła być jedynie namiastką. W tym momencie sztukowano olinowanie, lecz nawet po zakończeniu prac fok będzie o wiele bardziej narażony na uszkodzenie niż przed sztormem.

Dwa pozostałe galeony, *Thuczek* i *Zniszczenie*, nie miały żadnych uszkodzeń w omasztowaniu. Przy tej pogodzie, i przy każdej innej, bez trudu zdołają uciec nadciągającej dohlarlańskiej armadzie. Innym jednostkom Charisu ta sztuka na pewno się nie uda.

Gwylym Manthyr dogłębnie i starannie rozważył nieliczne opcje, a potem podjął decyzję.

- Proszę nadać sygnał dla *Thuczka* i *Zniszczenia* - powiedział, nie podnosząc głosu.

- Tak jest - odparł równie spokojnie porucznik Rahzhman.

Minutę później wciągnięto ciąg kolorowych flag, które prężyły się na silnym wietrze, jakby zrobiono je z blachy, a nie materiału. Manthyr nie patrzył w górę, ale zauważył, że część marynarzy zadziera głowy, by odczytać wiadomość. Admirał nie przeszkadzał im w tym, już dawno ustalił z kapitanem Mahgailem, że ludzie mają prawo wiedzieć o wszystkim - zarówno jaką decyzję podjął ich admirał, jak i dlaczego to zrobił.

A odpowiedź, zwłaszcza na to drugie pytanie, była prosta. *Tancerz*, *Skalisty Klif*, *Dziewica* i *Lawina* nie dadzą rady uciec. *Thuczek*, *Zniszczenie* - może nawet *Talizman* - mają na to spore szanse, więc zbyt wolne jednostki zostaną, by osłaniać ich odwrót.

Bitwa, w której wróg ma przewagę liczebną osiem do jednego, może zakończyć się tylko w jeden sposób. Nawet sześć do jednego nie dawało lepszych szans. Admirał nie miał pewności, czy *Talizman* zdoła zbiec przed pościgiem, musiał jednak zapewnić jak najlepsze warunki tym okrętom, które miały szanse na wydostanie się z opresji, a hrabia Thirsku, cokolwiek o nim mówić, był podobno człowiekiem honoru. Niedługo Manthyr przekona się na własnej skórze, czy to prawda.

Przyglądał się, jak *Thuczek* i *Zniszczenie* stawiają dodatkowe żagle i pochylają się coraz mocniej pod naporem wiatru, podczas gdy pozostałe jednostki jego pokierosowanej eskadry wykonują zwrot w kierunku leżących za horyzontem niewidocznych stąd wybrzeży Tiegelkampu, tworząc linię obrony przed i za *Tancerzem*, ustawioną dokładnie w poprzek kursu Dohlarian.

- Wciągnąć numer jeden, kapitanie Mahgail - powiedział Manthyr, nie odrywając

wzroku od zbliżającego się *Talizmana*. Wszystkie cztery dohlariańskie galeony strzelały teraz z dziobowych baterii; co ciekawe, admirał widział też obłoczki dymu unoszące się nad dziobem innej, znajdującej się o wiele dalej jednostki.

Gdy podano sygnał „przygotować się do walki”, usłyszał wiwaty marynarzy, choć cichsze niż zazwyczaj. Nie brakowało w nich determinacji, ale zniknęła gdzieś ta charakterystyczna pewność i duma spowodowana wiedzą, że Charis panuje na morzach i oceanach świata. Nie winił swoich podwładnych za ten gest słabości. Cieszyło go to, że w ogóle zareagowali na sygnał, wiedząc, jak wiele od nich dzisiaj wymaga.

Stał tak przez ciągnące się w nieskończoność minuty i wsłuchiwał się w coraz głośniejszy huk dział, obserwując pianę otaczającą dziób *Talizmana* i mieniającą się wszystkimi barwami tęczy mgiełkę przy burtach. Był tak blisko, że zobaczył drzazgi sypiące się z trafionego przez Dohliarian pomostu rufowego. Widział też dziury wyrwane przez kule w kilku żaglach. Z bezanmasztu zwisały luźne liny i ułamki drewna - kolejny widomy dowód na to, że pocisk wystrzelony przez wroga sięgnął celu. Najwyraźniej uszkodzony podczas sztormu maszt przechylał się niebezpiecznie, nawet pod zredukowanymi żaglami i mimo prowizorycznego wzmocnienia konstrukcji przez załogę.

*Talizman* podszedł jeszcze bliżej, kierując się w sam środek linii utworzonej przez pozostałe uszkodzone okręty. Manthyr usłyszał moment później, jak jego załoga wiwatuje na cześć towarzyszy broni, którzy osłaniają ich ucieczkę. Zobaczył kapitana Klahrksaina stojącego na pokładzie rufowym i oddającego milczący salut załogom idącym na śmierć, by jego okręt mógł ocaleć.

Ścigające go galeony zwolniły raptownie, nie zamierzając nadzieć się na salwy burtowe czterech czekających na nie Charisjan, dzięki czemu odległość pomiędzy nimi a *Talizmanem* znów zaczęła rosnąć, gdy ten wpływał w szczelinę pozostawioną specjalnie dla niego pomiędzy *Tancerzem* a *Dziewicą*.

Admirał nie zdziwił się, gdy cztery ścigające *Talizmana* galeony rozdzieliły się, próbując ominąć przeszkodę parami, od przodu i od tyłu linii. Nie wątpił, że jeśli uda im się znaleźć na dogodnej pozycji, ostrzelają pierwszy i ostatni okręt jego małej eskadry. Nie zamierzał jednak dawać im takiej okazji. Uznał, że będą kontynuować pościg za oddalającą się ofiarą, mimo iż linia okrętów Manthryra zmusiła ich do zwolnienia, a potem zmiany kursu. Admirał miał tylko nadzieję, że to małe opóźnienie pozwoli *Talizmanowi* na dotrwanie do zmroku.

*Albo da szansę załogom Thuczka i Zniszczenia na dołączenie i stworzenie osłony, pomyślał.*

Miał nadzieję, że to zadziała, ale nie mógł już nic więcej zrobić w tej sprawie. Liczba rozwiązań i działań, jakie mógł podjąć, zmalowała dramatycznie. Przypomniawszy sobie bitwę w cieśninie Darcos. Przypomniawszy sobie decyzję podjętą tego dnia przez władcę. Przykład waleczności martwego już króla, który zainspirował całą flotę i domenę.

- Czas na ostatni sygnał, Dahnyldzie - powiedział bardzo łagodnym tonem i kolejny ciąg flag zastąpił pierwszy zestaw. Ten był dłuższy, mimo iż składał się tylko z czterech słów, ponieważ jedno z nich nie było zapisane kodem numerycznym, lecz literowym.

Przez moment słyszał tylko szum wiatru i fal. Teraz, gdy Dohlarianie musieli zmienić kurs, umilkły nawet baterie dziobowe na jednostkach ścigających *Talizmana*, jednakże gdy marynarze zgromadzeni na pokładach okrętów idących w tej krótkiej linii odczytali przekaz, znów rozległy się wiwaty. Tym razem było to ostre, przenikliwe, dzikie zawołanie, coś jak wycie wilków, które te cztery słowa obudziły w ludziach. Admirał zdjął kapelusz i pomachał nim, kierując rękę ku flagom sygnałowym, na co ludzie odpowiedzieli jeszcze radośniejszymi okrzykami.

Zdanie, choć proste, niosło niezwykle ważny przekaz, którego żaden Charisjanin nigdy by nie zrozumiał opacznie. Manthyr mógł więc mieć pewność, że wszyscy marynarze znajdujący się na pokładach jego okrętów wiedzą, co chciał im przekazać.

„Pamiętajcie o królu Haarahldzie”. Gdy rozległy się wiwaty, wiedział, że nic więcej nie musi dodawać.

## **.VI.**

### **PAŁAC CESARSKI**

### **TELLESBERG**

### **STARY CHARIS**

W bibliotece pałacowej panował niezwykle spokojny. Słońce zdążyło już zejść, do wnętrza zakradał się powoli mrok, a stojący zegar w rogu przestronnego pomieszczenia tykał głośno i miarowo w ciszy. Księżniczka Alannah spała w koszu u stóp swojej matki, aczkolwiek już wkrótce miała się przebudzić i domagać następnego posiłku.

Merlina Athrawesa to cieszyło. Wszyscy bowiem potrzebowali tego kolejnego dowodu życia, nadziei i wzrostu. I to bardzo potrzebowali.

- Powinienem był nalegać, aby wysłano więcej galeonów - powiedział cicho admirał

Wyspy Zamek, odzywając się w komunikatorach zebranych, choć sam znajdował się na odległym okręcie flagowym.

- Nie mieliśmy więcej galeonów - przypomniał mu Domynek Staynair równie cicho. - Jeszcze ich nie mieliśmy.

- Zresztą to wcale by wiele nie zmieniło - zauważył Cayleb. - Nie w tych okolicznościach. Nawiasem mówiąc, Gwylym zrobił wszystko jak trzeba. Problem w tym, że hrabia Thirsku również.

- Problem w tym oraz w sztormie - zgodził się z cesarzem Merlin stojący tuż za drzwiami biblioteki, lecz będący ze wszystkimi w kontakcie za pomocą swego zintegrowanego komunikatora. - Wydaje mi się, że jeszcze gorzej byłoby, gdyby miał wszystkie jedenaście okrętów i wdał się w otwartą walkę z Dohlarianami, zamiast wracać na wyspę Szpon. Rzecz jasna w sytuacji, gdyby nie mógł się oderwać od pościgu.

- No tak, nie zapominajmy o sztormie. - Cayleb pokiwał głową. - Gdyby miał przeciw sobie Harchończyków albo Desnairian, wyszedłby z tej sytuacji obronną ręką. Oni w taką pogodę nie wychylają nosa z portów. - Przestał potakiwać i pokręcił głową. - Wszyscy wiemy, że hrabia Thirsku to ich najgroźniejszy admirał. A znajomość, jaką zawarł z Maikiem, czyni z niego jeszcze niebezpieczniejszego przeciwnika, ponieważ biskup chroni go teraz przed przeciwnikami politycznymi. Liczyliśmy się od samego początku z tym, że hrabia nie popełni tych samych błędów co admirałowie pozostałych flot.

- Jakoś mało mnie cieszy, że nasze przewidywania okazały się tak trafne - stwierdził hrabia Wyspy Zamek, ponownie przemawiając gorzkim tonem. Tym razem Merlin także się z nim zgodził.

Gwylym Manthyr zdołał osłonić odwrót *Thuczka* i *Zniszczenia*, mimo że oba wspomniane galeony czekały na uszkodzonego *Talizmana* i dały mu ochronę. Caitahno Raisahndo zrozumiał dość szybko, że reszta eskadry nie dołączy do niego... a cztery jednostki, którymi dysponował, nie mogły się mierzyć z trzema rasowymi galeonami wojennymi wroga. Gdy tylko zaakceptował tę myśl, kazał zawrócić i dołączył do floty atakującej linię uszkodzonych okrętów Manthya.

Jedynym błędem hrabiego popełnionym podczas tej bitwy było zezwolenie kapitanom wszystkich jednostek na zaatakowanie Charisjan. Brak zdecydowanych rozkazów spowodował, że Dohlarianie zaczęli się tłoczyć wokół ofiar. Łaknący sukcesów dowódcy zrezygnowali gremialnie ze ścigania uciekinierów i zbliżali się kolejno do blokującej im drogę formacji. Gdy pojawiło się ich tam kilkunastu, sami zaczęli wchodzić sobie w drogę, tracąc część przewagi, którą dawała im ogromna liczebność. Zamiast wykonanej na zimno



egzekucji doszło do dzikiej walki na ślepo.

Tak naprawdę nikogo nie można było za to winić. Rozkaz frontального pościgu wydany przez hrabiego Thirsku był jak najbardziej poprawny. Dzięki niemu flota nie równała do najwolniejszego okrętu. Najszybsze jednostki otrzymały pozwolenie ścigania wroga i robiły to najszybciej, jak potrafiły. Oznaczało to jednocześnie, że flagowiec pozostanie zbyt daleko z tyłu, by móc kontrolować sytuację. Dowódcy poszczególnych eskadr próbowali opanować sytuację, ale byli jeszcze zbyt niedoświadczeni, by im się to udało - zwłaszcza że nie wszyscy wiedzieli, jak pomocny może być nowy system sygnalizacji flagowej.

Dobrą wiadomością dla Dohlarian było jednak to, że brak dyscypliny był efektem nadmiernej agresywności dowódców, a nie ich opieszałości. Zła zaś polegała na tym, że sir Gwylym kazał im zapłacić bardzo wysoką cenę za zrozumienie różnicy pomiędzy atakiem w szyku a beładnym szturmem.

Charisjańska linia utrzymała żelazną dyscyplinę, witając zbliżającego się wroga celnymi i morderczymi salwami burtowymi. Ciężkie działa Charisjan studziły zapal wielu atakujących kapitanów. Kilku z nich wyłamało się nawet z szyku i zostało w tyle, lecz tylko na krótko. Niektórzy zrobili zwrot tak gwałtownie, że poszli kursem na zderzenie z sąsiednimi jednostkami. W kilku przypadkach nie udało się go uniknąć i galeony po splątaniu takielunków wchodziły w dryf, dopóki ich załogi nie poprzecinały lin.

Niestety nawet żelazna charisjańska dyscyplina nie mogła odmienić losów tego starcia. Zwłaszcza że wróg równie mocno pragnął walki. Po jakimś czasie chaos zaczął być porządkowany rozsądnymi rozkazami. Sir Dahrant Rohsail zdołał zapanować nad częścią jednostek i utworzył z nich dohlariańską linię bojową. A nawet dwie linie i Charisjanie walczący od tej pory na dwie strony naraz zaczęli zbierać solidne ciężki.

Tak zakończyła się ta bitwa. Nie od razu, rzecz jasna. Charisjańscy marynarze okazali się zbyt uparci, by poddać swoje okręty, a sir Gwylym Manthyr robił co mógł, by związać bojem jak największą liczbę dohlariańskich jednostek. I przy okazji uszkodzić jak najwięcej z nich.

Ta brutalna wymiana ognia trwała niemal cztery godziny, do momentu, aż ostatni z charisjańskich galeonów stracił wszystkie maszty. Dopóki wróg nie rozpoczął ostrzału nieruchomych celów z niewielkiej odległości. Dopóki coraz mniej liczni kanonierzy mogli obsługiwać działa, potykając się o zwłoki swoich towarzyszy broni. Wróg poniósł straszliwe straty - Merlin doskonale to wiedział - niemniej liczba poległych Charisjan także była niemała. Uzyskanie dokładniejszych danych na ten temat było niemożliwe nawet przy wykorzystaniu SAPK-ów, ale *seijin* bardzo by się zdziwił, gdyby straty wśród załogi

*Tancerza* nie sięgały sześćdziesięciu procent stanu osobowego. Miał nadzieję, że się myli, że to obraz zaciętej walki sprawił, iż popadł w skrajny pesymizm. Niestety nie znał sposobu, jakim mógłby przekonać samego siebie.

Sir Gwylym stracił tego dnia nie tylko *Tancerza* i trzy towarzyszące mu jednostki. HMS *Srebrodajna* roztrzaskał się o skały podczas sztormu. Połowa załogi zginęła, gdy okręt szedł na dno pośród trzydziestopięciostopowych fal. Druga połowa została otoczona i pojmana przez harchońską armię... w trakcie tej akcji poległo także wielu rozbitków. HMS *Obrona* po prostu zatonał, wyrócony przez gigantyczną falę, której w samym środku sztormowej nocy nikt nie mógł zobaczyć, a tym bardziej uniknąć. Okręt momentalnie zniknął pod wodą, zabierając ze sobą całą załogę. HMS *Sztylet* został zapędzony na sam kraniec zatoki przez trzy galeony Dohlaru. Jego załoga, walcząc z przeważającymi siłami wroga, dała z siebie wszystko, zanim zmuszono ją do poddania, lecz nie dało się ukryć, że dni bezapelacyjnego panowania Charisu na wodach Schronienia należą już do przeszłości. Dwie ostatnie jednostki eskadry, HMS *Zatoka Howella* i HMS *Zatoka Północna*, wciąż tkwiły na wodach Dohlaru, próbując wydostać się z nich niezauważenie.

Z dziewiętnastu galeonów, którymi dysponował sir Gwylym Manthyr - wliczając w to *Księcia Dohlaru* - osiem zostało przejętych bądź zniszczonych podczas sztormu, a los dwóch kolejnych był wciąż nieznanym. Pozostałe jednostki zgromadziły się na wodach wokół wyspy Szpon albo dotrą tam wkrótce, a kapitan Pawal, najstarszy oficer po Gwylymie Manthyrze, otrzymał już ostatnie rozkazy admirała. Zważywszy na przewidywane straty i niewątpliwą dominację floty Dohlaru na wodach zatoki, polecenia były zwięzłe i jasne.

Było kwestią czasu - a tego niewiele już zostało - kiedy hrabia Thirsku wyruszy, by zaatakować wyspę Szpon. Przyszła więc pora wracać do domu. Pawal otrzymał rozkaz, by oddziały piechoty morskiej zostały ewakuowane transportowcami pod osłoną pozostałych galeonów.

Zamiast jednak kierować się na wschód, do Starego Charisu, miał wyruszyć na zachód, do Chisholmu. Od tej części cesarstwa dzieliła go znacznie krótsza droga, a zważywszy na rosnące zagrożenie ze strony floty Dohlaru, wzmocnienie tamtejszych garnizonów wydawało się najrozsądniejszym posunięciem.

Mimo pośpiesznej ewakuacji ta misja zakończyła się jednak sukcesem. Gdyby nie feralny sztorm, być może Charisjanie nie musieliby się jeszcze wycofywać. A gdyby Manthyr powrócił bezpiecznie i zgodnie z planem zabrał swoich ludzi do domu, sprawy potoczyłyby się inaczej. Niestety po raz pierwszy w historii jedna z flot Świątyni odniosła bezapelacyjne zwycięstwo nad marynarką wojenną Imperium. Co do bitwy przy Wyspie Smoka, można by

się jeszcze spierać, albowiem obie strony ogłosiły po niej taktyczne zwycięstwo, lecz starcie w Cieśninie Harchońskiej to zupełnie inna sprawa.

*Prawda jest taka, pomyślał z zawiścią Merlin, że hrabia Thirsku ciężko zapracował sobie na ten sukces. Może i pogoda pomogła mu w jego osiągnięciu, lecz nie da się wykluczyć, że wygrałby to starcie nawet wtedy, gdyby nasze okręty nie zostały pokiereszowane przez sztorm. Był bliżej Gwylyma, niż ten myślał, a jego załogi mimo gorszej dyscypliny okazały się nie mniej waleczne niż nasze. Gdyby zdołał ściągnąć czterdzieści dwa swoje galeony w pobliże wyspy Szpon, jak to wcześniej zaplanował, Gwylym mógłby nie mieć szans na wycofanie i osłonięcie transportowców, nawet dysponując dziewiętnastoma jednostkami...*

Decyzja Manthryra o podjęciu walki na wodach zatoki zapobiegła tej klęsce. Jedynym błędem hrabiego podczas tej kampanii było podjęcie decyzji o zabraniu swoich uszkodzonych okrętów oraz przyzów do Yu-Shai w Zatoce Shwei zamiast kontynuowania ofensywy. Aczkolwiek nie mając pojęcia o pozycjach pozostałych jednostek sir Gwylyma, mógł mieć obawy, że jego uszkodzone okręty mogą zostać pokonane przez eskadrę nowiusieńkich i większych charisjańskich galeonów. Jednakże, o czym Merlin wiedział, decyzja ta podyktowana była raczej chęcią pokazania Harchończykom z Yu-Shai, co flota Dohlaru zrobiła z eskadrą, która odważyła się zaatakować ten port. I zadbania o to, by zdobyte przyzły trafiły do zatoki Gorath. I nie chodziło tutaj tylko o pokazanie innym zdobyczy, choć hrabia Thirsku z pewnością czuł potrzebę udowodnienia swojej wyższości. Ale nie, zdobyte charisjańskie okręty miały posłużyć jako dowód, że strategia przyjęta przez hrabiego działa. Że można pokonać charisjańskie eskadry... a on jest admirałem, który tego dokonał.

*Może powinienem rozważyć ponownie ciche usunięcie hrabiego, pomyślał Merlin. Nie chciał wejść w rolę skrytobójcy, ale w tym wypadku...*

- Przynajmniej wiemy, że sir Gwylym przeżył. - Sharleyan pierwsza przerwała ciszę. Ona jedna z nich wszystkich nigdy nie spotkała Manthryra osobiście, ale to, co o nim słyszała, wystarczyło, by go polubiła. Spojrzała teraz ponad kołyską na męża i położyła mu dłoń na kolanie, by okazać współczucie. - A to już coś.

- Tak... - Nakrył jej dłoń swoją, potem westchnął głośno i uśmiechnął się. - Tak, to prawda. Wygląda na to, że hrabia Thirsku wybaczył mi już wysadzenie go i wszystkich jego ludzi na Rafie Armagedonu po bitwie w Cieśninie Skalistej.

Zaśmiał się cicho po tych słowach, co nieco zirytowało Merlina. Był na miejscu, gdy Cayleb przedstawiał ultimatum hrabiemu, więc wiedział, z jakim niepokojem młody władca podchodził do tego, jak jego przeciwnik zareaguje na przedstawiane mu warunki kapitulacji.

Teraz jednak Dohlarianie potraktowali sir Gwylyma i wszystkich jego ludzi zgodnie z obowiązującą konwencją wojenną. Ich uzdrowiciele zajęli się rannymi Charisjanami jak swoimi własnymi, a do pojmanych oficerów odnoszono się ze stosowną kurtuazją. Szczerze mówiąc, właśnie takiego zachowania Merlin spodziewał się po hrabim Thirsku, aczkolwiek informację o słuszności swoich domniemań przyjął z wielką ulgą.

*Ale naprawdę mi ulży, kiedy dowiem się, że wszyscy jeńcy pozostaną w rękach hrabiego, pomyślał ponuro. To kolejny powód, aby pozostawić go przy życiu.*

Skrzywił się, zastanawiając, czy zamordowanie kogoś, kogo szanuje, a nawet podziwia, różniłoby się czymkolwiek od zabicia go podczas bitwy.

*Chyba każdy taki ruch może się odbić echem w najmniej spodziewanym momencie. Zamordowanie hrabiego nie wchodzi w grę z kilku powodów. Po pierwsze, gdybyśmy usunęli go w jakiś sposób, a Clyntahn uznałby, że to skrytobójstwo, daliśmy wrogom kolejny dowód do ręki, że Cayleb odpowiada za zamach na księcia Hektora. Ale to nie byłoby jeszcze najgorsze. Zabicie go zrobiłoby miejsce dla któregoś z jego uczniów, kogoś, kto zna wszystkie jego plany, jak choćby Hahlynd. Następca z pewnością nie byłby tak dobry jak hrabia, ale i to by wystarczyło. Kolejna sprawa: przynajmniej na razie traktuje jeńców w bardzo przyzwoity sposób. Czy rozsądne byłoby zabijanie kogoś, kogo na to stać? Zwłaszcza teraz, po tym, co Clyntahn zrobił z Wylsynnami?*

Ta sprawa niepokoiła go najbardziej. Czy hrabia Thirsku zdoła utrzymać kontrolę nad wziętymi jeńcami? A może przejmie ich ktoś inny?

*Kościół Matka ma pierwszą okazję do pokazania całej bandy pojmanych heretyków, dlatego miejmy nadzieję, że nie dojdzie do tego, o czym myślę. Czystka przeprowadzona przez Clyntahna w wikariacie jest wystarczającym złem. Jeśli dojdzie do eskalacji przemocy, rozpocznie się wojna religijna, podobna do tych, jakie znamy z historii Ziemi...*

- Jak sądzisz, Merlinie, co zrobi w tej sytuacji Clyntahn? - zapytał hrabia Wyspy Zamek, jakby czytał w myślach *seijina*.

- Nie wiem - odparł szczerze Athrawes. - Naprawdę nie mam pojęcia. Domyślam się tylko jednego...

- Czego? - Cayleb wykorzystał moment zawahania.

- Trzeba powiedzieć baronowi Morskiego Szczytu i Howsmynowi, że muszą stanąć na głowie, aby przyspieszyć produkcję tych nowych pocisków łuskowych - odparł Merlin.

**WRZESIEŃ**

**ROKU PAŃSKIEGO 894**

.I.

**SIEDZIBA SIR KORYNA GAHRVAIA**

**ORAZ**

**PAŁAC KRÓLEWSKI**

**MANCHYR**

**CORISAND**

Sir Koryn Gahrvai wszedł do swego gabinetu ze szklaneczką chisholmskiej whiskey, kierując się ku biurku. Wolną ręką podkręcił knot lampy, którą służący zapalili wcześniej tego wieczoru, i właśnie zaczął odstawiać szklaneczkę na blat, gdy nagle zmarł.

Na jego biurku leżała koperta. Na pewno jej tam nie zostawił, ba, nigdy przedtem nie widział jej nawet na oczy. Ale od razu rozpoznał charakter pisma. Ten był mu znany.

*No, pomyślał, przynajmniej obeszło się bez tłuczenia szyb.*

Drgnął, postawił szklaneczkę na blat i zajął miejsce w fotelu. Przez parę sekund tylko patrzył na kopertę, w końcu jednak wzruszył ramionami i sięgnął po nią.

Tak jak poprzednio znalazł w środku kilka kartek, z tym że teraz zamiast dwóch odręcznie sporządzonych mapek były aż trzy. Te nie dotyczyły sekretnych komnat w klasztorze, lecz miasta Telitha w hrabstwie Burzowej Warowni. Jedna z nich była właściwie szczegółowym planem miasta z rozrysowanymi uliczkami i naniesionymi adresami i nazwiskami. Niektóre z tych ostatnich rozpoznawał, o innych nawet nie słyszał, ale coś mu mówiło, że treść listu wszystko wyjaśni. Druga mapa przedstawiała schemat siedziby hrabiego Burzowej Warowni, z zaznaczonymi schludnymi strzałkami kryjówkami sekretnej korespondencji i innych dokumentów oraz jednym skrzydłem opisanym po prostu „apartamenty biskupa egzekutora”. Natomiast trzecia mapa...

Oczy aż mu się zaświeciły, gdy zobaczył magazyny i strzałki wskazujące rozmieszczenie skrzyń, które przybyły z Corisandu przez Zebediah.

*Wiesz, nie wierzyłem ci, kiedy mi o tym wszystkim mówiłeś, seijinie Merlinie, pomyślał, upijając łyk whiskey, zanim zaczął czytać list. To znaczy może i wierzyłem, ale głową, nie sercem. Bo w głębi ducha powątpiewałem w istnienie tak rozległej sieci seijinów rozsianych po całym świecie. Tylko że... rozejrzył się po gabinecie, strzeżonym przez dwoje solidnych drzwi, w tym jedne szklane, wiodące do ogrodu, oraz przez gęste stráže... nie*

*wyobrażam sobie, aby zwykły człowiek mógł tu się dostać i zostawić dla mnie tę wiadomość.*

Prychnął ze śmiechu, pociągnął kolejny łyk, po czym wstał i podszedł do drzwi wyjściowych. Otworzył je i zwrócił się do strażnika:

- Kapralu, przyślijcie mi paru posłańców.

- Tak jest, sir! Ilu dokładnie?

- Niech się zastanowię... Jeden zaniesie wiadomość do sir Charlza Doyala, drugi do mojego ojca, trzeci do hrabiego Tartarianu i czwarty do wicekróla generała Chermyna. - Oczy kaprała stawały się coraz większe, w miarę jak padały poszczególne nazwiska, lecz mężczyzna wziął się w garść i skinął służbiście głową. Gahrvai obdarzył go uśmiechem. - Powiedz majorowi Naiklosowi, że kazałem wybrać zaufanych ludzi, którzy na pewno będą trzymali gęby na kłódkę. Listy będą na nich czekały, zanim się tu zjawią. Aha, i znajdź mi jeszcze Yairmana Uhlstyna. Jest mi potrzebny... a zresztą sam się przekona.

- Tak jest, sir! - rzucił kapral i pomknął korytarzem.

Gahrvai odprowadzał go przez moment wzrokiem, po czym wrócił do gabinetu, zasiadł za biurkiem, wyjął parę kartek z szuflady, zamoczył pióro i zaczął pisać.

\* \* \*

- O co znowu chodzi, Korynie? - marudził sir Rysel Gahrvai, wędrując do komnaty narad. - Właśnie szykowałem się na spoczynek, kiedy nagle u drzwi wyrósł jeden z twoich ludzi.

- Przepraszam, ojcze, że zakłóciłem ci rytm dnia, ale zaszły pewne okoliczności...

- A niech cię, przecież wiesz, jak nie cierpię tego określenia! - poskarżył się hrabia Skalnego Kowadła, zmierzając ku swemu miejscu za stołem. - Zwłaszcza że od dwóch lat bez przerwy zachodzą pewne okoliczności, i to zawsze w najmniej spodziewanym momencie!

Opadł na krzesło, odchylił się na oparcie i zmierzył wzrokiem najstarszego syna i żrenicę swego oka, aczkolwiek niezbyt przychylnie. Jego dostoyny i zaufany doradca, hrabia Tartarianu, zaśmiał się pod nosem, co hrabia Skalnego Kowadła również skwitował ciężkim spojrzeniem.

- Domyślam się, że coś cię bawi? - zapytał gniewnym tonem, choć w jego oczach czaiło się coś na kształt rozbawienia. - Ty być może przesiadujesz do późna, kładąc się spać o niehumanicznych porach, w przeciwieństwie do większości rozsądnych ludzi. Zatem najpewniej nawet jeszcze nie zjadłeś kolacji, kiedy dosięgła cię wiadomość od tego nicponia!

- Oczywiście, Ryselu - odrzekł łagodnie hrabia Tartarianu, wyraźnie chcąc załagodzić sytuację. - Masz absolutną rację. Czy zatem, skoro już dałeś upust nerwom, możemy przejść do rzeczy?

- Psuja - mruknął hrabia Skalnego Kowadła, lecz tak jak wszyscy przeniósł uwagę na syna. - No dobrze, Korynie - dodał już odmiennym tonem. - Powiedz nam wreszcie, o co chodzi.

- Sam także przed chwilą otrzymałem wiadomość, ojczy - zaczął Gahrvai. - Jedną z tych, o których wspominał *seijin* Merlin.

- Doprawdy? - Hrabia Skalnego Kowadła usiadł prosto i zmrużył oczy.

- Masz pewność, że wiadomość pochodzi od jednego z tajemniczych... pomocników Merlina, Korynie? - W głosie hrabiego Tartarianu dało się wyczuć wątpliwość i młody Gahrvai nie mógł się temu dziwić.

- Nie sądzę, aby ktokolwiek, kto nie jest *seijinem*, zdołał ją dostarczyć w sposób, w jaki ewidentnie została dostarczona - wzruszył ramionami Koryn. - List znalazłem tuż po powrocie z kolacji, leżał na moim biurku w gabinecie zamkniętym na cztery spusty. Jako że przechowuję tam różne bardzo ważne dokumenty, pomieszczenie jest pilnowane dzień i noc przez wzmocnione straże. Mimo to komuś udało się wejść do środka niepostrzeżenie. Nie twierdzą, że w wypadku osoby nie będącej *seijinem* byłoby to niemożliwe, lecz na pewno sprawiłoby komuś takiemu znaczną trudność. Poza tym Charlz - skinął głową w stronę Doyala siedzącego po przeciwnej stronie stołu i wczytującego się w list - uważa, że to nie fałszywka. Jak wiecie, sprawdziliśmy to i owo, odkąd Merlin poinformował nas o istnieniu tak zwanej Konspiracji Północy. Nie chcieliśmy jednak zrzucić tony ołowiu na palce żadnego z owych... pomocników *seijina*, więc poczynaliśmy sobie ostrożnie. Wszelako nic, co odkryliśmy, nie stoi w sprzeczności z treścią tego listu.

- Rozumiem. - Hrabia Tartarianu przeniósł wzrok na hrabiego Skalnego Kowadła. - Ryselu, co na to powiesz?

- Jeśli Koryn i Charlz ręczą, że list jest prawdziwy, nie zgłaszam zastrzeżeń do ich oceny. - Stary Gahrvai minę miał tak ponurą jak nigdy. - Prawdę powiedziawszy, bardzo mnie to cieszy. Chcę dorwać tych drani, Tarylu. I to jeszcze jak!

Koryn także przyglądał się twarzy ojca, rozmyślając, jak bardzo zmieniły się jego poglądy, odkąd wbrew własnej woli objął funkcję regenta pozostającego na wygnaniu księcia Daivyna. Hrabia Skalnego Kowadła nie był ani trochę szczęśliwszy z faktu zajęcia księstwa przez obcego najeźdźcę aniżeli pierwszy lepszy Corisandczyk, a w dodatku jako głównodowodzący armią księcia Hektora brał porażkę bardzo osobiście. Równocześnie jednak musiał przyznać, że Charisjanie jako okupanci zachowują się tylko na tyle represyjnie, na ile to było konieczne. Oraz - o czym młody Gahrvai wiedział, mimo iż jego ojciec nigdy nie powiedziałby tego na głos - hrabia Skalnego Kowadła (z wielką niechęcią, zmagając się z



samym sobą na każdym kroku) zaczął nabierać przekonania, że cesarz Cayleb i cesarzowa Sharleyan potrafią rządzić lepiej niż księżę Hektor.

*Och, ależ się zmagal! - zaśmiał się w duchu Koryn. Taka konstatacja naprawdę była mu nie w smak! Co chyba można zrozumieć... W końcu byli kuzynami, a poza tym Hektor tutaj, na miejscu, uważał, aby zanadto nie ściągać wodzy. Lecz przecież, tato, znałeś go lepiej niż większość ludzi, prawda? Wiedziałeś, jaki naprawdę jest, zwłaszcza gdy chodziło o wielką rozgrywkę. Podobnie jak od początku wiedziałeś, kto rozpętał konflikt między Corisandem i Charisem. Z całą pewnością nie był to Haarahld...*

A jednak sir Koryn Gahrvai nie nazwałby swego ojca partyzantem działającym na rzecz Charisu. Coś takiego nie mieściło mu się w głowie. Wszakże od czasu wizyty arcybiskupa Maikela hrabia Skalnego Kowadła przyznawał, że Charis robi co może, aby nie pogarszać sytuacji. Koryn podejrzewał też, że jego ojciec - choć jeszcze nie pogodził się z myślą, że jest poddanym Imperium Charisu - ku swemu wielkiemu zdziwieniu - stwierdził, że pozostaje w zgodzie z doktryną Kościoła Charisu i tymi wszystkimi Corisandczykami, którzy przejawiając reformatorskie zapędy, popierali ją całym sercem.

*Właśnie dlatego chcesz „dorwać tych drani”, tato, mówił dalej w myślach Koryn, czując przepelniającą go miłość do ojca. Nie ufasz im bardziej, niż jesteś w stanie splunąć pod wiatr. Wiesz, że ludzie tacy, jak hrabia Stromego Wzgórza, baron Barcoru i wielki księżę Zebediahu, ani myślą nie pogarszać sytuacji, patrzą za to, jak by tu polepszyć swoje położenie.*

- W swojej notce wspomniałeś, że zawiadamiasz również Chermyna? - upewnił się hrabia Skalnego Kowadła, a jego syn potaknął skinieniem głowy.

- To prawda, ojcze. - Wzruszył lekko ramionami. - Uczyniłem to dlatego, że taki miałem obowiązek, ale też dlatego, że moim zdaniem i tak by się dowiedział. - Uśmiechnął się krzywo. - Uznałem, że rozsądniej będzie zrobić to samemu. Został przeze mnie poinformowany o tym spotkaniu oraz o tym, że rada regencyjna przedstawi mu swoją decyzję.

- Taktowniś z ciebie - zauważył uszczypliwie hrabia Skalnego Kowadła, po czym zwrócił się do hrabiego Tartarianu. - Cóż, Tarylu, nie wydaje mi się, żeby zostało wiele do decydowania, jakkolwiek mój syn stara się przez grzeczność oszczędzić nam prawdy. Zresztą nie widzę powodu, by podrywać na nogi wszystkich członków rady. Sprawa taka jak ta leży w gestii Korony, którą reprezentuję jako regent. Poza tym, jak słusznie zauważył Koryn, mamy obowiązek o wszystkim informować Chermyna i współpracować z nim ściśle. - Skrzywił się. - Do tego dochodzą te wszystkie przysięgi, któreśmy razem z parlamentem

złożyli Caylebowi i Sharleyan. Zgadza się ze mną?

- Z zastrzeżeniem, że nikt w Syjonie nie uznaje owych przysięg za wiążące, owszem - rzekł spokojnie hrabia Tartarianu.

- Ha! - sarknął pogardliwie hrabia Skalnego Kowadła i pokręcił głową. - Oczywiście! Tylko, drogi Tarylu, tak się składa, że mam gdzieś Grupę Czworoga! Cały ten burdel wyniknął z winy tego jaszczurofila Clyntahna! Wielki inkwizytor czy nie, tak samo się przejmuję wolą Boga, jak ja jestem wielkim księciem Harchongu!

Młody Gahrvai zrobił wielkie oczy. Pomimo wcześniejszych przemyśleń na temat ewolucji przekonań swojego ojca nigdy jeszcze nie słyszał z jego ust tak jawnej deklaracji poparcia dla Kościoła Charisu i potępienia tego, co wyprawia obecne zwierzchnictwo Świątyni. Ale mimo że czuł z tego powodu zaskoczenie, chyba najbardziej go dziwiło, iż nie jest bynajmniej aż tak zaskoczony, jak teoretycznie powinien być.

Zerknął na hrabiego Tartarianu i poczuł, jak jego zdziwienie rośnie, albowiem ów uśmiechał się do hrabiego Skalnego Kowadła!

- Trochę ci zajęło poukładanie wszystkich klocków, co, Ryselu?

- Jego matka - kciukiem pokazał na syna - zawsze utrzymywała, że nie jestem zbyt lotny. Mimo to wspomnisz moje słowa, Tarylu: prędzej piekło zamarznie, niż ktoś taki jak wielki wikariusz Erek czy ten pałający żądzą krwi dupek Clyntahn wściubi nos do Corisandu. Sądziś, że oni przejmują się tym, co tutaj się dzieje?

- Oczywiście, że nie - zgodził się hrabia Tartarianu. - Nigdy tak nie sądziłem. Ale też nie myślałem, że da się to zmienić.

- Cóż, ja również - przyznał hrabia Skalnego Kowadła. - Nawet wtedy, gdy Cayleb przypląnął tu do nas aż z Charisu i spuścił nam łomot. Reformy religijne? Smocze bzdety! Stara dobra polityka ekspansji w nowym przebraniu, oto co sobie myślałem. Wciąż nie do końca jestem skłonny porzucić tę interpretację faktów...

- Jest jednak arcybiskup Maikel, czy tak? - dopowiedział za niego hrabia Tartarianu cichym głosem, a Rysel Gahrvai pokiwał głową.

- Jest arcybiskup Maikel i są księża tacy jak ojciec Tymahn, no i są działający z zimną krwią dranie, tacy jak Zhaspyr Clyntahn, którzy mordują dzieci i usprawiedliwiają to wolą bożą!... - Przez moment mięsień drgał na szczęce hrabiego Skalnego Kowadła jak szalony i przestał dopiero, gdy mężczyzna zacisnął powieki i odetchnął parę razy głęboko, biorąc się w garść. Kiedy otworzył oczy, twarz miał znowu gładką, a na jego wargach błąkał się łobuzerski uśmiezek. - Nie uważam, by Cayleb Ahrmahk był archaniołem Langhorne'em, który wrócił w chwale i glorii, niemniej jestem zdania, że to roztropny młody człowiek, który robi co może

w zaistniałej paskudnej sytuacji. Młody władca, który odmówił pokazania brzucha i wystawienia gardła, gdy Grupa Czwojga rzuciła się na jego królestwo, by je zniszczyć. Uważam też, że Clyntahn i jego Inkwizycja całkowicie się odsłonili. Dlatego powiem wam otwarcie: sprzymierzę się z każdym, kto stąpa po Schronieniu i nie ma konszachtów z Shanwei, byle skutecznie stawić czoło tym draniom!

## .II.

**TELITHA**

**ZATOKA TELITHA**

**HRABSTWO BURZOWEJ WAROWNI**

**CORISAND**

Mało kto zwracał uwagę na dwa kupieckie galeony zakotwiczone na wodach zatoki z dala od nabrzeży Telithy. Oba przybyły tutaj osobno, jeden pod banderą niezbyt szanowanej manchyrskiej kompanii handlowej, drugi pod chisholmską. Zakotwiczyły kilkaset jardów od siebie, a potem ich załogi zajęły się własnymi sprawami, czekając na podejście do nabrzeża i wyładowanie towarów.

Na ich pokładach nie było widać oznak zamieszania, a kapitanowie nie robili nic, co wskazywałoby, że chcą się jak najszybciej pozbyć ładunków, lecz gdyby nawet tak było, nikt w Telicie nie zwróciłby na to uwagi. W porcie nie było bowiem nikogo, kto interesował się przybywającymi statkami. Nieliczni ludzie kręcący się po pirsach spoglądali co najwyżej na wolno ciemniejące niebo. Tu i ówdzie zapalano już latarnie, ale światłom tym daleko było do iluminacji Tellesbergu, Cherayth czy nawet Manchyru. Tutejsze światła kojarzyć się mogły raczej z konstelacjami gwiazd na czarnym nieboskłonie. Wydawały się przy tym jaśniejsze, niż powinny, gdyż tej nocy na mrocznym firmamencie nie było nawet śladu księżyca.

Mrok gęstniał z każdą chwilą. Wkrótce galeony były już tylko ciemniejszymi plamami na tle jaśniejszej o kilka odcieni powierzchni wody. Na niebie pojawiły się gwiazdy, jednakże ich odbicia szybko zniknęły z oleistej toni. Ze wschodu napłynęły bowiem gęste chmury.

\* \* \*

*To niedorzeczne, pomyślał sir Gahrvai, stając na pokładzie rufowym jednego ze wspomnianych galeonów, by spojrzeć na zbitą ławę obłoków pożerających kolejne gwiazdy. Jestem w stanie uwierzyć w seijinów, a po wysłuchaniu tyrady ojca na temat nawrócenia*

*mogę przyjąć za pewnik, że Bóg stoi po stronie arcybiskupa Maikela. Ale to jeszcze nie znaczy, że popiera także Cayleba! Tylko jak w takim razie seijinowie załatwiliby nam taką pogodę? Wygląda na to, że nawet archaniołowie przychodzą im z pomocą!*

Wnioski wysnuwane w tym momencie przez sir Koryna były całkiem rozsądne, zwłaszcza jeśli zważyć na towarzyszące temu okoliczności. Gahrvai nie miał jednak pojęcia o istnieniu SAPK-ów czy sztucznej inteligencji zwanej Sową, nie mówiąc już o czymś takim jak prognozy meteorologiczne. Nie mieściło mu się też w głowie, że Merlin Athrawes, znajdując się tysiące mil od jego domu, potrafił wysłać jedną z platform zwiadowczych Sowy do dostarczenia listu w takim terminie, by sir Koryn i jego ludzie mogli dotrzeć na czas do celu.

Szczerze mówiąc, Merlin mierzył w przedział czasowy liczący całe cztery dni. Był nawet przygotowany na ewentualność większego opóźnienia ze względu na niepomyślne wiatry, złą pogodę, a nawet prawa Murphy'ego. Okazało się jednak, że Gahrvai - oraz Hauwyl Chermyn - zaskoczyli go szybkością działania. A po drodze z Manchyru sprzyjały im także wiatry.

Dzięki nim sir Koryn Gahrvai mógł teraz patrzeć na odbijające od galeonów szalupy - większe i liczniejsze niż te, którymi dysponują zazwyczaj jednostki handlowe - i znikające w ciemnościach gęstszych niż smoła. Był pewien, że jego ludzie poradziliby sobie także w innych warunkach atmosferycznych, lecz nie zamierzał zaglądać darowanemu smokowi w zęby, skoro Bóg uznał, że wspomógł jego misję, zsyłając chmury.

Mimo że nie miał pojęcia, jakim cudem *seijin* zdołał je tu ściągnąć.

Teraz czekał już tylko na pierwszą falę żołnierzy piechoty morskiej i charisjańskich strażników, którzy siedzieli w kompletnej ciszy w ładowniach, a teraz byli gotowi do przejścia na zwodowane szalupy. Na oba galeony zaokrętowano prawie tysiąc ludzi, więc nawet po zabranii większej liczby łodzi nie było szans na to, by przewieźć ich wszystkich za jednym zamachem. Na szczęście dzięki przestudiowaniu dokładnych map portu - które nawiasem mówiąc, także zostały dołączone do tajemniczego listu - Gahrvai i major Danyel Portyr, dowódca pierwszego batalionu z trzeciego regimentu piechoty morskiej, znaleźli kilka miejsc na przeprowadzenie desantu pierwszej fali.

Gahrvai odczekał, aż ostatni z żołnierzy zniknie z pokładu, a potem sam przerzucił nogi przez burtę, by ruszyć w dół. Schodził po drabince sznurowej do chwili, gdy czekający w dole Yairman Uhlstyn naprowadził jego stopę na jedną z ław szalupy. Stojąc na niej, sir Koryn mógł spokojnie puścić linę.

- Dobrze - wyszeptał. - Ruszajmy.

\* \* \*

Obsady czterech łodzi wiosłowały niemal bezgłośnie przez zatokę Telith.

Światła miasta były wystarczającymi znakami nawigacyjnymi dla doświadczonych sterników cesarskiej marynarki. W rzeczywistości mieli oni mniej problemu z dotarciem do wyznaczonych punktów na brzegu niż z utrzymywaniem wystarczająco dużej odległości od zakotwiczonych na redzie galeonów. Ani Gahrvai, ani Portyr nie chcieli bowiem, by jakiś przypadkowy marynarz podniósł alarm, dostrzegłszy łodzie pełne żołnierzy.

Nic takiego nie miało jednak miejsca i szalupa z sir Korynem na pokładzie dobiła wkrótce cicho do jednego ze starych i mocno już podniszczonych pirsów. Właśnie trwał odpływ, więc Gahrvai ucieszył się, gdy zauważył, że dane zawarte w liście tajemniczego *seijina* są stuprocentowo zgodne z rzeczywistością. Cofające się morze odsłoniło spore wgłębienie w skałach. Nisza był tak duża, że bez trudu mogła pomieścić dwa razy tyle ludzi, niż miał teraz ze sobą sir Koryn. Przewiezieni żołnierze ukryli się szybko w czarnym jak smoła mroku pod starym pirsem. Pasażerowie dwóch pierwszych szalup - czyli cała kompania strażników w pełnym rynsztunku, z dokładnie zamkniętymi latarniami - zdążyli zejść na brzeg, zanim sir Gahrvai postawił na nim stopę.

Sir Koryn spędził dłuższą chwilę, sprawdzając, czy wybrana kryjówka rzeczywiście nada się do ich celów, a potem skinął głową starszemu z czterech sterników.

- Jest dobrze - powiedział, zniżając głos. - Płynicie po następny rzut.

- Aye, sir.

Gahrvai zauważył, że odpowiadający mu mat ma chisholmski akcent. Sternik, zanim ruszył się z miejsca, posłał długie, uważne spojrzenie w stronę wody.

- Przyptyw rozpocznie się za jakieś pół godziny, generale - stwierdził. - A droga tam i z powrotem zajmie nam dwa razy tyle. Pan i pańscy chłopcy zamoczycie nogi, zanim się tu znowu pojawimy.

- Jak mus, to mus. - Gahrvai wzruszył ramionami. - Dobrze - dodał, patrząc na filary starego pomostu i pierścienie porastających go małży i alg - że woda nie powinna nam sięgać wyżej niż do kolan, nawet gdy osiągnie najwyższy stan. Aczkolwiek bylibyśmy wdzięczni za jak najszybszy powrót z drugim rzutem.

- Oczywiście, sir. - Sternik zaśmiał się pod nosem. - Postaramy się.

- Świetnie. - Gahrvai wyszczerzył w uśmiechu zęby tak białe, że bijącą od nich poświatę dało się zauważyć nawet tutaj, w głębokim mroku pod pirsem. Klepinięciem ponaglił podwładnego. - W drogę.

\* \* \*

Wyliczenia sternika okazały się niesamowicie trafne. Ten rodzaj precyzji można było osiągnąć dopiero po dwudziestu kilku latach służby na morzu.

Gdy cztery łodzie ponownie przybiły do brzegu, woda sięgała przyczajonym żołnierzom do kostek, ale to wystarczyło, by uzmysłowić wszystkim, że buty strażników nie są tak wodoodporne, jak ich zapewniano. Gahrvai także poczuł wodę obmywającą mu palce - wydawało się nawet, że zawirowania powstające w wyniku tworzenia się niskiej fali sięgają także do wnętrza jego oficerek. Nie było to najprzyjemniejsze uczucie. Z drugiej jednak strony potrafił sobie przypomnieć kilka innych, znacznie gorszych.

- Kapitan kazał panu powtórzyć, generale, że ludzie majora Portyra także wylądowali bez problemów - zameldował zniżonym głosem chisholmski sternik, gdy nowo przybyli strażnicy opuszczali łódź. - Drugi rzut dotrze do niego za jakiś kwadrans.

- Świetnie - powtórzył Gahrvai, sprawdzając, jak major Naiklos (który po rajdzie w Manchyrze awansował i został dowódcą batalionu) i Uhlstyn radzą sobie z organizowaniem kolejnej fazy ataku. Zastanawiał się nad informacją przekazaną przez sternika, przypominając sobie jednocześnie mapę okolic portu, także dołączoną do listu. Porównał odległość dzielącą jego aktualną pozycję od celu. Potem obliczył, ile czasu będzie potrzebował Portyr, by uporać się ze swoim podstawowym zadaniem. Dodał do tego kwadrans poślizgu i...

- Dobrze, Frahnk - rzucił półgłosem, zbliżając usta na niewielką odległość od ucha Naiklosa. - Możemy ruszać. Zwiadowcy sprawdzili teren?

- Tak jest - odparł Naiklos równie cicho i uśmiechnął się pod nosem. - To fachowcy, sir. Yairman osobiście ich wybrał.

- Tego się obawiałem - mruknął sir Koryn, spoglądając z wyrzutem na swojego adiutanta. - Daj mu palec, a odgryzie całą rękę, majorze. Ten człowiek nie zna swojego miejsca w szeregu.

- Przecież to nieprawda, sir - zaprotestował Uhlstyn. - Zna doskonale swoje miejsce. Jest tutaj. - Wskazał na wodę w odległości niespełna dwóch stóp od miejsca, w którym stał Gahrvai. - A co do reszty tego stwierdzenia, cóż... - Wzruszył ramionami z pewnością charakterystyczną dla oprycha służącego od lat swojemu panu, na co sir Koryn pokręcił tylko głową.

- Dobrze, majorze - powiedział zrezygnowanym tonem. - Skoro Yairman ręczy głową za nieomylność zwiadowców, możemy ruszać.

\* \* \*

Zwiadowcy majora Naiklosa okazali się znakomitymi fachowcami. Wcześniej mieli okazję zapoznać się z mapą, którą otrzymał sir Koryn z listem. Na ich kopii nie było rzecz

jasna szczegółów, których istnienie trudno byłoby im wytłumaczyć, ale to, co zostało, wystarczało w zupełności do zapoznania się z terenami wokół portu. Ludzie Gahrvaia posuwali się naprzód w cieniu wielkich składów, omijając blask latarni wiszących przed wciąż czynnymi tawernami. Zwiadowcy znajdowali się w wystarczającej odległości przed nimi, wyszukując przypadkowych przechodniów, którzy mogliby zauważyć niemal trzystuosobowy oddział zbrojnych przemierzający ciche ulice Telithy.

Nieliczne dziwki i inni ludzie, którzy mieli to nieszczęście, że trafili na patrole sir Koryna, otrzymywali „zaproszenie” do wspólnej wędrówki ze zbrojnymi, i szli za oddziałem pełni obaw. Mimo uprzejmości, z jaką proponowano im nocną wycieczkę, żaden z zatrzymanych nie pisnął nawet słowa ani nie wszczął alarmu. Zacięte miny strażników mówiły same za siebie. Zatrzymani nie mieli pojęcia, co też może sprowadzać strażników Gahrvaia do ich miasta, lecz nie pytali, uznając, że to nie ich sprawa.

Mimo dokładności planów oraz doświadczenia zwiadowców Naiklosa i Uhlstyna sir Koryn był mocno zdziwiony, gdy oddziały dotarły do wyznaczonych celów, nie powodując ani jednego alarmu. Oprócz kilku psów, które wyczuły obecność obcych - i garstki mieszkańców schwytanych po drodze - nikt w mieście nie zauważył tej inwazji.

*A to wiele mówi o stanie czujności miejscowych straży, pomyślał Gahrvai. Aczkolwiek nie mam zamiaru narzekać na to... przynajmniej tej nocy. Ale na Langhorne'a! Wiem, że zabezpieczyliśmy się na każdą okoliczność, lecz te pajace nie zauważyłyby nas nawet wtedy, gdybyśmy paradowali środkiem traktu przy pochodniach i dźwiękach tarabanów!*

Z drugiej jednak strony domyślał się, że hrabia Burzowej Warowni i jego kamraci skutecznie zniechęcali straż grodu do patrzenia tam, gdzie nie trzeba.

*Zapewne nie jesteśmy pierwszym oddziałem zbrojnych, który przemyka się tędy nocą. Jeśli nasz przyjaciel pisał prawdę, spiskowcy działają od tak dawna, że niejedna grupa ich zwolenników musiała przybyć do Talithy po broń z tutejszych składów. To by tłumaczyło, dlaczego miejscowi robią, co mogą, by nas nie widzieć.*

Na tę myśl poczuł zadowolenie z powodu zabrania dziesięciu transportowców i pięciu eskortujących je galeonów, które znajdowały się w tym momencie około pięciu mil od portu. Kiedy układał plany, liczył na nieco mocniejsze wiatry, niewykluczone więc, że cały regiment cesarskiej piechoty morskiej i dodatkowe oddziały strażników dotrą do portu nieco później, niż to było ustalone.

*Niemniej jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie będziemy potrzebowali wsparcia z ich strony, pocieszał sam siebie, starając się jednocześnie nie myśleć o tym, jak bardzo pojemne bywa słowo „wszystko”.*

Wiele by teraz dał za wiedzę o poczynaniach Portyra, choć zgranie w czasie nie było najważniejszym elementem ich planu. Zadanie Portyra było równie istotne jak to, które miał wykonać sir Koryn. Tyle że Charisjanin atakował niemal puste zabudowania - w każdym razie takie powinny być, zważywszy na późną porę - a Gahrvai uderzał na dwór pełen ludzi. Zadanie pojmania hrabiego i jego świty zlecono wyłącznie Corisandczykom, aby nie zaognić sytuacji.

Sir Koryn wyjrzał zza rogu na otoczony murem pałacyk. Siedziba hrabiego, podobnie jak to miasto, została wzniesiona całkiem niedawno - nie dalej jak pięćdziesiąt lat temu - i nie przypominała w niczym zabytkowych fortyfikacji, w jakich mieszkał choćby baron Larchrosu albo hrabia Stromege Wzgórza. Było tu wiele drzwi i okien, których nie strzegły żadne umocnienia. Mur otaczający siedzibę hrabiego mierzył siedem, najwyżej osiem stóp i służył raczej ochronie prywatności niż zapewnieniu bezpieczeństwa. Mógł jednak opóźnić działania intruzów, zwłaszcza gdyby ktoś przebywający za nim spodziewał się ich przybycia.

Jeśli wierzyć autorowi tajemniczego listu, hrabia miał na terenie swojej miejskiej rezydencji zaledwie kilka tuzinów uzbrojonych gwardzistów. Telitha była jego stolicą, ale nawet tutaj nie mógł prowadzić zbyt otwartej działalności wywrotowej. Z drugiej strony, każdy zbrojny przebywający w tym momencie na terenie jego siedziby musiał wiedzieć o planach hrabiego i w pełni je popierać. A co za tym idzie, istniało spore prawdopodobieństwo, że ludzie ci stawiają zacięty opór... zwłaszcza jeśli nie rozumieją, jak wielką przewagą liczebną dysponuje ich przeciwnik. Każde dodatkowe opóźnienie w zatrzaśnięciu pułapki może dać szansę na wymknięcie się z niej najgrubszych ryb.

- Majorze, wyślijcie drugą kompanię na pozycje wyjściowe - wyszeptał sir Koryn do Naiklosa i zaraz usłyszał, jak ludzie przekazują sobie szeptem ten rozkaz.

Kilka chwil później wyznaczona kompania opuściła dotychczasową kryjówkę, zachowując zadowolającą ciszę, a generał mógł odetchnąć i cofnąć się w cień, by czekać dalej. Dał drugiej kompanii wystarczająco dużo czasu na zajęcie pozycji wyjściowych w przylegającym do tyłów rezydencji rozległym parku, a potem poczekał drugie tyle, na wszelki wypadek. Dopiero wtedy odwrócił się do Naiklosa i skinął głową.

- Ruszaj - powiedział.

\* \* \*

Pierwszym sygnałem świadczącym o tym, że ktoś obcy wtargnął do rezydencji hrabiego Burzowej Warowni, był łomot ciężkich butów o bruk. Nic więc dziwnego, że mieszkańcy dworku potrzebowali kilku chwil, by rozpoznać ten dźwięk i zrozumieć, co może oznaczać, zwłaszcza że atak rozpoczął się niespodziewanie, i to w dodatku w samym środku



najciemniejszej nocy miesiąca. Dwójka strażników pilnujących bramy głównej była czujna, ale nie spodziewała się czegoś takiego jak frontalny atak dużego oddziału zbrojnych w sercu stolicy hrabstwa. Sam pomysł wydawał się niedorzeczny! Więc nawet gdy już zrozumieli, co oznaczają hałasy, które słyszą, nadal nie potrafili w to uwierzyć. Musiało przecież istnieć jakieś inne wytłumaczenie!

Na ich nieszczęście nie istniało. A ludzie sir Koryna dostali bardzo dokładne instrukcje. Nikt nie miał prawa podnieść alarmu. W efekcie obaj gwardziści zostali zneutralizowani z maksymalną skutecznością, przy minimalnej delikatności, zanim zdążyli zrozumieć, o co tak naprawdę tu chodzi. Strażnicy nie mieli zamiaru ich zabijać, lecz bardziej poturbowany wartownik odzyskał przytomność dopiero na drugi dzień.

Gdy strażnicy przy bramie padli pod ciosami kolb muszkietów, większa część oddziału sir Gahrvaia wpadła na dziedziniec dworku; wprawdzie zrobiło się niewielkie zamieszanie podczas pokonywania wąskiego przejścia w murze, lecz ludzie doskonale wiedzieli, co mają robić. To był ten sam oddział, który dokonał zatrzymania Aidryna Waimyna. Od tamtej pory jego członkowie stali się ekspertami od dokonywania nocnych rajdów na domostwa i klasztory, a tej nocy mieli o wiele dokładniejsze wytyczne niż za pierwszym razem. Tuż za bramą sierżanci rozdzielili ich szybko, kierując pojedynczo bądź grupkami do wyznaczonych celów.

\* \* \*

Biskup egzekutor z zadowoleniem przyjął zaproszenie hrabiego Burzowej Warowni do odwiedzenia Telithy. Mimo bezpieczeństwa, jakie zapewniały mu grube mury domu hrabiego Stromeego Wzgórza, w przestronnym pałacyku czuł się znacznie swobodniej. Nigdy nie pozwalał sobie na dłuższy postój w jednym miejscu, gdyż to groziło rozpoznaniem jego dość znanej przecież twarzy bez względu na to, jak by dbano o zabezpieczenie kolejnej kryjówki.

Hrabia Stromeego Wzgórza protestował, mówiąc, że rozsądniej byłoby znaleźć jedno naprawdę bezpieczne schronienie - a takim najwyraźniej wydawało mu się Vahlainah - i tam przeczekać najgorsze. Jeśli biskup nie będzie musiał opuszczać kryjówki, przekonywał hrabia, szanse na rozpoznanie jego twarzy spadną do zera.

Shylair rozumiał punkt widzenia hrabiego, ale miał co najmniej cztery powody, by się z nim nie zgadzać. Po pierwsze, gdyby ustanowił taką siedzibę, musiałby przyjmować w niej niekończące się pochody posłańców i gości. To było konieczne, jeśli chciał utrzymać w miarę stały kontakt z pozostałymi lojalistami Świątyni. A taki wzmożony ruch zwróciłby prędzej czy później czyjąś uwagę, więc zostałby narażony na niebezpieczeństwo nawet bez

bezpośredniego wykrycia. Po drugie, nie potrafił usiedzieć w tych samych apartamentach, bez względu na ich przepych, przez niekończące się miesiące. Musiał czuć przestrzeń, oddychać pełną piersią, a podróżowanie - z zachowaniem stosownych środków bezpieczeństwa - pomiędzy siedzibami kolejnych wielmożów biorących udział w spisku było na to najlepszym sposobem. Po trzecie, nie ufał ludziom, z którymi nie miał bezpośredniego kontaktu. Chciał ich widzieć, patrzeć im prosto w oczy, słuchać pewności w głosie, a poza tym bezpieczniej było, gdy pojedynczy człowiek - w tym wypadku dwóch, jako że podróżował ze swoim sekretarzem - przemieszcza się pomiędzy wieloma ludźmi, niż gdy oni wszyscy przybywają do niego.

Po czwarte wreszcie - aczkolwiek nie był przygotowany na dyskusowanie o tym akurat szczególnie ze swoimi świeckimi sprzymierzeńcami - nie miał absolutnej pewności co do motywów kierujących hrabią Stromeego Wzgórza. Szczerze mówiąc, powątpiewał w altruizm wszystkich konspiratorów. I dlatego wolał nie zdawać się wyłącznie na jednego z nich, żeby nie zyskali nad nim pełniejszej kontroli.

Nie wszyscy podzielali jego opinię na ten temat, aczkolwiek spiskowcy niewiele mogli narzucić swojemu biskupowi. Shylair podejrzewał, że dobrze o tym wiedzą, ustalił więc harmonogram swoich wizyt w taki sposób, by uznali jego ruch za kompromisowy. Dopóki nie został zatrzymany w jednym miejscu, nie czuł się kontrolowany.

Wszakże ze wszystkich dworów i pałaców, w których gościł po ucieczce z Manchyru, najlepiej czuł się właśnie u hrabiego Burzowej Warowni. Była to najnowsza i najnowocześniejsza z siedzib, a apartamenty, które mu przydzielono, miały urokliwy widok na plażę. No i ten klimat, w jakim można się było zakochać. Kojący szum fal pozwalał mu szybko zasypiać. I biskup spał mocno i smacznie, gdy ludzie sir Koryna posyłali do krainy snów strażników pilnujących głównego wejścia.

Trzy minuty później ktoś brutalnie zakłócił zasłużony odpoczynek hierarchy.

\* \* \*

Sahlahmn Traigair, hrabia Burzowej Warowni, spał spokojnie obok własnej żony, chrapiąc głośno, gdy ktoś wpadł do jego sypialni.

Na nieszczęście dworek, który dla niego wzniesiono, choć nie był fortecą, miał mimo wszystko grube mury. Postawiono je celowo, by tłumiły hałasy dobiegające z pobliskich ulic, zwłaszcza w części mieszczącej sypialnię i apartamenty pana domu. Z tego też powodu tupot wielu nóg na dziedzińcu nie był w stanie go zbudzić. Wprawdzie zaspany hrabia coś tam usłyszał, ale jego mózg pracował zbyt opieszale, by zidentyfikować dziwne dźwięki. Nic więc dziwnego, że zbudził się przerażony, gdy drzwi jego sypialni otworzyły się z hukiem.

Usiadł momentalnie na łożu, zanim jego żona zdążyła krzyknąć i ukryć się pod kołdrą.

- Co, u lich...?! - wydarł się na cały głos.

- Hrabio Burzowej Warowni - przerwał mu ktoś mówiący o wiele spokojniej - aresztuję cię pod zarzutem zdrady i spiskowania przeciw Koronie.

Hrabia Burzowej Warowni zamarł z na wpółotwartymi ustami, gdy dotarło do niego, kto wypowiedział te słowa. Nagły przyływ adrenaliny rozbudził go w okamgnieniu, lecz mózg wciąż pozostawał w okowach szoku. Nie potrafił zebrać myśli, które śmigaly tam i z powrotem jak stopy człowieka próbującego ustać na gładkim lodzie. Zmrużył oczy przed blaskiem trzech skierowanych na niego latarni, a gdy zaczął szukać wzrokiem sir Gahrvaia, dostrzegł pół tuzina strażników i błyski odbijające się od bagnatów na ich broni.

\* \* \*

Biskup egzekutor Thomys był właśnie w samym środku miłego snu, zainspirowanego szumem fal docierającym do jego uszu: leżał właśnie na plaży w pobliżu Manchyru, na piasku rozgrzanym promieniami słońca, gdy nagle... drzwi jego apartamentu ustąpiły z hukiem. Był większym śpiochem niż hrabia, więc usiadł na łożu, mrużąc oczy przed ostrym światłem, zaskoczony i zbyt oszołomiony, by się bać.

- Co...? - powiedział niewyraźnie.

- Thomysie Shylairze - powiedział ktoś i biskup mimo zaspania zrozumiał, że człowiek ten celowo nie wymienia jego eklezjastycznych tytułów. - Aresztuję cię pod zarzutem zdrady i spiskowania przeciw Koronie.

### .III.

#### **PALAC KRÓLEWSKI**

#### **TELLESBERG**

#### **STARY CHARIS**

- Zatem wszystko poszło dobrze, tak? - zapytał sir Rayjhis Yowance.

- Tak, mój panie. Bardzo dobrze - odpowiedział z uśmiechem Merlin Athrawes.

Znajdowali się tylko we dwóch w gabinecie hrabiego Szarej Zatoki mieszczącym się w pałacu w Tellesbergu. Merlin, wbrew uśmiechowi na twarzy, w głębi ducha czuł żal, że hrabia nie zna całej prawdy. Wiedział, że podobne zdanie na ten temat mają Cayleb i Sharleyan, których to samo trapiło także w związku z baronem Zielonego Wzgórza. Nie

chodziło wyłącznie o to, że ukrywanie prawdy przed dwoma najzdolniejszymi doradcami uniemożliwiało wykorzystanie w pełni ich zdolności. Zarówno parę cesarską, jak i Merlina martwiło to, że działają za plecami osób, które uważają za swoich przyjaciół. Powierników. A w wypadku barona Zielonego Wzgórza wręcz krewniaków - albowiem przynajmniej Sharleyan miała Yowance'a za drugiego ojca.

Dlatego Merlina cieszyło, że hrabia Szarej Zatoki jest świadom „wizji” *seijina*. I że w miarę bezboleśnie zaakceptował fakt, że na Schronieniu są rozsiani inni *seijinowie*. Przyjął nawet do wiadomości wyjaśnienia Merlina - wyjaśnienia nie mijające się z prawdą - że wszyscy *seijinowie* są członkami organizacji, która pozostawała w ukryciu przez wiele lat (uznał, że można tak określić prawie milenium i że nazywanie Sowy i siebie samego, z rozlicznymi ostatnio wcieleniami, „organizacją” nie jest zbyt rażącym nadużyciem), aż w końcu zaczęła działać, gdy nadeszła sposobność ukrócenia korupcji Kościoła Matki. Naturalnie nikt nie twierdził, że od *sejinów* się roi, ale przynajmniej ich tajemnicze istnienie tłumaczyło w oczach hrabiego nagle objawiony głos zdrowego rozsądku w korespondencji króla Gorjaha.

Yowance był również gotów założyć, że Merlin i jego wspólnicy w Corisandzie są w stanie powiedzieć hrabiemu Skalnego Kowadła i wicekrólowi generałowi Chermynowi, kiedy jest najlepsza pora do wystąpienia przeciwko Konspiracji Północy. Wreszcie nie miał żadnych problemów z tym, że Merlin dzięki jednej ze swoich „wizji” odkrył, że wszystko przebiegło zgodnie z planem.

*Cieszę się z tego, pomyślał Merlin, uśmiechając się szerzej do doradcy. I to nie tylko dlatego, że będziemy mogli zasięgać jego rady w sprawach Corisandu i Tarota. Po prostu bardzo go lubię i dobrze się czuję, zachowując się w stosunku do niego uczciwie.*

- Czyli chyba złapali hrabiego Burzowej Warowni i Shylaira - domyślił się hrabia Szarej Zatoki, odchylając się na oparcie krzesła i również rozciągając wargi w uśmiechu. Co więcej, zatarł z radości ręce, co Merlin skwitował krótkim wybuchem śmiechu.

- Gahrvai i jego ludzie mają ich w swojej pieczy - potwierdził przypuszczenia Yowance'a. - Moim zdaniem słusznie uznali z Hauwylem, że to on powinien dokonać większości aresztowań, szczególnie prominentnych postaci. Taki układ daje poplecznikom hrabiego Burzowej Warowni mniej argumentów przeciwko rzekomym „charisjańskim represjonistom”. Oczywiście bardzo im pomogło to, że mieli listę nazwisk najważniejszych przeciwników. - Jego uśmiech zamienił się w paskudny grymas. - Wyłapali więc wszystkich już przy pierwszym uderzeniu.

- A co z uzbrojeniem?

- Major Portyr zabezpieczył zbrojownie bez oddania jednego strzału, zresztą jak się okazało, strzelby wciąż znajdowały się w kontenerach wysłanych z Zebediahu... opisanych, nawiasem mówiąc, jako „sprzęt rolniczy”. Zadziwiające, że ta nieścisłość nie zwróciła uwagi żadnego celnika ani w miejscu nadania, ani w porcie docelowym.

- Cóż za nieszczęśliwy zbieg okoliczności - przyznał hrabia Szarej Zatoki, uśmiechając się nie mniej paskudnie.

*Och, faktycznie nieszczęśliwy, i to pod wieloma względami, szczególnie dla strony pozostającej w Zebediahu, pomyślał Merlin raczej radośnie. Listy przewozowe, korespondencja wielkiego księcia z hrabiami Stromeo Wzgórza i Swayle, no i ten nieszczęsny problem z numerami seryjnymi.*

Jedyny problem polegał na tym, że główny dowód w sprawie przemytu broni wciąż spoczywał w sejfie hrabiego Stromeo Wzgórza na terenie jego warowni w Vahlainah, a ta znajdowała się tak daleko w głębi lądu, że atak z zaskoczenia nie wchodził w grę. A skoro tak, Cayleb i Sharleyan uznali, że ważniejsze jest przejęcie transportu broni, zanim zostanie on podzielony i rozdystrybuowany, zwłaszcza że za jednym zamachem mogli schwytać także Shylaira. Zdawali sobie przy tym sprawę z tego, że hrabia Stromeo Wzgórza dowie się o akcji w dworku z takim wyprzedzeniem, iż zdąży zniszczyć wszystkie obciążające go dowody, zanim sam zostanie aresztowany, uznali jednak, że muszą się z tym pogodzić, i to z kilku powodów.

Pierwszym była konieczność schwywania Shylaira i zabezpieczenie skradzionej broni, a drugim fakt, że list przetrzymywany przez hrabiego nie był konieczny do udowodnienia winy wielkiemu księciu Zebediahu.

Ehdwyrd Howsmyn wprowadził w swoich licznych manufakturach nowy zwyczaj polegający na przydzielaniu kolejnym egzemplarzom numerów seryjnych. Ludzie byli przyzwyczajeni do tego, że broń - na przykład kusze - albo jej części - jak choćby zamki do muszkietów - noszą znak producenta. To samo dotyczyło zresztą dział. Howsmyn jednak (za radą *seijina* Merlina) zaczął wybijać numery seryjne na lufach muszkietów, klingach mieczy, napierśnikach i armatach. Potem rozszerzył tę praktykę na wszystkie produkty swoich manufaktur.

Zastosowanie tego typu oznaczeń było niemożliwe, dopóki Merlin nie wprowadził do użytku cyfr arabskich... co po części tłumaczyło, dlaczego żaden z przemysłowców nie poszedł wcześniej w tym kierunku i dlaczego żaden z nich nie mógł śledzić losów swoich produktów po opuszczeniu manufaktury. Dzisiaj jednak, po tym jak metoda ta rozpowszechniła się w wojsku cesarstwa, podchwyciły ją także firmy cywilne, aczkolwiek

mieszkańcy innych domen, tacy jak choćby hrabia Swayle czy wielki książę Zebediahu, nie mieli bladego pojęcia o tym, co można dzięki niej osiągnąć. A tymczasem każdy oskarżyciel mógł dzięki tym numerom udowodnić przed sądem, że rzeczony egzemplarz broni, zanim dotarł do celu, przeszedł przez ręce najpierw hrabiego, a potem wielkiego księcia.

*Nie będziemy musieli przedstawiać żadnych listów z obietnicami, ponieważ posiadamy już wystarczającą liczbę dowodów, by postawić ich przed sądem, pomyślał Merlin z ogromną satysfakcją. Dlatego nie ma większego znaczenia, czy hrabia Stromego Wzgórza spali oryginały wszystkich dokumentów. I tak mam już wierne kopie każdego z nich, z kleksami włącznie, i nie sądzę, by Cayleb, Sharleyan albo Maikel zaprotestowali głośno, gdybym chciał je przedstawić, twierdząc, że to oryginały. Hrabia nie spróbuje przecież podważać ich autentyczności, bo jak niby miałby to zrobić? Stwierdzi, że to falsyfikaty, ponieważ spalił je osobiście, zanim go schwytano?*

- Możemy uznać, że podejrzliwość Cayleba bardzo nam się opłaciła - stwierdził na głos, na co hrabia Szarej Zatoki zareagował śmiechem.

- Jego wysokość zawsze był cwany chłopcem - przyznał pierwszy doradca dworu, przypominając sobie raport Merlina dotyczący jego rozmowy z cesarzem na pokładzie HMS *Cesarzowa Charisu* zakotwiczonego na wodach Zatoki Hanny.

- Doprawdy? Ciekawe zatem, kto go nauczył tej podejrzliwości? - zakpił *seijin*.

- Tego nie wiem - odparł niewinnym tonem hrabia Szarej Zatoki.

- Jakżeby inaczej. - Merlin pokręcił głową i zaraz spoważniał. - Zastanawiam się, kogo Sharleyan i Cayleb osadzą na tronie Zebediahu, skoro dotychczasowy wielki książę okazał się niegodny zaufania i po usunięciu ze stanowiska stanie przed sądem.

- Znam kilku potencjalnych kandydatów - przyznał hrabia Szarej Zatoki. - Wydaje mi się jednak, że najwięcej szans ma Hauwyl Chermyn.

Merlin zamrugał z zaskoczenia, zaraz jednak wziął się w garść. Chermyn nie miał ambicji politycznych, brakowało mu także ogłady dworskiej, tak potrzebnej na eksponowanym stanowisku. Chociaż może nie aż tak bardzo, jak by się wydawało... Zważywszy na funkcję pełnioną w Corisandzie, musiał się wiele nauczyć. Sprawiał się tam tak dobrze, że rzeczywiście jawił się idealnym kandydatem na tron Zebediahu. Nie tylko przywykł do rozkazywania arystokracji wyspy, ale i zyskał wiele doświadczenia, tak potrzebnego po objęciu władzy nad wielkim księstwem.

*Sprawiał się w Corisandzie tak dobrze, że każdy obywatel Zebediahu zastanowi się dwa razy, zanim zacznie protestować przeciw narzuceniu mu „obcego” władcy. A może nawet i trzy razy...*

- Szczerze mówiąc, to znakomity pomysł, mój panie - przyznał Merlin na głos, a potem po raz kolejny wybuchnął śmiechem. - Aczkolwiek Hauwyl może pomyśleć o własnoręcznym poderżnięciu sobie gardła, gdy usłyszy, że Cayleb i Sharleyan chcą uczynić go nowym wielkim księciem!

- Może o tym pomyśleć, ale z pewnością niczego takiego nie zrobi - zapewnił go hrabia Szarej Zatoki. - Po tym jak minie pierwszy szok, z pewnością bardzo szybko wcieli się w rolę bardzo potężnego i zarazem bogatego szlachcica.

- A posiadanie kogoś tak zaufanego na tronie wielkiego księstwa Zebediahu zdejmie sporo problemów z głowy Cayleba i Sharleyan.

- To było jednym z ważniejszych powodów mojej propozycji - przyznał hrabia, od niechcenia bębniąc palcami po blacie biurka. Przez moment spoglądał gdzieś w przestrzeń, rozważając aktualną sytuację w Corisandzie i Zebediahu. Zaraz jednak otrząsnął się z zamyślenia. - Muszę powiedzieć, ryzykując kuszenie losu, że wszystko zaczyna nam się układać - dodał. - Szkoda admirała Manthyra, ale na froncie politycznym to był naprawdę dobry miesiąc. Hrabia Skalnego Kowadła i Hauwyl właśnie wyrwali serce jedynej poważnej organizacji konspiracyjnej w Corisandzie, wielki książę Zebediahu właśnie upadł, chociaż jeszcze o tym nie wie, Swayle i jego nieliczni druhowie w Corisandzie także, a nasz przyjaciel Gorjah zaakceptował w końcu warunki ich cesarskich mości i zamierza przyłączyć się do imperium. - Pokiwał wolno głową i ponownie skupił wzrok na Merlinie. - Tym samym zabezpieczyliśmy naturalne granice Imperium Charisu - dokończył, nie kryjąc satysfakcji. - Wątpię, aby spodobało się to Clyntahnowi albo Trynairowi.

- O tak - przyznał Merlin. - Na pewno im się to nie spodoba.

## **.IV.**

### **ŚWIĄTYNIA**

### **SYJON**

### **ZIEMIE ŚWIĄTYNNE**

- No dobrze, Zhaspyrze. Jesteśmy już wszyscy, więc może powiesz nam wreszcie, o co chodzi?

Zahmsyn Trynair odezwał się tonem, w którym pobrzmiwała starannie odmierzona doza kąśliwości. To znaczy taką miał przynajmniej nadzieję. Ostatnimi czasy coraz częściej

czuł się jak treser dzikich zwierząt, specjalizujący się w szczególnie groźnych, ludożerczych bestiach. I podobnie jak każdy treser dzikich zwierząt nie mógł sobie pozwolić na okazanie strachu. Właśnie dlatego od czasu do czasu przypominał dyskretnie Clyntahnowi, że wielki inkwizytor nie jest jedyną szyczą w Świątyni i że on sam czuje się pewnie pośród wikariatu, bynajmniej nie bojąc się o swoją pozycję.

Jednakże czy odnosił sukcesy na tym polu, to już całkiem inna sprawa.

- Właściwie, Zhamsynie, miałem nadzieję, że to raczej ty rzucisz trochę światła na dość niepokojącą plotkę, która dotarła do moich uszu - odrzekł Clyntahn niebezpiecznie przyjaznym tonem.

- Jakiego rodzaju plotkę? - zapytał Trynair ostrożnie.

- Cóż, zdaję sobie sprawę, że jako kanclerz zawiadujesz dyplomacją Kościoła Matki, wszelako zdaniem ojca Frahnklyna, król Gorjah z Tarota jakby tracił zapał do wspierania naszej sprawy.

- Co takiego? - Trynair wyprostował się na krześle, marszcząc brwi. - Ledwie pięćdziesiąt temu dostałem raport od Nartha. Nie napomknął na ten temat słowem!...

Rhobair Duchairn przyglądał się obojętnym wzrokiem Clyntahnowi, który właśnie uśmiechnął się do Trynaira. Uśmiech ten wywoływał u niego raczej ciarki niż odprężenie, ale skarbnik zdążył już do tego przywyknąć. Podobnie jak do nieprzyjemnego wyrazu zadowolenia pojawiającego się na twarzy Clyntahna, ilekroć któryś wikariusz posłusznie przybiegał do nogi i zaczynał służyć. Jak dotąd wielki inkwizytor ograniczał te popisy do grona najbliższych podwładnych oraz „kolegów” z Grupy Czworka. Duchairn z jednej strony liczył na to, że Clyntahn nie przestanie zachowywać dyskrecji, z drugiej zaś pragnął, aby maska Zhaspyra wreszcie opadła i każdy pozostający przy życiu wikariusz mógł zobaczyć prawdziwe oblicze wielkiego inkwizytora.

*Problem w tym, pomyślał Rhobair, że nawet, jeśli Clyntahn odsłoni swoje prawdziwe oblicze, nikt nie ujrzy niczego, czego wcześniej by się nie domyślał. Albowiem, choć Zhaspyr nie triumfuje otwarcie, wszyscy i tak znają jego skryte myśli.*

Ze swej strony Duchairn całkowicie przestał ulegać Clyntahnowi. Nie przeszedł sam siebie i nie zaczął go prowokować, lecz na każdym kroku dawał wielkiemu inkwizytorowi odczuć swój obojętny stosunek. Zhaspyr Clyntahn, co oczywiste, odpowiedział na to jawną pogardą i lekceważeniem, jednakże z jakiegoś powodu powstrzymał się przed otwartym atakiem na skarbnika. Przestał mu nawet wbijać szpile, co wcześniej było na porządku dziennym. Rhobair Duchairn wywnioskował z tego, że Clyntahn przystał na umowę, której warunki wyłożył mu Trynair jako pośrednik. Ba, było nawet możliwe, że wielki inkwizytor



zrozumiał konieczność ukazania łagodniejszej twarzy Kościoła Matki i zrezygnował z prowadzonej przedtem polityki twardej ręki, zakutej w stal i wyposażonej w pejcz.

*Ale najprawdopodobniej Clyntahn uznał, że albo za bardzo się go boję, by stawić mu czoło, albo zamieniłem się w łatwo wzruszającego się mięczaka, którego przestały interesować sprawy doczesne. Być może w grę wchodzi nawet połączenie obu tych czynników. W każdym razie wiele wskazuje na to, że wziął moją deklarację neutralności za dobrą monetę. Co czyni mnie w jego oczach niegodnym nawet pogardy...*

Jeżeli Clyntahn faktycznie tak myślał, tym lepiej dla Duchairna. Nie dlatego jednak, aby miał zamiar głupio ryzykować z nadmiaru optymizmu.

Przez cały czas bowiem, tylko udając obojętność, skarbnik zastanawiał się w głębi ducha, co planuje wielki inkwizytor. Ojciec Frahnklyn Sumyr, intendent Kościoła Matki w Tarocie, należał do zakonu Schuelera, jak większość intendentów. I jako schueleryta odpowiadał bezpośrednio przed Inkwizycją, aczkolwiek każdy raport dotyczący spraw polityki winien trafić w postaci kopii także na biurko kanclerza Trynaira. Z kolei biskup egzekutor Tyrnyr Narth miał składać relacje Failyxowi Gahrborowi, arcybiskupowi Tarota, którego zastępcą był oficjalnie. Naturalnie wymagano od niego też przesyłania kopii raportów do Zahmsyna. Dlatego - przynajmniej teoretycznie - Trynair powinien wiedzieć o wszystkim, co docierało do uszu wielkiego inkwizytora.

Najwyraźniej jednak tak nie było.

- Nie dziwi mnie specjalnie, że Narth o niczym nie wspomniał - stwierdził Clyntahn niemalże beztrąsko. - To raczej nie jego wina. Znaczący się, jest naszym oficjalnym przedstawicielem w Tarocie i regularnie przeprowadza rozmowy z Gorjahem, co może mu dawać złudzenie, że trzyma rękę na pulsie.

- Sugerujesz, że nie trzyma? - zapytał ostro Trynair.

- Och, nie mam wątpliwości, że jest na bieżąco, gdy idzie o korespondencję dyplomatyczną, negocjacje i tego typu sprawy. Niemniej zdaniem ojca Frahnklyna ostatnimi czasy nastąpił niewytłumaczalny i dziwny spadek aktywności marynarki wojennej Charisu na wodach zatoki Thol. Szczerze mówiąc, cała blokada Tarota nagle przestała być tak szczelna jak dotychczas.

- Słucham? - Trynair nie zdołał ukryć zdziwienia, co Clyntahn skwitował prychnięciem.

- Wiadomo, że Gorjah już raz zmienił barwy - odrzekł tonem człowieka tłumaczącego coś małemu dziecku przy użyciu wyjątkowo prostych słów. - Wiadomo również, pomimo dochodzenia, które mogło go oczyścić z zarzutów, że tylko ktoś z Tarota był w stanie ostrzec

Haarahlda przed tym, co miało się stać. Zawsze mnie ciekawiło, któż miał tyle dostępu do władcy, by przekazać taką informację bez ujawniania źródła. Aczkolwiek, jak raczyliście zauważyć, nie możemy detronizować królów ot tak sobie, na podstawie samych podejrzeń.

- Zhaspyrze, jeśli naprawdę uważałeś, że źródłem przecieku jest Tarot, powinieneś był nam to powiedzieć. - W głosie Trynaira pojawiła się szorstkość. - Podlegli ci inkwizytorzy prowadzili śledztwo... na prośbę Gorjaha, pozwól, że ci przypomnę! Jeżeli trafili na dowody, o których nas nie poinformowałeś na bieżąco, zrób to z łaski swojej teraz.

- Gdybym miał jakiegokolwiek dowody, podzieliłbym się nimi od razu - odparł oziębło Clyntahn. - Z tego wynika, że ich nie miałem. Ale Zahmsynie, odpowiedz na moje pytanie. Dlaczego Charisjanie tak nagle spasowali w Tarocie? Dlaczego mając tę przeklętą wyspę w garści, po zamknięciu jej w szczelnym kotle, nagle odpuszczają jej władcy i zwijają skuteczną przeciw blokadę? Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że ten bękart baron Skalistego Klifu uczynił sobie bazę wypadową w zatoce Thol. Szczerze mówiąc, dziwiło mnie, że świętoszek Gorjah i ten jego baron Białej Wody nie potrafili temu zapobiec! Aż tu nagle wszyscy przemysłowcy znaleźli sposoby na omijanie czujnych jak smoki Charisjan.

- Sugerujesz, że Gorjah wynegocjował jakąś tajną umowę z Caylebem i Sharleyan?

Trynair i Clyntahn równocześnie przenieśli wzrok na Duchairna, który zadał to pytanie. I którego wyraz twarzy nie zmienił się ani odrobinę - nadal świadczył o obojętności, a nawet nudzie - aczkolwiek w jego tonie dało się wyczuć leciuteńką nutę rozbawienia.

- Właśnie to sugeruję, Rhobairze - potwierdził po chwili milczenia Clyntahn. - Czyżbym cię rozbawił?

- Och, nie, skądże znowu - powiedział Duchairn jakby nigdy nic. - Chociaż po namyśle... Rzeczywiście to trochę zabawne, że wy dwaj... to znaczy Zahmsyn i ty, jak mi się zdaje... wolicie skakać sobie do gardeł podczas narad, zamiast informować nas na bieżąco o rozwoju wypadków.

Trynair uniósł brwi. Mina Clyntahna w ogóle się nie zmieniła, za to w jego oczach pojawił się źle wróżący błysk. Wielki inkwizytor zaczął otwierać usta, lecz przestał w połowie i z powrotem je zamknął. Mierzył Duchairna naburmuszonym spojrzeniem, po czym - ku zdumieniu Trynaira - wybuchnął śmiechem.

- Punkt dla ciebie - rzekł i patrząc na kanclerza, dodał: - Rhobair ma rację. Faktycznie mam chęć wszystkim wypominać przy każdej okazji poprzednią zdradę Gorjaha... szczególnie że zapowiada się powtórka. Prawda jest bowiem taka, że nigdy nie ufałem temu śliskiemu skurczybykowi, ale dałem się wam przegłosować. Chyba więc nikogo nie może dziwić, że czuję satysfakcję na myśl, iż miałem jednak rację. Co, jak słusznie zauważył

Rhobair, nie było takim znów wielkim dokonaniem.

Trynairowi udało się zachować kamienną twarz, mimo iż Zhaspyr Clyntahn przemawiający rozsądnie nie należał ostatnio do częstych widoków.

- Zdaje się, że nikt z nas nie jest w najlepszej formie - rzucił kanclerz, przerywając zapadłą po słowach wielkiego inkwizytora ciszę. - Ja na pewno nie jestem. I tak, masz rację, Narth w ogóle nie wspomniał o przemytnikach. Ale gwoli szczerości, handel i flota zawsze leżały poza sferą jego zainteresowań.

- Wiem. - Clyntahn machnął ręką. - Co więcej, wiedziałem o tym także wtedy, gdy się z tobą drażniłem. Niemniej nie zmienię zdania. Sądzę, że powinniśmy podejść serio do tego nagłego ożywienia na szlakach żeglugowych wokół Tarota. Uważam za całkiem prawdopodobne, że Gorjah dobił targu z Caylebem za naszymi plecami.

- Odnosnie do czego? - zapytał Duchairn.

- Nie wiem... - odparł wolno Clyntahn, wydymając wargi. - Może chodzi o coś tak banalnego jak nieoficjalna neutralność. Albo że to on zdradził wtedy nasze plany, a teraz na nowo otworzył kanały komunikacyjne z wrogiem. W obu tych przypadkach Charisjanie mogliby rozluźnić sieć blokady, by królestwo przestało się borykać z największymi problemami. Taki ruch pozwoliłby obu stronom na współpracę bez ujawniania jej całemu Schronieniu.

- Ale ty uważasz, że mamy do czynienia z drugim Nahrmanem - stwierdził Trynair.

- Tak - przyznał wielki inkwizytor, wruszając lekko ramionami. - To najbardziej szkodliwy ruch, przynajmniej z naszego punktu widzenia, lepiej więc uznać, iż wydarzyło się najgorsze, niż później żałować, że się tego nie zrobiło.

- Dlaczego więc nie kazałeś go jeszcze aresztować? - zapytał Allayn Magwair, a gdy pozostali trzej wikariusze spojrzeli na niego ze zdziwieniem, uniósł dłoń w obronnym geście.

- Chciałem powiedzieć, że skoro mamy co do niego tak poważne podejrzenia, Inkwizycja powinna go aresztować na czas trwania śledztwa.

- W tej sytuacji nie byłby to taki zły pomysł, Allaynie - przyznał Trynair, siłąc się na spokój. - Gdyby Gorjah rzeczywiście dobił jakiegoś targu z Caylebem i Sharleyan, jak wcześniej zrobił to Nahrman, dzięki czemu Charisjanie odblokowali jego porty... Możemy też zakładać, że wzorem władcy Szmaragdu zabezpieczył się już na taką ewentualność. Bądźmy szczerzy, tak daleko od Syjonu Inkwizycja musi polegać raczej na swojej moralnej potędze, pełni więc rolę narzędzia Kościoła Matki niż przedłużenia straży Świątyni. Ty powinieneś wiedzieć, i to lepiej od innych, że nigdy nie mieliśmy wystarczającej liczby ludzi, by otoczyć wszystkie domeny Schronienia skuteczną ochroną. Dzisiaj mamy w Tarocie co

najwyżej kilkuset strażników Świątyni, więc jeśli Gorjah zgromadził wokół siebie choćby kilka tysięcy lojalnych mu ludzi, gotowych na wyrzeczenie się Kościoła Matki, jego aresztowanie będzie niewykonalne.

- A niepowodzenie próby aresztowania Gorjaha mogłoby okazać się jeszcze gorsze w skutkach - zauważył Duchairn. Pozostali natychmiast skupili wzrok na nim. - Zastanówcie się sami. Jeśli wydamy rozkaz aresztowania Gorjaha, nie mając żadnych dowodów, że uczynił coś złego, sami damy mu doskonały pretekst do zwrócenia się przeciwko Kościołowi Matce. Postawiony przed tak poważnymi zarzutami może zadziałać impulsywnie w samoobronie... i ogłosić, że nakaz aresztowania jest kolejnym dowodem na korupcję toczącą Świątynię i wikariat.

- Niechętnie, ale muszę przyznać, że Rhobair ma rację - oświadczył przygaszonym głosem Clyntahn. - Właśnie dotarło do mnie, że być może Gorjah chce nas, to znaczy mnie, sprowokować do poczynienia takiego kroku. O ile, rzecz jasna, jest już gotowy na sojusz ze schizmatykami i tylko czeka na dobry powód. Tak, Rhobair ma rację, Tarot leży daleko od Syjonu. Ojciec Frahnklyn jest dobrym człowiekiem, lecz nie dowiemy się, jaka sytuacja panuje w Tranjyrze, jeśli nie znajdziemy źródeł pełniejszych niż jego dotychczasowe raporty. A ja nie mam zamiaru wykonać ruchu, dzięki któremu Cayleb będzie mógł ogłosić, że Kościół Matka sam wepchnął mu w łapy kolejną domenę, na którą miał i tak chrapkę. To zdenerwowałoby wszystkich władców, którzy wciąż są lojalni wobec Świątyni... nie mówiąc już o tym, że to woda na młyn tego drania Stohnara.

Duchairn zdołał stłumić uśmiech, zanim ten pojawił się na jego ustach. Zastanawiał się, kiedy Clyntahn przyzna w końcu, iż żywi podejrzenia także co do lorda protektora.

- Co zatem zrobimy, skoro nie możemy go aresztować? - zapytał Magwair.

- Obawiam się, że niewiele możemy zrobić na terytorium Tarota - oświadczył po chwili zastanowienia Trynair. - Powinniśmy zachęcić ojca Frahnklyna, dyskretnie rzecz jasna, do dalszego badania tej sprawy. Ja ze swojej strony wyślę list do biskupa egzekutora Tyrnyra z poleceniem udzielenia stosownej pomocy ojcu Frahnklynowi. Wydaje mi się, że dobrym pomysłem byłoby też przerzucenie pewnej liczby agentów Inkwizycji z Dohlaru i Siddarmarku, Zhaspyrze. Przydadzą nam się dodatkowe oczy i uszy w Tranjyrze. Jeśli zdobędziemy dowody na to, że Gorjah rzeczywiście jest w kontakcie z Charisjanami, poprę z większą chęcią próbę jego aresztowania, nawet jeśli ma być nieudana.

- Wiecie - wtrącił niespodziewanie Duchairn - zastanawiam się właśnie, jakie jeszcze szkody może spowodować ta sprawa, prócz zamieszania wizerunkowego spowodowanego dezercją kolejnego władcy z Kościoła Matki. Nie liczysz chyba, Allaynie, na to, że budowane

w Tarocie galeony wzmocnią naszą flotę?

- Nie liczę - przyznał Allayn z nieszczęśliwą miną. - Zamówiliśmy je w ich stocznicach, ale szanse na to, że zostaną ukończone, wyposażone i obsadzone, nie mówiąc już o przebiciu się przez charisjańską blokadę, uważam za niewielkie.

- Tak myślałem - powiedział Duchairn, przenosząc wzrok kolejno na Clyntahna i Trynaira. - Jako skarbnik Kościoła Matki wiem lepiej od was, ile pieniędzy wpompowaliśmy w Tarota... i jak mało otrzymaliśmy w zamian. Ta blokada okazała się niesamowicie skuteczna, a Gorjah i tak płacił nam zaledwie trzecią część dziesięciny od momentu wybuchu wojny. A nasze ministerstwo finansów uważa, że w tym roku w ogóle nam nie zapłaci! Mówiąc szczerze, nasza sytuacja finansowa nie zmieni się bez względu na to, czy utrzymamy tę domenę, czy ją stracimy. Dlatego uważam, że powinniśmy rozważyć tę sytuację tylko z militarnego i politycznego punktu widzenia. A jak już wspomniał Allayn, Tarot nie wniósłby i na tych polach zbyt wielkiego wkładu. Zastanówmy się więc, co zyska na jego przejściu druga strona.

- Ciekawe podejście do sprawy - przyznał Clyntahn po chwili zastanowienia. - Przykład polityczny będzie najgorszy, choćby jako wskazówka powolnej erozji naszego sojuszu. Militarnie Tarot nie pomoże potędze Cayleba, za to Charisjanom przybędzie spore terytorium do obrony, więc jeszcze bardziej rozśrodkują swoje siły.

- Z drugiej jednak strony - zauważył Magwair - Korona zyska bazę dla floty w pobliżu Siddarmarku. Dzięki temu zdobędzie całkowitą kontrolę nad Zatoką Tarota i zamknie tamtejszy kanał, odcinając od świata zatokę Mathyas.

- Mówisz o wbiciu klina między nasze północne eskadry a Desnair? - zapytał Trynair.

- Dokładnie.

- O czym wy gadacie? - zirytował się Duchairn. - Przecież baron Skalistego Klifu już wprowadził swoje eskadry do zatoki Thol, robiąc z niej bazę dla floty Charisu u wylotu Kanału Tarockiego.

- No... tak - przyznał Magwair niechętnie.

- Jaka jest więc różnica pomiędzy stanem obecnym a zalegalizowaniem pobytu Charisjan na tamtejszych wodach? - ciągnął Duchairn.

- Zatem sugerujesz, Rhobairze, żebyśmy nie podejmowali żadnych działań, tak aby Gorjah nie miał pretekstu do rejterady, i nadal spokojnie prowadzili dochodzenie w jego sprawie - podsumował Trynair. - A gdy znajdziemy niezbite dowody, będziemy mogli go aresztować. Jeśli zaś uprzedzi nasz ruch i przyłączy się do Cayleba albo wykorzysta do zmiany stron dany mu przez nas pretekst, i tak niewiele stracimy zarówno w sferze militarnej,

jak i ekonomicznej, dobrze mówię?

- Mniej więcej - odparł ze spokojem Duchairn. - Polityka to bardziej twoje poletko, twoje i Zhaspyra, a militaria są domeną Allayna. Ja po prostu próbuję się przyjrzeć problemowi z każdej perspektywy, abyśmy - dokończył zwięźle - nie wpakowali się w kolejne problemy, działając zbyt pochopnie.

Clyntahn poczerwieniał na twarzy, wychwytyjąc dość czytelną aluzję do rzuconej przez niego propozycji „ostatecznego rozwiązania” kwestii Charisu. Uznał jednak, że tym razem odpuści. Sądząc po wyrazie oczu, zamyślił się, i to głęboko. Siedział tak, milcząc, przez dłuższą chwilę, potem skinął głową i ponownie skupił uwagę na pozostałej trójce.

- Nie wiem, czy powstrzymanie się od interwencji w Tarocie posłuży naszej sprawie. Z drugiej jednak strony nie mam pewności, czy przedwczesna reakcja nie będzie równie niekorzystna. W zaistniałej sytuacji wydaje mi się jednak, że opcja „pożyjemy, zobaczymy” może mieć mniej katastrofalne skutki. Powinniśmy jednak rozważyć zawczasu, co robić, gdyby Gorjah zdecydował się mimo wszystko na zmianę barw.

- Co masz na myśli? - W głosie Trynaira pobrzmiwała ostrożność, którą Clyntahn natychmiast wyczuł i skwitował złośliwym uśmiechem.

- Zastanawiam się po prostu nad strategicznym położeniem Tarota, o którym wspomniał przed chwilą Allayn. O tym, że Charisjanie mogą otrzymać idealną bazę dla swojej floty pomiędzy naszymi północnymi eskadrami a Desnairrem.

- I?

- I dotarło do mnie, że skutecznym sposobem na załatwienie tego problemu byłoby natychmiastowe skoncentrowanie naszych flot w zatoce Mathyas. Zanim w Tarocie wydarzy się to, co zamierza zrobić Gorjah.

- Co takiego? - Trynair aż zamrugał ze zdziwienia.

- Posłuchaj, mamy już wrzesień - kontynuował wielki inkwizytor, wskazując głową w kierunku wielkiego okna sali narad. O szyby bębnił lodowaty deszcz, a prawie pozbawione liści gałęzie chwiały się na mocnym wietrze. - Przesmyk Hsing-wu już niedługo znowu zacznie zamarzać. Gdy do tego dojdzie, wszystkie galeony wybudowane na Ziemiach Świątynnych i te powstające na północnym wybrzeżu Harchongu i tak zostaną odcięte od reszty świata. Jeśli wyślemy je na południe do Desnairu, zanim lody skują okoliczne akweny, będziemy mieli tam siedemdziesiąt dwa okręty Rahnylda i po pięćdziesiąt albo nawet sześćdziesiąt naszych i harchońskich, co daje sto siedemdziesiąt do dwustu w pełni sprawnych jednostek tworzących skoncentrowaną flotę bazującą w odległości zaledwie dwóch tysięcy mil od wybrzeży Tarota i niespełna trzech tysięcy od terytorium Charisu. Jeśli

sprowadzimy je tam, zanim Gorjah zmieni strony, może to dać mu do myślenia, a nawet zmusić do rezygnacji z wystawienia nas do wiatru. A jeśli nawet nasze okręty dotrą tam po fakcie albo Gorjah zdradzi nas mimo wszystko, będziemy mieli na miejscu potężną flotę zagrażającą i Tarotowi, i Charisowi. A po tym, jak zebrali cięgi od hrabiego Thirsku w Zatoce Dohlariańskiej, na pewno uznają to za poważne zagrożenie.

Trynair i Duchairn spoglądali na niego z ogromnym zdziwieniem. Z racji zajmowanego stanowiska Clyntahn rzadko interesował się kwestiami militarnymi. *Zapewne dlatego, że to właśnie jego niewiedza o sposobach wojowania legła u podstaw całej tej katastrofy*, pomyślał z przekąsem Rhobair.

- Sam nie wiem, Zhaspyrze - odparł jak zwykle z namysłem Magwair. - Nowe jednostki znajdują się teraz w wielu miejscach, wzdłuż całego przesmyku. Musielibyśmy je najpierw zebrać w jednym miejscu. A niemal czwarta część gotowych już galeonów nadal nie ma na pokładach dział. - Skrzywił się. - Obawiam się, że nasze odlewnie nie były w stanie sprostać zapotrzebowaniu, a te harchońskie, szczerze mówiąc, okazały się jeszcze mniej wydajne. Mają ich tam wiele, ale produkcja jest bardziej niż skromna. A najlepsze mieszczą się na południu, w prowincjach Kuznieców i Shwei. Zanim hrabia Thirsku przepędził Charisjan z wyspy Szpon, heretycy zdążyli zatopić wiele transportów płynących właśnie stamtąd.

- Ale desnairiańskie odlewnie są całkiem niezłe, jeśli mnie pamięć nie myli... - ripostował Clyntahn, zerkając w stronę Duchairna.

- Ich produkcja nieustannie rośnie - przyznał Rhobair. - Tamtejsze zakłady nie są zbyt wielkie ani za wydajne, lecz produkują statystycznie więcej niż Harchong, a poza tym udało im się otworzyć wiele wyspecjalizowanych placówek, w których pracuje się wyłącznie nad nowymi armatami. Aczkolwiek mają spore problemy z działami ze stali. Ale z tym akurat wszyscy mamy problemy - ugryzł się w język, zanim dodał: „z wyjątkiem Charisu”. - Tyle że ich armaty częściej się psują podczas testów.

- To kwestia doświadczenia - stwierdził lekceważąco Clyntahn. - Nic więc dziwnego, że ich pierwsze wyroby nie przechodzą testów jakościowych. Jeśli jednak mają odlewnie, prędzej czy później dostarczą nam dział, których potrzebujemy.

- Dlaczego nie wysłać tych okrętów do Dohlaru? - zasugerował Duchairn. Magwair i Trynair zaczęli zastanawiać się nad jego propozycją, lecz wielki inkwizytor pozostał obojętny. - Hrabia Thirsku także rozwinął tamtejsze odlewnie, ich moce wystarczyły do zastąpienia dział z Harchongu utraconych na skutek działania Charisjan, a teraz, jeśli wierzyć fakturom, które nam przysyła, wyprzedza harmonogram własnych zapotrzebowań i zaczyna

eksportować armaty do imperium, zamiast je sprowadzać.

- Dohlar znajduje się zbyt daleko od Tarota i Charisu - oświadczył bezbarwnym tonem Clyntahn, a Duchairn poczuł, jak mu się unosi brew.

Spojrzał na Trynaira i zauważył u niego równie podejrzliwą minę.

Clyntahn darzył Gorjaha wielką nieufnością, odkąd plany pierwszej inwazji trafiły do Charisu; podobnie było z hrabią Thirsku. Wielki inkwizytor nie mógł mu darować przegrania bitwy w Cieśninie Skalistej, a potem poddania resztek floty Caylebowi Ahrmahkowi. Jego zdaniem Dohlarianie powinni walczyć, dopóki nie zatoni ostatnia z ich galer. A fakt, że hrabia tego nie uczynił, i co więcej, przedłożył życie swoich podwładnych nad sprawę Kościoła Matki, czynił go w oczach wielkiego inkwizytora podejrzanym. Nie godził się na przywrócenie go do łask, mimo że pozostali trzej członkowie Grupy Czwojga popierali tę propozycję. I wściekał się na żądania hrabiego, by Kościół Matka wypłacał pensje jego marynarzom. W opinii wielkiego inkwizytora ci ludzie powinni iść ginąć za Świątynię ze śpiewem na ustach, a nie żądać za to zapłaty! Zwłaszcza że Kościół Matka miał wiele innych potrzeb, na które mógł spożytkować te sumy. A hrabia nie poprzestał na żołdzie; po uzyskaniu jednej obietnicy zażądał jeszcze, by Kościół Matka wypłacał renty rodzinom marynarzy, którzy zginą za jego sprawę.

Wielki inkwizytor wściekł się, gdy Duchairn poparł postulaty hrabiego. Gdy skarbnik Świątyni oznajmił, że żądania Dohlarianina są nie tylko rozsądne, ale i wykonalne, wytrącił Clyntahnowi wszystkie argumenty z ręki. A kiedy Magwair zaczął się upierać, że hrabia Thirsku ma najlepsze pojęcie o nowoczesnej taktyce walki na morzu, zrobiło się jeszcze nieprzyjemniej. Zamiast zgodzić się z opiniami obu wspomnianych kolegów, że hrabia Thirsku udowodnił podczas walk w Cieśninie Harchongu, że wie, co robi, wołał powtarzać zasłyszane gdzieś zdanie (według Duchairna najprawdopodobniej podchwyczone od księcia Thorastu), że admirał miał po prostu szczęście. Sprzyjała mu pogoda, sprzyjała mu przewaga liczebna, tak samo jak fakt, że Charisjanie wycofali się z wyspy Szpon, zanim hrabia raczył ją w końcu zaatakować, ponieważ gdyby tego nie zrobili, z pewnością by go tam rozgromili - po raz kolejny zresztą.

Wielki inkwizytor poskromił swój gniew tylko dlatego, że za hrabią wstawili się pospółu ksiązę Fernu i biskup Maik, intendent Kościoła do spraw floty. To oraz fakt, że zwycięstwo odniesione przez hrabiego było jedynym, jakim eskadry Świątyni mogły się do tej pory pochwalić.

*A jak znam życie, najbardziej rozwścieczyło go to, że hrabia Thirsku pozwolił się poddać heretykom, pomyślał Duchairn, z trudem powstrzymując się od wykrzywienia ust.*



*Według Zhaspyra dobry Charisjanin to martwy Charisjanin. Jego zdaniem hrabia nie powinien pozwolić im na kapitulację. Tymczasem nawet Allayn już dawno zrozumiał, że jeśli nasi admirałowie nie będą brać jeńców, to i wróg będzie miał prawo postępować w podobny sposób. Aczkolwiek Zhaspyrowi to akurat może być obojętne. Jemu najbardziej pasowałaby sytuacja, w której Charisjanie odmawialiby litości naszym żołnierzom. Wtedy armia Boga walczyłaby do ostatniej kropli krwi... czyli robiłaby to, czego hrabia Thirsku odmówił w Cieśninie Skalistej.*

- Przyznaję, że Dohlar leży daleko od Charisu i Tarota - powiedział skarbnik Świątyni.  
- Z drugiej jednak strony, jak słusznie zauważył Allayn, nasze okręty są rozproszone wzdłuż całego przesmyku... a Charisjanie nie dysponują siłami mogącymi zagrozić temu regionowi. Możemy je więc wysłać aż do zatoki Gorath, nie obawiając się, że zostaną przechwycone. Poza tym Dohlar leży całkiem blisko Chisholmu i Corisandu, jeśli popłynie się dalej na zachód.

- Przecież wiem. - Clyntahn machnął niecierpliwie ręką. - Z tego powodu Charisjanie opuszczający wyspę Szpon udali się właśnie tam, by wzmocnić siły broniące Chisholmu. Szczerze mówiąc, to kolejny powód, by posłać nasze okręty do Desnairu. - Duchairn spojrział na niego z zaciekawieniem, a potem prychnął pod nosem. - Musieli rozproszyć swoje siły, by chronić Chisholm i Corisand. Rhobairze. - Clyntahn znów użył charakterystycznego tonu, jakim nauczyciele zwracają się do opóźnionych w rozwoju uczniów. Ale Duchairn był zbyt doświadczonym graczem, by połknąć tę przynętę. Poza tym nawet nie miał pewności, czy Zhaspyr nadal robi to celowo. - Według naszych ocen baron Skalistego Klifu ma pod rozkazami dwadzieścia do dwudziestu pięciu galeonów w zatoce Thol, natomiast hrabia Wyspy Zamek dowodzi trzydziestoma pięcioma bądź czterdziestoma galeonami rozmieszczonymi w okolicach Zatoki Kamiennej Ławicy. To daje nam maksimum sześćdziesiąt pięć okrętów. Reszta ich galeonów stacjonuje w okolicach Chisholmu i Corisandu. Dlatego proponuję, by wykorzystać ich rozproszenie i przebić się do Desnairu. Zanim zdołają ściągnąć jednostki rozmieszczone w odległych punktach globu, my skoncentrujemy naszą flotę w zatoce Mathyas, nim oni będą w stanie nam przeszkodzić.

Trynair znów się zamyślił. Duchairn musiał przyznać, że te argumenty Clyntahna wydają się logiczne. Z drugiej jednak strony nadal uważał, że najistotniejszym powodem porażki pierwszej krucjaty było to, że skoordynowane przerzucanie flot na ogromne odległości jest o wiele trudniejsze niż organizowanie przemarszów najpotężniejszych nawet armii. Na lądzie nie trzeba się przejmować takimi czynnikami, jak warunki pogodowe czy kierunki wiatrów.

- Mówisz o wysłaniu od stu do nawet dwustu dwudziestu galeonów przez Tarot do Desnairu - powiedział po chwili. - Z tego, co mówi Allayn, wynika, że niemal czwarta część z nich będzie kompletnie nieuzbrojona. Powiedzmy, że zdołamy zgromadzić sto trzydzieści okrętów. To oznacza, że tylko dziewięćdziesiąt galeonów będzie miało na pokładach działa, a żadna z naszych załóg nie jest tak dobrze wyszkolona jak chłopcy hrabiego Thirsku. Jeśli trafimy po drodze na sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt galeonów Charisjan, nasze okręty mogą nie dać im rady, Zhaspyrze. Zapewniam cię, że to nie podoba mi się tak samo, jak tobie słuchanie moich słów - dodał, widząc, że twarz wielkiego inkwizytora tężeje - lecz musimy patrzeć na te sprawy realistycznie. To nie jest wina naszych ludzi, oni po prostu nie mieli czasu ani okazji, żeby nabrać doświadczenia.

- Rhobair ma rację - poparł go Trynair.

- Taaak... - dodał niezwykle wolno Magwair, a gdy pozostali spojrzeli na niego, uniósł prawą dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym. - Ale to my dysponujemy pocztą semaforową.

- I co z tego? - zapytał Duchairn, gdy naczelny dowódca zamilkł na moment.

- Po pierwsze - wyjaśnił Allayn - będziemy mieli przewagę zaskoczenia, gdy wyprowadzimy z portów nasze okręty. Tego ruchu nie da się ukryć, a musimy założyć, że Charisjanie mają swoich agentów na Ziemiach Świątynnych, którzy mogą wysyłać wiadomości handlowe, jakie dopuszczamy do ruchu semaforowego. Albo wykorzystują tresowane wyverny pocztowe do przenoszenia wiadomości. Nieważne. Zgodzicie się, że mają tutaj swoich szpiegów, prawda?

Duchairn przytaknął, zadziwiając tym gestem sam siebie. Mówienie rozsądnych rzeczy nie kojarzyło mu się z osobą wikariusza Allayna.

- Dobrze.. W takim razie my wysyłamy rozkazy do wszystkich portów w Przesmyku Hsing-wu. Robimy to z wykorzystaniem szyfru, o którym wiemy, że Charisjanie mogli go złamać w Delferahku albo Corisandzie. Każemy wszystkim zebrać się w Angelbergu, ale wcześniej, w innej wiadomości, uprzedzimy ich, że to tylko zmyłka. Gdy okręty tam popłyną, szpiegdy założą, że chcemy je wysłać do Desnairu, tymczasem one popłyną do Dohlaru. Nawet jeśli Charisjanie nie złamią szyfru, dowiedzą się tego od marynarzy, którzy z pewnością będą mówili o rejsie do Dohlaru z przystankiem w Angelbergu. Wielu agentów Korony usłyszy o tym, obserwując przygotowania do podróży, bez względu na to, czy rzeczywistym celem naszych galeonów będzie Dohlar czy Desnair. - Oczy zaślniły mu, gdy to mówił. - Nasza przykrywka będzie głosiła, że wyruszamy na zachód, a szpiegdy, którzy dotrą do Zatoki Chantry, z pewnością dowiedzą się, że celem jest Dohlar... My zaś aż do momentu

podniesienia kotwic nie powiadomimy nikogo, nawet naszych admirałów, że to zmyłka. Gdy nadejdzie właściwy moment, przekazemy pocztą semaforową prawdziwe rozkazy. Ten ruch zapewni nam strategiczną przewagę. Charisjanie otrzymają informacje o fałszywych rozkazach i wyślą swoje galeony do wzmocnienia obrony wokół Chisholmu i Corisandu. A tymczasem nasze okręty popłyną na wschód zamiast na zachód. Dodatkowo pocztą semaforową poinformujemy Desnairian, żeby wyszli im naprzeciw. Każemy im wypłynąć natychmiast, żeby dotarli na miejsce, zanim Charisjanie zdołają skoncentrować swoje eskadry. Okręty hrabiego Wyspy Zamek nadal będą stały na swoich kotwicowiskach, kiedy dwadzieścia pięć galeonów barona Skalistego Klifu znajdzie się w potrzasku, pomiędzy siedemdziesięcioma kilkoma jednostkami Desnairu nadchodzącymi z południa i stu albo stu dwudziestoma okrętami Ziem Świątynnych i Harchongu płynącymi z północy.

- Dobrze pomyślane, Allaynie - pochwalił go Clyntahn. - Ale jest jeszcze jeden aspekt przemawiający za takim rozwiązaniem. Możemy śledzić ruchy obu flot tak długo, jak będą trzymać się wybrzeży, więc jeśli jedna z nich trafi na przeszkodę albo okaże się, że Charisjanie mimo wszystko zdążyli skoncentrować siły, rozkażemy drugiej, by natychmiast zawracała.

Magwair rozpromienił się, rozanielony pochwałą z ust samego wielkiego inkwizytora. Nawet Trynair zaczął kiwać głową, z początku powoli, ale z każdym ruchem bardziej zdecydowanie.

Duchairn wciąż jednak miał zastrzeżenia. Plan Clyntahna i Magwaira, by skoordynować ruchy obu flot, wyglądał dobrze, ale tylko w teorii. To, czy sprawdzi się w praktyce, było zupełnie inną sprawą. Z drugiej strony Magwair miał rację, mówiąc o elemencie zaskoczenia. Jeśli nikt poza Grupą Czworka nie będzie wiedział do ostatniej chwili, dokąd płyną okręty z północy, Charisjanie zostaną wprowadzeni w błąd aż miło. Zresztą, gdy okręty już ruszą, szybkość, z jaką informacja o tym dotrze do Charisu, nie będzie miała żadnego znaczenia, ponieważ galeony heretyków znajdują się zbyt daleko, by w porę zareagować. Nie było możliwości, by dotarły do Zatoki Tarota albo na Morze Sprawiedliwości, zanim flota północy połączy się z desnairiańską albo obie zawrócą do swoich portów.

Spoglądając na twarze pozostałych, zrozumiał, że bez względu na jego wątpliwości, oni i tak mają przewagę. Sprawa została przegłosowana i nie mógł już nic zrobić, więc nawet nie próbował. Musiał się zadowolić wygłoszeniem zastrzeżeń, lecz w nader łagodny sposób, żeby potem móc zbyć ich uwagi lekceważącym gestem, jeśli operacja przebiegnie bez większych zakłóceń, lecz zarazem na tyle wyraźnie, by w razie porażki mógł przypomnieć, że

ostrzegął przed nadmierną pewnością siebie.

Oparł się wygodniej, czekając, aż Magwair i Clyntahn, kładąc sobie wzajemnie, skończą ustalać szczegóły. Były takie momenty, kiedy Rhobair Duchairn nie baczył na polityczne kalkulacje. Skupiał się na pełnieniu funkcji skarbnika Świątyni, ponieważ był klasycznym biurokratą i cieszył się z tego, że Trynair i Clyntahn zdejmują z niego ciężar decyzji politycznych - dotyczących zarówno Kościoła Matki, jak i władzy świeckiej.

*Ta rozmowa jest najlepszym tego dowodem, nieprawdaż, Rhobairze? - zapytał sam siebie. Z drugiej strony nawet ty czegoś się uczysz, gdy sam Bóg przywali ci pałą w łeb. Sztuczka polega na tym, że musisz przekonać ich wszystkich, a Zhaspyra w szczególności, iż nadal nie pojmujesz wszystkiego. Uśmiechnął się w duchu, cały czas zachowując nieco znudzoną minę. Czy to nie ironia, pomyślał, że moje targi z Clyntahnem przekonały go, iż nie stanowię dla niego realnego zagrożenia?*

*Myśl tak dalej, Zhaspyrze, dodał w duchu Rhobair Duchairn. Już niedługo zrozumiesz, jak bardzo się co do mnie pomyliłeś.*

## .V.

### **HMS KRÓLEWSKI CHARIS**

#### **TELLESBERG**

#### **STARY CHARIS**

- Byłem ciekaw, kiedy podejmą tę decyzję - rzucił zgorzkniałym tonem Cayleb.

On, Sharleyan, ich córeczka i kapitan Merlin Athrawes wybierali się w kolejny rejs. HMS *Cesarzowa Charisu* nadal stał w stoczni, więc Sharleyan zdecydowała, że wsiądą na HMS *Królewski Charis*, galeon nowego typu. zaprojektowany w taki sposób, by uniknąć wszystkich problemów, z jakimi stykały się załogi jednostek poprzednich generacji. W rejs do Chisholmu mieli wyruszyć dopiero z porannym przypływem, ale uznali, że spędzą ten wieczór na pokładzie, by księżniczka Alahnah mogła się przyzwyczaić do nowego otoczenia.

Obecność dziecka oraz cienkie grodzie oddzielające poszczególne kajuty zmuszały ich do rozmowy półgłosem.

- Cóż - stwierdził raczej filozoficznie admirał Wyspy Zamek, przebywający aktualnie na pokładzie swojego flagowca - wiedzieliśmy przecież, że muszą podjąć decyzję, co zrobić z okrętami, zanim zamarznie Przesmyk Hsing-wu. I uczynili to, zgodnie z naszymi

oczekiwaniami. Nie przypuszczałem jednak, że podejną do tego tematu aż tak ostrożnie. Zbierają całą flotę w porcie na wschodzie, by wysłać ją potem na zachód? - Pokręcił głową. - Szczerze mówiąc, to bardziej podstępny ruch, niż przypuszczałem.

Hrabia ma rację, uznał Merlin. Port w Angelbergu w Zatoce Chantry znajdował się na południowym brzegu Przesmyku Hsing-wu, niemal trzy tysiące mil od Zatoki Świątynnej, czyli prawie w połowie drogi do wschodniego wyjścia z przesmyku, gdzie zaczynało się Morze Lodowych Wichrów... i prawie siedem tysięcy mil od przeciwległego krańca. Gdyby nie rozkazy wydane dowódcom poszczególnych eskadr, można by pomyśleć, że armada popłynęła na wschód zamiast na zachód. Na szczęście kod został złamany, więc Merlin i hrabia Wyspy Zamek dowiedzieli się o prawdziwych zamiarach Floty Boga, i to właśnie uznali za najsprytniejsze posunięcie Grupy Czworka.

- Wydaje im się, że są sprytni - dodał książę Nahrman z Eraystoru, gdzie jego własny galeon czekał, by przyłączyć się do *Królewskiego Charisu*, i pożeglować do Chisholmu.

- Możliwe, ale skoro wiemy już, co zamierzają zrobić, może ustalilibyśmy, czy możemy temu zaradzić - odparł sir Domynek Staynair z pokładu swojego okrętu zakotwiczonego obecnie na zatoce Thol.

- Nie - zaprzeczył Cayleb jeszcze bardziej gorzkim głosem. - Nie będziemy rozmawiali o tym, czy możemy temu zaradzić, tylko jak mamy to zrobić. Wszyscy zgodziliście się, że takie posunięcie jest najlogiczniejszym ruchem z ich strony po tym, co stało się z sir Gwylymem. A ja uważam, że musimy potraktować serio zagrożenie z ich strony, co oznacza wzmocnienie obrony Corisandu i Chisholmu.

- Obawiam się, że masz rację.

Merlin westchnął.

- Ja też - dodał hrabia Wyspy Zamek. - Ale skoro już mowa o tym, co zrobi hrabia Thirsku, zastanówmy się także, do czego są zdolni władcy Kholmanu i Jahrasu.

Merlin skrzywił się.

Brak sensorów na terenie Świątyni pozostawiał sporą białą plamę w gromadzonych danych. Niestety nie było sposobu na umieszczenie elektronicznych oczu i uszu w pomieszczeniach, do których dostęp mieli wyłącznie członkowie Grupy Czworka. Frustracja spowodowana tą niemożnością była tym większa, że członkowie wewnętrznego kręgu mieli dostęp do wszystkich pozostałych sztabów na tej planecie.

Merlin nie zapominał jednak, że on i jego sojusznicy dysponują najlepszym wywiadem, jaki istniał w całej historii Schronienia. Problem polegał na tym, że potrzebowali takiej przewagi, by przetrwać starcie z niewyobrażalnie liczniejszym przeciwnikiem. Od

wielu pięciodni czekali na to, jaki ruch wykona flota Kościoła Matki po rozpoczęciu jesieni.

Jak już wspomniał hrabia Wyspy Zamek, Allayn Magwair i jego koledzy z Grupy Czworoga musieli podjąć jakąś decyzję, zanim porty na północy zamarzną na dobre. Mogli, rzecz jasna, uznać, że poczekają z tym do wiosny, aczkolwiek nikt z uczestników tej narady nie wierzył w takie rozwiązanie. Po wypowiedzeniu świętej wojny i krwawej rozprawie w łonie wikariatu, która pozwoliła Clyntahnowi na zabezpieczenie sobie tyłów na terenie Świątyni i Syjonu, możliwość przezimowania w portach stu kilkudziesięciu nowo wybudowanych galeonów wydawała się bardziej niż bezsensowna.

Dlatego Merlin, Cayleb oraz admirałowie Wyspy Zamek i Skalistego Klifu rozważali od pewnego czasu, jakie mogą być kolejne ruchy Kościoła Matki, i doszli do wniosku, że istnieją trzy możliwe cele floty: Zatoka Shwei, Gorath albo Mathyas. Za przeniesieniem całej floty na któryś z tych akwenów przemawiało wiele argumentów, aczkolwiek istniała także czwarta opcja, czyli Zatoka Bédard na wodach Siddarmarku. W jej północnej części znajdowały się najłatwiejsze do obrony kotwicowiska na wodach wolnych od lodu. A przy obsesyjnym wręcz przekonaniu Clyntahna, że republika jest najmniej pewnym członkiem świątynnej koalicji, ustawienie tak ogromnych sił na wprost nabrzeży stolicy mogłoby być znakomitym i kuszącym zarazem sposobem nacisku na lorda protektora.

Zastanawiano się także nad kwestią, w jaki sposób Kościół Matka podzieli wysyłane na południe siły. Merlin miał nadzieję, że Magwair nie skoncentruje wszystkich okrętów w jednym miejscu, tylko roześle je do wszystkich wspomnianych celów. Takie rozproszenie sił byłoby najkorzystniejsze, aczkolwiek wyłącznie z punktu widzenia Charisjan.

Jednak bez względu na żywione nadzieje Merlin spodziewał się, że Świątynia wybierze strategię, o której właśnie się dowiedzieli. Zważywszy na sukcesy hrabiego Thirsku, najrozsądniejszym ruchem byłoby jak najszybsze oddanie pod jego dowodzenie wszystkich sił. Co więcej, dohlariańskie odlewnie pod rządami hrabiego produkowały obecnie najlepsze działa poza Charisem i robiły ich naprawdę wiele. Wprawdzie większość nadal była odlewana z brązu, jako że nikt poza Howsmynem nie opanował jeszcze w wystarczającym stopniu technologii pozwalającej na robienie żelaznych armat, niemniej moce przerobowe tamtejszych manufaktur rosły z miesiąca na miesiąc. Choć rzemieślnicy z Dohlaru nie byli aż tak innowacyjni jak Charisjanie, to jednak znacznie przewyższali pod tym względem swoich harchońskich kolegów po fachu.

Gospodarka imperium nadal opierała się na niewolnictwie. Harchong bazował od wieków na masowym wykorzystywaniu przymusowych robotników, a reakcyjny konserwatyzm władz, połączony z ultraortodoksyjnym podejściem do Zakazów Jwo-jeng,

wykluczał jakąkolwiek innowacyjność. Niemniej dzięki niezwykle licznej populacji imperium zdominowało przed stu pięćdziesięciu laty rynki Zachodniego Howardu i Haven, i to mimo tak ogromnego braku konkurencyjności i niskiej jakości oferowanych towarów. Gdy Świątynia ogłosiła nowy program zbrojeń, wydawało się, że liczne harchońskie odlewnie będą w stanie dostarczyć niemal trzecią część, a nawet połowę potrzebnych armat, niestety dość szybko okazało się, że niewielkie manufaktury nie mają takich mocy przerobowych, jak wcześniej zakładano. Na szczęście dla Kościoła Matki, Dohlarianie pod wodzą hrabiego Thirsku i księcia Fernu zdołali uratować sytuację, łącąc tę lukę z naddatkiem. Zważywszy na to, jak źle idzie odlewanie dział w Harchongu i na Ziemiach Świątynnych, najrozsądniejszym ruchem wydawało się wysłanie jak największej liczby nieuzbrojonych okrętów na wody zatoki Gorath. Teraz, gdy siły hrabiego Thirsku odzyskały kontrolę nad wyspą Szpon, podróż tam byłaby o wiele krótsza i bezpieczniejsza.

Inną korzyścią z takiego obrotu spraw byłoby oddanie niemal dwustu najpotężniejszych okrętów Świątyni pod rozkazy najlepszego admirała, i to na pozycji, z której bez trudu można zaatakować od wschodu Chisholm albo Corisand. A teraz, po porażce eskadry sir Gwylyma, gdy flota cesarstwa dysponowała tylko dziewięćdziesięcioma siedmioma galeonami, przeciwstawienie się takiej sile byłoby bardzo trudnym wyzwaniem.

*Zwłaszcza że, jak słusznie zauważył Bryahn, nadal musimy mieć oko na tych cholernych Desnairian, pomyślał zniesmaczony Merlin.*

Książę Kholmanu, ale i admirał Jahras przypominali *seijinowi* pewnego generała ze Starej Ziemi, nazwiskiem McClellan. Obaj byli niezłymi menedżerami, i to pod każdym względem. Mimo wciąż trwających problemów z artylerią własnej produkcji udało im się już zwodować prawie siedemdziesiąt galeonów, które wykończyli, wyposażyli i niemal obsadzili. To było zdumiewające osiągnięcie, zwłaszcza że w Desnairze, przed programem budowy Floty Boga, przemysł stoczniowy praktycznie nie istniał. Rzecz jasna nie obeszło się bez wielu uchybień, spora część jednostek była marnej jakości, a desnairiańskie działa miały tendencję do wybuchania, lecz siedemdziesiąt kilka galeonów i tak stanowiło siłę, z którą należało się liczyć.

Dobłą wiadomością (i głównym powodem, dla którego obaj arystokraci kojarzyli się Merlinowi z McClellanem) było to, że budując flotę, robili co mogli, by nie wydarzyło się nic złego. Widać, że strasznie przeżyli porażkę komandora Wailahra w starciu z HMS *Przeznaczenie* Dunkyna Yairleya. Baron Jahrasu bał się do tego stopnia, że zabronił ćwiczącym załogom wychodzenia poza wody zatoki, co bardzo odpowiadało Charisjanom.

Jeśli jednak zajdzie konieczność przerzucenia sił cesarskiej floty w pobliże Corisandu

i Chisholmu, aby bronić tamtych terytoriów przed atakiem osoby tak pojętej jak hrabia Thirsku, nawet taki tchórz jak baron Jahrasu może zacząć poczynać sobie śmieiej. A jeśli do tego dojdzie...

- Będziemy musieli zredukować liczbę jednostek stacjonujących na wodach Charisu, Bryahnie, bez względu na to, co zrobią Desnairianie - oświadczył w końcu Cayleb. - Hrabia Thirsku jest za dobry... jeśli przybędzie do Chisholmu na czele dwustu galeonów, będziemy potrzebowali znacznie więcej okrętów, niż ma teraz hrabia Sharpfieldu, aby go powstrzymać.

Hrabia Wyspy Zamek westchnął ciężko. Sir Lewk Cohlmyń, hrabia Sharpfieldu, dowodził marynarką wojenną Chisholmu. Był też drugim co do ważności dowódcą cesarskiej floty, zaraz po wielkim admirał. Tak wysoka ranga, plus znakomita znajomość wód otaczających Chisholm sprawiały, że był najrozsądniejszym i jedynym wyborem na głównodowodzącego sił broniących domeny Sharleyan. W czasach pokoju był znakomitym oficerem, udało mu się nawet wyplenić wszechobecną korupcję na wszystkich poziomach władzy. Nikt też nie wątpił w jego odwagę. Niestety miał doświadczenie tylko w taktyce walki galer. Nigdy nie dowodził choćby pojedynczym galeonem, a teraz oddano pod jego rozkazy całe eskadry tych nowoczesnych okrętów wojennych, więc myśl o tym, że będzie zdobywał szlify w starciu z wrogiem posiadającym sześć-, a nawet siedmiokrotną przewagę liczebną, napawała ich wszystkich trwogą.

- Dobrze by było, gdyby któryś z dowódców w Chisholmie albo Corisandzie miał komunikator - wtrąciła Sharleyan. - Gdyby sir Lewk albo admirał Mahndyru dysponowali dostępem do SAPK-ów, mogliby połączyć siły. Wspólnie mieliby większe szanse na pokonanie hrabiego Thirsku.

Teraz Merlin skinął aprobująco głową. Gharth Rahlstahn, hrabia Mahndyru, był szmaragdowym odpowiednikiem hrabiego Sharpfieldu. Jako młodszy wiekiem miał stosunkowo niewielkie doświadczenie w służbie na morzu, lecz w cieśninie Darcos dowiódł, że potrafi i chce walczyć. A kilka lat służby u księcia Nahrmahna nauczyło go wielu sztuczek i wybiegów, których całkowicie apolityczny Chisholmianin w ogóle nie pojmował. Były to jedne z najważniejszych powodów przydzielenia mu zadania obrony Corisandu.

- Niestety, w chwili obecnej jedyną osobą o tym statusie, którą moglibyśmy tam posłać, jesteś ty, Domyńku - zauważył hrabia Wyspy Zamek. - A to...

- A to - przerwał mu Cayleb dziwnym, wręcz rozbawionym tonem - byłoby teraz bardzo niezręcznym posunięciem politycznym.

- Niezręcznym, ale akceptowalnym, wasza wysokość - odparł z pełnym szacunkiem baron Skalistego Klifu. - Wiem, że Gorjah bardzo by chciał, abym osobiście dowodził



naszymi siłami w zatoce Thol, gdy w końcu zdecyduje się ogłosić przystąpienie do nas, ale muszę powiedzieć, że znam osobiście z pół tuzina oficerów, którzy mogliby mnie z powodzeniem zastąpić na tym stanowisku. Weźmy choćby takiego Kohdy'ego Nylza, że wymienię pierwszego z brzegu.

- Nie wątpię, że admirał Nylz byłby w stanie przejąć twoje obowiązki, mój panie - wtrącił Nahrman. - Problem jednak w tym, że Gorjah zażądał, abyś ty dowodził naszymi siłami w zatoce, na wypadek gdyby paskudni Desnairianie chcieli go zaatakować, jak już Świątynia odkryje, że przeszedł na naszą stronę. Już teraz ma ogromnego pietra, a wątpię, aby podzielał nasze zdanie na temat floty barona Jahrasu. Jego obawy można uznać za uzasadnione, zważywszy na fakt, że Dohlar leży znacznie bliżej Desnairu niż Charisu. Wydaje mi się, że on tak bardzo wierzy w pańskie umiejętności, admirale, iż może w ostatniej chwili się rozmyślić i zrezygnować, jeśli tylko zauważy, że dokonaliśmy zmiany na stanowisku głównodowodzącego floty stacjonującej na jego wodach.

- Zwłaszcza jeśli się dowie, że w tym samym czasie Inkwizycja zwiększa liczbę swoich agentów na terenie jego domeny - dodał Merlin.

- Moim zdaniem Nahrman i Merlin mają rację - poparła ich mocno niezadowolona z takiego obrotu sprawy Sharleyan.

- Moim także - mruknął Cayleb, aczkolwiek w jego głosie dało się wyczuć spore rozbawienie, zaraz też zadziwił wszystkich wybuchem głośniego śmiechu.

- Czyżbym przeoczyła jakiś żarcik? - zapytała kąśliwie jego małżonka, a on skinął głową, wciąż nie mogąc się uspokoić.

- Szczerze mówiąc, tak - odparł w końcu. - Co mnie zadziwiło, ponieważ zazwyczaj bywasz nieco bardziej rozgarnięta.

- Rozgarnięta? - powtórzyła z jeszcze większą pretensją w głosie. Zabrzmiało to groźnie.

- Czyżbyś przeoczyła ten mało istotny szczegół, że oboje będziemy w tym czasie przebywali w Chisholmie? Podobnie jak człowiek imieniem Merlin, chyba że o czymś jeszcze nie wiem?

Sharleyan zrobiła wielkie oczy. Przez moment gromiła go wzrokiem kobiety, która wie, że rzadko kiedy się myli, a potem sama wybuchnęła śmiechem.

- No, oczywiście! A jeśli mnie pamięć nie myli, masz za sobą jakieś tam doświadczenie w walce na morzu.

- Takie tycie, ot - przyznał jej małżonek, pokazując niewielką przestrzeń pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

- Z całym szacunkiem, wasze cesarskie moście, ale nie mam zamiaru ryzykować waszego życia w ten sposób - stwierdził hrabia Wyspy Zamek. Cayleb uniósł brew ze zdziwienia, słysząc tak ostry ton w głosie starego admirała. - Twój ojciec miał rację, twierdząc, że marynarze walczący w cieśninie Darcos i za Rafą Armagedonu muszą wiedzieć, iż jesteś z nimi. Dzisiaj jednak mamy zupełnie inną sytuację, a twoja śmierć na polu walki przyniosłaby naszej sprawie katastrofalne skutki. - Sądząc z napięcia wyczuwalnego w głosie hrabiego Wyspy Zamek, miał on też osobiste powody, by nie chcieć widzieć śmierci swojego kuzyna, więc Cayleb popatrzył na niego łagodniej, niemniej i tak pokręcił głową.

- Po pierwsze mamy już załatwioną kwestię sukcesji tronu - powiedział, ujmując dłoń małżonki. - Nie ma w Starym Charisie człowieka, który kwestionowałby prawo Sharleyan do przejęcia rządów, gdybym ja poległ w walce. No i mamy Alahnah. Nie mówcie mi więc, że jestem taki niezastąpiony. Dzisiaj mam chyba nieco mniejsze znaczenie dla sprawy niż wtedy. Po drugie flota darzy mnie szacunkiem. Sądzę więc, że marynarze będą zadowoleni, gdy razem z nimi wezmę udział w bitwie z przeważającymi siłami przeciwnika.

Powiedzenie, że cesarska marynarka wojenna „darzy go szacunkiem”, było stwierdzeniem w stylu: „Wielki Ocean Zachodni składa się z wody”, pomyślał Merlin.

- Po trzecie, i chyba najważniejsze - kontynuował tymczasem władca - jestem jedynym człowiekiem, może prócz ciebie, Bryahnie, który ma dostęp do SAPK-ów i na tyle ważne stanowisko, by wydawać rozkazy hrabiemu Sharpfieldu. Dlatego nie znajdziecie usprawiedliwienia dla decyzji o pozostawieniu mnie na lądzie i dobrze o tym wiecie.

- Racja, Bryahnie - wyszeptała Sharleyan, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie. - Choć mam pewnie więcej oporów niż ty przed wysłaniem go tam, gdzie świszczą kule - ucisnęła dłoń Cayleba - nie mogę powiedzieć, że mój mąż się myli.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Zamyślony cesarz siedział nieruchomo, bębniąc od niechcenia palcami po blacie stolika. W końcu westchnął głośno.

- Dobrze - powiedział. - Tak zrobimy. Obawiam się, że będę musiał zabrać ze sobą więcej okrętów, niż to ci się spodoba, Bryahnie. Musimy wzmocnić obronę Chisholmu i Corisandu, skoro wiemy już, jakie niebezpieczeństwo może im zagrażać. I musimy to zrobić natychmiast. O tej porze roku nasze posiłki będą potrzebowały znacznie więcej czasu na dotarcie do Chisholmu niż okręty Magwaira na zawinięcie do zatoki Gorath. Wprawdzie i tak zostanie nam parę dni, zanim zaatakują, lecz nie chcę dać hrabiemu Thirsku swobody działania. Z drugiej strony nie zorganizujemy tej wyprawy z dnia na dzień. Przygotowania muszą potrwać co najmniej kilka dni, a ja nie chciałbym opóźnić naszego wyjazdu do Chisholmu. Zgadzam się z opiniami Merlina i Nahrmahna, że powinniśmy zostawić

Domynyka tam, gdzie jest. Ja przynajmniej będę miał z wami łączność satelitarną. Wyślemy więc uzupełnienia pod dowództwem admirała Nylza. To dobry dowódca i przyda mi się na miejscu.

- Dobrze, wasza wysokość - odparł hrabia Wyspy Zamek, kłaniając się przebywającemu daleko od niego władcy. - Ile okrętów mam mu dać?

- Ta kwestia przeraża mnie, jeśli mam być szczery - przyznał Cayleb. - Do zabezpieczenia wód wokół Corisandu i Chisholmu będę potrzebował co najmniej sześćdziesięciu jednostek. - Cisza, z jaką powitali tę liczbę, była bardzo wymowna, dlatego cesarz skrzywił się mocno. - Do tego przydadzą mi się wszystkie stare galery z karonadami na pokładzie - dodał - ale nawet z pomocą SAPK-ów nie możemy rozmnożyć posiadanych galeonów. Będę widział, co robi hrabia Thirsku, ale jeśli okaże się tak sprytny, jak się tego spodziewamy, nie podzieli swoich sił na mniejsze formacje, które moglibyśmy wyłuskiwać kolejno i niszczyć. Ruszy na mnie całą flotą, więc będę potrzebował całej siły ognia, jaką posiadamy, by go powstrzymać.. A to znaczy, że nawet sześćdziesiąt galeonów może nie wystarczyć, zwłaszcza teraz, gdy on już wie, jak niszczycielska potrafi być celna salwa burtowa. Tyle dobrego, że dzięki SAPK-om będę mógł wybierać odpowiednią taktykę, gdy dojdzie w końcu do bitwy.

- Wasza wysokość - odezwał się po kolejnej chwili baron Skalistego Klifu - nie zamierzam kwestionować niczego, co przed chwilą powiedziałeś, ale jeśli wyślemy sześćdziesiąt galeonów do Chisholmu i Corisandu, zostanie nam tylko trzydzieści jednostek do obrony Starego Charisu.

- Wiem - przyznał Cayleb. - Ale pamiętaj, że wspomniane sześćdziesiąt galeonów będzie musiało walczyć na chisholmskich wodach z trzykrotnie liczniejszym przeciwnikiem. A do tej przewagi musisz jeszcze dodać genialnego dowódcę, jakim jest hrabia Thirsku. Sądzę, że ty i Bryahn, mając przeciw sobie takie miernoty jak baron Jahrasu, bez problemu poradzicie sobie z jego dwukrotną przewagą liczebną. - Baron Skalistego Klifu nie odzywał się przez chwilę, a potem skinął głową. - Zauważ też, że nie zamierzam popełnić tego samego błędu, co Gwylym - dodał Cayleb, patrząc na nich hardziej. - Mamy o wiele więcej szkunerów, niż nam potrzeba do utrzymywania blokady, zwłaszcza teraz, gdy Tarot przyłącza się do cesarstwa, dlatego chciałbym, abyście wysłali też piętnaście do dwudziestu takich jednostek z galeonami Nylza. Dzięki nim będziemy w stanie patrolować wody wokół wyspy Szpon i wybrzeża Harchongu, a ja zyskam wiarygodne wytłumaczenie, skąd tak doskonale orientuję się w ruchach hrabiego Thirsku. Może wystarczy ich także na organizowanie szybkich wypadów na zatokę, by uprzykrzyć życie naszym przeciwnikom. Wątpię, aby hrabia

spanikował, kiedy rzucimy do walki z nim konwertowane frachtowce, ale zawsze warto spróbować. Pamiętajmy, że hrabia Thirsku nie funkcjonuje w politycznej próżni - dodał. - Nawet obecność biskupa Maika w jego narożniku nie uchroni go przed dyskretnym ciosem w plecy ze strony księcia Thorastu. Być może, gdy znowu zrobię piekło na tych samych wodach co Gwylym, księżę uzna, że warto spróbować. - Cayleb skrzywił się. - Nie chciałbym robić czegoś takiego honorowemu człowiekowi, ale on jest zbyt dobry, dlatego muszę knuć na wszystkie sposoby, jak się go pozbyć.

- Szczerze mówiąc, to naprawdę znakomity pomysł - przyznał hrabia Wyspy Zamek. - Jeśli uderzymy pierwsi, możemy wymusić na nich zmianę planów i przyspieszenie akcji. A niewykluczone, że w najbliższych miesiącach zdołam wysłać ci do pomocy znacznie więcej szkunerów.

To jest do zrobienia, uznał Merlin. Dzisiaj nie tylko można było wycofać jednostki blokujące wybrzeża, co zauważył już Cayleb, ale i korsarstwo przestawało się powoli opłacać. Większość frachtowców pływających pod kościelną banderą poruszała się konwojami pod tak silną ochroną, że nie opłacało się ich atakować. Krótko mówiąc, nie było kogo łupić. A to oznaczało, że kompanie korsarskie mogły się pozbyć dziesiątek niezwykle szybkich, dobrze uzbrojonych szkunerów. Szczerze mówiąc, ostatnio było ich na rynku wtórnym tyle, że szły za przysłowiowe grosze.

- Dobry pomysł - ucieszył się Cayleb. - A co do sytuacji na charisjańskich i tarockich wodach, to nie zapominaj, Domynyku, o nowych pociskach łuskowych Ehdwyrda i Ahlfryda. Powinni rozpocząć ich produkcję już za miesiąc.

- Rozpocząć - mruknął znacząco baron Skalistego Klifu.

Ehdwyrd Howsmyn był tak sfrustrowany jak nigdy dotąd. Dobijały go kolejne opóźnienia we wdrażaniu do produkcji nowoczesnej amunicji barona Morskiego Szczytu. To jednak nie była jego wina; nawet mając dostęp do banków danych Sowy, nie stworzyłby z niczego potrzebnych maszyn i nie opracował by technologii, a nade wszystko, nie wyszkoliłby wykwalifikowanej siły roboczej. A w odróżnieniu od Merlina musiał liczyć tylko na siebie. *Seijin* podrzucał mu od czasu do czasu jakąś sugestię albo gotowy pomysł, nie mógł jednak wyjaśnić całości procesu, nie naruszając któregoś z Zakazów Jwo-jeng, a to obecnie, gdy wypowiedziano już świętą wojnę, miało większe znaczenie niż kiedykolwiek wcześniej. W końcu udało mu się dopiąć wszystko na ostatni guzik, ale ile to trwało. A gdy poradził sobie z tworzeniem nowych technologii, natychmiast zaczęły się problemy pogodowe uniemożliwiające uruchomienie manufaktury mającej produkować nową amunicję. Ulewne trwające w nieskończoność deszcze spowodowały zamulenie kanałów obsługujących jego

stalownie, potem zaczął się trwający dwa miesiące sezon huraganów pustoszących Morze Sprawiedliwości... Gdyby Howsmyn nie znał całej prawdy o archaniołach, z pewnością uznałby, że sam Bóg sprzyja wrogom Charisu.

W końcu jednak wylano fundamenty, postawiono ściany i nakryto dachami hale, w których stały kończone właśnie piece, lecz wciąż trzeba było dwóch albo nawet trzech miesięcy - on sam podejrzewał, że stanie się to dopiero w marcu - do rozpoczęcia satysfakcjonujących dostaw dla marynarki.

- Wiem, że nie zdołamy rozdystrybuować tej amunicji przed wiosną - powiedział hrabia Wyspy Zamek. - Z drugiej strony Kościół Matka wysłał trzon swojej floty do hrabiego Thirsku, a ten, nawet jeśli zechce spróbować powtórki z Rify Armagedonu, dotrze do naszych wybrzeży dopiero za sześć, siedem miesięcy. Szczerze mówiąc, wątpię, czy ktokolwiek z nich zaryzykuje powtórkę, zwłaszcza po tym, co stało się ostatnio, i mając pod nosem Corisand i Chisholm. Dlatego najważniejsze będzie, aby wzmocnić maksymalnie flotę jego wysokości, aby mogła powstrzymać hrabiego Thirsku do momentu, w którym Ehdwyrd zdoła zaopatrzyć nas w nowe rodzaje amunicji. Gdy ją dostaniemy - hrabia uśmiechnął się paskudnie - sami zaczniemy ich szukać, a gdy już znajdziemy, na pewno nie spodoba im się bliski kontakt z naszymi liniowcami.

**PAŹDZIERNIK**

**ROKU PAŃSKIEGO 894**

.I.

**HMS KRÓLEWSKI CHARIS**

**MORZE ZEBEDIAHU,**

**HMS AHRMAHK**

**MORZE CHARISJAŃSKIE**

**ORAZ**

**HMS NISZCZYCIEL**

**ZATOKA THOL**

Merlin Athrawes wyartykułował to słowo z ogromną emfazą, gdy zobaczył ostatni raport Sowy, HMS *Królewski Charis* po sześciu pięciodniach rejsu dotarł do Morza Zebediahu i znajdował się już w połowie drogi do Cherayth. Kończyło się właśnie czuwanie Langhorne'a, czyli północ Schronienia, a Cayleb i Sharleyan już od dawna mocno spali.

*Obudzenie ich niewiele mi pomoże, pomyślał Merlin z ponurą miną. Z drugiej jednak strony, jeśli nie poinformuję ich o tym natychmiast, będą nieludzko wkurzeni.*

Rozważył ten problem raz jeszcze, potem skrzywił się i zdecydował na kompromis. Księżniczka Alahnah obudzi się na następne karmienie za mniej więcej godzinę. Mógł pozwolić ich cesarskim gościom choć na tyle snu.

Ale w Tellesbergu była dopiero ósma, więc...

\* \* \*

Bryahn, hrabia Wyspy Zamek, zmrużył oczy, gdy niewidoczna słuchawka w jego uchu wydała cichy świergot, nadając umówiony sygnał muzyczny. Tony tej melodii, znanej na Starej Ziemi jako „Kotwice w górę”, brzmiały dziwnie obco dla człowieka wychowanego na Schronieniu. Dzięki niej wiedział jednak, że próbującą skontaktować się z nim osobą jest Merlin. Admirał nie spodziewał się tej rozmowy o tak wczesnej porze. *Seijin* rzadko dzwonił, kiedy w pobliżu innych członków wewnętrznego kręgu mogli się znajdować obcy ludzie.

A to znaczyło, że hrabia powinien jak najszybciej odebrać to połączenie.

- Dobrze, Henrai - powiedział do siedzącego po drugiej stronie stołu komandora porucznika - to chyba już wszystko. Jest jeszcze kilka punktów, które chciałbym omówić przed jutrzejszą odprawą, ale pozwól mi je przemyśleć w nocy.

- Oczywiście, sir.

Henrai Tillyer był oficerem admiralskiego flagowca od ponad trzech lat. Gdy młodziwiec awansował na komandora porucznika, wielki admirał wzorem hrabiego Thirsku uczynił z niego szefa swojego sztabu. W odróżnieniu od Dohlarianina hrabia Wyspy Zamek nie musiał niczego wymyślać, zaczerpnął bowiem ten koncept z baz danych Sowy, gdzie szukał informacji na temat ziemskich struktur dowodzenia. Dzięki temu był teraz na najlepszej drodze do stworzenia prawdziwego sztabu, w którym każdy oficer miał odpowiadać za inne sprawy. Zaczął już nawet prowadzić w myślach selekcję oficerów floty, armii i korpusu piechoty morskiej, którzy mieli stworzyć sztab generalny sił zbrojnych całego Imperium Charisu, gdy tylko cesarz Cayleb wyrazi na to zgodę.

W tej konkretnej chwili Tillyer, znający starego admirała lepiej niż inni oficerowie, wydawał się zdziwiony tak nagłym zakończeniem spotkania, jednakże nie zamierzał o nic pytać, choć miał na to ogromną ochotę. Zamiast tego zebrał szybko notatki i wsunął je do teczki, a potem, uśmiechnąwszy się do hrabiego Wyspy Zamek, dopił whiskey i pogłaskał z uczuciem ukochanego rottweilera swojego przełożonego po karku i wielkiej głowie.

Flagrum prychnął głośno, lecz nawet nie otworzył oczu.

- Zatem do zobaczenia rano, sir.

- Świetnie. A skoro już o tym mowa, może wpadłbyś do mnie na wczesne śniadanie?

- Oczywiście, sir.

Tillyer skinął głową z szacunkiem i opuścił kajutę, zamykając za sobą drzwi. Wielki admirał spoglądał w tamtym kierunku jeszcze przez chwilę, a następnie otworzył przeszkłone drzwi prowadzące na pomost rufowy. Oparł się o reling i spojrzał w ciemniejące niebo. Pojawiły się już na nim pierwsze najjaśniejsze gwiazdy, chociaż do zapadnięcia zmroku pozostała jeszcze dłuższa chwila.

- Słucham, Merlinie - zgłosił się półgłosem, aby nikt, kto nie stał tuż przy nim, nie mógł dosłyszeć tych słów w szumie wiatru i fal.

- Wybacz, że ci przeszkadzam - w uchu wielkiego admirała rozbrzmiał głos *seijina*. Było w nim coś tak niepokojącego, że hrabia natychmiast zmarszczył brwi. - Wyłonił się problem - kontynuował Athrawes. - I to poważny.

- O co chodzi? - zapytał szybko wielki admirał Wyspy Zamek i usłyszał odległe westchnięcie.

- Wykołowali nas - wyjaśnił bezbarwnym tonem Merlin. - Nie wysłali floty do hrabiego Thirsku, tylko do Desnairu.

\* \* \*

Dwie godziny później Merlin, Cayleb i Sharleyan usiedli na pomoście rufowym



*Królewskiego Charisu.*

- To moja wina - powiedział *seijin*.

- Gówno prawda! - zaprotestował cesarz. - Dlaczego uważasz, że to twoja wina? A raczej: wyłącznie twoja, bo zdaje się, że do takiej właśnie konkluzji doszedłeś.

- Ponieważ to ja twierdziłem, że flota popłynie do hrabiego Thirsku - wyjaśnił Merlin.

- Gdybym nie zasugerował wam takiego rozwiązania...

- Cayleb ma rację. Pitolisz od rzeczy! - Wielki admirał wpadł mu w słowo, a sądząc po głosie, był jeszcze bardziej poirytowany niż Cayleb. - Nie ty jeden uznałeś, że najbardziej prawdopodobnym celem będzie zatoka Gorath. A bez względu na to, co sobie myślałeś, mieliśmy przecież potwierdzenie rozkazów na piśmie, wszyscy je widzieliśmy dzięki przekazom Sowy. Dlatego wspólnie uznaliśmy, że te okręty popłyną tam, gdzie im każe nie kto inny jak wikariusz Allayn. Dlaczego ktoś z nas miałby przypuszczać, że ta decyzja może zostać zmieniona w ostatniej chwili?

- Wątpię, aby zmienili ją tuż przed wyruszeniem - do rozmowy włączył się książę Nahrman, podobnie jak Cayleb i Sharleyan wracający z żoną do Chisholmu na pokładzie własnego galeonu, HMS *Eraystor*, jednej z dwóch jednostek eskortujących *Królewski Charis*.  
- Moim zdaniem planowali ten ruch od samego początku.

- Dlaczego więc poinformowali swoich kapitanów, że popłyną na zachód? - zapytał Domynek Staynair ze swojego flagowca, płynącego po zatoce Thol.

- Dezinformacja - odparł zwięźle Nahrman. - Cokolwiek myślimy o Grupie Czworoga, na pewno nie mamy do czynienia z idiotami. Może co najwyżej z głupcami. Aroganckimi i skorumpowanymi. Moim zdaniem większość ich tak zwanych błędów wynika wyłącznie z tego, że nie wiedzą, z czym naprawdę walczą. Uważają, że wszystko jest po staremu: szpiegowanie, czas komunikacji i cała reszta. I dlatego wciąż wierzą, że ich poczta semaforowa jest najszybsza na świecie, choć to naprawdę przestarzały i powolny wynalazek... przynajmniej dla niektórych z nas. Mówię o tym, że za szybko zaczęliśmy ich lekceważyć. Pamiętajcie, jak przewrócili Tarot do góry nogami, usiłując znaleźć źródło przecieku przed bitwą pod Rafą Armagedonu. Wiecie też, że nie znaleźli niczego, ponieważ w domenie Gorjaha nie było zdrajcy. Niestety podczas analizowania ich kolejnego planu zapomnieliśmy, że tym razem mogą wziąć pod uwagę istnienie rozległej i efektywnej siatki szpiegowskiej na swoim terenie. A zrobili to, jak widać... Ktoś tak przebiegły jak ja powinien to zrozumieć, do diaska!

Pulchny mały książę przemawiał zgorzkniałym tonem, jakiego Merlin nigdy wcześniej u niego nie słyszał. Wszyscy pojęli, jak jest wściekły na siebie, gdy zatchnął się na

moment.

- Jak już wspomniałem, powinienem był przewidzieć, że spróbują podobnej sztuczki - dodał Nahrman po krótkiej chwili, już znacznie spokojniej. - A zważywszy na masę zakodowanych wiadomości, które przesyłają pocztą semaforową, musieli być pewni, że i ktoś inny może korzystać z tego samego systemu, na przykład nadając zaszyfrowane raporty wyglądające jak zwykłe umowy handlowe albo nawet listy. Jedynym sposobem na zatrzymanie takiej wymiany informacji byłoby zamknięcie sieci semaforowej dla osób świeckich, lecz to spowodowałoby ogromny zamęt i pozbawiło ich sporych wpływów, których teraz potrzebują bardziej niż kiedykolwiek. Co więcej, musieli zdawać sobie sprawę z tego, że zamknięcie stacji semaforowych nie rozwiązuje sprawy, gdyż są jeszcze inne, alternatywne sposoby komunikacji, jak choćby wywerny pocztowe.

Znów przerwał wypowiedź, a Cayleb uśmiechnął się pod nosem. Dawno temu, gdy Nahrman spiskował jeszcze przeciw królowi Haarahldowi i jego synowi, główny agent jego wywiadu w Tellesbergu był jednym z najbardziej znanych hodowców wyvern pocztowych w Koronie. Dzięki niemu książę znalazł idealny sposób na szybką komunikację pomiędzy Charisem i Szmaragdem.

- Gdy dotarło do nich, że mamy siatkę szpiegów na Ziemiach Świątynnych i że nasi agenci mogą przesłać do nas wiadomości równie szybko jak oni za pomocą semaforów do swoich jednostek, zrozumieli, że tym razem muszą przedsięwziąć jakieś środki zapobiegawcze. I zrobili to, jak widzicie. Polecili swoim kapitanom przygotować się do rejsu na zachód, licząc na to, że nasi agenci przejmą te rozkazy i przekażą do Charisu, od samego początku przewidując zmianę planów w ostatniej chwili.

- Wydaje mi się, wasze cesarskie moście, że książę Nahrman ma rację - powiedział Rahzhvr Mahklyn ze swojego apartamentu w pałacu. - W każdym razie to bardzo sensowna teoria.

- Możliwe - przyznał Merlin. - Ale wiedza o tym, jak nas wykiwali, nie pomoże w podjęciu nowej decyzji. A musimy to zrobić.

- Masz rację - poparł go Cayleb, pochmurniejac.

- Szczerze powiedziawszy, niewiele możemy w tej sytuacji zrobić - dodał hrabia Wyspy Zamek. - Kohdy Nylz wypłynął niecały tydzień po was, a wiatry o tej porze roku są bardzo niekorzystne, gdybyście chcieli zawrócić na zachód. Gdyby nawet udało się z nim skontaktować natychmiast... choć nie wiem, jak moglibyśmy to wytłumaczyć... powrót do Charisu potrwałby siedem albo osiem pięciodni.

- Wszystko przez to, że tak was poganiałem - powiedział Cayleb.

- Skoro zabroniłeś Merlinowi obwiniać się o coś, czemu nie jest winny, nie obwiniaj też siebie - zganiał go kuzyn. - Podjąłeś jedyną słuszną decyzję na podstawie wiedzy, którą wtedy posiadaliśmy. Oni nas wykiwali, jak to pięknie ujął Merlin... - Wielki admirał zaśmiał się pod nosem. - O ile to określenie dotyczy tego, o czym myślę.

- Cóż, zakładając, że rozkazy wysłane do księcia Kholmanu i barona Jahrasu nie są kolejną dezinformacją, nasi przeciwnicy zamierzają wziąć w dwa ognie ciebie i Domyńka - zauważyła Sharleyan. - Musimy więc przede wszystkim zadbać o to, by nie zrealizowali tej części planu.

- Popieram waszą łaskawość. - Hrabia Wyspy Zamek zareagował pierwszy.

- Pozostaje tylko pytanie, jak nasze dwadzieścia siedem galeonów ma walczyć ze stu trzydziestoma jednostkami wroga, jeśli w ogóle uda nam się je dopaść, zanim siły barona Jahrasu uderzą na nas od tyłu - odezwał się baron Skalistego Klifu.

- Tylko dziewięćdziesiąt z nich ma uzbrojenie - odparł wielki admirał, na co Domynek zareagował głośnym prychnięciem.

- Dobrze, w takim razie powiedz mi, jak dwadzieścia siedem galeonów ma walczyć z dziewięćdziesięcioma? Załóżmy, że jeden nasz wart jest co najmniej dwóch świątynnych albo i dwóch i pół, czy u licha, niech będzie, że trzech! Nawet jeśli zdołamy zmusić okręty północy do zawrócenia, i tak poniesiemy przy tym spore straty. Co będzie, Bryahnie, jeśli trafimy potem na to drugie zgrupowanie?

- Zostaniecie rozgromieni - przyznał hrabia Wyspy Zamek. - Ale ich zaboli to znacznie bardziej niż nas.

- Zauważcie, że tej flocie nie towarzyszy kilkaset transportowców z wojskiem - zauważyła Sharleyan. - Nawet jeśli zdołają dopłynąć do portów docelowych, nie będą dysponowali armią gotową dokonać desantu.

- Myślisz, że możemy uniknąć tego starcia? Że powinniśmy grać na zwłokę? - zapytał Cayleb.

- Mniej więcej - przyznała. - Oni tylko przegrupowują siły. Na pewno nie zamierzają dokonać inwazji na Stary Charis ani Szmaragd, ponieważ bez armii nie mają szans na pokonanie pozostawionych tam garnizonów wyposażonych w nowoczesną broń palną i artylerię.

- Problem polega na tym, że nie możemy pozwolić, aby obie te floty zostały połączone w jedną - odparł Cayleb. - Jeśli do tego dojdzie, Świątynia będzie dysponowała ponad dwustoma galeonami stacjonującymi w zatoce Mathyas. A gdy dołączy do nich hrabia Thirsku z siłami Dohlaru, opływając Zachodni Howard, będą mieli trzysta gotowych do walki

okrętów. - Pokręcił głową. - Nie możemy im na to pozwolić.

- I nie zapominajmy o Tarocie - dodał baron Skalistego Klifu. - Masz rację, wasza wysokość, oni nie dysponują w tej chwili armią pozwalającą na przeprowadzenie inwazji na Charis czy Szmaragd, ale nie zapominajmy, że mogą dzięki tym okrętom dokonywać niszczycielskich rajdów, jak my swego czasu w Corisandzie. A oddziały wojska zamustrowane na te galeony w połączeniu z ich marynarzami wystarczą do spacyfikowania Tarota. Gorjah nie dysponuje nowoczesną bronią i chociaż w jego domenie może nie być aż tak wielu lojalistów Świątyni, jak by tego chciała Grupa Czworoga, to jednak wystarczy ich do rozpętania wojny domowej, gdyby Kościół Matka zdecydował się na przeprowadzenie inwazji. Jeśli Clyntahn i Trynair zgromadzą w zatoce Thol kilkaset galeonów, Tarot będzie stracony.

- No świetnie - jęknął Cayleb.

- Ile pocisków nowego rodzaju produkujecie obecnie, Ehdwyrdzie? - zapytał hrabia Wyspy Zamek.

- Mniej więcej tyle co wczoraj, gdy o to pytałeś - odparł Howsmyn ze swojej sypialni. W jego zazwyczaj uprzejmym głosie dało się wychwycić nutkę irytacji. - Czyli innymi słowy zero. Nadal przygotowujemy linie produkcyjne, Bryahnie. Wiesz o tym i...

- Nie zamierzałem cię krytykować - wtrącił pośpiesznie wielki admirał. - Ale mając tylko dwadzieścia galeonów do dyspozycji, będę potrzebował jakiegoś asa w rękawie, by powstrzymać tych drani.

- Jedno jest pewne, w ciągu najbliższych dwóch pięciodni żadna z moich linii produkcyjnych na pewno nie będzie gotowa. - Z tonu Howsmyna dało się wyczytać, że zrobi wszystko co w jego mocy, aby skrócić ten termin, aczkolwiek przy obecnie panujących warunkach pogodowych...

- Cóż, mamy co najmniej osiem pięciodni, zanim ta flota dotrze do Zatoki Tarota - zauważył baron Skalistego Klifu. - To prawie półtora miesiąca, Ehdwyrdzie!

- Owszem. - Tym razem głos Howsmyna był spokojniejszy, jakby przemysłowiec się zamyślił. Cisza trwała kilka sekund. - Mogę za to rozpocząć produkcję zapalników - dodał potem. - Zaraz po uruchomieniu pieców i przygotowaniu form będę w stanie produkować dziennie sto do stu pięćdziesięciu łusek do trzydziestofuntówek. Można zwiększyć tę liczbę, choć nieznacznie, jeśli pominiemy szlifowanie wewnętrznych ścian. A w ciągu kilku najbliższych pięciodni oddamy do użytku kolejne dwa piece, dzięki czemu produkcja wzrośnie do trzystu łusek dziennie. Zatem jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, a sami wiecie, że jeszcze nigdy tak dobrze nie było, przez pierwsze dwa tygodnie wyprodukujemy po

sto kilkadziesiąt łusek, a przez następne sześć po trzysta, co daje razem około dziesięciu tysięcy sztuk.

*To sporo, uznał Merlin, aczkolwiek jego ocena była raczej myląca, zważywszy na zapotrzebowanie poszczególnych okrętów. Zazwyczaj gromadzono w magazynach po czterdzieści zwykłych kul, dziesięć kartaczy i pięć pocisków łańcuchowych na działo. To dawało około trzech tysięcy sztuk amunicji na galeon wyposażony w pięćdziesiąt cztery armaty. Samo zastąpienie zwykłych kul nowymi pociskami wymagało dwóch tysięcy dwustu łusek na statystyczną jednostkę.*

Z drugiej strony, jeśli wróg nie spodziewa się użycia przez Charisjan nowej broni, może wpaść w panikę przy pierwszym kontakcie z jej niszczycielskimi skutkami i po prostu uciec.

*Nie, tego nie będą mogli zrobić, uzmysłowił sobie Merlin. Te okręty płyną z Harchongu i Ziem Świątynnych, a Kościół Matka proklamował świętą wojnę. Nie wspominając już o tym, że propaganda Clyntahna uczyniła z nas sługusów Shan-wei i innych demonów. Jeśli zaczniemy ich ostrzeliwać wybuchającymi pociskami, tylko potwierdzimy łgarstwa Clyntahna, przynajmniej na krótką metę. Jego armia, idąca na wojnę z siłami Ciemności, nie ulęknie się nowej broni...*

- Obawiam się, że to trochę mało - stwierdził Cayleb, ściągając na siebie spojrzenia Merlina i Sharleyan. - Ehdwyrd oszacował liczbę pocisków łuskowych, jakie zdoła dostarczyć w ciągu najbliższych ośmiu pięciodni. A w tym czasie wróg dotrze do połowy Morza Markowiańskiego... Okręty, które wypłyną wtedy ze Starego Charisu, nie przechwycą tej floty, zanim wejdzie ona w Kanał Tarocki. Być może dopadniemy ich na południowym jego krańcu, zanim wejdą do zatoki Mathyas, ale na pewno nie powstrzymamy ich przed zatoką Thol, jeśli zdecydują się do niej wpłynąć. Szczerze mówiąc, wątpię nawet, czy zdołamy dotrzeć na czas, by zatrzymać tę flotę przed dotarciem do celu.

- Moglibyśmy załadować je na transportowce i dostarczyć tam morzem - podpowiedział hrabia Wyspy Zamek.

- Moglibyśmy spróbować - przyznał Cayleb - ale będziemy ryzykowali zaskoczenie przez wroga podczas przeładunku. Transportowce będą potrzebowały pięciu pięciodni na dotarcie do północnego wylotu kanału, co oznacza, że Ehdwyrd i tak straci cztery z planowanych ośmiu pięciodni. Czyli ponad sześć tysięcy pocisków, jeśli dobrze liczę.

- Może nie mamy innego wyjścia jak powiadomienie o wszystkim admirała Nylza w taki sam sposób, jak zrobiłem to w cieśninie Darcos, gdy ostrzegłem twojego ojca - wtrącił Merlin z nieszczęśliwą miną.

- Zapomnij o tym. - Cayleb pokręcił głową. - Ojciec płynął już, by walczyć ze znanym wrogiem. Co więcej, zgodził się na ten ryzykowny manewr, ponieważ wiedział, że wrócę z Rify Armagedonu najszybciej jak to tylko możliwe. Nylz nie będzie miał żadnego sensownego i co gorsza wytłumaczalnego powodu do zawrócenia floty wbrew wydanym rozkazom, nawet gdyby jakimś cudem zaakceptował prawdę. Jestem prawie pewien, że tak by się stało, lecz to nie zmienia faktu, że zawrócenie floty bez wyraźnego powodu, który byłby także zrozumiały dla marynarzy i oficerów, sprawiłoby, iż wszyscy mogliby uznać, że to interwencja demonów.

*Cesarz ma rację, uznał Merlin.*

- No dobrze - powiedział hrabia Wyspy Zamek. - Wasza wysokość dobrze rozumuje. Nie możemy zawrócić Kohdy'ego i nie mamy ośmiu pięciodni na wyprodukowanie pocisków i wysłanie ich do naszych eskadr. Pozostaje nam więc tylko jedno rozwiązanie.

- Mamy jeszcze jakieś? Naprawdę? - Rozbawienie w głosie Cayleba było uszczypliwe, ale na pewno szczere, więc admirał zaśmiał się na głos.

- Nie powiedziałem, że to dobre rozwiązanie - uściślił.

- No nic, mów zatem, jakie to niezbyt dobre rozwiązanie masz na myśli.

- Musimy zwiększyć presję na Desnairian. Nie podoba mi się ten pomysł, więc jeśli ktoś zna inny sposób na zmuszenie ich do zlekceważenia rozkazu Magwaira i pozostania w domu, niech się odezwie. Z przyjemnością go wysłucham. - Zrobił wyczekującą pauzę. - Nie ma chętnych, zatem pozostaje mi tylko pożeglować na północ. Wątpię, aby Desnairianie zawrócili, gdy dostrzegą nasze żagle na horyzoncie, lecz wiedza o tym, że znajdujemy się na tamtych wodach, w połączeniu z niewiedzą na temat wielkości sił wysłanych tam w związku z kampanią dezinformacyjną, może sprawić, przynajmniej początkowo, że moja eskadra zostanie uznana za spore zagrożenie. Wezmę ze sobą dość szkunerów, by mieć ich nieustannie na oku, co powinno wywołać sporą nerwowość. Przy odrobinie szczęścia będę w stanie opóźnić ich ruchy. A jeśli okażą się na tyle pewni siebie, że zechcą walczyć, być może uda mi się ich nakłonić do zmiany kursu i pościgu.

- A co dokładnie osiągniemy dzięki twojej akcji? - zapytał Cayleb, aczkolwiek jego ton sugerował, że dobrze wie, o czym mówi kuzyn.

- W tym czasie Domynek odpłynie do domu. Będziemy przez cały czas w kontakcie, świadomi ruchów floty Kościoła Matki. Dacie mu wszystkie pociski wyprodukowane przez Ehdwyrda, a potem, zakładając, że przeciwnik nadal będzie płynął w jednej formacji, Domynek pożegluje do mnie. Jeśli wrogowie podzielą siły i wyślą jakieś eskadry w pościg za mną, zignoruje je i uda się prosto na siły główne. Flota Kościoła Matki będzie miała nad nim

ogromną przewagę, co ja mówię, nawet w przypadku połączenia jego okrętów z moimi przewaga ta byłaby miażdżąca, ale to on będzie dysponował kilkoma tysiącami eksplodujących pocisków. Jeśli dopadnie ich na otwartym morzu i jeśli ta amunicja okaże się tak skuteczna, jak sugerują testy sir Ahlfryda, i jeśli przeciwnik wpadnie w panikę, gdy zobaczy, czym go atakujemy, może uda nam się zmusić go do odwrotu.

- Pamiętasz, Bryahnie, co mówił ojciec na temat admirałów, którzy opierają swoje działania wyłącznie na założeniach, a nie faktach? Zdaje się, że nazywał ich idiotami, jeśli się nie mylę.

- Oczywiście, że pamiętam. I uwierz mi, gdybym miał jakikolwiek wybór, nie zaproponowałbym takiego rozwiązania. Niestety dzisiaj nie mamy żadnego wyboru.

- Bryahn ma rację, wasza wysokość - poparł go baron Skalistego Klifu. - Bóg jeden wie, czy zdołamy nakłonić Desnairian do zostania w domu albo czy opóźnimy ich na tyle, by zdążyć się rozprawić z flotami północy. Ale to jedyny sposób, który gwarantuje nam choćby cień sukcesu bez względu na to, ile rzeczy nie wypali po drodze. Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Jeśli nawet nie uda nam się uniknąć walki zakończonej totalną porażką, znajdziemy się w znacznie gorszej sytuacji, niż gdybyśmy niczego nie zrobili.

- A jak unikniesz przegranej, jeśli na przykład zabraknie wam pocisków łuskowych albo oni nie zareagują tak, jak przypuszczamy? - zapytał Cayleb.

- Popraw mnie, wasza wysokość, jeśli się mylę, ale chyba jedynym sposobem, by sprawdzić, czy zabraknie nam pocisków łuskowych albo czy oni zareagują inaczej, niż przypuszczamy, jest doprowadzenie do bitwy.

- Tak, musimy do niej doprowadzić - rzucił półgłosem hrabia Wyspy Zamek. - A ty, wasza wysokość, wciąż będziesz dysponował dwoma trzecimi naszej floty, by wrócić i zaradzić kolejnemu kryzysowi.

.II.

**HMS PRZEZNACZENIE**  
**OKOLICE PRZYŁĄDKA TERRENCE**  
**ZATOKA MATHYAS**  
**ORAZ**  
**BIURO KSIĘCIA KHOLMANU**  
**IYTHRIA**

## DESNAIR

Sir Dunkyn Yairley zawsze marzył o wciągnięciu na maszt własnej admirałkiej bandery. Nie spodziewał się jednak, że stanie się to tak szybko i w takich specyficznych okolicznościach. Stał właśnie na pokładzie rufowym HMS *Przeznaczenie*, spoglądając na pasiastą płachtę jedwabiu ze stalostu powiewającą na szczycie fokmasztu i zastanawiając się, co ludzie na brzegu myślą o jego popisach.

Spojrzał za rufę. Dwadzieścia sześć galeonów płynęło za *Przeznaczeniem*, wszystkie pomalowane w posępne barwy cesarskiej marynarki wojennej Charisu. Inne floty pokrywały kadłuby swoich jednostek całą feerią barw, do tego zdobiły je złotem i bogatymi rzeźbieniami. Charisjańskie okręty wojenne malowano na czarno. Były tylko dwa wyjątki od tej reguły. Na burtach, na wysokości furt działowych - które miały barwę krwistoczerwoną - umieszczano białe pasy. *To czysta arogancja*, uznał Yairley. Dlatego, że tylko Charis dekorował swoje galeony w ten sposób, aby każdy od razu wiedział, z kim ma do czynienia. Wymowa była jasna: marynarze Korony nie potrzebują żadnych ozdóbek, aby pokonać wroga.

Mimo takiego ubóstwa kolorystycznego płynące za admirałem okręty wyglądały bardzo widowiskowo, aczkolwiek każdy doświadczony obserwator od razu musiał zauważyć, że w eskadrze jest więcej konwertowanych frachtowców, niż można by sobie tego życzyć. Obrócił głowę, by spojrzeć na szczyty masztów drugiej linii jednostek idących równoległym kursem. Trzy szkunery krążyły pomiędzy obiema eskadrami, aby przekazywać sygnały, a młody chorąży Aplyn-Ahrmahk spędził ostatnie kilka godzin na przekazywaniu im swoich spostrzeżeń.

Pomiędzy *Przeznaczeniem* a przylądkiem Terrence znajdowało się więcej szkunerów, inne krążyły nieco dalej, na północnym zachodzie, na akwenie dzielącym wspomniany przylądek od wyspy Howard. Teraz, gdy wiatr wiał prosto w przesmyk Howard, te lekkie zwrotne jednostki nadawały się idealnie do prowadzenia obserwacji sił morskich Desnairu.

Zakładając rzecz jasna, że marynarka wojenna imperium wyściubi nos ze swojej bezpiecznej kryjówki w głębi zatoki Jahras, wiedząc, że liczne galeony Charisu tylko na to czekają.

\* \* \*

- A niech to... - mruknął pod nosem, ale z uczuciem porucznik desnairiańskiej armii stojący na punkcie obserwacyjnym wysoko na skałach przylądka Terrence, gdy pochylił się ponownie do opartego na trójnogu teleskopu, dzięki któremu mógł oglądać niekończącą się



kolumnę charisjańskich galeonów.

- Wie pan już, o czym mówiłem? - zapytał go sierżant pełnym szacunku głosem.

- Oj tak, sierżancie - przyznał porucznik, prostując plecy i spoglądając w stronę morza. - Nie wiem tylko, co ich uządliło w dupę, że nagle wpadli na pomysł, by urządzać takie parady. - Stał tak jeszcze przez chwilę, obserwując Charisjan, a potem westchnął głośno. - Lepiej będzie, jeśli od razu o tym zameldujemy.

\* \* \*

- I tak kolejna błyskotliwa strategia poszła się... - mruknął książę Kholmanu, gdy odczytał transkrypcję depezy nadanej pocztą semaforową z przylądka Terrence. Pokręcił głową, a potem odłożył dokument na blat biurka, ostrożnie, jakby to był niezwykle cenny antyk, i spojrzał na barona Jahrasu. - Nie wiem - rzucił kpiąco - ile Cayleb płaci swoim szpiegom, lecz wygląda na to, że stanowczo za mało. Przecież oni musieli wiedzieć, jakie rozkazy otrzymaliśmy, zanim ty je przeczytałeś!

- Niekoniecznie - zaprotestował baron Jahrasu, a gdy książę się obruszył, dodał szybko: - Nie przeczę, że wiedzieli o rozkazach, ale musieli je przecież zdobyć i rozszyfrować, a to trwało pewnie z pięćdziesiąt dni. Nie mówiąc już o zorganizowaniu tego pokazu. - Wskazał palcem na dokument odłożony przed momentem przez księcia. - Masz jednak rację co do genialnego planu, który poszedł się właśnie kochać - kontynuował baron. - Jak widać, wikariusz Allayn po raz kolejny przekombinował. Rozumiem, dlaczego nie chcieli, abyśmy wyruszyli za wcześnie. Ale przez to uziemił nas na amen, przynajmniej do chwili, gdy Harpahr i Shaiow nie zbliżą się na tyle, by zagrozić tym eskadrom od północy.

- Nie to powinniśmy teraz robić - zauważył książę. Baron zbył go wzruszeniem ramion.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem, Daivynie! Na razie nie widzę żadnych szans na to, byśmy postępowali według planu. Oni od miesięcy mieli na naszych wodach jeden szkuner i może ze trzy albo cztery galeony. Tak, wiem, kolejne ich okręty znajdowały się gdzieś w pobliżu, na otwartym morzu, gotowe rzucić się na nas, gdybyśmy okazali się tak głupi i wyszli za daleko z portu, ale mimo wszystko nie chcieli nas blokować. Zależało im nie na trzymaniu nas w portach, tylko na wyciągnięciu daleko w morze, gdzie mogliby nas rozpieprzyć w drobny mak. Dlatego właśnie odmawiałem wypłynięcia! A teraz ni stąd, ni zowąd niemal trzydzieści galeonów paraduje nam pod nosem, zaledwie piętnaście mil od wybrzeża. Idę o zakład, że za horyzontem czai się znacznie więcej tych heretyckich bękartów. Jestem pewien, że dowiedzieli się o rozkazie wyjścia w morze... i nie chcą nam na to pozwolić!

- Rozkazy naczelnego wodza nie dają nam zbyt wiele swobody, Urwynie - zauważył ksiązę Kholmanu.

- Wiem o tym - burknął baron Jahrasu. - Kazano nam poczynić wszelkie przygotowania do wyjścia w morze, aby flota wypłynęła niezwłocznie, gdy otrzyma taki rozkaz pocztą semaforową, dokładnie brzmiało to tak: „W pierwszym dogodnym momencie”.

- Czyli jak tylko otrzymamy rozkaz. Właśnie dlatego kazali nam pozostawać w gotowości do wyjścia w morze.

- Ale wcale tego nie napisali. - Baron uśmiechnął się pod nosem. - Gdyby o to im chodziło, napisaliby wprost: „Natychmiast po otrzymaniu rozkazu”. Wtedy mielibyśmy jednoznaczną sytuację. „W dogodnym momencie” oznacza, że sami możemy zdecydować, kiedy wyjść w morze, by wypełnić misję. A jak widać, na razie mamy z tym problemy, ponieważ Charisjanie zgromadzili od trzydziestu do sześćdziesięciu galeonów, większych, szybszych i w dodatku lepiej uzbrojonych niż nasze, by przejąć nas, gdy spróbujemy dotrzeć do przesmyku Howard. Na domiar złego nawet wiatry im dzisiaj sprzyjają i będą sprzyjać nadal przez następne trzy do pięciu dni, jeśli wierzyć ostatnim prognozom. - Pokręcił głową. - Jeśli wytknę teraz nos z zatoki Jahras, Charisjanie z taką siłą ognia rozwalą moje okręty w drzazgi, zanim minę przesmyk, nie mówiąc już o dotarciu do Kanału Tarockiego. Moim zdaniem to nie jest „dogodny moment”, przynajmniej według słowników, które czytałem.

Ksiązę Kholmanu odchylił się w fotelu z zamyśloną miną. Wątpił, by Zhaspyr Clyntahn albo Allayn Magwair podzielali opinię jego krewniaka na temat wydanego im rozkazu. Mimo to baron miał rację co do przyszłości, jaka czeka tę niedoświadczoną flotę, jeśli wyśle się ją teraz w morze, prosto na watahy czekających na okazję i uzbrojonych po zęby Charisjan. I nawet taki szczer łądowy jak on musiał przyznać, że baron nie mylił się także co do wiatru, który sprzyjał wrogowi. Przesmyk Howard miał zaledwie sześćdziesiąt mil szerokości, lecz masa mielizn i łach sprawiała, że w rzeczywistości był bardzo wąskim i zdradliwym szlakiem żeglutowym, a w tym momencie wiatr wiał prosto na zatokę Mathyas.

- Wikariuszom nie spodoba się to, co usłyszą - stwierdził, co baron skwitował wzruszeniem ramion.

- Na razie nie wysłali nam tego drugiego rozkazu. A instrukcje z pierwszego są jasne i czytelne. Mamy przygotować okręty do rejsu i czekać, aż Harpahr i Shaiow dopłyną wystarczająco daleko, abyśmy mogli wyjść im naprzeciw. Jest całkiem możliwe, że Harpahr nie zbliży się do nas na tyle, by ten rozkaz w ogóle mógł zostać wydany. Skontaktujemy się ze Świątynią, lecz dopiero wtedy, gdy jemu się uda, a my nadal nie będziemy mieli „dogodnych warunków”. Jeśli się uprą i każą nam wyjść w morze bez względu na

okoliczności, wykonam rozkaz. Ale uczynię to dopiero wtedy, gdy otrzymam zapewnienie, że wikariusze są gotowi na poniesienie tak ciężkich strat. A to może potrwać do pięciodnia nawet przy użyciu poczty semaforowej.

Kholman zastanowił się i nad tym, a potem potrząsnął głową.

- Nie przeczę, że wychodzenie w morze prosto na tak liczne wroga jest ryzykowne. Miej jednak świadomość, że Świątynia wypowiedziała świętą wojnę, więc obietnice typu „tego wyraźnie nie napisaliście” mogą nie zadziałać na wielkiego inkwizytora. Zwłaszcza jeśli będzie wkurzony.

- Nie jestem szaleńcem, Daivynie, i nie mam zamiaru wkurzać wikariusza Zhaspyra bardziej niż inni. - Zarówno ton, jak i mina barona były posępniejsze niż przed chwilą. - Nie poprowadzę jednak naszej floty prosto w maszynkę do mielenia mięsa, skoro doskonale wiem, czym to się skończy.

- Nie mówię, że masz to zrobić. Twierdzę tylko, że lepiej nie wkurzać Świątyni. Może powinniśmy wysłać wikariuszom dokładny raport o sytuacji? I tak musimy potwierdzić oficjalną drogą odebranie rozkazów. Poinformujemy więc, że przygotowania trwają, że ściągamy wszystkich ludzi, jakich możemy znaleźć, i przygotowujemy się do wyjścia w morze w razie zaistnienia owych dogodnych warunków, o których wspomniano. Dodamy jednak, że mamy u swoich wybrzeży dwie trzecie pieprzonej marynarki wojennej Charisu. A potem, jeśli mimo wszystko wyślą nam rozkaz wypłynięcia, a wiatry się nie zmienią i heretycy pozostaną na swoich miejscach, napiszemy jeszcze raz, że mając na względzie obecność floty wroga, o której wcześniej informowaliśmy, a także niesprzyjające warunki pogodowe, nie możemy wyjść w morze, ponieważ grozi to poniesieniem tak wysokich strat, że nie będziemy w stanie wykonać powierzonego nam zadania.

Teraz to baron wyglądał na zamyślonego. Istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że wiadomość, którą proponował wysłać książę, minie się po drodze z rozkazami wyjścia w morze. Nie było to zbyt prawdopodobne, zważywszy na to, jak długo miał trwać rejs galeonów z północy do zatoki Mathyas. Jakkolwiek jednak na to patrzeć, taki ruch wyprzedzający wydawał się stawiać barona i księcia na uprzywilejowanej pozycji.

*A prawda jest taka, pomyślał Urwyn, że mamy dzisiaj na swoich wodach zdecydowaną większość charisjańskich galeonów. Daivyn może mieć rację, kiedy mówi, że ściągnęli tu dwie trzecie swojej marynarki wojennej. Jeśli Harpahr i Shaiow nie zdołają się przebić przez pozostałe, trzydzieści okrętów, mając ponad sto swoich, i tak będziemy zgubieni. Totalnie i nieodwołalnie. Hmm...*

- Powiedziałbym, że dobrze kombinujesz - stwierdził na głos. - Powinniśmy jednak

wspomnieć w tej wiadomości, jaki odsetek okrętów Charisu ściągnęliśmy na nasze wody. Może niegłupio by było jeszcze napomknąć, że to doskonała okazja do ostatecznego przyszpilenia wroga pomiędzy nami a nadciągającymi siłami Harpahra i Shaiowa. Tutaj, u naszych brzegów.

- I to jest myśl, Urwynie! - ucieszył się książę Kholmanu. - Dzięki temu nie kazaliby nam nigdzie wypływać, żeby nie spłoszyć Charisjan, dopóki Harpahr i Shaiow nie zajmą dobrych pozycji wyjściowych. Kto wie, czy wikariusze nie pójdą dalej i nie zmienią naszych rozkazów, skoro heretycy sami pchają im się w łapy.

- Nie będę oponował, jeśli to zrobią - przyznał baron Jahrasu.

*I to nie tylko dlatego, dodał już w myślach, że wyjście w morze oznacza wyróżnienie moich załóg. Sądzę, że to najrozsądniejszy ruch, jaki możemy wykonać w tej zakrojonej na szeroką skalę operacji Magwaira.*

\* \* \*

- W porządku, panie Lathyk - powiedział sir Dunkyn Yairley do pierwszego oficera HMS *Przeznaczenie*, gdy słońce zaczęło czerwienić nad zachodnim horyzontem. - Czas oddalić się od brzegów, zanim zapadnie zmrok. Proszę wydać rozkaz zmiany kursu na północ-północny zachód, jeśli łaska.

- Aye, aye, sir! - odparł Rhobair Lathyk i nakazał gestem, by kadet sygnałowy przekazał ten rozkaz na pozostałe jednostki.

Yairley oddalił się w kierunku rufy, pozwalając im na spokojną pracę. Stał tam przy relingu, patrząc na galeony płynące śladem *Przeznaczenia*, dopóki ciąg kolorowych flag nie trafił na podnośnicę. Miał nadzieję, że są już gotowe do zmiany kursu, ponieważ tego właśnie powinni się po nim spodziewać kapitanowie. Manewry formacji niepokoiły go najbardziej podczas tego rejsu, jako że każdy błąd mógł ujawnić wrogowi prawdę. Pozostałe jednostki nie miały na pokładach tak doskonale wyszkolonych załóg jak jego marynarze, więc nie były w stanie wykonać zwrotu z taką precyzją, jaka charakteryzowała marynarkę wojenną Charisu.

I nie ma się czemu dziwić, skoro tylko HMS *Przeznaczenie* i bliźniaczy HMS *Górski Korzeń* są jedynymi okrętami wojennymi w tym długim szyku.

*Zużyliśmy chyba całe zapasy czarnej, białej i czerwonej farby w Tellesbergu, pomyślał, przyglądając się zachodowi słońca. Kto by pomyślał, że zamaskujemy całą flotę frachtowców, malując je w barwy naszej marynarki wojennej? Teraz muszę tytko zadbać, aby żaden Desnairianin nie zbliżył się do nas i nie wyczuł zapachu świeżej terpentyny.*

### .III.

#### HMS *AHRMAHK* MORZE MARKOWIAŃSKIE

Wielki admirał Wyspy Zamek stał przy stole, bębniąc palcami po rozpostartej na nim mapie. Wpadające przez okna rufowe jasne refleksy promieni słonecznych tańczyły na belkach powały i ścianach jego kajuty. Szczególnie migotliwie błyszcząły w kryształowych przyciskach, którymi dociążono rogi ogromnej płachty papieru, a mosiężny cyrkiel, którym Bryahn mierzył coś na Morzu Markowiańskim, lśnił teraz, jakby wykonano go z polerowanego złota.

Na mapie zaznaczono przybliżoną pozycję *Ahrmahka*. Flagowiec znajdował się osiemset mil na północny wschód od wyspy Młot i trzysta sześćdziesiąt mil na południowy zachód od Przylądka Selekara. Wielki admirał miał pewność, że te dane praktycznie pokrywają się z rzeczywistością, a nie są li tylko przybliżeniem. Z tego samego źródła - czyli z sensorów Sowy - mógł się też dowiedzieć, że raporty znajdujących się trzydzieści mil dalej na północ szkunerów również są rzetelne... aczkolwiek niekompletne.

Pochylił się, opierając dłonie o mapę tak, by pozycje jego okrętów i wroga znalazły się pomiędzy oboma kciukami i palcami wskazującymi.

*Są dokładnie tam, gdzie, się ich spodziewałeś, pomyślał. Nie, bądź szczerzy chociaż ze sobą: niczego nie musiałeś przypuszczać, ponieważ cały czas śledzisz ich ruchy.*

Wydał usta, zastanawiając się, co wie o dowódcach wrogich formacji.

A wiedział dużo, głównie dzięki sensorom Sowy. Dowódcą kontyngentu budowanego na Ziemiach Świątynnych i zarazem głównodowodzącym tej armady był główny admirał biskup Kornylis Harpahr z zakonu Chihiro. Kościół Matka nigdy wcześniej nie dysponował flotą, więc kapłan ten nie miał żadnego doświadczenia w dowodzeniu okrętami wojennymi. Za to przesłużył w czasach pokoju wiele lat na rozmaitych stanowiskach w straży Świątyni i mimo siwizny przyprószającej skronie był stosunkowo młodym - miał dopiero pięćdziesiątkę na karku - i żywotnym człowiekiem. Z tego co hrabia Wyspy Zamek mógł zauważyć, nie brakowało mu też rozumu. To nie napawało optymizmem, podobnie jak fakt, że biskup należy do tak zwanego klerykalnego betonu.

Na szczęście nikt w Świątyni nie miał pojęcia o nowoczesnych rozwiązaniach, takich jak choćby sztab generalny hrabiego Thirsku, aczkolwiek ludzie odpowiedzialni za Flotę

Boga - bo tak ochrzczono tę armadę - potrafili zrobić użytek ze swoich mózgów. Podzielili swoje galeony na eskadry składające się z sześciu okrętów, oddając dowodzenie nad nimi starszym prałatom służącym wcześniej w straży, a każdemu z biskupów admirałów przydzielili na kapitana flagowca oficerów pływających wcześniej na jednostkach straży przybrzeżnej albo łodziach kurierskich. Wprawdzie ich doświadczenie nie przygotowywało ich do dowodzenia wielkimi okrętami wojennymi, ale znaczyło, że biskupi będą mieli pod ręką kogoś, kto przynajmniej wie, jakich manewrów galeon nie zdoła wykonać.

Kapitanem OFB *Miecz Boga*, flagowca biskupa Kornylisa, był schueleryta ojciec Ahrnahld Taibahld. Miał ciemne włosy, także oczy i dziesięć lat mniej niż jego przełożony. Wydawał się też żywotniejszy od niego. Po dwudziestu latach spędzonych na pokładach jednostek straży przybrzeżnej nie można było traktować go jak pierwszego lepszego głupka. Już na pierwszy rzut oka widać było, że obaj klerycy rozumieją się doskonale - co nie podobało się hrabiemu - i co gorsze, Taibahld wiedział, że Harpahr nie tylko posłucha jego rady, gdy zajdzie taka potrzeba, ale i oczekuje aktywnej pomocy podczas walki.

*Ci ludzie nie popełnią żadnych błędów, uznał hrabia Wyspy Zamek. A już na pewno nie takie, jak książę Malikai pod Skalistym Klifem. Jeśli już, mogą liczyć jedynie na ich brak doświadczenia. Na omyłki popełniane przez doświadczonych ludzi, którym każe się robić coś, do czego nie zostali wyszkoleni. Muszę o tym pamiętać.*

Harchoński kontyngent miał za to o wiele lepsze struktury dowodzenia. Przynajmniej z punktu widzenia hrabiego. Wprawdzie admirałska tytułatura cesarstwa wydawała mu się nieco zabawna, ale czego innego można oczekiwać po marynarce wojennej największej potęgi świata, która do tej pory posiadała mniej okrętów niż maleńki Corisand. Co ciekawe, harchońska armia zawsze miała na podporządkowaniu wystarczająco wielu oficerów, by obsadzić nimi wszystkie posiadane jednostki, a nawet te, których jeszcze się nie dorobiła. A gdy któryś dochrapał się stopnia kapitana, dalsze jego awanse zależały już wyłącznie od starszeństwa.

W rezultacie kontyngentem dowodził Chyntai Shaiow, książę Wschodzącego Słońca, zwany też admirałem Szerokich Oceanów, kuzyn cesarza Waisu, który służbę w marynarce wojennej rozpoczął na dwa lata przed urodzeniem (jeśli wierzyć oficjalnym dokumentom). Dzięki koneksjom i odpowiednio lokowanym łapówkom mógł zostać kapitanem wiatrów w dniu szesnastych urodzin. Mimo że do ukończenia dwudziestego pierwszego roku życia nie postawił stopy na pokładzie żadnego okrętu, co akurat nie było niczym dziwnym w Harchongu. Przy tak małej flocie arystokracji nie mieli szans na uzyskanie awansu w młodym wieku, gdy - przynajmniej teoretycznie - mogli się wykazać.

Admirał Szerokich Oceanów, książę Wschodzącego Słońca, podniósł swoją banderę

na okręcie noszącym nazwę Kwiat Wód. Człowiek ten miał już siedemdziesiąt pięć lat, słabe zdrowie i przykry zwyczaj wygłaszania przydługich tyrad na odprawach dla kapitanów. Nikt jednak nie ważyłby się o tym wspomnieć - nie w Harchongu! - niemniej hrabia Wyspy Zamek wiedział, że przynajmniej część jego podwładnych zdaje sobie sprawę, że jest nieodpowiednim człowiekiem na tym stanowisku. Mieli jednak tego pecha, że i tak był najlepszym z dostępnych admirałów. Poza tym, dzięki wysokiemu urodzeniu, musiał objąć najbardziej prestiżowe stanowisko we flocie cesarstwa.

Kapitan wiatrów Shoukhan Khowsan dowodzący flagowcem księcia Wschodzącego Słońca był zgoła innym człowiekiem. Rzecz jasna i on musiał być dobrze urodzony, by otrzymać tak eksponowane stanowisko, ale jego oficjalny tytuł brzmiał o wiele skromniej - był tylko hrabią Góry Wiatrów, a przy tym także drugim synem księcia Tańczącej Wody, który jak wszyscy harchońscy książęta mógł się poszczycić pokrewieństwem z cesarzem.

Na tym jednak kończyły się wszelkie podobieństwa pomiędzy hrabią Góry Wiatrów a księciem Wschodzącego Słońca. Kapitan wiatrów był o dwadzieścia lat młodszy od admirała i nadal miał poukładane w głowie. Jego doświadczenie zawodowe było o wiele mniejsze niż jakiegokolwiek oficera piastującego podobną funkcję w marynarce wojennej Charisu, ale i tak należał do elity korpusu oficerskiego floty Harchongu. Na całe szczęście jego ojciec nie cierpiał księcia Wschodzącego Słońca, więc stosunki pomiędzy kapitanem a admirałem można było określić mianem wzajemnej tolerancji, dalekiej jednak od układu, jaki łączył Harpahra i Taibahlda. Chłodno poprawne, tak określał je zadowolony z tej sytuacji hrabia Wyspy Zamek.

*Jak nazywał się ten człowiek, o którym rozprawiał kiedyś Merlin?... Wielki admirał zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć. Napoleon? Chyba jakoś tak.*

Hrabia skrzywił się, był zły na samego siebie za tak słabą pamięć do nazwisk, lecz nieprzypadkowo przecież przywołał tego, jak mu tam, wodza, zastanawiając się nad układami istniejącymi w obozie wroga. Wspomniany generał odnosił bowiem wielkie sukcesy tylko dlatego, że potrafił tworzyć szerokie koalicje.

*A koalicje są tak dobre, jak ich koordynacja, uznał. Grupa Czworoga, dopóki naprawdę nie dostanie kopa w dupsko, na pewno nie pomyśli o czymś takim jak wymuszenie skoordynowania działań floty Harchongu z pozostałymi marynarkami wojennymi. Chociaż szczerze wątpię, by ktoś, prócz samego Boga albo Jego archaniołów, był w stanie zmusić tych arystokratycznych idiotów do czegokolwiek sensownego!*

Ta myśl wydała mu się... pocieszająca, zaraz jednak przypomniał sobie, że tylko dziewiętnaście z dziewięćdziesięciu trzech uzbrojonych galeonów należy do Harchongu.

Pozostałe siedemdziesiąt cztery zostały zbudowane, wyposażone i obsadzone na Ziemiach Świątynnych. I to mógł być problem, nie tylko z powodu lepszego systemu dowodzenia. Ziemie Świątynne zabroniły poddaństwa już całe dekady temu. Mimo to wiele tamtejszych majątków ziemskich wciąż „posiadało” własnych robotników rolnych - tyle że zmieniono nazwę systemu. Z drugiej strony w Szmaragdzie, a nawet Chisholmie można było znaleźć jeszcze osoby zwane chłopami pańszczyźnianymi, aczkolwiek sprawa dotyczyła już tylko niewielkiej liczby pomniejszych właścicieli ziemskich w odległych prowincjach. Teraz, gdy po włączeniu tych ziem do cesarstwa Charisu zaczęły obowiązywać nowe prawa znoszące tego typu zależności, w obu domenach podniósł się umiarkowany lament, było jednak pewne, że za rok albo dwa problem samoistnie zniknie.

W Corisandzie - a zwłaszcza Zebediahu, gdzie kwestii poddaństwa w ogóle nie uregulowano - sprawy wyglądały znacznie gorzej. W księstwach Manchyru, Tartarianu i Airythu w ogóle nie było chłopów pańszczyźnianych, a w społeczeństwach Rochairu, Corisu, Barcairu i Skalnego Kowadła bądź też na Wyspie Córy Wiatru panowały podobne warunki jak w Chisholmie. Hrabia nie widział więc niczego dziwnego w tym, że zdecydowana większość wielmożów biorących udział w Konspiracji Północy była zwolennikami pańszczyzny. Wszystko wskazywało, że wyplenienie tej zarazy z Corisandu potrwa znacznie dłużej.

Co ciekawe, w Harchongu byli nie tylko chłopci pańszczyźniani, ale i zwykli niewolnicy. I to wielu! O ile Charis - a także w różnym stopniu Szmaragd, Chisholm i Corisand - stawiał na wolną siłę roboczą, budującą dobrobyt klasy średniej, a nawet fortuny takich przemysłowców, jak Howsmyn, o tyle Harchong wciąż wykorzystywał niewolników bez względu na to, czy chodziło o plantacje czy nowoczesne manufaktury. W imperium nie było czegoś takiego jak klasa średnia ani robotnicza, a już na pewno brakowało doświadczonych żeglarzy. Dlatego na harchońskich galeonach roiło się od ludzi zapędzonych tam batem i kontrolowanych brutalną siłą, która gdyby ją zastosować na jednostkach należących do Charisu, doprowadziłaby natychmiast do masowych buntów.

Nic więc dziwnego, że takie załogi oferowały swoim panom tylko tyle lojalności i inicjatywy, na ile ci zasługiwali. Aczkolwiek i tam można było spodziewać się pewnej woli walki, skoro Grupa Czworoga ogłosiła świętą wojnę. Dzisiaj jedynym spoiwem tego imperium była głęboka wiara zakorzeniona w prostym ludzie i niewolnikach, a kapłani obecni na pokładach z pewnością nieraz przypomną załogom, że wrogowie są heretykami i odszczepieńcami. Cokolwiek by jednak powiedzieć, brutalna siła i głęboka wiara nigdy nie zastąpią prawdziwego, szczerego entuzjazmu i wysokiego morale, jakim charakteryzowali się



marynarze z charisjańskich galeonów.

W całej Flocie Boga służyło wielu niewolników, lecz na okrętach Ziem Świątynnych, w odróżnieniu od tych należących do Harchongu, ludzie ci w zamian za służbę otrzymywali obietnicę wyzwolenia i nawet wypłacano im taki sam żołd jak wolnym marynarzom. Niektórzy mieli szanse na stopień podoficerski!

Dla nich była to ogromna odmiana, lecz należy pamiętać, że zdecydowaną większość załóg Floty Boga stanowili wolni ludzie. Wielu z nich pochodziło z nizin społecznych, jak miało to miejsce w przypadku Charisu, aczkolwiek tylko garstka pływała wcześniej na statkach. Dominująca rola Kościoła Matki na Ziemiach Świątynnych sprawiała, że gros z nich musiało mieć koneksje z klerem, na przykład wspólne interesy, dzięki którym mogli liczyć na kariery w świeckich strukturach tej domeny. Pokłady wiary były wśród nich równie głębokie jak wśród mieszkańców Harchongu, aczkolwiek na pewno brakowało im pokory charakteryzującej chłopów pańszczyźnianych i niewolników.

To zaś oznaczało, że załogi okrętów z Ziem Świątynnych mimo braku doświadczenia i żywionych obaw, a nawet lęku przed spotkaniem z Charisjanami w otwartym boju były zwarte, dobrze zmotywowane i wyszkolone na tyle, na ile się dało przez Harpahra i podległych mu admirałów. W ciągu ostatnich pięciodni trwał cykl bardziej intensywnych szkoleń, a głównodowodzący floty wydał rozkaz, by każdy okręt po opuszczeniu Zatoki Chantry co najmniej przez dwie godziny prowadził symulowane pojedynki artyleryjskie.

Okręty należące do Harchongu powinny przyjąć podobny program szkoleń, aczkolwiek w ich przypadku sprawa ta wyglądała nieco bardziej... problematycznie. Mimo to reszta Floty Boga sprawiała się coraz lepiej. Nie sposób było jednak powiedzieć, jak marynarze wroga zachowają się, gdy pierwszy pocisk przebije poszycie obok ich stanowiska. Hrabia przyjął - być może zbyt optymistycznie - założenie, że każda jednostka Ziem Świątynnych warta jest trzech, a nawet czterech harchońskich o podobnym uzbrojeniu.

A osiemdziesiąt procent nadciągającej floty należało do Ziem Świątynnych i miało na pokładach oficerów pochodzących z tej domeny.

*Co oznacza niezbyt korzystną dla nas sytuację, uznał hrabia, porównując siły wroga z trzydziestoma okrętami, które sam posiadał. Kościół Matka ma nad nami sześciokrotną przewagę i w dodatku dranie wykorzystują każdą wolną chwilę na szkolenie swoich załóg! Cóż za wielki postęp!*

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu, który zaraz zniknął. Wielki admirał podszedł do okien rufowych i spojrzął na morze.

Tyle dobrego, że Harpahr i Taibahld nie mieli tak dobrego zwiadu jak on. Podobnie

jak Cayleb przed bitwami pod Skalistym Klifem i w cieśninie Darcos, Bryahn dysponował sporą liczbą szkunerów mających oko na poczynania wroga, ale służyły one za przykrywkę mającą uwiarygodnić dane napływające z SAPK-ów. W rezultacie admirał wiedział doskonale, gdzie jest wróg i co aktualnie robi... a Flota Boga nie miała pojęcia o niczym.

*Dzięki tej przewadze będę mógł wybrać dogodny moment na uderzenie, pomyślał, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w fale Morza Markowiańskiego. Tak, wybiorę czas, odpowiednie warunki pogodowe i wiatry... to powinno dać mi ogromną przewagę. Ale gdy tylko dojdzie do wymiany ognia, gdy obie strony zaczną odpalać salwę za salwą, a dym zasnuje niebo, moi kapitanowie będą zdani tylko na własne oczy i już nie będziemy górą. Znaczenia nabierze doświadczenie, liczebność, charakter, zapasy prochu, a tylko tym pierwszym przewyższamy siły Harpahra. To może nie wystarczyć.*

Obrócił głowę, jakby jego wzrok mógł naprawdę sięgnąć na wiele tysięcy mil i zobaczyć wody przybrzeżne Starego Charisu. Zacisnął mocniej wargi.

*Przy płyn tutaj o czasie, Domyńku, pomyślał niemal błagalnie. Bierz dupę w troki, póki możemy coś jeszcze zrobić.*

Zaczerpnął tchu i odwrócił się od okien. Czas wyjść na pokład i zadbać o spowolnienie ruchów wroga, by Staynair miał czas odpowiedzieć na jego błagania.

## **.IV.**

**HMS NISZCZYCIEL**

**LAREK**

**ZATOKA HOWELLA**

**STARY CHARIS**

Sir Domynek Staynair nie mógł wiedzieć, o czym myślał w tej chwili hrabia Wyspy Zamek, aczkolwiek był pewien, że wielki admirał będzie miał go w pamięci.

Przestał kuśtykać na drewnianej nodze, przystanął na sterburcie, przy zasłoniętym sieciami relingu pokładu rufowego, i spojrzał na port w Larku.

To było bardzo interesujące miasto. Jeszcze pięć lat temu w tym miejscu znajdowała się senna osada rybacka. Rzeka Delthak łączyła to miejsce z jeziorem Ithmyn w niewiele znaczącym hrabstwie Wysokiej Skały, dla którego wszystko się zmieniło, gdy Ehdwyrd Howsmyn wykupił tereny na północno-zachodnim brzegu, by zbudować tam ogromne

odlewnie. Gdy Merlin Athrawes przybył do Charisu, w tym miejscu znajdowała się tylko mikra wioska, licząca nie więcej niż pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt dusz, która wzięła swoją nazwę od pobliskiej rzeki. Dzisiaj Delthak był największym kompleksem metalurgicznym Schronienia. Produkcja zakładów Howsmyna była większa niż wszystko, co mógł dostarczyć na rynek cały Harchong.

Zmieniło się także znaczenie miejsca zwanego Larek. Niedysiejsza wioska rybacka stała się w ciągu kilku lat drugim portem świata, powoli dorównując ruchem Tellesbergowi. Larek był jednak mniejszy od stolicy, nie mógł więc obsługiwać zbyt wielu jednostek naraz, ale tę niedogodność kompensowano pracą przez całą dobę. Mimo to wciąż tworzyły się zatory, ponieważ na redzie stało więcej statków czekających na załadunek i rozładunek, niż można było obsłużyć.

Sytuację poprawiało trochę to, że mniejsze frachtowce mogły płynąć rzeką aż do Delthaku, lecz wymagało to ogromnej ostrożności i zdecydowana większość szyprów wolała przekazać ładunek na płaskodenne barki, które obsługiwały na okrągło odcinek łączący zakłady z portem. Baron Skalistego Klifu czuł pokusę pożeglowania w górę rzeki, ale była ona... umiarkowanie silna. W aktualnej sytuacji wolał nie ryzykować. Jego galeon miał większe zanurzenie niż zwykłe frachtowce, które pokonywały tę trasę, a on zdawał sobie sprawę, jak wielkich szkód by narobił, gdyby uziemił - i to dosłownie - jeden z posiadanych dwunastu okrętów. Każdy z nich był teraz desperacko potrzebny do walki na drugim krańcu świata.

Z tego powodu czekał na redzie, kręcąc się bez przerwy po pokładzie rufowym, sprawdzając komunikaty SAPK-ów dotyczące ostrożnych, ale i tak niebezpiecznych podchodów, w jakie zaczął się ostatnio bawić hrabia Wyspy Zamek. Wiedział, co zamierza wielki admirał. Te ruchy miały wytrącić z równowagi Kornylisa Harpahra, sprawić, by zaczął się lękać o nieuzbrojone jeszcze galeony, które kazano mu eskortować do Desnairu. Hrabia musiał też opóźnić ruchy Floty Boga, i to za wszelką cenę... podczas gdy baron Skalistego Klifu tkwił tutaj, beczynnie, czekając, aż zakłady Howsmyna wyprodukują amunicję, która może - ale tylko może - da cesarskiej marynarce wojennej szansę na powstrzymanie wroga.

Baron Skalistego Klifu uważał, że pociski te niewiele zmieniają, ponieważ Howsmyn nie wyprodukował ich zbyt wiele... nie miał na to czasu, gdyż musiały jak najprędzej trafić do hrabiego Wyspy Zamek. Poza tym rozbitcie floty Harpahra to jedno, a ujście z życiem z tej awantury - zupełnie co innego.

*Nawet mając tę nową amunicję, i tak będziemy musieli się zbliżyć do wroga, pomyślał po raz kolejny. A skoro my będziemy mogli ich ostrzelać, to i oni nas, a mają wielokrotnie*

więcej dział niż nasze okręty. Jeśli wybuchająca amunicja ich wystraszy, jeśli złamią szyk, jeśli stracą ochotę do walki, to może... Zrobił głęboki wdech. Albo nam się uda, albo nie. Czasami chciałbym mieć tak głęboką wiarę jak Maikel. To nie tak, że ja już w Ciebie nie wierzę, Boże. Ale jak widzę, do czego dopuściliście tutaj, na Schronieniu, zaczynam się zastanawiać, na ile jeszcze zła pozwolisz. Maikel nie ma z tym problemu, on przyjmuje Ciebie takim, jaki jesteś. Próbowałem go naśladować, ale nie zdołałem. Może gdybym bardziej się starał... Ale Twoja wola bywa tak trudna do pojęcia. Spójrz, co stało się z Gwylymem. Albo z Samylem Wylsynnem i jego kręgiem. Ojcem Tymahnem z Corisandu...

Przymknął na moment powieki i zamarł w bezruchu. Zaraz jednak otrząsnął się, otworzył oczy i uśmiechnął się krzywo.

Dobrze, pomyślał. Wiem. Wolna wola. Maikel wyjaśniał mi to już wiele razy, on widzi w tym jakiś sens. Wypruwałem z siebie flaki, próbując zrozumieć, czego tak naprawdę ode mnie chcesz, i chyba to w końcu pojąłem. Taką mam przynajmniej nadzieję. Obiecuję, że znów będę się starał z całych sił, ale proszę, miej nas w swojej opiece. Dzisiaj potrzebujemy Ciebie bardziej niż kiedykolwiek. Nie miałem czasu Ci tego powiedzieć, a nawet myśleć o Tobie, gdy kule zaczynały świstać koło ucha, lecz teraz nie zapominaj o nas, proszę. A zwłaszcza o moich ludziach. Nie jestem może Maikalem, ale zrobię to, czego ode mnie chcesz. Tylko zadbaj o moich ludzi. Proszę Cię, Boże, kimkolwiek naprawdę jesteś i jakiegokolwiek masz plany wobec nas i mnie w szczególności, otocz swoją opieką moich ludzi.

**LISTOPAD**

**ROKU PAŃSKIEGO 894**

.I.

**OFB MIECZ BOGA**  
**U WYBRZEŻY PROWINCJI WINDMOOR**  
**ZATOKA TAROTA**

- Ostatnimi czasy mam problem z zapamiętaniem, że Bóg i Langhorne zsyłają nam dobre wieści, kiedy sami tego chcą - zauważył z krzywym uśmiechem na twarzy Kornylis Harpahr, sięgając po filiżankę gorącej czekolady i patrząc jednocześnie ponad stołem na kapitana swojego flagowca. - Właściwie to chciałem powiedzieć, że nie mogę się już doczekać, kiedy Langhorne ześle tych sługusów Shan-wei prosto w czeluście piekieł.

- Owi sługusi, o których raczyłeś wspomnieć, eminencjo, wydają mi się ostatnio wyjątkowo... upierdliwi - przyznał ojciec Ahrnahld. - Może dlatego tak trudno pamiętać, że na wszystko przyjdzie pora.

- Jak tak dalej pójdzie, to odnowią mi się wrzody żołądka. - Harpahr pokręcił głową, a potem upił łyk czekolady.

Ahrnahld Taibahld parsknął tylko i natychmiast zaczął smarować kolejnego suchara. Składowane w chłodzie zęz flagowca masło do tej pory zachowywało wszelkie walory smakowe. Ostatnio jednak zaczęło jęlczyć - jak zawsze zresztą - ale suchary i tak smakowały z nim lepiej niż na sucho, a najlepsze były z odrobiną dżemu. Na szczęście kury i wyverny wciąż znosiły jaja. Harpahr przełknął ostatni kęs jajecznicy na bekonie i od razu odsunął krzesło od stołu. Taibahld zaczął się także podnosić ze swojego miejsca, lecz admirał gestem dłoni kazał mu siedzieć.

- Dokończ śniadanie, Ahrnahldzie - mruknął. - Te przekłete pomioty Shan-wei z pewnością nie zaatakują nas w ciągu najbliższego kwadransa.

- Oczywiście, eminencjo. Dziękuję.

Szczerze powiedziawszy, Taibahld wolałby wstać i udać się na pokład z Harpahrem. Pozostanie w kajucie sugerowało brak szacunku dla przełożonego, jednakże nieposłuchanie jego rady mogło mieć jeszcze gorsze skutki. Admirał mógł go też opieprzyć, gdyby zobaczył, jak przetyka na chybcika resztę jedzenia, by wyjść jak najszybciej. Dlatego przeżuwał spokojnie kawałki suchara, kiedy jego dowódca wkraczał na pokład rufowy *Miecza Boga*.

Flagowiec płynął wolno pod samymi trumslami, popychany podmuchami

południowo-wschodniego wiatru. W takich warunkach wyciągał prawie cztery węzły, aczkolwiek Harpahr z chęcią kazałby załodze postawić kolejne żagle. Niestety umiejętności żeglarskie ludzi księcia Wschodzącego Słońca zmuszały go do ograniczania prędkości.

*I nic dziwnego, pomyślał admirał zgryźliwie. Powinienem się cieszyć, że jego wysokość księżę raczy współpracować z nami. Jestem wprost zauroczony bogactwem języka jego rozkazów, choć to raczej zasługa sekretarzy. Ale przeboleję czytanie tych wszystkich epistoł, jeśli ten dziadyga zgodzi się na przeprowadzenie ćwiczeń, które zaproponowałem.*

Powstrzymał się w korespondencji od epitetów, jakimi biskupi przywoływali zazwyczaj do porządku swoich wiernych. W aktualnej sytuacji musiał zachować dyscyplinę.

*Może powinienem pozwolić, aby Ahrnahld zajął się tą sprawą. Niech on pogada z hrabią Góry Wiatrów, jak kapitan flagowca z kapitanem flagowca. Może uda nam się obejść tego starego pryka. Z drugiej jednak strony, jeśli księżę Wschodzącego Słońca naprawdę nienawidzi ojca hrabiego Góry Wiatrów, takie zabiegi mogą przynieść odwrotny skutek. Ten dziad gotów jest odwołać manewry, gdy odkryje, co robimy!*

Kąciki ust zadrgały mu, choć ta myśl wcale nie była zabawna. Księżę Wschodzącego Słońca był zdolny do czegoś takiego. Jeśli ktokolwiek na Schronieniu mógł to zrobić, to właśnie on.

Admirał zacisnął obie dłonie na kubku z gorącą czekoladą. Słońce świeciło jasno, a on cieszył się na myśl, że chłody zostały już za nimi. Morze Lodowych Wichrów bywało paskudne o tej porze roku, a Cieśnina Sztormów i Morze Markowiańskie jeszcze gorsze, choć odrobinę cieplejsze. Zwłaszcza Cieśnina Sztormów robiła wszystko, by udowodnić zasadność swojej nazwy. W czasie jednego z najgorszych huraganów stracił dwa okręty i dotąd na samą tę myśl czuł, jak twarz mu tężeje. W dodatku silny wiatr rozpędził jego okręty. Gdyby Charisjanie dopadli go wtedy, jeden Langhorne wie, jak skończyłyby się ta misja, skoro spora część floty zniknęła mu z oczu!

Teraz jednak byli już blisko równika, a Zatoka Tarota wydawała się o wiele milsza w listopadzie niż Morze Markowiańskie w październiku. O tak wczesnej porze wciąż było chłodno, lecz parne popołudnie z pewnością pozwoli mu zapomnieć o tej niedogodności. Zwłaszcza jeśli nie zawieje mocniejszy wiatr.

Spojrzał na wschód, pod wiatr, mrużąc oczy, by nie raziło go wiszące wciąż nisko słońce. Świt tutaj miał o wiele czerwiejszy odcień, a chmury nad horyzontem wydawały się dziwnie kłębić.

*Gdy słońce czerwone, z rana, usłyszysz wrzaski bosmana, zacytował z pamięci. Pismo przestrzega przed takimi samospelniającymi się przepowiedniami. Ciekawe jednak, czy nie za*

*wcześniej pogratulowałem sobie zostawienia złej pogody za sobą...*

Pociągnął łyk czekolady, a potem zadarł głowę, słysząc skrzeczenie ptaków i piski wyvern. Skrzydlate stworzenia nadlatywały chmarami od strony prowincji Windmoor, należącej do Republiki Siddarmarku. Na jego oczach jedna z wyvern zanurkowała w morzu, jakby coś tam wypatrzyła. Nie był pewien, czy była to ryba czy raczej jakiś śmieć wyrzucony z pokładu *Miecza Boga*, niemniej życzył jej dobrego połowu.

- Jak widzę, admirał Szerokich Oceanów nadal jest z nami - powiedział ktoś za jego plecami. Odwrócił się i zobaczył na zejściówce kapitana Taibahlda. Kapitan flagowca, wzorem swojego przełożonego, także trzymał w dłoniach kubek z gorącą czekoladą. Oparłszy się o reling rufowy, wskazał głową na raczej niezorganizowany szyk okrętów płynących na północny zachód od nich.

- Można tak powiedzieć - przyznał Harpahr, aczkolwiek posłał swojemu podwładnemu ostrzegawcze spojrzenie.

Użyty przez kapitana tytuł był jak najbardziej prawidłowy, aczkolwiek nazwanie go admirałem było raczej złośliwością niż komplementem, zwłaszcza w ustach doświadczonego żeglarsza. Harpahr nie dziwił się Taibahldowi, ale uważał, że w pewnych sytuacjach należy zachowywać pozory, dlatego zganiony przez niego oficer skinął posłusznie głową, przepraszając za swój wyskok.

- Szczerze mówiąc, dzisiejszego ranka idzie im jakby lepiej - powiedział Harpahr.

- Może ma to coś wspólnego z tymi szkunerami, które widzieliśmy wczoraj - podrzucił kapitan Taibahld.

Harpahr parsknął, lecz nie wydawał się rozbawiony. Po raz kolejny pomyślał - szczerze mówiąc, powtarzał to sobie co najmniej raz na pół godziny - że wiele by dał, aby wikariusz Allayn nie kazał mu wlec za sobą tej sojuszniczej zbieraniny. Ich żalosne umiejętności żeglarskie, kompletny brak dyscypliny i zadzieranie nosa kazały mu wątpić w jakąkolwiek wartość bojową Harchończyków. A fakt, że znacząca większość ich jednostek była nieuzbrojona, tylko pogarszała tę ocenę. Nieuzbrojony galeon mógł paść ofiarą zwykłego szkunera, a tych powolne harchońskie okręty nie potrafiły nawet odgonić. Z tego powodu Harpahr musiał przydzielić im do obrony jedną ze swoich eskadr.

*Może uda mi się nakłonić księcia Wschodzącego Słońca do sprzedania tych okrętów Desnairianom, gdy tylko dopłyniemy do Iythrii? - pomyślał z przekąsem. Baron Jahrasu nie jest może najlepszym żeglarzem świata, ale robi z nich lepszy użytek niż ci Harchończycy! Na razie płyniemy tam, żeby na ich pokładach znalazły się działa, których sami nie potrafili odlać... Chyba udałoby mi się przekonać wikariusza Allayna, że desnairiańscy kanonierzy*



*potrafiliby zrobić z nich lepszy użytek niż ci niewolnicy.*

- Ciekaw jestem, kiedy Charisjanie zaprzestaną tych tańców wokół nas i naprawdę uderzą - odezwał się o wiele poważniejszym tonem Taibahld, wskazując kubkiem na zawietrzną, gdzie znajdowały się trzy z towarzyszących flocie Harpahra szkunerów. - Przyznaję, że irytuje mnie obecność tych jednostek. ale chyba nawet Cayleb nie sądzi, że mogą one uszkodzić galeon.

- Na pewno tego nie zrobią, gdy płyniemy w szyku - przyznał admirał. - Przypomnij sobie jednak, co przeżyliśmy w Cieśninie Sztormów. Gdyby te szkunery pojawiły się wtedy...  
- zawiesił głos, a kapitan skinął głową na znak, że rozumie.

- Wiem, o czym mówisz, eminencjo. Wszelako dopóki nie trafimy na kolejny huragan, co na tych wodach o tej porze roku jest mimo wszystko możliwe, na pewno nie zostaniemy rozproszeni. Cayleb jest zbyt cwany, by liczyć na coś takiego, a czas powoli mu się kończy. Gdy przejdziemy przez Kanał Tarocki i dołączą do nas eskadry barona Jahrasu, będzie za późno na reakcję. Chyba że ma ochotę uderzyć na nas wszystkich równocześnie.

Teraz to Harpahr skinął głową. Wiele razy dyskutował na ten temat z Taibahldem, więc wiedział, że kapitan ma rację. Jeśli Cayleb z Charisu nie uderzy wkrótce, straci swoją szansę.

- Jeśli wierzyć ostatnim raportom, jego okręty wciąż blokują przesmyk Howard - zauważył admirał. - Wiem, że wieści od barona Jahrasu są sprzed dwóch albo nawet trzech pięciodni, bo tyle zajmuje ich przekazanie pocztą semaforową, ale gdyby nawet odpłynęły chwilę po jej nadaniu, i tak byłyby daleko na południe od nas. - Skrzywił się. - Zaczynam się poważnie zastanawiać, czy on nie chce, abyśmy przyszpilili go do wybrzeży Desnairu.

- Nie, eminencjo, na pewno tego nie chce - zaprzeczył Taibahld z szacunkiem, lecz stanowczo. - Dziwi mnie, że tak długo tkwi u wybrzeży Desnairu, ale na pewno nie pozwoli się tam przyszpilić. Nie mylisz się, sądząc, że on nadal jest gdzieś na południe od nas, lecz postawię każde pieniądze na to, że wypłynie nam naprzeciw i zaatakuje gdzieś w Kanale Tarockim. Cokolwiek wymyśli, i tak będziemy mieli ogromną przewagę liczebną, a jeśli podstęp wikariusza Allayna zadziałał, Charisjanie przerzucili większość swoich sił do obrony Corisandu i Chisholmu. To z kolei oznacza, że nasza przewaga jest kolosalna, więc być może zależy mu na jej zmniejszeniu, dlatego chce walczyć w kanale, który nie jest tak szeroki jak otwarte wody. Tak czy inaczej uderzy, zanim dotrzemy do zatoki Mathyas. Może też wycofać się bez walki, jeśli uzna, że mamy zbyt wielką przewagę, i skoncentruje się na obronie własnych wód i portów.

Harpahr uniósł brew ze zdziwienia, ale nie zakwestionował analizy Taibahlda. Po

pierwsze dlatego, że wydawała się całkiem sensowna. Po drugie - i ważniejsze - dlatego, że Taibahld udowodnił niejednokrotnie, ku wielkiej satysfakcji admirała, że zna się dobrze na taktyce i strategii. Czasami Harpahr myślał sobie, że kapitan jego flagowca jest o wiele lepszym kandydatem na admirała tej floty niż on sam. Niestety był zbyt prostym kapłanem, aby otrzymać tak zaszczytne stanowisko. Harpahr dziękował więc Bogu za to, że dostał tak doskonałego współpracownika. *I nauczyciela przy okazji*, uświadomił sobie.

- Cóż - teraz to on wskazał na widniejące w oddali żagle szkunerów - przynajmniej wiemy, że Cayleb znajdzie nas, kiedy będzie miał na to ochotę.

## .II.

**HMS AHRMAHK**

**ZATOKA TAROTA**

**ORAZ**

**PALAC CESARSKI**

**CHERAYTH**

**CHISHOLM**

- Znajdzie nas, kiedy będzie miał na to ochotę.

Hrabia Wyspy Zamek prychnął pogardliwie, gdy sensor umieszczony na ramieniu generalnego admirała Harpahra zakończył transmisję na żywo toczoną przez niego rozmowę.

- Ze znalezieniem was nigdy nie mieliśmy większego problemu - mruknął mniej więcej w kierunku Floty Boga i usłyszał kolejne prychnięcie, głośniejsze nawet niż jego.

- To prawda - poparł go Cayleb Ahrmahk siedzący w apartamencie księcia Tymahna w pokrytym śniegami Chisholmie. W tym momencie znajdował się około ośmiu tysięcy mil i dziesięciu stref czasowych od flagowca hrabiego Wyspy Zamek. - Chciałbym go tam znaleźć, ale osobiście - dodał.

- Słucham? - Wielki admirał uśmiechnął się pod nosem w kierunku morza, na które spoglądał teraz Harpahr. - Czy mam te słowa traktować jako dowód na brak zaufania do dowódców, z którymi wasza wysokość rozmawia?

- Ależ skąd! - Cayleb zachichotał, wychwytyjąc nutkę humoru w głosie kuzyna, lecz gdy znowu się odezwał, był już znacznie poważniejszy. - Skoro ja tam nie mogę być, nie ma dwóch odpowiedniejszych zastępców niż wy. Po prostu mierzi mnie myśl, że to nie ja

dowodzę tą operacją.

- Rozumiem - odparł ze spokojem hrabia Wyspy Zamek.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że obserwacja tak ważnych wydarzeń z ogromnej odległości musi być stresująca dla cesarza i cesarzowej.

- Będziemy się za ciebie modlili, Bryahnie - dodała półgłosem Sharleyan, jakby czytała w jego myślach, mimo że znajdowała się po drugiej stronie oceanu.

- Dziękuję - odparł, uśmiechając się kpiąco. - To też nie zaszkodzi.

- Myślę, że może nawet pomóc, i to bardzo - stwierdził Maikel Staynair ze swojego pałacu w Tellesbergu. - Aczkolwiek takie myślenie jest moim obowiązkiem...

Hrabia ujrzał oczami wyobraźni roześmianą twarz arcybiskupa i pokręcił głową.

Nagle dotarło do niego, że on i jego wróg robią w tym momencie to samo. Obaj stoją na rufach swoich flagowców i spoglądają na wschód, myśląc i planując. W odróżnieniu od Harpahra hrabia wiedział, że ich okręty znajdują się tylko pięćdziesiąt mil od siebie. Znał też dokładne położenie formacji wroga, choć sam pozostawał niewidzialny, podczas gdy Harpahr i Taibahld dyskutowali o obraniu nowego kursu. Jak stwierdził generalny admirał, wiedział, gdzie ich znaleźć, jeśli będzie miał na to ochotę. Był też w pełni świadom, na co trafi, gdy już się tam pojawi.

*Nie. wiem jedynie, jaki będzie wynik naszego spotkania.*

- Pokaż mi mapę, Sowo - rozkazał.

- Tak, wielki admirał - odparła sztuczna inteligencja i na szklach kontaktowych hrabiego Wyspy Zamek pojawiła się aktualna mapa Zatoki Tarota i otaczających ją lądów.

Niewiele się zmieniło od chwili, gdy oglądał ją po raz ostatni, ale jego wzrok znów powędrował w kierunku ikonek, którymi oznaczono okręty barona Skalistego Klifu. A te zbliżały się szybko z południowego wschodu, idąc pod wszystkimi żaglami. Wielki admirał uniósł brew ze zdziwienia, gdy jego wzrok spoczął na uaktualnianych przez Sowę danych. Te się zmieniły, chociaż niewiele, musiał więc przeanalizować je ponownie. Wiatr wzmaczał się szybciej, niż przewidywał baron Skalistego Klifu. Według Sowy jego dwanaście galeonów powinno przybyć na miejsce cztery godziny przed ustalonym czasem, co oznaczało...

- Ciekawe... - mruknął pod nosem wielki admirał.

- Cóż tam widzisz ciekawego? - W głosie Cayleba było tyle podejrzliwości, że hrabia mimowolnie się uśmiechnął.

- Domynek przybędzie szybciej, niż się spodziewałem - odparł. - Tak samo jak front burzowy nadciągający ze wschodu. Jeśli aktualne dane są prawdziwe, możemy przesunąć miejsce naszego spotkania o kilka kolejnych mil i przeładujemy amunicję tuż przed

nadejściem deszczu.

- To naprawdę zły pomysł - rzucił cesarz tonem sugerującym, że jego podejrzenia zostały właśnie potwierdzone. - Wpływanie w środek floty, która ma przewagę liczebną cztery do jednego, w samym środku nocy, i to w dodatku podczas ulewy, brzmi jak scenariusz gotowej katastrofy.

- Dziwna sprawa - wtrącił baron Skalistego Klifu z pokładu swojego okrętu flagowego, znajdującego się nadal około dwustu mil od HMS *Ahrmahk*. - To samo powiedziałbym, gdyby wasza wysokość pozwolił mi uczestniczyć w naradzie przed bitwą w Cieśninie Skalistej. I może jeszcze dorzuciłbym uwagę, że chciałeś wpłynąć na ślepo w wąski kanał podczas szalejącego huraganu. Tak, to zaiste był znacznie bardziej przemyślany i bezpieczniejszy plan, wasza wysokość.

- Wtedy była zupełnie inna sytuacja, o czym doskonale wiesz - ripostował Cayleb. - Morale załóg hrabiego Thirsku było złamane, a ja miałem gigantyczną przewagę ogniową. Co więcej, oni stali na kotwicach! Zatem miałem także przewagę manewrową, a jego ludzie byli na wpół przytomni, zanim oddaliśmy pierwszą salwę! Nawet ty musisz przyznać, że jest różnica pomiędzy Dohlarianami a ludźmi Harpahra i Taibahlda!

- To prawda - przyznał hrabia Wyspy Zamek. - Aczkolwiek hrabia Thirsku nie miał obciążenia, jakim jest pięćdziesiąt nieuzbrojonych harchońskich galeonów. Co więcej, Flota Boga płynie w sześcioliniowej formacji, a nawet w siedmioliniowej, jeśli liczyć eskadrę oddelegowaną do ochrony bandy nieudaczników księcia Wschodzącego Słońca. Nie dbam o to, jak dobrze wyszkolone są załogi z Ziem Świątynnych, jestem za to pewien, że nie spodziewają się ataku w środku nocy. Sam wiesz, jakie to mylące i przerażające przeżycie, przecież na to właśnie liczyłeś, Caylebie, w Cieśninie Skalistej. Cokolwiek potrafią tamci, nasi chłopcy są od nich lepsi, więc zamieszanie będzie sprzyjało nam, nie im.

- Naszą jedyną szansą na pokonanie tak ogromnej floty jest uzyskanie przewagi taktycznej - protestował Cayleb, nie podnosząc głosu - a nasze systemy komunikacyjne opierają się na ludziach, którzy muszą widzieć nadawane sygnały. Jeśli rozerwiecie szyk, jeśli wasza formacja rozpadnie się w samym środku floty Kościoła Matki, przegracie, Bryahnie. Bez względu na to, jak dobrze wyszkolone są nasze załogi. Bez względu na to, jak dobrze się spiszesz, efektem będzie wasza klęska.

- Jeśli oni zdołają utrzymać szyk, także przegramy, ponieważ nie uda nam się dostać wystarczająco głęboko, by ich rozgonić - odparł hrabia Wyspy Zamek. - Możemy kasać po łydkach, ale na pewno nie sięgniemy do mózgu i serca floty przeciwnika, o czym doskonale wiesz. Aby tego dokonać, musimy wejść w sam środek ich szyku.

- Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy, Caylebie - dodał baron Skalistego Klifu. - Ehdwyrd miał czas na wyprodukowanie tylko kilku tysięcy nowych pocisków, a nasi kanonierzy nie mieli czasu ani zapasów, aby przeciwżyć strzelanie taką amunicją. Do tej pory przeprowadzaliśmy testy tylko na poligonie, a wbrew temu, co my myślimy o dziełach Ahlfryda, ludzie mogą się ich na początku nieco obawiać. Musimy podejść naprawdę blisko, by dać wrogowi popalić, bo każdy galeon otrzyma tylko po sto siedemdziesiąt pocisków łuskowych. To mniej niż osiem salw burtowych. Jeśli każda z nich nie dotrze do celu, i tak przegramy. A jeśli spróbujemy przebijać się od zewnątrz, jestem pewien, że stracimy kilka dobrojonych jednostek, zanim zdołamy dokonać wyłomu. Co gorsza możemy zużyć całą nową amunicję na przerwanie ich linii obrony, co da tym z tyłu wystarczającą ilość czasu, by zrozumieć, czym ich atakujemy.

- Ale... - zaczął Cayleb.

- Oni mają rację - usłyszał słowa wypowiedane półgłosem.

Obrócił szybko głowę i spojrzał w kierunku drzwi apartamentu księcia Tymahna, których strzegł Merlin Athrawes.

- Oni mają rację - powtórzył *seijin*, tym razem przez wbudowany komunikator. - Tej bitwy nie da się wygrać, niszcząc okręty, nie mamy wystarczającej ilości amunicji, by je wszystkie zatopić. Trzeba zlikwidować spójność floty, a żeby to zrobić, musimy podpłynąć naprawdę blisko. System sygnałowy Harpahra może nie jest tak doskonały jak nasz, ale z pewnością wystarczy do wydania rozkazu ścieśnienia szyków, jeśli wróg w porę dostrzeże okręty Bryahna i Domyńka. A skoro o sygnałach mowa, gdy tylko rozpocznie się bitwa, w powietrzu będzie tyle dymu, że wielki admirał nie zdoła nikomu niczego zasygnalizować, zatem fakt, że on i Domynek będą wiedzieli, co się dzieje, da im ogromną przewagę nad Harpahrem. Nie będą jednak w stanie wydawać rozkazów kapitanom poszczególnych okrętów bez względu na to, co się wydarzy. Lepiej niech więc uderzą w ciemnościach, gdy druga strona także będzie pozbawiona kontroli nad swoimi okrętami. Poza tym zamieszanie da dodatkową przewagę naszym jednostkom.

Cayleb siedział cicho przez dłuższą chwilę, aż jego żona pochyliła się nad kołyską, wyciągając w jego kierunku rękę. Ocknął się raptownie, gdy położyła ją na jego kolanie.

- Pozwól im to zrobić po swojemu - poprosiła łagodnym tonem. - Są najlepszymi ludźmi, jakich masz. Są tam gdzie trzeba, więc powinienes okazać im odrobinę zaufania i pozwolić walczyć w taki sposób, jaki uważają za najlepszy. Wiem, że to nie będzie łatwe dla ciebie, rozumiem dlaczego, ale powtarzam, pozwól im to zrobić po swojemu.

Cayleb westchnął ciężko, a potem powoli skinął głową.

- Dobrze, Bryahnie, Domynyku. Zrobimy to po waszemu - powiedział półgłosem cesarz Charisu.

### .III.

#### U WYBRZEŻY PROWINCJI WINDMOOR ZATOKA TAROTA

Ahrnahld Taibahld skrzywił się, gdy kolejna ściana tropikalnego deszczu spadła na pokłady OFB *Miecz Boga*.

Deszcze w okolicach Zatoki Tarota nie przypominały tych z północnych akwenów. Nie zaczynały padać z wolna, nie było przed nimi żadnego ostrzeżenia. Grube krople łomotały o jego naoliwioną pelerynę, robiąc hałas nie mniejszy niż oddział kawalerii mknący po bruku. Ledwie zdążył to zauważyć, z nieba lunęły potoki wody. Widoczność natychmiast spadła do zera. Wcześniej także nie była zbyt dobra, jako że tej nocy nie mogli zobaczyć księżycy ani gwiazd, lecz teraz z trudem dostrzegał blask bijący od naktuzu, a kiedy spojrzał pod nogi, dostrzegł coś na kształt mgielki w miejscach, gdzie krople rozbijały się o deski pokładu.

*I kto ci się kazał wymądrzać w sprawach pogody?* - pomyślał ze złością.

Aczkolwiek w porównaniu z sytuacją w Cieśninie Sztormów to naprawdę pestka. No, może nie do końca. Wiatr nasilił się do tego stopnia, że okręty musiały refować trumsle - ale wiał jednostajnie i jak na razie nie było żadnych gwałtownych podmuchów. Nawet morze nie było specjalnie wzburzone, choć fale przy aktualnym kursie *Mieczy Boga* uderzały w burty, powodując nieprzyjemne kołysanie pokładu pod stopami. Nic jednak nie świadczyło o zbliżaniu się szkwału, na horyzoncie nie było widać błyskawic, a po niebie nie przetaczał się huk gromów.

*Z takim sztormem powinni poradzić sobie nawet zdrańcy księcia Wschodzącego Słońca*, pomyślał kapitan, kładąc dłoń na poręczy relingu, by zabębnić o nią palcami. *Nie kuś losu, Ahrnahldzie*, upomniał się zaraz ironicznie.

\* \* \*

Wielki admirał Bryahn wetknął dwa nabite pistolety do kabur na udach ukrytych pod natłuszczoną peleryną i odstawił szkatułkę, w której wcześniej je trzymał, na blat biurka. Flagrum siedział obok niego i skamlał cicho, jakby umiał czytać w myślach swego pana.

*Co wcale nie byłoby takie dziwne, zważywszy na to, jak długo ze mną jest,* pomyślał hrabia, po czym przyklęknął i objął ramieniem masywny kark rottweilera. Zaraz jednak się wyprostował i poklepał pupila po barku.

- Czas zejść na dół - powiedział. Flagrum przekrzywił głowę, postawił uszy i zaskomlał raz jeszcze, tym razem głośniejsze. - Żadnych protestów - zganiał go wielki admirał. - Do niczego mi się nie przydasz na pokładzie. No, idź z Henraiem!

Flagrum znów spojrzał na niego błagalnie, a potem spuścił uszy, podniósł się ociężale i podszedł wolno do komandora porucznika Tillyera. Jego pazury stukały głośno o deski podłogi, hrabia słyszał te dźwięki nawet przez szum deszczu bębniącego o świetliki jego kajuty.

Oficerowie w randze komandora porucznika zazwyczaj nie odprowadzali pupili admirałów w bezpieczne miejsca, ale Tillyer i Flagrum byli starymi kumplami. Pies z o wiele większą ochotą szedł, a potem zostawał w znajdującym się głęboko pod linią zanurzenia magazynku bosmańskim, gdy odprowadzał go zaufany człowiek. Zważywszy na fakt, jak trudno zatopić drewniany okręt, było to jedno z najbezpieczniejszych miejsc na pokładzie. Wielki admirał cieszył się, że ma takie miejsca dla Flagruma, zwłaszcza w takich chwilach jak ta - gdy pies obrócił po raz ostatni łeb, by spojrzeć z wyrzutem, a potem poczłapał za Tillyerem.

- Ufam, że nie urażę pana, wielki admirał, stwierdzeniem, iż świadomość, że każdy na tym pokładzie wykonuje pańskie rozkazy, musi być krzepiąca.

Hrabia Wyspy Zamek odwrócił się i spojrzał z ukosa na Sylmahna Baikyra, kapitana okrętu flagowego. Był to wytwornie ubrany, niski, korpulentny mężczyzna o ciemnych włosach i takich samych oczach. Patrząc na niego, człowiek zaczynał się zastanawiać, ileż on musiał wydawać na te mundury.

Kapitan był jednak nie tylko elegantem, ale i kompetentnym, rozsądnym oficerem. W dodatku cechowała go ogromna odwaga, pod tym względem nie dorównywał mu nikt, kogo znał wielki admirał. Szczerze mówiąc, Baikyr przypominał mu młodego Rayjhisa Yowance'a.

*Cóż, mam nadzieję, że naprawdę jest tak dobry, jak myślę! Admirałowie nie powinni wybierać kapitanów swoich flagowców na chybił trafił.*

- Cieszę się, że tak to widzisz, Sylmahnie - odparł hrabia. - A znając Flagruma od tylu lat, powinieneś wiedzieć, że nakłonienie tego starego psiska do czegoś, czego nie chce zrobić, jest równie trudne jak przeniesienie na plecach trzydziestofuntówki z nabrzeża portowego na drugi kraniec Tellesbergu. - Skrzywił się. - Zaufaj mi, wygranie z Harpahrem będzie niczym w porównaniu ze zwycięstwem, jakie właśnie odniosłem.

- Miło mi to słyszeć, sir - odparł Baikyr, uśmiechając się pod nosem.

- Świetnie. W takim razie nie będziesz miał nic przeciwko temu, by rozpocząć przygotowania okrętu do walki.

- Już się robi, sir - odparł Baikyr, salutując sprężyscie.

\* \* \*

Zazwyczaj rytmiczne bębnienie werbli wzywało załogę HMS *Ahrmahk* do natychmiastowego zajęcia stanowisk bojowych. Ale tej nocy było inaczej.

Sztucznie wygenerowane dźwięki miały przykrą tendencję do przebywania ogromnych dystansów, zwłaszcza nad wodą. Gęsty deszcz, huk fal o burty i wycie wiatru w takielunku powinny go stłumić, jednakże nikt z Charisjan nie chciał niepotrzebnie ryzykować tej nocy. Dlatego załogi dwudziestu pięciu galeonów płynących w całkowitych ciemnościach zajmowały swoje stanowiska tylko przy wtórze wydawanych półgłosem rozkazów.

Stopy łomotały o deski pokładu, spod którego dobiegały stłumione stukoty rozmontowywanych przegród, następnie wędrujących do położonych niżej ładowni razem z całą resztą wyposażenia: meblami, obrazami, stojakami na wino z kajut oficerskich, admirałskimi fotelami. Koła lawet zapiszczały, gdy poluźniono liny, by cofnąć działa od furt, przy których zazwyczaj stały dobrze umocowane. Z wylotów luf zdjęto ołowiane uszczelki i tompiony, zasypiano zamki, z wieszaków zdjęto wyciory i ubijaki, koryta stojące pomiędzy parami dział zostały napełnione wodą, pokład wysypano piaskiem z cebrzyków, żeby koła się nie ślizgały... i krew miała w co wsiąkać.

Kanonierzy otrzymali wcześniej kordelasy i piki. Nowomodne pistolety, stworzone jakiś czas temu na potrzeby cesarskiej gwardii, stały się teraz bardziej powszechne w użyciu. Ich prostsze, gładkolufowe wersje trafiły do rąk podoficerów i marynarzy. Wilki, lekkie obrotowe działka używane na górnych pokładach, skąd można ostrzeliwać załogę wrogiej jednostki, zostały wydane z magazynów i zamontowane na stojakach. Obsady karonad zaroily się na głównym pokładzie, by przygotować i tę broń do użycia, mimo że deszcz bębnił gęsto po opasłych krótkich lufach. Dopóki stojące na otwartej przestrzeni armaty nie rozgrzeją się porządnie, nie można było ufać niezawodności staromodnych, wolno palących się lontów. Marynarze musieli korzystać ze specjalnie zabezpieczonych zapasów. Lonty umieszczano w tubach z grubego płótna, które nie pozwalały dostrzec płomienia z pokładu wrogiej jednostki i jednocześnie stanowiły osłonę przed deszczem.

Inni marynarze rozpościerali nad pokładami ochronne sieci, których zadaniem było wyłapywanie spadającego z masztów osprzętu. W tym czasie ich koledzy znosili z pokładu szalupy, które w normalnych warunkach spoczywały na śródokręciu. W trakcie walki



spuszczano je na wodę i ciągnięto na linach za rufą, by przypadkowe trafienia nie rozsiewały dodatkowych drzazg w kierunku walczących obsad. Na dolnych pokładach chirurdzy przygotowywali narzędzia: noże i piły. Uzdrowiciele sprawdzali zapasy mchów leczniczych i bandaży, a ich pomocnicy szorowali stoły w mesie, na których już niedługo będą operowani ranni marynarze.

Charisjańskie standardy wymagały, by jednostka była gotowa do walki w piętnaście minut od ogłoszenia alarmu. Tej nocy przygotowania trwały jednak dwa razy dłużej, ponieważ był na to czas. Wszystko musiało być zrobione jak należy. Bez ryzyka wypadków i zranienia kogoś z załogi. I na koniec dwa razy sprawdzone.

Na pokładzie HMS *Ahrmahk*, podobnie jak na wszystkich jednostkach płynących śladem flagowca, nie było dzisiaj człowieka, który by nie zdawał sobie sprawy, z kim przyjdzie mu walczyć. Wszyscy wiedzieli, jak wielką przewagę liczebną ma wróg, i potrafili obliczyć swoje szanse na przeżycie tej bitwy... a także odgadnąć, co stanie się, jeśli galeony skrywające się za ścianą deszczu i mroku dotrą do Desnairu i połączą się z czekającymi w zatoce Jahras siłami południa.

Większość marynarzy miała za sobą doświadczenie na polu walki. Wszyscy jak jeden mąż znali też charisjańską tradycję. Nie roztrząsali, czy są członkami najlepszej marynarki wojennej w historii Schronienia, oni to wiedzieli - tak samo, jak było dla nich jasne, co Kościół Boga Oczekiwanego i Inkwizycja zrobią z ich rodzinami, jeśli przegrają tę wojnę.

Wielki admirał Wyspy Zamek stał na środku pokładu rufowego w strugach deszczu chłozącego jego opończę i przyglądał się mapie, którą tylko on mógł widzieć. Chłonał uczucia emanujące z otaczających go ludzi. Czuł ich wiedzę, strach i... determinację.

- Zadbaj o to, by mieć wystarczająco jasny umysł, gdy zaczniesz wydawać swoim ludziom rozkazy. - Tak pouczył młodego Cayleba Domynek Staynair podczas innej deszczowej nocy, tuż przed bitwą pod Skalistym Klifem. Cesarz powiedział o tym swojemu kuzynowi, więc hrabia Wyspy Zamek mógł teraz powtórzyć w myślach tę sentencję.

- Sir, okręt jest gotowy do akcji - zameldował Sylmahn Baikyr, dotykając pięścią ociekającej wodą skórzanej opończy na wysokości piersi.

- Doskonale, kapitanie - odparł wielki admirał. - Proszę się przygotować do dania sygnału.

\* \* \*

- Sir! Flagowiec nadaje sygnał!

Kapitan Zakrai Wayst przerwał cichą rozmowę z kapelanem okrętu, słysząc meldującego przejętym głosem kadeta.

- Doprawdy, panie Hahlmyn? - Ton odpowiedzi był obliczony na uspokojenie młodzieńca i rzeczywiście kadet natychmiast zrobił głębszy wdech.

- Tak jest - potwierdził znacznie spokojniej, co Wayst skwitował skinieniem głowy.

Jego wzrokowi brakowało już wiele z młodzieńczej ostrości, aczkolwiek w taką noc i ona nie na wiele by się zdała. W gęstym deszczu z trudem rozróżniał szczyt głównego masztu. Wydawało mu się, że dostrzeża w oddali światła rufowe flagowca - które osłonięto w ten sposób, by były widoczne tylko dla jednostki płynącej dokładnie za nim - ale nie postawiłby na to żadnych pieniędzy. Na pewno jednak nie widział trzech czerwonych latarni, które powinny się pojawić na grotmaszcie Ahrmahka.

Hahlmyn był jednak wiarygodnym źródłem informacji, więc Wayst uwierzył mu na słowo.

- Zasygnalizował pan przyjęcie wiadomości, panie Hahlmyn?

- Tak jest. Wywiesiliśmy pojedynczą czerwoną lampę na foktrumsrei!

- Doskonale. Proszę przekazać sygnał następnej jednostce w linii, jeśli łaska.

- Aye, aye, sir!

\* \* \*

Płynące w ulewnym deszczu galeony jeden po drugim wywieszały na masztach czerwone latarnie. Ich blask niknął w ciemności i ścianie deszczu, lecz czujni sygnaliści nie przeoczyli znaku, na który czekali od wielu godzin. Okręt po okręcie potwierdzał przyjęcie rozkazu i przekazywał go dalej. Trwało to wieki, przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy wielkiego admirała, który czekał na rufie pierwszej jednostki w linii. Wreszcie pojawił się oficer sygnałowy okrętu Baikyra i zasalutował sprężyscie.

- *Cieśnina Darcos* opuściła latarnię, sir!

- Świetnie - odparł zwięźle hrabia Wyspy Zamek.

Zakrai Wayst mógł być kołtunem o mocno przerośniętym ego, ale jako oficer sprawował się doskonale. Był twardy jak skała i niewzruszony. Ludzie powiadali, że taki, co mógłby go wystraszyć, jeszcze się nie narodził. Właśnie te cechy jego charakteru sprawiły, że otrzymał dowodzenie HMS *Cieśnina Darcos*, drugiego galeonu w linii wielkiego admirała. Opuszczenie przez jego jednostkę czerwonej latarni oznaczało, że moment wcześniej podobnie postąpiono na okręcie płynącym za galeonem Waysta, czyli na HMS *Żonkil*. To był najszybszy i najprostszy sposób na potwierdzenie przyjęcia rozkazu przez wszystkie jednostki. *Ahrmahk* i *Niszczyciel*, flagowiec barona Skalistego Klifu, miały na pokładach inne, lepsze urządzenia, których ich dowódcy mogli użyć, gdyby zaszła taka potrzeba, lecz na pewno jeszcze nie teraz. Były zbyt... dynamiczne. Zbyt niedyskretne. Na szczęście

opuszczana latarnia oznaczała, że wszystkie okręty płynące za HMS *Cieśnina Darcos* potwierdziły już przyjęcie rozkazu przygotowania do walki.

Hrabia i tak już o tym wiedział dzięki sensorom Sowy rozmieszczonym nad całą okolicą.

*To musi doprowadzać Merlina do szewskiej pasji od chwili przybycia tutaj, pomyślał wielki admirał. Wie wszystko, i to niemal natychmiast, ale i tak pozostaje mu polegać na flagach sygnałowych, latarniach i konnych posłańcach, ponieważ dostępna mu wiedza jest przeznaczona tylko dla jego oczu. Nie może się zdradzić, aby nie zostać posądzonym o korszachty z demonami.*

- W takim razie, kapitanie Baikyr - powiedział, obracając się po raz kolejny w kierunku dowódcy flagowca - czas zaczynać nasze małe przedstawienie.

\* \* \*

Gdy czerwone latarnie zjechały z bezanmasztu *Ahrmahka*, kapitan Baikyr nakazał sternikowi zmienić kurs.

Przemoczone żagle załopotwały, gdy galeon wyostrzył do wiatru. Natychmiast padły wysyczone półgłosem komendy, by wybierać szoty. Hrabia Wyspy Zamek spojrzął za rufę, gdzie tylko człowiek z wyjątkowo dobrym wzrokiem mógłby dostrzec dziób HMS *Cieśnina Darcos*. On jednak nie musiał polegać na czymś tak zawodnym jak ludzkie oczy. Chwilę później odetchnął z ulgą, widząc, że jednostka Zakraia Waysta idzie za flagowcem.

Okręty cesarskiej marynarki wojennej Charisu docierały kolejno do miejsca, w którym HMS *Ahrmahk* wykonał zwrot, i powtarzały jego manewr, kierując się na ledwie widoczne w mroku latarnie pozycyjne poprzedzających je galeonów.

Hrabia Wyspy Zamek spojrzął w stronę dziobu. Podeszedł bliżej stanowiska sternika, spojrzął na podświetloną tarczę kompasu, a następnie podniósł raz jeszcze głowę, pozwalając, by deszcz obmył mu twarz.

Nie mógł zrobić już nic prócz pokazania otaczającym go ludziom, że jest pewien swojego planu. Wiedział o tym, podobnie jak o tym, że każdy oficer, podoficer i marynarz z załogi HMS *Ahrmahk* jest przekonany, iż dowódca widzi tyle co oni, czyli prawie nic. Ludzie ci mylili się jednak, i to bardzo, aczkolwiek fakt, że admirał może zobaczyć o wiele więcej niż oni, nie zmieniał jego położenia, ponieważ i tak nie mógł wykorzystać tej wiedzy. Marynarze rozumieli, że dowódca musi odgrywać rolę pewnego siebie, aby i oni poczuli się lepiej, lecz to nie miało większego znaczenia. To był tylko jeden element skomplikowanej sieci wzajemnych zależności, dzięki którym załoga okrętu wojennego mogła sprawnie funkcjonować.

*Oni są ślepi w tym mroku, pomyślał admirał. Tutaj jest ciemniej niż we wnętrzu serca Clyntahna, zastanawiają się więc, czy zdołam odnaleźć flotę Harpahra. Nie wiedzą też, czy przez te piekielne ciemności i deszcze nie powpadamy sami na siebie. Usłuchali moich rozkazów, realizują mój plan, mając tylko poczucie obowiązku i... wiarę. Mój Boże. Czym ja sobie zasłużyłem na takie oddanie i wierność?*

Nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale wiedział, że musi zrobić wszystko, zapłacić każdą cenę, by zasłużyć na ich zaufanie. By być go wartym, nawet jeśli nie zasługuje na nie.

Zerknął w kierunku stojącego bliżej sternika, szpakowatego mata z długim warkoczykiem, żującego tytoń i nie zwracającego uwagi na ciekące mu po twarzy strugi wody. Człowiek ten koncentrował się na ledwie widocznych żaglach, aby dzięki wieloletniemu doświadczeniu lekko skorygować kurs, gdyby wiatr przestał je wypełniać. Wyczuł jednak spojrzenie wielkiego admirała i odwrócił głowę. Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy.

- Nie martw się pan, milordzie, o to, czy znajdziemy tych drani - powiedział, szczerząc zęby. Musiał podnieść głos, by przekrzyczeć łomot potoków deszczu o napięte płótno żagli i chlupot wody ściekającej za burty. - Znajdziesz ich pan, a wtedy my skopimy im te żałosne dupska! Możesz mi pan wierzyć, sir.

Wyszczerył się raz jeszcze, a potem splunął tytoniem prosto w kubek stojący u podstawy naktuzu.

\* \* \*

- Twój ruch - powiedział Kornyls Harpahr, pochylając się nad szachownicą. Wystukał popiół z cybucha fajki i zaczął ją ponownie nabijać, nie spuszczać wzroku z pola gry, nad którym wciąż deliberował Taibahld.

- To było bardzo niemiłe, eminencjo - obruszył się w końcu kapitan flagowca.

- Cóż... jak słusznie zauważył archanioł Chihiro, nie będziemy ułatwiać życia naszym oficerom i żołnierzom - odparł zadowolony z siebie admirał. - Wróg też nam nie popuści! A poza tym odwdzięczam ci się za łomot, jaki mi sprawiłeś minionej nocy.

Taibahld zachichotał. Ich trzykrotne potyczki w każdym tygodniu przeszły już do tradycji i z tego co wiedział, obu przynosiły podobną radość. Grali na równym poziomie, a długi czas spędzony na wzajemnym masakrowaniu pionów i figur umacniał ich więzi, zarówno osobiste, jak i zawodowe. W czasie partyjek zdołali omówić już niejedną problem natury logistycznej czy scenariusz taktyczny. Prawdę powiedziawszy, Taibahld czuł spore zdziwienie, widząc ogromną ochotę, z jaką Harpahr przyjmował jego opinie.

Teraz siedział, pocierając palcem koniec nosa, i zastanawiał się, jak wybrnąć z

pułapki, w którą zwabił go admirał. Mógł ocalić królową, ale tylko za cenę przełamania obrony króla i odsłonięcia prawej strony szachownicy na dalsze ataki Harpahra. Jeśli jednak poświęci królową i przesunie gońca pomiędzy...

Sięgnął po figurę, ale zamarł. Podniósł głowę i zmrużył oczy. Admirał właśnie skończył odpalać fajkę i przyglądał mu się ze zdziwieniem zza chmury dymu.

- Ahrnahldzie?

- Wybacz, eminencjo. - W głosie kapitana flagowca dało się wyczuć zdziwienie. - Wydawało mi się, że słyszę...

Dźwięk rozległ się po raz kolejny.

\* \* \*

Po marnych początkach Kościół Matka zdołał w końcu zrealizować program budowy floty. Nie całej rzecz jasna, gdyż tak ambitnego planu nie sposób było oblec w całość dostępnymi środkami. Kiedy jednak Allayn Magwair przestał myśleć, a Zhaspyr Clyntahn zauważył, że galery, które kazał budować, to nie do końca okręty, o jakie chodziło, naczelny wódz sił Świątyni zrobił wszystko co w jego mocy, by naprawić swój błąd. Wykazał się też niezwykle jak na niego troską o projekt i znalazł kilku bardzo zdolnych ludzi - jak choćby Kornylisa Harpahra - do pomocy.

Ślepy upór wikariusza spowodował jednak przeoczenie kilku istotnych spraw. Takich jak choćby niezainstalowanie na pokładach krótkolufowych karonad. Albo oszczędzenie na miedzianym pokryciu kadłubów, co dawało teraz przewagę prędkości charisjańskim jednostkom. Galeony Kościoła Matki miały też wciąż kasztele na dziobach i rufach, aczkolwiek nieco niższe niż ich poprzednicy. Mimo tych błędów wikariusz Allayn sprawił się niemal tak dobrze jak hrabia Thirsku i stworzył flotę zdolną do nawiązania walki z Charisjanami.

Mimo że straż Świątyni nie miała tradycji morskich, jej członkowie byli zdyscyplinowanymi żołnierzami, którzy przeszli trudne szkolenia. W odróżnieniu od niektórych świeckich władców jej dowódcy nie mieli też żadnych oporów przed znalezieniem zewnętrznych ekspertów, którzy mogli nauczyć przyszłych marynarzy wszystkiego co potrzebne. Zła pogoda, lód, za mało odlewni, charisjańskie rajdy na transporty... wszystko to opóźniało pracę nad Flotą Boga, lecz nie zdołało jej powstrzymać, a ludzie tacy jak Ahrnahld Taibahld i Kornylis Harpahra wiedzieli, co zrobić z jednostkami, które przekazano do ich dyspozycji.

Aczkolwiek mieli też parę słabości. Mimo osobistej odwagi i czasu spędzonego na analizowaniu problemów i planowaniu nigdy by im nie przyszło do głowy, że można

zaatakować przeważające siły wroga pod osłoną tropikalnej ulewy. Mimo wielu milionów marek zainwestowanych przez Świątynię w budowane galeony nikt w Syjonie nie rozumiał, jak wielkie znaczenie mają mniejsze okręty. W oczach hierarchów Kościoła Matki szkunery były jedynie przerobionymi frachtowcami, wykorzystanymi przez charisjańskich korsarzy do łupienia szlaków handlowych. Ich przydatności do prowadzenia obserwacji ruchów wroga nikt nie zauważył... a przecież tylko one mogły strzec flotę przed niespodziewanym atakiem.

Z powodu tych przeoczeń generalny admirał Harpahr, prowadząc, Flotę Boga w tę bezksiężycową noc, nie dysponował żadnymi szybkimi okrętami osłaniającymi jej flanki. Co więcej, jego okręty szły pod mocno zredukowanymi żaglami, aby w wypadku nagłego pogorszenia pogody nie powpadały na siebie, gdy zaczną manewrować przy tak małej widoczności. Zdecydowano, że tak będzie lepiej, gdyż Harpahr i Taibahld chcieli zobaczyć swoje eskadry w takim samym ciasnym szyku, gdy pokaże się słońce albo przynajmniej ustanie deszcz.

Przez ten rozkaz żaden z obserwatorów nie zauważył, że dwadzieścia pięć charisjańskich galeonów podchodzi pod osłoną ciemności do długich linii Floty Boga.

\* \* \*

Hrabia Wyspy Zamek stał spokojnie z rękami złożonymi za plecami. Deszcz słabł, lecz z nieba wciąż lały się strumienie wody. To mu pasowało, podobnie jak fakt, że pomiędzy ławą chmur a następną, idącą od rufy, będzie spora przerwa.

*Akurat taka, żebyśmy mogli narobić wśród nich zamieszania. Potrzej, proszę, ile trzeba, skierował to błaganie do kapryśnej pogody.*

Od chwili gdy zrobili zwrot, by zaatakować, wielki admirał dokonał tylko jednej nieznaczącej korekty kursu. Czuł napięcie idące od kapitana Baikyra, mimo że ten próbował je maskować. Hrabia Wyspy Zamek dziwił się też niepomierne temu, że sam jest tak spokojny, na jakiego wygląda. W odróżnieniu od swojego podwładnego wiedział bowiem, że są dokładnie na takim kursie jak trzeba. Gdzieś tam za ścianą deszczu, która chłostała fale, pokrywając je kozuchem białej piany, kryła się Flota Boga, a HMS *Ahrmahk* i płynące za nim okręty skradały się do jej najdalej wysuniętej kolumny niczym stado drapieżników.

Wielki admirał poczuł, jak tężeją mu mięśnie i ścięgna - nie ze strachu, lecz ze zniecierpliwienia - musiał ugryźć się w język, żeby nie wydać kanonierom rozkazu do mierzenia w cel.

*Jeszcze nie. Jeszcze nie pora, Bryahnie. Obserwatorzy na masztach zdziwiliby się, gdybyś to ty, z poziomu pokładu, pierwszy dostrzegł wroga. A to zrodziłoby w ich głowach całą masę niewygodnych pytań.*

Nagle...

- Żagiel od strony dziobu, sir. Tam, dwa rumby na bakburtę.

Obserwator z przedniego bocianiego gniazda miał na tyle mocne nerwy, że zdołał zapanować nad emocjami i podał tę wiadomość prawidłowo, przez cały łańcuch innych marynarzy, zamiast podnosić alarm.

- Świetnie - odparł wielki admirał, widząc, jakie poruszenie wywołały te słowa wśród ludzi zgromadzonych na pokładzie. Usłyszał, a raczej wyczuł, jak się wiercą, wyprężają, mrużą oczy, gdy dotarło do nich, że naprawdę znalazł wroga.

Pochylił się, wytężając wzrok, jakby chciał przebić tę ścianę deszczu i ciemności, i tak też się stało. Deszcz zelżał na tyle, że zobaczył długą kolumnę wolno płynących okrętów składającą się z czternastu wysokoburtowych galeonów oświetlonych mnóstwem latarni wywieszonych na masztach, blaskiem bijącym z luków i świetlików, a nawet przez furty działowe, które ktoś podniósł, by wpuścić odrobinę świeżego powietrza pod pokłady. Te światła zdradzały pozycję wroga, pozwalały go namierzyć, podczas gdy eskadra Charisu wciąż stapała się z mrocznym tłem.

- Przejdziemy im za rufami, kapitanie Baikyr - obwieścił formalnym tonem wielki admirał Wyspy Zamek. - Potem wykonamy zwrot na bakburtę, chwycimy wiatr w żagle i mając przewagę prędkości, rozpoczniemy ostrzał z baterii lewoburtowych. Tylko miejcie oko na tych cwaniaczków z drugiej kolumny, nie chciałbym, aby któryś zrobił nam kawał i odbił na nawietrzną.

- Tak jest!

\* \* \*

Ostatnim okrętem w linii prowadzonej przez *Miecz Boga* był pięćdziesięciodziałowy galeon OFB *Święty Ithmyn*. Jego załoga była jedną z lepszych podczas wszystkich ćwiczeń manewrowych i artyleryjskich. A po tysiącach mil ostatniego rejsu ludzie ci przestali już być pozbawioną doświadczenia zbieraniną i zaczęli wierzyć, że nie muszą się niczego wstydzić. I szczerze powiedziawszy, mieli rację.

Ale żadne szkolenie ani rosnące doświadczenie nie mogło przygotować załogi *Świętego Ithmyna*, czy dowodzących tą flotą Harpahra i Taibahlda, na tak niespodziewany atak. Obserwatorzy w bocianich gniazdach skupiali całą uwagę na zachowaniu miejsca w szyku, aby uniknąć przypadkowej kolizji, i na znalezieniu jakiegoś schronienia przed potokami wody lejącej się z nieba, nie kłopotząc się wcale idiotyczną z ich punktu widzenia myślą, że cesarska marynarka wojenna Charisu może wybrać tę noc, czarniejszą od piekieł, w których smaży się Shan-wei, na przeprowadzenie ataku. Nikt więc nie patrzył w kierunku, z

którego wychynął groźny jak archanioł śmierci HMS *Ahrmahk*.

\* \* \*

- Co u...

Marynarz *Świętego Ithmyna* nie należał do grona obserwatorów. Szczerze mówiąc, nie powinno go być na pokładzie. Zaliczał się do grona stewardów obsługujących mesę oficerską flagowca. Wyszedł na pokład, gdy usłyszał, że deszcz słabnie, by opróżnić jedną ze spluwaczek i skorzystać z chwili spokoju. Nie miał pojęcia, co zmusiło go do spojrzenia na horyzont, ale to zrobił. Być może był to jakiś głęboko zakorzeniony instynkt, a może dostrzegł coś kątem oka.

Bez względu na to, co nim kierowało, zauważył bukszpryt *Ahrmahka* niespełna pięćdziesiąt jardów od rufy *Świętego Ithmyna*.

Niewyartykułowany zduszony jęk urwał się, gdy sparaliżowany strachem chłopak zobaczył, co czai się w mroku. Ale nawet wtedy nie przyszło mu do głowy, że ma przed oczami charisjański okręt. Gdyby wokół był jasny dzień, a nie deszczowa bezksiężycowa noc, być może zrozumiałby, że żadna z bliźniaczych jednostek *Świętego Ithmyna* nie ma tak drapieżnej niskiej sylwetki. Tymczasem jego oczy dostrzegły to, co spodziewał się zobaczyć, założył więc, że jeden z galeonów floty zboczył z kursu i o mały włos zderzył się z jego jednostką.

Oficer wachtowy spojrział w jego kierunku, gdy usłyszał zduszony jęk, a potem przeniósł wzrok na obiekt obserwowany przez zdziwionego stewarda. Przez moment sam nie potrafił uwierzyć własnym oczom, lecz w odróżnieniu od chłopaka był wyszkolonym żeglarzem, dzięki czemu nie popełnił tego samego błędu. Mimo to jego mózg opierał się przed przyjęciem tego nielogicznego - niemożliwego - wniosku, że obca jednostka nie należy do Floty Boga.

- Mamy jakiś okręt za rufą! Wszystkie ręce na pokład! Powiadomcie kapi...

Młody porucznik zrobił, co należy. Co więcej, uczynił to we właściwym porządku. Niestety, to już nie mogło zmienić losu *Świętego Ithmyna*.

\* \* \*

Hrabia Wyspy Zamek usłyszał krzyki młodego oficera nawet przez wiatr i huk fal. Pomogło mu to, że na pokładzie HMS *Ahrmahk* panowała całkowita cisza, członkowie załogi nie śmieli nawet odetchnąć. Nie rozumiał wykrzykiwanych słów, głównie ze względu na obcy akcent Ziem Świątynnych, lecz pełen zdziwienia ton był bardziej niż czytelny. Przynajmniej przez tę krótką chwilę, zanim został zagłuszony przez zupełnie inny dźwięk.

- Ognia! - zawołał Sylmahn Baikyr i ciemność zmieniła się w ogniste piekło.



\* \* \*

Porucznik wciąż wołał, gdy rozległa się pierwsza salwa burtowa *Ahrmahka*. Dwadzieścia siedem trzydziestofuntowych kul nadleciało po niespodziewanej oślepiającej erupcji dymu i ognia. Pełniący wachtę oficer nigdy wcześniej nie widział odpalanej w mroku nocy salwy - nie wyobrażał sobie nawet, jak wielki ból może spowodować tak jasny rozbłysk, gdy nieprzygotowany na niego człowiek popatrzy prosto w wylot luf. Charisjańskie działa pluły językami ognia i chmurami dymu, ale nieszczęsny porucznik nie miał szansy na dokładne przyjrzenie się urokliwemu pięknu gromów miotanych przez człowieka.

Jeden z pierwszych pocisków trafił go w brzuch, tuż ponad sprzączką pasa, i rozerwał na pół. Zmasakrowany korpus przeleciał w powietrzu ponad piętnaście stóp, zanim opadł wreszcie na pokład, lecz nikt nie usłyszał głuchego łomotu wśród panicznych krzyków i trzasku pękającego drewna.

Atak *Ahrmahka* totalnie zaskoczył jego ofiarę. Ponad połowa załogi spała smacznie w hamakach. Część grała w karty, spędzając noc w wesołym towarzystwie. Jeszcze inni cerowali portki albo zajmowali się dokonywaniem drobnych napraw, jakich zawsze jest sporo na zbudowanym z drewna okręcie.

A potem, nagle, bez żadnego ostrzeżenia, wokół nich rozpętało się piekło. Sześciocalowe kule uderzyły w ich jednostkę, rozwalając w drobny mak okna rufowe i przelatując przez całą długość zatłoczonych pokładów. Ludzie w hamakach wrzeszczeli z bólu, gdy świszczące kule pozbawiały ich rąk albo nóg, inni budzili się ze snów o domu, trafiając prosto w krwawą jatkę. Te same kule trafiały też w podpory i inne części kadłuba, posyłając wokół chmury zabójczych drzazg, które cięły ciała wciąż śpiących i całkowicie na to nieprzygotowanych marynarzy, jak nie przymierzając klasyczne szrapnele. Kapitan *Świętego Ithmyna* nie dowiedział się nigdy, że jego okręt jest atakowany - trzecia kula pierwszej salwy burtowej zabiła go, zanim się zbudził. Trzecia część oficerów została zabita bądź ranna w jednej chwili - tak jak członkowie załogi, przełożeni leżeli w swoich kajutach albo siedzieli przy stole w zatłoczonej mesie.

Żadne szkolenia, żadna motywacja czy też całe doświadczenie świata nie były w stanie przygotować tych ludzi na tak niespodziewaną i nagłą zagładę. Oficerowie i podoficerowie konali wokół, okręt wypełniały krzyki rannych, a krew płynęła po zejściówkach strumieniami. Nawet archaniołowie spanikowaliby w obliczu takiego nieszczęścia, nikogo więc nie dziwiło, że na pokładzie *Świętego Ithmyna* wybuchła panika.

Ludzie wyli ze strachu, walcząc ze sobą o możliwość wydostania się z ciasnych pomieszczeń pełnych okaleczonych ciał i splątanych hamaków. Ślizgali się na kałużach krwi,

tratowali nawzajem, deptali po ciałach tych, którzy byli do niedawna ich najlepszymi kumplami. Ale to nie tchórzostwo nimi kierowało, tylko szok, najbardziej niszczycielski wpływ zaskoczenia. A potem, w samym środku tego zamieszania, ktoś upuścił latarnię.

\* \* \*

Działa baterii bakturtowej *Ahrmahka* odbiły od furt przy wtórze piskliwego odgłosu kół lawet toczących się po deskach pokładu. Stojące na górnym pokładzie karonady zostały odpalone równocześnie z długolufowymi działami, choć ta koordynacja była możliwa tylko przy pierwszej salwie. Ich obsady nie kryły zadowolenia, że deszcz w końcu przestał padać. Kanonierzy zrzucili ciężkie opończe, zanim się do końca przejaśniło. Nie chcieli, by cokolwiek krępowało im ruchy. Teraz rzucili się do broni, przeczyścili lufy, upchali nowe ładunki i wrzucili kolejne wielkie kule.

Pod ich stopami na głównym pokładzie działowym ich koledzy kaszleli i dławili się siarkowym dymem wyplutym przez ich własne armaty. Oni także nie przerwali pracy przy obsłudze swoich wielotonowych kolosów, w ruch poszły wyciory, by w lufach nie pozostała nawet jedna iskierka żaru, gdy trafią tam nowe ładunki. Na razie nikt nie myślał o tym, co działo się na atakowanym okręcie - na to przyjdzie czas, gdy przeładują.

*Wielki admirał miał to szczęście, że mógł ze spokojem przyglądać się sylwetce Świętego Ithmyna, zacisnął więc wargi, gdy tylko dostrzegł pierwsze płomienie.*

*Biedni dranie, pomyślał. Naprawdę biedni dranie.*

\* \* \*

*Nie ma straszniejszej rzeczy na pokładzie drewnianego okrętu niż zaprószony ogień. Nie ma chyba większego zagrożenia, które wymagałoby natychmiastowej i zorganizowanej interwencji. Tej nocy zorganizowanie czegokolwiek na Świętym Ithmynie było jednak niemożliwe. Zbyt wielu ludzi, którzy byli odpowiedzialni za akcję ratunkową, już nie żyło albo oszalało ze strachu, a dochodzące zewsząd smród dymu i trzask płomieni tylko pogarszały i tak już tragiczną sytuację.*

A ogień rozprzestrzeniał się w zastraszającym tempie, pochłaniając uciekających marynarzy i ich rannych towarzyszy, którzy ze skowytami próbowali odczołgać się od morderczego żaru. Wkrótce języki ognia sięgnęły do przemoczonego takielunku i pożarły go, mimo że wielogodzinna ulewa dopiero co się skończyła. Szalejące pod pokładem płomienie pokonywały kolejne grodzie, a gdy dotarły do magazynu farb, rozrosły się błyskawicznie, pożarłszy galony terpentyny i oleju lnianego.

Święty Ithmyn został stracony, zanim kanonierzy *Ahrmahka* zdążyli przeładować działa, a HMS *Cieśnina Darcos*, mijając jego rufę, zasypała go kolejną lawiną żelaza.

Marynarze, niektórzy płonąc jak żywe pochodnie, skakali za burty, szukając chwilowego zbawienia w wodach morza. Z otwartych luków buchały ryczące płomienie, gorętsze chyba od tych, które szalały w piecach Ehdwyrda Howsmyna, sypiąc w niebo grube snopy iskier.

Moment później działa *Ahrmahka* wgrzyzły się w drugi cel.

\* \* \*

Płynąca po nawietrznej kolumny Floty Boga została doszczętnie zniszczona. Jej wzięte z zaskoczenia, niezdolne do zrozumienia, co się dzieje, wyrwane z głębokiego snu załogi stawały w obliczu koszmaru, a mając w polu widzenia płonącego jak pochodnia *Świętego Ithmyna*, nie zdołały otrząsnąć się z przerażenia.

Aczkolwiek próbowały.

Trzy idące na końcu kolumny okręty nie miały żadnych szans. Zaatakowane w mroku straciły większość załóg, zanim zorganizowano jakąkolwiek obronę. Charisjańskie galeony podeszły na odległość niespełna dwudziestu jardów, płynąc równoległym kursem do ofiar, szybciej od nich, ale nie na tyle, by nie móc ich kolejno masakrować. Maszty okrętów *Świątyni* chyliły się za burty, działa przetaczały przez pokład, zanim zdążono je zablokować. W tym piekle materia, z której powstały galeony, cierpiała równie mocno jak służący na nich marynarze.

Jedenaście kolejnych jednostek miało więcej czasu i otrzymało coś na kształt ostrzeżenia. Żaglowce, nawet charisjańskie, rzadko bywają tak szybkie jak jaszczurodrapy. *Ahrmahk* potrzebował więc czasu, by doścignąć kolejne ofiary, przez co hrabia Wyspy Zamek obawiał się, że czołowe jednostki tej linii zdążą zorganizować rozsądną obronę, a nawet same go zaatakują. Mogą przecież zawrócić z zamiarem zrobienia tego samego, co on zrobił *Świętemu Ithimynowi*.

Na jego szczęście zaskoczenie, zamieszanie i przerażenie były silniejsze od potrzeby przejścia inicjatywy. Zwłaszcza że atakowani nigdy wcześniej nie widzieli odpalanych z tak bliska salw burtowych. Oficerowie i załogi tych okrętów dawali z siebie wszystko i w końcu, po opanowaniu paniki, zaczęli skutecznie odpowiadać na atak. Odpowiadali. Reagowali. Ale nadal nie próbowali przejść inicjatywy. Bronili się tylko. Mimo strachu i zaskoczenia ładowali działa i odpalali pociski w kierunku wroga. Z początku był to chaotyczny ogień, potem coraz bardziej zorganizowany - strzelali nawet wtedy, gdy z niekończących się otwartych furt działowych przepływających obok galeonów tryskały strumienie ognia i chmury dymu.

Ci marynarze i oficerowie nie mieli powodów do wstydu. Większość z nich, gdy nadszedł czas, ginęła, walcząc z wrogiem, złorzecząc mu, obsługując broń. Nie wiedzieli

jednak, że jedynym sposobem na uratowanie skóry byłoby podjęcie natarcia... do czego akurat nie byli zdolni.

\* \* \*

*Cóż, łatwiejszą część zadania mamy za sobą, pomyślał hrabia Wyspy Zamek, gdy rozgromiona nawietrzna kolumna wroga została daleko z tyłu.*

Trzy kolejne galeony stanęły w ogniu, płomienie buchały z ich kadłubów wysoko w niebo, barwiąc chmury na krwistoczerwono. Pozostałe okręty także zostały wyłączone z akcji, być może na wiele godzin, a nawet dni. Żaden z nich raczej nie zatonie ani się nie spali, bo gdyby miało dojść do pożarów, już by płonęły. Razem wzięte stanowiły około dwudziestu procent sił Harpahra i bez względu na to, co jeszcze się wydarzy tej nocy, na pewno nie wezmą udziału w dalszych walkach.

*Jeśli zwyciężymy, nasze szkunery dopadną każdy wrak i dokończą robotę, pomyślał wielki admirał. Jeśli przegramy, Harpahr może je odzyskać i naprawić... aczkolwiek to wcale nie jest takie pewne. Zadbamy o to, by nie mógł tego zrobić.*

Po części czuł pragnienie, by nakazać odwrót i zniknąć w mroku. To, co spotkało część Floty Boga, z pewnością wpłynie na morale reszty załóg. A jeśli zniknie teraz, a potem dokona jeszcze jednego albo dwóch podobnych ataków...

*Zapomnij o tym, napomniał się srogo. Harpahr i Taibahld są za dobrzy na takie numery. Owszem, przyłapałeś ich z opuszczonymi spodniami i gołymi dupami wystawionymi za burtę, ale chyba nie sądzisz, że dwóch tak zmyślnych dowódców pozwoli ci na powtórzenie tego wyczynu? Poza tym udało ci się ich podejść tylko dlatego, że pogoda na to pozwoliła.*

Nie. Uderzył na nich i dał im popalić, ale teraz czas na jeszcze mocniejszy atak, zanim dojdą do siebie po pierwszym.

- Kapitanie Baikyr, czas się przygotować. - Wskazał na odległe żagle połyskujące czerwono w blasku ognia. - Ci dżentelmeni formują właśnie szyk, aby nas powitać - dodał. - Byłoby bardzo nieuprzejme z naszej strony, gdybyśmy kazali im czekać.

\* \* \*

Kornyls Harpahr stał na pokładzie rufowym *Miecza Boga*, próbując zachować spokój.

A nie było to łatwe.

Jego okręt płynął niedawno na czele środkowej z pięciu linii wielkich okrętów wojennych. Teraz miał ich już tylko cztery. *Święty Ithmyn* i pozostałe jednostki płynące po nawietrznej znajdowały się zbyt daleko, by mógł widzieć szczegóły, lecz tempo wydarzeń i szybkość, z jaką wróg wyeliminował to zgrupowanie, dawały mu do myślenia.

Najgorsze, że nic nie mógł na to poradzić. Charisjanie zaatakowali to skrzydło, ku któremu ze względu na kierunek wiatru nie mógł posłać reszty okrętów. Zresztą i tak byłoby po wszystkim, zanim reszta floty dotarłaby na pole bitwy.

A jednak omal nie spróbował. O mały włos wydałby rozkaz pościgu w nadziei, że choć niektórych heretyków uda się dopaść i zniszczyć. Nie zrobił tego jednak. Nie chciał pozwolić, by Charisjanie zmusili go do podejmowania decyzji w pośpiechu i panice. Zamknął się w zimnym jak lód pancerzu samokontroli. Został na pokładzie i patrzył ze spokojem na zagładę okrętów, które były przedłużeniem jego ciała. Odmówił działania na oślep.

Zamiast tego zaczął przygotowywać resztę floty do stanięcia w szyku bojowym. Nie będzie to poprawny szyk, w takich warunkach osiągnięcie ideału nie było możliwe. Ale jego załogi będą czekały, uzbrojone po zęby i gotowe do walki.

Z jego szacunków wynikało, że atakująca eskadra liczy od piętnastu do trzydziestu galeonów, co sugerowało, że w ciemności może kryć się ich więcej. Gdyby on był na miejscu charisjańskiego dowódcy, z pewnością chciałby zaatakować Harchończyków, tam więc, jego zdaniem, należało się spodziewać brakujących jednostek wroga.

Moment później pomyślał, że nie wolno mu przypisywać heretykom nadludzkiej zdolności. W czasie swojej długiej kariery w szeregach straży świątynnej niejednokrotnie widział, jak oficerowie zdają się na ślepy los, ale ci Charisjanie mieli wyjątkowo dużo szczęścia, że udało im się wyjść prosto na nawietrzną kolumnę jego floty, i to od razu pod właściwym kątem. Zaryzykowali i zyskali na tym, a płonące w oddali wraki były widowym dowodem na ich skuteczność.

Ale reszty tej floty nie wezmą z zaskoczenia i o ile sama Shan-wei nie błąka się z nimi w tych piekielnych ciemnościach, siły Kościoła Matki mają ponaddwukrotną przewagę.

*Śmiało, zachęcał w myślach charisjańskiego dowódcę. Śmiało, chodź po nas. Czekamy na ciebie.*

\* \* \*

- Dobrze, już czas - powiedział hrabia Wyspy Zamek. Skierował te słowa do kapitana Baikyra, lecz tak naprawdę ich odbiorcą był Domynek Staynair. - Kilku daliśmy porządną łomot, ale reszta trzyma się razem - kontynuował. - Chyba nie dadzą się wyluskać pojedynczo, a ja nie chcę dać im szansy na walkę w biały dzień. Nasza linia jest chyba nadal w niezłej kondycji, a admirał Skalistego Klifu dokończy robotę, jeśli coś pójdzie nie tak. Co więcej, chmury zaczynają rzednąć, jest więc szansa na odrobinę blasku księżyca, a zatem przynajmniej będziemy widzieli, co robimy. Najwyższy czas podejść do wroga.

- Tak jest - odparł ponurym tonem Baikyr.

Nie wyglądał na człowieka rwącego się do walki, czemu hrabia specjalnie się nie dziwił. W zgrupowaniu, do którego się zbliżali, było co najmniej sześćdziesiąt galeonów, a luźny szyk, w jakim płynęły, dodatkowo utrudniał zadanie. Admirał znał jednak swoich kapitanów, wiedział więc, że zostaną w linii, dopóki będzie to możliwe, a nawet nieco dłużej. Wiedział, że będą się wspierać wzajemnie i koncentrować ogień na pojedynczych celach. Zdawał sobie jednak sprawę, że prędzej czy później - ale raczej prędzej - ta linia rozpadnie się, zwłaszcza że walka ma się toczyć w nocy, gdy niewiele widać. Jeśli załogi Harpahra okażą się tak zdeterminowane, jak wielki admirał sądził, ta bitwa zmieni się w krwawą jatkę. Okręty będą walczyć w pojedynkę... i kto wie, czy nie zdarzy im się w tym zamieszaniu otworzyć ognia do swoich.

Baikyr wiedział o tym równie dobrze jak hrabia Wyspy Zamek, ale jeśli wahał się choć przez moment, jego przełożony tego nie zauważył.

- Doskonale - powiedział. - Zabierz nas do nich, kapitanie. Znajdź drogę do ich flagowca.

\* \* \*

- Idą na nas, eminencjo - oświadczył bezbarwnym tonem Taibahld.

Harpahr skinął tylko głową.

To trwało dłużej, niż przypuszczał. Mimo doświadczenia nabytego podczas tak dalekiego rejsu, dla niego, oficera armii lądowej, czas trwania wszystkich manewrów wciąż był niesamowicie długi. Przywykł do błyskawicznych szarż jazdy, dlatego jego zdaniem nawet piechota potrafiłaby przemaszerować przez największe pole bitwy, zanim te okręty zbliżą się do siebie.

Na horyzoncie nie było już widać żadnych świateł. Jeden z jego okrętów eksplodował w gigantycznej kuli ognia, gdy płomień dotarł do magazynów prochu. Drugi wypalił się i po prostu zatonął. Dwie i pół godziny minęły już od chwili, gdy pierwsza salwa oderwała go od szachownicy, lecz będzie musiał poczekać jeszcze godzinę, zanim Charisjanie dotrą do formacji płynącej za *Mieczem Boga*.

Nie wątpił, że ta chwila wytchnienia przyda się jego kapitanom, cieszyło go też to, że zyskali czas na otrząśnięcie się z zaskoczenia po pierwszym ataku Charisjan. Ale zdawał sobie sprawę, że morale załóg zostało poważnie nadszarpięte.

*Nie wątpię, że Charisjanie są teraz w euforii po tak łatwo odniesionym zwycięstwie, pomyślał ponuro. Cóż, zobaczymy, co możemy z tym zrobić.*

\* \* \*

Hrabia Wyspy Zamek i baron Skalistego Klifu musieli pogłórkować nad planem.

Z dwudziestu pięciu galeonów tylko dwanaście - tych, które baron zabrał do Larku - miało w swoich magazynach najnowszą amunicję. Dziesięć z trzynastu jednostek, którymi dysponował wielki admirał, nie mogłoby jej użyć, nawet gdyby były w nią wyposażone. Okręty te miały na pokładach wyłącznie stare krakeny, jedne z tych, które montowano na galeonach pierwszej generacji jeszcze za czasów królewskiej marynarki wojennej. Pociski łuskowe natomiast zaprojektowano do użytku w nowych armatach, które wystrzeliwały trzydziestofuntowe kule zamiast starych trzydziestopięcioletowych.

Dlatego w nowej formacji jednostki barona szły na przemian z galeonami hrabiego. Jedynym wyjątkiem od tej zasady była wiodąca para, czyli *Ahrmahk* i *Cieśnina Darcos*, które należały do eskadry wielkiego admirała. Na razie nie było potrzeby korzystania z nowej amunicji, efekt zaskoczenia zastąpił ją w pierwszym starciu, a hrabia Wyspy Zamek nie chciał, żeby wróg zbyt wcześnie dowiedział się o istnieniu wynalazku, którego skuteczność mogła zdecydować o losach tej bitwy. Z tego powodu Charisjanie mieli wdrzeć się w głąb formacji wroga, używając zwykłej amunicji, i dopiero po wykonaniu tej części zadania kanonierzy barona Skalistego Klifu przejdą na pociski łuskowe.

*O ile przetrwają do tego momentu, pomyślał hrabia z ponurą miną.*

Obserwował, jak jego flagowiec zbliża się do Floty Boga, i znów poczuł wewnętrzne napięcie.

*Cokolwiek się wydarzy, ci dranie dostaną dzisiaj takiego łupnia, jakiego się nie spodziewali,* zapewnił siebie samego w myślach.

\* \* \*

Galeony płynące na czele kościelnej linii otworzyły ogień.

Odległość była wciąż spora, zwłaszcza jak na tak niedoświadczonych kanonierów i słabą widoczność. Gromy i błyskawice ich salw burtowych rozświetlały noc, ale niemal wszystkie z dwudziestopięcio- i dwunastofuntowych kul wpadły do morza, nie czyniąc nikomu żadnych szkód. Charisjanie wciąż wstrzymywali się z podjęciem walki. Płynęli pomiędzy fontannami rozbryzgiwanej wody, lekceważąc ryk dział i sporadyczne przypadkowe trafienia. Większość ich czarnych galeonów została zaprojektowana na takie właśnie okazje, wszystkie miały więc o wiele grubsze poszycie i mocniejszy szkielet, jak przystało na prawdziwe okręty wojenne. Słabszy kościelny proch i lżejsze kule niewiele mogły im więc zrobić.

Tu i tam pojedyncze pociski przecinały powietrze ze świstem jak niewidzialne pięści albo rozrywały rozpostarte żagle. Uszkodzone płótna były szybko łątane lub wymieniane. Na wantach roilo się od marynarzy, którzy natychmiast naprawiali uszkodzenia w takielunku.

Tylko kilka pocisków - dzięki szczęściu początkujących artylerzystów - zebrało krwawe żniwo. Dwudziestopięcioletnia kula przedarła się przez osłonę ze zrolowanych hamaków nad pokładem rufowym *Ahrmahka*. Jeden z marynarzy obsługujących karonadę padł, nie wydawszy nawet dźwięku - kula oderwała mu całą głowę - a dwaj kolejni wili się na deskach, obryzgując wszystko wokół krwią.

Sanitariusze natychmiast znieśli ich pod pokład do czekających tam chirurgów i uzdrowicieli, odprowadzeni zaniepokojonymi spojrzeniami innych marynarzy. Większość z nich stała jednak spokojnie, przyglądając się rozbłyskom wrogich dział. Wielki admirał słyszał ich złośliwe komentarze dotyczące braku celności kościelnych kanonierów i sam się nawet uśmiechnął, gdy jeden z siwych dowódców obsad obrócił się plecami do burty, zdjął portki i pokazał wrogowi blady tyłek.

Reszta załogi wybuchnęła gromkim śmiechem, rozległy się też gwizdy i niezwykle obsceniczne sugestie, jak jeszcze można by powiększyć tę zniewagę, na co rzeczony dowódca zareagował powtórzeniem wyczynu. Było to niedopuszczalne zachowanie, więc oficer dyżurny natychmiast napomniiał żartownisia i kazał mu wracać do pełnienia obowiązków, hrabia wątpił jednak, by młody porucznik poważnie myślał o ukaraniu niesforne go marynarza.

\* \* \*

- Oni tylko marnują proch i kule, Ahrnahldzie - stwierdził ze spokojem Harpahr, obserwując ostrzał prowadzony przez jego wiodące okręty.

- Nie wątpię, eminencjo - odparł kapitan. - Ale nie mam jak ich powstrzymać. Zresztą zawsze istnieje szansa na to, że im się poszczęści i zabiją jakiegoś heretyka albo dwóch, nie mówiąc o uszkodzeniu osprzętu. Szczerze mówiąc, wolę, żeby strzelali, nawet jeśli mają w nic nie trafić, niż siedzieli beczynn timer, bo wtedy zezre ich strach. Poza tym - jego wyszczerzone zęby załśniły blado, odbijając rozbłysk odległej salwy - za jakieś dwadzieścia minut wróg podejdzie tak blisko, że zaczną trafiać.

\* \* \*

Powolne zbliżanie się do siebie obu formacji w niczym nie przypominało pierwszego starcia. Tym razem nikt nie mógł nikogo zaskoczyć. Wróg nie zrobi wielkich oczu, gdy ciemności rozerwie zniemacka ogień z dział. Obie strony konfliktu doskonale wiedziały, co wkrótce nastąpi, a kanonierzy Floty Boga rzeczywiście zaczęli częściej trafiać, gdy dystans się zmniejszył.

Głośny trzask i towarzyszące mu wrzaski uświadomiły hrabiemu, że któraś z kul w końcu przebiła poszycie. A może przeleciała przez otwartą furtę działową, pomyślał, albo



dystans jest już tak mały, że nawet słabsze działa kościelne mają szansę na przebicie grubych burt.

Zerknął w stronę Sylmahna Baikyra. Blask księżyca przenikał przez szczeliny w pokrywie chmur, nadając żaglom cynową barwę. Skąpany w nim kapitan *Ahrmahka* stał nieruchomo, mierząc odległość z przymkniętymi oczyma, oceniając łuki nadlatujących salw, porównując luki pomiędzy okrętami wroga. Palce jego prawej dłoni bębniły rytmicznie o pochwę miecza. Kolejna kula przebiła zwinięte hamaki na śródokręciu.. Zabiła żołnierza piechoty morskiej, wyłobiła półokrągły otwór w podstawie głównego masztu i pomknęła w mrok.

Baikyr nawet nie drgnął. Stał tam nadal, czekając, a hrabia Wyspy Zamek poczuł nagle, jak rośnie jego szacunek dla fircykowatego kapitana flagowca.

Odległość wciąż malała. Bukszpryt *Ahrmahka* sterczał przed dziobem jak lanca w dłoni turniejowego rycerza. Wskazywał jednak nie siedzącego na koniu przeciwnika, tylko maszty i burty wrogich jednostek. Furty działowe przed nim - wiele, całe setki - znów bluznęły ogniem. Kule zawyły w powietrzu nad głową wielkiego admirała, odbijały się od poszycia na dziobie, rozrywały żagle. Kolejni członkowie załogi zostali ranni albo zabici, ale natychmiast zostali zastąpieni. Wyznaczeni na ich pozycje stali z dłońmi zaciśniętymi na wyciorach i ubijakach. Kostki mieli pobielale, wargi poruszały się lekko w bezgłośnych modlitwach, a odległość wciąż malała.

Nawet hrabiemu Wyspy Zamek wydawało się nieprawdopodobne, że tyle armat, oddając tyle salw, nie zdołało jeszcze roznieść *Ahrmahka* na strzępy. Huk był coraz częstszy, głośniejszy. Wokół latały odłamki. Ludzie wrzeszczeli. Stenga fokmasztu przechyliła się na bok. Jedna z karonad na pokładzie dziobowym zaliczyła bezpośrednie trafienie, jej laweta została zniszczona w okamgnieniu, a drzazgi z niej pomknęły na wszystkie strony.

A potem, wreszcie, jego flagowiec, nie oddawszy nawet jednego strzału, wszedł w lukę pomiędzy dwoma galeonami wroga.

\* \* \*

Harpahr spoglądał na prowadzący kolumnę Charisjan galeon. Okręt ten wyglądał jak czarny monolit, bezlitosny zabójca. Jego kanonierzy trafili go nie raz - widział to na własne oczy - a mimo to wydawał się nietknięty, niezwycięzony. Patrzył na dziury w żaglach, morze wokół kadłuba pokryte było dziesiątkami rozbryzgów, gdy tonęły w nim całe tony żelaza. W końcu jednak coraz więcej pocisków znajdowało właściwy cel, trafiało, zabijało i raniło załogę tego potwora.

W pewnym momencie fokbombramstenga pochyliła się jak ścinane drzewo,

wstrzymał więc oddech, mając nadzieję, że to początek końca i czarny galeon wykona zwrot, by odpowiedzieć ogniem.

Jednakże Charisjanie ani myśleli tego zrobić. Płynęli wciąż przed siebie, a jego zaczęło przepęlić dziwne uczucie. To nie był strach, aczkolwiek niewiele już brakowało, by zawładnął nim lęk. Raczej niepokój. Widział wcześniej niejedną bitwę. Wiedział więc, jak nieludzkiej dyscypliny trzeba, by przetrwać ciężki ostrzał i widok tak wielu dział wypływających swoją nienawiść prosto w twarz i nadal iść naprzód. Wiedział, co to oznacza... wiedział, jak wysoką cenę zapłacą jego ludzie za to, że nie są tak zdyscyplinowani jak wróg.

\* \* \*

W burty *Ahrmahka* uderzył huragan żelaza, gdy flagowiec przemknął pomiędzy *Świętym Wojownikiem* i *Krucjatą*. Ogień otworzył trzeci galeon, znajdujący się w tym momencie prosto na jego kursie. Fokmaszt przechylił się groźnie, a potem runął do wody, stenga grotmasztu poszła w jego ślady, a z pokładu dziobowego dobiegły nowe krzyki. Gdy potwierdzono śmierć dwóch poruczników dowodzących tą sekcją, kapitan Baikyr spojrzął na pierwszego oficera.

- Może pan otworzyć ogień, panie Vykain - powiedział.

\* \* \*

Harpahr skrzywił się, gdy pierwszy Charisjanin otworzył w końcu ogień. W pierwszej chwili pomyślał, że okręt wroga eksplodował, ale to były tylko dwie salwy burtowe odpalone jednocześnie. Zrozumiał swój błąd niemal natychmiast. Mimo wielu trafień, jakie otrzymała czarna jednostka, jej ogień był piekielnie precyzyjny. Działa odpalano parami, pokładowe karonady strzelały równo z ciężkimi działami z dolnych pokładów, a ich celność była zatrważająca.

HMS *Ahrmahk* zapłacił ogromną cenę za przełamanie linii obrony Floty Boga. Niemal co czwarty marynarz z jego załogi został zabity albo ranny. Okręt stracił fokmaszt. Był teraz wolniejszy, okaleczony, pozbawiony pięciu dział, które zostały zniszczone, zanim ich obsady miały szansę otwarcia ognia do wroga. Ale ci ludzie wiedzieli, za co tak drogo płacą, i nie popełnili żadnego błędu.

Pierwszą salwę oddali podwójnymi kulami. Pociski wyładowały swoją furię na *Świętym Wojowniku* i *Krucjacie* jednocześnie. Ludzie wrzeszczeli i ginęli na pokładach obu kościelnych galeonów. *Święty Wojownik* zachwiał się moment później, gdy stracił kontrolę nad sterem, a potem zderzył się z innym okrętem w szyku w przerażającej kaskadzie trzasków i huków, gdy masywne kadłuby starły się ze sobą. Reje zaczęły o siebie, maszty pękły i obie

jednostki weszły w dryf.

HMS *Ahrmahk* był w nieco lepszym położeniu. *Krucjata* odbijała właśnie na bakburtę, próbując wykonać zwrot, aby oddać kolejną salwę. Straciła już jedną trzecią posiadanych dział, ale jej załoga mimo o wiele mniejszego doświadczenia była równie zacięta jak ludzie z *Ahrmahka*. Pozostałe armaty plunęły ogniem i żelazem w kierunku flagowca Charisjan i tym razem nie chybiły. Reszta grotmasztu runęła na pokład. Wielki admirał musiał przyklęknąć, gdy jeden z ciężkich bloków spod topu bezanmasztu, mknąc niczym masywne wahadło, trafił w stojącego opodal żołnierza i cisnął nim prosto w hrabiego.

- Ster na bakburtę! - Czysty głos Baikyra przebił się przez ten chaos i *Ahrmahk* posłusznie skręcił, mimo że prędkość, z jaką się poruszał, ciągle malała. Uderzył w *Krucjatę* z ogromnym impetem. Wstrząs zwałił z nóg wielu ludzi. Bezanmaszt kościelnego galeonu runął, a moment później w powietrzu błysnęły haki lin abordażowych. Wielki admirał podniósł się błyskawicznie, sprawdził, czy ma nadal miecz, po czym dobył pistoletów.

- Wysłać oddziały abordażowe, panie Vykein! - zawołał Baikyr i marynarze z *Ahrmahka* rzucili się do boju, przeskakując na pokład wrogiej jednostki z dzikim charisjańskim zawołaniem bojowym na ustach i wielkim admirałem na czele.

\* \* \*

*Cieśnina Darcos* przedarła się przez wyłom, jaki *Ahrmahk* zrobił w linii wroga. Odpaliła salwę burtową w kierunku *Świętego Wojownika* i okrętu z nim szepionego, a potem wpłynęła głębiej, w sam środek dymu i chaosu. Za nią szedł *Żonkil*, pierwszy z galeonów barona Skalistego Klifu, torujący sobie drogę do serca kościelnej formacji zwykłą litą amunicją. A za nim płynęły kolejno *Cieśnina Skalista*, *Wyspa Margaret*, *Greentree* i *Piana*.

Charisjanie utrzymywali wciąż żelazną dyscyplinę. Szli w idealnym szyku przez zewnętrzną linię okrętów Świątyni, lecz gdy ją minęli, znikali kolejno w chaosie wytworzonym przez atak hrabiego Wyspy Zamek. Wokół było zbyt wiele tłoczących się galeonów Floty Boga. Nie dało się więc uniknąć kontaktu z nimi, a nieopisany chaos nocnego starcia doprowadził szybko do zwykłej krwawej jatki, z której żaden człowiek nie powinien ująć z życiem.

Nikt się jednak nie wyłamał, nikt nie uciekał. A zważywszy na reputację, jaką cieszyła się cesarska marynarka wojenna Charisu, tak właśnie powinni zareagować niedoświadczeni żeglarze. Niestety przeciwnik okazał się równie uparty i zdeterminowany. Cokolwiek mówić o Zhaspyrze Clyntahnie i jego skorumpowanych kolegach z Grupy Czworoga oraz niewiele im ustępującym hierarchom, tej nocy na okrętach Kościoła Matki nie było jednego tchórza.

Wielki admirał i jego ludzie wiedzieli jednak, co muszą zrobić. I uczynili wszystko jak

trzeba, na zimno, poszli prosto w paszczę jaszczurodrapa, mając za sobą atuty żelaznej dyscypliny i pasma samych zwycięstw.

Natomiast załogi okrętów Floty Boga, które sądziły, że wiedzą, co je czeka, pomyliły się, i to bardzo. Do tej pory ćwiczyły ciężko na lądzie i na morzu, lecz nigdy nie doświadczyły czegoś podobnego. W walce wręcz i w pojedynkach artyleryjskich ustępowali wrogowi na każdym polu prócz jednego, którym była ich odwaga. Byli przerażeni, zdezorientowani, nie mieli pojęcia, co się wokół nich dzieje, a mimo to nawet na chwilę nie odstępowali od swoich dział. Ich celność była marna, trafiali rzadziej, dysponowali lżejszymi kulami, ale wciąż odpowiadali ogniem na ataki Charisjan. A gdy po zderzeniu albo kolizji oddziały piechoty morskiej wdierały się na pokłady ich jednostek, stawiali im opór przy nadburciach i na pokładach z bronią w ręku i bez lęku w sercach.

Tej nocy desperacka obrona HMS *Królewski Charis* w cieśninie Darcos przestała być najbardziej zaciętą bitwą w historii charisjańskiej floty.

Tej nocy w tym miejscu cesarska marynarka wojenna stoczyła równie krwawy bój.

\* \* \*

- Bóg tak chce!

Z luf pistoletów wystrzeliły języki ognia, gdy hrabia Wyspy Zamek pociągnął za spusty. Ciężka kula roztrzaskała twarz stojącego przed nim oficera straży świątynnej, chlusnęła czarna w blasku księżyca krew. To był drugi pocisk, a nie miał czasu na przeładowanie, gdyż kompan zabitego już zajmował jego miejsce. Hrabia rzucił więc dymiącą jeszcze broń na pokład i dobył miecza.

- Żadnej litości! W imię Langhorne'a! - zawołał ktoś obok, gdy wielki admirał parował pchnięcie piką. Jeden z jego żołnierzy wraz z bagniet osadzony na lufie muszketu w bok strażnika i lojalista Świątyni padł z głośnym jękiem.

Hrabia Wyspy Zamek zatoczył się, gdy kolejny galeon Floty Boga uderzył w przeciwległą burtę *Krucjaty*. Ten także był mocno uszkodzony, stracił bezanmaszt, a jego burty wyglądały, jakby dopadł je jakiś szalony młociarz - lecz na pokładach roіło się od marynarzy i strażników. W blasku księżyca lśniły stalowe ostrza.

- Charis! Charis! - Słyszał wrzaski swoich podkomendnych.

- Śmierć Inkwizycji! - zawołał ktoś, przekrzykując innych, i hrabia poczuł furie narastającą w sercach jego żołnierzy i marynarzy.

Kolejna fala oddziałów abordażowych zalała pokłady *Krucjaty*.

- Za mną, chłopcy! - zawołał wielki admirał i rzucił się na jej spotkanie.

\* \* \*

*Teraz, pomyślał Domynek Staynair. Teraz!*

*Niszczyciel* przedarł się w końcu przez nierówną kościelną linię. Co najmniej dziesięć jego i hrabiego galeonów płynęło teraz burta w burtę z jednostkami Floty Boga. Lufy dział pluły co chwilę ogniem, oddalone zaledwie o dziesięć jardów od celu. W kilku przypadkach jednostki płynęły tak blisko siebie, że dochodziło do przypadków abordażu z obu stron.

Ten wir szaleństwa wciągał coraz więcej okrętów Harpahra. Zbliżały się do Charisjan, przygotowywały do ataku, zanim ktokolwiek zdąży przyjsć odizolowanej eskadrze z odsieczą, ale popełniono jeden błąd: rozerwany szyk pozwalał Staynairovi na znalezienie wyłomu, w który może wprowadzić płynące za nim jednostki.

- Teraz, Styvynie! - warknął.

- Aye, aye, sir! - odparł Styvyn Erayksyn, pierwszy oficer jego flagowca, przekrzykując panujący wokół chaos, i pognał ku lewej burcie.

Erayksyn pozbył się natłuszczonej peleryny, gdy tylko przestał padać deszcz. Sięgnął więc teraz bez trudu do kieszeni potarganej i okopconej tuniki, by wyjąć z niej osławione świece Shan-wei barona Morskiego Szczytu. Potarł jedną z nich o lufę karonady, a gdy zapłonęła, przytknął ją do dziwnie wyglądającej konstrukcji przyczepionej do relingu rufowego.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem pojawił się płonący gwałtownie ogień. Erayksyn cofnął się szybko... zanim w nocne niebo poszybowała pierwsza raca sygnalizacyjna, jakiej użyto podczas bitwy na Schronieniu. Lecąc w górę, sypała ogniem i iskrami i siała postrach w sercach ludzi wychowanych w duchu zakazów Jwo-jeng.

Gdyby nie kompletne zaskoczenie, zapewne zorientowaliby się, z czym mają do czynienia. Ale gdy raca wybuchła w feerii barw, rozświetlając mroki nocy nad ich głowami, wielu spanikowało - choć przedtem nie ulękli się nawały wyjącego potępieńczo żelaza.

Nie na długo jednak. Wśród panikarzy znaleźli się i tacy, co mimo początkowego zaskoczenia zrozumieli, na co patrzą, oraz tacy, których wcale nie obchodziło, co jeszcze ukrywają charisjańskie pomioty Shan-wei. To oni zagonili na stanowiska wystraszonych kompanów i kanonada, która przycichła po pojawieniu się racy, znów zaczynała przybierać na sile.

Ale ten ogień na niebie był tylko zapowiedzią. Znakiem tego, co zaraz nastąpi. Gdy raca wybuchła, dziesięć charisjańskich galeonów - w tym wszystkie jednostki barona Skalistego Klifu, na których nie prowadzono właśnie akcji abordażowych - przestało strzelać zwykłymi kulami.

\* \* \*

*Na Langhorne'a!*... - jęknął w duszy Kornyls Harpahr.

*Miecz Boga* trzymał się do tej pory z dala od zamieszania, lecz w końcu i on podpłynął, prowadząc kolejne dwanaście galeonów, by zamknąć wyłom i wybić Charisjan. Generalny admirał był równie zaskoczony jak pozostali marynarze, gdy zobaczył racę odpalaną z pokładu *Niszczyciela*, jednakże on przynajmniej wiedział, w odróżnieniu od większości prostych żeglarzy, że nie ma w tym niczego demonicznego. Zdziwił się nawet, dlaczego jemu ten pomysł nie przyszedł wcześniej do głowy.

Nie miał jedynie pojęcia, czemu ma służyć odpalenie tej racy. Przez kilka kolejnych minut sądził naiwnie, że może to być sygnał do odwrotu, ponieważ Charisjanie w końcu zrozumieli, że przy takiej przewadze liczebnej Floty Boga nie mają żadnych szans na odniesienie zwycięstwa. Moment później pojął jednak, jak bardzo się mylił.

Spoglądał prosto na *Króla Sailysa*, gdy ten pięćdziesięcioośmiodziałowy galeon odpalił pełną salwę burtową w kierunku OFB *Pismo Święte* z odległości niespełna dziewięćdziesięciu jardów. Tylko trzy z dwudziestu siedmiu pocisków chybiły celu.

Dwa kolejne zapalniki nie zadziałały prawidłowo, ponieważ mający z nimi po raz pierwszy do czynienia kanonierzy nie zdołali ich odbezpieczyć. Pozostałe dwadzieścia dwa pociski zrobiły jednak co trzeba i nawet testy przeprowadzane przez kapitana Mahndrayna nie przygotowały barona Skalistego Klifu i jego załogi na to, co ujrzeli w tym momencie.

Okręt *Pismo Święte* eksplodował.

To była lawina przerażającego, oślepiającego światła. Zapalniki barona Morskiego Szczytu były wciąż w fazie eksperymentalnej. W odróżnieniu od zaprojektowanych wcześniej pocisków do dział gwintowanych, których produkcji zakazano, ich gładkolufowa odmiana miała zapalniki eksplodujące przy uderzeniu. Niestety mimo wielu eksperymentów nie udało się jeszcze stworzyć substancji, która działałaby za każdym razem w tym samym czasie. W rezultacie wystrzeliwane jednocześnie pociski eksplodowały jeden po drugim, w nierównych odstępach czasu, aczkolwiek rozpiętość nigdy nie przekraczała trzech sekund. Był to jednak wystarczający czas, by załogi okrętów Floty Boga mogły zrozumieć, że eksplozje zostały spowodowane przez pociski wystrzeliwane z dział *Króla Sailysa*. To nie magazyny prochu *Pisma Świętego* zakończyły jego żywot, tylko nieznaną broń heretyków.

Moment później eksplozje osiągnęły wyższy poziom. Tym razem był to proch zmagazynowany głęboko pod pokładem ofiary. Główny skład zamienił kadłub galeonu w wulkan ziejący ogniem i wielki okręt w okamgnieniu został rozerwany na tysiące kawałków.

\* \* \*

Dwudziestostopowy fragment masztu uderzył w kadłub *Miecza Boga* niczym taran

rozbuwany przez ślepego giganta. Na szczęście grube poszycie przetrzymało ten cios i nie doszło do przebicia, lecz nawet Harpahr poczuł drzenie konstrukcji pod stopami, jakby jego okręt wpłynął właśnie na rafę.

Nie zwrócił jednak na to uwagi. Zajęty był obserwowaniem rozmiarów kataklizmu, który dotknął jego flotę.

\* \* \*

*Król Sailys* nie był jedynym charisjańskim galeonem, który odpalił pociski łuskowe. Uczyniły to jeszcze HMS *Zielona Dolina*, *Król Haarahld*, *Port Royal*, *Fala...* a efekt był piorunujący. Charisjańska marynarka wojenna zapłaciła wysoką cenę za ściągnięcie w pobliże swoich jednostek niemal całej floty Harpahra. A teraz eksplodujące pociski przeszły co najmniej tuzin okrętów Świątyni.

Nie wszystkie z pierwszych salw były tak niszczycielskie jak ta odpalona z *Króla Sailysa* i żadna z pozostałych trafionych jednostek nie eksplodowała z hukiem przy pierwszej wymianie ognia. Ale ciągi kolejnych eksplozji, powtarzające się co jakiś czas, miały jeszcze bardziej niszczycielski wpływ niż zatopienie galeonu. Były dowodem na to, że zagłada pierwszej ofiary nie była dziełem przypadku... i pokazywały dobitnie, jak można zdemolować okręt wojenny, trafiając go raz za razem. Kadłuby były rozrywane, całe sekcje pokładów wylatywały w powietrze, maszty łamały się jak patyczki, ogień tańczył po wrakach.

\* \* \*

Tego było już za wiele. Harpahr wiedział, co teraz się stanie, lecz nie mógł nic zrobić, by powstrzymać ucieczkę swoich ludzi... Nie winił ich za to, nawet przez myśl mu to nie przeszło. Jak mógłby? Widział przecież, ile z siebie dali i co przeżyli. Widział, że potrafili dotrzymać kroku Charisjanom mimo o wiele mniejszego doświadczenia. W pewnym momencie nawet wygrywali, zwyciężali mającą się dotąd za niezwyciężoną marynarkę wojenną heretyków, dzięki przewadze liczebnej i odwadze.

Istniały jednak granice poświęcenia, a on nie mógł prosić ich, by walczyli dalej, skoro wróg użył jakiejś straszliwej broni. Nie po tym, co już dla niego robili. Przecież nie dysponowali niczym, co mogłoby powstrzymać taką siłę, szczególnie że z niewielkiego dystansu Charisjanie rzadko chybiali, a na zatłoczonym morzu nie było miejsca, gdzie można by się schronić.

Nie miał pojęcia, który okręt opuścił banderę pierwszy. Przypuszczał, że odpowiednio drobiazgowo śledztwo mogłoby wyjaśnić tę zagadkę. Ale takiego nigdy nie będzie, zresztą nikt nigdy o to nie zapyta, ponieważ to przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Nic innego nie można było zrobić w tej sytuacji i on o tym doskonale wiedział.

## .IV.

### PAŁAC CESARSKI CHERAYTH CHISHOLM

Na blankach panował ziąb.

Cayleb Ahrmahk walczył z lodowatym wichrem, patrząc niewidzącym okiem w zamieć śnieżną. Stał tak od trzech godzin - wystarczająco długo, by przód jego peleryny zmatowiał i pokrył się bielą; przez cały ten czasu jego boku nie odstępował gwardzista o szafirowych oczach.

Merlin Athrawes, Edwyrd Seahamper i Sharleyan Ahrmahk jako jedyni wiedzieli, gdzie jest cesarz. Sharleyan chciała do niego dołączyć, lecz on tylko uścisnął delikatnie jej dłoń, uśmiechnął się smutno i skinieniem głowy pokazał na ich śpiącą córeczkę. Następnie ucałował zapłakaną twarz żony, narzucił pelerynę i wyszedł na mróz.

Być może wilgoć na jego twarzy brała się z roztapiającego się śniegu.

Być może.

Wreszcie ramiona cesarza drgnęły, kiedy brał głęboki oddech, a potem on sam odwrócił się, by spojrzeć na swego ochroniarza, mentora i przyjaciela.

- Nie sądziłem, że im się uda - rzekł cicho, ledwie słyszalnie, tak jak mówi się w konfesjonale. - Wiedziałem, że spróbują, że muszę pozwolić im spróbować, ale nigdy, nawet przez moment nie sądziłem, że im się uda.

- Wiem - odparł Merlin.

- To było gorsze od oglądania walki Gwylyma - dodał cesarz, kręcąc głową. - Całe to zabijanie... Wszyscy ci marynarze... po obu stronach.

- I Bryahn - szepnął Merlin, a Cayleb zamknął powieki i kiwnął głową.

- I Bryahn - powtórzył szeptem.

Merlin uczynił coś, czego nigdy nie robił. Wyciągnął obie ręce i położył dłonie na barkach Cayleba, po czym przytulił do siebie cesarza Imperium Charisu. Trzymał go w ciasnych objęciach, a Cayleb opierał twarz na ramieniu gwardzisty - przynajmniej przez chwilę.

Merlin poczuł pieczenie pod powiekami, kiedy jego sztuczne oczy zaczęły wytwarzać łzy w naśladownictwie prawdziwych odpowiedników.

Bitwa w Zatoce Tarota miała przejść do historii obok bitew w cieśninach Darcos i



Skalistej. Tyle wiedział. Wszakże ani Merlin, ani Cayleb - nawet z pomocą Sowy i jej sensorów - nie domyślali się, jak straszliwy okaże się jej ostateczny bilans.

Eskadra admirała Wyspy Zamek, na którą składało się dwadzieścia pięć galeonów, została rozbita. Jedenaście z nich zostało zamienionych we wraki. Trzy z tej jedenastki zostały całkowicie pozbawione masztów, a dwunasty okręt, HMS *Kamienne Wzgórze*, spłonął, po czym eksplodował. Merlin nie miał pewności, jak do tego doszło, ale podejrzewał, że ogień podłożył celowo jeden z członków oddziałów abordażowych Kościoła. Wolałby się mylić, i to nie tylko z powodu stopnia fanatyzmu, jakiego wymagał taki akt autodafe.

Osiem galeonów Domynyka Staynaira uszło niemal całych lub praktycznie nienaruszonych, ale reszta z siedemnastu charisjańskich okrętów zaangażowanych w walki straciła ponad trzy tysiące marynarzy - z czego czterystu zginęło na pokładzie samego *Kamiennego Wzgórza* podczas wybuchu. Stanowiło to niemal jedną trzecią stanu osobowego, a z tego połowa to były ofiary śmiertelne, a niejeden ranny miał jeszcze umrzeć.

W trakcie walk na pokładzie *Krucjaty* poległ też Bryahn, wielki admirał Wyspy Zamek.

Ale straty Charisjan, choć poważne, były niczym w porównaniu z tymi, które poniosły siły Harpahra. Z siedemdziesięciu czterech galeonów Floty Boga biorących udział w bitwie ocalało tylko dziewięć. Charisjanie przejęli trzydzieści pięć nieuzbrojonych galeonów należących do floty Harchongu i sześć z tych, które miały działa na pokładach... z czego pięć poddało się załogom zwykłych szkunerów, a trzy nie oddały w swojej obronie nawet jednego strzału. Resztki floty Harpahra zdołały zbiec tylko dlatego, że Charisjanie mieli zbyt mało okrętów z nieuszkodzonym takielunkiem, lecz niewielu z ocalałych zamierzało dotrzeć na wody Desnairu. Ruszyli w kierunku portów, z których wypłynęli.

Zajęte przyzy stanowiły potrzebne i cenne uzupełnienia dla marynarki wojennej Charisu, nie mówiąc już o tym, że ich strata była ogromnym ciosem dla Grupy Czwojga. Merlin nie miał pojęcia, jak wikariusze odpowiedzą, ale nie spodziewał się, by Zhaspyr Clyntahn stał się mniej fanatyczny w obliczu tak totalnej klęski. Kościół Matka bowiem wciąż posiadał zasoby pozwalające na odbudowanie utraconej floty. Pytanie tylko, czy jego przywódcy zechcą podjąć kolejne ryzyko.

*Aczkolwiek, pomyślał, to chyba niezbyt dobrze postawione pytanie. Rzecz w tym, czy widzą możliwość dalszego prowadzenia tej wojny bez odbudowywania floty.*

- Fortecą Charisu są drewniane burty jego okrętów... - wymamrotał pod nosem Cayleb. Wyprostował się, uwalniając z chwytu Merlina, i sam położył mu ukryte w rękawicach dłonie na ramionach. - Stary Zhan miał rację, ale nigdy nie wspomniał o krwi

ukrytej za tymi burtami.

- Nie wspomniał - przyznał *seijin*. - Jednakże tu nie chodzi o same burty, Caylebie, ani nie o krew, tylko o ludzi, których chronią. Takich jak Bryahn czy Domynek. Jak kapitan Baikyr i Dunkyn Yairley. Jak Hektor. - Pokręcił głową. - Caylebie, oni doskonale wiedzą, co robią... a mimo to idą do boju. Kroczą prosto w piekło, ponieważ uważają, że to ich święty obowiązek.

- Obowiązek?! - powtórzył cierpkim tonem cesarz. - Mam już dość, naprawdę dość, ludzi ginących w imię tego obowiązku!

- To zrozumiałe. - Merlin uśmiechnął się ze smutkiem i ujął twarz Cayleba w dłoń. - Ty o nich dbasz. Ale wyjaśnij mi jedno, Caylebie Ahrmahku, czy gdybyś nie musiał tkwić tutaj, w Chisholmie, nie stanąłbyś między nimi na pokładzie jednego z tych galeonów?

- Oczywiście, że tak! To byłby mój... - zamilkł, widząc, że *seijin* kiwa głową.

- ...obowiązek - dokończył Merlin łagodnym tonem. - I to jest prawdziwa forteca Charisu i jego Kościoła, Caylebie. Obowiązek. Odpowiedzialność. Miłość. Bo to one leżą u podstaw twego poczucia obowiązku. Twojego, Bryahna, Maikela, Domynika i Sharleyana. Myślisz, że nie wiem? Że nie mam pojęcia, jakie to bolesne? Gdy widzisz, jak wszyscy, których znasz i kochasz, poświęcają życie za ciebie i twoją sprawę? Robią to z tego samego powodu, dla którego ty zrobiłbyś to dla nich: ponieważ kochają coś, za co warto umierać. Kochają swój kraj. Kochają cesarza i cesarzową. Kochają Kościół Charisu i Boga. Kochają wolność i siebie nawzajem. To, Caylebie, jest prawdziwa forteca Charisu. Nie wiem, jak długo jeszcze potrwa ta wojna. Nie mam pojęcia, jak wielką cenę przyjdzie nam zapłacić. Ale jedno jest pewne: dopóki po naszej stronie będą służyć tacy ludzie jak Bryahn i wszyscy inni, którzy pójdą za nim w wir walki, dopóty tobie, Sharleyan, Maikelowi, Ahnzhelyce i Nahrmahnowi nie zabraknie bohaterów, których tak potrzebujecie.

- Wiem - wyszeptał Cayleb, zamykając po raz kolejny oczy. - I to najbardziej mnie przeraża, Merlinie. Będę ich potrzebował, będę ich wzywał i posyłał na śmierć.

- Wszyscy kiedyś umrzemy, Caylebie. W każdym razie wszyscy oprócz mnie. - Cayleb nie mógł widzieć bladego uśmiechu błędzącego po ustach *seijina*, lecz na pewno wyczuł ból i smutek bijący z tych słów. - Ale niektórym z nas będzie dane zginąć za coś, w co wierzą. W poczuciu, że ich życie i śmierć coś znaczą. I to jest właśnie zadanie dla ciebie, wasza wysokość, twój obowiązek. Musisz zadbać o to, by śmierć tych ludzi nie poszła na marne.

- Wiem - powtórzył Cayleb bardzo, bardzo cicho.

- Wiem, że o tym wiesz. - Merlin wziął go w ramiona i po raz ostatni uściśnął. - Wiem

- powtórzył nieco ostrzej. - No ale teraz wracaj ze mną, wasza wysokość, musisz się rozgrzać talerzem gorącej zupy. - Znow się uśmiechnął. - Żona i córka czekają na ciebie.

## Postacie:

**Abylyn Charlz** - przywódca lojalistów Świątyni w Charisie.

**Ahbaht Rohsail** - kapitan marynarki wojennej Desnairu, dowódca HMS *Archaniot Chihiro*, okrętu flagowego komandora Wailahra.

**Ahbaht Lywys** - przyrodni brat Edmynda Walkyry, pierwszy oficer na galeonie *Wiatr*.

**Ahbaht Zhefry** - osobisty sekretarz hrabiego Szarej Zatoki; wykonuje obowiązki podsekretarza stanu w ministerstwie spraw zagranicznych.

**Ahdymsyn Zherald, biskup** - dawniej biskup egzekutor arcybiskupa Erayka Dynnysa w Charisie, obecnie starszy biskup pomocniczy arcybiskupa Maikela.

**Ahlbair Zherohm** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, służący na HMS *Tajfun*.

**Ahdarm Mahrys Ohlarn** - Mahrys IV, cesarz Desnairu.

**Ahlverez Faidel** - główny admirał floty Dohlaru książę Malikai; najważniejszy spośród admirałów króla Rahnylda IV z Dohlaru.

**Ahrdyn** - jaszczurkot arcybiskupa Maikela.

**Ahrmahk Cayleb Zhan Haarahld Bryahn** - książę Ahrmahku, książę Tellesbergu, książę protektor Korony, król Charisu jako Cayleb II, cesarz Cayleb I Imperium Charisu. Mąż Sharleyan Ahrmahk.

**Ahrmahk Alahnah Zhanayt Naimu** - nowo narodzona córka Cayleba I i Sharleyan Ahrmahków, następczyni tronu Imperium Charisu.

**Ahrmahk Kahlvyn** - książę Tirianu (nieżyjący), konstabl Hairathy, kuzyn króla Haarahlda VII.

**Ahrmahk Kahlvyn Cayleb** - młodszy syn księcia Tirianu.

**Ahrmahk Haarahld** - król Haarahld VII, władca Charisu.

**Ahrmahk Rayjhis** - książę Tirianu, starszy syn i dziedzic Kahlvyna Ahrmahka.

**Ahrmahk Sharleyan Alahnah Zhenyfy Ahlyssa Tayt** - księżna Cherayth, księżna protektorka Chisholmu, królowa Chisholmu, cesarzowa Charisu. Żona Cayleba Ahrmahka. Patrz także: Sharleyan Tayt.

**Ahrmahk Zhan** - książę, młodszy brat króla Cayleba.

**Ahrmahk Zhanayt** - królowa Zhanayt, nieżyjąca żona króla Haarahlda VII, matka

Cayleba, Zhanayt i Zhana.

**Ahrmahk Zhanayt** - księżniczka Zhanayt, młodsza siostra Cayleba Ahrmahka, drugie dziecko króla Haarahlda VII.

**Ahrmahk Zhenyfyfyr** - księżna wdowa Tirianu, matka Kahlvyna Cayleba Ahrmahka; córka Rayjhisa Yowance'a, hrabiego Szarej Zatoki.

**Ahrthyr Alyk** - Straż Corisandu, hrabia Windshare, dowódca kawalerii sir Koryna Gahrvaia.

**Ahstyn Franz** - porucznik Cesarskiej Straży Charisu, zastępca dowódcy gwardii króla Cayleba II.

**Ahzgood Phylp** - hrabia Corisu, dawniej szef wywiadu księcia Hektora, obecnie prawny opiekun księżniczki Irys Daykyn i księcia Daivyna Daykyna.

**Aimayl Rahn** - członek antycharisjańskiego ruchu oporu w Manchyrze w Corisandzie, dawniej czeladnik Paitryka Hainreego.

**Airythu hrabia** - patrz: Sowthmyn Trumyn.

**Aiwain Harys** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Tarcza*.

**Alban Nimue** - oficer taktyczny admirała Pei Kau-zhi w stopniu komandora porucznika.

**Allayn** - patrz: Magwair Allayn.

**Aplyn Ahrmahk Hektor** - księżę Darcos i pełniący obowiązki porucznika na HMS *Przeznaczenie*, adoptowany członek rodu Ahrmahków.

**Arcybiskup Borys** - patrz: Bahrmyn Borys.

**Arcybiskup Maikel** - patrz: Staynair Maikel.

**Arcybiskup Pawal** - patrz: Braynair Pawal.

**Arthmyn Ohmahr** - główny medyk pałacu cesarskiego w Tellesbergu.

**Athrawes Merlin** - kapitan Cesarskiej Straży Charisu, osobisty ochroniarz króla Cayleba II, CZA Nimue Alban.

**Aymez Bardulf** - kadet Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu na HMS *Tajfun*.

**Bahltn Zheevys** - sługa barona Białego Brodu.

**Bahnryr Hektor** - hrabia Mancory, jeden z wyższych oficerów sir Koryna Gahrvaia, dowódca prawego skrzydła w bitwie na Rozstajach Haryla.

**Bahr Dahnnah** - zarządca pałacu cesarskiego w Cherayth.

**Bahrdailahn Ahbail** - porucznik floty Dohlaru, na okręcie flagowym hrabiego Thirsku.

**Bahrmyn Borys** - arcybiskup Kościoła Boga Oczekiwanego w Corisandzie.

**Bahrmyn Tohmys** - baron Białego Zamku, ambasador księcia Hektora na dworze księcia Nahrmahna.

**Bahrns Rahnyld** - władca Dohlaru, król Rahnyld IV.

**Baiket Stywyrt** - kapitan floty Dohlaru, dowódca HMS *Chihiro*, okrętu flagowego hrabiego Thirsku.

**Baikyr Sylmahn** - kapitan Cesarskiej Marynarki Charisu, dowódca HMS *Ahrmahk*, okrętu flagowego admirała Wyspy Zamek.

**Bairaht Daivyn** - księżę Kholmanu, faktycznie minister marynarki wojennej cesarza Desnairu, Mahrysa IV.

**Banahr Ahzwald** - opat klasztoru Świętego Hamlyna w Saraynie w królestwie Charisu.

**Barcoru baron** - patrz: Sumyrs Zher.

**Baytz Felayz** - najmłodsze dziecko i druga z kolei córka księcia Nahrmahna ze Szmaragdu.

**Baytz Hanbyl** - księżę Solomonu, wuj księcia Nahrmahna i wódz naczelny armii Szmaragdu.

**Baytz Mahrya** - najstarsze dziecko księcia Nahrmahna ze Szmaragdu.

**Baytz Nahrman Gareyt** - drugie dziecko księcia Nahrmahna ze Szmaragdu, najstarszy syn.

**Baytz Nahrman Hanbyl Graim** - patrz: księżę Nahrman.

**Baytz Nahrman** - władca księstwa Szmaragdu, księżę Nahrman II; doradca Cayleba i Sharleyan Ahrmahków.

**Baytz Ohlyvya** - żona księcia Nahrmahna ze Szmaragdu.

**Baytz Trahvys** - trzecie dziecko księcia Nahrmahna ze Szmaragdu i jego drugi syn.

**Bédard Adorée, dr** - naczelny psychiatra operacji Arka.

**Białego Brodu baron** - patrz: Mahrtyń Gahvyn.

**Białego Zamku baron** - patrz: Bahrmyn Tohmys.

**Bialej Grani Hrabia** - patrz: Thompkyn Hauwerstat.

**Biskup egzekutor Wyllys** - patrz: Graisyn Wyllys.

**Biskup egzekutor Zherald** - patrz: Ahdymysyn Zherald.

**Blahndai Chantahal** - pseudonim Lysbet Wylsynn w Syjonie, patrz: Wylsynn Lysbet.

**Blaidyn Rozhyr** - porucznik na galerze *Królewska Bédard*.

**Bowave Dairak** - starszy asystent doktora Rahzhyra Mahklyna w Królewskiej Akademii w Tellesbergu.

**Bowsham Khanair** - kapitan Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, dowódca HMS *Huragan*.

**Bradlai Robyrt** - porucznik marynarki Corisandu; patrz: Whaite Styvyn.

**Braynair Pawal** - arcybiskup Kościoła Charisu w Chisholmie.

**Breygart Fraidareck** - czternasty hrabia Hanth, pradziad Hauwerda Breygarta.

**Breygart Hauwerd** - pułkownik Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, prawowity dziedzic hrabstwa Hanth, hrabia od 893 r.

**Broun Mahtaio** - starszy sekretarz i prawa ręka arcybiskupa Erayka Dynnysa, jego zauszniak i protegowany.

**Brownyng Ellys** - kapitan dowódca galeonu Świątyni *Błogosławiony Langhorne*.

**Byrk Brekyn** - major Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, dowódca oddziału piechoty morskiej na HMS *Królewski Charis*.

**Byrkyt Zhon** - starszy rangą duchowny Kościoła Boga Oczekiwanego, opat klasztoru Świętego Zherneau.

**Cahkrayn Samyl** - książę Fernu, pierwszy doradca króla Rahnylda IV z Dohlaru.

**Cahmmyng Ahlbair** - zawodowy zabójca wynajęty przez księdza Aidryna Waimyna.

**Cahnryr Zhasyn** - arcybiskup Kościoła Boga Oczekiwanego w Glaciereart, członek ruchu reformatorów Samyla Wylsynna.

**Cayleb książę** - patrz: Ahrmahk Cayleb.

**Cesarz Cayleb I** - patrz: Ahrmahk Cayleb.

**Cesarz Mahrys IV** - patrz: Ahldarm Mahrys.

**Cesarz Waisu VI** - patrz: Hantai Waisu.

**Cesarzowa Sharleyan** - patrz: Ahrmahk Sharleyan.

**Chahlmair Bairmon** - książę Margo, członek rady regencyjnej księcia Daivyna.

**Chaimbyrs Zhustyn** - porucznik marynarki wojennej Desnairu, drugi oficer na HMS *Archaniol Chihiro*.

**Chalmyr Mailvyn** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu na HMS *Tellesberg*.

**Chalmyrz Karlos** - pomocnik i sekretarz arcybiskupa Borysa Bahrmyna.

**Charlz Marik** - kapitan, dowódca kupieckiego statku *Córa Fali*.

**Charlz Yerek** - ogniomistrz Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, HMS *Fala*.

**Chermyn Hauwyl** - wicekról, generał Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu,

dowódca sił okupacyjnych, corisandzki regent Cayleba i Sharleyan.

**Cheryng Taiwyl** - porucznik służący w sztabie sir Vyka Lakyra, zawiaduje cywilnymi podwładnymi Lakyra i przesyłaniem wiadomości.

**Clareyk Kynt** - generał Cesarskiej Armii Charisu, baron Zielonej Doliny, dawniej brygadier Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu.

**Clyntahn Zhaspyr** - wikariusz, wielki inkwizytor Kościoła Boga Oczekiwanego, członek Rady Wikariuszy oraz tak zwanej Grupy Czworka.

**Cohlmyrn Lewk** - hrabia Sharpfieldu, admirał i drugi co do ważności oficer Cesarskiej Marynarki Charisu, dawniej admirał Królewskiej Marynarki Chisholmu.

**Corisu hrabia** - patrz: Ahzgood Phylp.

**Czarnej Wody książę** - patrz: Lynkyn Ernyst.

**Czarnej Wody książę** - patrz: Lynkyn Adulfo.

**Dahnzai Lyzbyt** - gospodyni księdza Zhaifa Laityra w parafii Archaniołów Tryumfujących.

**Dahryus Edvarhd** - pseudonim Mylza Halcoma, patrz: Halcom Mylz.

**Daikhar Mohtohkai** - porucznik Cesarskiej Marynarki Charisu, zastępca dowódcy HMS *Rzutka*.

**Daikyn Gahlvyn** - osobisty sługa króla Cayleba II.

**Daivyn książę** - patrz: Daykyn Daivyn..

**Daivys Mytrahn** - charisjański lojalista Świątyni.

**Darcosu książę** - patrz: Aplyn-Ahrmahk Hektor.

**Darys Tymythy** - kapitan Cesarskiej Marynarki Charisu, dowódca HMS *Niszczyciel*, dowódca okrętu flagowego sir Domyńka Staynaira.

**Daykyn Daivyn** - najmłodsze dziecko księcia Hektora z Corisandu, po skrytobójczej śmierci ojca książę Corisandu na wygnaniu.

**Daykyn Hektor** - książę Corisandu, przywódca Ligi Corisandu. zamordowany w 893 r.

**Daykyn Hektor Młodszy** - drugie dziecko księcia Corisandu, następca tronu, zamordowany w 893 r.

**Daykyn Irys** - najstarsza córka księcia Hektora z Corisandu, starsza siostra księcia Daivyna.

**Daykyn Raichynda** - nieżyjąca żona księcia Hektora z Corisandu, urodzona w hrabstwie Domair w królestwie Hoth.

**Dekyn Allayn** - sierżant, jeden z podwładnych Kairmyrna, armia Delferahku.



**Dobyns Charlz** - syn Ezmeldy Dobyns, niegdysiejszy uczestnik antycharisjańskiego ruchu oporu w Manchyrze w księstwie Corisandu.

**Dobyns Ezmelda** - gospodyni księdza Tymahna Hahskansa w parafii Świętej Kathryn.

**Doyal Charlz** - dawniej dowódca artylerii w armii księcia Hektora, obecnie adiutant i szef wywiadu sir Koryna Gahrvaia.

**Dragoner Rayjhis** - ambasador Charisu w Republice Siddarmarku.

**Dragoner Zhak** - kapral Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, członek gwardii księcia Cayleba.

**Duchairn Rhobair** - wikariusz, skarbnik Świątyni, członek Rady Wikariuszy oraz tak zwanej Grupy Czworka.

**Dymytree Fronz** - żołnierz Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, członek gwardii księcia Cayleba.

**Dynnys Adorai** - żona arcybiskupa Erayka Dynnysa.

**Dynnys Erayk** - arcybiskup Charisu, stracony za herezję w 892 r.

**Dynnys Styvyn** - młodszy syn arcybiskupa Erayka, w 892 r. liczący jedenaście lat.

**Dynnys Tymythy Erayk** - starszy syn arcybiskupa Erayka, w 892 r. liczący czternaście lat.

**Eastshare książę** - patrz: Thairis Ruhsyl.

**Edwyrds Kevyn** - zastępca dowódcy korsarskiego galeonu *Kraken*.

**Ekyrd Hayrys** - kapitan floty Dohlaru, dowódca galery *Król Rahnyld*.

**Erayk** - patrz: Dynnys Erayk.

**Erayksyn Styvyn** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu na okręcie flagowym sir Domynyka Staynaira.

**Erayksyn Wyllym** - producent tekstylny z Charisu.

**Erek XVII** - patrz: wielki wikariusz Ereka XVII.

**Fahrmanh Luhys** - szeregowy Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, członek gwardii księcia Cayleba.

**Fahrmyrn Tairyn** - ksiądz w parafii Świętego Chihiro na prowincji nieopodal klasztoru Świętej Agthy.

**Fahrno Mahrlys** - jedna z dziewcząt Madame Ahnzhelyki Phondy.

**Faircaster Payter** - sierżant gwardii, jeden z członków straży przybocznej cesarza Cayleba I.

**Fairys Ahlvyn** - pułkownik Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu - dowódca

pierwszego regimentu trzeciej brygady CPMC.

**Falkhan Ahrnahld** - porucznik Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, dawniej dowódca straży przybocznej następcy tronu księcia Cayleba, obecnie dowódca straży przybocznej księcia Zhana.

**Fernu książę** - patrz: Cahkrayn Samyl.

**Fhairly Ahdym** - major, dowódca baterii na Wyspie Wschodniej w cieśninie Ferayd w królestwie Delferahku.

**Fharmyn Ryk** - właściciel odlewni w Tarocie.

**Fofao Mateus** - kapitan, dowódca OWFT *Swiftsure*.

**Foryst Erayk** - wikariusz, członek grupy reformatorów.

**Fraidmyn Vyk** - sierżant Królewskiej Straży Charisu, jeden z przybocznych króla Cayleba II.

**Fuhllyr Raimahnd** - kapelan HMS *Dreadnought*.

**Furkhal Rafayl** - drugi bazowy i uderzający Krakenów Tellesbergu.

**Fyshyr Harys** - dowódca korsarskiego galeonu *Kraken*.

**Gahrbor Failyx** - arcybiskup Kościoła Boga Oczekiwanego w Tarocie.

**Gahrdaner Charlz** - sierżant Królewskiej Straży Charisu, członek straży przybocznej króla Haarahlda VII.

**Gahrmyn Rahnyld** - porucznik, zastępca dowódcy galery *Grot* we flocie Delferahku.

**Gahrnaht Amilain** - usunięty ze stanowiska biskup Larchrosu.

**Gahrvai Koryn** - generał, dawniej dowódca armii księcia Hektora, obecnie dowódca straży Corisandu w służbie rady regencyjnej księcia Daivyna, syn hrabiego Skalnego Kowadła.

**Gahrvai Rysel** - hrabia Skalnego Kowadła, oficjalny regent księcia Daivyna Daykyna, przewodzi radzie regencyjnej księcia Daivyna na terenie Corisandu.

**Gairahht Wyllys** - kapitan Chisholmskiej Gwardii Królewskiej, dowódca oddziału chroniącego królową Sharleyan.

**Gairlyng Klairmant** - arcybiskup Kościoła Charisu w Corisandzie.

**Galvahn Naithyn** - major, najstarszy oficer hrabiego Windshare podczas kampanii corisandzkiej.

**Gardynyr Lywys** - hrabia Thirsku, admirał floty Dohlaru, najlepszy spośród dowódców króla Rahnylda IV.

**Garthin Edwair** - hrabia Północnego Wybrzeża, dawniej jeden z doradców księcia Hektora, obecnie członek rady regencyjnej księcia Daivyna.

**Ghatfryd Sandaria** - osobista pokojówka Ahnzhelyki Phondy (Nynian Rychtair).

**Głębokiej Doliny hrabia** - patrz: Selkyr Bryahn.

**Gorjah** - patrz: Nyou Gorjah, król Gorjah III, władca Tarota.

**Gorjah Gharth** - prywatny sekretarz arcybiskupa Zhasyna Cahnyra.

**Gorjah Sahmantha** - żona księdza Gorjaha.

**Gorjah Zhasyn** - pierworodny Ghartha i Sahmanthy Gorjahów.

**Grahzaiai Mahshal** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca szkunera HMS *Posłaniec*.

**Graisyn Wyllys** - biskup egzekutor, główny administrator przy arcybiskupstwie Szmaragdu za arcybiskupa Lyama Tyrna.

**Graivyr Styvyn** - intendent biskupa Ernysta w Feraydzie w Delferahku.

**Greenhill Tymahn** - starszy łowczy króla Haarahlda VII.

**Gromu baron** - patrz: Raice Bynzhamyn.

**Gromu baronowa** - patrz: Raice Leahyn.

**Guyshain Bahrnai** - starszy doradca Zahmsyna Trynaira.

**Gyrard Andrai** - oficer Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Cesarzowa Charisu*.

**Haarahld** - patrz: Ahrmahk Haarahld.

**Haarpar Gorj** - sierżant Królewskiej Straży Charisu, jeden z przybocznych króla Haarahlda VII.

**Hahlek Symyn** - pomocnik i sekretarz arcybiskupa Klairmanta Gairlynga.

**Hahlmahn Pawal** - starszy szambelan króla Haarahlda VII.

**Hahlmyn Mahrak** - duchowny Kościoła Boga Oczekiwanego, pomocnik i sekretarz biskupa egzekutora Thomysa Shylaira.

**Hahlmyn Sairah** - dwórka Sharleyan Ahrmahk.

**Hahlmyn Zhorj** - kadet Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, sygnalista na HMS *Cieśnina Darcos*.

**Hahltar Urwyn** - główny admirał marynarki wojennej Desnairu, baron Jahrasu.

**Hahlynd Pawal** - podwładny hrabiego Thirsku.

**Hahlynd Mahrak** - osobisty sekretarz biskupa egzekutora Thomysa Shylaira.

**Hahskans Dailohrs** - żona księdza Tymahna Hahskansa.

**Hahskans Tymahn** - reformatorski duchowny w Manchyrze, członek zakonu Bédard, proboszcz kościoła Świętej Kathryn.

**Hahskyn Ahndrai** - porucznik Cesarskiej Straży Charisu, charisjański oficer

oddelegowany do gwardii cesarskiej Sharleyan, zastępca kapitana Gairahtha.

**Hahvair Franz** - komandor Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca szkunera HMS *Maczuga*.

**Hailyn** - patrz: Rayno Hailyn.

**Haimltahn Wyllys** - biskup egzekutor, główny zastępca arcybiskupa Zhasyna Cahnyra w Glacierheart.

**Haimyn Mahrys** - brygadier, dowódca piątej brygady Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu.

**Hainree Paitryk** - złotnik i agitator lojalistów Świątyni w Manchyrze w księstwie Corisandu.

**Halcom Mylz** - biskup Zatoki Margaret.

**Haimyn Zahmsyn** - arcybiskup Gorathu, prymas Dohlaru.

**Hantai Waisu** - Waisu VI, cesarz Harchongu.

**Hanthu hrabia** - patrz: Mahnt. ayl Tahdayo. Patrz także: Breygart Hauwerd.

**Harmyn Bahrkly** - major armii Szmaragdu przydzielony do Zatoki Północnej.

**Harpahr Kornyls** - biskup zakonu Chihiro, główny admirał Floty Boga.

**Harrison Matthew Paul** - prawnuk Timothy'ego i Sary Harrison.

**Harrison Robert** - wnuk Timothy'ego i Sary Harrison, ojciec Matthew Paula Harrisona.

**Harrison Sara** - żona Timothy'ego Harrisona i jedna z Ew.

**Harrison Timothy** - burmistrz Lakeview i jeden z Adamów.

**Harys Ahlbyrt** - specjalny wysłannik Zahmsyna Trynaira do Dohlaru.

**Harys Zhoel** - kapitan corisandzkiej galery *Lanca*, a następnie galeonu *Skrzydło*, odpowiedzialny za zapewnienie bezpieczeństwa księżniczce Irys i księciu Daivynowi.

**Haskyn Yahncee** - midszypmen floty Dohlaru na pokładzie *Zatoki Gorath*.

**Hauwyrd Zhorzh** - osobisty strażnik hrabiego Szarej Zatoki.

**Hektor książę** - patrz: Daykyn Hektor.

**Hillkeeper Wahlys** - hrabia Stromego Wzgórza, członek rady regencyjnej księcia Daivyna oraz starszy stażem członek Konspiracji Północy.

**Holdyn Lywys** - wikariusz, członek grupy reformatorów.

**Hotchkys Ohwyn** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Tellesberg*.

**Howsmyn Ehdwyrd** - bogaty właściciel odlewni i stoczni w Tellesbergu.

**Howsmyn Zhain** - żona Ehdwyrda Howsmyna.

**Huntyr Klemynt** - porucznik Królewskiej Straży Charisu, oficer odbywający służbę w Tellesbergu.

**Hwystyn Vyrnyn** - członek parlamentu wybrany w Tellesbergu.

**Hyllair Farahk** - baron Dairwynu.

**Hyndryk Ahlfryd** - baron Morskiego Szczytu, najlepszy ekspert artyleryjski Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu w stopniu komandora, faktycznie dowódca działu badań Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu.

**Hyndrys Dunkyn** - płatnik korsarskiego galeonu *Drapieżca*.

**Hyrst Zohzef** - admirał floty Chisholmu, prawa ręka hrabiego Sharpfieldu.

**Hysin Chiyan** - wikariusz z Harchongu, członek grupy reformatorów.

**Hwystyn Avrahm** - lord, kuzyn Greyghora Stohnara, funkcjonariusz średniego stopnia w ministerstwie spraw zagranicznych Siddarmarku.

**Hywył Paitryk** - komandor Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca szkunera HMS *Fala*, następnie kapitan, dowódca HMS *Tancerz*.

**Illian Ahntahn** - jeden z dowódców kompanii sir Phylpya Myllyra.

**Jahrasu baron** - patrz: Hahlta Urwyn.

**Jynkyn Hauwyrd** - pułkownik, dowódca piechoty morskiej we flocie admirała Staynaira.

**Jynkyns Ernyst** - biskup Feraydu.

**Kahnklyn Aidryn** - starsza córka Tairys Kahnklyn.

**Kahnklyn Aizak** - zięć Rahzhyra Mahklyna.

**Kahnklyn Erayk** - najstarszy syn Tairys Kahnklyn.

**Kahnklyn Eydyth** - młodsza córka Tairys Kahnklyn.

**Kahnklyn Haarahld** - syn Tairys Kahnklyn.

**Kahnklyn Tairys** - zamężna córka Rahzhyra Mahklyna.

**Kahnklyn Zhoel** - najmłodszy syn Tairys Kahnklyn.

**Kahrnaikys Zhaphar** - major straży Świątyni, schueleryta.

**Kaillee Zhilbert** - kapitan floty Tarota, dowódca galery *Król Gorjah II*.

**Kairee Traivyr** - bogaty kupiec i posiadacz ziemski w hrabstwie Styvyn.

**Kairmyn Tomhys** - kapitan, oficer sir Vyka Lakyra, armia Delferahku.

**Kaits Bahrnabai** - kapitan Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, dowódca oddziału piechoty morskiej na HMS *Szkwał*.

**Kamiennej Warowni baron** - patrz: Rustmyn Edmynd.

**Keelhaul** - rottweiler admirała Wyspy Zamek.

**Kestair Ahrdyn** - zamężna córka arcybiskupa Maikela.

**Kestair Lairync** - zięć arcybiskupa Maikela.

**Khailee Rolf** - pseudonim lorda Avrahma Hywstyna, patrz: Hywstyn Avrahm.

**Khapahr Ahlvyn** - komandor, faktycznie adiutant hrabiego Thirsku.

**Khattyr Payt** - kapitan floty Szmaragdu, dowódca galery *Czarny Księżę*.

**Kholmanu księżę** - patrz: Bairaht Daivyn.

**Khowsan Shoukhan** - Kapitan Wiatrów we flocie Harchongu, hrabia Góry Wiatrów, dowódca IMWH *Kwiatu Wód*, dowódca na okręcie flagowym księcia Wschodzącego Słońca.

**Klahrksain Tymahn** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Talizman*.

**Knowles Evelyn** - Ewa, której udało się przeżyć zagładę Aleksandrii dzięki ucieczce do Tellesbergu.

**Knowles Jeremiah** - Adam, któremu udało się przeżyć zagładę Aleksandrii dzięki ucieczce do Tellesbergu, gdzie został patronem i założycielem bractwa Świętego Zherneau.

**Kohrby Lynail** - starszy kadet Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu na HMS *Dreadnought*.

**Krahl Ahndair** - kapitan floty Dohlaru, dowódca HMS *Bédard*.

**Krughair Zhasyn** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, drugi oficer na HMS *Tancerz*.

**Księżniczka Irys** - patrz: Daykyn Irys.

**Lahang Braidee** - agent księcia Nahrmahna ze Szmaragdu w Charisie przed przybyciem Merlina Athrawesa.

**Lahfat Myrgyn** - kapitan piracki, władca Warowni Szpon.

**Lahftyn Bryahn** - major, adiutant brygadiera Clareyka.

**Lahrak Nailys** - wiodący przywódca lojalistów Świątyni w Charisie.

**Lahsahl Shairmyn** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, zastępca dowódcy HMS *Niszczyciel*.

**Laimhyn Clyfyrd** - duchowny, osobisty sekretarz cesarza Cayleba oddelegowany przez arcybiskupa Maikela.

**Lairays Awbrai** - członek zakonu Schuelera, kapelan okrętowy HMS *Archanioł Chihiro*.

**Laityr Zhaif** - duchowny reformatorski wywodzący się z zakonu Pasquale, proboszcz kościoła Archaniołów Tryumfujących, bliski przyjaciel księdza Tymahna Hahskansa.

**Lakyr Vyk** - dowódca garnizonu w Feraydzie w Delferahku.

**Langhorne Erie** - główny administrator operacji Arka.

**Larchrosu baron** - patrz: Mairwyn Rahzhyr.

**Larchrosu baronowa** - patrz: Mairwyn Raichenda.

**Lathyk Rhobair** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, pierwszy oficer i zastępca dowódcy na HMS *Przeznaczenie*.

**Layn Zhim** - major Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, podwładny brygadiera Kynta Clareyka, obecnie dowódca bazy szkoleniowej na wyspie Helena.

**Lektor Taryl** - hrabia Tartarianu, admirał, najstarszy stopniem oficer i głównodowodzący floty Corisandu podczas kampanii corisandzkiej, po śmierci księcia Hektora sprzymierzył się z hrabią Skalnego Kowadła, jeden z członków rady regencyjnej księcia Daivyna.

**Lord protektor Greyghor** - patrz: Stohnar Greyghor.

**Lyam Tyrn** - patrz: Tyrn Lyam.

**Lyndahr Raimynd** - skarbnik księcia Hektora, obecnie członek rady regencyjnej księcia Daivyna.

**Lynkyn Adulfo** - obecny książę Czarnej Wody, syn Ernysta.

**Lynkyn Ernyst** - nieżyjący książę Czarnej Wody, dowódca floty Corisandu, podczas bitwy w cieśninie Darcos.

**Lywkys Mairah** - pierwsza dworka cesarzowej Sharleyan; kuzynka barona Zielonego Wzgórza.

**Lywys Sahndrah** - członek Królewskiej Akademii w Tellesbergu, chemik.

**Magwair Allayn** - wikariusz, dowódca wojsk Kościoła Matki, członek Rady Wikariuszy oraz tak zwanej Grupy Czworga.

**Mahgail Raif** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Tancerz*, okrętu flagowego sir Gwylyma Manthyra.

**Mahgentee Mahrak** - starszy kadet Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu na pokładzie HMS *Tajfun*.

**Mahkelyn Rhobair** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, czwarty oficer na HMS *Przeznaczenie*.

**Mahkhynroh Kaisi** - biskup Kościoła Charisu w Manchyrze.

**Mahklyn Rahzhyr** - rektor Królewskiej Akademii Charisu w Tellesbergu, członek Cesarskiej Rady Naukowej.

**Mahklyn Tohmys** - nieżonaty brat Rahzhyra Mahklyna.

**Mahklyn Ysbet** - nieżyjąca żona Rahzhyra Mahklyna.

**Mahkneel Hauwyrd** - kapitan, zastępca dowódcy galery *Grot* we flocie Delferahku.

**Mahldyn Zhames** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, zastępca dowódcy HMS *Szkwał*.

**Mahlry Rholynd** - porucznik floty Szmaragdu służący na pokładzie galery *Czarny Książę*.

**Mahlyk Stywyrt** - osobisty sternik kapitana Yairleya.

**Mahndrayn Urvyn** - komandor Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca rady eksperymentalnej, starszy asystent komandora Morskiego Szczytu.

**Mahndyru hrabia** - patrz: Rahlstahn Gharth.

**Mahntain Tohmys** - kapitan floty Desnairu, dowódca HMS *Błogosławiony Wojownik*.

**Mahntayl Tahdayo** - uzurpator hrabstwa Hanth.

**Mahntee Charlz** - porucznik floty Dohlaru, zastępca dowódcy HMS *Rakurai*.

**Mahntyn Ailas** - kapral, strzelec wyborowy oddelegowany do plutonu sierżanta Edvarhda Wystahna.

**Mahrak Rahnald** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu pełniący służbę na HMS *Królewski Charis*.

**Mahrłow Ahrain** - biskup egzekutor, główny zastępca Zahmsyna Halmyna, arcybiskupa Gorathu w Dohlarze.

**Mahrtyń Gahvyn** - baron Białego Brodu, admirał floty Tarota, głównodowodzący.

**Mahrtyńsyn Laizair** - porucznik floty Desnairu, zastępca dowódcy HMS *Archanioł Chihiro*.

**Mahrys Zheryld** - sekretarz sir Rayjhisa Dragonera.

**Maigee Graygair** - kapitan floty Dohlaru, dowódca galeonu HMS *Strażnik*.

Maik Staiphán - biskup, wywodzący się z zakonu Schuelera biskup pomocniczy Kościoła Boga Oczekiwanego, faktycznie intendent floty Dohlaru.

**Maikel Qwentyn** - kapitan floty Dohlaru, dowódca galery *Zatoka Gorath*.

**Maikelsyn Leeahm** - porucznik floty Tarota, pierwszy oficer na galerze *Król Gorjah*

*II.*

**Maiyl** - patrz: Nyou Maiyl.

**Mairwyn Rahzhyr** - baron Larchrosu, członek Konspiracji Północy w Corisandzie.

**Mairwyn Raichenda** - baronowa Larchrosu, żona Rahzhyra Mairwyna.

**Mairydyth Nevyl** - porucznik floty Dohlaru, pierwszy oficer na galerze *Królewska Bédard*.



**Maiyr Zhaksyn** - kapitan, oficer oddziału pułkownika Wahlysa Zhorja, na usługach Tahdayo Mahntayla.

**Makferzahn Zhames** - jeden z agentów księcia Hektora w Charisie.

**Makgregair Zhoshua** - specjalny wysłannik wikariusza Zahmsyna Trynaira do Tarota.

**Malikai książę** - patrz: Ahlverez Faidel.

**Manthyr Gwylm** - admirał Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dawniej dowódca okrętu flagowego Cayleba Ahrmahka podczas kampanii za Rafą Armagedonu i w cieśninie Darcos, później dowódca charisjańskiej ekspedycji do Zatoki Dohlarskiej.

**Margo książę** - patrz: Chahlmair Bairmon.

**Marshyl Adym** - starszy kadet Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu na HMS *Królewski Charis*.

**Mathysyn Zhaikeb** - porucznik floty Dohlaru, pierwszy oficer galery *Zatoka Gorath*.

**Maylyr Dunkyn** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Halabarda*.

**Maysahn Zhaspahr** - szef agentów księcia Hektora w Charisie.

**Maythis Fraizher** - porucznik floty Corisandu, prawdziwe miano kapitana Wahltayra Seatowna, patrz: Seatown Wahltayr.

**Mhulvayn Oskahr** - jeden z agentów księcia Hektora w Charisie.

**Michael** - proboszcz Lakeview.

**Morskiego Szczytu baron** - patrz: Hyndryk Ahlfryd.

**Mychail Alyx** - najstarszy wnuk Raiyana Mychaila.

**Mychail Myldryd** - żona jednego z wnuków Raiyana Mychaila.

**Mychail Raiyan** - największy producent tekstyliów w Charisie, partner biznesowy Ehdwyrda Howsmyna.

**Mychail Styvyn** - najmłodszy syn Myldryd Mychail.

**Myllyr Urvyn** - arcybiskup Sodar.

**Myllyr Phylp** - jeden z dowódców regimentu sir Koryna Gahrvaia podczas kampanii corisandzkiej.

**Myls Gwyahn** - brygadier Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, dowódca drugiego regimentu, trzeciej brygady.

**Myrgyn Kehvyn** - kapitan floty Corisandu, dowódca galery *Corisand*, dowódca na okręcie flagowym księcia Czarnej Wody.

**Nahrmahn książę** - patrz: Baytz Nahrmahn.

**Naiklos Frahnklyn** - kapitan, późniejszy major straży Corisandu, dowódca kwatery głównej sir Koryna Gahrvaia.

**Narth Tyrnyr** - biskup egzekutor, główny zastępca Failyxa Gahrbora, arcybiskupa Tarota.

**Nethaul Hairym** - zastępca dowódcy korsarskiego szkunera *Ostrze*.

**Nohrcross Mailvyn** - biskup Kościoła Charisu w Barcorze, członek Konspiracji Północy w Corisandzie.

**Nylz Kohdy** - poprzednio komandor Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, obecnie admirał Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca jednej z eskadr.

**Nyou Gorjah** - król Gorjah III, władca Tarota.

**Nyou Maiyl** - małżonka króla Gorjaha, królowa Tarota.

**Nyou Rholynd** - nowo narodzony syn Gorjaha i Maiyl, księżę Tarota, następca tronu.

**Oarmaster Sygmahn** - żołnierz Królewskiej Piechoty Morskiej Charisu, członek straży przybocznej księcia Cayleba.

**Ohlsyn Trahvys** - hrabia Sosnowej Doliny, doradca i kuzyn księcia Nahrmahna ze Szmaragdu.

**Olyvyr Ahnyet** - żona Dustyna Olyvyra.

**Olyvyr Dustyn** - najlepszy projektant statków w Tellesbergu i główny konstruktor Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu.

**Pahlzar Ahkyllys** - pułkownik, dowódca artylerii w armii sir Koryna Gahrvaia w miejsce sir Charlza Doyala.

**Pahraiha Vahsag** - pułkownik Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, dowódca czternastego regimentu.

**Pawal Zhon** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Rzutka*.

**Pawalsyn Ahlvynd** - baron Żelaznego Wzgórza, skarbnik królestwa Starego Charisu.

**Pei Kau-yung** - komandor, dowódca ostatniej eskorty operacji Arka, mąż dr Pei Shan-wei.

**Pei Kau-zhi** - admirał, głównodowodzący operacją Odejście, starszy brat komandora Pei Kau-yunga.

**Pei Shan-wei** - żona komandora Pei Kau-yunga, ekspert od terraformingu pracujący dla operacji Arka.

**Phalgrain Harvai** - lokaj w pałacu cesarskim w Cherayth.

**Phandys Khanstahnzo** - oficer straży Świątyni.

**Phonda Ahnzhelyka (Madame)** - pseudonim Nynian Rychtair, jedna z bardziej znanych kurtyzan Syjonu, sojuszniczka i agentka Samyla Wylsynna.

**Portyr Danyel** - major Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu.

**Pólnocnego Wybrzeża hrabia** - patrz: Garthin Edwair.

**Proktor Elias** - znany cybernetyk i członek zespołu Pei Shan-wei.

**Qwentyn Donyrt** - baron Warowni Tanlyr, komandor floty Corisandu, jeden z dowódców eskadry księcia Czarnej Wody.

**Qwentyn Tymahn** - obecna głowa rodu Qwentynów.

**Rahlstahn Gharth** - hrabia Mahndyru, admirał floty Szmaragdu, dawniej głównodowodzący floty Szmaragdu, obecnie trzeci co do ważności oficer Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu.

**Rahlstyn Erayk** - komandor floty Dohlaru, jeden z dowódców eskadr księcia Malikai.

**Rahnyld** - patrz: Bahrns Rahnyld, król Rahnyld IV, władca Dohlaru.

**Rahskail Barkah** - pułkownik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, hrabia Swayle.

**Rahzmahn Dahnyld** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, pierwszy oficer na okręcie flagowym sir Gwylyma Manthya.

**Raice Bynzhamyn** - baron Gromu, szef wywiadu królestwa Starego Charisu.

**Raice Leahyn** - baronowa Gromu, żona Bynzhamyna Raice'a.

**Raimair Tobys** - dowódca nieoficjalnej gwardii księcia Daivyna Daykyna w Delferahku; dawniej sierżant w armii Corisandu.

**Raimynd Lyndahr** - skarbnik księcia Hektora.

**Raisahndo Caitahno** - kapitan floty Dohlaru, dowódca HMS *Rakurai*.

**Raislair Mhartyn** - biskup egzekutor, główny zastępca Ahdyma Taibyra, arcybiskupa Desnairu.

**Raiyz Carlsyn** - spowiednik królowej Sharleyan, zginął podczas próby zamachu na Sharleyan.

**Raynair Ekohls** - kapitan, dowódca korsarskiego szkunera *Ostrze*.

**Rayno Hailyn** - żona króla Zhamesa II, kuzynka księcia Hektora z Corisandu.

**Rayno Wyllym** - arcybiskup Chiang-wu, szef sztabu zakonu Schuelera.

**Rayno Zhames** - król Zhames II, władca Delferahku.

**Razhail Derahk** - starszy uzdrawiacz w pałacu cesarskim w Cherayth, duchowny zakonu Pasquale.

**Rhobair** - patrz: Duchairn Rhobair.

**Rholynd książę** - patrz: Nyu Rholynd.

**Rohsail Darhrand** - kapitan floty Dohlaru, dowódca HMS *Wielki Wikariusz Mahrys*.

**Rohzhyr Bahrtol** - pułkownik Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu.

**Ropewalk Ahdam** - pułkownik Królewskiej Straży Charisu.

**Rowyn Horalis** - kapitan, dowódca *Ahnyet*, jachtu sir Dustyna Olyvyra.

**Rustmyn Edmynd** - baron Kamiennej Warowni, pierwszy doradca króla Gorjaha III z Tarota i szef jego wywiadu.

**Ryehtair Nynian** - prawdziwe nazwisko i imię Madame Ahnzhelyki Phondy, przyrodniej siostry Adorai Dynnys.

**Sahbrahan Paiair** - lokaj hrabiego Thirsku.

**Sahdlyr Bynzhamyn** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, drugi oficer na HMS *Dreadnought*.

**Sahlmyn Hain** - sierżant major Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, podwładny pułkownika Zhanstyna, dowódca batalionu.

**Saithwyk Fairmyn** - arcybiskup Kościoła Charisu w Szmaragdzie.

**Sandyrz Mahrak** - baron Zielonego Wzgórza, doradca królowej Sharleyan.

**Saigahn Mahr dai** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Strażnik*.

**Sarmac Jennifer** - Ewa, której udało się przeżyć zagładę Aleksandrii dzięki ucieczce do Tellesbergu.

**Sarmac Kayleb** - Adam, któremu udało się przeżyć zagładę Aleksandrii dzięki ucieczce do Tellesbergu.

**Sawal Rahss** - duchowny zakonu Chihiro, kapitan statku kurierskiego Świątyni.

**Sawyair Frahcys** - zakonnica zakonu Pasquale z klasztoru Błogosławionej Dłoni w Cherayth.

**Seablanket Rhobair** - lokaj hrabiego Corisu.

**Seacatcher Rahnyld** - baron Mandoliny, członek rady króla Cayleba.

**Seafarmer Rhyzhard** - starszy śledczy barona Gromu.

**Seahamper Edwyrd** - sierżant Cesarskiej Straży Charisu, osobisty przyboczny królowej Sharleyan od momentu, gdy ukończyła dziesięć lat.

**Seasmoke Yairman** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, zastępca dowódcy HMS *Tancerz*.

**Seatown Wahltayr** - kapitan, dowódca statku handlowego *Fraynceen*, działający jako

kurier szpiegów księcia Hektora w Charisie. (W rzeczywistości: porucznik Fraizher Maythis, patrz: Maythis Fraizher).

**Selkyr Bryahn** - hrabia Głębokiej Doliny, członek Konspiracji Północy w Corisandzie.

**Sellyrs Paityr** - baron Białego Zamku, strażnik pieczęci królestwa Charisu, członek rady króla Cayleba.

**Shaikyr Larys** - dowódca korsarskiego galeonu *Drapieżca*.

**Shain Payter** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca okrętu flagowego admirała Nylza HMS *Straszny*.

**Shaiow Chyntai** - admirał Szerokich Oceanów floty Harchongu, księżę Wschodzącego Słońca.

**Shandyr Hahl** - baron Shandyru, szef wywiadu księcia Nahrmahna ze Szmaragdu.

**Sharleyan** - patrz: Tayt Sharleyan oraz Ahrmahk Sharleyan.

**Sharpfieldu hrabia** - patrz: Cohlmyrn Lewk.

**Showail Styv** - komandor porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca szkunera HMS *Błysk*.

**Shumay Ahlvyn** - osobisty sekretarz biskupa Mylza Halcoma.

**Shylair Thomys** - biskup egzekutor, główny zastępca arcybiskupa Borysa w Corisandzie.

**Shymakyr Symyn** - sekretarz arcybiskupa Erayka Dynnysa podczas jego wizyty duszpasterskiej w 891 r. agent wielkiego inkwizytora.

**Skalistego Klifu baron** - patrz: Staynair Domynyk.

**Skalnego Kowadła hrabia** - patrz: Gahrvai Rysel.

**Smolth Zhan** - gwiazda Krakenów z Tellesbergu.

**Somerset Martin Luther** - kapitan, dowódca OWFT *Excalibur*.

**Sosnowej Doliny hrabia** - patrz: Ohlsyn Trahvys.

**Sowa** - akronim sztucznej inteligencji Nimue Alban, skrót od: Komputer taktyczny RAPIER, Model 17a firmy Smith-Ordones-Westinghouse-Aytton.

**Sowthmyn Trumyn** - hrabia Airythu, dawniej jeden z doradców hrabiego Hektora, obecnie członek rady regencyjnej księcia Daivyna.

**Stantyn Nyklas** - arcybiskup Hankey w Desnairze.

**Staynair Ahdryn** - nieżyjąca żona arcybiskupa Maikela.

**Staynair Domynyk** - admirał Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, baron Skalistego Klifu, młodszy brat biskupa Maikela Staynaira.

**Staynair Maikel** - głowa Kościoła Charisu, niegdyś rodzimy prałat Kościoła Boga Oczekiwanego w Tellesbergu, otrzymał arcybiskupstwo Charisu z rąk króla Cayleba.

**Stohnar Greyghor** - lord protektor, obieralny władca Republiki Siddarmarku.

**Stromego Wzgórza hrabia** - patrz: Hillkeeper Wahlys.

**Stywyrt Ahrnahld** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Szkwał*.

**Stywyrt Dahryl** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Tajfun*.

**Stywyrt Zhozef** - podwładny kapitana Kairmana, armia Delferahku.

**Sumyr Frahnklyn** - intendent arcybiskupa Tarota, Failyxa Gahrbora.

**Sumyrs Zher** - baron Barcoru, jeden z wyższych rangą oficerów sir Koryna Gahrvaia podczas kampanii corisandzkiej, późniejszy członek Konspiracji Północy.

**Svairsmahn Lainsair** - kadet Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, HMS *Tancerz*.

**Swayle hrabia** - patrz: Rahskail Barkah.

**Symkee Garaith** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, drugi oficer na HMS *Przeznaczenie*.

**Symmyns Tohmas** - wielki książę Zebediahu, kanclerz Rady Najwyższej, członek Konspiracji Północy w Corisandzie.

**Symyn Hahl** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, zastępca dowódcy na HMS *Strumień*.

**Symyn Zhorj** - sierżant Cesarskiej Straży Charisu przydzielony do oddziału ochrony cesarzowej Sharleyan.

**Synklyr Airah** - porucznik floty Dohlaru, zastępca dowódcy na galeonie *Strażnik*.

**Szarej Zatoki hrabia** - patrz: Yowance Rayjhis.

**Tahlas Brahd** - porucznik Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, dowódca drugiego plutonu kompanii alfa.

**Tahlbaht Frahcyn** - pracownica (i faktyczna właścicielka) firmy Bruhstair i Synowie, pseudonim Nynian Rychtair, patrz: Phonda Ahnzhelyka.

**Taibahld Ahrnahld** - duchowny zakonu Schuelera, dowódca OPB *Miecz Boga*, kapitan na okręcie flagowym biskupa Kornylisa Harpahra.

**Taibyr Ahdym** - arcybiskup Kościoła Boga Oczekiwanego w Desnairze.

**Tallmyn Gervays** - kapitan floty Szmaragdu, zastępca komendanta stoczni królewskich w Tranjyrze.

**Tannyr Hahlys** - duchowny zakonu Chihiro, dowódca *Szerszenia*.

**Tanyr Gairyt** - członek ruchu reformatorów.

**Tartarianu hrabia** - patrz: Lektor Taryl.

**Tayso Daishyn** - szeregowy Cesarskiej Straży Charisu przydzielony do oddziału ochrony cesarzowej Sharleyan.

**Tayt Alahnah** - żona Sailysa, matka Sharleyan.

**Tayt Sailys** - nieżyjący król Chisholmu, ojciec Sharleyan.

**Tayt Sharleyan** - królowa Chisholmu, cesarzowa Imperium Charisu, patrz: Ahrmahk Sharleyan.

**Teagmahn Bryahn** - duchowny zakonu Schuelera, intendent arcybiskupa Glacierheart.

**Thairis Ruhsyl** - książę Eastshare, oficer Cesarskiej Armii Charisu.

**Thiessen Joseph** - kapitan, szef sztabu admirała Pei Kau-zhi.

**Thirsku hrabia** - patrz: Gardynyr Lywys.

**Thompkyn Hauwerstat** - hrabia Białej Grani, sędzia najwyższy Chisholmu.

**Thorastu książę** - patrz: Zaivyair Aibram.

**Tiang Wu-shai** - biskup egzekutor arcybiskupa Zherohma Vyncyta.

**Tillyer Henrai** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, obecnie adiutant admirała Wyspy Zamek, dawniej pierwszy oficer jego okrętu flagowego.

**Tirianu książę** - patrz Ahrmahk Kahlvyn.

**Tohmys Frahnklyn** - nauczyciel księcia Cayleba.

**Tohmys Fraidmyn** - długoletni lokaj arcybiskupa Zhasyna Cahnyra.

**Traigair Sahlahmn** - hrabia Burzowej Warowni, członek Konspiracji Północy w Corisandzie.

**Trynair Zahmsyn** - wikariusz, kanclerz Kościoła Boga Oczekiwanego, członek Rady Wikariuszy oraz tak zwanej Grupy Czworoga.

**Trynytn Zhairymiah** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Strumień*.

**Tryvythyn Dynzyl** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Królewski Charis*.

**Tyotayn Bairahnd** - brygadier Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, dowódca piątej brygady CPMC, starszy oficer sir Gwylyma Manthya.

**Tyrn Lyam** - arcybiskup Szmaragdu.

**Tyrnyr Bryndyn** - sierżant gwardii Chisholmu, członek oddziału ochrony królowej Sharleyan.

**Tyrnyr Samyl** - wysłannik Cayleba II do Chisholmu do czasu misji hrabiego Szarej Zatoki.

**Uhlstyn Yairman** - gwardzista sir Koryna Gahrvaia.

**Urbahn Hahl** - zastępca dowódcy na korsarskim galeonie *Drapieżca*.

**Urvyn Zhak** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, zastępca dowódcy na HMS *Fala*.

**Ushyr Bryahn** - osobisty sekretarz arcybiskupa Maikela i jego najbardziej zaufany podwładny.

**Vahlain Naiklos** - lokaj sir Gwylyma Manthyra.

**Vahnwyk Mahrty** - osobisty sekretarz hrabiego Thirsku.

**Vykain Nahryahno** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, zastępca dowódcy na HMS *Ahrmahk*.

**Vynair Ahdym** - sierżant Królewskiej Straży Charisu, jeden z przybocznych króla Cayleba II.

**Vyncyt Zherohm** - prymas Kościoła Boga Oczekiwanego w Chisholmie.

**Wahldair Lahmbair** - porucznik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, trzeci oficer na HMS *Tancerz*.

**Waigan Frahnklyn** - starszy mat, sternik Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu na HMS *Przeznaczenie*.

**Waignair Hainryk** - biskup Tellesbergu, drugi co do ważności hierarcha królestwa Starego Charisu (zaraz po arcybiskupie Maikelu).

**Wailahr Hairahm** - komandor floty Desnairu, dowódca eskadry.

**Waimyn Aidryn** - intendent arcybiskupa Corisandu.

**Waistyn Byrtrym** - księżę Doliny Halbrooma, nieżyjący wuj królowej Sharleyan i dowódca armii.

**Walkyr Edmynd** - kapitan galeonu kupieckiego *Fala*.

**Walkyr Fraid** - kadet Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu na HMS *Tarcza*.

**Walkyr Greyghor** - syn Edmynda Walkyry.

**Walkyr Lyzbet** - żona Edmynda Walkyry.

**Walkyr Mychail** - najmłodszy brat Edmynda Walkyry, pierwszy oficer na galeonie kupieckim *Wiatr*.

**Walkyr Styv** - doradca Tahdayo Mahntayla.

**Walkyr Zhorj** - młodszy brat Edmynda Walkyry, zastępca dowódcy na galeonie kupieckim *Fala*.



**Wallyce Frahnklyn** - lord kanclerz Republiki Siddarmarku.

**Warowni Tanlyr baron** - patrz: Qwentyn Donyrt.

**Wayst Zakrai** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Cieśnina Darcos*.

**Whaite Styvyn** - kapitan frachtowca *Morska Chmura*, kurier krążący pomiędzy księciem Hektorem a szpiegami w Charisie, pseudonim Robyrt Bradlaia, patrz: Bradlai Robyrt.

**Wichrowej Góry hrabia** - patrz: Khowsan Shoukhan.

**Wielki wikariusz Ereka XVII** - świecki i duchowy przywódca Kościoła Boga Oczekiwanego.

**Windshare, hrabia** - patrz: Ahrthyr Alyk.

**Wschodzące Słońca książę** - patrz: Shaiow Chyntai.

**Wyllyms Marhys** - majordomus księcia Tirianu.

**Wylsynn Archbahld** - młodszy syn wikariusza Samyla i Lysbet Wylsynnów, przyrodni brat Paityra Wylsynna.

**Wylsynn Hauwerd** - wikariusz, wuj Paityra Wylsynna, członek zakonu Langhorne'a i grupy reformatorów, były strażnik Świątyni.

**Wylsynn Lysbet** - druga żona Samyla Wylsynna, matka Tohmysa, Zhanayt i Achbahlda.

**Wylsynn Paityr** - kapłan z zakonu Schuelera, intendent Kościoła Boga Oczekiwanego w Charisie za arcybiskupa Dynnysa, a później także Maikela.

**Wylsynn Samyl** - wikariusz, schueleryta, ojciec Paityra Wylsynna, przywódca grupy reformatorów w Radzie Wikariuszy.

**Wylsynn Tanniere** - nieżyjąca pierwsza żona Samyla Wylsynna, matka Eras i Paityra.

**Wylsynn Tohmys** - starszy syn Samyla i Lysbet Wylsynnów, przyrodni brat Paityra Wylsynna.

**Wylsynn Zhanayt** - córka Samyla i Lysbet Wylsynnów, przyrodnia siostra Paityra Wylsynna.

**Wyndayl Brainahk** - major Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, dowódca pierwszego batalionu 14 regimentu piechoty morskiej.

**Wynstyn Kynyth** - porucznik floty Corisandu, pierwszy oficer na galerze *Corisand*.

**Wyspy Zamek hrabia** - wielki admirał Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, głównodowodzący flotą, kuzyn Cayleba Ahrmahka.

**Wystahn Ahnainah** - żona Edvarhda Wystahna.

**Wystahn Edvarhd** - sierżant Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, snajper zwiadowca piechoty morskiej.

**Yair Airwain** - kapelan i spowiednik Rahzhyra Mairwyna, barona Larchrosu.

**Yairley Allayn** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, starszy brat sir Dunkyna Yairleya.

**Yairley Dunkyn** - kapitan Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Przeznaczenie*.

**Yowance Ehrnaist** - niezjący starszy brat Rayjhisa Yowance'a.

**Yowance Rayjhis** - hrabia Szarej Zatoki, pierwszy doradca króla Charisu.

**Ysbell** - wcześniejsza królowa Chisholmu, usunięta z tronu (zamordowana) w celu zapewnienia miejsca męskiemu władcy.

**Yuthain Gorjah** - kapitan floty Harchongu, dowódca galery IMWH *Lodowy Jaszczur*.

**Zahcho Daishan** - duchowny z zakonu Schuelera, jeden z inkwizytorów Aidryna Waimyna w Corisandzie.

**Zahmsyn** - patrz: Trynair Zahmsyn.

**Zaivyair Aibram** - książę Thorastu, minister odpowiedzialny za flotę Dohlaru i jej faktyczny głównodowodzący, przyrodni brat księcia Malikai.

**Zebediahu wielki książę** - patrz: Symmyns Tohmas.

**Zhaksyn Tohmys** - porucznik Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, adiutant generała Chermyna.

**Zhames** - patrz: Rayno Zhames, król Zhames II, władca Delferahku.

**Zhansan Frahnk** - szef straży księcia Tirianu.

**Zhanstyn Zhoel** - obecnie brygadier Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, dowódca trzeciej brygady, CPMC, dawniej (podczas kampanii corisandzkiej) dowódca batalionu pod brygadierem Clareykiem.

**Zhardeau Eras** - córka Samyla i Tanniere Wylsynnów, młodsza siostra Paityra Wylsynna, żona Fraihmana Zhardeau.

**Zhardeau Fraihman** - pomniejszy arystokrata z Tansharanu, mąż Eras Wylsynn, zięć wikariusza Samyla Wylsynna.

**Zhardeau Samyl** - syn Fraihmana i Eras Zhardeau, wnuk wikariusza Samyla Wylsynna, siostrzeniec Paityra Wylsynna.

**Zhaspyr** - patrz: Clyntahn Zhaspyr.

**Zhaztro Hainz** - komandor floty Szmaragdu rezydujący w Eraystorze po bitwie w cieśninie Darcos.

**Zheffyr Wyll** - major Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu, dowódca piechoty morskiej na HMS *Przeznaczenie*.

**Zheppsyn Nyklas** - kapitan floty Szmaragdu, dowódca galery *Tryton*.

**Zhermain Mahrtyń** - kapitan floty Dohlaru, dowódca HMS *Księżę Dohlaru*.

**Zhessyp Lachlyn** - sługa króla Haarahlda VII.

**Zhevons Ahbraim** - inna osobowość Merlina Athrawesa, także jego pseudonim pod tą postacią.

**Zlioelsyn Phylp** - porucznik floty Tarota, drugi oficer galery *Król Gorjah II*.

**Zhonair Gahrmyń** - major, dowódca baterii nabrzeżnej w porcie Ferayd w królestwie Delferahku.

**Zhones Ahrlee** - młodszy kadet Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu na HMS *Przeznaczenie*.

**Zhorj Wahlys** - pułkownik, dowódca najemników na służbie Tahdao Mahntayla.

**Zhustyn Ahlber** - szef wywiadu królowej Sharleyan.

**Zielonej Doliny baron** - patrz: Clareyk Kynt.

**Zielonego Wzgórza baron** - patrz: Sandyrs Mahrak.

## Glosariusz

**Anshinritsumei** - słowo to w języku japońskim oznacza „oświecenie”. W Biblii Schronienia określono nim „mały ogień”, czyli pomniejsze tchnienie Boskiego ducha. Jest to najwyższy stan umysłowy, jaki może osiągnąć śmiertelna istota.

**Czuwanie Langhorne’a** - trwający trzydzieści jeden minut okres przerwy w pomiarze czasu, pozwalający na podzielenie doby Schronienia na równe dwadzieścia sześć godzin.

**Dusznik** - niskie zarośla pochodzące ze Schronienia. Istnieje wiele odmian tych krzewów, które rosną w niemal każdej strefie klimatycznej. Są bardzo gęste i trudne do wycięcia, ale wymagają wiele światła do rozrostu, więc najczęściej można je znaleźć w starych, rzadkich lasach.

**Górskie igłociernie** - szczególny gatunek igłocierni, rosnących wyłącznie na zboczach gór w strefie tropikalnej. Kwiatostan tej rośliny ma zazwyczaj krwistoczerwony kolor, ale ten jeden gatunek charakteryzuje się białymi, niemal kobaltowobłękitnymi kielichami u nasady i jaśniejącymi stopniowo ku końcom płatkami, które mają dodatkowo złotawe obwódki.

**Grupa Czworoga** - czterej wikariusze, którzy sprawują faktyczną władzę nad Radą Wikariuszy i Kościołem Boga Oczekiwanego.

**Igłociernie** - krzewy spotykane tylko na Schronieniu, osiągają wysokość około trzech stóp i mają ostre kolce o długości od trzech do siedmiu cali w zależności od gatunku.

**Jaszczurkot** - futrzasta jaszczurka wielkości ziemskiego kota. Traktowana jako zwierzę domowe.

**Jaszczurodrap** - sześciopalec ssak z wyglądu przypominający jaszczura porośnięty gęstym futrem. W jego paszczy znajdują się dwa rzędy kłów zdolnych przebić kolczugę. Stopy tego zwierzęcia mają po cztery długie palce zakończone pięcio- lub nawet sześciopalcowymi pazurami.

**Jedwabiowelna** - roślina pochodząca ze Schronienia, mająca wiele właściwości charakterystycznych dla jedwabiu i bawełny. Pozyskiwano z niej bardzo lekkie i niezwykle wytrzymałe nici, ale ich kłębki były znacznie bardziej zanieczyszczone ziarenkami niż ziemską bawełną. Jedwabiowelna osiągała zawrotne ceny ze względu na długi i żmudny ręczny proces oczyszczania przędzy.

**Klasztor Świętego Zherneau** - siedziba bractwa Świętego Zherneau. Jeden z

biedniejszych zakonów Charisu.

**Koleojaszczur** - gad wielkości ziemskiego łosia mający rozwidlający się róg o czterech odnogach. Długość tych kolców może dochodzić do jednej trzeciej rozmiaru całego zwierzęcia. Jaszczury te są roślinożerne i nie stanowią wielkiego zagrożenia.

**Kolcowinorośl** - roślina Schronienia przypominająca nieco kudzu. Niestety nie rośnie tak szybko jak jej ziemski odpowiednik, ale jest od niej o wiele trwalsza, a kilka jej odmian ma na łodygach twarde kolce. W odróżnieniu od wielu miejscowych roślin bez problemu dała się skrzyżować z ziemską florą. Stosowana jako żywopłoty i ogrodzenia przez wielu rolników Schronienia.

**Komentarze** - autoryzowane interpretacje i rozszerzenia doktryn zawartych w Piśmie. Zawierają oficjalnie zaakceptowane i usankcjonowane interpretacje treści oryginalnych zapisów.

**Kraken** - wspólna nazwa nadana całej rodzinie morskich drapieżników. Zwierzęta te przypominają krzyżówkę rekina z kałamarnicą. Są bardzo potężne, mają rybie kształty, wielkie szczęki pełne zakrzywionych do tyłu zębów i wiązki macek wyłaniających się z ich ciał przy podstawie głów. Za ich pomocą drapieżniki te przytrzymują ofiary podczas ich pożerania. Małe przybrzeżne krakeny mogą mierzyć tylko trzy do czterech stóp długości, ich kuzyni żyjący na pełnym morzu osiągają czasami nawet pięćdziesiąt stóp - co zostało udokumentowane - ale te z legend i opowieści bywają o wiele większe.

**Krakeny z Tellesbergu** - zawodowy klub baseballowy.

**Krowa morska** - ssak ze Schronienia przypominający z wyglądu ziemskiego morsa. Dorosłe osobniki osiągają długość do dziesięciu stóp.

**Kuguar** - mniejszy gatunek jaszczurodrapa. Kuguary są znacznie mądrzejsze i zwinniejsze od swoich gigantycznych pobratymców, a co za tym idzie, potrafią unikać kontaktów z ludźmi. Są też niezwykle wytrzymałymi i zabójczymi łowcami.

**Kyousei hi** - dosłownie „wielki ogień” albo „wspaniały ogień”. Terminem tym określano aureole, jakie otaczały wszystkie pojazdy i skimmery dowództwa operacji Arka, aby podkreślić ich boskie pochodzenie w oczach pierwszych pokoleń mieszkańców Schronienia.

**Liście żujnika** - narkotyk średniej mocy uzyskiwany z oryginalnych roślin Schronienia. Żuty przez niemal wszystkich marynarzy, jak ongiś liście tytoniu.

**Lodowa wyverna** - nielotna wyverna wodna przypominająca nieco ziemskie pingwiny. Żyje w okolicach obu biegunów Schronienia.

**Mech fleminga (nazwa zazwyczaj pisana małą literą)** - Gatunek rodzimego mchu

występującego tylko na Schronieniu, który po genetycznych zmianach wprowadzonych przez zespół terraformujący Shan-wei zyskał naturalne właściwości antybiotyczne. Stosowany powszechnie w medycynie Schronienia.

**Mistrz Traynyr** - postać z niezwykle popularnych na Schronieniu teatrzyków kukielkowych. Mistrz Traynyr zazwyczaj odgrywał rolę konspiratora, którego knowania zawsze kończyły się niczym. Tym samym terminem określano także lalkarza, który poruszał wszystkimi marionetkami podczas przedstawienia.

**Namiestnik** - duchowny przydzielony do biskupstwa albo arcybiskupstwa jako bezpośredni przedstawiciel oficjum Inkwizycji. Zadaniem namiestnika jest przede wszystkim dbanie o to, by nie dochodziło do złamania Zakazów Jwo-jeng.

**Narwal** - gatunek ryby żyjącej na Schronieniu, nazwany tak ze względu na podobieństwo do pewnego gatunku waleni ze Starej Ziemi. Tutejsze narwale osiągają około czterdziestu stóp długości i mają dwa przypominające rogi kły, które mogą osiągać nawet osiem stóp długości.

**Pajęczokrab** - jedna z oryginalnych form życia na Schronieniu, o wiele większa od znanych na Ziemi krabów. Zwierzę to nie jest jednak skorupiakiem, jego segmentowe, mocno opancerzone ciało przypomina raczej ślimaka. Odnóża uznawane są za niezwykle delikatny przysmak.

**Pajęczoszczur** - gatunek szkodnika występującego na Schronieniu, który pełni w tym ekosystemie rolę podobną do ziemskich szczurów. Jest sześcionogi, podobnie jak wszystkie ssaki Schronienia, i wygląda jak skrzyżowanie jaszczurki z owadem. Posiada wielostawowe odnóża, które sięgają wyżej niż jego ciało. Szkodnik ten jest znany z narowistego usposobienia, ale zarazem niezbyt odważny. Największe osobniki największych gatunków mogą osiągać długość ciała sięgającą dwu stóp, jednakże średnia wielkość tych zwierząt to zaledwie jedna trzecia do połowy tych wymiarów.

**Piaskowe czerwie** - obrzydliwi mięsożercy, wyglądający jak sześcionogie ślimaki, które żerują na plażach podczas przypływu. Piaskowe czerwie zazwyczaj nie gustują w żywych ofiarach, aczkolwiek nie pogardzą też niewielkimi stworzeniami, które znajdują się w ich zasięgu. Ich naturalna barwa pozwala idealnie wtapiać w piaszczyste tło plaży, w dodatku zakopują się głęboko, pozostawiając na powierzchni jedynie koniec odwłoka.

**Pięciodzień** - odpowiednik ziemskiego tygodnia na Schronieniu. Składa się on tylko z pięciu dni: od poniedziałku do piątku.

**Prawiedąb** - drzewo rosnące na Schronieniu, przypominające nieco ziemskie dęby. Spotykane głównie w strefie tropikalnej.

**Rada Wikariuszy** - odpowiednik Kolegium Kardynalskiego w Kościele Boga Oczekiwanego.

**Rakurai** - dosłownie „błyskawica”. Tym słowem Pismo określa broń kinetyczną, za pomocą której zniszczono enklawę Aleksandria.

**Rycerze Ziem Świątynnych** - urzędowy tytuł prałatów zarządzających Ziemiami Świątynnymi. Z technicznego punktu widzenia Rycerze Ziem Świątynnych są ich świeckimi władcami, należącymi jednocześnie do hierarchii kościelnej. Zgodnie z prawem kanonicznym, nic co uczynią jako Rycerze Ziem Świątynnych, nie może być kojarzone z oficjalnymi działaniami Kościoła Matki. Świątynia wykorzystywała tę fikcję prawną już niejednokrotnie w swojej historii.

**SAPK-i** - Samonaprowadzająca Autonomiczna Platforma Komunikacyjno-zwiadowcza.

**Seijin** - mędrzec, święty mąż. Słowo zaczerpnięte bezpośrednio z języka japońskiego przez Maruyamę Chihiro, podwładnego Langhorne’a, któremu zlecono stworzenie Biblii Kościoła Boga Oczekiwanego.

**Smok** - największa lądowa forma życia na Schronieniu. Wyróżniamy dwa gatunki smoków: smoka zwykłego i smoka wielkiego. Smok zwykły jest trawożercą mniej więcej dwukrotnie większym od ziemskich słoń. Smok wielki jest nieco mniejszy od swojego zwykłego kuzyna, osiąga połowę do trzech czwartych jego masy, ale jest mięsożerny i zajmuje najwyższe miejsce w lądowym łańcuchu pokarmowym Schronienia. Oba gatunki są bardzo podobne do siebie, jedyna istotna różnica w ich wyglądzie to paszcza - u trawożernego zwierzęcia krótsza i masywna, przystosowana do przeżuwania, a u mięsożernego wydłużona i naszpikowana ostrymi zębiskami. Oba gatunki mają po sześć nóg, podobnie jak jaszczurodrapy, ale w odróżnieniu od nich nie mają futra, tylko grubą, doskonale izolującą skórę.

**Smok górski** - nieco mniejsze od ziemskiego słońa zwierzę pociągowe, znane na całym Schronieniu. Mimo wielkich rozmiarów zdolne do szybkich zrywów.

**Smok leśny** - nazwa nadawana gatunkom smoków żyjących na nizinach; smok leśny osiąga znacznie większe rozmiary niż smok górski.

**Smoki Hairathy** - zawodowa drużyna baseballowa z Hairathy. Tradycyjni rywale Krakenów z Tellesbergu w Pucharze Króla.

**Stalokset** - roślina Schronienia przypominająca mocno rozgałęzione bambusy. Jej strączki zawierają niezwykle delikatne nasionka przytwierdzone bardzo cienkimi, ale mocnymi nićmi. Ziarenka te są bardzo trudne do usunięcia gołymi rękami, ale z ich nici

można tkać materiały o wiele wytrzymalsze od jedwabiu. Można z nich także splatać niezwykle wytrzymałe i odporne na rozciąganie liny. Co więcej, rośliny te rosną równie szybko jak bambus, a ilość zbieranej z jednego akra nici jest wyższa o siedemdziesiąt procent niż w przypadku ziemskiej bawełny.

**Surgoi kasai** - dosłownie „wielki (okropny) pożar”. Prawdziwy duch Boga, tchnienie Boskiego ognia, które wytrzymać może jedynie anioł albo archanioł.

**Szarfa** - tradycyjne nakrycie głowy noszone w królestwie Tarota, czyli specjalnie zaprojektowana i uszyta bandana nakładana na włosy.

**Świadectwa** - z wielu dokumentów, jakimi posługuje się Kościół Boga Oczekiwanego, te zawierają relacje naocznych świadków spisane przez kilka pierwszych pokoleń ludzi zamieszkujących Schronienie. Nie mają one jednak podobnego statusu jak chrześcijańskie ewangelie, ponieważ nie zawierają żadnych nauk ani inspiracji przekazywanych przez Boga. Ich zadaniem jest unaocznienie historycznej zgodności nauk Kościoła z faktami, które gromadnie spisywali naoczni świadkowie owych wydarzeń.

**Świerszcz** - tutejszy odpowiednik ziemskiego owada o tej nazwie, dorasta do długości dziewięciu cali i jest mięsożerny. Na szczęście występuje mniej licznie niż świerszcze na Ziemi.

**Uzupełnienia** - spisane oświadczenia i obserwacje wielkich wikariuszy i świętych Kościoła Boga Oczekiwanego. Zawierają głęboko uduchowione i inspirujące nauki, ale jako dzieło zwykłych śmiertelników nie są stawiane na równi z treścią Pisma.

**Waleniszczyciel** - najbardziej niebezpieczny drapieżnik żyjący na Schronieniu, na szczęście bardzo rzadko interesujący się tak niewielką zdobyczą, jaką jest dla niego człowiek. Waleniszczyciele osiągnęły długość niemal stu stóp i są wyłącznie mięsożerne. Osobniki tego gatunku potrzebują wielkich przestrzeni do życia, więc nie zbliżają się do wybrzeży, dzięki czemu spotkania z nimi należą do rzadkości. Stworzenia te jedzą wszystko, nie wyłączając największych krakenów. Znane są też niezwykle rzadkie przypadki, gdy atakowały frachtowce lub galery wojenne.

**Wiertacz** - rodzaj żyjącego na Schronieniu skorupiaka, który przyczepia się do dna okrętu albo drewna spławianego do portów, wwiercając się w nie na pewną głębokość. Istnieje kilka rodzajów wiertaczy, z których najgroźniejsze potrafią wygrzyźć spore otwory w drewnie, do którego się przyczepią. Wiertacze są największym oprócz zbutwienia zagrożeniem dla kadłubów okrętowych.

**Wyverna** - tutejszy odpowiednik ziemskich ptaków. Jednakże wyverny występują w znacznie mniejszej liczbie i różnorodności. Wśród nich wyróżniamy wyverny pocztowe,



myśliwskie (stosowane do łowów w podobny sposób jak sokoły), skalne (te gatunki są niewielkie, rozpiętość ich skrzydeł dochodzi do dziesięciu stóp), morskie (tych jest naprawdę wiele), królewskie (jedne z największych latających drapieżników, mogących osiągać nawet do dwudziestu pięciu stóp rozpiętości skrzydeł). Wszystkie gatunki tych zwierząt mają po dwie pary skrzydeł oraz dwie kończyny wyposażone w niezwykle ostre pazury. Zdesperowane królewskie wyverny porywają dzieci, jeśli nadarzy się ku temu okazja, aczkolwiek gatunek ten znany jest z całkiem sporej inteligencji i wie, że człowiek nie jest łatwą ofiarą, więc na ogół omija ludzkie sadyby.

**Wyverna szaroroga** - nocny drapieżnik żyjący na Schronieniu. Można by go porównać do ziemskiej sowy.

**Wyvernowisko** - miejsce wylęgu oswojonych wyvern.

**Zakazy Jwo-jeng** - spis technologii dozwolonych przez Kościół Boga Oczekiwanego. W ogólnym zarysie Zakazy zabraniają korzystania z urządzeń, które nie są napędzane siłą wiatru, wody albo ludzkich mięśni. Zwyczajowo Zakazy podlegają ocenom zakonu Schuelera, należącego do najbardziej konserwatywnych zgromadzeń Schronienia.

## Informacja dotycząca miar czasu na Schronieniu

Doba na Schronieniu liczy dwadzieścia sześć godzin i trzydzieści jeden minut. Rok Schronienia to 301,32 dnia, czyli 0,91 standardowego roku ziemskiego. Planeta ma jeden spory księżyc, który obiega ją w 27,6 lokalnego dnia, zatem miesiąc księżycowy trwa tutaj mniej więcej 28 dni.

Doba Schronienia dzieli się na 26 sześćdziesięciminutowych godzin oraz trzydziestojednominutowy okres zwany „czuwaniem Langhorne’a”.

Rok Schronienia dzieli się na dziesięć miesięcy: luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik i listopad. Każdy z nich dzielony jest na sześć pięciodniowych tygodni, zwanych tutaj „pięciodniami”. Mają one następujące nazwy: poniedziałek, wtorek, środa, czwartek i piątek. Dodatkowy dzień roku przypada w samym środku lipca, ale nie ma przydzielonego numeru. To tak zwany „dzień Boga” i zarazem najważniejsze święto Kościoła Boga Oczekiwanego. Z takiego podziału wynika, że każdy pierwszy dzień miesiąca musi wypadać w poniedziałek, a ostatnim jest piątek. Co trzy lata występuje tak zwany rok przestępny, który trwa o jeden dzień dłużej - zwany „memoriałem Langhorne’a” i umieszczany w środku lutego (także bez przydzielonego numeru). To oznacza, że statystyczny miesiąc Schronienia liczy 795 godzin, w odróżnieniu od 720, jakie ma 30-dniowy miesiąc na Ziemi.

Zrównanie dnia z nocą wypada na Schronieniu 23 kwietnia i 22 września, natomiast przesilenia słoneczne 7 lipca i 8 lutego.